ROK XXVI SERIA II KRAKÓW Nr 1 1970

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

DZIESIĄTY ZESZYT

10

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM

OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ

OSWOBODZENIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO

OŚWIĘCIM–BRZEZINKA

Biblioteka Jagiellońska
1001243596

Komitet redakcyjny: Prof. dr P. Boroń (Białystok), prof. dr M. Górski (Gdańsk), doc. dr H. Gaertner, prof. dr W. Jakimowicz, prof. dr J. Kobiela, prof. dr W. Mikułowski, prof. dr T. Tempka, doc. dr W. Wcisło (Kraków), prof. dr J. Billewicz-Stankiewicz (Lublin), prof. dr J. Grott, prof. dr W. Markert (Łódź), prof. dr J. Jankowiak (Poznań), prof. dr K. Gibiński (Rokitnica), prof. dr E. Gorzkowski (Szczecin), prof. dr T. Orłowski (Warszawa), prof. dr E. Szczeklik (Wrocław)

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego: prof. dr J. Bogusz

Redaktor naczelny: prof. dr med. Bronisław Giędosz. Z-ca redaktora naczelnego: prof. dr Włodzimierz Ostrowski
Sekretarz redakcji: dr med. Adam Wajdowicz

Adres Redakcji: Kraków, ul. Czysta 18, tel. 339-47
Wydawca: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich — Warszawa, ul. Długa 38/40

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego podjął inicjatywę naukowego opracowania zagadnień lekarskich związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji, hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a przede wszystkim największego i najstraszliwszego obozu zagłady, Oświęcimia-Brzezinki, osławionego pod oficjalną nazwą *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*. Uważając to zadanie za moralny obowiązek, stwierdzamy jednocześnie, że powyższa tematyka ma wielką wagę naukowo-badawczą dla wszystkich dziedzin medycyny oraz poważne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób ofiar obozów koncentracyjnych.

Towarzystwo nasze zainicjowało dotychczas prace nad następującymi tematami, z którymi zapoznało środowisko lekarskie w serii odczytów i artykułów:

I. Badania psychologiczno-lekarskie;
II. Zagadnienia prawno-lekarskie;
III. Materiały historyczno-dokumentarne.

Towarzystwo nasze apeluje do wszystkich towarzystw lekarskich w kraju i za granicą o podjęcie podobnych inicjatyw we wszelkich specjalnościach, a zwłaszcza o zainteresowanie tą tematyką młodych naukowców. Będzie to hołd złożony rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości, wymordowanych w hitlerowskich obozach, a jednocześnie jest to humanistyczne zadanie właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

KRAKOWSKI ODDZIAŁ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

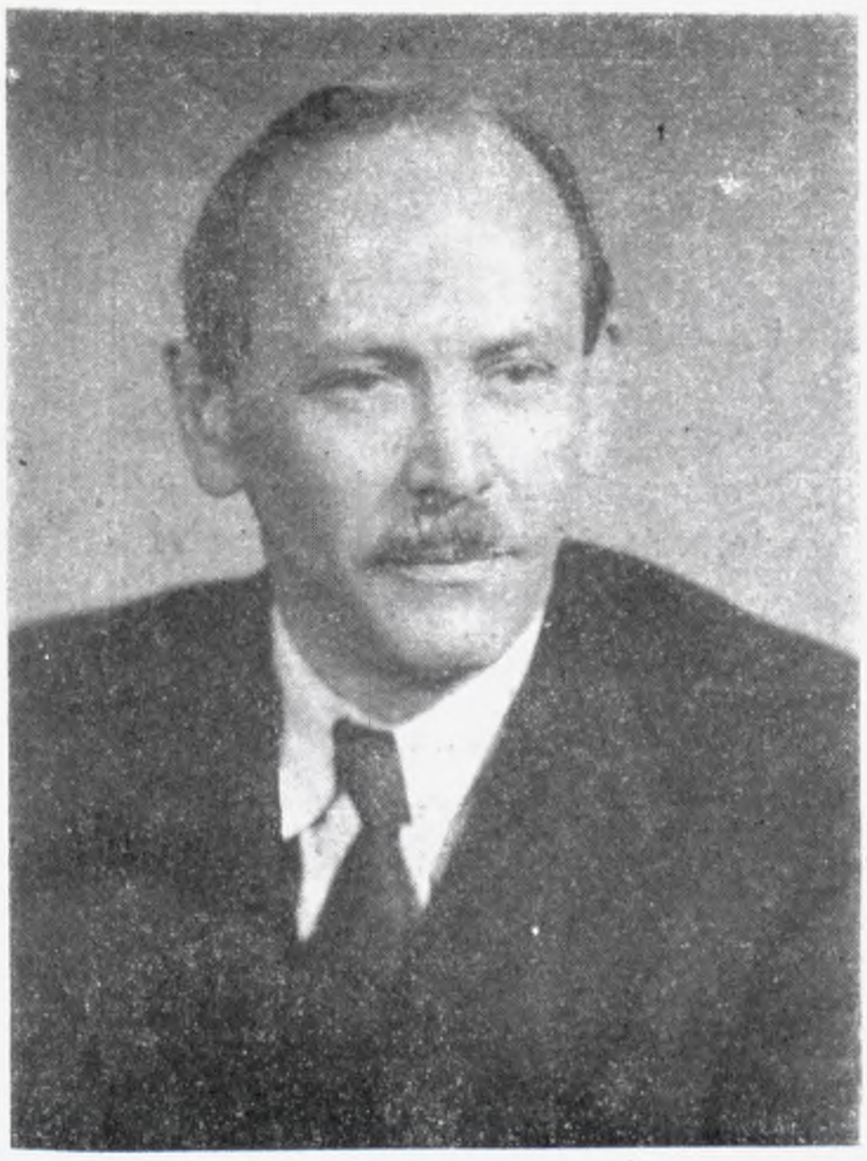

BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
100596
II 26(1970)

Prof. dr Bronisław Gędosz

Śmierć przyszła nagle, nieoczekiwanie, w pełni Jego sił twórczych, w okresie intensywnej pracy. Wiedzieliśmy, że przeszedł przed kilku laty poważną chorobę serca, że od tego czasu co roku wyjeżdżał w lecie do sanatorium w ulubionym przez siebie Busku-Zdroju, z którego powracał za każdym razem skrzepiony, świeży, promienny. Ale widzieliśmy Go do ostatniego dnia zawsze w pełni aktywności, obarczonego wieloma obowiązkami, wkraczającymi w różne dziedziny pracy naukowej, wychowawczej, a zwłaszcza w przeróżne dziedziny pracy społecznej. Nigdy się nie oszczędzał. Najwyraźniej hołdował zasadzie, którą tak pięknie wyraził w swej książce jeden z naszych wielkich uczonych: „Kto się oszczędza, ten chodzi za własnym pogrzebem". Był z nami w czwartek 17 grudnia br. do późnego wieczoru biorąc bardzo żywy i jakże czynny udział w zebraniu Zarządu Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Wielokrotnie zabierał głos tego wieczoru w sprawach, które łączą lekarzy na polu pracy społecznej w najszlachetniejszym i najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. Następnej nocy, tj. z piątku 18 grudnia na sobotę 19 grudnia 1970 r. serce Jego nagle przestało bić.

Mówi się, że lekarze przywykli do zgonów. A jednak ta śmierć dotknęła szczególnie głęboko i boleśnie. Odszedł od nas człowiek cichy, skromny, a jakże pracowity i ofiarny. Pozostawił innych w najgłębszym smutku. Wraz z Jego najbliższą Rodziną bolejemy nad Jego przedwczesną śmiercią.

Urodził się we Lwowie 2. IX. 1905 r. Dyplom lekarza uzyskał w 1933 r., stopień doktora medycyny w 1936 r. Habilitowany jako docent patologii ogólnej w Uniwersytecie we Lwowie w 1939 r. Po okresie II wojny światowej, który spędził we Lwowie, został w 1947 r. zastępcą profesora i kierownika Katedry Zakładu Patologii Ogólnej i Doświadczalnej UJ, potem AM w Krakowie. Mianowany profesorem nadzwyczajnym w 1948 r., profesorem zwyczajnym w 1967 r. W latach 1951—1953 sprawował czynności prorektora, a w latach 1953—1957 czynności rektora AM w Krakowie.

Pozostawił bogaty dorobek naukowy w postaci przeszło 120 publikacji naukowych. Osiągnięcia Jego przytacza się w piśmiennictwie krajowym i zagranicznym. Wcześnie zwrócił uwagę na tzw. „kastrakcję hormonalną", na znaczenie regulacji centralno-nerwowej i korelacji witaminowo-hormonalnej. Wykazał przecukrzające i przeciwwysepkowe działanie krwi chorych na akromegalię. Opublikował cykl prac a awitaminozie C, o toksyczności furfurolu. Przedstawił własną koncepcję patomechanizmu przełomu tyreotoksycznego.

Dorobek Zakładu Patologii Ogólnej i Doświadczalnej AM w Krakowie, kierowanego przez prof. Gędosza, przekroczył 300 prac opublikowanych. Pod Jego kierunkiem ponad 30 lekarzy uzyskało stopień doktora, a 3 stopień doktora habilitowanego.

Był wychowawcą wielu pokoleń młodzieży lekarskiej. Jego wystąpienia na posiedzeniach Rady Wydziału Lekarskiego AM były nacechowane zawsze głęboką i serdeczną troską o właściwe wychowanie i wykształcenie młodzieży. Był przez młodzież bardzo lubiany.

Brał czynny udział w pracach wielu towarzystw i instytucji naukowych. Był aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego, Pol. Tow. Higieny Psychicznej. Rozwijał bardzo aktywną działalność jako wieloletni przewodniczący Krak. Oddziału Pol. Tow. Endokrynologicznego. Był redaktorem „Folia Medica Cracoviensia", organu Komisji Nauk Medycznych Oddziału PAN w Krakowie, członkiem Komitetu Redakcyjnego „Dissertationes Pharmaceuticae".

Nade wszystko jednak działał jako długoletni członek Zarządu Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego, przekształconego w 1951 r. w Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, sprawując odpowiedzialną godność redaktora naczelnego organu tegoż towarzystwa „Przeglądu Lekarskiego" od 1946 r., tj. przez przeszło 24 lata, oraz jako przewodniczący Sekcji Gerontologicznej. „Przegląd Lekarski", założony 5 kwietnia 1862 r., odegrał bardzo ważną rolę w rozwoju polskiej myśli lekarskiej. Nie tu jest miejsce na kreślenie historii rozwoju tego ważnego czasopisma. Pragniemy tu jedynie podkreślić, że prof. Giędosz jako redaktor naczelny przyczynił się wybitnie do rozwoju tego miesięcznika. Wydawał specjalne zeszyty, jak zeszyty poświęcone służbie krwi, Białostockiej Akademii Medycznej, dorobkowi naukowemu Opola, Kielc, zeszyt omawiający szkodliwości nadużywania palenia tytoniu i wiele innych. Całkiem szczególną pozycję stanowią tzw. zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". To unikalne wydawnictwo ukazujące się od 10 lat (od 1960 r.) w rocznicę oswobodzenia obozu w Oświęcimiu, początkowo jako zeszyty dodatkowe (nr 1 a), później jako zeszyty pierwsze styczniowe z cyklu 12 zeszytów miesięcznika, zjednało sobie uznanie w kraju i za granicą jako jedyna tego rodzaju publikacja poświęcona zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji. Kiedy powstała myśl wydawania tych „oświęcimskich" zeszytów w ramach „Przeglądu Lekarskiego", prof. Giędosz bez wahania podjął tę inicjatywę i cały czas owocnie tu współpracował. Rozbudowie „Przeglądu Lekarskiego", staraniom o jego atrakcyjność, poświęcał prof. Giędosz wiele uwagi i energii. Można śmiało rzec, że było to jego ukochane pismo. Ci, którzy mają do czynienia z pracą wydawniczą, wiedzą, jak niełatwą jest ta praca, jak wiele trudności natury edytorskiej napotyka w swej codziennej pracy redaktor. Podziwu godna była mrówcza pracowitość Zmarłego, jego dokładność i pedanteria. Rozmiłowany w czystości języka polskiego był prawdziwym apostołem jego poprawności w piśmiennictwie lekarskim. Współpraca z Nim na tym polu pozostanie na zawsze w naszej wdzięcznej pamięci.

Jako przewodniczący Sekcji Gerontologicznej Krakowskiego Oddziału Pol. Tow. Lekarskiego od 1968 r. z prawdziwym rozmachem rozwinął jej działalność.

16 kwietnia 1970 r. w czasie III Krajowego Zjazdu Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Katowicach w uznaniu zasług nadano Mu godność członka honorowego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego.

Ostatnio pełnił godność prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia Wychowanków Wydziału Lekarskiego i Farm. UJ i AM.

Rozwijał rozległą i wielostronną działalność społeczną. Był przez długie lata radnym Rady Narodowej m. Krakowa, członkiem jej Prezydium i przewodniczącym Komisji Zdrowia, zastępcą przewodniczącego Prezydium Krakowskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Był prezesem Zarządu Miejskiego Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej i tu rozwijał bardzo owocną działalność w niesieniu pomocy najbiedniejszym. Był jednym z najbardziej ukochanych przez staruszków. Był przewodniczącym Społecznego Komitetu do Walki z Gruźlicą w Krakowie. Wysoko oceniono Jego ofiarną i pełną szlachetnego zaangażowania pracę na niwie społecznej.

Otrzymał liczne i wysokie odznaczenia państwowe oraz wiele społecznych wyróżnień.

Powyższe słowa mają być wyrazem skromnego hołdu, jaki składamy prochom pięknego i niepospolitego Człowieka, który pozostawił po sobie wielką spuściznę. Zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, że nie da się łatwo uzupełnić luki, jaka powstała po Jego odejściu.

Za
Zarząd Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego
oraz za Redakcję i Komitet Redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego"
Prof. dr Józef Bogusz

ROK XXVI SERIA II KRAKÓW Nr 1 1970

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

Dziesiąty zeszyt poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem

Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

Zredagowali:

Prof. dr Józef Bogusz
Doc. dr Antoni Kępiński
Dr Stanisław Kłodziński
Mgr Jan Masłowski

100596
III

TREŚĆ

Rusinek K.: Przedmowa 3
Bogusz J.: Słowo wstępne 6

DZIAŁ NAUKOWY

Kępiński A.: Tzw. „KZ-syndrom". Próba syntezy 18
Kempisty C.: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów obozu dla dzieci w Łodzi . 24
Łobzowski W.: Wstępne wyniki badania lekarskiego byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z województwa katowickiego) 28
Kłodziński S.: Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim-Brzezinka 30
Capińska K.: Choroby skóry i weneryczne w Krakowie w czasie drugiej wojny światowej 34
Kłodziński S.: Pierwsza oświęcimska selekcja do gazu. Transport do „sanatorium Dresden" 39
Chróścielewski E.: Niektóre polskie studia medyczne w okresie drugiej wojny światowej 50
Zabłotniak R.: Konspiracyjne studia medyczne i farmaceutyczne w Warszawie . . 58
Ryn Z.: „Błękitny Krzyż" podczas okupacji hitlerowskiej 66

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

Frąckowski K.: Pomorze w cieniu swastyki 75
Frąckowski K.: Fort VII w Toruniu . . 80
Kasprzyk L.: Na Helu i w obozach jenieckich 86
Cereniewicz B.: Szpital jeńców wojennych w Tangerhütte 96
Wacek S.: W Szpitalu Ujazdowskim podczas okupacji hitlerowskiej 104
Białokoz M.: Z historii służby zdrowia Warszawy-Śródmieścia w powstaniu warszawskim 113
Białokoz M.: Ewakuacja niektórych szpitali po kapitulacji powstania warszawskiego . 120
Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Konspiracyjna służba zdrowia w Piotrkowskiem 130
Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Piotrkowski Polski Czerwony Krzyż w latach okupacji 136
Białokoz M.: Sanatorium Przeciwgruźlicze ZUS w Kobierzynie pod okupacją hitlerowską 141
Mruk J.: Obóz karny „Liban". Uwagi lekarza 144
Bernard H.: Relacja z lat wojny . . . 147
Frančić V.: Organizacja więźniów-profesorów w obozie Sachsenhausen 150
Frąckowski K.: Żydzi i księża w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg 159
Makowski A.: Niektóre osiągnięcia organizacyjne szpitala obozowego w Monowicach 165
Adam M.: Relacja pielęgniarki uwięzionej w Brzezince 168
Olszyna R.: Wstępny wykaz lekarzy obozu Gross-Rosen 169
Falgowski J.: Esesowska służba zdrowia w obozie na Majdanku 172
Witkowski J.: Śladami dzieci z czeskiej wsi Lidice 173
Seweryn T.: Okupacji dzień powszedni . . 178

WSPOMNIENIA

Szczerbowski K.: Wspomnienia pierwszego pisarza „rewiru" oświęcimskiego . . 198
Głogowski L.: Epizod z obozu oświęcimskiego 202
Niedojadło E.: Moje dwie rocznice oświęcimskie 204
Maniakówna M.: W oświęcimskim bloku nr 11 208
Włodarska H.: Ze szpitala kobiecego obozu w Brzezince 213
Dubiel A.: Ze wspomnień chorego więźnia Neu-Sustrum i Gusen 216
Osuchowski J.: Zagazowanie jeńców radzieckich w Gusen 219
Osuchowski J.: „Rewir" tzw. małego obozu w Buchenwaldzie 220
Dziaduś S.: Z kompanii karnej w Gross-Rosen 223
Walterowa A.: Kolumna „Forst Neues Gut" w Ravensbrück 228
Pagniez Y.: W Torgau 231
Kuffel E.: Ostatnie dni w obozie Ebensee . 236
Fedorowicz („Ran") T.: Ze wspomnień o postawie lekarzy w obozach 238
Wesełucha P.: Obóz jako eksperyment psychiatryczny 242
Orlicka Z.: Z okupacyjnych przeżyć pielęgniarki w Warszawie 246
Wilkońska M.: Pół roku pracy w Szpitalu Więziennym podczas okupacji 253

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

Kłodziński S.: Dr Stefan Pizło, więzień Oświęcimia nr 333 258
Kłodziński S.: Dr Wilhelm Türschmid . . 261
Kłodziński S., Niewiarowicz R.: Dwie relacje o doktorze Mieczysławie Kotarbińskim 264
Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dr Bolesław Kwapiński 270
Falgowski J.: Dr Jan Řihá 272

OCENY

Bogusz J.: O wspomnieniach „muzułmana" . 274
Masłowski J.: Uwagi o pielęgniarskiej tematyce okupacyjnej 277
Masłowski J.: Okupacyjna tematyka medyczna w Polsce poza „Przeglądem Lekarskim" 282

*

Treść poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego", poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu okupacji hitlerowskiej . . . 291
Contents of preceding issues of „Przegląd Lekarski" (Medical Review) devoted to medical problems of the period of nazi-occupation . 296

BJ. Jagiell.

KAZIMIERZ RUSINEK
były więzień obozów koncentracyjnych Stutthof i Mauthausen nr 1291
sekretarz generalny Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację

Warszawa

Przedmowa

Wrzesień 1939 roku i wrzesień 1969 roku, to już 30 lat. Trzydziesta rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Miniony czas nie wykreślił z naszej pamięci narodowej tragedii, doznanych krzywd i upokorzeń. Pamięć o zmarłych, poległych i zamordowanych jest wiecznie żywa. Żywe są wspomnienia pokolenia, które było uczestnikiem wojny, świadkiem okupacji i żywe są wspomnienia tych, którzy bezpośrednio w walce uczestniczyli i tych, którzy walkę i okupację przetrwali.

Często słyszy się i czyta w literaturze poświęconej dziejom drugiej wojny światowej, że każdy, kto przeżył okupację hitlerowską, ma prawo mówić, iż narodził się po raz drugi. Na pewno pełne prawo do tego określenia mają byli więźniowie obozów hitlerowskich. Tytuły książek „Powrót z piekła" lub „Byłem numerem", czy wreszcie taki tytuł, jak „Międzynarodówka straceńców" lub „Dymy nad Birkenau", bądź też nazwy obozów takich, jak Oświęcim, Majdanek, czy Mauthausen-Gusen, Buchenwald, Dachau i Sachsenhausen same w sobie zawierają dramat ludzki, dramat milionów ludzi więzionych za drutami.

Przewodnik Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa rejestruje na ziemiach polskich dziesiątki tysięcy cmentarzy, które dają wyobrażenie, jak wielkie były cierpienia narodu polskiego i jak wielkie były ofiary ludności. Statystyka strat ludzkich jest przerażająca, liczba ofiar bezprzykładna. Do liczby 6 milionów zmarłych i zamordowanych należy doliczyć wiele milionów osób, które wskutek doznanych przeżyć, psychicznego i fizycznego dręczenia, do normalnych zaliczone być nie mogą.

Ta druga kategoria osób stała się przedmiotem badań lekarskich w celu ustalenia, czy i w jakim stopniu ich aktualny stan zdrowia i rozliczne choroby pozostają w związku przyczynowym z pobytem w obozach koncentracyjnych. Trybunał wojskowy w Norymberdze (rok 1946) zakwalifikował działania okupanta jako zbrodnie przeciw pokojowi, jako zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. To pojęcie obejmuje morderstwa dokonywane na ludności cywilnej i jeńcach wojennych oraz morderstwa popełnione na więźniach obozów koncentracyjnych. Fizyczna eksploatacja ludzi skazanych na deportację w głąb Rzeszy, niewolnicza praca, polityka wysiedlania i pacyfikacji — to także czyny zbrodnicze. Bo głównym celem polityki Niemiec hitlerowskich była likwidacja państwa polskiego i biologiczne wyniszczenie narodu. Od momentu wkroczenia armii niemieckiej we wrześniu 1939 roku specjalne grupy operacyjne dokonywały likwidacji działaczy społecznych i politycznych, kierując ostrze swej nienawiści przeciw inteligencji. Wymordowanie inteligencji miało prowadzić do zniszczenia źródeł, z których rodzi się wszelka myśl ludzkich poczynań, dających narodowi światło wiedzy, uzupełniających wielowiekowe tradycje narodu, tworząc nowe i torując narodowi drogę do rozwoju intelektualnego, do rozwoju nauki i kultury.

Okupant, świadom tego, jak wielkie i bogate są to źródła, z których naród czerpie swe siły duchowe, pragnął już w pierwszych dniach okupacji zniweczyć wszystko to, co miało pobudzać naród do walki i przetrwania. Dwa przykłady: aresztowanie profesorów krakowskich, zesłanie ich do obozu w Sachsenhausen; aresztowanie i rozstrzelanie profesorów we Lwowie. Te dwa najbardziej klasyczne przykłady polityki eksterminacyjnej były wymierzone przeciwko polskiej inteligencji. Były jednym z głównych elementów polityki totalnego zniszczenia narodu. Zabić wychowawców znaczyło zabić duchowych przywódców narodu. Zabić twórców myśli i nauki, spalić ich dzieła, znaczyło zabić samą wiedzę o narodzie. Było to zamknięcie drogi do jej twórczych źródeł.

Sądy doraźne, działające zarówno na terenach przyłączonych do III Rzeszy, jak i na terenie Generalnej Guberni, orzekające w sprawach, które znalazły się w rękach gestapo, skazywały na karę śmierci bez obowiązku udowodnienia winy. Gubernatorzy „dystryktów" w Generalnej Guberni (Kraków, Lublin, Radom, Warszawa, tzw. Galicja) byli wyposażeni w pełnię dyktatorskiej władzy. Dekret *Hitlera* z 7 października 1939 roku powierzył funkcję komisarza Rzeszy do spraw umacniania niemczyzny *Himmlerowi*. Dowódcy *SS* i policji byli organami wykonawczymi urzędów, których głównym zadaniem było wysiedlanie ludności polskiej i zasiedlanie wolnych od Polaków obszarów Niemcami. Działały także specjalne centrale przesiedleńcze w Poznaniu, w Łodzi i w Gdyni, które miały w terenie swoje ekspozytury.

Szczególną rolę, dodajmy: rolę haniebną, odegrali w tej akcji przedstawiciele hitlerowskiej służby zdrowia, którzy dokonywali między innymi zbrodniczych eksperymentów lekarskich i eutanazji. Stosowano także program tzw. „spalonej ziemi", zapoczątkowany przez *Wehrmacht*, a kontynuowany przez wszystkie lata hitlerowskiej okupacji.

Tereny wcielone do III Rzeszy obejmowały około 10 milionów ludności. Ich obszar wynosił 92 000 km². Tereny te miały ulec całkowitemu zniszczeniu, a ich ludność była skazana na fizyczną zagładę. I w tym planie inteligencja

oraz warstwy uznane przez okupanta za szczególnie niebezpieczne miały ulec fizycznej likwidacji.

Fizycznej zagładzie miał ulec cały naród polski, a w zbrodniczych planach *Hitlera* likwidacji miało ulec również państwo polskie. Cały system terroru i mordów miał służyć temu celowi.

Dowódca wojsk lądowych rozporządzeniem z 12 września 1939 roku wprowadził karę śmierci za posiadanie broni i amunicji. Ta sama kara śmierci obowiązywała za tzw. „czyny gwałtu" wymierzone przeciwko wojsku niemieckiemu i poszczególnym żołnierzom. Generalny gubernator *Frank* wprowadził 31 października 1939 roku karę śmierci za wszelkie czyny skierowane przeciwko władzom niemieckim lub osobom narodowości niemieckiej. Karę śmierci stosowano także za wzywanie do okazywania nieposłuszeństwa wobec rozporządzeń władz okupacyjnych. Wreszcie w roku 1942 została wprowadzona kara śmierci za każdy przejaw pomocy udzielonej Żydom przez Polaków. Plan zbrodni był totalny. Tym planem objęto również dzieci i starców.

Nie ma przesady w twierdzeniu, że ziemie polskie zostały przekształcone przez hitlerowców w jedno wielkie cmentarzysko. Globalne straty są ujęte w dokumencie Prezydium Rady Ministrów ogłoszonym w roku 1947. Dokument ten podaje, że ogółem straciło życie 6 milionów 28 tysięcy obywateli. W tej liczbie wskutek bezpośrednich działań wojennych poległo 644 tysięcy. Straty wojska szacuje się na 23 tysiące, a straty ludności cywilnej na 521 tysięcy. Na skutek terroru okupanta straciło życie 5 milionów 384 tysięcy. I znowu przykład i porównanie. W Polsce na każdy tysiąc mieszkańców zginęło 220 osób, w Holandii — 22, we Francji — 15, w Belgii — 7. Straty ludności tylko miasta Warszawy przekroczyły łącznie straty ludności Wielkiej Brytanii i USA, poniesione przez te państwa w drugiej wojnie światowej.

Tak, jak nie wygasła pamięć o poległych i zamordowanych, tak samo nie zostały jeszcze zagojone rany lat wojny i okupacji. Stąd też nasza postawa i nasze nieprzejednane stanowisko domagające się ścigania zbrodniarzy wojennych, nasz protest przeciwko przedawnieniu i nasza inicjatywa podejmowana na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz nasz wniosek postulujący uchwalenie konwencji o nieprzedawnieniu ścigania zbrodniarzy wojennych, ścigania tych wszystkich, którzy popełnili zbrodnie ludobójstwa.

W pojęciu prawa międzynarodowego i zgodnie z wyrokiem Trybunału Norymberskiego zbrodniarzami są nie tylko bezpośredni sprawcy zbrodni, ale także ci, którzy wydawali rozkazy popełniania zbrodni.

Walka trwa. Związek Bojowników o Wolność i Demokrację jako członek Międzynarodowej Organizacji *FIR* kontynuuje walkę na terenie międzynarodowym, mobilizuje opinię światową, aby ta słuszna z moralnego i prawnego punktu widzenia sprawa zwyciężyła, aby zwyciężyło prawo, aby ścigani i sądzeni byli zbrodniarze wojenni i zbrodniarze-ludobójcy.

Zbrodni hitlerowskich ani zapomnieć, ani przebaczyć nie wolno. Wielkie uznanie należy się inicjatorom z Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, a w szczególności prof. drowi J. *Boguszowi* i drowi S. *Kłodzińskiemu* za podjęcie inicjatywy naukowego opracowania zagadnień lekarskich związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji i hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Tematyka podjęta przez inicjatorów ma ogromne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób powstałych w związku przyczynowym z pobytem w obozach koncentracyjnych. W apelu tegoż Towarzystwa czytamy, że w ten sposób świat lekarski pragnie złożyć hołd pracownikom służby zdrowia wszystkich narodowości, pomordowanym w hitlerowskich obozach. Kierowani pobudkami humanistycznymi, pragną wiedzę lekarską wzbogacić o materiał będący rezultatem badań dotyczących zagadnień psychologicznych, socjologicznych, etycznych, historycznych itp.

W maju 1968 roku z inicjatywy ZBoWiD odbył się II ogólnopolski zjazd lekarzy. Wygłoszone referaty obejmowały wiele przypadków chorobowych jako następstwo fizycznej i psychicznej traumatyzacji organicznej. Ci bowiem, którzy ocaleli z obozów koncentracyjnych — to przecież ludzie obciążeni kalectwem psychicznym i fizycznym. Bogata jest bibliografia międzynarodowa poświęcona patologii wojennej i obozowej. Bogate są również prace polskich lekarzy. Liczba internowanych w obozach z 30 krajów całego świata jest wielka. Największa przypada na Polskę.

Pragnę złożyć hołd i najwyższe uznanie p. prof. drowi J. *Boguszowi* i członkom ścisłego zespołu redakcyjnego zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", doc. drowi A. *Kępińskiemu,* drowi S. *Kłodzińskiemu* i mgrowi J. *Masłowskiemu,* a także redaktorowi naczelnemu, prof. drowi B. *Gędoszowi,* za ich wielką, bezinteresowną pracę, za to społeczne zaangażowanie, za oddanie serc i wiedzy sprawie, która ma wzmocnić akt oskarżenia przeciwko ludobójcom.

Słusznie ktoś napisał, że uraz bojowy uszkodził jeden narząd lub układ, natomiast głód w obozach koncentracyjnych uszkadzał wszystkie tkanki ustroju człowieka. Deficyt pokarmowy, zwłaszcza białkowy i tłuszczowy, niedobór witamin i soli mineralnych, ujemny bilans azotu i zużycie białek endogennych dla potrzeb energetycznych prowadziły do procesu tzw. „samospalenia" wszystkich tkanek ustroju. W warunkach napięcia nerwowego i fizycznego głodu gasł płomień życia, umierały miliony więzionych w obozach koncentracyjnych. Ci, którzy wyszli z piekła obozowego, są tylko pozornie zdrowi. Każdemu byłemu więźniowi wieloletni pobyt w obozie zaatakował cały układ nerwowy, zburzył konstrukcję ustroju ludzkiej osobowości, a wielu obozowiczów wróciło z nieodwracalnymi zmianami psychofi-

zycznymi lub stało się inwalidami do końca fizycznego życia.

Poległym oddajemy hołd, o żywych musimy pamiętać. Żywym musimy okazać serce i pomoc lekarską, żywych musimy otoczyć ojcowską opieką, musimy przejąć rolę przewodników, by dalsze ich życie w odczuciu serc było rekompensatą za lata wojny i okupacji, za lata męczarni psychicznych i fizycznych.

Polskim lekarzom, którzy tej sprawie służą, składam najwyższy hołd i składam w imieniu władz naczelnych ZBoWiD najgorętsze podziękowanie. Dziękując Wam, drodzy Koledzy, dzielę się również nadzieją, że pracę podjętą kontynuować będziecie nadal, a w tej pracy na pomoc całego aktywu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację zawsze możecie liczyć.

Fragment byłego obozu Oświęcim-Brzezinka (fot. A. *Kaczkowski*)

JÓZEF BOGUSZ
przewodniczący Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

Kraków

Słowo wstępne

W dwudziestopięciolecie oswobodzenia obozu Oświęcim-Brzezinka

Niniejszy, dziesiąty zeszyt specjalny miesięcznika naukowego „Przeglądu Lekarskiego", poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji, ukazuje się w jubileuszową, 25 rocznicę oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. A więc już ćwierćwiecze? Minęło już tyle lat? Czy to dawno, czy to może niedawno?

Należy niestety stwierdzić, że ta wielka liczba lat, jaka dzieli nas od dnia oswobodzenia Oświęcimia, nie uchyliła ani w niczym nie zmniejszyła całej aktualności problematyki mroków hitlerowskiej nocy okupacyjnej. W pamięci odżywają w całej jaskrawości nie kończące się dni i noce owych z górą 5 lat, jakie kraj nasz musiał przeżyć pod jarzmem hitlerowskim, a przed oczami byłych więźniów staje na nowo cały okres kaźni obozowej. Wprawdzie dzień oswobodzenia Oświęcimia, 27 stycznia 1945 roku, nie był dniem zakończenia drugiej wojny światowej, minęły bowiem jeszcze przeszło 3 miesiące, w ciągu których zginęło bardzo wiele dalszych ofiar do dnia bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy 8 maja 1945 roku, święcimy jednak i przypominamy oddzielnie datę 27 stycznia 1945 roku jako datę oswobodzenia najstraszliwszego hitlerowskiego obozu zagłady, który pochłonął przeszło 4 miliony ofiar i który symbolizuje niejako wszystkie hitlerowskie obozy zagłady.

Prawda o okrucieństwach dokonanych w obozie oświęcimskim i w innych obozach koncentracyjnych nie od razu ujrzała światło dzienne. Przedostawała się ona stopniowo poza druty obozów. Hitlerowcy długo i umiejętnie ukrywali prawdę. Utworzyli liczne, różnorodne obozy, którym nadawali niejednokrotnie eufemistyczne nazwy w celu wprowadzenia w błąd. Oto niektóre z tych nazw: *Konzentrationslager, Zwangsarbeitslager, Arbeitserziehungslager, Gemeinschaftslager, Polizeigefangenenlager, Schutzhäftlingslager, Zivillager, Durchgangslager, Sonderlager, Gefangenenlager, Kriegsgefangenenlager, Flüchtingslager, Auffangslager, Aussiedlungslager, Zivilinternierungslager, Anhaltslager, Sammellager, Judenlager, Judenarbeitslager, Judenumsiedlungslager, Judenzwangsarbeitslager,* aż wreszcie pojawia się 23 nazwa: *Vernichtungslager.*

Okrucieństwa, jakich dopuszczali się hitlerowcy na bezbronnych więźniach obozów, stanowiły wszelako tylko część ich zbrodniczej działalności w Polsce i w innych okupowanych krajach. Polska — obok Związku Radzieckiego i Jugosławii — była tym krajem, który najbardziej ucierpiał. Straciliśmy przeszło 6 milionów istnień ludzkich. Głodowy przydział żywności, łapanki i wywożenie na przymusowe roboty, rozstrzeliwanie „zakładników", akcja „eutanazji" — to tylko część dalszych przykładów. Wszystko miało służyć osiągnięciu zwycięstwa „tysiącletniej" III Rzeszy. Z ogólnej liczby 6 028 000 Polaków zmarłych w czasie wojny tylko 644 000 osób zginęło w walkach (około 10%), natomiast aż 5 384 000 osób zginęło w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego od 10 lat czci corocznie uroczystymi posiedzeniami dzień oswobodzenia obozu Oświęcim-Brzezinka, przy czym w organizacji tych posiedzeń łączą się z Towarzystwem Lekarskim liczne towarzystwa i instytucje, jak Sekretariat Generalny Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, Zarząd Okręgu ZBoWiD, Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, Krakowski Klub Oświęcimski, liczne naukowe towarzystwa specjalistyczne, Koło Zrzeszenia Prawników Polskich, Towarzystwo Farmaceutyczne, Stomatologiczne, Pielęgniarskie, Okręgowa Sekcja Lekarska ZZPSZ. Na tych posiedzeniach porusza się problematykę lekarską okresu hitlerowskiej okupacji w postaci referatów, jak też w postaci artystycznej. Posiedzenia odbywają się w sali wykładowej Zakładu Chemii Fizjologicznej AM. Szczególne rocznice, a więc 20 rocznicę, a obecnie 25 rocznicę uczciliśmy uroczystymi akademiami w sali Państwowej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego.

Dziesięć lat „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim"

Od 10 lat również ukazują się regularnie raz w roku, w rocznicę oswobodzenia Oświęcimia, specjalne zeszyty miesięcznika naukowego „Przeglądu Lekarskiego", nazwane „Oświęcim", poświęcone zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji. Niniejszy, dziesiąty z kolei zeszyt, zbiegający się z 25-leciem oswobodzenia Oświęcimia, stwarza asumpt do spojrzenia wstecz i do krótkiego chociaż przedstawienia rozwoju tego wydawnictwa.

Piętnasta rocznica oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, którą obchodziliśmy 27 stycznia 1960 roku, stała się punktem wyjścia dla powstania tych zeszytów. Na urządzonym z tej okazji uroczystym posiedzeniu Krakowskiego Towarzystwa Lekarskie-

go przedstawiono po raz pierwszy niektóre materiały dotyczące lekarskiej tematyki Oświęcimia. W rok później, w styczniu 1961 roku, pojawił się pierwszy zeszyt jako zeszyt dodatkowy „Przeglądu Lekarskiego" (1961, nr 1a), zawierający te materiały. Czerwony nadruk „Oświęcim", przecięty drutem kolczastym, jest symbolem. Tylko pierwszy zeszyt z roku 1961 był poświęcony tematyce wyłącznie oświęcimskiej. Następne zeszyty obejmowały coraz to szersze zagadnienia lekarskie minionej wojny.

Pierwsze trzy zeszyty ukazywały się jako styczniowe zeszyty dodatkowe „Przeglądu Lekarskiego" (1961, nr 1a; 1962, nr 1a; 1963, nr 1a). Począwszy od zeszytu czwartego zeszyty zostały włączone w zwykły cykl 12 zeszytów wydawanych rocznie i odtąd ukazywały się one jako zeszyty 1964, nr 1, 1965, nr 1 itd. Ułatwiło to bardzo pracę zespołu redakcyjnego. Zawsze życzliwy stosunek wydawcy, tj. Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich w Warszawie, redaktora naczelnego, prof. dra B. *Gędosza* oraz życzliwe stanowisko czynników nadrzędnych sprawiły, że włączenie zeszytów nazwanych „oświęcimskimi" w cykl 12 zeszytów wydawanych w roku uwolniło zespół redakcyjny od trosk i kłopotów związanych ze staraniami o przydział papieru, o druk itd. Zeszyty posiadają specjalny, czteroosobowy zespół redakcyjny, który zbiera i przygotowuje materiały do druku. Tzw. zeszyty „oświęcimskie" „Przeglądu Lekarskiego" różnią się od pozostałych zeszytów z innych miesięcy znacznie większą objętością i piękniejszą szatą graficzną.

Jako jedyne tego rodzaju wydawnictwo „Przegląd Lekarski — Oświęcim" nie miał żadnych wzorów. Jego struktura kształtowała się stopniowo z biegiem lat. W miarę wzbogacania doświadczenia zespołu redakcyjnego zmieniał się kształt i zakres zeszytów.

Pierwsze poczynania nie były łatwe. Pozyskanie autorów, zachęcenie ich do opracowania tych zagadnień, od których się odeszło i do których powracanie jest nieraz bolesne i męczące, pominięcie niektórych cierpkich uwag, jakoby niepotrzebnie publikowało się „tak wiele" prac o tej problematyce — wszystko to nie było ani całkiem proste, ani łatwe. Udało się jednak spowodować, że artykuły, wpływające początkowo nieśmiało, zaczęły liczniej zapełniać tekę redakcyjną. Zeszyty powiększały się. Pierwszy zeszyt z roku 1961 liczył 64 strony, a już pięć ostatnich zeszytów liczy aż po 228—300 stron.

Rozpoczęto i przeprowadzono systematyczne badania grupowe byłych więźniów obozów koncentracyjnych i członków ruchu oporu, badano zagadnienia służby zdrowia w okupowanym kraju, zbierano materiały historyczno-dokumentarne dotyczące służby zdrowia obozów koncentracyjnych, partyzantki, gett, powstania warszawskiego, różnych więzień, szpitali polowych, szpitali jenieckich itd.

Ogółem w naszych 10 zeszytach znalazły się prace 189 autorów, w tym 16 osób z zagranicy i 31 profesorów wyższych uczelni. Dziesięć dotychczasowych zeszytów zawiera około 330 prac i liczy 1888 stron dużego formatu (4°), czyli około 3700 stron zwykłego formatu (8°). Są to już właściwie niejako nie zeszyty, ale roczniki.

Sekretariat Generalny Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego (*Comitée International d'Auschwitz*) podjął się ważnego i niełatwego zadania edycji książkowej w trzech obcych językach (niemiecki, angielski, francuski) wyboru artykułów ogłoszonych w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Ukazał się dotąd tom I, składający się z 2 części, w języku niemieckim. Ta antologia będzie się składać z trzech tomów. Sekretariatowi Generalnemu MKO jesteśmy za podjęcie tego trudnego zadania bardzo wdzięczni.

Na podkreślenie zasługują prace 16 autorów z zagranicy, w tym z Austrii, Czechosłowacji, Francji, Holandii, Izraela, Jugosławii, Niemieckiej Republiki Federalnej, Rumunii, Szwecji, Wielkiej Brytanii. Jest to wymownym wyrazem braterskich więzi łączących ludzi różnych krajów i różnych narodowości.

Referaty opracowywali nie tylko lekarze — byli więźniowie obozów, czy pielęgniarki — byłe więźniarki. Do tej pracy włączyli się także liczni inni lekarze, którzy nigdy w obozie nie byli. Powitaliśmy to z wielką radością. Jedni i drudzy spełniają w ten sposób dług wdzięczności wobec tych milionów ofiar, które życie swe złożyły. Autorzy pozostają wierni dewizie uwidocznionej w programach dorocznych uroczystych posiedzeń Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego, odbywających się w rocznicę oswobodzenia Oświęcimia: „Niechaj ci, którym los pozwolił przeżyć obóz koncentracyjny lub go w ogóle uniknąć, przekazują młodym wiadomości o czasie nieludzkim. Nie czas jeszcze zapomnieć".

Począwszy od zeszytu piątego (1965, nr 1) w związku z powiększeniem się objętości zeszytów artykuły grupujemy w kilku działach. Są to: dział naukowy, dział historyczno-dokumentarny, dział wspomnień, szkice biograficzne zasłużonych pracowników służby zdrowia, sprawozdania, oceny. Wypada wyraźnie podkreślić, iż to uszeregowanie bynajmniej nie oznacza wartościowania prac. Nieraz trzeba by wyżej postawić jakiś referat zamieszczony np. w dziale wspomnień niż inny, zamieszczony ze względów formalnych w dziale naukowym. Uszeregowanie prac uwzględnia metodę, jaką posługiwał się autor oraz ma ułatwić czytelnikom zorientowanie się w dość rozległym materiale, dotyczącym różnych dziedzin i tematów, nie ma jednak w żadnym razie charakteru wartościowania prac.

Celem tych publikacji jest: 1) zebranie danych naukowo-lekarskich, dotyczących następstw okresu wojny, co ma jednocześnie aktualne znaczenie praktyczne dla leczenia tych następstw, 2) zebranie i utrwalenie ścisłych danych historycznych, 3) wydobycie aspektu etyczno-moralnego i wartości huma-

nistycznych z nieludzkiego okresu odczłowieczenia człowieka.

W dziale naukowym są zamieszczone prace omawiające wyniki badań byłych więźniów obozów koncentracyjnych oraz członków ruchu oporu, zarówno pod względem somatycznym, jak i psychiatryczno-psychologicznym. Praca fizyczna ponad siły, głód, obrażenia ciała w następstwie urazów fizycznych, zadawanych najczęściej przez załogę esesowską, warunki pobytu sprzeczne z najelementarniejszymi wymaganiami higieny, ciężkie epidemie obozowe (głównie duru wysypkowego, nadto świerzbu), biegunka, przy tym ustawiczny terror, okrucieństwo i urazy psychiczne o największej rozpiętości — stworzyły tu bogate podłoże i rozliczne czynniki przyczynowe dla powstania patologii katowanych, „patologii poobozowej".

Wśród badań lekarskich szczególne znaczenie mają badania psychiatryczno-psychologiczne, które pozwalają głębiej niż inne wniknąć w dynamikę psychiki i w osobowość byłych więźniów. Szeroko zakrojone, systematycznie przeprowadzone przez psychiatrów krakowskich badania byłych więźniów Oświęcimia wykazały, że wysoki jest odsetek zaburzeń psychicznych u byłych „oświęcimiaków". Występują zmiany osobowości w następstwie pobytu w obozie w postaci obniżonego nastroju, zwiększonej drażliwości i nieufności, adaptacja do życia poobozowego napotyka u tych osób na trudności, a przeżycia obozowe stanowią dla nich wciąż zasadniczy punkt odniesienia (*Kępiński, Leśniak, Mitarski, Orwid, Szymusik, Teutsch*). Badania te mają tym większą wartość, że nie były wykonywane celem ujawniania roszczeń odszkodowawczych, co zapewnia ich pełny obiektywizm. Również pionierskie badania tzw. „dzieci oświęcimskich", tj. urodzonych w Oświęcimiu lub więzionych w dzieciństwie w obozie, trudne i subtelne ze zrozumiałych przyczyn, wykazały u wielu z nich następstwa w różnych postaciach (*Półtawska, Gątarski, Jakubik, Sarnecki*). Poważne osiągnięcia w zakresie psychiatrycznych badań byłych więźniów ma także grupa psychiatrów poznańskich (*Dąbrowski, Dąbrowska, Schramm*). W niniejszym zeszycie jest podana próba syntezy spostrzeżeń na temat pojęcia „KZ-syndromu", opracowana przez doc. *Kępińskiego*.

W licznych ośrodkach zbadano duże grupy byłych więźniów obozów koncentracyjnych (Warszawa, Wrocław, Kielce, Szczecin, Kraków, Katowice i inne), przy czym były to zarówno somatyczne badania ogólne, jak też specjalistyczne (np. ftyzjatryczne, dermatologiczne, reumatologiczne, stomatologiczne). Wyniki tych badań przedstawiono w licznych artykułach. Ważne syntetyzujące opracowanie następstw „patologii wojennej" dał doc. *Panasewicz*.

W licznych pracach zamieszczonych w dziale naukowym są omawiane warunki, w których przebywali więźniowie w obozach oraz ludność tzw. Generalnej Guberni. Tu należy wymienić dwa znakomite źródłowe orzeczenia dla Najwyższego Trybunału Narodowego, opracowane przez prof. dra J. S. *Olbrychta*. Epidemie obozowe duru wysypkowego i świerzbu (*Kłodziński*), wpływ głodu (*Kowalczykowa, Makowski, Münch*), akcja „eutanazji" (*Sehn, Chróścielewski, Celiński, Dąbrowski, Kiełkowski, Łyskanowski*) znalazły wielu autorów badających te zagadnienia bardzo wnikliwie.

Tzw. eksperymenty dokonywane przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych stały się przedmiotem wielu cennych opracowań (*Sehn, Milčinski, Kłodziński, Fejkiel, Półtawska, Waitz* i *Ciepielowski* i inni). Wykazują one, na jakie zbrodnicze bezdroża stoczyła się medycyna hitlerowska. Wśród przedstawicieli tej medycyny nie brakło wielu lekarzy noszących tytuły profesorów uniwersytetów III Rzeszy. Hitlerowscy lekarze pogwałcili i zdeptali podstawowe zasady etyki i deontologii lekarskiej [1].

O innej „działalności naukowej" lekarzy hitlerowskich, jak np. o zbiorze szkieletów żydowskich prof. *Hirta* dla uniwersytetu III Rzeszy, o „sterylizacji" i kastracji promieniami Roentgena, dokonywanej przez dra *Schumanna*, o „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich przez zużytkowanie złota z uzębienia wymordowanych więźniów pisze w swych pracach *Kłodziński*.

Próby zbliżenia się do rozwiązania zagadnienia nurtującego umysły wielu ludzi, a mianowicie, jak stało się możliwe, że naród niemiecki, który wydał takich ludzi, jak *Goethe, Schiller, Bach, Beethoven* i wielu innych, wymyślił system nie cofający się przed żadnym okrucieństwem, którego celem było wyniszczenie wielu milionów istnień ludzkich, przy czym w system ten dali się wciągnąć i byli na jego gorliwych usługach także bardzo liczni lekarze, a wśród nich przedstawiciele nauki, zatem próby zbliżenia się do zagadnień psychologii ludobójstwa, psychopatologii władzy itd., zostały podjęte w kilku pracach (*Bilikiewicz, Kępiński, Orwid, Gutt*).

Oddzielnie należy wspomnieć o obszernym studium prof. *Sallera* z Monachium, stanowiącym jakoby naukowe rozliczenie czołowego antropologa z NRF z hańbiącą narodowosocjalistyczną teorią rasizmu oraz przedstawiającym stan panujący w uniwersytetach zachodnioniemieckich, gdzie katedry antropologii zajęte są dziś przez te same osoby, które dawniej głosiły zasady rasizmu.

Sprawy etyki i moralności więźniów oraz zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych stały się przedmiotem prac *Glińskiej, Kłodzińskiego, Gawalewicza, Sterkowicza*. Wszyscy badacze owego okresu zgodzili się z tym, że nie można przykładać zwykłej miary obowiązującej

[1] Wyrok wraz z uzasadnieniem Amerykańskiego Trybunału Wojskowego Nr 1 w norymberskim procesie lekarzy hitlerowskich z 19/20 sierpnia 1947 roku (przygotowano do druku staraniem Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego; ukaże się niebawem).

w codziennym życiu, w normalnych warunkach, do nieludzkich, a właściwie „przeciwludzkich" (*Wolter*) warunków obozu koncentracyjnego. Mimo pewnego przewartościowania pojęć obowiązywały więźniów określone zasady. Te trudne, dyskusyjne, nieraz drażliwe zagadnienia przewijają się także w bardzo licznych innych pracach. Wiele ważnego materiału z tej dziedziny dostarczyła dyskusja pt. „Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych", zamieszczona przed dwoma laty w dziale „Sprawozdania".

Dział historyczno-dokumentarny zawiera prace mające przyczynić się do zebrania i utrwalenia prawdy historycznej. Jest zrozumiałe, że dokumentarne uściślenie wielu faktów ma wielkie znaczenie. Tu rola lekarzy i pielęgniarek jest szczególnie ważna. Obserwacje tych osób, które były same obiektami albo świadkami okrucieństw hitlerowskich, mają szczególną moc dowodową. W tym dziale znajdziemy wiele danych o działalności służby zdrowia w obozie oświęcimskim. Szpital obozowy, początkowo służący tylko wyniszczaniu więźniów, stał się w późniejszym okresie placówką, która mogła pomagać i leczyć; tu także ogniskował się ruch oporu wśród więźniów. Z licznych prac można odtworzyć dzieje „rewiru" oświęcimskiego, zwanego w skrócie *HKB* lub *KB* (*Häftlingskrankenbau*); (*Paczuła, Kłodziński, Fejkiel, Głogowski, Szuszkiewicz, Zielina, Kiwała*). Także szpital kobiecy obozu Oświęcim-Brzezinka ma dość liczne źródłowe opracowania (*Nowakowska, Kiwała, Wolny, Lingens, Leszczyńska*). Inne „rewiry" obozu oświęcimskiego, jak „szpital" w obozie Cyganów w Bunie-Monowicach (Oświęcim III), znalazły również swoich autorów (*Szymański, Szymańska, Śnieżko, Niedojadło, Makowski*). Wydarzenia w licznych innych obozach, jak Mauthausen-Gusen, Bergen-Belsen, Majdanek, Stutthof, Sandbostel, Gross-Rosen, Ravensbrück, Falkenberg, Ebensee, Sachsenhausen, Dachau, Buchenwald, Neuengamme, zawierające tematykę lekarską, zostały opisane w licznych artykułach.

Wiele prac przeznaczono sprawie wyniszczania polskich profesorów. Słynna *Sonderaktion Krakau 1939*, tj. sprawa aresztowania i osadzenia w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej została opisana przez licznych uczestników (*Brzezicki, Miodoński, Skowron, Urbańczyk, Pigoń, Bernard, Frančić*) [2]. Na podstawie relacji rodzin profesorów są podane niezwykle interesujące fakty, jakimi drogami szły starania o uwolnienie profesorów. Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni Lwowa przez hitlerowców w lipcu 1941 roku zostało źródłowo opracowane (*Albert*). Ważne pod względem historycznym wiadomości dotyczące profesorów w Wilnie (*Mahrburg*) uzupełniają te relacje, obrazujące zamysły hitlerowskie, mające na celu wyniszczenie szczytów inteligencji polskiej.

Wielkie znaczenie mają dwie prace dotyczące Zakładu Medycyny Sądowej UJ w czasie okupacji hitlerowskiej, J. S. *Olbrychta* i stanowiąca poniekąd uzupełnienie praca B. *Popielskiego*. Wybitny nasz uczony, *Olbrycht*, który zawsze opierał się na dowodach rzeczowych, a nie na subiektywnych spostrzeżeniach, dopiero na kilka miesięcy przed swą śmiercią w 81 roku życia dał się po wielu rozmowach nakłonić do napisania artykułu opartego o swe osobiste przeżycia i refleksje. Ta ostatnia praca, jaką napisał, ma wielki ciężar gatunkowy.

Mimo nie spotykanego w dziejach terroru okupanta i mimo ustawicznych niebezpieczeństw rozwijało się w podziemiu tajne nauczanie. Chodziło tu głównie o tajne nauczanie medycyny; coraz więcej pojawia się w naszych zeszytach prac dotyczących tej tematyki.

Służba zdrowia okupowanej Warszawy, okresu powstania warszawskiego, działalność improwizowanych szpitalików, które jak grzyby po deszczu powstawały pod Warszawą w czasie trwania powstania, znajdują w zeszytach coraz bogatsze odbicie (*Misiewicz, Włoczewski, Rawska, Białokoz, Wacek*).

W kilku artykułach przedstawiono działalność sanitarną Batalionów Chłopskich, Zielonego Krzyża (Ludowego Związku Kobiet) i to zarówno w odniesieniu do pomocy świadczonej więźniom Oświęcimia, jak i zaopatrywania w sprzęt sanitarny i właściwej pracy sanitarnej (*Jekiełek, Matus, Grajkowska-Bryjowa*).

Szczególną grupę stanowią prace o pomocy świadczonej ludności żydowskiej przez ludność polską. O aptece w getcie krakowskim, prowadzonej przez Polaka, która — czynna do ostatecznej likwidacji getta — świadczyła bardzo wiele dobrego znękanej, torturowanej i mordowanej ludności żydowskiej (*Pankiewicz*), o wielostronnej pomocy Żydom w oparciu o źródłowe wiadomości (*Seweryn*), artykuł o żydowskiej służbie zdrowia (nadesłany z Izraela), w którym jakże pięknie autor pisze o pomocy Polaków (*Biberstein*) — to tylko część prac z tej dziedziny.

Niektóre źródłowe opracowania historyczne, jak o grupie doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu (*Tycner, Chróścielewski, Witaszek-Napierała*), o rządach *Hansa Franka* w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej (*Kiełkowski*), o hitlerowskim obozie dla dzieci w Łodzi (*Witkowski*) i inne będą mieć bezcenną wartość dla badaczy dziejów hitlerowskiej okupacji w Polsce.

Dział wspomnień jest dość bogato reprezentowany w zeszytach. Sądzimy, że wspomnienia są ważną warstwą historiograficzną. One nakłaniają naukowców do zajęcia się wskazaną, a nie zbadaną dotychczas tematyką. Z drugiej strony teksty te, będące potwierdzeniem faktów, mogą weryfikować lub popierać uogólnienia naukowców.

[2] Podobnie jak w zakresie różnych innych zagadnień, tak i w tej sprawie ukazują się co pewien czas pozycje poza „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim", np. ostatnio książka J. *Gwiazdomorskiego*: Wspomnienia z Sachsenhausen. Dzieje uwięzienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego 6.XI.1939 — — 9.II.1940. Wyd. 3, Wydawn. Literackie, Kraków 1969.

Tu odkryty został oryginalny talent literacki Adolfa *Gawalewicza,* którego kilka artykułów drukowanych w naszych zeszytach ukazało się jako całość w postaci książkowej pt. „Refleksje z poczekalni do gazu" (Wydawn. Literackie, Kraków 1968)[3].

We wspomnieniach przewijają się znowu różne obozy, jak Oświęcim, Majdanek, Ravensbrück, Mauthausen-Gusen, Dachau, Sachsenhausen, Gross-Rosen, Ebensee, Monowice, Buchenwald, występują wspomnienia lekarskie z różnych terenów kraju (Olkusz, Janów Lubelski; partyzantka, konspiracja ludowa), wspomnienia lekarskie z robót w Rzeszy itd.

Na szczególne podkreślenie zasługują posiadające nie przemijającą wartość wspomnienia dr Zofii *Mączki-Patkaniowskiej* pt. „Zeznania z bunkra". Jest to opowieść o 54 dniach przeżytych w bunkrze obozu w Ravensbrück, z czego 8 dni bez jedzenia. Jakby *pendant* do tego artykułu jest relacja Marii *Maniakówny* pt. „W oświęcimskim bloku nr 11", w którym autorka przebywała 7 miesięcy, przeważnie w bunkrze.

Na oddzielną wzmiankę zasługuje też artykuł Bolesława *Woytowicza* „W okupowanej Warszawie". Artysta-muzyk pisze tu o swoich kontaktach z lekarzami na Pawiaku i o swej kawiarni w Warszawie przy Nowym Świecie 27. Sądzimy, że utrwalenie dziejów tego „maleńkiego szańca kultury narodu polskiego" jest wielką zasługą autora, który uczynił to zresztą po wielu wahaniach. Praca *Woytowicza* jest przykładem tych pozycji w zeszytach, które formalnie wychodzą poza tematykę lekarską, ale również zapewne będą ważne dla przyszłych badaczy ze względu na istotne elementy dotyczące medycyny i nowe spostrzeżenia na temat socjo-psycho-patologii życia okupacyjnego.

Niewątpliwie w wypadku wspomnień najwyraźniej ukształtowały się swoiste zasady pracy redakcyjnej. Polegały one w odniesieniu do licznych artykułów na przerabianiu tekstów od pierwszych rękopisów do ostatecznie ukształtowanej postaci przy aktywnym współudziale autorów. Często objętość korespondencji wymienionej z autorem przekraczała rozmiary poszczególnych prac. Wysiłki te zmierzały przede wszystkim do uzyskania właściwej oceny merytorycznej, ujednolicenia treści i formy, wniesienia odpowiednich uzupełnień, decyzji o skreśleniach i skrótach. Dzięki temu czytelnicy „odbierają" te prace zgodnie z intencją autorów, a nawet urywki i skrócone fragmenty objętościowo dużych rękopisów sprawiają wrażenie samoistnych całości. Spotkaliśmy się ze strony autorów, którzy przecież musieli angażować się emocjonalnie podczas przeżywania wydarzeń okupacyjnych na nowo, z wielką cierpliwością i z chętną, życzliwą współpracą.

Dział S y l w e t k i z a s ł u ż o n y c h p r a c o w n i k ó w s ł u ż b y z d r o w i a zawiera około 40 szkiców biograficznych. Piękne postacie lekarek, lekarzy, pielęgniarek i innych pracowników służby zdrowia polskich i niepolskich zostały utrwalone w oddzielnych szkicach biograficznych, jak też w licznych innych artykułach. Biografie opracowywali nie tylko lekarze. Znajdujemy tu jako autorów także znanych pisarzy i badaczy, Tadeusza *Hołuja,* Wandę *Kiedrzyńską,* Sewerynę *Szmaglewską.* Pięknie pisała ogólnie o lekarzach w Oświęcimiu Stanisława *Leszczyńska* w swym „Raporcie położnej z Oświęcimia". Przewijają się przed oczami czytelników obok wielu pięknych postaci polskich także postać nieustraszonej lekarki francuskiej A. *Hautval (Lingens)* oraz austriackiej pielęgniarki M. *Stromberger (Kłodziński),* która — choć w mundurze i służbie *SS* — po poznaniu prawdy związała się z więźniami Oświęcimia i polskim ruchem oporu.

W dziale O c e n y znajdujemy coroczne omówienie przez J. *Masłowskiego* „okupacyjnej tematyki lekarskiej w polskich publikacjach", począwszy od roku 1964 do ostatniego roku. W zeszycie piątym jest zamieszczony wybór bibliografii polskiej, zebranej przez tego autora, a dotyczącej zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej za lata 1944—1964. W następnych zeszytach znajdzie czytelnik ogólne spojrzenie na skrzętnie zebrane nowe pozycje, omówione przy zachowaniu podziału tematycznego. Jest to, jak się wydaje, bardzo pożyteczna pozycja, systematycznie prowadzona, która może w przyszłości być pomocna w dokonywaniu różnych opracowań tym bardziej, że z upływem lat coraz trudniej jest odnaleźć wydrukowane kiedyś różne, zwłaszcza drobne, rozproszone pozycje.

Wreszcie kilka uwag o „Słowie wstępnym" do poszczególnych zeszytów. Wprawdzie wiadomo, że artykuł wstępny czyta zazwyczaj tylko niewielu, to w naszych zeszytach jednak „Słowo wstępne" zawiera te materiały, których nie ma w poszczególnych pozycjach, jak 1) dane o genezie artykułów, 2) informacje o autorach, 3) redakcyjne wyjaśnienia różnych okoliczności, które by zbytnio obciążyły daną publikację przypisami. W ten sposób teksty zachowują swą autonomię, nie obciążoną koniecznymi wyjaśnieniami, ale wzbogacone zostaje ich zaplecze informacyjne oraz — co wydaje się bardzo ważne — nie następuje uszczuplenie takich wiadomości o tekstach, które umożliwiają wstępną ocenę i wskazują na źródła poszerzenia tematu. Oprócz tego „Słowo wstępne" zawiera jak gdyby nasze *credo* ideowe.

Powyższe omówienie stanowi tylko próbę syntetycznego ujęcia dotychczasowego dorobku „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Została tu omówiona z konieczności tylko część prac zamieszczonych w dziesięciu zeszytach. Być może, należało uwypuklić jeszcze inne, nie wymienione tu prace. Autorzy zechcą być wyrozumiali. Ich prace na pewno zostały należycie ocenione, a można wyrazić nadzieję, że w przyszłości kto inny powróci jeszcze do nich. Materiały zebrane i utrwalone

[3] Ocena tej nagrodzonej przez „Politykę" książki jest zamieszczona w niniejszym zeszycie.

w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" będą mogły być dopiero w dalszej przyszłości należycie ocenione i wyzyskane.

Na koniec tego retrospektywnego omówienia pragnę podkreślić, że ukazujący się staraniem Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego, Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego i przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego raz w roku styczniowy numer „Przeglądu Lekarskiego" jako tzw. zeszyt „oświęcimski", przeznaczony zagadnieniom lekarskim minionej wojny, jest także skromną próbą złożenia hołdu pamięci rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości, wymordowanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Uważamy to za humanistyczne zadanie właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

Dziesiąty zeszyt

Niniejszy zeszyt, wydany dla uczczenia dwudziestej piątej rocznicy oswobodzenia obozu w Oświęcimiu, zamykający cykl wydanych w ciągu dziesięciu lat dziesięciu zeszytów, zawiera na początku Przedmowę Kazimierza *Rusinka*, byłego więźnia obozu w Mauthausen i sekretarza generalnego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Za napisanie tej Przedmowy jesteśmy Autorowi bardzo wdzięczni.

Stosowany w poprzednich zeszytach podział artykułów został zachowany.

W dziale naukowym zamieszczamy, jako pierwszą, pracę doc. dra Antoniego *Kępińskiego* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie pt. „Tzw. «KZ-syndrom». Próba syntezy". Autor wyzyskał w tym artykule między innymi wyniki zespołowych badań byłych więźniów w wymienionej Klinice. Na drugim ogólnopolskim zjeździe lekarzy ZBoWiD w roku 1968 położono nacisk na konieczność wyczerpującego opisania choroby poobozowej. W tym samym miejscu zeszytu przed rokiem umieściliśmy syntetyczną pracę doc. dra Józefa *Panasewicza* pt. „Niektóre aktualne zagadnienia patologii wojennej". Coraz wyraźniej przechodzimy obecnie od prac przyczynkarskich do syntetycznych. Doc. dr Antoni *Kępiński* w swym obecnym artykule podjął trudne zadanie zsumowania istotnych wiadomości na temat poobozowego zespołu objawów chorobowych, ujmowanego często pod nazwą „KZ-syndrom". Artykuł ten, aczkolwiek psychiatryczny, zainteresuje lekarzy innych specjalności, którzy badają byłych więźniów i niekiedy mają trudności z właściwym rozpoznaniem swoistych i osobliwych objawów, których przyczyną były przejścia obozowe.

W kolejnym artykule wracamy do problematyki badań lekarskich tzw. „dzieci obozowych", tj. urodzonych lub uwięzionych w dzieciństwie w obozach. W szerokim zakresie badania takie, dotyczące „dzieci oświęcimskich", przeprowadziła przed pięcioma laty wspomniana już dr Wanda *Półtawska* ze współpracownikami. Przed dwoma laty zamieściliśmy w zeszycie ósmym relację Józefa *Witkowskiego* o obozie dla dzieci w Łodzi. Autor, więziony tam w dzieciństwie, dał wtedy pierwszą źródłową, dość wyczerpującą informację na temat *Polen-Jugendverwahrlager* w Łodzi. Wkrótce zajęto się żyjącymi byłymi więźniami tej hitlerowskiej katowni dla dzieci. Podjęto szerzej zakrojone badania lekarskie tych obecnie dorosłych ludzi. W ich toku można już było sformułować tymczasowe wstępne, ale istotne wyniki. Przedstawia je dr Czesław *Kempisty* z Przychodni Przemysłowej miasta Wrocławia w artykule pt. „Wyniki badań lekarskich byłych więźniów obozu dla dzieci w Łodzi". Badania te mają zasięg ogólnopolski. Nie trzeba uzasadniać potrzeby i celowości dążeń do uzyskania możliwie wyczerpującego obrazu chorób byłych więźniów-dzieci i powiązań przyczynowych ich stanu z przeżyciami okupacyjnymi tym bardziej, że wyniki badań dzieci różnią się od wyników badań lekarskich dorosłych byłych więźniów.

Praca dra Witolda *Łobzowskiego* z Katowic pt. „Wstępne wyniki badania lekarskiego byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z województwa katowickiego)" jest kontynuacją coraz szerzej podejmowanych w kraju analiz stanu zdrowia kombatantów. Do licznych środowisk w Polsce i kilku województw, z których podobne prace ogłaszaliśmy w zeszytach poprzednich, dochodzi tutaj praca katowicka. Podobne badania lekarskie byłych więźniów są elementami składowymi przyszłej, ogólnie sumującej analizy.

Dalsza praca pt. „Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim-Brzezinka", pióra dra Stanisława *Kłodzińskiego*, który jako więzień obserwował epidemie tych chorób w Oświęcimiu I, po raz pierwszy w piśmiennictwie oświęcimskim w sposób wyczerpujący i ujmujący dynamikę zjawiska przedstawia tę plagę, będącą dla więźniów powszechnym, śmiertelnym zagrożeniem. Rzeczywistość obozowa dowiodła, że świerzb był chorobą śmiertelną w warunkach hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Wymienione cztery prace są oparte na badaniach wykonanych po upływie pewnego, przeważnie kilkunastoletniego okresu od minionej wojny. Kolejny artykuł, mianowicie „Choroby skóry i weneryczne w Krakowie w czasie drugiej wojny światowej" dr Krystyny *Capińskiej* z Wojewódzkiej Przychodni Skórno-Wenerologicznej w Krakowie ma już wartość historyczną, ponieważ autorka zbierała dokumentację od roku 1942, a po wojnie opracowała ostateczny tekst, który stał się rozprawą doktorską. Artykuł ten jest jej skrótem. Piśmiennictwo jest uwzględnione do roku opracowania, tj. do roku 1948. Dr *Capińską* znają nasi czytelnicy z zeszytu poprzedniego, w którym przy współautorstwie dra Tadeusza Zbigniewa *Capińskiego*, dyrektora wspomnianej Przychodni, przedstawiła „Wyniki ambulatoryjnego badania dermatologicznego 150 byłych więźniów Oświęcimia". Pracą dr *Capińskiej* poprzedzamy drugą grupę artykułów w dziale naukowym niniejszego zeszytu, tzn. opracowania historyczne.

W artykule pt. „Pierwsza oświęcimska selekcja do gazu. Transport do «sanatorium Dresden»" dr Stanisław *Kłodziński* przedstawia szczegóły dotyczące tej akcji masowego wyniszczenia chorych i inwalidów w Oświęcimiu, o której dotychczas tylko wzmiankowano. Autor zastosował metodykę historyczną zbierania relacji za pomocą wymiany korespondencji z nielicznymi żyjącymi świadkami tego wydarzenia i poddał uzyskane źródła krytycznej ocenie. W ten sposób powstał wielostronny obraz planowo zamierzonej i konsekwentnie przeprowadzonej pierwszej zakamuflowanej, masowej, perfidnej zbrodni esesowskiej w Oświęcimiu. Wydaje się, że zastosowanie tej metody opracowań, aczkolwiek wymagającej dużo czasu i trudnej w odniesieniu do wydarzeń, dla których brak jest dokumentów pisanych, jest jedynym sposobem zbliżenia się do prawdy historycznej. Istotne znaczenie ma dobór odpowiednich świadków, których ówczesny stan psychiczny i fizyczny pozwalał na trzeźwe zarejestrowanie obserwowanych faktów; percepcje więźniów — „muzułmanów" z tego okresu są mgliste, sprzeczne i bardzo ogólne.

W porównaniu z niektórymi innymi dyscyplinami, np. humanistycznymi, zagadnienie tajnego nauczania medycyny i farmacji nie jest dotychczas dostatecznie opracowane i udostępnione czytelnikom. Temat ten zasługuje na wyczerpującą monografię. Tymczasem warto gromadzić coraz to nowe opracowania, przynajmniej w postaci artykułów. I tak, osobną grupę stanowią artykuły, które dotyczą tajnego nauczania w naszej dyscyplinie. Wprowadzeniem jest praca prof. dra Edmunda *Chróścielewskiego* z Poznania pt. „Niektóre polskie studia medyczne w okresie drugiej wojny światowej". Jest to rzut ogólny, obejmujący także taki ośrodek zagraniczny, jakim był Polski Wydział Lekarski Uniwersytetu w Edynburgu. Na opracowa-

nie oczekuje jeszcze tajne nauczanie medycyny w Krakowie, a także we Lwowie i w Wilnie. Warto podkreślić, że tajne nauczanie medycyny i farmacji jest dotychczas niedostatecznie ocenionym rodzajem szeroko zakrojonego ruchu oporu.

Dr Ryszard *Zabłotniak*, znany już naszym czytelnikom, po przeniesieniu się z Białegostoku do Warszawy ukończył dla naszych zeszytów swą źródłową pracę pt. „Konspiracyjne studia medyczne i farmaceutyczne w Warszawie". Prof. drowi Edmundowi *Chróścielewskiemu* zawdzięczamy przejrzenie tej pracy i kilka istotnych, uzupełniających uwag. Dr *Zabłotniak* położył nacisk na systematyczne ukazanie rozwoju tajnego nauczania w Warszawie w zakresie omawianych specjalności i na zgromadzenie sporej liczby nazwisk osób związanych z tym rodzajem działalności konspiracyjnej. Autor pracuje obecnie w Zakładzie Historii Medycyny AM w Warszawie.

Ostatnią pozycją działu naukowego jest artykuł pt. „«Błękitny Krzyż» podczas okupacji hitlerowskiej". W poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" uwzględnialiśmy problematykę okupacyjną Czerwonego Krzyża i tzw. Zielonego Krzyża. Tym razem publikujemy pracę oryginalną, która jest pierwszą próbą możliwie wyczerpującego ujęcia okupacyjnych zagadnień tzw. Błękitnego Krzyża. Autor, lek. Zdzisław *Ryn* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie, ratownik i lekarz Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, alpinista, interesujący się zagadnieniami lekarskimi turystyki wysokogórskiej, instruktor narciarski i przewodnik górski, w opublikowanej tutaj pracy sięgnął do licznych źródeł, aby odtworzyć mało znaną, dramatyczną kartę działalności konspiracyjnej i samarytańskiej dziesiątków osób wymienionych w artykule. Są to sprawy z pogranicza medycyny i sportu. Lista nazwisk, dołączona do artykułu, świadczy o tym, w jak wysokim stopniu okupacja hitlerowska zdziesiątkowała szeregi tych wartościowych ludzi. W ten sposób po raz pierwszy w naszych zeszytach uwzględniamy problematykę sportową okresu okupacji hitlerowskiej w osobnym opracowaniu, które jest również cennym przyczynkiem do zagadnień lekarskich i pokrewnych minionej wojny. W swej pracy lek. *Ryn* zastosował metodę właściwą pracom historycznym, podobnie jak dr *Kłodziński* w swym artykule o transporcie do „sanatorium Dresden".

Artykuł dra Kazimierza *Frąckowskiego* ze Słupska pt. „Pomorze w cieniu swastyki" i „Fort VII w Toruniu", odnoszące się do dziejów hitlerowskiej okupacji Pomorza, otwierają dział historyczno-dokumentarny. W 24 roku życia autor walczył jako podchorąży w załodze wrześniowej obrony Warszawy i był ranny w obronie Woli. Wracając na Pomorze został aresztowany przez gestapo i osadzony w Forcie VII w Toruniu, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego w Stutthofie i po roku do obozu w Sachsenhausen-Oranienburgu. Studia lekarskie ukończył po powrocie z obozu. Jest obecnie dyrektorem Wojewódzkiej Poradni Ochrony Macierzyństwa w Koszalinie. Pod kierunkiem prof. dra Tadeusza *Bilikiewicza* w Gdańskiej Akademii Medycznej dr Kazimierz *Frąckowski* uzyskał w roku 1965 stopień doktora medycyny na podstawie rozprawy pt. „Medycyna hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburgu".

„Pomorze w cieniu swastyki" ukazuje między innymi działalność tzw. *Selbstschutzu*, którego ofiarą padali wśród innych Polaków także lekarze. Aneks do tego artykułu, przedstawiający wyrzucenie z mieszkania dra *Czyżaka* przez Niemca dra *Neumayera*, zbliża czytelnika do atmosfery pierwszych miesięcy okupacji na Pomorzu i do przeżyć tamtejszych lekarzy. Praca pt. „Fort VII w Toruniu" jako relacja bezpośredniego świadka ukazuje martyrologię Polaków w tej mniej znanej katowni. Publikacja ta jest uzupełniona listą niektórych Pomorzan, eksterminowanych z woli hitlerowskiej „komisji", która „przywłaszczyła sobie prerogatywy decydowania o życiu i śmierci aresztowanych Polaków". Warto zwrócić uwagę na antysanitarne i nieludzkie warunki panujące w Forcie VII.

Pisane pod medycznym kątem widzenia wspomnienia z obozów jenieckich, w zeszytach naszych mniej liczne, umożliwiają porównanie tamtejszych „rewirów" ze szpitalami w obozach koncentracyjnych. Uważny czytelnik dostrzeże niejedno podobieństwo i niejedną różnicę w sytuacji lekarzy i ich chorych, uwięzionych w tych obu typach obozów. Wszyscy jednak podlegali podobnemu terrorowi hitlerowskiemu, lekceważeniu zdrowia i celowemu niszczeniu go u uwięzionych chorych. Wszyscy starali się przeciwstawić tej sytuacji w miarę dostępnych możliwości.

Bardzo cennym przyczynkiem do historii kilku obozów jenieckich jest fragment wspomnień dra Ludwika *Kasprzyka*, dyrektora Przychodni Specjalistycznej dla Nauczycieli Kuratorium Okręgu Szkolnego m. st. Warszawy. Autor jako absolwent Wydziału Lekarskiego UJ został niedługo przed wybuchem wojny powołany do wojska. W niewoli przebywał w siedmiu obozach jenieckich, dzięki czemu dysponuje szeroką skalą porównawczą poszczególnych „rewirów". W artykule pt. „Na Helu i w obozach jenieckich" wspomina kampanię wrześniową i opisuje sytuację w obozach Itzehoe, Sandbostel i Heidkaten. Jerzy *Nowicki* nakreślił w ósmym zeszycie obraz Sandbostel z punktu widzenia „muzułmana"; dr *Kasprzyk* obóz ten — z jego wcześniejszego okresu — opisał jako więzień-lekarz. Warto zwrócić uwagę między innymi na szczególnie ciężkie warunki jeńców radzieckich, chorujących i umierających z głodu w obozie Heidkaten. Wspomnienia dra *Kasprzyka* wnoszą wiele nowych treści, odnoszą się do wielu miejsc martyrologii i powinny zostać wydane w całości w postaci książkowej. Tekst ten zawiera liczne interesujące epizody z różnych środowisk jenieckich i daje źródłowe informacje między innymi o wielu uwięzionych lekarzach.

Następna relacja dotyczy centralnego szpitala dla jeńców wojennych w Tangerhütte pod Magdeburgiem, gdzie leczono chorych na gruźlicę jeńców wojennych wszystkich narodowości oprócz żołnierzy USA i ZSRR. „Szpital jeńców wojennych w Tangerhütte" Bogusława *Cereniewicza* z Zakopanego, oficera kampanii wrześniowej, obecnie kierownika domu wypoczynkowego w Zakopanem, odmalowuje sprawę postępowania hitlerowców wobec jeńców. Szpital ten urągał wszelkim zasadom nie tylko leczenia, lecz nawet zwyczajnego wegetowania. Treść bytowania chorych wypełniały sprawy śmierci i choroby. Autor po półtorarocznym pobycie w *oflagu* Arnswalde i Woldenberg dostał się na 4 lata do „lazaretu" w Tangerhütte. Na miesiąc przed końcem wojny, gdy od zachodu słychać już było artylerię amerykańską, chorzy jeńcy, wyłącznie Polacy, zostali ewakuowani do obozu zagłady *Stalag VIII A* w Görlitz-Moys, gdzie mieli ulec wyniszczeniu w akcji tzw. eutanazji. *Cereniewicz* prowadził tam przez cały czas dokładne, bieżące notatki. Powstała z tego obszerna praca, przygotowana do wydania książkowego. Opublikowany artykuł jest skróconym fragmentem tych wspomnień, eksponującym problematykę medyczną.

Następne artykuły dotyczą problematyki warszawskiej. Autor pierwszego z nich, dr Szczepan *Wacek*, po powrocie do Warszawy z kampanii wrześniowej pracował w Szpitalu Ujazdowskim. Włączył się do konspiracji, działał w „Kedywie", miał kontakty z Pawiakiem. Stykał się z wieloma ludźmi i bezpośrednio znał wielostronne formy konspiracyjnej pracy lekarzy. Z tego względu relacja pt. „W Szpitalu Ujazdowskim podczas okupacji hitlerowskiej" ma wartość dokumentarną, mimo że autor opisuje tylko to, co sam przeżył, z dość osobistego punktu widzenia. Artykuł ten oddaje szczególną atmosferę patriotyczną, panującą w tzw. „Rzeczypospolitej Ujazdowskiej". Aneksem jest spis lekarzy Szpitala Ujazdowskiego.

Ważnym przyczynkiem do okupacyjnych dziejów szpitali warszawskich są dwie prace dra Michała *Białokoza* z Poznania, mianowicie „Z historii służby zdrowia Warszawy-Śródmieścia w powstaniu warszawskim" i „Ewakuacja niektórych szpitali po kapitulacji powstania warszawskiego". Autor, który kierował podczas powstania Szpitalem przy ul. Żurawiej 31, jako autorytatywny świadek przedstawił organizację i działalność powstańczej służby zdrowia w dzielnicy Warszawa-Śródmieście, uwzględniając

również sytuację w czasie i po kapitulacji, opisał okoliczności związane z ewakuacją grup szpitali powstańczych nazwanych kryptonimami Warszawa I, Warszawa II i Warszawa III, zajął się tą powstańczą służbą zdrowia po jej przewiezieniu do Krakowa oraz dziejami poewakuacyjnymi Szpitala Ujazdowskiego w Krakowie. Znalazłszy gościnę w tym mieście, dr *Białokoz* był tutaj dyrektorem tzw. *Staatliche Krankenanstalten Krakau — „Jesuitenheim"*, tzn. wyewakuowanego do gmachu przy ul. Kopernika 26 Szpitala z ulicy Żurawiej 31 w Warszawie. Był też starszym ordynatorem Oddziału Wewnętrznego A Szpitala Ujazdowskiego po jego usytuowaniu w Krakowie.

Relacje dra *Białokoza* są pełne nieznanych dotychczas wiadomości, przeplatanych gdzie niegdzie żywymi obrazkami anegdotycznymi, przybliżającymi czytelnikowi atmosferę tamtych czasów, a także między innymi ukazującymi charakterystyczne zachowanie się funkcjonariuszy hitlerowskich. Pojawiające się w relacjach autora spostrzeżenia psychologiczne cechuje również umiejętność bystrej obserwacji i dobra pamięć okupacyjnych wydarzeń. Sporą wartość dla dziejów obyczajowości mają impresje autora dotyczące spraw związanych z zetknięciem się popowstaniowych uchodźców warszawskich z częścią mieszczaństwa krakowskiego.

Obszernym tematem, który czeka na wyczerpujące badania, jest zagadnienie udziału służby zdrowia w ruchu oporu podczas okupacji hitlerowskiej w poszczególnych rejonach kraju, w różnych powiatach. Większe ośrodki mają już pod tym względem dość obszerne piśmiennictwo, mniejsze zaś wymagają licznych opracowań. Źródłowym przyczynkiem w tym zakresie jest relacja uczestniczki konspiracji, lek. dent. Haliny *Kępińskiej-Bazylewicz* z Piotrkowa Trybunalskiego pt. „Konspiracyjna służba zdrowia w Piotrkowskiem". Okręg ten był bardzo aktywny podczas okupacji, a tamtejszy udział pracowników służby zdrowia w konspiracji znaczny. Piotrkowskiego dotyczą również dwie biografie, które czytelnik znajdzie wśród sylwetek pod koniec zeszytu, mianowicie relacje o drze Mieczysławie *Kotarbińskim* i o drze Bolesławie *Kwapińskim*. W połączeniu z zamieszczonymi w poprzednim zeszycie biografiami prof. dr Jadwigi *Szustrowej* i dra Antoniego *Ostaszewskiego* jest to zespół prac o Piotrkowskiem z punktu widzenia zagadnień lekarskich dość już obfity.

Do tej grupy tekstów należy także artykuł dr Haliny *Kępińskiej-Bazylewicz* pt. „Piotrkowski Polski Czerwony Krzyż w latach okupacji", w którym autorka na przykładzie niewielkiego terenu przedstawia atmosferę ówczesnej pracy PCK, formy pomocy, którą dawał on społeczeństwu, między innymi też jeńcom radzieckim. Autorka zebrała relacje źródłowe i podała duży zasób wiadomości o konkretnych faktach i o zasłużonych aktywistach PCK, wśród nich o lekarzach, a pisząc o tym wszystkim, pominęła własną działalność w podziemiu.

W roku 1969 upłynęło 50-lecie Polskiego Czerwonego Krzyża, którego oficjalną datę powstania przyjmuje się na dzień 27 kwietnia 1919 roku. Była to, jak wiadomo, organizacja bardzo zasłużona także w latach okupacji hitlerowskiej. Opracowanie dziejów PCK w okresie wojny wymagałoby osobnego tomu. Można oczekiwać, że tego opracowania podejmie się Zarząd Główny PCK.

Interesującym przyczynkiem do historii Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. J. Babińskiego w Krakowie jest praca wspomnianego już dra Michała *Białokoza* pt. „Sanatorium Przeciwgruźlicze ZUS w Kobierzynie pod okupacją hitlerowską". Mieściło się tam ono podczas wojny w dwóch pawilonach wydzielonych ze szpitala psychiatrycznego (męskim i kobiecym). Prymariuszem oddziału kobiecego był wówczas dr *Białokoz*, toteż otrzymujemy źródłową relację na temat owego „Sanatorium Skotniki". Autor podaje uwagi o stosunku Niemców do tego ośrodka, o ówczesnym obrazie gruźlicy, wspominając też o chorych na gruźlicę w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie.

Okupacyjnych dziejów Krakowa dotyczy też relacja pt. „Obóz karny «Liban». Uwagi lekarza". Autor, dr Józef *Mruk*, obecnie dyrektor Przychodni Specjalistycznej miasta Krakowa, był w okresie okupacji lekarzem dochodzącym do ambulatorium na terenie „Libana". Było to jedno z tych miejsc kaźni, o których pisano rzadko (między innymi w „Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce", 1951, tom VI, rozdział 4, str. 133—167). Bezpośrednie spostrzeżenia, czynione wówczas z lekarskiego punktu widzenia, dają przejmujący obraz katowni młodych chłopców polskich, którzy „narazili" się okupantowi w tzw. *Baudienst* i trafili do obozu karnego „Liban", skąd, jeśli przeżyli, wychodzili ze zrujnowanym zdrowiem.

Następne prace dotyczą sprawy zbrodni popełnionych na profesorach krakowskich wyższych uczelni. Problematyka *Sonderaktion Krakau* pojawiła się już przed siedmiu laty w trzecim zeszycie specjalnym (Przegl. Lek., 1963, nr 1a), w którym ogłosiliśmy artykuły trzech byłych więźniów Sachsenhausen, profesorów Wydziału Lekarskiego UJ, Eugeniusza *Brzezickiego*, Jana *Miodońskiego* i Stanisława *Skowrona* oraz listę uwięzionych w pamiętnym dniu 6 listopada 1939 roku w gmachu *Collegium Novum*. Te niezwykle cenne prace, jak też sama akcja, zostały źródłowo omówione w „Słowie wstępnym" do zeszytu trzeciego (str. 36—38). W zeszycie czwartym (1964, nr 1) znalazła się unikalna relacja o staraniach czynionych w celu uwolnienia tych więźniów; w zeszycie piątym (1965, nr 1) zamieściliśmy wspomnienia profesora UJ, Stanisława *Urbańczyka*, a w szóstym (1966, nr 1) profesora UJ Stanisława *Pigonia*, którzy wśród wielu innych padli ofiarą *Sonderaktion Krakau*.

Ani te publikacje, ani całe dotychczasowe piśmiennictwo na temat uwięzienia pracowników naukowych wyższych uczelni krakowskich nie wyczerpują jeszcze zagadnienia i okazuje się, że dalsze prace mogą wnieść tutaj nowe, cenne treści, zawarte w relacjach osób wtedy uwięzionych. Wraz z profesorami UJ został aresztowany między innymi nie żyjący już lektor języka francuskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego i Wyższego Studium Handlowego w Krakowie, Francuz dr *Henri Bernard*. Jego „Relację z lat wojny" przechowywało dotychczas Archiwum UJ. Została nam ona udostępniona i za zezwolenie na jej publikację składamy serdeczne podziękowanie Rektoratowi UJ. Autor był podczas okupacji trzykrotnie aresztowany, ciężko chorował i przeszedł dramatyczne przeżycia. W końcu udało mu się uciec, gdy jako więzień leżał chory w Warszawie. Wśród ludzi, którzy mu pomagali, znaleźli się też lekarze. Artykuł ten jest również cennym dokumentem w sprawie *Sonderaktion Krakau*.

Jednym z najbardziej autorytatywnych świadków przeżyć profesorów krakowskich jest uwięziony wraz z nimi dr *Vilim Frančić*, wówczas lektor języka serbsko-chorwackiego UJ i Wyższego Studium Handlowego w Krakowie oraz wizytator szkół średnich w krakowskim Kuratorium Szkolnym, obecnie docent UJ, znany leksykograf słowiański i gramatyk południowosłowiański. Zajął się on w swym artykule pt. „Organizacja więźniów-profesorów w obozie Sachsenhausen", napisanym dla naszych zeszytów, między innymi samoobroną grupy profesorskiej, której „starostą" był w obozie i sposobami jej przeciwstawiania się hitlerowcom w trudnej walce o przetrwanie katorgi więziennej i obozowej. Złączony przyjaźnią z wybitnym pisarzem jugosłowiańskim, laureatem Nagrody Nobla z roku 1961 i doktorem *honoris causa* UJ z roku 1964, *Ivo Andriciem*, który wówczas był posłem Jugosławii w Berlinie, autor dotarł tam po uwolnieniu nawet do centrali gestapo, a także do przedstawicielstw dyplomatycznych kilku państw neutralnych, interweniując w celu uwolnienia kolegów. Po powrocie do Krakowa współpracował w latach wojny z Włodzimierzem *Gałeckim*, kuratorem tajnego szkolnictwa średniego, był członkiem tajnego kuratorium i współdziałał z konspiracyjną komisją oświaty [4], a także brał czynny udział między innymi w tajnym uniwersytecie [5].

[4] Por. W. *Gałecki*: Jeszcze raz przez życie. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1966, str 272 i następne.

[5] Zob. pracę zbiorową pt. *Alma Mater* w podziemiu. Pod red. M. i A. *Zarębów*. Wydawn. Literackie, Kraków 1964, str. 70—81.

Dr Kazimierz *Frąckowski,* autor pierwszych dwóch artykułów niniejszego działu, daje przyczynek do dziejów obozu, w którym sam przebywał, w artykule pt. „Żydzi i księża w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg". Tekst ten jest w naszych zeszytach uzupełnieniem relacji doc. dra Witolda *Zegarskiego* z Gdańska pt. „Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940—1945" (Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 75—86). Artykuł dra *Frąckowskiego* ukazuje niezwykle ciężką dolę Żydów i księży, a więc kategorii więźniów, nad którymi — obok innych ofiar — hitlerowcy szczególnie się znęcali. W aneksie dr *Frąckowski* podał uwagi o kilku obozowych lekarzach *SS* w Sachsenhausen oraz wymienił lekarzy-więźniów. Nie jest to jednak wykaz pełny, tylko wstępny. Artykuł ten jest fragmentem maszynopisu większej całości, zatytułowanej „Wyjęci spod prawa".

Dr Antoni *Makowski,* który w poprzednim zeszycie opisał sytuację w I oddziale wewnętrznym szpitala obozowego w Monowicach (Oświęcim III), w swym obecnym artykule pt. „Niektóre osiągnięcia organizacyjne szpitala obozowego w Monowicach" podaje, jak uwięzieni tam pracownicy służby zdrowia nasilali swą pomysłowość, aby ten „rewir" zbliżyć do możliwości funkcjonowania normalnego szpitala. Dzięki temu można było przywracać zdrowie wielu więźniom zatrudnionym przy budowie fabryki „Buna" w Monowicach. Tak np. „starszy szpitala", dr Stefan *Budziaszek,* urządził salę operacyjną, zaopatrzył ją w narzędzia chirurgiczne, usiłował uruchomić badania rentgenowskie, a dr Zenon *Drohocki* skonstruował aparaturę do leczenia wstrząsami elektrycznymi i to leczenie stosował z powodzeniem u psychicznie chorych. Ponadto podjął pracę nad stosowaniem elektronarkozy. Prof. *Drohocki,* jeden z pionierów elektrofizjologii mózgu i elektroencefalografii, jest wybitnym uczonym (*Maître de Recherches au Centre National de la Recherche Scientifique*) w Paryżu.

Nie wszyscy więźniowie jednak mogli w obozie korzystać z dobrodziejstw szpitala. Wielu chorych znajdowało się w sytuacji strasznej i beznadziejnej. Świadczy o tym między innymi „Relacja pielęgniarki uwięzionej w Brzezince", dotycząca sytuacji kobiet chorych na świerzb i odizolowanych w osobnym bloku obozowym. Tekst ten, napisany specjalnie dla naszych zeszytów otrzymaliśmy od pielęgniarki dyplomowanej Marianny *Adam* z Rumunii. Jej obserwacje są niejako uzupełnieniem omówionego uprzednio artykułu dra Stanisława *Kłodzińskiego* pt. „Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim-Brzezinka", a zamieszczonego w dziale naukowym. Autorkę uwięziono na Węgrzech, gdy po upadku reżimu *Horthy'ego* i po przewrocie hitlerowskim nastała w tym kraju w roku 1944 eksterminacja Żydów. Marianna *Adam,* więziona w kilku obozach, przebywała między innymi w Płaszowie i w Brzezince. Po wojnie osiedliła się w Rumunii, gdzie przebywa w Oradea wraz ze swym mężem, drem *Nicolae Adam,* prymariuszem oddziału chorób uszu, nosa i krtani.

Do podstawowych materiałów w zakresie zagadnień lekarskich okupacji hitlerowskiej należą spisy lekarzy. Jest ich do tej pory stanowczo za mało. W zeszycie szóstym opublikowaliśmy wykaz wstępny esesmanów z oświęcimskiej „służby zdrowia", opracowany przez dra Stanisława *Kłodzińskiego.* Obecnie zamieszczamy spis lekarzy i sanitariuszy z obozu w Gross-Rosen, opracowany przez Romana *Olszynę,* byłego więźnia tego obozu, którego dokumentalistyką zajmuje się on od lat. Wykaz *Olszyny* zawiera nazwiska i podstawowe wiadomości dotyczące esesowskich lekarzy i sanitariuszy *SDG,* a nadto także lekarzy-więźniów różnych narodowości. Dokumentacja Gross-Rosen została przez hitlerowców zniszczona i wykaz ten nie wyczerpuje zagadnienia. Drukujemy go jednak, ponieważ zawiera bardzo wiele potrzebnych informacji, a ponadto tego rodzaju „makieta" może być podstawą dalszego uzupełniania jej z różnych stron.

Adiunkt mgr Józef *Falgowski* z Państwowego Muzeum na Majdanku podaje wykaz „Esesowskiej służby zdrowia w obozie na Majdanku". Podobnie należałoby opracować dalsze wykazy dotyczące innych obozów, a w miarę dostępnych źródeł ujmujące spisy nie tylko lekarzy *SS* i sanitariuszy niemieckich *(SDG),* lecz także lekarzy-więźniów. Autor jest członkiem Wojewódzkiej Komisji Zdrowia ZBoWiD w Lublinie i Okręgowej Komisji Historycznej w Kielcach, pod której auspicjami przeprowadza prace badawcze nad dziejami służby zdrowia w ruchu oporu podczas okupacji hitlerowskiej.

W dalszym artykule wracamy do sprawy eksterminacji dzieci czeskich z Lidic, poruszonej w zeszycie szóstym przez dra Jana *Zielinę.* Były więzień obozu dla dzieci w Łodzi, Józef *Witkowski* z Wrocławia, osobiście zbierał (między innymi w Czechosłowacji) dokumenty źródłowe do swej pracy pt. „Śladami dzieci z czeskiej wsi Lidice". Tekst ten w dużym stopniu wyczerpuje poruszone zagadnienie i wnosi dotychczas nieznane informacje.

Dział historyczno-dokumentarny kończymy oryginalną pracą dra Tadeusza *Seweryna* pt. „Okupacji dzień powszedni". Autor, działacz ruchu oporu w Krakowskiem, jest już znany czytelnikom „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" z kilku artykułów. Zupełnie wyjątkowo zamieszczamy obszerny tekst ze względu na jego znaczenie w literaturze okupacyjnej. Codzienne życie podczas okupacji hitlerowskiej jest tematem nieczęsto podejmowanym, zwłaszcza z uwzględnieniem spostrzeżeń psychologicznych, poza literaturą piękną. Tekst jest wzbogacony anegdotami, opisami sytuacji pełnych nie tylko dramatyzmu, lecz także zabarwionych humorem. Oryginalność spojrzenia etnografa oraz aktywnego uczestnika walki podziemnej autor połączył z talentem literackim. W sumie ukazał on obraz dni ludzi przeciętnych i ludzi nieprzeciętnych podczas okupacji. Praca w dużym stopniu odpowiada zamówieniu społecznemu na tego rodzaju rozwinięcie trudnego tematu.

Dział wspomnień rozpoczynamy grupą relacji dotyczących obozu oświęcimskiego. „Wspomnienia pierwszego pisarza «rewiru» oświęcimskiego", Kazimierza *Szczerbowskiego,* mają szczególną wartość ze względu na to, że odnoszą się do pierwszego, bardzo więc wczesnego okresu „rewiru" szpitalnego w Oświęcimiu. Autor dostał się tam pierwszym transportem więźniów. Z obozu został zwolniony jesienią 1941 roku. Z autorytatywnego źródła uzyskaliśmy tę relację, *Szczerbowski* bowiem dobrze pamięta początkowe dzieje obozowego „rewiru", ponieważ ani nie przemieszały mu się one w myślach z późniejszym okresem, kiedy już nie przebywał w obozie, ani też nie był tam „muzułmanem". Nie zsumowało mu się tyle wrażeń, co u innych, wieloletnich więźniów i po latach dał w dotychczasowym piśmiennictwie oświęcimskim jedyną i pierwszą szczegółową relację na temat początków „rewiru" w Oświęcimiu I, skonsultowaną zresztą z kilkoma innymi więźniami. Stąd szczególna wartość tego tekstu.

Leon *Głogowski,* lekarz więziony w obozie oświęcimskim, już kilkakrotnie opisywał w naszych zeszytach fragmenty swych przeżyć obozowych. W artykule pt. „Epizod z obozu oświęcimskiego" autor ten podaje zwięzłą relację na temat esesowskiego „przyjęcia" w Oświęcimiu jednego z transportów z więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie. Z lekarskiego punktu widzenia jest tutaj istotny „ceremoniał powitalny" nowych więźniów charakterystyczny dla „lagrów" hitlerowskich.

Mgr Eugeniusz *Niedojadło* z Tarnowa, autor wspomnień obozowych drukowanych przed kilku laty w naszych zeszytach, przedstawia w artykule pt. „Moje dwie rocznice oświęcimskie" swoje przeżycia związane z uwięzieniem oraz perypetie podczas ucieczki z kolumny ewakuacyjnej. Jako młody człowiek (w roku 1939 ukończył szkołę średnią) autor został uwięziony w Tarnowie 3 maja 1940 roku i wysłany do nowo założonego obozu w Oświęcimiu z pierwszym transportem Polaków z więzienia tarnowskiego. W obozie był sanitariuszem na oddziale zakaźnym. Obecnie pracuje jako księgowy; jest przewodniczącym koła byłych więźniów obozów koncentracyjnych przy ZBoWiD w Tarnowie.

Cennym przyczynkiem do oświęcimskiej literatury obozowej jest również relacja byłej więźniarki Pawiaka, Oświęcimia i Ravensbrück, Marii *Maniakówny* z Warszawy pt. „W oświęcimskim bloku nr 11".

Szczególnie ciężkie warunki w bunkrach obozowych opisała w naszych zeszytach była więźniarka Ravensbrück, dr Zofia *Mączka-Patkaniowska,* w artykule pt. „Zeznania z bunkra" (Przegl. Lek., 1965, nr 1). Maria *Maniakówna* przebywała bardzo długo w bunkrze oświęcimskim i stykała się tam z licznymi więźniarkami, toteż czytelnicy mogą wyrobić sobie na podstawie tych relacji szerszy obraz bunkrowego bytowania, a także poznać psychologiczną stronę tej kaźni. *Maniakówna* była przed wojną działaczką Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici" i Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej. W czasie okupacji działała w Batalionach Chłopskich. Swój artykuł napisała po upływie przeszło 20 lat od wyzwolenia, ale oparła się na szczegółowych zapiskach, które poczyniła zaraz po wojnie. Nazwisko autorki przewija się w literaturze dotyczącej okupacyjnych dziejów ruchu ludowego, a np. jej słynny „gryps" z Pawiaka był kilkakrotnie cytowany (między innymi w „Nowych Książkach", 1969, nr 8, str. 509 i 510—511).

Obszar tematyczny dotyczący szpitali obozowych Oświęcimia-Brzezinki, aczkolwiek jest jeszcze tylko częściowo opracowany, kurczy się z każdym rokiem. W ten sposób powstają ogniwa przyszłej syntetycznej pracy na temat tych „rewirów" i oświęcimskiej służby zdrowia. Absolwentka dwóch kursów sanitarnych (w Bytomiu i Koźlu), obecnie emerytka, była więźniarka Brzezinki, Helena *Włodarska* z Bytomia, w swej krótkiej relacji pt. „Ze szpitala kobiecego obozu w Brzezince" maluje sytuację tam panującą z punktu widzenia chorej więźniarki. W jej wspomnieniach znajdujemy nowe szczegóły, dotyczące między innymi solidarności i ofiarności uwięzionych kobiet, warunków w „rewirze", śmierci dr Marii *Werkenthin,* a także ewakuacji z bloku nr 24. Obozowa literatura wspomnieniowa odnosząca się do Oświęcimia-Brzezinki otrzymuje w ten sposób cenny przyczynek. Warto dodać, że autorka straciła męża w obozie oświęcimskim, gdzie został on zamordowany po trzech miesiącach pobytu; dzieci jej również przebywały w obozach.

Szpital obozowy w Gusen jest już znany naszym czytelnikom z relacji dra Zbigniewa *Wlazłowskiego,* zamieszczonych w trzech kolejnych poprzednich zeszytach. Obecnie oddajemy głos Antoniemu *Dubielowi* z Gliwic, który jako początkujący księgowy został uwięziony przez hitlerowców z przyczyn politycznych i między innymi przebywał w „rewirze" w Gusen. Jego relacja pt. „Ze wspomnień chorego więźnia Neu Sustrum i Gusen" pozwala spojrzeć na szpital w Gusen z punktu widzenia przeciętnego więźnia, a także umożliwia zapoznanie się z typowym przebiegiem choroby w obozie. Przy okazji pojawiają się po raz pierwszy w naszych zeszytach informacje o *Strafgefangenenlager V in Neu Sustrum über Lathen-Ems.*

Mgr Jerzy *Osuchowski* z Katowic, były więzień obozów Buchenwald i Mauthausen-Gusen, opisuje „Zagazowanie jeńców radzieckich w Gusen". Ten krótki dokument jest tym bardziej wartościowy, że dotychczas stosunkowo niewiele pozycji w piśmiennictwie obozowym dotyczy losu jeńców radzieckich, z reguły izolowanych przez hitlerowców od innych więzionych narodowości i zazwyczaj szybko likwidowanych. Ten artykuł mgra *Osuchowskiego* nawiązuje do jego relacji pt. „Zagazowanie więźniów z bloku 24 w Gusen", zamieszczonej w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Praca tegoż autora pt. „«Rewir» tzw. małego obozu w Buchenwaldzie" jest dalszym ogniwem w piśmiennictwie dotyczącym dziejów szpitali w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Mgr *Osuchowski,* bezpośredni świadek faktów opisywanych w tej relacji, przedstawia stosunki panujące w wymienionym „rewirze". Jak w innych „rewirach" obozowych, tak i tutaj chorzy więźniowie byli skazani na łaskę i niełaskę wszechwładnych funkcjonariuszy esesowskich. Złe warunki sanitarne, głód i ciągła groźba śmierci były podstawowymi elementami „terapii" w wydaniu hitlerowskim.

„Z kompanii karnej w Gross-Rosen", to praca, która po raz pierwszy w piśmiennictwie obozowym wyczerpująco i wnikliwie ukazuje stosunki panujące pod reżimem osławionego *Vogla* z tego obozu. Autor, przedwojenny działacz ludowy, dr Stanisław *Dziaduś,* chirurg, kreśli tutaj zarazem dalszy ciąg swych obozowych przeżyć, o których pisał w dwóch poprzednich zeszytach naszego cyklu. Najtragiczniejsze epizody z przebywania w kompanii karnej *Vogla* są opisane barwnie, żywo, z domieszką swoistego humoru obozowego. Zamieszczone przez nas urywki wspomnień obozowych dra *Dziadusia* są częścią większej całości, która z pożytkiem mogłaby zostać wydana w postaci książkowej. Tekst tutaj ogłoszony został opracowany pod względem lekarskim; między innymi autor bliżej zajął się losem tych więźniów, których gnębiły choroby oczu, zwłaszcza jaglica, przy czym opisał metody „leczenia" stosowane przez *Vogla.* Rzecz dotyczy wydarzeń obozowych z roku 1944 po schwytaniu więźnia-uciekiniera *Dziadusia* i dostawieniu go z powrotem do Gross-Rosen z przeznaczeniem na śmierć, której uniknął dzięki solidarności współwięźniów.

Na temat obozu w Ravensbrück powstała już dość bogata literatura. Z reguły jednak autorzy opisują główne zagadnienia obozowe, natomiast mniej jest relacji z różnych mniejszych „komand". Z tego względu drukujemy żywo napisane wspomnienie Aleksandry *Walterowej,* byłej więźniarki tego obozu, obecnie rencistki. Opis życia w jednym z „komand", mianowicie w komendzie leśnej, jest tematem artykułu „Kolumna *Forst Neues Gut* w Ravensbrück". Autorka wspomina o szpitalu obozowym. Istotnym motywem jest trudne i dyskusyjne zagadnienie „prawa" więźnia do samorzutnej ucieczki z obozu, która narażała pozostałych towarzyszy na ciężkie represje i mogła w pewnych wypadkach utrudnić lub nawet zniweczyć uprzednie poczynania konspiracyjne w środowisku obozowym.

Kolejną pozycją jest artykuł *Yvonne Pagniez* z Francji pt. „W Torgau" (tytuł oryginalny: *Nos frères les prisonniers*). Tekst ten został przetłumaczony i przystosowany w skrócie dla naszych zeszytów przez dra Zenona *Jagodę.* Czytelnicy znają autorkę z jej wspomnienia pt. „Niedziela w obozie", zamieszczonego w zeszycie poprzednim, w którym też (na str. 8) podano przed rokiem informacje o losach okupacyjnych *Yvonne Pagniez.* Jeszcze przed swym pobytem w Ravensbrück autorka zetknęła się w Torgau z jeńcami francuskimi; tego właśnie okresu dotyczy artykuł.

Autor kolejnego artykułu pt. „Ostatnie dni w obozie Ebensee", Edwin *Kuffel,* był przed wojną obywatelem ówczesnego Wolnego Miasta Gdańska, członkiem Związku Polaków w Gdańsku i kilku pomorskich organizacji studenckich. Od maja do sierpnia 1940 roku był więziony na Pawiaku w Warszawie pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Polski i udziału w tajnych organizacjach, a następnie przebywał w obozach koncentracyjnych Oświęcim, Mauthausen, Melk, Amstetten i Ebensee. Autor opisuje dramatyczne końcowe chwile obozu Ebensee i psychiczną reakcję więźniów na oswobodzenie. W ten sposób ten jeden z najmniej znanych obozów zyskuje dalszą pozycję w swej bibliografii. O tym obozie pisał też dr Bronisław *Rubin* (Przegl. Lek., 1968, nr 1, str. 182 i następne).

Interesujące fakty zawiera praca Tadeusza *Fedorowicza* pt. „Ze wspomnień o postawie lekarzy w obozach". Jest to jak gdyby nawiązanie do zamieszczonego w poprzednim zeszycie artykułu tegoż autora pt. „Uwagi o «rewirach» i funkcyjnych obozowych". Również przed rokiem podaliśmy informacje o *Fedorowiczu* (Przegl. Lek., 1969, nr 1, str. 8). W różnych okolicznościach podczas okupacji autor, nielekarz, oficer, działacz konspiracyjny i więzień, stykał się z lekarzami i korzystał z ich pomocy. W sumie wyrobił sobie obraz ogólny, który jest też dalszym głosem w dyskusji na temat etyki lekarskiej w warunkach okupacyjnych.

Oryginalnie ujął swe refleksje poobozowe dr Piotr *Wesełucha* z III Kliniki Chorób Wewnętrznych AM w Krakowie. Autor, znany naszym czytelnikom z poprzednich prac, był więziony przez niemal cały okres okupacji hitlerowskiej. Uwagi dra *Wesełuchy* jak gdyby sumują wiele zagadnień, które mogą się nasuwać przy lekturze różnych wspomnień obozowych.

W artykule pt. „Obóz jako eksperyment psychiatryczny" autor połączył reminiscencje własnych obserwacji i przeżyć w obozie Gusen z lekturą różnych publikacji. Artykuł ten, który może pobudzić do dyskusji, z pewnością zachęci innych autorów do dalszych refleksji. Znajdujemy się bowiem obecnie na tym etapie rozwoju obozowej literatury wspomnieniowej, że od prostych, jak gdyby protokolarnych opisów wydarzeń autorzy przechodzą nieraz do refleksji mających czasem wartość nawet uogólnienia filozoficznego i przemyśleń naukowych.

Dwie ostatnie prace w dziale wspomnień napisały pielęgniarki. Przedstawicielki tego zawodu nieczęsto znajdują w druku swe relacje; niektóre z nich omawia mgr Jan *Masłowski* w swym szkicu zamieszczonym w niniejszym zeszycie w dziale „Oceny". Tutaj zamieszczamy fragmenty wspomnień Zofii *Orlickiej* pt. „Z okupacyjnych przeżyć pielęgniarki w Warszawie". Są one cenne między innymi dlatego, że stanowią przyczynek do dziejów kontrwywiadu ZWZ-AK. Autorka, obecnie emerytka, ukończyła Warszawską Szkołę Pielęgniarską w roku 1928. Gestapo uwięziło ją 7 października 1942 roku. Przebywała do 17 stycznia 1943 roku na Pawiaku, po czym wywieziono ją transportem na Majdanek. Stamtąd zwolniono ją 17 września tegoż roku. Autorka wróciła do pracy w AK i brała udział w powstaniu warszawskim.

Niejedna pielęgniarka dysponuje cennym materiałem z własnych przeżyć i obserwacji, a czasem nawet zachowanymi zapiskami z lat wojny. Urywki takich notatek są osnową artykułu pielęgniarki Marii *Wilkońskiej* z Warszawy pt. „Pół roku pracy w Szpitalu Więziennym podczas okupacji". Sytuację panującą w tej warszawskiej placówce, która mieściła się między innymi w zabudowaniach Szpitala św. Jana Bożego, autorka przedstawiła w powiązaniu z opisem swych przeżyć, przy czym ukazała młodych chorych, którzy działając w ruchu podziemnym znaleźli się ranni na oddziałach wymienionego szpitala. *Wilkońska* po ukończeniu Szkoły Pielęgniarstwa w Poznaniu była zatrudniona przeważnie w szpitalach wojskowych. Wojna zastała ją w twierdzy brzeskiej w IX Szpitalu Okręgowym. Po powrocie do Warszawy *Wilkońska* pracowała kolejno w RGO, w Szpitalu Zakaźnym i w Szpitalu Więziennym. Aresztowana, została po dwóch miesiącach pobytu na Pawiaku odesłana 56-osobowym transportem do Ravensbrück, a następnie do Magdeburga (podobóz Buchenwaldu); tam pracowała w fabryce zbrojeniowej do czasu wyzwolenia.

Sylwetki zasłużonych lekarzy rozpoczyna szkic biograficzny pt. „Dr Stefan *Pizło*, więzień Oświęcimia nr 333", opracowany przez dra Stanisława *Kłodzińskiego*. Zasłużyła na uwagę czytelników postać dra *Pizły*, szlachetnego lekarza, który przyjechał z pierwszym polskim transportem do Oświęcimia 14 czerwca 1940 roku i pracował w tamtejszym „rewirze" obozowym jako pierwszy lekarz-więzień Polak. Artykuł ten zawiera wiele szczegółów charakterystycznych dla pierwszego okresu życia więźniów w Oświęcimiu, jak np. indywidualny sposób podejścia dra *Pizły* do towarzyszy niedoli (znakomity epizod z rozdziałem żywności wśród chorych w szpitalu obozowym, opis metody oduczania palenia papierosów kupowanych za chleb itp.). Pomimo trudności odtworzenia obozowej działalności i losów dra *Pizły*, wynikłej z upływu blisko 30 lat, autor zgromadził dokumenty i strzępy relacji, które odpowiednio powiązane pozwoliły na plastyczne odtworzenie tej pięknej postaci.

Również bardzo zasłużonym więźniem obozu oświęcimskiego był dr Wilhelm *Türschmid* z Tarnowa. Jego sylwetkę przedstawił w krótkiej notatce sprzed 10 laty w pierwszym zeszycie dr Jerzy *Mostowski*, nie dysponował on jednak materiałami źródłowymi, które w późniejszych latach udało się zebrać. Dr Stanisław *Kłodziński* dzięki tym dokumentom ponownie przedstawił tę szacunku godną postać, a nadesłane wspomnienie obozowe dra Tadeusza *Paczuły* ze Świętochłowic, zacytowane w tym artykule, zbliża czytelnika do tragicznego losu, jaki spotkał tego doskonałego chirurga i szlachetnego więźnia.

Również zasłużony lekarz i społecznik, związany z ziemią piotrkowską, jest przedmiotem „Dwóch relacji o doktorze Mieczysławie *Kotarbińskim*". W rozdziale tej pozycji zeszytu, zatytułowanym „Z życiorysu dra *Kotarbińskiego*", dr Stanisław *Kłodziński* kreśli jego biografię łącznie z działalnością okupacyjną. Obozowy okres jest tematem drugiego rozdziału, napisanego przez literata Romana *Niewiarowicza*, byłego więźnia Gross-Rosen i Litomierzyc. Jego „Wspomnienie pośmiertne o lekarzu-więźniu Kotarbińskim" jest rzucone na szerokie tło spraw obozowych, a zarazem stanowi hołd złożony w pięknych słowach ofiarnym lekarzom, którzy wyróżnili się w obozach pomocą swoim kolegom-współwięźniom. Aby w pełni ukazać szlachetne cechy charakteru dra *Kotarbińskiego*, *Niewiarowicz* relacjonuje specjalnie rolę lekarzy w obozach, chcąc, jak sam pisze, w przysłowiowej «czapce-niewidce» najogólniej telnika (...) wtajemniczyć w ukryty tok życia obozu i wprowadzić w podskórny nurt działania obsady lekarskiej". Artykuł ten, napisany ze swadą i z umiejętnością ukazania najtrudniejszych spraw obozowych, pozwala na właściwą ocenę pięknej postawy dra *Kotarbińskiego* w najtrudniejszych chwilach życia, jakimi dla niego było np. przeżywanie skrajnego głodu w obozie. O głodzie pisał już niejeden autor; tutaj temat ten jest przedstawiony w sposób świeży i oryginalny. Ta szczególna postać cierpienia więźniów jest bardzo istotna dla ich postawy i próby charakterów. Jednocześnie zaś świadczy o niezwykłej perfidii hitlerowskiego systemu, którego integralnym składnikiem było trzymanie więźniów w podobnych sytuacjach.

Lek. Halina *Kępińska-Bazylewicz* z Piotrkowa Trybunalskiego opisuje na podstawie kilku ustnych relacji ofiarne życie i męczeńskie losy obozowe zasłużonego działacza PPS w Piotrkowskiem, dra Bolesława *Kwapińskiego*. Piękna postać i postawa tego lekarza świadczy o tym, że nawet w najgorszych warunkach można pomagać innym. W tym szkicu biograficznym jest wspomniany dr Antoni *Ostaszewski*, którego sylwetkę czytelnicy znają z poprzedniego zeszytu.

Wiadomo, że nie tylko polscy więźniowie-lekarze, lecz także lekarze innych narodowości zapisali w więzieniach i obozach hitlerowskich piękną kartę. Niestety z biegiem lat ich działalność i postawa zostaje zapomniana. Wspomniany już mgr Józef *Falgowski* z Muzeum w Majdanku nakreślił szkic biograficzny o drze Janie *Řihu* z okupowanej Czechosłowacji, więzionym w Sachsenhausen, w Dachau i w Majdanku. Dr *Řihá* z pełnym poświęceniem troszczył się o chorych więźniów, aż sam padł ofiarą duru wysypkowego w obozie.

Ostatnim działem zeszytu dziesiątego są Oceny. Tę grupę prac otwiera artykuł piszącego te słowa, „O wspomnieniach «muzułmana»", dotyczący wybitnej książki dra Adolfa *Gawalewicza* „Refleksje z poczekalni do gazu. Ze wspomnień muzułmana" (Kraków 1968). Na to wydanie złożyły się wydrukowane w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" w latach 1963—1967 w pięciu odcinkach obozowe wspomnienia *Gawalewicza*, które dla wydania książkowego zostały odpowiednio uzupełnione i zmienione. Przed laty już pierwszych naszych czytelników pociągały one swą oryginalnością, ujęciem treści znamionującym niezwykły talent i pogłębieniem psychologicznym połączonym z nawarstwianiem nowych treści na tle dotychczasowej obozowej literatury wspomnieniowej. Z tych względów przeznaczamy książce naszego autora, nagrodzonej też w roku 1969, jak wspomniano, przez „Politykę", osobną recenzję.

Następna praca dotyczy pielęgniarek. Mgr Jan *Masłowski* w artykule pt. „Uwagi o pielęgniarskiej tematyce okupacyjnej" zestawia główne motywy, które przewijają się w nielicznej jeszcze dotychczas pielęgniarskiej literaturze dotyczącej minionej wojny. Zapewne praca ta, mająca charakter próby syntezy dotychczasowych nowszych publikacji pielęgniarskich, zachęci pielęgniarki do spisywania i przekazywania wydawnictwom swoich wspomnień okupacyjnych. Ten dział okupacyjnych dziejów polskiej służby zdrowia wymaga dalszych, pogłębionych badań i plano-

wo wykonywanych opracowań. Pielęgniarki polskie mają piękną kartę z okresu wojny; ich poświęcenie i zasługi były wielkie.

Dział „Oceny" kończymy, jak corocznie, informacyjnym artykułem bibliograficznym. Mgr Jan *Masłowski* w pracy pt. „Okupacyjna tematyka medyczna w Polsce poza «Przeglądem Lekarskim»" tym razem — oprócz oceny nowszych pozycji — podjął próbę ogólnej oceny grup tematycznych, które wyłaniają się z gąszcza powojennych polskich publikacji na temat zagadnień lekarskich okresu minionej wojny. Ponadto autor, opierając się na swych spostrzeżeniach poczynionych w toku pracy redakcyjnej podczas przystosowywania do druku bardzo wielu rękopisów, nakreślił praktyczne wskazówki, które mogą być przydatne autorom różnych prac w zakresie naszej problematyki.

Spis treści poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (z lat 1961—1969) drukujemy tym razem w nieco odmiennym układzie, opracowanym przez mgra Jana *Masłowskiego.* Ugrupowanie poszczególnych pozycji z uwzględnieniem ich tematyki zostało zachowane, natomiast prace są ponumerowane i uzupełnione alfabetycznym spisem tych autorów, których artykuły ogłoszono w zeszytach specjalnych 1—9. Dzięki temu można szybko znaleźć każdy artykuł, posługując się wskaźnikami liczbowymi podanymi w spisie autorów. Oprócz wykazu polskiego podajemy także spis treści poprzednich zeszytów przełożony na język angielski.

W latach redagowania kolejnych zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" niezależnie od setek listów i osobistych kontaktów, których celem było inspirowanie potrzebnych prac i ukierunkowanie tematyczne potencjalnych i przyszłych autorów, spotykaliśmy się do bieżącej chwili z napływem różnych materiałów. Wiele z nich leży w tece redakcyjnej, wiele wymaga stosownych skrótów, przeróbek, uzupełnień i weryfikacji, sporo zostało opracowanych redakcyjnie i ogłoszonych. Szczupłość sił własnych, wymagany wciąż czas na pracę adiustacyjną, a także brak miejsca w „Przeglądzie Lekarskim" oraz konieczność dokonania selekcji materiałów spowodowały, że nie wszyscy autorzy, od których otrzymaliśmy rozmaite teksty, znaleźli swe prace w naszych zeszytach. Sądzimy, że autorzy i czytelnicy przyjmą to ze zrozumieniem, ponieważ objętość zeszytów i częstotliwość ich wydawania nie może zależeć od liczby posiadanych tekstów.

*

Kończąc „Słowo wstępne", pragnę w imieniu zespołu redakcyjnego złożyć wyrazy serdecznego podziękowania tym wszystkim osobom i instytucjom, które przyczyniły się do powstania, regularnego ukazywania się i rozwoju „oświęcimskich" zeszytów „Przeglądu Lekarskiego".

Niechaj będzie mi wolno naprzód wrócić na chwilę myślą do Tych, których nie ma już wśród nas, a którzy odegrali ważną rolę w rozwoju tych zeszytów. Prof. dr Jan Stanisław *Olbrycht,* kierownik Zakładu Medycyny Sądowej AM w Krakowie, były więzień Oświęcimia, zmarł 18 stycznia 1968 roku w 81 roku życia, oraz znacznie młodszy prof. dr Jan *Sehn,* dyrektor Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, pełnomocnik Ministra Sprawiedliwości do spraw ścigania zbrodniarzy hitlerowskich, zmarł nagle 12 grudnia 1965 roku we Frankfurcie nad Menem. Obaj byli inspiratorami wielu prac, a dzięki swej erudycji i głębokiemu znawstwu zagadnień prawno-lekarskich w ogóle i zagadnień minionej wojny w szczególności mogli nieraz prostować nasze błędne ścieżki, hamować subiektywizmy, wskazywać właściwe kierunki. Ich trzeźwe i obiektywne wartościowanie zjawisk oraz wielkoduszna pomoc i rada były prawdziwym oparciem w niełatwej pracy redakcyjnej. Sami są też autorami znakomitych prac opublikowanych w naszych zeszytach. Z głęboką wdzięcznością wspominamy i czcimy pamięć obu Przyjaciół i Współpracowników. Czcimy również pamięć wszystkich innych zmarłych Autorów, którzy w ciągu 10 lat współpracowali z redakcją zeszytów.

Wyrazy głębokiej wdzięczności należą się władzom naczelnym i terenowym Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i jej okręgowym komisjom.

Serdeczne podziękowanie składamy Autorom za ich trud i dokładność, z jaką opracowywali swe artykuły, za cierpliwość, jaką okazywali w toku pracy redakcyjnej, zanim artykuł przybrał ostateczne kształty. Wyrazy prawdziwej wdzięczności należą się redaktorowi naczelnemu „Przeglądu Lekarskiego", prof. drowi Bronisławowi *Gędoszowi* za stałą, życzliwą pomoc i za światłe rady. Dyrekcji i pracownikom Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, którzy strzegą uświęconego miejsca i rozwijają je, składamy serdeczne podziękowanie za użyczaną zawsze zespołowi redakcyjnemu i autorom pomoc w pracach redakcyjnych oraz udostępnianie zdjęć, które ozdabiają zeszyty. Serdecznie dziękujemy Dyrekcji i pracownikom Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich w Warszawie za stałą, życzliwą opiekę. Nie byłoby możliwe wydawanie znacznie zwiększonych, specjalnych zeszytów, gdyby nie wysiłki i towarzysząca nam stale cierpliwość i wyrozumiałość ze strony Dyrekcji i pracowników PZWL. Jak co roku, tak i dziś, po wydaniu dziesiątego zeszytu, serdecznie dziękujemy naszej instytucji wydawniczej. Pełnym ofiarności i gotowości składaczom z Krakowskiego Zakładu Graficznego Nr 4 dziękujemy serdecznie za ich wysiłki. Nasza długoletnia współpraca wykazała, ile można zdziałać mimo trudności związanych z edycją zwiększonych zeszytów.

Składając w imieniu zespołu redakcyjnego powyższe podziękowanie, pragnę jeszcze podziękować gorąco tym wszystkim nie wymienionym tu osobom, które w licznych rozmowach przez zachętę i afirmację utwierdzały nas w przeświadczeniu, że poczynania nasze są słuszne i pożyteczne.

D Z I A Ł N A U K O W Y

ANTONI KĘPIŃSKI

Kraków

Tzw. „KZ – syndrom"
Próba syntezy*

Przed około 12 laty dr Stanisław *Kłodziński*, były długoletni więzień Oświęcimia, zwrócił się do kilku kolegów z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie z propozycją, czy by się nie zajęli tematyką obozów koncentracyjnych. Propozycja ta została przyjęta nie bez pewnych oporów. Były one zresztą uzasadnione. Pojawiła się trudność, jak uda się ludziom, którzy sami nie przeżyli obozu, zrozumieć tych, którzy przeszli przez to piekło, czy byli więźniowie będą chcieli szczerze mówić o sobie z niewięźniami, czy wydobywanie z nich przeżyć obozowych nie jest pewnym okrucieństwem, jak stworzyć sobie obraz tego, co działo się w obozach, czy wystarczy na to wyobraźni itd. Opory wynikały z poczucia własnej niemożności ogarnięcia zagadnienia, które przekracza granice spraw ludzkich.

Dzięki pomocy krakowskiego klubu „oświęcimiaków" udało się nawiązać kontakty z byłymi więźniami i one chyba były najsilniejszym impulsem do podjęcia badań nad tą tak trudną problematyką. Rozmowy z nimi wciągały. Nie można już było przejść obok wyłaniających się, licznych zagadnień. Ci ludzie, pozornie tacy sami, okazali się inni. Ta „inność" ujawnia się, gdy zaczną mówić o obozie; ożywiają się, oczy im błyszczą, stają się jakby młodsi o te lata, które dzielą ich od obozu, wszystko nagle staje się znów świeże i żywe, nie mogą wyrwać się z kręgu obozu; w kręgu tym są rzeczy straszne, ale też i piękne, dno ludzkiego upodlenia, ale też ludzka dobroć i szlachetność; oni poznali, czym jest człowiek; mimo to, a może właśnie dlatego wciąż dręczy ich zagadka człowieka, sami chcieliby się dowiedzieć, skąd tyle zła mogło skoncentrować się na małym terenie obozu i jak człowiek mógł to wszystko znieść i temu się przeciwstawić. Sami dla siebie są nieraz zagadką, a w każdym razie silniej niż inni ludzie odczuwają zagadkę ludzkiej natury i zwodniczość ludzkich norm, form i pozorów; dla nich „król jest nagi".

Kontakt psychiatryczny okazał się z takimi ludźmi łatwiejszy niż z tymi, którzy w życiu nie doszli do dna ludzkiego istnienia. Psychiatra bowiem szuka odpowiedzi na pytanie, jakim jest człowiek naprawdę, co kryje się pod maską jego mimiki, gestów i słów. Mówi on, że nawiązał kontakt z chorym wówczas, gdy rozmowa staje się szczera bez wzajemnego maskowania się. Ci, co przeszli obóz, też często stawiają sobie pytanie, jakim ten człowiek jest naprawdę, jak by zachował się w obozie, co by się stało z jego godnością, prawością itp., gdyby znalazł się nagle „tam". Wspólna niechęć do pozorów i maski łączyła więc psychiatrów z byłymi więźniami.

Każdy były więzień może powiedzieć to samo, co Maria *Zarębińska*: „Widziałam rzeczy tak straszne, taką okropną nędzę ludzką, takie barbarzyństwo, taki zanik wszystkiego, co ludzkie i takie proste odruchy czystych serc, że śmiało mogę powiedzieć, że widziałam to wszystko, co człowiek może zobaczyć i przeżyć w piekle i niebie" (24).

Gdy gromadziły się pierwsze zapiski z rozmów z byłymi więźniami, powstała nowa wątpliwość, jak z tych poszczególnych historii życia, z których każda stanowiła sumę przeżyć w większości swej nieprzekazywalnych, skonstruować możliwie uogólniony obraz ludzi, którzy „widzieli to wszystko". Należało zrekonstruować ich linię życia przedobozową, ich przeżycia w obozie, ich życie po wyjściu z obozu (12). Budziły się też wątpliwości, czy stosowana metoda jest dostatecznie obiektywna, czy wytrzymuje kryteria naukowości. Opierała się ona przecież w głównej mierze na umiejętności wczucia się w badanego. Wiele przeżyć zatarło się w pamięci badanych, uległo różnym zafałszowaniom. Przy próbach uogólnień zamazywały się indywidualne i niepowtarzalne sylwetki badanych. Z wielu szczegółów trudno było wybrać najbardziej istotne. Nie zawsze wybór oparty na analizie statystycznej był najsłuszniejszy. Tego rodzaju pytań i wątpliwości nasuwało się wiele przy opracowywaniu historii życia pierwszych 100 zbadanych byłych więźniów (9). Później badania rozszerzyły się o kilkudziesięcioosobową grupę tzw. „dzieci oświęcimskich", tzn. ludzi, którzy urodzili się w obozie koncentracyjnym lub dostali się tam jako dzieci. Problematyka była tu odmienna niż u więźniów „dorosłych", ale pewne cechy w obu grupach były wspólne.

Zetknięcie się z człowiekiem, który przeżył obóz, nasuwa każdemu psychiatrze wiele pytań. Pytania te sięgają nieraz w zasadniczą konstrukcję zawodowej orientacji psychiatry. Konstrukcja ta dotyczy podstawowego pytania, na które każdy psychiatra próbuje dać sobie hipotetyczną odpowiedź, a mianowicie: kim jest człowiek. Otóż wydaje się, że psychiatra, który nie zetknął się z byłymi więźniami obozów, jakoś inaczej formułuje odpowiedź na to pytanie niż ten, który z ludźmi tymi miał okazję się spotkać. Chodzi tu o problem człowieka w sytuacji granicznej, która odsłania go w nowych, niekiedy nieprzewidzialnych perspektywach. To właśnie rozszerzenie perspektyw psychiatrycznych było, jak się zdaje, przyczyną wielu trudności, jakie napotykano przy próbach naukowego opracowania doświadczeń zebranych w kontaktach z byłymi więźniami. Trzeba było nieraz wyjść ze stereotypów myślenia psychia-

---

* Artykuł ten jest próbą podsumowania badań prowadzonych przez ośrodek krakowski. Za cenne uwagi i obserwacje dziękuję koleżankom i kolegom doktorom S. *Kłodzińskiemu*, R. *Leśniakowi*, M. *Orwid*, W. *Półtawskiej*, A. *Szymusikowi* i A. *Teutschowi*.

trycznego. Dość też nieśmiało sformułowano wnioski wypływające z pierwszych obserwacji.

Kontakt z byłymi więźniami nie skończył się po ukończeniu pierwszych badań. Byli więźniowie zgłaszali się i zgłaszają o porady lekarskie. Przeprowadzono wśród nich ankiety (1). Duża grupa byłych więźniów, którzy byli poddani w obozie pseudonaukowym eksperymentom, jest szczegółowo badana w Klinice Chorób Zakaźnych AM w Krakowie pod kierunkiem prof. dra Władysława *Fejkla* i dr Marii *Nowak-Gołąbowej*. Wśród wszechstronnych badań zespołowych ważną rolę spełniają badania psychiatryczne i elektroencefalograficzne (5). W Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie zbadano dotychczas w sumie około 500 byłych więźniów.

Dalsze badania i kontakty potwierdziły na ogół to, co już uwidoczniało się w toku analizy historii życia pierwszych 100 zbadanych byłych więźniów. Również badania przeprowadzone w innych ośrodkach naukowych zgadzały się z tymi pierwszymi obserwacjami. Jest to dowodem rzetelności metod poznawczych w psychiatrii, co do których sami psychiatrzy nie są zawsze pewni.

Po dziesięciu latach badań i obserwacji można więc ze znacznie większą pewnością pokusić się o określenie swoistych cech charakteryzujących ludzi, którzy przeżyli obozy koncentracyjne. Już pierwsi badacze, którzy wkrótce po wojnie zajmowali się stanem zdrowia byłych więźniów, zwrócili uwagę na istnienie takich cech, co pozwoliło im na ujęcie ich wspólną nazwą „astenii postępującej" (*asthénie progressive*). „astenii poobozowej" lub „zespołu obozu koncentracyjnego" (*KZ-syndrom*). Fakt ten jest o tyle interesujący, że obserwowane u byłych więźniów zmiany chorobowe, będące następstwem pobytu w obozie, były przecież różnorodne zarówno w obrazie somatycznym, jak i psychicznym. Na przykład u jednego z byłych więźniów następstwem obozu może być przedwczesna miażdżyca naczyń wieńcowych, u drugiego — naczyń mózgowych, u trzeciego — gruźlica płuc; następstwem obozu mogą być przewlekłe choroby układu pokarmowego, gościec stawowy, przedwczesna inwolucja, uporczywe zespoły neurasteniczne, lękowo-depresyjne, alkoholizm, padaczka itd. (19, 20).

W jednych wypadkach prześledzenie związku przyczynowego z pobytem w obozie jest sprawą łatwą, w innych wymaga dokładnej analizy. Często następstwa poobozowe ujawniają się dopiero w kilkanaście lat po wyjściu z obozu. Pytaniem jednak podstawowym pozostaje, co wśród tych różnorodnych następstw chorobowych jest takiego, że pozwala ująć je we wspólną nazwę „zespołu obozu koncentracyjnego" lub choroby poobozowej.

Oczywiście można na to pytanie dać prostą odpowiedź, że wspólna jest etiologia: pobyt w obozie. Nie to wszakże wydaje się istotne. Każdego, kto zetknął się z ludźmi z obozu, uderza jakieś ich nie określone podobieństwo. Są oni różni i cierpią na rozmaite dolegliwości, będące następstwem ich przebywania w obozie, a jednak mają coś wspólnego. Fakt ten był, jak się zdaje, głównym motywem dla pierwszych badaczy, którzy wprowadzili termin „*KZ-syndrom*" czy *asthénie progressive*. Uwydatniał się on też wyraźnie w badaniach prowadzonych przez ośrodek krakowski, a po latach stał się on jeszcze wyraźniejszy. Dlatego też słuszne wydają się żądania wszystkich badaczy pracujących nad zagadnieniami następstw somatycznych i psychicznych pobytu w obozie, by do terminologii lekarskiej wprowadzić pojęcie „zespołu obozu koncentracyjnego" jako odrębnej jednostki diagnostycznej o określonej etiologii, o charakterystycznym, choć różnorodnym obrazie chorobowym i o swoistej metodzie postępowania leczniczego.

Mimo że w badaniach prowadzonych zarówno bezpośrednio po wojnie, jak i w kilkanaście lat, a nawet blisko w ćwierć wieku po niej wyczuwa się swoistość ludzi z obozu, to jednak nie jest łatwo ją określić. Definicja „zespołu obozu koncentracyjnego", choroby poobozowej, czy też inaczej nazwanej, jeśliby się udało wymyślić zręczniejsze określenie, nie może polegać na wyliczeniu objawów mogących być następstwem pobytu w obozie; tego typu inwentarz byłby nieskończenie długi; natomiast powinno się dążyć do poznania tej nie określonej swoistości, która jest bowiem czynnikiem redukującym różnorodne objawy i różne sylwetki ludzkie do wspólnego mianownika. Ona była impulsem do stworzenia nazwy „*KZ-syndrom*". Mimo upływu ćwierćwiecza jest ona wciąż wyczuwalna, może nawet silniej po upływie lat, niż to było bezpośrednio po wyjściu z obozu.

Rzadko jednak sprawy wyczuwalne są łatwe do zdefiniowania. Dlatego mimo wielu badań wciąż tak trudno jest określić istotę „zespołu obozu koncentracyjnego". Jest w nim coś nieuchwytnego, co łączy wszystkich, którzy przeżyli obóz koncentracyjny. Wydaje się, że nie można dojść do ścisłego ustalenia kryteriów „*KZ-syndromu*", jak też cech ludzi z obozu, nie zaczynając od początku, tj. od samego pobytu w obozie. Oczywiście są to sprawy, które przekraczają granicę ludzkiej wyobraźni i może ludzkiej zdolności wczucia się w przeżycia drugiego człowieka. Mimo to jednak bez tego pierwszego i zasadniczego kroku nie można pójść dalej w kierunku określenia „zespołu obozu koncentracyjnego".

Dzięki bogatej literaturze obozowej można sobie wyobrazić, jak wyglądało życie w obozie. Jest to jednak wyobrażenie dalekie i mgliste i badacz czuje się po trosze w roli Gawalewiczowskiej pani *Gudrun*, która nasłuchawszy się wiele o przeżyciach obozowych od byłych więźniów, którymi się troskliwie zajmowała, pytała ich, czy mieli w obozie nocne lampki przy łóżkach (3, 2). Wydaje się, że przepaść oddzielająca ludzi z obozu od tych, którzy w nim nie byli, jest nie do przebycia. Nikt bowiem nie jest w stanie wczuć się w to, co oni przeżyli. Ich przeżycia są poza granicami ludzkiego zrozumienia (Jaspersowskiego *verstehende*).

Psychiatra nie może wszakże zaniechać prób przekroczenia tych granic, a choć nie zawsze udaje mu się wczuć w przeżycia psychicznie

chorego, to jednak musi mieć jakieś przynajmniej ogólne wejrzenie w świat jego doznań. Podchodząc w ten sposób do przeżyć obozowych, warto zwrócić uwagę na trzy momenty, które wydają się istotne dla dalszych losów więźniów. Są to niezwykła rozpiętość przeżyć obozowych, jedność psychofizyczna i autyzm obozowy.

Wstąpienie w piekło obozu było wstrząsem przekraczającym zwykłe stressy ludzkiego życia. Wszyscy autorzy zajmujący się przeżyciami obozowymi podkreślają ogólne występowanie pierwszej reakcji na pobyt w obozie, która u wielu więźniów kończyła się śmiercią (22, 23). Więzień musiał w ciągu kilku tygodni lub miesięcy jakoś przystosować się do życia w obozie, inaczej zginął. Dwie sprawy były w tej adaptacji ważne. Musiał on znieczulić się na to, co się dzieje koło niego, zamknąć się w sobie, stępieć i zobojętnieć, nie przechodząc jednak w stan „muzułmaństwa", tj. całkowitego zobojętnienia. Tę obronną znieczulicę określono tu pojęciem „autyzmu obozowego". Z drugiej strony musiał on znaleźć w piekle obozu swego „anioła", tj. człowieka lub grupę ludzi, którzy zachowali wobec niego ludzką postawę, pozwalając ocalić resztkę dawnego świata (22, 23).

Wydaje się, że to odnalezienie drugiego człowieka było równym wstrząsem, jak wejście do obozu. Był to wstrząs o znaku dodatnim, „niebo" w piekle obozu. Nigdy człowiek nie może żyć w jednym kolorycie. Obok czarnego jest zawsze białe. Tu jednak rozpiętość między przeciwstawnymi kolorami życia była już szokująca; nie były to kontrasty zwykłego życia, ale prawdziwe piekło i niebo. Maski spadały, człowiek był nagi. Był to naprawdę swoisty eksperyment psychiatryczny, o którym pisze w tym zeszycie były więzień, dr med. Piotr *Wesełucha*. Odsłaniało się w człowieku to, co normalnie jest ukrywane, jego zbrodniczość i jego świętość. Psychiatra z racji swego zawodu styka się z tą „podszewką" natury ludzkiej; w obozie była ona na wierzchu. Dlatego też byli więźniowie są na ogół bardzo uczuleni na autentyczność kontaktów z ludźmi; czują się najlepiej wśród swoich, gdyż tylko z nimi mają wspólny język, innym ludziom trochę nie dowierzają. Zmiany osobowości obserwowane u byłych więźniów przypominają więc trochę zmiany występujące po psychozie, zwłaszcza typu rozszczepieniowego. I jedni, i drudzy po tym, co przeżyli, nie mogą jakby zejść z powrotem na ziemię (7, 8). Rozpiętość ich przeżyć była zbyt wielka, by mogli zmieścić się w przeciętnym kolorycie normalnego życia.

W tym *anus mundi*, jakim był obóz, w gruzy rozpadał się dotychczasowy świat z jego wartościami, ideami, sprawami ważnymi i błahymi. Stawał się on nierealny; wracał w marzeniach sennych; wydawało się, że taki świat może istnieć tylko na innej planecie. Gdy wali się dotychczasowy świat, człowiek czuje się zagubiony, ogarnia go lęk, nie może rzutować się w przyszłość; stąd poczucie beznadziejności. W tej sytuacji uśmiech drugiego człowieka, życzliwe słowo, nieraz drobna pomoc stawały się skrawkiem nieba, otwierały perspektywy na przyszłość, przywracały wiarę w człowieczeństwo własne i innych ludzi. I od tego momentu żaden kontakt z człowiekiem, ani przedobozowy, ani poobozowy, nie dorównywał temu swoistemu olśnieniu, jakim było spotkanie się z człowiekiem w obozowym piekle.

W zwykłych warunkach życia kontakty z ludźmi stają się mniej lub więcej zdawkowe, człowiek bardziej ociera się o ludzi niż z nimi współżyje, maska form towarzyskich broni przed wejściem w cudzą sferę intymności. Dlatego człowiek mimo dobrych kontaktów z innymi czuje się tak często samotny. Może to brzmi paradoksalnie, ale w obozie poczucie samotności było mniejsze niż w warunkach życia normalnego. Byli więźniowie czują się na ogół dobrze wśród swoich, tj. towarzyszy niedoli; wśród nich znika ich poczucie osamotnienia i niezrozumienia przez innych (10, 11). W obozie bowiem poznali oni smak zetknięcia się z człowiekiem. Zetknięcie to często ratowało im życie, z numeru zmieniało ich z powrotem w ludzi.

Znaczenie kontaktu międzyludzkiego było zupełnie inne w obozie niż w życiu normalnym. Zwykły, ludzki gest, na który w normalnym życiu nie zwraca się uwagi, uważając go za formę grzecznościową, był w obozie olśnieniem, ukazaniem skrawka nieba, ratował nieraz życie, przywracał wiarę w życie.

Podstawowa dla myślenia lekarskiego teza o jedności psychofizycznej człowieka szczególnie wyraźnie potwierdza się na początku i u kresu jego życia, a także w sytuacjach granicznych. U małych dzieci i u starców subiektywne wiąże się z obiektywnym, załamanie psychiczne prowadzi do załamania fizycznego, a nawet do śmierci. To samo dzieje się w sytuacjach granicznych. Wówczas człowiek też jest blisko śmierci i gdy subiektywna całka wszystkich funkcji ustroju, jaką jest życie psychiczne, ulegnie załamaniu, załamuje się wszystko. Więzień, który już nie chciał żyć, miał wszystkiego dosyć, najczęściej nie przeżywał następnego dnia lub przechodził w stan „muzułmaństwa". Z drugiej strony życzliwe słowo kolegi obozowego ratowało nieraz życie. Może nigdzie tak wyraźnie nie ujawniły się znaczenie i istota psychoterapii, jak właśnie w obozie. Jeśli w szpitalu obozowym (już w tym okresie, gdy był on opanowany przez więźniów politycznych) ludzie z ciężkich chorób somatycznych wracali do zdrowia, to nie dzięki lekom, których prawie nie było, ale dzięki postawie kolegów więźniów, lekarzy, pielęgniarzy i rekonwalescentów. Był to chyba najpiękniejszy rozdział w historii psychoterapii. Była to prawdziwa „społeczność terapeutyczna", o której dziś wiele mówi się w psychiatrii.

Pojęcie jedności psychofizycznej, choć tak oczywiste dla każdego lekarza, jest pozornie nieprzekonujące, gdyż sprzeczne z naturalnym u każdego czło-

wieka rozszczepieniem *soma* od *psyche*, czynności fizycznych od psychicznych; jedne są przedmiotem, a drugie podmiotem. Wydaje się, że rozszczepienie to jest w pewnej przynajmniej mierze wyrazem funkcji sterowniczych ustroju. Między sterującym a sterowanym wytwarza się zawsze stosunek podmiotu do przedmiotu. W ustroju ludzkim spośród rozległych i niezwykle skomplikowanych czynności sterowniczych tylko drobna część dociera do świadomości, inne są zautomatyzowane od początku (np. czynności wegetatywne) lub ulegają automatyzacji dzięki stałemu powtarzaniu (np. czynność chodzenia). Dziecko, ucząc się chodzić, ma świadomość każdego ruchu związanego z tą funkcją; rozgrywa się wówczas ostra walka między podmiotem, chcącym opanować nową czynność, tj. chodzenie, a przedmiotem, tj. tym wszystkim, co temu nowemu celowi się przeciwstawia. W miarę opanowywania nowej funkcji walka słabnie; przenosi się ona do nowych zadań (np. funkcja pisania). Opanowana funkcja staje się posłusznym „przedmiotem", „funkcją fizyczną", „ciałem"; wystarczy akt woli („idę") i ciało ulegle go spełnia. Dla tancerza, alpinisty itp. walka nadal trwa; każdy ruch jest w polu świadomości. Nie jest on wyłącznie funkcją fizyczną, ale też psychiczną; ich „ciała" są w jakimś sensie „uduchowione", tzn. świadomie przeżywane. Rozdział między podmiotem a przedmiotem jest więc związany z ustawiczną walką o realizację nowych celów, z przemianą potencjalnych struktur czynnościowych w struktury zrealizowane.

W obozie czynności dawno zautomatyzowane z powrotem stawały się polem walki. Każdy krok, postawa ciała, ruch ręki stawały się ważne, mogły niejednokrotnie decydować o życiu. Jedzenie, załatwianie potrzeb fizjologicznych zajmowały główną pozycję w świadomości więźnia. Mówiąc językiem psychoanalitycznym, była to regresja do pierwszych lat życia, gdy dziecko uczy się tych czynności i w związku z tym są one ośrodkiem jego przeżyć. Dlatego może więź emocjonalna między więźniami miała w sobie coś ze stosunku macierzyńskiego; życzliwy gest miał moc gestu matki. Dlatego tak ważna dla przeżycia była wola przetrwania. Każdy ruch był bowiem ważny, liczył się, trzeba było wciąż walczyć z sobą. Po oczach można było poznać, że ktoś już nie miał sił walczyć dalej. „Te oczy, zwiastuny [śmierci] w obozie — pisze prof. Stanisław *Pigoń* (13, 14) — to już osobna kwestia. Napatrzyłem się im ponad miarę. Wymowę ich poznaliśmy doświadczalnie. Jak gospodarz po wyglądzie zachodzącego za chmurę słońca rozeznaje się w niepogodzie jutrzejszej, tak my z jakości czyjegoś spojrzenia poznawaliśmy odległość cicho zbliżającej się śmierci. Trzy dni naprzód można już było oznaczyć koniec człowieka" (str. 200). W obozie znikało rozszczepienie między *soma* a *psyche*. Rozluźnienie wewnętrznego napięcia związanego z chęcią przetrwania oznaczało z reguły kres życia. „Muzułmaństwo" było typowym przykładem rezygnacji z walki.

Lekarz mający ocenić odległe skutki przebywania w obozie niejednokrotnie jest w kłopocie, gdyż trudno mu ustalić związki przyczynowe. Rzecz w tym, czy przedwczesne starzenie się, czy gruźlica, czy choroba układu sercowo-naczyniowego, czy nerwica, alkoholizm, padaczka itd. są rzeczywiście następstwem cierpień obozowych. Często oznaki choroby pojawiają się po wielu latach. Czy brak ciągłości czasowej pozwala na przyjęcie związku przyczynowego? Jakie czynniki etiologiczne odgrywały rolę w powstaniu chorób poobozowych, głód, urazy mechaniczne, choroby zakaźne, urazy psychiczne itd.? Tego mniej więcej typu pytania trapią lekarzy orzekających w sprawach byłych więźniów (21). Wydaje się, że przyjęcie jedności psychofizycznej ustroju, która dramatycznie ujawniała się w obozie, ułatwia odpowiedź na wymienione pytania. Niezwykła mobilizacja całegu ustroju, jakiej wymagały warunki życia obozowego, a która w świadomości wyrażała się dążeniem do przetrwania mimo wszystko, była, jak się wydaje, głównym czynnikiem etiologicznym. Człowiek normalnie nie wytrzymuje takiego napięcia na dłuższą metę. Opisywane są wypadki śmierci wskutek zbyt gwałtownej mobilizacji układu endokrynno-wegetatywnego (obserwacje *Cannona*, na których *Selye* oparł swą koncepcję stressu). Oczywiście nie bez znaczenia były inne czynniki etiologiczne, przede wszystkim głód, ale prawie każdy z nich sprowadzał się ostatecznie do krańcowej mobilizacji ustroju. Dla jednego głód był czymś nie do zniesienia i prowadził w końcu do „muzułmaństwa"; dla drugiego był wprawdzie torturą koncentrującą wszystkie myśli, ale torturą, której więzień potrafił się przeciwstawić. W końcu więc wszystko sprowadzało się do walki z inercją własnego ciała.

W rozważaniu powiązań przyczynowych nie wydaje się słuszne ostre oddzielanie czynników psychicznych od fizycznych. Jedne z drugimi tak się silnie wiązały, że oddzielanie ich jest czymś sztucznym. Głód, choroby zakaźne (zwłaszcza dury wysypkowy i brzuszny), urazy głowy itp. mogły prowadzić do trwałego uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego. Uszkodzenie to mogło manifestować się przez wiele lat jedynie przewlekłym zespołem nerwicowym. Dopiero po latach mogą wystąpić objawy zespołu psychoorganicznego, co oczywiście zwraca uwagę lekarza na właściwą etiologię, która przedtem łatwo była przeoczana. Z drugiej strony długotrwałe napięcie psychiczne, jakie towarzyszyło życiu w obozie, mogło wyzwolić przedwczesny proces miażdżycowy lub zmniejszyć ogólną odporność ustroju. W tym wypadku zespół objawów wyraźnie somatycznych był następstwem urazów psychicznych (19, 20). Rozważania tego typu mają wartość tylko teoretyczną; w praktyce nie da się oddzielić poszczególnych czynników od siebie. Zagadnienie związków przyczynowych można więc rozpatrywać tylko całościowo.

Wspomniana maksymalna mobilizacja ustroju, która była warunkiem przeżycia obozu, z punktu widzenia lekarskiego nie mogła pozostać bez następstw. Jak zatem wytłumaczyć fakt, że istniała przecież grupa byłych więźniów, którzy przez wiele lat po obozie nie wymagali pomocy lekarskiej? Dopiero po upływie długiego czasu część z nich zaczęła wykazywać zaburzenia natury somatycznej, czy psychicznej, które można było uważać za późne następstwa obozu. Przede wszystkim obserwowało się u nich przedwczesny proces involucji. Są jednak i tacy, którzy do tej pory cieszą się najlepszym zdrowiem i dobrym samopoczuciem, a swoją żywotnością i młodością górują nieraz nad ludźmi, którzy tortur obozu nie przeszli. Ludzie ci, wprawdzie nieliczni, z punktu widzenia lekarskiego stanowią zagadkę. Możliwe, że przy dokładniejszych możliwościach badawczych dałoby się u nich odkryć zmiany patologiczne będące następstwem pobytu w obozie. Z teoretycznego punktu widzenia następstwa takie powinny istnieć. Długotrwały i silny stress, jakim był obóz koncentracyjny, nie może pozostać bez trwałych śladów w ustroju. Ślady te mogą przez wiele lat utrzymywać się w stanie utajenia i nagle ujawniają się pod wpływem błahych nieraz czynników natury fizycznej lub psychicznej.

Ślady te ujawniają się podczas dokładnego badania psychiatrycznego w postaci mniej lub bardziej dyskretnych poobozowych zmian osobowości, trudności adaptowania się do normal-

nego życia, zmiany zasadniczych postaw życiowych i hierarchii wartości, uznawania obozu jako ostatecznego układu odniesienia, w postaci snów obozowych, obozowej hipermnezji itp. Oczywiście są to fakty z zakresu psychiki, ale przyjmując jednak koncepcję jedności psychofizycznej, która szczególnie dramatycznie manifestowała się w obozie, należy rozpatrywać je na równi z faktami fizycznymi.

Dla zrozumienia, dlaczego po przeżyciach obozu można było zachować pełne zdrowie, należy znów cofnąć się do okresu samego obozu i odpowiedzieć na pytanie, jak w ogóle można było przeżyć obóz. Niewątpliwie trzeba było się znieczulić na wiele doznań, które w normalnym życiu byłyby nie do zniesienia, należało zamknąć się w sobie, znaleźć w samym sobie jakiś silny punkt oparcia, wiarę w przeżycie, przekonanie, że zło, nawet największe, musi się skończyć, myśl o rodzinie, wiarę religijną, myśl o karze dla prześladowców itp. (22, 23).

Pięknie o tym pisze w cytowanych już „Wspominkach z obozu w Sachsenhausen" prof. Stanisław *Pigoń*: Dawne fortece były dwukondygnacyjne. Ponad «niższym» wznosił się zawsze na litej skale «wysoki zamek». Choć pierwszy padł, w drugim można się jeszcze było długo trzymać. Dobrze radził stary zbójnik Rafałowi Olbromskiemu w więzieniu orawskim: «Trzim się». I nam wypadło wobec złowrogiej przemocy znaleźć w sobie taki «wyższy zamek», ostoję, z niewzruszonych najbardziej niewzruszoną, czepić się jej pazurami i za nic ani na chwilę nie popuścić. Nie dać przystępu zwątpieniu, prostracji, zaszyć się w swym najciaśniejszym ostępie i trwać, jak kamień w gruncie. Niechże mię wysadzą. W tym był właściwy ratunek. Słowa to nieczcze. Sam dopadłem w sobie do takiego punktu oparcia i chyba temu zawdzięczam, żem wybrnął. Jaki on był, to nie należy tu do rzeczy, ale był i był ochroną przeciw nawale atakującej nienawiści. Taka zaś zbrojność nie zależała od wieku ani tylko od zasobu sił żywotnych" (str. 204).

Dla psychiatry zjawisko to ma coś ze schizofrenicznego autyzmu; świat otaczający staje się nie do zniesienia, człowiek zamyka się w sobie, odcina się od wymiany ze środowiskiem, żyje we własnym świecie, który nabiera nagle lub stopniowo waloru realności. Dlatego jest trafne określenie „autyzm obozowy". Oczywiście nie był on absolutny. Kontakt z przyjaciółmi i kolegami, ten promień światła w piekle obozu, odgrywał zasadniczą rolę w przetrwaniu. Był on zjawiskiem ogólnym i bez niego nie można było „zaadaptować" się do życia w obozie (22, 23). Ale jak w schizofrenii odróżnia się autyzm pełny od pustego, tak i w obozie obok tych, którzy znaleźli swój „wyższy zamek", byli i tacy, co go znaleźć nie mogli. Tak o nich pisze prof. *Pigoń*:

„Jeżeli mówię o taktyce ratowania się więźniów przed zasypującą ich lawiną zła i zagłady, wspomnę o sposobie, którego nie odważyłem się osądzić: trudniejszy on, czy łatwiejszy od wyżej podanego, wyższy, czy niższy? Bądź co bądź rzadko można było spotkać takiego, co się odważył go spróbować. Był to szczególny rodzaj ataraksji związany z jakimś trudnym do pojęcia wewnętrznym zdrewnieniem. Osobnik, który się zdobył na taką postawę, określany był półwzgardliwym, półlitościwym mianem «muzułman». Specyficzny to wytwór warunków obozowych. Na samym dnie poniewierki, przy całkowitym zobojętnieniu na grozę śmierci, potrafił on przezwyciężyć i zdławić cierpienie, nie cofnąć się przed przeraźliwością bólu. Był taki jeden w naszym baraku, patrzyłem nań ze wstrząsającym przerażeniem. Zbiedzony, ledwie się trzymający na nogach, szedł bez wahania w środek kaźni z upartym wezwaniem: no, to mię wykończ! I bywało, o dziwo, tak, że szatan okrucieństwa odwracał odeń znużony w rozjuszeniu wzrok i pokonany umykał. Sam widziałem" (str. 204—205).

Zaskakującym faktem jest, że byłym więźniom trudniej było zaadaptować się do życia poobozowego niż do obozu (10, 11). Wiele obiektywnych faktów na to się złożyło. Wiele było nie spełnionych oczekiwań i zawiedzionych nadziei. Przez wiele lat nie doceniano cierpień i bohaterstwa tych ludzi. Sprawy codziennego życia na wolności wydawały im się błahe w porównaniu z tym, co przeszli w obozie. Formy ludzkiego współżycia raziły ich obłudą i małostkowością. Podobnie jak chory po ostrej psychozie schizofrenicznej z trudem wraca na ziemię do zwykłego życia, wszystko wydaje mu się szare i banalne w porównaniu z tym, co przeżył w okresie psychozy, tak i ludzie „stamtąd" przez wiele miesięcy, a nawet lat, nie mogli się z powrotem przyzwyczaić do normalnego życia.

Istnieją pewne granice przeżyć ludzkich i bezkarnie nie można ich przekraczać; jeśli się to stanie, gdy wyjdzie się „poza", wówczas już nie ma powrotu do dawnego. Zmienia się coś w zasadniczej strukturze; człowiek już nie jest ten sam, co kiedyś. Tę inność określa się jako „zmianę osobowości", a w wypadku schizofrenii używa się często technicznego i niezbyt dla człowieka stosownego określenia „defekt".

Obserwowane u byłych więźniów zmiany osobowości (7, 8) dotyczą głównie trzech wymiarów: 1) ogólnej dynamiki życiowej, odczuwanej subiektywnie jako nastrój, 2) stosunku do ludzi i 3) zdolności hamowania. Najczęściej spotyka się obniżenie nastroju, nieufny stosunek do ludzi, obniżenie zdolności hamowania (zwiększoną pobudliwość i drażliwość). Zdarzają się jednak zmiany w kierunku przeciwnym: zwiększonej dynamiki życiowej, zwiększonej ufności w stosunku do ludzi, graniczącej z naiwnością, zwiększenia hamowania w postaci „kamiennego spokoju".

Ci, którzy mają krewnych i przyjaciół wśród byłych więźniów, odczuwają czasem niemile fakt, że nie znajdują z nimi jakby wspólnego języka; znacznie lepiej czują się wśród swych kolegów obozowych niż w kręgu rodziny lub przedobozowych przyjaciół. Wśród „swoich", tj. kolegów z obozu, nagle ożywiają się, stają się bezpośredni, znikają wszelkie społeczne hierarchie i formy z nimi związane, pojawia się swoisty, obozowy humor. Nie wszyscy byli więźniowie utrzymują kontakt z dawnymi towarzyszami; są tacy, którzy tych kontaktów unikają, jak też wszelkich wspominków na ten temat. Są to przeważnie ci, którzy jeszcze obozu nie potrafili „przetrawić"; przeżycia obozowe są dla nich wciąż zbyt bolesne, by potrafili do nich wracać (10, 11).

U każdego człowieka istnieją „wysepki" wspomnień, do których chętnie sam wraca lub

które nawet wbrew jego woli wynurzają się z zapomnienia. Są to różne wysepki, większe i mniejsze, piękne i brzydkie. Pojawiają się zależnie od nastroju i aktualnej sytuacji, a czasem nie wiadomo dlaczego. Dla byłych więźniów przeżycia obozowe stały się nie wysepką, ale potężną wyspą, która swym ogromem przesłoniła wszystkie inne. Wyspa ta stała się głównym układem odniesienia (10, 11) w poobozowym życiu byłych więźniów. Zmieniła ona ich stosunek do życia, skalę wartości, stosunek do ludzi i wpływa na wyznaczanie celów życiowych, a z dręczącą regularnością wraca w marzeniach sennych. Nie można już od niej odpłynąć.

Na drugim ogólnopolskim zjeździe lekarzy ZBoWiD (28—29 maja 1968 roku) „wysunięto postulat, aby ze względu na swoistość i osobliwość chorobowego zespołu tzw. poobozowego (*KZ-syndrom*), który został bezspornie uznany w świecie naukowym, włączyć ten zespół do międzynarodowej klasyfikacji chorób i opatrzyć odpowiednim numerem statystycznym, co między innymi miałoby istotne znaczenie w orzecznictwie lekarskim. Ponieważ nazewnictwo tego zespołu nie jest jednolite, należy powierzyć ustalenie i ujednolicenie odpowiedniej terminologii fachowcom, tj. lekarzom ZBoWiD i językoznawcom jako konsultantom" (6).

Analizując poobozowe następstwa chorobowe, należy cofnąć się do samego pobytu w obozie. Trzy czynniki, jak starano się w tym artykule wykazać, odgrywają tutaj ważną rolę: rozpiętość przeżyć („piekło" i „niebo" obozu), jedność psychofizyczna, która *in extremis* życia obozowego dramatycznie się manifestowała i swoisty autyzm, polegający na znalezieniu w samym sobie punktu oparcia, umożliwiającego przetrwanie obozu. Swoistość hitlerowskich obozów koncentracyjnych wpływa też na specyfikę chorobowych zmian poobozowych. Mimo wielu cech wspólnych nie są one identyczne ze zmianami spotykanymi w następstwie pobytu w obozach jenieckich (tzw. „choroba drutów kolczastych") lub w innego typu obozach koncentracyjnych, toteż przynajmniej tymczasem termin „*KZ-syndrom*" wydaje się najwłaściwszy dla ich określenia.

PIŚMIENNICTWO

1. *Dominik* M.: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety. Przegl. Lek., 1967, 1, 102—104. — 2. *Gawalewicz* A.: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia. Przegl. Lek., 1965, 1, 123—134. — 3. *Gawalewicz* A.: Refleksje z poczekalni do gazu. Wydawn. Literackie, Kraków 1968. — 4. *Gątarski* J.: Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, 1. 37—38. — 5. *Gątarski* J., *Orwid* M., *Dominik* M.: Wyniki badania psychiatrycznego i elektroencefalograficznego 130 byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki. Przegl. Lek., 1969, 1, 25—28. — 6. *Jagoda* Z., *Masłowski* J.: Drugi zjazd lekarzy ZBoWiD. Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej. Przegl. Lek., 1969, 1, 184—188. — 7. *Leśniak* R.: Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1965, 1, 13—20. — 8. *Leśniak* R.: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1965, 1, 13—20. — 9. *Leśniak* R., *Mitarski* J., *Orwid* M., *Szymusik* A., *Teutsch* A.: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań. Przegl. Lek., 1961, 1a, 64—73. — 10. *Orwid* M.: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1962, 1a, 94—97.

11. *Orwid* M.: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, 1, 17—23. — 12. *Orwid* M., *Szymusik* A., *Teutsch* A.: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, 1, 9—12. — 13. *Pigoń* S.: Z przędziwa pamięci. PIW, Warszawa 1968. — 14. *Pigoń* S.: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940). Przegl. Lek., 1966, 1, 156—174. — 15. *Półtawska* W.: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi" (uwagi ogólne). Przegl. Lek., 1965, 1, 21—24. — 16. *Półtawska* W.: Stany hipermnezji napadowej (na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich"). Przegl. Lek., 1967, 1, 89—93. — 17. *Półtawska* W., *Jakubik* A., *Sarnecki* J., *Gątarski* J.: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub uwięzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, 1, 21—36. — 18. *Sarnecki* J.: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub uwięzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, 1, 39—46. — 19. *Szymusik* A.: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1962, 1a, 98—102. — 20. *Szymusik* A.: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, 1, 23—29.

21. *Szymusik* A.: Dotychczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1965, 1, 74—75. — 22. *Teutsch* A.: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1962, 1a, 90—94. — 23. *Teutsch* A.: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, 1, 12—17. — 24. *Zarębińska* M.: Widziałam to wszystko. Polityka, 1969, 20.

Podano tylko te prace naukowe, które wyszły z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie; w nich jest przytoczone szersze piśmiennictwo. Zob. też spis treści poprzednich numerów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", zamieszczony na końcu niniejszego zeszytu.

CZESŁAW KEMPISTY
były więzień Pawiaka i obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 16686, Ravensbrück nr 7228 i Sachsenhausen nr 13579

Wrocław

Wyniki badań lekarskich byłych więźniów obozu dla dzieci w Łodzi

Czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" znają dzieje obozu dla dzieci w Łodzi (*Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei*) z prac J. *Witkowskiego*. Wiadomo np., że więzione tam dzieci masowo chorowały na jaglicę, świerzb, owrzodzenia skóry i dury, przy czym dur wysypkowy z powodu zawszenia miał rozmiar epidemii.

Nie trzeba uzasadniać, jak konieczne jest dołączenie spostrzeżeń lekarskich do ciągle wzbogacającego się piśmiennictwa dotyczącego eksterminacji dzieci polskich w czasie drugiej wojny światowej. W porozumieniu z Zarządem Głównym ZBoWiD, Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej podjęliśmy we Wrocławiu w roku 1968 pracę zespołową (lek. Krystyna *Cholewianka*, lek. Stefan *Frejtak*, lek. Leon *Hrynkiewicz*, dr Jerzy *Katzenellenbogen*, dr Czesław *Kempisty*, mgr Maria *Serafin*), mającą na celu ustalenie aktualnego stanu zdrowia byłych więźniów wspomnianego obozu łódzkiego.

Praca ta jest dalszym ogniwem w zakresie badań lekarskich byłych więźniów-dzieci z różnych obozów. Inni autorzy przedstawili uzyskane przez siebie wyniki na I i II ogólnopolskim zjeździe lekarzy ZBoWiD, a także w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (J. *Gątarski*, A. *Jakubik*, J. *Kościuszkowa*, W. *Półtawska*, J. *Sarnecki* zajęli się tzw. „dziećmi oświęcimskimi"). Podjęte badania dzieci łódzkich uwzględniają zarówno późniejsze porównanie stanu somatycznego badanych z grupą osób, które w dzieciństwie nie zaznały niedoli pobytu w obozach hitlerowskich, jak również analizę psychiatryczną, psychologiczną i socjologiczną. Obecny stan badań wrocławskich pozwala na sformułowanie wstępnych wyników.

Badania są w toku i obejmą około 300 osób mieszkających na terenie Polski spośród około 6000 dzieci, które przeszły przez obóz łódzki. Do maja 1969 roku zbadaliśmy 106 osób, przy czym do czasu oddania artykułu do druku można było poddać ocenie tylko chorobowość byłych więźniów obozu w Łodzi, odkładając głębszą analizę porównawczą i psychosocjologiczną do czasu ukończenia całości badań.

Zastosowano wywiad, ujęty w 108 pytaniach opracowanych przy wydatnej pomocy Katedry Socjologii i Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Katedry Medycyny Sądowej Akademii Medycznej we Wrocławiu. Odpowiedzi uzyskane w koleżeńskiej rozmowie, odbiegającej od atmosfery gabinetu lekarskiego, zostały później naniesione na formularze, które uwzględniały serię pytań, obejmujących przedwojenny okres życia badanych, czas pobytu w obozie oraz okres powojenny. Niektóre odpowiedzi uzyskane od badanych zostały następnie rozwinięte w toku badania psychiatrycznego i w rozmowie z psychologiem.

Byli więźniowie zostali także poddani podstawowym badaniom podmiotowym, a niektórzy — zależnie od skarg i wskazań — zostali nadto zbadani przez odpowiednich specjalistów. Wśród badań dodatkowych, opierając się o dotychczasowe doświadczenia (S. *Kłodzińskiego*, J. *Kutyby*, W. *Rautenberga*, piszącego te słowa i innych), wykonaliśmy między innymi elektrokardiogram w spoczynku i po obciążeniu układu krążenia, analizę poziomu lipoprotein w surowicy krwi, elektroencefalogram, badanie oscylacji na kończynach oraz zdjęcia radiologiczne kręgosłupa ze względu na liczne urazy okolicy lędźwiowo-krzyżowej kręgosłupa, przytaczane przez badanych w anamnezie.

W ten sposób zebrany i udokumentowany materiał posłużył do wstępnego opracowania aktualnego stanu zdrowia tych, którym los pozwolił przeżyć w dzieciństwie katorgę obozową. W 106-osobowej zbadanej grupie jest 48 mężczyzn i 58 kobiet. Spośród nich 29 osób pobiera rentę II i III grupy inwalidzkiej (27,3% badanych). Badani zostali osadzeni w obozie jako dzieci 4—16-letnie; obecnie osiągnęli wiek

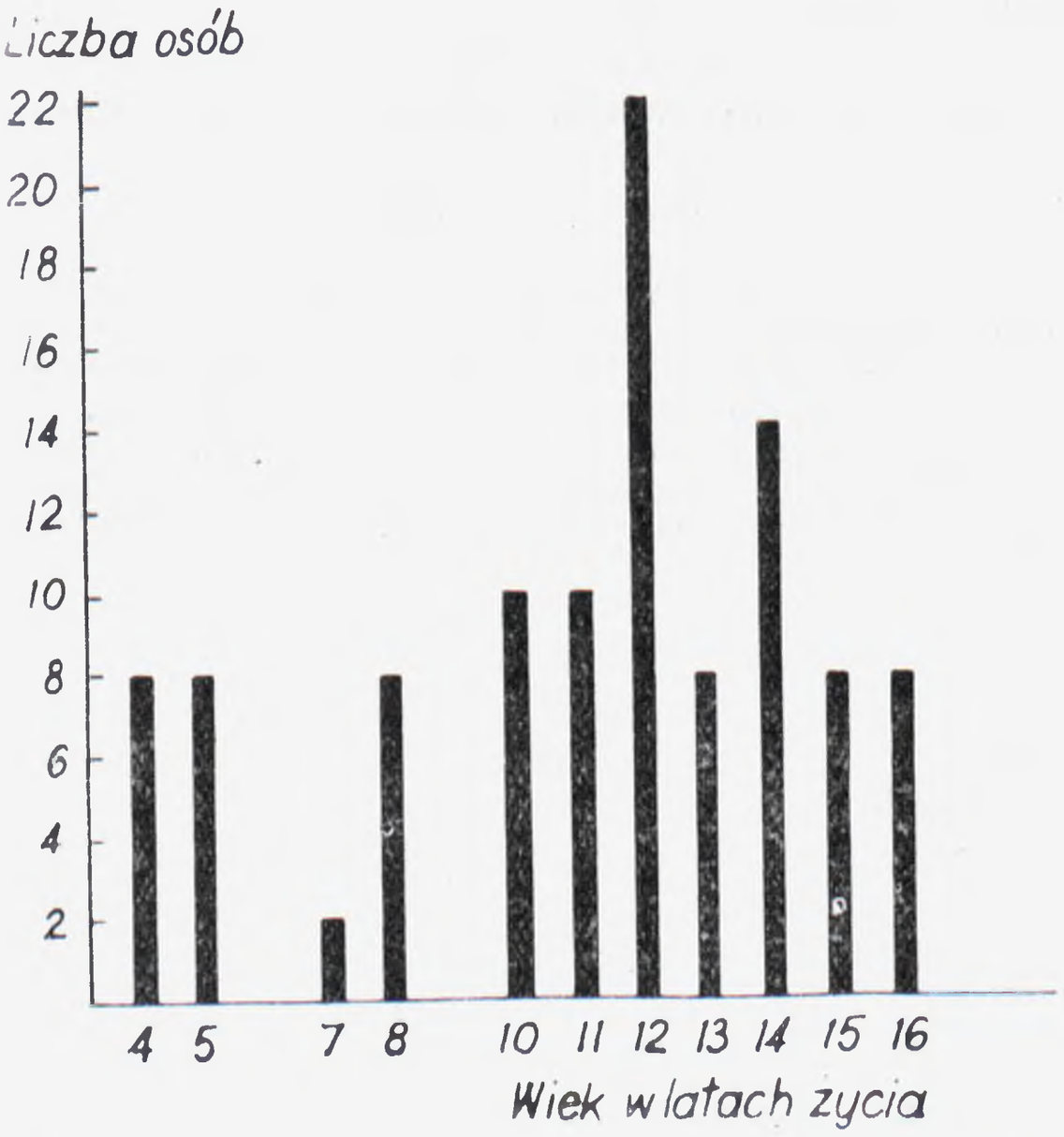

Ryc. 1. Wiek badanych w chwili uwięzienia

28—42 lat (ryc. 1). Przeciętny czas pobytu w obozie wynosił 3—4 lata.

Choroby rozpoznane u tych 106 osób (ryc. 2) można podzielić na następujące grupy: 1) choroby przewodu pokarmowego (choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy, nieżyty żołądka i jelit, kamica żółciowa) u 58 osób (54,7% badanych), 2) choroby kości i narządu ruchu (gościec stawowy i kręgosłupa, mięśniowy i bliżej nie określony) u 56 osób (52,8%), 3) zaburzenia psychonerwicowe u 56 osób (52,8% badanych), które wymagają odrębnego opracowania (w tej grupie u 8 osób stwierdzono padaczkę), 4) choroby układu krążenia (niewydolność naczyń wieńcowych, zwyrodnienie mięśnia sercowego, choroba nadciśnieniowa, choroby naczyń obwodowych) u 48 osób (45,28% badanej grupy), 5) choroby układu oddechowego (rozedma, przewlekły nieżyt oskrzeli) u 12 osób (11,3%) i 6) choroby układu moczowego u 10 osób (9,4%).

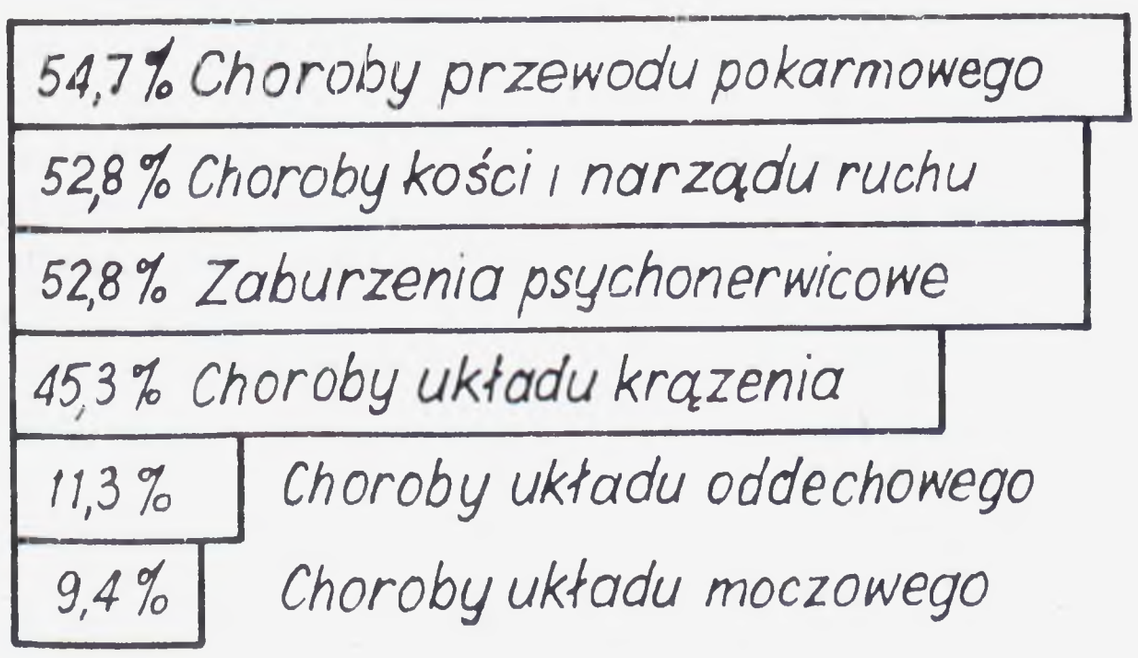

Ryc. 2. Chorobowość badanych byłych więźniów-dzieci z obozu w Łodzi

Jak wynika z podziału rozpoznań, rozkład podstawowych grup chorób stwierdzonych u byłych więźniów obozu łódzkiego odbiega od wyników podanych w dotychczasowych pracach na ten temat. Zrozumiałe jest, że zabranie dzieci z ich domu rodzinnego w okresie intensywnego rozwoju i umieszczenie ich w środowisku urągającym podstawowym wymaganiom higieny, a także obciążenie tych nieletnich więźniów sprzeczną z ich możliwościami fizycznymi wytężającą pracą przy głodowych racjach żywnościowych było zespołem warunków odmiennych od wpływu podobnych obciążeń, w których znajdowali się więźniowie dorośli, fizycznie i psychicznie rozwinięci. Tę różnicę można wyraźnie stwierdzić dzięki licznym już pracom dotyczącym dorosłych więźniów, a zamieszczonym głównie w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Wśród dzieci z obozu w Łodzi przeważają choroby przewlekłe, których etiopatogeneza jest ściśle związana z pobytem w obozie. Z analizy chorób kości i narządów ruchu wynika, że stwierdzone u 24 osób (22,6%) zniekształcające zmiany zwyrodnieniowe kręgosłupa mają według wywiadów charakter pourazowy; powstały one z powodu urazów w toku śledztwa, kar chłosty, czy też nadmiernego obciążenia ciężką pracą fizyczną. Warto podać dla przykładu skrót historii choroby jednego z badanych.

Mężczyzna, J. P., lat 34, z zawodu cieśla (nr księgi głównej 11/Ł/69), żonaty; ma jedno dziecko. Przed wojną był zawsze zdrowy. Nie może określić typu swej osobowości ze względu na młody wiek w tym okresie. Został aresztowany wraz z rodzicami i siostrą w grudniu 1943 roku przez gestapo (represja okupanta wobec rodziców, którzy odmówili podpisania *volkslisty*, zostali osadzeni w obozie oświęcimskim i oboje zginęli). Po aresztowaniu początkowo przebywał w więzieniu gestapo w Cieszynie, a potem osadzono go w obozie w Łodzi. Przebywając w więzieniu i w obozie, był wielokrotnie bity. Szczególnie zapamiętał ciężką karę dotkliwej chłosty, po której wskutek silnego bólu po uderzeniach w okolicy lędźwiowej stracił przytomność, a potem przez 6 tygodni nie mógł chodzić i przebywał w izbie chorych. W obozie cierpiał na ropowicę skóry, przebył świerzb, chorował na jaglicę i miał okresowe biegunki. Już pod koniec jego pobytu w obozie koledzy zauważyli, że „jest krzywy". Po wojnie mimo intensywnego leczenia rehabilitacyjnego skrzywienie kręgosłupa postępowało, ograniczając ruchy chorego i utrudniając mu wykonywanie pracy zawodowej. Opuścił obóz w stanie skrajnego wyniszczenia i wychowywał się w domu dziecka, gdzie skończył szkołę podstawową, a następnie zawodową. Ożenił się w roku 1955. Pożycie małżeńskie układa się badanemu pomyślnie. W pracy zawodowej ma konflikty; jest bardzo wrażliwy, „nerwowy", okresowo gnębią go stany lękowe i cierpi na bezsenność. Od czasu pobytu w obozie oprócz wymienionych dolegliwości kręgosłupa cierpi na nadkwaśny nieżyt żołądka. Badanie przedmiotowe wykazało wyraźną rotację kręgosłupa w odcinku końcowym piersiowym i lędźwiowym. Ze względów technicznych zdjęć radiologicznych nie można reprodukować. Trzony lędźwiowe są zniekształcone. Zapis elektroencefalograficzny jest na granicy normy. Wyniki licznych innych badań dodatkowych nie wykazały istotnych odchyleń od normy. Rozpoznano pourazową skoliozę rotacyjną kręgosłupa lędźwiowego, zniekształcenie trzonów kręgów lędźwiowych, przewlekły nadkwaśny nieżyt żołądka i nerwicę ogólną znacznego stopnia.

Niezwykle wyraziście tragizm dziecka w obozie oddają stwierdzone u czterech kobiet brzeżne ubytki osteolityczne w guzach kości piętowych, będące zejściem długotrwałego procesu zapalnego stóp wskutek działania żrących ługów. Te w obozie 6—15-letnie dziewczynki zmuszono do pracy w pralni, w której stały one całymi godzinami i dniami zanurzone po kostki w wodzie zmieszanej z chemikaliami.

Była więźniarka, J. K., lat 41, o wykształceniu podstawowym, z zawodu sprzątaczka (nr księgi głównej 50/Ł/69); w dzieciństwie rozwijała się dobrze; nauka szła jej łatwo. Przed wojną nie chorowała. Do roku 1939 ukończyła 5 klas szkoły podstawowej. Była pogodna i towarzyska. Została aresztowana wiosną 1942 roku w 15 roku życia w Poznaniu wraz z matką z przyczyn politycznych. Ojciec, ukrywając się, uniknął aresztowania. Przyczyną uwięzienia było odmówienie podpisania *volkslisty* przez rodziców. Po trzytygodniowym pobycie w więzieniu siedziby gestapo w Poznaniu została osadzona w obozie w Łodzi, gdzie przebywała do końca wojny. Podała, że w toku przesłuchań i w czasie pobytu w obozie doznała licznych urazów, między innymi w głowę. Ponadto opisała liczne przeżycia, wśród których najsilniej wryły się jej w pamięć przesłuchania w gestapo, rozstanie z matką, wywiezioną do obozu oświęcimskiego, a także kary chłosty w obozie łódzkim za różne drobne „przewinienia". Podczas przebywania w obozie zachorowała na gruźlicę płuc i po wyzwoleniu przez 5 lat była leczona w szpitalach, w sanatoriach i w poradni przeciwgruźliczej. Cierpiała na biegunki, ropo-

wicę skóry, świerzb i jaglicę. Ciężar chorej wynosił podczas pobytu w obozie okresowo 25—30 kg. W obozie pracowała w pralni, stojąc godzinami zanurzona po kostki w wodzie, w której zbierały się żrące środki piorące. Wskutek działania tego płynu na skórę już częściowo uszkodzoną drewniakami doszło do długotrwałego odczynu zapalnego i następnie do brzeżnych ubytków osteolitycznych w guzach kości piętowych (ryc. 3 i 4). Proces ten, oporny na leczenie, trwał przez okres 6 lat po wyzwoleniu. Badana opuściła obóz w stanie skrajnego wyniszczenia. Zapoczątkowane w obozie bezwiedne oddawanie moczu utrzymywało się przez 10 lat. Po wyjściu z obozu ta była więźniarka kilkakrotnie próbowała kontynuować naukę, ale ostatecznie musiała ją przerwać z powodu, jak podała, pogarszania się pamięci i niemożności skupienia uwagi. Szkołę podstawową ukończyła na kursach wieczorowych. W roku 1951 podjęła pracę zawodową jako robotnica. Ma troje dzieci. Nie pali tytoniu i nie spożywa alkoholu. Od czasu pobytu w obozie cierpi na gościec stawowy, bóle kręgosłupa lędźwiowego w okolicy przyczepu ścięgna Achillesa po dłuższym staniu w pozycji wyprostowanej lub po dźwiganiu oraz ma okresowe zaburzenia w procesie trawienia. Od 4 lat skarży się na bóle serca o charakterze stenokardialnym. Łatwo się męczy. Od czasu pobytu w obozie zapada na okresowe stany lękowe i źle sypia. Waży 51 kg. Na głowie w okolicy lewej skroni stwierdzono przesuwalną bliznę o wymiarach 3 cm × 0,5 cm. Są liczne ubytki zębów i zaniki wyrostków zębowych. Elektrokardiogram (lewogram) wykazał obniżenie odcinka ST w odprowadzeniu I i II oraz V4 poniżej 0,05 mV. Poziom lipoprotein: alfa 40%, beta 46,4%, frakcja 0 — 13,6%. Zapis elektroencefalograficzny oceniono jako patologiczny; stwierdzono zmiany uogólnione niewielkiego stopnia. Liczne inne badania dodatkowe nie wykazały istotnych odchyleń od normy. Rozpoznano przewlekły gościec stawowy, przewlekły stan zapalny korzonków nerwowych odcinka lędźwiowo-krzyżowego kręgosłupa, przewlekły niedokwaśny nieżyt żołądka, przewlekły stan zapalny pęcherzyka żółciowego, niedokrwistość wtórną, miażdżycę naczyń, szczególnie wieńcowych, niewydolność naczyń wieńcowych, pourazową nerwicę ogólną znacznego stopnia, zmiany osteolityczne i strukturalne w guzach kości piętowych.

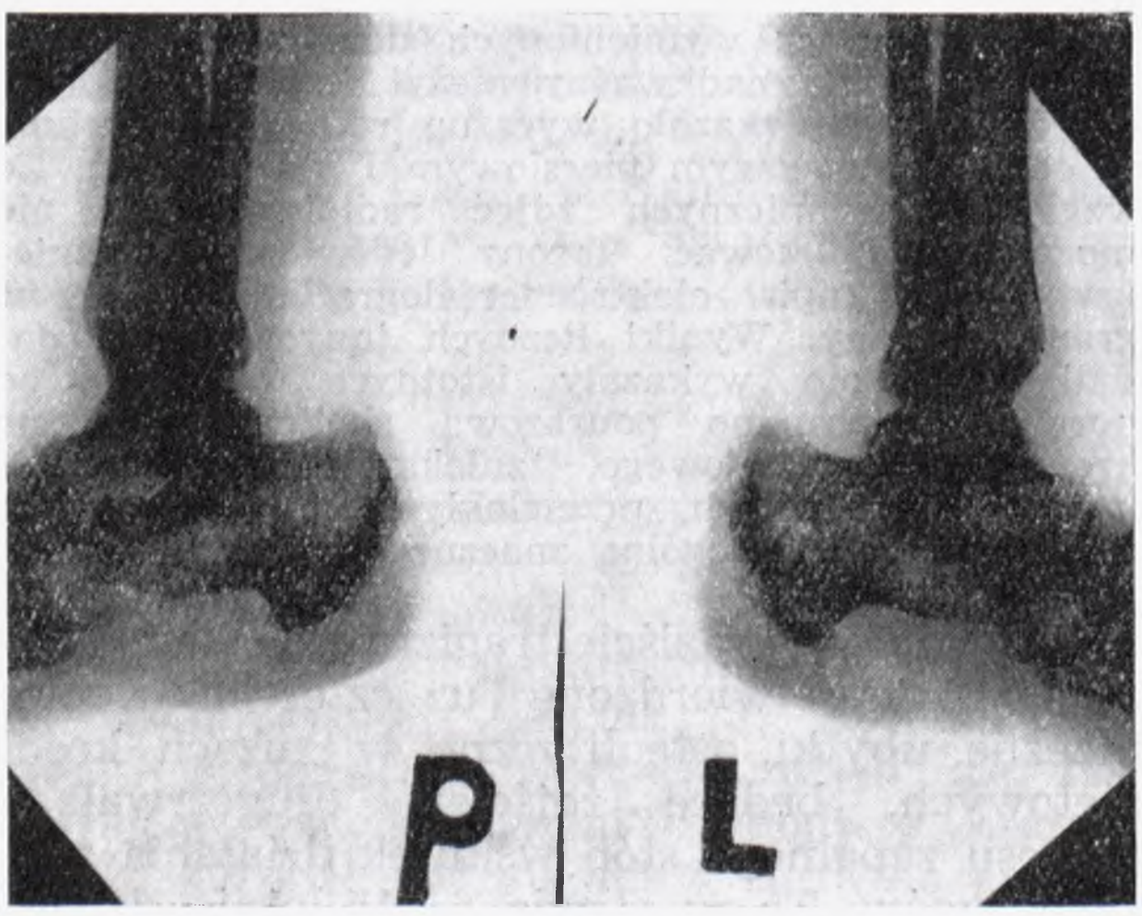

Ryc. 3. Zdjęcie boczne kości piętowych badanej J. K. W guzach obu kości piętowych stwierdzono brzeżne ubytki osteolityczne o brzegach nierównych, ostro ograniczonych, a wokół ubytków znaczne zagęszczenie struktury kostnej

Ryc. 4. Zdjęcie strzałkowe kości piętowych tej samej chorej (J. K.)

Na duży odsetek chorób przewodu pokarmowego u badanych, zwłaszcza choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy, miały niewątpliwie, jak wynika z wywiadów, wpływ przebyte ostre nieżyty przewodu pokarmowego, wywołane różnymi jadami zawartymi w pożywieniu lub swoistymi zarazkami chorobotwórczymi, do czego dołączały się uszkadzające czynniki dodatkowe, zmęczenie, ochłodzenie, a często urazy psychiczne. Jak wspomniano, 8 osób w badanej grupie cierpi na padaczkę. U 6 badanych pierwszy atak tej choroby wystąpił bezpośrednio po przebytym urazie czaszki w toku przesłuchań lub w obozie, u 1 osoby po zapaleniu mózgu przebytym w obozie, a u pozostałej bezpośrednio po wyzwoleniu z obozu. U wszystkich badanych, którzy cierpią na padaczkę, stwierdzono blizny pourazowe na głowie.

Wrocławski psychiatra, dr J. *Katzenellenbogen*, sformułował w związku z badaniami lekarskimi byłych więźniów-dzieci z obozu w Łodzi swoje wstępne uwagi, dotyczące opisywanej grupy. Upoważniony przez niego, cytuję tutaj udostępnioną mi przez niego jego notatkę, która zostanie rozwinięta w przygotowywanym osobnym artykule, uwzględniającym także dotychczasowe piśmiennictwo psychiatryczne dotyczące byłych więźniów.

Liczba osób dotychczas zbadanych (106) jest jeszcze zbyt skąpa, aby można było wysnuć ostateczne wnioski — pisze dr J. *Katzenellenbogen*. — Już teraz jednak można stwierdzić, że przeszło 1/5 byłych więźniów obozu w Łodzi cierpi na nerwicę; ponadto 1/3 badanych zgłasza skargi o charakterze nerwicowym. Z wywiadu, mniej lub bardziej obszernego w zależności od wieku, w którym badani znaleźli się w obozie, wynika niedwuznacznie, że działały w nim powszechnie, zarówno na somatykę, jak i na psychikę dzieci, trzy zasadnicze czynniki urazowe, mianowicie głód, prowadzący często do choroby głodowej, zimno, w wyniku którego było wiele odmrożeń rąk, nóg, a nawet twarzy oraz bicie, przeważnie w postaci systematycznie stosowanej kary chłosty. W wielu wypadkach dzieci były świadkami znęcania się oprawców obozowych nad swymi kolegami lub ich śmierci w następstwie chorób.

Wskutek równoczesnych represji wobec rodzin 2/3 badanych dzieci zostało osieroconych, a 2/5 badanych osób straciło oboje rodziców. Członkowie rodzin połowy badanej grupy znaleźli się w obozach koncentracyjnych i w więzieniach, a w odniesieniu do 1/4 badanych nie powrócili stamtąd. Nagłe osierocenie i oderwanie od domu rodzinnego z następową wegetacją obozową i stanem zagrożenia życia powodowało u wszystkich dzieci stan nieprzerwanego uczucia lęku, stępionego w miarę upływu czasu głodowaniem, chorobami i wyniszczeniem i wskutek tego przechodzącego w rezygnację i apatię.

Przeszło 2/3 badanych dzieci znalazło się w obozie już po ukończeniu 12 roku życia i przebywało tam ponad 2 lata; tym można tłumaczyć stosunkowo wiele zapamiętanych faktów z nazwiskami oprawców włącznie.

U osób dotychczas zbadanych na pierwszy plan wysuwają się koszmarne sny o treści obozowej lub przynajmniej niespokojny sen z lękowymi zrywaniami się (u połowy badanej grupy). Blisko 1/3 badanych skarży się na zwiększoną drażliwość, a nawet wybuchowość; prawie 1/4 miała okresowo lub zachowała do chwili obecnej głęboką świadomość krzywdy, zwłaszcza z powodu sieroctwa. Osoby te po wyjściu z obozu odczuwały w zetknięciu się z rówieśnikami wyraźne upośledzenie; były wobec nich nieśmiałe i zahamowane. Większość badanych — niezależnie od płci — nie może opanować przy wspomnieniach wzmożonych wzruszeń; wiele z osób zbadanych płacze.

W artykule psychiatrycznym o dzieciach z obozu w Łodzi — po ukończeniu ich badań — znajdzie się między innymi porównanie z wynikami analizy patopsychologicznej tzw. dzieci oświęcimskich, zbadanych przez innych autorów (z Krakowa).

W związku z badaniami byłych więźniów-dzieci z Łodzi warto jeszcze dodać, że w grupie chorób układu krążenia dominuje niewydolność naczyń wieńcowych serca (u 32 osób, tj. w 30,2%); wydaje się, że jej związek przyczynowy z pobytem w obozie jest bezsporny, dowodzi tego bowiem wyraźna również w badaniach wrocławskich etiopatogeneza szybko postępującej miażdżycy naczyń u byłych więźniów, stwierdzona też u najmłodszych więźniów obozu oświęcimskiego (mieszkających na Śląsku).

Nie czekając na syntetyczne opracowanie ostatecznych wyników przedsięwziętych badań, już teraz można stwierdzić, że chorobowość byłych więźniów obozu łódzkiego jest bardzo duża, a stwierdzone choroby są niewspółmierne do wieku. Istnieje związek przyczynowy między tymi zmianami a urazami fizycznymi i psychicznymi, którym ci ludzie podlegali w wieku dziecięcym i wczesnomłodzieńczym podczas pobytu w hitlerowskich więzieniach i w obozie.

Badania trwają; suche obserwacje lekarskie układają się w serii naukowych spostrzeżeń. Istnieje jednak bogata warstwa treści tragicznych przeżyć, wymykająca się spod obliczeń statystycznych, każda nowa historia choroby wnosi bowiem pełen dramatycznej wymowy obraz swoistej tragedii dziecka. Ze współczesnego, lekarskiego punktu widzenia ważnym zadaniem jest zapobieganie lecznicze, zmierzające do tego, aby przynajmniej zahamować postępowanie późnych skutków pobytu w hitlerowskich obozach i więzieniach.

PIŚMIENNICTWO

1. *Kempisty* C.: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 96—98. — 2. *Kempisty* C.: Wpływ przebywania w hitlerowskich obozach koncentracyjnych na wzmożenie chorobowości i przyspieszenie miażdżycy. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Tom XIX: 1968, s. 246—276. — 3. *Kłodziński* S., *Kutyba* J.: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie). Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 47—48. — 4. *Kościuszkowa* J.: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1961, nr 1a, s. 60—61. — 5. *Kowalski* S.: Wstępne wyniki badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska warszawskiego). Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 54—55. — 6. W. *Półtawska*: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". (Uwagi ogólne). Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 21—24. — 7. *Półtawska* W., *Jakubik* A., *Sarnecki* J., *Gątarski* J.: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub uwięzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 21—26. — 8. *Rautenberg* W.: Über die Häufigkeit der Koronarsklerose und des Myocardinfarktes in der Nachkriegszeit. Deutsche Gesundheitswesen, 1959, nr 12, s. 325. — 9. *Sarnecki* J.: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub uwięzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 39—46. — 10. *Schwann-Pawłowska* J.: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego). Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 98—101.

11. *Szwarc* H.: Chorobowość wśród byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. I ogólnopolski zjazd lekarzy ZBoWiD 21—23 czerwca 1964 r. Wyd. ZG ZBoWiD, Warszawa 1964, s. 197—201. — 12. *Witkowski* J.: Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 73—81.

Pastor *A. Lutteroth* zwiedza w oświęcimskim bloku nr 6 ekspozycję poświęconą dzieciom-więźniom (zdjęcie z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

WITOLD ŁOBZOWSKI Katowice

Wstępne wyniki badania lekarskiego byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych

(Z województwa katowickiego)

Z inicjatywy ZBoWiD Wojewódzki Wydział Zdrowia w Katowicach polecił pismem z dnia 23 listopada 1964 r. (nr Zd I 10-922/31/64) terenowym wydziałom zdrowia przeprowadzenie badania stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, którzy mieszkają w województwie katowickim. Do tych badań kierowały swych członków terenowe oddziały ZBoWiD. Wyniki badań lekarskich oraz dane osobowe byłych więźniów odnotowywano na formularzach opracowanych i rozprowadzonych przez ZBoWiD. Formularze te składały się z dwóch części, tj. karty zdrowia członka ZBoWiD, byłego więźnia, oraz pytań dotyczących obecnego stanu zdrowia. Część pierwsza zawierała 23 pytania, odnoszące się do imienia, nazwiska i innych podstawowych informacji osobowych, stanu zdrowia przed aresztowaniem, warunków pracy w obozie, chorób tam przebytych i chorób po wyjściu z obozu itp. Odpowiedzi na pytania podawały osoby objęte badaniem, przy czym często przy wypełnianiu kart pomagali lekarze badający.

Część druga składała się z pięciu grup pytań dotyczących dolegliwości obecnych, stanu przedmiotowego (w tym 20 podpunktów ujmujących badania fizykalne), wstępnej oceny obecnego stanu zdrowia, wyników badań dodatkowych oraz rozpoznania. Część drugą wypełniali lekarze prowadzący badania.

W obu częściach pozostawiono wolne miejsca na uwagi, aby osoby wypełniające formularz mogły uzupełnić informacje nie wyszczególnione w pytaniach. W części drugiej sugerowano w uwagach określenie związku przyczynowego obecnego stanu chorego z pobytem w obozie.

Badaniami objęto grupę 1 030 osób. Wskutek błędnego wypełnienia kart zrezygnowano z 30 odpowiedzi, a zatem liczebność badanej populacji wynosiła 1 000 osób (w tym 763 mężczyzn i 237 kobiet). Wiek osób badanych według stanu z dnia 1 lipca 1966 roku wahał się w granicach 31—85 lat życia. Najmłodsza aresztowana więźniarka liczyła w chwili uwięzienia 8 lat, najmłodszy więzień 11 lat, najstarszy 62 lata. Z ugrupowania byłych więźniów według wieku wynika, że 70% mężczyzn i 60% kobiet w chwili badania mieściło się w grupie osób 50—70-letnich. Około 60% mężczyzn i kobiet miało wykształcenie podstawowe, niespełna 30% mężczyzn i około 35% kobiet — średnie, a 10% mężczyzn i około 5% kobiet — wyższe. Proporcjonalnie do wykształcenia kształtuje się zawodowa i społeczna struktura badanych, z których połowa wykazywała przynależność do klasy robotniczej.

Czas pobytu w obozie był różny. Do 6 miesięcy przebywało w obozie 5,7% mężczyzn i 8,4% kobiet; od 7 do 12 miesięcy więziono w obozie 12,8% mężczyzn i 18,5% kobiet; odpowiednie dalsze liczby według tej kolejności płci są następujące: od 1 roku do 2 lat 18,2% i 22,3%; 2—3 lata 24,3% i 21,5%; 3—4 lata 14,2% i 16%; 4—5 lat 10,6% i 10,5%; przeszło 5 lat 13,8% mężczyzn i 3,3% kobiet. Nieco poniżej połowy badanych przebywało 1—3 lata. Warto dodać, że 13,8% mężczyzn było aresztowanych w pierwszych dniach wojny, a opuściło obóz dopiero po ukończeniu działań wojennych. W przeważającej większości byli to aresztowani za udział w powstaniach śląskich, którzy stanowili 8,7% całej badanej populacji mężczyzn.

Bardzo wielu badanych odniosło różnego rodzaju obrażenia, najczęściej przy pobiciu w chwili aresztowania lub podczas przesłuchań. Wśród mężczyzn najczęściej stwierdzano urazy głowy (24,8%), wybicie zębów (20,8%), urazy tułowia (16,7%) oraz kończyn (18,4%), co łącznie stanowi 80,7% badanych. U kobiet na pierwszym miejscu znajdują się urazy tułowia (13,1%), urazy głowy (10,9%), wybicie zębów (9,3%) oraz urazy kończyn (8,5%). Te najczęstsze urazy stwierdzono łącznie u 41,8% badanych kobiet.

Z chorób przebytych w obozie wśród mężczyzn znajdują się na pierwszym miejscu choroby skórne (29,5%), przede wszystkim świerzb i wszawica, na drugim miejscu dury (22,2%), na trzecim zapalenie płuc i opłucnej (19,3%), następnie biegunki (19,2%), reumatyzm (17,2%), choroby przewodu pokarmowego (łącznie z chorobami wątroby 10,9%), choroby serca (10,5%). Stosunkowo niewielu badanych mężczyzn podało nerwice i psychozy (6,1%). Zbrodnicze eksperymenty miało przejść 5,9%, nie chorowało w obozie 9,3%; przy tym połowa, to ludzie 61—75-letni w chwili badania.

Pierwsze miejsce wśród chorób przebytych w obozie przez kobiety zajmuje dur (36,7%), drugie miejsce zajmują choroby skóry (29,5%), trzecie — biegunki (22,8%), czwarte — reumatyzm (21,9%), dalsze — choroby serca (16,4%), nie chorowało 9,3% kobiet; z tego połowa w chwili badania była w wieku 56 do 65 lat.

W kolejnej rubryce podawano choroby nabyte w obozie, które wymagały leczenia po wyzwoleniu. Na pierwszym miejscu wśród

mężczyzn znajduje się reumatyzm (38,1%), na drugim choroby serca (27,4%), na trzecim nerwice i psychonerwice (27,3%), następnie choroby przewodu pokarmowego oraz wątroby (24,6%), choroby słuchu (przeważnie głuchota) wskutek pobicia u 10,0%, nadto gruźlica płuc (9,7%).

Również u kobiet reumatyzm jest najczęstszy (55,2%); na drugim miejscu są nerwice i psychonerwice (38,2%), na trzecim choroby przewodu pokarmowego (26,2%), dalej bóle głowy (13,1%), choroby skórne (11%), choroby dróg moczowych (10,6%). Wśród badanych niewiele jest takich osób, które by nie nabyły żadnej choroby podczas pobytu w obozie; wśród mężczyzn jest ich 6,8%, a wśród kobiet 3,4%.

Po wyjściu z obozu 30% mężczyzn i 23,2% kobiet wymagało szpitalnego leczenia chorób nabytych w czasie przebywania w obozie; 22,2% mężczyzn i 15,6% kobiet wymagało leczenia sanatoryjnego, a 52% mężczyzn i 57,8% kobiet ambulatoryjnego.

Przeprowadzone badania lekarskie wykazały u 50% mężczyzn i 50% kobiet bezpośredni związek obecnego stanu zdrowia byłych więźniów z pobytem w obozie oraz u 11,3% mężczyzn i 13,6% kobiet prawdopodobny związek przyczynowy obecnie stwierdzonych chorób z pobytem w obozach koncentracyjnych. Trzeba jednak zaznaczyć, że u stosunkowo dużej liczby badanych brak jest odpowiedzi na to pytanie (u mężczyzn w 34,9%, u kobiet w 32%).

U większości badanych na plan pierwszy występują choroby serca, tj. u 46,5% mężczyzn i u 39,7% kobiet, następnie choroby reumatyczne u 33% mężczyzn i u 57,5% kobiet oraz nerwice u 31,1% mężczyzn i u 37,2% kobiet, a psychonerwice u 13,7% mężczyzn i u 19,4% kobiet.

Większość badanych podała, że ma dobre warunki bytowe od opuszczenia obozu do chwili obecnej (63% mężczyzn, 30% kobiet). Mniej osób określiło swe warunki jako średnie w grupie mężczyzn (32,1%), więcej — w grupie kobiet (54%). Pozostali skarżyli się tylko na nieodpowiednie warunki mieszkaniowe.

Przedstawiane badania pozwoliły nadto na określenie okoliczności uwolnienia. Większość badanych wyzwoliły z obozów wojska alianckie (55,4% mężczyzn, 73,8% kobiet). 36,3% mężczyzn i 14,3% kobiet zostało zwolnionych z obozu dzięki interwencji zakładów pracy lub staraniom rodzin bądź przyjaciół. 7,8% mężczyzn i 11,8% kobiet zbiegło z obozów, przy czym ucieczki udawało się doprowadzić do skutku najczęściej pod koniec wojny podczas ewakuacji obozów.

Oczywiście przedstawione tutaj wyniki pracy nie uprawniają do jakichś szerszych uogólnień, są bowiem oparte na materiale dość różnorodnym, a jedynym kryterium doboru badanych był pobyt w obozach koncentracyjnych. Brak także wyników badań grupy kontrolnej, która by umożliwiła dokonanie porównań. Również metoda nie może w pełni zadowalać, ponieważ uzyskane materiały analityczne, tzn. karty zdrowia, były wypełnione w sposób niejednolity, przez różne zespoły lekarskie, toteż opracowanie statystyczne nasuwało zrozumiałe trudności. Ponadto, jak na to zwracano uwagę już gdzie indziej, między innymi na drugim zjeździe lekarzy ZBoWiD w maju 1968 roku w Warszawie, w podobnych badaniach masowych, opartych na metodzie ankietowej, niezależnie od udziału lekarzy badających może się zdarzać nieścisłość w określaniu rozpoznań zwłaszcza takich, jak psychiatryczne. Zaburzenia psychiczne są bowiem nieraz subtelne i ich wykrycie i rozpoznanie wymaga często kilkakrotnego badania byłego więźnia przez specjalistów; bywa więc, że odsetki np. nerwic mogą zostać obliczone poniżej stanu faktycznego.

Mimo tych zastrzeżeń przedstawione wyniki wskazują, że pobyt w obozie koncentracyjnym przyczynił się do zwiększonej zachorowalności byłych więźniów, co lekarze stwierdzają nawet po upływie przeszło 20 lat od wyzwolenia z obozu. Nie trzeba wymieniać specjalnej bibliografii, znanej czytelnikom „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", aby dołączyć ten podstawowy wniosek do takiego samego stwierdzenia udowodnionego w dość licznych już pracach na ten temat.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Kraków

Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim—Brzezinka

Po przybyciu do obozu oświęcimskiego w sierpniu 1941 roku rzuciły mi się w oczy różne liczne zmiany chorobowe widoczne na skórze współwięźniów przybyłych tu przede mną. Mimo powszechnego w obozie charakteru tych zmian nie zostały one jeszcze opisane w osobnych publikacjach lekarskich krajowych ani zagranicznych. Warto dodać, że opublikowana w poprzednim zeszycie praca K. i T. Z. *Capińskich* na temat chorób dermatologicznych u byłych więźniów została oparta na badaniach przeprowadzonych dopiero po upływie przeszło 20 lat od czasu wyzwolenia.

Choroby skórne w obozie uwydatniały się szczególnie u tzw. „muzułmanów", których wygląd był już niejednokrotnie opisywany w „Przeglądzie Lekarskim" i w innych pismach. Należy jednak podkreślić charakterystyczny wygląd skóry tych najbardziej wyniszczonych więźniów. Była ona bez podściółki tłuszczowej, co podkreślało ostre obrysy kośćca. Barwa jej była zmatowiała, brązowo-szara. Na powierzchni widać było płytsze i głębsze owrzodzenia, pokryte niekiedy strupami, przeczosami, kurzem i pyłem zmieszanym z potem i krwią. Ze skóry „muzułmanów" odczuwało się ostry, cuchnący zapach. Gdzieniegdzie na rękach, nogach i głowie było widać przesiąknięty wydzieliną brudny, papierowy bandaż, nie zmieniany od wielu dni, bądź też kawałek zrudziałej szmaty, spod której wypływała żółto-biała, gęsta, lub zielonkawa, rzadsza ropa. U wielu otwarte, zropiałe rany nie miały żadnej osłony. „Muzułmanie" bezwiednie, mimowolnie drapali systematycznie, miejsce w miejsce, zaropiałą skórę, by przez spowodowanie bólu przytłumić nieznośny świąd rąk, nóg i tułowia. Trudniej dostępne drapaniu miejsca skóry pleców lub łopatek więźniowie ci tarli o ostre brzegi bloków, krawędzie pieców, drzwi i okien. Czasem, co było uważane za wzajemną, koleżeńską usługę, dwóch towarzyszy niedoli tarło się plecami.

Drapanie to było wynikiem uporczywego swędzenia skóry, które nasilało się zwłaszcza po powrocie z pracy na bloki, po wieczornym apelu, szczególnie przed zaśnięciem. Przyczyną tego nasilającego się świądu skóry była reakcja na ciepło. Więźniowie, stłoczeni w salach bloków wyziębionych w ciągu dnia, szybko ogrzewali je ciepłem własnych ciał. Przepocona i wilgotna odzież parowała. Na siennikach rozłożonych na podłogach „sztub" leżeli więźniowie stłoczeni jeden przy drugim, okryci łachmanami wspólnych koców. Było tak ciasno, że przełożenie się z boku na bok mogło się odbywać tylko całymi rzędami.

Do listopada 1940 roku, jak wynika z relacji więźniów wcześniej przybyłych do Oświęcimia, kilka tysięcy uwięzionych tutaj obsługiwała tylko jedna studnia. Chcąc więc choć zwilżyć skórę, trzeba było wstać godzinę przed rannym gongiem, przebiec bez względu na pogodę bez odzieży, którą w tym czasie pilnował kolega, kilkaset metrów pod pompę, by szybko ustawić się w długiej już kolejce do mycia. Tylko nielicznym „rannym ptaszkom" udawało się przed pójściem do pracy zwilżyć skórę wodą; mydła wówczas jeszcze nie wydawano. Zmiana bielizny osobistej regulaminowo powinna była odbywać się co dwa tygodnie. W rzeczywistości dobrze było, jeśli więźniowie otrzymywali ją jeden raz w miesiącu.

Znane warunki pracy, wyżywienia i sanitarne, terror psychiczny i fizyczny, mordowanie i bicie powodowały u więźniów szybkie załamanie odporności ogólnej i narządowej. Toteż skóra więźniów, nie chroniona, ale poddawana zmasowanym czynnikom szkodliwym szybko stawała się odpowiednią pożywką dla chorobotwórczych pasożytów, bakterii i grzybów. Widać było na niej rozległe uszkodzenia, wywołane celowymi i przypadkowymi urazami, działaniem zimna (brak rękawic, skarpet, nauszników, swetrów), ciepła (praca w słońcu) oraz środkami drażniącymi (wapno, cement, kurz itp.).

Nieznaczne uszkodzenia skóry, które zwykle dość szybko się goją, w warunkach obozu stawały się groźne dla życia. Z reguły z drobnych zadraśnięć skóry, otarć, ukłuć tworzyły się rozległe ropowice (tzw. flegmony), martwice, zakażenia ogólne (*sepsis*). Często pojawiała się przyranna róża. Brak leczenia i odporności powodował szybkie rozwijanie się choroby. Z błahego zadraśnięcia mógł się wytworzyć z dnia na dzień głęboko drążący, ropny proces. Hospitalizacja praktycznie nie wchodziła w rachubę. Leczenie ambulatoryjne w tzw. *Krankenbau* (*KB*, *HKB*, czyli w „rewirze") nie mogło dać wyniku, gdyż było niefachowe, trudno dostępne, a poza tym był brak właściwych środków farmakologicznych. U nielicznych, którzy po wieczornym apelu potrafili dotrzeć do ambulatorium (w bloku nr 28), zabiegi wykonywali przygodni więźniowie-sanitariusze, którzy w warunkach wielkiego stłoczenia w jedynej izbie opatrunkowej musieli opatrzeć w ciągu dwóch wieczornych godzin kilkuset chorych.

Zmiany skórne ze względu na swoją powszechność niestety nie zwalniały od obowiązującej obozowej pracy. Chorzy sami więc otwierali sobie kozikiem lub zaostrzoną, blaszaną łyżką, bądź znalezionym, często zardzewiałym gwoździem nabrzmiałe, rozległe ropowice, upuszczając z przedziurawionej skóry

niejednokrotnie po kilkadziesiąt centymetrów sześciennych ropy. Charakterystyczne było to, że na skórze nie występowały lub pojawiały się tylko słabo zaznaczone cechy zapalenia: zaczerwienienie, miejscowo podwyższona ciepłota, czy silniejszy ból. Więzień poruszał dość sprawnie chorą ręką lub nogą mimo rozległej ropowicy z obawy przed kijem „kapo", czy kopniakiem esesmana. Dopiero ropowice głębokie, bardzo rozległe, przy przebiciach do naczyń krwionośnych, wywołujących ogólne zakażenie z odczynem gorączkowym, mogły stanowić podstawę do interwencji chirurgicznej w ambulatorium lub do hospitalizacji na tzw. „brudnej" chirurgii bloku nr 21. Dokonywano wtedy nacięć; zakładano dreny, przez które tygodniami, litrami, wylewała się cuchnąca ropa. Z otwartych i źle bandażowanych ran przezierały obrysy mięśni, ścięgien, okostnej. Liczba miejsc „brudnej" chirurgii była bardzo ograniczona i tylko nieliczni mogli tam trafić. Zagadnienia chirurgiczne Oświęcimia wymagają osobnego opracowania.

Jak wynika z relacji kolegów, którzy przybyli do Oświęcimia w pierwszych transportach, świerzb był wstępną obozową chorobą, występującą masowo już przed epidemicznie występującymi biegunkami (*durchfall*), przed wyniszczeniem („kacheksją") i przed zmasowanym zachorowaniem na dur wysypkowy. Świerzb został przywleczony do obozu przez przybyłych z więzień. Już w czasie tzw. kwarantanny pierwszego („założycielskiego") transportu lekarz *SS* starał się odizolować chorych więźniów z widocznymi na skórze zmianami świerzbowymi. Mimo tej izolacji po kilku tygodniach epidemia świerzbu ogarnęła prawie 80% stanu obozu. Żyjący jeszcze byli więźniowie określają, że „cały obóz drapał się". Wszyscy byli podnieceni, niespokojni. Zmiany na skórze pojawiały się początkowo w fałdach między palcami w postaci zaczerwienień, linijnych wyniosłości, zakończonych grudką lub pęcherzykiem z trudno widzialnym w nim czarnym punkcikiem. Świąd tych miejsc zmuszał do drapania. Drapanie powodowało przenoszenie pasożytów z miejsca na miejsce. Zmiany na skórze pojawiały się więc w dalszych typowych miejscach, tj. na bocznych partiach skóry palców, w fałdach skóry stawów rąk, w dołach pachowych, w otoczeniu brodawek piersi, w okolicach pępka, narządów rodnych, w fałdach pasa, skóry łokci, kolan, guzów siedzeniowych, przechodziły na zewnętrzne strony nóg i kostek. Tylko skóra głowy i twarzy pozostawała wolna od zmian chorobowych. Świerzbowi towarzyszyły wtórne zakażenia (*folliculitis, pustula, furunculosis, abscessus, phlegmona*). Z powodu braku leczenia ujawniały się wreszcie także zmiany wypryskowe. Wymienionym zmianom na skórze często towarzyszyły także współistniejąca wszawica, ślady po ukąszeniu przez pchły, pluskwy i muchy, zacierając właściwy świerzbowi obraz skóry.

Przenoszenie świerzbu z więźnia na więźnia odbywało się bezpośrednio przez podawanie rąk, przez odzież, ręczniki, sienniki, koce, często w czasie snu.

Rozpoznawanie świerzbu w jego początkowych okresach przy typowym umiejscowieniu i świądzie było łatwe. W warunkach obozowych oczywiście nie wykonywano badań mikroskopowych. Gdy zmiany świerzbowe były pokryte wtórnymi zakażeniami, zaawansowany proces świerzbowy czasem było bardzo trudno wykryć. Można się go było jednak domyślać i z dużym prawdopodobieństwem przyjmować jego istnienie w postaci zamaskowanej pod wysuwającymi się na pierwszy plan wykwitami. Współistniejący świąd skóry i dobre wyniki po przeprowadzonym prawidłowym leczeniu potwierdzały słuszność tak postawionego, domniemanego rozpoznania. Takie leczenie zdarzało się jednak wyjątkowo.

Wobec epidemii świerzbu, rozszerzającej się w obozie, lekarz *SS*, obawiając się o zdrowie załogi esesowskiej, zarządził powszechne ambulatoryjne leczenie więźniów chorych na świerzb, które nawet rozszerzył na stosowanie środków przeciwświerzbowych w blokach mieszkalnych. Setki chorych po apelu wieczornym gnały pod szpital obozowy (*KB*), gdzie stali sanitariusze przy beczkach z maścią Wilkinsona. Więźniowie rozbierali się do naga przed „rewirowym" blokiem nr 28, ustawiali się w długiej kolejce wśród bicia i przekleństw, każdy bowiem chciał być szybko załatwiony, by możliwie wcześnie wrócić i odpocząć w swym bloku mieszkalnym. Po otrzymaniu sporej garści czarnej maści, którą długą kopystką sanitariusz wydawał przez okno (był to zwykle więzień Adam *Kuryłowicz*), więźniowie wcierali ją możliwie silnie w skórę całego ciała, zostawiając jedynie nie posmarowaną głowę. Szybko zmieniali się na Murzynów z białą twarzą. Zabieg ten więźniowie powtarzali przez trzy dni. Czwartego dnia należało się wykąpać lub choć zmyć ciepłą wodą. Praktycznie jednak nie było to wykonalne; maść wsiąkała w koszule, odzież, sienniki i koce. Dużym postępem było, gdy leki przeciwświerzbowe oddano na bloki mieszkalne. Tam więźniowie — zdrowi i chorzy — pod nadzorem blokowego i „sztubowych" (izbowych) przymusowo poddawali się „leczeniu". Od organizacyjnych zdolności funkcyjnych więźniów zależała sprawność przeprowadzania tej „kuracji". Tak przeprowadzanym zabiegom towarzyszyły krzyki, przekleństwa i bójki.

Prócz czarnej maści Wilkinsona stosowano z lepszym skutkiem poszukiwaną maść siarkową, a także tiosiarczan sodu *in statu nascendi* w połączeniu z roztworem kwasu solnego. W największej cenie był bardzo dobry i trudno dostępny preparat niemiecki „mitigal". Korzystali z niego niektórzy prominenci. Nie drażnił on skóry, nie miał przykrego zapachu, a czasem wystarczały do wyleczenia dwa, trzy posmarowania. „Mitigal" trafiał do obozu prawie wyłącznie jako przemycany przez cywilnych robotników. Kupowali go funkcyjni, najczęściej za zrabowane więźniom pieniądze (przesyłane przez rodziny), za wy-

H.-Krankenbau des
K. L. Auschwitz

Auschwitz, den 16. Juni 1942.

An die

Apotheke des K. L.

Auschwitz

Für den H.-Krankenbau werden benötigt:

Argent. nitr. Stifte	12 St.
Äther p.n.	3o Fl.
Benzin	1o L
~~Brom comp., Tabl.~~	~~2oo St.~~
Calcium lacticum, Tabl.	1ooo St.
Carbo Pan, Tab..	5ooo St.
Chinin Calcium, Amp.	5o St.
Chloräthyl	3o Fl.
Chlorbromoxychinolinbinden	1oo St.
~~Cuprem~~	~~6o kg~~
~~Cutiral-Salbe~~	~~1o kg~~
~~Chirocoter~~	~~3 L~~
Ephetonin, Tabl.	2oo St.
Eubasin, Tabl.	2ooo St.
Flitaspritzen	1o St.
Hansaplast	2o Pak.
Hydrogen. peroxyd. 3o%	4 L
Istizintabletten	1ooo St.
Kanülen, Nr. 1	1 Dutzend
" Nr. 2	1 "
Krätzesalbe	2oo kg
Leukoplast 1o cm	~~5 Pak.~~
" 7,5 cm	~~1o Pak.~~
" 5 cm	1o Pak.
" 2,5 cm	5o Pak.
" 1,25 cm	8o Pak.
Liq. Ammonii anisati	1 kg
Mastix-Benzol	2 L
Mullkompressen 2o x 4o	1ooo St.
Mullrollen, 1 m breit	~~5o St.~~
Mundspatel	2oo St.
Novalgin ~~Chinin~~, Tabl.	~~1ooo St.~~
~~Omnadin, Amp.~~	~~1oo St.~~
Papierbinden	5ooo St.
Pasta zinci	2o kg
Phenol. liq.	2 kg
Prontosil, Amp.	1oo St.
~~Prontosil, Tabl.~~	~~1ooo St.~~
Schmerztabletten	1 kg
Sepso-Tinktur	1 L
Spiritus, 96% ~~rein~~, verg.	3 L
Suprarenin	3o,o
Solvochin, Amp.	5o St.
Tabl. Acid.ac.sal.	1 kg
~~Tabl. Aminophenason~~	~~1 kg~~
~~Tabl. Spleudron~~	~~2ooo St.~~
Tabl. Hexalmethylentetr.	1 kg
Tabl. Natr. salic.	1 kg
Tabl. Phenazetini	1 kg
Tabl. Solventes	1 kg
~~Tabl. Theobr. natr. salic.~~	~~5oo St.~~
Taschenlampenbatterien	4 St.
~~Ungt. Diachyloni~~	~~1o kg~~
~~Zellstoff in Rollen~~	~~35 St.~~
Zellstoff in Lagen	1[illegible] kg

Der Lagerarzt des
K. L. Auschwitz

SS - Obersturmführer.

Ryc. 1. Reprodukcja zapotrzebowania szpitala obozowego w Oświęcimiu z dnia 16 czerwca 1942 roku na lekarstwa dla apteki wewnętrznej. Część leków zapotrzebowanych w tym spisie została skreślona. Dokument ten jest podpisany przez *SS-obersturmführera*, lekarza obozowego *SS* w Oświęcimiu, dra *Entressa*.

Lager Birkenau Auschwitz, den 9. Juli 1942.

An die

Apotheke des K. L.

Auschwitz

Für den Krankenbau des Lagers Birkenau werden benötigt:

Acid. borici cryst.	5oo,o
Atropin, Amp.	1o St.
Brennspiritus	3 L
~~Brom comp., Tabl.~~	~~5o,oo~~
Cardiazol, liq.	2oo,o
Cardiazol, Amp.	8o St.
~~Chinin Novalgin, tabl.~~	~~1oo St.~~
Chloräthyl	5 Fl.
Chlorkalk	1 Paq
Coffein, Amp.	5o St.
Combetin, Amp.	5o St.
Coramin, Amp.	5 St.
~~Cuprex~~	~~6o kg~~
Digipuratum, Amp.	4o St.
Gipsbinden 8 cm breit	3 Pak.
" 12 cm "	3 Pak.
" 15 cm "	3 Pak.
Hansaplast	5 Pak.
Krätzesalbe	5o kg
Kochplatte, elektr.	1 St.
Leukoplast 5 cm	1o Pak.
" 2,5 cm	1o Pak.
" 1,25 cm	1o Pak.
Pandigal, liq.	2oo,o
Rekordspritzen 1o ccm	1 St.
Schmerztabletten	5oo St.
Strophanthin, Amp.	5o St.
Verbandpäckchen	3 St.
Solvochin, Amp.	2o St.
Tabl. Acid. ac. sal.	5oo,o
Tabl. Aminophenason	5oo,o
Tabl. Tannalbin	5oo,o
Traubenzucker, Amp.	1oo St.
Transpulmin, Amp.	1o St.
Ungt. acidi borici	1o kg
Ungt. argent. nitr.	2 kg
Ungt. Ichthyoli	1o kg
~~Zellstoff in Rollen~~	~~66 kg~~
Zellstoff in Lagen	66 kg

Der Lagerarzt des
K. L. Auschwitz

SS-Obersturmführer.

Ryc. 2. Reprodukcja zapotrzebowania szpitala obozowego w Brzezince z dnia 9 lipca 1942 roku dla wewnętrznej apteki na leki, z których część skreślono. Dokument ten podpisał lekarz obozowy, dr *Entress*. Fotokopie obu dokumentów otrzymano z archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu

łamane złote zęby, ukradzione w *Effektenkammer* (blok depozytów) cywilne przedmioty (zegarki, obrączki, pióra wieczne itp.) lub wymieniali za rzeczy podebrane z magazynów *SS* (buty, koce itp.).

Świerzb leczono także środkami „domowymi". Rzekomo skuteczny miał być np. mocz, wcierany szmatą w swędzące miejsca. Więźniowie wychodzący do pracy poza „ścisły" obóz wynajdywali niektóre gatunki traw, które wcierane w skórę miały łagodzić jej procesy zapalne. Próbowano także wapna gaszonego. Niestety, wiele środków oficjalnej i ludowej medycyny drażniło skórę, powodując nieraz jej ostre i rozległe zapalenia. Dopiero w takim stanie udawało się czasem delikwentowi dostać się w stan chorych „rewiru". Tam zapalenia skóry próbowano leczyć maścią borną, zasypkami z dermatolu, stosując tłuste i wilgotne okłady (*feuchtfette Umschläge*).

W archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu zachowały się oryginalne zapotrzebowania na leki do apteki *SS*. Ryc. 1 i 2 są reprodukcją przykładowo wybranych zapotrzebowań. Warto zauważyć, że wśród leków na zapotrzebowaniu z dnia 16 czerwca 1942 roku (ryc. 1) maść przeciwświerzbowa (*Krätzesalbe*) została zamówiona w ilości 200 kg, a dla szpitala w Brzezince na zapotrzebowaniu z dnia 9 lipca 1942 roku (ryc. 2) wynosiła 50 kg.

Skutki opisanego zwalczania świerzbu w obozie były mizerne. Endemia tej choroby trwała w Oświęcimiu I przeszło dwa lata. Następnie, tj. od roku 1943/44 wypadki świerzbu zdarzały się raczej sporadycznie. Wspomniane niepowodzenie „leczenia" świerzbu wynikało z nieprawidłowo przeprowadzanej „kuracji". Więźniowie byli zbyt słabi i apatyczni, by się aktywnie ratować. Nawroty tej choroby występowały prawie stale. U wielu więźniów umierających z wyczerpania (*allgemeine Körperschwäche*) występowały rozległe zakażone zmiany świerzbowe. W tym sensie jest zrozumiałe powiedzenie obozowe „zmarł na świerzb". Stwierdzenie, że u więźnia rozszerzają się zmiany skórne związane ze świerzbem, było prawie nieomylnym zwiastunem zbliżającej się u niego śmierci. Zmiany te dowodziły załamania się odporności psychicznej i fizycznej, bez której nie sposób było żyć w obozie.

Dopiero zainstalowanie w blokach mieszkalnych umywalni, rozgęszczenie w salach, wprowadzenie piętrowych pryczy, wydzielenie koców, regularniejsze wydawanie bielizny, ręczników i mydła oraz dzięki zbudowaniu obozowej łaźni częstsze kąpiele w ciepłej wodzie, jak również dezynsekcja ubrań przy równoczesnym energicznym leczeniu, zlikwidowały obozową epidemię świerzbu. Osiągnięcia te nastąpiły jednak dopiero w latach 1943 i 1944 w Oświęcimiu I, gdy kierownictwo samorządu obozowego w znaczniejszym stopniu przeszło w ręce więźniów politycznych.

Sytuacja sanitarna w Brzezince była znacznie gorsza niż w Oświęcimiu I, o czym wiadomo z licznych relacji zamieszczonych w poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Nic więc dziwnego, że epidemia świerzbu w Brzezince wśród więźniarek i więźniów utrzymała się w nasilonej postaci do końca istnienia tego obozu. W niniejszym zeszycie w dziale historyczno-dokumentarnym złożyła krótką relację na ten temat była więźniarka, sanitariuszka z Brzezinki, Marianna *Adam* z Rumunii.

*

Opracowano na podstawie 1) własnych obserwacji w obozie Oświęcim I, 2) relacji złożonych autorowi przez kolegów-współwięźniów dra Leona *Głogowskiego*, Wiesława *Kielara*, mgra Eugeniusza *Niedojadłę*, dra Tadeusza *Paczułę*, 3) fragmentów z „Pamiętników lekarzy" (wyd. 2, PZWL, Warszawa 1968), tj. opublikowanych tam wypowiedzi prof. dra Władysława *Fejkla*, 4) opracowania prof. dra Jana Stanisława *Olbrychta* pt. Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (Przegl. Lek., 1962, nr 1a, s. 37—49), 5) pracy Krystyny i Tadeusza Zbigniewa *Capińskich* pt. Wyniki ambulatoryjnego badania dermatologicznego 150 byłych więźniów Oświęcimia (Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 31—35), 6) podręcznika pt. *Lehrbuch der Haut und Geschlechtskrankheiten* doktorów habilitowanych *Franza* i *Margarette Fleck* (wyd. VEB Verlag Volk und Gesundheit, Berlin 1962, s. 179—182), 7) podręcznika Choroby skóry Stefanii *Jabłońskiej* (PZWL, Warszawa 1955, s. 235—244) i 8) dokumentów Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

KRYSTYNA CAPIŃSKA Kraków

Choroby skóry i weneryczne w Krakowie w czasie drugiej wojny światowej

Celem niniejszej pracy [1] było uzyskanie poglądu na ewentualny związek między zapadalnością na choroby skóry i choroby weneryczne a wydarzeniami w latach okupacji niemieckiej w Krakowie. Podstawą przeprowadzonej analizy były własne spostrzeżenia i dokumentacja przychodni skórno-wenerologicznych Kliniki Dermatologicznej UJ i Oddziału Skórno-Wenerologicznego Państwowego Szpitala św. Łazarza. Te dwie odrębne instytucje były w latach 1940—1945 połączone w jedną całość administracyjną jako Oddział Chorób Skóry i Wenerycznych Państwowego Szpitala pod nazwą urzędową *Staatliche Krankenanstalten in Krakau.*

Na początku tego okresu zorganizowano dwie oddzielne przychodnie (dla mężczyzn oraz dla kobiet i dzieci), prowadzone na zmianę i kolejno przez asystentów Kliniki i Oddziału. Chorych z gruźlicą skóry, z nowotworami i z liszajem rumieniowatym kierowano do dalszych badań i leczenia do odrębnej przychodni w Oddziale Promieniolecznicznym Szpitala, noszącym nazwę VB.

Każdego chorego wliczałam do zestawień podczas pierwszego zgłoszenia i tylko raz w ciągu roku kalendarzowego z powodu tej samej choroby, przyjmując rozpoznanie ustalone metodami dostępnymi ambulatoryjnie. Chorych zgłaszających się do przychodni podzieliłam na mężczyzn, kobiety i dzieci do lat 14, przedstawiając ich wzajemny stosunek według odsetków w poszczególnych latach.

Przeprowadziłam również podział na mieszkańców Krakowa i mieszkających poza Krakowem bez względu na to, czy ci ostatni podawali jako miejsce zamieszkania miasto, czy wieś. Wprawdzie wyraźne rozgraniczenie na ludność wiejską i miejską ma w odniesieniu do chorób skóry i wenerycznych szczególne znaczenie ze względu na odmienne warunki bytowania i odmienny stosunek do choroby w każdym z tych środowisk, to jednak w omawianym okresie, z uwagi na swoiste okoliczności wojenne, granice te były najczęściej zatarte. Wiele osób było zmuszonych do czasowej zmiany swego właściwego, długoletniego miejsca zamieszkania (najczęściej przenosząc się z miasta na wieś), a niektórzy rozmyślnie podawali fałszywe dane.

Pewne trudności nastręczało również w tym okresie podzielenie chorych według zawodów. Odpowiednia rubryka była wypełniana jedynie w księgach przychodni męskiej i to nie we wszystkich latach; wiadomo było zresztą, że w związku z warunkami wytworzonymi przez okupację wiele osób przejściowo zmieniło zawód lub nie przyznawało się do prawdziwego. Stan cywilny osób korzystających z przychodni w tym okresie nie był zaznaczany w dokumentacji. Jakkolwiek przychodnie były przeznaczone zasadniczo dla ludności polskiej, to jednak w późniejszych latach okupacji przyjmowano do leczenia również osoby innych narodowości.

W tab. I nie podano wszystkich jednostek chorobowych, które zanotowano w księgach przychodni w latach 1940—1945, ale uwzględniono tylko najczęściej występujące. Grupa „inne" obejmuje zarówno zmiany skórne banalne, np. brodawki pospolite, jak i choroby rzadko występujące, np. jedno rozpoznanie ziarnicy wenerycznej pachwin, tzw. choroby Nicolas-Favre, jedno rozpoznanie włókniako-nerwiaków, tzw. choroby Recklinghausena, dwa rozpoznania guzków dojarek itp. Z przedstawionych tabel I, II i ryc. 1 wynika, że ogółem w latach 1940—1945 zgłosiło się do przychodni skórno-wenerologicznych Szpitala 35 445 chorych, w tej liczbie 16 497 kobiet (46,8%), 12 039 mężczyzn (33,6%) oraz 6 909 dzieci (19,4%). Jak widać z wykresu na ryc. 1, najmniejsza liczba chorych zgłosiła się w r. 1944, a największa w r. 1945. Najmniej dzieci przypada na rok 1943, a najwięcej na rok 1941.

W poszczególnych latach omawianego okresu liczba zgłaszających się do przychodni wykazywała znaczne różnice. Odsetek kobiet był najniższy (43,8%) w r. 1941, najwyższy (50,3%) w roku 1944; odsetek mężczyzn był najniższy (29,9%) w r. 1940, najwyższy (41,3%) w r. 1945; odsetek dzieci był najniższy (14,8%) w roku 1945, najwyższy (22,8%) w r. 1943.

Z przedstawionych obliczeń wynika, że w omawianym okresie najczęstszą przyczyną zgłaszania się do przychodni był świerzb, który w roku 1941 przekroczył 1/3 wszystkich rozpoznań (36,5%). Porównanie odsetka rozpoznań świerzbu w omawianych latach z odsetkiem 13,2% podanym przez *Hirscha* dla roku 1934 wykazuje niemal trzykrotny ich wzrost w r. 1941. Podobne zjawisko spostrzegamy w odniesieniu do chorób ropnych; w stosunku do przedwojennego, wynoszącego w r. 1934 7,2%, odsetek tych chorób stale wzrastał w omawianych latach, dochodząc do 24,5% w r. 1944.

Ocenę tych zjawisk należy przeprowadzać wszechstronnie i z pewnymi zastrzeżeniami. Zdarzenia lat wojennych, powodując masowe ruchy ludności, znaczne pogorszenie się warunków życia, zwłaszcza w zakresie czystości

[1] Skrócony tekst nie wydrukowanej pracy na stopień doktora medycyny, ukończonej w roku 1948 pod kierunkiem prof. dr F. K. *Waltera.*

Tabela I

Choroby skóry wśród chorych Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji

Rok		Świerzb				Choroby ropne				Choroby alergiczne				Gruźlica				Grzybice				Łuszczyca				Odmrożenia				Oparzenia				Nowotwory złośliwe				Łuszaj rumieniowaty				Inne				Razem			
		M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D
1940	L	405	814	623	1842	208	383	205	796	127	150	47	324	12	42	7	61	33	10	68	111	27	42	4	73	82	79	10	171	24	31	23	78	6	19	1	26	7	20	—	27	212	973	182	1367	1143	2563	1170	4876
	%	35,4	31,8	53,2	37,8	18,2	14,9	17,5	16,3	11,1	5,9	4,0	6,6	1,1	1,6	0,6	1,3	2,9	0,4	5,8	2,3	2,4	1,6	0,3	1,5	7,2	3,1	0,9	3,5	2,1	1,2	2,0	1,6	0,5	0,7	0,1	0,5	0,6	0,8	—	0,6	18,5	38,0	15,6	28,0				
1941	L	977	908	672	2557	240	607	170	1017	147	166	63	376	61	47	10	118	36	14	64	114	32	39	8	79	32	60	20	112	21	25	32	78	10	11	—	21	15	27	—	42	464	542	475	1481	2035	2446	1514	5995
	%	48,0	37,2	44,4	42,7	11,8	24,8	11,2	17,0	7,2	6,8	4,2	6,3	3,0	1,9	0,7	2,0	1,8	0,6	4,2	1,9	1,6	1,6	0,5	1,3	1,6	2,4	1,3	1,9	1,0	1,0	2,1	1,3	0,5	0,4	—	0,3	0,7	1,1	—	0,7	22,8	22,1	31,4	24,7				
1942	L	575	763	554	1892	443	459	169	1071	179	196	59	434	95	103	27	225	28	17	45	90	34	48	3	85	39	64	15	118	7	21	19	47	27	20	—	47	12	34	—	46	117	754	247	1118	1556	2479	1138	5173
	%	37,0	30,8	48,7	36,6	28,5	18,5	14,8	20,7	11,5	7,9	5,2	8,4	6,1	4,2	2,4	4,3	1,8	0,7	3,9	1,7	2,2	1,9	0,3	1,6	2,5	2,6	1,3	2,3	0,4	0,8	1,7	0,9	1,7	0,8	—	0,9	0,8	1,4	—	0,9	7,5	30,4	21,7	21,7				
1943	L	500	379	331	1201	417	447	245	1109	102	229	60	391	85	121	31	237	22	19	20	61	35	52	6	93	15	18	1	34	11	19	14	44	40	47	—	87	12	21	—	33	31	530	341	902	1270	1873	1049	4192
	%	39,4	19,8	31,6	28,7	32,8	23,9	23,4	26,5	8,0	12,2	5,7	9,3	6,7	6,5	2,9	5,6	1,7	1,0	1,9	1,5	2,8	2,8	0,6	2,2	1,2	1,0	0,1	0,8	0,9	1,0	1,3	1,0	3,1	2,5	—	2,1	1,0	1,1	—	0,8	2,4	28,8	32,5	21,5				
1944	L	292	526	189	1007	382	520	206	1108	150	273	55	478	52	115	51	218	25	22	35	82	29	47	6	82	10	16	3	29	17	28	25	70	48	54	—	102	6	28	—	34	311	314	230	855	1322	1943	800	4065
	%	22,1	27,1	23,6	24,8	28,9	26,8	25,7	27,2	11,3	14,1	6,9	11,7	3,9	5,9	6,4	5,4	1,9	1,1	4,4	2,0	2,2	2,4	0,7	2,0	0,8	0,8	0,4	0,9	1,3	1,4	3,1	1,7	3,6	2,8	—	2,5	0,5	1,4	—	0,8	23,5	16,2	28,8	21,0				
1945	L	700	667	347	1714	665	712	278	1655	210	207	30	447	43	60	13	116	31	18	38	87	52	61	12	125	25	34	4	63	26	41	39	106	40	30	—	70	3	18	—	21	577	1039	317	1933	2372	2887	1078	6337
	%	29,5	23,1	32,2	27,0	28,0	24,7	25,8	26,1	8,9	7,2	2,8	7,1	1,8	2,1	1,2	1,8	1,3	0,6	3,5	1,4	2,2	2,1	1,1	2,0	1,1	1,2	0,4	1,0	1,1	1,4	3,6	1,7	1,7	1,0	—	1,1	0,1	0,6	—	0,3	24,3	36,0	29,4	30,5				
Ogólna liczba rozpoznań		3449	4048	2716	10213	2355	3128	1273	6756	915	1221	314	2450	348	488	139	975	175	100	270	545	209	289	39	537	203	271	53	527	106	165	152	423	171	181	1	353	55	148	—	203	1712	4152	1792	7656	9698	14191	6749	30638
	%	35,5	28,5	40,2	33,3	24,3	22,0	18,9	22,0	9,4	8,6	4,6	8,0	3,6	3,4	2,1	3,2	1,8	0,7	4,0	1,7	2,2	2,1	0,5	1,8	2,1	1,9	0,8	1,7	1,1	1,2	2,3	1,4	1,8	1,3	—	1,2	0,6	1,0	—	0,7	17,6	29,3	26,6	25,0				

M = mężczyźni, K = kobiety, D = dzieci, L. = Liczba osób

Ryc. 1

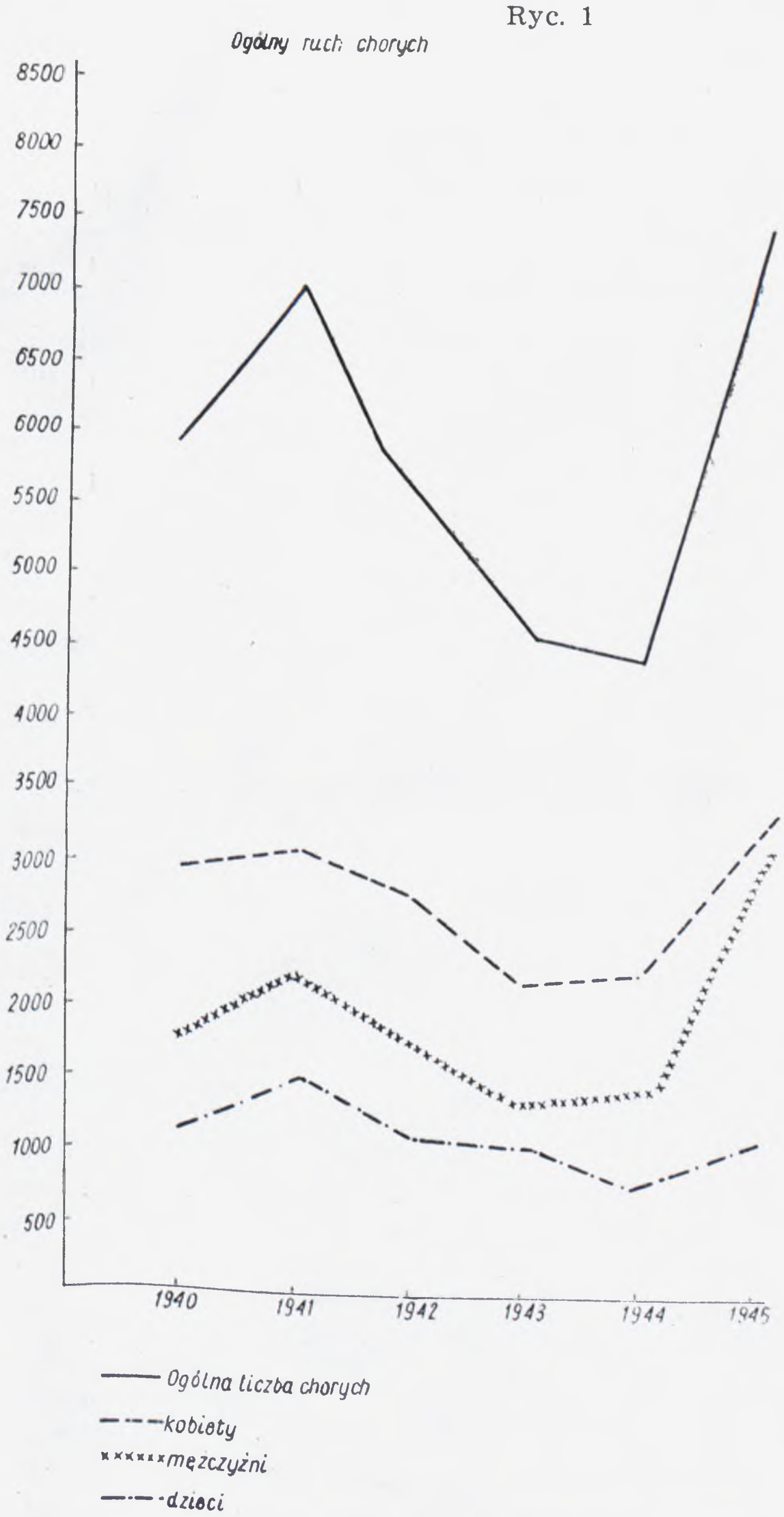

osobistej, higieny mieszkania, odżywiania (niedobór kaloryczny i witaminowy), podróżowania oraz niedostatek bielizny i odzieży, przyczyniały się do wzrostu przede wszystkim wymienionych chorób. Poza tym właśnie wtedy w Państwowym Szpitalu powiększono łaźnię, uruchamiając przy niej odwszawialnię i odświerzbialnię, w której leczono świerzb szybką, kilkugodzinną metodą. Niemiecka dyrekcja Szpitala zorganizowała łaźnię głównie dla potrzeb Urzędu Zatrudnienia, który każdy transport robotników do Rzeszy poddawał oględzinom lekarskim i ewentualnemu leczeniu w Krakowie, gdzie był punkt przeładunkowy dla tych grup ludności. Ze wspomnianej łaźni korzystali też chorzy różnych innych zakładów leczniczych nie posiadających takich urządzeń.

Przedstawione liczby tym bardziej są charakterystyczne, że zachorowalność na świerzb zwiększała się nawet w takich krajach, które ominęły działania i skutki drugiej wojny światowej, jak Turcja. Np. *Marchionini* podał, że w latach 1940—1945 w klinice w Ankarze odsetek rozpoznań świerzbu z początkowej wartości 4% wzrósł przez 7% i 18% do 20%. Równocześnie klinika wrocławska notowała 15,6% chorych na świerzb, berlińska 11,7%, kijowska 36,0%, praska 20,0%, tuluska 16,0%, co wyraźnie świadczy o ogólnym wzroście liczby zachorowań, które w okresie przedwojennym nie przekraczały paru procent.

Odsetek chorych na gruźlicę skóry (3,7%), zanotowany przez *Hirscha* w r. 1934, wzrastał również w czasie wojny i osiągnął wartość 5,1% w r. 1943. Autor ten stwierdził, że u 60% wszystkich tych chorych rozpoznano toczeń pospolity, a u 20% gruźlicę rozpływną. W dokumentacji z lat 1940—1945 odpowiednie odsetki wynosiły około 75% i około 15%. Na wzrost ogólnej liczby chorych na gruźlicę skóry wpłynęły bez wątpienia ciężkie warunki bytowania w czasie okupacji i zdarzenia wojenne obniżające odporność ustroju, niemniej jednak należy zaznaczyć, że często obserwowaliśmy zgłaszanie się wówczas po raz pierwszy do leczenia osób od wielu lat cierpiących na tę chorobę. To spostrzeżenie odnosi się zwłaszcza do mieszkańców wsi, którzy niekiedy dopiero podczas wojny znaleźli się w dużym mieście i tu szukali pomocy lekarskiej. Poza tym Oddział Promieniolecznicz y Państwowego Szpitala, podczas okupacji jako jedna z nielicznych placówek przeznaczonych dla ludności polskiej, dysponował nowoczesną aparaturą do światłolecznictwa (lampy Finsena, aparat rentgenowski), co umożliwiało prowadzenie na tym oddziale leczenia gruźlicy skóry i nowotworów (12). Do leczenia zgłaszali się chorzy nawet z bardzo odległych miejscowości, wśród nich wielu takich, którzy uprzednio pozostawali w opiece innych placówek (Lwów, Warszawa). Działalnością Oddziału Promieniolecznicz ego należy też między innymi tłumaczyć wzrost liczby rozpoznań grzybic do 1,9% w r. 1940 w porównaniu z 1,0% w r. 1934, tu bowiem wykonywano epilację promieniami Roentgena w toku leczenia grzybic głębokich skóry.

Marchionini w tym samym okresie w Klinice w Ankarze zanotował 5—6% chorób o tle grzybiczym, a zatem więcej, niż u nas. Równocześnie w Niemczech, gdzie ludność nie była w takim stopniu dotknięta ograniczeniami lat wojennych, jak w Polsce, nie stwierdzano, jak wynika z pracy *Stümpkego* (14), wzrostu liczby tych chorób.

Odmrożenia wśród chorych zgłaszających się do przychodni, nieliczne w czasach przedwojennych (0,13% w r. 1934), wykazywały w okresie okupacji znaczny wzrost, w r. 1940 przeszło dwudziestokrotny (2,9%). Należy zaznaczyć, że zima r. 1939/1940 była jedną z najostrzejszych, a jeżeli weźmiemy pod uwagę niedostateczne zaopatrzenie ludności polskiej w opał i w odpowiednie odzienie, przy niedoborach kalorycznych odżywienia i złych warunkach mieszkania i podróżowania (często przymusowego w razie przesiedleń), znajdujemy pełne uzasadnienie tego zjawiska. Wzrost liczby chorób alergicznych i innych (łuszczyca, nowotwory złośliwe i liszaj rumieniowaty)

Tabela II
Choroby weneryczne wśród chorych Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji

Rok		Kiła				Rzeżączka				Wrzód miękki				Razem			
		M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D	M	K	D	M+K+D
1940	L	324	295	32	651	290	106	2	398	26	3	—	29	640	404	34	1078
	%	50,6	73,0	94,1	60,4	45,3	26,3	5,9	36,9	4,1	0,7	—	2,7				
1941	L	173	272	27	472	159	345	2	506	16	20	—	36	348	637	29	1014
	%	49,7	42,7	93,1	46,5	45,7	54,2	6,9	49,9	4,6	3,1	—	3,6				
1942	L	138	204	29	371	139	212	2	353	3	—	—	3	280	416	31	727
	%	49,3	49,0	93,5	51,0	49,6	51,0	6,5	48,6	1,1	—	—	0,4				
1943	L	101	171	16	288	88	97	1	186	1	—	—	1	190	268	17	475
	%	53,2	63,8	94,1	60,6	46,3	36,2	5,9	39,2	0,5	—	—	0,2				
1944	L	90	146	26	26,2	96	86	2	184	3	—	—	3	189	232	28	449
	%	47,6	62,9	92,9	58,4	50,8	37,1	7,1	41,0	1,6	—	—	0,6				
1945	L	298	228	18	544	386	120	3	509	10	1	—	11	694	349	21	1064
	%	42,9	65,3	85,7	51,2	55,6	34,4	14,3	47,8	1,5	0,3	—	1,0				
Ogólna liczba rozpoznań		1124	1316	148	2588	1158	966	12	2136	59	24	—	83	2341	2306	160	4807
%		48,0	57,1	92,5	53,8	49,5	41,9	7,5	44,5	2,5	1,0	—	1,7				

M = mężczyźni, K = kobiety, D = dzieci, L = liczba osób

trudno wyjaśnić, chociaż zwiększenie liczby rozpoznań chorób uczuleniowych wiązało się z ponownym uruchomieniem w r. 1942 oddzielnej przychodni przyszpitalnej (10). Zwiększenie się odsetka chorych na łuszczycę (1,2% w r. 1934, a 2,0% w r. 1943) było zgodne ze spostrzeżeniami poczynionymi w latach wojny w Niemczech, a podanymi przez *Stümpkego* (14).

Odsetek rozpoznanych nowotworów złośliwych w porównaniu ze stanem w r. 1934 (0,4%) wzrósł w latach wojennych przeszło pięciokrotnie (2,3% w r. 1944). Możliwe, że było to następstwem ulepszenia postępowania diagnostycznego (badanie histologiczne) i wiązało się ze wspomnianą już działalnością oddziału promieniolecznicze go, gdyż pewną część nowotworów stwierdzono w przebiegu leczenia gruźlicy skóry.

Częstość występowania liszaja rumieniowatego wykazywała mniejsze różnice w stosunku do stanu przedwojennego, gdyż stwierdzono wzrost z 0,4% w r. 1934 do 0,7% w r. 1944.

Jedyną chorobą, która jako przyczyna zgłaszania się chorych do przychodni w czasie okupacji nie osiągnęła odsetka (2,0%) z roku 1934, były oparzenia. Najwyższy odsetek chorych oparzonych w latach 1940—1945 wynosił 1,5%. W tym wypadku należy się jednak zastrzec, że dokumentacja zawarta jedynie w księgach przychodni przyszpitalnej nie odzwierciedla całości zagadnienia. W księgach chorych leżących na oddziale skórno-wenerologicznym liczba oparzeń była znacznie większa. Wynikało to najprawdopodobniej z tego, że znaczna część chorych oparzonych zgłaszała się do leczenia bądź poza godzinami pracy przychodni (przypadki nagłe), bądź też w tak ciężkim stanie ogólnym, że chorzy byli przyjmowani do szpitala z pominięciem przychodni. Należy dodać, że wojna i okupacja stwarzały warunki sprzyjające częstszemu powstawaniu oparzeń zarówno u dzieci, jak u dorosłych. Praca zarobkowa matek lub ich wyjazdy związane z dorywczym handlem i płynący stąd niedozór dzieci, zajmowanie na mieszkania lokali nie przystosowanych do ogrzewania, co sprzyjało powstawaniu pożarów, w końcu same działania wojenne oraz ułatwiony dostęp do materiałów łatwopalnych i wybuchowych — wszystko to stanowiło najczęstsze przyczyny oparzeń u chorych zgłaszających się do leczenia.

Analizując zapadalność na choroby weneryczne (tab. II i III), należy podkreślić, że w ogólnym ruchu chorych najwyższy odsetek chorych kiłowych (11,0% w r. 1940) był mimo wszystko niższy od podanego dla r. 1934 (12,5%) przez *Hirscha*. Znajomość stosunków okupacyjnych nie pozwala jednak na wysnucie wniosku, że liczba zakażeń kiłą w rzeczywistości się zmniejszyła. Trudne warunki życia w zagęszczonych mieszkaniach, często wielogodzinne, sprzyjające nawiązywaniu przygodnych znajomości wspólne odbywanie podróży, przypadkowe noclegi zależne od godziny policyjnej, wreszcie szerzący się alkoholizm, gwałty oraz pogoń za łatwym zarobkiem przy osłabieniu hamulców psychicznych w obliczu grożących niebezpieczeństw i śmier-

Tabela III

Kiła wśród chorych Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji z uwzględnieniem okresu choroby

Rozpoznania	Płeć	Liczba i odsetek badanych w latach						
		1940	1941	1942	1943	1944	1945	Razem
Kiła pierwszego okresu		42	33	31	15	19	109	249
	%	6,4	7,0	8,3	5,2	7,2	20,0	9,6
	M	30	20	24	11	16	80	186
	K	11	13	7	4	3	24	62
	D	1	—	—	—	—	—	1
Kiła drugiego okresu		155	80	54	30	42	159	520
	%	23,8	17,0	14,5	10,4	16,0	29,1	20,0
	M	71	24	14	11	10	59	189
	K	80	54	40	19	32	100	325
	D	4	2	—	—	—	—	6
Kiła utajona		371	274	211	187	137	213	1393
	%	57,0	58,0	56,9	65,0	52,3	40,0	54,0
	M	201	102	84	70	54	131	642
	K	170	172	127	117	83	82	751
	D	—	—	—	—	—	—	—
Kiła trzeciego okresu		28	18	15	10	19	15	105
	%	4,3	3,8	4,0	3,5	9,2	2,8	4,1
	M	9	6	3	2	5	7	32
	K	19	12	12	8	14	8	73
	D	—	—	—	—	—	—	—
Kiła narządów wewnętrznych		3	3	5	4	3	5	23
	%	0,5	0,6	1,3	1,4	1,1	1,0	0,8
	M	1	3	3	1	1	2	11
	K	2	—	2	3	2	3	12
	D	—	—	—	—	—	—	—
Kiła układu nerwowego		5	12	9	5	3	6	40
	%	0,8	2,5	2,4	1,7	1,1	1,1	1,6
	M	2	8	6	2	1	2	21
	K	3	4	3	3	2	4	19
	D	—	—	—	—	—	—	—
Kiła wrodzona		47	52	46	37	39	37	258
	%	7,2	11,0	12,4	12,8	14,9	6,9	9,9
	M	10	10	4	4	3	12	43
	K	10	17	13	17	10	7	74
	D	27	25	29	16	26	18	141
Ogólna liczba rozpoznań kiły		651	472	371	288	262	544	2588
	M	324	173	138	101	90	298	1124
	K	295	272	204	171	146	228	1316
	D	32	27	29	16	26	18	148

M = mężczyźni, K = kobiety, D = dzieci

ci — oto kilka przyczyn podawanych przez chorych zgłaszających się do przychodni z powodu kiły.

Obserwowane zmniejszenie liczby rozpoznań kiły mogło więc łączyć się z ogólnym zubożeniem ludności i zmuszać wskutek tego do ograniczania przez nią wydatków na wówczas jeszcze długotrwałe leczenie; należy również wskazać na trudności komunikacyjne, a także niski poziom uświadomienia ludności, szczególnie młodzieży, która podczas okupacji często była pozostawiona sama sobie i pozbawiona opieki rodziców czy wychowawców. Pewną rolę w obniżeniu się liczby tych chorych mogła też odgrywać obawa przed zgłoszeniem choroby wenerycznej do niemieckiego Urzędu Zdrowia, co zostało obowiązkowo wprowadzone i przez przychodnie przyszpitalne musiało być ściśle przestrzegane.

Znaczny wzrost liczby chorych na kiłę zaobserwowaliśmy dopiero w r. 1945, gdy przez Kraków i okolice przepływały masowo wojska i ludność cywilna, a równocześnie postępująca stabilizacja życia i stosunków społecznych umożliwiała chorym zgłaszanie się do leczenia. W tym czasie podjęto też odpowiednią akcję propagandowo-uświadamiającą, a pod koniec r. 1945 uruchomiono przy reaktywowanej Klinice Dermatologicznej UJ oddzielną przychodnię przeciwweneryczną dla matki i dziecka (7) oraz przychodnię dla studentów szkół wyższych, co przyczyniło się do zarejestrowania i objęcia leczeniem pewnej liczby chorych uprzednio nie leczonych.

Dokładniejsza analiza chorych na kiłę zanotowanych w latach 1940—1945 (tab. III) wykazuje, że oprócz liczb ogólnych również odsetki obliczone dla kiły I okresu, a z wyjątkiem r. 1944 także dla kiły II okresu obniżały się aż do r. 1945. Potwierdziło się przy tym spostrzeżenie *Gońkowskiego* i *Borkowskiego*, że z powodu kiły I okresu zgłasza się więcej mężczyzn niż kobiet, natomiast z powodu kiły II i III okresu wiecej kobiet niż mężczyzn.

Co do chorych z kiłą utajoną, to przed wojną odsetek zgłaszających się był nieomal równy dla obu płci (4), natomiast w latach 1940—1944 kobiety stanowiły większość, a tylko w r. 1945 zaznaczyła się przewaga liczbowa mężczyzn. Możliwe, że fakt ten wiąże się z większym bezpieczeństwem osobistym kobiet podczas okupacji i większa swoboda poruszania sie, co ułatwiało im zgłaszanie się do badania i leczenia, bądź też, że kobiety, nawet nie odczuwające dolegliwości w okresie utajenia choroby, poddawały się leczeniu dla celów ubocznych, na przykład, aby na podstawie odpowiedniego zaświadczenia uzyskać zwolnienie z przymusowych robót lub wywiezienia do Rzeszy. W zakresie kiły narządów wewnętrznych i kiły układu nerwowego żadna płeć nie wykazywała wyraźniejszej przewagi liczbowej.

Spośród chorych na kiłę wrodzona przeszło połowę stanowiły dzieci; wśród dorosłych przewagę liczbową wykazywały kobiety, a tylko w r. 1945 mężczyźni. Spostrzeżenie, że więcej kobiet niż mężczyzn zgłasza się do leczenia z powodu kiły wrodzonej, jest zgodne z obserwacją *Gońkowskiego* i *Borkowskiego*. *Hirsch* w swoim opracowaniu ruchu chorych z r. 1934 nie podał ani jednego rozpoznania kiły wrodzonej u kobiet, a tylko 3 u mężczyzn.

Częstość występowania szkodliwych następstw leczenia kiły czy objawów nietolerancji przy stosowaniu salwarsanu i bizmutu nie przekraczała 3%, a więc była zbliżona do podanej przez *Gońkowskiego* i *Borkowskiego*. Przebieg tych powikłań nie był w naszym materiale ciężki, co jest zgodne ze spostrzeżeniami poczynionymi w czasie ostatniej wojny w Niemczech (14, 9).

Rzeżączka była w omawianym okresie drugą chorobą weneryczną pod względem często-

ści zgłoszeń w przychodniach szpitala, przy czym najwyższy odsetek (7,2%), jaki osiągnęła w r. 1941, był podobnie, jak w obliczeniach dotyczących kiły, znacznie niższy od stwierdzonego (13,5%) w r. 1934 przez *Hirscha*. Za jedną z przyczyn tego zjawiska można uznać rozpowszechnienie w czasie wojny leczenia rzeżączki sulfonamidami, łatwymi do stosowania bez pomocy lekarza i dającymi szybkie ustąpienie objawów choroby. Możliwe jest też, że od zgłaszania się do badania i leczenia powstrzymywały chorych te same okoliczności, które odgrywały rolę u chorych na kiłę. Gwałtowny wzrost liczby chorych na rzeżączkę w naszych przychodniach przyniósł dopiero rok 1945. W latach 1940—1945 zanotowano również dalszy spadek liczby zachorowań na wrzód miękki, przy czym zjawisko to w przeciwieństwie do poprzednich nie uległo zmianie w okresie po zakończeniu wojny.

Analizując liczby korzystających w latach 1940—1945 z przychodni, stwierdzono, że najwięcej mieszkańców Krakowa (70,4% ogólnej liczby mężczyzn z badanej grupy) zgłosiło się w r. 1941, najmniej (36,7%) w r. 1944; odpowiednio największy odsetek mieszkanek Krakowa wyniósł 64% ogólnej liczby kobiet zgłaszających się w r. 1944, a najmniejszy (42,1%) w r. 1943.

Liczby dotyczące zawodów w omawianej populacji, ale tylko w odniesieniu do mężczyzn zarejestrowanych w latach 1940—1943, przedstawiono w tab. IV. Wynika z niej, że

Tabela IV
Chorzy Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji z uwzględnieniem zawodu (w odsetkach) *)

Zawód	w latach			
	1940	1941	1942	1943
Robotnicy	36,0	34,0	37,0	32,0
Rzemieślnicy	30,0	21,0	19,0	21,0
Rolnicy	10,0	19,0	19,0	20,0
Urzędnicy	6,1	5,7	5,0	6,3
Bezrobotni	4,3	3,1	3,1	1,8
Handlowcy	2,8	3,2	3,0	3,4
Kierowcy	2.1	1,7	1,0	2,7
Wolne zawody	1,5	1,5	2,1	2,3
Artyści	1,3	0,7	1,4	1,4
Emeryci	0,4	1,4	2,5	2,4
Dorożkarze	0,4	1,0	0,9	1,4
Mechanicy	0,2	1,9	3,0	3,1

* Tabela dotyczy tylko mężczyzn.

przychodnia Oddziału Skórno-Wenerologicznego Państwowego Szpitala obsługiwała głównie ludność robotniczą, rzemieślniczą i rolniczą; urzędnicy, handlowcy i przedstawiciele innych grup zawodowych korzystali z niej w mniejszym stopniu, chociaż liczba przedstawicieli wolnych zawodów oraz artystów i emerytów wzrastała w ciągu omawianego okresu, co mogło być spowodowane przyczynami już wspomnianymi.

Podział chorych według narodowości przedstawiono w tab. V i VI. Wynika z nich, że największa liczba cudzoziemców korzystała

Tabela V
Udział cudzoziemców w ogólnym ruchu chorych Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji

Rok	Ogólna liczba chorych	Liczba cudzoziemców	Odsetek ogólnej liczby chorych
1940	5 954	3	—
1941	7 009	16	0,2
1942	5 900	7	0,1
1943	4 667	190	4,1
1944	4 514	145	3,2
1945	7 401	861	11,6
Razem	35 445	1 222	3,4

Tabela VI
Cudzoziemcy wśród chorych Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji z uwzględnieniem narodowości i płci *

Narodowość	Mężczyźni	Kobiety	Razem
Rosjanie	559	103	662
Francuzi	83	8	91
Węgrzy	15	14	29
Rumuni	8	17	25
Czesi i Słowacy	18	6	24
Włosi	12	4	16
Brytyjczycy	5	—	5
Niemcy	4	—	4
Belgowie	2	—	2
Holendrzy	1	—	1
Bułgarzy	1	—	1
Turcy	1	—	1
Razem	709	152	861

* Tylko w roku 1945

z przychodni w r. 1945; byli to bądź żołnierze w czynnej służbie, bądź byli jeńcy wojenni lub byli więźniowie obozów koncentracyjnych. Zwiększyło to nie tylko ogólny ruch chorych w r. 1945, ale również spowodowało wzrost liczby chorych zgłaszających się z powodu świerzbu, chorób ropnych, odmrożeń, a także kiły i rzeżączki.

Oceniając ogólnie sytuację w latach 1940—1945, należy podkreślić, że w przychodniach

Tabela VII
Udział grup zgłaszających się do badania (wysiedlonych, wywożonych na roboty przymusowe, byłych więźniów obozów itp.) wśród chorych Przychodni Skórno-Wenerologicznej Państwowego Szpitala w Krakowie podczas okupacji

Rok	Ogólna liczba chorych	Mężczyźni	Kobiety	Razem	Odsetek ogólnej liczby chorych
1940	3 001 *	nie notowano	251	251	8,4
1941	7 009	42	121	163	2,3
1942	5 900	278	172	450	7,6
1943	4 667	248	214	462	9,9
1944	4 514	98	317	415	9,2
1945	7 401	856	182	1 038	14,0
Razem	29 491	1 522	1 522	2 779	9,4

* Liczba i odsetek dotyczy tylko kobiet i dzieci

przyszpitalnych leczono wielu chorych należących do określonych większych grup ludności, związanych ze sobą ściślej okolicznościami wojennymi i wykazujących często te same choroby. Były to grupy wysiedlonych, przymusowo przewożonych w transportach zbiorowych, uchodźców z okolic, w których dłużej toczyły się działania wojenne, a od drugiej połowy r. 1944 także mieszkańcy zniszczonej Warszawy. To zagadnienie przedstawiono w tab. VII.

Analiza ruchu chorych w przychodniach skórno-wenerologicznych w latach 1940—1945 niewątpliwie wskazuje na istnienie wyraźnego związku między liczbą i rodzajem stwierdzonych chorób a szczególnymi warunkami życia ludności polskiej w owym czasie i wydarzeniami wojennymi.

Zebranie materiału, który pozwolił na wysnucie ogólniejszych wniosków o tej zależności, było możliwe tylko w oparciu o istnienie dokładnych zapisów w księgach chorych tych przychodni. Przenoszone kilkakrotnie do innych pomieszczeń, zachowały się znacznie lepiej niż luźne karty chorych, które prowadzono w pierwszej połowie r. 1940, a które uległy zdekompletowaniu wskutek okoliczności wojennych (między innymi zburzenie sąsiedniego budynku szpitalnego przez bombę lotniczą i ewakuacja przychodni). Wydaje się, że w czasach klęsk żywiołowych (pożar, powódź) i społecznych (wojna) luźne karty budzą mniej poszanowania niż duże księgi i łatwiej ulegają zagubieniu, czy nawet przypadkowemu zniszczeniu.

PIŚMIENNICTWO

1. *Brill* E. H.: Hautkrankheiten im Kriege. Med. Welt, 1941, nr 21, s. 525—528. — 2. *Goćkowski* J., *Borkowski* E.: Analiza liczbowa chorych kiłowych Kliniki Dermatologicznej UJP [w Warszawie] za lata 1921—1936. Przegl. Derm., 1938, nr 1, s. 47—78. — 3. *Hill* B.: Statistics in medicine. The Lancet, 1947, nr 6461. — 4. *Hirsch* L.: Z badań nad ruchem chorych przychodnich Oddziału Skórno-Wenerycznego Szpitala św. Łazarza. Przegl. Derm., 1938, nr 1, s. 79—85. — 5. *Koniar* T.: Oddział chorób skórnych i wenerycznych Państwowego Szpitala św. Łazarza za czas od wybuchu wojny w r. 1939 do objęcia oddziału przez ordynatora po powrocie z zagranicy (1. XI. 1947). Przegl. Lek., 1948, nr 20, s. 669—672. — 6. *Kostrzewski* J.: Państwowy Szpital św. Łazarza w Krakowie i kliniki UJ w czasie okupacji i na przełomie. Przegl. Lek., 1946, nr 1/3, s. 26—39. — 7. *Kowarz* H.: Przychodnia Przeciwweneryczna dla Matki i Dziecka przy Klinice [Dermatologicznej UJ]. Kron. Wener., 1947, nr 2, s. 18—20. — 8. *Marchionini* A.: Epidemiologische u. sozialhygienische Probleme der Dermatologen in der Türkei. Dermatologica, 1946, nr 1, s. 16—31. — 9. *Mayr* H. K.: Zur Frage der Salvarsanschäden im Kriege, besonders der Dermatitis. Eigene Erfahrungen an 8 000 Patienten. Derm. Wschft., 1943, nr 19/20, s. 297—305. — 10. *Obtułowicz* M.: Kilka liczb z działalności ośrodków dla chorych alergicznych. Pol. Tyg. Lek., 1946, nr 34/35, s. 1051—1054.

11. *Obtułowicz* M.: O oparzeniach. Wyd. Bratnia Pomoc Medyków, Kraków 1947. — 12. *Oszast* Z.: Zagadnienie gruźlicy skóry w Polsce. Lek. Inst. Nauk.-Wydawn., Warszawa 1948. — 13. *Stümpke* G.: Ist gehaüftes Auftreten von Salvarsanschäden zu beobachten und welche Folgerungen sind gegebenenfalls daraus zu ziehen? Derm. Wschft., 1941, nr 42, s. 861—870. — 14. *Stümpke* G.: Hautkrankheiten im Kriege. Derm. Wschft., 1942, nr 15, s. 289—294. — 15. Inter-allied conferences on war medicine convened by the Royal Society of Medicine 1942—1945. London 1947 (praca zbiorowa). Section VI: Venereal diseases.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Kraków

Pierwsza oświęcimska selekcja do gazu

Transport do „sanatorium Dresden"

W kalendarzu wydarzeń obozowych, opracowanym przez Danutę *Czech*, pod datą 28 lipca 1941 roku zanotowano, że tego dnia „przybyła specjalna komisja, zapowiedziana rozkazem *Himmlera*, w skład której wchodził dr *Schumann*. Komisji przekazano wszystkich inwalidów, ułomnych i przewlekle chorych, wybranych pod pozorem przeniesienia do innego obozu i użycia do lżejszej pracy. Transport 575 więźniów odwiózł *rapportführer Hössler* zgodnie z poleceniem dra *Schumanna* do zakładu dla umysłowo chorych w Königstein w Saksonii. Według relacji *Hösslera* złożonej *Hössowi* przywiezionych więźniów zagazowano w łaźni, do której wpuszczono przez otwory pryszniców tlenek węgla (*Kohlenoxyd*)" [1].

Notatkę tę opracowała Danuta *Czech* na podstawie oświadczenia R. *Hössa* [2], materiałów obozowego ruchu oporu [3] oraz zeznań świadków [4]. Komendant Oświęcimia-Brzezinki Rudolf *Höss* podał [5], że „z polecenia kancelarii *Hitlera (Kanzlei des Führers)* eksperymentował nad sprawdzaniem sztucznej bezpłodności za pomocą naświetlania promieniami Roentgena *oberleutnant* lotnictwa dr *Schumann* [6]. Po

[1] Zeszyty Oświęcimskie, nr 2, s. 98.

[2] Proces R. *Hössa*, t. 21, k. 137 i 138.

[3] Materiały obozowego ruchu oporu, t. VII, k. 474.

[4] Proces R. *Hössa*; zeznanie byłego więźnia Romana *Taula* (t. 4, k. 99), Jana *Kaszyńskiego* (t. 7, k. 104), Jana *Dziopka* (t. 8, k. 109). — Relacja byłego więźnia mgra inż. Leszka *Więckowskiego*. Materiały t. 54, sygn. Mat./659.

[5] Jak w przypisie 2.

[6] Zob. S. *Kłodziński:* Z zagadnień ludobójstwa. „Sterylizacja" i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr Horst *Schumann*. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 105—111.

raz pierwszy przybył on do Oświęcimia w roku 1941 w towarzystwie drugiego lekarza, którego nazwiska nie pamiętam. Była to komisja specjalna, zapowiedziana już poprzednio rozkazem *Himmlera*. Według treści tego rozkazu wybrać należało spośród więźniów wszystkich przestępców zawodowych, obciążonych dziedzicznie oraz więźniów umysłowo chorych i po przybyciu specjalnej komisji oddać ich w ręce komisarzy. Komisji tej wydano z Oświęcimia, o ile pamiętam, dwa wagony wybranych zgodnie z rozkazem *Himmlera* przestępców. Przypominam sobie, że był wśród nich między innymi także *oberkapo Bauhofu*, przestępca zawodowy *von Siegrut* (więzień nr 26). Więźniów tych odtransportował *Hössler* zgodnie z poleceniem *Schumanna* do zakładu dla umysłowo chorych w Königstein w Saksonii, którego pacjentów już przedtem zlikwidowano. W zakładzie tym, jak mi zakomunikował *Hössler*, wpędzono przywiezionych z Oświęcimia więźniów do łaźni, w której zostali oni zatruci tlenkiem węgla (*Kohlenoxyd*), wpuszczonym do łaźni przez otwory tuszów. Z Oświęcimia do Königstein wysłano tylko ten jeden transport. Komisje takie działały we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych przez cały czas wojny. Zgodnie z obowiązującym rozkazem lekarze bioracy w nich udział zmieniali się tak, że dany lekarz mógł być tylko jeden raz z taką komisją w pewnym obozie, by rola jego nie rzucała się w oczy".

Owym drugim lekarzem, którego nazwiska *Höss* nie pamiętał, a który przybył wraz z *Schumannem* do Oświęcimia, był nadradca dr med. *Müller*. Wynika to z zeznania Maksymiliana *Grabnera* (szefa oświęcimskiego *Politische Abteilung*), który w procesie krakowskim załogi Oświęcimia-Brzezinki napisał własnoręcznie: „Tak ukazał się w roku 1941 pewien profesor, dr *Schumann* i nadradca medycyny, dr *Müller*, którzy na podstawie rozkazu wybierali więźniów". *Grabner* cytuje ten rozkaz: „Kaleki, niepoprawni, nieuleczalni, niezdolni do pracy, stanowiący niebezpieczeństwo zarazy maja zniknąć z powierzchni ziemi". O przybyłych członkach komisji pisze *Grabner* w swym zeznaniu, że „wypełniali kwestionariusze, które następnie zabierali ze soba. Wybrani przez nich więźniowie zostali odtransportowani rzekomo w kierunku Drezna. Potem nadchodziły meldunki o ich śmierci z Urzędu D" [7], wchodzącego w skład *WVHA*, nadzorującego obozy koncentracyjne [8].

Wyjaśnienia wymaga nazwa „Königstein", dokąd według *Hössa* wywieziono więźniów Oświęcimia. W rzeczywistości przetransportowano ich nie do Königstein, który jest zamkiem-twierdzą, lecz do pobliskiego Sonnenstein, oddalonego o około 20 km od Drezna [9].

Z materiałów dotyczących lekarskiego procesu norymberskiego [10] wynika, że „zabijanie nieuleczalnie chorych, niedorozwiniętych oraz oligofrenicznych dzieci [niemieckich] stało się punktem wyjścia wskazań do mordowania z pobudek czysto polityczno-ideologicznych niepożądanych populacji lub ludzi niezdolnych do pracy. Biegli lekarze niemieccy w sposób zamaskowany wyszukiwali wśród więźniów obozów koncentracyjnych chorych i kalekich, a następnie rozstrzygali o ich losach w «zakładach leczniczych». Na ten temat złożył zeznanie dr Waldemar *Hoven*, były lekarz obozu *KL* — Buchenwald: «W roku 1941 dowiedziałem się, że w Niemczech zostanie zrealizowany program wyniszczenia umysłowo chorych i kalek. Komendant obozu *Koch* wezwał wówczas wszystkich *SS-führerów* obozu i powiadomił nas, że otrzymał od *Himmlera* tajny rozkaz o konieczności zabijania wszystkich umysłowo chorych i kalekich więźniów obozu. Komendant obozu wyjaśnił dalej, że na rozkaz wyższych władz z Berlina powinni być ujęci programem tego wyniszczenia wszyscy żydowscy więźniowie Buchenwaldu. Zgodnie z tym rozkazem 300—400 żydowskich więźniów różnych narodowości zostało wysłanych na wytępienie do stacji eutanazyjnej w Bernburgu. Kilka dni potem otrzymałem od komendanta obozu imienną listę Żydów zabitych w Bernburgu z poleceniem wystawienia zafałszowanych przyczyn zgonu. Podporządkowałem się temu rozkazowi. Ta tzw. akcja specjalna odbywała się pod kryptonimem *14 F 13*»" [11].

Były więzień Buchenwaldu, Benedykt *Kautsky*, stwierdza, że „system komór gazowych nie był żadną improwizacją, lecz wynikiem wieloletnich, szczegółowych badań. Już w roku 1941 więźniowie zwrócili uwagę na zagadkowe transporty, które niespodziewanie były zestawiane, przy czym w tej pracy dało się zauważyć dużą nerwowość *SS*. Niewiele można się było dowiedzieć o kierunku i celu tych transportów. Wiedziano, że w ciągu 24 godzin odzież odtransportowanych wracała, co oznaczało, że odesłani byli martwi. Dopiero gdy te transporty «do nieba» na przełomie lat 1941/1942 stały się zbyt częste, uzyskano pewność i jasność sytuacji. Wiedziano, że transporty służyły do doświadczeń z gazami. Więźniowie początkowo myśleli o gazach bojowych i oczekiwali ich użycia podczas ataków lotniczych na angielskie miasta; w lecie 1942 roku

---

[7] Proces załogi, t. 53, k. 296. — Maksymilian *Grabner* był kierownikiem oddziału politycznego w Oświęcimiu-Brzezince od początku do listopada 1943 roku.

[8] *WVHA* oznacza Główny Urząd Gospodarki i Administracji *SS*. Artur *Liebehenschel*, urodzony w roku 1901, pracował w latach 1936—1942 w urzędzie inspektora obozów koncentracyjnych, będąc od roku 1940 zastępcą inspektora *Glücksa*, a następnie szefem Urzędu D.

[9] Z listu *Elisabeth Nennstiel* do autora (zajmuje się ona zagadnieniami lekarzy *SS* i eutanazją).

[10] Das Diktat der Menschenverachtung. Eine Dokumentation von A. *Mitscherlich* und F. *Mielke*. Der Nürnberger Ärzteprozess und seine Quellen. Verlag Lambert Schneider, Heidelberg, 1947.

[11] Tamże, str. 134; wyciąg z protokołu S 1727/28. — Kryptonim *14 F 13* był sygnaturą akt inspektoratu obozów koncentracyjnych przy *reichsführerze SS*, tj. Urzędu D przy Głównym Urzędzie Gospodarczo-Administracyjnym *SS* w Berlinie i Oranienburgu. Zgodnie z tym sygnatura *14 F 13* jest znakiem łączącym większą liczbę tego typu dokumentów.

dowiedzieliśmy się jednak od kolegów i przyjaciół, którzy przybyli do Buchenwaldu z Oświęcimia, jaki jest rzeczywisty cel tych doświadczeń" [12].

Były więzień Gross-Rosen, Roman *Olszyna*, podaje, że w dniach 19—20 stycznia 1942 roku w tym obozie specjalna komisja lekarska pod przewodnictwem prof. *Heydego* [13] dokonała przeglądu więźniów pod kątem ich przydatności do pracy w obozie. Dnia 4 marca 1942 roku komendantura obozu Gross-Rosen otrzymała pismo z Zakładu Sanatoryjnego i Opieki Lekarskiej w Bernburgu, oznaczone uwagą „Tajemnica państwowa" i polecające przekazanie do tego zakładu 214 więźniów, wybranych uprzednio przez komisję lekarską w dniach 19—20 stycznia 1942 roku. W tym piśmie napisano między innymi: „Nam się wydaje, że najbardziej odpowiednim dniem przybycia tego transportu byłby 24 marca 1942 roku, ponieważ tymczasem będą nam dostarczeni więźniowie z innych obozów koncentracyjnych i z punktu widzenia spraw technicznych jest nam potrzebny taki okres czasu". Więźniowie wyznaczeni do tego transportu są wymienieni w dokumentach obozu Gross-Rosen jako zmarli w marcu 1942 roku [14].

Do Sonnensteinu pod Dreznem przybyło w tym czasie, kiedy z Oświęcimia przywieziono tam 575 ofiar, 550 więźniów spod Gdańska (prawdopodobnie z któregoś podobozu Stutthofu) i 400 więźniów z Buchenwaldu. Prawdopodobnie chodziło tutaj o nabranie doświadczenia przy masowych gazowaniach [15]. Wyniszczanie to zarządził *Hitler* z końcem października 1939 roku w piśmie datowanym wstecznie na 1 września tegoż roku [16], tj. właśnie na początek pierwszego zbrojnego starcia Niemiec hitlerowskich, które rozpoczęło okres planowego tępienia Żydów i Słowian.

Wspomniane „komisje lekarskie" funkcjonowały także w innych obozach. Z dokumentacji *WVHA* wynika, że komisje te odwiedziły obozy Dachau, Buchenwald, Mauthausen, Oświęcim, Sachsenhausen, Flossenbürg, Gross-Rosen, Neuengamme, Niederhagen już na przełomie lat 1941/42 [17].

Wyjaśnienia wymaga sytuacja w obozie oświęcimskim w lecie 1941 roku, kiedy stamtąd 28 lipca tegoż roku wyjechało 575 więźniów do „sanatorium Dresden", jak więźniowie i oświęcimscy esesmani nazywali miejsce przeznaczenia tego transportu [18]. Stan obozu oświęcimskiego z lipca 1941 roku można ustalić tylko na podstawie dedukcji. Wynosił on wtedy 13 133 więźniów. Liczba ta jest bardzo prawdopodobna, nie można jej jednak uznać za pewną. Wynika ona z następujących ustaleń. Do dnia 26 lipca 1941 roku przeniesiono z Oświęcimia do innych obozów 1 208 więźniów (do Flossenbürga, Mauthausen, Dachau, Neuengamme). Do dnia 27 lipca 1941 roku zmarło 4 466 więźniów. Sumując liczby przeniesionych i zmarłych, otrzymujemy liczbę 5 674. W dniu 26 lipca wydano numer więźnia 18 807. Różnica tych liczb wskazuje na stan obozu wynoszący około 13 tysięcy więźniów.[19]

Przeciętna śmiertelność wśród więźniów oświęcimskich w roku 1941 wynosiła kilkanaście osób dziennie (często około 20) [20], a według oceny Tadeusza *Paczuły* 30—70 więźniów. Skład narodowościowy obozu w lecie tego roku wskazywał na zdecydowaną większość więźniów polskich; oprócz nich przebywali tam jeszcze Niemcy (głównie kryminaliści) oraz Słowacy i Czesi w niewielkiej liczbie. Inne narodowości reprezentowały poszczególne osoby, brak jest jednak w tym zakresie dokładniejszej dokumentacji. W lipcu 1941 roku przywieziono po raz pierwszy do Oświęcimia tzw. więźniów wychowawczych (*Erziehungshäftlinge*). W tym okresie w Oświęcimiu panował jeszcze ciągle wielki rygor i nasilony terror. Spośród wielu przykładów można podać fakt [21], że za ucieczkę jednego więźnia komendant obozu Rudolf *Höss* wybrał z bloku nr 2 dziesięciu więźniów, osadzając ich w bunkrze bloku 11. Tam, pozbawieni wszelkiego pożywienia, zmarli oni śmiercią głodową do 30 czerwca 1941 roku.

Zastępcami *Hössa (Abteilung III)* byli w tym czasie *lagerführerzy*, esesowcy *Karl Fritzsch* i *Fritz Seidler* (jego zastępca i adiutant): *rapportführerem* był *Gerhard Palitzsch*. Oddziałem politycznym *(Politische Abteilung)* kierował Maksymilian *Grabner*, a urzędem stanu cywilnego *(Standesamt)* Walter *Quakernack*. Przydziały pracy *(Abteilung IIIa)* załatwiał

---

[12] B. *Kaustky*: Teufel und Verdammte. Verlag der Wiener Volksbuchhandlung. Wiedeń 1961, s. 264. — Wiadomo ponadto, że także w Buchenwaldzie już „w dniu 13 lipca 1941 roku zestawiono transport 94 «inwalidów», złożony z *reichsdeutscherów* i Polaków, głównie, ale nie wyłącznie z Żydów i odesłano go do Sonnensteinu pod Dreznem z silnie uzbrojonym konwojem esesowskim. Po kilku dniach nadeszła do Buchenwaldu ich odzież łącznie z innymi rzeczami osobistymi, a także protezami zębowymi itp. Jak to już wówczas ustalono, odesłani na miejscu przeznaczenia zostali zatruci gazem" (praca pt. Buchenwald. Mahnung und Verpflichtung. Kongress-Verlag, Berlin 1960, s. 63).

[13] O prof. Wernerze *Heydem*, o metodzie i o organizowaniu akcji wyniszczania chorych i niedorozwiniętych (w porozumieniu z drem *Karlem Brandtem* i *reichsleiterem* Filipem *Bouhlerem*, kierownikiem kancelarii *Hitlera* w *NSDAP*) pisze między innymi M. *Kieta*: T-4, hitlerowska akcja eutanazji. Przekrój z 21.V.1961 r., s. 7.

[14] Fakty te podał R. *Olszyna*, który opracowuje Kalendarz wydarzeń w obozie Gross-Rosen, wydawany w kolejnych zeszytach przez Zarząd Okręgu ZBoWiD w Warszawie.

[15] Zob. przypis 9.

[16] E. *Chróścielewski*: Eutanazja. Niektóre zagadnienia lekarskie i prawne. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 39.

[17] Zob. przypis 10.

[18] Liczba tych 575 więźniów jest podana w „grypsie" przemyconym z obozu przez oświęcimski ruch oporu.

[19] Według obliczenia Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (kierownik mgr Tadeusz *Iwaszko*). Nie uwzględniono niewielkiej liczby więźniów przeniesionych do więzień i zwolnionych.

[20] Wynika to z relacji więźnia Kazimierza *Szczerbowskiego*, ówczesnego pisarza „rewiru" w Oświęcimiu.

[21] Zanotowany w Kalendarzu wydarzeń obozowych (opracowanym przez D. *Czech*) pod datą 24 czerwca 1941 roku.

Heinrich Schwarz i jego zastępca *Franz Hössler*. Zarząd obozu *(Abteilung IV)* prowadził Rudolf *Wagner*. Lekarzem garnizonowym (*Standortarzt; Abteilung V*) był wtedy dr *Max Popiersch*, a lekarzem oddziałów *SS* dr *Schwela (Truppenarzt)*.

Sanitariuszami *SS* w obozie w tym czasie byli *Vloka, Bara, Thever, Wiklinger, Ülzhöffer, Scherpe, Losserth, Ninhaus, Richter* i *Wilhelmi* [22]. Według niektórych relacji byłych więźniów-lekarzy w okresie wysyłania transportu „do Dresden" czynni byli oprócz doktorów *Popierscha* i *Schweli* jeszcze lekarze *SS Fischer* i *Wottke* [23]. Transport ten otrzymał odzież z tzw. obozowego *Bekleidungskammer* (magazynu odzieżowego), gdzie szefem był *scharführer Hoffmann*, oraz drobne depozyty z tzw. *Effektenkammer* („depozytorium"), gdzie szefem był *scharführer Glombik* [24]. Kantyna obozowa, którą kierował wtedy *oberscharführer* Ksawery *Dornacher*, również częściowo zaopatrzyła ten transport [25].

Podstawowe funkcje w obozie pełnili w tym czasie przeważnie zawodowi przestępcy, kryminaliści i zbrodniarze, najczęściej Niemcy. Stanowisko *lagerältestera* (starszego obozu) sprawował osławiony Bruno *Brodniewicz*, więzień nr 1. Jego zastępcą był Leon *Wietschorek* (nr 30), też krwawy morderca. Wśród blokowych i „kapo" niemieckich największym postrachem więźniów byli w owym czasie *Johann Siegrut* (nr obozowy 26), *oberkapo Bauhoffu* (placu budowlanego) oraz *Max Krankemann* (nr obozowy 3210), blokowy kompanii karnej *(Strafkompanie, SK)*, pełniący okresowo czynności poganiacza więźniów ciągnących walec drogowy. Do wyjątków należał życzliwy dla więźniów *I Arbeitsdienst* (dyspozytor przydziałów pracy), Otto *Küsel* (nr obozowy 2), przed uwięzieniem zawodowy przestępca.

Spośród Polaków zatrudnionych w niektórych interesujących nas placówkach należy jeszcze wymienić więźniów z magazynu odzieżowego, Alojzego *Pohla*, Włodzimierza *Śmigielskiego* i Bernarda *Świerczynę*. Ich „kapo" był *Petzold*. W „depozytorium" pracowali więźniowie Adam *Stapf* i Roman *Taul*; „kapo" *Effenktenkammer* był *Zielsdorf*. W obozowym oddziale politycznym (*Politische Abteilung*) pracował między innymi więzień Ludwik *Rajewski*. Blokowym w bloku nr 3a był *Koprowiak*, a pisarzem tam był więzień Jerzy *Pozimski*. W „rewirze" *SS* pracowali podówczas między innymi więźniowie Ludwik *Bas*, Eugeniusz *Niedojadło* i Edward *Pyś*.

Szpitalem obozowym (*Häftlingskrankenbau, HKB, KB*) kierował w tym okresie więzień nr 5, *Hans Bock (lagerälteste HKB)*. Pierwszym pisarzem szpitala obozowego był więzień Kazimierz *Szczerbowski*, a jego zastepcą więzień Władysław *Mucha*. Blokowym bloku internistycznego był *Peter Welsch*, a bloku zakaźnego — Ferdynand *Stössel* (nr 435). Wśród lekarzy-więźniów pracowali między innymi Władysław *Dering*, Rudolf *Diem*, Władysław *Fejkiel*, *Gawarecki*, Tadeusz *Gąsiorowski*, Leon *Głogowski*, Kazimierz *Hałgas*, Jan *Pakowski*, Stefan *Pizło* i *Suliborski*. Jednym z aptekarzy był Marian *Toliński* [26], a prace laboratoryjne wykonywali Witold *Kosztowny* i Zygmunt *Turzański*. Wśród pielęgniarzy byli zatrudnieni bracia Roman i Tadeusz *Gabryszewscy*, Marian *Kieliszek*, Julian *Kiwała*, Jan *Pierzchała*, Zygmunt *Pociecha*, Zbigniew *Rybka*, Czesław *Sowul*, Feliks *Walentynowicz*, Jan *Wolny* i inni.

Przygotowania do transportu do „sanatorium Dresden" trwały w obozie oświęcimskim, jak wynika z licznych relacji nadesłanych przez byłych więźniów, dość długo, w maju, czerwcu i w początku lipca 1941 roku. Przygotowania te wywołały zrozumiałe poruszenie w obozie. Jeden z byłych więźniów wspomina, że w „towarzyskich" kręgach „muzułmanów", którzy zbierali się grupkami w pobliżu gongu, obok kuchni, przed apelem porannym, krążyły pogłoski o jakimś „wyjeździe do sanatorium więźniów chorych i niezdolnych do pracy (...); przekazywano sobie poufnie, kolega koledze, że jadąc na zwolnienie do sanatorium muszą się podleczyć i doprowadzić do dobrego wyglądu, zanim ostatecznie będą zwolnieni z obozu. Wiara w te «parole» była wprost proporcjonalna do stanu wyczerpania i zatracenia instynktu samozachowawczego".[27] Niektórzy więźniowie nazywali wyimaginowane „sanatorium Dresden" terminem *erholungslager* (obóz wypoczynkowy, dla podniesienia kondycji) [28]. Wiarę tę podtrzymywali niektórzy blokowi — Niemcy, jak np. starszy szpitala, *Hans Bock*. Na polecenie władz obozowych i lekarskich *SS* rozsiewał on wieści, że wszyscy chorzy na gruźlicę i ewentualnie inne choroby zakaźne będą wysyłani do sanatorium, a chorzy wymagający opieki chirurgicznej do szpitala w Dreźnie. „Wieści te, zbyt optymistyczne, były sprawdzane przez nas, nieufnych więźniów, a szczególnie przez kolegów z ruchu oporu, w różnych źródłach, jak główna *schreibsztuba, Politische Abteilung*, szpital obozowy, między innymi przez kolegę *Bilińskiego*, rozstrzelanego w roku 1943" [29].

Według relacji byłego więźnia, Ludwika *Basa*, „w maju 1941 roku zjechała do obozu w Oświęcimiu liczna komisja lekarska, złożona z cywilów i wojskowych". Byli w niej oficerowie *Wehrmachtu*. „Do pracy w tym dniu wyruszyły tylko małe «kommanda», spełniające ważniejsze funkcje administracyjne czy gospodarcze". Pozwolono wyjść tylko zupełnie zdrowym. „Pozostali, a więc zdecydowana większość więźniów, pozostała w «lagrze»"; ci przedefilowali przed wspomnianą komisją le-

[22] Według nadesłanych autorowi relacji byłych więźniów L. *Basa*, T. *Gąsiorowskiego*, L. *Głogowskiego*, E. *Niedojadły*, E. *Pysia*, K. *Szczerbowskiego* i J. *Wolnego*.
[23] Między innymi według relacji L. *Głogowskiego*.
[24] Według relacji byłego więźnia A. *Stapfa*.
[25] Według relacji byłego więźnia J. *Pozimskiego*.
[26] T. *Hołuj*: Marian *Toliński*. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 121—122.
[27] Według relacji J. *Wnękowskiego*.
[28] Według relacji A. *Pohla*.
[29] Według relacji A. *Stapfa*.

karską. „Sposób przeprowadzania badań więźniów przypominał swym przebiegiem działalność komisji poborowej, chociaż nie mierzono i nie ważono". Kalecy, chorzy i wyczerpani zostali objęci ewidencją. Podobny przegląd odbył się również w blokach szpitalnych. Ze względu na puszczoną w obozie pogłoskę o wyjeździe do sanatorium pod Dreznem, do lepszych rzekomo warunków bytowania, wszyscy wybrani cieszyli się, a wpisanych na listę uważano w obozie za szczęśliwców. Gotowe wykazy przekazano do szpitala obozowego. Zdarzały się wypadki, że więźniowie szukali protekcji, by dodatkowo znaleźć się na liście [30].

W pamięci innego byłego więźnia, Romana *Holego*, zachowały się następujące szczegóły tej selekcji. Wspomniana „komisja przeprowadziła najpierw selekcję na *KB*. Na liście umieszczono numery i nazwiska tych kolegów, którzy mieli protezy kończyn górnych i dolnych, chorych na gruźlicę, na jaglicę oraz tych, u których pojawiły się obrzęki głodowe. Następnie na polecenie *Hössa* ogłoszono w obozie *blocksperrę* (zakaz opuszczania bloków). Na wezwanie blokowych zgłosili się do komisji wyczerpani fizycznie i ułomni", by zdecydowała o ich wyjeździe do „sanatorium w Dreźnie". W komisji badał pobieżnie *lagerarzt*; koledzy, rozebrani, zdejmowali bandaże, pokazywali protezy i inne swoje ułomności. Wpisano na listę około 250 nazwisk. Natomiast w szpitalu obozowym umieszczono na liście „około 400 nazwisk, zabierając równocześnie chorym karty gorączkowe" [31].

Były więzień, sanitariusz szpitala obozowego, Julian *Kiwała* przypomina sobie, że na przełomie maja i czerwca 1941 roku blokowi „rewiru" otrzymali od władz polecenie sporządzenia listy chorych na gruźlicę, jaglicę, ponadto wyróżniających się obrzękami głodowymi, a przede wszystkim inwalidów mających protezy kończyn. Listy te stale zmieniano z powodu śmierci niektórych zarejestrowanych chorych, jak i z powodu stałego przyjmowania do szpitala nowych ciężko chorych więźniów [32].

Jeden z pierwszych więźniów-lekarzy obozu, dr Leon *Głogowski*, opisuje dość dokładnie przybycie i pracę komisji lekarskiej, w skład której, jak podaje, wchodził niemiecki lekarz, dr *Horst Schumann*. „Był wysokiego wzrostu, w randze porucznika, chodził w mundurze wojskowym broni lotniczej (...). Wszystkich zgłaszających się przebadano, spisano karty zdrowia i po ewidencji wysłano z powrotem do bloków. Lekarze niemieccy i personel nie mówili przebadanym, czy zostali wybrani do transportu. Ponieważ wyjątkowo grzecznie odnosili się do chorych i kalek, wszyscy w obozie byli przekonani", że rzeczywiście chodzi o wyjazd do sanatorium lub szpitala. Wielu więźniów wyolbrzymiało więc swoje dolegliwości. „Chorzy wyselekcjonowani do sanatorium pozostali na blokach i czekali na transport (...). Na terenie szpitala obozowego akcja selekcyjna trwała kilka tygodni. Przebadano wszystkich chorych, nie wszystkich jednak uznano za kandydatów do transportu". Wpisanych na listę transportową poddano szczegółowym badaniom. Prześwietlenia płuc *lagerarzt* zlecił dwom więźniom, z których jeden był technikiem rentgenowskim, a drugi, *Peter Welsch*, nie miał żadnych kwalifikacji. Dr *Głogowski* pisze dalej: „Kolega mój, dr *Gąsiorowski*, zerkał czasem do pokoju rentgenowskiego w bloku 28, gdzie urzędowała dwójka niefachowców. Zorientował się, że chcą odizolować chorych na gruźlicę. Spostrzegł jednak, że procesy gruźlicze wygojone w płucach brali często za czynne. Wystarczyło, że zauważyli tylko jakiś cień w płucach". Na interwencję dra *Gąsiorowskiego* lekarz *SS*, dr *Fischer*, polecił „przerentgenowanie" chorych kolegom *Suliborskiemu*, *Gąsiorowskiemu* i trzeciemu, zapewne *Gawareckiemu*. Ci już uczciwie i fachowo określili stan chorobowy płuc. Podejrzanie wnikliwe zainteresowanie tą sprawą dra *Fischera* wzbudziło pierwszą nieufność i zrodziło wątpliwości co do przeznaczenia transportu [33]. Szczegóły dotyczące prześwietlenia potwierdza były więzień, dr Tadeusz *Gąsiorowski* i dodaje on, że wśród zapisanych na listę transportową znajdowali się także najstarsi wiekiem więźniowie [34].

Mieczysław *Dembowski*, ówczesny *läufer* (goniec) szpitala obozowego, przypomina sobie, że w skład transportu chorych włączono tych, którzy podczas „wizyt" lekarza *SS* po salach „rewiru" byli wciągani na listy jako grupa I i III. Robiono to chyba w celu zdezorientowania więźniów. Sprawa ta wydała im się jednak podejrzana. „Czasem udawało się pozamieniać pewne przypadki spośród osób wciągniętych na listę, a w ich miejsce podstawić nie żyjacych lub konających, by tylko liczba chorych w grupie I i III zgadzała się" [35].

Więzień pierwszego transportu, Aleksander *Kołodziejczyk* (nr obozowy 112), sam zgłosił się na wyjazd do sanatorium w Dreźnie, wykazując się przed komisją brakiem kciuka lewej ręki. W związku z tym przeniesiono go do osobnego bloku koło *Effektenkammer*, gdzie w salach parterowych zgromadzono obozowych inwalidów. Po 2—3-tygodniowym tam pobycie *Kołodziejczyk* zdołał jeszcze w porę uzyskać wykreślenie z listy transportowej. Reszta kolegów z tego bloku wyjechała „do Dresden" [36].

Z relacji wspomnianego już Adama *Stapfa* wynika, że szefowie *SS Effektenkammer* i *Bekleindungskammer* sukcesywnie otrzymywali wykazy chorych więźniów przeznaczonych do transportu. „W *Effektenkammer* według tych wykazów przygotowywaliśmy rzeczy cywilne, dokumenty, przedmioty wartościowe, z podziałem na własność Polaków i *reichsdeutschów*. Rzeczy te na razie były oddzielnie magazynowane w pomieszczeniach I piętra bloku 20

[30] Z listu do autora.
[31] Z listu do autora.
[32] Z relacji napisanej do autora.
[33] Z obszerniejszej relacji złożonej autorowi.
[34] Z listu do autora.
[35] Z listu do autora.
[36] Według ustnej informacji A. *Kołodziejczyka*.

(późniejszy blok 28). W *Bekleidunskammer* przygotowywano odzież i bieliznę więźniarską, sienniki, poduszki, koce i menażki (...). Wszystkie te rzeczy były zupełnie nowe" [37].

Jednym z przykładów kamuflowania opisywanej akcji jest zapamiętana przez byłego więźnia, Eugeniusza *Niedojadłę*, rozmowa między dwoma sanitariuszami *SS*, *Ülzhoferem* a *Scherpem*. Wynikało z niej, że więźniowie są w lepszej sytuacji niż esesowcy, bo wysyłają ich do sanatorium. „Teraz, po latach, domyślam się cynizmu i ironii w tych słowach" — dodaje *Niedojadło* [38].

Wówczas jednak duża część więźniów uwierzyła rozsiewanym przez władze obozowe pogłoskom i uważała zaplanowanie wyjazdu do sanatorium pod Dreznem za przejaw humanitaryzmu. „W tej sielankowej atmosferze, jaka się w obozie wytworzyła, poważna część więźniów szła na wyjazd ochotniczo, a bezwarunkowo wszyscy nieświadomi byli losu, jaki ich czeka. Łotrowska mistyfikacja hitlerowców wywołała takie skutki, że więźniowie zazdrościli sobie dostania się na ten transport, a niejednokrotnie zdrowi udawali chorych, aby wpisano ich na listę wyjazdową. Starzy numerami więźniowie przekonywali innych, że oni przede wszystkim mają prawo do wyjazdu, bo najdłużej męczą się w oświęcimskim piekle" [39].

Bezpośrednie i ostateczne przygotowanie transportu trwało — po opisanych, kilkutygodniowych wstępnych pracach — zaledwie parę dni i ostatecznie transport odjechał z *Industriehoff II* (tj. z placu w obrębie *bauhofu*, gdzie była bocznica kolejowa) pociągiem osobowym, późnym wieczorem dnia 28 lipca 1941 roku. Jak potwierdza między innymi pisarz blokowy, były więzień Erwin *Olszówka*, do ostatniej chwili kamuflowano cel wyjazdu. „Więźniom obiecywano rajskie życie i lekką pracę w miejscu przeznaczenia. Dla niektórych w ówczesnych warunkach obozowych wyjazd był przysłowiową deską ratunku" [40]. Niektórym więźniom funkcyjnym cel i los transportu wydawał się jednak podejrzany. W *Bekleidungskammer* więźniowie dyskutowali rozkaz Brunona *Brodniewicza* (*lagerälteste* nr 1), który kazał wydawać dla wyjeżdżających, jeśli możliwe, stare pasiaki; „ubrania te przygotowaliśmy w sobotę, a wyjazd nastąpił w poniedziałek 28 lipca" [41].

Więźniowie wyselekcjonowani przez komisję do transportu pochodzili z bloków roboczych, spośród leżących w szpitalu obozowym i spośród zgłaszających się w tym dniu do ambulatorium. Komisja ostatecznie kwalifikująca do wyjazdu i osoby jej towarzyszące składały się z funkcjonariuszy *SS* administracji obozowej (komendant obozu *Höss*, *lagerführer Fritsch*, jego zastępca *Seidler*, *arbeitsdienstführer Hössler*, *rapportführer Palitzsch*, jego zastępca, *hauptscharführer Pfütze* oraz *blockführerzy*), z członków hitlerowskiej służby zdrowia (z Horstem *Schumannem* na czele), z pomagających im sanitariuszy *SS* (tzw. *SDG*, *Sanitätsdienstgrad*) i z funkcyjnych obozowych (zarówno z bloków „komand" roboczych, jak i ze szpitala obozowego).

Jak przypomina były więzień, Julian *Kiwała*, funkcyjnych i blokowych wezwano na krótką odprawę i przekazano im odpowiednie polecenia. Ci z kolei (niektórzy przez swoich tłumaczy) zapowiedzieli więźniom jeszcze raz, by ułomni, chorzy na gruźlicę, mający protezy, wyczerpani fizycznie itp. zgłaszali się do obecnego w komisji lekarza *SS*, gdyż mają możliwość wyjazdu do sanatorium w celu leczenia się, a nawet, jeśli okaże się to konieczne, zostaną zwolnieni do domu [42]. „Przy pięknej pogodzie, między blokami 21 i 28, ustawiono kilka stołów podłużnych. Komisja specjalna zjawiła się przy nich w komplecie" (lekarze *SS Popiersch*, *Schwela*, *Fischer*, *Wottke*, z wojskowych dr *Schumann*, dr *Müller*, lekarz w cywilu, *SDG* i inni). „Selekcja do transportu polegała na tym, że chory nago podchodził przed oblicze dra *Fischera*, mając ze sobą kartę osobową z bloku. Chory, oddając kartę, wymieniał swoje dolegliwości i był powierzchownie badany przez wysoką komisję. Jeśli *lagerarzt* uważał go za poważniej chorego, jego karta szła do rąk *SDG*; jeśli uznał, że dolegliwości są znikome (np. mała przepuklina), wówczas kartę odbierali więźniowie-pielęgniarze" [43].

Komisja w zasadzie posługiwała się przygotowanym przed kilkoma tygodniami spisem chorych. Spis ten nie był jednak uaktualniony, gdyż część spośród wówczas wyselekcjonowanych zmarła, inni z bloków roboczych przedostali się do „rewiru", u niektórych zmieniło się rozpoznanie, a nieliczni, kierując się złymi przeczuciami, potrafili uzyskać wykreślenie z tej listy. Z tych powodów musiał się odbyć ogólny i ostateczny przegląd przed załadowaniem do wagonów.

Pracownik *Effektenkammer*, Adam *Stapf*, pisze: „Chorych więźniów, przeznaczonych do doprowadzenia ich lub dowiezienia samochodami ciężarowymi do wagonów, ubierano w *Bekleidungskammer* w przygotowane uprzednio bieliznę, pasiaki, obuwie; wręczano im koc, menażkę i ręcznik. Chorych na noszach ubierano jedynie w bieliznę po uprzednim wykonaniu opatrunków; dodawano im nawet poduszkę-zagłówek, obleczony i wypchany słomą; przykrywano ich kocem włożonym w kraciastą poszwę, a drugi koc — już bez obłóczki — był przeznaczony na drogę. Obleczone koce wróciły do *Bekleidungskammer* po załadowaniu transportu chorych. W wagonach znajdowały się sienniki, zagłówki i kociołki z kawą. Transport odchodził grupami wzdłuż drogi prowadzącej między blokami przed kuchnią. W *Effektenkammer* segregowano cy-

---

[37] Z listu do autora.
[38] W liście do autora.
[39] Z listu J. *Wnękowskiego* do autora.
[40] Z listu do autora.
[41] Według informacji A. *Pohla*,
[42] Z listu do autora.
[43] Z listu L. *Głogowskiego* do autora.

wilne przedmioty wyjeżdżających, ich dokumenty i rzeczy wartościowe" [44].

Lagerarzt badał pobieżnie. Niektórym kazał zdejmować protezę, stwierdzał stan obrzęków, u innych zaś ograniczał się do zbadania tętna lub obejrzenia języka. Stojący obok *Schumann* akceptował skinieniem głowy wpisanie delikwenta na listę transportową [45]. „Ciężko chorych układano na noszach za blokiem 16. Oprawcy «lagrowi» zachowali przy tym wszelkie pozory przyzwoitości. Sam żałowałem, że nie da się jakoś wkręcić do takiego dobrego transportu" [46].

Selekcja w „rewirze" obozowym dotyczyła chorych leżących na poszczególnych oddziałach oraz tzw. *arztvormelderów* (zgłaszających się do przyjęcia do szpitala) w ambulatorium. Chorych przesuwano na jedną stronę sali, a następnie przechodzili oni w kolejce przed komisją. Czasem chory, bojąc się, że wypisują go do pracy (w czym utwierdzał go fakt, że ciężko chorych nie ruszano z łóżek i nie zapisywano), podawał więcej dolegliwości, niż miał, utykał, kasłał itp. Lekarze z komisji pozornie nie dostrzegali agrawacji i pytając np.: „Pluca boli? Nelki boli?" zabierali choremu kartę chorobową i decydowali o wyjeździe. Chorych tych trzeba było „opracować", tzn. odwszawić, wykąpać, przebrać w czystą bieliznę i odprowadzić na wyznaczony punkt zborny [47].

Pielęgniarz z oddziału chirurgicznego, Jan *Wolny*, opisał selekcję przeprowadzoną przez komisję z bloku nr 21: „Chirurgicznie chorym kazano zdjąć z ran opatrunki, co też uczyniłem. Do sali nr 3, gdzie pracowałem jako sanitariusz, wszedł *standortarzt* dr *Popiersch*, sanitariusze *SS* oraz *lagerälteste Hans Bock*. W czasie oglądania więźniów i ich ran zabrali kilku chorym karty gorączkowe, mimo że rany ich były już na tyle wyleczone, iż w bloku 28 dopasowywaliśmy im protezy, by ich wypisać na obóz. W czasie apelu *Bock* wyjaśnił więźniom, lekarzom i sanitariuszom, że wybrani chorzy zostaną wysłani na lepsze wyżywienie i leczenie do sanatorium; zachęcał też do wyjazdu, uważając, że w *KL-Auschwitz* nie ma warunków do leczenia". Chodzący chorzy z bloku 21 musieli stawić się przed komisją lekarską, siedzącą na parterze przy stole w gabinecie lekarza *SS*. Był w niej między innymi *Horst Schumann* oraz cywil, świetnie mówiący po polsku. Cywil ten przekonywał chorych, że ich choroba w jego sanatorium bardzo szybko się zaleczy. W tej sytuacji nie przyjęci błagali o zakwalifikowanie na wyjazd. Niektórzy próbowali nawet przekupić sanitariuszy chlebem. „Umieszczonym na liście założyliśmy nowe, mocne opatrunki przed wymarszem ze szpitala. Po obiedzie kazano nam wyprowadzić lub wynieść wyznaczonych chorych przed blok na główną ulicę. Lżej chorych ustawiono w piątkę i wyprowadzono na bocznicę kolejową. Ciężej chorych wywieziono samochodami. Wszyscy zostali bardzo wygodnie rozmieszczeni w wagonach. Lżej chorzy mieli miejsca siedzące, a słabi zostali położeni i przykryci kocami. Wszyscy dostali na drogę żywność. Kucharze obozowi dostarczyli do wagonów w kotłach (termosach) gorącą kawę i zupę" [48].

Po oddziele gruźliczym *Schumann* kazał się oprowadzić drowi Stefanowi *Piźle*. Po przejrzeniu kart chorobowych *Schumann* zakwalifikował praktycznie wszystkich chorych z sali *TBC* ówczesnego bloku nr 16 do transportu [49]. Sanitariusz Stanisław *Chedorowicz* pozostał w pustej sali [50]. Komisja przeszła wszystkie oddziały szpitala obozowego i w podobnym trybie zakwalifikowała jeszcze chorych internistycznych, chorych na żółtaczkę, jaglicę i choroby weneryczne [51]. Wszędzie odnoszono się do chorych kurtuazyjnie, karcąc nawet sanitariuszy-więźniów, jeśli zbyt szorstko obchodzili się z wybranymi do transportu. Lotniczy mundur *Schumanna* nie odstraszał chorych, a jego łagodne zwracanie się do nich przez „*Sie*" także maskowało cel wyjazdu.

Według obliczeń A. *Stapfa* i innych wybrano z „rewiru" obozowego 85 chorych na gruźlicę, około 60 chorych na jaglicę, zapalenie opon mózgowych, różę, żółtaczkę i choroby weneryczne, około 230 kalekich, po operacjach ropowic, z czyrakami itp., a nadto wybrano z bloków mieszkalnych około 200—220 starców kalekich i „muzułmanów". Z wysokim prawdopodobieństwem można więc przyjąć, że ze szpitala obozowego (*HKB*) wywieziono 375 chorych więźniów, a z bloków roboczych około 200, przeto łącznie zwabiono do transportu 575 osób, tj. 4,9% przeszło 13-tysięcznego wtedy stanu obozu.

W licznych relacjach powtarzają się różne szczegóły, jak np. ten, że sanitariusze-więźniowie otrzymali polecenie ogolenia i oporządzenia wyjeżdżających więźniów (*saubermachen*), że grupy więźniów odchodzące na *Industriehoff II* żegnała orkiestra obozowa i że ładowanie transportu zakończyło się około godziny 23 dnia 28 lipca. Ostatnie grupy odstawiono do wagonów już w ciemności, a sanitariusz Witold *Kosztowny* wojskowym reflektorem oświetlał drogę idącym i przenoszonym na noszach [52].

Najstarsze źródła, z których korzystamy przy opisywaniu sprawy transportu do „sanatorium Dresden", pochodzą z wiadomości przemycanych przez obozowy ruch oporu poza druty i z relacji zebranych od uciekinierów z obozu już w okresie okupacji [53]. Ze źródeł

---

[44] Z listu do autora.
[45] Według relacji J. *Kiwały*.
[46] Z listu L. *Basa* do autora.
[47] Z relacji K. *Hałgasa*. — Zob. też artykuł T. *Paczuły* o selekcji chorych w *schonungsblocku* nr 15 (Zeszyty Oświęcimskie, 1961, nr 5, s. 22—30).
[48] Z listu do autora.
[49] Według informacji W. *Kosztownego*.
[50] Z listu J. *Kiwały*.
[51] Według informacji A. *Stapfa*.
[52] Z listu do autora (wiadomość od W. *Kosztownego*).
[53] Są one zawarte w teczce materiałów Międzynarodowej Grupy Ruchu Oporu „Oświęcim" i przechowywane w Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

tych wynika, że dwaj najgroźniejsi wówczas w obozie oprawcy-więźniowie, *Max Krankemann* i *Johann Siegrut*, zostali wywiezieni razem z chorymi tym samym transportem. Obaj byli już chyba w tym okresie tzw. *bevorzugterhäftlingami*, tj. więźniami uprzywilejowanymi i na bluzach nosili tylko swoje numery obozowe bez zielonych trójkątów [54]. Obydwaj byli tzw. *beruffsverbrecherami* (zawodowymi przestępcami), oznaczanymi skrótem *BV*.

Różne są wersje dotyczące przyczyn skierowania tym transportem „do Dresden" tych dwóch oprawców, pomocników *SS*. Rzekomo *rapportführer Palitzsch* miał wybrać *Krankemanna* na stanowisko *lagerältestera* w owym sanatorium, a *Siegrutowi* miał przyrzec funkcję *lagerkapo* [55]. Inni podają, że ci dwaj mordercy zostali wywiezieni i zagazowani za handel brylantami i złotem oraz dolarami, podobno bowiem w „sztubie" *Krankemanna* esesmani znaleźli ładunek tych dewiz w nodze stołowej, gdzie miał być wywiercony specjalny otwór, biegnący od dołu nogi ku górze; u niego również rzekomo znaleziono plan budowlany willi, w której zamierzał mieszkać po wojnie [56]. Więzień pracujący w kantynie obozowej, Roman *Nawrat*, zapamiętał opowiadanie jej szefa, Bawarczyka, *oberscharführera SS*, Ksawerego *Dornachera*, który twierdził, że *Krankemann* był donosicielem *lagerführera Fritscha*. Zastępcą *Fritscha* w tym okresie był *obersturmführer Seidler*, który wspólnie z *Palitzschem* nienawidził *Krankemanna*; podobno nawet na nich donosił *Fritschowi*. To prawdopodobnie miało zadecydować o włączeniu tego przestępcy do transportu [57]. Adam *Stapf* wspomina, że *Krankemann* i *Siegrut* rozsiewali cyniczne pogłoski, strasząc więźniów „wysyłką do sanatorium" [58]. W zeznaniach komendanta obozu, *Rudolfa Hössa*, znajduje się wzmianka o wywiezieniu tych dwóch kryminalistów transportem, o którym mowa [59]. Julian *Kiwała* pisze: „W ostatniej chwili zauważyliśmy, że pod eskortą esesmanów zostali doprowadzeni również *oberkapo Industriehoff*, *Siegrut*, inwalida bez prawej ręki i blokowy *Krankemann*. O ile osoba *Siegruta* nie budziła wśród nas żadnych podejrzeń z uwagi na jego inwalidztwo, to osoba *Krankemanna*, znanego sadysty w obozie, wywołała pierwsze oznaki niepokoju o los naszych współwięźniów" [60]. Były więzień, Jan *Wolny*, przypuszcza, że ich obu wywieziono, by lepiej zamaskować właściwy cel transportu [61]. Natomiast inny były więzień, Mieczysław *Dębowski*, sądzi, że zbyt dużo oni wiedzieli i dlatego stali się niewygodni dla esesmanów [62]. O dołączeniu *Krankemanna* mogła ostatecznie zdecydować jego chorobliwa otyłość.

Według relacji dra Leona *Głogowskiego* tych dwóch funkcyjnych nie zostało włączonych do transportu „do Dresden". Twierdzi on, że w tym samym dniu odszedł inny, 50-osobowy transport więźniów. Miał on być skierowany do Brzezinki, gdzie rzekomo dokonywano już pierwszych prób zagazowywania. Za tym przypuszczeniem przemawia to, że *Krankemanna* i *Siegruta* skreślono z listy żyjących już nazajutrz w „szrajbsztubie" obozowej, co świadczy, że zostali zgładzeni na terenie obozu. *Krankemannowi* i *Siegrutowi* ostrzyżono włosy na krótko. Wspomniany mniejszy transport miał się składać z samych zawodowych przestępców niemieckich, recydywistów i bandziorów, przywiezionych do Oświęcimia z Sachsenhausen i Dachau. Grupa ta nie była badana przez lekarza. Miał się w niej znajdować między innymi recydywista Hubert *Jendrosek* [63]. Większość relacji potwierdza, że ani *Siegrut*, ani *Krankemann* ostatecznie nie dojechali do Sonnensteinu, gdyż po drodze zostali powieszeni w wagonie przez esesmanów lub nawet przez chorych więźniów. Takie wiadomości bowiem rozsiewali wśród więźniów pozostałych w obozie esesmani konwojujący transport „do Dresden". Gdy piszący te słowa przyjechał do obozu 12 sierpnia 1941 roku, *Krankemanna* i *Siegruta* już tam nie było. W archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu nie zachowały się żadne akta, ani nawet adnotacje w książce kostnicy, które by dotyczyły śmierci tych obu osławionych kryminalistów.

Brak jest także w archiwum oświęcimskim jakichkolwiek dokumentów zawierających nazwiska więźniów odesłanych transportem do Sonnensteinu. W celu uzupełnienia tego braku trzeba się było zwrócić do licznych kolegów, którzy pozostali przy życiu, a w tym transporcie stracili serdecznych przyjaciół i znajomych, bądź też krewnych. W ten sposób udało się uzyskać niektóre nazwiska więźniów, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa wyjechali opisywanym transportem. Warto dodać, że telegramy wysłane z obozu oświęcimskiego i informujące rodziny o zgonie więźnia, wywiezionego, jak się obecnie domyślamy, do Sonnensteinu, mają różne daty śmierci, przypadające po 28 lipca. Niewątpliwie w ten sposób usiłowano zapobiec podejrzeniom wykonania jednoczesnej, masowej egzekucji.

Były więzień, Edward *Pyś*, podał, że transportem „do Drezna" odjechał jego serdeczny kolega, Antoni *Bator*, mający numer obozowy 374. *Pyś* znał go jeszcze z gimnazjum. *Bator* w obozie „zachorował na płuca, a niezależnie od tego miał flegmony na obu nogach. Leżał

---

[54] Według listu W. *Śmigielskiego* do autora.
[55] Tamże.
[56] Według relacji S. *Pawliczka*, nadesłanej autorowi.
[57] Z listu R. *Nawrata* do autora.
[58] Z listu do autora.
[59] Zob. przypis 2.
[60] Z listu do autora.
[61] Z listu do autora.
[62] Z relacji nadesłanej autorowi.
[63] Z relacji L. *Głogowskiego* do autora. Za pierwszą próbę gazowania więźniów w Oświęcimiu przyjmuje się użycie gazu w celu zabicia we wrześniu 1941 roku w bunkrach bloku 11. Potwierdza to *Höss*, jak również relacje więźniów. Nie mogło więc być wspomnianych przez *Głogowskiego* gazowań w Brzezince w tym czasie. Pierwszą prowizoryczną komorę gazową, zainstalowaną w chłopskim domu (tzw. bunkier nr 1 lub „czerwony domek"), uruchomiono dopiero w styczniu 1942 roku. Tak ustaliła w swym Kalendarzu wydarzeń obozowych D. *Czech*.

w bloku 20. Pamiętam, że podawałem mu «zorganizowane» jedzenie przez siatkę, a siatka była tylko między 20 a 21 blokiem «rewirowym». Ponieważ w tym czasie pracowałem już w «rewirze» *SS*, przeto miałem duże możliwości, by mu pomagać. Odwiedzałem go bardzo często. Chyba w czerwcu powiedział mi, że była u nich w bloku komisja, złożona z wojskowych i cywilów, która wybierała chorych na wyjazd do sanatorium. *Bator* był bardzo zadowolony, że jego nazwisko i numer umieszczono na liście. Próbowałem go przekonać, aby jednak, jeśli to możliwe, wycofał się z tej afery. On wszakże się uparł. Po jakimś czasie, pod koniec lipca 1941 roku sprawa «sanatorium» odżyła na nowo. *Bator* zwierzył mi się, że oczekują ponownej wizyty komisji i wyjazdu. Faktycznie, gdy za kilka dni, będąc «służbowo» przed południem w obozie, chciałem *Batorowi* podać flaszkę mleka, którą udało mi się «zorganizować» i przenieść, zauważyłem w szpitalu obozowym duże poruszenie. Nie wpuszczono mnie do bloku szpitalnego i radzono mi natychmiast się ulotnić, bo miała przyjść jakaś komisja. Zostawiłem więc flaszkę z mlekiem i wyszedłem. W powrotnej drodze do bramy obozu natknąłem się na dużą grupę wojskowych i cywilów, wśród których byli *standortarzt Popiersch*, lekarz *SS Schwela, SDG Wloka, Hössler*, a także komendant *Höss;* zauważyłem też *Schumanna* w mundurze oficera *Luftwaffe*. W tym samym dniu, późnym popołudniem pożegnałem swego kolegę, *Batora*, który wraz z dużą grupą więźniów udał się na *Industriehoff II*. Po latach, gdy byłem u siostry *Batora*, mieszkającej w Rzeszowie i opowiedziałem jej o tym wszystkim, pokazała mi ona *Sterbeurkunde* (zawiadomienie o zgonie) tej treści: «*Der Abiturient Antoni Bator, röm.-kath., wohnhaft im Reichshoff* (...) *ist am 21 August 1941 um 15 Uhr 15 Minuten in Auschwitz, Kasernenstrasse, verstorben*»" [64], tzn. zmarł 21 sierpnia w Oświęcimiu. Oznacza to, że mimo zagazowania go w lipcu utrzymano go aż do tego dnia w dokumentacji obozowej.

Były więzień, Jerzy *Pozimski*, pisarz bloku 3a, przypomina sobie, że do transportu „do Dresden" odprowadzał z bloku kilku chorych i ułomnych; wśród nich byli Leon *Miozga* (nr obozowy 1200), inwalida oraz Jan *Górski* (nr 1211), były wojskowy, całkowity „muzułman" [65].

W relacji byłego więźnia, Ludwika *Rajewskiego*, jest opis skierowania Romualda *Buczowskiego* do tego transportu. Był on najmłodszy wśród nauczycieli przywiezionych do Oświęcimia w tzw. drugim transporcie warszawskim, aresztowanych za świętowanie 3 maja. W Warszawie kierował Szkołą Powszechną im. J. Zamojskiego. „Był to mężczyzna silnie zbudowany i dość raptowny. Do maja 1941 roku pracowaliśmy w różnych «komandach». Wspomniany kolega w maju zadarł ze swoim «kapo». Bał się, że go wykończy. Radził się więc nas, co zrobić. Sugerowaliśmy mu zmianę «komanda». Nie był jednak przekonany, gdyż uważał, że i tam «kapo» go znajdzie. Wtedy rozeszła się w obozie wieść, że szykuje się transport chorych do «sanatorium». *Buczowski* był tym bardzo podekscytowany i zdecydował się włączyć do tego transportu. Odradzaliśmy mu to, obawiając się podstępu. Nie udało się go przekonać i tym transportem wyjechał" [66].

Jak trudno jest ustalić po upływie 28 lat obiektywną prawdę, opierając się na relacjach naocznych świadków, dowodzą na przykład dwie następujące relacje. Pierwszą podał Ludwik *Bas*, pisząc: „Wśród ciężko chorych wyniesiony został na noszach również znany mi osobiście więzień nr 777, ostatni żyjący jeszcze w tym czasie w «lagrze» więzień żydowski, *Immerglück*. Innych Żydów, przywiezionych do obozu, zabierano od kwietnia 1941 roku wprost do kompanii karnej (*SK*), gdzie do połowy czerwca tegoż roku zostali wymordowani podczas pracy lub w bloku 13 (późniejszym 11). Po wyjeździe kolegi *Immerglücka* do «sanatorium» nie było w Oświęcimiu przez dłuższy czas ani jednego żyjącego polskiego Żyda" [67]. Natomiast inny były więzień, Jan *Pilecki*, podaje: „Na temat *Immerglücka* niestety nie mogę nic konkretnego powiedzieć. Pamiętam, że było dwóch *Immerglücków* z Krakowa, gdyż obu poznałem w więzieniu na Wiśniczu i przyjechaliśmy do Oświęcimia jednym transportem. Jeden był młody, wysoki, drugi gruby, bodaj rzeźnik. Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby któryś z nich tak długo utrzymał się przy życiu, gdyż już kilka miesięcy przed moim pójściem do *SK* [68] wsadzili tam wszystkich żyjących jeszcze wówczas Żydów, których z zasady wykańczano przed każdym nowym, żydowskim transportem, a tymczasem przecież dość często nadchodziły one do obozu" [69]. W świetle tych dwóch relacji nie jest więc pewne, czy *Immerglück* pojechał do Sonnensteinu.

Poddanie otrzymanych relacji ocenie krytycznej pozwala przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że transportem do Sonnensteinu wyjechał Roman *Wierzbicki*, syn późniejszej więźniarki Oświęcimia, Antoniny *Piątkowskiej* (z pierwszego małżeństwa). Miał on wówczas lat 18; był młodym, wysportowanym harcerzem krakowskim i gorącym patriotą [70]. W tym transporcie znalazł się również gorliczanin, Józef *Węgrzyński*, chory wówczas na zapalenie nerek [71], *Lisowski*, kulejący na nogę, pracujący wówczas w obozowej kartoflarni, syn ziemianina z Lipnowskiego w województwie bydgoskim oraz więzień *Zieliński* [72]. Były

---

[64] Z relacji E. *Pysia*.
[65] Z listu do autora.
[66] Z listu do autora.
[67] Z relacji nadesłanej autorowi.
[68] *SK* = *Straffkompanie*, kompania karna. J. *Pilecki* został w niej osadzony 20 czerwca 1941 roku.
[69] Z listu do autora.
[70] Między innymi z relacji byłego więźnia, Michała *Mysińskiego*.
[71] Według relacji J. *Dziopka*, zawartej w aktach procesu *Hössa*, t. VIII, k. 109.
[72] Z listu Z. *Kołodziejskiego* do autora.

więzień, Erwin *Olszówka,* który wtedy był *blockschreiberem,* wymienia dalsze nazwiska wywiezionych, Józefa *Pytloka,* Maksymiliana *Wyleżoła,* Józefa *Sikorskiego* i jednego z braci *Gawądów* z Bochni [73]. Inny były więzień, Adam *Jodłowski,* pamięta wywiezienie Waleriana *Krzemienia* (urodzonego 27 kwietnia 1896 roku w Łubkowie, nr obozowy 11608), przywiezionego do Oświęcimia transportem z Krakowa 5 kwietnia 1941 roku, kawalera, instalatora wodociągowego; pracował on w „komandzie" inwalidów przy czyszczeniu cegieł, gdyż miał niedowład jednej ręki [74].

Wspomniany już więzień z *Effektenkammer,* Adam *Stapf,* zapamiętał wyjazd tym transportem harcmistrza *Cebuli* z Zakopanego oraz *Rebczyńskiego,* urzędnika tamtejszego magistratu [75]. *Stapf* podaje, że ostrzegano ich obu przed wyjazdem, zgłosili się jednak do prześwietlenia klatki piersiowej, po którym wpisano ich na listę wyjeżdżających. Były więzień z pierwszego transportu, Aleksander *Kołodziejczyk* pamięta wyjazd „do Drezna" majora WP, *Kellera,* który miał bliznę postrzałową na łokciu, utrudniającą ruchomość ręki [76]. Leon *Głogowski* wspomina o wyjeździe tam swoich kolegów obozowych, pochodzących z Rybnika. Byli to *Greiner, Dudek, Lasok* i harcerz *Klimek,* garbusek [77]. Więzień Julian *Kiwała* stracił swego dobrego kolegę z ławy szkolnej, Franciszka *Goryla,* który był „dekowany" na oddziale gruźliczym bloku 16 i wyjechał, mimo że był zupełnie zdrowy [78].

Ponadto są znane nazwiska niektórych więźniów skreślonych w ostatniej chwili z listy transportowej. Np. Leon *Głogowski* podaje: „Zgłosił się do transportu więzień, który nam w sekretariacie szpitala obozowego stale naprawiał maszyny do pisania. Był ułomny, nazywał się *Cichocki,* przyjechał transportem lubelskim. *Lagerführer* wykreślił go z listy wyjeżdżających, mimo że *Cichocki* usiłował przekonać go, że „jest przecież kulawy". *Lagerführer* nie chciał zmienić swej decyzji i przy tym wyrwało mu się zdanie, że *Cichocki* „jest jeszcze potrzebny w obozie" [79]. Serdeczny przyjaciel Jana *Wolnego,* Józef *Ośródka,* specjalnie zwolnił się ze szpitala na obóz, by jeszcze raz stanąć przed komisją, która uprzednio z niewiadomych przyczyn nie przeznaczyła go na wyjazd do sanatorium [80].

Z relacji uciekiniera, zawartej w materiałach oświęcimskiego ruchu oporu, wiadomo, że byli tacy więźniowie, którzy zgłaszali się do komisji chcąc wyjechać z transportem „do Drezna"; powoływali się przy tym na służbę w wojsku niemieckim podczas pierwszej wojny światowej. Wspomniany uciekinier z obozu podał: „W ten sposób jeden mój znajomy wcisnął się do transportu; drugi, inwalida bez nogi, którą stracił jako żołnierz austriacki, został przez lekarza *SS* odrzucony. Zdziwiło mnie to ogromnie, wypytałem go więc o szczegóły. Okazało się, że lekarz niemiecki indagował tego więźnia o okoliczności, w jakich stracił nogę. Ten objaśnił mu, że stracił ją w jakiejś bitwie, gdy służył w wojsku austriackim w czasie pierwszej wojny. W rezultacie więzień został odrzucony z transportu. Było to dziwne (...), gdyż należałoby inwalidę z zasługami umieścić w lepszych warunkach (...). Tymczasem mój inwalida wcisnął się do transportu dzięki jakiemuś znajomemu więźniowi-lekarzowi. Znany był też wypadek, że więzień-lekarz, czy inny pracownik szpitala obozowego wcisnął wprost na siłę w ten transport swojego brata, używając przy tym «machlojek», za pomocą których niemal wszystko w «lagrze» można było zrobić" [81].

Były więzień, Józef *Wnękowski,* przypomina sobie: „Jeden z moich kolegów, skierowany do Oświęcimia w tym samym transporcie, co ja, Kazek *N.,* spryciarz i obibok, tylko dzięki temu żyje do dziś, że zły «kapo» złapał go za łeb, gdy urywał się z szeregu przed wyruszeniem do pracy, by pójść na *Krankenbau,* gdzie miał załatwione dostanie się do transportu «do Drezna». Po dwóch miesiącach, we wrześniu 1941 roku, dzięki staraniom rodziny został zwolniony z obozu. Inny więzień, młody naukowiec z Warszawy, «muzułman», któremu umożliwiono ewentualne przeżycie obozu, gdyż umieszczono go w «komandzie *Unterkunftskammer*» [82] i dano mu dodatkową miskę zupy, kategorycznie się sprzeciwił skreśleniu go z listy wyjazdowej i pojechał. Także kolega A. *Reszke* ze Świętochłowic (nr obozowy około 1400), pracujący w «komandzie *TWL*» [83], zgłosił się na wyjazd i pojechał do «sanatorium», a silne spuchnięcie od kopnięcia w międzykroczе posłużyło jako podstawa przyjęcia na transport" [84].

Wiadomości o losach więźniów wywiezionych do Sonnensteinu bardzo szybko przestały być w obozie tajemnicą. Wyjaśnienia wymagają okoliczności, w jakich doszło do ujawnienia faktów, mimo że *SS* starało się utrzymać tę akcję w ukryciu zarówno przed więźniami pozostałymi w obozie, jak i przed rodzinami skazanych na wywiezienie.

Ludwik *Bas* pisze: „Wielu kolegów, którzy wyjechali, umówiło się z przyjaciółmi obozowymi, że natychmiast po przybyciu do nowego miejsca dadzą o sobie znać przez swoje rodziny do obozu w Oświęcimiu. Od «wybrańców losu» nikt nigdy nie otrzymał żadnego znaku życia" [85]. Wkrótce po odejściu transportu niektórzy esesmani w czasie kontaktów z więźniami nieopatrznie zdradzili, że cały transport

---

[73] Z listu E. *Olszówki* do autora i z relacji nadesłanej przez A. *Gawąda* (więźnia nr 3433).
[74] Z listu do autora.
[75] Według relacji A. *Stapfa,* potwierdzonej przez W. *Kosztownego* i A. *Kołodziejczyka.*
[76] Z listu do autora.
[77] Z relacji nadesłanej autorowi.
[78] Z listu do autora.
[79] Z listu do autora.
[80] Z listu do autora.
[81] Z archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.
[82] Magazyny zaopatrzeniowe.
[83] *Truppenwirtschaftslager* (skład gospodarczy oddziałów *SS*).
[84] Z listu do autora.
[85] Z listu do autora.

został zagazowany. Wersję tę, krążącą coraz szerzej po obozie, potwierdzili ci więźniowie, którzy na co dzień stykali się z esesmanami. Np. Edward *Pyś* [86] usłyszał w kancelarii „rewiru" *SS* rozmowę *SDG Wloki, Wilhelmiego* i *Richtera,* w której padło sformułowanie, że więźniowie z transportu „*sind schon im Himmelkommando*" [87].

decki, polecił więźniom zatrudnionym w *Effektenkammer,* by traktować rzeczy Polaków i Żydów jako *beschlagnamte Sachen* (przedmioty skonfiskowane), gdy tylko one wrócą „z Drezna" wraz z wykazami zmarłych. Rzeczywiście wykazy takie otrzymała główna „szrajbsztuba", a wraz z rzeczami zmarłych także *Effektenkammer.* Przedmioty należące

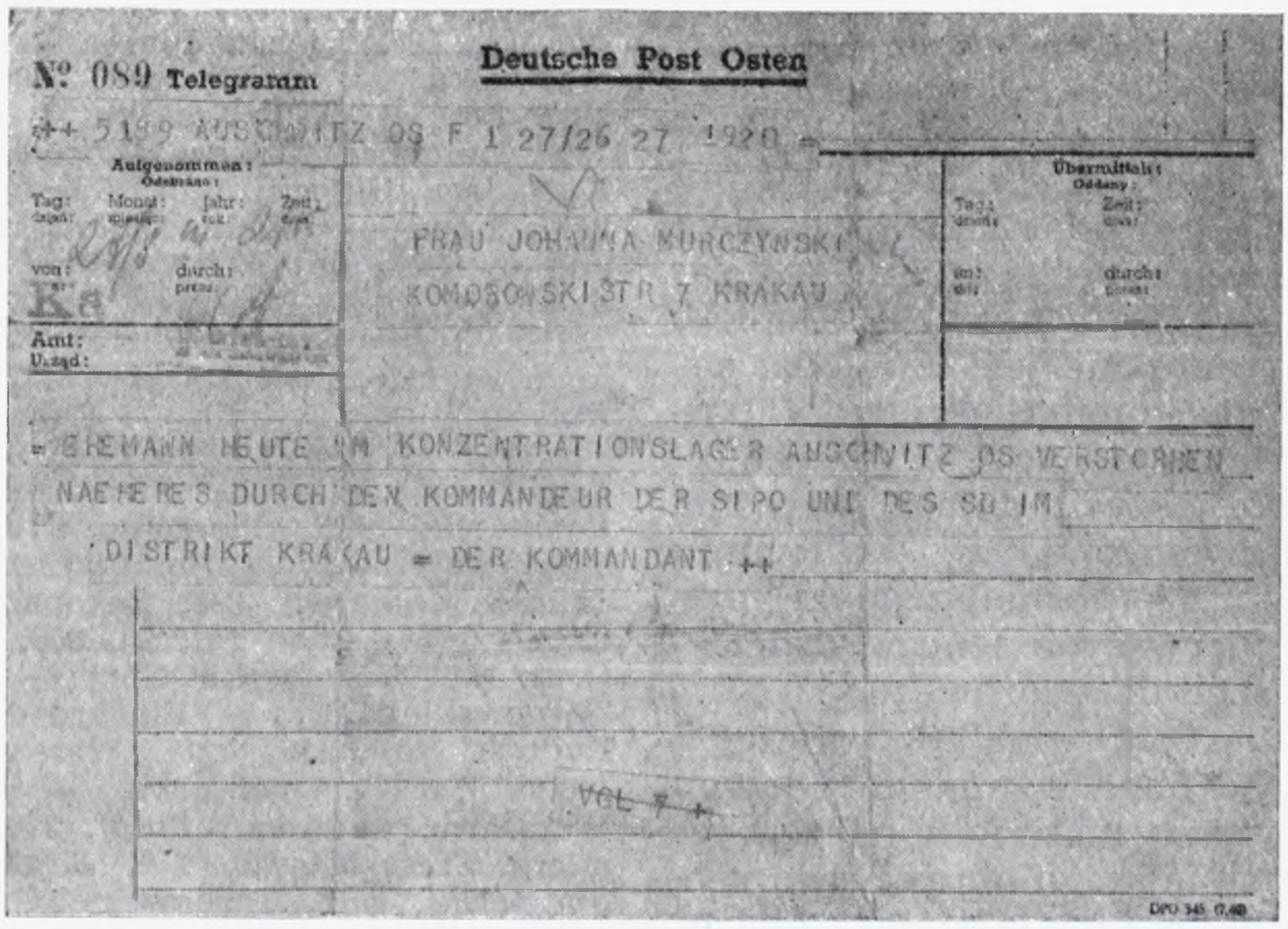

Ryc. 1. Reprodukcja telegramu wysłanego z obozu oświęcimskiego w dniu 27 sierpnia 1941 roku o godzinie 21.15 do Krakowa. Podobne telegramy otrzymały setki rodzin w Polsce. Ten z pewnością dotyczy więźnia wywiezionego do Sonnensteinu. Zawiadomienie jest lakoniczne: „*Frau Johanna Murczynski, Komorowskistr.* 7, *Krakau. Ehemann heute im Konzentrationslager Auschwitz OS verstorben. Näheres durch den Kommandeur der Sipo und des SD im Distrikt Krakau. Der Kommandant*" (Pani Janina Murczyńska, Kraków, ul. Komorowskiego 7. Małżonek zmarł dzisiaj w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu na Górnym Śląsku. Szczegóły [można otrzymać] przez dowódcę Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w „Dystrykcie" Krakowskim. Komendant). Telegram ten dotyczył więźnia nr 11873, Mieczysława *Murczyńskiego* z Krakowa (urodzonego 29 lutego 1904 roku). Podana data śmierci jest fałszywa, gdyż ustalono, że *Murczyński* pojechał w dniu 28 lipca do Sonnensteinu

Hössler, który wówczas był *I arbeitsdienstführerem,* konwojował transport chorych do Sonnensteinu [87]. Po powrocie chełpił się w swoim biurze przed *arbeitsdienstführerami unterscharführerem Schoppem* oraz *rottenführerem Löwenday'em,* w obecności *arbeitsdiensta,* więźnia nr 2, *Ottona Küsela,* że cały ten transport „wysłał do *himmelkommanda*". *Küsel* powtórzył zasłyszaną wiadomość blokowemu bloku 3a, więźniowi *Koprowiakowi* (nr obozowy 714), a ten z kolei swojemu pisarzowi, Jerzemu *Pozimskiemu* [88].

Ludwik *Rajewski* dowiedział się o rzeczywistym losie wysłanych więźniów od Kleofasa *Krupki,* Ślązaka, więźnia pracującego w tzw. *Standesamcie. Krupka* oświadczył mu, że wszyscy więźniowie z tego transportu zmarli, a oni w *Standesamcie* (urzędzie stanu cywilnego) wypisują meldunki o ich śmierci. „Osobliwy w tych meldunkach miał być fakt, że wpisywano tylko 10 chorób jako przyczyny śmierci" [89]. Także szef *Effektenkammer, scharführer SS Glombik,* z pochodzenia Czech su-

do Polaków i Żydów musiano tam układać oddzielnie, natomiast własność więźniów-*reichsdeutschów* odesłano ich rodzinom w Rzeszy. Według obliczenia, dokonanego przez więźniów z *Effektenkammer,* oceniono liczbę wywiezionych Polaków i Żydów na 95% transportu [90].

Więzień Julian *Kiwała* podaje, że nie żyjący już dzisiaj Bernard *Świerczyna,* jeden z głównych kierowników oświęcimskiego ruchu oporu, zidentyfikował ubrania więźniów, odesłane do *Bekleidungskammer,* jako te, które zostały wydane odjeżdżającym w dniu 28 lipca 1941 roku. „Kiedy zaś niektórzy więźniowie, a wśród nich i ja, w listach otrzymanych od swoich rodzin dowiedzieliśmy się, że niektórzy z tego transportu nie żyją, potwierdziły się ostatecznie nasze pesymistyczne domysły" [91].

Szef kantyny, *Dornacher,* również, jak niektórzy inni esesmani, wyjawił więźniom tajemnicę losu wywiezionych [92]. Były więzień, Erwin *Olszówka,* wspomina: „Niemało dopowiedział mi o tym transporcie w roku 1944 *lagerführer Hössler* [93], kiedy byłem już *rapport-*

[86] Tzn. „są już w «komandzie» niebiańskim".
[87] Komendant obozu, R. *Höss,* stwierdził to w śledztwie procesowym (zob. przypis 2).
[88] Z relacji J. *Pozimskiego* do autora.
[89] Z listu L. *Rajewskiego* do autora.
[90] Z relacji A. *Stapfa.*
[91] Z relacji do autora.
[92] Z listu R. *Nawrata* do autora.
[93] Ten sam, który jako *arbeitsdienstführer* w lipcu 1941 roku transportował więźniów do Sonnensteinu.

schreiberem w *KL-Auschwitz,* a czynił to w chwilach pewnej słabości i podziwu godnej szczerości. Ze szczególną zaciekłością napiętnował w tych momentach znienawidzonego *Schumanna,* który według jego oceny odegrał w owych tragicznych dniach więźniów oświęcimskich zasadniczą rolę; nazywał go nawet przy mnie *schweinehundem*" [94].

Po pierwszych, tak przeciekających do obozu wiadomościach sprawa zagazowania więźniów w Sonnensteinie stała się w Oświęcimiu publiczną tajemnicą, aczkolwiek miejsce śmierci wywiezionych z transportem nie było ujawnione. Mówiło się tylko o „sanatorium Dresden". Była to chyba pierwsza próba masowego zagazowania więźniów oświęcimskich. Dopiero później, aczkolwiek data nie jest ustalona, zaczynały funkcjonować komory gazowe w tzw. „białym" i „czerwonym domku" w Brzezince. Wkrótce, już w pierwszych dniach września 1941 roku, przeprowadzono w Oświęcimiu w podziemiach bloku 13 (późniejszego 11) masowe zagazowanie pierwszych jeńców radzieckich i chorych ze szpitala obozowego.

O losie transportu „do Drezna" dotychczas [95] pojawiały się tylko drobne wzmianki. Dlatego zebranie obszerniejszego materiału na ten temat i zestawienie pełniejszego obrazu tego wydarzenia wydawało się celowe z punktu widzenia dziejów obozu oświęcimskiego. Jest niewątpliwe, że można by jeszcze uzyskać dalsze relacje na temat opisanego transportu. Pożyteczne byłoby, by czytelnicy, byli więźniowie, znający jakieś dodatkowe szczegóły, nadesłali wiadomości o nich do archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

*

Podajemy spis tych osób, które udzieliły przeważnie pisemnych relacji, wyzyskanych w tym artykule. Wykaz ten zawiera imię, nazwisko, numer obozowy i nazwę miejscowości, w której były więzień obecnie mieszka.

Ludwik *Bas,* 3460, Kraków. — Mieczysław *Dembowski,* 188, Bielsko-Biała. — Rudolf *Diem,* 10022, Warszawa. — Jan *Dziopek,* 5636, Gorlice. — Władysław *Fejkiel,* 5647, Kraków. — Tadeusz *Gąsiorowski,* 1396, Katowice. — Leon *Głogowski,* 1281, Katowice. — Kazimierz *Hałgas,* 5670, Paczków. — Roman *Holi,* 9441, Łódź. — Adam *Jodłowski,* 11612, Kraków. — Julian *Kiwała,* 9143, Kraków. — Aleksander *Kołodziejczyk,* 112, Kraków. — Zygmunt *Kołodziejski,* 7321, Waksmund. — Witold *Kosztowny,* 672, Nowy Sącz. — Michał *Mysiński,* 15432, Kraków. — Roman *Nawrat,* 10240, Rybnik. — Eugeniusz *Niedojadło,* 213, Tarnów. — Erwin *Olszówka,* 1141, Chorzów. — Tadeusz *Paczuła,* 7725, Świętochłowice. — Stanisław *Pawliczek,* 1085, Chorzów. — Antonina *Piątkowska,* 6805, Warszawa. — Jan *Pierzchała,* 55, Wrocław. — Janusz *Młynarski,* 355, Zakopane. — Jan *Pakowski,* 8633, Łódź. — Jan *Pilecki,* 808, Warszawa. — Alojzy *Pohl,* 1214, Tarnowskie Góry. — Jerzy *Pozimski,* 1099, Tarnowskie Góry. — Edward *Pyś,* 379, Rzeszów. — Ludwik *Rajewski,* 4217, Warszawa. — Tomasz *Sobański,* 13609, Warszawa. — Czesław *Sowul,* 167, Warszawa. — Adam *Stapf,* 3704, Kraków. — Kazimierz *Szczerbowski,* 154, Kraków. — Włodzimierz *Śmigielski,* 6916, Tarnowskie Góry. — Roman *Taul,* 80, Tarnowskie Góry. — Józef *Wnękowski,* 11593, Rabka. — Jan *Wolny,* 15496, Witaszyce.

Wymienionym Kolegom autor składa serdeczne podziękowanie za nadesłane relacje i listy, związane z wielokrotnym wymienianiem korespondencji, za trudną pracę, której wymagało odtworzenie dawnych wydarzeń i za konsultacje osobiste. Dyrekcji Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, dyrektorowi mgrowi Kazimierzowi *Smoleniowi,* a zwłaszcza kierownikowi archiwum, mgrowi Tadeuszowi *Iwaszce* należą się również serdeczne słowa uznania i podziękowania za udostępnienie potrzebnych materiałów i za udzielenie istotnych wyjaśnień.

[94] Z listu do autora.

[95] W przyszłości, przypuszczalnie w czasie przygotowywanego procesu dra *Horsta Schumanna* (w NRF), zostaną ujawnione dalsze, nieznane fakty dotyczące tej akcji.

EDMUND CHRÓŚCIELEWSKI Poznań

Niektóre polskie studia medyczne w okresie drugiej wojny światowej

Tajne nauczanie, którego organizacja, rozmach, zasięg oraz wydawnictwa zdumiewają dziś zagranicznych historyków oświaty, mogło spełniać doniosłą rolę historyczną, ponieważ było ruchem masowym i postępowym. Należy z naciskiem podkreślić, że tajne nauczanie było zjawiskiem swoiście polskim, gdyż przecież nawet w okupowanej Grecji i Jugosławii, nie mówiąc już o Czechosłowacji, Francji, czy Norwegii, szkolnictwo średnie i wyższe funkcjonowało w zasadzie normalnie.

Tajne nauczanie objęło nie tylko Generalną Gubernię, lecz również ziemie polskie wcielone do Rzeszy, przeciwstawiając się skutecznie germanizowaniu młodzieży. Duże i aktywne ośrodki podziemne szkolnictwa podstawowego i średniego pracowały w Wielkopolsce, w Łodzi, na Pomorzu, na Śląsku i na północnym Mazowszu. W samym tylko Poznaniu, mimo masowych wysiedleń i olbrzymiego terroru, w roku szkolnym 1943—1944 akcją tajnego nauczania objęto przeszło 3 500 dzieci i młodzieży.

Dorobek tajnego nauczania w czasie drugiej wojny światowej był imponujący; według znanych obecnie wiadomości objęto nim 10 tysięcy młodzieży — studentów konspiracyjnych uniwersytetów i innych wyższych uczelni, 100 tysięcy uczniów podziemnych kompletów na szczeblu gimnazjalnym i licealnym oraz milion

dzieci objętych akcją nielegalnego dokształcania na poziomie szkoły podstawowej w zakresie przedmiotów zakazanych przez hitlerowców (język polski, historia i geografia; cyt. wg W. *Sulewskiego,* 14).

Wobec groźby zagłady biologicznej naród stanął do śmiertelnej walki o byt narodowy (2). Jak daleko sięgały plany eksterminacji ludności polskiej przez hitlerowców, świadczy między innymi pamiętnik dra *Hermana Vossa,* profesora anatomii w tzw. *Reichsuniversität Posen* w latach 1941—1945. Zapisał on w nim pod datą 15 czerwca 1941 roku: „Polacy stają się coraz bardziej bezczelni, więc nasz piec krematoryjny ma wiele pracy. Gdyby można to całe towarzystwo przepędzić przez takie piece, wtedy nareszcie naród niemiecki miałby spokój na wschodzie". W innym miejscu znajduje się taka wypowiedź: „Sądzę, że na sprawę polską trzeba patrzeć bez uczucia, czysto biologicznie. Musimy ich wyniszczyć, w przeciwnym razie oni nas zniszczą" (11).

Prof. A. *Birkenmajer,* badający historię tajnego nauczania, dochodzi do następującego stwierdzenia: „Jest dzisiaj rzeczą powszechnie wiadomą i bezspornie ustaloną, że naczelnym celem, jaki podczas minionej wojny przyświecał Niemcom w stosunku do chwilowo podbitych Polaków, była zupełna zagłada narodu polskiego i do tego ostatecznego celu dążono wszelkimi możliwymi środkami" (1). W zakresie oświaty środkiem takim miało być zupełne pozbawienie Polaków możliwości kształcenia się w szkołach.

Himmler w memoriale z dnia 15 maja 1940 roku domagał się zniszczenia szkolnictwa innego niż niemieckie na wschodnich ziemiach zdobytych przez hitlerowców. „Dla nie niemieckiej ludności Wschodu nie mogą istnieć wyższe szkoły niż 4-klasowa szkoła ludowa. Celem takiej szkoły ludowej ma być proste liczenie do 500, napisanie nazwiska oraz nauka, że nakazem Bożym jest posłuszeństwo wobec Niemców, uczciwość, pilność i grzeczność. Czytania nie uważam za konieczne. Oprócz tej szkoły nie mogą istnieć na Wschodzie w ogóle żadne szkoły" (2). W Biuletynie Ministerstwa Propagandy III Rzeszy z sierpnia 1941 roku czytamy: „Należy uświadomić sobie, że naród polski nie może już więcej nosić w europejskiej wspólnocie narodów miana narodu kulturalnego, jak i to, że została przekreślona jego egzystencja jako narodu".

Realizując te zbrodnicze plany w Generalnej Guberni zamknięto polskie szkoły średnie i wyższe, a na ziemiach wcielonych do Rzeszy zlikwidowano wszelkie formy szkolnictwa polskiego. Nie mogąc jawnie kształcić swych dzieci, społeczeństwo polskie sięgnęło do doświadczeń z czasów wielkiej niewoli i powołało do życia tajne polskie nauczanie na wszystkich trzech stopniach — elementarnym, średnim i wyższym (1). Zorganizowanie tajnego nauczania było niewątpliwie zadaniem niełatwym, ale potrzeba kształcenia młodego pokolenia była tak wielka, że zmuszała do natychmiastowego działania. Front walki o szkołę polską ogarnął wszystkie warstwy społeczeństwa. Zniknęły przedziały społeczne, gdy hitlerowcy od chwili wkroczenia na ziemie polskie zaczęli niszczyć polskie szkolnictwo.

Już we wrześniu 1939 roku Niemcy zamknęli w P o z n a n i u szkoły średnie oraz zlikwidowali polski Uniwersytet. Duży odsetek naukowców i młodzieży wymordowano, umieszczono w obozach zagłady lub wysiedlono do Generalnej Guberni.

Powstaniu tajnych wyższych uczelni w W a r s z a w i e sprzyjało skupienie w tym mieście znacznej liczby profesorów i studentów wysiedlonych z ziem zachodnich i północnych. Dodatkowym bodźcem do przeciwstawiania się okupantowi była potworna represja Niemców w stosunku do 180 profesorów, docentów i asystentów krakowskich uczelni wyższych, podstępnie uwięzionych 8 listopada 1939 roku i zesłanych do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen pod Berlinem. Umierający w tym obozie były rektor UJ, prof. Stanisław *Estreicher,* w obecności ówczesnego rektora, Tadeusza *Lehr-Spławińskiego* i kilku najbliższych kolegów współwięźniów oświadczył przed zgonem: „Krakowska *Alma Mater* zapisuje chlubną kartę swych dziejów, od was wszystkich tu uwięzionych zależy, jak ten okres się zakończy. Cały świat cywilizowany patrzy na was. Wam ugiąć się nie wolno pod żadnym pozorem. Wam nie wolno, jako twórcom tej karty historii Uniwersytetu, prosić wroga o względy. Nie wolno wam nawet podsuwać myśli lojalnej z nim współpracy. To bowiem przekreśliłoby treść i znaczenie tej wspaniałej karty" (15).

Te akty brutalnej przemocy, opisywane już kilkakrotnie w poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", nie podziałały odstraszająco na profesorów wysiedlonych z Poznania. Mieli oni w pamięci przejmujące zgrozą mordy ludności polskiej na terenie tzw. Kraju Warty. Pamiętano o niej, co tym bardziej pobudzało do ostrożności i dokładnego przemyślenia metod organizacyjnych. Swoista sytuacja ziem polskich wcielonych do III Rzeszy wymagała, jak wiadomo, nieco odmiennej działalności konspiracyjnej niż na terenie Generalnej Guberni.

Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich powstał w Warszawie z inicjatywy ks. dra Maksymiliana *Rhodego* i prof. Uniwersytetu Poznańskiego, Ludwika *Jaxy-Bykowskiego,* którzy do początkowej współpracy zaprosili docenta Uniwersytetu Poznańskiego Władysława *Kowalenkę,* profesora tegoż Uniwersytetu dra Romana *Pollaka* i docenta Uniwersytetu Witolda *Sawickiego* (18). Powstałą uczelnię nazwano „Uniwersytet Ziem Zachodnich" w tej myśli zasadniczej, że śmiertelna walka z Niemcami toczy się o odwieczne prawa narodu polskiego do życia i rozwoju na ziemiach zachodnich i że w Uczelni akcent ideowy ma znaleźć wyraz nie tylko w pracy, lecz także w nazwie i programie nauczania (4, 7).

Studentów przyjmowano bardzo ostrożnie, na podstawie świadectwa maturalnego i za-

ufania moralnego, dawanego przez osoby polecające. Ze względów konspiracyjnych zaprzysięgano wszystkich uczestników w uroczysty sposób i przybierano zazwyczaj pseudonimy.

Ryc. 1. Prof. dr Franciszek *Czubalski*, dyrektor naukowy tzw. Szkoły Zaorskiego, w czasie wykładu w Warszawie w roku 1943

Dzięki wytężonej pracy organizatorów UZZ rozpoczął swą działalność 24.XI.1940 r. W roku akademickim 1940/41 były tylko dwa wydziały, prawny i humanistyczny. W trzecim roku działalności UZZ przybyły mu wydziały: lekarski, farmaceutyczny, teologiczny, rolniczoleśny oraz Instytut Morski. W UZZ studiowało w r. 1940/41 — 48 studentów, w r. 1941/42 — 226, w r. 1942/43 — 700, w 1943/44 — 2237.

W pierwszych trzech latach akademickich rektorem UZZ był prof. dr Ludwik *Jaxa-Bykowski*, profesor Uniwersytetu Poznańskiego (4, 7).

W roku akademickim 1940/41 w Warszawie z inicjatywy Tajnej Rady Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęto konspiracyjne nauczanie medycyny pod osłoną legalnej „Prywatnej Szkoły Zawodowej dla Personelu Sanitarnego doc. Jana *Zaorskiego*" (ryc. 1 i 2).

Ryc. 2. Prof. dr Edward *Loth* podczas wykładu w tzw. Szkole Zaorskiego w Warszawie w roku 1943

Pierwszym dyrektorem naukowym Szkoły był dr med. Stefan *Kopeć*, a po jego zamordowaniu został nim prof. dr Franciszek *Czubalski*. Pierwszy rok nauczania liczył 87 słuchaczy, a utworzony po upływie sześciu miesięcy rok drugi wraz z pierwszym liczył łącznie 300 studentów. Poziom nauczania był wysoki, zajęcia odbywały się na terenie byłych zakładów uniwersyteckich, a praktyki w szpitalach klinicznych. Po ukończeniu szkoły absolwenci formalnie byli przekazywani do pracy do warszawskich placówek służby zdrowia, a właściwie przechodzili na trzeci rok tajnego nauczania medycyny. Większość z nich rozpoczęła studia lekarskie na Wydziale Lekarskim Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich (3).

Autor artykułu uzyskał jako absolwent Szkoły doc. *Zaorskiego* oficjalny przydział do Prosektury Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie. W myśl porozumienia dyrektora Szpitala, płka dra L. K. *Strehla* z profesorem *Czubalskim* i prof. *Wrzoskiem* zostałem kierownikiem tajnych grup studenckich odbywających zajęcia na tajnych kompletach medycznych na terenie Szpitala Ujazdowskiego i Szpitala św. Ducha oraz łącznikiem między kompletami medycznymi a dziekanem Tajnego Wydziału Lekarskiego UZZ oraz dyrektorem Szkoły Zaorskiego, prof. *Czubalskim*.

Wydział Lekarski UZZ został zorganizowany dopiero w roku 1942/43 i od samego początku wykazywał najintensywniejszy rozwój. Wydział ten dzięki niezwykłej energii swego dziekana, prof. dra Adama *Wrzoska*, pseudonim „Dąbrowski" (ryc. 3), prześcignął wkrótce

Ryc. 3. Prof. dr Adam *Wrzosek*, prorektor Uniwersytetu Ziem Zachodnich oraz organizator i dziekan Wydziału Lekarskiego UZZ

wszystkie inne wydziały zarówno pod względem liczby profesorów, jak i studentów. W skład Wydziału weszli przede wszystkim byli pracownicy nauki i studenci poznańscy, maturzyści wysiedleni z Wielkopolski, ze Śląska i z Pomorza. Poza tym sukcesywnie włączali się studenci medycyny tajnych kompletów medycznych, zorganizowanych i prowadzonych od 2 lat przez byłego urzędnika Ministerstwa Oświaty, dra biologii *Koczwary*, pseudonim „Wójcik", oraz Szkoły doc. Zaorskiego (7, 18).

W roku akademickim 1943/44 Wydział Lekarski UZZ liczył 610 studentów i 95 wykładowców. W skład grona nauczającego weszli pracownicy nauki nie tylko Uniwersytetu Poznańskiego, ale wszystkich wyższych uczelni, jeśli tylko mogli przebywać w Warszawie i wyrazili życzenie pracy w tajnym nauczaniu. Duszą Wydziału Lekarskiego oprócz prof. Adama

Wrzoska była sekretarka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, Adela *Jankowska,* pseudonim „Pawłowska" (7).

Koniec istnienia Uniwersytetu Ziem Zachodnich z wyjątkiem Wydziału Lekarskiego przypada na okres powstania warszawskiego. Liczny zespół studentów wraz z profesorami walczył na barykadach powstania. Powstanie spowodowało wysokie straty przede wszystkim wśród młodzieży. Ginęła ona nie tylko na barykadach, w szturmach i na czołowych pozycjach bojowych, lecz również przy pełnieniu obowiązków pracowników służby zdrowia na różnych szczeblach, począwszy od noszowych i pielęgniarek, aż do kierowników placówek zdrowia. Między innymi w dniu 5 sierpnia 1944 roku podczas powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim Niemcy wymordowali chorych, rannych i personel szpitalny, razem kilkaset osób. Wówczas zginęli między innymi prof. dr Józef *Grzybowski* i prof. dr Janusz *Zeyland* (4, 7).

Potworne represje po powstaniu warszawskim nie odstraszyły medyków od dalszej pracy i nauki w UZZ. Naukowcy i studenci zostali rozproszeni po różnych miastach Generalnej Guberni. Ich większe skupiska były w Grodzisku Mazowieckim, w Milanówku, w Krakowie i w Częstochowie. Przerwana po powstaniu warszawskim praca najwcześniej odnowiła się w Grodzisku i w Milanówku. Bezpośrednio po upadku powstania warszawskiego wznowiono zajęcia na Wydziale Lekarskim UZZ w Grodzisku Mazowieckim pod kierunkiem prof. dra *Kapuścińskiego* oraz prof. dra *Wrzoska.* Zajęcia wznowiono dla grupy studentów I i II roku medycyny w trzech kompletach (17, 18).

W tym samym czasie, tj. w październiku 1944 roku w Milanówku na terenie ewakuowanych szpitali warszawskich kontynuowano zajęcia dla grup studentów III i IV roku Tajnego Wydziału Lekarskiego UZZ pod kierunkiem doc. J. *Krotoskiego* oraz pod patronatem profesora UZZ prof. *Wrzoska* i dziekana prof. *Kapuścińskiego.*

Główny ogniskiem dalszej kontynuacji nauki Wydziału Lekarskiego UZZ był Kraków, dokąd ewakuowano pod koniec 1944 roku chorych ze szpitali warszawskich wraz z ich personelem z dotychczasowych miejsc pobytu w Milanówku. Wydział Lekarski UZZ w okresie krakowskim był kierowany przez prof. *Wrzoska* oraz przez prof. *Kapuścińskiego.* Wydział liczył wówczas 264 studentów. Zajęcia trwały od 1 listopada 1944 roku do kwietnia 1945 roku. Zajęcia teoretyczne i praktyczne odbywały się na terenie ewakuowanych szpitali warszawskich oraz na terenie byłych klinik krakowskich przy czynnej pomocy krakowskiego personelu służby zdrowia i naukowców przebywających wówczas w Krakowie. Po wyzwoleniu Poznania ujawniony już w oswobodzonym Krakowie Wydział Lekarski UZZ wraz z personelem nauczającym i studentami przeniósł się do Poznania i wszedł w skład

Ryc. 4. Wykonane w Poznaniu w roku 1945 zdjęcie grupy studentów Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, byłych słuchaczy Uniwersytetu Ziem Zachodnich, wraz z wykładowcami i wychowawcami. Siedzą od lewej prof. dr Tadeusz *Kurkiewicz,* prof. dr Adam *Wrzosek,* sekretarka Adela *Jankowska,* prof. dr Witold *Kapuściński* (senior), prof. dr Ignacy *Hoffmann,* prof. dr Stanisław *Glixelli.* Stoją ordynator dr Witold *Kapuściński* (junior), doc. dr Zdzisław *Stolzmann,* dr Feliks *Bolechowski,* dr Leokadia *Młynarczykówna*

Ryc. 5. Grupa studentów V roku Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, byłych słuchaczy Uniwersytetu Ziem Zachodnich, wraz z wykładowcami UZZ. Zdjęcie wykonane w Poznaniu w roku 1945. Siedzą od lewej doc. dr Zdzisław *Stolzmann*, prof. dr Tadeusz *Kurkiewicz*, prof. dr *Adam Wrzosek*, prof. dr Ignacy *Hoffmann*, prof. dr Wiitold *Kapuściński* (senior). Pierwszy z prawej stoi dr Feliks *Bolechowski*. Autor artykułu widoczny jest u góry, w czapce studenckiej

nowo tworzącego się Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego (7, 18), (ryc. 4 i 5).

Tajne studia medyczne w Krakowie w porównaniu z innymi ośrodkami powstały stosunkowo późno i obejmowały mały zakres. Niewątpliwie wpłynęły na to opisywane już w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" masowe aresztowania profesorów krakowskich uczelni wyższych i wywiezienie ich do obozów koncentracyjnych. Kierownikiem kompletów medycznych był prof. Władysław *Szafer* oraz prof. *Małecki*. Zajęcia obejmowały program I i II roku przy udziale około 50 słuchaczy (16).

Filia UZZ w Kielcach, tj. komplety medyczne, I semestr 1943/44 oraz II semestr w tym samym roku akademickim, prowadziła tajne nauczanie do końca okupacji. Wykładowców było 41, a ogólna liczba studentów około 200 słuchaczy (7,18).

W Częstochowie działała filia Wydziału Lekarskiego UZZ. Organizatorem kompletów medycznych był doc. dr Zdzisław *Stolzman* (Uniwersytet Poznański) po uprzednim porozumieniu się z prof. A. *Wrzoskiem* oraz po zatwierdzeniu kompletów Uchwałą Senatu UZZ. Zastępcą docenta była dyr. M. *Rynkiewiczówna*. Liczba studentów na I roku wynosiła 81 osób (11 kompletów), a na II roku 44 osoby (2 komplety). Zajęcia prowadzono aż do chwili oswobodzenia Częstochowy, tj. do 17 stycznia 1945 roku w konspiracji oraz kontynuowano je aż do 15 kwietnia 1945 roku. Większość studentów częstochowskich komleptów medycznych kontynuowała dalsze studia lekarskie na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego (7, 18).

Wola walki o ochronę kultury i nauki polskiej przed zniszczeniem i germanizacją oraz potrzeba nauczania były tak wielkie, że przekroczyły druty kolczaste obozów jenieckich, mury getta warszawskiego, a nawet granice byłego Państwa Polskiego. Np. w obozie jenieckim w Woldenbergu, *Kriegsgefangenen Offizierlager II^c Woldenberg-Neum* (Dobiegniew), w którym przez przeszło 5 lat przebywało stale siedem tysięcy polskich oficerów, podchorążych i szeregowych, czynne było nauczanie w szerokim zakresie; „o głodzie i chłodzie, w walce z szykanami obozowych władców, okradając ciszę nocną, ruszyła jedna wielka, nie mająca w tym czasie równej sobie, polska uczelnia. Reprezentowała ona wszystkie szczeble nauczania, prawie wszystkie kierunki i specjalności. W ramach tej uczelni znalazła również swoje skromne miejsce woldenberska stomatologia" (cyt. wg K. *Stawińskiego*, 12).

W latach 1940/1942 w getcie warszawskim w bardzo trudnych warunkach pracował Wydział Lekarski, kierowany przez prof. dra Ludwika *Hirszfelda* i doc. dra Juliana *Zweibauma*. Zajęcia odbywały się w konspiracji według przedwojennych programów nauczania. Liczba studentów wynosiła około 500 osób (5). Po likwidacji części getta medycy UZZ zabezpieczyli dokumentację (listy studentów żydowskiego Koła Medyków, kuratorów i wykładowców) oraz książki żydowskiego Koła Medyków przed dostaniem się ich w ręce hitlerowców. Uległy one jednak zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Fakt istnienia i nie ustającego rozwoju szkolnictwa wyższego w okupowanej Warszawie można uważać w dziejach światowego szkolnictwa akademickiego za rzecz wyjątkową. Bezprecedensowa jest w takich warunkach i w takiej skali działalność 296 profesorów i wykładowców oraz 2 181 słuchaczy zakonspirowanych i zorganizowanych w 8 wydziałach, w Instytucie Morskim i w kilku prowincjonalnych kursach uniwersyteckich Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich.

Tajny UZZ był instytucją wszechstronnie zorganizowaną naukowo, finansowo, społecznie oraz w zakresie samopomocy. Uniwersytet ten był wśród strug krwi ludzkiej spływającej ulicami Warszawy ostoją nauki i pracy wychowawczej młodego pokolenia polskiego dla wielkiej przyszłości narodu (7, 6). Promieniował on poza stolicę szerokim kręgiem, budził tam, gdzie o nim wiedziano, zrozumiały szacunek. Śmiała decyzja pracy i nauczania w ponurym mroku okupacji niemieckiej wysoko postawiła zespół nauczający i słucha-

Ryc. 6. Profesorowie Ludwik *Paszkiewicz*, Franciszek *Czubalski* i Witold *Orłowski* w prezydium zjazdu byłych studentów medycyny Uniwersytetu Ziem Zachodnich i Uniwersytetu Warszawskiego z czasów okupacji, który odbył się 14 i 15 czerwca 1958 roku w Warszawie

czy w hierarchii polskiej pracy niepodległościowej, szczególnie w walce o niepodległość nauki polskiej (7), (ryc. 6).

Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie Edynburskim w Szkocji jest również cennym ogniwem polskiego nauczania medycyny. W tym samym czasie, kiedy w październiku 1940 roku w Warszawie powzięto inicjatywę utworzenia Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, dr Antoni *Jurasz*, otrzymał od emigracyjnego Polskiego Rządu w Londynie pełnomocnictwo do omówienia z władzami uniwersyteckimi w Edynburgu sprawy utworzenia Polskiego Wydziału Lekarskiego (4). W skład Komitetu Organizacyjnego tego Wydziału weszli: minister prof. *Kot* jako przewodniczący, profesorowie Jerzy *Fegler* z Wilna, Antoni *Jurasz* z Poznania, Włodzimierz *Koskowski* ze Lwowa, Tadeusz *Rogalski* z Krakowa i przedstawiciel premiera gen. *Sikorskiego*, płk. lek. W. *Gergowicz* (4, 17). W dniu 24. II. 1941 roku zawarto pomiędzy emigracyjnym Rządem Polskim a szkockimi władzami Uniwersytetu w Edynburgu porozumienie, na mocy którego został utworzony Polski Wydział Lekarski, oparty o Ustawę szkół akademickich w Polsce z 15. III. 1933 roku (4), (ryc. 7). Załącznikiem do Umowy był Statut Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie Edynburskim (8, 10, 17).

Polski Wydział Lekarski w Edynburgu mógł powstać dzięki temu, że wśród wojsk polskich, które po załamaniu się frontu we Francji znalazły się w czerwcu 1940 roku w Wielkiej Brytanii i zostały rozmieszczone w Szkocji, było kilku profesorów i docentów polskich wydziałów lekarskich oraz kilkunastu wybitnych lekarzy specjalistów i spora liczba studentów medycyny (13, 15).

Wydział ten jako jednowydziałowa szkoła akademicka został uroczyście otwarty w dniu 22. III. 1941 roku. Świat naukowy Wielkiej Brytanii zaakcentował w ten szlachetny sposób swe stanowisko wobec losu, jaki spotkał z rąk wroga naukę polską i jej przedstawicieli, i wyraził uznanie dla narodu polskiego, który pierwszy przeciwstawił się hitlerowskiemu najazdowi i który walczył w kraju i za granicą z wrogiem całej ludzkości (13).

Jak serdecznie odniosły się władze Uniwersytetu Edynburskiego do utworzenia Polskiego Wydziału Lekarskiego na ziemi szkockiej, świadczą wyjątki z przemówienia wicekanclerza Uniwersytetu *Sir Thomasa Hollanda* na jego uroczystym otwarciu. „Wojny zdarzały się w każdym stuleciu. Kraje podlegały najazdom przeważających sił nieprzyjacielskich, ale nigdy nie zdarzało się jeszcze, by w którymkolwiek kraju uniwersytety zostały bezlitośnie zniszczone przez wroga. Uniwersytet krakowski wraz z innymi bratnimi wszechnicami polskimi został zniszczony, by zadowolić osobistą ambicję nieuka megalomana i jego klikę atawistycznych dzikusów. Wierzę, że Kraków odrodzi się znowu jako *studium generale*, jako kolebka prawdy i wiedzy dla wszystkich narodów. Wymieniam Kraków z wielu polskich wyższych uczelni tylko jako przykład dlatego, że jest on z nich najstarszy. On wydał poetów i historyków. Cały świat czci imiona sławnych muzyków *Chopina* i *Paderewskiego* oraz dwojga wybitnych naukowców Mikołaja *Kopernika* i Marii *Skłodowskiej-Curie* (...). Obecnie zostaje otwarty Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu. Mam nadzieję, że rozwinie się on szybko i potężnie, że edynburska kolebka nie będzie dość obszerna, by go mieścić aż do czasu, gdy powróci on do domu, zainauguruje nową

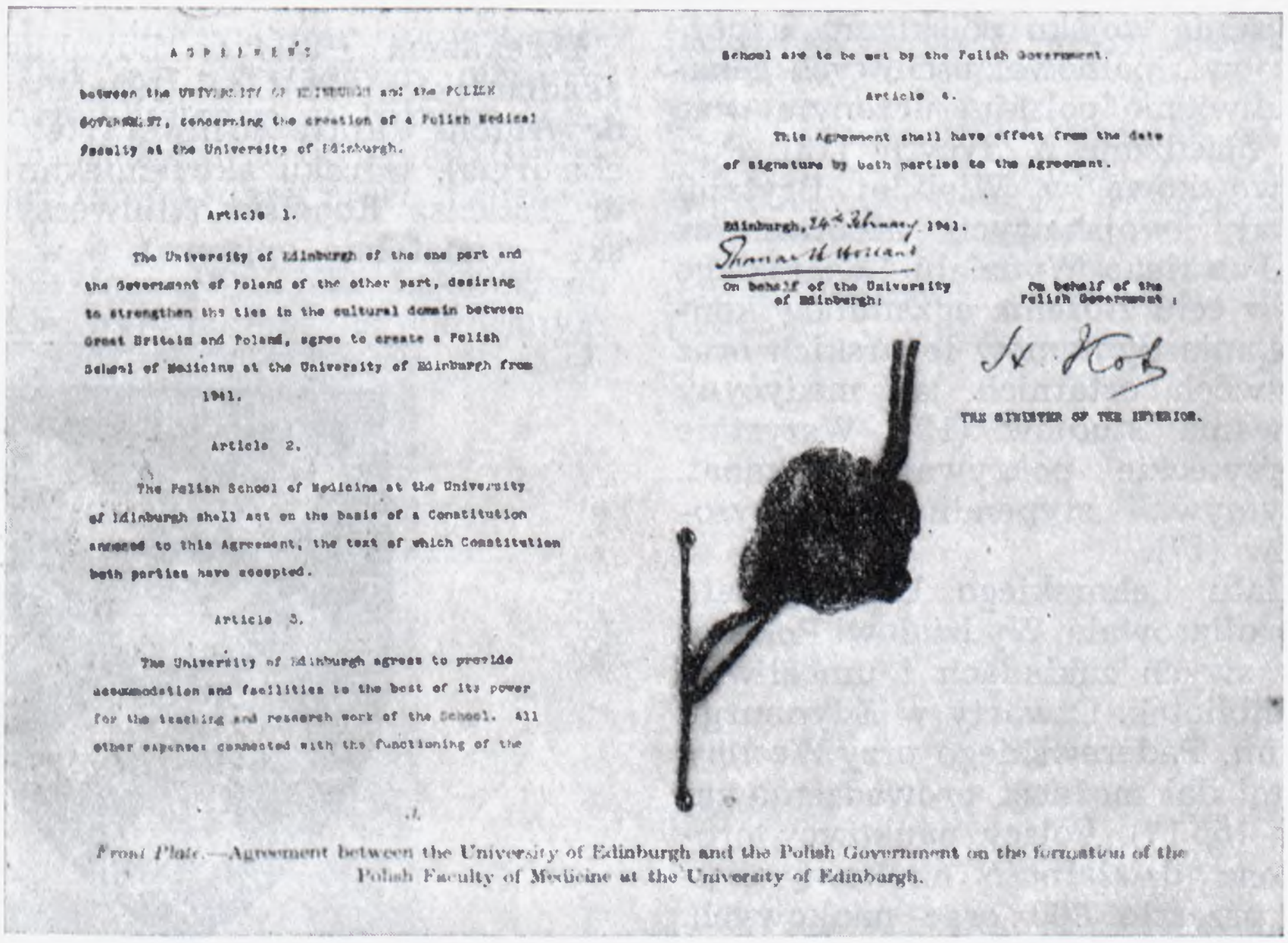

AGREEMENT

between the UNIVERSITY OF EDINBURGH and the POLISH GOVERNMENT, concerning the creation of a Polish Medical Faculty at the University of Edinburgh.

Article 1.

The University of Edinburgh of the one part and the Government of Poland of the other part, desiring to strengthen the ties in the cultural domain between Great Britain and Poland, agree to create a Polish School of Medicine at the University of Edinburgh from 1941.

Article 2.

The Polish School of Medicine at the University of Edinburgh shall act on the basis of a Constitution annexed to this Agreement, the text of which Constitution both parties have accepted.

Article 3.

The University of Edinburgh agrees to provide accommodation and facilities to the best of its power for the teaching and research work of the School. All other expenses connected with the functioning of the

School are to be met by the Polish Government.

Article 4.

This Agreement shall have effect from the date of signature by both parties to the Agreement.

Edinburgh, 24th February 1941.

Thomas H. Holland

On behalf of the University of Edinburgh:

On behalf of the Polish Government:

W. Kot

THE MINISTER OF THE INTERIOR.

Front Plate.—Agreement between the University of Edinburgh and the Polish Government on the formation of the Polish Faculty of Medicine at the University of Edinburgh.

Ryc. 7. Reprodukcja aktu powołania Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie Szkockim w Edynburgu jako jednowydziałowej szkoły akademickiej, opartej o Ustawę szkół akademickich w Polsce z 15 marca 1933 roku

erę jako podwalina wskrzeszonych uniwersytetów polskich (...). Przedmiotem naszej, słusznej dumy jest to, że stanęliśmy w poprzek drogi brunatnego tyrana, a ta skromna dzisiejsza uroczystość jest zapowiedzią naszej jeszcze większej radości, którą już dziś odczuwamy na myśl o odzyskaniu wolności przez wielkie uniwersytety Waszego Kraju" (13).

Na mocy umowy z Uniwersytetem w Edynburgu Polski Wydział Lekarski miał wszystkie prawa akademickie wyższych zakładów naukowych w Polsce oraz wewnętrzną organizację na wzór polskich uniwersytetów z prawem dokonywania egzaminów przejściowych i ostatecznych, jak również z prawem nadawania stopnia lekarza i doktora wszech nauk lekarskich (4, 13, 17).

Ryc. 8. Prof. dr Antoni *Jurasz*, współorganizator i dziekan Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu w latach akademickich 1941/42 — 1944/45

Zadaniem Wydziału było umożliwienie młodzieży polskiej na obczyźnie studiów lekarskich i dostarczenie wojsku polskiemu, a później także krajowi, pełnowartościowych lekarzy oraz umożliwienie polskim uczonym prac naukowych w dziedzinie medycyny (13). Polskie władze wojskowe w Wielkiej Brytanii odkomenderowały wojskowych absolwentów medycyny do Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu w celu złożenia egzaminów końcowych i uzyskania dyplomów lekarskich oraz wojskowych dwóch ostatnich lat medycyny dla kontynuowania studiów (13). Wszystkie opłaty uniwersyteckie pokrywał dziekanat. Studenci otrzymywali stypendium w wysokości 20 funtów (17).

Rada Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Edynburskiego ofiarowała Wydziałowi Polskiemu gościnę w swych zakładach i umożliwiła korzystanie z bibliotek. Otwarty w Edynburgu Polski Szpital im. Paderewskiego przy *Western General Hospital* dał możność prowadzenia zajęć klinicznych (6, 17). Polscy naukowcy prowadzili ożywioną działalność naukową drukiem, ogłosili przeszło 300 prac naukowych. We wrześniu 1941 roku odbył się w Edynburgu zjazd lekarzy polskich i czechosłowackich. W Zakładzie Anatomii Opisowej, której kierownikiem był prof. dr T. *Rogalski*, odbywały się co dwa tygodnie posiedzenia naukowe, na których wygłoszono 75 referatów naukowych z różnych dziedzin medycyny. Oprócz referatów naukowych tematem zebrań były wspomnienia, zagadnienia polityczne i społeczne (8, 9, 10, 17).

ORGANISATION OF THE DEPARTMENTS

EXAMINERS AT THE POLISH SCHOOL OF MEDICINE

Anatomy - -	Professor Rogalski.
Chemistry and Biochemistry - -	Dr. Mystkowski, Dr. Mann, Dr. Skarzyński.
Histology - -	Dr. Kostowiecki.
Physiology - -	Professor Fegler.
Biology - - -	Dr. Sliżyński.
Physics - - -	Dr. Jabłonski, Dr. Czemplik.
Bacteriology - -	Professor Mackie.
Public Health - -	Professor Nowakowski, Professor Dadlez.
General Pathology -	Professor Fegler, Dr. Godłowski.
Pathology - -	Professor Drennan.
Pharmacology - -	Professor Koskowski.
Medicine - -	Professor Davidson, Professor Dunlop.
Neurology and Psychiatry - -	Professor Rostowski.
Pædiatrics - -	Dr. Malkiewicz.
Surgery - - -	Professor Jurasz, since 1947/1948 Professor Sir James Learmonth.
Gynæcology and Midwifery - -	Professor Johnstone, Professor Kellar.
Ophthalmology -	Dr. Ruszkowski.
Ear, Nose and Throat Diseases - -	Dr. Iwaszkiewicz, Dr. Wadoń.
Forensic Medicine -	Professor Sir Sydney Smith.
Stomatology - -	Professor Łakner.
Skin Diseases and Veneral Diseases -	Professor Straszyński, Dr. Reiss.
Radiology - -	Dr. Elektorowicz.

Ryc. 9. Kierownicy katedr i zakładów Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu

Dziekanem PWL w Edynburgu w latach akademickich 1941/42—1944/45 był profesor dr Antoni *Jurasz* (Uniwersytet Poznański — chirurgia), w roku akademickim 1945/46 prof. dr Tadeusz *Rogalski* (Uniwersytet Jagielloński — anatomia opisowa), a w latach akade-

Ryc. 10. Herb Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu

mickich 1946/47—1948/49 prof. dr Jakub *Rostowski* (Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie), neurolog i psychiatra (8, 13, 17). Na Polskim Wydziale Lekarskim prowadziło wykłady i zajęcia w pracowniach i klinikach 15 profesorów, 27 docentów i 37 asystentów (8, 10, 17; ryc. 9). W okresie istnienia Polskiego

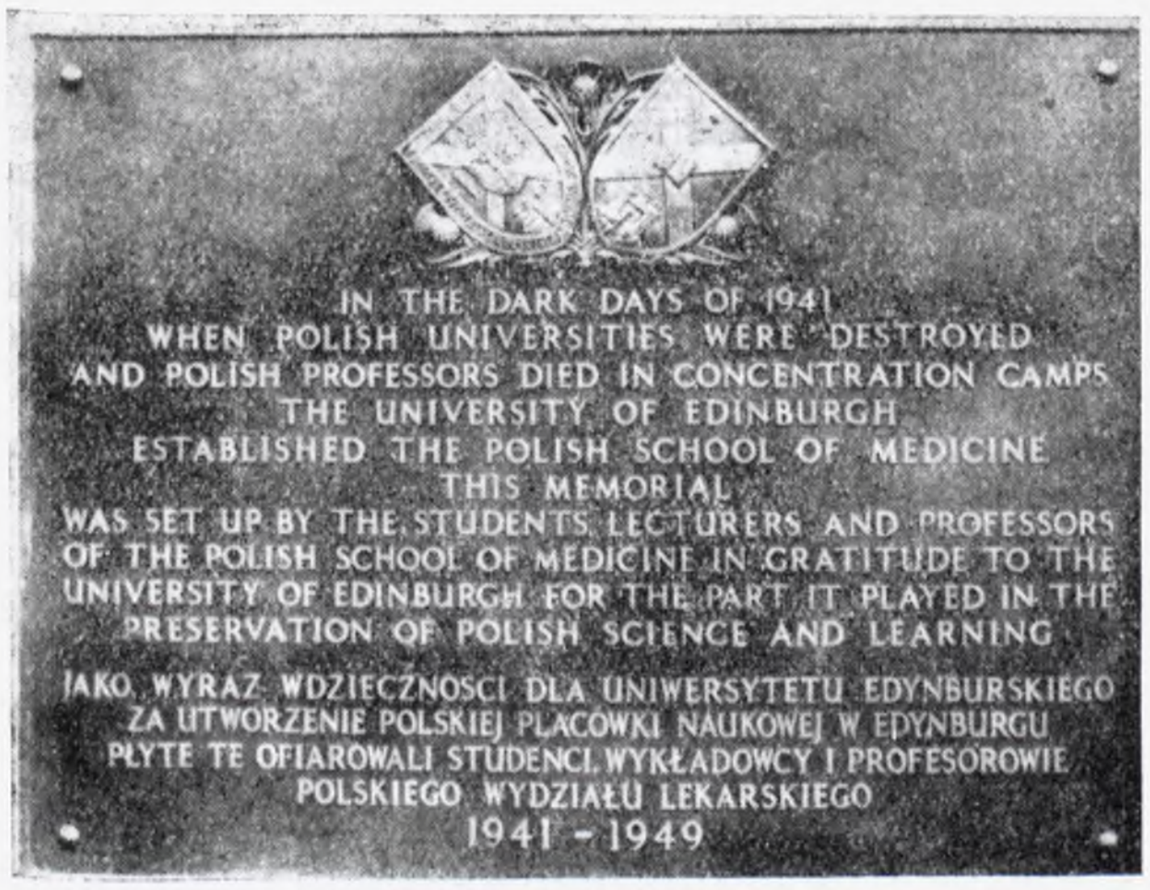

Ryc. 11. Tablica pamiątkowa w Edynburgu jako wyraz wdzięczności dla Uniwersytetu Edynburskiego za utworzenie Polskiego Wydziału Lekarskiego

Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu od marca 1941 roku do marca 1949 roku dyplomy lekarza otrzymało 228 słuchaczy, stopień naukowy doktora medycyny 19 kandydatów. Po uzyskaniu dyplomu lekarskiego żołnierze wracali do wojska. Absolwenci Wydziału Lekarskiego brali udział w walkach prawie wszystkich jednostek, na wszystkich frontach wojny (8, 13, 17).

Po zakończeniu działań wojennych spora część wykładowców powróciła do Polski, objęła katedry lub habilitowała się i objęła później katedry. Niektórzy wykładowcy opisanego Wydziału objęli katedry w różnych krajach świata; inni pozostali w Wielkiej Brytanii, praktykując i prowadząc pracę naukową (17).

Powstanie Polskiego Wydziału Lekarskiego na ziemi szkockiej było faktem nie notowanym dotychczas w historii uczelni wyższych. Bez precedensu było bowiem istnienie wydziału lekarskiego w oparciu o polskie ustawy, z polskim językiem wykładowym, będącego jednocześnie elementem składowym uniwersytetu zagranicznego.

Naszkicowana tutaj problematyka, jak również wiadomości w tym zakresie rozproszone w innych tekstach, powinny zostać ujęte w osobnej monografii i opublikowane z myślą o szerszym zakresie czytelników.

PIŚMIENNICTWO

1. *Birkenmajer* A.: Co władze okupacyjne wiedziały o polskim nauczaniu w tzw. Generalnej Guberni? Przegląd Historyczno-Oświatowy, t. I, Kraków 1947, s. 146. — 2. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, 1948, s. 123. — 3. *Czubalski* F. jako dyrektor prywatnej szkoły zawodowej dla personelu sanitarnego Jana Zaorskiego w czasie okupacji niemieckiej. Pol. Tyg. Lek., 1946, nr 48, s. 1445—1446. — 4. *Dąbrowski* S.: Uniwersytet Poznański 1939/1945. Księgarnia Akademicka, Poznań 1946. — 5. *Hirszfeld* L.: Historia jednego życia. Warszawa 1967, s. 220—223. — 6. *Jurasz* A.: Krótki przegląd działalności Szpitala im. Paderewskiego w Edynburgu. Lekarz Wojskowy, 1946, nr 2/3. — 7. *Kowalenko* W.: Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich — Uniwersytet Poznański 1940—1945. Instytut Zachodni, Poznań 1961. — 8. Polish School of Medicine at the University of Edinburgh. Oliver and Boyd LTD, Edinburgh-London 1942. — 9. *Rogalski* T.: Zebrania naukowe w Zakładzie Anatomii Opisowej; Polski Wydział Lekarski w Edynburgu. Lekarz Wojskowy, 1946, nr 2/3. — 10. *Rostowski* J.: History of the Polish School of Medicine University of Edinburgh. Privately Printed for the University of Edinburgh, 1955.

11. *Różycki* S.: Państwowy Uniwersytet Niemiecki w Poznaniu 1941—1945. Nowiny Lekarskie, 1945, nr 3/4 — 12. *Stawiński* K.: Stomatologia woldenberska. Czasopismo Stomatologiczne, 1968, 7, s. 811—814. — 13. *Straszyński* A.: Katedra Dermatologii na Polskim Wydziale Lekarskim przy Uniwersytecie w Edynburgu w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce. Przegląd Dermatologiczny, 1959, XLVI, nr 1, s. 63—69. — 14. *Sulewski* W.: Szkoła w latach okupacji. Trybuna Ludu, 1967, nr 321. — 15. *Szczotka* S.: Uniwersytet Jagielloński w czasie wojny. Przegląd Historyczno-Oświatowy, t. I, Kraków 1947. — 16. Sześćsetlecie medycyny krakowskiej. T. II: Historia katedr. W sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1964. — 17. *Teleszyński* Z.: Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu. Arch. Hist. Med., 1967, z. 1, s. 45—63. — 18. Wrzosek A.: Materiały do historii Wydziału Lekarskiego w Tajnym UZZ w Warszawie. Sprawozdanie PAN, 1950, nr 6, s. 421—425.

RYSZARD ZABŁOTNIAK Białystok

Konspiracyjne studia medyczne i farmaceutyczne w Warszawie

(Z Komisji Historii Wojskowej Białostockiego Towarzystwa Naukowego pod patronatem prof. dra Stanisława *Herbsta*)

W okresie okupacji tajne nauczanie przedmiotów medycznych w Warszawie prowadzono w kilku ośrodkach. Były to Uniwersytet Warszawski, Wydział Lekarski i Wydział Farmacji w latach 1941—1942 oraz Akademia Stomatologiczna; Szkoła Zaorskiego (tylko kierunek lekarski); Uniwersytet Ziem Zachodnich (Wydział Lekarski i Farmaceutyczny); Wydział Lekarski w getcie warszawskim; niewielkie komplety działające w pewnym stopniu samodzielnie.

Tajne studia lekarskie są wydarzeniem bez precedensu w historii medycyny i odbywały się tylko w okupowanej Polsce.

Uniwersytet Warszawski

Jesienią 1940 roku zostały zorganizowane komplety biologiczne dra Mariana *Koczwary* (pseudonim „Wójcik"), które podjęły także kształcenie studentów I roku medycyny i stomatologii [1]. Inicjatorami byli przedstawiciele medycznego szkolnictwa średniego i wyższego, mianowicie doktorzy Anna i Marian *Koczwara,* Wanda *Karpowicz,* Halina *Nieniewska,* dr Janina *Dembowska,* profesorowie Józef *Patkowski,* Stefan *Pieńkowski* (z Delegatury RP), Marian *Gieysztor,* Edward *Loth,* Wacław *Roszkowski,* Tadeusz *Kurkiewicz,* Witold *Cybulski,* Antoni *Gałecki* (z UZZ).

Komitet ten określał założenia programowe i jednocześnie synchronizował działalność kompletów Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Ziem Zachodnich i Szkoły Zaorskiego. Następnie w sprawach organizacyjno-dydaktycznych unikano już podobnie rozszerzonych zebrań, a zagadnienia wydziałowe omawiano tylko z zainteresowanymi. Początkowo stroną organizacyjną kierowała dr Janina *Dembowska,* która później musiała się ukrywać, wobec czego czynności te przejęła dr Anna *Koczwara.*

Aczkolwiek pierwsze komplety UW stanowiły w zasadzie wydział matematyczno-przyrodniczy, to jednak studenci Wydziału Lekarskiego i Stomatologicznego stanowili ich poważniejszą część; prowadzono tutaj wyłącznie przedmioty medycyny teoretycznej. Kontakt między poszczególnymi grupami a kierownictwem utrzymywały sekretarki grupowe. Były to zwykle nauczycielki ze szkół średnich: Wanda *Karpowicz,* Irena *Gieysztor,* Maria *Moszyńska* i Wanda *Chmielowska.* Do obowiązków sekretarek należała również rekrutacja studentów ze szkół średnich. Każda opiekunka administrowała w kilku grupach. Zajęcia rozpoczynały komplety 7—8-osobowe, które później liczyły przeciętnie po 11—12 słuchaczy. Brak kompletnych dokumentów z tego wstępnego okresu nie pozwala na ustalenie, ilu medyków wchodziło w skład zespołów biologicznych. Prof. *Koczwara* podaje tylko, że grup było kilkanaście.

Obsada przedmiotów zadecydowana przez rady wydziałów była podobna, jak w późniejszym Studium Lekarskim. Cennej pomocy w tym zakresie udzielał prof. Edward *Loth,* np. w celu prowadzenia zajęć z anatomii skierował do dyspozycji kompletów dra Bolesława *Wojciechowskiego* i dra Zygmunta *Pękałę* (UZZ).

Jesienią 1941 roku z kompletów biologicznych wskutek podziału i nowych przyjęć utworzono Studium Lekarskie [2]. Datę powołania Studium Lekarskiego podają zgodnie wszyscy autorzy. Natomiast początek kompletów biologicznych jest oznaczany dość różnie. Stanisław *Konarski* w swej książce pt. „Walka o oświatę, naukę i kulturę w latach okupacji 1939—1944 r." podaje na stronie 281, że komplety uruchomiono jesienią 1941 roku. Autor ten przyjmuje podobne terminy dla UZZ i szkoły Zaorskiego. Przeczą temu dokumenty i relacje prof. Mariana *Koczwary* oraz relacje dr Ireny *Gieysztor,* dra Andrzeja *Zaorskiego,* a także wystąpienia prof. Franciszka *Czubalskiego* i prof. Rajmunda *Barańskiego* 14 czerwca 1958 roku na zjeździe byłych studentów medycyny w latach okupacji.

Administracją Studium Lekarskiego kierował dr Marian *Koczwara* (naczelnik wydziału szkół średnich Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego). Kierownikiem naukowym został prof. Marian *Grzybowski.* Rozpoczęto naukę na dwóch latach medycyny. Wykładali pracownicy naukowi samodzielni i pomocniczy.

Obsada była następująca. Anatomia prawidłowa: profesorowie Józef *Grzybowski,* Edward *Loth* oraz doktorzy Arkadiusz *Flattau,* Jan *Górski,* Marian *Paleczek,* Zygmunt *Pękała,* Hanna *Szukiewicz,* Bolesław *Wojciechowski,* Zbigniew *Wojciechowski,* Zbigniew *Woźniewski.* Anatomia topograficzna: Józef *Grzybowski* i Leokadia *Młynarczykówna.* Chemia organiczna i nieorganiczna: Antoni *Gałecki,* Stanisław *Glixelli,* Wawrzyniec *Jacek,* Alfons *Krauze,* Jerzy *Leśkiewicz,* Witold *Tomassi,* Maria

[1] M. *Koczwara*: Materiały do dziejów tajnego szkolnictwa wyższego w Warszawie (maszynopis).

[2] Relacja Marii *Moszyńskiej,* byłej sekretarki UW (maszynopis u dr Ireny *Gieysztor*).

Trenkner. Fizyka lekarska: Leopold *Jurkiewicz*, Władysław *Kapuściński*, Stanisław *Markowski*, Cezary *Pawłowski*, Antoni *Sołtan*. Biologia: Marian *Koczwara*, Wacław *Roszkowski*. Histologia ogólna i szczegółowa wraz z histopatologią: Jan *Bowkiewicz*, Stefania *Chodkowska*, Janina *Dąbrowska*, Aleksander *Elkner*, Marian *Gieysztor*, Aleksander *Kurkiewicz*, Aleksander *Pruszczyński*, Wacław *Roszkowski*. Embriologia: Jerzy *Galera*, Tadeusz *Jaczewski*, Jan *Moszyński*, Leszek *Pawłowski*, Jerzy *Wiszniewski*, Tadeusz *Wolski*, Jan *Żabiński*. Parazytologia: Tadeusz *Jaczewski*, Jan *Żabiński*. Chemia fizjologiczna: Antoni *Dmochowski* (okresowo), Józef *Heller*, Włodzimierz *Niemierko*. Anatomia patologiczna: Stefania *Chodkowska*, Janina *Dąbrowska*, Aleksander *Pruszczyński*, Fizjologia: Mieczysław *Bogucki*, Franciszek *Czubalski*, Stanisław *Dłużniewski*, Józef *Heller*, Teodor *Vieweger*. Mikrobiologia: Jan *Adamski*, Aleksander *Ławrynowicz*, Zygmunt *Padlewski*, Feliks *Przesmycki*. Farmakologia: Stanisław *Kroszczyński*, Piotr *Kubikowski* [3].

Wykłady odbywały się w mieszkaniach uczniów, w szkołach średnich, a niekiedy w lokalach osób zupełnie ze studiami nie związanych. Zabroniono prowadzenia zajęć w mieszkaniach profesorów z uwagi na konieczność konspiracji. Zakaz ten bywał jednak przekraczany. Ćwiczenia prowadzono [4] w szkole chemicznej przy ul. Górskiego (pod dyrekcją inż. *Laskowskiej*), w pracowniach Politechniki Warszawskiej, w prywatnym laboratorium dr Stefanii *Izdebskiej*, Marii *Jańczak*, Jerzego *Leśkiewicza* i inż. Tadeusza *Jezierskiego*. Ćwiczenia z fizyki prowadził dr Włodzimierz *Ścisłowski*, z anatomii — w szpitalu Dzieciątka Jezus — dr Bolesław *Wojciechowski* i dr Zygmunt *Pękała*, z histologii doc. Aleksander *Elkner*. Anatomię prawidłową (ćwiczenia) prowadził także prof. Marian *Grzybowski* z dr Leokadią *Młynarczyk* w szpitalu Wolskim, ćwiczenia z anatomii opisowej prowadziła w szpitalu Ujazdowskim dr Hanna *Szukiewicz*, dr Stefania *Chodkowska* w szpitalu Wolskim, dr Aleksander *Pruszyński* w szpitalu św. Stanisława i dr Janina *Dąbrowska* w Szpitalu Przemienienia Pańskiego. Ćwiczenia niekiedy musiały być ograniczone do demonstracji preparatów. Zajęcia praktyczne z bakteriologii urządzano w znacznej mierze w pomieszczeniach PZH.

Warto dodać, że szpital Ujazdowski był częściowo zajęty przez Niemców. Na jego terenie (dawne Centrum Wyszkolenia Sanitarnego) w okresie okupacji były czynne Szpital Ujazdowski i Szpital św. Ducha. W skład Szpitala Ujazdowskiego wchodziły od 1940 roku do powstania warszawskiego 1) dawny szpital CWS, bezpośrednio po wojnie 1939 roku Szpital PCK dla rannych i chorych żołnierzy polskich kampanii wrześniowej oraz dla chorych cywilnych, przeważnie rodzin byłych wojskowych, 2) oddział dla chorych *Ostlegionu*, 3) szpital dla jeńców radzieckich. Szpital św. Ducha był przeznaczony tylko dla chorych cywilnych. Do obu wymienionych szpitali oficjalne przydziały w charakterze laborantów, masażystów itp. otrzymywali uczniowie Szkoły Zaorskiego, a nieoficjalnie nadal odbywali studia medyczne. W podobny sposób, czasami przy wykorzystaniu skierowań szkoły Zaorskiego, załatwiano praktyki studentów innych ośrodków tajnego nauczania.

W roku szkolnym 1943/44 Studium Lekarskie przemianowano na Wydział Lekarski, którego dziekanem został prof. Witold *Gądzikiewicz*. Dr *Koczwara* przekazał sprawy administracyjne sekretarce Marii *Moszyńskiej*. Powstanie Wydziału Lekarskiego było uzasadnione wzrastającą liczbą słuchaczy. W tym czasie na I roku było 200 studentów, na II 120, na III 75, na IV 50, łącznie 445 [5]. Zajęcia kliniczne organizowano przy korzystaniu ze wszystkich warszawskich szpitali, oczywiście bez względu na to, z jakiego toru szkolenia dani studenci pochodzili. Wszystkich lekarzy zajmujących się nadzorem praktyk słuchaczy nikt już nie ustali. Byli to, jak należy sądzić, w różnym stopniu zaangażowani, wszyscy pracownicy stołecznych szpitali.

Program zajęć układano w ten sposób, aby w czasie roku kalendarzowego przerobić materiał z dwóch lat, podobnie planowano w UZZ i Szkole Zaorskiego. Młodzież wnosiła miesięcznie 200-złotowe opłaty, udzielano jednak zniżek 25- i 50-procentowych, a niektórych zupełnie zwalniano od opłat. W wypadkach szczególnych przyznawano stypendia. Większość studentów pracowała zarobkowo bądź na utrzymanie, bądź dla *ausweisu*. Starsi słuchacze znajdowali zatrudnienie w zakładach i instytucjach medycznych. Z własnych składek opłacano ogrzewanie, oświetlenie, a także zespołowo kupowano skrypty i inne pomoce naukowe. Egzaminy zaplanowane w ciągu roku były obowiązkowe. Wymagania stawiano wysokie, co było jedną z przyczyn dość znacznego odsiewu. Niewątpliwie dużej miary osiągnięciem była bardzo dobra dyscyplina, połączona z niezwykłą solidarnością i koleżeństwem.

Powstanie Wydziału Farmaceutycznego poprzedziło, podobnie jak w wypadku studiów lekarskich, utworzenie kompletów farmacji w roku 1941/2. W roku następnym liczba ich zwiększyła się do kilkunastu 8—12-osobowych grup. Komplety były numerowane. Wykłady prowadzono w mieszkaniach prywatnych, a ćwiczenia w szkole ogrodniczo-rolnej przy ul. Opaczewskiej, w szkole chemicznej przy ul. Górskiego, niekiedy również w prywatnych laboratoriach, np. ćwiczenia z higieny w aptece mgr Kazimierza *Potockiego* przy al. Jerozolimskich, ćwiczenia z farmacji stosowanej w aptece na Żoliborzu i w aptece mgra Stanisława *Bukowskiego* przy ul. Marszałkowskiej [6].

Do użytku studentów wydano skrypt bota-

[3] List Wandy *Godziszewskiej* do Mariana *Koczwary*.

[4] M. Koczwara, o. c.

[5] Relacja Marii *Moszyńskiej*, o. c.

[6] List Witolda *Jabłonkowskiego* do Mariana *Koczwary*.

niki ogólnej i systematycznej Mariana *Koczwary* oraz skrypt chemii fizjologicznej Józefa *Hellera*. Do dyspozycji studentów pozostawały częściowo ocalone i zachowane zbiory roślin leczniczych i preparatów. Wobec niedostatku podręczników podstawą wiadomości były wykłady traktowane przez studentów jako obowiązkowe. Z wielu przedmiotów słuchacze, starannie stenografując wykłady, sami opracowywali skrypty i rozprowadzali je między poszczególne grupy. Byli pracownicy UW mogli nadal, przy pewnych utrudnieniach, korzystać z biblioteki uniwersyteckiej; ułatwiało to znacznie pracę. Wszystkie zajęcia były skrócone przeciętnie o połowę, wobec czego podstawową częścią pracy studentów była nauka samodzielna. Właściwe na ogół przygotowanie do ćwiczeń i sprawdziany świadczą o pełnym powagi stosunku do tych szczególnie trudnych form nauki.

Zdarzały się nawet obrony prac doktorskich, aczkolwiek egzaminy nie odbywały się komisyjnie, a doktorant zdawał je kolejno u wszystkich członków komisji [7].

Zakłady obsadzone były następująco [8]. Fizyka: prof. Jerzy *Pniewski*, prof. Tadeusz *Kopcewicz*. Mineralogia i krystalografia: Zygmunt *Weyberg*, Antoni *Łaszkiewicz*. Kierunki chemiczne: Antoni *Gałecki*, Zygmunt *Weyberg*, Wawrzyniec *Jacek*, Maria *Jańczak*, Jerzy *Leśkiewicz*, Roman *Małachowski*, Zofia *Jarzmowska*, Wanda *Polaczek*, Edward *Józefowicz*, Stefania *Izdebska*, Waleria *Jańczak*, Józef *Heller*, Włodzimierz *Niemierko*, Emil *Leyko*. Morfologia i systematyka roślin: Roman *Kobendza*, Marian *Koczwara*, Tadeusz *Wiśniewski*, Franciszek *Skupieński*, Aniela *Kozłowska*, Józef *Szuleta*, Kazimierz *Bassalik*, Jakub *Deryng*. Bakteriologia: Zygmunt *Padlewski*, Feliks *Przesmycki*, Stanisław *Sierakowski*, Zygmunt *Szymanowski*. Zoologia z parazytologią: Tadeusz *Jaczewski*, Jerzy *Jarocki*, Wacław *Roszkowski*, Kazimierz *Tarwid*, Jan *Żabiński*. Farmakognozja: Jan *Muszyński*. Higiena: Witold *Gądzikiewicz*. Farmacja stosowana: Ewa *Szymańska*.

Stomatologia w okresie okupacji była prowadzona jedynie w Warszawie, w kompletach UW. Od listopada roku 1940 do roku szkolnego 1942/43 stomatolodzy kształcili się razem z grupami lekarskimi, początkowo w kompletach dra Mariana *Koczwary*, a od jesieni 1941 roku w Studium Lekarskim pod ogólnym kierownictwem prof. Józefa *Grzybowskiego*. Z inicjatywy prof. Edwarda *Lotha*, po uzgodnieniu z przedwojennym rektorem Akademii Stomatologicznej w Warszawie prof. Romanem *Nitschem*, w roku 1942/43 nadano kompletom ich ściśle fachowy charakter. Wykłady teoretyczne prowadzono jak poprzednio w mieszkaniach prywatnych, natomiast znaczną część zajęć praktycznych w pracowni czynnej jako ambulatorium przy ul. Nowogrodzkiej. Niektóre ćwiczenia odbywały się w szkołach średnich, także zresztą zakonspirowanych, np. chemię prowadzono w pracowniach Państwowego Liceum Chemiczno-Ceramicznego przy ulicy Hożej. Zdarzało się, że również ćwiczenia odbywały się w lokalach prywatnych.

Od czasu wyodrębnienia się grup stomatologicznych sprawami ich kierował prof. Witold *Cybulski* [9]. Zwiększała się nieustannie liczba słuchaczy. W roku 1943/44 czynnych było około dziesięciu kompletów 6—12-osobowych. Uruchomiono wszystkie lata studiów. Umożliwiono składanie egzaminów dyplomowych studentom, którzy rozpoczęli naukę przed wojną. W roku 1944 powstała Akademia Stomatologiczna, co doprowadziło do całkowitego już usamodzielnienia się uczelni. Latem tegoż roku rektor Akademii, prof. *Cybulski*, przejął kompletne akta byłych grup stomatologicznych. Zakłady były obsadzane na podstawie decyzji aktualnego rektora, prof. *Cybulskiego* i przedwojennego rektora, prof. *Nitschego*.

W zakładach dla kompletów stomatologicznych i później Akademii Stomatologicznej byli zatrudnieni profesorowie medycyny, lekarze i biolodzy. Fizyka: Władysław *Kapuściński*, Cezary *Pawłowski*, Stefan *Pieńkowski*. Chemia nieorganiczna i organiczna: Antoni *Gałecki*, Stanisław *Glixelli*, Witold *Tomassi*, Maria *Trenkner*, Zdzisław *Maciejewicz*. Biologia i parazytologia: Jan *Bowkiewicz*, Wacław *Roszkowski*, Jan *Wilczyński*, Tadeusz *Wolski*, Jan *Żabiński*. Anatomia dla stomatologów i anatomia topograficzna: Józef *Grzybowski*, Zygmunt *Pękała*, Bolesław *Wojciechowski*. Fizjologia i chemia fizjologiczna: Józef *Heller*, Stanisław *Dłużniewski*, Stanisław *Raszeja*. Ćwiczenia z tych przedmiotów prowadzono w laboratorium Józefa *Wizy*. Histologia, histopatologia i embriologia: Stefania *Chodkowska*, Tadeusz *Jaczewski*, Bronisława *Konopacka*, Tadeusz *Kurkiewicz*, Aleksander *Pruszczyński*, Jan *Żabiński*. Mikrobiologia: Stanisław *Alkiewicz*, Aleksander *Ławrynowicz*. Znaczna część studentów, jak to ustalił prof. *Nitsche* z kierownictwem kursu dla laborantów technicznych bakteriologii przy PZH, tam odrabiała ćwiczenia z tego przedmiotu. Anatomia patologiczna: Janina *Dąbrowska* i Wacław *Lewiński* (w prosektorium Szpitala Przemienienia Pańskiego). Protetyka: Witold *Cybulski*, Jadwiga *Lemańska*, Maria *Wesołowska*. Dentystyka zachowawcza: Jan *Bogdanowicz*. Patologia ogólna: Henryk *Gnoiński*. Farmakologia: Stanisław *Kroszczyński*, Piotr *Kubikowski*.

W porównaniu z przedwojennym programem studiów wystąpiły w programie okresu okupacji pewne zmiany spowodowane tym, że na niższych latach komplety stomatologiczne były początkowo połączone z lekarskimi. Chociaż ustalono od razu modyfikację planu zajęć na okres wojny, to i w stosunku do tego planu z różnych przyczyn zdarzały się odstępstwa. Tok szkolenia skracano podobnie jak na pozostałych kierunkach medycznych,

[7] Relacja Józefa *Szulety*, zebrał prof. Marian *Gieysztor* (maszynopis).

[8] M. *Koczwara* i M. *Moszyńska*, o. c.

[9] List prof. Tadeusza *Manteuffla* do prof. Mariana *Koczwary*.

prawie identycznie przedstawiały się także sprawy organizacyjne. Komplety stomatologiczne utrzymywały się, jak i cały UW, z opłat studenckich, z darów społeczeństwa oraz z dotacji Delegatury RP wpłacanych za pośrednictwem Czesława *Wycecha* [10].

Szkoła Zaorskiego

Równocześnie z powołaniem kompletów medycznych, tj. w roku akademickim 1940/41, Tajna Rada Wydziału Lekarskiego w swym rozszerzonym składzie podjęła decyzję pozornie legalnego usytuowania jednego z kierunków kształcenia. Prywatna szkoła zawodowa dla personelu sanitarnego Jana Zaorskiego miała więc wychowywać przyszłych lekarzy [11]. Uzyskane zezwolenie władz okupacyjnych stanowiło wygodną firmę dla szybko rozwijającej się działalności dydaktycznej. Zachowując bardzo ścisłe współdziałanie między kilkoma torami studiów konspiracyjnych, nie dążono nigdy do ich całkowitego połączenia, aby możliwie zmniejszyć ryzyko dekonspiracji. Zostały tu właściwie wykorzystane nasze narodowe tradycje przynajmniej stuletniego nielegalnego nauczania.

Doraźnie przystosowano pomieszczenia przedwojennej szkoły masażu Zaorskiego, zakładów medycyny lat młodszych i kilku innych lokali UW. Później korzystano prawie ze wszystkich szpitali klinicznych i miejskich. Pierwszym dyrektorem naukowym „szkoły" został prof. Stefan *Kopeć*, a po jego zamordowaniu wiosną 1941 roku, prof. Franciszek *Czubalski*. Początkowo powołano tylko pierwszy rok studiów, liczący 87 słuchaczy, a po upływie 6 miesięcy utworzono rok drugi. W tym czasie szkoła liczyła już łącznie około 300 studentów. W roku 1942 policja niemiecka po przeprowadzeniu wizytacji i stwierdzeniu zbyt wysokiego poziomu nauczania (studenci naiwnie odpowiadali bardzo dobrze, podawali łacińskie nazwy) podjęła decyzję likwidacji szkoły. Senat Wydziału Lekarskiego opracował natychmiast plan zmian organizacyjnych, aby kontynuować pracę w obrębie kompletów. Prawdopodobnie groziła jednak wtedy szkole zupełna zagłada, gdyż okupanci planowali wywiezienie młodzieży na roboty do Niemiec, a lekarzy do obozów koncentracyjnych. Z nie wyjaśnionych przyczyn hitlerowcy zrezygnowali z realizacji swego postanowienia. Prof. *Czubalski* uważał, że zadecydowała rywalizacja sanitariatu *Wehrmachtu* i niemieckich cywilnych władz lekarskich. Szefostwo sanitarne wojsk niemieckich stwierdzało, że jeśli już przez nich zostało wydane zezwolenie, to szkoła niewątpliwie jest potrzebna. Według lekarzy wojskowych dyskusyjna pozostawała sprawa tylko poziomu szkoły. Być może uważali, że przed cywilami nie wypada się przyznać, że zostali nabrani. Prof. Tadeusz *Manteuffel* zaś wyraża pogląd, że utrzymanie w takich rozmiarach nielegalnych studiów było możliwe tylko dlatego, że Niemcy zajęci byli zwalczaniem ruchu oporu i w związku z tym woleli, aby młodzież zajmowała się medycyną, a nie walką [12].

Jeszcze wiele ciężkich chwil przeżywała szkoła. W lutym 1943 roku została usunięta w ciągu 24 godzin z własnych pomieszczeń i zakładów medycyny teoretycznej byłego wydziału lekarskiego. Ewakuacja była połączona z rabunkiem ocalałego dotąd mienia. Na uwagę zasługuje fakt ofiarnej pomocy, jakiej udzielili nie tylko studenci, ale nawet przechodnie o nią poproszeni. Zmobilizowano warszawskich wozaków, którzy pracowali z pełnym poświęceniem. Szkoła przeniosła się do budynku Gimnazjum św. Wojciecha. W tymże roku aresztowano doc. *Zaorskiego*.

W marcu 1943 roku powstał rok III i IV. Teraz już znaczna część zajęć odbywała się w szpitalach. W Szpitalu Dzieciątka Jezus przeprowadzano wykłady i ćwiczenia dla 11 grup o łącznej liczbie 402 osoby, nie tylko słuchaczy ze szkoły Zaorskiego. Anatomię prawidłową i patologiczną prowadzono w prosektorium Szpitala Wolskiego w porozumieniu z dr Stefanią *Chodkowską*, w prosektorium Szpitala Ujazdowskiego za zgodą płka dra Leona *Strehla* oraz w Zakładzie Anatomii Patologicznej przy współudziale prof. Ludwika *Paszkiewicza* [13]. Wykłady także były znacznie skrócone, np. całą patologię ogólną przerabiano w ciągu 24 godzin lekcyjnych. Większość stanowiły kobiety biorące często aktywny udział w pracach związanych z organizacją kompletów (Maria *Banasiewiczówna*, Marianna *Dudzińska*, Janina *Goeblówna*, Łucja *Daniszewska*, *Chróścielewska*, *Kalnikówna* i inne). Wielu wykładowców pisało własne skrypty, które studenci powielali i rozdzielali wśród grup. Praktyki kliniczne wiązały się z większymi trudnościami, ponieważ obejmowały nie tylko komplety, lecz liczne w wypadku szkoły Zaorskiego zespoły lat starszych. Należało ich pobytowi w oddziałach szpitalnych nadać formę prawną. Rozwiązaniem było wystawienie oficjalnych skierowań na praktyki dla „sanitariuszy".

Nie odbiegające w zasadzie od struktury kompletów uniwersyteckich, szkoła miała pewne własne zwyczaje i urządzenia. Opłaty miesięczne wynosiły tylko 100 zł, ale składały się na pokaźną kwotę dzięki dużym liczebnie kursom. Dawało to pewną swobodę finansową wyrażającą się np. w częstym zwalnianiu od opłat, bądź stosowaniu ulg. Na pierwszym roku obowiązywały zajęcia z zakresu udzielania pierwszej pomocy, między innymi uczono

---

[10] R. *Barański*: Przemówienie na zjeździe byłych studentów medycyny w czasie okupacji. Archiwum Historii Medycyny, 1958, nr 314, s. 349—353.

[11] F. *Czubalski*: Przemówienie na zjeździe byłych studentów medycyny w czasie okupacji. Archiwum Historii Med. 1958, nr 314, 349—53.

[12] T. *Manteuffel*: Tajne nauczanie uniwersyteckie w Warszawie w latach 1940—44. Dzieje Najnowsze, 1947, z. 2, s. 352.

[13] T. *Grigo*: Tajne nauczanie medycyny w „szkole doc. Zaorskiego" i w Uniwersytecie Warszawskim. Archiwum Historii Medycyny, 1958, nr 3/4, s. 357—362.

już wtedy zasad wykonywania zastrzyków. Miało to dwojakie znaczenie, gdyż w razie powstania pozwoliłoby na zatrudnienie słuchaczy lat młodszych jako sanitariuszy, a w okresie okupacji umożliwiało choćby niewielkie zarobki. Zgodnie ze swym starym przeznaczeniem szkoła prowadziła także 6-miesięczne kursy masażu, nie obowiązkowe, pozwalające również na dodatkowe dochody. Dość luźno ze szkołą była związana stacja krwiodawstwa zorganizowana przez doc. *Zaorskiego* w roku 1940, w szpitalu przy ulicy Kopernika [14]. Wielu studentów było dawcami krwi, a zgłaszali się na wezwania stacji. Stacja wystawiała specjalne legitymacje dla krwiodawców, które z niejasnych przyczyn bywały w jakimś stopniu respektowane przez Niemców. W określonych wypadkach legitymacje te otrzymywały również osoby postronne. Zdarzało się, że krew dostarczano dla rannych żołnierzy konspiracji.

Wykładowcami szkoły byli w większości samodzielni i pomocniczy pracownicy naukowi, zatrudnieni równocześnie w UW. Wśród związanych prawie wyłącznie ze szkołą należy wymienić: dyrektora naukowego prof. Franciszka *Czubalskiego,* prof. Ludwika *Paszkiewicza* (chociaż prowadził własny komplet oraz ćwiczenia dla grup różnych ośrodków), prof. Franciszka *Venuleta,* doc. Stanisława *Przyłęckiego,* dr Piotra *Wierzchowskiego.* Szkoła miała dwóch ofiarnie pracujących woźnych, świetnie orientujących się w jej sprawach, *Lipińskiego* i *Matuszewskiego.*

Wiosną 1943 roku okupanci, zaniepokojeni długim kształceniem sanitariuszy, zażądali absolwentów do pracy w kolumnach dezynsekcyjnych. Załatwiono tę sprawę za pomocą przekupstwa [15].

Po powstaniu warszawskim próbowano odtwarzać tajną działalność szkoły w miejscowościach podwarszawskich. Najliczniej studenci zgrupowali się w Milanówku, gdzie dyrektorem szpitala był dr Konrad *Wagner.* Resztki personelu byłego Szpitala Wolskiego zebrały się w Brwinowie pod kierownictwem doc. Jana *Roguskiego.* Pracownicy II Kliniki Chorób Wewnętrznych z prof. Witoldem *Orłowskim* zebrali się w Grodzisku. Do tych miejscowości przybywali uczniowie szkoły i Wydziału Lekarskiego celem dalszej nauki, oczywiście ci, którzy przetrwali i uniknęli wywiezienia.

Przybliżoną liczbę wszystkich słuchaczy szkoły ocenia się na 2 000 osób. Mimo bardzo dotkliwych strat, rola tej placówki w przygotowaniu lekarzy dla Polski wyzwolonej jest wydatna.

Uniwersytet Ziem Zachodnich

Jesienią 1940 roku z inicjatywy profesora Uniwersytetu Poznańskiego Ludwika *Bykowskiego* i ks. dra Maksymiliana *Rhodego* z Delegatury RP podjęto w ścisłym kontakcie z „komitetem" UW decyzję utworzenia tajnego UZZ. Organizację toku nauczania oparto, jak w UW, na 8—12-osobowych kompletach. Początkowo wyzyskując zezwolenie władz okupacyjnych (do 6 maja 1940 roku wolno było egzaminować i przez Izbę Lekarską wydawać oficjalne dyplomy), przyjmowano egzaminy, przy czym nie przestrzegano ściśle terminu zezwolenia. Następnie przystąpiono do tworzenia kompletów. Wydział Lekarski powstał oficjalnie w roku 1942/3, reorganizując istniejące grupy [16]. Czynny był w tym czasie I i III rok studiów, a w następnym roku szkolnym powołano już wszystkie lata. Studentów medycyny było wtedy 610, wykładowców 95. Sekretariat UZZ, gdzie urzędowali prof. Adam *Wrzosek* i sekretarka Adela *Jankowska,* mieścił się w prywatnym mieszkaniu dra Michała *Świderskiego* przy ul. Wielkiej 11.

Pierwszym dziekanem Wydziału Lekarskiego UZZ został prof. Adam *Wrzosek,* pseudonim „Dąbrowski", dziekanem Wydziału Farmacji wybrano prof. Bronisława *Koskowskiego.* W maju 1944 roku prof. *Wrzosek* został wybrany na prorektora, dziekanem Wydziału Lekarskiego został prof. Witold *Kapuściński,* dziekanem Wydziału Farmacji pozostał nadal prof. *Koskowski* [17]. Wydział Lekarski administrowany był szczególnie energicznie, o jego prężności świadczy fakt utworzenia dwóch filii tego wydziału w Częstochowie i w Kielcach.

Obsadę zakładów dziekan ustalił w porozumieniu ze współpracownikami, a niekiedy nawet z władzami UW: Wanda *Brydówna-Polaczkowa,* Franciszek *Czubalski,* Antoni *Dmochowski,* Aleksander *Elkner,* Michał *Giedroyć,* Stanisław *Glixeli,* Józef *Grzybowski,* Ignacy *Hoffmann,* Edward *Józefowicz,* Barbara *Kampioni-Manteuffel,* Władysław *Kapuściński,* Alfons *Krauze,* Tadeusz *Kurkiewicz,* Edward *Loth,* Roman *Małachowski,* Leokadia *Młynarczyk,* Kazimierz *Opoczyński,* Leon *Padlewski,* Zygmunt *Pękała,* Feliks *Przesmycki,* Małgorzata *Serini-Bulska,* Piotr *Słonimski,* Andrzej *Sołtan,* Hanna *Szukiewicz,* Stanisław *Trojanowski,* Julian *Walawski,* Piotr *Wierzchowski,* Jan *Wilczyński,* Bolesław *Wojciechowski,* Mikołaj Zbigniew *Wojciechowski,* Adam *Wrzosek,* Kazimierz *Zieliński* i inni.

Osobny rozdział stanowi działalność profesorów i asystentów z przedmiotów medycyny klinicznej z uwagi na to, że przyjmowali oni pod swoją opiekę studentów ze wszystkich kierunków konspiracyjnych studiów lekarskich. Wobec braku ściślejszych związków z jednym tylko ośrodkiem bardzo trudno jest teraz zestawić nawet przybliżony wykaz zaangażowanych. Praktycznie biorąc w różnym stopniu brali udział wszyscy lekarze stołecznych szpitali. Znacznie łatwiej ustalić nazwiska lekarzy z zakładów medycyny teoretycz-

[14] Relacja dr Andrzeja *Zaorskiego.*
[15] T. *Grigo,* o. c.
[16] W. *Kowalenko*: Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich w latach 1940—1944. Poznań 1946.
[17] Tamże.

nej. Oto lekarze, pracownicy szpitali, którzy najbardziej aktywnie uczestniczyli w procesie kształcenia młodszych kolegów: Dymitr *Aleksandrow*, Tadeusz *Bartoszek*, Tadeusz *Biernacki*, Feliks *Bolechowski*, Witold *Borkowski*, Tadeusz *Bratkiewicz*, Adam *Czyżewicz*, Antoni *Dobrzański*, Zdzisław *Górecki*, Witold *Gromadzki* (junior), Józef *Grott*, Marian *Grzybowski*, Walenty *Hartwig*, Witold *Kapuściński*, Eugeniusz *Kodejszko*, Jan *Krotowski*, Jan *Krotoski*, Teofil *Kucharski*, Stefan *Kwiatkowski*, *Leon Manteuffel-Szoege*, *Wacław Markert*, Jan *Mazurkiewicz*, Władysław *Melanowski*, Janina *Misiewicz*, Janina *Morawiecka*, Jan *Mossakowski*, Adam *Opalski*, Witold *Orłowski*, Władysław *Ostrowski*, Tadeusz *Pawlas*, Stefan *Popowski*, Stefan *Porzeziński*, Jan *Roguski*, Jerzy *Rutkowski*, Józef *Rydygier*, Mściwoj *Semerau-Siemianowski*, Remigiusz *Stankiewicz*, Marian *Stefanowicz*, Jan *Sobański*, Jan *Szmurło*, Witold *Tyczka*, Stanisław *Wąsowicz*, Aleksander *Zakrzewski*, Marian *Zenczak* i inni.

Pracę oddziałów klinicznych najlepiej można prześledzić na przykładzie oddziału chorób wewnętrznych Szpitala Wolskiego [18]. Praktyki studenckie, trwające tu 7 miesięcy (u prof. *Orłowskiego* 8 miesięcy), podzielono tam na 3 okresy. Przebiegiem praktyk kierował doc. Jan *Roguski*. W pierwszym okresie odrabiano staż z anatomii patologicznej i ćwiczenia z diagnostyki ogólnej i laboratoryjnej. Anatomię patologiczną studenci zaliczali u prof. *Paszkiewicza*. Ćwiczenia odbywały się w szpitalu Dzieciątka Jezus dzięki pomocy dyrektora szpitala dr Konrada *Okolskiego*. Współpracownikami profesora byli: Wilhelm *Czarnocki*, Maria *Afek-Kamińska*, Wanda *Poradowska*, Laura *Zozulińska*, laborantka Maria *Krzywicka* i woźny Jan *Witkiewicz*. Po repetycjach z diagnostyki ogólnej i laboratoryjnej rozpoczynał się okres drugi, polegający na pracy wśród chorych, w godzinach 3,30—13,00, pod kierunkiem asystentów. Na zakończenie tego etapu odbierano kolokwia z diagnostyki ogólnej i laboratoryjnej. W okresie trzecim studenci byli obowiązani napisać 10 historii chorób. Okres ten był przeznaczony głównie terapii szczegółowej. W tym czasie odbywano także kurs z elektrokardiografii. Studenci Szkoły Zaorskiego mieli wspomniane już oficjalne skierowania jako sanitariusze odbywający obowiązkową praktykę. Inni w porozumieniu z inspektorem szpitalnictwa, dr Józefem *Mockałłą*, otrzymywali fikcyjne skierowania na 2-tygodniowe przeszkolenie jako sanitariusze OPL. Skierowania następnie zmieniano, ale zawsze zdarzali się „sanitariusze nieprawni". Studenci często prosili, aby zezwolono im pracować dłużej aniżeli przewidywały to zalecenia Tajnych Rad Wydziałowych. Często praktykę w szpitalu, zwłaszcza przedłużoną, firmowano pracą w administracji lub też zatrudniano studentów jako sanitariuszy. W Szpitalu Wolskim praktyki słuchaczy nadzorowali następujący lekarze: Jan *Roguski*, Janina *Belkie*, Ryszard *Braun*, Maria *Gałczyńska*, Jerzy *Gromkowski*, Włodzimierz *Ławkowicz*, Zbigniew *Woźniewski*, Włodzimierz *Zakrzewski*, Mirosław *Ornowski* i student Kazimierz *Gulczyński*. Zestawienie pracy jednego szpitala wykazuje, jak bardzo niekompletny jest spis asystentów medycyny klinicznej z całego miasta, zajmujących się konspiracyjnym nauczaniem.

Na uwagę zasługuje sposób rozwiązania ćwiczeń z mikrobiologii dla słuchaczy z różnych grup medycznych. W PZH urządzono kursy dla technicznych asystentów bakteriologii, trwające od 3. XI. 1942 do 7. XII. 1943 r.[19]. Przeprowadzono cztery kursy przy udziale 144 uczestników, z których przeważającą większość stanowili ludzie nie związani ze studiami. Kursy ukończyło z wynikiem pomyślnym 97 osób. 39 pracowników PZH brało udział w tego rodzaju na pewno ważnym doskonaleniu. Nie to jednak jest istotne i nie to nawet, że wykładowcy otrzymywali symboliczne raczej wynagrodzenie w granicach 10—12 zł za godzinę. Oczywiście ratunkiem dla wykładowców była duża liczba tego rodzaju zajęć na różnego rodzaju kompletach. Najważniejsze jest jednak, że stworzono właściwą wizytówkę, która ułatwiała przybywanie tam studentom z całej konspiracyjnej Warszawy.

Wydział Farmaceutyczny UZZ powstał w roku szkolnym 1942/3. Poprzednio przyjmowano jedynie egzaminy końcowe i w roku 1941 przygotowywano pierwsze komplety. Utworzony Wydział Farmaceutyczny przejął całkowicie grupy wydziału UW, łącząc je ze swoimi kompletami oraz przeprowadzając nowe przyjęcia. Tak więc nieprzerwanie działał w Warszawie jako jedyny w Polsce tylko jeden wydział farmacji, początkowo w składzie UW, a następnie UZZ. Ogółem 39 osób skończyło studia rozpoczęte przed wojną, a na uczelnię wstąpiło 215 słuchaczy. Wykładowców było 24. Wykłady, podobnie jak w kompletach UW, odbywały się w mieszkaniach prywatnych, a ćwiczenia w laboratoriach aptek lub w laboratoriach fabryk farmaceutycznych, np. u *Nasierowskiego* i *Asmidera*, a także w prywatnych pracowniach [20]. Obsada poszczególnych przedmiotów przedstawiała się podobnie jak w czasach przynależności do UW. Listę należałoby uzupełnić takimi nazwiskami, jak Antoni *Gałecki*, Stanisław *Biniecki*, Bogdan *Olszewski*, Alfons *Krauze*, Stanisław *Krauze*, Bronisław *Koskowski*, Adam *Koss*, Piotr *Kubikowski*, Wiktor *Witanowski* i Kazimierz *Wize*.

W obu wydziałach nie udało się ustalić kompletnej obsady. W sprawy tajnych studiów farmaceutycznych było w różnym stopniu zaangażowanych bardzo wielu farmaceu-

[18] J. *Roguski*: Tajne nauczanie studentów medycyny w latach 1939—1944 w oddziale chorób wewnętrznych Szpitala Wolskiego w Warszawie. Polski Tygodnik Lekarski, 1946, nr 5, s. 166—167.

[19] Z. *Filar*: Tajne nauczanie medycyny w Warszawie. Archiwum Historii Medycyny, 1958, nr 3/4, s. 369—385.

[20] W. *Kowalenko* o. c.

tów, lekarzy i biologów. Często jednak jeden wykładowca pracował w kilku zakładach różnych wydziałów. Powiązania i analogie między farmacją UW i UZZ były bardzo szerokie. Obowiązywały identyczne systemy. W obu wypadkach obciążenie wykładowców było znaczne, szczególnie zważywszy odległości między lokalami kompletów. Dochodziło do 20 godzin tygodniowo.

Sytuacja materialna studiów farmaceutycznych była znacznie lepsza niż na innych kierunkach medycznych dzięki licznym dotacjom aptek i firm farmaceutycznych [21]. Dawano tu często stypendia, bardzo często stosowano ulgi lub całkowite zwolnienia od podstawowej opłaty miesięcznej wynoszącej 200 zł. Nie należały jednak do wyjątków wypadki, że student sam zgłaszał rezygnację ze stypendium, gdy jego dochody poprawiły się. Większość studiujących pracowała ze względów materialnych lub w celu posiadania odpowiednich dokumentów. Miejscami pracy bywały apteki i zakłady przemysłu farmaceutycznego [22]. Utworzono specjalny fundusz na łapówki za zwalnianie aresztowanych pracowników dydaktycznych i słuchaczy. Wykładowcy otrzymywali najwyższe stawki, do 30 zł za godzinę. Tylko tu egzaminy były płatne (50 zł). Mimo to niekiedy studenci byli zmuszeni przeprowadzić doraźne zbiórki na światło, opał lub wydanie skryptów.

Od kandydata na studenta, zgłoszonego przez szkołę średnią lub znajomych, po przeprowadzeniu wywiadu przyjmowano przysięgę mówiącą o etyce zawodu i zasadach konspiracji (tylko w UZZ). Grupy porozumiewały się z kierownictwem przez wybranego łącznika lub sekretarkę grupową [23]. Znaczny odsetek kobiet, przeszło 80%, zmusił władze do wprowadzenia zasady *numerus clausus*. Zrobiono to mimo tego, że kobiety, mniej powszechnie włączające się w działalność ruchu oporu, uczyły się bardziej systematycznie, a więc osiągały lepsze wyniki. Studentów okresu okupacji cechowała nienaganna obowiązkowość, solidarność i entuzjastyczny wręcz stosunek do nauki. Nieobecność na zajęciach była niemalże dowodem, że przybycie było niemożliwe.

Mimo dużych strat osobowych większość słuchaczy podjęła studia wkrótce po zakończeniu wojny. Obecnie wielu z nich zajmuje wysokie stanowiska naukowe bądź administracyjne.

W Częstochowie Wydział Lekarski UZZ utworzył swoją filię. Na zlecenie prof. *Wrzoska* pracą tego ośrodka kierował dr med. Zdzisław *Stolzman*. We wrześniu 1943 roku rozpoczęło studia 60 studentów w 6 kompletach. 13 października tegoż roku odbyło się zaprzysiężenie. Program zajęć był ściśle wzorowany na placówce macierzystej. Wszystkie przedmioty prowadzili lekarze, z wyjątkiem fizyki, której nauczaniem zajmowała się Jadwiga *Mońkówna* ze szkoły średniej. Wykłady z chemii organicznej prowadził także nauczyciel gimnazjum, Szczęsny *Markowski*. Przewidywano dla roku pierwszego 3 godziny tygodniowo z zakresu anatomii opisowej i chemii ogólnej, 2 godziny fizyki doświadczalnej, tj. łącznie 8, ponadto w ciągu roku 30 godzin histologii i 40 godzin ćwiczeń oraz 20 godzin propedeutyki lekarskiej. Wykładowcami byli nadto: Leon *Achmatowicz*, Jan *Bederski*, Edward *Borkowski*, Edward *Hanke*, Władysław *Stawarz*, Jan *Słotwiński*, Stanisław *Szwedowski* i inni. Sekretarką filii była Maria *Rynkiewiczówna*, dyrektor liceum, jedna z inicjatorek powstania tajnego szkolnictwa wyższego w Częstochowie. Studenci byli ubogo wyposażeni w pomoce naukowe, ze stolicy otrzymali jedynie kościec, komplet histologiczny i nieco podręczników. Celem przeprowadzenia niektórych wykładów przyjeżdżali profesorowie z Warszawy. Trzeba więc stwierdzić, że tworzone obecnie filie wyższych uczelni mają już dość stare tradycje. Wykłady i ćwiczenia odbywały się w szkole „Nauka i Praca", w mieszkaniach, w gabinetach lekarskich i w laboratoriach.

Po trzech miesiącach intensywnej pracy przerwano studia na okres 6 tygodni z uwagi na poważne zagrożenie ze strony władz okupacyjnych. Sprawy konspiracji należały tu niewątpliwie do ciężkich. W Warszawie profesorowie przyjmowali pseudonimy, które studenci rozszyfrowywali dopiero po pewnym czasie, w Częstochowie nie było nawet sensu ich wprowadzania, wszyscy się znali. Zagrożenie stało się oczywiste, gdy w mieście zaczęto szeroko opowiadać o tajnej polskiej akademii, gdy zainteresowali się tą sprawą Niemcy. Prawdopodobnie młodzi ludzie chwalili się. Gdy ponownie rozpoczęto naukę, było już tylko 26 słuchaczy. Rok akademicki ukończono dopiero w październiku 1944 roku, wtedy jednak sytuacja uległa radykalnej zmianie, przybyło bowiem wielu wykładowców z powstania warszawskiego. Czynne były już dwa kursy, na I roku było 81 osób, na II 44, w tym 19 studentów przybyłych z Warszawy. Po wojnie słuchacze zostali przyjęci na II i III rok w Poznaniu.

Wykładowcami przybyłymi w roku 1944 byli: Czesław *Białobrzeski*, Ignacy *Hoffmann*, Jerzy *Jarocki*, Alfons *Krauze*, Edward *Lampe*, Zygmunt *Manczarski*, Roman *Popielski*, Teodor *Vieweger*.

Mniejszymi osiągnięciami może się poszczycić filia Wydziału Lekarskiego UZZ w Kielcach, powstała z inicjatywy prof. Tadeusza *Konopińskiego* w grudniu 1944 roku. Utworzono tam kilka kompletów medycyny I kursu. Wykładowcami byli: Bolesław *Kowalski*, Franciszek *Łabędziński* i Kazimierz *Nowakowski* [24].

Po powstaniu warszawskim Wydział Lekarski i Farmaceutyczny UZZ zbierał się w Krakowie, w Częstochowie, w Grodzisku, a mniej-

---

[21] M. *Moszyńska*, o. c.
[22] List W. *Godziszewskiej* do M. *Koczwary*.
[23] Relacja dr Ireny *Gieysztor*.

[24] Z. *Stolzman*: Sprawozdanie filii częstochowskiej Wydziału Lekarskiego Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich. Polski Tygodnik Lekarski, 1946, nr 23, s. 741—744 i W. *Kowalenko*, o. c.

sze grupy w innych miejscowościach. Szczególnie w Krakowie zgrupowało się aż 271 słuchaczy. W miastach tych podejmowano naukę, przerwaną przez tragiczne wydarzenia. Często korzystano z pomocy miejscowych profesorów i lekarzy. Bardzo licznie zaangazowało się w tym wypadku krakowskie środowisko naukowe. Oprocz przybyłych z Warszawy wykłady prowadzili: Michał *Cwirko-Godycki*, Stefan *Horoszkiewicz*, Józef *Jarząb*, Teofil *Kucharski*, Wacław *Lewiński*, Wincenty *Lutosławski*, Karol *Meyer*, Jan *Miodoński*, Aleksander *Oszacki*, Maria *Spiss*, Stanisław *Szwarc*, Franciszek *Walter*. Dzięki pomocy miast, w których znaleźli schronienie warszawscy wygnańcy, nawet w tak krańcowo ciężkich warunkach nie przerwano pracy dydaktycznej.

Wydział Lekarski w getcie warszawskim

Wydział Lekarski w getcie warszawskim otwarto w roku 1940. Można powiedzieć, że podczas gdy np. Szkoła Zaorskiego działała w bardzo trudnych warunkach, to kursy w getcie pracowały w sytuacji katastrofalnie ciężkiej. Lekarze, którzy ważyli się na tego rodzaju przedsięwzięcie, powinni zająć pierwszorzędne miejsce w międzynarodowej historii medycyny. Z inicjatywy doc. Juliusza *Zweibauma* i prof. Ludwika *Hirszfelda* powstał kurs przysposobienia sanitarnego do walki z epidemiami [25]. W pomyśle tym łatwo zauważyć powiązania z podobnymi instytucjami spoza murów zbrodniczej segregacji. Kurs przysposobienia sanitarnego początkowo był pomyślany tylko jako wstęp do nauk medycznych. Doc. *Zweibaum* uporczywie dążył do utworzenia wydziału lekarskiego, co następnie decyzją Rady Wydziałowej zostało zrealizowane. Kurs został zatwierdzony przez okupanta i pozostał tak wygodną wizytówką, jak w wypadku Szkoły Zaorskiego. Drugą istotną analogią jest utworzenie w getcie stacji krwiodawstwa, związanej z kursem; tak samo i nieco wcześniej rozwiązał organizacyjnie te sprawy doc. *Zaorski*. Krwiodawcy, trzeba tu podkreślić poświęcenie się młodzieży akademickiej, umożliwiali efektywną pomoc dla częstych w getcie przypadków zranień.

Doc. *Zweibaum* starał się dokładnie zrealizować przedwojenny program nauczania, aby po wojnie studia te mogły zostać uznane przez władze uniwersyteckie. Planowano kształcenie tylko niższych lat medycyny, ale później powołano również kurs IV i V dla nielicznych grup studentów sprzed roku 1939. Młodzież ogromnie interesowała się studiami. Łącznie zapisało się przeszło 500 słuchaczy. Znaleziono dostateczną liczbę świetnych wykładowców [26]. Wszyscy wykładowcy wchodzili w skład Rady Pedagogicznej kursów, która była odpowiednikiem uniwersyteckiej Rady Wydziału. Pracami rady kierowała tak zwana rada ścisła, w skład której wchodzili Juliusz *Zweibaum*, Ludwik *Hirszfeld*, Mieczysław *Centnerszwer* i Hilary *Lachs*. Wykłady odbywały się w gmachu byłego gimnazjum „Collegium" przy ulicy Żelaznej, a ćwiczenia w laboratoriach szpitalnych na Lesznie i Stawkach. Część kliniczną wydziału stanowił Szpital na Czystem.

Przez cały czas swego istnienia kursy nieprzerwanie walczyły z różnego rodzaju, dużymi często, trudnościami. Wykłady prowadzono w nie opalanych pomieszczeniach, głównie wieczorami, przy świecach i lampach karbidowych, które słuchacze przynosili ze sobą. Podręczników było bardzo niewiele, podobnie jak i innych pomocy naukowych uzyskanych z zakładów UW [27]. Zajęcia praktyczne często ograniczały się do demonstracji, jak i w innych zresztą warszawskich ośrodkach. Z dużym nakładem pracy pokonano te trudności. Odbijano własne skrypty, graficy wykonywali tablice do ilustracji wykładów. Wobec dużej liczby chętnych rok I podzielono na dwa kursy i dalsze zapisy wstrzymano. Spodziewano się przerobić cały materiał w ciągu trzech lat. Nauka w małych grupach i tworzenie koleżeńskich zespołów samokształceniowych wydawały się sprzyjać tym zamierzeniom.

W oparciu o tak zaimprowizowaną uczelnię przeprowadzono kilka 2—3-miesięcznych kursów w zakresie chorób zakaźnych dla lekarzy i lekarzy stomatologii. Zgodę hitlerowców na tego rodzaju szkolenie osiągnięto z uwagi na często występujące w getcie epidemie i obawę policji o własne zdrowie. Trzeba jednak stwierdzić, że okupanci nic istotnego nie przedsięwzięli, aby naprawdę zlikwidować ogniska zakaźne. Można sądzić, że dogadzało im, aby nigdy nie wygasły. Wysiłki żydowskich lekarzy chorób zakaźnych spowodowały jednak pewną poprawę.

W czasach gdy ustawicznie mordowano tysiące ludzi, w tym także lekarzy i studentów, prymitywnie wyposażone zakłady wydziału podjęły rozległą pracę badawczą. Szczególnie cenna była pozycja o chorobie głodowej, wydana drukiem w roku 1946 i tłumaczona na język francuski, z pracowni doktorów *Fliederbauma* i *Apfelbauma* [28]. Oby nigdy nie powtórzyły się równie „korzystne" warunki do opracowywania tego rodzaju tematów. W okresie katastrofy narodowej gmina żydowska, w miarę możliwości, nie szczędziła pieniędzy na sprawy pozornie drugoplanowe, na naukę. Inż. *Kurowski* ze strony „aryjskiej" bezinteresownie, narażając się, dostarczył prof. *Hirszfeldowi* cieplarkę niezbędną do pracy naukowej. Prof. *Hirszfeld* udowodnił w oparciu o swoje badania stare i nowe, że struktura serologiczna krwi Żydów wyraźnie nabiera cech

[25] J. *Zweibaum*: Kurs przysposobienia sanitarnego do walki z epidemiami w getcie warszawskim w latach 1940—1942. Archiwum Historii Medycyny, 1958, nr 3/4, s. 355—356.

[26] E. *Goldhar-Markowa*: Żydowskie szkolnictwo zawodowe i wyższe w Warszawie w okresie okupacji hitlerowskiej. Bleter far geszichte, 1957, t. II, z. 1—4, s. 198—200 — w tłum. mgr Wili *Orbach* z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

[27] Np. J. *Zweibaum*, o. c.

[28] Tamże.

krwi narodów, wśród których żyją. A więc nazistowskie pseudonaukowe teorie są zbrodniczą bzdurą, „uzasadniającą" likwidację całego społeczeństwa. Prace naukowe przechowywano w tajnym archiwum.

Działalność dydaktyczna i badawcza poza istotnym swoim zadaniem spełniała jeszcze drugą nie mniej ważną rolę — tchnęła wiarę w życie i przyszłość, dawała zapomnienie. Wydział Lekarski istniał do dnia 22 lipca 1942 roku, do czasu masowych zsyłek do obozów śmierci. Po wyzwoleniu celem zweryfikowania zgłosiło się tylko około 50 studentów [29], którzy ukończyli studia w latach 1947—1949, głównie w Uniwersytecie Warszawskim.

Zajęcia ze słuchaczami w tym okresie prowadzili: Róża *Amzel*, Emil *Apfelbaum*, *Isaj Jeszaja Beljes*, *Alter* (Artur) *Paltych Ber*, Henryk *Brokman*, Mieczysław *Centnerszwer*, *Brandla* (Bronisława) *Fejgin*, B. *Gold*, Mojżesz *Grojsblatt*, Maria *Grinberg*, A. *Halter*, Eufemiusz *Herman*, Ludwik *Hirszfeld*, Józef *Jelenkiewicz*, J. *Kenigsberg*, Hilary *Lachs*, Herman *Makower*, Józef *Milejkowski*, Jakub *Mauuwes*, *Jonas Samuel Przedborski*, Z. *Rozenblut*, Józef *Stein*, Władysław *Sterling*, Stanisław *Szenicer*, Ludwik *Sztabholz*, Salomon *Świeca*, Juliusz *Zweibaum*. Należy dodać, że w kilku wypadkach występowały różne brzmienia imion, polskie i żydowskie; w razie wątpliwości pozostawiono tylko inicjał imienia.

Ogółem w Warszawie studiowało na wszystkich kierunkach medycznych przez cały okres okupacji, wraz z gettem i kompletami profesorów *Orłowskiego* i *Paszkiewicza*, rozpoczętymi w listopadzie 1939 roku [30], przeszło 4 000 młodzieży. Z zestawień szczytowego roku szkolnego 1943/44 wynikałoby, że w tym czasie studiowało przeszło 3800 studentów (łącznie z gettem; 1942 r.). Przy tym znaczna część słuchaczy przerywała studia z różnych względów po zaliczeniu I czy II roku i kontynuowała studia po wojnie na kursie odpowiednio wyższym.

[29] Według relacji uzyskanych w archiwum ŻIH.

[30] R. *Barański*, o. c.

ZDZISŁAW RYN Kraków

„Błękitny Krzyż" podczas okupacji hitlerowskiej

W poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" [1], jak również w innych wydawnictwach publikowano już prace dotyczące okupacyjnych dziejów Czerwonego Krzyża, a nawet szerzej opisano, z dużym opóźnieniem, konspiracyjną działalność „Zielonego Krzyża" [2]. Najmniej chyba jest znany czytelnikom „Błękitny Krzyż" czyli Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe [3] (GOPR). Było ono także zasłużone w latach minionej wojny począwszy od pierwszych miesięcy okupacji, a mimo to nie doczekało się dotychczas wyczerpującego, monograficznego opracowania w zakresie lat 1939—1945. Warto więc poświęcić temu tematowi przynajmniej wstępny zarys.

Jak wiadomo, założeniem tej organizacji, której 60-lecie przypadło na rok 1969, jest niesienie pomocy rannym lub zaginionym w gó-

Ryc. 1. Emblemat Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego PTTK. Był on w zasadzie taki sam do roku 1952, przy czym wtedy napis w otoku zaczynał się od „Tatrzańskie..." i nie zawierał skrótu „PTTK" (PTTK powstało z połączenia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego). Krzyż na białym tle, widoczny na reprodukcji, ma barwę błękitną

[1] Zob. między innymi S. *Kłodziński*: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii *Rzącowej* i Marii *Osińskiej*. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 87—89. — S. *Kłodziński*: Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 122—125. — Z. *Łakociński*: *Folke Bernadotte* i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 145—152.

[2] B. *Matus*: Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 117—125.

[3] Miało ono do roku 1952 nazwę Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (TOPR).

rach i ratowanie ich życia. Polscy ratownicy górscy, od lat doświadczeni i zaprawieni w akcjach TOPR, bynajmniej — wbrew presjom i zakazom okupanta — nie tylko nie zaniechali swej działalności po kampanii wrześniowej, lecz nawet na przekór istniejącej sytuacji wzmogli swoje wysiłki i podjęli przy tym zadania w ruchu oporu. Dlatego, przedsiębiorąc próbę naszkicowania okupacyjnych dziejów Błękitnego Krzyża, należy cofnąć się najpierw do okresu poprzedzającego minioną wojnę.

Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe powstało w roku 1909. Zamysł utworzenia górskiego pogotowia ratunkowego na wzór istniejącej w Austrii od roku 1896 takiej organizacji, założonej z inicjatywy *Österreichische Alpen Club*, powzięli w roku 1908 ówcześni najlepsi taternicy i przewodnicy tatrzańscy, a wśród nich wybitny kompozytor Mieczysław *Karłowicz*, generał Mariusz *Zaruski*, Henryk *Bednarski*, Józef *Lesiecki*, Klemens *Bachleda*, Andrzej *Marusarz* i inni. Wrażenie, które wywarła tragiczna śmierć Mieczysława *Karłowicza* w lawinie śnieżnej na stokach Małego Kościelca w Tatrach 8 lutego 1909 roku, zadecydowało o tym, że już 29 października tego samego roku ówczesne namiestnictwo Austro-Węgier w tzw. *Galicji* zatwierdziło uprzednio przygotowany statut TOPR. Organizacja ta działała pod tą nazwą do roku 1952, kiedy obejmowała już swym zasięgiem wszystkie góry Polski południowej i przyjęła nazwę Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Statut TOPR określał między innymi, że „celem Towarzystwa jest poszukiwanie zaginionych turystów i niesienie pierwszej pomocy w nieszczęśliwych wypadkach na obszarze Tatr". Obowiązki ratowników podawał paragraf 9, punkt c: „Stawić się bez względu na porę roku, dnia i stan pogody w miejscu i czasie oznaczonym przez naczelnika (lub jego zastępcę), bezwzględnie wykonywać jego rozkazy, bądź zastępcy lub kierowników oddziałów w zakresie akcji ratunkowej". Symbolem bezgranicznego poświęcenia się ratownika górskiego jest postać Klimka *Bachledy*, który zyskał sobie miano „króla przewodników tatrzańskich". Usiłując dotrzeć do rannego taternika, zginął na Małym Jaworowym w roku 1910.

TOPR, kierowane przez wspomnianego już gen. *Zaruskiego*, taternika, żeglarza, poetę, stawało się stowarzyszeniem coraz prężniejszym, zasobniejszym i podejmującym coraz trudniejsze czynności ratownicze w górach. Po jego wyjeździe w roku 1926 z Zakopanego kierownictwo TOPR objął Józef *Oppenheim*, znany narciarz i taternik, człowiek dużej kultury, w młodości działacz lewicowy. Kierował on TOPR-em z przerwami do drugiej wojny światowej. Po przeżyciu wojny za granicami kraju wrócił do Polski w roku 1945. Dnia 28 stycznia 1946 roku w Kościelisku zamordowała go faszystowska banda terrorystyczna [4].

Wstrząs, którym była kampania wrześniowa, doprowadził do zamierzonego przez własne organizacje samounicestwienia (np. niektóre partie polityczne) i przejścia następnie do form działalności konspiracyjnej pod innymi nazwami, jak też w innym układzie politycznym, gdyż, jak się początkowo wydawało, sytuacja okupacyjna stawiała na widoku wspólny cel walki z okupantem. Po krótkiej przerwie w działalności TOPR, spowodowanej wybuchem drugiej wojny światowej, organizacja ta wznowiła swą służbę na żądanie władz okupacyjnych w dwóch południowych „dystryktach" (krakowskim i rzeszowskim) tzw. Generalnej Guberni. Kierownikiem TOPR w tym czasie został znany taternik i alpinista, Zbigniew *Korosadowicz*, dotychczasowy wiceprezes. Okres okupacji był szczególnie trudny i niebezpieczny w pracy TOPR. Zginęło wówczas wielu wybitnych ratowników i narciarzy w kraju i poza jego granicami, w tym wielu w obozach koncentracyjnych [5].

Warto przypomnieć, że Polski Związek Narciarski (PZN) powstał w roku 1919 między innymi z niemieckiej organizacji narciarskiej w Bielsku, tj. *Wintersportclub des Beskidenvereines*, którego rola fatalnie zaciążyła nie tylko na samym narciarstwie, organizacja ta bowiem spełniała na ziemiach polskich zadania wykraczające poza sport. W swej działalności opierała się o tzw. *Volksbund in Polen*, a w okresie hitlerowskim o *Jung-Deutsche-Partei*, czyli zgrupowanie tzw. „piątej kolumny" w Polsce. Działalność narciarska była tylko pretekstem do szeroko zakrojonej aktywności szpiegowskiej i dywersyjnej, szczególnie ożywionej w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny w roku 1939. Liczni instruktorzy, przeszkoleni na kursach „narciarskich" w Szczyrku, odegrali później ważną rolę w przygotowaniu hitlerowskiej agresji na Polskę i dołączyli się do wielu prowokacji, mordów, podpaleń i wybuchów bombowych [6]. Szczególnie niebezpieczni okazali się kapitan sportowy PZN, Henryk *Szatkowski*, oraz trener narciarski, Austriak z pochodzenia, hitlerowiec *Sepp Röhrl*. W roku 1939 został on nawet trenerem narciarskiej reprezentacji Polski na mistrzostwa świata. Był on w rzeczywistości szpiegiem gestapo, miał pełne rozeznanie w składzie polskiego narciarstwa, a w latach okupacji wysłał wielu Polaków, zresztą nie tylko narciarzy, do obozu w Oświęcimiu.

Wobec tolerowania prowokacji niemieckich przez władze polskie w tym czasie nie było warunków prawidłowego rozwoju polskiego narciarstwa, a dzięki swej infiltracji w PZN wywiad hitlerowski miał możliwości rozszyfrowania wielu ważnych zagadnień politycznych, gospodarczych i wojskowych. Część przeszkolonych w Szczyrku narciarzy, członków *Wintersportclubu* z Bielska i *Winter-*

---

[4] K. *Piotrowski*: Józef *Oppenheim*. Taternik, 1948, nr 3/4, s. 88—92.

[5] Okres powojenny omówiono szerzej w: 50 lat ratownictwa górskiego. Zarys historii i działalności GOPR. Red. T. *Pawłowski*, J. *Ustupski*, Z. *Wójcik*. Zakopane 1959. Zob. też M. *Bielecki:* Zasady służby ratownictwa GOPR. Rytochem, Chorzów 1968 (powielone). — Z okazji 60-lecia GOPR w dniach 26—29 września 1969 roku odbył się w Zakopanem jubileuszowy zjazd ratowników górskich z udziałem przedstawicieli organizacji ratowniczych Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Jugosławii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Szwajcarii i Związku Radzieckiego. W dniu 27 września urządzono sympozjon na temat profilaktyki wypadków górskich. Wspomniany jubileusz stał się treścią między innymi następujących publikacji: M. *Jagiełło*: 60 lat Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Taternik, 1969, nr 2, s. 53—57. — K. *Sałyga*: Rozsądni nie giną. Światowid, 1969, nr 25, s. 8—9. — Z. *Ringer*: Ratownicy. Dziennik Polski, 1969, nr 241, s. 4.

[6] S. *Ziemba*: Śladami dwóch desek. Zarys dziejów narciarstwa. Wydawn. Literackie, Kraków 1955, s. 362.

sportvereinu z Katowic, przywdziała natychmiast po wybuchu wojny mundury *Schupo (Schutzpolizei).* Gdzie się oni pojawiali, tam szerzyły się egzekucje i masowe mordy, dokonywane przez żandarmerię na Polakach. Świadkiem takiego wydarzenia w Nowym Sączu był znany zawodnik narciarski, obecny trener, Mieczysław *Kozdruń,* który widział rozstrzelanie grupy Polaków.

roku, nr 5911), Bolesław *Chramiec* i Stanisław *Bartkowski.* Stanisław *Motyka,* taternik i narciarz, utonął w Drawie, uchodząc przed hitlerowskimi oprawcami, a Leonard *Motyka,* biegacz narciarski, został rozstrzelany jesienią 1939 roku w Dolinie Chochołowskiej [8]. Również jesienią tego samego roku razem z innymi więźniami został rozstrzelany na Siwej Polanie w Tatrach Józef *Łuszczek,* biegacz i skoczek.

W maju 1940 roku aresztowano dalszych wybitnych polskich narciarzy. Jan *Śnieżek* trafił do Oświęcimia (nr obozowy 352). W obozie tym rozstrzelano

Ryc. 2. Ratownicy TOPR, uczestniczący przed wojną w wyprawie ratunkowej po *Birkenmajera.* Stoją od lewej Józef *Gąsienica Tomkowy,* Jędrzej *Marusarz „Jarząbek"*, Józef *Oppenheim* z żoną, Wojciech *Wawrytko* (senior), Henryk *Bednarski,* Józef *Wawrytko* (senior), Stanisław *Roj Gąsienica.* Siedzą od lewej Stanisław *Gąsienica z Lasa,* Jan *Gąsienica Tomków,* Andrzej *Marusarz,* Józef *Krzeptowski,* Stanisław *Gąsienica Byrcyn,* Andrzej *Wawrytko* i Józef *Stopka.* Jest to reprodukcja unikalnego zdjęcia przedwojennego z archiwum GOPR

W pierwszych dniach okupacji odwiedził biegacza narciarskiego, *Czepczora,* górala z Jaworzynki, jeden z uczestników niemieckiego patrolu narciarzy na mistrzostwach świata *FIS* w Zakopanem w roku 1939. Polecił on *Czepczorowi* zaagitować ludność beskidzką, by „posłusznie wykonywała zarządzenia hitlerowskich władz" [7]. Inni przeszkoleni w Polsce członkowie *Wintersportclubu* i *Wintersportvereinu* zbiegli z Polski do Trzeciej Rzeszy jeszcze przed kampanią wrześniową. Powrócili oni razem z armią najeźdźcy i zajmowali wysokie stanowiska w okupacyjnych urzędach, prowadząc politykę eksterminacji wobec Polaków i Żydów.

Lista polskich narciarzy, zamordowanych lub zesłanych do obozów koncentracyjnych, jest długa (zestawienie podano na końcu artykułu). Jedną z pierwszych ofiar był góral, Władysław *Berych,* biegacz na 18 km i 50 km. Rozstrzelano go na zakopiańskim cmentarzu za posiadanie broni. W walkach z okupantem zginął wielokrotny mistrz Polski w biegach narciarskich, Edward *Nowacki* (popularnie nazywany „Murzynkiem") i Marian *Kozik,* członek reprezentacyjnego patrolu. W różnych obozach koncentracyjnych zginęli skoczek narciarski Piotr *Kolesar,* taternik i biegacz Jan *Gnojek,* zjazdowiec Kazimierz *Bigosz,* narciarz Józef *Chramiec* (zginął w obozie oświęcimskim 24 sierpnia 1942 roku, nr więźnia 101), Franciszek *Motyka* (zginął w Oświęcimiu 25 stycznia 1943 Franciszka *Mrowcę.* Aresztowano też Józefa *Stopkę,* działacza sportowego Romualda *Kuliga* i jego brata, Apolinarego *Kuliga,* działacza Towarzystwa Sportowego „Wisła" (najpierw torturowany w „Palace" [9], potem zamordowany w obozie oświęcimskim; nr więźnia 105). Wcześnie też wywieziono do Oświęcimia Juliana *Hołego* (nr 784) i Stanisława *Chotarskiego* (nr 766; zginął w obozie 18 sierpnia 1942 roku). Spośród narciarzy również zostali aresztowani i zginęli Adam *Dziadulski,* Józef *Gąsienica,* Daniel *Gąsienica-Fronek,* Feliks *Klaper,* Władysław *Szczepaniak* i Stanisław *Żytkowicz.* Podczas próby ucieczki z obozu oświęcimskiego został 2 sierpnia 1944 roku zastrzelony w okolicy Dulowej więzień nr 100379, Eugeniusz *Bachleda-Curuś,* narciarz i podhalański działacz konspiracyjny. W lutym 1942 roku zginął w celi więzienia „Palace" Bolesław *Kupiec,* aresztowany 15 stycznia 1940 roku, a przewieziony tam z Oświęcimia (nr obozowy 792) na ponowne przesłuchanie. Nie powrócili z obozu oświęcimskiego Karol *Kupiec* (nr 794) i Józef *Kupiec* (nr 791), aresztowani także za udział w ruchu oporu.

[7] Tamże.

[8] A. *Filar*: Pamięci *Czecha* i *Marusarzówny.* Dziennik Polski, 1968, nr 57, s. 3—4.

[9] W zakopiańskim pensjonacie „Palace" przy ul. Chałubińskiego 7 gestapowcy urządzili swoją kwaterę, która w latach okupacji była symbolem zbrodni i przemocy dla całego powiatu nowotarskiego. W. *Wnuk* w swej książce poświęconej bohaterskiej walce ludności Podhala z Niemcami podaje, że w „Palace" przeszło 200 zakopiańczyków straciło życie (Walka podziemna na szczytach. Pax, Warszawa 1958, s. 100). Zob. zwłaszcza następujące rozdziały monografii W. *Wnuka*: Brawura ducha i ciała. Narciarzom podhalańskim (tamże s. 180—193) i Z księgi wypraw ratunkowych (s. 232—247).

Spośród tych, którym po klęsce wrześniowej udało się przedostać do Francji, do armii gen. *Sikorskiego*, a którzy następnie zginęli na froncie, Alfons *Filar* wspomina [10] narciarzy Wojciecha *Panka* (porucznika lotnictwa, pilota dywizjonu 305), Mariana *Zająca* (również z 305 dywizjonu RAF), Józefa *Panka* (zginął pod Tobrukiem), Adama *Bachledę-Curusia* (zginął pod Monte Cassino) i Stanisława *Guta*. W powstaniu warszawskim w pierwszej połowie sierpnia 1944 roku zginął urodzony w Zakopanem instruktor narciarski i działacz konspiracyjny, Władysław *Majer*.

Zginęli również niektórzy działacze narciarscy, między innymi Tadeusz *Ramza* z Krakowa, Henryk *Schabenbeck* z Zakopanego; na froncie francuskim zginął bohaterską śmiercią dnia 20 września 1940 r. Władysław *Ziętkiewicz*, autor podręczników narciarskich, działacz i instruktor Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (PTT). Wśród narciarzy Śląska straty były równie bolesne i tragiczne; okupanci zamordowali reprezentanta Polski, górala z *Koniakowa*, Jana *Legierskiego* oraz wielu wybitnych narciarzy, jak Józefa *Drobisza* z Równi pod Baranią, Józefa *Legierskiego* z Koniakowa, Jana *Halamę* z Wisły, Jana *Wawrzacza* z Istebnej, Rudolfa *Pilcha* z Malinki i innych. Niektórzy z nich zginęli zaledwie na kilka dni przed zakończeniem wojny w czasie zbiorowego barbarzyńskiego mordu na grupie górali z Istebnej i Koniakowa, dokonanego przez wycofującego się już okupanta na terenie Śląska zaolziańskiego. Śmierć w obozie oświęcimskim ponieśli między innymi nauczyciel Michał *Cieślar* z Wisły, propagator narciarstwa wśród młodzieży ze szkół beskidzkich, oraz Józef *Wajdzik* z Bielska. Narciarz Emil *Szotkowski*, działacz ziemi cieszyńskiej, został ścięty toporem w Katowicach. Z powodu przejść wojennych zmarł wkrótce po wyzwoleniu Jan *Lipowczan*, pionier narciarstwa śląskiego, a niedługo po nim instruktor narciarski i sędzia sportowy, Artur *Kasprzyk* [11].

Wielu narciarzy i ratowników górskich przetrwało tragiczne lata okupacji. Do dzisiaj pamiętają oni wyraźnie wstrząsające przeżycia z tamtego okresu i w rozmowach z tymi ludźmi odczuwa się grozę owych lat i niebezpieczeństwo śmierci, stale zagrażającej w toku ryzykownych przedsięwzięć. Należy tu wspomnieć przede wszystkim o symbolicznej już dla polskiego narciarstwa postaci Stanisława *Marusarza*, skoczka startującego na wszystkich sławnych skoczniach obu półkul, do roku 1939 16-krotnego mistrza Polski, którego najodważniejszy skok nastąpił z drugiego piętra więzienia Montelupich w Krakowie po aresztowaniu przez hitlerowców. Fakt ten potwierdził między innymi prof. dr Jan Stanisław *Olbrycht*, aresztowany w czerwcu 1942 roku i uwięziony na Montelupich: „Miałem sposobność poznać tamtejszy reżim więzienny, zobaczyć cele śmierci nr 87 i nr 94, a nawet wygiętą kratę w oknie celi, przez którą udało się zbiec z więzienia 2 lipca 1949 roku Stanisławowi *Marusarzowi*" [12]. Powszechnie znany jest bohaterski wyczyn ratownika górskiego i narciarza Józefa *Uznańskiego*, który odważnym skokiem z wagonika kolejki linowej na Kasprowym Wierchu uniknął niechybnej śmierci z rąk oczekujących na niego gestapowców [13].

Straty polskiej kultury związane z drugą wojną światową są ogromne i dotychczas nie w pełni opracowane. W tym zakresie dominują opracowania związane z hołdem składanym pamięci zmarłych w tragicznym okresie lat 1939—1945. W ogłoszonej w roku 1947, niekompletnej jeszcze „Liście strat kultury polskiej" [14] około 50% nazwisk z ogólnej liczby przeszło 4 400 osób stanowią ofiary zbrodni hitlerowskich w okupowanej Polsce. „Teza, iż pragnąc zniszczyć Polskę i Polaków, rozmyślnie celowali Niemcy w mózg narodu, znajduje tu w pełni potwierdzenie" [15]. Opracowania te są nadal istotnym aktem oskarżenia.

O ile bibliografia strat osobowych Polski w tych latach jest dość obszerna w odniesieniu do kultury polskiej ogólnej i regionalnej, obejmując poszczególne grupy zawodów (artystów, bibliotekarzy, botaników, duchowieństwo, działaczy społecznych, dziennikarzy, farmaceutów, filologów, filozofów, geografów, historyków, księgarzy, lekarzy [16], leśników, muzyków, nauczycieli, polonistów, prawników, techników i innych), o tyle nie doczekaliśmy się jeszcze pełnych opracowań dotyczących strat okupacyjnych polskiego sportu, zwłaszcza narciarstwa oraz Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

W drugiej wojnie światowej zginęło 28 polskich olimpijczyków [17] w obozach, więzieniach, gettach, na frontach wschodnim i zachodnim, na barykadach Warszawy i w partyzantce. Nazwiska niektórych z nich są powszechnie znane i czczona jest ich pamięć. Helenie *Marusarzównie*, Bronkowi *Czechowi*, *Legierskim* z Koniakowa, czy Januszowi *Kusocińskiemu* [18] są poświęcone coroczne memoriałowe zawody sportowe, mające od wielu lat zakres międzynarodowy. Od kilku lat patronat nad memoriałem B. *Czecha* i H. *Marusarzówny* sprawuje Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. W dniach tego memoriału są corocznie organizowane między innymi wystawy historii narciarstwa polskiego [19].

*

Osobnego omówienia wymagają wyprawy TOPR w okresie okupacji hitlerowskiej. Mimo

---

[10] A. *Filar*: Synowie Podhala. Za Wolność i Lud, 1969, nr 5, s. 10—11 (tamże 18 zdjęć portretowych).

[11] Tamże.

[12] J. S. *Olbrycht*: Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 82—91.

[13] J. *Uznański* udzielił wywiadu telewizyjnego między innymi na ten temat w audycji „Tele-Echo" z Warszawy dnia 15 czerwca 1969 roku. Inny narciarz, Jan *Kula*, już od października 1939 roku prowadził służbę kurierską, a potem walczył w armii polskiej na Zachodzie (według W. *Wnuka*, o. c., s. 183—184).

[14] B. *Olszewicz*: Lista strat kultury polskiej (1.IX.1939—1.III.1946). Wydawn. S. Arcta, Warszawa 1947, ss. XVI+336.

[15] Tamże, s. X. Jak wiadomo, eksterminacja przede wszystkim inteligencji polskiej była założeniem tzw. Akcji *AB* (*Aussenordentliche Befriedungsaktion*), o której pisali między innymi J. *Bogusz* (Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 37) i J. *Kret* (Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 61).

[16] J. *Gołąb*: Lista strat (na obszarze Izby Lekarskiej Krakowskiej). Przegl. Lek., 1945, nr 2, s. 20 i nastepne. Pełna listę strat wśród lekarzy ma uwzględnić wnioskowana na II zjeździe lekarzy ZBoWiD (w maju 1968 roku w Warszawie) księga pamiątkowa poświęcona pracownikom służby zdrowia w Polsce, ofiarom hitleryzmu (por. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 188).

[17] Chwała olimpijczykom. Audycja telewizyjna pod red. A. *Jucewicza* i W. *Stępińskiego* z dnia 6.X.1968 roku. — E. *Skrzypek*: 500 zagadek olimpijskich. Wiedza Powszechna, Warszawa 1968, s. 154—156.

[18] Wywiad z M. *Szymkowiakiem*. Za Wolność i Lud, 1968, nr 19, s. 13.

[19] Wystawę taką w roku 1969 zrealizowali Anna *Bednarska* i mgr Ludwik *Fischer*, syn dra Ludwika *Fischera*, znanego lekarza zakopiańskiego (zob. Przegląd Sportowy, 1969, nr 27, s. 1).

zakazów władz niemieckich niektórzy polscy narciarze nadal uprawiali swą dyscyplinę sportową; nie zanikł również zupełnie ruch turystyczny wraz z taternictwem. Jak wspomniano, TOPR wznowił swą działalność na polecenie władz okupacyjnych Zakopanego. Jakkolwiek liczba wypraw ratowniczych w górach w latach okupacji należy statystycznie do najniższych na tle całej działalności „Błękitnego Krzyża", zasługują one na uwagę ze względu na swój szczególny charakter. Oprócz codziennych trudów i niebezpieczeństw w pracy ratowników górskich istotniejsze było potencjalne zagrożenie ze strony okupanta, dla którego nie stanowiło tajemnicy, iż wśród ratowników górskich i narciarzy znajdują się również członkowie ruchu oporu, kurierzy tatrzańscy na Węgry, emisariusze, łącznicy. Ich doskonała znajomość Tatr, tajemnych przejść granicznych oraz poparcie ze strony miejscowej ludności były przysłowiową solą w oku zakopiańskiego gestapo.

Należy wspomnieć, że już w grudniu 1939 roku nastąpiły pierwsze na terenie Zakopanego akcje mające na celu przygotowanie walki podziemnej z okupantem. Zaczęły powstawać różne organizacje konspiracyjne na Podhalu, podporządkowane „Białemu Orłowi", „Komendzie Obrońców Polski" itp., a z końcem stycznia 1940 roku rozpoczął swoją działalność ZWZ. W maju 1941 roku powstała słynna „konfederacja tatrzańska" [20]; te i inne organizacje antyfaszystowskie na Podhalu wymagają odrębnej monografii. W ich działalności swą chlubną kartę zapisali narciarze, ratownicy, a również zakopiańscy lekarze, jak np. dr Ludwik *Fischer* [21], dr Jan *Gadomski* (aresztowany w kwietniu 1941 roku, zginął w obozie oświęcimskim; nr obozowy 18850) i dr Adam *Przybylski* (radiolog z Zakopanego, uwięziony w roku 1943, też zginął w obozie w Oświęcimiu).

Wśród tamtejszych lekarzy zasłużył się ponadto między innymi zakopiański radiolog, dr Hugo *Karwowski*, szef placówki ZWZ w Zakopanem. Aresztowany wiosną 1941 roku przez gestapo i przesłuchiwany w „Palace" [22], uderzył gestapowca w twarz, za co został zmasakrowany, zrzucony z pierwszego piętra i zamordowany. Dr *Karwowski* był majorem rezerwy WP. Jego sylwetka zasługuje na osobny artykuł biograficzny.

Działalność zakopiańskiego ruchu oporu osłabła po trwającej od marca do sierpnia 1941 roku akcji aresztowań obejmujących około 180 osób. Nasiliła się ona ponownie od roku 1944. W tym czasie na Podhalu działała w szerszym zakresie także AL. Osobliwą cechą tej działalności były wielokrotne przeprowadzania ludzi i transporty prasy podziemnej przez granicę Generalnej Guberni i Słowacji na terenie Tatr [23]. Akcje te zaostrzały terror hitlerowski. W zakopiańskim gestapo osławił się jego szef, Robert *Weissman*, który sprawował tę funkcję od jesieni roku 1939 do lipca 1944 roku, a następnie został przeniesiony do Wydziału IVa gestapo przy ul. Pomorskiej (obecnie ul. Wybickiego) w Krakowie. Był to znany sadysta; znęcał się nad więźniami i osobiście ich rozstrzeliwał.

Ryc. 3. Robert *Weissman*, szef zakopiańskiego gestapo, osławiony zbrodniarz hitlerowski

Niewątpliwie najpiękniejszą kartę w okupacyjnych dziejach TOPR stanowi bohaterska wyprawa 14 ratowników w lutym 1945 roku, a więc wkrótce po wyzwoleniu Zakopanego, po rannych partyzantów radzieckich i słowackich do Doliny Zuberskiej w Tatrach Zachodnich. Przebieg tej wyprawy, nazwanej „Akcja na Zwierówce" [24], został odtworzony w pełno-

[20] Wspomniał o niej między innymi J. *Bogusz* (Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 8).

[21] S. *Kłodziński*: Dr Ludwik *Fischer*, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 229—234.

[22] Według informacji ustnej, udzielonej autorowi przez mjra Alfonsa *Filara* 8.III.1969 roku w Zakopanem, uczestnika AL na Podkarpaciu, sekretarza Zarządu Oddziału ZBoWiD w Zakopanem. Autor składa mu serdeczne podziękowanie za cenne konsultacje.

[23] Ta działalność, obfitująca w wiele dramatycznych momentów, a również niektóre tragiczne wydarzenia w gestapowskiej katowni „Palace" zostały opisane przez A. *Filara* (Opowieści tatrzańskich kurierów) oraz A. *Filara* i M. *Lejkę* („Palace"), których książki (tytuły podano w nawiasach) były w okresie pisania artykułu oddane do druku.

[24] „Akcja na Zwierówce". Wierchy, 1947, nr 55, s. 190 (artykuł podpisany kryptonimem Kor. J.). Zob. też W. *Wnuk*, o. c., s. 232—243. O akcji tej wspomina także pisarz radziecki K. *Simonow* w swej książce pt. W ety gody (W owych latach); według W. *Wnuka* (o. c., s. 239).

metrażowym filmie produkcji polskiej pt. „Błękitny Krzyż" (1955).

Poszukiwania materiału informacyjnego dotyczące tej wyprawy zawiodły najpierw do Księgi Wypraw Ratunkowych TOPR, w której kierownik wyprawy, Zbigniew *Korosadowicz*, zapisał treść pisma doręczonego mu około godziny 20 w dniu 10 lutego 1945 roku przez członka „Błękitnego Krzyża", Józefa *Marusarza*: „Natychmiast rozkazuje się zebrać dwudziestu ludzi wraz ze sznurami, sankami i innym sprzętem dla ratowania rannych żołnierzy w górach. Zgłosić się na godzinę 5 rano dnia 11 lutego 1945 roku w Komendzie MO (...). Komisariat MO w Zakopanem" [25]. „Nazajutrz, tj. dnia 11 lutego 1945 roku o godzinie 5 rano Pogotowie stawiło się na wskazanym miejscu w składzie: kierownik, [Zbigniew *Korosadowicz*], Stanisław *Marusarz*, Jakub *Wawrytko*, Wojciech *Wawrytko*, Stanisław *Wawrytko*, Marian *Orlewicz*, Józef *Faden*, Marian *Szeligiewicz*, Stanisław *Byrcyn*, Jan *Ceberniok*, Stanisław *Majerczyk*, Jan *Gąsienica Tomków*, Szymon *Zarycki* i Władysław *Gąsienica*, razem ludzi czternastu. Wraz z lekarzem partyzanckim, *Jurajem Bernatem*, który miał nam służyć za przewodnika, udaliśmy się sankami do Doliny Chochołowskiej" [26].

Koniec roku 1944 zastał na terenach północnej Słowacji i Podtatrza partyzancką brygadę generała *Velički*, składającą się z ludzi różnych narodowości radzieckich, oraz Słowaków i Polaków. Po rozbiciu tej brygady przez Niemców część partyzantów rozproszyła się, a kilku ciężko rannych partyzantów oraz dwie słowackie sanitariuszki znalazło schronienie w ustronnym i nieznanym domku myśliwskim na stokach Salatyńskiego Wierchu. Na podstawie dokumentacji przechowywanej przez GOPR udało się ustalić nazwiska rannych partyzantów radzieckich. Byli to *Maksym Olejnikow*, *Tichon Sediakow*, *Dymitryj Borodyj* i Jan *Repiszczak*. Natomiast nazwiska wspomnianych sanitariuszek są nieznane. Z innego źródła wiadomo [27], że było tam 15 osób łącznie z drem *Juro Bernardem* (ratownicy nazywali go Jurajem), a mianowicie owe sanitariuszki (Słowaczki Bożena i Katarina), 4 Słowaków, 7 Rosjan i 1 Czech.

Dr *Juro Bernard*, lekarz i taternik słowacki, jako partyzant początkowo był w oddziale dowodzonym przez zbiegłego z niemieckiej niewoli Rosjanina *Wasyla*, następnie przeszedł do oddziału słowackiego dowodzonego przez *Bielika*. Wysłany z transportem rannych, nie odnalazł już swojego macierzystego oddziału i trafił do partyzanckiej brygady imienia Stefanika, dowodzonej przez Piotra *Veličkę*. Wspólnie z bratem, również lekarzem, dr *Bernard* opiekował się rannymi. Po wycofaniu się oddziału musiał zostać ze swoimi rannymi w niedostępnym, górskim szałasie w Dolinie Zuberskiej. Urządził tam prymitywny szpital, w którym spędził z rannymi przeszło dwa miesiące w warunkach najcięższych, jakie można sobie wyobrazić w zimie, w górach, podczas wojny, bez wyżywienia, bez leków, środków opatrunkowych i nawet prostych narzędzi chirurgicznych. Mimo to dr *Bernard* dokonał amputacji obu odmrożonych nóg u radzieckiego partyzanta, *Olejnikowa*. U innych opatrywał i pielęgnował rany postrzałowe, amputował palce rąk, leczył odmrożenia. Posługiwał się zwykłą piłką do drzewa i nożem.

Dr *Bernard*, przewidując zbliżający się kres wytrzymałości fizycznej i psychicznej swoich podopiecznych w leśnym szpitaliku, samotnie przedostał się do Zakopanego i zwrócił się z prośbą o pomoc do radzieckiego już wówczas komendanta miasta. O wyzwoleniu Zakopanego wiedział wcześniej. Po krótkim odpoczynku poprowadził wyprawę ratunkową przez Dolinę Chochołowską, Łuczniańską Przełączkę i Dolinę Łataną, skąd przedostali się do Doliny Zuberskiej (Rohackiej) i skierowali ku Zwierówce. Dopiero tam okazało się wbrew pierwotnym zapewnieniom dra *Bernarda*, że chatka leży nie kilkaset metrów przed liniami niemieckimi, lecz około 500 metrów

Ryc. 4. Jan *Gąsienica Tomków*, słynny przewodnik tatrzański pierwszej klasy, zasłużony ratownik górski, odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Odznaką 10-lecia PRL i Złotą Odznaką Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, uczestnik tzw. „akcji na Zwierówce"; w roku 1968 odszedł z czynnej służby w „Błękitnym Krzyżu"

Ryc. 5. Stanisław *Marusarz*, syn Jędrzeja, przewodnik tatrzański pierwszej klasy, jeden z najstarszych ratowników górskich (nr przyrzeczenia 51), uczestnik około 160 wypraw ratunkowych, uczestnik „akcji na Zwierówce"

[25] Księga Wypraw Ratunkowych TOPR Zakopane. Tom II: 1936—1951, s. 235.

[26] Tamże (w cytacie mylnie: „*Bernatem*").

[27] J. *Kapeniak*: Krwawi i hyrni. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1959, s. 246. Poza wspomnianym nazwiskiem *Olejnikowa* autor ten podaje nazwisko jeszcze innego partyzanta radzieckiego, *Reszetnikowa*, który w czasie transportu toboganem „cały unieruchomiony milczał (...); był już półsztywny z przemrożenia" (tamże, s. 252). Autor tej pasjonującej trylogii góralskiej wspomina swoją działalność przemytniczą i kurierską: „Byłem przemytnikiem, byłem kurierem i przeprowadzałem przez granicę polskich komunistów, a kiedy w moim życiu przestały się dziać rzeczy ciekawe, zacząłem pisać" (cyt. wg W. *Adamieckiego*: Pod Tatrami. Polityka 1969, nr 34, s. 1 i 6).

poza nimi. Niemcy bowiem w tym okresie wzmocnili swoją pozycję, obsadzając Zwierówkę silnym oddziałem strzelców bawarskich i przygotowali wzmocnienia u zbiegu Doliny Łatanej i Doliny Rohackiej. W okolicy schroniska zbudowali bunkry i silne stanowiska ciężkich karabinów maszynowych.

Aby uniknąć spotkania z Niemcami, trzeba było przedzierać się dzikim, niedostępnym i pełnym wykrotów lasem, stokami Salatyńskiego Wierchu. Nad ranem wyprawa dotarła do szałasu. Dr *Bernard* po 60-godzinnym marszu do Zakopanego i 48-godzinnym powrocie do swojego szpitalika z ratownikami zasnął na czas przygotowania partyzantów do transportu. Przede wszystkim nakarmiono i napojono rannych i chorych pensjonariuszy uwięzionych w tym niezwykłym szpitaliku prowiantem przyniesionym na plecach. Następnie zapakowano ich na tobogany; najciężej było lekko rannym, którzy musieli iść samodzielnie z nogami owiniętymi w szmaty. Orszak wyprawy ruszył w powrotną drogę o drugiej nad ranem następnego dnia. Pod osłoną śnieżnej zawieruchy w ogromnym napięciu nerwowym zaryzykowano jedyny z możliwych w tych warunkach przemarsz równoległy do linii niemieckich, przy czym kilkusetmetrowy odcinek drogi był zupełnie odkryty i prowadził zaledwie 200 metrów od stanowiska niemieckiego ckm. Nikt nie wytrzymywał tego napięcia nerwów. Dr *Bernard* zatykał rękawicą usta kaszlącego *Beszetnikowa*, *Byrcyn* dał psu towarzyszącemu wyprawie rękawice do niesienia w pysku, by nie zaszczekał w nieodpowiednim momencie [28].

Wspominając te dramatyczne chwile swojego życia, Stanisław *Marusarz* mówił: „Wtedy, gdzieś w połowie zbocza, już na zupełnie otwartej przestrzeni, ujrzeliśmy w dolinie niemiecki patrol. Było ich trzech na nartach; patrzyli przez lornetkę w naszą stronę. Znajdowali się od nas nie dalej niż 400 metrów. Któryś z partyzantów chciał strzelać, lecz wyrwaliśmy mu karabin z rąk. Przecież gdyby gruchnął choć jeden strzał, bylibyśmy straceni. Wystrzelaliby nas jak zające, byliśmy przecież doskonale widoczni, w dodatku na wywianym do lodu, stromym i pierońsko śliskim stoku, gdzie o ucieczce lub skryciu się nie było mowy. Sądzę, że Niemcy się nas zlękli. Po chwili zjechali prędko w dół. Nie widzieliśmy ich już więcej. Na grani Długiego Upłazu wiedzieliśmy, że sprawa jest wygrana. Wiedzieliśmy, że tę noc spędzimy spokojnie w chałupach, a ranni partyzanci otrzymają troskliwą opiekę w szpitalu. Śmierć, wojna, Niemcy, wszystko to pozostało po tamtej stronie grani” [29].

Ryc. 6. Mgr Zbigniew *Korosadowicz*, wybitny taternik i alpinista, były prezes TOPR, kierownik „akcji na Zwierówce”

Ciężka praca przy przeciąganiu toboganów trwała jeszcze wiele godzin. Jedyną ulgę stanowił zjazd do Doliny Chochołowskiej. Górale-ratownicy podziwiali *Olejnikowa*, który, mimo że przed kilkoma dniami przebył poważną operację, ochoczo pomagał „kulami” w manewrowaniu toboganem. Na Polanie Chochołowskiej czekały już sanie, wysłane przez komendanta Zakopanego. Partyzanci znaleźli opiekę lekarską w szpitalu zakopiańskim.

Kierownik tej dramatycznej wyprawy, mgr Zbigniew *Korosadowicz*, mówił po 24 latach: „Ja tam miałem gorsze chwile, miałem kogo ratować, również moich 14 ludzi. Ryzyko wyprawy było ogromne. To była po prostu bezczelność, ale jako oficer zdawałem sobie sprawę, że tylko to może się udać. Ratownicy mieli do mnie pełne zaufanie. Dlatego się powiodło” [30].

Dr *Bernard* odwiedził Zakopane przed kilku laty i gościł u tatrzańskich ratowników. Wysłano mu pamiątkową fotografię członków Pogotowia. Uczestnicy bohaterskiej wyprawy zostali odznaczeni Krzyżami Zasługi. W dolinie Zuberskiej stoi okolicznościowy pomnik wyprawy, która zaliczono do najcięższych i najniebezpieczniejszych w historii „Błękitnego Krzyża” [31].

W okresie okupacji straciło życie wielu ratowników górskich i narciarzy. W dotychczasowych publikacjach najwięcej nazwisk w tym zakresie zawiera „Lista osób zmarłych, poległych i zamordowanych w latach 1939—1947 ludzi związanych z kulturą i życiem gór polskich” [32]. Tylko 8 osób z tego środowiska można odnaleźć w obszernej, wspomnianej już „Liście strat kultury polskiej” [33]. Ewidencja Komisji Historycznej ZBoWiD w Zakopanem zawiera 34 nazwiska z samego Zakopanego; byli to ludzie młodzi, 19—30-letni [34].

Zamieszczona na końcu artykułu lista ratowników górskich, narciarzy, taterników i działaczy, których tragiczne losy życia skrzyżowały się z obozami koncentracyjnymi lub którzy zginęli tragicznie z rąk okupanta, jest próbą możliwie wyczerpującego wykazu i opiera się nie tylko o źródła już wspomniane, lecz także o informacje zawarte w publikacjach prasowych, materiałach archiwalnych ZBoWiD w Zakopa-

[28] Opis wyprawy jest oparty na informacjach udzielonych autorowi przez niektórych uczestników, między innymi Z. *Korosadowicza*, przy czym uwzględniono pewne wiadomości podane przez J. *Kapeniaka* (zob. przypis 27) i w „Akcji na Zwierówce” (przypis 24).

[29] 21 lat temu. Wspomnienia S. *Marusarza* (powielone w Informacjach i Komunikatach GOPR, nr 2, Zakopane 1966, s. 15—17).

[30] Z rozmowy osobistej autora z Z. *Korosadowiczem* w Zakopanem w dniu 6.III.1969 roku.

[31] T. *Pawłowski*: Ratownictwo górskie. W: Narciarstwo. Zarys encyklopedyczny. Sport i Turystyka, Warszawa 1957, s. 525—529. — Na budynku tzw. Dworca Tatrzańskiego, w którym mieści się Zarząd Główny GOPR i Centralna Stacja Ratownictwa Górskiego w Zakopanem, jest wmurowana tablica z następującym tekstem: „«Człowiek człowiekowi bratem». W dniach 11/12 lutego 1945 roku Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe udzieliło pomocy rannym partyzantom radzieckim, przewożąc ich górami z narażeniem życia przez linię frontu hitlerowskiego z Czechosłowacji do Zakopanego. Tablicę tę umieszczono w 50 rocznicę wielkiej rewolucji październikowej. Zakopane, wrzesień 1967”. Istnieją również pomniki w Kuźnicach („Mieszkańcy Zakopanego ofiarom hitleryzmu”) i w Dolinie Zuberskiej. W związku z 24 rocznicą „akcji na Zwierówce” ukazał się artykuł I. *Bujaka*: Wspomnienia sprzed ćwierć wieku. Wierchy, 1968, s. 282—283. Tamże zdjęcie szałasu-szpitalika, uznanego za obiekt zabytkowy.

[32] Wierchy, 1947, t. 55, s. 1—15.

[33] B. *Olszewicz*: o. c.

[34] A. *Filar*: Pamięci *Czecha* i *Marusarzówny*. Dziennik Polski, 1968, nr 57, s. 3—4.

nem oraz uzyskane w rozmowach osobistych autora na terenie Podhala.

Przynajmniej kilka postaci zasługuje na oddzielne omówienie. Są to Bronisław *Czech*, Helena *Marusarzówna* i Henryk *Bednarski*.

Niepospolite cechy charakteru, wśród których dominowały szlachetna ambicja, skromność, koleżeństwo, uczynność i pracowitość, przyczyniły się do sukcesów Bronisława *Czecha*. Urodzony w Zakopanem w roku 1906 w rodzinie robotniczej, początkowo uczył się zawodu ślusarskiego, a następnie ukończył Szkołę Przemysłu Artystycznego w Zakopanem. Już wówczas wykazał duży talent w malowaniu na szkle i w rzeźbie w drewnie. Później odbył studia w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego w Warszawie i napisał podręcznik narciarstwa wyczynowego wspólnie z Arturem *Kasprzykiem*. Już jako 12-letni chłopiec odniósł wielki sukces sportowy, zostając mistrzem Polski juniorów w biegach narciarskich. Dzięki pracowitości i wytrwałym treningom, mając teoretyczne wykształcenie w tej dziedzinie, osiągał sukcesy, które rozsławiły jego imię na zimowych stadionach ówczesnego świata. Zdobył 14 tytułów mistrzowskich Polski. Kilkadziesiąt razy reprezentował barwy Polski. Uczestniczył w olimpiadzie zimowej w St. Moritz (1928), w Lake Placid (1932), w Garmisch (1936) oraz we wszystkich mistrzostwach świata FIS w latach 1929—1939. Był również świetnym szybownikiem [35]. Jako doskonały taternik i alpinista został w roku 1937 czynnym członkiem TOPR [36].

Działalność ratownicza Bronka *Czecha* w Tatrach była jego kolejną pasja życiową. Kiedy w roku 1939 hitlerowcy wkroczyli do Zakopanego, Bronek *Czech* opowiedział się przeciw faszyzmowi i włączył się do walki podziemnej. Jako polski konkurent niemieckiego trenera narciarskiego, wspomnianego już *Seppa Röhrla*, został aresztowany 14 maja 1940 roku i wywieziony do Tarnowa. Po kilku dniach dokonano nowych masowych aresztowań w Zakopanem. Dnia 14 czerwca 1940 roku z więzienia w Tarnowie przybył transport więźniów do obozu oświecimskiego. Była to jedna z pierwszych grup więźniów tego obozu: w niej znalazł się Bronek *Czech*. Otrzymał niski numer obozowy [37]. Niemcy wysoko cenili sportowe umiejętności i rzadki talent *Czecha*; wielokrotnie usiłowali nakłonić go do współpracy, proponując mu w zamian wolność. Postawa jego była niewzruszona, choć tak łatwo mógł zrealizować swoje obozowe marzenia o górach.

W obozie oświęcimskim Bronek *Czech* spotkał się ze wspomnianym uprzednio narciarzem, tutaj więźniem, Izydorem *Łuszczkiem*. Obaj zostali początkowo przydzieleni do pracy w stolarni przy wyrobie drewnianych butów dla więźniów; ze względu na swoje zdolności zostali przeniesieni do „łyżkarni", gdzie zajmowali się wyrobem drewnianych łyżek. W tym czasie Bronek malował na szkle krokusy i zbójników, demonstrując piękny, zakopiański styl. Jego zdrowy i wysportowany ustrój pozwolił mu przetrwać w obozie przeszło 4 lata.

Wiosną 1944 roku „na Bronka przyszedł okres ciężkiej próby. Codziennie przez cały miesiąc esesmani bili go i kopali (...). Po pewnym czasie umieszczono go w lazarecie obozowym i wskazano miejsce na drugiej półce drewnianego wyrka. W niedzielę 4 czerwca 1944 roku niebo było czyściutkie (...); na placu w pobliżu szpitala grała kapela złożona z więźniów. Bronek leżał na swojej pryczy. Chorobliwie spoconą twarz co chwilę ocierał rękawem pasiaka. W pewnym momencie wychudłe palce kurczowo zacisnęły się na brzegu pryczy i Bronek powoli dźwignął się w górę. Szeroko otwarte oczy kogoś szukały, przyzywały. Bronek bezwładnie przechylił się na lewy bok (...); gdy skończyły brzmieć basy naśladujące góralską kobzę, więzień-kapelmistrz długo patrzył w okna szpitala obozowego. Ale w oknie nie ukazała się uśmiechnięta twarz Bronka. Bronek już nie żył" [38]. Z relacji obozowego towarzysza, Izydora *Łuszczka*, wiadomo, że przesłuchiwany wielokrotnie przez hitlerowców *Czech* kończył uparcie swoje zeznania jednakowo: „Wolę zginąć jako Polak, niż żyć jako zdrajca" [39].

Z Bronkiem *Czechem* kojarzy się nazwisko Heleny *Marusarzówny*. W swojej epoce nie miała ona równych sobie narciarek, szczególnie w konkurencjach alpejskich. Była jedną z pierwszych kobiet-zawodniczek w tej dyscyplinie sportu. „Pierwsze narty dostała także od Kornela *Makuszyńskiego*" [40]. Ze szczególnymi sukcesami jako kobieta pełniła odważną służbę kurierską na trasie Zakopane—Budapeszt. Aresztowana w marcu 1940 roku w Słowacji, przebywała kolejno w więzieniach w Muszynie, w Nowym Sączu, w „Palace", a w końcu w więzieniu w Tarnowie. W więziennym „grypsie" do rodziny we wrześniu 1941 roku więzień Józef *Berestko* pisał: „Helena *Marusarzówna* z Zakopanego w dniu 12 września została rozstrzelana, ale nikomu o tym nie mów, bo skąd wiesz" [41]. Mimo straszliwych tortur nikogo nie zdradziła. Rozstrzelano ją w lesie pod Tarnowem w miejscowości Wola Podgórska.

Ryc. 7. Kamienny pomnik przed Domem Turysty w Zakopanem, przeznaczony pamięci ratowników górskich, którzy polegli w czasie wojny i podczas pełnienia swych obowiązków (fot. Z. *Ryn;* pozostałe zdjęcia z Archiwum GOPR)

[35] S. *Ziemba*: o. c., s. 369.

[36] Księga Przyrzeczeń TOPR Zakopane. Tom I, s. 42 („Przyrzeczenie członka zwyczajnego TOPR, WPana Bronisława *Czecha*, w Zakopanem 3 kwietnia 1937 roku").

[37] Był to nr 349, co potwierdziło Państwowe Muzeum w Oświęcimiu; numer ten podał też W. *Jarzębowski*: Opowiadania o Bronku *Czechu*. Nasza Księgarnia, Warszawa 1957, s. 71; nr 435, który podał A. *Filar* (Przegląd Sportowy 1969, nr 27) jest błędny. Losy obozowe B. *Czecha* uwzględnił między innymi W. *Wnuk* (o. c., s. 189—192) oraz S. *Kłodziński* (zob. Dziś i Jutro, 1947, nr 104; cyt. też W. *Wnuk*, o. c., s. 190).

[38] W. *Jarzębowski*: o. c., s. 71.

[39] A. *Filar*: Pamięci bohaterskich sportowców. Przegląd Sportowy, 1969, nr 27, s. 4.

[40] B. *Tomaszewski*: Tatrzańskie przedwiośnie. Kultura, 1968, nr 15, s. 12.

[41] A. *Filar*: Pamięci *Czecha*..., *l. c.*

Mniej znana jest postać Henryka *Bednarskiego*, który położył wyjątkowe zasługi w działalności TOPR. Choć urodził się daleko od Tatr (w Płocku w roku 1885), życie swe związał z górami i z Zakopanem. Tam ukończył szkołę drzewną i wspólnie z prekursorem polskiego narciarstwa, *Barabaszem*, produkował pierwsze polskie narty, stając się propagatorem tego nowego sportu. Przez 30 lat był czynnym zawodnikiem narciarskim. Jak pisał o nim Kazimierz *Schielle*, „umiejętność jazdy na nartach była u niego niezwykła" [42]. Był jednym z członków-założycieli TOPR (jedenasty na liście). Do roku 1939 wziął udział w 36 wyprawach ratunkowych na terenie Tatr, w tym we wszystkich zaliczanych do najtrudniejszych, między innymi w wyprawie po *Szulakiewicza*, w czasie której zginął Klimek *Bachleda*. Najwspanialszym sukcesem taternickim *Bednarskiego* było zdobycie południowej ściany Zamarłej Turni. Za swoją działalność został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

W latach okupacji dom *Bednarskich* w Zakopanem stał się bazą przejściową na Węgry. Henryk *Bednarski*, oskarżony o działalność konspiracyjną, został aresztowany w roku 1940 w Zakopanem. Po krótkim pobycie w więzieniu w Tarnowie został wywieziony do obozu oświęcimskiego (nr więźnia 67). Pogodny z usposobienia, koleżeński, wytrzymały na trudy, przetrwał w obozie do końca, dodając ducha innym. Ze względu na siwą czuprynę nazywano go popularnie „Dziadkiem". Wyzwolenie zastało go w obozie w Dachau. Zmarł wkrótce po oswobodzeniu w amerykańskim szpitalu polowym w Trauenstein w Bawarii.

Poniższa lista dotyczy ratowników górskich, narciarzy i działaczy, którzy zginęli w latach okupacji w obozach koncentracyjnych. Podano tylko imiona i nazwiska tych osób, o których albo wzmiankowano w tekście artykułu, albo nie udało się zebrać informacji.

Adam *Bachleda-Curuś*. — Eugeniusz *Bachleda-Curuś*. — Stanisław *Bartkowski*. — Leopold *Bednarczyk* (lekarz z Cichego, regionalista podhalański, zmarł w obozie oświęcimskim w roku 1942, nr obozowy 331). — Władysław *Berych*. — Tadeusz *Bernadzikiewicz* (taternik, ekonomista, publicysta). — Kazimierz *Bigosz*. — Stanisław *Chotarski*. — Józef *Chramiec*. — Bolesław *Chramiec*. — Tadeusz *Ciesielski* (taternik, inżynier leśnik, zginął w obozie oświęcimskim). — Michał *Cieślar*. — Bronisław *Czech*. — Józef *Drobisz*. — Adam *Dziadulski*. — Jan *Dziedzic* (urodzony w roku 1881, działacz spisko-orawski, zginął w obozie Mauthausen 12 lipca 1941 roku). — Jan *Fischer* (urodzony w roku 1875, wybitny taternik i narciarz, działacz PTT, zginął w obozie oświęcimskim). — Dr Henryk *Fiuk* (taternik i członek Klubu Wysokogórskiego, zginął w obozie oświęcimskim w roku 1944). — Jan *Gadomski*. — Aniela *Gąsienica-Fronek*. — Daniel *Gąsienica-Fronek*. — Józef *Gąsienica*. — Józef *Gąsienica Tomkowy* (urodzony w roku 1887, jeden z najwybitniejszych przewodników tatrzańskich, rozstrzelany przez Niemców w Poroninie). — Józef *Gnojek*. — Kazimierz *Gostawski* (taternik, prezes Krakowskiego Koła Klubu Wysokogórskiego, zmarł z wyczerpania w Tatrach w drodze na Węgry). — Stanisław *Gut*. — Jan *Halama*. — Julian *Hoły*. — Hugo *Karwowski*. — Artur *Kasprzyk*. — Feliks *Klaper*. — Piotr *Kolesar*. — Aneta *Konopczyńska* (urodzona w roku 1923 w Warszawie, wybitna turystka górska, aresztowana za pracę konspiracyjną, zamordowana na Pawiaku w Warszawie dnia 10 maja 1943 roku). — Marian *Kozik*. — Apolinary *Kulig*. — Romuald *Kulig*. — Bolesław *Kupiec*. — Józef *Kupiec*. — Karol *Kupiec*. — Jan *Legierski*. — Józef *Legierski*. — Mieczysław *Lerski* (urodzony we Lwowie w roku 1881, taternik i narciarz, jeden z pionierów narciarstwa w Polsce i założyciel Komisji Turystyki Narciarskiej we Lwowie, członek Klubu Wysokogórskiego i PTT; zginął wywieziony do Niemiec po powstaniu warszawskim). — Jan *Lipowczan*. — Izydor *Łuszczek*. — Józef *Łuszczek*. — Władysław *Majer*. — Stefan *Mayer* (urodzony w roku 1888, inżynier architekt, współpracownik PTT w zakresie budownictwa schroniskowego; zamordowany przez Niemców w obozie oświęcimskim w dniu 26 marca 1943 roku). — Mieczysław *Mączyński* (wieloletni prezes PTT, działacz na polu turystyki w Beskidach, zamordowany przez Niemców w obozie Mauthausen w roku 1940, prawdopodobnie 4 listopada). — Helena *Marusarzówna*. — Jan *Mika* (działacz ludowy na Orawie, zginął w Oświęcimiu w roku 1941). — Franciszek *Motyka*. — Leonard *Motyka*. — Stanisław *Motyka*. — Franciszek *Mrowca*. — Edward *Nowacki*. — Jan *Nowak* (urodzony w roku 1880, geolog, profesor UJ, autor licznych prac o Karpatach, zmarł wskutek pobytu w obozie Sachsenhausen 14 lutego 1940 roku). — Józef *Oppenheim*. — Wiktor *Ormicki* (urodzony w roku 1898, geograf, docent UJ, badacz Tatr, zginął w obozie koncentracyjnym Mauthausen 17 września 1941 roku). — Jerzy *Panek* (taternik, członek Klubu Wysokogórskiego i PTT, więzień polityczny, zamordowany przez gestapo jako zakładnik w Warszawie w styczniu 1944 roku). — Józef *Panek*. — Wojciech *Panek*. — Eugeniusz *Parczewski* (urodzony około roku 1870 w Poznaniu, lekarz, członek PTT i wybitny turysta; aresztowany i wywieziony do Niemiec w roku 1943, zmarł w jednym z obozów w roku 1945). — Aleksander *Patkowski* (urodzony w roku 1890, wiceprezes i czołowy działacz Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, redaktor „Ziemi"; zamordowany w obozie oświęcimskim 22 marca 1942 roku). — Rudolf *Pilch*. — Stefan *Plater-Zyberk* (fotografik, pejzażysta górski, zginął w obozie oświęcimskim w r. 1944). — Henryk *Poddębski* (urodzony około 1890 roku w Pilicy, członek PTT i PTK, fotografik, krajoznawca; wywieziony do Niemiec, zmarł w jednym z obozów w lutym 1945 roku). — Adam *Przybylski*. — Tadeusz *Ramza*. — Jan *Rubczak* (urodzony w roku 1884, pejzażysta Tatr i Pienin, wybitny malarz, zastrzelony w obozie oświęcimskim 27 maja 1942 roku). — Zenon *Rudnicki* (taternik, członek Klubu Wysokogórskiego i PTT, zamordowany w Oświęcimiu w roku 1943). — Henryk *Schabenbeck*. — Michał *Siedlecki* (urodzony w roku 1873, dr filozofii, zoolog, profesor UJ, taternik, wybitny działacz ochrony przyrody; zamordowany przez Niemców w obozie Sachsenhausen 11 lutego 1940 roku). — Jerzy *Smoleński* (urodzony w roku 1881, turysta, współpracownik PTT, geograf, profesor UJ, autor prac o Karpatach; zginął w obozie Sachsenhausen 4 stycznia 1940 roku). — Józef *Stopka*. — Tadeusz *Szantroch* (urodzony w roku 1888, poeta z grupy „Czartaka", zginął w Oświęcimiu w marcu 1940 roku). — Władysław *Szczepaniak*. — Emil *Szotkowski*. — Jan *Śnieżek*. — Bogdan *Świderski* (urodzony w roku 1892, geolog, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, badacz Karpat, autor prac o geologii Karpat i Tatr; zmarł w Warszawie 22 lutego 1943 roku po powrocie z obozu w Oświęcimiu). — Józef *Wajdzik*. — Jan *Wawrzacz*. — Adam *Wisłocki* (urodzony w roku 1885 na Polesiu, wybitny działacz turystyczny, działacz zarządu AKT we Lwowie; zamordowany w obozie Mauthausen w kwietniu 1943 roku). — Jan *Włodek* (urodzony w roku 1885, członek Zarządu Głównego PTT, profesor UJ; zmarł w Krakowie po pobycie w obozie Sachsenhausen). — Marian *Zając*. — Mariusz *Zaruski*. — Władysław *Ziętkiewicz*. — Tadeusz *Boy-Żeleński* (urodzony w roku 1874, pisarz, taternik; zamordowany przez Niemców we Lwowie 4 lipca 1942 roku). — Stanisław *Żytkiewicz*.

Wymienieni w wykazie oddali swe życie w walce o Polskę z daleka od gór, które umiłowali. Uprzednio narażali się na śmierć w górach, nie przeczuwając, jaki los spotka ich później, podczas okupacji hitlerowskiej. Ludzie „Błękitnego Krzyża", powołani do ratowania ludzkiego życia w niebezpieczeństwach górskich, oddawali swoje życie podczas okupacji po to, aby inni mogli nadal ratować w górach.

[42] Wg maszynopisu K. *Sałygi*, przygotowanego do monografii GOPR. Autorce należy się serdeczne podziękowanie za udostępnienie zdjęć i materiałów z archiwum GOPR w Zakopanem, jak również za konsultacje między innymi dotyczące H. *Bednarskiego*.

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

KAZIMIERZ FRĄCKOWSKI
były więzień Fortu VII w Toruniu oraz obozów koncentracyjnych w Stutthofie i Oranienburgu-Sachsenhausen nr 35997

Słupsk

Pomorze w cieniu swastyki

Staraniem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich oraz Zarządu Okręgu ZBoWiD w Bydgoszczy odbyła się w dniu 25 marca 1969 roku w Toruniu publiczna konferencja prasowa na temat zbrodni hitlerowskich popełnionych w toruńskim Forcie VII oraz w lasach Barbarki pod Toruniem. W czasie konferencji złożyli zeznania liczni świadkowie, byli więźniowie Fortu VII i świadkowie egzekucji w lesie Barbarki. Ujawniono również dokumenty oraz zdjęcia przedstawiające ofiary zbrodni hitlerowskich i ich sprawców, którymi byli członkowie *SS, SD* i *Selbstschutz.*

Niniejszy artykuł jest wprowadzeniem w zagadnienia wiążące się z martyrologią ziem Pomorza i z procesami eksterminacyjnymi na ludności tam zamieszkałej w chwili wybuchu wojny w roku 1939. Weryfikacja prawdy historycznej pozwoliła na przyczynowe związanie tych zbrodni z działalnością organizacji *Selbstschutz Danzig-Westpreussen.* Nie po raz pierwszy zresztą w naszym piśmiennictwie poruszamy tutaj te sprawy; wymagają one jednak zebrania podstawowych wiadomości.

Badającego działalność *Selbstchutzu* na Pomorzu uderzają pewne zestawienia dat i wydarzeń, które trudno uznać za przypadkowe. Historycy badający dzieje kampanii wrześniowej są na ogół zgodni co do tego, że wypowiedź *Hitlera* wobec zgromadzonych dowódców *Wehrmachtu* w dniu 22 sierpnia 1939 roku o wysyłaniu na wschód *Totenkopfverbandów* z poleceniem zabijania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej narodowości i mowy odnosiła się do planowanej działalności grup operacyjnych (*Einsatzgruppen*) Policji Bezpieczeństwa (*SD*) i *SS*, które wchodząc w skład poszczególnych grup armii napastniczych, realizowały od pierwszych dni wojny postawione przed nimi zadanie likwidowania elementu polskiego na terenach zajmowanych przez *Wehrmacht.*

Pomorze, leżące na kierunku działania IV armii generała artylerii *von Klugego*, zapoznało się bezpośrednio z działalnością *IV Einsatzgruppe*, kierowanej przez *Beutla.* Wobec sformowania przy dowództwach armii zarządów cywilnych dla okupowanych terenów *Einsatzgruppe* musiała z konieczności utrzymywać z nimi ścisły kontakt. Szefem zarządu cywilnego przy gen. *von Klugem (Chef der Zivilverwaltung*) był *gauleiter* Albert *Forster,* a jego zastępcą *von Huth.*

Einsatzgruppen dzieliły się na mniejsze jednostki, tzw. *Einsatzkommanda,* których liczebność określa się na 200—300 osób każdą. Zależnie od wielkości i rodzaju postawionych zadań poszczególne *Einsatzgruppen* dzieliły się na 2—4 *einsatzkommanda,* które posuwając się bezpośrednio za wkraczającymi armiami dokonywały aresztowań i rozstrzeliwań osób uznanych za niebezpieczne dla interesów hitlerowskich. Przede wszystkim dotyczyło to Żydów, aktywnej politycznie inteligencji, nauczycieli, duchowieństwa, politycznie zaangażowanych ziemian oraz członków związków zawodowych, Polskiego Związku Zachodniego i podobnych organizacji, nie zawsze nawet mających ściśle polityczny charakter. Wśród tych warstw narodu polskiego eksterminacji podlegali także oczywiście lekarze i inni pracownicy służby zdrowia.

Po zajęciu określonych terenów *einsatzkommanda* wydzielały i pozostawiały w większych miejscowościach niewielkie stany osobowe jako zawiązki przyszłych urzędów gestapo, *Sipo, SD* i *SS.* Było oczywiste, że te zawiązki nie wystarczały do samodzielnego wykonywania postawionych im zadań. Szybki i pomyślny dla armii hitlerowskiej rozwój wydarzeń już w pierwszych dniach kampanii wrześniowej stworzył możliwość rozszerzenia akcji likwidowania wybranych grup Polaków i Żydów na zajmowanych terenach. Jednocześnie szybki marsz tych armii na wschód powodował swego rodzaju próżnię pod względem policyjnym między granicami Rzeszy a walczącymi armiami. Próżnię tę należało wypełnić.

12 września 1939 roku odbyła się więc w kwaterze *Hitlera,* mieszczącej się w pociągu pancernym, konferencja z udziałem gen. Wilhelma *Keitla,* szefa Naczelnego Dowództwa *Wehrmachtu* oraz hitlerowskiego ministra spraw zagranicznych, Joachima *Ribbentropa* i szefa wywiadu wojskowego (*Abwehry*), admirała *Canarisa,* na której omawiano planowe masowe rozstrzeliwania Polaków (zwłaszcza zaangażowanych politycznie) i Żydów [1].

Tego samego dnia z pociągu specjalnego „Heinrich", w którym urzędował szef *SS* i Policji, *Heinrich Himmler,* wysłano do *SS-gruppenführera Schmitta* z Głównego Urzędu Personalnego *SS* w Berlinie dalekopis o następującej treści: „*SS-oberführer von Alvensleben* opuści prawdopodobnie dziś Główną Kwaterę *Führera* i uda się do Berlina, aby na podstawie bezpośrednich i wyraźnych wskazówek *Reichsführera* SS rozpocząć pracę wśród *volksdeutschów* celem stworzenia odcinka werbowniczego (*Werbeabschnitt*), podobnie jak swego

[1] T. *Cyprian, J. Sawicki:* Sprawy Polski w procesie norymberskim. Poznań 1956, s. 53.

czasu w Sudetach. Z polecenia: *Schellenberg, SS-hauptsturmführer*" [2]. Dalekopis ten jest bardzo oszczędny w słowa. Cel podróży *Alvenslebena* do Berlina, a — jak się to wkrótce okaże — dalej na wschód, jest określony jako rozpoczęcie pracy nad utworzeniem odcinka werbowniczego wśród *volksdeutschów*, jak przedtem w Sudetach. („*Um auf Grund direkter, eingehender Informationen des Reichsführers SS im Volksdeutschen Gebiet mit der Aufstellung eines Werbeabschnittes — wie seinerzeit im Sudetenland — zu beginnen*") [3].

Nieco jasności wprowadza jednak powołanie się na przykład Sudetów. W roku 1938 organizacja Niemców sudeckich *Freikorps* (*Freiwilliger Selbstschutz*) spełniała natychmiast po wkroczeniu *Wehrmachtu* i otrzymaniu od niego broni funkcje policyjne wśród swoich współziomków. Organizacyjnie sudecki *Selbstschutz* był podporządkowany *Reichsführerowi SS* i stanowił bazę werbunkową do *SS*. We wrześniu 1939 roku podobną rolę przy utrzymaniu wypróbowanych w Sudetach więzi organizacyjnych i drogi rozkazodawczej miał spełnić *Selbstschutz*, tworzony między innymi przez *Ludolfa Alvenslebena* na ziemiach Polski.

Jeszcze jedna data zwraca uwagę. Zarządzeniem z 12 września 1939 roku naczelny dowódca armii lądowej walczącej w Polsce, *von Brauchitsch* ogłosił tereny leżące na zachód od Sanu, na zachód od środkowego biegu Wisły i na północ od Narwi za nie objęte już działaniami wojennymi. W związku z tym zarządził na wymienionym terenie pod groza śmierci obowiązek zdawania w ciągu 24 godzin wszelkiej broni i materiałów wojskowych do odpowiednich placówek wojska i policji. Do wydawania wyroków śmierci zostały upoważnione sądy doraźne składające sie z oficera o funkcji dowódcy pułku lub odpowiedniej i dwóch innych żołnierzy.

Zestawienie dat jest co najmniej znamienne. Dnia 12 września 1939 roku mimo trwania przecież w dalszym ciągu wojny został stworzony pretekst do karania śmiercią każdego posiadającego na wymienionym terenie broń, amunicje lub jakikolwiek inny sprzęt wojskowy (*Kriegsgerät*). Wprowadzono również uproszczony sposób wykonywania wyroków i wyrokowania przez wprowadzenie sądów doraźnych. Jednocześnie, również 12 września 1939 roku, rozpoczeto tworzenie masowego aparatu policyjnego, złożonego z ludzi doskonale znających stosunki i środowisko polskie, bo w nim od lat żyjących, a jednocześnie podjudzanych do mordów przez hitlerowską propagandę nienawiści.

Powstający *Selbstschutz* zyskiwał od razu teren i podstawę prawną działania. Ale i ten etap działania, organizowania likwidacji elementu polskiego na terenach, które miały być włączone do hitlerowskiej Rzeszy, uznano za nie wystarczający. Dyrektywa *Hitlera* dotycząca zdobycia „terenów życiowych" (*Lebensraumu*) za pomocą wymordowania jego poprzednich mieszkańców nie mogła być realizowana przez rozstrzeliwanie poszczególnych osób nawet przez wojskowe sądy doraźne. Należało stworzyć taką organizację niszczenia, która umożliwiałaby likwidację całych grup ludności. Dyrektywa *Hitlera* zakładała wymordowanie dziesiątków i setek tysięcy. Jednocześnie z opróżnianiem tym sposobem miejsca dla *herrenvolku* należało ocalić dla hitlerowskich Niemiec elementy spolonizowane, w których jednak płynęła niemiecka krew. Wobec takich założeń akcja ta miała być przekazana do wykonania organizacji, która dysponowałaby dobrą znajomością miejscowych stosunków.

Jednostki *Wehrmachtu* wraz z towarzyszącymi im grupami organizacyjnymi były w ciągłym ruchu. Mogły przeprowadzić jedną lub drugą akcję, ale nie mogły tych akcji wykonywać przez dłuższy czas. Dysponując możliwością rozstrzeliwania, nie posiadały właściwego rozeznania i nie stanowiły elementu stałego oddziaływania.

W dniu 21 września 1939 roku odbyła się w Berlinie konferencja, na którą zaproszono wszystkich dowódców grup operacyjnych policji bezpieczeństwa i *SD*, działających przy poszczególnych armiach. Na tej konferencji ustalono sposób postępowania wobec elementu polskiego na terenach zdobytych przez *Wehrmacht*. W myśl tych dyrektyw grupa przywódców politycznych miała zostać unieszkodliwiona, a reszta ludności wysiedlona. Tendencja do przeprowadzenia całej tej akcji jak najszybciej w okresie dużych ruchów ludności, związanych z działaniami wojennymi, wypływała z chęci jej zamaskowania. W czasie wojny ponosi się przecież śmierć z różnych powodów, często niejasnych. Rodzinom osób mordowanych jeszcze w listopadzie i grudniu 1939 roku nieraz wydawano zaświadczenia (robili to również członkowie *Selbstschutzu*) o śmierci osoby bliskiej jako „ofiary wojny".

Wszystkie te fakty wskazywały, że po zdobyciu terenu wykonawca zasadniczej dyrektywy *Hitlera* o fizycznym zniszczeniu przeciwnika, czyli *Wehrmacht*, mógł być tylko pomocniczy. Zasadniczą „pracę" musiał wykonać ktoś inny, właśnie *Selbstschutz*. Nic więc dziwnego, że pod tą samą datą 21 września 1939 roku *Brauchitsch* wydał uzupełnienie do swojego rozporządzenia z 12 września 1939 roku o posiadaniu broni. W tym uzupełniającym rozporządzeniu stwierdza się, że przewidziany w rozporządzeniu z 12 września 1939 roku sąd doraźny może się również składać z komendanta pułku policji albo batalionu policji, dowódcy komendy operacyjnej (*Einsatzkommando*) gestapo i dwóch innych członków tej organizacji. Dalej zarządzenie to nakazywało ustalenie na piśmie następujących informacji: nazwiska skazanego, opisu czynu karalnego, daty i miejsca wydania i wykonania wyroku oraz nazwiska osób działających jako sędziów. Dowódcy

---

[2] Fotokopia dalekopisu. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. X, s. 34.

[3] Tamże.

armii i dowódcy okręgów wojskowych mogli zarządzać w razie uznania tego za konieczne kontrolę wyroków policyjnego sądu doraźnego przez sąd policyjny wyższego rzędu.

Od tej chwili zostały stworzone podstawy organizacyjne masowego likwidowania na terenach stanowiących „obszar życiowy" hitlerowskiej Rzeszy elementów niepożądanych, a więc Polaków i Żydów [4]. Pozostało tylko wykonanie. Było ono już oczywiście rozpoczęte przez grupy operacyjne policji bezpieczeństwa i przez dowódców wojskowych zarówno oddziałów frontowych, jak i obszarów tyłowych poszczególnych armii i nie tylko wobec ludności cywilnej. Nasycona hitlerowskim duchem armia mimo pozornej pogardy dla policjantów i esesmanów włączała się bez protestów do policyjnych akcji skierowanych przeciwko bezbronnej ludności, która w niczym nie zagrażała wówczas bezpieczeństwu walczącej armii [5].

Również działalność miejscowych *volksdeutschów*, zwłaszcza bardziej czynnych politycznie w okresie przedwojennym, wyprzedzała rozwiązania generalne. Przedwojenni członkowie *„Deutsche Vereinigung"* i w stopniu jeszcze pełniejszym *„Jungdeutsche Partei"* byli niejednokrotnie legalnymi przedstawicielami nielegalnej *„Ausslandorganisation der NSDAP"*, którą kierował zastępca *führera* Rudolf *Hess*. Wielu z nich nieraz przebywało w Rzeszy, bądź też na terenie ówczesnego Wolnego Miasta Gdańska, gdzie przechodziło intensywne szkolenie polityczne i wojskowe, spełniając jednocześnie określone zadania wywiadowcze. Niemcy mieszkający w Polsce, jak np. dr *Kohnert* z Torunia, *Ludolf v. Alvensleben* z Płutowa, czy *Ehwald von Kriess* ze Sławkowa byli przeszkolonymi oficerami *SS* i doskonale znali zamierzenia centralnej władzy hitlerowskiej w stosunku do ich współobywateli polskiego pochodzenia. Nic też dziwnego, że ustalenie oficjalnego początku działalności *Selbstschutzu* natrafiało na trudności. Granica czasowa między działalnością miejscowych Niemców na rzecz grup operacyjnych a działalnością już w ramach *Selbstschutzu* jest płynna.

Oficjalny dowódca tej organizacji na Pomorzu, *Ludolf v. Alvensleben*, wyjechał z głównej kwatery *Hitlera* 12 września 1939 roku, aby drogą przez Berlin i Gdańsk dotrzeć do Bydgoszczy. Jak wynika z pisma przywódcy *Selbstschutzu* na miasto i powiat Toruń, *SS-sturmbannführera Zaporowitza*, z dnia 18 września 1939 roku, do nadburmistrza miasta Torunia, został on mianowany na to stanowisko przez *SS-oberführera v. Alvenslebena*, który przebywał przy ul. Wyspiańskiego nr 8 w Bydgoszczy [6]. Wolno zatem przyjąć, że *Alvensleben* musiał przybyć do Bydgoszczy już dzień lub dwa dni przedtem. Jednak Rudolf *Preuss, stadtführer Selbstschutzu* w Toruniu, w piśmie z dnia 20 października 1939 roku do nadburmistrza Torunia, *Jakoba*, podał datę sformowania przez siebie *Selbstchutzu* w tym mieście na 8 września 1939 roku [7].

Nie neguje się możliwości powstania organizacji miejscowych *volksdeutschów* pod egidą komendy operacyjnej gestapo, działającej przy jakiejś jednostce armijnej przechodzącej przez Toruń w dniu wskazanym przez *Preussa*, powstanie „regularnego" *Selbstschutzu* wypadnie nam jednak łączyć z datą pojawienia się w Bydgoszczy *Ludolfa v. Alvenslebena*, a więc około 15 września 1939 roku. Wniosek jest o tyle słuszny, że również w dniu 15 września 1939 roku ukazała się w gazecie *„Deutsche Rundschau"* (nr 207) odezwa dowódcy sztabu *SS* do wszystkich mężczyzn-*volksdeutschów*. Odezwa ta została zaadresowana jako wezwanie: *„Selbstschutz in ganzen Westpreussen. Aufruf an alle volksdeutsche Männer"* (*Selbstschutz* na całym terenie Prus Zachodnich. Wezwanie do wszystkich mężczyzn-*volksdeutschów*). Tę datę zatem należy przyjąć jako oficjalny początek działalności *Selbstschutzu*.

Pismem z dnia 20 września 1939 roku nr 0—Kdo P. I. (Ia) 389/39 *reichsführer SS* i szef niemieckiej policji, *Himmler*, polecił szefowi urzędu uzupełnień *SS*, *SS-brigadeführerowi Bergerowi* organizować utworzony *Selbstschutz* w charakterze organizacji policyjnej i w tym zakresie podporządkować go szefowi policji porządkowej (*Schutzpolizei*). Jednocześnie jednak na terenach działalności *Selbstschutzu* powołano do życia odcinki werbownicze *SS*, które zajmowały się werbowaniem do *SS* ludzi przydatnych spośród członków *Selbstschutzu*. Na czele rejonu werbowniczego *SS*, do którego należała Bydgoszcz, stał również *Ludolf v. Alvensleben*. Tak więc zgodnie z wzorami sudeckimi z roku 1938 i tutaj *Selbstschutz* wystąpił w podwójnej roli organu pomocniczego dla policji i bazy werbunkowej do *SS*.

„Selbstschutz Danzig-Westpreussen" dzielił się organizacyjnie na 6 inspektoratów. Każdy inspektorat łączył w sobie 3—4 powiaty. Powiat toruński łącznie z miastem Toruniem i powiatami Lipno, Wąbrzeźno i Chełmno wchodził w skład inspektoratu nr II z siedzibą w Płutowie. Inspektorom podlegali powiatowi przywódcy *Selbstschutzu* (*Kreisführer*), a tym z kolei przywódcy miejscowi (*Ortsführer*). Inspektorami *Selbstschutzu* byli esesmani w stopniach oficerskich, przeważnie przybyli z Rzeszy. Zdarzały się jednak wyjątki od tej zasady, zwłaszcza tam, gdzie na miejscu znaleźli się odpowiedni ludzie. Umiejscowienie siedziby inspektoratu nr II w majątku Płutowo, stanowiącym własność pomorskiej gałęzi rodu *Alvenslebenów*, zdaje się wskazywać na to, że jeden z członków tej rodziny był inspektorem *Selbstschutzu* na powiaty Toruń, Chełmno, Wąbrzeźno i Lipno. Powiatowym przywódcą *Selbstschutzu* był *sturmbannführer SS Zapo-*

---

[4] Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego. Warszawa 1964, nr 46, s. 68—73.

[5] *Documenta occupationis*, t. V, s. 47.

[6] Archiwum miejskie w Toruniu.

[7] Tamże, sygn. 375.

rowitz, a miejscowym przywódcą na miasto Toruń (*Ortsführer*) *Rudolf Preuss*. *Selbstschutz* toruński dzielił się nadto na plutony (*Zug*), z których każdy miał swego dowódcę.

W zeznaniach byłych więźniów Fortu VII w Toruniu nazwisko *Alvenslebena* przewija się się często jako wizytującego to więzienie w asyście podwładnych. Mściwość *Ludolfa v. Alvenslebena* z Płutowa okazała się dowodnie, gdy spotkał w Forcie VII w Toruniu wśród uwięzionych adwokata dra *Ossowskiego*, który przed wojną występował jako rzecznik strony przeciwnej w procesie przeciw *Alvenslebenowi*. Powitał go szyderczo, a wkrótce po tym spotkaniu dr *Ossowski* został wywieziony z Fortu do lasów Barbarki i tam rozstrzelany.

Wartość *Selbstschutzu* dla hitlerowskiej machiny okupacyjnej nie polegała na jego zwartości i dyscyplinie, ani też na fachowym przygotowaniu policyjnym. Zdobyto je dopiero w toku „pracy". Byli to jednak nie zastąpieni ludzie, znający teren i środowisko. Żyjący wśród Polaków jako rzemieślnicy, kupcy, drobni urzędnicy, doskonale znali swoich klientów, sąsiadów i znajomych. Przepojeni hitlerowską propagandą, a jednocześnie zachłanni na wszelkie dobra materialne, bez najmniejszego wahania wydawali na śmierć lub sami ją zadawali w celu zajęcia sklepu przy głównej ulicy lub lepiej wyposażonego mieszkania. Unicestwianie całych rodzin dla zdobycia mebli „na wysoki połysk" było również przejawem faszyzmu. Oczywiście członkowie *Selbstschutzu* nawet tego wyższego, wodzowskiego już szczebla, byli tylko wykonawcami ogólnego programu eksterminacji. Spełniając zdradziecką rolę w społeczeństwie, w którym dotychczas żyli i stając się zwykłymi mordercami, ci krawcy, szewcy, grabarze cmentarni, rzeźnicy i stolarze wykonywali, prawda, że chętnie, zadania, jakie im stawiały do wykonania hitlerowskie władze.

Ryc. 1. Oficerowie *Wehrmachtu* wyspecjalizowali się w likwidowaniu strzałem w tył głowy żołnierzy podbitych armii zajmowanych przez siebie krajów

Na czele władz miejskich stał w Toruniu *SA-standartenführer Franz Jakob*, pełniący jednocześnie funkcję *kreisleitera NSDAP*. Ten wypróbowany przyjaciel Alberta *Forstera*, namiestnika Gdańska i „Prus Zachodnich", jeszcze z bawarskiego miasta Fürth, zażarty hitlerowiec i wróg polskości z fanatyczną zaciekłością realizował linię postępowania swego wodza i przyjaciela. Wojskowym komendantem miasta był generał-major *Kluttman*. Dyrektorem Policji był od 16 września do 11 października 1939 roku *SS-oberführer Schulz-Sembten*, a od 11 października 1939 roku *SS-sturmbannführer Otto Weberstedt*, urzędujący w dawnym gmachu województwa.

Gestapo reprezentował radca kryminalny *Hohmann* ze swoim zastępcą, starszym sekretarzem kryminalnym *Sobotką*, w budynku przy ul. Bydgoskiej nr 39. W tym samym budynku urzędował szef *Sicherheitsdienstu, SS-sturmbannführer Böhm*. Do 26 października 1939 roku urzędowała w Toruniu „Komisja Specjalna *SS*" (*Sonderkomission des Chefs der Sicherheitspolizei*), na której czele stał *SS-obersturmführer* i *kriminal-komissar Wilhelm Rehfeldt*. Ten sam *Rehfeldt*, przeniesiony później do *RSHA* (*Reichssicherheitshauptamt*) w Berlinie, a więc do centrali gestapo, zyskał sobie przydomek *„Blutvikar"* (krwawy wikary). Był on znany z nienawiści do kleru i kościoła katolickiego. Za powiat toruński odpowiadał *landrat* dr *Kipke*, a jego następcą został od 27 listopada 1939 roku *Böse*. Wymienieni byli czołówką ludzi odpowiedzialnych za to, co działo się w Toruniu i w jego okolicach we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu 1939 roku. Formalnie oczywiście w tym pierwszym okresie władza należała do dnia 26 października do *Wehrmachtu* i jego przedstawicieli, a władze cywilne, w tym również i policyjne wchodziły w skład tak zwanego „zarządu cywilnego" przy poszczególnych dowództwach wojskowych.

Od 26 października 1939 roku, a więc od dnia wejścia w życie dekretu *Hitlera* o przyłączeniu zachodnich ziem Polski do hitlerowskiej Rzeszy, w tym Pomorza do tzw. *Gau-Danzig-Westpreussen* z Albertem *Forsterem* na czele, rola *Wehrmachtu* w sprawach administracyjnych i policyjnych znacznie zmalała. Natomiast wzrosła rola policji i *SS*. Uwielokrotniła się również działalność *Selbstschutzu*. Jego członkowie byli wykonawcami wyroków ferowanych przez *Sonderkomission* w stosunku do poszczególnych osób i całych grup ludności polskiej. Nienawiść do wszystkiego, co polskie, stanowiła dostateczny pretekst, by każdego z Polaków można było postawić w stan oskarżenia. Zaczął się więc bez precedensu w historii zorganizowany proces ludobójczy i eksterminacyjny na ludności polskiej od pierwszych dni wojny aż do jej zakończenia. Zorganizowanie *Selbstschutzu* umożliwiło nadanie tym represjom charakteru masowego.

Ustalenia toruńskiej delegatury Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy wskazują ponad wszelką wątpliwość na akcję masową, centralnie kierowaną, która miała na celu aresztowania jak największej liczby mieszkańców Torunia i sąsiednich, wymienionych powiatów, zarówno mężczyzn, jak też kobiet i młodzieży, by po poddaniu ich wszelkiego rodzaju męczarniom doprowadzić do ich fizycznej likwidacji. Zasadą tą kierowano się w stosunku do całej ludności polskiej zamieszkującej Pomorze, o czym świadczą zebrane materiały dowodowe, przesłuchania świadków i masowe groby, do obecnej chwili jeszcze wykrywane i odnajdywane na tej ziemi.

Ryc. 2. Znamiennym przykładem zbrodni hitlerowskich jest egzekucja na żołnierzu-partyzancie z jugosłowiańskich oddziałów wyzwoleńczych *Josipa Broz-Tity*. Ścinaniem głów toporem wsławiły się oddziały *SS* grasujące w okupowanej Jugosławii

Naszym obowiązkiem jest prawdy te odkrywać i ujawniać. Dlatego wracamy do tych tragicznych dni Torunia, Bydgoszczy, Piaśnicy, Karolewa, lasów Barbarki i Szpęgawska [8], Kocborowa [9], Chojnic, Koronowa, Tucholi i wielu, wielu tamtejszych miejsc pamięci narodowej. Zbieramy tę dokumentację po to, aby nie dopuścić do utrwalenia się w świadomości ludzi tych czasów nie znających kłamstw płynących z NRF o misji dziejowej Niemiec na Wschodzie i o złych, mających zbrodnicze instynkty Polakach, którzy się rzekomo sami mordowali, a przy okazji wymordowali też i Żydów, czemu „dobroduszni" i „przyjacielsko nastrojeni" esesmani nie zdołali się sprzeciwić. Naszą — prześladowanych przez *Selbstschutz* byłych więźniów, niewielu jeszcze żyjących naocznych świadków tamtych dni — rzeczą jest przekazać młodszym pokoleniom prawdę o zbrodniach poszczególnych członków *Selbstschutzu*, *SS* i *SD* i ukazywać zbrodniczość systemu, który nimi kierował. Sprawa dotyczy nie tylko zbrodni dokonanych, lecz także ostrzeżenia na przyszłość. Zbrodnie hitlerowskie, w których brał udział także wybielany obecnie w NRF *Wehrmacht* (ryc. 1), działy się nie tylko w Polsce (ryc. 2), a odradzanie się faszyzmu niesie groźbę ich ponowienia.

*

W związku z opracowywaniem niniejszego artykułu autor otrzymał od lek. Józefa *Czyżaka*, chirurga ze Słupska, następujące pismo:

„Potwierdzając prawdziwość informacji dotyczących eksterminacyjnego działania gestapo w pierwszych miesiącach okupacji w Toruniu (wrzesień—październik 1939 roku), przedstawiam oświadczenie mojej matki, Marii *Czyżakowej*, dotyczące stosowania sankcji wywłaszczeniowych z mieszkań obywateli toruńskich i skazywania ich na śmierć bez sądu i wyroku dlatego tylko, że byli Polakami, że należeli do grupy inteligencji polskiej na tym terenie i wreszcie dlatego, że zaborczość w stosunku do mienia Polaków i ferowanie wyrokami śmierci wiąże się w tym przypadku z chęcią zysku. Dokonano mordu na Polaku z poręki lekarza — Niemca, dra *Neumayera* z Gdańska, po to, by zająć mieszkanie i gabinet lekarskiej praktyki".

Maria *Czyżakowa* złożyła następujące oświadczenie w sprawie aresztowania przez gestapo w Toruniu w październiku 1939 roku jej męża, dra med. Józefa *Czyżaka*, specjalisty w zakresie ginekologii i położnictwa:

„Mąż mój jako lekarz specjalista położnik-ginekolog był zatrudniony w dniu wybuchu wojny w Szpitalu Wojskowym w Toruniu do 5 września 1939 roku, a w okresie od 6 do 18 września w szpitalu w Gostyninie. Po przejściu frontu wróciliśmy w dniu 18 września do Torunia, uzyskując wydane przez władze okupacyjne miasta (22.IX.1939 r.) zezwolenie na ponowne zajęcie własnego mieszkania. W czasie między 6 a 18 września mieszkanie nasze

---

[8] „Szpęgawsk". Z martyrologii mieszkańców Kociewia. Wydawnictwo Morskie, Gdynia 1959.

[9] Prof. dr med. i fil. Tadeusz *Bilikiewicz*: Polityka sanitarna okupanta na Pomorzu. Opinia biegłego o systemie polityki depopulacyjnej stosowanej przez okupanta wobec ludności. Zob. Pol. Tyg. Lek., 1948, nr 47, 48, 49 i 50.

i prywatny gabinet ordynacyjny wraz z kilkułóżkowym oddziałem położniczym prowadzonym przez mego męża został zarekwirowany przez lekarza — Niemca, dra *Neumayera* z Gdańska.

W dniu 12 października 1939 roku 12 gestapowców w mundurach dokonało wizji lokalnej domu, w którym mieszkaliśmy i pomieszczeń w nim zajmowanych przez naszą rodzinę i rodzinę dra *Studzińskiego,* zajmującą drugie piętro. W wyniku tej wizji lokalnej zapowiedziano nam, że jutro (tj. 13.X.1939 roku) całe drugie piętro zostanie zarekwirowane dla potrzeb gestapo. W dniu 13.X.1939 roku dwóch gestapowców dwukrotnie odwiedziło nasze mieszkanie, pytając o męża. Mąż mój w tym dniu był wezwany do porodu powikłanego do domu ob. *Brzeskich* w Toruniu przy ul. Bankowej. Po wyegzekwowaniu od pielęgniarki adresu pacjentki udali się tego samego dnia do mieszkania ob. *Brzeskich* i tam aresztowali mego męża, pozwalając mu na prośbę męża pacjentki ukończyć poród. Zabierając mego męża ze sobą, nie podali ani miejsca, dokąd zostaje odwieziony, ani też powodów aresztowania. Od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął.

W dniu 14 października 1939 roku do naszego mieszkania sprowadził się dr *Neumayer,* zajmujący to mieszkanie już we wrześniu 1939 roku przez okres 12 dni, rozkazując nam natychmiastowe opuszczenie mieszkania. Musiałam więc mieszkanie własne z czworgiem małych dzieci opuścić. Wskutek mojej interwencji u lekarza niemieckiego, ówczesnego kierownika Wydziału Zdrowia w Toruniu, dra *Woltera* i jego osobistej interwencji w sprawie zaginięcia męża w gestapo toruńskim (w dniu aresztowania męża dr *Wolter* był służbowo w innej miejscowości, we Włocławku) tenże poinformował mnie i przekazał odpowiedź, jaką otrzymał w gestapo, że «inteligencja polska Torunia i tak będzie aresztowana i wywieziona do obozów koncentracyjnych». Interwencja mojej rodziny u rodziny *Alvenslebena,* tj. właściciela majątku Ostromecko pod Fordonem, którego żona była prywatną pacjentką mego męża, a *Alvensleben* szefem *Selbstschutzu* na okręg pomorski, również nie wniosła nowych okoliczności ani co do powodów aresztowania, ani też co do miejsca pobytu mego męża. Oświadczono mi, że nie wiadomo, co się z mężem stało. Interwencja mojej teściowej u władz centralnych w Berlinie została skwitowana wiadomością, że «mąż mój zginął, jest ofiarą wojny».

Po wysiedleniu naszej rodziny z zajmowanego mieszkania (obecnie ul. Zjednoczenia 15) w Toruniu zostały zarekwirowane również przez dra *Neumayera* wszystkie przygotowane do druku prace naukowe, w tym przygotowana praca habilitacyjna męża dotycząca rozwoju płodu, z bogatym materiałem ilustracji barwnych. Praca ta została wydana pod nazwiskiem jakiegoś niemieckiego lekarza, o czym dowiedziałam się od Niemca, *treuhändera* (nazwiska nie pamiętam), a z treści i barwnego atlasu rozpoznał ją jeden z profesorów hamburskich, z którym mąż mój utrzymywał kontakty naukowe w tej sprawie, jako pracę źródłową mego męża. Nazwiska tego profesora jednak dzisiaj nie pamiętam, a korespondencja w tej sprawie, prowadzona przez męża, zginęła z mieszkania, które zajmował dr *Neumayer.*

Związek przyczynowy zaginięcia mego męża z osobą lekarza niemieckiego *Neumayera* zdaje się niewątpliwy. Wskazują na to okoliczności przeze mnie wymienione, a więc rekwizycja mieszkania jako mieszkania wybiórczego, na które wskazał *Neumayer* gestapo, zaginięcie pracy habilitacyjnej męża i dokumentów związanych (korespondencja) z jej przygotowaniem, oceną, wreszcie wydanie jej pod innym nazwiskiem i rozpoznanie jej treści i atlasu przez konsultującego profesora niemieckiego.

Zamordowanie męża nastąpiło w wyniku nie bezpośrednich działań wojennych na terenie Torunia, ale na polecenie władz okupacyjnych i gestapo toruńskiego. Związane jest ściśle z eksterminacją polskiej inteligencji na terenie Pomorza, nasiloną właśnie w październiku 1939 roku w Toruniu i okolicznych powiatach.

Podpis: Maria *Czyżak*".

KAZIMIERZ FRĄCKOWSKI
były więzień Fortu VII w Toruniu oraz obozów koncentracyjnych w Stutthofie i Oranienburgu-Sachsenhausen nr 35997

Słupsk

Fort VII w Toruniu

Wśród wielu miejsc kaźni oprócz obozów zagłady poczesne miejsce w procesach eksterminacyjnych na ludności polskiej zajmują więzienia sądów, gmachy publiczne naprędce przekształcone w więzienia i pomieszczenia obiektów wojskowych, tj. forty, w których zamykano aresztowaną ludność na terenach zajmowanych przez okupanta (między innymi w Poznaniu i w Toruniu). Miejsca te stały się przedsionkami obozów koncentracyjnych. Stamtąd wywożono zakładników na rozstrzelanie albo kierowano więźniów w transportach do obozów koncentracyjnych w Polsce lub w głębi Rzeszy.

Jednym z takich miejsc odosobnienia było więzienie toruńskie, tzw. „Okrąglak" oraz Fort VII w Toruniu. Tu rozgrywały się pierwsze tragedie uwięzionych po wkroczeniu wojsk hitlerowskich. Tu dokonywano pierwszej selekcji, skazując na śmierć po uprzedniej parodii wyrokowania nad aresztowanymi obywatelami w zbrodniczej instytucji tzw. *Sondergerichtów.* Brali w tym czynny udział miejscowi Niemcy, jak to wykazano w artykule pt. „Pomorze w cieniu swastyki". Niemcy ci, znający stosunki miejscowe, wydawali swych przedwojennych współobywateli Polaków i Żydów, wśród których żyli przez całe lata. Pierwsze dni i miesiące okupacji (od września do grudnia 1939 roku) należą na terenach polskich wcielonych do Rzeszy do najbardziej tragicznych i doraźnie pochłonęły najwięcej ofiar.

Po walkach w stolicy w oddziałach załogi obrony Warszawy wracałem — ranny na przedpolach Woli i z grubsza opatrzony w szpitalu — na tereny Pomorza z przepustką wystawioną przez niemiecką komendanturę wojskową w Warszawie. Mieszkałem na Pomorzu. Najbliższym etapem mojej podróży miał być Toruń. Do tego miasta dotarłem w mundurze podchorążego w dniu 10 października 1939 roku, podwieziony samochodem ciężarowym przez równych wiekiem żołnierzy *Wehrmachtu,* zdążających w tym samym kierunku.

Wracało nas kilku Polaków, w mundurach; zwolniło nas dowództwo wojsk nieprzyjacielskich w Warszawie jako „jeńców honorowych" i według brzmienia niemieckiej przepustki *(Passierschein) „als Ehrenkriegsgefangene nicht mehr fest zu nehmen"*. Rana postrzałowa klatki piersiowej i rozdarta bagnetem skóra powłok brzusznych, zaczynające się powoli *ad integrum* restytuować, zaczęły znowu dokuczać. Każdy wstrząs na wybojach szosy sprawiał ból. Przesiąknięte krwią bandaże, stwardniałe na okaleczonych miejscach, niemiłosiernie ocierały ciało.

Dobrnąwszy samochodem do brzegu Wisły w okolicy Podgórza, pożegnany przez żołnierzy z wyraźną aluzją w słowach: „z początku schodź z drogi esesmanom, dopóki się nie rozejrzysz", przeprawiłem się promem z grupą przygodnych kolegów na drugi brzeg w pobliże Bydgoskiego Przedmieścia w Toruniu.

Pamiętam następujący epizod. Esesman podążał w kierunku odbudowywanego mostu, zniszczonego w toku działań wojennych; ów prom zastępował most, przy którego odbudowie pracowali Polacy z Torunia, uwięzieni już we wrześniu. Praca ich polegała na wydobywaniu z nurtów Wisły załamanych przęseł mostu, głazów i części filarów. Strażnicy z *Wehrmachtu* i esesmani maltretowali pracujących w niesamowity sposób, wpędzając ich bagnetami do rzeki, kłując nimi i bijąc kolbami. Warto podać, że spośród obywateli toruńskich pracowali przy odbudowie mostu jako więźniowie gestapo adwokat dr Paweł *Ossowski* (nie żyje), naczelnik Starostwa Krajowego *Jonas*, który zginął w Sachsenhausen, radca miejski *Więcek*, rozstrzelany na Barbarce z synami, dr med. *Dandelski*, ks. katecheta *Kałduński*, właściciel drogerii Wojciech *Ambrożkiewicz*, *Gałdyński* i inni. Praca ich trwała codziennie od godzin rannych do zmierzchu.

W mundurze podchorążego, kusztykając powoli, krok za krokiem docierałem do znajomej mi dzielnicy miasta. Nagle na mej drodze pojawił się mundur niemiecki, którego właściciel nosił na patkach oznaki *SS* i srebrne epolety, a w ręce szpicrutę. Ten *untersturmführer*, widząc polski mundur, zatrzymał się i przystanąwszy w rozkroku, zapytał: *„Dokumente in Ordnung?"* (Czy dokumenty w porządku?). Mając kartkę (*Erlass*) i przepustkę z niemieckiej komendantury Warszawy, dotyczącą w swej treści zgody na powrót do domu, odpowiedziałem w przejściu *„in Ordnung"* i zboczyłem z drogi, pomny aluzji i niedawnej przestrogi młodych *wehrmachtowców*. Widocznie nie zwyczajny tak obcesowego załatwiania sprawy, indagujący zatrzymał się, zaległa chwila milczenia, aż wreszcie machnięcie ręki świadczyło, że na razie ze mnie zrezygnował.

Do mieszkania stryja dotarłem w godzinach popołudniowych dnia 10 października. Zmieniwszy opatrunki, rozmawialiśmy do wieczora, relacjonując ostatnie zdarzenia. Ciszę tego wieczoru przerwały strzały na ulicy. Była godzina 21 wieczorem. Nagły tupot okutych butów i walenie kolbą w drzwi mieszkań, krzyki na schodach (*Alle Männer raus!*) nie wróżyły nic dobrego. Mieszkaliśmy na drugim piętrze. Bez zapasowego wyjścia drugą klatką schodową znaleźliśmy się w potrzasku. Nagle otwarte drzwi, błysk latarki elektrycznej, schody zatarasowane esesmanami w hełmach i w pełnym oporządzeniu bojowym, z bagnetami na karabinach gotowych do strzału, sprawiały szokujące wrażenie.

Właśnie na ten dzień 10 października została wyznaczona przez miejscowe gestapo obława w tej dzielnicy Torunia (Bydgoskie Przedmieście). Cuchnący wódką esesmani, ustawieni szpalerem na klatce schodowej, krzykiem i razami kolb karabinów „pomagali" mężczyznom spotkanym w mieszkaniach tego i sąsiednich bloków zejść na ulicę „dla sprawdzenia dokumentów", co według oświadczenia esesmanów „bardzo krótko trwa". To „krótko" trwało dla mnie 5 lat i 7 miesięcy, dla stryja tylko jeszcze 5 miesięcy życia, dla innych oznaczało zgon nazajutrz lub za tydzień. Zebrani w liczbie około 300 mężczyzn na ulicy obstawionej kordonem *Waffen SS*, zostaliśmy niebawem wtłoczeni kolbami karabinów do zajeżdżających samochodów więziennych i rzutami przewiezieni do tzw. „Okrąglaka", więzienia toruńskiego w śródmieściu.

Około 120 mężczyzn z „mojej" grupy stłoczono w pomieszczeniu nadającym się tylko dla 50 osób. Staliśmy do rana sprasowani, pozbawieni możliwości ruchu. Kto zemdlał w dusznym, zabrudzonym kałem pomieszczeniu, zwisał na sąsiadach. Zakrzepła krew na ścianach, widoczna o świcie, aż nadto świadczyła o tym, co działo się z poprzednikami tutaj przebywającymi i czego spodziewać się będzie można nazajutrz. Przed południem, przy akompaniamencie esesmańskich krzyków *„los, los, alles raus!"*, wysypaliśmy się „wymięci" na dziedziniec więzienny. Ustawieni w szeregi dla pierwszej „prezentacji", byliśmy zmuszeni podać zapisującym swoje personalia i zawód. Trwało to kilka godzin wśród bicia i kopniaków. Od stolika zostało zwolnionych kilku uwięzionych. O zmierzchu ponownie wyprowadzono nas na dziedziniec więzienny, załadowano do ciężarówek i pod eskortą wartowników z *SD (Sicherheitsdienstu)* przewieziono 11 października do nowego „upychadła" więziennego, jakim stał się (zmieniwszy swe poprzednie przeznaczenie z wojskowego na więzienne) Fort VII w Toruniu.

Fort ten był nam znany jako fort im. Tadeusza Kościuszki. Leżał w pasie fortyfikacji otaczających Toruń pierścieniem, ale, jak wszystko pod rządami niemieckich okupantów, zmienił nazwę na Fort nr VII — *Friedrich der Grosse*. Znamiennym symbolem jest zestawienie tych właśnie dwóch nazwisk. Albo nie dość czasu pozostało Niemcom na skrupulatne zamazywanie śladów i nazw polskich, albo też farba-*erzatz* nie była dostatecznym bielidłem, bo przez napis *Friedrich der Grosse* przeświecał nieśmiało Tadeusz *Kościuszko*. Niby mała rzecz, a jednak wtedy cieszyła.

pozwalając zorientować się o nowym naszym adresie zamieszkania, bardziej znanym mieszkańcom Torunia w polskiej mowie niż w niemieckim brzmieniu. Metody traktowania, z jakimi się odtąd spotykamy, będą dla nas wszystkich swoiście nowe. Wiemy po długoletnim doświadczeniu obozowego życia, że słusznie je określali nawet „twardzi" więźniowie, nie tylko Polacy, jako metody *entzetzlich* (niesamowite).

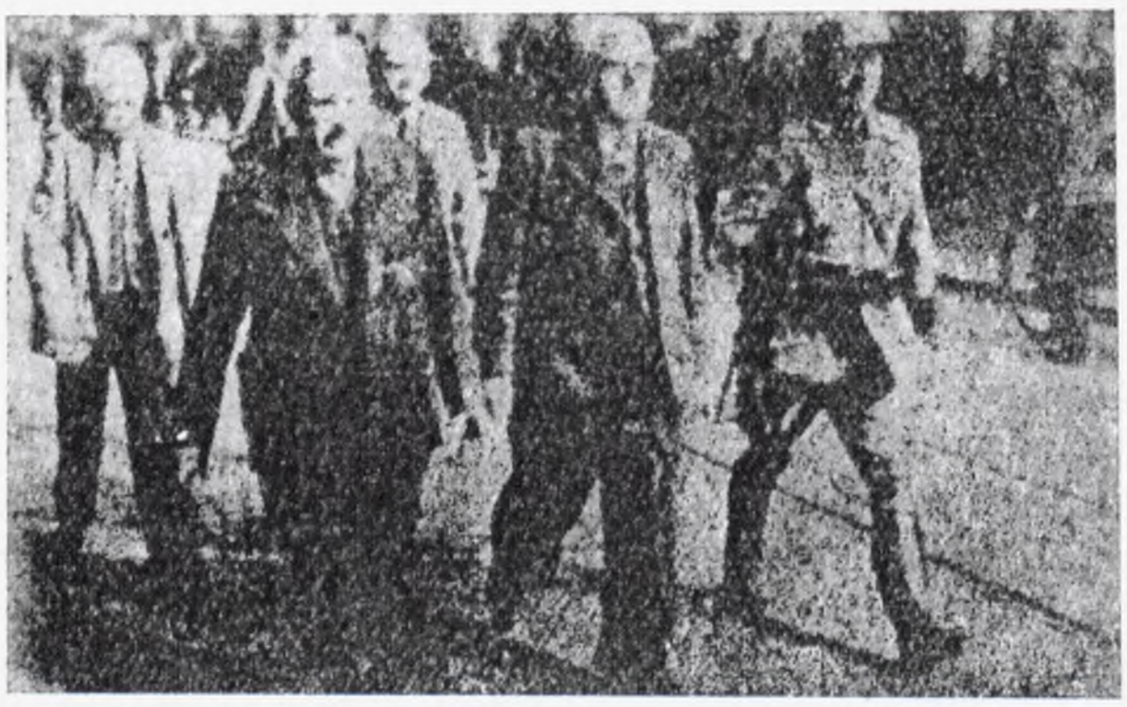

Ryc. 1. Gestapowcy prowadzą ulicami Torunia do Fortu VII aresztowanych obywateli tego miasta Franciszka *Więcka*, Kazimierza *Orcholskiego*, *Gałdyńskiego* i *Majewskiego*

Przed żelazną bramą Fortu VII zatrzymały się wiozące nas samochody ciężarowe, łup łapanki z poprzedniej nocy. Weszliśmy „gęsiego", popędzani na dziedziniec forteczny przez most na suchej fosie, okalającej fort. Do jego wnętrza długimi, krętymi korytarzami, wilgotnymi i przyprószonymi słomą wprowadzili nas wartownicy z oddziałów *Wehrmachtu* stacjonujących w Toruniu. Do cel mogących pomieścić 15 do 20 ludzi zostaliśmy odliczeni po 40. Na podłodze była rozpostarta cienka warstwa wilgotnej, zbutwiałej słomy. W pierwszym rzucie, jako nowi mieszkańcy, zapełniliśmy trzy izby, a w ten „pracowity" wieczór *SD* dowiozło jeszcze dwa transporty. Łącznie przywieziono około 300 osób.

W początkowym okresie po osadzeniu nas w forcie straż pełnili żołnierze *Wehrmachtu*, początkowo bardzo wojowniczo nastawieni w stosunku do więźniów. Z biegiem czasu, ujęci znajomością języka niemieckiego przez wielu aresztowanych i podaniem im istotnych powodów i okoliczności aresztowania zmienili na ogół swe postępowanie do tego stopnia, że niektórzy ofiarowali swe usługi (wymiana „grypsów" i przynoszenie paczek od rodzin z miasta). Dopóki byli ci wartownicy, nie musieliśmy obawiać się surowszych sankcji. Załogę wartowniczą zmieniono jednak nagle, a jej miejsce zajął oddział *Selbstschutzu*, rekrutujący się przeważnie z Niemców toruńskich. Zmienił się też radykalnie już zły sposób traktowania więźniów na jeszcze gorsze warunki bytowania. Wyzwiska takie, jak *verfluchte Schweine, verfluchte polnische Inteligenz, Drecksack, polnische Banditen* itp. były odtąd na porządku dziennym i nie raziły jedynie tych, którzy nie znali języka niemieckiego.

Skład socjalny współwięźniów był bardzo różnorodny. Byli wśród nas lekarze, adwokaci, rzemieślnicy, kupcy, robotnicy, kolejarze, urzędnicy, pracownicy umysłowi, wśród nich wielu nauczycieli, ziemianie, księża z Torunia i okolicy, studenci i uczniowie szkół. Po objęciu „władzy" przez *Selbtschutz* zarządzono w forcie VII ponowną rejestrację więźniów w obecności komendanta toruńskiego *Sicherheitsdienstu* w mundurze *SS*, *Zaporowitz*. Nazwisko polskie znamionuje renegata. Tak też było w istocie. Ojciec, *Zaporowicz*, był pisarzem sądowym w Toruniu i wywodził się z polskiej rodziny. Syn należał do sztabu *SS*, przysłanego z Gdańska w celu „uporządkowania" bezpieczeństwa miasta i powiatu Torunia. W czasie tej rejestracji pozabierano nam nie tylko dokumenty, lecz także przedmioty codziennego użytku dotąd zachowane, a więc zegarki, żyletki, mydło, pieniądze, klucze itp., częstując przy okazji kijem i bykowcami.

Wśród takiego traktowania i nastawienia nowych „opiekunów", wychodząc którejś nocy z celi do ustępu, by zmienić opatrunek, zostałem zmaltretowany przez pełniącego funkcję wartownika z *Selbstschutzu*, nazwiskiem *Wiese*, zwanego przez więźniów „Kiepurą". Zobaczywszy mnie wychodzącego z celi w mundurze podchorążego, w opiętym frenczu, przytrzymującym bandaże na klatce piersiowej, zachował się, jakby nagle dostał białej gorączki. Repetując karabin i mierząc we mnie, krzyknął, abym się nie ważył ruszać. Podszedł do mnie, aby w półmroku panującym na słabo oświetlonym korytarzu uderzyć mnie w twarz i obdarzyć epitetem, że *das verfluchte Schwein* dzisiaj jeszcze musi zginąć. Znając dość dobrze język niemiecki, spokojnie wyjaśniłem, że jako żołnierz podlegam według prawa międzynarodowego jurysdykcji wojskowej i na takie traktowanie przez cywila nie zasłużyłem. „Ja ci pokażę nasze reguły moralne" — brzmiała odpowiedź, a nagłe kopnięcie znienacka w okolicę rany powłok brzusznych sprawiło, że znalazłem się na cementowej podłodze i w ciemnicy. Okrucieństwo, z jakim zostałem tam potraktowany przez tego późniejszego gestapowca, dało przedsmak tego, co później widziałem i doznałem w obozach.

Dostawszy się nad ranem na barłóg swej celi, czułem każdą kostkę. Fort nie spał tej nocy; przez sale przechodził szmer oburzenia. Skutki doraźnej represji były widoczne na mnie dopiero rano. Fioletowo siny, z obrzękłą twarzą i poprzecinanymi wargami musiałem się stawić przed areopagiem naszych „opiekunów", którzy w żywej i hałaśliwej dyskusji przygotowywali na mnie wyrok. Przed śmiercią uratował mnie wtedy zbieg okoliczności. Mianowicie dowódcą warty w tym dniu był nie *Strauss*, komendant fortu, ale jego zastępca, liberalniejszy, *Hoffenicz* i wartownik nazwiskiem *Tobar*, organicznie nie znoszący *Wiesego* z powodu jego pokrzykiwania. Ponadto zadziałał fakt nagłego pojawienia się w wartowni oficera *Wehrmachtu*, prawnika z zawodu, poprzedniego dowódcy jednostki

wartowniczej w forcie. On to wyznaczył mnie z racji noszenia munduru starszym celi. Zdziwiony moim wyglądem zewnętrznym, zaindagował *Wiesego,* o co chodzi, a otrzymawszy odpowiedź, mniej więcej tak ją skwitował sfanatyzowanej grupie oprawców: „Was razi mundur żołnierza. Wy nie wiecie, że odwaga u żołnierzy jest niebezpiecznym rzemiosłem, którym każą im zarabiać na życie. On na swoje życie już dawno zarobił. Zakazuję wam wyrządzić mu jakąkolwiek krzywdę". Ten jedyny mój, zresztą przypadkowy obrońca w pięcioletniej wędrówce więźnia, odesłał mnie do celi. Interwencja ta rzeczywiście okazała się skuteczna. Miałem względny spokój przez następne dni. Musiała zawędrować może mimo woli „wysoko", bo któregoś dnia jeden z mundurowych szefów *Sicherheitsdienstu,* „inspektor" *Kikebusch* (pochodzący z Inowrocławia), nie omieszkał o mnie zapytać, a zobaczywszy, potwierdził: *in Ruhe lassen.* Na razie więc zostawiono mnie w spokoju.

W Toruniu jednak i w okolicy w dniach 17—19 października 1939 roku przy pomocy znacznego aparatu politycznego i wojska przeprowadzono masową obławę na Polaków. W jej wyniku przywieziono do Fortu VII paruset aresztowanych, w tym transport księży, zapełniając sukcesywnie dalsze cele więzienne fortu, toteż pod koniec października stan więźniów był bliski 1000 osób. Przywożąc aresztowanych do Fortu VII zapełniano nimi sale, początkowo nie różnicując ich ani według grup wieku, ani też według zawodów. Niebawem jednak zaczęto nas segregować. W celach umieszczano osobno księży, osobno nauczycieli, młodzież, urzędników, stwarzając społeczności o wyraźnym obliczu, z czego mało inteligentni szefowie *Selbstschutzu* nie zdawali sobie sprawy.

Wchodząc do celi, z miejsca człowiek orientował się teraz, czy może ogłosić jakąś wiadomość, czy nie. Były bowiem sale, do których wsuwano konfidentów w celu zbadania nastrojów lub wykrycia przynależności któregoś z więźniów do związków niepodległościowych lub do Polskiego Związku Zachodniego, którego członków, specjalnie prześladując zwykle za przynależność, wkrótce rozstrzeliwano. Trzeba więc było przed „nasłańcami" ostrzegać, budzić czujność, umacniać wątpiących, słabnących wieść do opamiętania i przerzucać mosty między Polakami z różnych dzielnic i o odmiennych przekonaniach politycznych, by ich zespolić i pogłębić solidarność między nimi. Segregowanie i izolowanie więźniów stosownie do zawodów miało i tę dobrą stronę, że pomagało w zachowaniu i pielęgnowaniu zawodowych wartości i umacnianiu pewnego poziomu moralnego, który obowiązuje wszędzie, a więc tym bardziej w przygnębiającej atmosferze katowni hitlerowskiej.

W forcie w tym czasie rozpoczęły się codzienne wizyty umundurowanych gestapowców w celach więziennych i wybiórcza selekcja „na oko"; wywoływano więźniów po nazwisku, izolowano ich w pustych dotąd celach w drugim skrzydle fortu, pod dodatkową strażą wartowników. Na nowo zaczęły się przesłuchania więzionych. W skład „komisji" wchodził komendant *SD* na Toruń *Zaporowitz,* komendant fortu, cywil, *Strauss,* z zawodu stolarz oraz kilku cywilów, których nazwisk nie znałem. „Komisja" pod kierownictwem *Zaporowitza* kwalifikowała więźniów fortu, których planowano zlikwidować, wywieźć do obozów koncentracyjnych (do Stutthofu, Oranienburga-Sachsenhausen lub Dachau), bądź ewentualnie zwolnić.

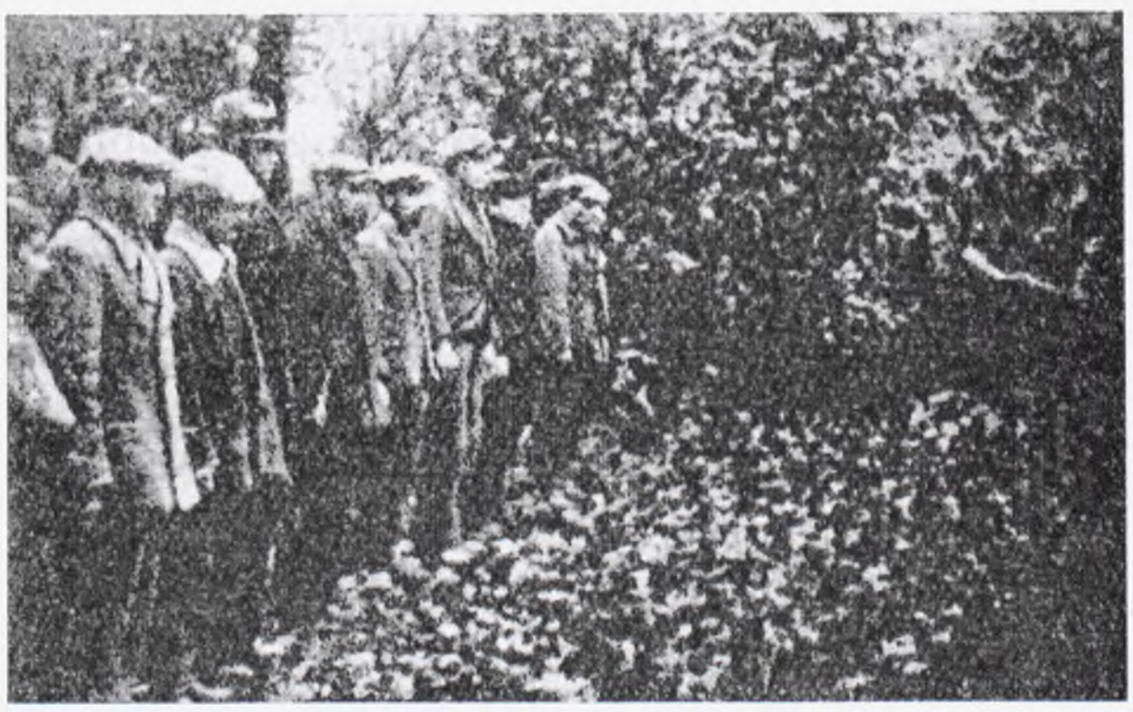

Ryc. 2. Egzekucja w lasach Barbarki pod Toruniem. Gestapowcy (po prawej) odczytują wyroki śmierci ferowane Polakom przez samozwańczy *sondergericht.* Stoi 8 mężczyzn i (na pierwszym planie) 1 kobieta; czwartym z rzędu (w kapeluszu) jest kierownik Szkoły Nr 2 z Chełmży, Franciszek *Żmich*

Likwidacja zaczęła się już w sobotę 28 października 1939 roku. Wyczytywanych więźniów natychmiast izolowano, pozbawiając ich wszystkich rzeczy prywatnych. Przed ich celami ustawiono dodatkowe warty. Tego dnia wywieziono ich z fortu krytymi samochodami-chłodniami firmy „Stanisław Jaugsch — Bacon — Export" pod eskortą *Selbstschutzu.* Ten pierwszy transport liczył 130 więźniów, wywożonych z fortu grupami co 30 minut. Nikogo z wywiezionych nie spotkałem później w innych obozach, ani też w wolnej Polsce. Na miejsce straceń *SD* przewidziało lasy w Barbarce pod Toruniem. Drugi transport, około 60 więźniów, wywieziono w połowie listopada 1939 roku w podobnych okolicznościach po wzmożonej akcji selekcyjnej „komisji" *SD.*

Ryc. 3. Archiwalne zdjęcie uwieczniło moment rozstrzeliwania Polaków w lasach Barbarki pod Toruniem. *Selbstschutz* oddaje salwę do grupy skazanych z transportów z Fortu VII w październiku 1939 roku

W tej grupie zginęli kupiec toruński, Franciszek *Więcek* i jego dwaj synowie, uczniowie gimnazjalni, Leszek *Czarliński* z Brąchnówka i inni.

W ciemnicy, w której przebywałem po incydencie z *Wiesem*, zamknięto w połowie listopada (18 i 19.XI.1939 r.) siedmiu więźniów, którzy nie wrócili do fortu po ich wywiezieniu (25.XI.1939 r.). Byli wśród nich kapitan WP *Kaczmarski*, Jerzy *Gajdus*, inspektor kolejowy, 19-letni robotnik *Wrzesiński*, *Rumatowski*, 20-letni rytownik zatrudniony w niemieckiej firmie *Rausch* oraz trzej inni, których nazwisk nie pamiętam. Spośród wywiezionych we wspomnianych transportach i straconych w lasach Barbarki pod Toruniem znałem osobiście adwokata Stanisława *Strzyżowskiego* z Chełmży, kierownika szkoły Franciszka *Żmicha* z Chełmży, inspektora szkolnego *Leśniewicza* i wójta *Monarskiego* z Chełmży, nauczyciela Leona *Filcka*, koszykarza Jana *Brzeskiego*, Józefa *Śliwę*, dzierżawcę plebanki z Dźwierzna (zmarł 18.X.1939 r.), młodego kolejarza *Basińskiego* z Bidczyn, księży Czesława *Lisonia* z Grabna, Romana *Gdańca* z Czarnowa, Jana *Pronobisa* z Grębocina, wikariuszy *Januszewskiego* i *Menzla* z Torunia-Podgórza, mecenasa dra Pawła *Ossowskiego* z Torunia, Władysława *Serockiego* i oprócz już wymienionych dwie kobiety dołączone do transportu, których nazwisk nie pamiętam.

Wśród więzionych kobiet przebywały w forcie nauczycielki *Zander* i Agnieszka *Zaczek*, Stanisława *Jaworska*, *Palenicówna*, Kazimiera *Maćkowiak*, *Tułodziecka* (ze Zgliczyna), *Gabrielewiczowa* oraz siostry zakonne, nauczycielki *Michaela Mantey*, Gertruda *Marciniak* (zwolniona ze Stutthofu) i Irena *Wasiak*. Niekiedy wywoływano nazwiska więźniów pojedynczo. Funkcję awizatora pełnił wtedy sam komendant fortu, *Friedrich Strauss*.

Doraźnej pomocy lekarskiej chorym w forcie udzielali lekarze dr *Stemplewski* z Chełmży, a po jego zwolnieniu współwięźniowie, nie żyjący już dr Jan *Dębski* z Torunia, dr Bohdan *Jasiński*, dr *Węgrzynowicz* i dr *Fleszar*. Ci ostatni byli ze mną wywiezieni do obozu w Stutthofie; dr *Fleszar* został stamtąd zwolniony.

Nagminnymi sprawami w tych niehigienicznych warunkach bytowania, w których przez okres czterech miesięcy nie rozbieraliśmy się w ogóle, były świerzb, wszawica i czyraczność. Cała pomoc lekarska ograniczała się właściwie do porady i dobrego słowa z powodu braku jakichkolwiek leków. Dopiero w późniejszym okresie, kiedy świerzb zaczął zagrażać wartownikom, dostarczono odpowiedniej maści. Wszy zaś nie tylko gryzły, ale żarły nas żywcem.

Na cały około 1000-osobowy stan więzionych przypadało w pomieszczeniu ustępowym jedynie 10 oczek. Przy biegunkach zdarzających się u niektórych więźniów liczba ta była co najmniej nie wystarczająca, a brak wody do spłukiwania ekstrementów powodował fetor nie do zniesienia. Do czyszczenia ustępów *Strauss* wyznaczył księży (Andrzeja *Szymczaka* i Jacka *Pomianowskiego*) oraz dwóch Żydów, właścicieli młyna z Lubicza, z których jeden nazywał się *Szwarc*. Żywiono nas czarną kawą, suchym chlebem i lurą, która miała się nazywać pęcakiem, a w której znajdowaliśmy wszystko: guziki, spinki, gwoździe, resztki z paczek zarekwirowanych więźniom przez wartowników itp.

W pierwszych dniach stycznia 1940 roku rozeszła się w forcie wiadomość, lansowana przez *Straussa*, że przygotowuje się transport do obozu koncentracyjnego. Rano dnia 8 stycznia 1940 roku prawie wszystkich więźniów wywieziono z Fortu VII samochodami ciężarowymi na przybrzeże Wisły. Przez zamarzniętą rzekę przeszliśmy na dworzec kolejowy Toruń—Główny i zostaliśmy tam załadowani do wagonów. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu przewieziono nas tego samego dnia do Gdańska (Nowy Port) na noc, a następnego dnia, tj. 10 stycznia 1940 roku, do obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

Bilans strat ludności polskiej tego rejonu jest ogromny. Szczegółowe statystyki odtworzono po wojnie staraniem ówczesnego Zarządu Oddziału Związku Byłych Więźniów Politycznych w Toruniu przy wydatnej pomocy notariusza *Mielcarka*, wtedy prezesa i współkolegów, byłych więźniów. Zdołano ustalić listę strat i nazwiska tych, którzy zginęli po aresztowaniu, zarówno w lasach Barbarki, jak i w obozach koncentracyjnych lub zostali rozstrzelani w innych miejscowościach. Jako pierwszy z obywateli Torunia zginął za zadokumentowanie swej polskości znany powszechnie prezes kół śpiewaczych na Pomorzu, radca Ludwik *Makowski*. Długi ten rejestr obejmuje nazwiska tych wszystkich, którzy zginęli po aresztowaniu przez gestapo toruńskie.

Do komisji, która przywłaszczyła sobie prerogatywy decydowania o życiu i śmierci aresztowanych Polaków, pozbawionych jakiejkolwiek możliwości obrony w tym doraźnym postępowaniu, należeli gestapowcy *Zaporowitz*, *Kickebusch*, *Elert*, *Kasper*, *Milchert*. Spośród toruńskich *volksdeutschów* zasiadali w komisji adwokat *Kohnert*, aptekarze *Rudi Heininger*, bracia *Heyer*, *Walliss*, komendant fortu *Friedrich Strauss*, agent samochodowy *Paul Heise*, *Scholz*, prezes *Landbundu Bachman* i grabarz cmentarny *Pomerenke*. Mocą ich „wyroku" znalazło się w obozach koncentracyjnych lub zostało rozstrzelanych wiele tysięcy osób. Z przebywających w Forcie VII około 1000 osób nie wróciło 429. Zginęli w lasach Barbarki lub w obozach koncentracyjnych rozsianych na terenach Trzeciej Rzeszy i w Polsce. Prócz wyżej wymienionych zamordowano w tzw. „Szmalcówce" w Toruniu 711 Polaków i 334 dzieci polskich; spoczywają oni na cmentarzu przy ul. Grudziądzkiej.

Ówczesny przywódca gestapo toruńskiego *obersturmbannführer Zaporowitz* scharakteryzował „gremium" zamkniętych w forcie Polaków toruńskich następującym określeniem: „Udało nam się zamknąć całą polską inteli-

gencję Torunia i wszystkich przywódców miejscowego społeczeństwa". Nazwiska lekarzy zostały podane w tekście artykułu i w spisie chronologicznym (na pewno niepełnym) i chociaż w części uzupełniają dane statystyczne dotyczące martyrologii tego okresu. Uzupełnieniem tej dokumentacji jest bilans strat pracowników oświaty w okresie lat 1939—1945, wnikliwie opracowany przez współwięźnia z Fortu VII, wizytatora Okręgu Szkolnego Kuratorium w Toruniu, Stanisława *Burzyńskiego* (zob. tab. I).

Tabela I

Straty wśród pracowników oświaty na Pomorzu (według obliczeń St. *Burzyńskiego*)

Pracownicy resortu oświaty	Liczba		Zginęli po aresztowaniu	Razem
	zamordowanych	zmarłych z głodu		
Pracownicy administracji szkolnej	28	6	4	38
Wychowawczynie przedszkoli	7	10	6	23
Nauczyciele szkół podstawowych	575	92	112	779
Nauczyciele szkół średnich ogólnokształcących	60	15	52	127
Nauczyciele zakładów kształcenia nauczycieli	15	1	—	16
Nauczyciele szkół zawodowych	15	9	4	28
Razem	700	133	178	1 011

Liczne zawody osób eksterminowanych wskazują na to, że hitlerowcy każdego Polaka uważali za wroga, bez różnicy wieku, wykształcenia, płci i zawodu. Wystarczyło być Polakiem, by zginąć z wyroku samozwańczych *sondergerichtów* i sądów samozwańczej „palestry" stolarzy, szewców i grabarzy. Pomordowani, pochodzący z Torunia i okolicy, są tylko ułamkiem w liście 6 milionów ofiar hitlerowskich kaźni we wszystkich zakątkach naszego kraju i masowo wywożonych do miejsc zagłady, jakimi były więzienia i obozy koncentracyjne III Rzeszy. Dlatego właśnie ci, którzy przeżyli, muszą ostrzec potomność, by już nigdy w dziejach, dopóki język i naród nasz istnieć będą, nie powtórzyły się warunki sprzyjające wtargnięciu wroga w nasze granice.

*

* *

Z braku miejsca nie można opublikować całej obszernej listy Polaków, którzy na mocy „komisji" wymienionej w artykule znaleźli się w obozach koncentracyjnych i z nich nie wrócili. Podajemy tylko niektóre nazwiska:

Dentysta Bronisław *Aleksandrzak* (Stutthof). — Emerytowany major Konstanty *Baranowski* (zginął bez śladu). — Inspektor Szpitala Miejskiego Paweł *Bukowski* (zginął bez śladu). — Dentysta *Bylicki* (Stutthof). — Lekarz-ginekolog Józef *Czyżak* (jego aresztowania dotyczy relacja na str. 79—80). — Czesław *Dobrzyński* (Oświęcim). — Stefan *Frymark* (Oświęcim). — Oficer Bogdan *Gawaleski* (Bydgoszcz). — Marian *Gembal* (Oświęcim). — Stefan *Górczak* (Oświęcim). — Inż. Adolf *Górski* (Dachau).— Maszynista PKP Jan *Graczkowski* (Barbarka pod Toruniem). — Właściciel drukarni Jan *Gratkowski* (Warszawa). — Cieśla Franciszek *Guzowski* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Muzyk Władysław *Horyza* (Stutthof). — Dentysta Mieczysław *Iwicki* (Stutthof). — Mężatka Franciszka *Jagodzińska* (Ravensbrück). — Prof. Józef *Jakubowski* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Młynarz Michał *Jankowski* (Bydgoszcz). — Kapelmistrz Mieczysław *Janowicz* (Neuengamme). — Podoficer Józef *Jastrzębski* (Oświecim). — Artysta-muzyk Leon *Jercha* (Toruń).— Naczelnik Starostwa Krajowego Edmund *Jonas* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Urzędnik Ubezpieczalni Społecznej Franciszek *Jopek* (Ostaszewo). — Nauczyciel Józef *Jórkowski* (Oświęcim). — Sierżant Walenty *Kaczmarek* (Oświęcim). — Piekarz Edward *Kajdan* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Budowniczy Franciszek *Kalinowski* (Stutthof). — Górnik Franciszek *Kalitka* (Mauthausen-Gusen). — Nauczyciel Jan *Kamiński* (Barbarka pod Toruniem). — Obywatel ziemski Jan *Kamiński* (Fort VII w Toruniu). — Robotnik Wiktor *Kamiński* (Sachsenhausen-Oranienburg). — Kolejarz Jan *Kańczewski* (Mauthausen). — Tkacz Adam *Karasiński* (Oświęcim). — Rolnik Tadeusz *Kentzer* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Podoficer Bolesław *Kilanowski* (Bydgoszcz). — Ksiądz Konrad *Klein* (Dachau). — Oficer Jan *Koc* (Neuengamme). — Ślusarz Józef *Komorowski* (Fort VII w Toruniu). — *Kozłowscy* Witold (ziemianin) i Marian (syn, Inowrocław). — Urzędnik Zygmunt *Kulesza* (Oświecim). — Dentysta Jan *Kukielski* (Stutthof). Murarz Anastazy *Lamparski* (Piła). — Chorąży Maksymilian *Lewandowski* (Mauthausen-Gusen). — Inspektor celny Henryk *Lipiński* (Gdańsk). — Inspektor Lasów Państwowych Władysław *Lux* (Sachsenhausen-Oranienburg). — Naczelnik urzędu pocztowego Jan *Łukaszewski* (Hamburg-Neuengamme). — Szewc Zenon *Maciejewski* (Mauthausen-Oranienburg).— Technik Zygmunt *Majchrzakowski* (Oświecim). — Lekarz weterynarii W. *Marcinkowski* (Mauthausen-Gusen). — Uczeń Marek *Maśkiewicz* (Stutthof). — Starszy posterunkowy PP Antoni *Michalak* (Fort VII w Toruniu). — Muzyk-kompozytor Zygmunt *Moczyński* (Bydgoszcz). — Linotypista Józef *Nowakowski* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Dziennikarz Wincenty St. *Ostręga* (rozstrzelany na Pawiaku). — Ksiądz Konrad *Piątkowski* (Bydgoszcz). — Profesor gimnazjalny Józef Alfred *Regel* (Mauthausen). — Młynarz August *Renusz* (Bydgoszcz). — Litograf Władysław *Rudziński* (Mauthausen-Gusen). — Ślusarz Feliks *Sakowski* (Bydgoszcz). — Drukarz Lucjan *Samulowski* (Oświecim). — Aptekarz Alfons *Sobecki* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Drogerzysta Tadeusz *Skrzypczak* (Oświęcim). — Dziennikarz Józef *Stanach* (Mauthausen-Gusen). — Komisarz PP Stanisław *Szmytkowski* (Radogoszcz). — Robotnik Józef *Szyszkowski* (Oświęcim). — Rolnik Jan *Śliwa* (Fort VII w Toruniu). — Kupiec Norbert *Świetlik* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Lekarz, dr Kazimierz *Tarnowski* (Stutthof). — Kapitan statku Jan *Tietz* (Mauthausen-Gusen). — Oficer Eugeniusz *Triebling* (Oświecim). — Ogrodnik Makary *Walentowicz* (Bydgoszcz).— Fryzjer Ludwik *Wierzchowski* (Fort VII w Toruniu). — Ksiądz Feliks *Zaremba* (Dachau). — Inż. mech. Walerian *Zieleziński* (Oświęcim). — Ksiądz Aleksander *Ziemski* (Oranienburg-Sachsenhausen). — Urzędnik Józef *Żydak* (Wilejce).

Powyższy spis nazwisk, losowo wybranych z długiej listy eksterminowanych, wyraźnie wskazuje na duża różnorodność zawodów osób skazanych przez hitlerowską „komisję". W nawiasach podano miejsca śmierci.

LUDWIK KASPRZYK
były więzień nr 52663 obozów jenieckich w Szlezwiku, Itzehoe, Rotenburgu, Sandbostel, Heidkaten, Hamburgu i Lubece

Warszawa

Na Helu i w obozach jenieckich

W roku akademickim 1936/37 po ukończeniu pierwszego trymestru uzyskałem absolutorium na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. W tym czasie rok studiów dzielił się na trzy trymestry, a studia lekarskie trwały 5 lat i 1 trymestr, po czym uzyskiwało się absolutorium, zdawało egzaminy dyplomowe i odbywało jednoroczny lub dwuletni staż szpitalny. Równocześnie wiedziałem, że nie później niż jesienią roku 1938 muszę zacząć roczną służbę wojskową i odbyć ją w szkole podchorążych sanitarnych rezerwy. Nie spieszyłem się więc z egzaminami i uważałem te miesiące za ostatni w życiu okres pełnej swobody.

W sierpniu 1938 roku otrzymałem wezwanie do czynnej służby na dzień 30 września. Był to, jak wiadomo, okres kryzysu czechosłowackiego. Przekroczyłem bramę Centrum Wyszkolenia Sanitarnego przy ul. Górnośląskiej 45 w Warszawie. Dostałem się do drugiej kompanii kpt. *Dondego*, liczącej 130 osób. Większość wcielonych miała 25 lat życia. Niektórzy byli jeszcze absolwentami, inni już mieli dyplomy lekarzy, lekarzy-dentystów lub farmaceutów. Zaczął się reżim wojskowy. 2 października dowiedzieliśmy się o aneksji Zaolzia. Po kilku dniach służby wojskowej wprowadzono nam po rannej i wieczornej modlitwie składanie dodatkowego ślubowania, które zaczynało się od słów: „Marszałek *Piłsudski* umarł ciałem, ale żyje duchem w sercach naszych i żyć będzie wiecznie, pamiętajmy więc i czyńmy wszystko, aby zgodnie z jego rozkazem..."; niebezpieczne było głośne krytykowanie polityki wobec Czechosłowacji, jak również bałwochwalczego ślubowania.

Gdy nasza kompania zaczynała usypiać w niskiej i dusznej sali, lekarz, wykładowca regulaminu służby zdrowia i taktyki sanitarnej, kpt. *Żabski* powiedział do nas na jednym z wykładów w połowie lutego 1939 roku mniej więcej w ten sposób: „Spać wam się chce, nie interesuje was taktyka sanitarna, a jest możliwe, że to, co teraz omawiamy, przyda się wam jeszcze, nim zdejmiecie mundury". Byliśmy tą wypowiedzią zaskoczeni, gdyż ten wykładowca cenił zawsze słowa i był ostrożny w wypowiedziach, a mieliśmy służyć jeszcze tylko siedem miesięcy.

Przed końcem służby otrzymałem przydział do batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza w Sienkiewiczach na Polesiu, dokąd przyjechałem pociągiem 22 marca 1939 roku. W tym czasie *Hitler* zajął okręg Kłajpedy na Litwie. Jeżdżąc furmankami, poznałem nędzne chałupy na Polesiu. Zetknąłem się z chorymi na dur wysypkowy, który nie był tam rzadkością, jak mnie poinformował mój szef, dr *Reiwer*. Chorych tych kierował on do szpitala w Pińsku. Z innych cywilnych chorych pamiętam kobietę po operacji ucha środkowego; z powodu wycieku i nie gojącej się blizny przychodziła dwa razy w tygodniu na opatrunek. Z wieku i z wyglądu przypominała mi moją zawsze zapracowaną na gospodarstwie matkę, dlatego sam ją opatrywałem, a ona odnosiła się do mnie szczególnie serdecznie.

W ostatnim tygodniu kwietnia dostałem rozkaz zwizytowania stanu sanitarnego placówek granicznych oraz stanu zdrowotnego żołnierzy. Do najbliższej kompanii granicznej zręczny kierowca zawiózł mnie „łazikiem" po bezdrożach. Wszystko dokoła kwitło i zieleniło się, gołe piaski kończyły się lasem, a często bujną zielenią wodorostów na bagnach. W kompanii czekano na mnie niecierpliwie, spodziewając się, że wreszcie przyjedzie czwarty do kart. Dokonałem najpierw inspekcji pomieszczeń, ustępów, magazynów oraz przeglądu załogi. Czynności tej nie lubiłem, bo przy jej wykonywaniu musiałem również badać, czy nie ma chorych na rzeżączkę. Dowódca kompanii, jego żona i dwóch poruczników czekali na szybkie zakończenie moich czynności, gdyż przygotowano już przyjęcie towarzyskie. Pamiętam poranny spacer po lesie, a takiego śpiewu ptaków, mocnego zapachu trawy i kwiatków, piękna i spokoju nigdy już więcej nie zaznałem. Rano trzeba było jechać do następnej kompanii, ale tym razem bryczką konną. Po drodze lustrowałem porozrzucane wartownie, a w każdej badałem znajdujących się w niej kilkunastu żołnierzy. 28 kwietnia w kolejnym miejscu postoju, słuchając audycji radiowej, „złapałem" mowę *Hitlera*, który z ochrypłym krzykiem otwarcie już przedstawiał stosunek Rzeszy do Polski. Słynna majowa mowa *Becka* dała do zrozumienia, jak napięta jest sytuacja polsko-niemiecka.

W pierwszą niedzielę maja zobaczyłem graniczną miejscowość Mikaszewicze, ulice bez trwałej nawierzchni i chodników, tylko na głównej ulicy drewniane chodniki z desek, nędzę miejscowej ludności, ludzi chodzących boso. We czwartek 11 maja przyszedł przed południem do izby chorych bardzo zaaferowany dr *Reiwer* i od razu spytał mnie, czy mam ochotę jechać z nowo tworzonym batalionem jako jego lekarz do obrony Helu. Nazajutrz odjechaliśmy w południe, wagonami towarowymi. Na stację przyjechała moja chora, którą opatrywałem, pożegnała mnie z płaczem i przekonana, że jadę na wojnę, życzyła mi szczęśliwego jej przetrwania.

Na półwysep Hel przyjechaliśmy przed południem 15 maja. Batalion rozmieszczono w różnych punktach. Dowództwo z mjrem

Wiśniewskim zakwaterowano na Helu, jedną kompanię w lasach Juraty, inną w budynkach *Yachtklubu* koło portu w Jastarni, opiekę lekarską nad częścią batalionu sprawowała izba chorych na Helu, a do mnie należała tylko kompania i bateria przeciwlotnicza w Jastarni. Wskutek klimatu i chłodów panujących w tym okresie na Półwyspie miałem w pierwszych dniach stosunkowo wielu chorych, przeważnie na anginę i przeziębionych. Zajęcia wojskowe polegały głównie na budowie schronów i na wykonywaniu prac przygotowawczych do zaminowania przedpola przed budowanymi schronami betonowymi między Jastarnią a Kuźnicami. Betonowe umocnienia wykonywali „junacy" z przeszło 300-osobowego batalionu specjalnego. Mieszkali w namiotach na peryferiach Jastarni od strony Kuźnic.

Z końcem maja Jastarnia zaczęła się zaludniać. Najpierw przyjechali różni drobni handlarze, zainteresowani w przygotowaniu prywatnych sklepików i innych usług dla letników, którzy zaczęli następnie przybywać od połowy czerwca. Liczba letników przekraczała możliwości zakwaterowania. Do nerwowych nastrojów ludności przyczyniały się między innymi przeloty samolotów niemieckich od czasu do czasu wzdłuż Półwyspu. Dla podniesienia ducha przyjechał *Kiepura* i śpiewał w otwartym samochodzie, jadąc do portu wśród rozentuzjazmowanego tłumu. Pojawił się też wspomniany już kpt. *Żabski*, przemawiał w Jastarni, przekonywał o wojskowych trudnościach niemieckich i skończył stwierdzeniem, że ewentualnej wojny się nie boimy. Wyczuwałem, że mówi to bez wewnętrznego przekonania.

24 sierpnia 1939 roku zarządzono ewakuację letników ociągających się z wyjazdem, sklepikarzy, rodzin wojskowych itp. Odjeżdżające pociągi były przepełnione. Pozostający żegnali rodziny, a wielu z nich nie przypuszczało, że jest to pożegnanie na długie lata. Następny dzień miałem wypełniony ciężką pracą. Trzeba było badać przybyłych dodatkowych rezerwistów, z których pewna część zgłaszała różne dolegliwości. Po pierwszych kłopotach z wcieleniem rezerwistów urządziłem swój BPO (batalionowy punkt opatrunkowy) w pensjonacie „Janina". Nastały dni wyczekiwania. Coraz częściej latały nad nami samoloty niemieckie, płoszone przez ogień naszej artylerii, strzegącej strefy polskich wód terytorialnych. 30 sierpnia zauważyłem na morzu sylwetki trzech okrętów i dowiedziałem się, że są to odpływające nasze kontrtorpedowce (według obecnej terminologii wojskowej niszczyciele) „Błyskawica", „Grom" i „Burza".

Tuż po godzinie 6 rano w dniu 1 września obudzili mnie sanitariusze, bo wojna się zaczęła. Niemcy zbombardowali koszary i hangary morskiego dywizjonu lotniczego w Pucku. Samoloty zostały zniszczone na ziemi; zginął również dowódca. Na Helu wojna zaczęła się dopiero w południe nalotem na cypel Półwyspu. Tego rodzaju naloty powtarzały się kilkakrotnie przez trzy dni aż do czasu zatopienia „Wichra" i „Gryfa" oraz innych mniejszych jednostek pływających. Załogi zatopionych okrętów z częściowo zdemontowanym uzbrojeniem zostały przesunięte do obrony lądu. W kolejnych nalotach zatopiono trałowce „Jaskółkę", „Żuraw" i „Czaplę". Po nowym nalocie na okolice portu w Jastarni przywieziono do mojego punktu opatrunkowego rannych i kontuzjowanych marynarzy, wśród których znajdował się również kpt. *Kosko*, cierpiący, blady i trzymający się za brzuch. Nie chciał skorzystać z mojej pomocy, dopóki nie opatrzyłem jego marynarzy. Było ich około 20. Sanitarki zabrały ich następnie do szpitala polowego w pensjonacie „Lido" w Juracie. Później dowiedziałem się, że kpt. *Kosko* po operacji jamy brzusznej zmarł.

Na horyzoncie widzieliśmy „Schleswig-Holstein", który ostrzeliwał Westerplatte. Przez siedem dni musieliśmy wysłuchiwać regularnych salw, nękających tamtejszą małą załogę. Po upadku Westerplatte na krótko wszystko ucichło, a tylko od czasu do czasu „Schleswig-Holstein" próbował ostrzeliwać Półwysep. Bezskutecznie usiłował się zbliżyć, ale musiał schronić się poza zasięg naszej bohaterskiej baterii (działa 152 mm) im. Laskowskiego, dowodzonej przez kpt. *Przybyszewskiego*. Dowódca baterii i kilku rannych żołnierzy spośród jej obsady nie chcieli zejść z posterunku, a po kapitulacji załoga zniszczyła baterię.

„Schleswig-Holstein" ostrzeliwał Oksywie, a uspokoił się 18 września po jego upadku i po śmierci płka Stanisława *Dąbka*, który do końca bohatersko dowodził Morską Brygadą Obrony Narodowej oraz Lądową Obroną Wybrzeża. Jeszcze wcześniej, około 10 września piechota KOP-u podjęła wypad w celu odbicia Nowej Wsi. Niekorzystny teren, przewaga liczebna Niemców i wsparcie ich przez lotnictwo spowodowały, że po pierwszych sukcesach atak się załamał i trzeba było wycofywać się na pozycje wyjściowe.

Pierwsze dni trzeciej dekady września były stosunkowo spokojne. Niemcy przygotowywali się do ostatecznego ataku na Hel. 29 września zostałem wraz z patrolem sanitarnym przesunięty na pierwszą linię frontu pod Chałupami, gdzie w prowizorycznych drewnianych schronach rozlokowano pod dowództwem por. *Łady* pluton żołnierzy KOP-u. Próba wysadzenia najwęższego miejsca Półwyspu głowicami z niewyzyskanych torped nie dała zamierzonego wyniku w postaci połączenia Zatoki Gdańskiej z pełnym morzem i utworzenia wyspy z cypla helskiego. W sobotę 30 września Niemcy rozpoczęli atak artyleryjski od strony Pucka, a potem przyszło natarcie na najbardziej wysunięte pozycje. Trzymaliśmy się do południa, a potem powoli zaczęliśmy wycofywać się w kierunku umocnień betonowych pod Kuźnicami. Następny dzień był spokojniejszy. Równocześnie rozeszły się pogłoski o rozmowach w sprawie kapitulacji Helu. Nikt z nas nie zdawał sobie wtedy sprawy, że dalsza obrona mogłaby potrwać już

tylko kilka dni. Zadanie osłaniania Gdyni od strony morza zostało już spełnione. Nam jednak brzmiały jeszcze w uszach słowa popularnej pieśni „...mamy rozkaz cię utrzymać, albo na dnie twoim lec..."; załoga oburzała się na samą myśl o kapitulacji i naciskała dowództwo w celu kontynuowania obrony.

W dniu poddania się, tj. 2 października, wycofałem się do szpitala w Juracie, który Niemcy przejęli dopiero następnego dnia, przy czym byli wyraźnie zaskoczeni małą liczbą rannych i chorych (niewiele ponad 20 osób). Część rannych z pierwszych dni wojny, gdy połączenie z Gdynią nie było jeszcze zerwane, została tam odesłana. W szpitalu w Juracie (w pensjonacie „Lido") byli zatrudnieni następujący lekarze: komendant kpt. *Wierzbicki*, chirurg por. Paweł *Czajkowski* oraz internista por. Zygmunt *Skomoroch*. Ranni wraz z całym personelem szpitala zostali następnego dnia przetransportowani statkiem do szpitala w Gdyni, gdzie przebywaliśmy przez dwa dni. W tym czasie Niemcy posegregowali rannych z całego Wybrzeża i zdolnych do transportu odesłali wieczorem 6 października wraz z personelem lekarskim i sanitariuszami polskimi pociągiem sanitarnym do szpitala w Szlezwiku. Transport liczył około 400 rannych. Kilka dni wcześniej wysłano tam drogą morską około 800 rannych. W Gdyni zostawiono tylko niezdolnych do transportu.

Wczesnym rankiem 8 października dojechaliśmy na miejsce przeznaczenia. Rannych leżących przewieziono karetkami, siedzących — autobusami. Szpital mieścił się w licznych pomieszczeniach, w których w czasach pokojowych leczono chorych psychicznie. Polskich lekarzy i sanitariuszy rozdzielono w różnych budynkach, ale poza nielicznymi wyjątkami naszych lekarzy nawet nie kontaktowano z chorymi. Od samego początku zaczęto nas głodzić. Na śniadania i kolacje otrzymywaliśmy w sumie około 200 gramów chleba z margaryną i ziółka lub zabarwioną mlekiem kawę zbożową, a na obiad dostawaliśmy pół litra zupy z brukwi, okraszonej ziemniakiem i śladami włókien mięsnych. Obliczałem, że w sumie wartość całego odżywienia dziennego mieściła się w granicach 1 200—1 400 kalorii, czyli wystarczała do podtrzymania życia. Nie liczono się z tym, że wszyscy ranni mieli ropiejące rany i wskutek tego chcieli wiele białka. Wyżywienie nasze składało się głównie z węglowodanów, 20 g tłuszczu (margaryny) i minimalnej ilości białka. W szpitalu po raz pierwszy zetknąłem się z papierowymi bandażami, stosowanymi w Niemczech powszechnie w czasie całej wojny.

Mimo głodu gojenie się ran postępowało stosunkowo szybko. Tłumaczyłem to młodym wiekiem rannych i ich dobrym stanem zdrowia sprzed wojny. Wśród rannych spotykało się również bardzo młodych ochotników. W pamięci pozostał mi 16-letni, nad wiek rozwinięty chłopiec ze strzaskanym łokciem; nazwiska nie pamiętam, ale do dziś nie zapomniałem wyglądu jego twarzy. Czasem rodziły się we mnie wątpliwości, czy wobec braku odpowiedniego uzbrojenia istniała konieczność werbowania młodzieży do walki.

W dniu Wszystkich Świętych 1939 roku pozwolono wszystkim polskim lekarzom (przebywającym w różnych budynkach) na wspólny spacer po małym podwórku. W środku tego podwórka rosła grusza, na której było jeszcze kilka suchych liści. Byliśmy tak wygłodzeni, że próbowaliśmy te liście jeść, ale mimo długiego żucia pozostawały one twarde, nie dawały żadnego smaku i nie pomagały oszukać głodu.

Następnego dnia zakwaterowano wszystkich polskich lekarzy w jednym pomieszczeniu. Było nas ośmiu, a mianowicie: 1) kpt. *Dobrowolski*, zawodowy wojskowy, wychowanek Centrum Wyszkolenia Sanitarnego, w czasie wojny przydzielony do batalionu morskiego; przebywał następnie w *oflagu* X A w Itzehoe, X B w Sandbostel, dalszych jego losów nie znam; 2) kpt. *Wierzbicki*, zawodowy wojskowy, również wychowanek CWS, szef służby zdrowia na Helu, przebywający następnie w *oflagu* X A, skąd w maju 1940 roku został odesłany do kraju, gdzie podobno niedługo po powrocie zmarł; 3) por. Paweł *Czajkowski*, zawodowy wojskowy, też wychowanek CWS, komendant i chirurg szpitala polowego w Juracie; z *oflagu* X A został w kwietniu 1940 roku przeniesiony do innego obozu i jego dalszy los nie jest mi znany; 4) por. Zygmunt *Skomoroch*, zawodowy wojskowy, wychowanek CWS, lekarz szpitala polowego w Juracie, przebywał następnie w *oflagu* X A i X B; dalszego jego losu nie znam; 5) por. Stefan *Witke*, powołany z rezerwy, lekarz praktykujący w Wejherowie, został w maju 1940 roku zwolniony do kraju; 6) ppor. Kazimierz *Ślęzak*, zawodowy wojskowy, wychowanek CWS, przydzielony do jednostki na Oksywiu, w niewoli przebywał w *oflagu* X A, X B, X C w Lubece, w *stalagu* X A w Szlezwiku, a ponadto w szpitalu w Heidkaten, w szpitalu w Rotenburgu pod Bremą i po raz drugi w szpitalu w Szlezwiku; po wojnie wrócił do kraju, obecnie jest dyrektorem sanatorium „Pomorzanka" w Ciechocinku; 7) ppor. Jerzy *Hofman*, zawodowy wojskowy, wychowanek CWS, przydzielony do szpitala morskiego na Oksywiu, przebywał w *oflagu* X A i X B, następnie przeniesiony do nieznanego mi obozu; po wojnie wyjechał do Anglii, gdzie obecnie pracuje; 8) autor wspomnień.

Z uśmiechem wspominam pierwszy dzień naszego wspólnego zamieszkania. Nasi sanitariusze zdobyli w jakiś sposób większą ilość zupy z brukwi, a my byliśmy tak głodni, że np. ja zjadłem 5 półlitrowych misek zupy. Po zjedzeniu takiej ilości jałowej, prawie bezwartościowej zupy czuliśmy pełność brzucha, a jednocześnie byliśmy nadal głodni. Umieszczenie w jednym pokoju było dla nas wielkim dobrodziejstwem. Jako zespół zaczęliśmy się upominać o prawa należne służbie zdrowia, zgodnie z konwencją genewską. Uzyskaliśmy prawo do jednorazowego wyjścia w tygodniu na teren ogrodzonych zabudowań szpitalnych, w asyście *wachmana*. Pozwolono nam również kupować raz w tygodniu podstawowe artykuły w kantynie. Po pewnym czasie zostaliśmy dopuszczeni do udziału w obchodach w salach chorych. Poobiednią nudę wynikającą z bezczynności wypełnialiśmy planowaniem ewentualnej ucieczki do Danii lub opowiadaniem dowcipów, w czym celowali doktorzy *Czajkowski* i *Dobrowolski*.

Jedną z cech charakterystycznych w stosunkach między wszystkimi jeńcami był brak wzajemnych pretensji za sprawowanie się w czasie działań wojennych. Nie przeżywaliśmy wielkich odwrotów, ale ulegliśmy przewadze. Każdy więc czuł się załamany, ale nie szukał cudzych błędów. Z ogólną krytyką całokształtu działań wojennych spotkałem się dopiero w następnym miejscu pobytu w *oflagu*. W połowie listopada dowiedzieliśmy się, że wyleczeni ranni zostaną przeniesieni do obozów jenieckich, oficerowie do *oflagów*, inni do *stalagów*, a tych, którzy pozostali trwałymi inwalidami, zdecydowano odesłać do kraju. Zwolnionych ze szpitala miał być niecały tysiąc, w dalszym leczeniu miało pozostać nieco ponad 200 rannych. Nam w przeddzień wyjazdu podano, że 18 listopada zostaniemy wysłani do *oflagu X A* w Itzehoe, skąd mamy być zwolnieni do kraju.

Itzehoe, to nieduże miasteczko w okolicy Hamburga. Na jego peryferiach na wzgórzu wznosiły się cztery potężne bloki koszar, jeden z nich został przeznaczony na komendanturę obozu, a w trzech umieszczono przeszło 1 200 jeńców, polskich oficerów, przeważnie wziętych do niewoli w walkach w okolicach Warszawy. Obóz był otoczony podwójnym rzędem drutów kolczastych, wysokości powyżej 2 metrów. Między nimi ułożono zwoje z kolczastego drutu. Na wszystkich rogach znajdowały się wieże wartownicze, wyposażone w reflektory i karabiny maszynowe.

Warunki bytu w obozie zrobiły na nas przygnębiające wrażenie. Wśród oficerów panowała ponura atmosfera. Trwało załamanie psychiczne powstałe w wyniku klęski. Dyskusje dotyczyły głównie przyczyn upadku kraju oraz szukania winnych. Oprócz dostosowania się do czynności porządkowych, jak godziny apelów, na których liczono, czy kogoś nie brakuje, odbioru suchego prowiantu i jego rozdziału oraz zbiórki na obiad obozowicze nie byli zdolni do organizowania życia w nowych warunkach.

Wszystkim dokuczał głód, gdyż 200 g chleba, 20 g margaryny i talerz gęstej zupy z brukwi i kartofli, gotowanej na małej ilości dorsza lub śladach mięsa, nie zaspokajały potrzeb. W warunkach głodowych rozdział chleba i margaryny urastał do rangi problemu, a nawet bywał powodem konfliktów. Dla sprawiedliwego podziału żywności sporządzano improwizowane wagi z kija i sznurka i w ten sposób sprawdzano, czy kawałki chleba są równe. Wynajdywano różne systemy jedzenia. Jedni twierdzili, że najkorzystniej jest dzielić chleb i margarynę na dwie części i zjadać je w porze śniadania i kolacji. Inni uważali, że głód można oszukać przez długie żucie pokarmu w ustach. Ja byłem w tym szczęśliwym położeniu, że głód znosiłem dobrze, zjadałem wszystko, tj. zupę, chleb i margarynę na raz i przez 24 godziny miałem spokój.

Po przybyciu do obozu zrobiono nam zdjęcia z numerami na piersiach. Mnie w udziale przypadł numer 1663, który potem zamieniono na 52663 i taki towarzyszył mi już we wszystkich dokumentach do końca wojny, a również był wyryty na blaszce rozpoznawczej, którą powinienem był nosić na szyi.

Oficerowie w obozie zgodnie z konwencją genewską otrzymywali co 10 dni żołd w wysokości zależnej od stopnia, np. podporucznik 21 marek, porucznik 24, kapitan — 27 itd. według stopnia. Należność tę wypłacano w tzw. *lagermarkach*. W pierwszym okresie niewoli pozwalano kupować za nie różne przedmioty osobistego użytku, książki, a nawet instrumenty muzyczne. Te ostatnie były przekleństwem obozu. Ich nowi szczęśliwi posiadacze zaczynali na nich koncerty początkowo w pomieszczeniach mieszkalnych, a wyrzucani stamtąd, kontynuowali je na korytarzach. W tych warunkach w okresie zimowym trudno było w budynku wytrzymać, zima zaś była ostra, wszyscy cierpieli na brak ciepłej odzieży i dlatego poza koniecznym wyjściem na apel całe dnie spędzali w budynkach.

W połowie grudnia ogłoszono, że ma być dokonana wymiana polskich jeńców ze Związkiem Radzieckim i pochodzący zza Buga mogą zgłaszać się na wyjazd. Chociaż nikogo z rodziny za Bugiem nie miałem, zgłosiłem jednak chęć wyjazdu do ZSRR. Do wymiany jednak nigdy nie doszło.

W obozie zastaliśmy lekarzy, dermatologa szpitala okręgowego w Toruniu ppłka *Dąbrowskiego*, który w drugiej połowie 1940 roku z powodu podeszłego wieku został ze szpitala w Rotenburgu odesłany do kraju oraz ppor. rezerwy *Bromirskiego*, który (o ile pamiętam) został z początkiem maja 1940 również odesłany do kraju. Ponadto przebywał tam jeszcze kolega z podchorążówki, lekarz Edward *Reis*, który dostał się do niewoli w czasie walk, a ze względu na swoje żydowskie pochodzenie, aby nie narażać się Niemcom, nie dopominał się o zaliczenie go do zespołu lekarzy. Trzymał się liczącej około 100 osób grupy podchorążych, która z końcem grudnia została odesłana do *stalagu*. Niewolę przetrzymał i tuż po wojnie spotkałem go w Katowicach.

W *oflagu* opiekę lekarską nad jeńcami w tym czasie sprawowali prawie wyłącznie lekarze niemieccy. Stan zdrowotny przebywających w obozie należało uznać za dobry. Pobyt w niewoli trwał krótko i nie dał się jeszcze dotkliwie odczuć, a do obozu dostali się przede wszystkim sami zdrowi, gdyż inni, którzy nie wytrzymali trudów wojny, pozostali w szpitalach na terenach okupowanych. W okresie świąt noworocznych zaczęły przychodzić pierwsze listy, a potem paczki, najpierw z terenów wcielonych do Niemiec, a następnie z ziem nazwanych Generalną Gubernią. W tym czasie pozwolono jeńcom otrzymywane co dekadę pieniądze wysyłać do rodzin w kraju.

My lekarze dopominaliśmy się o respektowanie konwencji genewskiej, tj. o odesłanie nas do kraju. W efekcie uzyskaliśmy tylko, że zwolniono nas od codziennego dwukrotnego udziału w apelu, a sprawdzano w pomieszczeniach oraz pozwolono nam raz w tygodniu kupować półkilogramową bułkę, tzw. *Rosinenbrot* i paczkę papierosów. Po ciężkiej zimie nadeszła piękna wiosna. Niestety, zmąciło ją zajęcie przez Niemców Danii i Norwegii. Pewnego wieczoru lekarzom ppłk. *Dąbrowskiemu*, ppor. *Ślęzakowi*, ppor. *Hofmanowi* i mnie zapowiedziano, że następnego ranka mamy być gotowi do wyjazdu. Rzeczy mieliśmy niewiele, najcięższe były zakupione niedawno książki fachowe. Przekazaliśmy je tym, co pozostawali. Rano przed wyjściem z obozu usłyszeliśmy przez głośniki komunikaty o rozpoczęciu ofensywy w Holandii, Belgii i Francji; było to dnia 10 maja.

Zostaliśmy przewiezieni do szpitala dla jeńców w Rotenburgu pod Bremą. Byli tam leczeni polscy żołnierze, zatrudnieni przy różnych pracach, a porozmieszczani w małych miejscowościach w obozach liczących po kilkadziesiąt osób, tj. w tzw. *arbeitskommandach*.

Szpital mieścił się na skraju niedużego miasteczka w budynkach, które w pokojowych czasach stanowiły zakład dla ciężko niedorozwiniętych psychicznie. Jeden z tych budyn-

ków został wydzielony na 330-łóżkowy szpital dla jeńców. W pozostałych budynkach prowadzili swój ciężki żywot chorzy psychicznie, których jeszcze nie objęła tzw. akcja eutanazyjna. Używano ich do ciężkich robót fizycznych, do rozwożenia nawozu, orania w polu itp.

Szpital miał dwa zasadnicze oddziały, chirurgiczny i wewnętrzny. W jednym z nich zatrudniono dra *Ślęzaka,* a w drugim dra *Hofmana.* Dr *Dąbrowski* ze względu na wiek (około 70 lat) i stan zdrowia pracował niewiele. Mnie oddano w opiekę laboratorium, w którym wykonywano badania podstawowe, w razie potrzeby miałem więc możność poprawienia wyników analiz. Komendantem szpitala był Niemiec, *stabsartzt* mjr *Hanken*, w cywilu lekarz praktykujący w mieście Stade. Podeszły wiekiem, brał on już udział w pierwszej wojnie światowej. Wierzył święcie w zwycięstwo; trzeba jednak przyznać, że specjalnie nie wysilał się na dokuczanie jeńcom.

W szpitalu zastaliśmy około 100 naszych chorych i kilka osób personelu sanitarnego. Przewodził im kapral *Grochowski,* wysoki, energiczny, dbający o porządek, ofiarny dla chorych. Cieszył się więc życzliwością chorych. Udawało mu się czasem załatwić ich niektóre sprawy u Niemców.

Liczba naszych chorych zmniejszała się, gdyż Niemcy od czerwca 1940 roku zaczęli zmuszać polskich żołnierzy, aby zgodzili się zostać cywilnymi robotnikami. Pewna ich część zgadzała się bez większego oporu na taką zmianę, gdyż pozwalało im to swobodnie poruszać się na ściśle określonym terenie, ograniczonym do miejsca zatrudnienia. Inni byli kierowani do karnych obozów, gdzie po pewnym czasie nie wytrzymywali znęcania się, ulegali i wyrażali zgodę. W ten sposób stawali się niewolnikami, a symbolem tego była oznaka „P", przymusowo noszona na lewej piersi.

Innym sposobem zwalniania z niewoli była droga przez szpital, gdzie różnym kandydatom na chorych dorabialiśmy dodatkowe badania, odpowiednią historię choroby i na tej podstawie podsuwaliśmy lekarzowi niemieckiemu do podpisania wniosek o odesłanie chorego do kraju, jako niezdolnego do pracy. Taką dokumentację produkowaliśmy stosunkowo często i w ten sposób udało nam się dopomóc w powrocie do kraju kilkudziesięciu jeńcom. W niewoli, oprócz oficerów w *oflagach,* pozostali tylko nieliczni polscy jeńcy, którzy wykonywali różne funkcje gospodarcze, np. rzemieślnicy w *stalagach.*

Życie w szpitalu byłoby znośne, mieliśmy bowiem pokój na poddaszu, czystą pościel, jedzenie skromne, czasem dostawaliśmy już paczki od rodzin, a przede wszystkim mogliśmy pomagać swoim chorym. Niepokoiły nas tylko wiadomości wojenne, upadek Holandii, Belgii, Paryża, Dunkierki, a zwłaszcza kapitulacja Francji. Był to okropny dzień dla nas. Niemcy fetowali swój kolejny sukces. Dzwony biły przez godzinę. Rozpacz i ten piekielny głos dzwonów wyprowadzały nas z równowagi. Pod koniec czerwca zaczęli napływać do szpitala pierwsi chorzy z frontu zachodniego. Najwięcej było jeńców z armii francuskiej, wśród których poza Francuzami dużą grupę stanowili Arabowie. Zdarzali się również jeńcy pochodzący z kolonii. Arabów i Murzynów wkrótce zabrano i odesłano do obozów, przeważnie na południu Niemiec. Liczni byli Belgowie. Przywieziono też kilkunastu Anglików, którzy dostali się do niewoli we Francji oraz trzech młodych oficerów angielskich, wziętych do niewoli w Norwegii. Szpital został obłożony do ostatniego miejsca. W tym czasie skierowano do pracy dwu lekarzy francuskich, por. *Antoine Lazaire,* pochodzacego z Paryża i aspiranta podchorążego *Maurice Lamberta* z Bordeaux.

Dr *Lazaire* wkrótce zachorował na anginę. Pod koniec choroby poprosił nas o udzielenie mu pomocy w symulowaniu zapalenia nerek. Analizy moczu, odpowiednio spreparowane, wypadły jak należy. Wiedzieliśmy, że dr *Hanken* potrafi przyjść do laboratorium i sam oglądać osad moczu pod mikroskopem, że czasem mierzy chorym ciśnienie osobiście, przed każdą jego wizytą w ostatniej chwili dr *Lazaire* dostawał więc zastrzyk z adrenaliny, po czym ciśnienie miał około 170 na 90. Gdy już miała zapaść decyzja o zwolnieniu go z powodu choroby do Francji, dr *Hanken* zechciał jednak stwierdzić w moczu wałeczki szkliste. Uśmiechnęliśmy się zadowoleni, bo mieliśmy na oddziale tego rodzaju chorego, chociaż w bardzo ciężkim stanie. Polecono więc pobrać od niego rano mocz i przesłać do analizy, aby pokazać Niemcowi jako mocz dra *Lazaire'a.* Pech jednak chciał, że ciężko chory nad ranem zmarł. Pobrano więc mocz cewnikiem od zmarłego, ale niestety nie było już wałeczków szklistych. Mimo wszystko „chorego" lekarza zakwalifikowano do powrotu do kraju. Razem z nim zdecydowano się odesłać do Francji dra *Lamberta.* Ujawnił mi się on przed odjazdem, że ukrywał swe pochodzenie żydowskie, dlatego dotychczas porozumiewaliśmy się miedzy sobą łamana niemczyzna lub poszczególnymi słowami francuskimi. Na pożegnanie płynną polszczyzną oświadczył mi, że pochodzi z Białegostoku, ale będąc Żydem miał małe możliwości dostania się na medycynę w Polsce i dlatego wyjechał do Francji.

We wrześniu położyłem się do łóżka i po pewnym czasie zostałem zakwalifikowany do zwolnienia jako chory leżący. Niestety, tymczasem wyszedł ogólny zakaz zwalniania oficerów i inteligentów, toteż moje wyrwanie się z niewoli nie doszło do skutku. Wcześniej zdążył jeszcze wyjechać do kraju ppłk *Dąbrowski.* Nasza działalność w szpitalu wydała się prawdopodobnie dr *Hankenowi* podejrzana, bo niespodziewanie 3 kwietnia 1941 roku zostaliśmy przeniesieni do Sandbostel, o którym pisał z punktu widzenia więźnia-„muzułmana" J. *Nowicki* w ósmym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Obóz w Sandbostel, rozbudowany na odludziu wśród torfowisk, wydm piaszczystych i wrzosowisk, kilkanaście kilometrów od najbliższej stacji kolejowej Bremervörde, na zachód od Bremy, z upływem czasu zmieniał swój wygląd. Spotkałem tam naszych jeńców, którzy jako pierwsi mieszkali w tym obozie już w roku 1939, w ziemiankach i zaczynali budować baraki. W okresie mojego pobytu, tj. w roku 1941 mieścił sie tam *stalag X B* dla żołnierzy polskich, francuskich, belgijskich, jugosłowiańskich, a potem również radzieckich, *oflag X B* dla 2 tysięcy oficerów polskich, *marlag* dla marynarzy z zatopionych okrętów oraz *ilag* dla internowanych cywilnych z różnych zatopionych statków.

Po 11 miesiącach pobytu w szpitalu wróciłem więc znowu do obozu. Wielu spośród mieszkańców dobrze znałem, gdyż był to mój poprzedni obóz przeniesiony uprzednio z Itzehoe. Życie w nim jednak było już inne. Mieszkańcy zmienili usposobienie, przestali wspominać o klesce wrześniowej, stali się spokojniejsi, ale powolni i smutni. Ich życie przybrało zorganizowane formy. Rozwijało się życie kulturalne,

wystawiano przedstawienia, jeńcy zaczęli się uczyć języków obcych, różnych przedmiotów zawodowych, przerabiali programy studiów, niektórzy nawet przygotowywali się do objęcia w przyszłości wysokich stanowisk w administracji państwowej. Zorganizowano bibliotekę, która miała powodzenie; jedni dużo czytali, uczyli się, a inni grali w karty.

Do Sandbostel przybyliśmy w okresie epidemii grypy. W izbie chorych leczyło się kilkudziesięciu gorączkujących, a wielu z braku miejsc leżało w barakach. Po półtorarocznej niewoli stan zdrowotny oficerów znacznie się pogorszył. Po kilku dniach przeniesiono do innego obozu dra *Hofmana*, a na jego miejsce przysłano ppor. dra Zygmunta *Chojeckiego*, wychowanka CWS, który później został karnie przeniesiony do znanego ze szczególnie złych warunków obozu jeńców radzieckich. Po wojnie, po powrocie do kraju dr *Chojecki* już jako docent prowadził klinikę gastrologiczną w Warszawie, a przez długie lata był prorektorem Akademii Medycznej. Zmarł w roku 1965 na zawał serca w wieku 51 lat. Wspominam go szczególnie serdecznie jako człowieka wyjątkowo pracowitego, uczciwego aż do przesady, wiele wymagającego przede wszystkim od siebie i nadzwyczaj skromnego. Z nim razem został przydzielony jako lekarz Jerzy *Lenis*, bez stopnia. Do wojska prawdopodobnie dołączył podczas obrony Warszawy, po wojnie zdał brakujące mu egzaminy i wyjechał do Kanady. W czwórkę więc, tzn. wymienieni oraz dr *Ślęzak* i ja zajmowaliśmy się leczeniem w obozie liczącym wtedy 2 tysiące oficerów.

Wydarzenia militarne w okresie mojego sześciomiesięcznego pobytu w tym *oflagu* miały szczególny wpływ na samopoczucie żyjących w odosobnieniu mieszkańców obozu. Pierwsze, to atak niemiecki na Jugosławię i Grecję 6 kwietnia 1941 roku i podbój Krety (20 maja 1941 roku). Czasami nam się zdawało, że nie ma już na Niemców sposobu i że jakieś siły nieczyste im pomagają. W okresie tego przygnębienia zaczęły w listach z kraju napływać do nas dziwne, początkowo niezrozumiałe wiadomości. Pisano, że w szkołach podstawowych, które w okresie okupacji w Generalnej Guberni były czynne, przerwano nauczanie, gdyż zostały one przeznaczone dla „zielonych żab", które „w ostatnim okresie nadzwyczaj się rozmnożyły". Z różnych licznych podobnego rodzaju listów nabraliśmy przekonania, że na terenach okupowanych dokonuje się koncentracja wojsk niemieckich.

W niedzielę 22 czerwca 1941 roku wczas rano dowiedzieliśmy się od *wachmanów*, że zaczął się atak Niemiec na Związek Radziecki. Radość zapanowała nie do opisania. Wreszcie poza wynikającymi tylko z uczucia, życzeń i wiary powstały realne nadzieje na uwikłanie się Rzeszy w wojnę grożącą klęską. Obóz był tak podniecony, jak nigdy przedtem. Z niepokojem śledziliśmy przebieg walk na wschodzie tym bardziej, że dołączyły się do nich wiadomości o sukcesach *Rommla* w Afryce.

W sierpniu wybuchła w obozie Sandbostel epidemia czerwonki. W izbie chorych mieliśmy nadkomplet, a wielu chorych z powodu braku miejsca leżało w barakach. W ich leczeniu dysponowaliśmy tylko tanalbiną i kroplami opium, jako dietą gotowanymi ziółkami. Dr *Chojecki* zaczął próbować u niektórych chorych podawania posiadanych w niewielkiej ilości sulfonamidów (albucidu, sulfatiazolu i innych) i przekonał się, że leki te dawały pewną poprawę i łagodziły przebieg choroby. Czerwonka nie ominęła i mnie. Z początku mimo choroby pracowałem, ale po kilku dniach położywszy się do łóżka straciłem przytomność i tak sobie wyobrażam uczucie umierania bez bólu. Następnego dnia po omdleniu biegunka ustąpiła, odzyskałem apetyt i wracałem do sił.

Niemcy, potrzebujący już wówczas lekarzy dla swoich rannych, opiekę nad jeńcami prawie w całości przekazali lekarzom zatrzymanym w niewoli. Na 2 tysiące oficerów było nas czterech. Dziennie mieliśmy około 100 zgłoszonych chorych oraz kilkunastu lub nieco więcej chorych leżących w izbie chorych. Przyjęcia zaczynaliśmy zaraz po rannym apelu, tj. od godziny 7.45 do 13. Ja załatwiałem pierwszą najliczniejszą, ale i najłatwiejszą grupę, tzw. interesantów. Następnie do mnie należało dopilnowanie spraw bytowych całej czwórki. Doktorzy *Chojecki* i *Lenis* przyjmowali po mnie następnych chorych, a dr *Ślęzak* zajmował się izbą chorych. Oprócz nas dodatkowo pracowało jeszcze dwóch sanitariuszy.

Do gabinetu wchodzili najpierw pragnący powtórzyć recepty. Niemcy w tym czasie ograniczyli już bezpłatne wydawanie leków, a chorzy oficerowie mogli kupować za otrzymywany żołd leki na podstawie recept realizowanych w aptece w mieście przez niemieckiego sanitariusza. Wypisywałem przeważnie leki ogólnie wzmacniające, witaminy, glukozę i inne według potrzeb. Niektórzy prosili o *Klosterfrau-Melissengeist*, lek będący właściwie wódką ziołową w 100 gramowych butelkach. Następna grupa koniecznie chciała być skierowana obojętnie do jakiego specjalisty. Zależało im głównie na tym, aby wydostać się nawet pod opieką *wachmana* poza druty kolczaste *oflagu* i przejść do równie ogrodzonego drutami szpitala jenieckiego. Po drodze mieli jednak możność zobaczyć jeńców innych narodowości, z którymi zresztą nie wolno było prowadzić rozmów. W okresie wiosny mogli oni zobaczyć świeżą trawę, a czasem również kwiatek. W obozie poszczególne źdźbła trawy były rzadkością. Następni chorzy mieli różne wątpliwości, czy mogą jeść otrzymane od rodzin produkty i czy są one dostatecznie świeże. Ponadto robiłem zastrzyki dożylne, a także doglądałem opatrunków robionych przez sanitariuszy. Na koniec pozostawiałem swoim następcom przygotowane miejsce dla dalszej, istotniejszej pracy lekarskiej.

Z kolei zajmowałem się sprawami gospodarczymi. Spośród jeńców wybrałem jednego, który koniecznie chciał dostać się do izby chorych. Twierdził, że nie jest już psychicznie zdolny przebywać dalej wśród tych samych 12 osób w sali i że oszaleje, jeśli nie zmieni otoczenia. Niewątpliwie przejawiała się tutaj „choroba drutów kolczastych". Gdy dowiedziałem się, że umie gotować, zaproponowałem mu przyjęcie do izby chorych i wspólne stołowanie się bez troszczenia się o zaopatrzenie, ale pod warunkiem zajęcia się przygotowywaniem posiłków. Warunki te z zadowoleniem przyjął. Pozostawało mi więc zaopatrzenie, odbieranie ewentualnych paczek, jak też zakupy odpowiednich artykułów na czarnym rynku, bo i taki też istniał.

W południe schodziliśmy się wszyscy po pracy na obiad przygotowany przez naszego kuchmistrza-porucznika. Zamykaliśmy wtedy okna i drzwi, aby po lawinie chorych choć trochę odpocząć. Nie zawsze nam się to udawało. Czasem ktoś pukał, bo go głowa lub ząb, czy coś innego zabolało. Pomocy odmówić nie było można, bo mógł spotkać nas zarzut, że jesteśmy niewystarczająco troskliwi o chorych. Po południu większość obozowiczów, aby nie tracić kondycji, spacerowała wokół po niedużym placu. Jeśli pokazaliśmy się na placu, co chwilę ktoś podchodził po poradę, inni pokazywali listy od rodzin i prosili o informacje odnoszące się do opisywanych chorób lub o receptę, która mogli wysłać rodzinie w kraju. Po apelu następował dla nas spokój. W nocy rzadko byliśmy wzywani do nagłych zachorowań. Wieczorem czuliśmy się zmęczeni całodzienną pracą, ale szczęśliwsi od tych wszystkich, którzy przez cały dzień nie mieli żadnych obowiązków i zamknięci na przestrzeni kilku tysięcy metrów kwadratowych mogli tylko rozmyślać.

Wśród chorych stwierdziliśmy coraz więcej nerwic: zaczęły pojawiać się też choroby umysłowe. Zmniejszyła się liczba chorych z owrzodzeniem żołądka, na-

tomiast przebieg tej choroby i objawy były cięższe. Choroby układu krążenia miały raczej tło nerwicowe. Zmniejszyła się odporność na choroby zakaźne; w ciągu sześciu miesięcy pobytu mieliśmy dwie epidemie, grypy i czerwonki.

W połowie lipca 1941 roku przed południem, gdy byłem sam w pokoju, przyszło dwóch poruczników z zapytaniem, czy nie mogliby z naszego pokoju poprowadzić podkopu celem wydostania się z obozu i czy koledzy moi na to się zgodzą. Zastrzegliśmy się tylko, że nie będą od nas ze względu na brak czasu wymagali udziału w pracy fizycznej. Wkrótce zjawili się z narzędziami. Przepiłowali podłogę pod blachą koło pieca, wyjęli kilka desek, włożyli przyniesione, nie wiadomo jak zdobyte, kombinezony, weszli pod podłogę ze zrobionymi z blachy łopatami i nakryli wejście wyjętymi deskami. Codziennie po rannym apelu wchodzili pod podłogę, pracowali kilka godzin, a przed wieczornym apelem wychodzili. Jednego z nich, ppor. *Kukulskiego*, znaliśmy dobrze. Z początku wojny jako młody zawodowy podchorąży po roku 1939 dostał się do Francji. W czasie walk na zachodzie został odznaczony, był ranny i dostał się do niewoli. Z *oflagu* w Itzehoe w ciemną noc próbował uciekać poprzez druty. Przyłapanemu na drutach przestrzelono z broni maszynowej obie nogi, miał jednak szczęście i po pewnym czasie o lasce zaczął chodzić. Mimo pierwszego niepowodzenia przygotowywał nową ucieczkę. Nasi „kopacze" pracowali spokojnie przez kilka tygodni i informowali nas, że już podkopują się pod otaczający obóz głęboki rów. Wykopywaną ziemię rozsypywali pod barakiem.

Pewnego dnia w południe Niemcy zarządzili specjalny apel i na teren obozu wkroczył oddział *wachmanów* ubrany w kombinezony. Zdążyliśmy jeszcze powiadomić pracujących pod barakiem i na czas zjawili się na apel. *Wachmani* zaczęli szukać pod wszystkimi barakami. Na szczęście ominęli izbę chorych i niczego nie znalazłszy, odeszli. Na drugi dzień mniej więcej o tym samym czasie powtórzono kontrole z tą różnicą, że kilku *wachmanów* weszło również i pod nasz barak. Za niewiele minut w naszym pokoju odsunęła sie podłoga przepiłowana koło pieca i wychylił sie zadowolony, uśmiechnięty Niemiec. Po odkryciu podkopu nikt z Niemców tego dnia z nami nie rozmawiał. Dopiero na drugi dzień zabierano nas po kolei na przesłuchanie do *Abwehry*. Rozmowa była mniej więcej taka. Z których okolic Polski pochodzę? Z Krakowa. Czy mam krewnych w Związku Radzieckim? Nie. Czy brałem udział w przygotowaniu podkopu? Nie. Na dowód pokazałem ręce bez śladów pracy fizycznej. Kto przygotowywał podkop? Nie wiem, cały dzień pracuję, pokoju nie zamykamy. Dlaczego chciałem uciekać? Uciekać nie chciałem, bo gdzie mi będzie lepiej niż w obozie. Po kilku podobnych pytaniach i odpowiedziach zostałem odprowadzony do obozu.

Po trzech dniach odczytano na apelu rozkaz komendanta obozu, że za pomoc w przygotowaniu ucieczki zostaliśmy ukarani każdy po 14 dni aresztu. Na drugi dzień *wachmani* zabrali nas do odsiadywania kary. Każdy otrzymał osobną celę z drewnianą pryczą i umieszczonym tuż pod sufitem okienkiem mniejszym od głowy. Zamknięto nas w okresie, gdy w obozie szalała epidemia czerwonki. Chorzy zostali całkowicie bez opieki lekarskiej. Niemcy po zorientowaniu się zwolnili tego samego dnia dra *Chojeckiego*, następnego dnia doktorów *Ślęzaka* i *Lenisa*, a potem kazali i mnie wracać do obozu. Próbowałem się temu przeciwstawiać, gdyż po przebytej czerwonce i po wytężonej pracy w obozie wreszcie mogłem odpocząć. Dziwne im się wydawało, że ktoś nie chce wychodzić z aresztu, ale dopilnowali wykonania ich rozkazu.

Pozwolono nam nawet w asyście *wachmana* wyjść poza obóz na spacer. Mieliśmy okazję obejrzeć torfowiska i pracujących na nich więźniów wielu narodowości. Przechodząc koło wartowni, słyszeliśmy mowę *Hitlera*, zapowiadającą bliski upadek Moskwy. W obozie atmosfera była niespokojna. Wszyscy przygotowywali się do przewidywanego przeniesienia *oflagu* z Sandbostel do Lubeki. Pewnego popołudnia jeszcze przed przeniesieniem kazano drowi *Chojeckiemu* i mnie przyszykować się do transportu do innego obozu. W dniu 24 października 1941 roku rano z sanitariuszem Bronisławem *Dworakowskim* opuściłem Sandbostel i odjechałem do obozu dla jeńców radzieckich w Heidkaten.

Dra *Chojeckiego* skierowano do *stalagu XD* w Wietzendorfie. Miał on tam cięższe przeżycia, gdyż był to znacznie większy obóz, przez który według jego oceny przeszło około 49 tysięcy jeńców radzieckich, a tylko tysiąc ocalał. Z relacji dra *Chojeckiego* wynika, że hitlerowcy doprowadzili tam jeńców do takiego wygłodzenia, iż zdarzały się wypadki nekrofagii, polegające na tym, że pozostali jeszcze przy życiu wycinali i zjadali łydki zmarłych.

Po kilku godzinach jazdy pociągiem do stacji Kaltenkirchen, a następnie przeszedłszy około 3 km, dotarliśmy do Heidkaten. Była to mała wioska leżąca przy szosie prowadzącej z Hamburga przez Bad Bramstedt do Neumünster. Po drodze przechodziliśmy przez długi betonowy, w tym czasie nieczynny pas startowy samolotów. Rozejrzawszy się w obozie, stwierdziłem, że składa się on z 9 baraków, osobnego kąpieliska i zabudowań kuchennych. W trzech barakach byli umieszczeni żołnierze radzieccy. Część czwartego baraku zajmowali *wachmani*.

Znaleźliśmy się z Bronkiem w szczytowej izbie jednego z wolnych baraków. Transportujący *wachman* przekazał nas komendantowi *arbeitskommanda*, którym był *unteroffizier Priess*. W cywilu pracował podobno jako urzędnik sądowy w Hamburgu. Wzrostu był małego, pulchny, zadowolony z siebie, o złośliwym uśmiechu. Z miejsca stwierdził, że nasz przyjazd jest mu potrzebny, gdyż w obozie ma wielu chorych, a on przecież potrzebuje ludzi do pracy. Polecił mi, abym jak najszybciej zorientował się w stanie zdrowotnym jeńców leżących w barakach. Poinformował mnie przy tym, że przywieziono ich niedawno trzystu, ale kilku z nich już umarło. Praca ich miała polegać na pomocy przy robotach ziemnych prowadzonych przy leżącym obok lotnisku.

Poszedłem z sanitariuszem Bronkiem do najbliższego zajętego baraku. Każdy barak składał się z czterech dużych izb i małego pomieszczenia u jego szczytu. W izbie mieściło się dwanaście podwójnych prycz z siennikami napełnionymi słomą i przykrytymi dwoma kocami, ponadto długi stół, kilka taboretów, a na środku stał żeliwny piec. To, co zastałem w pierwszym pomieszczeniu, przeraziło mnie. Na całej podłodze pełno było rozrzedzonych odchodów ludzkich; mimo otwartych okien panował niesamowity smród. Na niektórych łóżkach leżeli chorzy ubrudzeni kałem, o grubych, jak konewki obrzękłych nogach. Ci z nich, którzy mogli wstawać, próbowali zbierać z podłogi nieczystości łopatą do wiaderka. Podobną sytuację stwierdziłem w pozostałych izbach.

Próbowałem nawiązać z chorymi bezpośredni kontakt. Podchodzili do mnie jednak bez zbytniego zaufania. Nie dziwiłem się temu, bo przecież chorzy z głodu i wycieńczenia pracą, z obrzękami głodowymi i biegunką, nie bardzo mogli zrozumieć, co ja tam mam do roboty. Przeciwko mnie przemawiał również mój stosunkowo schludny mundur wojskowy i względnie dobry wygląd. Dowiedziałem się od nich,

a byli to przeważnie młodzi chłopcy, że do niewoli dostali się w pobliżu granicy w pierwszych dniach wojny. Z pewną dumą wspominali o surowej dyscyplinie panującej w ich wojsku. Nie znając rosyjskiego, miałem pewne trudności w porozumiewaniu się, ale nie były one wielkie i szybko je pokonałem.

Żywiono ich prawie tak samo, jak nas w *oflagu,* tzn. dostawali około 1200 kalorii dziennie, musieli jednak ciężko pracować i nie dostawali znikąd żadnych paczek. Ponadto przy każdej okazji, a nawet bez żadnej przyczyny nieludzko ich bito. Stwierdziwszy dwa zgony oraz zapoznawszy się z sytuacją chorych, zaproponowałem komendantowi *Priessowi* stworzenie izby chorych, na co przystał i oddał mi do dyspozycji cały barak, do którego uprzednio się wprowadziłem. Wieczorem tego samego dnia, po powrocie reszty jeńców z pracy zabrałem wszystkich nie mogących chodzić do swojego baraku. Oprócz biegunek i obrzęków głodowych u licznych jeńców stwierdziłem rany kłute, tłuczone, ropowicowe i inne zewnętrzne obrażenia. Chorych zebrała się niecała setka, czyli prawie trzecia część obozu. Niewiele na razie mogłem im pomóc. Dzięki pobytowi w izbie chorych nie wychodzili jednak do pracy i unikali rannych i wieczornych apeli.

Apele stanowiły trudne do opisania sadystyczne znęcanie się. O godzinie 7 rano jeden z *wachmanów* uderzał w wiszącą szynę. Na ten sygnał wszyscy jeńcy musieli jak najszybciej ustawić się w szeregach po środku obozu. Pod niektórymi drzwiami ustawiali się *wachmani* z drewnianymi pałkami. Przepuszczali pierwszych kilku wybiegających, a następnych bito na oślep tymi pałkami. Zadziwiające było, że bici nie jęczeli, ale znosili te potworne razy w milczeniu, co prawdopodobnie wywoływało jeszcze większą wściekłość u oprawców. Całemu temu widowisku z uśmiechem zadowolenia codziennie przyglądał się komendant obozu *Priess*. Stojącym w czasie apelu dostawały się czasem dodatkowe razy od podchodzącego z tyłu któregoś z *wachmanów*. Szczególnym sadyzmem odznaczał się wysoki chudy blondyn, silnie umięśniony, około 40-letni. Bił z zaciętością i z zadowoleniem. Mniej typowy był w obozie *wachman,* hamburczyk, mały, drobnej budowy, który nigdy w znęcaniu się nie brał udziału. W rozmowie ze mną zwierzył się, że ma z tego powodu przykrości od komendanta *Priessa*. Jeńcy byli zadowoleni, gdy szli z nim do pracy, bo nie zmuszał ich do roboty, nawet na wykopanych już kartofliskach zbierał dla nich znalezione ziemniaki, a prowadząc ich do obozu, nucił im niekiedy Międzynarodówkę.

Stwierdziłem, że stan chorych jest bardzo ciężki. Powiadomiłem o tym *Priessa*. Interesowało go tylko, czy będą oni jeszcze zdolni do pracy; gdy dowiedział się, że nie, to bez oporu zgodził się, abym tych, których będę chciał, odesłał do szpitala w *stalagu* w Wietzendorfie. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że ten tzw. szpital, to obóz wyniszczenia. Przygotowałem transport, przy czym chorym pozostawiłem swobodę wyboru pozostania na miejscu lub odjazdu do szpitala. Kilkunastu z nich wolało zostać, a przeszło pięćdziesięciu wybrało szpital. W czasie oczekiwania na odjazd codziennie poszczególni jeńcy umierali. Po odesłaniu chorych stan obozu nie przekraczał liczby 200 jeńców. Po kilku tygodniach mojego pobytu w obozie przeniesiono komendanta *Priessa,* a zaraz po nim wspomnianego już najgorszego z *wachmanów*. Z ich odejściem zakończyło się bicie jeńców. Wysnułem z tego oczywisty wniosek, że znęcanie się wychodziło z inicjatywy *Priessa*.

W izbie chorych przebywało stale po kilkanaście osób. Jeden z nich szczególnie utkwił mi w pamięci. Na imię miał Mikołaj; cierpiał na biegunkę i obrzęki głodowe. W następstwie bicia zrobił mu się na udzie olbrzymi ropień, który następnie przesunął się na podudzie. Przy badaniu czuć było pod skórą chełbotanie dużej ilości ropy. Jedynym wyjściem było otwarcie ropnia, a ja w całym wyposażeniu miałem tylko nożyczki, pensetę, trochę ligniny i gazy oraz swój i Bronka opatrunek osobisty, przechowywany jeszcze z czasów wojny. Przed zabiegiem wygotowałem żyletkę; nad i pod kolanem przeciąłem głęboko i szeroko skórę, wprowadziłem palce do rany, poprzerywałem różne zrosty i wypuściłem około pół miednicy ropy. Chory podczas zabiegu nawet się nie skrzywił. Postanowiliśmy z Bronkiem prawie nie jeść i oddawać mu swoje porcje, aby go tym wzmocnić. Niestety, walkę o jego życie przegraliśmy, nasz chory po trzech dniach zmarł.

Izba chorych przylegała do naszego pomieszczenia i wszystko było słychać, co mówią lub co się tam dzieje. Pewnego dnia usłyszeliśmy u nich wypowiadane co chwilę słowo *kamu*. Domyśliłem się, że czymś się dzielą. Wszedłem do sali i zobaczyłem, że chorzy, a było ich wtedy ośmiu, wpatrują się w stojący na piecu garnek, zrobiony z jakiejś puszki, a jeden z nich rozdziela ugotowaną i pokrojoną na osiem części mysz. Aby podział był sprawiedliwy, jeden dzielił, a drugi przydzielał porcje.

W rogu placu obozowego stały pojemniki na śmieci, do których wyrzucano również odpadki z kuchni. Wszystkich powiadomiono, że do grzebiących w śmietnikach będzie się strzelać. Jednego popołudnia zauważyłem, że koło baraku do śmietnika skrada się jakiś jeniec. *Wachman,* który to zauważył, złożył się z karabinu i strzelił. Za ten czyn dostał podobno kilka dni urlopu. Ciężko rannego jeńca przeniesiono do szpitala, gdzie wkrótce zmarł. Mimo to nie dłużej niż po godzinie już następny skradał się do śmietnika. Taka była siła głodu, powszechnie panującego w obozach jeńców radzieckich.

Pod koniec listopada 1941 roku zauważyłem przez okno, że po drugiej stronie obozowego placyku stoją w asyście *wachmana* jacyś ubrani w porządne mundury polscy wojskowi. Jednym z nich był ppor. Zbigniew *Jagodziński,* lekarz. Przed wybuchem wojny skończył 5 lat medycyny jako podchorąży CWS. Ewakuowany ze szkołą przez Rumunię, dostał się do Francji, a stamtąd do niewoli. Przebywał w Szlez-

wiku, Heidkaten i Kolonii. Po wojnie wrócił do kraju, pracował w Żyrardowie, w Akademii Medycznej w Zabrzu, a następnie na stanowisku dyrektora szpitala i ordynatora oddziału chirurgicznego w Węgrowie. Po pożarze szpitala, powstałym w czasie prowadzonej przez niego operacji, zachorował na zawał serca. Po podleczeniu wrócił do poprzedniej pracy. Następny zawał doprowadził go do śmierci w 49 roku życia. Dr *Jagodziński,* zawsze gotowy do poświęceń, o wysokiej etyce zawodowej, miły i wesoły, był powszechnie szanowany i lubiany.

Drugim przybyłym był mgr praw, podchorąży Adam *Żebrowski.* Próbując w roku 1939 przez Bałtyk i Szwecję dostać się do Francji, trafił do niewoli. W *stalagu X A* poduczył się pracy w laboratorium medycznym, robienia podstawowych badań, do Heidkaten przyjechał już jako laborant. Po wojnie zaraz wrócił do kraju i sprawował wiele ważnych funkcji państwowych, między innymi ministra, prezesa Narodowego Banku Polskiego, a obecnie choruje i jest doradcą jednego z wicepremierów. Wymienionych przysłano jako pierwszych do zakładania szpitala dla jeńców radzieckich. Wkrótce po nich przybyli następni polscy sanitariusze, mianowicie dwaj marynarze o takim samym nazwisku, Bolesław i Stanisław *Bojanowscy,* kapral *Chudak,* dwaj Polacy z Francji i Jugosłowianin. Przysłano również Ludwika *Saniewskiego,* mieszkańca Łodzi, który do niewoli dostał się w Rumunii po wkroczeniu tam wojsk niemieckich. Przysłano go jako tłumacza, aczkolwiek nie znał prawie żadnego języka obcego. Cechowała go niezmierna tęsknota do żony i córki, o których mógł cały dzień opowiadać.

W Heidkaten powstały teraz dwie osobne jednostki organizacyjne, tj. *arbeitskommando,* którego stan z powodu zgonów i skierowań do szpitala zmniejszył się do około 100 jeńców, oraz szpital, który po kilku dniach działalności miał już stu kilkudziesięciu chorych. Należałem z Bronkiem do *arbeitskommanda,* ale bez ograniczeń umożliwiono mi wstęp do szpitala. Otwarcie szpitala wyzyskałem w celu podrzucenia tam swoich ciężej chorych, a równocześnie pewna liczba zdrowych została przydzielona do wykonywania funkcji gospodarczych w szpitalu.

Wkrótce stwierdzono wśród chorych dur wysypkowy, a po laboratoryjnym potwierdzeniu zarządzono kwarantannę. Wśród pilnujących nas Niemców zapanował paniczny strach. Na dur zachorował również nasz sanitariusz, Bolek *Bojanowski.* Stworzyło to dla naszego personelu kłopotliwą sytuację, gdyż wszyscy mieszkali razem w jednym pomieszczeniu. Po naradzie postanowiono jednak pozostawić chorego razem ze zdrowymi, gdyż nie było innej możliwości zapewnienia mu opieki, a chorobę przechodził wyjątkowo ciężko i przez kilka dni był nieprzytomny.

Jeńcy radzieccy przechodzili dur wysypkowy stosunkowo lekko. Rzadko ciepłota przekraczała u nich 38°. Tłumaczyliśmy to sobie jako wynik ogólnego wyniszczenia, albo jako następstwo wrodzonej odporności, wynikłej z przebycia tej choroby przez któregoś z ich przodków, w tej samej linii. Wszyscy, zarówno chorzy, jak i personel, byli poddawani co tydzień dezynfekcji. Polegała ona na kąpieli z równoczesnym oddawaniem ubrania do parowego kotła. Z kąpieli wychodziliśmy zgrzani w wilgotnych ubraniach, chorzy nawet bez ubrań, owinięci tylko kocem i przy około 30-stopniowym mrozie biegliśmy do baraków. Dziwiliśmy się, że w tych warunkach nikt nie nabawił się zapalenia płuc. Po kilku tygodniach epidemii Niemcy dostarczyli dla pracowników szpitala szczepionkę przeciwdurową. Z utęsknieniem czekaliśmy końca epidemii, a trwała ona prawie trzy miesiące, tj. od 20 marca 1942 roku, do czasu, gdy przez okres trzech tygodni nie stwierdzono nowego zachorowania.

W szpitalu dysponowaliśmy co prawda materiałami opatrunkowymi i podstawowymi lekami, których jednak stosowaliśmy stosunkowo niewiele, gdyż główną przyczyną chorób był głód i ciężka praca, a na to leków nie mieliśmy. Dzienna śmiertelność wahała się w granicach 2—7 osób. Zmarłych, obojętnie, ilu ich danego dnia było, składano do drewnianej skrzyni. Każdego uprzednio rozbierano i pozostawiano mu tylko na szyi połowę złamanego znaku rozpoznawczego. Na każdego przydzielano 2 m^2 papieru pakunkowego, gdyż taka była norma. W skrzyni można było zmieścić 2—3 zwłok. Gdy zmarłych było więcej, to aby ich nie wozić dwa razy, starano się wszystkie zwłoki zmieścić w jednej skrzyni. W takich wypadkach zdarzało się, że ze skrzyni wystawały ręce i nogi. Zmarłych przewożono za pobliski lasek. Opowiadano mi, że do wykopanego długiego rowu wysypywano ze skrzyni wszystkie zwłoki i przysypywano płytką warstwą ziemi. Następnego dnia robiono to samo i w ten sam sposób powoli rów się wypełniał. Obecny przy tych pogrzebach Niemiec *Kostro* powiedział: „Żałujecie pewnie, że nie macie możliwości sfilmowania tego, bo gdyby wam się udało taki film wysłać za granicę, to na pewno opłaciłoby się to wam". Po jakimś czasie kazano zmarłych grzebać po kryjomu wcześnie rano, gdyż podobne postępowanie z żołnierzami radzieckimi miało źle wpływać na stacjonujących obok żołnierzy *Luftwaffe.*

Po zakończeniu kwarantanny zaczął się zwiększony ruch w szpitalu, przystąpiono do wypisywania oraz przyjmowania wszystkich chorych, nie tylko z durem. Niemcy chcieli, aby ich jak najwięcej wypisać; również większość leżących chciała się z tego zamknięcia wydostać tym bardziej, że niektórzy z nich słyszeli, jakoby pracujący w gospodarstwach rolnych otrzymywali lepsze wyżywienie. Przed nami stanęło więc zagadnienie, na podstawie jakich przesłanek określić stan zdrowia i zdolność do pracy. Po dyskusji ustaliliśmy, że zostaną wypisani ci, którzy w grupie potrafią swobodnie obejść dookoła plac szpitalny. Chętni do wypisania dostali ubrania, samorzutnie ustawili się w trójki i ze śpiewem *„Jesli zawtra wojna, jesli zawtra w pochod..."* zaczęli maszerować. Tym, którym przychodziło to z trudem, doradzaliśmy, aby jeszcze pozostali w szpitalu.

Któregoś dnia przyprowadzono do szpitala chorego z ropniem na stopie. Pracował u *bauera,* był silny, dobrze odżywiony. Jego przybycie wywołało w szpitalu jakieś podniecenie. Rozpoznano w nim zbrodniarza, jednego z najgorszych „kapo" z obozu w Wietzendorfie. Na drugi dzień rano nowo przybyły nie żył. Sta-

nęliśmy przed zagadnieniem natury etycznej, jaką przyczynę zgonu podać. Po dyskusji napisaliśmy w karcie chorych, że przyczyna zgonu jest nieznana. Uważaliśmy, że nie do nas należy sądzenie decyzji środowiska, w którym ów „kapo" znalazł swoją śmierć.

Wśród wtedy przyjmowanych chorych większość znajdowała się już w stanie nadającym się jeszcze do leczenia. Zaczynała się więc praca lekarska. Mnie jednak nie było przeznaczone w niej uczestniczyć, bo 27 kwietnia 1942 roku zostałem razem z Bronkiem przewieziony do *stalagu* w Szlezwiku, skąd miałem przejść do pracy w Hamburgu. Zostawiałem w Heidkaten grupę kolegów, z którymi w tych ciężkich warunkach zżyłem się tak, że nawiązana tam przyjaźń trwa do dziś. Po przeniesieniu mnie stamtąd nadarzyła mi się okazja poznania *stalagu*, któremu były podporządkowane wszystkie porozrzucane w terenie małe obozy pracy jeńców.

W *stalagu* istniała jeszcze dosyć liczna grupa jeńców polskich, którzy różnymi sposobami, przeważnie podając się za rzemieślników, uchronili się od niewolniczego losu wyzyskiwanych cywilnych robotników. Zatrudniano ich głównie w warsztatach, jako krawców, szewców itp. Odpowiedzialnym za całą opiekę zdrowotną nad jeńcami tego *stalagu* od roku 1942 do końca wojny był *stabsarzt Wiechman*. Bezpośrednia opieka lekarska nad jeńcami opierała się w znacznym stopniu na pracownikach służby zdrowia podbitych narodów. W izbie chorych tego *stalagu* pracował lekarz, ppor. *Nikolić* z Belgradu, którego zawsze uśmiechnięta twarz i dziewczęcy wygląd budziły zaufanie. Lekarzem polskim był Stanisław *Orawiec*; nie miał on jeszcze wprawdzie dyplomu, ale ostatnie egzaminy zdał tuż po wojnie. W pracy radził sobie jednak dobrze, był powszechnie lubiany. Po wojnie wrócił do kraju i osiedlił się we Wrocławiu. W izbie chorych pomagał mu Jan *Birtus*, student Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po wojnie wyjechał do Francji, gdzie skończył medycynę i tam pozostał.

Do ważniejszych osób w obozie należał również „mąż zaufania". Był nim Stefan *Strzałko*, prawnik z Kresów. Do jego zasadniczych obowiązków należało pilnowanie, aby przysyłane przez różne organizacje, a zwłaszcza Czerwony Krzyż, paczki żywnościowe i z odzieżą nie były przez Niemców rozkradane i były sprawiedliwie dzielone. Według panującej w obozie opinii rolę swoją spełniał sumiennie ku zadowoleniu wszystkich. Po wojnie wrócił do kraju i osiedlił się w Krakowie.

Pobyt w *stalagu* wykorzystałem na wyleczenie zębów, doprowadzenie do porządku ubrania, zaopatrzenie się w żywność i papierosy. Po kilku dniach, z początkiem maja znalazłem się z nieodłącznym Bronkiem w Hamburgu — Altona, w *arbeitskommandzie*, przy Pappenstrasse 15. W budynku, w którym na parterze mieściła się wytwórnia cygar, na pierwszym piętrze w dużej sali umieszczono kilkudziesięciu jeńców francuskich. Nam przydzielono małe pomieszczenie na poddaszu, w ktorym równocześnie mieszkaliśmy i przyjmowaliśmy chorych. Głównym moim zadaniem było jeżdżenie na każde telefoniczne wezwanie do chorych w różnych *arbeitskommandach* przydzielonego mi rejonu i udzielanie im pomocy w miejscu ich zakwaterowania. Praca polegała głównie na leczeniu czyraków. Większą część dnia spędzaliśmy, siedząc w naszej izbie lub, gdy nam pozwolono, na podwórku przed domem. Znacznie chętniej wychodziliśmy przez łatwe do otwarcia drzwi na dach budynku, skąd mogliśmy obserwować panoramę miasta. Zauważyliśmy, że w Hamburgu prawie we wszystkich podwórkach czynne były rożne drobne warsztaty produkcyjne, pracujące na pełnych obrotach.

Pewnego dnia na dachu budynku spotkaliśmy dwóch robotnikow naprawiających dziury powstałe wskutek nalotów lotniczych. Gdy się dowiedzieli, ze jesteśmy polskimi jeńcami, zaczęli się nam zwierzać. Byli oni przed dojściem *Hitlera* do władzy członkami partii komunistycznej. Następnie zostali osadzeni w obozie, gdzie jak opowiadali, obchodzono się z nimi okrutnie. Zwolnieni jako fachowcy potrzebni do prac dekarskich, wyjawili nam, że czekają na okazję, aby policzyć się ze swoimi oprawcami.

Do interesujących wspomnień z Hamburga zaliczam również obserwowane naloty lotnicze. W czasie alarmu zamiast do schronu staraliśmy dostać się na dach. Dawało nam to możność oglądania fascynujących widoków. Nad miastem przesuwało się po niebie wiele świateł reflektorów, wyszukujących samoloty. Gdy udało się im jakiś samolot wykryć i wziąć w skrzyżowane światła, odzywała się artyleria przeciwlotnicza i ostrzeliwała samolot. Gdy kanonada zbliżała się w naszym kierunku, z obawy przed odłamkami udawaliśmy się do izby. Mimo częstych alarmów w czasie mojego pobytu w Hamburgu nie przeżyłem poważniejszego nalotu. Jak wiadomo, dopiero w latach następnych miasto to przeszło „dywanowe", skuteczne bombardowania.

W Hamburgu przebywałem cztery miesiące w warunkach zbliżonych do więziennych, bo większość dnia spędzałem zamknięty. Na domiar wiadomości o dalszych jeszcze sukcesach niemieckich na wschodzie i o powodzeniu piratów hitlerowskich na Atlantyku wpływały na nas przygnębiająco. Z ulgą przyjąłem przeniesienie mnie 18 września 1942 roku do następnego miejsca mojej wędrówki, tj. do obozu dla jeńców francuskich w Lubece. Nie sądziłem wtedy, że doczekam tam końca wojny. Nie przypuszczałem również, że będą w Lubece znośne warunki i że będę przydatny jeńcom różnych narodowości. Ten etap moich przeżyć i obserwacji z lat wojny, znamienny między innymi ze względu na możność poznania niewolniczych warunków wegetacji i pracy przymusowych robotników cywilnych, ściągniętych zwłaszcza z Polski i ze Związku Radzieckiego, musiałby być przedmiotem odrębnego artykułu.

BOGUSŁAW CERENIEWICZ
były więzień obozów jenieckich w Arnswalde i Woldenbergu

Zakopane

Szpital jeńców wojennych w Tangerhütte

Do szpitala jenieckiego w Tangerhütte zostałem wraz z kilkoma chorymi kolegami, również jeńcami, przewieziony w dniu 29 kwietnia 1941 roku [1]. Tangerhütte, to małe miasteczko, leżące w pobliżu Magdeburga, po zachodniej stronie Łaby. Znajdujący się tam szpital miał nazwę *Reserve-Lazarett T*. Dzielił się na dwa oddziały, położone w różnych częściach miasteczka; zarząd i niemiecka administracja znajdowały się w tzw. „Szkole", będącej jednocześnie oddziałem oficerskim, a w tzw. „Strzelnicy", ekspozyturze „Szkoły", umieszczono szeregowych, chorych na gruźlicę.

Po kapitulacji samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie" gen. F. *Kleeberga*, w której dowodziłem batalionem w dywizji „Brzoza", znalazłem się rankiem 6 października 1939 roku wraz z resztą moich żołnierzy w miejscowości Krzywda. Mój macierzysty 1 pułk piechoty legionów był już rozbity. Zgodnie z układem kapitulacyjnym dostaliśmy się do niewoli niemieckiej i tego samego dnia przewieziono nas do fortów Dęblina, nazajutrz do Radomia. Tak zaczął się jeniecki etap mojego życia [2]. Dnia 17 października przewieziono nas do Kielc, gdzie zaczęły nas gnębić pierwsze wszy. Dnia 21 tegoż miesiąca, znów transportem samochodowym, ruszyliśmy przez Częstochowę i Lubliniec do Wrocławia, a stamtąd pociągiem do Stargardu. Tam w przejściowym obozie jeńców wojennych (*Stalag II A*) poznaliśmy uczucie dotkliwego głodu i zimna. Zachorowałem na grypę. Skwitowano mnie paroma pastylkami aspiryny. Dnia 6 listopada po ponownej podróży do Arnswalde zakwaterowano nas tam już tym razem na długo. Z tego obozu (*Oflag II B*) przeniesiono nas 17 września 1940 roku do Woldenbergu (*Oflag II C*). Najcięższe były przeżycia psychiczne: dramat poniesionej klęski, atmosfera niewoli, niepewność losu najbliższych, przedłużający się pobyt za drutami. Obóz w Woldenbergu, niejednokrotnie już opisywany, podziałał na mnie deprymująco także pod względem fizycznym. W ciasnej i brudnej połowie baraku, stanowiącej jedno pomieszczenie, mieszkało nas około 200 ludzi. Przestrzeń wypełniały trzypoziomowe łóżka. Mur był cienki, dach kryty papą, brak sufitu, panowała wilgoć, ściany pokrywała oślizgła pleśń; przenikała nas zgnilizna, piwniczna wilgoć. Pleśnią pokrywała się nawet bielizna w walizce, gdy się jej nie wietrzyło.

Nocami podczas mroźnej i wietrznej zimy 1940/41 roku barak nagrzewał się od oddechów dziesiątków ludzi, ciekło więc ze ścian i dachu. W dzień tworzyły się z tej wilgoci lodowe skorupy. Puchły nam palce u rąk i nóg. Przyglądałem się, jak były zniekształcone i śmieszne. Przy każdym ruchu odczuwało się ból w stawach. Często opuchnięcie u jeńców znikało i pozostawało nieprzyjemne swędzenie. W tych warunkach zapadłem na wspomnianą już grypę. Jakąś maścią nacierał mnie mój znajomy, kapral, sanitariusz z Wilna, aż skóra stała się czerwona. Za zalodzonymi oknami trzaskał mróz. W nocy obudziłem się zlany potem. Musiałem zmieniać bieliznę, a nazajutrz byłem półprzytomny. Z trudem zdobyty termometr wskazywał ciepłotę 39,7°. Lekarz przekazał mnie do obozowej izby chorych. Pojawił się kaszel, zielona plwocina, silne zmęczenie, niechęć do jakichkolwiek zajęć, brak apetytu, pieczenie policzków, ogólne złe samopoczucie. Ponownie zostałem zbadany w izbie chorych; wykonano zdjęcie radiologiczne i analizę plwociny; odczyn Biernackiego wynosił 58/86. W pierwszej połowie kwietnia 1941 roku podano mi do wiadomości, że władze obozowe zaakceptowały mój wyjazd do szpitala jenieckiego w Tangerhütte pod Magdeburgiem. W ten sposób znalazłem się tam z początkami gruźlicy.

W Tangerhütte zajęto się mną już w pierwszych godzinach po przyjeździe. Poznałem dra *Krzyżewskiego*, który prowadził wszystkie badania. Zważono mnie, zanalizowano plwocinę i krew, osłuchiwano, opukiwano itp. Byłem zupełnie nieświadomy stanu swej choroby, nie wyczuwałem też w sobie żadnego zainteresowania własnym losem. Po Woldenbergu czułem się dobrze i spokojnie. Opad polepszył się; wynosił 37/71. Dnia 7 maja zbadał mnie miejscowy specjalista niemiecki, kpt. dr *Hager*. Zlecił odmę. Wykonano ją po dwóch dniach. Przystąpiono do różnych zabiegów, zastrzyków itp. W końcu czerwca odczułem dotkliwy ból w okolicy lewego kąta opłucnej. Pojawiły się stany gorączkowe i bóle opłucnej, w której prześwietlenie wykazało obecność płynu. Leżałem. Zaczął się przykry okres okładów z antyflogistyny, niemieckiego leku, wyglądającego, jak szara masa przypominająca kit. Znacznie ją rozgrzewano, smarowano nią duży płat ligniny i takim kompresem okładano cały bok. Rozgrzana, lepka masa lgnęła do skóry i powodowała swym gorącem ból nie do wytrzymania. Wkrótce okłady te stały się ogólnym postrachem jeńców chorych na gruźlicę. Wziąłem w sumie aż 39 takich okładów. Płyn nie zmniejszał się; po którymś kolejnym, bardziej rozgrzanym, kompresie nastąpiło poważne poparzenie naskórka. Okłady ustały, a zaczęło się leczenie oparzeń. Potem tortura znów się rozpoczęła. Świeży naskórek uległ nowym oparzeniom. Później, wykazawszy swą bezskuteczność, antyflogistyna wyszła z użycia.

Z biegiem czasu mój stan fizyczny i samopoczucie poprawiły się trochę. Po latach, we wrześniu 1944 roku, gdy znów wykonano kolejne zdjęcie płuc, niemiecki specjalista z Magdeburga polecił rozpuścić moją odmę i zakończyć leczenie. Groził mi więc powrót z *lazaretu* do obozu jeńców. Tymczasem dokładnie poznałem szpital w Tangerhütte, któremu właśnie poświęcam ten artykuł.

Wspomniany na początku oddział „Szkoła" mieścił się w dawnym budynku szkoły powszechnej, zamienionym na czas wojny na szpital rezerwowy dla jeńców wojennych. Był to najokazalszy budynek w miasteczku. Dawne, murowane ogrodzenie szkoły, wzmoc-

---

[1] Opublikowana tutaj w skrócie relacja autora jest fragmentem jego obszernych wspomnień, o których wspominaliśmy już w Przegl. Lek. (1969, nr 1, s. 216). Autor regularnie prowadził swe zapiski w niewoli (przyp. red.).

[2] Wspomnienia autora z kampanii wrześniowej zostały spisane w osobnym maszynopisie pt. „Wrześniowe drogi".

nione drutem kolczastym, odcinało nas od świata. Na parterze urzędowała niemiecka administracja. Na pierwszym i drugim piętrze, oddzieleni potężnymi zwałami drutu kolczastego na klatkach schodowych, wegetowali chorzy na gruźlicę jeńcy wojenni oraz jenieccy lekarze i pracownicy sanitarni.

W „Strzelnicy" (*Schützenhaus*; ćwiczyli tam niegdyś strzelcy miejscowego *Schützenvereinu*), leżącej po przeciwnej stronie miasta, przy szosie do Magdeburga, badano przybywających chorych, decydowano o ewentualnej odmie i po paru tygodniach kierowano ich do „Szkoły". Przy strzelnicy, w wielkiej hali z obszerną sceną, odbywały się uprzednio zebrania militarystów hitlerowskich; z chwilą wybuchu wojny budynek ten przeznaczono na szpital jeniecki. Tandetnie wykonany, nie chronił chorych przed zimnem i wilgocią. Za ogrodzeniem, w baraku warty mieściły się magazyny darów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz areszt. Było tam więcej świeżego powietrza i obiekt ten nie wywierał przykrego, obozowego wrażenia. „Strzelnicę" otaczały zabudowania gospodarskie z ogrodami, sadami i polami uprawnymi. Za drutami falowały zboża, a w salach szpitalnych śmierć zbierała swoje żniwo. Mimo formalnej ochrony prawa międzynarowego i mimo dokładnej izolacji od świata zewnętrznego wiedzieliśmy i czuliśmy stale, że znaleźliśmy się w miejscu zbrodni i bezprawia.

Hitlerowcy chyba nie przypadkowo wybrali miejsce ośrodka leczenia gruźlicy dla jeńców w terenie bagnistym i mokrym, widocznym już z okien pociągu, a ożywionym nieco kępami olszyn i wierzb. Prawdziwego sanatorium nie można by tutaj założyć.

Tangerhütte nie sprzyjało leczeniu gruźlicy ani pod względem fizycznym, ani psychicznym. Nawet najprymitywniejszy spokój był niemożliwy, gdyż codziennie trzeba było załatwiać samemu sprawy związane z bytowaniem, przyrządzać posiłki, obsługiwać ciężej chorych kolegów, naprawiać umundurowanie, prać bieliznę, sprzątać swój „rejon" itp.

Niemieckim komendantem szpitala był niezmiennie od początku wojny ppłk, *oberfeldarzt* dr *Söhngen*. Praktycznie leczeniem nie kierował, nie wykazał w tym zakresie żadnych umiejętności i nie zdradzał postawy prawdziwego lekarza. Nieludzki, uśmiechający się cynicznie, nie krył, że brzydzi się całą tą nędzą ludzką, z którą miał do czynienia. Wygodnie żył z dala od frontu. Interesował się tylko sprawami administracyjnymi.

Liczba innych niemieckich pracowników szpitala była minimalna (*oberfeldfebel*, szef szpitala podoficer gospodarczy, dwóch tłumaczy, tzw. podoficerowie stacyjni, dwóch w „Szkole", jeden na „Strzelnicy"). Na „Strzelnicy" rezydował tylko szef tego oddziału, *feldfebel Behrens* i jeden sanitariusz, *gefreiter Raabe*. Inny *gefreiter* był kierowcą samochodu. W kancelarii *chefarzta* i *zahlmeistra* pracowały urzędniczki cywilne. Również kobiety zajmowały się kuchnią, pralniami i warsztatem krawieckim dla pracowników niemieckich. Liczne funkcje powierzono naszym sanitariuszom (aptekarza, pracownika w „roentgenie", czynności wydawania paczek i depozytów itp.); w tym zakresie faworyzowano głównie *volksdeutschów*, kolaborantów i konfidentów.

Grupę zupełnie oddzielną stanowiła warta. Początkowo stan ogólny wartowników „Szkoły" i „Strzelnicy" wynosił przeszło 40 żołnierzy. Z biegiem lat zmniejszył się do 6—8 ludzi w każdym oddziale. Warta na ogół nie miała wpływu na nasze życie wewnętrzne. Ośrodek nasz był mały i spokojny, toteż żołnierze wchodzący w skład warty byli przeważnie mało sprawnymi ludźmi, odrzuconymi z ośrodków zapasowych, inwalidami, wręcz ofermami, a ostatnio w większości staruszkami z *volkssturmu*. Byli oni znużeni przeciągającą się wojną, chcieliby tylko wrócić do domu, a pilnowanie jeńców było dla nich także jakąś formą niewoli. Wartownicy po kryjomu handlowali z jeńcami. Skład warty często zmieniano. W baraku wartowniczym na „Strzelnicy" mieścił się nasz magazyn żywności i umundurowania oraz darów pochodzących z przesyłek Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Latem 1943 roku magazyn ten został pewnej nocy okradziony. Drzwi otwarto wytrychem. Sprawa ta stała się głośna. Zjechali przedstawiciele władz wojskowych i sądowych. Nie trzeba było wielkich zdolności detektywistycznych, żeby wykryć, iż winowajcami byli żołnierze niemieckiego oddziału wartowniczego. Na wartowni pod łóżkami znaleziono część zawartości paczek. Inne przedmioty były zakopane w ziemi, w pobliżu wartowni. Całą wartę oczywiście zmieniono, wydano ostre, ścisłe rozkazy, a represje zastosowano w stosunku do jeńców.

Stosunek niemieckiej ludności cywilnej do nas dałby się określić jako „handlowy". Wykwalifikowani specjaliści z naszej strony przeprowadzali zamiany towarowe z przedstawicielami strony przeciwnej, dysponując całym arsenałem sposobów i środków. Ceny były specyficzne, a najbardziej poszukiwany artykuł „importu" stanowiły jaja i sezonowe jarzyny, ale także zjawiały się oprócz żyletek, pasty do zębów i materiałów piśmiennych nawet pończochy damskie i prezerwatywy. Głównymi artykułami „eksportu" były: kawa ziarnista lub tzw. *nescafé*, kakao, czekolada i papierosy.

Główną pracę lekarską wykonywali lekarze-jeńcy. Robili, co mogli, ale tak się złożyło, że w opisywanym szpitalu gruźliczym od początku wojny nie było jeszcze żadnego specjalisty. Był to niewątpliwie wynik celowego działania władz niemieckich, bo w naszych innych obozach oficerskich znajdowało się wielu znanych i słynnych ftyzjatrów, odsuniętych najczęściej od czynności lekarskich. Tematem wielu gorzkich dowcipów był fakt, że leczyli nas ginekolodzy, pediatrzy lub psychiatrzy. W tych warunkach chorzy byli pozostawieni samym sobie, eksperymentom odmy, biurokratycznym rozpoznaniom niemieckiego specjalisty, a sama kontrola opadu krwi, ciężaru ciała, badania plwociny nie stanowiły żadnej skutecznej metody leczenia. Odmę wykonywano na „Strzelnicy", gdzie znajdował się aparat rentgenowski i aparat odmowy.

W tym oddziale niemal od chwili powstania szpitala pracował lekarz Wacław *Krzyżewski*, porucznik, młody lekarz wojskowy, ale bardzo ambitny i nieprzeciętnie zdolny, niezwykle pracowity i sumienny. Fachowego przygotowania nie miał. Przed wojną odbył tylko krótki staż w Sanatorium Wojskowym w Otwocku, a przez okres czterech lat swojej prak-

tyki lekarskiej był lekarzem oddziałowym. Stanął on tu wobec ciężkich zadań, ale rąk nie załamał. Specjalizację praktyczną rozpoczął pod kierunkiem dr *Hagera*, a doświadczenia zbierał i wiedzę pogłębiał, korzystając z ilościowego i jakościowego bogactwa chorób płuc w tym szpitalu. Z biegiem czasu *Krzyżewski* stał się tutaj głównym autorytetem leczniczym. Spod jego ręki wyszły setki założonych odm i wiele tysięcy dopełnień. Był to jednak lekarz nieco z bożej łaski, bo aczkolwiek zdobył ogromne doświadczenie i dużą wiedzę fachową, to jednak zawsze dawał się wyczuwać brak specjalisty, który by nadawał mu kierunek i przyśpieszał rozwój jego zdolności. Najlepszym dowodem ofiarności dra *Krzyżewskiego* jest fakt, że wreszcie i on sam uległ tej zwalczanej przez siebie chorobie.

W roku 1943 zyskał on dobrego współpracownika w osobie ppor. lek. *Reiskego*. Ppor. *Reiske* był oficerem służby stałej, a w chwili wybuchu wojny znajdował się jeszcze w Szkole Podchorążych Sanitarnych, nie miał więc pełnych kwalifikacji lekarskich ani praktyki. Był jednak chirurgiem z zamiłowania i wszelkie zabiegi związane z chirurgią wykonywał sprawnie i skutecznie i z tzw. „nerwem". Zdobył już duże doświadczenie zarówno w zakresie chirurgii, jak też chorób płuc, a przeprowadzane przez niego dopełnienia odmowe były tak niezawodne i bezbolesne, że chorzy jeńcy z góry przesądzali skuteczność jego pomocy. Ppor. *Reiske* sam przyjechał tutaj jako chory na gruźlicę.

W pewnym okresie, z początku, gdy liczba chorych innych narodowości była większa, pracowali na „Strzelnicy" dwaj lekarze francuscy i lekarz serbski. Zabrano ich jednak do *stalagu* w Altengrabowie. W „Szkole" przewinęło się wielu naszych lekarzy. Wyróżnili się dr *Wajner* i dr *Friedel*. Jeńcy innych narodowości mieli w „Szkole" także swoich lekarzy; byli to Francuzi, Jugosłowianie, Belgowie, a później Włosi. Stan chorych w „Szkole" i na „Strzelnicy" był mniej więcej ten sam. Polacy byli zawsze najliczniejsi. Ogólna liczba chorych wynosiła przeważnie około 250, a komplet szpitala około 300 miejsc.

Mieliśmy swoją wojskową i narodową organizację, która w ogólnych zarysach opierała się na postanowieniach Konwencji Genewskiej. Mężem zaufania naszej grupy jenieckiej był zawsze jeden z najstarszych stopniem oficerów. Reprezentował on naszą zbiorowość wobec władz niemieckich oraz Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wydawał zarządzenia wewnętrzne i w gruncie rzeczy był wojskowym przełożonym żołnierzy polskich tu zgrupowanych. Czynności swoje wykonywał przez oficerów funkcyjnych, płatnika, oficera pocztowego, bieliźnianego, mundurowego, magazyniera itp. Jego adiutant prowadził kancelarię, załatwiał korespondencję, pisał rozkazy itp. Sale chorych stanowiły rodzaj pododdziałów. Każda z nich miała swego komendanta, który prócz regulowania życia wewnętrznego w sali, wykonywał lub podawał do wiadomości wszystkie zarządzenia męża zaufania, przebywającego w „Szkole" i tam urządzającego odprawy, w których brali udział wszyscy funkcyjni, komendanci sal i przedstawiciele „Strzelnicy". Funkcję męża zaufania pełnili kolejno płk Karol *Błaszkowicz*, ppłk *Klementowski*, ppłk dr *Riesser*, a następnie ppłk dypl. Mieczysław *Wilczewski*. Była to przykra i chyba najgorsza z prac, jaką oficera można obarczyć w niewoli. Z jednej strony wymagała trudu współpracy z władzami niemieckimi, a z drugiej tłumienia samowoli rodaków.

Mąż zaufania wydawał także rozkazy pisemne w razie potrzeby, a więc podziękowania, pochwały, kary itp., zarządzał obchody rocznic narodowych, regulował wystąpienia zbiorowe, utrzymywał oficjalną formę stosunków z przedstawicielami innych narodowości jenieckich itp. Jego praca nie kolidowała w niczym ze stanowiskiem i kompetencjami lekarzy, którzy w każdym szpitalu są autorytetem, natomiast trwała ścisła współpraca z nimi. Sprawy zatargów honorowych rozstrzygał oficerski sąd honorowy.

Lazaret „T" zdobył złą sławę wśród wielu tysięcy jeńców w różnych obozach ze względu na piekło gruźlicy i rzadko spotykaną skalę cierpień jeńców przebywających w tym szpitalu. Jaskrawo widać tam było skutki wojny, nędzy i głodu. Prątki, plusy, minusy, krew rzygana litrami, suchy kaszel, sople obrzydłej plwociny i szarej masy płuc w spluwaczkach, odma, ropa w opłucnych, wychudłe kościotrupy, laseczniki *Kocha* w płucach, w kręgosłupach, żołądkach, kościach, mózgach, uszach, nosach, wrzody gruźlicze na skórze, w gardłach, na genitaliach składały się na ten przerażający obraz.

Byliśmy zbiorowiskiem chorych i bezsilnych, ale wmawialiśmy w siebie różne wartości. Wydawało się nam, że odgrywamy lub jeszcze odegramy ważną rolę w życiu osobistym i w społeczeństwie. Pielęgnowaliśmy nasze stopnie wojskowe i stanowiska. Tymczasem chodziliśmy w podartych pasiakach szpitalnych, a złośliwa rzeczywistość wojenna oraz zła choroba pozbawiały nas znamion godności i człowieczeństwa. W istocie fikcją były stopnie wojskowe i tytuły naukowe. Jedna tęsknota i jedno marzenie o wolności przepełniało wszystkich. Mimo wszystko przy tej dewaluacji sztucznych autorytetów wyłaniała się i objawiała istotna wartość prawdziwych ludzi, których charaktery wyraźniej sprawdzały się w tej sytuacji.

Na opisanym tle nasza wegetacja ciągnęła się przez miesiące i lata, setki i tysiące dni, a każdy był podobny do poprzedniego. Również porządek każdego szpitalnego dnia za drutami był niezmienny przez całe pięć lat. Istniały zawsze pewne różnice między „Strzelnicą" i „Szkołą". Nieco inaczej układał się dzień latem, a inaczej zimą, ale zawsze cechowała go ta sama szarość i beznadziejność.

Wstawanie odbywało się o godzinie 7. Wtedy wstawali jednak tylko nieliczni i przeważnie starsi wiekiem, nieco zdziwaczali panowie. Chcieli się też swobodnie umyć i być w gotowości, gdy o godzinie 7.30 przynoszono do sali gorącą wodę. Wtedy już wstawali inni. Początkowo znajdowało się tutaj wielu niemieckich sanitariuszy i wydawało się, że głównym celem ich istnienia było dopilnowanie punktualnego wstawania chorych. Trzęśli łóżkami i zrywali koce przy akompaniamencie typowo niemieckich, gardłowych okrzyków. Z czasem zapanowała swoboda pod tym względem. Sanitariusze niemieccy odeszli, a jedyny podoficer stacyjny miał zbyt wiele roboty i kłopotów, aby pilnować takiego „drylu". Należy dodać, że do wstawania byli obowiązani chorzy, którzy na swoich tablicach mieli wypisaną literę A (*aufstehen*). Ciężej chorzy, zaznaczeni literą B (*Bettruhe*), pozostawali w łóżkach.

Myciu towarzyszyły wyścigi i bieganina, bo na najwyższym piętrze w „Szkole" nie starczało wody w umywalkach, trzeba więc było schodzić na dół, a tam panował właśnie największy tłok. Nie trudno było o zwadę. Chorzy na gruźlicę są zwykle rano bardzo złośliwi i napięci; najmniejszy powód może stać się przyczyną wymyślań i przekleństw. Fakt ten utrudniał współżycie w naszych warunkach.

Na śniadanie zwykle wydawano tzw. „ziółka", napój dobrze znany we wszystkich obozach. Później uzyskaliśmy u władz szpitalnych zgodę na wydawanie rano i wieczorem gorącej wody, która służyła nam do zaparzania herbaty, kawy, kakao lub owomaltiny z paczek. Około godziny 8 rozpoczynało się sprzątanie sal, wykonywane przez sanitariuszy-jeńców. Zdrowi i chętni szli w tym czasie na spacer, który trwał do godziny 9. W „Szkole" wychodził o tej godzinie podoficer niemiecki i gwizdkiem dawał sygnał zakończenia spaceru, powrotu na salę i początku

tzw. *Liegekur*, przymusowego leżenia, które trwało do godziny 11.30.

Godzin przymusowego leżenia dość ściśle przestrzegano w „Szkole", zwłaszcza w zimie. Latem panowała większa swoboda i w okresach przymusowego leżenia można było wyjść na dziedziniec, powietrze jednak, nasycone wonią kanalizacyjnych odchodów i dymem palących się śmieci i odpadków, nie przynosiło większej ulgi na tym dziedzińcu szpitalnym w „Szkole". Był on zresztą niewielki i obejmował kilkaset metrów kwadratowych. Na „Strzelnicy" prawie całkowicie nie przestrzegano przymusowego leżenia ani zimą, ani latem. Zima stwarzała tam fatalne warunki. Wilgoć i chłód oraz ponury nastrój pomieszczeń nie nastrajały do leżenia. Natomiast w ciągu lata było tam znacznie przyjemniej i chorzy wykorzystywali wszelkie możliwości, aby na okres letni przenieść się na „Strzelnicę".

W godzinach przedpołudniowych odbywało się poza nadto wydawanie depozytów. Wszystkie pełne, hermetycznie zamknięte puszki Niemcy, wydając nadeszłe paczki, pozostawiali w depozycie. Pobieranie puszek było jednak możliwe codziennie, w miarę potrzeby. Puszkę musiał otwierać podoficer niemiecki, który sprawdzał jej zawartość, wyrzucaną następnie do innego naczynia.

W godzinach 9—11 wykonywano w ambulatorium zabiegi lekarskie. Polegały one zasadniczo na dawaniu zastrzyków wapnia, badaniu krwi na opad oraz drobnych opatrunkach. Przerwa obiadowa przypadała na godziny 11.30—13. Obiad gotowano na „Strzelnicy" i dla chorych ze „Szkoły" co dzień o godzinie 12 przewożono stamtąd w kotłach. Stanowił on właściwie tylko przedmiot ceremonii, bo zupy były tak podłe i niesmaczne, że wypijało się tylko nieco płynu, w którym zagotowano zupę, dla rozgrzania żołądka. W przerwie obiadowej była otwarta biblioteka. W godzinach 11—13 dozwolono spacerować na podwórku. Przymusowe leżenie zaczynało się znowu o godzinie 13 i trwało do godziny 15. W tym czasie obowiązywała także cisza na salach. W przesycie życia obozowego był to jeden z najmilszych momentów dnia. Można było wtedy bez przeszkód oddać się własnym myślom i uzyskać złudzenie utęsknionej samotności.

W kuchni szpitalnej początkowo rządził kucharz niemiecki. Później, gdy z etapów powyciągano wszystkich mężczyzn zdolnych do walki, obsługę kuchni przejęli jeńcy, ale zarząd gospodarczy pozostał w rękach niemieckich. Zmiana ta w niczym nie wpłynęła na polepszenie wyżywienia. Kucharze-jeńcy traktowali swoją funkcję jako synekurę. Trudno było zresztą stworzyć cuda z brukwi, robaczywego grochu, czy też wstrętnych suszonych jarzyn.

Urzędowy jadłospis niemiecki zasadniczo przewidywał na śniadanie gorącą wodę po 1/2 litra na osobę, na obiad zupę z brukwi, marchwi, grochu, suszonych jarzyn, a czasem kaszy jęczmiennej lub jaglanej w ilości 1/2 litra na osobę, a na kolację znów gorącą wodę. Notowałem wtedy: „Nie wiem po co marnuje się te wszystkie artykuły, gotując je, bo przecież i tak są one zupełnie niejadalne i nikt ich nie je, wypija się kilka łyżek gorącego płynu, a resztę wyrzuca do beczki. Popularność zup obiadowych jest jednak barometrem ogólnej sytuacji żywnościowej. Gdy zupa ta jest zjadana w większej ilości, to znaczy, że z zaopatrzeniem paczkowym jest krucho. Bezsprzecznie woldenberskie zupy obozowe były bardziej smaczne i pożywne".

Na osobę wydawano 1/6 bochenka wojskowego chleba. Cztery razy w tygodniu dostawaliśmy małe porcyjki margaryny oraz ser, czarną kiełbasę lub marmeladę. Teoretycznie istniały jeszcze dodatki odżywcze oraz dietetyczne, które przydzielano w drodze długiej formalistyki urzędowej, za podpisem *chefarzta*. W praktyce nie istniały lub ograniczały się do zupy pseudo-mlecznej z płatkami owsianymi lub z makaronem. Zupa obiadowa i bez tego była dietetyczna, nie zawierała tłuszczu, a dzienny przydział mięsa do zupy wynosił 20 g na osobę, na cztery dni w tygodniu. Przydzielane nam mięso składało się w 3/4 z żył, kości i odpadków, a lepsze kęski były rozkradane. Brak wszelkich przypraw pozbawiał zupę jakiegokolwiek smaku. Była to po prostu lura gorąca i ziejąca odorem zgniłej marchwi lub brukwi. Odór ten zbyt dobrze jest znany wszystkim klientom niemieckich obozów.

Próby wpłynięcia naszego męża zaufania na polepszenie chociażby sposobu gotowania spełzły na niczym. Wyznaczono oficerów kuchennych, którzy próbowali, dysponując urzędowo przydzielonymi środkami i artykułami, poprawić przynajmniej smak gotowanych zup. Smak zupy rzeczywiście się poprawiał, ale tylko przez odrzucenie 3/4 przewidzianych na ten dzień przydziałów surowca i pozostawienie jedynie ziemniaków. Władze niemieckie nie zgadzały się jednak na niszczenie przydzielonych artykułów, a nawet traktowały to jako sabotaż i zupa znowu musiała być wyrzucana do beczek. Zaniechano więc wszelkich starań i cały wysiłek skierowano na rozszerzenie możliwości indywidualnego przyrządzania ciepłej strawy z artykułów otrzymywanych w paczkach.

Śmierć stała się zjawiskiem powszednim. Straciła właściwą jej powagę. Obdarto ją z majestatu tak, jak obdzierano tu z szat trupa przed złożeniem go do trumny. Śmierć „gruźlika" w jenieckim szpitalu odbywała się bez sentymentów i łez. Cytuję jeden z ówczesnych moich zapisków: „Właśnie sanitariusze znoszą z drugiego piętra na noszach zwłoki dopiero co zmarłego mjra H. Trup jest malutki, skurczony i nagi, ledwie prześcieradłem przykryty. Sanitariusze balansują noszami na zakrętach, popychają się, kłócą. Na najniższej kondygnacji schodów trup wypada z przechylonych noszy i spadając komicznie koziołkuje po schodach, z trzaskiem wytacza się przed główne wejście, zdeformowany i w dziwnie nienaturalnej pozie ułożony. Przestraszony *wachman* ucieka niezgrabnym, starczym krokiem. Sanitariusze śmieją się, aż posiadali z uciechy na stopniach schodów."

Zanotowałem także w styczniu 1945 roku: „Na tutejszym cmentarzu znajduje się w tej chwili około 450 grobów. W tempie nieco zwolnionym przybywają wciąż nowe". W „Szkole" nie było wówczas chorych w stanie krytycznym, natomiast na „Strzelnicy" liczba skazańców powiększyła się znacznie. Właściwie wszyscy chorzy w tzw. „małej sali" znajdowali się w ciężkim, beznadziejnym stanie, a najbliższa wiosna zebrała obfite plony. Sytuację pogarszał fakt, że została przerwana pomoc żywnościowa z Genewy. Dr *Cieślikowski*, aktualny ordynator tego oddziału, zalecał odżywianie, a tymczasem spiżarnie były puste. Lekarz zapracowywał się, robił wszystko, co można, ale niewiele to pomogło. Ciężej chorzy widzieli, jak inni, kres wojny i niewoli i po tylu mękach chcieliby odetchnąć wolnością, a chociażby być pogrzebani w rodzinnej ziemi. To czyniło ich niezwykle agresywnymi w stosunku do lekarza i przesadnie krytycznymi wobec metod stosowanych przez niego. Śmierć w takiej chwili byłaby okrutna.

Niegdyś hulała bezkarnie. Były dni, że zabierała po 6—7 ofiar. Potem sytuacja zaczęła się poprawiać, a największą zasługę w zmniejszaniu się śmiertelności przyniosła stała pomoc żywnościowa z Genewy, rozpoczęta w drugiej połowie 1942 roku. Wpływ tej pomocy był tak widoczny, że wprost magiczny. W wielu najcięższych, beznadziejnych wypadkach cho-

roba została przytłumiona. Teraz, gdy znowu się pogorszyło, upiory wyszły z ukrycia. Wiosna i jesień były okresami krytycznymi, a wpływ powietrza i klimatu tak wyraźny, że z pewnością można było powiedzieć, że dogorywający umrze przy najbliższej mgle lub odwilży, a pożyje jeszcze parę dni, jeżeli się utrzyma suche powietrze.

Pierwszych zmarłych w tutejszym szpitalu chowano w roku 1939 i na początku 1940 na wspólnym cmentarzu niemieckim. Gdy się jednak liczba umierających zaczęła gwałtownie podnosić, włączono do obrębu szpitala kawał kartofliska, ogrodzono drutem i tam rozpoczęto chować *untermenschów*, którzy nawet po śmierci nie są godni leżeć obok niemieckich półbogów. Od tego kawałka pola przy cmentarzu niemieckim, które się stało miejscem wiecznego spoczynku alianckich żołnierzy, nazwano jeniecki cmentarz „kartofliskiem". Odprowadziwszy zmarłych na „kartoflisko", składano trumny w wielkich dołach. Gdy się zebrała odpowiednia liczba trumien (pięć), zasypywano dół, tworząc wspólny grób dla tych zmarłych. Nad grobem ustawiano 5 krzyżów drewnianych, na których wypisywano imię i nazwisko zmarłego, datę śmierci, stopień wojskowy, numer jeniecki i numer grobu. Niemcy prowadzili ewidencję zmarłych oraz plan dyslokacji grobów. Drugą ewidencję zmarłych prowadził nasz mąż zaufania, który w drodze urzędowej zawiadamiał rodzinę zmarłego o jego śmierci.

Po śmierci chorego wynoszono go natychmiast z sali i sanitariusze składali nagie zwłoki do trumny. Tylko w nielicznych wypadkach *chefarzt* zezwalał na ubranie zwłok wtedy, gdy zmarły miał umundurowanie własne. Niemcy uważali umundurowanie, w którym dostaliśmy się do niewoli, za łup wojenny niezależnie od tego, czy było ono własne, czy skarbowe. Dopiero umundurowanie otrzymane w prywatnych paczkach traktowano jako własność osobistą i wtedy otrzymywało ono stempel „L" (*Liebesgabe*). Do ust lub rąk zmarłego wkładano połówkę jenieckiego znaczka rozpoznawczego. W parę godzin po śmierci zmarłego wywożono na cmentarz, a trumnę lekko przysypywano. Ceremonia pogrzebu odbywała się w każdy wtorek, bez względu na to, kiedy nastąpiła śmierć. Obrzęd był skromny, w asyście księdza i delegacji chorych. Ksiądz odczytywał krótką modlitwę. Dowódca delegacji podawał komendę: „baczność", „na prawo patrz!", składał wieniec i chwilą ciszy żegnał zmarłego.

W początkach istnienia obozu składano na grobie wieniec od *Wehrmachtu*. Później ukazał się rozkaz zabraniający oddawania przez Niemców honorów wojskowych zmarłym Polakom jako „zbrodniarzom wojennym", ale nie dotyczyło to innych narodowości. Mimo to cieszyliśmy się, że nad grobem kolegów nie będzie już znienawidzonej swastyki i nie zakłócą ich spokoju gardłowe okrzyki i komendy.

W ten sposób z biegiem lat urósł wielki las uszeregowanych i wyrównanych krzyżyków. Cmentarz nie miał w sobie nic z ciszy i spokoju miejsc wiecznego spoczynku. Gdy przymykałem oczy, wydawało mi się, że setki szkieletów ustawiły się w wyrównane i pokryte piątki i odbywały jakiś koszmarny marsz w otchłań. Sentymentalizm i nerwowe wstrząsy były w obozie udziałem nowicjuszy i ludzi bardziej wrażliwych. Szybko jednak człowiek przyzwyczajał się do tej makabry, chodził niezliczone razy na pogrzeby i stawał się już nieco cyniczny. Gdyby się tak mocno brało do serca wszystkie niesamowitości, grozę i nędzę tutejszego życia, można by oszaleć. Każdy z nas chciał umrzeć i być pochowany w kraju, na polskim cmentarzu, cichym i pełnym uroku, wśród zapachu kwiatów i zieleni. Tymczasem byliśmy właściwie skazani na śmierć wcześniej niż inni. Liczyliśmy na to, że uda się przeżyć jeszcze parę miesięcy lub lat, aż przyjdzie ostatnie „przeziębienie", grypa lub zapalenie płuc.

Liczba 450 grobów na naszym cmentarzu świadczyła o rocznej śmiertelności około 90 zgonów, czyli co cztery dni następował jeden zgon w szpitalu, który liczył około 250 chorych jeńców. Na cmentarzu najliczniej są reprezentowani Polacy (około 200), z kolei Francuzi, Włosi, Jugosłowianie, Belgowie i Anglicy. Najwięcej w obrębie poszczególnych narodowości umierało Francuzów i Włochów, chorych na gruźlicę, których śmierć przyspieszał tamtejszy klimat. Rzadziej szli na „kartoflisko" Serbowie, a dopiero po nich Polacy. Polacy stanowili stale około 4/5 ogólnego stanu chorych.

Wszyscy umierający chorzy łudzili się do końca nadzieją przeżycia. W pierwszym okresie szpitala stawiano w dużych salach parawany przy dogorywających. Ustawienie parawanu było dla chorego nieomylnym znakiem jego końca. Mimo to nawet najdoświadczeńsi jeńcy łatwo wierzyli kłamstwu, że parawan ma zabezpieczyć od przeciągów. Były okresy, w których śmierć hulała i sprawiała spustoszenie zatrważające. Najbardziej utkwił mi w pamięci moment, gdy w roku 1941 przywieziono do dużej sali na „Strzelnicy" około 100 ciężko chorych i rannych Francuzów, wynędzniałych do ostateczności i znajdujących się w najgorszej fazie gruźlicy. Byli tam też ranni i kaleki z niemieckich fabryk, chorzy umysłowo, ludzie wynędzniali, o ziemistej, posiniałej cerze, poowijani bandażami, popodpierani fantastycznymi kombinacjami lasek i szczudeł. Padali jak muchy, a gdy się weszło do sali, to stało na niej po 5 i więcej parawanów. Z łóżek tych szczególnie w nocy dochodziły jęki, charkoty, płacz, wezwania i prośby, modlitwy i wołania, które mogły zamrozić krew w żyłach. Codziennie wynoszono po kilka trumien, a gdy już wymarli wszyscy najsłabsi, reszta wyjechała transportem do kraju. Sanitariusze i lekarze mieli pełne ręce roboty i nie było czasu na przesadne ceremonie, toteż zdarzył się zabawny, choć makabryczny incydent. Pewien żołnierz francuski wyraźnie dogorywał i jego ostatnia chwila mogła nadejść lada minuta. W nocy uspokoił się i leżał bezwładny,

jego sąsiedzi zawołali więc sanitariuszy, którzy znieśli ciało zmarłego do piwnicy. Gdy w chłodnej piwnicy po obnażeniu zwłok sanitariusze włożyli je do trumny i przykryli prześcieradłem, ten nagle uniósł się i zorientowawszy się w sytuacji zawołał: *Pas encore, pas encore camarades!*

Niemiecka komenda szpitala sprowadzała co pewien czas do „Szkoły" zapas trumien, które przechowywano w specjalnym pomieszczeniu. Ale zostało ono zajęte na węgiel, a trumny zwalono tuż przy drutach i leżały tak długie miesiące, tj. do czasu, aż zostały zużyte zgodnie z przeznaczeniem. Trumny te leżały tuż przy placu spacerowym i w którąkolwiek stronę wzrok padał, zawsze natrafiał na tę malowniczo ułożoną piramidę. Stare wygi kpiły z tego widoku i tworzono przeróżne żarciki, wybierano sobie numer i fason trumny, próbowano ocenić jakość materiału, długość itp., ale młodzi jeńcy bledli z przerażenia i w ogóle unikali spaceru. Niektórzy przywieźli ze sobą obfity zapas zasad i metod leczenia i toczyli na ten temat zawiłe dyskusje. Jedną z takich zasad było mniemanie, że gruźlica przestaje być groźna po 30 roku życia. Starsi panowie bezwzględnie wierzyli w tę zasadę i mówili: Jesteśmy już uratowani, przekroczyliśmy Rubikon. W nieubłaganym „prawie serii" jednak umierali także chorzy starsi wiekiem.

Warto opisać jeszcze jedną ceremonię związaną ze śmiercią jeńców. W wypadkach zgonu tworzyła się komisja likwidująca doczesne sprawy nieboszczyka. Listy, fotografie, pamiątki, kosztowności, pieniądze i inne cenniejsze przedmioty, stanowiące własność zmarłego, wysyłano do rodziny. Natomiast mało użyteczne drobiazgi i żywność ewidencjonowano i następnie licytowano, a uzyskane pieniądze wysyłano rodzinie. Przeznaczone na licytację rzeczy zmarłego ważono, porządkowano i układano w ogólnie dostępnym miejscu, a we wszystkich salach ogłaszano termin licytacji. Była ona dobrą zabawą, chętnie więc gromadzili się tam chorzy. Im dowcipniejszy i bardziej pomysłowy był sposób przeprowadzenia licytacji, tym większe miała ona powodzenie i znaczniejszy dochód przynosiła.

Znaczna liczba chorych dramatyzowała. Jeszcze w stanie, który nie budził na razie poważniejszych obaw, niektórzy pisali rozwlekłe testamenty, zwłaszcza skrupulanci, którzy możliwie wcześnie chcieli na wszelki wypadek uregulować swoje doczesne sprawy. Jako jeden z wytrawnych, starych chorych, bardzo ruchliwy i może zdrowszy i odporniejszy niż inni, budziłem widocznie znaczne zaufanie, gdyż chorzy wybierali mnie często na powiernika i wykonawcę tego rodzaju testamentów. Prośby i zlecenia były różne: przeciąć żyły po śmierci, ułożyć na piersiach fotografię wskazanej osoby, ubrać w pełny komplet umundurowania polskiego, przewieźć ciało do kraju, obciąć pasmo włosów i doręczyć wskazanej osobie, powiadomić po wojnie o szczegółach śmierci angielską Izbę Gmin, nie urządzać licytacji, zaśpiewać nad grobem żołnierską piosenkę, postarać się, żeby Niemców nie było na pogrzebie, zasadzić na grobie kwiaty itp. Były też inne, bardziej dyskretne, różne zlecenia, poważne, pedantyczne, przeczulone i śmieszne. Rzadko mogłem wywiązać się z nałożonych w ten sposób obowiązków. Zresztą wielu takich chorych po wyzdrowieniu wyjechało do obozu.

Wizytacje delegatów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża odbywały się mniej więcej co pół roku. Przed przyjazdem delegata mężowie zaufania przygotowywali pisemne memoriały, w których podawali liczne prośby, bolączki i postulaty. Memoriał polski uprzednio czytał *chefarzt* i pewne żądania skreślał. Potem odbywała się rozmowa z delegatem. Delegatami MCK byli przeważnie Szwajcarzy. Na podstawie złożonych memoriałów dyskutowali oni z przedstawicielami poszczególnych narodowości.

Na podstawie zarządzeń niemieckich mężowie zaufania wszystkich narodowości jenieckich z wyjątkiem Polaków mieli prawo bezpośredniego kontaktu z delegatem MCK bez udziału Niemców. Rozmowy przeprowadzane przez naszego męża zaufania musiały odbywać się w języku niemieckim i w obecności *chefarzta*. Po zakończeniu rozmów delegat w towarzystwie *chefarzta* zwiedzał sale chorych, gdzie przyjmował specjalne prośby indywidualne, ale tylko w teorii. Niemcy odnosili się do takiego delegata ze starannie udawanym szacunkiem. Głównym tematem rozmów była przeważnie sprawa paczek.

W miarę zwycięstw na Wschodzie rosło znaczenie męża zaufania, szczególnie w okresie, gdy funkcję tę pełnił ppłk dypl. Mieczysław *Wilczewski*. Polski mąż zaufania był wówczas głównym czynnikiem w przeprowadzanych rozmowach i nadawał ton wizycie.

Pamiętam wizytę, która odbyła się w roku 1941. Jej przedmiotem byli wyłącznie Anglicy. Leżałem w tej samej sali, a delegat nie powiedział mi nawet „dzień dobry", aczkolwiek przebywał około pół godziny. Obrócony do mnie tyłem, prowadził ożywioną rozmowę z Anglikami. Wiedział jednak, że jestem oficerem polskim i komendantem tej sali. Powtarzało się to częściej i dało powód do drwiącego lekceważenia, z jakim przyjmowaliśmy te wizyty. Czasem ci „przedstawiciele" instytucji międzynarodowej byli surowsi dla nas, niż sami Niemcy. Może celowo udawali taką postawę, ale dobrze się w naszej pamięci nie zapisali. Ostatnia wizytacja, przeprowadzona w lutym 1945 roku, wywołała szczególne niezadowolenie i delegat Genewy wyjechał wśród wymyślań. W memoriale umieścił ppłk *Wilczewski* żądanie interwencji MCK w sprawie dwóch oficerów z naszego szpitala, którzy zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego. *Chefarzt* wyciął z memoriału ten ustęp, a delegat nie zgodził się na zreferowanie sobie treści usuniętego fragmentu.

Na podkreślenie zasługuje, że w opisanych warunkach istniała wśród jeńców odpowiednia organizacja. Mianowicie podstawową komórką życia i organizacji społecznej była tzw „spółka koleżeńska". Spółka polegała na zrzeszeniu kilku chorych, którzy zabezpieczali sobie opiekę w razie choroby, prowadzili wspólną gospodarkę żywnościową, wspomagali się i tworzyli w ten sposób namiastkę rodziny. Spółka nie tylko ułatwiała egzystencję, lecz także łączyła dobraną grupę więzami przyjaźni, a przyjaźń ta zacieśniała się dzięki poświęceniu i oddawanym sobie wzajemnie usługom. Do spółki należeli ludzie o dobranych charakterach, po-

chodzący z jednego miasta, bądź z tego samego pułku, przybyli razem do obozu, złączeni tymi samymi przekonaniami, zasadami itp.

Podstawowym obowiązkiem spółki było pielęgnowanie ciężej chorego jej członka. Istniejący bowiem personel sanitarny nie spełniał w sposób wystarczający swych czynności w zakresie obsługi i pielęgnacji chorych. Sanitariusze-jeńcy pracowali w dwóch grupach. Jedną z nich, sumienniejszą, byli ci, których lekarze używali do zajęć ambulatoryjnych. Tej bardziej interesującej pracy oddawali się więc z dużym nakładem dobrej woli. Niektórzy dochodzili do świetnej wprawy w dawaniu zastrzyków, pobieraniu krwi na opad, zakładaniu opatrunków itp. Poza tym pomagali lekarzom jako asystenci, sprzątali ambulatorium oraz utrzymywali w porządku narzędzia i aparaty. Plut. *Warpechowski* na „Strzelnicy" osiągnął dużą wprawę w wykonywaniu zdjęć radiologicznych, obsługiwaniu aparatu odmowego, w badaniu mikroskopowym plwociny itp. Plut. *Hakiel* w „Szkole" był znany jako specjalista od zastrzyków dożylnych i robił to nawet lepiej niż niektórzy lekarze. Sanitariusze przyszli do tej pracy bez żadnych kwalifikacji zawodowych, a przeszkolili ich na miejscu nasi lekarze.

Odmiennie było w grupie drugiej. Utrzymywała ona porządek w salach, w ubikacjach i na korytarzach, jak też miała obsługiwać ciężko i najciężej chorych. Ci sanitariusze-salowi tworzyli najbardziej uprzywilejowaną grupę. Stale żądali coraz to nowych przywilejów, specjalnych dodatków, najlepszych pomieszczeń, najschludniejszego umundurowania, przydziałów paczek itp. W praktyce sprzątali sale, korytarze, ustępy. Przynosili kotły ze strawą, roznosili dodatki żywnościowe, spełniali jeszcze pewne prace na zewnątrz budynku i to wszystko. Prace te zawsze przynosiły im jakąś korzyść. Wszelkie cięższe prace porządkowe i użytkowe na zewnątrz budynku wykonywali szeregowi miejscowego *arbeitskommando*. Nie istniała jednak żadna obsługa osobista chorego. Nie był wyjątkiem wysoko gorączkujący chory, który leżał na „Strzelnicy" przez parę dni w zabrudzonym przez siebie łóżku i właściwie bezbronny, dopóki ktoś z jeńców nie ulitował się nad nim.

Sanitariuszom trzeba było dobrze płacić za osobiste obsługi. Opłatę uiszczano artykułami o wysokiej wartości „handlowej", gdyż pieniądze przyjmowano niechętnie. Gdy wpływ lekarzy nie wywierał skutku i stosunki takie zaczęły się utrwalać, stworzony został fundusz koleżeński, który służył do opłacenia obsługi najciężej chorych. Położenie zaczęło się szybko zmieniać, bo pieniądze traciły wartość, a przedmiotem regulacji zobowiązań coraz wszechmocniej stawał się papieros. Przy okazji należy wyjaśnić, że za pełnione funkcje sanitariusze otrzymywali od władz niemieckich zapłatę. Była to najlepsza synekura jeniecka.

Im czasy były cięższe, tym większa stawała się wszechwładza sanitariuszy. Należyte unormowanie tych stosunków byłoby możliwe, gdyby udało się utworzyć jednolity front chorych. Niestety, żadne zarządzenia lekarzy, ani męża zaufania, mające na celu zmianę tych spraw, nie mogły być konsekwentnie przeprowadzone, bo łamali je sami chorzy. W walce o życie i zdrowie wielu małodusznych używało wszelkich egoistycznych sposobów, zapominając o względach koleżeńskiej solidarności i elementarnej godności. Ponadto sanitariusze otrzymywali od chorych, często oficerów, łapówki, za które wlewali im lepszą zupę, dostarczali różne dodatki itp. Inni otrzymywali potajemnie ziemniaki w łupinach, pochodzące z ogólnego kotła, jeszcze inni nie należące się im dodatki żywnościowe. Gdy zachodziła konieczność odizolowania się od jakiegoś szubrawca, to zawsze w ciemnych kątach i na klatkach schodowych można było spotkać chorych, którzy przeprowadzali z nim tajemnicze konferencje. Wśród sanitariuszy byli jeńcy nie wyszkoleni, ale kombinatorzy, którzy chwytali się pod pozorem tej pracy lepszych możliwości przetrwania.

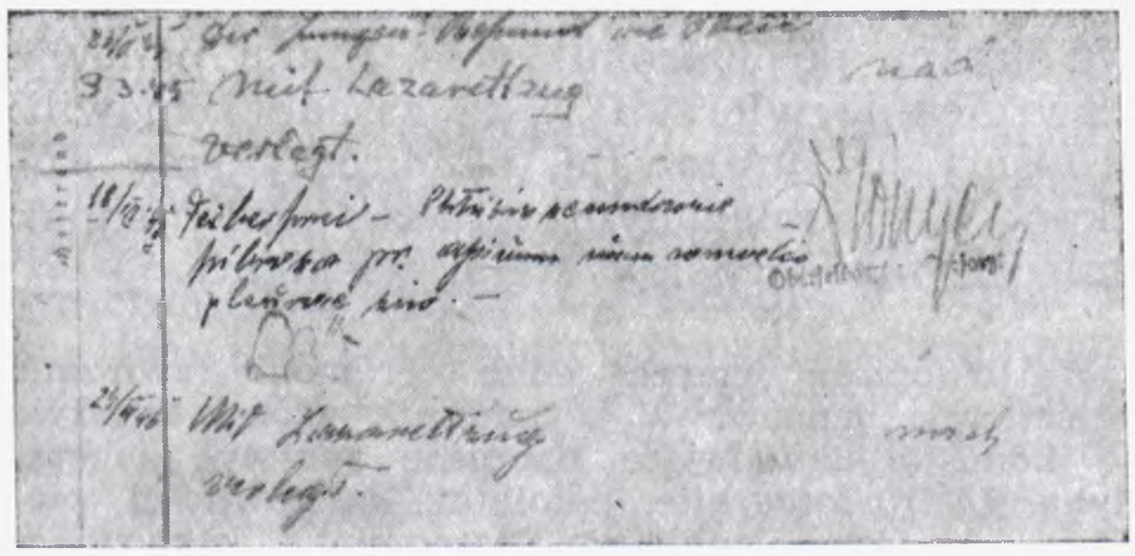

Reprodukcja końcowego fragmentu jednej z historii chorób (szpitala w Tangerhütte). Na stronie 12 tego dokumentu pod datą 3 marca 1945 roku znajduje się zapis: „*Mit Lazarettzug... nach... verlegt*" i podpis: „*Oberfeldarzt u. Chefarzt* [(—) dr *Söhngen*]". Zapis ten jest powtórzony pod datą 24 marca 1945 roku i figuruje na historiach choroby wszystkich chorych jeńców polskich wywiezionych 3 kwietnia 1945 roku do obozu *Stalag VIIIA Görlitz-Moys* w celu wyniszczenia w zamierzonej akcji eutanazji. Miejsce wywiezienia zostało nie wypełnione

Nadeszło wreszcie zarządzenie o ewakuacji. Spakowaliśmy się bardzo szybko. Był to dzień 26 marca 1945 roku. Mieli stąd wyjechać tylko chorzy Polacy, ale bez polskich lekarzy, sanitariuszy i *arbeitskommanda*. Dopiero po paru godzinach zadecydowano, że w celu zabezpieczenia opieki pojedzie z transportem dr *Cieślikowski* z AK oraz czterech sanitariuszy. Ten wybór był dla nas charakterystyczny, bo dra *Cieślikowskiego* Niemcy szczególnie nie lubili. Był to w ogóle powstańczy bojowiec w skórze medyka. Sanitariuszy także wybrano najbardziej dla Niemców uciążliwych. Za tymi wszystkimi sprawami uwijał się, jak zły duch, *chefarzt*, dr *Söhngen*. Dr *Cieślikowski*, który dobrze znał okupacyjne łajdactwa niemieckie, robił do mnie „oko" i nie taił, że w obozie oświęcimskim często ludzie już umieszczeni w komorach gazowych jeszcze nie wierzyli, że pójdą do pieca. Uwaga ta była przejrzystym komentarzem pogłoski, że jeńcy polscy rzekomo zostaną wywiezieni do Szwajcarii. Zapisa-

łem wtedy między innymi: „Chorzy innych narodowości pozostają na miejscu. Obecny stan Polaków wynosi 241 osób. Z tej liczby 25 osób ma tu pozostać, a reszta, tj. 216 chorych, podlega ewakuacji".

W nocy z 2 na 3 kwietnia 1945 roku graliśmy w pokoju dra *Widmańskiego* w karty. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł uśmiechnięty *chefarzt*. Nie tając podniecenia zakomunikował doktorowi *Widmańskiemu*, że przyszedł rozkaz transportu. Na stacji stoi pociąg. Tak, jak było zarządzone, wszyscy Polacy odjadą w dniu 3 kwietnia. Pobudka będzie wcześniejsza. Podnieceni wybiegliśmy na salę. Za chwilę cały budynek wrzał szumem gorączkowych rozmów. Usnęliśmy późno. Miałem złe przeczucia. Zamiast pociągu „sanitarnego" przysłano 7 wagonów towarowych, brudnych i nie opalanych. U nas tymczasem odbywały się spieszne pożegnania. Samochodem odwożono na stację nasze bagaże i ciężko chorych. Sześciu najciężej chorych oficerów ze „Szkoły" i pewna liczba szeregowych ze „Strzelnicy" zupełnie nie nadawała się do transportu. Mieli wysoką gorączkę, a niektórzy znajdowali się w agonii. Np. ppor. *Łodziński* chwilami tracił przytomność i nawet najwygodniejszy transport mógł go dobić. Na prośbę lekarzy, by go pozostawić, *chefarzt* nie zgodził się. „I tak pójdzie do gazu" — powiedział strzelec *Puszkar*, patrząc kpiąco w oczy *chefarztowi*. *Puszkar* należał do tych czterech sanitariuszy, którzy zostali skazani na wyjazd. Inni chorzy z wysiłku i przejęcia zaczynali pluć krwią. Co będzie w drodze?

My pozostali, zdolni do marszu, wyszliśmy około godziny 12, niosąc w rękach podręczne pakunki. Rewizja bagaży była szybka i powierzchowna. O miejscu przeznaczenia transportu krążyły różne wersje. Niemcy nie podawali żadnych informacji. Wśród strumieni deszczu opuściliśmy ten szpital, nie żałując jednak jego warunków. Ludność miasteczka była zaintrygowana tym wyjazdem. Szliśmy mokrymi ulicami, a w oknach domów widzieliśmy zaciekawionych ludzi.

Oto widać już nasze wagony. Tylko w jednym z nich znajduje się trochę słomy; to będzie wagon dla najciężej chorych. Zajmujemy miejsca. Wypada po 36 osób na wagon. Nasze bagaże i depozyty oraz magazyn jadą w oddzielnym wagonie, który jest jednocześnie pomieszczeniem dla niemieckiego konwoju. Na stację przyszedł *chefarzt*. Przyglądał się nam i złośliwie uśmiechał. Potem odbyła się ceremonia objęcia transportu przez wartę niemiecką oraz komendanta transportu. Szef szpitala, *hauptfeldfebel Lucke*, ustawił nas wszystkich w dwuszeregu, palnął bzdurną „pożegnalną" mowę i przedstawił nam komendanta transportu i warty, kaprala z ośrodka zapasowego w Stendalu. Poza tym eskorta naszego 217-osobowego transportu składała się tylko z pięciu *wachmanów*. *Chefarzt* obłudnie zapewnił, że podróż potrwa niedługo, około dwóch dni.

Tym transportem przeważnie ciężko chorych jeńców, w większości oficerów, przyjechaliśmy o zmroku dnia 7 kwietnia 1945 roku na stację Görlitz, a następnie również w zaryglowanych wagonach do pobliskiej miejscowości Moys. Z okienek wagonów widzieliśmy światła rakiet i ogromne półkola błysków wylotowych ognia artyleryjskiego na niedalekim froncie wschodnim. W niedzielę 8 kwietnia przekroczyliśmy bramę obozu (*Stalag VIII A*). Przede mną był jeszcze miesiąc niewoli, ale jest to już osobny rozdział, także utrwalony w zapiskach i notatkach, które bieżąco prowadziłem w kalendarzyku, na luźnych kartkach, na pudełkach od papierosów, na skrawkach papieru, marginesach gazet itp. Wkładałem je między kartki zapisanych już zeszytów pamiętnika.

Dnia 7 maja 1945 roku wyszło nas z tego *stalagu* 121 jeńców-Polaków oprócz jeńców innych narodowości. Natomiast, jak się dowiedziałem, szpital jeniecki w Tangerhütte został wyzwolony przez wojska amerykańskie nieco wcześniej, 13 kwietnia 1945 roku. Komendantem tego szpitala po wyzwoleniu był por. dr Tadeusz *Widmański*, który funkcję tę pełnił do dnia 22 czerwca 1945 roku, a następnie z częścią chorych wrócił do kraju. *Chefarzt* dr *Söhngen*, *zahlmeister* oraz szef szpitala, *hauptfeldfebel Spiess*, zostali aresztowani przez Amerykanów za zbrodnie wojenne i podobno rozstrzelani.

SZCZEPAN WACEK Warszawa

W Szpitalu Ujazdowskim podczas okupacji hitlerowskiej

Kampania wrześniowa skończyła się dla mnie i dowodzonego przeze mnie szpitala polowego w dniu 30 września 1939 roku; wtedy dostałem się do niemieckiej niewoli. Zetknięcie się z oddziałem nieprzyjacielskim nie było przyjemne, gdyż oficerowie niemieccy pozbawili nas nie tylko broni bocznej, lecz także przedmiotów prywatnych.

2 października 1939 roku po bardzo forsownym marszu znalazłem się wieczorem w Radomiu w koszarach piechoty. Jako lekarza odesłano mnie do izby chorych, gdzie spotkałem wielu kolegów, którzy wcześniej niż ja dostali się w ręce zdobywców. Przez parę dni obserwowałem niesłychany zamęt, który panował w zaimprowizowanym obozie jeńców wojennych. Napływały tam masy coraz to nowych jeńców, a duże oddziały wychodziły stamtąd w nieznanym kierunku. Wyżywienie otrzymywaliśmy z miasta od komitetu obywatelskiego i PCK.

Dnia 5 października otrzymałem przepustkę i udałem się do PCK. Tam poznałem zacnego dra Stefana *Wrońskiego,* który zaprosił mnie do siebie i przedstawił swej żonie, również lekarce, Bronisławie. Od razu zadomowiłem się w tym niezmiernie miłym i gościnnym mieszkaniu. Dowiedziałem się tam o istnieniu organizacji, która wysyłała żołnierzy i oficerów na Węgry i do Rumunii. Nie przyjąłem propozycji tajnego wyjazdu za granicę, pozostałem w Radomiu i podjąłem pracę w pięciu szpitalach dla jeńców wojennych jako okulista. To samo czynił już doc. dr Janusz *Sobański.* Wkrótce został on zwolniony z niewoli i wyjechał do Warszawy. Mnie przeniesiono do szpitala mieszczącego się w budynku kina „Apollo", absolutnie nie nadającym się na szpital, gdyż był ciemny, chłodny i zniszczony. Warunki dla rannych i personelu lekarskiego były niezmiernie uciążliwe. Tutaj właśnie poznałem szlachetnego wojskowego felczera niemieckiego, który przed wojną pracował w Klinice Chirurgicznej w Berlinie. Ten godny i przyzwoity człowiek należał do niemieckiego szpitala polowego, który utrzymywał szpitale jeńców. Dobrowolnie przystąpił do pracy nad pielęgnowaniem chorych i rannych żołnierzy polskich; z pełnym poświęceniem się spędzał w szpitalu całe dnie, wykonywał opatrunki, asystował przy operacjach, przynosił potrzebne instrumenty ze swego szpitala, w tajemnicy dostarczał lekarstw i środków opatrunkowych; zdobył serca swoich podopiecznych. Z żalem był żegnany, gdy jego szpital opuszczał Radom.

Warta niemiecka strzegąca szpitala nie stawiała przeszkód tym jeńcom, którzy chcieli go opuścić i uniknąć niewoli. Codziennie w ten sposób znikało do 30 osób, a ja każdego dnia sprowadzałem z obozu odpowiednią liczbę nowych rannych, by stan ten faktycznie zgadzał się ze stanem wyżywienia. Ci Niemcy byli Bawarczykami. Opuszczając nasz szpital ostrzegli mnie, że ich następcy, Prusacy, są ludźmi złymi, toteż należy mieć się na baczności przed nimi i zachować największą ostrożność w podobnych sprawach. Na szczęście szpital wkrótce został zlikwidowany, chorzy i ranni przeniesieni do lepiej urządzonych szpitali radomskich, część z nich zwolniona do domu. Ja zaś z początku grudnia 1939 roku zostałem przeniesiony przez niemieckie władze wojskowe do Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie.

3 grudnia 1939 roku zameldowałem się u komendanta tego Szpitala, płka prof. dra *Kucharskiego.* Spotkałem się z odmową przyjęcia mnie; dopiero powołanie się na rozkaz władz wojskowych przełamało jego upór i zostałem przydzielony do jego dyspozycji bez wyraźnego zajęcia. Po paru dniach zrozumiałem powód tej rezerwy. Mianowicie z całej Polski przybywały rzesze zdemobilizowanych lekarzy, którzy szukali pracy i środków do życia właśnie u płka *Kucharskiego.* W najgorszej sytuacji znaleźli się lekarze z zachodnich i wschodnich województw, do których nie mieli powrotu. Komendant Szpitala Ujazdowskiego robił wszystko, co było możliwe, by dać choć minimalne, ale stałe środki do życia, przynajmniej wyżywienie, które dostarczały zobowiązane do tego wojskowe władze niemieckie. Skutek był taki, że w szpitalu panował nadmiar lekarzy, którzy nie mieli zajęcia.

Ja też należałem do nich. By nie być bezczynnym, zaproponowałem komendantowi odbudowanie przychodni, która istniała przed wojną w budynku komendy Szpitala przy ul. Górnośląskiej 45. Lokal był gruntownie zdewastowany. Płk *Kucharski* od razu zgodził się na moją propozycję, dzięki czemu otrzymałem samodzielną „posadę". Przystąpiłem do pracy, ale ciężka, kilkutygodniowa choroba przerwała ją. Dopiero w końcu roku przy bardzo energicznej pomocy kwatermistrza kpt. Antoniego *Wolfa* podjąłem wysiłki zorganizowania przychodni.

Na początku stycznia 1940 roku jako kierownik uruchomiłem Ambulatorium Szpitala Ujazdowskiego, zaopatrzony w odpowiednią pieczątkę nagłówkową w języku niemieckim. Wygodne wejście wprost z ulicy Górnośląskiej wiodło do dobrze urządzonego ambulatorium; miało ono ze Szpitalem zamaskowane połączenie, o którym wiedziały tylko osoby wtajemniczone, co w niedalekiej już przyszłości okazało się cenną pomocą dla ucieczki osób zagrożonych, szczególnie oficerów, mających w perspektywie wyjazd do obozu jenieckiego po wyzdrowieniu. Płk *Kucharski,* przypadkowo dowiedziawszy się o istnieniu tego przejścia, początkowo kazał mi je zlikwido-

wać, by nie narażać Szpitala na niemieckie represje. Przekonałem go, że nic nie grozi tak długo, dopóki Szpital jest strzeżony przez niemieckich wartowników wojskowych, którzy ponoszą całkowitą odpowiedzialność za porządek w Szpitalu. Następny komendant, płk dr Leon *Strehl*, był bardzo zadowolony z istnienia tego przejścia. Nikt nie zliczyłby tych, którym te drzwi oszczędziły cierpień w obozach jenieckich lub koncentracyjnych.

Ambulatorium od razu zaczęło cieszyć się wielką frekwencją z kilku powodów; przede wszystkim reprezentowane były wszystkie specjalności lekarskie, nie wyłączając ginekologii i pediatrii; poradę otrzymywali bezpłatnie wszyscy potrzebujący jej; lekarstwa wydawano wszystkim również bezpłatnie; wstęp był wolny, nie było żadnego wartownika, w przeciwieństwie do wejścia do Szpitala, strzeżonego przez niemieckiego żołnierza; nikt nie był obowiązany do legitymowania się, wystarczało wymienienie swego imienia i nazwiska. Uprzejmość i życzliwość pracowników była zjawiskiem codziennym. Należeli do nich dr Janina *Morysińska* — ginekolog, dr Jadwiga *Mozołowska* — dermatolog, dr Czesław *Narkowicz* — chirurg, dr Kajetan *Pietraszkiewicz* — laryngolog, dr Irena *Śpiewankiewicz* — stomatolog, dr Szczepan *Wacek* — okulista, dr Józef *Wiloch* — internista, Maria *Modrzewska* — pielęgniarka, Stanisława *Kimlowska-Materska* — sekretarka, Anna *Sierocka* — pracownica fizyczna. Ta garstka ludzi pracowała w ciężkich warunkach, w bardzo słabo opalanym albo nie opalanym w ogóle ambulatorium, musiała wykonywać prace porządkowe, gdyż jedna tylko pracownica fizyczna nie mogła podołać pracy nad utrzymaniem czystości w lokalu bardzo uczęszczanym.

W takiej postaci ambulatorium przetrwało do 31 marca 1940 roku, w którym to dniu wojsko niemieckie zgodnie z postanowieniami genewskimi oddało Szpital Ujazdowski pod opiekę Polskiego Czerwonego Krzyża, po upływie sześciu konwencjonalnych miesięcy utrzymywania Szpitala. Przyszły chude czasy. Możliwości Szpitala, a więc i jego ambulatorium, stawały się coraz bardziej ograniczone. Po kilku miesiącach biedy Szpital objął Zarząd Miejski Warszawy, będący pod kontrolą niemieckiego komisarza. Dyrektor Wydziału Zdrowia podlegał lekarzowi niemieckiemu. Wówczas byt ambulatorium został poważnie zagrożony. Niemiecki lekarz zakazał udzielania pomocy lekarskiej osobom nie będącym inwalidami wojennymi, jak również zabronił wydawania lekarstw z apteki szpitalnej na recepty ordynatorów ambulatoryjnych. Początkowo nie zwracaliśmy na te żądania uwagi, ale gdy pewnego dnia otrzymałem telefon z Zarządu Miejskiego, nakazujący mi wykonanie zarządzenia w ciągu dwóch godzin, zwróciłem się do komendanta Szpitala, płka *Strehla*, zapytując, co mam robić. Odpowiedź była jednoznaczna: nie opierać się. Na niezwłocznie zwołanej naradzie postanowiliśmy więc zamienić ambulatorium na prywatną przychodnię lekarską pobierającą opłaty. Wręcz symboliczna opłata miała wynosić dwa złote za poradę, niezamożni mogli być zwalniani od niej przez ordynatora lub przeze mnie. Oczywiście w tej sytuacji dzienne obroty przychodni wynosiły około 20, czasami 30 zł. Ale bywały dni, kiedy wszyscy byli zwalniani od opłaty. Nie mogliśmy bowiem pozbawić naszych podopiecznych bezpłatnych lekarstw. Zwróciłem się do ordynatorów szpitalnych z prośbą o wpisywanie naszych recept do oddziałowych książek zapotrzebowań aptecznych. Sprzeciwu nie było i chorzy w dalszym ciągu otrzymywali lekarstwa, które przynosiła i rozdzielała Stanisława *Kimlowska-Materska.*

Dotkliwy cios spotkał ambulatorium, gdy władze niemieckie przeniosły do szpitala Ujazdowskiego szpital Św. Ducha. Ambulatorium musiało oddać swój piękny i wygodny lokal dyrekcji nowo przybyłego gościa, a samo przeniosło się do budynku mieszczącego oddział psychiatryczny. Otrzymaliśmy trzy pokoje, ponure i bardzo chłodne, co bardzo nieprzyjemnie odczuwaliśmy w zimowe miesiące, gdy np. w moim gabinecie ochładzało się do minus ośmiu stopni. Pozostały tylko trzy specjalności: interna, chirurgia i okulistyka. Ponieważ opału otrzymywaliśmy bardzo mało, oddawałem moją porcję na ogrzewanie gabinetu internisty i chirurga. Nowe pomieszczenie miało jedną cenną zaletę: znajdowało się zupełnie na uboczu, zasłonięte wysokimi drzewami i krzewami. Moi goście konspiracyjni dostawali się do mnie niepostrzeżeni. Telefon ułatwiał mi utrzymywanie łączności z miastem. W tym lokalu dotrwaliśmy do dnia 1 sierpnia 1944 roku. Opuściłem ambulatorium tego dnia o godz. 14, by już do niego nigdy nie wrócić z powodu powstania warszawskiego.

Ambulatorium, jak wspomniano, cieszyło się wielką frekwencją. Zgłaszali się do nas najrozmaitsi ludzie w najrozmaitszych sprawach. A więc przede wszystkim żołnierze, podoficerowie i utajeni oficerowie, szukający porady lekarskiej lub materialnej lub chociażby dobrego słowa, otuchy, nadziei na lepszą przyszłość, na niewątpliwe zwycięstwo antyniemieckiej koalicji. Przychodziły liczne rzesze rodzin wojskowych, pozbawionych żywicieli, zabitych, zaginionych lub przebywających w niewoli lub w obozach koncentracyjnych, szukających pomocy dla głodnych i chorych dzieci, potrzebujących ubrania i obuwia, zagrożonych eksmisją, poszukujących pracy, poparcia moralnego i protekcji w urzędach; szukających możności wyżalenia się na ciężki los, na prześladowania niemieckie, na obawę wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec. Pomagaliśmy w miarę naszych niezmiernie skromnych możliwości.

Korzystając z pieczątek ambulatoryjnych i podpisowej jako kierownik ambulatorium Szpitala Ujazdowskiego pisałem prośby o przyznanie budki z papierosami, o pozwolenie na otwarcie sklepiku, odłożenie eksmisji, zwolnienie od podatku, o przydział mieszkania, opału, obuwia, ubrania, wystawiałem świadectwa o stanie zdrowia osób starających się o zwolnienie wywiezionych do obozu członków rodziny lub o zwolnienie męża z niewoli itp. Często uciekaliśmy się do pomocy PCK lub Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej. Tutaj bardzo wiele serca i pomocy okazywały mi Barbara *Czachowska* i Mieczysława *Niewiarowska*, pracujące w sekcji rodzin wojskowych SKSS. Ze wzruszeniem wspominam te czasy, gdym udawał się do nie znanych mi osób lub instytucji z prośbą o pomoc dla biednych; nie spotykałem się z odmową. Np. rodzina mająca dwoje dzieci nie mogła kupić węgla i zimą bardzo cierpiała w nie ogrzewanym mieszkaniu. Udałem się do dyrektora biura węglowego w Alejach Ujazdowskich i wyłuszczyłem mu swoją prośbę o sprzedanie pół tony węgla, zastrzegając się, że nie mam kuponu. Dyrektor, dowiedziawszy się, że jestem ze Szpitala Ujazdowskiego, polecił wystawić zlecenie na potrzebną ilość węgla bezpłatnie. Podobnie uzyskiwałem pomoc u właściciela zakładu szewskiego, *Marka*, przy ul. Bielańskiej, który wydawał obuwie na fałszowane kupony. Firma bieliźniarska Konstantego i Michała *Dutkiewiczów* przy ul. Świętokrzyskiej ofiarowywała bieliznę. Wiele innych osób też nie szczędziło pomocy.

W ambulatorium mieliśmy wiele dowodów niezmiernej ofiarności warszawian. W jednym gabinecie mieściła się zbiornica darów żywnościowych dla żołnierzy, urządzona przez PCK i prowadzona przez Marię *Sołtanową* — wraz z kilkoma innymi paniami. Byłem wyznaczony na łącznika między komendą szpitala a zbiornicą i pamiętam, ile darów płynęło codziennie do szpitala. Warszawianie przynosili, co kto mógł. Widziało się nawet staruszki przynoszące na opatulonym talerzu kaszę, kluski lub inne domowe potrawy, odjęte sobie od ust. Dary w rozmaitych postaciach płynęły również z dalszych miejscowości. Pewnego dnia zgłosił się do mnie jakiś chłop i prosił o przyjęcie ośmiu worków mąki, które ofiarowała jego wieś dla polskich żołnierzy. Innym razem delegat wsi z Kutnowskiego prosił o przysłanie do wsi ośmiu inwalidów, którym mieszkańcy wsi zapewniali całkowite utrzymanie do końca wojny. Delegat wsi kieleckiej prosił o danie im nauczyciela, któremu zapewnią dostatnie utrzymanie do końca wojny w zamian za uczenie dzieci, które teraz próżnują i psują się. Przyjeżdżali z różnych stron Polski rządcy majątków, właściciele i dyrektorzy najrozmaitszych zakładów i instytucji z propozycjami zatrudnienia inwalidów lub innych osób zagro-

żonych przez okupantów lub znajdujących się w biedzie.

Do ambulatorium zgłaszało się wielu żołnierzy rannych lub chorych. Postanowiliśmy wystawiać im zaświadczenia o odniesionych podczas wojny uszkodzeniach zdrowia w postaci ran lub chorób, myśląc o przyszłości, która miała przynieść odrodzenie Polski i opiekę nad ofiarami wojny. Praktyka wkrótce wykazała, że nasza działalność była bardzo korzystna dla inwalidów. Świadectwa były honorowane również przez władze niemieckie. To zachęciło mnie do wystąpienia z projektem utworzenia stałej komisji lekarskiej, której zadaniem byłoby badanie rannych i chorych żołnierzy, określanie stopnia utraty zdolności zarobkowej, związku uszkodzenia ze służbą wojenną i która by wystawiała odpowiednie świadectwa. Projekt znalazł uznanie komendanta Szpitala Ujazdowskiego i wkrótce została powołana komisja lekarska pod przewodnictwem ppłka dra Adolfa *Malinowskiego.*

Chorych kierowaliśmy do Szpitala Ujazdowskiego lub do szpitali miejskich. Zdarzały się wypadki przywożenia chorych z dalekich okolic. Nie można było zostawić ich bez pomocy. Raz wychodząc już po pracy z ambulatorium ze zdumieniem zobaczyłem leżącego na podłodze w poczekalni młodego chłopca, którego ktoś przywiózł i po prostu podrzucił bez naszej wiedzy i zgody. Chorego tego, u którego rozpoznano ciężką gruźlicę, Szpital oczywiście przyjął bez wahania.

Dobrze pracowało się gronu ambulatoryjnemu lekarskiemu. Panowała między nami zgoda i zadowolenie z pracy i stosunków. Trzymaliśmy się nie pisanej umowy, że nie ma żadnej kontroli nad działalnością każdego z nas, zachowujemy najzupełniejszą dyskrecję w sprawach konspiracyjnych. Czuliśmy się potrzebni i pożyteczni. Chętnie odwiedzali nas koledzy z oddziałów szpitalnych, zbierali się w moim gabinecie i przy czarnej, pożal się Boże, „kawie" toczyły się gorące dyskusje nad biegiem wojny i snuto najśmielsze marzenia. Jaka niepowetowana szkoda, że nie było wśród nas *Churchilla*; z całą pewnością wojna zakończyłaby się zwycięstwem koalicji w krótkim czasie.

Zaabsorbowanie pracą nie pozwalało mi na dłuższe wizyty w Szpitalu, toteż przez parę miesięcy nie brałem żywszego udziału w jego życiu. Płk *Kucharski* nie okazywał żadnego zainteresowania przychodnią, byłem więc zupełnie samodzielny. W lutym 1940 roku odwiedziłem go w jego gabinecie służbowym i zapytałem, czy rząd polski, opuszczając granice państwa, dał mu jakiekolwiek instrukcje o tworzeniu służby zdrowia podczas okupacji lub o jakiejkolwiek łączności z zagranicą i organizowaniu oporu. Otrzymałem tylko krótką odpowiedź przeczącą. Więcej nie rozmawiałem z komendantem. Rozumiałem jego bardzo ciężką i delikatną sytuację. Niemcy panowali nad jedyną ocalałą instytucją wojskową, a dali dość dowodów nieliczenia się ani z umowami międzynarodowymi, ani zwykłym poczuciem ludzkości. Ponadto kilka osób spośród przedwojennych pracowników podpisało jawnie *volkslistę,* a przecież mogli być też utajeni zdrajcy narodu polskiego. Sytuacja wymagała wielkiej odwagi, rozwagi i zręcznej polityki wobec niemieckich władz wojskowych, by Szpital Ujazdowski, zwany Rzeczpospolitą Ujazdowską, nie uległ zagładzie. O pretekst po temu nie było trudno. Chociażby pisemka tajne, od których roiło się w Polsce, a więc i w Szpitalu. W przychodni była rozdzielnia tajnej prasy, prowadzona przez p. Barbarę *Kimlowską-Materską.* W odległości dwustu metrów znajdowały się silne oddziały niemieckie w gmachu Sejmu przy ul. Wiejskiej. Warta niemiecka stała na terenie Szpitala.

W dniu 1 kwietnia 1940 roku sytuacja Szpitala uległa radykalnej zmianie. W tym dniu wojsko niemieckie skończyło swoją opiekę nad Szpitalem i pracownikami i przekazało go Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Jednocześnie nastąpiła zmiana na stanowisku komendanta Szpitala. Odszedł płk Teofil *Kucharski,* a władzę objął płk dr Leon *Strehl,* poznańczyk, były oficer niemiecki podczas pierwszej wojny światowej. Był to świetny znawca spraw wojskowych i szpitalnych, doskonały organizator i administrator, człowiek bardzo dobry i troskliwy o ludzi. Nowy komendant Szpitala od razu zainteresował się działalnością ambulatorium, zaaprobował ją i polecił mi często informować go o pracy i potrzebach przychodni. Nastał dla nas nowy i lepszy okres. Poczuliśmy się czynną cząstką Szpitala, czyli „Ujazdowa", jak się potocznie mówiło. Sam Szpital nie potrzebował reform. Wszyscy pracownicy byli zgrani z sobą, złączeni walką z okupantem, związani troską o zachowanie jedynej placówki wojskowej, którą własnym trudem dźwignęli z ogromnych zniszczeń. Trudno wyobrazić sobie, w jakim stanie Szpital Ujazdowski rozpoczął swoją pokojową działalność. Część budynków szpitalnych była uszkodzona przez pociski artyleryjskie, część przez pożary. Oddziały chorych były wypełnione stosami śmieci wszelkiego rodzaju i gruzów, kanalizacja i wodociągi zniszczone gruntownie, dokuczał brak światła. Wodę czerpano w skąpych ilościach, zbyt szczupłych, jak na potrzeby dużego szpitala. Dostarczała jej studnia artezyjska na terenie Szpitala, ale nie można było myśleć o kąpaniu chorych.

Personel i warszawianie nie opuścili rąk, zabrali się gorliwie do uporządkowania zrujnowanego Szpitala i po paru miesiącach bardzo ciężkiej pracy doprowadzili go do znośnego stanu. Zorganizowano oddziały chorych wszystkich specjalności, zakończono dobór pracowników i na początku roku 1940 praca przebiegała niemal normalnie. Wszędzie wrzała wytężona praca nad leczeniem chorych i rannych, a także praca naukowa. Na chirurgii badano sposoby leczenia naczyń, nerwów, powstała chirurgia szczękowa. Na zebraniach naukowych wygłoszono wiele interesujących referatów. Na tych zebraniach bywali również lekarze niemieccy, którzy interesowali się pracą polskich lekarzy.

Wyżywienie chorych dostarczały niemieckie władze wojskowe według swoich norm do końca marca 1940 roku. Utrzymanie Szpitala Ujazdowskiego przez PCK, któremu wojsko niemieckie oddało go na podstawie konwencji genewskiej, przekraczało jego możliwości. Wielka bieda zapanowała w Szpitalu, musiano zmniejszać liczbę chorych i rannych, co nie było zadaniem łatwym, gdyż wielu z nich nie miało dokąd się udać, ani nie miało środków do stworzenia sobie znośnych warunków życiowych w ówczesnych okolicznościach. Stan taki trwał kilka miesięcy, zanim Szpital został oddany w komisaryczny zarząd magistratowi Warszawy. Odpadła obawa o istnienie Szpitala i o los jego podopiecznych. Pod sprawnym kierownictwem płka Leona *Strehla* zapanował możliwy w ówczesnych warunkach spokój i ład.

W Szpitalu Ujazdowskim, jak wspomniano, trwała praca nie tylko czysto lekarska. Personel brał żywy udział w kształceniu studen-

tów tajnych wyższych uczelni zarówno na oddziałach szpitalnych, jak i w pracowniach. Prosektorium miało możność służyć zwłokami do nauczania anatomii i to zwłokami żołnierzy niemieckich. Na terenie Szpitala odbywało się konspiracyjne kształcenie pielęgniarek pogotowia wojennego. Mimo przepracowania i dla nich znajdowano czas i siły. Gdy latem 1941 roku otrzymałem polecenie wyszkolenia 85 pielęgniarek, udałem się do doc. (obecnie profesora) Jana *Krotoskiego* i płka Tadeusza *Bętkowskiego* z prośbą o zorganizowanie kursu na swoich oddziałach. Bez słowa protestu podjęli się oni tego kłopotliwego zadania. A takich kursów odbywało się sporo.

W Szpitalu Ujazdowskim znajdowali opiekę nie tylko chorzy i ranni, ale również ci, którzy szukali schronienia przed okupantami. Byli to Żydzi i członkowie organizacji konspiracyjnych. Żydzi byli bądź to pracownikami Szpitala, bądź przebywali w stanie chorych, bądź też otrzymywali świadectwa inwalidztwa wojennego, które dawały pewną ochronę przed łapankami i wywożeniem na roboty. Przyjęcie członków konspiracji odbywało się na drodze normalnej, tj. przez izbę przyjęć (pod przybranym nazwiskiem) lub bezpośrednio przez ambulatorium wprost na odpowiedni oddział po uzyskaniu zgody ordynatora. Tutaj nigdy nie spotkałem się z odmową. Kim byli ci „chorzy", nigdy nie wiedziałem, ponieważ otrzymywałem przez łączników prośbę umieszczenia w szpitalu; czasami widziałem ich u siebie w gabinecie, kiedy indziej omijali progi przychodni. Oczywiście ordynatorzy robili to samo we własnym zakresie.

Przychodnia brała również udział w niesieniu pomocy Żydom. Przez pewien okres, do czasu organizowania getta, Żydzi-żołnierze mogli korzystać z pomocy ambulatoryjnej i szpitalnej bez przeszkód. Coraz bardziej następnie jednak malała ta ich liczba wskutek utrudniania opuszczania getta. Ci Żydzi, którym udawało się otrzymać przepustkę do szpitala, otrzymywali od nas zaświadczenie o udzieleniu im pomocy jako inwalidom wojennym i zalecenie ponownej wizyty lekarskiej. Jednocześnie badaliśmy ich odwagę i gotowość ratowania życia. Takim proponowaliśmy wyjazd na prowincję, do miejscowości obfitujących w lasy. W wypadku zgody wystawialiśmy zaświadczenie, że inwalida wojenny o nazwisku czysto polskim po otrzymaniu porady lekarskiej wraca do miejsca zamieszkania (na prowincji) i po pewnym czasie winien zgłosić się na dalszą kontrolę zdrowia. Odważni wyjeżdżali z Warszawy z tym zaświadczeniem. Takich zaświadczeń wydałem sporo, ale losy uciekinierów nie są mi znane. Odwiedzającym nas Żydom dawaliśmy również zaświadczenia o leczeniu się w przychodni wskazanych przez nich innych Żydów, by ułatwić im wyjście z getta i ewentualną ucieczkę. Gdy organizacje konspiracyjne zorganizowały własne wytwórnie dowodów osobistych, korzystaliśmy z ich pomocy dla wybranych osób, w tym również Żydów. Największą trudność stanowiło przełamanie naturalnej obawy przed wyjazdem w nieznane nawet w tym okresie, gdy straszny los, zgotowany Żydom przez władze okupacyjne, był dobrze znany wszystkim. Jeden z nich przed otrzymaniem ode mnie dowodu osobistego zapytał, czy gwarantuję mu bezpieczeństwo podróży do kryjówki na prowincji i zrzekł się dowodu, dowiedziawszy się, że żadnej gwarancji nie mogę dać. Odważni po zmianie nazwiska korzystali ze skierowania do przedsiębiorstw pracujących dla okupanta, co dawało możność przetrwania przy odpowiednim sprycie i pomysłowości. Rzecz zrozumiała, że zakres naszych możliwości w tej dziedzinie był niewielki. Żydzi ukrywani w Szpitalu Ujazdowskim szczęśliwie doczekali się wolności. Ze zrozumiałych powodów nie wiem dokładnie, ilu ich było. Pomoc udzielana przez „Ujazdów" nie była uwarunkowana żadnymi względami rasowymi ani politycznymi. Wszystkie organizacje konspiracyjne korzystały w jednakowym stopniu z gościnności.

Szpital Ujazdowski od zarania swej działalności był ogniwem konspiracji. Formalnie nie „wstępowałem" do konspiracji, gdyż automatycznie stałem się jej członkiem już w obozie w Radomiu. Zaprzysiężenie mnie w czerwcu 1940 roku było tylko zatwierdzeniem istniejącego stanu. Dokonał tego płk Kazimierz *Baranowski* w lecznicy PCK przy ul. Pięknej. Przybrałem pseudonim „Toruński". Miałem kilka pseudonimów dla innych organizacji, z którymi współpracowałem. Zostałem poinformowany, że moim przełożonym jest „Feliks". Dopiero niemal pod koniec okupacji dowiedziałem się, że był nim płk dr Leon *Strehl,* komendant Szpitala Ujazdowskiego. Wkrótce potem zgłosił się do mnie łącznik Komendy Głównej AK, następnie Głównego Kwatermistrza KG AK, dyrektora Zarządu Głównego PCK, płka Władysława *Gorczyckiego.* Jesienią nawiązał ze mną łączność płk Jan *Mazurkiewicz* („Radosław"), który wyjawił mi swoje nazwisko dopiero wtedy, gdy opuszczał Szpital po kapitulacji powstania, a także *Borys* z Kedywu; na polecenie „Feliksa" przyjąłem łącznika od płka dra Zygmunta *Gilewicza* i jeszcze kilku innych, wśród nich z Armii Ludowej.

Od połowy lata 1940 roku przybyło mi wiele dodatkowych prac i obowiązków. Prace komisji inwalidzkiej rozwijały się bardzo dobrze. Składała się ona z trzech lekarzy: ppłka dra Adolfa *Malinowskiego,* kpt. dra Zenona *Deki* i trzeciego niestałego członka oraz sekretarki Stanisławy *Kimlowskiej-Materskiej.* Ponieważ zgłaszający się do komisji niedokładnie podawali opis swoich cierpień, opracowałem kwestionariusz, który mieli wypełniać. Sam musiałem go kreślić w wielu egzemplarzach. Miałem obowiązek opracować dla komisji szczegółowe materiały dotyczące kandydata. Należało za wszelką cenę ustalić możliwie najwyższy procent utraty zdolności zarobkowej i uzasadnić jej związek ze służbą wojskową. W tym celu porozumiałem się z drem Marianem *Mroczkowskim,* rentgenologiem, by zdjęcia były korzystne dla badanego. To samo uczyniłem z badaniami laboratoryjnymi. Kierownik mjr dr Tadeusz *Kawecki* z całą gotowością podjął się tego zadania. W wyniku pracy tej spółki badany nie

doznawał zawodu i opuszczał komisję jako wysokoprocentowy inwalida.

Wspomniany kwestionariusz był przyczyną niebezpieczeństwa dla mnie. Otrzymałem polecenie zbierania zeznań wracających z niewoli żołnierzy o warunkach życia w obozie, komendantach, traktowaniu jeńców. Gdy zawiadomiłem władze, że to jest możliwe i proszę o przysłanie upoważnionej osoby, zgłosiła się p. *Ciecimirska,* mieszkająca w jednym ze mną domu. Dałem jej kącik w przychodni i prosiłem, by wypełniała kwestionariusz dla żołnierzy. Praca trwała przez dłuższy czas bez przeszkód. Ale pewnego ranka wpadł do mnie podniecony łącznik z KG AK z wiadomością, że rano tego dnia w mieszkaniu łączniczki Niemcy zrobili rewizję i aresztowali p. *Ciecimirską* i że mam polecenie zgłosić się niezwłocznie po dokumenty i pieniądze i uciekać z Warszawy. Postanowiłem nie wykonać polecenia, nie chcąc narażać Szpitala na kłopoty i licząc na spryt aresztowanej. Postąpiłem dobrze, gdyż gestapo nie wiedziało o mojej łączności z aresztowaną. Po paru dniach spotkałem się z nią na Pawiaku i dowiedziałem się, że zdążyła zniszczyć kompromitujące kwestionariusze i wszelkie ślady łączności ze Szpitalem. Praca komisji inwalidzkiej trwała do powstania.

W czerwcu 1940 roku pewnego dnia zadzwonił do mnie płk *Strehl* i prosił, bym się postarał o kilkaset złotych na opłacenie leczenia kilku chorych, gdyż będzie musiał za kilka dni wypisać ich ze Szpitala. Niezwłocznie udałem się do swego przyjaciela, dra *Mroczkowskiego* i zapytałem, czy mógłby mi pomóc. Poczciwy *Mroczkowski* już następnego dnia urządził mi spotkanie z pracownikiem miejskiej rzeźni, *Śledziewskim,* a ten dowiedziawszy się, o co chodzi, zaprosił mnie do rzeźni na następny dzień. Zgłosiłem się rano. *Śledziewski* wędrował ze mną od pokoju do pokoju i prosił o ofiarę na polskich rannych i chorych żołnierzy w Szpitalu Ujazdowskim. Do nadstawionego mego kapelusza sypały się datki, po kwadransie miałem już około 1200 zł. Zostałem zaproszony na stałe odwiedzanie pracowników rzeźni na początku miesiąca. Skrupulatnie to czyniłem aż do powstania. Była to duża suma, jeśli się zważy, że opłata w Szpitalu wynosiła 11 czy 12 zł dziennie. A więc pierwsze potrzeby zostały zaspokojone, ale nie na długo.

Nieoczekiwanie przyszła duża pomoc pieniężna od prof. dra Stanisława *Krauzego* z Państwowego Zakładu Higieny, który dowiedział się o mojej akcji i zaczął nakładać „kary" na fałszerzy produktów żywnościowych z poleceniem wpłacania pieniędzy na moje ręce. Najniższa kara wynosiła 10 000 zł, a otrzymane kwoty dochodziły do wysokości 50 000 zł. Kary wpłacano sumiennie co miesiąc aż do powstania. Wkrótce znaleźli się nowi ofiarodawcy, którzy wpłacali stałe ofiary pieniężne. Byli to mgr Konstanty *Potocki,* właściciel apteki, dyrektor „Węglobloku", Mieczysław *Łowiński* i Bronisław *Bielicki,* którzy wpłacali po 5 000 zł miesięcznie, dyrektor wytwórni obuwia 3 000 zł, dyrektor wytwórni kołder 3 000 zł. Ponadto wyprosiłem u głównego kwatermistrza AK 5 000 zł, a potem wkrótce 10 000 zł. Dzięki tej ofiarności pod koniec 1940 roku miałem stale w moim funduszu 26 000 zł miesięcznie i niestałe dotacje z kar. W sumie dysponowałem często kwotą do 60 000 zł miesięcznie. Była to poważna suma.

Zameldowałem o tym płk *Strehlowi* i przedstawiłem mu do oceny projekt zużycia tej sumy. Plan przewidywał opłaty za leczenie szpitalne i sanatoryjne żołnierzy i rodzin wojskowych, stałe zapomogi opuszczonym rodzinom z dziećmi, udzielanie zapomóg lub pożyczek na tworzenie zakładów pracy lub na prowadzenie drobnego handlu. Udało się założenie zakładu fryzjerskiego dla inwalidy, gabinetu dentystycznego dla lekarki chorej na gruźlicę i obarczonej utrzymaniem dwóch osób nie pracujących. To tylko najważniejsze osiągnięcia. Poprosiłem komendanta Szpitala o powołanie komitetu nadzorczego, do którego weszli gen. dr Witold *Horodyński,* doc. dr Jan *Krotoski* i płk dr Witold *Zawadowski.* Sprawozdania składałem płk *Strehlowi* i głównemu kwatermistrzowi AK. Fundusz był czynny do wybuchu powstania.

Kiedy mowa o sprawach pieniężnych, warto opisać charakterystyczne epizody. Mianowicie kiedyś po powrocie ze Szpitala do domu zobaczyłem wiszącą na kandelabrze kartę zajęcia kandelabra za zaległy podatek w wysokości 158 zł, a pod kandelabrem protokół nieściągalności podatku. Żona wyjaśniła, że komornik dokonał zajęcia kandelabra za jakiś niezapłacony podatek. Podczas wypisywania protokołu zajęcia komornik zapytał żonę, czy to ja jestem tym doktorem, który pracuje na Pawiaku, a usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, rzekł zdumionej żonie, że w takim razie podatek jest nieściągalny, zostawił odpowiedni protokół i opuścił mieszkanie. W końcu roku 1941 złożyłem zeznanie podatkowe o obrocie osiągniętym z praktyki prywatnej. Czekałem na wezwanie do zapłacenia podatku do połowy lipca 1944 roku, kiedy to poczta przyniosła do mego gabinetu prywatnego grubą kopertę akt. Przeczytałem, że jestem jako niesforny podatnik poszukiwany po całej Warszawie i mam się zgłosić do urzędu podatkowego. Przybywszy tam, zapytałem odpowiedniego referenta, dlaczego sprawa zawędrowała do obcego urzędu, ten zaś, zajrzawszy do teczki, zapytał, czy pracuję na Pawiaku. Gdy przytaknąłem, referent powiedział ku memu zdumieniu, że akt nie był jeszcze na Targówku i pośle go tam. „Proszę być spokojny!" Byłem spokojny, podatku nie zapłaciłem z powodu powstania.

Latem 1940 roku nawiązała się współpraca z wydziałem służby zdrowia więzień warszawskich. Doszło do tego w ten sposób, że kilkakrotnie byłem angażowany na konsultacje okulistyczne do więzienia śledczego przy ul. Daniłowiczowskiej, gdzie poznałem kilku urzędników Polaków pracujących w więzieniu. Tam pewnego dnia jeden z więźniów prosił mnie o zawiadomienie organizacji konspiracyjnej o swym aresztowaniu i przekazanie informacji ważnych dla przełożonych. Oczywiście prośbę wykonałem i opowiedziałem o tym płk *Strehlowi.* We wrześniu 1940 roku jeden z urzędników więzienia został przeniesiony do więzienia gestapowskiego, popularnego od wielu lat Pawiaka i on właśnie zaproponował mi objęcie tam stanowiska konsultanta. Chętnie zgodziłem się na tę propozycję, udałem się do kierownika więziennej służby zdrowia dra Jana *Raczyńskiego* i zostałem zakontraktowany na stanowisko konsultanta-okulisty w trzech więzieniach warszawskich. Na Pawiak chodziłem dwa razy w tygodniu i przyjmowałem pacjentów dwie godziny, także na ich własne życzenie.

W październiku 1940 roku zgłosiłem się po raz pierwszy na Pawiak. Dyżurny gestapowiec zaprowadził mnie na oddział męski szpitala więziennego, gdzie poznałem pracującego tam lekarza-więźnia dra Zygmunta *Śliwickiego.* Z kolei przedstawiłem się komendantowi więzienia, gestapowcowi, otrzymałem przepustkę do getta i oficjalną legitymację lekarza więzienia. Pawiak, jak wiadomo, posiadał dwa szpitale, żeński, zwany popularnie „Serbią" i męski. „Serbię" obsługiwały lekarki skazane przez sądy niemieckie. Władzę naczelną pełnił lekarz gestapowski. Byli tam doktorzy *Scherbel, Bomayer i Friederich.* Dr. *Bomayer* nawet pomagał więźniom, bronił lekarzy i umożliwiał im pracę. Władze gestapowskie zezwoliły na pracę lekarzom-więźniom. Oprócz nich byli lekarze dochodzący Stanisław *Babski,* Stefan *Baczyński,* Zofia *Grzybowska,* Józef *Kenig,* lek. dent. *Kleinowa,* Jan *Raczyński* i ja. Na „Serbii" pracowały lekarki Anna *Czuperska-Śliwicka,* Janina *Juraszyńska,* Irena *Kononowicz,* Krystyna *Ossowska,* Ludwika *Tarłowska,* lek. dent. Anna *Sipowicz-Gościcka* i studentka medycyny Maria *Kopeć* (obecnie doc. dr med.). Lekarzami byli tam Włodzimierz *Bołądź,* Alfred *Fiderkiewicz,* Jerzy *Hagmajer,* Felicjan *Loth,* Witold *Szonert,* Zygmunt *Śliwicki,* Jarosław *Sluzar.*

Pracowałem z nimi prawie cztery lata, widząc ich dwa razy tygodniowo podczas zajęć. Miałem więc okazję do dokładnego poznania tych — bez najmniejszej przesady — bohaterów. Tylko ten, kto bywał na Pawiaku, może zrozumieć straszną atmosferę nieustannej ka-

towni, gdzie panowała groza tortur lub śmierci w męczarniach. W tej małej, lecz potężnej twierdzy kilka tysięcy ludzi, stłoczonych w brudnych i ciemnych celach, głodnych, nieustannie poniewieranych, nie znających powodu wtrącenia do więzienia, niepewnych swego losu, pędziło nędzny żywot. Tylko niewielu więźniów wierzyło w szczęśliwą gwiazdę dzięki wrodzonemu optymizmowi lub wskutek nieświadomości swej sytuacji ludzi wyjętych spod prawa, zdanych na łaskę lub niełaskę oprawców nie ponoszących żadnej odpowiedzialności za swoje zbrodnie z zabójstwem włącznie. Spora część więźniów wykazywała instykt samoobrony. I to właśnie spośród tych ludzi zaczął się tworzyć zalążek wewnątrzwięziennej organizacji obronnej, której przewodzili lekarze-więźniowie. Dzięki patriotyzmowi i ofiarności polskiego personelu więziennego możliwe było stworzenie sieci wewnętrznej łączności, dobór ludzi zdecydowanych i odważnych, spostrzegawczych, obdarzonych błyskawiczną orientacją i zdolnością podejmowania szybkiej i celowej decyzji. Tryb przyjmowania i dalszego postępowania z więźniami umożliwił zorganizowanie niejawnej opieki nad nimi. Rolę tę przyjęły na siebie kolumny sanitarne, kąpielowe, fryzjernie, pralnia, kuchnia itp. Na czele tej tajnej organizacji stanęli lekarze-więźniowie. Bez niej byłoby niemożliwe nawiązanie ścisłej łączności między więźniami i światem zewnętrznym. Cała ta organizacja przez kilka lat działała skutecznie mimo wysiłków gestapowców zmierzających do zupełnego odizolowania więźniów.

Oczywiście zadaniem moim nie była pomoc lekarska, w istocie iluzoryczna, lecz nawiązanie kontaktów z personelem więziennym i zorientowanie się w możliwościach uzyskiwania wiadomości od aresztowanych. Personel też nie przyjął mnie z otwartymi ramionami, musiał być bardzo ostrożny i chciał poznać mnie gruntownie. Tak było z drem Zygmuntem *Śliwickim*. Dopiero po pewnym czasie nawiązały się między nami serdeczne stosunki. Zaufanie, jakie wzbudziłem w lekarzach-więźniach, umożliwiło mi wywiązanie się z moich obowiązków i spełnienie zadań. Po uzyskaniu pracy na Pawiaku i w dwóch innych więzieniach zameldowałem o tym swoim władzom konspiracyjnym. Po paru miesiącach zacząłem otrzymywać polecenia wybadania uwięzionych, w jakich okolicznościach zostali aresztowani, czy gestapowcy orientują się, kogo mają w ręku, o co pytają na przesłuchaniach, kogo potrzeba ostrzec, co zlikwidować, jak również zadania przekazywania więźniom wiadomości lub zarządzeń ich władz konspiracyjnych. W niektórych wypadkach można było kierować postępowaniem i postawą aresztowanych.

Technika tej pracy była następująca. Łącznik przychodził do mnie do przychodni i podawał nazwiska więźniów, polecenia dla nich i odwrotnie, pytania o śledztwie. Uczyłem się tego na pamięć i treść przekazywałem lekarzom-konspiratorom. Ci odszukiwali odpowiednich aresztowanych i potem zależnie od możliwości albo komunikowali mi uzyskane od nich wiadomości, albo sprowadzali ich do szpitala w dniu moich przyjęć na poradę okulistyczną i w ten sposób umożliwiali nam obu bezpośrednią rozmowę. Wyniki zapamiętywałem i potem powtarzałem je na spotkaniu z łącznikami-„zleceniodawcami". Spotkania odbywały się znowu w przychodni tego samego dnia o godz. 16 lub następnego podczas mojej normalnej pracy. Zetknięcie się z aresztowanym w szpitalu na Pawiaku odbywało się z zachowaniem największej ostrożności, ponieważ przyprowadzał go dyżurny gestapowiec i asystował przy rzekomym badaniu lekarskim. Dr *Śliwicki* lub dr *Loth* starali się rozmową odwrócić od nas uwagę gestapowca i w ten sposób umożliwiali szybkie przekazanie wiadomości. Wielce pomocna była ciemnia rentgenowska, do której zwykle prowadziłem więźnia pod pretekstem badania dna oczu. Co dziwne, gestapowcy ani razu nie chcieli mi towarzyszyć podczas badania w ciemni, a o to mi tylko chodziło. Tych kilka minut wystarczało do wykonania zadania. Oczywiście koledzy czuwali cały czas nad moim bezpieczeństwem.

Zdarzały się sytuacje tak trudne, że niepodobieństwem była intymna rozmowa z badanym w pokoju przyjęć. Np. pewnego razu więźnia przyprowadziło dziesięciu gestapowców, którzy z czterech stron stanęli pod ścianami i pilnie mi się przyglądali. Najmniejsza nieostrożność ze strony mojej lub więźnia mogła mieć tragiczne następstwa. Wtedy tylko mój pozorny spokój wyprowadził mnie z trudnej sytuacji. Zwróciłem się do najstarszego gestapowca z oświadczeniem, że badanie wymaga udania się do ciemni. Ku memu zdumieniu i radości uzyskałem zgodę. Parę minut wystarczyło na wymianę informacji. Podczas tego rodzaju kontaktów niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku i w każdej chwili. Więźniowie potrafili być niebezpieczni wskutek lekkomyślności, niezdawania sobie sprawy z powagi położenia, nieostrożności lub po prostu dobroduszności. Jeden z nich, przyprowadzony przez gestapowca, położył „gryps" na stoliku obok mnie; tylko niesłychana spostrzegawczość i przytomność umysłu dra *Śliwickiego* uratowała nas od katastrofy. Umówiłem się z moimi władzami, że tylko w wyjątkowych wypadkach będą posługiwały się „grypsami" w obu kierunkach.

Raz musiałem zabrać „gryps" z Pawiaka, czego bardzo nie lubiłem robić. Pech chciał, że zdążając do wyjścia z getta zauważyłem z odległości 50 m, iż przy bramie w murze jest wielu gestapowców i barwnie umundurowanych osobników. Było już za późno na cofnięcie się bez wzbudzenia podejrzenia. Rad nierad szedłem spokojnie z „grypsem" do bramki, sądząc, że to już moja ostatnia wędrówka na Pawiak. Rewizja była nieunikniona. Rzeczywiście, zostałem zatrzymany przez gestapowców i jeden z nich zapytał mnie, czy mam szmugiel? Odpowiedziałem twierdząco.

Zdumiony Niemiec zapytał, jaki to szmugiel, na co spokojnie odpowiedziałem, że są to bakterie. Gestapowiec wrzasnął: „Czy pan kpi z nas?". Wtedy pokazałem mu swoją legitymację więzienną i powiedziałem: „Jak pan widzi, jestem lekarzem, więc cóż innego mogę szmuglować?" Zaskoczony początkowo gestapowiec milczał, a potem uderzył mnie pięścią w ramię i zaczął się głośno śmiać, wołając do innych: „Patrzajcie, oto wariat, który szmugluje bakterie!" Rozbawieni Niemcy, rechocząc głośno, odprowadzili mnie do bramki i wypuścili z getta. Szedłem dalej spokojnie i powoli, ale na mocno słomianych nogach, aż do placu Teatralnego. Takich wypadków przeżyłem sporo.

Niechętnie przyjmowałem polecenia kontaktowe, przekraczające liczbę trzech, czterech osób na Pawiaku. Zdarzały się jednak wypadki, gdy musiałem z powodu naglących potrzeb realizować więcej, raz aż czternaście. Wysiłek pamięci był niesłychanie duży i nużący, bo trzeba było w jedną stronę donieść zapytania, a z powrotem nazwiska, pseudonimy, adresy, telefony, najrozmaitsze polecenia, sprawozdania z przesłuchań itp. Od czasu do czasu w trybie nagłym studiowałem listy straconych lub wywiezionych więźniów, które musiały być w tym samym dniu dostarczone odpowiednim komórkom konspiracyjnym. Nauczyłem się wtedy zapominania poprzednich poleceń, by móc swobodnie i bezbłędnie dostarczyć nowe na Pawiak. Raz zdarzyło mi się przeczytać dwa razy tylko w toalecie wskazówki pewnego wyższego dygnitarza konspiracyjnego napisane na dwóch stronach arkusza. Dwukrotnie powtórzyłem wiernie treść odpowiedniej komórce, ale miałem tak wymęczoną pamięć, że moje władze dały mi dwa tygodnie spokoju i bez sprzeciwu wpłaciły na fundusz pomocy 35 000 zł na moje żądanie. Potem zorientowałem się, niestety, zbyt późno, że bez kłopotów dano by mi nawet sto tysięcy.

Z racji swej pracy na Pawiaku byłem bodaj pierwszym lekarzem Kedywu. Po mnie był dr Cyprian *Sadowski*. W tym charakterze utrzymywałem łączność z aresztowanymi, wystawiałem drużyny lekarskie do akcji orężnych przeciw Niemcom, przygotowywałem oddziały chirurgiczne do przyjęcia ofiar akcji. Tutaj nie zaznawałem zawodu. Zawsze zgadzali się na udział w akcjach dr Czesław *Narkowicz*, dr Cyprian *Sadowski*, sędziwy gen. dr Witold *Horodyński*. Gdy płk „*Radosław*" zapowiedział akcję na następny dzień i prosił o przygotowanie oddziału chirurgicznego na przyjęcie rannych, udałem się w tej sprawie do doc. dr Jana *Krotoskiego* i płka dra Tadeusza *Bętkowskiego*. Obaj, nie pytając mnie, z jakiego tytułu to czynię, wyrazili gotowość udzielenia potrzebnej pomocy. Zdumiewająca była gotowość wszystkich, do których zwracałem się z prośbą o pomoc.

Oto przykład. Na Pawiaku zgłosił się żołnierz konspiracji i zakomunikował, że tego dnia został rano aresztowany na ulicy i prosił mnie, bym jak najprędzej zawiadomił komórkę na dalekim Grochowie o jego pobycie na Pawiaku i polecił przeniesienie broni w nowe, bezpieczne miejsce. Sprawa była bardzo pilna. Była już godzina 16, ja miałem wyznaczone spotkanie z łącznikami o 17, więc nie mogłem zająć się sam ratowaniem zagrożonej komórki. Rozejrzałem się po placu Teatralnym i zobaczyłem idącą w moim kierunku starszą panią. Bez namysłu zwróciłem się do niej, opowiedziałem, o co chodzi i prosiłem o wykonanie. Ta od razu zapewniła mnie, że zajmie się tym i podążyła do Krakowskiego Przedmieścia. Nie zawiodła. Komórka ocalała, broń również. Ileż to razy sędziwa Maria *Modrzewska*, pielęgniarka w naszej przychodni, nie bacząc na zmęczenie dążyła do miejsc zagrożonych, do chorych nie mogących przybyć do ambulatorium, przygotowywała paczki dla więźniów obozów koncentracyjnych, na co dawałem pieniądze z opisanego funduszu, przeprowadzała wywiad o sytuacji materialnej rodzin wojskowych itp. Opieką nad chorymi leżącymi w domu zajmowali się też ofiarnie dr Józef *Wiloch*, dr Michał *Lityński*, dr Stanisław *Wszelaki*, dr Czesław *Narkowicz*, gen. dr *Horodyński*.

Wobec mnóstwa potrzeb cenna była też współpraca z wspomnianym już płk *Strehlem*. Ten uroczy człowiek miał przyjemny zwyczaj poruszania jakiegoś zagadnienia w ten sposób, że prosił o znalezienie sposobu jego rozwiązania, natomiast nigdy nie narzucał swego poglądu lub zarządzenia. Żywiłem do niego bardzo wielkie zaufanie i przywiązanie. Warto przytoczyć jeszcze jedną sprawę spośród wielu, które załatwiałem. Akcje Kedywu były wykonywane przez ludzi pracujących i wymagały czasami kilkudniowej nieobecności w zakładzie pracy i usprawiedliwienia lekarskiego. Należało więc porozumieć się z lekarzami Kasy Chorych. Udałem się do dra Mieczysława *Naramowskiego* i po rozmowie z nim uzyskałem jego zgodę na przeprowadzenie tej sprawy na terenie Kasy. W związku z mnożącymi się akcjami antyniemieckimi władze okupacyjne wydały nakaz wszystkim szpitalom i lekarzom meldowania władzom niemieckim o wypadkach udzielenia pomocy lekarskiej rannym w takich akcjach, grożąc karą śmierci za niewykonanie nakazu. Po naradzie z płk *Strehlem* podjąłem się uzyskać przychylność policji polskiej. Komisarz komisariatu właściwego terenowo dla Szpitala Ujazdowskiego zapewnił nas, że mamy spokojnie jemu składać meldunki, a on już sobie poradzi z nimi. Istotnie, nie było kłopotów.

Przygotowanie do powszechnego powstania wymagało ujęcia w ewidencję chirurgów na terenie Generalnej Guberni. Alicja *Bielińska*, urzędniczka Naczelnej Izby Lekarskiej, dostarczyła potrzebnych spisów i dyslokacji chirurgów. Ta odważna Polka nigdy nie odmawiała mi — bez względu na ich liczbę — zaświadczeń o przynależności do służby przeciwlotniczej, potrzebnych osobom niezbyt lojal-

nym w stosunku do okupanta. Był to prawdziwy duch opiekuńczy na terenie Izby.

Nadmiar chorych na gruźlicę trzeba było umieścić poza Szpitalem Ujazdowskim, w miarę możności w sanatorium. Udaliśmy się we trzech, tj. płk *Strehl*, kpt. dr Jerzy *Dreyza* i ja, do sanatorium przeciwgruźliczego w Rudce. Dyrektor sanatorium, dr Tadeusz *Rechniowski*, z całą gotowością obiecał przyjmować chorych z „Ujazdowa", mimo że sanatorium zostało zajęte przez władze niemieckie dla swoich ludzi. Nieraz dziwiłem się ufności naszych rodaków. Z powodu przepełnienia naszego Szpitala zadzwoniłem do sekretarki Szpitala Dzieciątka Jezus, Eugenii *Dąbrowskiej* i zapytałem ją, czy dyrekcja zgodziłaby się na leczenie chorych kierowanych przez „Ujazdów" lub ambulatorium. Nie jestem pewny, czy sekretarka słyszała kiedy o mnie, ale od razu zepewniła, że szpital uwzględni naszą prośbę. Taką samą postawę zajął Szpital św. Ducha i szpital w Otwocku. Gdy w naszej aptece zaczęło brakować witamin i organopreparatów, zwróciłem się do mgr Konstantego *Potockiego*, właściciela apteki, prosząc o sprzedawanie nam tych leków. Bez wahania przyrzekł honorować nasze recepty, a nawet dawać ubogim lekarstwa bezpłatnie. To samo robił *Strużyński*, właściciel apteki na rogu Wiejskiej i Górnośląskiej, jak też Gustaw *Zahrt* na Wroniej.

Szpital Ujazdowski w miarę trwania wojny był narażony na coraz większe ograniczenia i dotkliwe kłopoty. W roku 1941 musiał ustąpić część swoich pomieszczeń Szpitalowi św. Ducha, który niemieckie władze wyrzuciły z lokalu, a w roku 1942 zabrały najlepsze pomieszczenia dla zorganizowanego *Sonderlazarett* przeznaczonego dla *ostlegionu* oraz jeden pawilon dla jeńców radzieckich. Zaroiło się od niemieckich żołnierzy na terenie naszego Szpitala, wzmogło się więc niebezpieczeństwo dla działalności nielegalnej i nasilała się konieczność wzmożenia czujności i ostrożności. Obowiązek leczenia chorych *ostlegionistów* nałożono na „Ujazdów" i ambulatorium. Dało mi to okazję do rozmów z obywatelami radzieckimi, wcielonymi przymusowo do wojska lub oddziałów robotniczych. Wszyscy ci „sprzymierzeńcy" niemieccy bardzo chętnie dzielili się ze mną wiadomościami o niepowodzeniach hitlerowskich i o trudnościach żywnościowych i gospodarczych, potęgujących się coraz bardziej.

Znając Rosję i język rosyjski, łatwiej nawiązywałem te kontakty. Pewnego razu przyprowadzono do mnie kilkunastu *ostlegionistów* w celu wystawienia zaświadczenia o ich zdolności do marszu. Stan badanych okazał się tak daleki od *marschfähig*, że niezwłocznie sprowadziłem niemieckiego lekarza i pokazałem mu niewygojone rany stawów, kości, złamania kończyn. Ów pan wpadł we wściekłość i niezwłocznie nakazał ponowne przyjęcie do Szpitala. Odwiedzałem kilka razy jeńców radzieckich w ich pawilonie. Wstrząsający to był widok, ale uderzała imponująca, pełna godności postawa żołnierzy-jeńców. Oczywiście Szpital, jak mógł, pomagał tym ściśle izolowanym nieszczęśnikom dożywianiem i lekarstwami, oczywiście potajemnie.

Na tle nieustannych zmian w Szpitalu jeden skromny i cichy zakątek pracował bez rozgłosu i reklamy, ale nad wyraz pożytecznie i wydajnie. Myślę o Bibliotece Lekarskiej. Jej twórca i dotychczas zapamiętały obrońca, dr Stanisław *Konopka* (obecnie profesor), niezmordowanie pracował nad zachowaniem zebranych skarbów, którymi służył pracującym naukowo lekarzom, uczącym się studentom; były to czasopisma i książki medyczne, jak również regulaminy i instrukcje wojskowe dla podchorążówek tajnych. *Konopka* zbierał egzemplarze tajnych gazetek krajowych i zagranicznych. W bibliotece zawsze widziano jej zapracowanego włodarza. Tam można było odprężyć się nerwowo, omówić wypadki dziejowe, przewidywać przyszłość w postaci druzgocącej klęski *Hitlera*, odwet odrodzonej Polski, pracę ogromną, jaka nas oczekiwała po wojnie. Każdy z licznie odwiedzających biliotekę przynosił zasłyszane wiadomości. Do naszego ambulatorium docierali ludzie z różnych stron Polski. Dzięki temu często dowiadywaliśmy się o wypadkach na terenie całego kraju, o nastrojach, o nadziejach udręczonej ludności. Przybywali do mnie w rozmaitych sprawach żołnierze terenowych tajnych organizacji i oddziałów partyzanckich. Jakie to były sprawy? Ewakuacja 27 żołnierzy rannych w bojach z pacyfikującymi Zamojszczyznę niemieckimi oddziałami gestapo. Lekarz zniszczonego oddziału sprowadza rannych do Warszawy, gdyż tam obawia się ich trzymać. Inny szuka stanowiska w oddziałach partyzanckich i prosi o pomoc. Wiadomości o zawziętych walkach przeciw niemczeniu Zamojszczyzny, z bandami dezerterów itd. Wszystkie te wiadomości komunikowałem płk *Strehlowi* i kolegom.

Gdy teraz z perspektywy dwudziestu kilku lat wspominam ukochany „Ujazdów", to widzę go jako związek ludzi, którzy tworzyli ośrodek walki o przetrwanie. W tym środowisku, złożonym z ludzi o bardzo zróżnicowanym poziomie intelektualnym i kulturalnym, o różnej orientacji politycznej, o różnych temperamentach panowała niezachwiana wiara w klęskę hitlerowców. Ta wiara scalała wysiłki, a Polak czuł się tutaj jak w Rzeczypospolitej Ujazdowskiej, unikalnym tworze, relikcie świetnej przeszłości na terenie okupowanym przez hitlerowców. Tu ludzie potrzebujący pomocy byli pytani, czego potrzebują, a nie, kim są; każdego w miarę możności leczono jak najlepiej i skutecznie; tu zapewniano pomoc po wyleczeniu w postaci pracy, mieszkania, pieniędzy, ubrania, o które dbały opiekunki społeczne. Tutaj udzielano pomocy moralnej, dodawano otuchy, umacniano nadzieję na lepszą przyszłość. Tutaj młodzież akademicka, pozbawiona możności normalnego kształcenia się, znajdowała opiekę szlachetnych profesorów i pomocników naukowych, którzy w każdych warunkach dzielili się z nią swoją wiedzą i przygotowywali ją do pracy zawodowej w odrodzonej Polsce. Tutaj prof. dr Edward *Loth* stworzył pierwszy w Polsce Instytut Rehabilitacji Inwalidów, który dawał zawód dostosowany do ich możliwości fizycznych. Tu był teren, na którym jaskrawo przejawiał się patriotyzm mieszkańców Warszawy, nieraz głodnych, ale dzielących się ze swoimi polskimi żołnierzami skromnym kawałkiem chleba.

Tu stworzono wielką rodzinę głodomorów. Zilustruję to twierdzenie uposażeniem personelu. Opieram się na cudem ocalałej liście płac z dnia pierwszego sierpnia 1944 roku. Dyrektor dr *Strehl* pobierał 384 zł 80 gr, jego zastępca 462 zł 30 gr, płk dr Tadeusz *Bętkowski* 388 zł 30 gr, prof. dr Teofil *Kucharski* 488 zł, doc. dr Jan *Krotoski* 360 zł, siostra salowa Maria *Brzeska* 223 zł, autor tej relacji 359 zł. Pensje stanowiły wtedy mniej więcej wartość trzech kilogramów masła.

Na terenie Szpitala była siedziba władz konspiracyjnej służby zdrowia; tutaj oddawałem swój gabinet na narady przywódców politycznych i wojskowych dowódców konspiracyjnych lub wyszukiwałem dla nich bezpieczne pomieszczenie. Tutaj odbywały się wykłady i ćwiczenia, często w salach Biblioteki Lekarskiej. Mój gabinet służył za salę rozpraw sądów konspiracyjnych. Był to mój udział w licznych wysiłkach i różnorodnej działalności wielu innych konspiratorów. Obok mojej drogi były tysiączne inne, nieporównanie trudniejsze i ważniejsze. Ograniczenie relacji do Szpitala Ujazdowskiego mogłoby błędnie sugerować, że tylko on pracował i walczył. Natomiast tylko nasz Szpital tym się różnił od innych, że był szpitalem wojskowym, a do końca istnienia zostawał pod nadzorem wojskowym władz niemieckich i miał swego oficera, lekarza łącznikowego z komendą wojskową (kpt. dr Jerzy *Dreyza*).

Jakim zaufaniem cieszył się Szpital Ujazdowski u warszawiaków, niech poświadczy moje następujące przeżycie. W czerwcu 1944 roku przyszły do mego gabinetu dwie starsze panie i poprosiły o zapewnienie im karetki sanitarnej ze Szpitala Ujazdowskiego. Udając naiwnego, zapytałem, po co im jest potrzebna sanitarka. Panie się oburzyły. Przecież dla powstania, one mają już zorganizowany punkt opatrunkowy, mają lekarza (wymieniają nazwisko 70-letniego doktora), mają platformę konną i woźnicę, ale muszą mieć zapewnioną sanitarkę dla przewożenia rannych do Szpitala Ujazdowskiego. Punkt znajduje się na dalekim Mokotowie. Mimo woli wyrwało mi się pytanie o wiek woźnicy. „Łat siedemdziesiąt" — pada odpowiedź. „To pewno i koń jest stary?" „Tak, to stary perszeron".

Tak dotrwaliśmy do powstania warszawskiego. Z tego rozdziału warto przytoczyć dwa zdarzenia, z których drugie jest epilogiem. W upalny dzień trwała zaciekła bitwa o ul. Królewską. Wśród rannych, których opatrywaliśmy w szpitalu w PKO, znalazła się dwunastoletnia dziewczynka z licznymi, na szczęście powierzchownymi ranami. Po opatrunku zerwała się i zmierzała do wyjścia. Zatrzymana, opierała się, mówiąc, że dostarcza ona amunicję dla walczących na ul. Królewskiej, tam już zginęły trzy dziewczynki, ona jest ostatnia i nie pozostawi walczących kolegów bez amunicji. I poszła! Epilog przeżyłem w obozie jeńców wojennych w Niemczech, XIA, Altengrabow. Anglicy zabierali do swego baraku najciężej rannych żołnierzy AK. Wpadł do mnie ordynator tego oddziału i ze wzruszeniem opowiedział, że przejmujący rannych angielski lekarz, kapitan *Burton*, podszedłszy z kolei do łóżka, na którym zobaczył małą postać, zdziwiony spytał, kto to jest. Ordynator odchylił koc i pokazał małego chłopca zupełnie pokrytego opatrunkami i wyjaśnił, że jest to dwunastoletni harcerz, kapral, kawaler Krzyża Walecznych, ciężko ranny w płuca i inne części ciała. Anglik znieruchomiał i zamilkł. Kolega spojrzał na niego i zobaczył łzy płynące strumieniem.

Spis lekarzy Szpitala Ujazdowskiego z dnia 1 sierpnia 1944 roku

Dr Leon *Strehl*, dyrektor. — Dr Felicjan *Wołkowiński*, zastępca dyrektora. — Prof. dr Teofil *Kucharski*, kierownik Oddziału Wewnętrznego. — Dr Stanisław *Andukowicz*, st. ordynator. — Dr Stanisław *Bayer*, ordynator. — Dr Tadeusz *Bętkowski*, st. ordynator. — Dr Franciszek *Borusiewicz*, st. ordynator. — Dr Franciszek *Chmielewski*, ordynator. — Dr Antoni *Chróścicki*, ordynator. — Dr Roman *Cioch*, ordynator. — Dr Stanisław *Dąbrowski*, pomocniczy lekarz. — Dr Zenon *Deka*, ordynator. — Dr Kazimierz *Dzik*, ordynator. — Dr Wacław *Falencik*, ordynator. — Dr Kazimierz *Fritz*, ordynator. — Lek. Jan *Górski*, ordynator. — Dr Ryszard *Jawiński*, ordynator. — Dr Tadeusz *Kawecki*, kierownik Pracowni Klinicznej. — Dr Kazimierz *Kessel*, st. ordynator. — Dr Zeneida *Koczerewska*, ordynator. — Dr Bronisław *Kosiewicz*, st. ordynator. — Dr Jan *Krotoski*, ordynator. — Dr Zygmunt *Krupiński*, lekarz-radiolog. — Dr Witold *Kucleb*, ordynator. — Dr Wacław *Kuśnierczyk*, ordynator. — Dr Michał *Lityński*, st. ordynator. — Dr Stanisław *Michałek-Grodzki*, st. ordynator. — Dr Janina *Morawiecka*, ordynator. — Dr Marian *Mroczkowski*, lekarz-radiolog. — Dr Czesław *Narkowicz*, ordynator. — Dr Stanisław *Niedzielski*, ordynator. — Dr Józef *Nowiński*, ordynator. — Dr Tadeusz *Nowicki*, ordynator. — Dr Władysław *Okniński*, ordynator. — Dr Ładysław *Piotrowski*, ordynator. — Dr Zygmunt *Pruski*, st. ordynator. — Dr Władysław *Rucki*, ordynator. — Dr Walter *Ruszkowski*, st. ordynator. — Dr Cyprian *Sadowski*, ordynator. — Dr Włodzimierz *Sawicz*, st. ordynator. — Dr Zygmunt *Siedlecki*, st. ordynator. — Dr Marian *Śmietański*, kierownik Instytutu. — Dr Szczepan *Wacek*, ordynator. — Dr Włodzimierz *Wachnowski*, ordynator. — Dr Witold *Waligórski*, st. ordynator. — Dr Józef *Wiloch*, ordynator. — Dr Irena *Wojnicz*, ordynator. — Dr Maria *Wojtulewicz*, ordynator. — Lek. Eugeniusz *Zachwiej*, ordynator. — Dr Witold *Zawadowski*, kierownik Pracowni Rentgenowskiej. — Lekarze-dentyści: Jadwiga *Donau-Spindler*, Antonina *Grzybowska*, dr Zofia *Mirska*. — Pomocnik lekarski: Roman *Turowski*. — Ponadto pracowali kierownik Apteki, mgr Stanisław *Rajski*, aptekarze mgr Ryszard *Białek*, Maria *Chlebowska*, mgr Stanisława *Cianciara*, mgr Karol *Czerny*, mgr Wanda *Krygier*, mgr Józef *Stankiewicz*, mgr Jadwiga *Turowska-Małkiewicz* i pomocnica aptekarska Halina *Zwierzchowska*.

MICHAŁ BIAŁOKOZ Poznań

Z historii służby zdrowia Warszawy — Śródmieścia w powstaniu warszawskim

Bogate piśmiennictwo dotyczące powstania warszawskiego dość wyczerpująco informuje o przebiegu działań wojennych, o ich tle politycznym, o sytuacji ludności Warszawy w tych tragicznych miesiącach itd. Zagadnienia lekarskie powstania przewijają się w tej literaturze, a także są przedmiotem odrębnych opracowań, które uwzględniono między innymi w „Polskiej bibliografii lekarskiej" prof. *Konopki,* w powielanym miesięczniku „Przegląd piśmiennictwa lekarskiego polskiego" i w informacjach bibliograficznych publikowanych w dziale „Oceny" w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Znany jest więc związek przyczynowy między niedostatecznym przygotowaniem powstania, stopniowym pogarszaniem się jego sytuacji, brakiem wody, światła elektrycznego, materiałów opatrunkowych, leków i żywności a sprawami sanitarno-medycznymi, na które ujemny wpływ wywarło zbyt szczupłe zaopatrzenie, jak również bezpośredni kontakt z działaniami nieprzyjaciela.

Podejmując szkic działalności służby zdrowia w dzielnicy Warszawa-Śródmieście, nie można uniknąć między innymi trudności z ustaleniem umiejscowienia części placówek na planie dzisiejszej Warszawy, która po zupełnym zniszczeniu została całkowicie przebudowana. Ponadto prawie wszystkie placówki, o których będzie mowa, były improwizowane, zakładane w domach mieszkalnych i to często zupełnie przypadkowo. Można było zapamiętać ulicę i wygląd domu; numeru kamienicy często się nie pamiętało.

Duże, stałe szpitale dzielnicy znajdowały się od pierwszych dni powstania w rękach niemieckich. Założenia dowództwa Armii Krajowej w zakresie służby zdrowia na wypadek powstania nie znalazły możliwości realizacji. Wystarczy przyjrzeć się cytowanemu w pracy Aleksandra *Skarżyńskiego* pt. „Polityczne przyczyny powstania warszawskiego" (PWN, Warszawa 1965) „Rozkazowi operacyjnemu...", znajdującemu się w Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Szpitale wskazane w tym rozkazie, podział środków medycznych itp. okazały się nadmiernie optymistyczne. Nie znalazłem żadnych materiałów, w których stwierdzano by istnienie jakichkolwiek rozkazów szefów sanitarnych AK poszczególnych obwodów w zakresie ilości, charakteru, rozmieszczenia, zadań, wyposażenia, obsady placówek „Wojskowej Służby Zdrowia" na wypadek powstania. Odnosi się wrażenie, że poza zbyt szczupłą obsadą „etatową" sanitariuszy dowódcy pododdziałów w ostatniej chwili i w czasie działań wojennych „mobilizowali" noszowych, ściślej „noszowe bez noszy", tj. sanitariuszki bądź łączniczki, zdając sobie sprawę z zapału i poświęcenia młodzieży, pełnej egzaltowanego patriotyzmu, poczucia obowiązku i honoru żołnierskiego. Możliwe, że wydawano jakieś ustne rozkazy dla raczej nie istniejącej w pełnym tego słowa znaczeniu „Wojskowej Służby Zdrowia". Zapewne czyniono to tuż przed rozpoczęciem powstania lub też po podjęciu wojskowych działań zaczepnych, nie udało się jednak odnaleźć odpowiednich pisemnych dowodów. Nierealny plan powstania liczył na istniejące duże, stałe szpitale, nie przewidując potwornej walki barykadowej w mieście rozczłonkowanym na poszczególne odcinki przez niemieckie siły wojskowe. Służba zdrowia stanęła w powstaniu przed faktami dokonanymi i warunkami, na które trzeba było odpowiadać natychmiast refleksem i konsekwentnym działaniem.

W takim stanie sprawy trudno powstrzymać się od podziwu nad szybkością utworzenia, dynamizmem, rozwojem i niezmordowaną działalnością placówek służby zdrowia w Warszawie-Śródmieściu przez cały czas trwania walk i po kapitulacji, aż do chwili ewakuacji ostatnich szpitali, rannych i chorych z miasta. Do szybkiego improwizowania jednostek sanitarnych przyczyniała się wysoko wyrobiona dyscyplina zawodowa i społeczna, patriotyzm, zdolności organizacyjne rzeszy lekarzy, pielęgniarek i pracowników administracyjnych i fizycznych. Działano podług potrzeb i własnych koncepcji, dostosowanych do miejscowej sytuacji. Sanitarne zaplecze powstania było w rzeczywistości przede wszystkim cywilne. Tu i ówdzie nosiło szyld wojskowości. Dlatego rozgraniczanie funkcjonalne służby zdrowia Warszawy-Śródmieścia na wojskową i cywilną byłoby tylko zabiegiem formalnym. Szpitale i placówki opatrunkowo-ambulatoryjne przyjmowały bez żadnej różnicy żołnierzy i ludność cywilną. Zresztą w powstaniu warszawskim pojęcia żołnierza i cywila w ogóle, a na terenie sanitariatu w szczególności zacierały się z powodów zasadniczych. Wszystkie szpitale dokumentowały przynależność do jednostek wojskowych i okoliczności zranienia w historii choroby ze względu na ewentualne przyszłe prawa do uznania związku przyczynowego cierpienia ze służbą liniową, intendencką, urzędniczą, administracyjną, sanitarną, przeciwpożarową i innymi. Ta dokumentacja musiała niestety ulec z powodu kapitulacji spaleniu po zamianie na inną, nową, nie grożącą represjami ze strony okupanta. Cała służba zdrowia powstania warszawskiego, to żołnierze-powstańcy, niezależnie od formalnego charakteru placówki sanitarnej.

Pod względem fachowym szpitale, gdy się weźmie pod uwagę kwalifikacje chirurgiczne, stały przeciętnie na poziomie dywizyjnego punktu opatrunkowego (w rozumieniu taktyki sanitarnej ówczesnego Wojska Polskiego). Szpitale przy ul. Hożej, przy ul. Marszałkowskiej 79, przy ul. Chmielnej i przy ul. Jaworzyńskiej reprezentowały poziom dywizyjnego szpitala polowego. Poziom punktów opatrunkowo-ambulatoryjnych zależał od kwalifikacji, specjalności i zdolności organizacyjnych lekarzy i personelu pomocniczego, od liczby zatrudnionych, od jakości lokalu i ilości wyposażenia.

Wiadomo, że podział na północną i południową część dzielnicy był spowodowany jedynym, bardzo wąskim i „niezupełnie wygodnym" przejściem przez aleje Jerozolimskie, ostrzeliwane wzdłuż przez Niemców. Obie te części stanowiły jednak jedną administracyjną całość. W Warszawie-Śródmieściu Północ były następujące szpitale: Szpital w Zakładzie św. Kazimierza na Tamce, Szpital Webera przy ul. Chmielnej oraz 8 szpitali przy następujących ulicach: Wareckiej, Jasnej, Brackiej, Złotej 58, Pierackiego 3/5, Kopernika, Świętokrzyskiej, Boudouina 3/5. Punkty opatrunkowo-ambulatoryjne znajdowały się przy ulicach Chmielnej, Brackiej 23, Mazowieckiej, Czackiego 3/5. W Warszawie-Śródmieściu Południe był Szpital PCK przy ul. Jaworzyńskiej, szpitale przy ul. Marszałkowskiej (pod numerem 79 oraz „Omega") oraz 8 szpitali przy ulicach Poznańskiej, Lwowskiej, Wilczej 1 (dziecięcy), Wilczej 12, Kruczej 13, Hożej, Mokotowskiej 46a i Żurawiej 31 (przeciwgruźliczy). Punkty opatrunkowo-ambulatoryjne mieściły się przy ulicach 6 sierpnia 16, Koszykowej, na rogu ulic Wspólnej i Marszałkowskiej, przy ul. Marszałkowskiej 56, Wilczej 29a, Natolińskiej i Żurawiej (przy Kruczej, z kilkoma łóżkami). Niektóre punkty opatrunkowo-ambulatoryjne dysponowały kilkułóżkowym zapleczem zarówno w Śródmieściu Północ, jak i Południe. Dzielnica miała jeden gabinet rentgenologiczny przy ul. Wspólnej.

Z pozostałych placówek służby zdrowia należy wymienić Składnicę Sanitarną przy ul. Kruczej 29, wszystkie apteki Śródmieścia i Intendenturę (magazyn żywnościowy przy ul. Kruczej). Praca w placówkach służby zdrowia była nieodpłatna, a pomoc lekarska i pielęgniarska bezpłatna, zarówno na miejscu, jak i w domu chorego. Ponadto działali w dzielnicy lekarze prywatni, przyjmując w swoich mieszkaniach chorych i rannych oraz chodząc na wezwanie do chorych do domów. Lekarze prywatni również wykonywali swe czynności bezpłatnie zgodnie z uchwałą podjętą przez nich w pierwszym dniu powstania. Na przykład doc. dr med. Jan *Roguski* przyjmował chorych i rannych w swoim mieszkaniu przy ul. Żurawiej 28 i wizytował chorych na wezwanie zupełnie bezpłatnie.

Pisząc o placówkach służby zdrowia Warszawy-Śródmieścia trzeba szczególną uwagę poświęcić Szpitalowi PCK przy ul. Jaworzyńskiej. Szpital ten należałoby uznać za swoisty ośrodek szpitalny, reprezentujący różne specjalności. O rozmiarach tej placówki świadczy fakt, że przy ewakuacji, po kapitulacji powstania, ten właśnie Szpital sam jeden, zajmujący domy niemal całej ulicy, został określony jako grupa szpitali warszawskich Warszawa I. Był on w pewnym okresie siedzibą władz Polskiego Czerwonego Krzyża i ośrodkiem działania tej organizacji na terenie dzielnicy.

Szefem sanitarnym „cywilnym" Warszawy-Śródmieścia był doc. dr med. Feliks *Przesmycki*, urzędujący przy ul. Kruczej, którego kompetencje rozciągały się na obie części, północną i południową. Doc. *Przesmycki* szczególnie odpowiadał swojemu stanowisku. Bardzo rzeczowy, sprawiedliwy, bezstronny, odważny, ofiarny, umiejący dobierać ludzi, znający się doskonale na organizacji służby zdrowia i epidemiologii, położył niezmierne zasługi dla całości sanitariatu Śródmieścia, od początku do końca powstania.

Szpitale i punkty opatrunkowo-ambulatoryjne były zaopatrywane w narzędzia i leki przez Składnicę Sanitarną przy ul. Kruczej 29, przez Polski Czerwony Krzyż, apteki i z darów prywatnych. Żywności dostarczały placówki służby zdrowia, częściowo intendentura, częściowo PCK, a w dużej mierze szpitale zdobywały żywność we własnym zakresie, z darów prywatnych, z rozdziału przynoszonego przez ochotników ziarna, które na miejscu mielono na kaszę i mąkę. Szpitale wypiekały chleb u siebie. PCK zapewniał szpitalom zaopatrzenie finansowe. Rola PCK w powstaniu warszawskim była ogromna, a bilans działalności tej organizacji, kierowanej na terenie naszej dzielnicy przez płka dra *Miszewskiego*, wypada wybitnie dodatnio i chwalebnie. Pełnomocnikiem Zarządu Głównego PCK na Okręg Warszawski był Aleksander *Lewandowski*.

Od połowy sierpnia 1944 roku PCK starał się zapewnić wszystkim placówkom służby zdrowia bezpieczeństwo, biorąc je pod swoją opiekę. Placówki i personel miały zaświadczenia w językach polskim i niemieckim, podpisane przez władze PCK, wzywające władze wojskowe i cywilne do udzielenia pomocy. Już wtedy bez wątpliwości wiadomy był przyszły los powstania, choć jeszcze się o tym publicznie nie mówiło. PCK opiekował się sanitariatem materialnie i moralnie przez cały okres trwania walk i po kapitulacji, a po kapitulacji powstania firmował ewakuację wszystkich szpitali, rannych, chorych i personelu, a także wszystkich pozostających w mieście w mieszkaniach, po masowej ewakuacji ludności, kalek, starców i chorych. Sprawę tę uzgadniał szczegółowo z władzami niemieckimi, uzyskując również środki transportu. Organizacji tej, łącznie z cywilnymi władzami służby zdrowia, należy zawdzięczać to, że udało się uratować wiele istnień ludzkich i odtransportować je w bezpieczne miejsca.

Najbardziej do klimatu i wydarzeń związanych z medycyną okresu powstania zbliżają te relacje, których autorami są pracownicy służby zdrowia uczestniczący wówczas w życiu

powstańczej Warszawy. Typowym przykładem mogą być opublikowane pośmiertnie w siódmym zeszycie specjalnym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" „Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim" prof. dr Janiny *Misiewicz.* Bezpośrednia obserwacja pozwalała ocenić wartość działalności placówek sanitariatu, propozycje rozpoznań u chorych, poziom usług, stosunek ludności cywilnej do służby zdrowia, nastroje ludności i chorych, warunki bytowe, stopień niebezpieczeństwa i dynamikę życia lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszek w powstańczej Warszawie.

Przy współudziale i pomocy szefa sanitarnego dzielnicy, władz PCK i zespołu moich pracowników założyłem i prowadziłem Szpital Przeciwgruźliczy, późniejsze rozległe Centrum Szpitalne przy ul. Żurawiej 31. Po kapitulacji powstania ewakuowałem Grupy Szpitali Warszawa II i Warszawa III. Przedtem jednak założyłem i prowadziłem punkt ambulatoryjno-opatrunkowy przy ul. Wilczej 29 a. Był to jak gdyby dalszy ciąg mojej służby wojskowej, rozpoczętej w roku 1939. Brałem wtedy udział we wrześniowej obronie Warszawy i do dzisiaj doskonale pamiętam chwilę, kiedy szef sanitarny, mjr *Borkowski,* w dniu 7. IX. 1939 roku dawał mi w Sztabie rozkaz objęcia stanowiska. Całując mnie w oba policzki, życzył mi powodzenia i wyrażał przekonanie, że spełnię z honorem swój obowiązek żołnierski i zawodowy. Wyruszyłem wtedy na wojnę, pełen optymizmu, nucąc wesołą melodię. Lata okupacji zmieniły ten nastrój diametralnie. Godzina W była mi wiadoma już przed południem dnia 1. VIII. 1944 roku. Znajdowaliśmy się wówczas razem z dr Apolonią *Karaś-Brzozowską* przy ul. Wilczej 29 a i poczyniliśmy na wszelki wypadek przygotowania punktu opatrunkowo-ambulatoryjnego na parterze tego domu w gabinecie kosmetycznym. Lokal był odpowiedni, a jego położenie w pobliżu rogu ul. Wilczej i Marszałkowskiej również wydawało się stosowne.

Wieczorem, już po wybuchu powstania, wyraziłem przekonanie, że skoro wyszedłem cało z obrony Warszawy w roku 1939, to niepodobieństwem jest, abym wyniósł cało głowę z obecnych walk, bo przecież *non bis in idem,* nie może być dwa razy jednakowo. Zresztą oboje z dr *Karaś-Brzozowską* nie myśleliśmy wtedy z obawą o śmierci. Byliśmy na nią przygotowani, bo od razu zdaliśmy sobie sprawę z sytuacji. Tym bardziej zmobilizowało to nas do wypełnienia swojego obowiązku, opieki lekarskiej nad ofiarami działań wojennych i chorymi. 2. VIII. 1944 roku od godziny 8 rano punkt opatrunkowo-ambulatoryjny rozpoczął swoją działalność. Od ul. Marszałkowskiej bił z działa czołg wzdłuż ul. Wilczej, oparty o barykadę, której nie był w stanie sforsować. Objąłem kierownictwo, pracując wspólnie z dr *Karaś-Brzozowską* przy zakładaniu opatrunków i niesieniu pomocy lekarskiej niechirurgicznej w zakresie medycyny ogólnej. Asystowała nam jako pielęgniarka p. *Muszanka,* wykazująca dużą zręczność i inicjatywę. Ukończyła kursy sanitarne PCK i była na owe warunki doskonałą siłą pomocniczą fachową w czasie naszej pracy.

Znalazłem się i zamieszkałem w domu przy ul. Wilczej 29 a czasowo. Później, kiedy utworzyły się powstańcze komendy domów, otrzymałem dowód zameldowania z przedwojenną, zapewne przechowaną pieczęcią. W ciągu dnia 2 sierpnia czołg niemiecki został unieszkodliwiony. Zapanowała krótkotrwała względna cisza. W pierwszych dniach powstania dawał się odczuć na terenie dzielnicy entuzjazm patriotyczny. Wyrażał się wywieszeniem flag biało-czerwonych oraz pieśniami patriotycznymi i wojskowymi, dolatującymi z otwartych okien. 2 sierpnia po południu usłyszeliśmy przez otwarte okna dźwięki Poloneza *As-dur Chopina.* Powiedziano nam, że to gra pianista Władysław *Kędra.* W kamienicy w którymś z mieszkań paronastoletnia dziewczynka grywała co dzień na fortepianie melodię starego „biedermeierowskiego" walczyka. Melodia ta „chodzi za nami" do dnia dzisiejszego.

3 sierpnia zaostrzyły się działania wojenne. Rozpoczął się regularny obstrzał dzielnicy. Zaczęli działać „gołębiarze", tzn. Niemcy ukryci na dachach, z precyzyjną bronią zaopatrzoną w lunetę. Rozpoczęły się bombardowania pociskami zapalająco-wybuchowymi przez wyrzutnie min, zwane przez ludność „krowami" lub „szafami". Pracy było dużo, od rana do wieczora i często w nocy. Wizytowaliśmy również wielu chorych w ich mieszkaniach na wezwanie. Uprzednio wydzieliliśmy dużą piwnicę, którą na wypadek konieczności przygotowaliśmy i zaopatrzyliśmy jako ambulatorium podziemne. Wreszcie udało nam się zdobyć aparat do wytwarzania i dopełniania odmy sztucznej opłucnej. Aparat ten dostała dla naszej placówki dr *Karaś-Brzozowska* od dra *Wizy* z Poznania, który urzędował opodal. Spotkała go przypadkowo i w toku rozmowy dr *Wiza* zaproponował ofiarowanie wymienionego aparatu. Zaczęliśmy zatem pracować również w naszej specjalności, tj. pulmonologii.

Znaleźli się liczni chorzy na gruźlicę płuc, a wśród nich wielu leczonych odmą opłucną i paru odmą brzuszną. Bardzo wielu z nich było w szeregach walczących, wśród nich część naszych niedawnych jeszcze chorych z Sanatorium ZUS w Otwocku. Zgłaszali się także chorzy ze Szpitala Ujazdowskiego, niekiedy także nasi byli pacjenci, którzy, uciekłszy pierwszego dnia powstania, przystąpili do walki z Niemcami. Byli między nimi również jeńcy radzieccy, Azerbejdżanie, Gruzini, a także Kałmucy, wciśnięci przez okupanta w mundury niemieckie jako „*Ost*-legioniści", którzy po zachorowaniu na gruźlicę zostali umieszczeni w Szpitalu Ujazdowskim. Wszyscy oni po ucieczce ze Szpitala zasilili szeregi powstańcze.

Współpracowaliśmy z Zakładem Radiologii prowadzonym przez ppłka dra *Zawadowskiego,* który okazał nam wiele życzliwości i pomocy. Prześwietlaliśmy chorych przed dopełnieniem odmy oraz dokonywaliśmy prześwietleń diagnostycznych. Chorych trzeba było prowadzić częściowo przez piwnice, częściowo przez ulice ostrzeliwane wzdłuż i z dachów oraz pociskami artyleryjskimi i miotaczami min, kryjąc się za osłonowe barykady. Nie było to łatwe.

Punkt ambulatoryjno-opatrunkowy przy ul. Wilczej 29a działał aż do końca powstania, a nasza praca w nim stawała się coraz cięższa. Zaczęły się szerzyć choroby przewodu pokarmowego, wywołane nieodpowiednią wodą do picia i złym wyżywieniem, przy braku jarzyn i owoców, grypa, nieżyty górnych dróg oddechowych, zapalenia płuc, zaostrzenia gruźlicy płuc, a równocześnie zwiększył się wyraźnie przepływ rannych, których po udzieleniu pierwszej pomocy kierowaliśmy lub transportowaliśmy dzięki posiadaniu już wtedy noszowych, sanitariuszy-ochotników, z naszej i przyległych kamienic do najbliższego szpitala.

Wzmożenie siły ognia miotaczy min i ciężkiej kolejowej artylerii w końcu sierpnia 1944 roku nie pozwalało na wytchnienie. Jeden pocisk artyleryjski burzył cały, nawet sześciopiętrowy dom od dachu do piwnic. Wezwani

do chorego pod określony adres, przybywszy zastawaliśmy na miejscu domu stos gruzów, pod którymi zginęli wszyscy mieszkańcy. Czasem zdarzały się dziwne zbiegi okoliczności. Otóż pewnego razu przy ul. Wilczej, na samym szczycie potwornego kurhanu gruzów zawalonego sześciopiętrowego domu zastaliśmy siedzącego oszołomionego mężczyznę w średnim wieku. Był przejęty wypadkiem, ale nie doznał żadnych uszkodzeń ciała poza linijną raną cięto-tłuczoną w okolicy kości jarzmowej na twarzy, długości około 5 cm, mało krwawiącą, po stronie prawej. Stwierdzono uszkodzenie i porażenie nerwu twarzowego prawego. Po opatrzeniu rany wyznał nam, że wieszał wypraną bieliznę na strychu i sam nie wie, jak się znalazł na kopcu gruzów. Skierowaliśmy rannego do szpitala.

W czasie naszej pracy przy ul. Wilczej 29 a braliśmy również udział w akcji przeciwpożarowej (ludzi aktywnych było mało), dyżurując na strychu i gasząc pożary, wywołane przez miotacze min, oczywiście w pierwszych dniach powstania, kiedy jeszcze zdarzały się wolne chwile od pracy w ambulatorium i wtedy, kiedy wymagała tego sytuacja alarmowa, w każdym wypadku, jeżeli nie było nic szczególnie nagłego w punkcie sanitarnym. Dr Apolonia *Karaś-Brzozowska* okazywała wtedy niezwykłą odwagę, przytomność umysłu, pogardę śmierci i poczucie obowiązku w bardzo niebezpiecznych sytuacjach. Widzę ją na szczycie domu znikającą wśród kłębów dymu zapalającego pocisku, wołającą o dostarczenie wody, a na wezwanie, żeby zeszła, krzyczącą, że nie ruszy się, dopóki nie ustali źródła pożaru. Pożar oczywiście ugaszono wspólnymi siłami. Praca lekarska dr *Karaś-Brzozowskiej* była również pełna poświęcenia, sprawna i skuteczna.

Chodziliśmy oboje na konsultacje ftyzjatryczne i z aparatem odmowym dla dopełniania odmy opłucnej, na „linie bojowe", nieraz aż w okolice ul. Poznańskiej i na ul. Poznańską, a także do północnej części dzielnicy na Tamkę, Chmielną itd., gdyż sami „odmowcy" rzeczywiście nie mogli znaleźć czasu na przyjście do nas. Były to wyprawy połączone, łagodnie określając, z dużymi trudnościami. Wędrowało się częściowo piwnicami, częściowo ulicami i to na długiej przestrzeni, na których ogień karabinowy „gołębiarzy", odłamki pocisków miotaczy min oraz artyleryjskich, wreszcie same pociski mogły każdej chwili razić przechodnia. Opisy „sielankowego" spokoju Śródmieścia, zawarte we wspomnieniach dwóch osób umieszczonych w zbiorze pt. „Życie codzienne w powstańczej Warszawie", opracowanym przez Edwarda *Serwańskiego*, są chyba zbyt optymistyczne. Zapewne autorzy, przechodząc z „piekła" „Starówki", zwłaszcza jeśli szli kanałami, trafili na krótkie chwile odprężenia, które w porównaniu z ich poprzednimi przeżyciami stanowiły znaczny kontrast. Poza tym ogólne przygotowanie, organizacja i sprawność, opieka nad ludnością i służba zdrowia, wreszcie przygotowanie taktyczne były, jak się zdaje, w naszej dzielnicy lepsze niż na Starym Mieście, co dołączało się do ogólnego nastroju relacjonujących. Nie umniejsza to faktu, że „Starówka" — to był punkt najcięższy, czy jeden z najcięższych do utrzymania punktów i straty w jednostkach walczących z bronią w ręku oraz straty ludności cywilnej były tam szczególnie duże, okrucieństwo Niemców potworne, a braki w zaopatrzeniu szczególnie dotkliwe. Mimo największego bohaterstwa niewłaściwe dowodzenie na wyższych szczeblach i braki w organizacji zaplecza aż nazbyt często, jak wiadomo, decydują o obrazie i wyniku całości działań bojowych.

Dnia 10 sierpnia 1944 roku doc. dr Feliks *Przesmycki*, z którym pozostawałem w stałym kontakcie, polecił mi zorganizowanie i objęcie kierownictwa Szpitala Przeciwgruźliczego. Jako miejsce wybraliśmy pomieszczenia wytwórni kosmetyków w kamienicy przy ul. Żurawiej 31 oraz przylegające, opuszczone lokale, które trzeba było opróżnić, odmalować i wyposażyć. Zostało to dokonane w ciągu paru dni. O pieniądze było trudno. Pamiętam, jak przypadkowo znaleziony malarz nie mógł zrozumieć, że może bezpłatnie wykonać robotę na cele społeczne. Nie wynikało to ze złej woli, ani z chciwości, po prostu z nawyku. Zażądał zresztą umiarkowanej zapłaty, bardziej symbolicznej, niż wartościowej.

W dniu 15 sierpnia 1944 roku Szpital Przeciwgruźliczy przy ul. Żurawiej 31 został otwarty i przyjęliśmy pierwszego chorego. Był to Kałmuk z „*Ost*-Legionu" (uciekinier ze Szpitala Ujazdowskiego) z gruźlicą płuc, powikłaną gruźlicą jelit i gruźlicą krtani, w stanie preagonalnym, skierowany przez pielęgniarkę ze Szpitala PCK przy ul. Jaworzyńskiej. Pielęgniarkę tę, noszącą opaskę PCK z nr 1, spotkałem następnego dnia na ulicy. Wyraziłem jej swoje zdziwienie z powodu transportowania chorego w takim stanie. Można mu było bowiem zapewnić leczenie i opiekę, które już nie wymagały specjalisty pulmonologa, przez miejscowego internistę. Chory ten skarżył się na ból żołądka. Zmarł po dwóch dniach wśród objawów niewydolności oddychania i krążenia mimo zastosowania odpowiednich środków lekarskich. Pochowano go w nocy pod kamiennymi płytami chodnika na ulicy Żurawiej.

Utworzenie Szpitala Przeciwgruźliczego w dzielnicy Warszawa-Śródmieście było podyktowane stosunkowo znaczną liczbą chorych na gruźlicę, szukających pomocy lekarskiej i zgłaszających się do szpitali i ambulatoriów dzielnicy. Warszawa-Śródmieście nie miała w okresie rozpoczęcia powstania ani szpitala, ani oddziału gruźliczego. Nie było też żadnej możliwości komunikacji z jakimkolwiek stałym oddziałem czy szpitalem przeciwgruźliczym w mieście. Powstanie improwizowanego szpitala ftyzjatrycznego zapewniało dzielnicy specjalistyczną opiekę lekarską, rozwiązywało zagadnienie kierowania obłożnie chorych na gruźlicę do lecznictwa zamkniętego, a także dawało drugi punkt ambulatoryjny, obsługujący chodzących chorych na gruźlicę. Pierwszy na-

dal istniał i pracował przy ul. Wilczej 29a. Ponadto za stworzeniem tej placówki przemawiały założenia profilaktyczne. Przy warunkach bytowania w dużej części w natłoczeniu piwnicznym, szczególnie przy znacznej liczbie dzieci, zachodziła możliwość masowego zakażenia otoczenia przez chorych prątkujących. 50 łóżek, którymi dysponował szpital w pierwszym okresie swego istnienia, zostało obłożonych całkowicie już w pierwszych dniach jego pracy.

Obsada osobowa Szpitala Przeciwgruźliczego przy ul. Żurawiej 31 w chwili otwarcia była następująca. Kierownikiem i ordynatorem był dr Michał *Białokoz*, specjalista chorób płuc, jego zastępcą i starszym asystentem dr Apolonia *Karaś-Brzozowska*, również reprezentująca tę specjalność. Pozostałe funkcje były rozdzielone następująco: asystenci: absolwentka medycyny *Jurkowska-Wojciechowska* i studenci medycyny Jerzy *Wojciechowski* i Ryszard *Gutman*; kierownik apteki: mgr *Raczkowski*: przełożona pielęgniarek: piel. dypl. Maria (nazwiska nie pamiętam); pielęgniarki: piel. dypl. Halina *Gutman*, piel. przyuczona Danuta *Przesmycka* i trzy pielęgniarki przyuczone, których nazwisk nie pamiętam: intendent: st. felczer *Jurkowski*, drugi intendent: Adam *Przesmycki*; ponadto 3 salowe, 2 kucharki i 4 noszowi.

Nie mając w Szpitalu aparatury rentgenologicznej, korzystaliśmy ze wspomnianego już gabinetu radiologicznego ppłka dra *Zawadowskiego*, dopóki elektrownia dostarczała prądu. Dostęp do aparatu był, jak opisano, bardzo trudny. W stosunku do obłożnie chorych poprzestawaliśmy na wywiadach, na badaniu fizykalnym i prymitywnych badaniach laboratoryjnych. Również korzystaliśmy z dokumentacji z poprzednich miejsc leczenia, a także z książeczek odmowych, jeśli je chory posiadał. Mieliśmy do dyspozycji 2 aparaty odmowe i 1 mikroskop oraz szkiełka i odczynniki do badań plwociny. Mieliśmy również probówki oraz odczynniki do badania jakościowego moczu na białko i cukier. Posiadaliśmy zestawy narzędzi, również zestawy chirurgiczne, które wkrótce bardzo się przydały. Leczyliśmy gruźlice płuc, jelit i krtani oraz zimne ropnie według metod uważanych wówczas za najnowsze. Stosowaliśmy odmę leczniczą opłucna i brzuszną, wykonywaliśmy punkcje jamy opłucnej i brzusznej (w przypadkach wodobrzusza na tle zastoinowym) oraz ewakuacje płynów surowiczego i ropnego, płukanie jamy opłucnej, znieczulenie nerwu krtaniowego górnego w przypadkach gruźlicy krtani, uniemożliwiającej połykanie z powodu bólu, wreszcie nacięcie, opróżnianie i opatrywanie zimnych ropni. Dokonywaliśmy zakraplania do krtani środków przeciwzapalnych.

Z leków stosowaliśmy sole wapnia, witaminę C, glukozę, środki wykrztuśne, przeciwkaszlowe, przeciwgorączkowe, nasercowe, analeptyczne, nasenne, przeciwbólowe oraz w gruźlicy jelit środki przeciwbiegunkowe, obok odmy brzusznej, która, jak wiadomo, bardzo często hamuje perystaltykę jelit wskutek odruchu z błony otrzewnej. Do znieczulenia nerwu krtaniowego górnego używałem 80-procentowego roztworu alkoholu etylowego. Do płukania ropni stosowaliśmy roztwory riwanolu lub kwaśnego węglanu sodu (*natrium bicarbonicum*). Uzyskiwaliśmy na ogół dobre wyniki leczenia tam, gdzie to było możliwe ze względu na stan chorego i według możliwości, jaką dawały nam ówczesne ftyzjatryczne sposoby lecznicze.

Na uwagę zasługuje, że mimo prawie stałego zanieczyszczenia powietrza cząstkami kurzu, wywołanego wybuchami pocisków, nie stwierdzaliśmy powikłań w toku stosowania odmy. Nieraz w czasie dopełniania powietrza następował wybuch na podwórzu (okna pokoju zabiegowego wychodziły na podwórze). Do pokoju zabiegowego dostawała się mleczno-szara mgła pyłu upośledzająca, a nawet znosząca widoczność. Oczywiście przerywaliśmy dopływ powietrza do chwili „oczyszczenia" atmosfery, ale później zabieg kończyliśmy bez żadnych powikłań.

Prowadziliśmy historie choroby na sposób kliniczny (byłem wychowankiem kliniki). Uwzględnialiśmy w wywiadach również wszystkie dane, które wypełnia się w szpitalach wojskowych. Każde łóżko miało kartę gorączkową prowadzoną typowo klinicznie. Kiedy po pewnym czasie doc. *Przesmycki* wraz z władzami PCK dokonał szczegółowej inspekcji Szpitala, otrzymaliśmy pochwałę za prowadzenie całości Szpitala, wzorowe lecznictwo, a także za wzorowo prowadzoną w takich warunkach dokumentację. Druków typowych nie było. Używaliśmy papieru kancelaryjnego, który liniowaliśmy zależnie od potrzeby jako historie choroby lub jako karty gorączkowe. Nie zachował się żaden egzemplarz. Po kapitulacji musieliśmy spalić te dokumenty.

Mieliśmy łóżka metalowe, przeważnie typu zbliżonego do szpitalnego. Zaopatrywaliśmy się w leki, sprzęt sanitarny i materiały opatrunkowe w Składnicy Sanitarnej przy ul. Kruczej 29 i w aptekach. W żywność zaopatrywała nas Intendentura przy ul. Kruczej, PCK, a także nasz intendent starał się sam zdobywać żywność dla Szpitala bądź za pieniądze przydzielone przez PCK, bądź też sposobami, które już opisałem. Zmarłych grzebaliśmy w workach pod płytami chodników i nawierzchni podwórza w głęboko wykopanych dołach. Trumien nie było i nie można było nigdzie ich dostać.

Oprócz pięciu dużych sal chorych (4 męskie i 1 kobieca), w których było dość ciasno, mieliśmy gabinet lekarski, który służył również jako pokój zabiegowy, ambulatorium i laboratorium (cięższe zabiegi wykonywało się w sali chorych), dyżurkę pielęgniarek, aptekę, kuchnię wraz z zapleczem gospodarczym, 2 łazienki, 3 klozety i 3 przedsionki. Były dwa wyjścia: jedno do bramy, drugie, tzw. tylne, na podwórze. Szpital mieścił się na parterze. Na podwórzu była studnia z pompą, która zawierała wodę do mycia, ale nie nadającą się do spożycia. Naprzeciw kamienicy nr 31 w domu przy ul. Żurawiej 24 w piwnicy z oszklonym dachem była studnia z pompą, dostarczająca bardzo dużych ilości doskonałej czystej wody, kwalifikującej się do picia nawet w stanie surowym. Z tej studni Szpital korzystał między innymi do zmywania naczyń i sterylizacji narzędzi zabiegowych. Do tej studni można się było dostać tylko okrężną drogą przez piwnice, połączone wybitymi otworami i przez barykadowany, osłonięty przełaz w poprzek ulicy. Wymagało to dużo czasu i pracy personelu fizycznego, który wodę tę przynosił wiadrami przez krete, piwniczne drogi.

Do czasu kapitulacji, kiedy przenieśliśmy się na stałe do Szpitala, dr *Karaś-Brzozowska* i ja mieszkaliśmy przy ul. Wilczej 29 a. Czas naszej pracy musieliśmy dzielić stosownie do potrzeb. Przede wszystkim trzeba było prowadzić Szpital, ale tam, w ambulatorium przy ul. Wilczej, również czekali chorzy. Chodziliśmy też na wezwanie chorych do ich mieszkań. Ustaliliśmy taki rozkład naprzemiennych dyżurów w Szpitalu, aby jedno z nas czuwało stale nad życiem szpitalnym.

Ze Szpitala przy ul. Żurawiej 31 do punktu opatrunkowo-ambulatoryjnego przy ul. Wilczej 29 a trzeba było iść całą ulicą Żurawią do ulicy Kruczej piwnicami, połączonymi ze sobą przejściami wybitymi w murze, następnie wychodziło się na powierzchnię na ul. Kruczej. Tam już przejść piwnicznych nie było. Ulicą Kruczą szło się do placyku po zniszczonym domu koło ul. Wilczej, a następnie zstępowało się do piwnic ul. Wilczej, podobnie połączonych ze sobą, jak przy ul. Żurawiej i wychodziło się na podwórze domu przy ul. Wilczej 29 a. Odbywając tę drogę nieśliśmy po wiadrze wody, którą nalewaliśmy z pompy przy ul. Żurawiej 24, bo przy Wilczej była potrzebna i dla ambulatorium, i dla nas do picia. Rano wracaliśmy z pustymi wiadrami tą samą drogą.

Ulica Krucza i placyk przy ul. Wilczej pozostawały pod stałym obstrzałem z broni maszynowej, miotaczy min i artylerii ciężkiej i najcięższej. Kiedy wracaliśmy ze Szpitala, ul. Krucza wyglądała zupełnie inaczej niż z rana. Narastały nowe, olbrzymie zniszczenia, pełno było zwłok i krwi, a ponadto zagrażał deszcz odłamków padających dokoła oraz gwizd pocisków z broni ręcznej i maszynowej. Kiedy rozpoczęło się bombardowanie Śródmieścia z ciężkiego

działa kolejowego przy nadal trwającym opisanym już obstrzale, odbywając tę drogę ludzie ginęli, ale następni szli, bo musieli. I my też musieliśmy iść, obciążeni w dodatku w kierunku Wilczej wiadrami z jakże cenną wodą.

Przechodząc tamtędy codziennie mieliśmy okazję obserwowania życia podziemnego tej drugiej, „piwnicznej" Warszawy. Były tam zagęszczone koczowiska całych rodzin, prowizoryczne kuchnie, zapasy żywności, egoistycznie magazynowane i strzeżone. Kwitł tam handel przeważnie zamienny, w którym wartość produktów spożywczych wzrastała w postępie geometrycznym w miarę trwania powstania. Na przykład w ostatnich dniach przed kapitulacją opowiadano mi, że za kostkę masła ofiarowywano złoty damski zegarek z bransoletką firmy „Schaffhausen". W piwnicach było pełno zdrowych, młodych i silnych ludzi, którzy nie mieli żadnego zatrudnienia. Stosunek mieszkańców piwnic do powstania był negatywny. Ludzie ci uważali, że nie oni wywołali powstanie, że koncepcja powstania była w założeniu nonsensem i że cierpią za cudzą głupotę. Nieaktywność wielu osób trzeba sobie wytłumaczyć także i tym, że doprawdy nie było dla nich broni ani konkretnego zajęcia. Ponadto posunięcia niektórych dowódców pododdziałów AK, polegające na wyłapywaniu i pędzeniu do ataku bezbronnych ludzi („broń sobie zdobędziecie"!), lub też zmuszanie ich do budowania, czy poprawiania barykad pod obstrzałem nieprzyjaciela, były niewątpliwie aktem rozpaczy, który uważali za konieczny, ale też były lekkomyślne i wręcz szkodliwe politycznie. Wywoływały lapidarne komentarze suto okraszone karczemną „łaciną", zjadliwe uwagi i niepopularność.

Najbardziej po obywatelsku zachowywali się przedstawiciele proletariatu miejskiego. Było widać ich współczucie i serdeczność wobec uciekinierów z innych dzielnic, dzielenie się z nimi skromnymi zapasami żywności, gotowość pomocy w transporcie rannych i chorych, bezinteresowną pracę fizyczną dla dobra społecznego, mimo że powstania nie pochwalali i widzieli ogrom klęski spowodowanej przez wrogie im politycznie i społecznie elementy. Zupełnie inny był wzajemny stosunek inteligencji i „wielkich tego świata" sprzed wojny. Tu chciwość, zachłanność, egoizm mieszały się z tandetną, o wydźwięku sanacyjnym filozofią polityczno-społeczną. Nie było też mowy o włączeniu się do jakichkolwiek funkcji, czy czynności społecznych. Przeciwnie, ludzie ci mieli pretensje do tego, żeby wszyscy wszystko im świadczyli i to w pierwszej kolejności, czego oczywiście nikt nie uwzględniał.

W połowie września spotkałem w przejściu piwnicznym lekarza, byłego dygnitarza. Poznał mnie. Był załamany psychicznie. Narzekał na wszystko i wszystkich i prosił mnie o żywność. Wyznaczyłem mu spotkanie następnego dnia w tym samym miejscu. Przyniosłem to, co sami jedliśmy: duży kawał chleba. Odwrócił się pogardliwie, nie przyjął. „Chleb to i ja mam — powiedział — myślałem, że będzie coś lepszego". Przeprosiłem go, że niczego innego nie mogę mu dać. Z rozmowy nie dowiedziałem się mimo pytań, czy i gdzie pełni on jakieś funkcje lekarskie. W gwarze naziemnej Warszawy ówczesnej należałoby go nazwać: „piwniczny cykorianin". Były wśród „ludzi piwnic" także grupy spekulantów, typy występujące zawsze w takich okazjach. Byli też ludzie zrezygnowani, przyjmujący beznamiętnie rozgrywające się zdarzenia, oczekujący niecierpliwie ich końca, bez względu na to, jaki będzie ten koniec. Być może, wśród inteligencji i arystokracji „piwnicznej" trafiali się ludzie pozytywni, jednak myśmy takich nie spotkali w swoich wędrówkach, a przecież nawet konsultowaliśmy chorych w piwnicach nie należących do naszej trasy i z tej okazji dobrze znaliśmy piwnice najbliższych kamienic. Po prostu byliśmy dla nich „domowymi lekarzami" i dlatego dobrze znaliśmy ich życie.

W dziejach Szpitala przy ul. Żurawiej 31 warto podkreślić bardzo życzliwy stosunek mieszkańców kamienicy do naszej placówki. Nie raził ich charakter epidemiologiczny Szpitala. Wydaje się, że byli oni przy tym zadowoleni z faktu posiadania w swoim domu stałej opieki lekarskiej i pielęgniarskiej. Dyżur Szpitala trwał 24 godziny na dobę. Wieczorem i w nocy był lekarz dyżurny, pielęgniarka dyżurna, salowa dyżurna i 2 noszowi dyżurni. W dzień od rana do wieczora Szpital działał normalnie, w pełnym składzie osobowym. Mieszkańcy domu częściowo pousuwali się z przyległych mieszkań do piwnicy, szukając bezpiecznego kąta, a częściowo przenieśli się ze względów gospodarczych do innych domów, do rodzin. W ten sposób umożliwili poszerzenie Szpitala. Liczba łóżek rosła.

Musieliśmy utworzyć osobny oddział chirurgiczny ogólny z prowizoryczną salą operacyjną, którego kierownictwo objął przybyły do szpitala dr Wacław *Banasiuk*. Było to konieczne ze względu na zgłaszających się rannych z pobliskich miejsc obstrzału, z powodu napływu rannych z ewakuowanych dzielnic, którzy przybywali kanałami w okropnym stanie i wskutek maksymalnego obłożenia łóżek w szpitalach w Śródmieściu w tym okresie. W ten sposób zajęliśmy niemal cały parter i część pierwszego piętra. Przybyli nowi lekarze: dr *Kamińska*, dr Mikołaj *Kaszyn*, dr *Lachowicz*, dr *Surkont*, dr *Ozimiński*, piel. dypl. *Ledzion* oraz kilka pielęgniarek, salowych i noszowych. Potem przybył bardzo energiczny administrator z córką, która stanęła również do roboty. Nazywał się *Gaworowski*.

W drugiej połowie września Szpital liczył około 120 łóżek. Coraz bardziej zwiększała się liczba personelu fizycznego. Współpracowałem już wtedy ściśle z szefem sanitarnym.

Wędrując od czasu do czasu, zwłaszcza we wrześniu 1944 roku, wspólnie z doc. *Przesmyckim* po dzielnicy w celu wizytowania szpitali, nieraz trafialiśmy na chwile szczególnie już nasilonego obstrzału. Wtedy zatrzymywaliśmy się, aby przeczekać w bramie jakiegoś domu lub za załomem ruiny. Jeden z nas prawie

zawsze, „usprawiedliwiając" żartem nasze postępowanie, powtarzał przysłowie rosyjskie: „*pugannaja warona i kusta baitsa*" (straszona wrona boi się nawet krzaka). Tak płoszyliśmy obawę, a ostrożność zachowywaliśmy jedynie w wyjątkowych okolicznościach. Szef sanitarny miał duże poczucie humoru i pogodne usposobienie. Oprócz walorów kierowniczych, o których wspomniałem, był wspaniałym towarzyszem. Warto wspomnieć, że docent lubił zwierzęta. Miał psa, do którego był bardzo przywiązany. Był to piękny, rasowy brązowy jamnik. Nazywał się „Jack", ale w zdrobnieniu „kresowym" wabił się „Dżekula". Pojechał do Krakowa w czasie ewakuacji.

Tymczasem nad dzielnicą rozpętało się piekło. Niemcy skierowali bardzo duże siły ogniowe. Brakło wody, światła, żywności. Nastroje przygnębienia ogarniały coraz to szerzej masy biernych z konieczności mieszkańców. Przybywali ludzie z innych dzielnic, w dużej części przeważnie chorzy, głodni, spragnieni, brudni. Zaczęły występować wszawice i świerzb. Coraz częściej notowano zachorowania na krwawą biegunkę. Stwierdzono przypadki duru brzusznego. Obawiano się duru wysypkowego. Zwiększała się śmiertelność dzieci. Zagęszczenie ludności w Warszawie-Śródmieściu doszło do niepokojących rozmiarów. Były to ostatnie dni powstania. Sytuację służby zdrowia pogarszały ciągły napływ rannych, przepełnione szpitale, braki leków, wyczerpywanie się zapasów materiałów opatrunkowych i przemęczenie personelu. Cała służba zdrowia do ostatniego dnia powstania trwała jednak dzielnie na posterunku.

Polski Czerwony Krzyż przygotowywał koncepcyjnie plan postępowania służby zdrowia na wypadek kapitulacji powstania.

W ostatnich dniach września wyżywienie w szpitalu składało się z chleba i półpłynnej kaszy jako zupy. Posiadane jeszcze ziarno mełliśmy na mąkę razową i kaszę. Chleb piekliśmy sami. Zrzuty żywnościowe dokonywane przez lotnictwo radzieckie polskie oddziały AK zabierały dla siebie. Ciągle jednak w Szpitalu chorzy i ranni mieli zapewnioną opiekę lekarską i pielęgniarską i nie byli głodni.

W Szpitalu przy ul. Żurawiej 31 leżało wielu żołnierzy AK i AL. Pamiętam, że byli tam ranni z batalionów „Zośka", „Parasol" i „Szare Szeregi", byli chorzy na gruźlicę płuc z różnych jednostek. Nie poszli oni do niewoli. Pozostali w Szpitalu jako cywilni ranni i chorzy i zostali bezpiecznie ewakuowani do Krakowa. Dlatego właśnie trzeba było zniszczyć historie choroby.

W dniu 2 października 1944 roku około godziny 21 został podpisany akt kapitulacji powstania warszawskiego. Tekst umowy kapitulacyjnej jest zawarty w dziele Jerzego *Kirchmayera* pt. „Powstanie warszawskie". Z punktu widzenia działalności służby zdrowia ważne są następujące punkty umowy: Rozdział I, punkt 5, powołujący się na Konwencję Genewską z dnia 27. VII. 1929 roku; punkt 9, dotyczący ludności cywilnej i instytucji między innymi opieki publicznej, społecznych i charytatywnych; punkt 10 opiewający, że ewakuacja miasta Warszawy z ludności cywilnej zostanie przeprowadzona w czasie i w sposób oszczędzający ludności zbędnych cierpień; szczegóły ewakuacji będą uregulowane osobnym porozumieniem. Ważny jest też rozdział II, punkt 8, odnoszący się do ewakuacji rannych i chorych żołnierzy AK i rodzin personelu sanitarnego oraz materiału sanitarnego. Ponadto warto zacytować również za J. *Kirchmayerem* punkt 2d z tajnego rozkazu korpusu gen. *von dem Bacha-Zelewskiego* z dnia 30.IX. 1944 roku o ewakuacji środkowego kotła, dotyczący przyjęcia i zaopatrzenia w kilku obozach (Fabryka Ursus, Fabryka Wyrobów Gumowych w Piastowie, Huta Szkła w Ożarowie, Wawerma w Pruszkowie, Era we Włochach) i przez władze cywilne.

Tak zakończył się okres powstania warszawskiego w placówkach służby zdrowia Warszawy—Śródmieścia. Następny etap — okres po kapitulacji i ich losy związane z ewakuacją — wymaga odrębnego artykułu.

MICHAŁ BIAŁOKOZ Poznań

Ewakuacja niektórych szpitali po kapitulacji powstania warszawskiego

Jak wiadomo, natychmiast po kapitulacji powstania warszawskiego część żołnierzy AK wraz ze sztabem udała się do niewoli z wyjątkiem kilku jednostek AK, które pozostały w Warszawie zgodnie z umową w celu zapewnienia ładu i bezpieczeństwa na terenie miasta. Rozpoczęła się masowa ewakuacja mieszkańców, która została szczegółowo omówiona w licznych pozycjach znanego piśmiennictwa. Dnia 4 października 1944 roku zakończyło się masowe wyjście ludności Warszawy. Pozostały placówki służby zdrowia wraz z chorymi, rannymi i personelem oraz znajdujący się w poszczególnych domach ludzie niezdolni do marszu: chorzy, starcy, kaleki. Domy opustoszały. Szpitale znacznie poszerzyły swą powierzchnię. Wielu żołnierzy nie ujawniło się i pozostało w szpitalach lub zgłosiło się do nich jako chorzy, bądź personel. Zaczęli się też pojawiać ukryci do tej pory Żydzi, których włączaliśmy do stanu chorych lub stanu personelu służby zdrowia. Wystawialiśmy legitymacje PCK w celu zapewnienia bezpieczeństwa.

Tymczasem Polski Czerwony Krzyż przeprowadził rokowania z władzami niemieckimi dotyczące ewakuacji szpitali i punktów sanitarnych PCK (wszystkie już nosiły tę nazwę) wraz z chorymi, rannymi i pracownikami oraz ewakuacji mieszkańców wymagających opieki sanitarnej. Nastąpiło porozumienie, na zasadzie którego Niemcy zobowiązali się do dostarczenia środków ewakuacji lżej chorych i rannych oraz części personelu do szpitala, który zorganizowali w Piastowie, przeznaczając go pod opiekę PCK, a ciężej rannych i chorych, resztę personelu i sprzętu do Krakowa, do przydzielonych budynków odpowiadających wymaganiom szpitalnym. Szpitale w Krakowie w myśl porozumienia również przeznaczono pod opiekę PCK. Transport do Piastowa miał się odbyć niemieckimi wojskowymi samochodami ciężarowymi przy użyciu noszy lub materacy. Szpitale, rannych, chorych, personel i sprzęt sanitarny miały przewieźć do Krakowa dwa niemieckie wojskowe pociągi sanitarne.

W celu sprawnego przeprowadzenia ewakuacji podzielono Warszawę—Śródmieście na trzy grupy szpitali PCK, a mianowicie Warszawę I — Szpital przy ul. Jaworzyńskiej, Warszawę II — wszystkie szpitale Warszawa—Śródmieście Południe z wyjątkiem Szpitala przy ul. Jaworzyńskiej i Warszawę III — wszystkie szpitale Warszawa—Śródmieście Północ. Kierownikiem ewakuacji szpitali Warszawa I został mianowany dr *Bartoszewski*, a ewakuacji szpitali Warszawa II i III dr *Białokoz* (uprzednio przewidziany kandydat na kierownika szpitali Warszawa III był już nieobecny).

Podobnie jak Szpital przy ul. Jaworzyńskiej, tak też Szpital przy ul. Żurawiej 31 rozszerzył się na całą kamienicę i przyległe oraz przeciwległe domy (szczególnie Żurawia 24 i Żurawia 26). W naszym Szpitalu (przy Żurawiej 31), który w tym okresie stał się już Centrum Szpitalnym, zamieszkali doc. *Przesmycki* z rodziną, dr *Karaś-Brzozowska* i ja oraz wszyscy lekarze Szpitala, których wymieniłem w poprzednim artykule, wszyscy medycy, pielęgniarki, pracownicy administracyjni i fizyczni. Ponadto przybyło wiele osób, w tym liczni Żydzi, szukający przytułku i schronienia w Szpitalu. Przyjmowaliśmy wszystkich bez wyjątku, czy to jako chorych, czy też jako pracowników fizycznych. Przybyła urzędniczka-sekretarka, której nazwiska nie pamiętam oraz pielęgniarka S. *Falkowska*.

Na moje zarządzenie wszystkie szpitale Warszawa II i Warszawa III dostały przydziały rejonów działalności i zgodnie z zarządzeniem zaczęły gromadzić u siebie z domów swojego rejonu chorych, starców, kaleki i ludzi zniedołężniałych, stając się punktami zbiorczymi i punktami segregacji rannych i chorych oraz wszystkich uprzednio wymienionych z punktu widzenia docelowego kierunku ewakuacji. W myśl tego zarządzenia po mieście zaczęły chodzić patrole, składające się z lekarza, pielęgniarki i noszowych z noszami. Patrole te przeszukiwały domy od strychu do piwnicy tak drobiazgowo, aby nie ominąć żadnego mieszkania i prowadziły lub niosły wykrytych ludzi do szpitali. Tu niepodobna przemilczeć niesłychanie ofiarnej i drobiazgowej pracy tych zespołów, wykrywających nieraz już bardzo podeszłych wiekiem starców i staruszki, z zaawansowaną demencją, lub osoby upośledzone umysłowo, a także chorych, którzy z różnych powodów nie trafili do szpitala, wreszcie Żydów ukrywających się po piwnicach, nie zorientowanych w sytuacji, którym niosły nadzieję wybawienia. W tej pracy szczególnie wyróżnili się: dr Mikołaj *Kaszyn*, zasłużony w powstaniu warszawskim lekarz, człowiek o niespożytej energii, etyczny, zasługujący na najwyższą pochwałę, dr *Kamińska*, również zasłużona w powstaniu, bardzo koleżeńska, ofiarna, jedna z tych lekarek, które pozostawiają po sobie pamięć prawdziwego człowieka, dzielnego i dobrego, oraz dr *Karaś-Brzozowska*, często wspominana w tym artykule. Można by wymienić jeszcze wielu lekarzy; właściwie wszyscy ofiarnie pracowali,

ale tych troje szczególnie wryło mi się w pamięć.

Sporo ludzi zgłaszało się samorzutnie, przynosząc swój niewielki dobytek i żywność, którą jeszcze posiadali. Szpital żywił wszystkich zgromadzonych. Trzeba było założyć kilka kuchni. Sytuacja żywnościowa Szpitala po kapitulacji poprawiła się bardzo wyraźnie. Ludzie odchodzący z Warszawy sprzedawali lub ofiarowywali szpitalom posiadane zapasy żywności, a były one, jak się okazało, niemałe. Ci, którzy przyłączyli się w jakikolwiek sposób do Szpitala, przeważnie ofiarowywali swoje zapasy. PCK wyasygnował pieniądze na zakup żywności. Komunikacja z peryferiami, zresztą dość trudna, pozwoliła na dostarczanie jarzyn i owoców.

W dniach masowej ewakuacji na terenie dzielnicy pełno było punktów handlu pod gołym niebem. Zwłaszcza ul. Krucza była ośrodkiem transakcji. Teraz dopiero okazało się, ile i jakich było zgromadzonych przez poszczególne osoby zapasów żywności wtedy, gdy inni cierpieli głód. Oczywiście spekulanci mieli duże pole do popisu. Ludność była oszołomiona i zgnębiona. Pozbawiona dachu nad głową i mienia, szła biernie w wytyczonych kierunkach do obozów przejściowych. Sprzedawała, co miała i kupowała, co mogła. Z tego właśnie korzystali spekulanci.

W dniu 4.X.1944 roku rano odmeldował się w naszym Szpitalu przy ul. Żurawiej 31 ostatni uzbrojony oddział AK, pozostawiony dla ochrony ludności. Dowódca oświadczył, że ewakuacja ludności jest zakończona i że on ze swoim oddziałem w myśl warunków kapitulacji idzie do niewoli. Zostaliśmy w mieście sami, zdani jedynie na siebie. Tegoż dnia zaraz po odejściu naszych żołnierzy kilku lekarzy, kilka pielęgniarek i sekretarka Szpitala zebrali się w moim gabinecie, podnieceni i niespokojni z powodu braku osłony wojskowej i wskutek obawy, że wkrótce wpadną tu Ukraińcy-*SS* i wymordują nas. „Chcemy ratować nasze życie! Odchodzimy!" Zawsze tak bywa, że razem z rannymi i chorymi bestialski wróg morduje również personel, ale opanowałem sytuację, gdyż wszyscy zrozumieli, że nie można zostawić chorych i rannych. Zostali nawet ci, którzy dali się unieść defetyzmowi.

Nastąpił osobliwy okres, w którym w olbrzymim mieście ustała jakakolwiek prawna egzekutywa i zabrakło urzędowego aparatu administracyjnego. Jego rolę z konieczności przejęła służba zdrowia, której oddziaływanie w wysokim stopniu zależało teraz od osobistego przykładu i wpływu lekarzy. Po kapitulacji powstania Warszawa była bezpańska. Niemcy nie czuli się w niej pewni, mimo że panoszyli się tutaj, systematycznie paląc i niszcząc miasto, rabując je i wyludniając. Zaznaczał się już brak zwykłej, systematycznej konsekwencji niemieckiej. Widziałem, jak żołnierz *Wehrmachtu* rąbał toporem wyciągnięty spod chodnika kabel telefoniczny, czy elektryczny na ul. Marszałkowskiej, przecinając go na drobne kawałki długości około 20 cm. Był jednak sam i w tym dziele zniszczenia nikt mu nie towarzyszył.

Warszawa paliła się. Podpalane wyrywkowo od spodu domy płonęły w ciągu kilku godzin. Zostawało po nich zwalisko dymiącego gruzu. W innych wypadkach podpalano budynki od strychu i wtedy paliły się wolno, nieraz kilka dni. Od strony placu Trzech Krzyży od jednego z podpalonych domów, zresztą pustych, pożar posuwał się powoli w kierunku naszego Centrum Szpitalnego przy ul. Żurawiej 31. Zastanawialiśmy się, czy zdążymy dokonać ewakuacji, nim pożar dojdzie do nas, czy nie.

Termin ewakuacji samochodami do Piastowa był wyznaczony w przybliżeniu na 10.X.1944 roku. Ewakuacja do Krakowa miała się odbyć zaraz po ukończeniu poprzedniej, kierowanej do Piastowa. Na nas Niemcy nie zwracali właściwie żadnej uwagi. Umowę, dotyczącą ewakuacji szpitali, chorych, rannych i personelu, wykonywali, ale co my robimy, co się dzieje u nas, na szczęście nie obchodziło ich wcale. Czasem jedynie zdarzały się incydenty będące dziełem przypadku. Dziś, po latach odnoszę wrażenie, że oni się nas po prostu bali, a w każdym wypadku wystarczał zdecydowany ton, podanie stanowiska i dostatecznie stanowcze wyrazy, a zwłaszcza śmiała postawa, żeby przejawiali nawet coś w rodzaju dyscypliny.

Któregoś dnia, chyba 6 października jechałem rowerem, wracając z przeglądu szpitali, ul. Marszałkowską. Na jej rogu przy ul. Wilczej żołnierze *Wehrmachtu* układali w duży stos amunicję wydaną przez powstańców po kapitulacji, przeważnie granaty. Kiedy minąłem tę grupę i znalazłem się w odległości około chyba 50 m, usłyszałem nagle bardzo silną detonację, po której nastąpiła seria wybuchów. „Dodałem pedałów", dojeżdżając do rogu ul. Żurawiej, a dokoła mnie zaczęły świstać i padać odłamki metalowe i części ludzkich ciał: osmalone kawałki czaszek, nieraz z uchem, całe kończyny dolne, czasem z kawałkiem miednicy, strzępy tułowia, kończyny górne, dłonie, jelita. Niektóre z tych strzępów zawisły na gałęziach drzew, wyprzedzały mnie, inne leżały na ziemi. Dojechałem pędem do Szpitala przy ul. Żurawiej 31, bez najmniejszego draśnięcia, ale pod silnym wrażeniem niespodziewanego zdarzenia. Okazało się, że wybuchły bardzo wrażliwe na manipulację i uderzenia granaty powstańcze, rozrywając w strzępy żołnierzy układających tę nietypową amunicję.

Przed bramą Szpitala stał starszy wachmistrz żandarmerii niemieckiej z wyrazem przerażenia na twarzy. Zapytał mnie, co się stało. Wytłumaczyłem mu. Wówczas powiedział, chyba, aby coś powiedzieć: „No, za długo tu już siedzicie! Jeżeli za trzy dni nie wyjedziecie, to was podpalimy!" Odpowiedziałem mu: „Podpalajcie zaraz, przecież to wy palicie Warszawę. Wyjedziemy wtedy, kiedy spełnicie swoją obietnicę dostarczenia środków transportu". Rozmowa toczyła się w języku niemieckim. „Ach, ja sobie żartowałem — od-

parł. — Przecież to nie my podpalamy domy". „A kto?" — zapytałem. „Nie wiemy — odrzekł. — Pewnie komuniści". Nonsensu tego tłumaczenia nie potrzebuję chyba podkreślać. Notuję ten znamienny dialog wiernie i dosłownie.

W imię prawdy trudno mi przemilczeć, że widziałem którejś nocy przy ul. Żurawiej, jak palił się jeden z domów i żandarmi niemieccy ugasili pożar w zarodku. Znaleźli się tam przypadkowo. Dom był pusty. Z akcentu tych ludzi, z którymi wszcząłem rozmowę, wywnioskowałem, że byli to południowi Niemcy, może Bawarczycy. Potwierdza to moje przekonanie, wyrażone poprzednio, że w dyscyplinie niszczycielskiej i w dyscyplinie w ogóle coś się u Niemców popsuło. Był bałagan. Cały ówczesny *sit venia verbo* „garnizon" niemiecki Warszawy był jednak pochłonięty rabunkiem pozostawionego mienia, dzieł sztuki, muzeów i niszczycielską działalnością.

Niemcy byli już zdemoralizowani i zrezygnowani wojskowo. Widać było, że czuli klęskę nieuchronnie zbliżającą się od strony frontu wschodniego. Poza tym po prostu bali się zasadzek w opustoszałym mieście, które przedstawiało już wtedy labirynt ruin. Wśród nich snuli się jacyś dla nich nieuchwytni ludzie, nierozpoznawalni, znikający nagle, wśród stert zrujnowanych murów i w piwnicach, połączonych ze sobą „na przestrzał". Całe szczęście, że Niemcom starczyło dyscypliny dla wykonania zobowiązań wobec PCK i ewakuowania naszych szpitali.

Może 3 października rozpocząłem wizytę Szpitala przy ul. Żurawiej 31 i byłem na parterze, kiedy wpadła do sali chorych pielęgniarka Halina *Gutmanowa* i zwróciła się do dr *Karaś-Brzozowskiej,* prosząc ją o natychmiastowe pójście z nią do przedpokoju w sprawie bardzo pilnej. Lekarka natychmiast wyszła, ale po chwili i ja zostałem w podobny sposób wezwany. Okazało się, że z okna przedpokoju wychodzącego do tzw. ślepej studni domu wpadały długie języki ognia, grożące pożarem całego budynku. Widocznie substancje zapalające zostały rzucone do wymienionej studzienki. Przypuszczam, że Niemcy mieli swoich tajnych agentów, którzy wywoływali pożary domów. Chorzy o niczym się nie dowiedzieli. Od razu sami, przy pomocy najbliżej znajdujących się osób szybko ugasiliśmy pożar. Trzeba tu podziwiać i pochwalić przytomność umysłu, zimną krew i dyscyplinę zawodową pielęgniarki *Gutmanowej.*

W kilka dni później, około 8 października, wybuchł w nocy pożar budynku Szpitala przy ul. Żurawiej 31, tym razem na górnych piętrach. Zarządziłem natychmiastową ewakuację do przeciwległych budynków, która odbywała się wśród lamentu staruszek. Znaczna ich część, zebrana z okolicy, rezydowała w naszym Szpitalu. Były ataki histerii, powstrzymane lapidarnymi, zdecydowanymi słowami jednego z lekarzy. Po tym pożarze pozostały tlące się już stale zarzewia na górnych piętrach w belkach drewnianych stropów tego starego budynku. Obserwowaliśmy objawy tych zarzewi. Znalazł się wśród „chorych" Szpitala około 70-letni pan, znający się na służbie przeciwpożarowej i on podjął się doglądania źródeł ognia. Całkowite ugaszenie przekraczało nasze możliwości, wymagało rąbania i zrywania stropów, a nie mieliśmy odpowiednich narzędzi, zresztą dom ten uważaliśmy za wcześniej lub później stracony, mając inne, bliskie, do dyspozycji. Człowiek ten był zobowiązany meldować o konieczności interwencji. Nie pamiętam jego nazwiska. Nazywaliśmy go „konsultantem przeciwpożarowym". Wyraził przekonanie, że dom zapalony, a tym bardziej tlący się na najwyższych kondygnacjach i w miejscu zlokalizowanym, nie przedstawia nagłego, bezpośredniego niebezpieczeństwa pod warunkiem stałej obserwacji i natychmiastowej interwencji w razie wzmożenia się zarzewia.

Zapalały się też okoliczne domy. Nie zdołaliśmy stwierdzić, kto podpala domy. Oczywiście nikt inny nie mógł tego robić, tylko Niemcy, ale nigdy nikogo nie udało się nam podpatrzeć.

Były dwie obłąkane staruszki, które większość uważała za piromanki. Omal nie doszło na tym tle do samosądu ze strony chorych. Udało się jednak temu zapobiec i obie zostały wyewakuowane do Krakowa, gdzie ani badanie psychiatryczne, ani ich późniejsze zachowanie się nie potwierdziły niesprawiedliwej opinii.

Dom został zamieszkany na parterze i I piętrze przez personel. Komenda ewakuacji umieściła się nadal na jego parterze, aż do chwili wyjazdu do Krakowa. Chorych przenieśliśmy do innych domów. Pożary tego domu wybuchały jednak sporadycznie na górnych piętrach. Trzeba było je gasić. Woda była dostępna w dużych ilościach z pompy w budynku stojącym naprzeciw. Do tej pompy był dostęp wtedy bezpośredni. Pracownicy fizyczni, psychicznie już wyczerpani i znieczuleni, patrzyli biernie i obojętnie na drobne wybuchy pożaru. Musieliśmy sami dawać przykład, przynaglać i prosić, aby w końcu zerwali się do gaszenia. Nie zapomnę nigdy, jak intendent *Gaworowski* wołał: „Panowie, sanitariusze, jeszcze jedno wiadro wody, a pożar będzie ugaszony!"

Był to człowiek bardzo aktywny, ofiarny, odważny i dzielny, intendent z prawdziwego zdarzenia. Używał w tym pełnym napięcia okresie niewielkich dawek alkoholu, którego wtedy nie brakło i pozostawał w lekkiej euforii, zachowując w pełni zdolność kierowania i decyzji. On wtedy administrował gospodarką Szpitala, pilnował kuchni, pralni, magazynów żywnościowych i starał się z powodzeniem o gospodarcze zaopatrzenie. Należał do tych ludzi, na których można polegać w całej pełni; odznaczał się dyscypliną zewnętrzną i wewnętrzną. Oprócz córki była z nim żona z maleńkim dzieckiem i syn. Pojechał z nami do Krakowa.

Nie mogliśmy się doczekać na samochody ciężarowe i na pociągi sanitarne. Niecierpliwiliśmy się, gdyż pożary posuwały się z wolna w naszą stronę. Po tylu przeżyciach niektórym nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Na przykład pewien lekarz pod pozorem działalności sanitarno-epidemiologicznej zaczął wieszać psy zwabione z ulicy lub znajdujące się na podwórzu. Nie było wścieklizny, ani też żadnych chorób roznoszonych zwykle przez psy, toteż postępowanie takie wywołało ogólny sprzeciw. Moja zastępczyni, dr *Karaś-Brzozowska* zabroniła mu zabijania zwierząt i ostro go skarciła.

Innym razem zebrało się u mnie kilku mężczyzn i jedna pielęgniarka, twierdząc uparcie i hałaśliwie, że Warszawa została rozładowana, chcą wobec tego opuścić miasto samorzutnie, trudno, trzeba pomyśleć o swoim bezpieczeństwie, bo nie wiadomo, kiedy wyjedziemy z transportem, a przecież tu chodzi o ich los. Nie zgodziłem się, ale wszyscy oni stopniowo, potajemnie odchodzili bez pożegnania. Działo się to w końcu pierwszej dekady października 1944 roku.

Któregoś dnia usłyszałem wzburzone głosy na pierwszym piętrze Szpitala przy ul. Żurawiej 31. Wszedłszy do przedpokoju, zastałem gestapowca awanturującego się z kilkoma osobami ze Szpitala. Mówił po polsku. Zarzucał nam, że u nas schowała się pielęgniarka, która jest potrzebna Niemcom do zrobienia opatrunku. Czuło się od niego wódkę. Wydało mi się, że chciał porwać dziewczynę dla wyuzdanej swawoli żołnierskiej. Nie wiedziałem zresztą, o którą chodziło. Powiedziałem stanowczo, że nie ma jej tutaj. Próbował sterroryzować mnie pistoletem. Odpowiedziałem spokojnie: „Niech pan od razu strzela, bo pielęgniarka nie znajdzie się ani za pięć minut, ani za godzinę, ani w ogóle. Jak pan śmie grozić dyrektorowi szpitala?!" Gestapowiec się zmie-

szał i schował broń, mówiąc, że tylko żartował. Po rozmowie w tonie dobrodusznym odszedł. Świadkami zajścia byli dr Mikołaj *Kaszyn*, dr Apolonia *Karaś-Brzozowska*, dr *Kamińska*, sanitariusze i chorzy.

Dopiero dziś, po latach zdaję sobie sprawę z tego, że nie tyle moja stanowcza postawa wpłynęła na jego uspokojenie, ile fakt, że napastnik znajdował się sam w ciasnym przedpokoju, wśród wielu ludzi, narażony na obezwładnienie i zabicie, gdyby wykonał swoją groźbę. Nic by mu nie pomogło to, że był uzbrojony. Jeden chwyt za ręce i jeden równoczesny chwyt za szyję wystarczyłyby do unieszkodliwienia go. Nikt z oddalonych wówczas niemieckich wojskowych nie usłyszałby strzału z pistoletu w głębi mieszkania, od strony podwórza. Gestapowski chuligan, a właściwie jego trup, zostałby natychmiast głęboko ukryty, a w nocy pogrzebany. Poszczególni Niemcy nie byli wówczas zresztą pewni swego bezpieczeństwa w mieście. Dawało się to odczuć z ich zachowania się.

Pewnego wieczoru przed ewakuacją i jeszcze przed pożarem dokonywałem wraz z lekarzami i pielęgniarkami obchodu Szpitala przy ul. Żurawiej 31, którego stan chorych, jak już wspomniałem, rozrósł się do bardzo znacznej liczby podopiecznych. Właśnie przechodziłem przez sale chorych, kiedy przez przeciwległe drzwi wkroczył patrol uzbrojonych żołnierzy *Wehrmachtu*, ale w damskich kapeluszach z czarnymi piórami strusimi na głowach zamiast czapek. Odprawiłem ich stanowczą perswazją, że weszli na teren szpitala i poleciłem odprowadzić ich do wyjścia. W bramie dostali od naszych pracowników wódki i w różowych humorach odeszli. Owe kapelusze z piórami wyraźnie świadczyły o rozprzężeniu dyscypliny wśród oddziałów wojska niemieckiego w Warszawie, a odwrót przybyłych o wrodzonym Niemcowi szacunku dla każdej władzy, dla podniesionego głosu i stanowczości.

Około 5 października mglistym rankiem szliśmy w kilkuosobowej grupie z Warszawy—Śródmieścia Północ po kontroli tamtejszych szpitali w kierunku Szpitala przy ul. Żurawiej 31. Było chmurno. Mżył deszcz. Nagle na rogu Alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej usłyszeliśmy hałas. Gestapo natrafiło na kryjówkę, w której znajdował się Żyd z żoną i maleńkim dzieckiem. Żyda postawiono pod murem i rozstrzelano. Tymczasem kobieta z dzieckiem wpadła między nas, błagając o pomoc. Nakazaliśmy jej milczenie i osłaniając ja, zaprowadziliśmy szybko do naszego Szpitala. Niemcy nie zauważyli jej w ogóle. Było nas kilku. Uratowana kobieta z dzieckiem dojechała później szczęśliwie do Krakowa jako pracownica Szpitala, zaopatrzona w legitymację i opaskę PCK.

10 października rozpoczęła się ewakuacja chorych, rannych i pracowników, kierowanych do szpitala PCK w Piastowie. Oprócz kryteriów lekarskich odgrywała tu rolę osobista decyzja niektórych chorych i pracowników. Tam, gdzie nie było przeciwwskazań, zgadzaliśmy się. W celu sprawnego przeprowadzenia ewakuacji wszystkich osób do niej przewidzianych konieczna była całkowita swoboda poruszania się po ulicach Warszawy dla przynajmniej ośmiu ludzi, którzy by koordynowali i kontrolowali prawidłowość akcji. Wprawdzie Niemcy dotychczas nie robili żadnych trudności, ale lepiej było się jednak zabezpieczyć. Na czteroosobowej naradzie w dniu 15 października (szef sanitarny dzielnicy, doc. *Przesmycki*; przedstawiciel PCK, dr *Miszewski*; kierownik grupy szpitali Warszawa I, dr *Bartoszewski*; ja jako kierownik grup Warszawa II i III) wypłynęła sprawa uzyskania przepustek od żandarmerii niemieckiej. Ponieważ nikt z pozostałych uczestników narady nie zgłosił chęci zajęcia się tą sprawą, oświadczyłem, że sam ją załatwię. Udałem się natychmiast w Aleje Ujazdowskie do komendy żandarmerii niemieckiej, gdzie przedstawiłem odpowiednie zaświadczenie PCK i zażądałem 8 przepustek imiennych dla poszczególnych lekarzy, wyjaśniając, w jakim celu są potrzebne. Byłem pewny siebie, grzeczny i stanowczy. Wystawiono mi przepustki odręcznie. Oficer, który mnie załatwiał i którego podpis widnieje na przepustce, zachował się z wojskową uprzejmością. Załatwienie sprawy nie trwało dłużej niż trzy kwadranse. Kiedy przyniosłem przepustki, wyczytałem z twarzy moich towarzyszy zdziwienie, że wracam „zdrowy i cały".

Od tej chwili mogliśmy bezpiecznie poruszać się po ulicach miasta o każdej porze dnia i nocy, co miało niesłychaną wagę podczas dalszej końcowej organizacji ewakuacji, jej koordynacji na szczeblu poszczególnych szpitali powstańczych, jak również w zakresie współ-

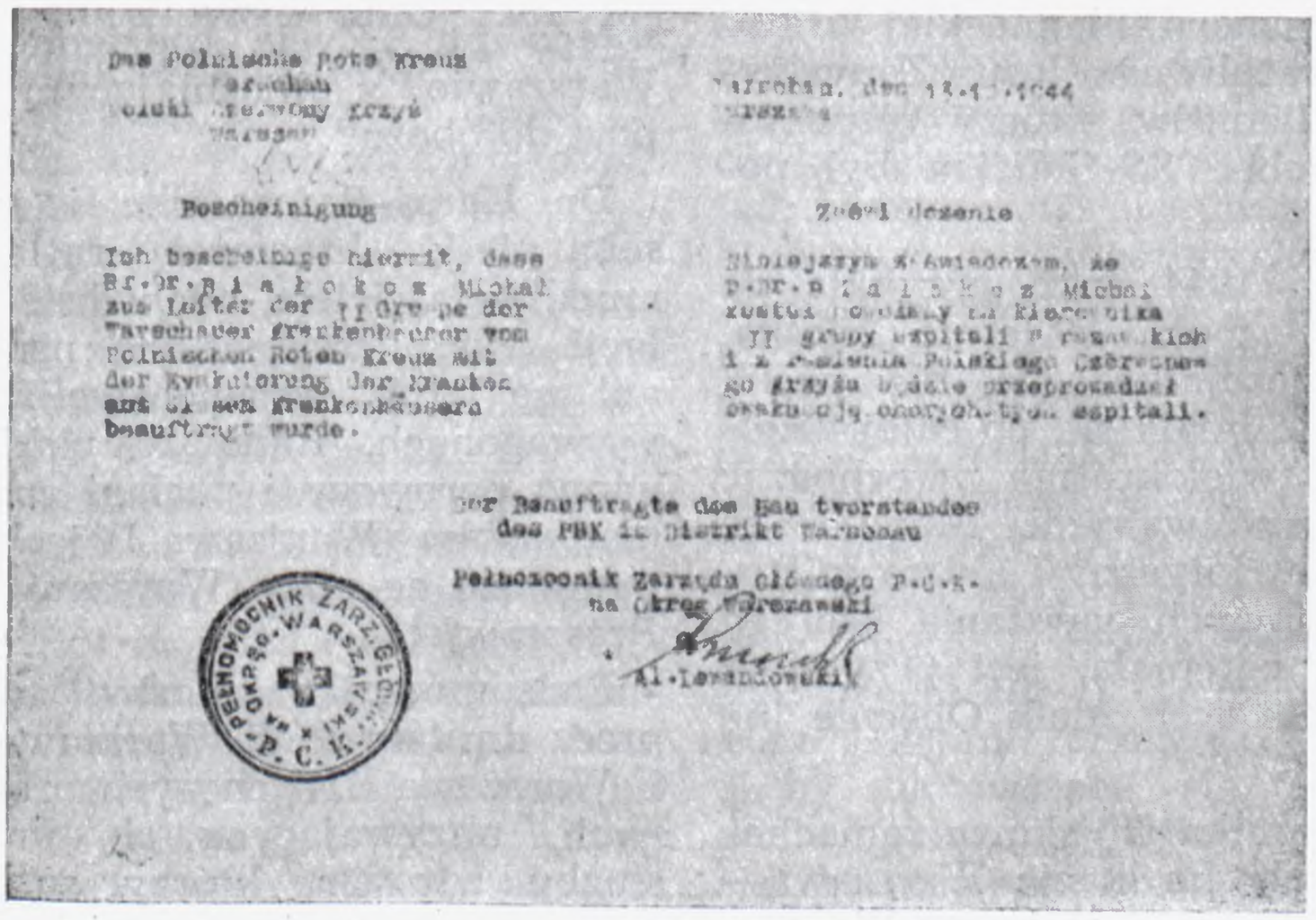

Das Polnische Rote Kreuz
[illegible]
Chefarzt [illegible]
Warschau

Bescheinigung

Ich bescheinige hierrit, dass Dr.Dr.B i a ł o k o s Michał aus Lodz der II Gruppe der Warschauer Krankenhäuser vom Polnischen Roten Kreuz mit der Evakuierung der Kranken aus d. [illegible] Krankenhäuser beauftragt wurde.

Warschau, den 13.10.1944

Zaświadczenie

Niniejszym zaświadczam, że p.Dr.B i a ł o k o s Michał został [illegible] kierownika II grupy szpitali warszawskich i z ramienia Polskiego Czerwonego Krzyża będzie przeprowadzał ewakuację ewakuowanych szpitali.

Der Beauftragte des Bau tvorstandes des PRK im Distrikt Warschau

Pełnomocnik Zarządu Głównego P.C.K. na Okręg Warszawski

A.Lewandowski

PEŁNOMOCNIK ZARZĄDU GŁÓWNEGO NA OKRĘG WARSZAWSKI P.C.K.

Ryc. 1. Reprodukcja zaświadczenia wydanego dnia 13 października 1944 roku przez pełnomocnika Zarządu Głównego PCK na Okręg Warszawski, A. *Lewandowskiego*, w związku z popowstaniową ewakuacją drugiej grupy szpitali warszawskich

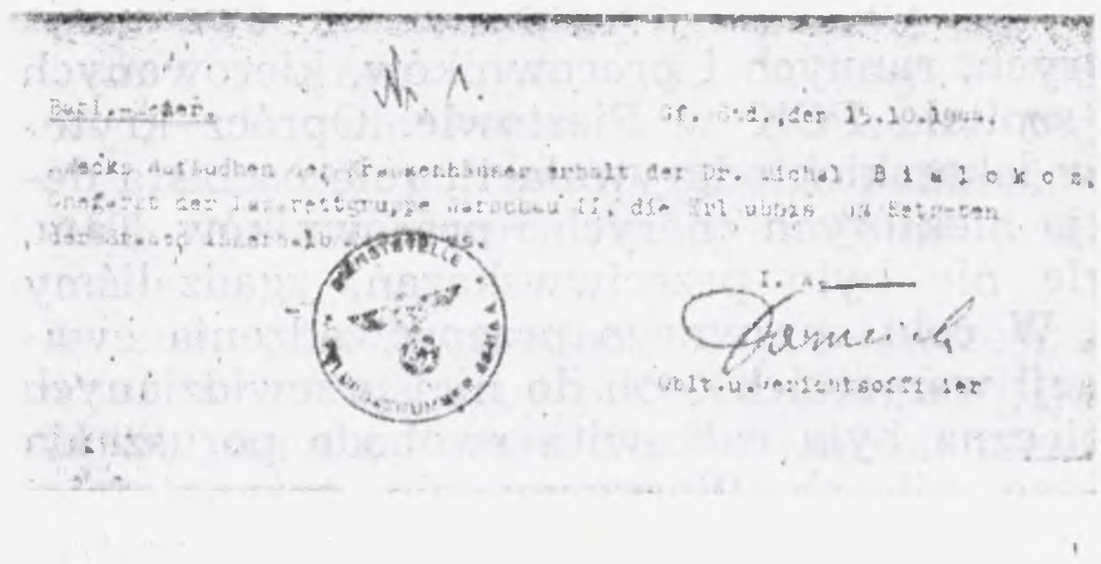

Ryc. 2. Reprodukcja przepustki wydanej dnia 15 października 1944 roku przez *Dienststelle (Feldpostnummer 59416 A)* w celu umożliwienia poruszania się po ulicach Warszawy w związku z przygotowywaniem ewakuacji szpitali Warszawa II

pracy z Centrum Szpitalnym przy ul. Żurawiej 31, którym kierowałem oraz działania patroli rozpoznawczych, kontynuujących poszukiwania po opustoszałych domach i sprowadzających chorych, rannych, kaleki, starców i Żydów. Patrole te działały aż do dnia naszego wyjazdu na stację.

Tymczasem wojskowe niemieckie samochody ciężarowe wciąż podjeżdżały pod poszczególne szpitale — dawaliśmy przewodników — i odjeżdżały załadowane do Szpitala PCK w Piastowie. Turę tę odbywały kilka, przeciętnie 5 razy dziennie, od wczesnego ranka do wieczora. Transportowały przeważnie chorych siedzących, ale też i leżących. Były to platformy w liczbie kilkunastu, około 16 wozów. Zabierały przeciętnie jednorazowo 20 ludzi.

Ewakuacja do Piastowa zakończyła się 17 października 1944 roku wieczorem. Bardzo często zasięgałem rady doc. *Przesmyckiego*, który również włączał się w akcję, nieraz nawet chodząc na czele patrolu rozpoznawczego po domach razem z dr *Karaś-Brzozowską*. Przepustki okazały się potrzebne, bo w ostatnich dniach gestapo zatrzymywało nas na ulicy. Sam zostałem napadnięty przez grupę *SS-Galizien* i dopiero przypadkowa obecność i interwencja żandarmerii niemieckiej uratowała mnie od niewątpliwego losu. Zauważyłem, że stosunek Niemców, którzy respektowali przepustkę, wobec *SS-Galizien* był pogardliwy.

W końcu sierpnia 1944 roku przybyła do nas z ul. Siennej moja 57-letnia matka. Wędrowała jako łączniczka, ale nie nosiła rannych, bo na to nie miała sił, po całej dzielnicy, ze zleceniami, wielokrotnie przechodząc drogami silnie obstrzeliwanymi. Mówiła, że „lubi się bać". Jej patriotyczny i aktywny stosunek do działań bojowych powstania, którego koncepcję wyraźnie potępiała, jest przyczyną napisania przeze mnie tych zdań. Obecnie już nie żyje.

W dniu 18 października wojskowe samochody ciężarowe odwiozły na stację Warszawa—Towarowa (obecnie dworzec osobowy Warszawa—Główna) wszystkich podopiecznych, personel i sprzęt szpitali w celu przewiezienia ich dwoma pociągami sanitarnymi do Krakowa. Rozlokowaliśmy się w tym deszczowym dniu w hangarze towarowym z dziurawym dachem. Pociągi sanitarne nie zostały jeszcze podstawione. W tej sytuacji domagaliśmy się rozmowy z przedstawicielem władz niemieckich. Przybył jakiś *oberstabsarzt*. Rozmowa odbywała się w języku niemieckim na zderzaku ślepego toru pod gołym niebem. Brali w niej udział oprócz *oberstabsarzta* doc. *Przesmycki*, dr *Miszewski*, dr *Bartoszewski* i ja. Zażądaliśmy dostarczenia pociągów, zgodnie z umową. Niemiec odpowiedział: „Skądże wam wezmę?" Na to odezwałem się, że jeżeli wojsko niemieckie nie może nam podstawić dwóch obiecanych pociągów sanitarnych, to prosimy o umożliwienie nam zwrócenia się do Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża telegraficznie z prośbą o przysłanie nam dwóch pociągów sanitarnych, a na pewno nam nie odmówi. *Oberstabsarzt* żachnął się i oświadczył, że jednak on wszystko zrobi, żeby pociągi zostały podstawione.

Następnego dnia, tj. 19 października rano wjechały powoli na tory dwa pociągi sanitarne, improwizowane, ogrzewane piecykami obsługiwanymi w każdym wagonie przez starego wiekiem żołnierza *Wehrmachtu*. Pociąg zawierający więcej wagonów był przeznaczony dla grup szpitali Warszawa II i Warszawa III. Z krótszego pociągu miał korzystać szpital Warszawa I. Załadowaliśmy do wagonów chorych, rannych i podopiecznych, pracowników i sprzęt. Zdjęcie przedstawia pociąg przeznaczony dla Szpitali Warszawa II i Warszawa III w czasie postoju na stacji Warszawa—Towarowa. Po stronie lewej stoję, wydając dyspozycje pielęgniarce. Widoczne są kominki piecyków nad drzwiami wagonów, znaki Czerwonego Krzyża oraz nosze oparte o wagon. Po stronie prawej widać osoby z personelu Szpitala oraz staruszkę należącą do podopiecznych, a pośrodku dwie pracownice szpitalne z opaskami PCK. Zdjęcie to przez pomyłkę zostało podane w dziele pod redakcją *Serwańskiego* pt. „Życie codzienne w powstańczej Warszawie" z objaśniającym napisem „Transport do obozu".

Dr *Karaś-Brzozowska* i ja zabraliśmy ze sobą pieska, brązowego ratlerka, którego porzucili właściciele, odchodząc zaraz po kapitulacji. Psiak trzymał się nas, nie odstępując ani na krok. Przenocowaliśmy wszyscy już w wagonach. Rano 20 października podstawiono parowozy i pociągi ruszyły. Z dr *Bartoszewskim* (Warszawa I) jechał dr *Miszewski*, natomiast ze mną (Warszawa II i III) — doc. *Przesmycki*.

Podsumowując liczby wyewakuowanych przez szpitale PCK Warszawa I, Warszawa II i Warszawa III chorych, rannych, niedołężnych, ukrywających się oraz pracowników służby zdrowia, którzy zostali przewiezieni samochodami ciężarowymi i pociągami sanitarnymi, pragnę stwierdzić na podstawie moich ówczesnych obliczeń, że ogólna liczba tych

Ryc. 3. Fragment pociągu sanitarnego na stacji Warszawa—Towarowa (dzisiejsza Warszawa Główna), który wyruszył 20 października 1944 roku do Krakowa, odwożąc szpitale, rannych, chorych i pracowników

osób przewieziona do Piastowa i Krakowa sięga około 14 tysięcy, z tego do Krakowa wyewakuowano około 1000 osób, w tym personel i wszystkich chorych na czynną gruźlicę płuc w liczbie 70 osób, rannych, kwalifikujących się do transportu na leżąco, sporo podopiecznych geriatrycznych i wiele osób rzekomo chorych, które trzeba było ratować od Niemców. Zdaję sobie sprawę, że z tych około 13 tysięcy przybyłych do Piastowa większość „zorganizowała" sobie ucieczkę zaraz po przybyciu na miejsce, a częściowo nawet po drodze. Przecież ewakuacja, to był również ratunek dla większości zgromadzonych przez nas osób i tak też to rozumieliśmy. W drodze do Krakowa wiele osób opuściło pociągi na różnych stacjach. Zasadnicze założenia i zadania ewakuacji zostały jednak co do joty wykonane.

Warto dodać, że wielu mieszkańców Warszawy, przeczekawszy masową ewakuację ludności, opuściło miasto na własną rękę, kombinując zależnie od kierunku takie lub inne środki przewozu. Liczbę tych ludzi oceniam na około 10 tysięcy. Po masowej ewakuacji kontrola niemiecka na terenie miasta, jak już wspomniałem, praktycznie prawie nie istniała. Sporadyczne, przypadkowe kontrole gestapowców na ulicach nie miały prawie żadnego wpływu na ruch ludności.

Przez całą podróż nie mieliśmy pewności, że jedziemy właśnie do Krakowa, ale 21 października rano pociąg zatrzymał się przy rampie kolejowej pod samym Krakowem. Oczekiwała nas ludność przedmieścia, roznosząc w dużych dzbanach gorącą kawę z mlekiem, chleb z masłem i wędliną oraz wykazując tyle serdeczności i troski o nas, że byliśmy głęboko wzruszeni. Pokrzepieni ruszyliśmy dalej aż do „końcówki" stacji towarowej w Krakowie. Stamtąd przewieziono nas wszystkich i sprzęt do budynków przeznaczonych na szpitale.

Szpitale Warszawa I zajęły Dom Akademicki, Szpitale Warszawa II i Warszawa III zostały umieszczone w gmachu pojezuickim przy ul. Kopernika 26, prawie naprzeciw Szpitala św. Łazarza. Co się tyczy rozpoznań chorych przywiezionych do gmachu przy ul. Kopernika 26, była to chirurgia urazowa, gruźlica płuc, choroby wewnętrzne, geriatria, zaburzenia psychiczne i neurologia, choroby uszu, nosa i krtani, przewlekłe choroby oczu oraz osoby ukrywające się. Za nami pozostała pusta, paląca się Warszawa. Dowiedzieliśmy się później, że dom przy ul. Żurawiej 31 spłonął w trzy dni po naszym wyjeździe. Dom przy ul. Wilczej 29a, jak również domy przy ul. Żurawiej 24 i 26, stoją do dnia dzisiejszego.

W gmachu przydzielonym przy ul. Koper-

nika 26 w Krakowie od razu urządziliśmy szpital, który nazywał się *Staatliche Krankenanstalten Krakau „Jesuitenheim"*. Zostałem mianowany dyrektorem tego Szpitala. Moim zastępcą był ppłk dr *Tarnawski* jako najstarszy stopniem wojskowym kierownik Szpitala powstańczego przy ul. Lwowskiej, a sekretarką Anna, której nazwiska nie pamiętam. Przełożoną pielęgniarek została piel. dypl. *Kurkowa* ze Szpitala powstańczego przy ul. Marszałkowskiej 79, intendentem — P. *Gaworowski* ze Szpitala przy ul. Żurawiej 31. Pozostawaliśmy na całkowitym zaopatrzeniu Szpitala św. Łazarza oraz otrzymywaliśmy dotacje z PCK, reprezentowanego przez dra *Miszewskiego*. Doc. *Przesmycki* był z nami.

Mieliśmy własną kuchnię, pralnię i łaźnię z natryskami, w której po przyjeździe od razu wymyliśmy wszystkich chorych. Szpital był zaopatrzony w umywalnie i ustępy. Wydzieliłem następujące oddziały chorych: Oddział Chirurgiczny A, ordynator dr *Barcikowski* ze Szpitala przy ul. Marszałkowskiej 79; Oddział Chirurgiczny B, ordynator dr *Perzyński* ze Szpitala powstańczego przy ul. Pierackiego; Oddział Wewnętrzny wraz z pododdziałem gruźliczym, ordynator dr *Białokoz;* Oddział Oczny, ordynator dr *Galinowska* z powstania; Oddział Uszny, ordynator dr Jerzy *Łakota* z powstania; Oddział Neurologiczny, ordynator dr Natalia *Bereza* z powstania; oddziału radiologicznego nie mieliśmy, korzystaliśmy z Zakładu Radiologii Szpitala św. Łazarza i z polowego aparatu rentgenowskiego w Domu Akademickim. Apteka Szpitala pozostawała pod kierownictwem mgr farm. *Raczkowskiego.*

Część budynku przeznaczono na mieszkania personelu. Było ciasno. Dużo kłopotu sprawiały zniedołężniałe staruszki, które leżały na różnych oddziałach, ale głównie na wewnętrznym i neurologicznym i wymagały częstej opieki personelu pomocniczego. Pracownicy ci uskarżali się na to, że idąc korytarzem do toalety, „babki ślakują", czyli oddają stolec i mocz bezwiednie na podłogę. W owych latach słowo „babka" oznaczało wyłącznie starą kobietę. Wśród chorych geriatrycznych były prawie same kobiety.

Budynek był trudny do ogrzania. Urządzenia wodno-kanalizacyjne nie były przystosowane do dużej liczby osób. Oczek klozetowych było stanowczo za mało. Przelotowość rur kanalizacyjnych była również nie wystarczająca. Ponadto do rur kanalizacyjnych wrzucano rozmaite przedmioty zupełnie nieodpowiednie, co powodowało bardzo często niedrożność kanalizacji. Np. w jednej z muszli klozetowych sam osobiście zobaczyłem staw kolanowy koński wraz z kikutami, wciśnięty w syfon. Była to ubikacja dla pracowników.

Do Szpitala zaczęli jeszcze napływać ludzie chorzy, a raczej wyczerpani, przybyli innymi drogami z Warszawy, którzy potrzebowali bodaj przez kilka dni wypoczynku i przebadania lekarskiego oraz czasem opieki specjalistycznej. Równocześnie jednak wielu chorych „rzekomych" i takich, których stan zdrowia pozwalał na wypisanie, oraz wiele osób z personelu odchodziło ze Szpitala, urządzając sobie nowe życie w Krakowie i poza Krakowem. W ten sposób zagęszczenie Szpitala znacznie się rozluźniło w ciągu pierwszych dni.

Szpital przy ul. Żurawiej 31 w powstaniu warszawskim był z założenia szpitalem przeciwgruźliczym, jedynym w Warszawie—Śródmieściu, mimo że później stał się wielospecjalistycznym Centrum Szpitalnym, toteż, aby zamknąć opisywanie jego dziejów, należy przypomnieć, że dalszym jego ciągiem w Krakowie był pododdział gruźliczy Oddziału Wewnętrznego. Był on obłożony chorymi na gruźlicę, przywiezionymi pociągiem sanitarnym z Warszawy i zaopatrzony w materiał i sprzęt lekarski zabrany z ul. Żurawiej 31. Obsada lekarska i pielęgniarska była ta sama, co w Warszawie. W Szpitalu łóżka były częściowo metalowe, typu szpitalnego, częściowo drewniane,

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Dr.med.Białokoz Michał
urodzony (a) do. 4.10.1910 r.
zamieszkały (a) w Krakowie,
ul.Kopernika 26,
jest stale zatrudniony (a) w Polskim Czerwonym Krzyżu w charakterze
St.Ordyn.Oddziału Wewn.A.
Szpitala Ujazdowskiego
Władze wojskowe i cywilne uprasza się o okazywanie pomocy w razie potrzeby.

Kraków, dnia 18.1.1945 r.
Dyrektor P.C.K.

Legitymacja ważna do dnia 31.3.1945 r.
Wydano opaskę Nr. 403.

Ryc. 4. Reprodukcja legitymacji PCK, wydanej w Krakowie dnia 18 stycznia 1945 roku drowi Michałowi *Białokozowi* jako st. ordynatorowi Oddziału Wewnętrznego A ewakuowanego Szpitala Ujazdowskiego

typu koszarowego, zaopatrzone bądź w materace, bądź w sienniki. Były kołdry, koce, prześcieradła, poduszki, koperty i powłoczki płócienne. Pod koniec października Szpital był już całkowicie zorganizowany i pracował prawidłowo.

Ostatniego dnia października przybył do Krakowa po długiej wędrówce z Warszawy Szpital Ujazdowski. Zainstalował się on w naszym gmachu przy ul. Kopernika 26. Tegoż dnia przybyli do mnie do gabinetu doc. dr med. Jan *Krotoski,* dyrektor Szpitala Ujazdowskiego w czasie powstania warszawskiego i płk prof. dr med. Teofil *Kucharski,* który zrzekł się uprzednio stanowiska dyrektora na rzecz doc. *Krotoskiego.* Obecny był również doc. *Przesmycki.* Przybyli zwrócili się w bardzo delikatnej formie z uwagą, że skoro oba szpitale znalazły się razem, powinny tworzyć jedną całość. Zgodziłem się z tym całkowicie. Wobec tego wyłoniła się jeszcze sprawa uzgodnienia, kto będzie dyrektorem Szpitala, który po połączeniu się będzie przecież Szpitalem Ujazdowskim w Krakowie. Chętnie przystałem na to, aby dyrektorem został prof. *Kucharski,* ponieważ uważałem, że jego tytuły, specjalność, piastowane dotąd urzędy, osobiste walory i wieloletnie doświadczenie predestynowały go bez dyskusji na to stanowisko. On jednak nie zgodził się na moją prośbę, tłumacząc się przemęczeniem i złym stanem zdrowia. Może raczej odegrała tu rolę jego skromność. Musieliśmy zatem wybrać, a wybór był trudny, bo tylko stopnie wojskowe przemawiały za kandydatami. W toku dyskusji doc. *Krotoski* podał kandydaturę ppłka dr Stefana *Tarnawskiego,* który jest lepiej zorientowany w całokształcie naszego Szpitala niż inni podpułkownicy. Dr *Tarnawski,* jak wiadomo, przybył ze szpitalami powstańczymi Warszawa II i Warszawa III do Krakowa. Wszyscy czterej zgodziliśmy się na jego osobę, tym bardziej, że miał „dryl" dyrektorski.

Opisuję bliżej ten epizod, ponieważ Szpital Ujazdowski był w całym tego słowa znaczeniu naprawdę elitarny i to przez długie lata. Dlatego stanowisko od starszego ordynatora wzwyż dawało bardzo wielkie prestiżowe prerogatywy. Szpital Ujazdowski w Krakowie zachował stylowo swój charakter wojskowy i nazwę, oczywiście w ścisłej tajemnicy. Oficjalnie, na zewnątrz, nosił tę samą nazwę, co nasz Szpital po przyjeździe do Krakowa i dopiero po wyzwoleniu miasta przez Armię Radziecką ujawnił swój prawdziwy tytuł jako już cywilny Szpital Ujazdowski PCK w Krakowie.

Przez cały czas, podobnie jak i w całym okresie okupacji niemieckiej w Warszawie, dyrekcja Szpitala wydawała okólniki, które były zakamuflowanymi rozkazami dziennymi, typowymi dla jednostki wojskowej. Mówiąc o charakterze wojskowym Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie okupowanej i w Krakowie, wskazuje się na to, że zgromadzili się w nim wszyscy lekarze wojskowi, oficerowie i podoficerowie sanitarni, którzy musieli przetrwać lata wojny i opiekować się chorymi i rannymi z przewlekłymi urazowymi cierpieniami, żołnierzami z kampanii 1939 roku. Szpital opiekował się również chorymi przysłanymi z obozów dla jeńców, głównie cierpiącymi na gruźlicę, wreszcie ludnością cywilną jako zakład podlegający miejskim władzom służby zdrowia. Szpital ten miał swoistą atmosferę w latach 1939—1944, zwłaszcza w Warszawie. Oprócz lekarza dyżurnego codziennie wyznaczano „urzędnika służbowego", którym był oczywiście oficer lub podoficer zawodowy. Szpital Ujazdowski, ośrodek polskości i patriotyzmu, był także tajnym ośrodkiem nauczania medycyny pod naczelnym kierownictwem płk. prof. dr med. Teofila *Kucharskiego.* Studenci i absolwenci medycyny kształcili się tajnie w rozmaitych dziedzinach wiedzy lekarskiej, zdawali egzaminy, odbywali praktyki na oddziałach jako przyszłe kadry zawodowe służby zdrowia, zresztą cywilnej, w wyzwolonej Polsce. Specjaliści Szpitala Ujazdowskiego na szczeblach starszych ordynatorów, stanowiący kwiat lekarzy wojskowych z Warszawy i z Poznania, byli wysoko kwalifikowani. Ta atmosfera Szpitala prawie się nie zmieniła w Krakowie.

31 października nastąpiło objęcie władzy nad połączonymi szpitalami, tj. nad Szpitalem Ujazdowskim w Krakowie (tak będę nadal go nazywał) przez ppłka dr Stefana *Tarnawskiego* i przeze mnie, jako jego zastępcę. Pułkownika tego, przedwojennego starszego lekarza kawaleryjskiego pułku, wąsatego, niewysokiego, o donośnym głosie, jowialnego pana, z miejsca przezwano „Panem Wołodyjowskim". Z poczuciem humoru przyjął on to przezwisko.

Kierownicza obsada osobowa Szpitala Ujazdowskiego w Krakowie następująco przedstawiała się do 7 marca 1945 roku, kiedy to wydano okólnik nr 8 zawierający zmiany osobowe. Przed nimi więc, prócz wspomnianej już obsady stanowisk dyrektora i jego stałego zastępcy, jak również sekretarki, pierwszym intendentem był kpt. *Zalewski,* drugim intendentem *Gaworowski,* przełożoną pielęgniarek piel. dypl. Anna (?) *Kurkowa,* starszym ordynatorem Oddziału Chirurgicznego A dr *Barcikowski,* jego zastępcą dr *Perzyński,* starszym ordynatorem Oddziału Chirurgicznego B doc. Jan *Krotoski,* starszym ordynatorem Oddziału Wewnętrznego A dr Michał *Białokoz,* starszym asystentem dr *Karaś-Brzozowska,* starszym ordynatorem Oddziału Wewnętrznego B płk prof. Teofil *Kucharski,* starszym asystentem dr Jan *Lubelski,* starszym ordynatorem Oddziału Neurologicznego dr *Naramowski,* starszymi asystentami dr Natalia *Bereza* i dr *Morawska,* starszym ordynatorem Oddziału Ocznego dr Witold *Waligórski,* jego zastępcą dr *Galinowska,* starszym ordynatorem Oddziału Usznego dr Stanisław *Ankudowicz,* starszym asystentem dr Jerzy *Łakota.*

Kilku lekarzy, którzy przed przybyciem Szpitala Ujazdowskiego kierowali oddziałami, musiało ustąpić starszym stopniem i doświadczeniem, zajmując na tych oddziałach stanowiska zastępców lub starszych asystentów. Był również na terenie Szpitala wysokiej klasy lekarz, specjalista-neurolog, dr Władysław *Koziorowski.* Kwalifikował się w całej pełni na stanowisko starszego ordynatora, ale niestety nie znalazło się dla niego oddziału.

Chorzy, przywiezieni przez Szpital Ujazdowski, stanowili przeważnie chirurgię urazową (ludzie młodzi, powstańcy) i choroby wewnętrzne, zresztą przekrój diagnostyczny nie różnił się od chorych Szpitali Warszawa I, II i III, przy czym było mało chorych geriatrycznych i wcale nie było chorych na gruźlicę. Przybyli niektórzy pracownicy tego Szpitala z czasów okupacji, a nawet z czasów przedwojennych: lekarze, pielęgniarki, oficerowie i podoficerowie sanitarni. Należy wymienić dra Cyryla *Gubarewskiego,* dr *Kucharską,* dra *Wilocha,* kpta *Zalewskiego,* ppłka *Kozłowskiego,* z pielęgniarek zaś piel. dypl. *Krajewską* i piel. *Grzybowską.* Na terenie Szpitala przebywał również prof. dr med. *Kapuściński,* kierownik Katedry Okulistyki w Poznaniu wraz z synem, również okulistą, który obecnie jest profesorem okulistyki w AM we Wrocławiu. Zarówno ojciec, jak i syn włączyli się w pracę Szpitala, przeważnie konsultując i prowadząc pracę pedagogiczną.

Aptekę Szpitala objął mgr Edmund *Górzkowski;* jego zastępczynią została mgr Irena *Gubarewska.* Mgr *Raczkowski* pracował nadal, wkrótce jednak odszedł ze swego stanowiska i z zakładu pracy.

Zarówno z Warszawy—Śródmieścia, jak i ze Szpitalem Ujazdowskim przybyli przeważnie absolwenci i częściowo studenci medycyny. Kształcili się oni nadal w Szpitalu pod kierunkiem prof. *Kucharskiego,* prof. *Kapuścińskiego,* doc. *Krotoskiego* i starszych ordynatorów poszczególnych oddziałów. W czasie powstania walczyli, pełniąc różne zadania. Studenci i absolwenci medycyny, zgodnie z tradycją Szpitala Ujazdowskiego z lat 1939—1944 w Warszawie, byli zaangażowani na etatach „noszowych", choć oczywiście funkcji fizycznych nie wykonywali. Przeciwnie, pełnili czynności młodszych asystentów lub, jak się to na niektórych wydziałach lekarskich przed wojną nazywało, „koasystentów". We mnie oczywiście sprzeciw budziło umieszczenie pracowników o takich kwalifikacjach, częściowo niemal lekarzy, na etatowych stanowiskach pod względem płacy nie odpowiadających pracy wykonywanej. Absolwenci i stu-

denci byli niezadowoleni z takiego stanu rzeczy, gdyż pomijając już niebłahą wtedy sprawę prestiżu, chodziło o środki materialne. Byłem gorącym rzecznikiem ich spraw na terenie Szpitala. Niestety, sytuacja nie mogła ulec zmianie, ze względu na władze niemieckie, które nie powinny były żadną miarą nawet podejrzewać, że kształci się u nas przyszła kadra lekarska. Spośród tych młodych, sympatycznych, kulturalnych, zdolnych i miłych ludzi wielu zajmuje wysokie stanowiska; niechaj wolno będzie podać nazwiska tych osób: Maria *Bażyńska*, Edmund *Chróścielewski*, Ryszard *Gutman*, Irena *Jurkowska-Wojciechowska*, Barbara *Krotoska*, Mieczysław *Mazur*, Maria *Perzyńska*, Halina *Szperlówna-Seyfriedowa*, Jerzy *Wojciechowski*, Irena *Zywicka-Twarowska*. Kolegów reprezentował wobec władz Szpitala kol. *Chróścielewski*, którego nazywałem żartobliwie z tytułu jego przedstawicielstwa „dziekanem". „Wywróżyłem" mu. Został profesorem, kierownikiem Katedry Medycyny Sądowej w Poznaniu. Prof. dr *Mazur* otrzymał Katedrę Farmakologii w Szczecinie; dr *Szperlówna-Seyfriedowa* została również samodzielnym pracownikiem nauki. Pozostali ukończyli medycynę i są lekarzami specjalistami. Np. dr Jerzy *Wojciechowski* został kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia w Bydgoszczy.

Szpital pracował. Warunki stawały się cięższe w miarę, jak przybliżała się zima. Budynku nie można było należycie ogrzać. Władze niemieckie skąpiły opału. W grudniu 1944 roku nastały silne mrozy. Na korytarzach temperatura opadała często poniżej zera. Wspomniane już „ślakujące babki" z geriatrii powodowały powstawanie kałowych i moczowych „ślizgawek" na kamiennych flizach korytarzy. Nieraz zdarzało się, że ktoś z chorych lub personelu poślizgnął się i upadł na tych brązowych „lodowiskach". Pewnego dnia jeden z przewodów kanalizacyjnych pękł w kuchni Szpitala, powodując powódź ekskrementów.

Oprócz zajęć związanych z kierownictwem Szpitala oddawałem się pracy na oddziale, którego byłem starszym ordynatorem. Był to, jak wspomniałem, Oddział Wewnętrzny A, na którym leżeli chorzy internistyczni (choroby serca, przewodu pokarmowego — choroby żołądka i dwunastnicy, choroby wątroby i dróg żółciowych, choroby narządów moczowych, niegruźlicze choroby płuc) i chorzy na gruźlicę płuc. Wciąż wiele było chorych geriatrycznych. Praca moja polegała między innymi na tym, że kontrolowałem dokumentację historii choroby na poszczególnych oddziałach, zwracając możliwie delikatnie uwagę nawet znacznie starszym od siebie wiekiem, u których sposób prowadzenia zapisów pozostawiał wiele do życzenia.

Dr *Tarnawski* zajmował się reprezentowaniem Szpitala na zewnątrz, kontaktem z Polskim Czerwonym Krzyżem, pisaniem okólników wspólnie ze mną i dorywczymi inspekcjami dotyczącymi porządku i czystości. Był to miły, towarzyski pan, o swoistych cechach, jakie dawała służba w kawalerii.

Wieczorami często zbierało się całe nasze stałe grono, czy to u dra *Tarnawskiego*, który był bardzo gościnny, czy też u dra *Andukowicza*, który miał wielkie zalety towarzyskie i lubił przyjmować u siebie gości. Składało się ono, oprócz osób wspomnianych przed chwilą, z prof. *Kucharskiego*, dra *Waligórskiego* i ze mnie. Czasem również przychodzili inni. Rozmawialiśmy, omawialiśmy zagadnienia zawodowe i zdarzenia dnia, dzieliliśmy się wspomnieniami bliskiej i dalekiej przeszłości, opowiadaliśmy anegdoty. Nieraz śpiewaliśmy pieśni wojskowe i patriotyczne.

Do tego grona dołączyły się niebawem panie z „Komitetu Pomocy Szpitalowi", rekrutujące się z zamożnej części społeczeństwa krakowskiego. Bardzo się bały działań wojennych, a zdawały sobie sprawę, tak jak i my, że ofensywa zimowa Armii Radzieckiej lada chwila się rozpocznie i cieszyły się, że bliskie jest wyzwolenie Krakowa. Tu wodził rej nasz dr *Tarnawski*, *cavalier charmant*, lubiący towarzystwo płci pięknej, w czym nie był zresztą odosobniony. W ten sposób nasze wieczory towarzyskie nabrały pełniejszego klimatu dzięki towarzystwu dam i tego *parler de rien*, które tak odpręża umysły zmęczone całodzienną pracą.

Ten „Komitet Pomocy" zupełnie realnie pomagał Szpitalowi i myślę, że dr *Tarnawski* był istotnie odpowiednim łącznikiem dzięki swoim zaletom towarzyskim na gruncie prywatnym i owemu *farfallone amoroso*, tak cenionemu przez kobiety pomimo wojny rozpieszczone beztroskim losem.

Niewątpliwie duża część mieszczaństwa krakowskiego odnosiła się raczej negatywnie do uchodźców z Warszawy, którzy „wprowadzili niepokój" do Krakowa. Oprócz moich osobistych wrażeń powołuję się na liczne wypowiedzi warszawiaków przybyłych do Krakowa, którzy tak właśnie odczuli tutejszą atmosferę, takie właśnie zdanie słyszeli wielokrotnie i powtarzali je wtedy i później. Ta zamożna część społeczeństwa krakowskiego nie przypominała tych ludzi, którzy witali nas na rampie kolejowej, kiedyśmy przyjechali z Warszawy. W tym wypadku obserwacja ta dotyczy nie Szpitala Ujazdowskiego, ale przede wszystkim przybyłych i zamieszkałych luźno w Krakowie ludzi z Warszawy, którzy, starając się o zabezpieczenie bytu dla siebie i bliskich, rozwijali wielokierunkową, żywą inicjatywę, stanowiącą nieraz konkurencję dla miejscowych.

Lekarze krakowscy dokonali zbiórki odzieży i datków pieniężnych dla swoich warszawskich kolegów. Może byłoby przesadą twierdzenie, że byli zachwyceni naszą obecnością, ale nie żałowali nam pomocy. Taki już był ówczesny Kraków, który jednak udzielił nam gościny. Tym wszystkim licznym krakowianom, którzy okazali nam współczucie, troskę i pomoc, należą się słowa podzięki i uznania.

Tymczasem władze niemieckie wzmogły na terenie Krakowa działalność represyjną, szczególnie w stosunku do przybyszów z Warszawy. Zaczęto mówić o wywiezieniu naszego Szpitala z Krakowa do obozu do Niemiec. Rozpoczęły się obławy uliczne, aresztowania na terenie miasta, wywożenie do obozów koncentracyjnych i egzekucje masowe. Wyczuwało się już jednak u Niemców upadek ducha, rozprzężenie, pewność klęski i odnosiło się wrażenie, że to są ostatnie ukąszenia śmiertelnie ranionej bestii. Którejś nocy usłyszałem wielki hałas w Szpitalu, dobijanie się do drzwi wejściowych. Żandarmeria niemiecka w liczbie około 20 osób zjawiła się w celu zlikwidowania i wywiezienia naszego Szpitala. Dyrektor *Tarnawski*, cały nasz „sztab" i ja zeszliśmy na dół i w świetlicy Szpitala zaczęliśmy się spierać z żandarmami, twierdząc, że nie mają prawa nas ruszyć, bo jesteśmy pod ochroną konwencji zawartej z władzami niemieckimi i że wreszcie jest fizyczną niemożliwością ewakuować chorych i nas w tych warunkach. Argumentację naszą poparliśmy bardzo obfitą ilością alkoholu. Nastroje Niemców zmieniły się. Humory stały się różowe. Rozmowa zeszła na tory nieurzędowe. W końcu po solidnej libacji żandarmi odjechali. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy naprawdę chcieli nas ewakuować, czy chodziło po prostu o wyłudzenie wódki. Myślę, że o to drugie.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia 1944 roku. Obchodziliśmy je w Szpitalu szczególnie uroczyście. Wśród chorych, głównie z Oddziału doc. *Krotoskiego*, znaleźli się plastycy, poeci i śpiewacy, którzy urządzili „szopkę", coś w rodzaju kabaretu dowcipu i piosenki. Odznaczał się on dowcipną i trafną prześmiewnością, a czasem i złośliwością kupletów wymierzonych w całe kierownictwo Szpitala wraz z ordynatorami i niektórymi innymi lekarzami i pielęgniarkami; znalazły się także wzajemne dowcipne rozliczenia między poszczególnymi chorymi. Damy-opiekunki, jak je nazywałem — „dobrodziejki", dostarczyły chorym darów gwiazdkowych.

W codziennym życiu Szpitala zdarzały się czasem epizody komiczne. Oto jedna z sanitariuszek-ochotniczek wybierała się na dyżur nocny w kapeluszu z torebką i parasolką, aby nie pomyślano, że jest „byle kim", lecz „panienką z dobrego domu". Trzeba było jej tłumaczyć, jaki strój obowiązuje i jak śmieszne są jej przesądy. Bywały rozmaite, analogiczne, choć w innym rodzaju zdarzenia z ochotniczymi pracownikami niefachowymi, rekrutującymi się w dużej części z tych osób, które po prostu

chciały bezpiecznie opuścić Warszawę. Trudno było się gniewać, czy nawet mieć pretensje. Po prostu trzeba było szkolić i szkoliliśmy, zresztą z tak dużym powodzeniem, że uzyskaliśmy dobrych i sumiennych pracowników fizycznych, którzy dali wielki wkład w całość pracy Szpitala.

Nadszedł styczeń 1945 roku. Rozpoczęła się ofensywa radziecka. Niecierpliwie oczekiwaliśmy wyzwolenia. Liczyliśmy dni, potem godziny. Budynek Szpitala znajdował się w pobliżu Dworca Osobowego Kraków Główny. To właśnie dyktowało szczególną troskę o zabezpieczenie rannych i chorych w razie wybuchu na dworcu lub pobliskich torach kolejowych. Urządziliśmy schrony w piwnicach. Ułożyliśmy plan ewakuacji do nich i plan służby przeciwpożarowej. Obawy dotyczące sąsiedztwa Dworca okazały się słuszne. Wybuchły dwa wagony niemieckie z amunicją, a Szpital pękł na dwoje pośrodku i prawie wszystkie szyby wyleciały z okien. Był mróz. Trzeba było okna zabezpieczyć dyktą, bo szkła nigdzie nie można było dostać. Szpital znalazł się w rejonie ulicznych działań wojennych. Już wyzwolony, omal nie został ponownie zdobyty przez Niemców, którzy wykonali na tym odcinku przeciwnatarcia. Kontrnatarcie niemieckie załamało się i Szpital pozostał już po stronie wyzwolonej. Chorych i rodziny pracowników umieściliśmy w schronach piwnicznych na czas ewentualnego niebezpieczeństwa działań wojennych i na czas bodaj prowizorycznego zaopatrzenia okien dyktą. Łóżka z ciężko chorymi i rannymi znosili do piwnicy nie tylko sanitariusze, ale również pielęgniarki i lekarze, wśród nich także starsi ordynatorzy oddziałów. W piwnicy w tym czasie usprawniał pracę i robił porządek dr *Tarnawski.* Był niezbędny tam, gdzie znajdowała się większość chorych, część pracowników i ich rodziny i gdzie trzeba było nieść słowa otuchy pod ponurymi sklepieniami piwnicznymi.

Po wyzwoleniu Krakowa, które, jak wiadomo, w lewobrzeżnej części miasta nastąpiło 18 stycznia, Szpital przybrał oficjalną nazwę: „Szpital Ujazdowski w Krakowie". W lutym nie zanotowano większych zmian osobowych. Poprawiły się warunki zaopatrzenia w narzędzia, leki i żywność. Okna zostały zaopatrzone ponownie w szklane szyby w ciągu paru dni po wyzwoleniu.

Pracownicy, zwłaszcza niefachowi, ale też i fachowi pracownicy służby zdrowia zaczęli stopniowo ubywać ze Szpitala, udając się w rozmaitych kierunkach. Pracownicy naukowi wybierali się do swoich macierzystych zakładów, aby je uruchomić, pracowników sanitariatu oczekiwała w odrodzonej Polsce Ludowej nowa praca: budowanie od podstaw socjalistycznej służby zdrowia. Podobnie jak we wszystkich resortach, trzeba było „zakasać rękawy" i brać się do roboty.

Któregoś dnia Zakład Ubezpieczeń Społecznych, którego pracownikiem byłem w czasie okupacji, przypomniał mnie sobie i otrzymałem nominację na dyrektora Sanatorium Przeciwgruźliczego w Ludwikowie. Zaangażowano mnie od 7 marca 1945 roku i polecono zorganizowanie i uruchomienie tego zakładu w najbliższym terminie. Szpital Ujazdowski już się kurczył, warszawianie wybierali się powoli w swoje strony. Po uzgodnieniu sprawy mego odejścia z doc. *Przesmyckim,* prof. *Kucharskim* i dr *Tarnawskim* i wiedząc o tym, że są następcy na zajmowane przeze mnie stanowiska, zdecydowałem się przyjąć propozycję ZUS i odszedłem w wymienionym dniu ze Szpitala Ujazdowskiego. Na moje miejsce jako zastępcy dyrektora szpitala został mianowany ppłk dr Stanisław *Ankudowicz.* Na stanowisko starszego ordynatora Oddziału Wewnętrznego A powołano dra Cyryla *Gubarewskiego.* Pożegnany uroczyście, odjeżdżałem do nowej pracy, do nowych warunków, licząc wtedy 34 lata życia. Zostawiałem za sobą ciężkie dni próby i zmagań, które przeżyłem w powstaniu warszawskim, w okresie ewakuacji szpitali po powstaniu i w Krakowie. Wryły mi się w pamięć głęboko, do końca życia. Pamięć okupacyjnych prób krzepiła mnie w późniejszych latach, w rozmaitych trudnych przejściach i zmaganiach życiowych i zawodowych.

Na koniec kilka słów należy się dalszym losom kolegów. Dr *Tarnawski* wkrótce po mnie odszedł ze Szpitala do wojska. Prof. *Kucharski* i doc. *Krotoski* odjechali do Poznania. Wszyscy starsi ordynatorzy oddziałów Szpitala, lekarze wojskowi, wstąpili do służby w odrodzonym ludowym Wojsku Polskim. Dyrektorem Szpitala został dr *Perzyński,* który prowadził ten zakład do chwili jego rozwiązania w maju 1945 roku. Dr Apolonia *Karaś-Brzozowska* odjechała w kwietniu 1945 roku na pionierską placówkę. Zorganizowała w Śremie w Poznańskiem poradnię przeciwgruźliczą, którą prowadziła aż do 1. IX. 1946 roku, odkąd objęła stanowisko kierownika poradni przeciwgruźliczej w Poznaniu.

HALINA KĘPIŃSKA-BAZYLEWICZ („KORA") Piotrków Trybunalski

Konspiracyjna służba zdrowia w Piotrkowskiem

Co pewien czas pojawiają się publikacje dotyczące podziemnej służby zdrowia w różnych rejonach okupowanego kraju. Relacje te są stosunkowo jeszcze nieliczne, a przecież przy systematycznym wzroście ich liczby mogłyby się stać w przyszłości podstawą syntetycznego opracowania konspiracyjnej działalności lekarzy i innych pracowników polskiej służby zdrowia. Niniejszy artykuł, dotyczący ich udziału w ruchu oporu ZWZ i następnie AK w Piotrkowskiem, jest przyczynkiem do tego szerszego zagadnienia.

Od pierwszych dni wojny pracownicy służby zdrowia nieśli pomoc rannym, cierpiącym i ginącym. Również w Piotrkowie i w powiecie piotrkowskim przez cały okres okupacji hitlerowskiej lekarze i pielęgniarki zapisali się chlubnie w dziejach walki z okupantem niemieckim. Pierwsi ranni byli opatrywani w Ośrodku Zdrowia przy ul. Piłsudskiego 14 (obecnie Wojska Polskiego) przez dra Stanisława *Lewkowicza,* Stanisława *Węglarskiego* i pielęgniarkę Paulinę *Lewkowiczową.*

Szpital św. Trójcy nie był w stanie pomieścić rannych żołnierzy z pola bitwy pod Piotrkowem Trybunalskim. Ranni „wrześniowcy" leżeli na noszach na trawnikach i na dziedzińcu szpitalnym, oczekując swojej kolejności do stołu operacyjnego. Doktorzy Stefan *Rechniowski,* Edmund *Sokołowski,* Witold *Jezierski,* Jan *Olszewski* i starszy felczer Wacław *Chęciński* prawie nie wychodzili z sali operacyjnej. Po zajęciu miasta przez Niemców w Szpitalu św. Trójcy znajdowali się wyłącznie ranni żołnierze polscy. Cywilni chorzy, nawet ci, których stan był bardzo ciężki, zostali zabrani przez rodziny do domów. W Szpitalu dotkliwie odczuwano brak leków, także podstawowych, jak np. surowica przeciwtężcowa. W tych trudnych, ciężkich dniach ofiarnie pomagał ks. Henryk *Rajter,* który potrafił zdobyć od okupanta leki i materiały opatrunkowe niezbędne dla uratowania życia wielu polskich żołnierzy. Racje żywnościowe ranni otrzymywali jako przydział wojskowy. Nadzór nad rannymi jeńcami sprawował wojskowy lekarz niemiecki dr *von Beutel,* do czasu gdy część jeńców zwolniono do domów, a część wywieziono do obozów jenieckich w głąb Rzeszy.

Okupant zostawił ludności polskiej Szpital św. Trójcy, natomiast dla Niemców przeznaczono nowy szpital Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Roosevelta. Wszyscy lekarze stanęli na miejscach swej pracy. Czynne były Szpital św. Trójcy, Ośrodek Zdrowia, Polski Czerwony Krzyż, Ubezpieczalnia Społeczna. Rozumiano, że wprawdzie kampania wrześniowa została przegrana, ale wojna nie skończona. Pierwszym wyrazem tej postawy społeczeństwa był powszechny bierny opór wobec każdego rozkazu okupanta. Opór ten jednak nie wystarczał. Przystąpiono spontanicznie do tworzenia tajnych organizacji zbrojnych. W roku 1940 było ich w kraju już około 50, w tym 14 większych.

W Piotrkowie pierwsze tajne organizacje powstały w okresie od października do grudnia 1939 roku. W styczniu 1940 roku konspiracyjnym wojskowym komendantem miasta z ramienia ZWZ został mjr dr med. Antoni *Ostaszewski,* znany czytelnikom „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" z biografii zamieszczonej w poprzednim zeszycie. Pełnił on również czynności szefa sanitarnego ZWZ na terenie Piotrkowa od marca 1940 roku. Kontaktował się z drem med. Dominikiem *Gnoińskim,* szefem sanitarnym Batalionów Chłopskich. Dr *Ostaszewski* pracował w PCK i w Ubezpieczalni Społecznej razem z drem Wacławem *Potockim*; opiekował się szpitalem zakaźnym przy ul. Starowarszawskiej. Udzielał pomocy lekarskiej i materialnej dzieciom żydowskim, które często dokarmiał u siebie w domu. Dnia 2 listopada 1942 roku dr *Ostaszewski* razem z żoną, Emilią, również zaangażowaną w pracy konspiracyjnej, został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu w Majdanku. Tam pracował jako lekarz na tzw. „polu" jeńców radzieckich. Po przejściu obozów w Gross-Rosen i Mauthausen powrócił do Piotrkowa po kapitulacji Niemiec w roku 1945. Zmarł w lipcu 1946 roku.

Zależnie od terenu działania konspiracyjnego wprowadzono pojęcia służby sanitarnej rejonu, obwodu, inspektoratu. Obwód odpowiadał mniej więcej obszarowi powiatu. Szefem służby sanitarnej inspektoratu piotrkowskiego, obejmującego cztery obwody (Piotrków, Opoczno, Tomaszów Mazowiecki, Rawa Mazowiecka), był mjr dr Wacław *Potocki.* Pracował on w Szpitalu Zakaźnym. Zajmował się organizowaniem służby sanitarnej na szczeblu inspektoratu, zakupem leków i opatrunków, przekazywaniem ich do oddziałów partyzanckich, później dla 25 pułku partyzantów. Prowadził szkolenia sanitarne. Przygotowywał placówki służby zdrowia na okres ogólnego powstania. Łącznikiem między lekarzem inspektoratu a lekarzem obwodu był student medycyny Krzysztof *Kuczyński.* Zespół sanitariatu obwodu stanowili dr Leonard *Szajewski* (lekarz obwodu), dr Bożena *Jędrzejewska* (zastępca, przybyła po powstaniu warszawskim), mgr farm. Stanisław *Skulski,* dr Maria *Strychalska,* lekarz dentysta. Obwód piotrkowski dzielił się na 5 rejonów. W każdym rejonie był lekarz. Od końca roku 1942 lekarzem obwodu piotrkowskiego był dr med. Leonard *Szajewski,* leczył on członków ruchu oporu

Ryc. 1. Wykonane w roku 1942 w Piotrkowie Trybunalskim zdjęcie ze Szpitala Zakaźnego. Pośrodku siedzi mjr dr Wacław *Potocki*; na prawym końcu ostatniego rzędu stoi dr Alfons *Raiter* („Wojtek"); na ciemnym tle w okularach w tyle stoi dr Tadeusz *Molka*, na lewo — dr Mieczysław *Koszański*

i opiekował się nimi. Udzielał również pomocy lekarskiej ukrywającym się Żydom.

Konspiracyjna służba zdrowia opierała się przede wszystkim na lekarzach pracujących w mieście i w terenie. Do obowiązków lekarzy z konspiracji należały opieka zdrowotna nad żołnierzami podziemia, udzielanie pomocy chorym i rannym, odwiedzanie rannych, którzy leżeli w prywatnych, konspiracyjnych lokalach, opieka nad zagrożonymi wywiezieniem na roboty do Rzeszy. Opieka ta dotyczyła przede wszystkim dzieci konspiratorów, dzieci i młodzieży w ogóle. Polegała na przyjmowaniu ich do pracy w placówkach służby zdrowia, w szpitalach, w Ubezpieczelni Społecznej, PCK, a także w *Luftschutzu*. Tym, którzy mieli stanąć przed komisją lekarzy niemieckich, wywoływano „sztuczne choroby", np. wstrzykiwano „delbet", by wywołać gorączkę, wstrzykiwano do cewki moczowej *Argentum nitricum*, co imitowało rzeżączkę, a przez smarowanie jodyną skóry na klatce piersiowej uzyskiwano na zdjęciach radiologicznych zmiany rzekomo gruźlicze.

Lekarze wydawali zaświadczenia chorobowe dywersantom, którzy udając się na akcje sabotażowe nie mogli stawić się w pracy. Udzielali pomocy lekarskiej wysiedlonym, uciekinierom z obozów, z więzień, członkom ruchu oporu bez względu na przynależność organizacyjną, ukrywającym się Żydom. W Ośrodku Zdrowia przy ul. Piłsudskiego 14 (obecnie Wojska Polskiego) pracowali wówczas doktorzy Leonard *Szajewski*, Jadwiga *Szustrowa*, *Łukomski*.

Z pielęgniarek bardzo czynne w pracy konspiracyjnej były Leokadia *Godlewska*, Stanisława *Pajnowa*, Anna i Stefania *Szczygielskie*, Aleksandra *Flakiewicz*. Na szczególne podkreślenie zasługuje działalność pielęgniarki Adaminy *Salskiej*. Zajmowały się one magazynowaniem i wysyłaniem leków i opatrunków między innymi do oddziałów leśnych. Duże zasługi położył Stanisław *Węglarski* nie tylko w gromadzeniu i przekazywaniu leków i opatrunków dla podziemia, ale również w ratowaniu młodzieży przed wywiezieniem do Niemiec. Umożliwiał pracę w Ośrodku Zdrowia i uzyskanie dzięki temu tzw. *arbeitskarty*. W ten sposób uchronił Marię *Otrębską*, Halinę i Danutę *Winciorkówny*, *Paca*, *Salskiego*, *Snobkowskiego*, *Gębickiego* i innych. W Ośrodku Zdrowia pracował również *Gronostaj*, pseudonim „Karol", który razem z pracownikami fizycznymi Antonim *Krawczykiem*, Pawłem *Kluką*, Antonim *Telążką* urządzili magazyn broni w dezynfektorium i łaźni.

Pracowała tam wspomniana już dr med. Jadwiga *Szustrowa*, znany łódzki ftizjatra i społecznik. Wysiedlona z Łodzi zimą 1940 roku razem z rodziną znalazła się w Piotrkowie. Od samego początku jej mieszkanie stało się ważnym punktem pracy konspiracyjnej. Była silnie związana z Kedywem piotrkowskim przez swych synów, Edwarda i Włodzimierza. Zdarzało się, że sama odbierała prasę, tajną pocztę, broń. Udzielała pomocy lekarskiej rannym i chorym. Swoją postawą wzbudzała ogólny szacunek i zaufanie. Jej losy zostały szczegółowo opisane w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Po katordze w więzieniu i w obozach, po długiej ciężkiej chorobie wróciła do kraju, do Łodzi w listopadzie 1945 roku.

W PCK pracowali doktorzy Józef *Opala*, Jerzy *Suffczyński*, Witold *Jezierski*, Sergiusz *Mossor*, Jerzy *Strzelecki*, Marian *Otrębski*, Marian *Januszczak*, Franciszek *Bierzyński*, Zbigniew *Tekielski*, Czesław *Rostkowski*. Szczególnie aktywni byli młodzi studenci medycyny, Wiesław *Juszkiewicz* i Władysław *Młocki*. *Juszkiewicz* od pierwszych tygodni okupacji zaangażowany konspiracyjnie w SP, ZWZ-AK, pracował w PCK bardzo ofiarnie, zaopatrywał w instrumenty, leki, materiały opatrunkowe oddziały dywersyjne i partyzanckie AK. Paczki te odsyłał do „Sokoła", Franciszka *Oskaldowicza*, gajowego w Gazomce, później do 25 pułku piechoty. Władysław *Młocki*, pseudonim „Szczur", prowadził praktyczne szkolenia sanitariuszek z konspiracji w Ubezpieczalni Społecznej i w PCK. Był dowódcą kompanii sanitarnej w *Luftschutzu*, wszyscy jego podkomendni byli żołnierzami AK. Po egzekucji na „Budkach" wiosną 1944 roku wyprowadził całą grupę sanitarną *Luftschutzu* z Piotrkowa do II oddziału partyzanckiego „Burza" AK. Do końca działalności 25 pułku AK Ziemi Piotrkowskiej i Opoczyńskiej pozostał on ze swoimi partyzantami w lesie.

Piękną rolę w okresie okupacji odegrali lekarze pracujący w piotrkowskim więzieniu, dr Edmund *Zieliński* i student medycyny, Roman *Królak*. Przekazywali oni wiadomości i „grypsy" od więzionych do rodzin i osób zagrożonych. Dzięki nim w dużej mierze utrzymywany był kontakt z aresztowanymi. To oni, jak tylko mogli, starali się ulżyć w cierpieniach i pomóc nieszczęśliwym, skatowanym po przesłuchaniach w gestapo.

Również dr Michał *Kowalczewski* od początku okupacji niemieckiej włączył się do akcji

niesienia pomocy ukrywającym się wojskowym, jak również przebywającym w więzieniu członkom organizacji podziemnych. W związku z tą działalnością w lipcu 1942 roku dr *Kowalczewski* został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu w Oświęcimiu. Wrócił do Piotrkowa w lutym 1945 roku ze zupełnie zrujnowanym zdrowiem.

Jednym z zadań konspiracyjnej służby zdrowia było szkolenie sanitariuszek, wyszukiwanie odpowiednich kwater dla rannych w prywatnych mieszkaniach, organizowanie zapasów leków, opatrunków, narzędzi chirurgicznych, sprzętu lekarskiego, przekazywanie ich do oddziałów partyzanckich. Na szczególne wyróżnienie w tej pracy zasłużyły pielęgniarki Anna *Krajewska*, Lucyna *Rakoczy* i Helena *Tokarska*. Praca służby zdrowia w tych ciężkich latach była zwarta, solidarna, ofiarna.

Na przełomie lat 1942/43 zadanie prowadzone przez ZO i kierownictwa Walki Cywilnej objął Kedyw (Kierownictwo Dywersji). Ta bojowa organizacja była zbrojnym ramieniem AK. W Piotrkowie walka z okupantem hitlerowskim wzmogła się od czasu zjawienia się skoczka z Anglii, kpt. „Gaja". Był to mgr Adam *Trybus*, dowódca Kedywu Okręgu Łódzkiego. On to dzięki zaletom osobistym, zdolnościom organizacyjnym i bojowym szybko zorganizował i uruchomił razem z równie bojowym por. „Morusem" (dowódca Kedywu piotrkowskiego, Hilary *Moraczewski)* odcinek walki zbrojnej z okupantem. Walkę tę prowadziły regularne oddziały partyzanckie, oprócz nich działały zespoły dywersyjne w terenie, były one mobilizowane doraźnie na dzień lub dwa w celu dokonania akcji. Służba sanitarna i jej sprawność funkcjonalna odegrały poważną rolę w całokształcie walk partyzanckich na tym terenie.

Ryc. 2. Szef sanitarny Kedywu piotrkowskiego AK, dr Alfons *Raiter*, były lekarz 25 pułku piechoty ziemi piotrkowskiej i opoczyńskiej

Szefem sanitarnym Kedywu piotrkowskiego był dr „Wojtek", Alfons *Raiter*, uczestnik kampanii wrześniowej. Mimo młodego wieku przejął on na siebie cały trud organizacyjny. W tym czasie pracował w Szpitalu św. Trójcy. W lipcu 1943 roku przeprowadził sam szczepienie przeciwdurowe i przeciwczerwonkowe w I oddziale partyzanckim AK, a w sierpniu tegoż roku — badania kontrolne stanu zdrowia wszystkich partyzantów. Prowadził w oddziałach pogadanki na tematy udzielania pierwszej pomocy rannym oraz w zakresie higieny osobistej i higieny żywienia. Dążeniem dowódcy Kedywu, kpt. „Gaja", było, aby każdej większej akcji bojowej towarzyszył patrol sanitarny.

25 listopada 1943 roku rozbito strażnicę graniczną żandarmerii niemieckiej w Wodzinku pod Srockiem. W akcji tej brał udział patrol sanitarny. Dr „Wojtek" został ranny w rękę, oprócz niego dwóch partyzantów, jeden ciężko, odwieziono go do Szpitala św. Trójcy, był operowany na oddziale chirurgicznym przez dra Stefana *Rechniowskiego*.

W każdym oddziale partyzanckim był przeszkolony sanitariusz, który posiadał torbę sanitarną z lekami i opatrunkami. Każdy partyzant miał opatrunek indywidualny. Opatrunki, leki, instrumenty pochodziły z przydziałów z Komendy Głównej AK, PCK, a szczególnie ze Szpitala św. Trójcy. Poważną rolę w przygotowywaniu i przekazywaniu paczek sanitarnych odegrały pielęgniarki z terenu Szpitala, Wacława *Juszkiewicz*, Zofia *Hartman*, Teresa *Mikieta*, które również, gdy zaistniała potrzeba, opiekowały się rannymi przebywającymi w prywatnych, zakonspirowanych mieszkaniach lub jeździły do rannych w teren. Bardzo ofiarne były siostry zakonne, szarytki i służebniczki pracujące w szpitalu, zwłaszcza siostra operacyjna Natalia. Pomagały jej siostry Józefa, Aniela, Genowefa, Aleksandra. Opatrunki przygotowywano także w prywatnych domach *Szamockich, Kowalówki, Hartmanów, Kuczyńskich, Słomkówny, Wojtczaka, Rajpoldów, Błaszczyków*. Pochodziły również z darowizn. Ojciec Ludwik *Krupa*, gwardian ojców bernardynów w Piotrkowie, przekazał hojny, jak na warunki okupacyjne, dar w postaci opatrunków na ręce dowódcy Kedywu. Z prywatnych aptek magistrów *Tyca, Skulskiego, Szyca* szły opatrunki i lekarstwa do oddziałów partyzanckich. Poza tym otrzymywano je w zrzutach, zdobywano w akcjach, np. w akcji na posterunek *SS* w Bujnach pod Piotrkowem w lutym 1944 roku, organizowano „pościgówki", np. por. „Wicher" zorganizował pościgówkę na samochód niemiecki.

Ponadto w małych zespołach, po 5—6 osób, w prywatnych mieszkaniach odbywały się specjalne kursy dla konspiracyjnych sanitariuszek. Wszystkie łączniczki Kedywu były objęte obowiązkowym przeszkoleniem sanitarnym: Danka i Mala *Justynianki*, „Łazik"-*Czółnowska*, „Janka"-*Plucińska*, „Dzidka"-*Rajpold*, „Mucha"-*Mikołajczyk*, H. „Kora"-*Kępińska*. Szkolenie prowadzili pracujący jako lekarze w Szpitalu św. Trójcy Tusnelda *Orzechowska*, Alfons *Raiter*, Tadeusz *Molka* i inni. Zorganizowane były również praktyki dla kursistek w szpitalu, w Ubezpieczalni i w PCK.

W terenie zabezpieczono się przez tworzenie sieci szpitali polowych, z których największy i najbardziej wyposażony znajdował się w majątku *Turobojskich* w Szczukocicach, pod

Gorzkowicami. Szpital ten mieścił się w osobnym zabudowaniu zelektryfikowanym, dobrze usytuowanym i zamaskowanym rosnącymi drzewami. Były tam złożone instrumenty i opatrunki. Miał on być wyzyskany w akcji „Burza", tj. w wypadku powszechnego powstania. Pozostałe szpitaliki, mniejsze i skromniejsze, były to ziemianki, mianowicie w Stobnicy—Pile (rejon „Onufrego", „Burzy"), w Mokrej (rejon „Grypsa"), w Proszeniu (rejon „Kosa"). Czynne były liczne kwatery dla rannych partyzantów w domach, zagrodach, gajówkach, w majątkach ziemskich, zgromadzeniach zakonnych itp. Por. „Topór", Zdzisław *Brzeski,* dowódca Kedywu w roku 1944 i dowódca rejonu, kpt. „Malwa", Stefan *Szlązak* zorganizowali na terenie Opoczna tzw. „meliny", punkty dla rannych, a jesienią 1944 roku dwa szpitaliki w Białczewie i Pilichowicach na 6—10 łóżek dla 25 pułku partyzantów Ziemi Piotrkowskiej i Opoczyńskiej. W Piotrkowie oprócz Szpitala św. Trójcy przygotowano szpital polowy PCK i kilka mniejszych, w prywatnych mieszkaniach, np. przy zbiegu ulicy Rycerskiej i pl. Niepodległości na I piętrze w mieszkaniu Janiny *Rybakowej* (pseudonim „Janka"). Bazą dla ciężko rannych partyzantów i dywersantów był zawsze Szpital św. Trójcy, który liczył wówczas około 300 łóżek razem ze Szpitalem Zakaźnym.

Szpital ten utrzymywał się z funduszy samorządu miejskiego, kosztów leczenia i darowizn. Chorzy sami kupowali leki. Niemcy nie interesowali się wyposażeniem, lekami, wyżywieniem chorych itp. Natomiast gestapo interesowało się bardzo chorymi, szczególnie z oddziałów chirurgicznych. W sprawie każdego nowo przyjętego chorego kazano składać karty meldunkowe z dokładnym rozpoznaniem choroby. Każdą operację nakazano meldować do gestapo. W Szpitalu św. Trójcy prowadzono więc podwójną kartotekę. Gestapowcy często wpadali do szpitala i w towarzystwie dyrektora robili dokładne obchody po oddziałach. W takich warunkach pod ciągłym nadzorem gestapo cały personel szpitalny, lekarze, pielęgniarki, salowe, nie wyłączając noszowych i portierów, ratowali życie żołnierzy Polski walczącej.

Dyrektorem był w tym trudnym okresie dr Stanisław *Lewkowicz,* lekarz zasłużony i ceniony na terenie miasta. Gdy fachowi pracownicy zaczęli przyjeżdżać do Piotrkowa z Poznańskiego i z Łodzi (transporty wysiedlonych), dr *Lewkowicz* angażował lekarzy z tamtych terenów do pracy w szpitalu. Opiekował się studentami medycyny, bo ułatwiał odbywanie praktyki i umożliwił wyjazdy do Warszawy w celu zdania egzaminów na tajnych uczelniach. Byli to studenci Edmund *Zacierka,* Mieczysław *Koszański,* Alfons „Wojtek" — *Raiter,* Eugeniusz *Perlicius,* Tusnelda *Orzechowska,* Zbigniew *Jaraczewski.* Dr *Lewkowicz* patronował wszelkim poczynaniom konspiracyjnym na terenie szpitala.

Były tam trzy oddziały chirurgiczne. Ordynatorami byli doktorzy Stefan *Rechniowski,*

Ryc. 3. Ordynator oddziału chirurgicznego w Szpitalu św. Trójcy w Piotrkowie Trybunalskim, dr Jerzy *Suffczyński*

Antoni *Tomaszewski* i Jerzy *Suffczyński.* Ratowali oni życie rannych bardzo ofiarnie i zasługują na najwyższe uznanie, szczególnie jednak dr Jerzy *Suffczyński,* który nieraz udawał się do rannego i na jego kwaterze dokonywał zabiegów. Ciężej rannych operowano zawsze w szpitalu. Np. „Lech", Roman *Janiak* z I oddziału partyzanckiego, ciężko ranny w ramię w bitwie z żandarmerią niemiecką pod Kawęczynem w sierpniu 1943 roku, został przewieziony w ciężkim stanie przez łączniczkę Kedywu, „Dankę" (Danuta *Justynianka,* obecnie *Trybusowa*) do szpitala w Piotrkowie, gdzie dr *Suffczyński* dokonał natychmiastowej amputacji ramienia. W gestapo zgłoszono tego chorego jako wypadek przy młóceniu. Okres rekonwalescencji „Lech" przechodził w zakonspirowanym mieszkaniu Janiny *Pietruszkowej,* nauczycielki. Podchorąży Ryszard *Ziółkowski* — „Sam" z I oddziału partyzanckiego „Wicher", ranny w płuco i w rękę w bitwie na Gazomce w marcu 1944 roku został w stanie przedagonalnym przewieziony przez łączniczkę Kedywu, „Korę" (Halinę *Kępińską*), chłopską furmanką do szpitala na oddział wewnętrzny. Przyjęty był z rozpoznaniem zapalenia płuc i czyraczności ręki. Operację wykonał dr *Suffczyński.* Po wyleczeniu „Sam" wrócił do oddziału. Podchorąży „Artur", Włodzimierz *Stańczykowski,* ranny po raz drugi w akcji minerskiej na torach kolejowych wiosną 1944 roku, początkowo leżał u Marii *Kępińskiej* (Słowackiego 40), której mieszkanie było bazą Kedywu i rannych partyzantów, następnie umieszczono go na oddziale dra *Suffczyńskiego.*

W Szpitalu św. Trójcy ukrywał się również przez pewien czas przed gestapo pod przybranym nazwiskiem komendant rejonu Rozprza, *Kulasek,* pseudonim „Pogan", Żyd *Załuba,* były redaktor miejscowej gazety i wielu innych. W szpitalu dochodziło do akcji odbijania rannych partyzantów, którzy w akcji wpadli w ręce gestapo. Przykładem jest skoczek, kpt. „Bugaj" (*Hoffman*), oficer łączności, którego schwytano w sierpniu 1944 roku rannego na ulicy Piotrkowa. Zmaltretowanego i pobitego umieszczono pod strażą w szpitalu w celi, gdzie amputowano mu nogę. Gestapo roztoczyło nad nim szczególną czujność. Dowództwo AK na terenie Piotrkowa podjęło szybką decyzję. Akcję odbicia kpt. „Bugaja" prowadził „Mokry", Jan *Starostka,* dowódca plutonu specjalnego w Rozprzy wraz z 8 żołnierzami,

Z fasonem podjechali oni niemieckim samochodem pod szpital. Po sterroryzowaniu pilnujących żandarmów i odebraniu im broni przy pomocy pielęgniarki wywieziono kpt. „Bugaja" na noszach w rejon Rozprzy. Cała akcja trwała około 20 minut. Dalszą staranną opiekę nad chorym roztoczył dr Janusz *Gąssowski* z Warszawy, mieszkający w Rozprzy. Codziennie odwiedzał kpt. „Bugaja", leczył go bezinteresownie i mówił przy tym, że spełnia tylko obowiązek Polaka.

Ofiarnie również pomagał i opiekował się rannymi adiutant Kedywu, Aleksander *Szamocki,* pseudonim „Andrzej", student medycyny. Czynnie współpracował z konspiracją, gdy zaistniała potrzeba, dr Stanisław *Prybe,* rentgenolog. Ranni, którzy nie byli hospitalizowani, mieli zawsze zapewnioną szybką pomoc lekarzy pracujących w terenie. Zasłużyli się w tym zakresie między innymi doktorzy Wacław *Buzek* z Dąbrowy nad Czarną, Kazimierz *Songin* z Żarnowa, *Zinger* z Opoczna, Bogdan *Chwiałkowski* z Ręczna, Mieczysław *Kotarbiński* z Kamieńska, Stefan *Siniarski* z Wolborza, Bolesław *Kwapiński* z Sulejowa, Mieczysław *Kubik* („Ułła") z Sulejowa. Pomagali także lekarze ze szpitala piotrkowskiego, zaangażowani do tej pracy przez szefa sanitarnego Kedywu, dra „Wojtka", Tusnelda *Orzechowska,* Tadeusz *Molka,* Edmund *Zacierka.* Pomocy stomatologicznej udzielały Maria *Strychalska,* Teresa *Różycka,* Helena *Wojciechowska,* Zofia *Mecweldowska-Baranowska,* lekarki-dentystki. Podkreślić trzeba, że za każde udzielenie pomocy partyzantom groziła śmierć lub w najlepszym wypadku wywiezienie do obozu zagłady. Taki los spotkał chirurga doktora Stanisława *Różyckiego* i studentkę medycyny, Tusneldę *Orzechowską,* za udzielenie pomocy lekarskiej dwom radzieckim skoczkom w Mierzynie pod Piotrkowem. Zostali za to aresztowani i wywiezieni do „kacetu".

Wiosną 1944 roku został zagrożony w swej pracy konspiracyjnej szef sanitarny Kedywu, „Wojtek". Musiał wówczas opuścić Piotrków. W czerwcu tegoż roku zdawał raport z działalności sanitarnej Kedywu okręgu piotrkowskiego szefowi Komendy Głównej AK w Warszawie, płk dr med. *Kozłowskiemu* w jego mieszkaniu w Szpitalu Ujazdowskim. W lipcu 1944 roku „Wojtek" wrócił do oddziałów partyzanckich okręgu piotrkowskiego.

W początkach sierpnia 1944 roku po koncentracji oddziałów został sformowany batalion, a później pułk, który przyjął nazwę 25 pułku partyzanckiego Ziemi Piotrkowskiej i Opoczyńskiej, działający głównie w powiecie opoczyńskim. Dowódcą był mjr „Roman" — „Leśniak" Rudolf *Majewski.* Organizacja sanitarna pułku przedstawiała się następująco. Dr „Wojtek" został lekarzem pułkowym i jednocześnie batalionu I (dowódcą batalionu był kpt. „Morus", Hilary *Moraczewski*); lekarzem II batalionu (dowódca por. „Stary") był Władysław *Młocki* („Szczur"). W batalionie III (dowódca kpt. „Dolina") lekarzem był dr „Kleszczyk". W 25 pułku partyzantów przebywał dr Józef *Galler,* pseudonim „Chudy". Przed wrześniem 1939 roku był on lekarzem 25 pułku piechoty w Piotrkowie w stopniu podpułkownika. *Gallera* wyprowadziła z getta piotrkowskiego pod osłoną nocy Władysława *Kowalczykowa* (żona zastępcy komendanta rejonu Rozprza AK) razem z Heleną *Migaczową* 9 października 1942 roku. Przez dwa lata AK ukrywało dra *Gallera* z powodu żydowskiego pochodzenia w powiecie piotrkowskim. Zginął on w ostatniej fazie działalności bojowej 25 pułku partyzanckiego na terenie powiatu opoczyńskiego.

Sanitariuszki i sanitariusze z poświęceniem pełnili służbę w pułku. W każdym plutonie i w kompanii byli sanitariusze. W kompanii „Wichra" dzielny felczer Jan *Borowski,* w kompanii lotniczej „Henryka" Zbigniew *Singer* junior, syn lekarza z Opoczna. W kompanii *Bończy* sanitariuszem był „Orzeł", drogerzysta z Gielniowa, razem z żoną, pseudonim „Ryś". W kompanii „Maja" sanitariuszem był „Korek". Dowódcą drużyny sanitarnej 25 pułku partyzanckiego był „Kamień", Zdzisław *Kamiński,* a „Gozdawa", Władysław *Ciupiński* był pomocnikiem sanitarnym przy lekarzu pułkowym. Zastępcą dowódcy kompanii „Groma" był oficer liniowy 1 pułku szwoleżerów, por. dr Jerzy *Hellmann* („Jurek"), który, mimo że był lekarzem, walczył zawsze w pierwszej linii. Po ciężkich bojach, jakie 25 pułk staczał jesienią 1944 roku, „Jurek" odkładał broń i z największą ofiarnością opatrywał rannych kolegów i wykonywał zabiegi lekarskie. W 25 pułku partyzantów sanitariuszkami były między innymi „Wiktoria", „Sława", „Marylka", „Roma", „Krysia", dzielne dziewczęta. Należy wspomnieć o sanitariuszkach z wcześniejszego okresu, przed zorganizowaniem tego pułku. Sanitariuszka „Jaśmin" (Janina *Nowak*), z IV oddziału partyzanckiego „Błyskawica", mimo że mogła uratować swe życie, nie odeszła od rannych i pozostała z nimi do końca. Ośmiu rannych partyzantów, ją i całą rodzinę *Lelków* wymordowali żandarmi niemieccy w Korytnicy w maju 1944 roku.

W omawianym pułku przez pewien okres czasu przebywało trzech lekarzy radzieckich z dużą grupą jeńców, liczącą około 100 ludzi. Byli to częściowo uciekinierzy z obozu jenieckiego w Piotrkowie, częściowo odbici przez oddział „Burzy" AK na Bugaju w czerwcu 1944 roku. Jeden z lekarzy radzieckich, pseudonim „Docent", był chirurgiem z Kijowa, drugi miał pseudonim „Sinus", trzeci „Wracz". Grupa tych jeńców po uzbrojeniu ich przez dowództwo pułku i zaopatrzeniu w mapy i opatrunki opuściła 25 pułk partyzantów w sierpniu 1944 roku i udała się w kierunku wschodnim z zamiarem dotarcia do oddziałów partyzanckich znajdujących się nad Wisłą.

Lekarz pułkowy, dr „Wojtek", przekazał dla batalionu 72 pułku partyzantów AK, z którym utrzymywano bliski kontakt, opatrunki, opatrunki indywidualne, narzędzia lekarskie, a ranni tego pułku byli opatrywani i leczeni

na kwaterach 25 pułku, któremu pomocy i opieki udzielały szpitale w Opocznie i Końskich, zajmując się chorymi i rannymi. Tamtejsi lekarze, np. dr Antoni *Czernielewski* („Tosiek"), osobiście przywozili do pułku zestawy sanitarne, leki, opatrunki. Dr Marian *Żawirski*, chirurg z Końskich, dokonywał operacji ciężej rannych na oddziale chirurgicznym w szpitalu i dojeżdżał do szpitalików polowych.

Najbardziej nękającymi chorobami w oddziałach były szkorbut, wszawica, odparzenie nóg, ropnie, ropne zapalenia skóry, choroby górnych dróg oddechowych. Lekarze pułkowi „Wojtek", „Szczur", „Kleszczyk" w warunkach prymitywnych, gdy o życiu rannego decydowały minuty, dokonywali nieraz ciężkich zabiegów przy lampie naftowej. Rannych umieszczano na kwaterach, w tzw. „melinach", przeważnie w wiejskich zagrodach, gajówkach, dworach. Nie napotkano na odmowę pomocy partyzantom ze strony ludności, mimo że za ukrywanie rannych partyzantów, za sprzyjanie im, hitlerowscy zbrodniarze mordowali ludność cywilną, nie wyłączając dzieci i starców i mimo że całe wsie płonęły, przechodziły fale pacyfikacji, a miejsca, gdzie kiedyś było życie i kwitły sady, zrównano z ziemią (Stefanów, Zygmuntów, Chlewisko). Wieś polska była zapleczem, oparciem i bazą, na której opierał się cały ruch partyzancki.

Najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla rannych było działanie zmierzające do wyjścia z okrążenia po stoczonej bitwie. Przebijaniu się sprzyjała najbardziej noc. Formowano wówczas specjalny szyk. Na czele kolumny zwartym szeregiem szli partyzanci najbardziej bojowi, uzbrojeni w broń maszynową. Środek formowali ranni na wozach. Ubezpieczali ich po bokach koledzy z bronią automatyczną. Zwarty szyk bojowy zamykał tył ugrupowania. Ciężej rannych nie pozostawiano na kwaterach samotnie. Przydzielano sanitariuszkę z terenu lub oddziału jako opiekę stałą. Wykonywała ona zlecenia lekarza, przygotowywała posiłki. Nadzór lekarski nad rannymi 25 pułku partyzantów sprawowali lekarze pułkowi z danego terenu. Rannych odwiedzał lekarz pułkowy dr „Wojtek", kapelan ks. „Ksawery" (Marian *Skoczowski*), dowódcy, koledzy. Szczególną troską otaczał ich komendant rejonu, kpt. „Malwa" (Stefan *Szlązak*).

Serdeczne koleżeństwo panowało w oddziałach partyzanckich. Wyrażało się ono między innymi we wzajemnym poświęceniu i życzliwym współżyciu. Zabierano ciała poległych, jeżeli na to pozwalała sytuacja, by pogrzebać je z honorami wojskowymi. Wielu z wymienionych odeszło i nie ma już wśród żyjących prof. dr *Szustrowej*, dra *Suffczyńskiego*, dra *Tomaszewskiego*, dra *Rechniowskiego*, dra *Potockiego*, dra *Szamockiego*, dra *Songina*. Niektóre dziewczęta ukończyły po zakończeniu wojny szkoły pielęgniarskie i z poświęceniem dalej pracują dla dobra chorych (Wacława *Juszkiewicz-Kamieńska*, Janina *Plucińska*, Halina *Rajpold-Kozłowska*). Inni ukończyli studia medyczne i od wielu lat są lekarzami: Maria *Justyna-Śpiewak*, Halina *Kępińska-Bazylewicz*, Władysław *Ciupiński*, Wiesław *Juszkiewicz*, Władysław *Młocki*, Zdzisław *Kamiński*, Zbigniew *Singer* i inni. Nadal niosą pomoc cierpiącym i na pewno nieraz wspominają oni te lata odległe, a bliskie sercu, gdy w niebezpieczeństwie konspiracyjnej walki, w ogniu pod kulami hartowali swe serca i charaktery.

Nie sposób w jednym artykule wymienić wszystkich zasłużonych pracowników służby zdrowia w Piotrkowskiem. Nie umniejsza to jednak ich zasług. Nie wybudowano im pomnika, ale nazwiska ich błyszczą jak szlachetne kamienie wśród ciemności okupacyjnych lat. Ich bohaterstwo było ciche, często nie zauważone. Nie mówią o sobie. To, co robili, uważają za rzecz normalną, zwykłą. Nie liczą tych wielu, którym uratowali życie. Stworzyli wspaniały przykład wierności przysiędze Hipokratesa i hasłu *salus aegroti — suprema lex*.

*

Podstawą tej relacji są osobiste przeżycia i wspomnienia autorki, łączniczki i sanitariuszki piotrkowskiego Kedywu AK. Skorzystano także z ustnych relacji Wacławy *Juszkiewicz-Kamieńskiej* z Piotrkowa Trybunalskiego, lek. Zofii *Kowalewskiej-Janiak* z Warszawy, dra Stanisława *Lewkowicza* (byłego dyrektora Szpitala św. Trójcy w Piotrkowie Trybunalskim), mjra Józefa *Łubnickiego* — „Wojny" z Łodzi (byłego kwatermistrza inspektoratu piotrkowskiego AK), dra med. Ireneusza *Manickiego* z Piotrkowa Trybunalskiego, mjra Hilarego *Moraczewskiego* — „Morusa" z Warszawy (byłego dowódcy Kedywu piotrkowskiego), Emilii *Ostaszewskiej-Nakoniecznej* i dr Tusneldy *Orzechowskiej-Zacierkowej* z Piotrkowa Trybunalskiego, dra Alfonsa *Raitera* — „Wójtka" z Piotrkowa Trybunalskiego (szefa sanitarnego Kedywu piotrkowskiego AK i byłego lekarza pułkowego 25 p.p. partyzantów Ziemi Piotrkowsko-opoczyńskiej), dra Leonarda *Szajewskiego* — „Konrada" z Piotrkowa Trybunalskiego (byłego lekarza obwodu piotrkowskiego AK), mjra mgra Adama *Trybusa* — „Gaja" (byłego dowódcy Kedywu okręgu łódzkiego na terenach leżących w Generalnej Guberni) i Stanisława *Węglarskiego* z Piotrkowa Trybunalskiego.

HALINA KĘPIŃSKA-BAZYLEWICZ („KORA") Piotrków Trybunalski

Piotrkowski Polski Czerwony Krzyż w latach okupacji

Wielostronna działalność piotrkowskiego Polskiego Czerwonego Krzyża w latach drugiej wojny światowej jest piękną kartą dziejów samarytańskich usług, patriotycznej i konspiracyjnej działalności dla żołnierzy — „wrześniowców", jeńców, więźniów politycznych, partyzantów, powstańców warszawskich. Nie ma przesady w opisie bohaterstwa, poświęcenia i dobroci grupy ludzi z Piotrkowa spod znaku PCK.

We wrześniu 1939 roku z chwilą wybuchu wojny drużyny ratowniczo-sanitarne PCK były rozmieszczone w poszczególnych punktach Piotrkowa Trybunalskiego. Drużyny te praktycznie nie odegrały jednak wówczas większej roli wskutek ciągłego bombardowania przez lotnictwo niemieckie, sparaliżowania życia i sterroryzowania ludności. Niektórzy pozostali wtedy na swoich punktach do końca (Jadwiga *Kędzierska* w izbie chorych 25 pułku piechoty, Lucyna *Rakoczy* w Szkole św. Kingi). Ludzie dobrej woli samorzutnie spieszyli z pomocą polskim żołnierzom, grzebiąc zabitych, opatrując rannych i przewożąc ich do Szpitala św. Trójcy. Bardzo czynny i pełen poświęcenia był ksiądz Józef *Ciesiółkiewicz,* ofiarnie pomagali ojcowie bernardyni i siostry zakonne szarytki. W szpitalach znalazło się wiele ochotniczek, które z największym poświęceniem opiekowały się rannymi, między innymi Jadwiga *Kędzierska* ze swoją córką (również Jadwigą), Urszula *Krzyszkowska, Kolasowa,* Irena *Kowalewska,* Janina *Konarska,* Wacława *Juszkiewicz,* dwie siostry *Kotlińskie,* Mieczysława *Mikołajewska,* Stefania *Michnowska.*

Szpital nie był w stanie pomieścić wszystkich rannych. Leżeli na trawnikach, nakryci matami ogrodniczymi, czekając na swoją kolejność. Nie tylko brak miejsc, ale również leków i to podstawowych, jak surowica przeciwtężcowa, dawał się odczuwać. Duże zasługi położył ksiądz Henryk *Raiter,* który jako kapelan wojskowy, opiekując się rannymi, znalazł się razem z nimi w piotrkowskim szpitalu. Potrafił zdobyć od Niemców potrzebne lekarstwa i materiały opatrunkowe, ratując w ten sposób życie wielu polskim żołnierzom. W pierwszych dniach po klęsce wrześniowej harcerze piotrkowskiego hufca z opaskami Czerwonego Krzyża wydawali zgłodniałym żołnierzom gorącą strawę z kuchni polowych, zainstalowanych w Szkole im. Reya przy al. 3 Maja 36/38 i przy ulicy Piłsudskiego 37; jednocześnie umożliwiali im szybkie przebranie się w cywilne ubrania, a następnie roztaczali nad nimi opiekę, umieszczając po rodzinach i ułatwiając wyjazd w rodzinne strony. Opiekowano się jeńcami wojennymi, przebywającymi w tymczasowych obozach na terenie miasta (Szczekanica), dostarczano im żywności, wiadomości, ubrań cywilnych, ułatwiano ucieczki. Również w Szpitalu św. Trójcy lżej rannym jeńcom organizowano ucieczki w przebraniu cywilnym.

W październiku 1939 roku w prywatnym mieszkaniu nauczycielki Kazimiery *Ciesielskiej* zorganizowano pierwsze tajne zebranie Polskiego Czerwonego Krzyża. Obecni byli ksiądz Józef *Ciesiółkiewicz,* którego wybrano prezesem, obydwie siostry Kazimiery *Ciesielskiej,* Jadwiga *Kędzierska,* Lucyna *Rakoczy.* Uważali oni, że należy jak najszybciej wszcząć działalność PCK, rozbitego działaniami wojennymi. Następne zebranie odbyło się w małym pomieszczeniu przy ulicy Toruńskiej; oprócz wyżej wymienionych obecni byli Janina *Ciepluchówna* i *Śródka.* W listopadzie 1939 roku prezydent miasta Stefan *Fiszer* mianował dra Józefa *Opalę* kierownikiem PCK i powierzył mu zorganizowanie tej placówki. Burmistrz niemiecki *Dreksel* (gestapowiec) zatwierdził tę kandydaturę. Pierwszym celem dra *Opali* stało się zdobycie odpowiedniego pomieszczenia dla PCK. Jako znany i ceniony lekarz wykorzystał swe znajomości i uzyskał 6-izbowy lokal przy ul. Narutowicza 30. PCK przystąpił od razu do tworzenia sekcji najbardziej potrzebnych, które rozwinęły się w miarę upływających miesięcy.

Były to sekcja poszukiwania zaginionych osób; sekcja zajmująca się poszukiwaniem zwłok poległych żołnierzy na terenie miasta i powiatu; sekcja opieki nad więźniami politycznymi i jeńcami wojennymi, przebywającymi w obozach; sekcja dochodów i zaopatrzenia; ambulatorium PCK; punkt apteczny, wydający leki na koszt PCK; kuchnia z gorącą strawą przy ulicy Krakowskiej 2, Wojska Polskiego 35 i na dworcu kolejowym, izba noclegowa, izba chorych; sekcja mająca na celu opiekę nad żołnierskimi grobami na cmentarzu wojskowym; drużyny ratownicze męskie i żeńskie. Pracę w poszczególnych sekcjach rozdzielało i korygowało biuro z kierownikiem, księgowym, skarbnikiem. Odpowiedzialnym za całą pracę wobec społeczeństwa i władz hitlerowskich był pełnomocnik Zarządu Głównego, dr Józef *Opala.*

Praca PCK w Piotrkowie napotykała na duże trudności ze strony władz okupacyjnych. Często przychodził nagle nakaz opuszczenia w ciągu godziny zajmowanego pomieszczenia. Okupant nie wyznaczał lokalu zastępczego. Celem tych zarządzeń było wprowadzenie chaosu i zamieszania, zagrabienie sprzętu lekarskiego, opatrunków i lekarstw. W okresie okupacji PCK zmuszony był osiem razy zmieniać pomieszczenie (ul. Toruńska 5, Narutowicza 30, al. 3 Maja 23, al. 3 Maja 10, plac

Niepodległości 7, plac Zamkowy 2, plac Czarnieckiego 9, Ziem Wschodnich 45). Aby nie tracić cennego dobytku przy przeprowadzkach, pracownicy PCK założyli w różnych dzielnicach miasta punkty, w których ukrywano leki, środki opatrunkowe, bieliznę, produkty żywnościowe, a zdarzało się, że i ludzi zagrożonych w pracy podziemnej.

Ambulatorium mieściło się w dawnych sklepikach pożydowskich przy placu Niepodległości 7. Izby chorych, których było trzy (łącznie 70 łóżek), spełniały podwójne zadanie. Udzielano pomocy lekarskiej i pielęgniarskiej chorym, którzy nie mieli uprawnień do korzystania z opieki w Ośrodku Zdrowia, jak również ukrywającym się uciekinierom z obozów, więzień i wszystkim, którzy tej pomocy potrzebowali, a więc tym chorym, którzy nie byli meldowani w Piotrkowie i nie mieli odpowiednich warunków do leczenia. Przy przyjmowaniu do izb chorych nie sprawdzano żadnych dokumentów, wystarczało skierowanie lekarskie z ambulatorium PCK.

Zorganizowane izby noclegowe przy ulicy Narutowicza 30, Krakowskiej 2 (Fara), Ziem Wschodnich 35 przy kościele dominikanów spełniały podobne zadanie: korzystali z nich przeważnie ci, którzy nie mieli możności gdzie indziej przenocować. PCK roztoczył również opiekę nad chorymi z dolegliwościami przewlekłymi, kalekami, chorymi na gruźlicę, dla których uruchomił izolatkę przy ul. Krakowskiej 36 (w dawnych koszarach), a dla dzieci umysłowo upośledzonych stworzył schronisko przy al. 3 Maja 14.

Polski Czerwony Krzyż roztoczył opiekę nad „Kroplą Mleka", która mieściła się przy al. 3 Maja 10. Tę poradnię pediatryczną uratował przed zlikwidowaniem przez Niemców ordynujący tam dr Franciszek *Bierzyński* razem z pielęgniarką Lucyną *Puzynowską*. Zadaniem „Kropli Mleka" była opieka nad małymi dziećmi, czuwanie nad ich zdrowiem i zapewnienie im środków odżywczych. Przy kościele dominikanów (Ziem Wschodnich 35) urządzono kuchnię, która dostarczała pożywienia do więzienia. Tutaj też kierowano na posiłki wszystkich tych, którzy z różnych względów musieli ukrywać się i nie mogli korzystać z innych punktów żywienia. Na dworcu kolejowym oprócz pomocy lekarsko-sanitarnej i wydawania posiłków udzielano pomocy w czasie łapanek i obław, ułatwiano wydostanie się do miasta po godzinie policyjnej, wyciągano poszczególne osoby z transportów. W przedszkolu przy ul. Złotej 4 przechowywano materiały opatrunkowe i leki, stąd podziemnym kanałem przeciekały do oddziałów partyzanckich. Przy kościele ojców bernardynów (Słowackiego 2) znajdował się skład z bielizną i kocami, które wysyłano do 25 pułku partyzantów Ziemi Piotrkowskiej i Opoczyńskiej.

Do szeregów PCK zgłaszało się wielu chętnych. Dr *Opala* po wnikliwej obserwacji stworzył zespół ludzi, z którymi pracował wszystkie lata okupacji i pierwsze miesiące po wyzwoleniu. Odznaczali się oni wszyscy wysokimi wartościami moralnymi, bezinteresownością, patriotyzmem i wielką ofiarnością. Do nich należeli Jadwiga *Kędzierska*, Irena *Kowalewska*, Lucyna *Rakoczy*, Janina *Ciepluchówna*, Mieczysława *Mikołajewska*, Janina *Konarska*, Tadeusz *Pianowski* i inni.

Piotrkowski PCK, prowadząc ambulatorium, izbę chorych, izbę noclegową, kuchnię, nie otrzymywał żadnych przydziałów urzędowych. Utrzymywano się wyłącznie z ofiar społeczeństwa. W tym celu zorganizowano wyjazdy w teren do majątków ziemskich, posiadaczy młynów, bogatych gospodarzy, apelowano do zamożnych obywateli Piotrkowa. Zwracano się o pomoc materialną do fabryk, warsztatów, firm całej tzw. Generalnej Guberni. Pełnomocnik PCK, dr *Opala*, osobiście razem z drem Sergiuszem *Mossorem* kwestował na rzecz PCK nawet u bogatych *volksdeutschów*. Dążeniem PCK było, aby aktywnie włączyć całe polskie społeczeństwo do niesienia sobie nawzajem pomocy. Miało to być jeszcze jednym wyrazem solidarności. Na społeczeństwie piotrkowskim nie zawiedziono się. Wszystkie środki finansowe i materiałowe były uzyskiwane drogą dobrowolnych ofiar na rzecz PCK.

Gdy jesienią 1939 roku i zimą 1940 roku zaczęły do Piotrkowa nadchodzić transporty z ludnością polską, wysiedloną z terenów Wielkopolski i Łodzi, z ziem przyłączonych do *Reichu*, pracownicy Czerwonego Krzyża otoczyli przybyłych szczególną opieką. Na dworcu kolejowym był stały punkt PCK z całodobowymi dyżurami i zainstalowaną kuchnią. Wydawano posiłki. Ułatwiano ucieczkę osobom zagrożonym. Bardzo czynna była Jadwiga *Kędzierska* ze swoją drużyną, która liczyła około 20 osób (Zbigniew *Bukowski*, Janina *Ciepluchówna*, Krystyna *Cieślakówna*, Wacława *Juszkiewicz*, Jadzia *Kędzierska*, Leda *Kończak*, Mieczysława *Kotlewska*, *Kozłowski*, Zbigniew *Kujawski*, Wacław *Madera*, Ryszard *Pawlikowski*, Tadeusz *Pianowski*, Kazimiera *Słomkówna*, Kazimiera *Szymańska*, Jerzy *Zetoński* i inni). Tadeusz *Pianowski* tak wspomina tamte dnie:

„Były to nieludzkie wysiłki, ponieważ dyżury na dworcu kolejowym trwały bez przerwy całe doby ze względu na to, że hitlerowcy nie chcieli informować nas o terminie nadejścia pociągów z wysiedlonymi. Makabryczne sceny działy się w chwili nadejścia pociągów. Kobiety, dzieci i starcy wyciągali ręce w uchylonych drzwiach wagonów, prosząc o posiłek. Pociąg taki stał na stacji zaledwie parę minut, trudno więc było podać wszystkim trochę zupy czy gorącej kawy. W czasie postoju takich transportów udawało się nam często wyciągnąć kogoś z wagonu, przeważnie mężczyzn, których następnie przekazywaliśmy do izby noclegowej, a stamtąd po otrzymaniu jakiegoś fikcyjnego zaświadczenia udawali się oni dowolnie do rodzin, krewnych czy znajomych na terenie tzw. Generalnego Gubernatorstwa. Nie do opisania działy się sceny, kiedy pociąg przybywał do Piotrkowa i tu zostawał rozładowywany, a było ich przecież kilka. Rozpacz tych ludzi, krzyk dzieci, jęk starców i chorych przerastał nasze możliwości nerwowe i uczuciowe. Wyciąganie z wagonów ludzi chorych i na wpół żywych — to obraz, który nigdy nie zatrze się w mojej pamięci".

W roku 1940 przekazano z Ameryki żywność dla PCK. Po odbiór tych darów dla piotrkowskiego oddziału pojechało do Radomia parę osób z drem Sergiuszem *Mossorem* na czele. Tam miało nastąpić w obecności przedstawiciela amerykańskiego przekazanie żywności zmagazynowanej przez Niemców. Odbyło się to pod ścisłym nadzorem okupanta, hitlerowcy nie dopuścili do bezpośredniej rozmowy dra *Mossora* z przedstawicielem amerykańskim. Otrzymano wówczas kilkanaście skrzyń mleka w puszkach, smalcu, mąkę kukurydzianą, razem około 2 tony. Żywność ta w Piotrkowie została wydana najbiedniejszym rodzinom i wdowom po poległych. Pozostałą część przekazano punktom żywienia i izbie chorych.

W końcu 1940 roku Zarząd Główny PCK przysłał pismo do oddziału piotrkowskiego z prośbą o przyjęcie i zaopiekowanie się 40 żołnierzami polskimi, inwalidami września 1939 roku. Byli oni pozbawieni jakiejkolwiek opieki. Po wielu mozolnych staraniach piotrkowski PCK zorganizował we Włodzimierzowie schronisko w domu willowym. Pomieszczenie to nie było dostosowane do warunków zimowych i znów Polski Czerwony Krzyż zakołatał do serca społeczeństwa. Dzięki ofiarności społecznej dom przystosowano do zamieszkania. Po żołnierzy-inwalidów pojechał do Warszawy z ramienia piotrkowskiego PCK pracownik Jerzy *Budzyński*. Ludziom tym zapewniono wyżywienie, stałą opiekę lekarską i pielęgniarską. Dobre warunki, jakimi otoczono chorych sprawiły, że w niedalekiej przyszłości kilkunastu z nich odeszło do oddziałów partyzanckich AK „Gwiazda", „Sosna", „Dzięcioł"; ten ostatni został w lasach piotrkowskich na zawsze, zginął w walce z okupantem. Schronisko we Włodzimierzowie stało się miejscem, z którego często korzystali w późniejszych latach ranni i chorzy partyzanci, np. por. „Grom", dowódca III oddziału partyzanckiego AK, ranny w „akcji Bujny" w lutym 1944 roku; leżał około 2 tygodni w schronisku we Włodzimierzowie.

W piotrkowskim PCK pracowali lekarze Józef *Opala*, Franciszek *Bierzyński*, Marian *Januszczak*, Sergiusz *Mossor*, Antoni *Ostaszewski*, Marian *Otrębski*, Czesław *Rostkowski*, Edmund *Sokołowski*, Jerzy *Strzelecki*, Jerzy *Suffczyński*, Zbigniew *Tekielski*, Jerzy *Zalewski*, z pielęgniarek Hanna *Krajewska*, Stefania *Michnowska*, Czesława *Mikołajewska*, Lucyna *Rakoczy*, Helena *Tokarska* i inne. Ponadto Janina *Ciepluchówna*, Wiesław *Juszkiewicz*, Jadwiga *Kędzierska*, Janina *Konarska*, Irena *Kowalewska*, Władysław *Młocki*, Tadeusz *Pianowski* i wielu innych należało do tego zespołu ludzi ofiarnych i gotowych do wykonywania prac z narażeniem własnego bezpieczeństwa.

Na terenie Piotrkowa istniało również nielegalne Koło PCK w Ubezpieczalni Społecznej, prezesem był dr Sergiusz *Mossor*, w zarządzie byli dr Franciszek *Bierzyński*, Stanisław *Węglarski*, *Szafnicki*, Hanna *Krajewska* i Helena *Tokarska*. Koło to współpracowało ściśle z oficjalnym kierownictwem PCK w Piotrkowie. Należy podkreślić, że wszystkie placówki służby zdrowia i wszyscy lekarze współpracowali z Polskim Czerwonym Krzyżem.

Piotrkowski PCK przez wszystkie lata okupacji pomagał polskiemu podziemiu. Wielu pracowników Czerwonego Krzyża było zaangażowanych w pracy konspiracyjnej. Dr Antoni *Ostaszewski*, lekarz ambulatorium, oficjalnie był pierwszym komendantem ZWZ, a następnie szefem sanitarnym obwodu piotrkowskiego do chwili swego aresztowania w 1942 roku. Bardzo aktywni byli studenci medycyny Władysław *Młocki* (pseudonim „Szczur") i Wiesław *Juszkiewicz*. Ten ostatni zajmował się osobiście przygotowywaniem i wysyłaniem paczek sanitarnych i zestawów lekarskich do oddziałów partyzanckich; ze szczególnym narażeniem własnego bezpieczeństwa ratował leki i materiały opatrunkowe, wynosząc je z zagrożonych pomieszczeń i ukrywając przed Niemcami.

W ambulatorium PCK odbywały się praktyczne kursy pierwszej pomocy dla konspiracyjnych sanitariuszek i łączniczek Kedywu. Szkoleniem zajmowali się Wiesław *Juszkiewicz*, Władysław *Młocki*, Helena *Tokarska*, Hanna *Krajewska*. Po powstaniu warszawskim wykładowcą był prof. dr med. Marcin *Kacprzak*. Polski Czerwony Krzyż wydawał legitymacje i fikcyjne karty zatrudnienia zagrożonym w pracy konspiracyjnej, ratował także w ten sposób przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Rzeszy (np. córkę prof. *Peretiatkowicza* i innych).

W drugiej połowie 1940 roku z polecenia władz niemieckich PCK zorganizował obronę przeciwlotniczą cywilną, która składała się z dwóch drużyn, męskiej i żeńskiej. Do drużyn tych zaangażowano wyłącznie młodzież uczącą się na tajnych kompletach; byli to przeważnie żołnierze AK. Dowódca drużyny, Władysław *Młocki*, wiosną 1944 roku wyprowadził około 20 partyzantów do oddziału AK „Burza". Wielu z nich było sanitariuszami w poszczególnych plutonach 25 pułku partyzantów Ziemi Piotrkowskiej i Opoczyńskiej. Brali oni udział w bitwach tego pułku jesienia 1944 roku z hitlerowcami. Atmosfera w PCK była na wskroś patriotyczna. Podkreślanie i podtrzymywanie ducha polskości było jednym z zadań przewodnich. Podawano sobie nawzajem najnowsze wiadomości radiowe i z tajnej prasy. Młodzież PCK spotykała się w różnych punktach miasta i urządzała wieczornice, które miały charakter harcerski.

W parę miesięcy po ataku niemieckim na ZSRR powstał w Piotrkowie przy ulicy Wolborskiej 4 obóz dla jeńców radzieckich. Warunki w nim były potworne: głód, choroby i zimno zbierały obfite żniwo. Jeńcy ci ginęli masowo, po kilkadziesiąt osób dziennie. Wszystkie próby i interwencje PCK były daremne. Udzielenie jakiejkolwiek pomocy groziło śmiercią. Pełnomocnik PCK, dr Józef *Opala*, zwrócił się pisemnie do komendanta obozu jenieckiego, ofiarowując pomoc lekarsko-sanitarną.

Po kilku dniach komendant zawiadomił, że w obozie znajduje się przeszło stu jeńców polskiego pochodzenia i jeżeli PCK ma warunki

do zaopiekowania się nimi, to komenda jest gotowa do przekazania ich. PCK zmobilizował wszystkie swe siły, wysiłki i znajomości w celu wyszukania przede wszystkim pomieszczenia. Dr *Opala*, znając wrogie nastawienie władz niemieckich do wszystkiego, co polskie, ominął starostę i burmistrza miasta, a udał się do urzędnika niemieckiego, który sprawował kontrolę nad działalnością PCK. Przedstawił mu sprawę wspomnianych ciężko chorych jeńców i korzystając z wybiegu uzyskał zezwolenie na ich przyjęcie od cywilnych władz hitlerowskich. Z pismem tym udał się do komendy obozu, tam otrzymał imienną listę i ustalono termin odbioru na następny dzień o godzinie 10 rano. W ciągu tych paru zaledwie godzin przed wyznaczonym terminem ofiarni pracownicy PCK zorganizowali personel lekarski, pielęgniarski i administracyjny.

Przy pomocy piotrkowian i okolicznych rolników jeńcy zostali przewiezieni furmankami z obozu przy al. 3 Maja 10. Żaden z nich nie był zdolny do przebycia tak niedużej odległości o własnych siłach. W kuchni „Kropla Mleka" przygotowano dla nich odpowiednie pożywienie z kleiku ryżowego, ale nawet tego pokarmu nie byli w stanie przyjąć. Byli skrajnie wyniszczeni fizycznie i psychicznie, wszyscy mieli obrzęki głodowe, odmrożone kończyny, byli zawszeni, brudni i apatyczni. Nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu było niemożliwe. W ambulatorium specjalnie w tym celu czekający personel zajął się odwszawianiem, myciem, opatrywaniem ran, ubieraniem w ciepłą, czystą bieliznę i odzież.

Umytych, nakarmionych, ubranych przewieziono furmankami do schroniska we Włodzimierzowie. Zaczęła się dramatyczna walka o ich życie. W schronisku zapewniono im stałą opiekę lekarską, którą z całym poświęceniem pełnili Stanisław *Piątkowski* i Tadeusz *Molka*. Kuchnia gotowała specjalne posiłki dla zagłodzonych. Mimo największych starań wkrótce zmarło 10 jeńców, a po tygodniu dalszych 15. Reszta, około 90 ludzi, wracała do zdrowia i życia w atmosferze serdecznych, ludzkich uczuć. Ci, którzy odzyskali zdrowie, odchodzili w świat, wielu z nich poszło do oddziałów partyzanckich, inni, niezdolni do większego wysiłku zostali zatrudnieni u okolicznych rolników jako pomoc gospodarcza. Niektórych skierowano do Warszawy do Zakładu Przeszkolenia Inwalidów (ul. Górnośląska 45). Zaopatrzeni w odpowiednie pisma, podpisane przez dyrektora zakładu, prof. dr med. Edwarda *Lotha*, zostawali odwożeni przez pracownika PCK, przeważnie Tadeusza *Pianowskiego*. Podczas kontroli w pociągu czy na dworcu wykazywano się legitymacją służbową i wypełnionymi formularzami, na podstawie których jechali legalnie na przeszkolenie.

Żaden z nich jednak z takiego przeszkolenia nie skorzystał. Udawali się z Warszawy wprost na punkty kontaktowe, jeden z nich mieścił się przy ulicy Stalowej. W innym przypadku dwóch podopiecznych wyjechało do Radomia (*Masza* i *Sasza*). Polski Czerwny Krzyż nawiązał kontakt z Polskim Komitetem Opiekuńczym, skąd przysłano skierowanie do Urzędu Zaopatrzenia Wojskowych w Radomiu. Skierowanie to służyło tylko po to, by trasę można było przejechać względnie bezpiecznie. W Radomiu obydwaj byli jeńcy prosto z dworca udali się na uprzednio umówione miejsce.

Z chwilą opuszczenia schroniska przez jeńców rozpoczęły się kłopoty dla administracji PCK z wyliczeniem się z brakujących osób. Tych jeńców, którzy odeszli w nieznane lub wstąpili w szeregi konspiracyjne, przy pomocy parafii w Sulejowie uznano za zmarłych; fikcyjne akty zgonów wystawiał lekarz pracujący w schronisku. Ponieważ pogrzeby odby-

Ryc. 1. Reprodukcja archiwalnego zdjęcia zbiorowego jeńców radzieckich (z kwietnia 1942 roku), przebywających we Włodzimierzowie w schronisku PCK

wały się jednorazowo po kilka osób, władze niemieckie nie kontrolowały liczby zgonów. PCK prowadził bardzo dokładny wykaz jeńców zatrudnionych w gospodarstwach wiejskich, aby móc wykazać się nimi w razie potrzeby.

W roku 1943 pełnomocnik dr *Opala* został wezwany do gestapo i przesłuchany przez szefa piotrkowskiego oddziału, Hermana *Altmana*, w sprawie jeńców przebywających we Włodzimierzowie. Przesłuchaniu towarzyszyło czterech innych gestapowców. *Altman* krzyczał, „jak to się stało, że dopuszczono, aby kompania bandytów siedziała w schronisku, utrzymywana przez PCK". Dr *Opala* przedstawił pismo komendy obozu, zezwolenie starostwa na umieszczenie jeńców we Włodzimierzowie, pokazał rejestr zmarłych i zatrudnionych w gospodarstwach. Wówczas go zwolniono. W parę miesięcy później gestapowcy przyszli do mieszkania dr *Opali* i przesłuchiwali go powtórnie. Chodziło im o to, czy zeznania będą zgadzały się z sobą. W ciągu lat okupacji pełnomocnik PCK był przesłuchiwany w gestapo sześć razy i parokrotnie u siebie w domu.

PCK prowadził w Piotrkowie szeroką akcję opiekuńczą. Obejmowała ona swoim zasięgiem jeńców wojennych, którym przesyłano paczki i listy. Szczególną troską otaczała ich Lucyna *Rakoczy*. Opiekowano się inwalidami wojennymi, sierotami, rodzinami więźniów obozów koncentracyjnych. Specjalną opieką otoczono więźniów politycznych, którzy przebywali w miejscowym więzieniu. Początkowo PCK miał bezpośredni dostęp, dostarczając więźniom posiłków. Korzystano z tego kontaktu w celu przekazywania nawzajem wiadomości. Niemcy wkrótce zorientowali się w sytuacji i zabronili przedstawicielom PCK wstępu do więzienia. Paczki były dostarczane wyłącznie za pośrednictwem niemieckich władz więziennych. PCK udzielał porad rodzinom aresztowanych, pisano podania w języku niemieckim, tłumaczono pisma urzędowe, interweniowano u władz niemieckich; kilku piotrkowskich działaczy PCK zostało aresztowanych i wywiezionych do obozów koncentracyjnych (Władysław *Miller*, Józefina *Węglarska, Śródka*).

Na specjalne wyróżnienie zasługuje praca w zakresie zbierania informacji i dokumentów o poległych żołnierzach z września, identyfikowanie zwłok i ich ekshumowanie (wiosną 1940 roku). Duże zasługi położyła kierowniczka tej sekcji, Mieczysława *Mikołajewska* i Stanisław *Węglarski* oraz młodzież pracująca w drużynach PCK (Wacława *Juszkiewicz*, Zbigniew *Kozłowski*, Ryszard *Pawlikowski*, Tadeusz *Pianowski*, Tadeusz *Zatoński* i wielu innych). Uzupełniano również kartotekę jeńców wywiezionych do obozów i przeprowadzono poszukiwanie osób zaginionych. Stałą opiekę nad grobami żołnierskimi roztoczyła Lucyna *Rakoczy*. Jesienią 1943 roku razem z Ireną *Kowalewską* po otrzymaniu wiadomości od zaufanej osoby podjęły one ryzyko wydobycia zwłok niezidentyfikowanego lotnika w mundurze angielskim, skoczka spadochronowego, zamordowanego przez hitlerowców i zakopanego przez nich w płytkim dole w okolicy cmentarza żydowskiego. Obydwie przeniosły zwłoki wieczorem na cmentarz wojskowy, a ponieważ zbliżała się godzina policyjna, ukryły je w krzakach, by następnego dnia o świcie razem z księdzem pochować nieznanego żołnierza. Po wyzwoleniu razem z Mieczysławą *Mikołajewską* brały udział w wielu ekshumacjach przeprowadzanych na terenie powiatu piotrkowskiego.

W okresie powstania warszawskiego wyrzuceni mieszkańcy stolicy szukali schronienia w Piotrkowie; chorzy, ranni, bezdomni wymagali roztoczenia nad nimi opieki. Ludzie z opaskami Czerwonego Krzyża wychodzili im naprzeciw. Niektóre transporty z Warszawy rozładowywano w Rozprzy, Gorzkowicach, Kamieńsku. Pojawiały się tam ekipy czerwonokrzyskie. Wobec takiego napływu ludności wciąż brakowało w oddziale piotrkowskim PCK żywności, odzieży, bielizny, opatrunków i leków. Zaistniała możliwość otrzymania pewnych niezbędnych rzeczy w RGO w Krakowie.

W końcu sierpnia 1944 roku dwie ochotniczki, Lucyna *Rakoczy* i Irena *Kowalewska* postanowiły jechać w tej sprawie do Krakowa. Droga prowadziła przez ziemie polskie przyłączone do Rzeszy. O przewiezieniu koleją nie mogło być mowy. Druga droga prowadząca do Krakowa z ominięciem terenów Rzeszy była niemożliwa do przebycia ze względu na bliskość frontu, walki partyzanckie, zaminowanie szos. Obie ochotniczki, zaopatrzone jedynie w pismo pełnomocnika, stwierdzające, że są pracownicami piotrkowskiego PCK i jadą po odbiór przyznanych leków i żywności, wyruszyły w drogę. Właściciel samochodu ciężarowego i kierowca uzyskali zezwolenie na przejazd do Krakowa niezupełnie legalną drogą. Krakowska RGO, podziwiając odwagę i poświęcenie dwóch młodych kobiet, okazała się szczodra. Wróciły z samochodem załadowanym lekami, żywnością i ubraniami.

W czasie powstania Zarząd Główny PCK został usunięty przez hitlerowców z Warszawy. Żadne miasto na terenie GG nie miało warunków, aby go przyjąć i dać pomieszczenie. Oddział piotrkowski przyjął Zarząd Główny z jego wszystkimi agendami i umieścił przy ulicy Ziem Wschodnich 7, a jego biura w Zamku przy placu Zamkowym 2. W tym samym czasie Niemcy wyrzucili z Warszawy Szpital Dziecięcy Karola i Marii. Prof. dr Franciszek *Bogdanowicz* razem z doc. *Degą*, drem Alojzym *Maciejewskim* i chirurgiem drem *Chroboniem* przewieźli wszystkie chore dzieci razem z całym personelem i sprzętem szpitalnym do Piotrkowa. I znów piotrkowski oddział PCK zaopiekował się nimi, umieszczając ich w schronisku we Włodzimierzowie. Szpital Karola i Marii miał dwa oddziały, wewnętrzny i chirurgiczny. Oddawał on wielkie usługi nie tylko okolicznej ludności i wysiedlonym mieszkańcom stolicy, lecz także rannym i chorym partyzantom.

W pierwszych dniach po wyzwoleniu w roku

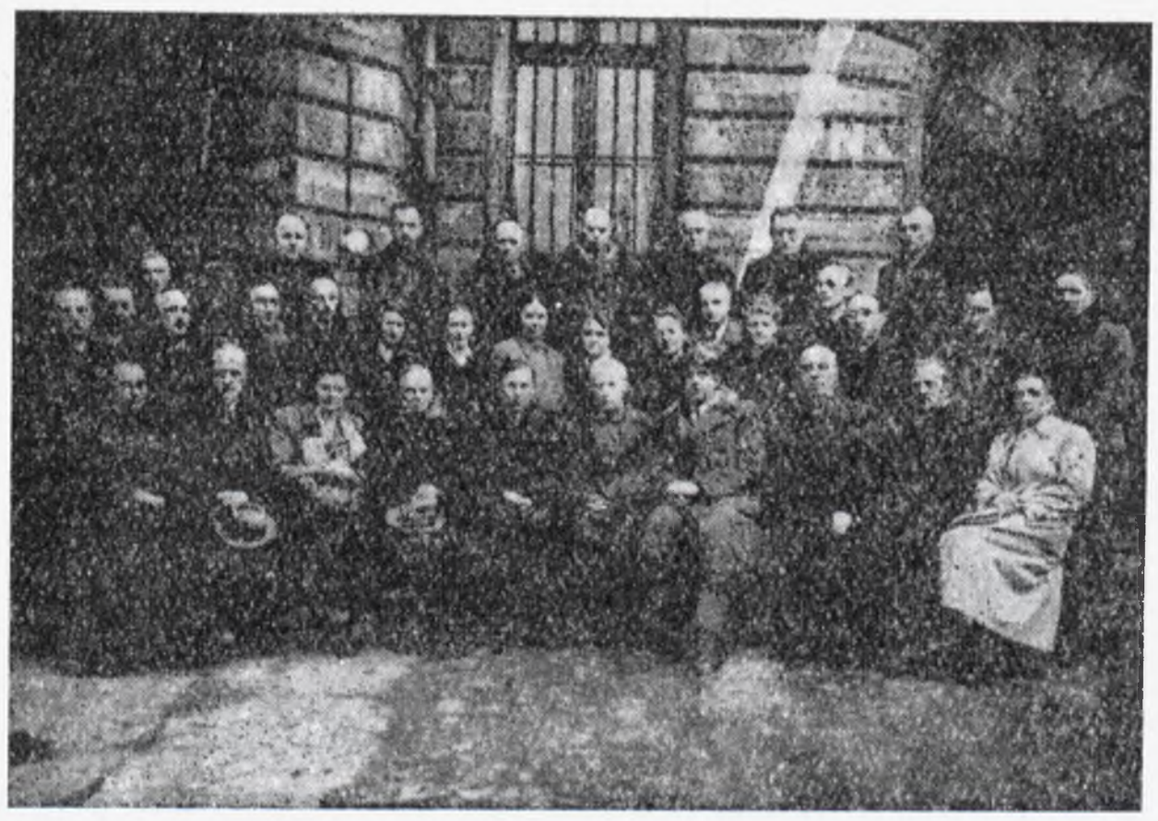

Ryc. 2. Grupowe zdjęcie pełnomocników oddziałowych PCK z ich zjazdu w Łodzi w roku 1945 po wyzwoleniu; wśród uczestników był obecny między innymi dr *Opala*, wspomniany w artykule

1945 na trasie, przy której leży Piotrków, zaczął się wzmożony ruch ludności. Wracali do domów ludzie z długiej wojennej tułaczki, jeńcy, więźniowie z obozów, wysiedleni, wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec. Byli wśród nich ciężko chorzy. Należało się tymi ludźmi zająć. Zarząd piotrkowskiego PCK wystąpił z wnioskiem do organizujących się władz polskich o uruchomienie na terenie miasta dodatkowego szpitala. Wkrótce otrzymano dwupiętrowy budynek przy ulicy Wojska Polskiego i al. Cmentarnych. Przyjęcie pierwszego chorego do tego PCK-owskiego szpitala tak wspomina Irena *Kowalewska:* „Zorganizował się z niczego nasz cudny szpital, gdzie tylu ludzi z obozów i ich rodziny korzystały z pomocy lekarskiej i gdzie nasi żołnierze idący na Berlin mieli oparcie lekarskie. Znalazła się pierwsza kołdra, węgiel przyniosłam z domu i biedny bez nogi bohater leżał jako ten pierwszy chory. To był cudowny okres". Szpital ten został w roku 1947 przeniesiony do Łodzi. Nastały lata pokoju.

Pisząc tę relację w 50-lecie istnienia PCK, należy przypomnieć zaszczytny okupacyjny etap jego działalności i oddać hołd jego działaczom, którzy z pobudek gorącej miłości patriotycznej, owiani najpiękniejszymi uczuciami humanitarnymi, nieśli ratunek i pomoc wszystkim, którzy tego potrzebowali.

Opracowano na podstawie ustnych i pisemnych relacji dra Franciszka *Bierzyńskiego*, Wacławy *Juszkiewicz*, Jadwigi *Kędzierskiej*, Ireny *Kowalewskiej*, Emilii *Ostaszewskiej-Nakoniecznej*, dr Józefa *Opali*, Tadeusza *Pianowskiego*, Lucyny *Rakoczy*, Stanisława *Węglarskiego*.

MICHAŁ BIAŁOKOZ Poznań

Sanatorium Przeciwgruźlicze ZUS w Kobierzynie pod okupacją hitlerowską

Okupacyjne dzieje Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kobierzynie były już opisywane, między innymi przez R. *Kiełkowskiego* w siódmym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" w artykule pt. „Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie". Natomiast mniej znana jest sprawa Sanatorium Przeciwgruźliczego ZUS, które mieściło się w dwóch pawilonach (7a i 7b) wymienionego Szpitala.

Sanatorium to zostało założone 7 września 1941 roku pod nazwą *Lungenheilstätte Skotniki*, wywodzącą się od osady Skotniki, sąsiadującej z Kobierzynem. Administracja Sanatorium i Szpitala była wspólna. Warunki okupacyjne doprowadziły szybko do zwiększenia liczby zachorowań na gruźlicę i do zaostrzeń stanów chorobowych, wymagających leczenia zakładowego. Powstanie Sanatorium było więc podyktowane koniecznością zwiększenia liczby łóżek dla chorych na gruźlicę w tzw. Generalnej Guberni. Ponieważ byłem świadkiem nie tylko wymordowania chorych psychicznie w Kobierzynie, lecz także nagłej ewakuacji chorych na gruźlicę, przeto pragnę podać kilka szczegółów z tamtego okresu.

Dla Sanatorium wybrano pawilony najodpowiedniejsze pod względem architektonicznym i rozkładu izb, ale to pomieszczenie nie nadawało się jednak w pełni na zakład przeciwgruźliczy. Jeden pawilon mieścił oddział męski, a drugi — kobiecy. Oba były podobne. Aparaturę radiologiczną umieszczono w pobliskim budynku. Był to stary, nie opancerzony aparat, sterowany przez pielęgniarkę z kabiny ochronnej, typowo izolowanej, ale chory i lekarz prześwietlający byli bezpośrednio narażeni na promieniowanie. Liczba chorych w Sanatorium wynosiła przeciętnie 300 osób (zagęszczenie w pawilonach było nadmierne), a znaczną ich część leczono odmą opłucną, toteż zdarzało się, że w jednym dniu trzeba było prześwietlić kilkadziesiąt osób. Zdjęcia wykonywano wyjątkowo. Czas ekspozycji poszczególnego chorego skracano do minimum.

Lekarze w Sanatorium byli Polakami. Stanowisko naczelnego lekarza objął dr Ludwik *Zieliński* po odejściu ze Szpitala Ujazdowskie-

go, w którym pełnił czynności starszego ordynatora oddziału gruźliczego. Prymariuszem oddziału męskiego był dr Tadeusz *Walkowski,* asystentką — dr Janina *Maisnerowa.* Prymariuszem oddziału kobiecego zostałem ja; pomagała mi dr Waleria *Jarzębińska.* Podobnie jak dr *Zieliński,* przybyłem ze Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie, gdzie byłem asystentem oddziału gruźliczego, konsultowanego przez prof. dra Teofila *Kucharskiego,* dra Stefana *Rudzkiego* i dra Olgierda *Sokołowskiego.* Pielęgniarkami w Sanatorium były siostry zakonne z Kobierzyna (5 sióstr przypadało na każdy oddział); stamtąd też pochodziły pracownice fizyczne (po 8 na każdym oddziale). Pracownikami administracji byli Niemcy i Ukraińcy (zastępcą do spraw administracyjnych był Ukrainiec).

Od początku uderzała rażąca dyskryminacja chorych umysłowo, zwłaszcza w zakresie wyżywienia. Na jednego chorego przypadało 1100 kalorii dziennie, natomiast chorzy Sanatorium Przeciwgruźliczego otrzymywali 3000 kalorii dziennie. Chorzy na gruźlicę przybywali z różnych okolic ówczesnej Generalnej Guberni, głównie z Krakowa i z Warszawy. Znajdowali się oni przeważnie w stanach ciężkich, w znacznej części rokujących źle, ale czasem trafiali się chorzy z rokowaniem pomyślnym.

Ówczesny obraz kliniczny gruźlicy jest dostatecznie znany, aby go tutaj przedstawiać szczegółowo. Warto jedynie nadmienić, że dzisiejsza gruźlica rzadko odzwierciedla pojęcie typowych „suchot płuc pospolitych" (określenie prof. W. *Orłowskiego*). Dla porównania można podać, że założony w roku 1940 oddział gruźliczy w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie był obsadzony w czasie swego istnienia aż do roku 1944 chorymi różnych narodowości. Oprócz polskich żołnierzy z kampanii wrześniowej znaleźli się tam później cywilni chorzy na gruźlicę i *ost*-legioniści rozmaitych narodowości ze środkowego i dalszego Wschodu, przy czym u tych ostatnich przebieg choroby był zupełnie nietypowy. Mieliśmy tam do czynienia z bardzo ostrymi stanami, mającymi charakter rozlanego, wielopłatowego gruźliczego zapalenia płuc, kończącego się zejściem śmiertelnym przeważnie w ciągu miesiąca. Trudno określić, czy na tego rodzaju obraz cierpienia wpływał brak odporności filogenetycznej na gruźlicę, czy działały odmienne warunki klimatyczne, czy też czynniki psychiczne jako współdziałające, wywołane radykalną zmianą otoczenia i przymusową przynależnością do *ost*-legionu.

Stosunkowo niedawno stwierdzono wpływy psychogenne na ruchomość drzewa oskrzelowego w sensie jego zwężania się i rozszerzania, skracania i wydłużania. Zmiany w oskrzelach w toku leczenia odmą opłucną oraz wpływy korowe na mięśnie międzypęcherzykowe usprawiedliwiające niedodmy nieobturacyjne i poodmowe w odmie opłucnej, będące poza tym skutkiem odruchu z opłucnej ściennej, wreszcie niedodmy obturacyjne i zwichnięcia płatów, związane z uszkodzeniem błony sprężystej zewnętrznej oskrzela, dają obraz ówczesnych powikłań, dziś nieaktualnych przy zupełnie odmiennym sposobie leczenia gruźlicy płuc. Leczenie odmą opłucną powodowało wiele powikłań, które obecnie należą do historii. Niepodobna jednak odrzucić wpływów korowych na przebieg dzisiejszej gruźlicy płuc. Jedno jest pewne, że u chorych innych narodowości, o których wspomniano wyżej, gruźlica płuc przypominała ostrą chorobę zakaźną, a więc obraz odmienny, którego przedtem nie obserwowaliśmy.

Wspominam Szpital Ujazdowski również dlatego, że obrazy sekcyjne wszystkich chorych zmarłych na gruźlicę charakteryzowało to, że niezależnie od istnienia, czy braku objawów ze strony przewodu pokarmowego każda sekcja „suchotnika" (wtedy to określenie nie brzmiało tak niezwykle, jak dziś) pozwalała stwierdzić rozległe owrzodzenia gruźlicze jelita cienkiego i grubego. W Sanatorium „Skotniki" sekcji nie przeprowadzano. W erze, kiedy jeszcze nie stosowano leków przeciwprątkowych, drugim obok gruźlicy jelit powikłaniem gruźlicy płuc była gruźlica krtani jednostronna lub obustronna, powodująca potworne cierpienia w postaci bólu przy połykaniu, który uniemożliwiał spożywanie pokarmów i napojów. Ponieważ oba te powikłania w dużym odsetku występowały równocześnie, odwodnienie i wyniszczenie ustroju, powodowane niczym nie powstrzymanymi biegunkami, doprowadzało przy niemożności połykania do obrazu klinicznego usprawiedliwiającego nazwę „suchot".

W Sanatorium mieliśmy dużo takich stanów. Za pomocą blokady nerwu krtaniowego górnego 2 ml 80% *spir. vini* jednostronnej lub obustronnej udawało się usunąć bóle krtani na okres 1—2 tygodni, po czym zabieg powtarzano wielokrotnie. Szczególnie wdzięczny byłem prof. Janowi *Szmurle* za nauczenie mnie tego zabiegu w Szpitalu Ujazdowskim. Stosowałem go z powodzeniem, uzyskując nieraz długotrwałe poprawy dzięki przerwaniu błędnego koła opisanych objawów.

Leczenie chorych w naszym sanatorium nie odbiegało od metod ogólnie wówczas przyjętych, toteż nie trzeba poza dygresją laryngologiczną opisywać ich szerzej. Natomiast warto podkreślić zasługi dra Ludwika *Zielińskiego,* naczelnego lekarza. Jako były ppłk, lekarz WP, okazał się on bardzo sprężystym organizatorem, dbającym o racjonalną dyscyplinę i o warunki bytowe chorych. Sam układał jadłospisy, jak najbardziej urozmaicone i smaczne; często odwiedzał chorych. Nie były to zwykłe wizyty; dr *Zieliński* niósł pociechę, a równocześnie dużym doświadczeniem zawodowym pomagał nam w opiece nad chorymi, przy czym zawdzięczaliśmy mu i to, że przyzwyczailiśmy się do prawidłowego prowadzenia historii choroby, czego zresztą bezwzględnie wymagał. Wzorowaliśmy się na jego naprawdę nieocenionej, mrówczej pracy. Dzięki niemu ten pełen obiektywnych braków zakład leczniczy stanął na względnie właściwym pozio-

mie. Już od lat dr *Zieliński* nie żyje. Ale nam, którzy pracowaliśmy z nim, zawsze pozostanie w pamięci ten szczerze oddany dla dobra chorych lekarz, zacny kolega i człowiek. W Sanatorium znalazło się wielu chorych, którzy potrafili pod naszym kierunkiem zorganizować życie kulturalne na taką miarę, jaka wówczas była możliwa.

Sanatorium nasze nie było popularne wśród chorych. Ogarniająca je atmosfera zamkniętego zakładu psychiatrycznego i zakaz opuszczania terenu powodowały protesty i ucieczki, zwłaszcza chorych z Warszawy. Mowa tu oczywiście o lżej chorych. Chorzy leżący, a była ich większość, umierali wśród objawów niewydolności oddychania i krążenia, mimo że nieraz do ostatniego tchnienia nie tracili nadziei na wyzdrowienie lub polepszenie. Zejście śmiertelne następowało przeważnie po obfitszym posiłku („skrwawienie do naczyń jamy brzusznej"), często w nocy (napięcie nerwu błędnego), niejednokrotnie wskutek kilkusekundowego krwotoku płucnego przy zupełnie dobrym na pozór samopoczuciu chodzącego chorego.

Stosunki między nami a lekarzami zakładu neuropsychiatrycznego były dość luźne i chłodne. Odgrywały tu rolę odmienne zainteresowania zawodowe i małe możliwości kontaktów. Czasem konsultowaliśmy chorych psychicznie, co było trudne, chory bowiem wstrzymywał oddech, a oddychał tak płytko, że doprawdy usłyszenie szmerów było niemożliwe u większości tych osób. Rozstrzygało badanie radiologiczne poprzednio opisanym aparatem.

Życie pozasłużbowe było mało atrakcyjne i gdyby nie praca na działkach ogrodowych, przydzielonych nam przez zarząd Szpitala, byłoby całkiem pozbawione treści. Odludzie i niepomyślne wiadomości polityczne mimo świtającej nadziei ostatecznego zwycięstwa, panoszenie się po całym kraju hitlerowców, nasi bardzo ciężko chorzy, dyskryminacja oddziałów psychiatrycznych, to były właśnie przyczyny wprawiające czasem w beznadziejne przygnębienie wszystkich lekarzy na terenie Kobierzyna, psychiatrów i ftyzjatrów.

W połowie czerwca 1942 roku przybyła do Kobierzyna formacja wojskowa, której władze, rozejrzawszy się w całości zakładu, zadecydowały o zlikwidowaniu Sanatorium Przeciwgruźliczego. Chodzący chorzy wyjechali, leżący zostali odwiezieni do szpitali krakowskich. Sanatorium opustoszało, nasi lekarze wyjechali; zostałem tylko z drem *Zielińskim*. Postanowiliśmy zinwentaryzować mienie ZUS, ale zaledwie zaczęliśmy tę pracę, wezwał nas do siebie dowódca jednostki wojskowej i zakazał zabierać czegokolwiek ze sprzętu, grożąc sądem wojskowym. W drugiej dekadzie czerwca 1942 roku opuściliśmy Sanatorium i tym samym Szpital w Kobierzynie. Zdążyłem zauważyć, że zajechał pociąg towarowy, do którego załadowano umysłowo chorych. Zostali oni zgładzeni, a z miejscowości Kobierzyn, gdzie chwilowo się zatrzymałem, widziałem wznoszącą się górę ziemi z wykopanego wspólnego grobu dla nieszczęśliwych psychicznie chorych, ofiar hitlerowskich morderców. Potem masowa mogiła została zasypana.

Po kilku dniach udałem się do Warszawy, gdzie znowu zacząłem pracować w Szpitalu Ujazdowskim, który był zawsze moją „bazą". O lekarzy ftyzjatrów było trudno. Władze niemieckiej służby zdrowia postanowiły pozostawić nas w swojej dyspozycji aż do uruchomienia nowego sanatorium, co potwierdziły pisemnie.

W pamięci utkwił mi z okresu pracy w Sanatorium wspomniany już dr *Walkowski*, który był nie tylko lekarzem, lecz również artystą malarzem, specjalizującym się w malowaniu bydła rogatego. W Poznaniu, skąd go wojna wysiedliła, był bardzo znany jako „największy malarz między lekarzami i największy lekarz między malarzami". Była to postać charakterystyczna dla przedwojennego Poznania. Kiedy nabywca mówił mu z wyrzutem, że za jego obraz mógłby kupić żywą krowę, replikował on dowcipnie propozycją kupna takiej krowy na wsi i postawienia jej w salonie. Po likwidacji sanatorium przeniósł się do Tarnowa i tam jeszcze przed końcem wojny zakończył życie. Ten bardzo towarzyski lekarz często zabawiał nas wspomnieniami ze swoich licznych podróży, utrzymując styl opowiadania charakterystyczny dla *Brantôma*, autora „Żywotów pań swawolnych", *Boccaccia* i czasem *Zegadłowicza*. Był specjalistą chorób skórno-wenerycznych, a tymczasem losy rzuciły go do Sanatorium Przeciwgruźliczego jako lekarza prowadzącego oddział, z czym przy pomocy dra *Zielińskiego* radził sobie zupełnie dobrze.

Podsumowując ten krótki opis Sanatorium „Skotniki", nie mogę się powstrzymać od określenia „umieralnia", biorąc pod uwagę większość chorych. Przeżycia moje jako lekarza w tym sanatorium charakteryzują smutne wrażenia bezsilności ówczesnej medycyny wobec zaawansowanej gruźlicy płuc. Można było czasem ulżyć cierpieniom, ale dzisiejszą bronią przeciwgruźliczą, też zresztą niedoskonałą, wtedy jeszcze nie dysponowaliśmy.

JÓZEF MRUK Kraków

Obóz karny „Liban”
Uwagi lekarza

W maju roku 1942 okupacyjne władze hitlerowskie zorganizowały karny obóz pracy na terenie kamieniołomu i wapiennika dawnej firmy krakowskiej „Liban”. Obóz był przeznaczony dla tych młodych chłopców zmuszanych do pracy w organizacji *Arbeitsdienst*, którzy uchylali się od podjęcia służby w niej, uciekali po przymusowym wcieleniu lub dopuszczali się w rozumieniu okupanta wykroczeń w pracy. Byli to wyłącznie Polacy, 17—20-letni, pochodzący z miast i ze wsi.

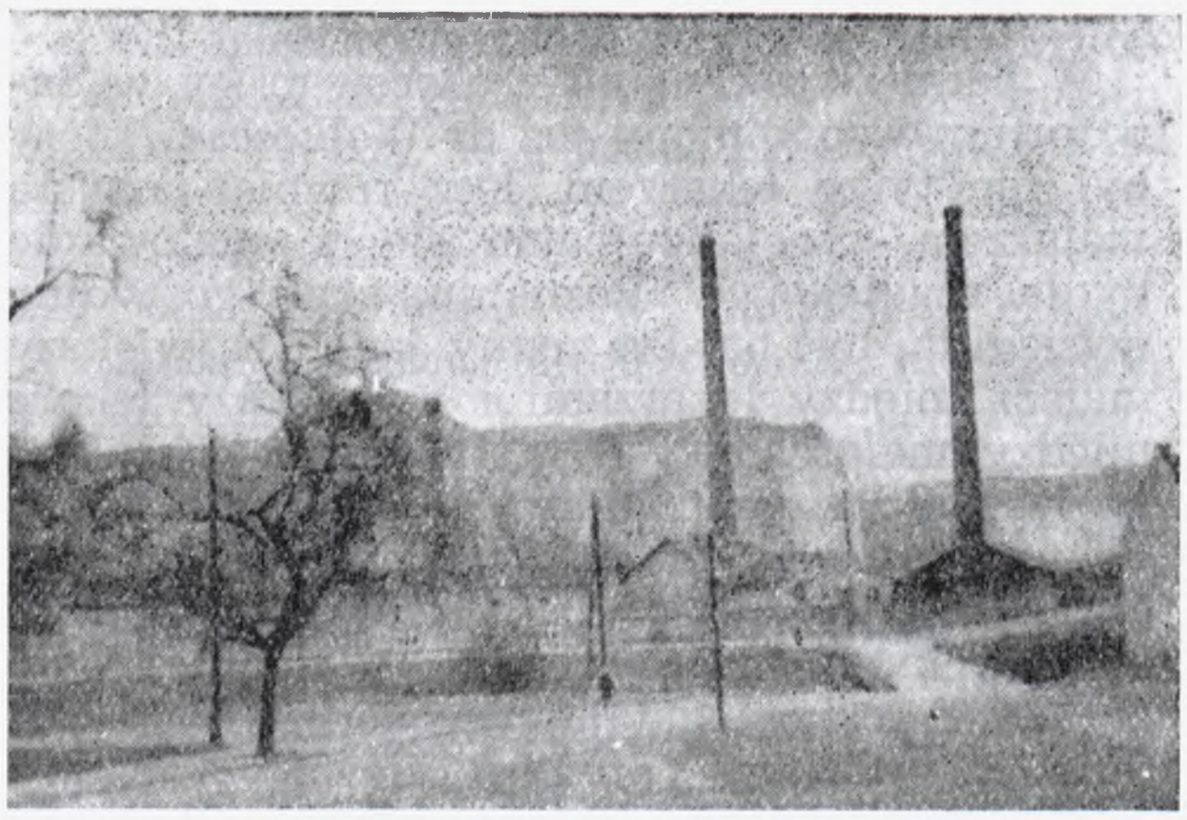

Ryc. 1. Panorama obozu karnego „Liban”

Miejsce na obóz zostało wybrane w bardzo korzystnych dla okupanta warunkach terenowych. Zakład dawnej firmy „Liban” znajdował się w peryferyjnej w tym czasie części prawobrzeżnej dzielnicy Krakowa, Podgórzu. Obejmował eksploatowany od dawna kamieniołom, tworzący otoczony z trzech stron amfiteatr skalny o prostopadłych ścianach dochodzących do kilkudziesięciu metrów wysokości oraz mieszczące się na terenie tego amfiteatru dwa duże, czynne piece do wypalania wapna z doprowadzoną do nich bocznicą kolejową (ryc. 1 i 2). Tylko od strony północnej wzdłuż ulicy Za Torem (nazwa pochodzi od jej przebiegu za torem kolejowym linii Kraków—Zakopane) dostęp do obozu był zamknięty od ulicy parterowymi budynkami administracyjnymi.

Opisane warunki terenowe, jak również rodzaj położonego tam zakładu pracy stwarzały dla okupanta idealne miejsce na obóz karny. Był on odsunięty od wielkiego skupiska miejskiego, bardzo łatwy do pilnowania, a także mieścił zakład produkcyjny o warunkach pracy niezwykle ciężkich i niebezpiecznych, zwłaszcza dla młodych chłopców, mało odpornych jeszcze fizycznie i z reguły nie obznajomionych z taką pracą. Do tych z natury już ciężkich warunków okupant dodał w sposób dla siebie typowy potworne warunki mieszkaniowe, głód, pracę wyniszczającą, niejednokrotnie trwającą przez pełne 24 godziny, szczególnie złe warunki sanitarne, brak jakiejkolwiek odzieży ochronnej przy pracy lub cieplejszej w zimie. Więźniowie mieszkali na poddaszu nieczynnego pieca, gdzie spali na cienkiej warstwie słomy.

Praca polegała na wydobywaniu kamienia pod kierownictwem fachowych robotników (stałych pracowników kamieniołomu) i na czynnościach związanych z wypalaniem wapna. Ten drugi dział pracy był najcięższy; polegał na załadowywaniu pieca, jego obsłudze przy wypalaniu wapna i wydobywaniu z pieca wapna już wypalonego. Szczególnie ciężkie było rozładowywanie pieca, gdyż odbywało się w bardzo wysokiej temperaturze i z braku ochronnych rękawic prowadziło często do poparzeń. Do tych prac dochodziło wyładowywanie wagonów z węglem oraz załadowywanie na wagony już wypalonego wapna i tłucznia do budowy dróg. Więźniowie byli popędzani przy pracy przez *vorarbeiterów*, którzy nie szczędzili bicia. Wyżywienie, bardzo skąpe ilościowo, było szczególnie ubogie w białko, co prowadziło bardzo szybko do wyniszczenia i upadku sił.

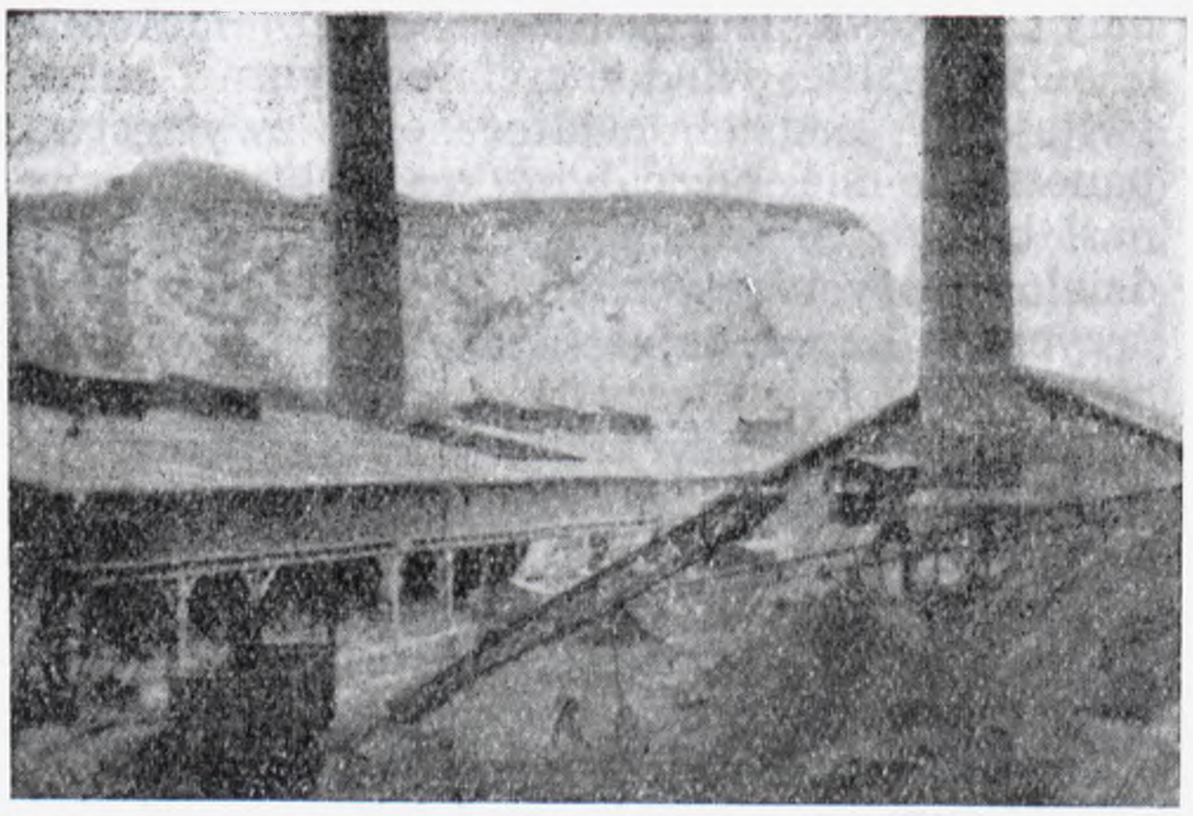

Ryc. 2. Piece wapiennicze obozu „Liban” z bocznicą kolejową

Kierownik obozu, *arbeitsführer Benecke*, sprawował absolutną władzę. Terenu obozu pilnowało stale kilku wartowników, żołnierzy *Sonderdienstu;* warunki obozu sprawiały, że ich liczba wystarczała. Opiekę lekarską nad więźniami zlecono ówczesnej *Sozialversicherungskasse*, w której przy okupacyjnym kierowniku (dr *Puppe*) polskie środowisko lekarskie reprezentował dr M. *Ciećkiewicz*.

Bezpośrednio po zorganizowaniu obozu otrzymałem w pierwszych dniach maja 1942 roku

polecenie przejęcia więźniów w opiekę lekarską. W tym czasie pracowałem w dzielnicy Podgórze jako lekarz rejonowy i rejon mój graniczył z terenem obozu. Na opiekę nad więźniami przydzielono mi dodatkową godzinę pracy. W chwili objęcia przeze mnie pracy w obozie było około 70 więźniów. Ich liczba wahała się w późniejszym okresie od stu do dwustu kilkudziesięciu. Ta pierwsza grupa więźniów przedstawiała się na ogół jeszcze nieźle, gdyż chłopcy przebywali w obozie dopiero od kilku dni. Już jednak wtedy wielu z nich cierpiało na skutek urazów mechanicznych czy oparzeń doznanych przy pracy, ropnych chorób skóry powstałych głównie z powodu antysanitarnych warunków oraz zaburzeń przewodu pokarmowego w następstwie nędznego pod względem ilościowym i jakościowym odżywienia.

Oprócz udzielania pomocy lekarskiej musiałem w pierwszych dniach zorganizować prymitywną izbę chorych oraz zabezpieczyć zaopatrzenie w leki i materiały opatrunkowe. Na izby chorych i podobne wypadki nie zdarzyły murowany barak w głębi obozu o powierzchni około 30 m². Jedynym wyposażeniem były stare, prymitywne łóżka żelazne z siennikami bez prześcieradeł oraz koce. Izba ta służyła równocześnie jako ambulatorium, którego jedynym wyposażeniem był stół i parę krzeseł. Po roku izbę chorych i ambulatorium przeniesiono do innego pomieszczenia, obejmującego dwa niewielkie, wilgotne pokoiki w bloku parterowym budynków administracyjnych, położonych przy ulicy. Oprócz lekarza opiekę nad więźniami zapewniali kolejno dwaj ówcześni studenci medycyny, obecnie znani lekarze; przez pierwszych parę miesięcy Wilibald *Rzicha*, a następnie Stanisław *Mondelski*.

Warunki pracy i warunki bytowania były tak ciężkie, że nawet zupełnie zdrowy i silny człowiek nie mógłby ich przetrzymać przez dłuższy okres czasu. Sytuację młodych ludzi ratował przede wszystkim fakt, że kierowano ich do karnego obozu pracy zazwyczaj na okres trzech miesięcy i po odbyciu kary odsyłano ich do tych samych oddziałów *Arbeitsdienstu*, w których przedtem pracowali. Niekiedy wymiary kary były wyższe, nie przekraczały jednak kilku miesięcy. Więźniowie odchodzili z reguły w stanie daleko posuniętego wyniszczenia. Niekiedy udawało się zwolnić skazanych na obóz pracy, mianowicie w wypadkach stwierdzenia przy wstępnym badaniu po przybyciu do obozu kalectwa lub ciężkich chorób, bo i takich młodych ludzi kierowano do *Arbeitsdienstu*.

Dużą pomoc więźniom w tej tragicznej sytuacji niosło krakowskie środowisko lekarskie oraz krakowski komitet Rady Głównej Opiekuńczej (RGO). Jak wspomniano, opiekę lekarską zapewniała więźniom kontynuatorka przedwrześniowej Ubezpieczalni Społecznej, okupacyjna *Sozialversicherungskasse*. W związku z tym przy życzliwości wszystkich polskich placówek lecznictwa możliwe było zaopatrzenie izby chorych obozu w konieczne leki, zabezpieczenie pomocy specjalistycznej oraz zapewnienie leczenia szpitalnego. Zwłaszcza leczenie szpitalne było często jedynym rodzajem pomocy, ratującym życie młodych więźniów. Należy tutaj podkreślić jednolitą patriotyczną postawę lekarzy szpitali krakowskich, którzy, rozumiejąc doskonale tragiczną sytuację młodych ludzi, mimo wielkiego ograniczenia możliwości leczenia szpitalnego Polaków przyjmowali tych chłopców i niejednokrotnie przetrzymywali ich przez wiele tygodni, czasem aż do końca trzymiesięcznej zazwyczaj kary uwięzienia w obozie, ratując im zdrowie, a bardzo często i życie. Lekarze ambulatoriów specjalistycznych starali się również jak najbardziej pomagać przez staranne leczenie. Poza tym samo wyjście z sanitariuszem do lekarza było automatycznie zwolnieniem na kilka godzin z pracy, umożliwiało zetknięcie się ze środowiskiem polskim, a czasem nawet z rodziną.

Pomoc krakowskiego komitetu RGO była bardzo ważną pozycją. Komitet ten mimo swoich ograniczonych możliwości oraz ogromnej rzeszy Polaków potrzebujących pomocy starał się zaspokoić chociaż część potrzeb więźniów. Z tego źródła otrzymywaliśmy chleb oraz inne produkty żywnościowe, czasami obuwie robocze, bądź nieco odzieży. Nie było tego zbyt wiele, w każdym razie jednak przynosiło ulgę w nędznych warunkach obozowego bytowania.

W tym organizowaniu pomocy odegrali wielką rolę obaj już wymienieni studenci medycyny, którzy pełnili czynności sanitariuszy obozowych. Oni bowiem, a zwłaszcza Stanisław *Mondelski*, który po paru miesiącach pracy Wilibalda *Rzichy* objął po nim pracę, byli tymi, którzy utrzymywali stały kontakt zarówno ze szpitalami krakowskimi i ambulatoriami lecznictwa otwartego, jak i z krakowskim komitetem RGO. Będąc pracownikami etatowymi obozu, mieszkającymi na jego terenie, znali doskonale sytuację w zakresie pracy i warunków bytowych, a ich informacje i pomoc wybitnie sprzyjały lekarzowi we wspólnej walce o życie więźniów.

Wyniszczająca praca, nędzne, głodowe odżywianie i antysanitarne warunki pomieszczenia powodowały jednak, że mimo pomocy z zewnątrz sytuacja w obozie była stale tragiczna. Znacznie pogarszało ją stosowane przez kierownictwo obozu w różny sposób znęcanie się nad więźniami oraz przeciążanie pracą, przerastającą siły młodych, niedożywionych ludzi. Hitlerowskie kierownictwo obozu niejednokrotnie zmuszało więźniów do pracy, bez przerwy przez 24 godziny, zwłaszcza w czasie wyładowywania wagonów z węglem oraz załadowywania wyprodukowanego wapna palonego, które nieraz musieli więźniowie ładować jeszcze gorące, niedawno wydobyte z pieca.

Metody fizycznego znęcania się nad więźniami były różnorodne. Bicie bykowcami należało do pospolitych sposobów. Stosowano też inne, np. za jakieś drobne przewinienie przykuto chłopca na krótkim, nie więcej niż jedno-

metrowym łańcuchu za nogę do zewnętrznego muru pieca na okres tygodnia, przy czym w ciągu dnia musiał stać. Na noc nie dostawał żadnego okrycia. Innych dwóch winowajców zostało skutych krótkim łańcuchem za nogi i tak byli również przez okres tygodnia pędzeni do pracy. Mimo że na nogach powstały u obydwu głębokie, wrzodziejące rany, *Benecke* nie tylko nie zgodził się na zaprzestanie tej tortury, ale nawet na skucie za zdrowe ręce, by można było leczyć uszkodzenia nóg. Jeszcze inny młody więzień chodził przez wiele dni do pracy, wlokąc za sobą na łańcuchu około 10-kilogramową kulę żelazną, której nie wolno mu było wziąć do rąk, by ulżyć nodze stale kaleczonej łańcuchem.

W biciu bykowcami celowało kilku *vorarbeiterów,* w większości zaprzedanych okupantowi nacjonalistów ukraińskich. Również sam komendant obozu, *Benecke*, znajdował sadystyczną przyjemność w biciu więźniów. Tak na przykład pewnego dnia rano po przyjściu do obozu na poranną wizytę lekarską stwierdziłem, że izba chorych jest pusta. Okazało się, że *Benecke,* uważając, iż chorzy są symulantami, sam osobiście wypędził wszystkich na stanowiska pracy w kamieniołomie i bił ich po drodze bykowcem. Trzeba jednak przyznać, że po moim gwałtownym proteście polecił sprowadzić wszystkich z powrotem do izbę chorych kierownictwo obozu przydzieliło się już w przyszłości. W ogóle należy podkreślić, że w obozie „Liban" zdecydowana postawa lekarza wywierała wrażenie na komendancie, który na ogół nie wtrącał się do spraw czysto lekarskich. Umożliwiało to ratowanie wielu chorych więźniów.

Najbardziej chyba barbarzyńskim sposobem znęcania się nad więźniami był sposób karania za próbę ucieczki. Opisane na wstępie warunki terenowe obozu powodowały, że ucieczki z reguły nie udawały się mimo nielicznej straży. Utrudniały także ucieczkę wyniszczenie więźniów oraz nędzna, zniszczona odzież, po której łatwo było ich rozpoznać. Mimo to próby ucieczki powtarzały się. W razie schwytania uciekinierów przeprowadzano swoistego rodzaju dziesiątkowanie. Wyliczano spośród pozostałych co dziesiątego i polecano im bić uciekinierów, oświadczając, że będą bici przez *vorarbeiterów,* jeśli się sprzeciwią. Pod tą groźbą dochodziło nieraz do ciężkiego zmasakrowania nieszczęśników. Stan ich wymagał zazwyczaj wielodniowego leczenia w izbie chorych, a niejednokrotnie interwencji chirurgicznych. Lęk przed okrutnym biciem był tak wielki, że poważnie chorzy często bali się zgłosić o pomoc lekarską do izby chorych, bo za wyrażenie takiego życzenia karano ich chłostą. Doprowadzało to do tego, że zgłaszali się do lekarza w stanie daleko posuniętej choroby, w której jedynym ratunkiem mogło być tylko leczenie szpitalne, na szczęście dozwolone.

Były jednak również wypadki pomocy spóźnionej. Już w pierwszych miesiącach istnienia obozu znaleziono pewnego dnia w chwastach za piecem wapienniczym zwłoki więźnia, leżące tam już od dwóch dni. Okazało się, że cierpiał na biegunkę (przypuszczalnie czerwonkę), zgłaszał swojemu *vorarbeiterowi* konieczność udania się do lekarza, za każdym razem jednak był bity i zmuszany do pracy. Nie mogąc uzyskać ratunku, ukrył się w chwastach i tam zakończył życie. Kilka razy doszło do zastrzelenia więźniów w czasie ucieczki, przy czym żołnierze-wartownicy strzelali do nich jak do zajęcy, chełpiąc się celnością swoich strzałów. W jednym z takich wypadków, gdy wartownik zastrzelił uciekającego w biały dzień chłopca z odległości parudziesięciu metrów strzałami z karabinu, mimo że mógł go pochwycić, przechwalał się potem przede mną, jak to strzałem w głowę z bezpośredniej odległości dobił rannego. Innego chłopca, któremu udało się uciec z obozu, a który po paru dniach powrócił, nie chcąc narażać rodziny na represje, komendant obozu polecił wartownikowi odprowadzić pod skałę kamieniołomu i zastrzelić. Wartownik wykonał to z taką gorliwością, że podziurawił nieszczęśnika kilkoma strzałami z odległości paru metrów w głowę, brzuch i klatkę piersiową. Oczywiście ostatnie strzały były oddane już do trupa.

W tym obozie pracowałem do jesieni 1943 roku. Następnie pracę tę przejął po mnie dr *Grus*. Tragiczne zakończenie obozu znam więc pośrednio z relacji *Mondelskiego,* z którym pozostawałem w dalszym kontakcie. Z końcem lipca 1944 roku, kiedy zdawało się, że ówczesna zwycięska letnia ofensywa radziecka posunie się dalej na zachód, hitlerowcy w popłochu opuszczali Kraków. Więźniowie, nie pilnowani dostatecznie, masowo uciekali, w czym im zbytnio nie przeszkadzano. Na miejscu została 23-osobowa grupa. Ci więźniowie nie uciekali albo dlatego, że mieszkali daleko, albo też po prostu obawiali się ryzyka ucieczki. Grupę tę wartownicy zamknęli w baraku. W okresie największego w tym czasie popłochu hitlerowców, wieczorem 21 lipca 1944 roku, na terenie budynów administracyjnych zakwaterowała wycofująca się jednostka wojskowa. Według rozeznania *Mondelskiego,* przebywającego w tym czasie w obozie, był to pododdział artylerii przeciwlotniczej. Po wieczornym pijaństwie dowódca tej jednostki wespół z komendantem obozu *Beneckem* i inspektorem *Arbeitsdienstu Reitem* wpadli do baraku i wymordowali nieszczęsnych więźniów salwami z pistoletów maszynowych. Kilku usiłowało uciekać przez przyległą do baraku latrynę. Tych wymordowano, rzucając za nimi granaty ręczne i topiąc w dole kloacznym. Po tej zbrodniczej masakrze, z której zdołało się uratować tylko dwóch więźniów, obóz przestał istnieć i nie został już reaktywowany.

Przypomnienie sprawy obozu „Liban" wydaje się celowe z kilku powodów. Obóz ten był niewielki i przeszło przez niego przypuszczalnie nie więcej niż 1500—2000 młodych ludzi. W związku z tym po prostu ginął on w cieniu takich kolosów, jak Oświęcim, czy

nawet obóz dla Żydów w Krakowie-Płaszowie. Był obozem, w którym okres kary był nie tylko już z góry określony z reguły na trzy miesiące, lecz także przeważnie respektowany, toteż ogromna większość przeżywała tę katorgę. Wydawałoby się więc, że był obozem stosunkowo łagodnym. Tak jednak nie było. Niezwykle ciężkie warunki pracy, nędzne wyżywienie i znęcanie się nad więźniami w pracy powodowały, że po odbyciu trzech miesięcy kary z obozu wychodzili skrajnie wyniszczeni młodzi ludzie, którzy potrzebowali wielu miesięcy na powrót do zdrowia, a niejednokrotnie nie byli w stanie już go odzyskać. Wielu z nich uratowało tylko umieszczenie w szpitalu. Jest niewątpliwe, że gdyby przy takich warunkach pracy i wyżywienia okres kary był dłuższy, np. sześciomiesięczny, to olbrzymia większość więźniów musiałaby utracić życie. Nawet przy istniejących warunkach wielu młodych ludzi zginęło tam jednak bez żadnej swojej winy. Barbarzyńskie sposoby znęcania się stosowane wobec więźniów nie ustępują metodom stosowanym w najcięższych obozach koncentracyjnych i budzą grozę swoim sadyzmem i wyrafinowaniem. Mimo całego okrucieństwa okupantowi nie udało się złamać postawy moralnej więźniów, którą charakteryzowały duże koleżeństwo i solidarność.

Może ta krótka relacja przyczyni się do tego, że męczeństwo tych młodych ludzi, opierających się pracy dla okupanta w tzw. popularnie *baudienście*, nie pójdzie w zapomnienie.

HENRI BERNARD
były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen

Kraków

Relacja z lat wojny[1]

Wybuch wojny zastał mnie w Krakowie. Dnia 3 września 1939 roku po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję poszedłem do konsulatu francuskiego, gdzie zastałem krakowskiego konsula francuskiego i konsula generalnego z Katowic. Wyjeżdżali samochodami, a ponieważ mieli już zajęte wszystkie miejsca, nie mogli wziąć mnie ze sobą. Doradzali mi, bym starał się możliwie najprędzej dotrzeć do granicy węgierskiej lub rumuńskiej. Opuściłem więc Kraków piechotą w dniu 4 września [tj. niedługo przed wycofaniem się oddziałów polskich, które odeszły z miasta w nocy z 5 na 6 września]. O ucieczce pociągiem lub końmi nie było mowy, wszystko zostało zajęte dla wojska.

Droga w upalne dnie była nader uciążliwa, zważywszy, że miałem wtedy już 50 lat. Stale, a szczególnie rankami i wieczorami, samoloty niemieckie ostrzeliwały z karabinów maszynowych uciekającą, bezbronną ludność. Niemcy zalewali Polskę nie tylko od północy i zachodu, lecz także od Słowacji. Wszystkie drogi ucieczki były więc [w moich warunkach] zamknięte. Po przebyciu 400 km piechotą, po przejściu w bród Wisłoka, Sanu i dwukrotnie Wisły znalazłem się w Brzezicach pod Chełmem. Tam spotkałem Niemców. Nie widząc już ratunku, wybrałem się w powrotną drogę do Krakowa, dokąd przybyłem 1 października 1939 roku w stanie zupełnego wyczerpania.

Udałem się na Uniwersytet i do Wyższego Studium Handlowego, by podjąć pracę. Przepytałem studentów, którzy zgłosili się do egzaminu z języka francuskiego. Dnia 6 listopada na wezwanie rektora UJ poszedłem na zebranie, na którym *obersturmbannführer Müller* miał nam „wyjaśnić stosunek władz niemieckich do UJ". Zostałem aresztowany i wraz z profesorami Wszechnicy przewieziony do więzienia przy ul. Montelupich, stamtąd do koszar przy ul. Wrocławskiej; potem przewieziono nas na dwutygodniowy pobyt do więzienia we Wrocławiu (Freiburgerstrasse), a w końcu do Oranienburga-Sachsenhausen. W obozie, na wstępie, esesman wymierzył mi policzek, gdy z paszportu mego dowiedział się, że jestem Francuzem. Drugi raz pobito mnie, ponieważ nie zdjąłem czapki, gdy przechodził oficer *SS*. W czasie pobytu w obozie chorowałem trzykrotnie z powodu zimna, głodu i obrzydliwego pokarmu. Cierpiałem na przewlekłą biegunkę i nie mogłem jej leczyć z powodu braku lekarstw i opieki lekarskiej. W styczniu 1940 roku po apelu trwającym cztery godziny, przy temperaturze około [minus] 30 stopni, zostałem dotknięty częściowym paraliżem płuc[2].

Dnia 9 lutego 1940 roku powróciłem do Krakowa ciężko chory. Utraciłem 28 kg ciężaru ciała i wyglądałem tak, że budziłem przerażenie. Miałem zapalenie płuc, ostry nieżyt oskrzeli, zapalenie błon śluzowych nosa, gardła i przewodów usznych, nadto w obozie utworzyła mi się przepuklina pachwinowa, z powodu której bardzo cierpiałem. Dzięki naj-

[1] Tytuł tego pierwodruku relacji lektora języka francuskiego UJ i Wyższego Studium Handlowego w Krakowie oraz wstawki w nawiasach klamrowych pochodzą od redakcji. Tekst, złożony w UJ 4 maja 1945 roku, został udostępniony przez Archiwum UJ, opracowany redakcyjnie, sprawdzony merytorycznie przez doc. dra *Vilima Frančicia* i opublikowany za zgodą Rektoratu UJ.

[2] Prawdopodobnie oddychanie mroźnym powietrzem wywołało u autora uczucie zakłócenia czynności płuc; zawał płata płucnego wydaje się raczej nieprawdopodobny (przyp. red.).

troskliwszej i najżyczliwszej opiece lekarskiej doktorów prof. Jana *Glatzla,* prymariusza Edwarda *Szczeklika* i prymariusza *Klassy-Brunickiego* mogłem po pięciu tygodniach wstać z łóżka. Pomimo zakazu władz udzielania lekcji prywatnych rozpocząłem z kilkunastoma uczniami lekcje języka francuskiego.

W czerwcu 1940 roku, podczas ofensywy niemieckiej we Francji, zostałem aresztowany po raz drugi, ponieważ, jak mi to wytłumaczono na gestapo, „Francuzi wymordowali Niemców w Boulogne-sur-Mer" [3]. Znowu znalazłem się w więzieniu przy ul. Montelupich, skąd zawieziono mnie do Norymbergi, a stamtąd do Langwasser (*Stalag* XIIIa). Dzięki polskim lekarzom, wziętym do niewoli pod Kutnem, umieszczono mnie w szpitalu, ponieważ przyjechałem chory z Norymbergi. Lekarze dbali o mnie bardzo i wkrótce przyszedłem do siebie.

Stąd przewieziono mnie do obozu cywilnych internowanych w Wülzburgu (*Ilag* XIII) pod Weissenburgiem w Bawarii. Tu Francuzi wybrali mnie swym „kapitanem" (*Trauensmann*), ponieważ znam język niemiecki. Obdarzony tą godnością, mogłem sprzeciwiać się stale, by rodacy moi nie wykonywali żadnych prac, co mi się udawało. Niemcy dali nam do przetłumaczenia na język francuski książkę pt. *„Die Greueltaten der Polen in Bromberg"*, w której twierdzili, że Polacy zamordowali tam [w Bydgoszczy] 28 000 Niemców. Książka była ilustrowana licznymi fotografiami i, jak pamiętam, pierwsza Polka, która miała dokonać tych okrucieństw, nazywała się Olga *Besarabowa.* Przekonawszy się, że to książka propagandowa, wybitnie antypolska, zwróciłem się wraz z dwoma Francuzami, oficerami rezerwy, do komendanta obozu z tym, że nie możemy tej książki tłumaczyć, ponieważ Polska jest państwem sprzymierzonym z Francją, uważalibyśmy się więc za zdrajców tak Polski, jak Francji; mimo tego oświadczenia nie zastosowano wobec nas żadnych represji [4].

Zwolniony po $4^1/_2$-miesięcznym pobycie w tym obozie, powróciłem do Krakowa 6 listopada 1940 roku. Podjąłem lekcje języka francuskiego z moimi prywatnymi uczniami i rozpocząłem dawno już zamierzone pisanie podręczników do nauki języka francuskiego.

W jesieni roku 1942 na żądanie Niemców musiałem objąć kursy języka francuskiego w *Verwaltungsschule.* Korzystałem z tego, by bliżej zapoznać się z Niemcami wyższych rang, którzy mogli pośredniczyć [w odpowiednich staraniach] i wpływać na zwalnianie uwięzionych Polaków. Niemcy chcieli mnie również zmusić do prowadzenia kursu języka francuskiego dla członków *NSDAP,* lecz odmówiłem i mimo że nazwisko moje było już wydrukowane w programach, nie pracowałem nigdy w tej instytucji.

W kwietniu 1941 roku Niemcy wyrzucili nas z mieszkania przy ul. Zyblikiewicza 10 [w Krakowie [5]], zajmowanego przez rodzinę mej żony i nas od lat 33. Z trudem znalazłem skromne i niewygodne mieszkanie przy placu Wolnica 12a, gdzie mieszkamy do dzisiaj.

Wskutek zniszczenia zdrowia w dwóch obozach, wielkiej pracy i stałego napięcia nerwów zapadłem ciężko na serce (*infarctus myocardii* [6]) dnia 6 listopada 1942 roku. Przewieziono mnie do Szpitala św. Łazarza na Oddział Ib (chorób wewnętrznych) do prymariusza Edwarda *Szczeklika.* Tu, znowu dzięki wysiłkom tego znakomitego lekarza, stan mój poprawił się na tyle, że już po siedmiu tygodniach powróciłem do domu. Pracę jednak mogłem podjąć dopiero od lutego 1943 roku.

Dnia 20 grudnia 1943 roku gestapo zaaresztowało mnie po raz trzeci. Zawieziono mnie do siedziby *Sicherheitspolizei* przy ul. Pomorskiej [7] i oskarżono o 1) słuchanie radia z Londynu i Nowego Jorku, 2) udzielanie pomocy jeńcom francuskim, zbiegłym z obozów i Polakom, by mogli dostać się do Francji, 3) interwencje u wpływowych Niemców o zwalnianie aresztowanych Polaków [8]. Byłem przesłuchiwany pięć razy i za każdym razem okrutnie pobity i pokopany. Te pięć i pół miesięcy,

---

[3] Boulogne-sur-Mer, miasto portowe w północnej Francji nad kanałem La Manche, zostało zajęte przez Niemców 24 maja 1940 roku. W czasie drugiej wojny światowej uległo poważnym zniszczeniom. Wypowiedź gestapowca była oczywiście prowokacyjna (przyp. red.).

[4] Po rozbiciu armii „Pomorze" w pierwszych dniach kampanii wrześniowej, gdy żołnierze 9, 27 i 15 dywizji piechoty znajdowali się w odwrocie przez Bydgoszcz, zostali nagle ostrzelani w niedzielę 3 września 1939 roku przez spadochroniarzy i dywersantów hitlerowskich, uprzednio specjalnie przybyłych z Gdańska i z Berlina, oraz przez miejscowych Niemców, odpowiednio skrycie uzbrojonych i dowodzonych przez *oberführera SS, Ludolfa von Alvenslebena,* o którym pisze w niniejszym zeszycie K. *Frąckowski* w artykule pt. „Pomorze w cieniu swastyki". Kontrakcję podjął wojskowy komendant miasta, mjr *Albrycht,* po porozumieniu z dowódcą 15 dywizji, gen. *Przyjałkowskim.* Ludność Bydgoszczy wskazała miejsce, skąd padały strzały. Dywersję stłumiły polskie patrole wojskowe, wspomagane przez kolejarzy, robotników, młodzież i innych ochotników spośród mieszkańców miasta. W tej walce zginęło około 200 dywersantów i około 300 żołnierzy polskich, jak również pewna liczba osób spośród cywilnych mieszkańców Bydgoszczy, Polaków i Niemców. Wzięto jeńców i sprzęt wojskowy. W celach propagandowych hitlerowcy wyzyskali swą prowokację, przygotowaną z perfidną premedytacją. Ogłoszono najpierw, że Polacy w Bydgoszczy jakoby wymordowali 1 000 Niemców, a potem stopniowo podnoszono tę liczbę do 58 000. Pod kierunkiem gen. *Braemera* i żyjącego spokojnie do dzisiaj w NRF *kreisleitera NSDAP,* Wernera *Kempego,* rozstrzelano „w odwecie" 10 500 mieszkańców, a wielu zesłano do obozów koncentracyjnych. Szczegóły podają F. *Bernaś* i J. *Mikulska-Bernaś*: Bydgoski wrzesień. Książka i Wiedza, Warszawa 1968 (przyp. red.).

[5] Obecnie ul. Bitwy pod Lenino (przyp. red.).

[6] Zawał serca (przyp. red.).

[7] Obecnie ul. Wybickiego, róg ul. 18 Stycznia (przyp. red.).

[8] W związku z tym doc. dr *Vilim Frančić* złożył redakcji następującą notatkę: „Co do zarzutu gestapo, że *Bernard* zbiegłym z obozu jeńcom francuskim udzielał pomocy, by mogli dotrzeć do Francji, wiedziałem o tej jego pomocy, gdyż wobec mnie nie krył się z tym i niejednokrotnie wyrażał radość, że mu się «udał jakiś kawał»; podobnie w kołach jego przyjaciół było znane, że korzystał ze swych znajomości w *Verwaltungsschule* na rzecz zaaresztowanych Polaków" (przyp. red.).

spędzone w więzieniu na Montelupich, były prawdziwą męczarnią. Krocie Polaków (często młodzież 15-, 16- i 17-letnia) były katowane i rozstrzeliwane bez ważnego powodu, oskarżane przeważnie o komunizm, roznoszenie tajnych gazetek lub słuchanie radia zagranicznego. Chłopi, nie umiejący czytać ani pisać, aresztowani przeważnie na podstawie anonimów czy donosów, byli bici, mordowani bez litości. Np. w maju 1944 roku, gdy 40 Polaków rozstrzelano przy ul. Lubicz [w Krakowie][9], wywieziono z Montelupich 160 innych i zabito ich w miejscu mi nieznanym. Męczarnią duszy i wstrząsami nerwów opłacało się każdorazowe wybieranie więźniów z celi. Ci, wiedząc, na co idą, z uśmiechem rzucali na progu ostatnie wejrzenie towarzyszom kaźni.

Z powodu wszy, którymi byliśmy pokryci, wybuchł tyfus plamisty w styczniu 1944 roku. Całe więzienie przechodziło kwarantannę. Umarło wówczas kilkudziesięciu więźniów. W celi na drugim piętrze leżały pospołem zwłoki zmarłych od wielu godzin, konający i chorzy. Zabroniono wtedy RGO doręczania paczek z żywnością tak własnych, jak i od rodzin, skazani byliśmy więc na dotkliwy głód. Podoficerowie gestapo dokonywali częstych kontroli cel w poszukiwaniu tytoniu, papierosów, noży czy scyzoryków. Każda kontrola kończyła się biciem pałkami o żelaznych ćwiekach, a raz podczas takiego znęcania się złamano rękę jednemu z więźniów, drowi *Śliwińskiemu* z Borku Fałęckiego pod Krakowem.

Dnia 4 czerwca 1944 roku wyprowadzono mnie z celi i po założeniu kajdanków na ręce zawieziono na dworzec. W tzw. „więźniarce", gdzie każdy z nas miał swoją zamykaną klatkę, pojechaliśmy w kilku do Warszawy, a stamtąd miano nas skierować do sławnego z surowości obozu w Stutthofie pod Gdańskiem. Na dworcu warszawskim pozwolono mi posilić się w Czerwonym Krzyżu i przewieziono mnie nocą do więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej. Tam zamknięto mnie w celi jednoosobowej. Nazajutrz zaprowadzono mnie do kancelarii więzienia. Było w niej troje urzędników w mundurach: mężczyzna w uniformie niemieckim i dwie panie w uniformach strażniczek więziennych. Jak się dowiedziałem później, był to Niemiec, komisarz więzienia, a jedna z pań, jeśli mnie pamięć nie myli, *Jaźwińska,* była podkomisarką więzienia. Przejrzała moje papiery, które przyjechały ze mną z Krakowa i nagle zapytała mnie, dlaczego tak źle wyglądam. Opowiedziałem jej więc wszystkie moje przeżycia od wybuchu wojny: tragiczną ucieczkę z Krakowa, aresztowanie i pobyt w Oranienburgu-Sachsenhausen, pobyt w drugim obozie w Langwasser, w trzecim obozie w Wülzburgu w Bawarii, chorobę serca, wreszcie mój ostatni, 5-miesięczny etap na Montelupich. Rozmowa nasza trwała około 45 minut. Potem wszedł policjant i wyprowadził mnie. Pani *Jaźwińska* pospieszyła za mną i już na progu szepnęła mi: „Pan nie pojedzie". Zaprowadzono mnie na czwarte piętro do sali zwanej „przejściową", gdzie byli już zebrani więźniowie przeznaczeni do obozu w Stutthofie. Spędziłem tam 24 godziny.

Dnia 6 czerwca o godzinie 9 rano zaprowadzono mnie do lekarza, Polaka, który po zbadaniu mnie oświadczył, że jestem *transportunfähig* i dodał, że albo zostanę w więzieniu w sali chorych, albo będę umieszczony w Szpitalu Jana Bożego na oddziale więziennym. Tam też przeprowadziło mnie w południe dwóch granatowych policjantów. Po raz pierwszy od $5^1/_2$ miesięcy widziałem niebo, zieleń, ludzi, ruch na ulicach. Za szczęście uważałem czyste łóżko, wolną przestrzeń przed oknami i nareszcie kąpiel. Po południu przyszedł na salę kapelan więzienny, ksiądz kanonik *Pągowski,* by odwiedzić chorych. Po długiej rozmowie z nim prosiłem go, by zawiadomił księdza prałata *Archutowskiego,* że tu jestem. Z księdzem Józefem *Archutowskim,* profesorem UJ, później proboszczem w parafii Matki Boskiej na Starym Mieście, byłem razem w celi więzienia we Wrocławiu i w obozie w Oranienburgu-Sachsenhausen. Nazajutrz zjawił się tak [niecierpliwie] przeze mnie wyczekiwany ksiądz prałat *Archutowski* i przyniósł mi pakiet żywności i papierosy. Odwiedzał mnie wielokrotnie, przynosząc listy od żony, dobre paczki i nowiny ze świata.

Dnia 15 czerwca rano chirurg więzienny dr *König* (może *Kenig*) oświadczył mi, że nazajutrz mam być wywieziony do Stutthofu i jedynym ratunkiem przed tą koniecznością jest operacja mej przepukliny. Dokonał jej w południe, a ponieważ w ciągu operacji okazało się, że jest komplikacja z wyrostkiem robaczkowym, wyciął mi go również. Po operacji leżałem w sali z czterema innymi chorymi, z których dwóch było *volksdeutschami.* Ksiądz prałat *Archutowski* odwiedzał mnie często i pewnego dnia powiedział mi, że mam być przygotowany na wszelką ewentualność, ponieważ myślą o porwaniu mnie ze szpitala. W dwa dni potem siostra-pielęgniarka, Władysława *Jasińska,* wręczyła mi w największej tajemnicy pakiecik z trucizną. Było oczywiste, że gdyby ucieczka się nie udała, lepiej się otruć, niż być zatłuczonym na śmierć, torturowanym lub rozstrzelanym.

Dnia 29 czerwca lekarze więzienni, dr *König* i internista dr *Szendzikowski* odbywali swą zwyczajną wizytę poranną i około godziny wpół do dwunastej opuścili salę. Ponieważ operacja wyczerpała mnie bardzo, kilka pierwszych kroków koło łóżka zrobiłem dopiero dnia

[9] Była to jedna z pamiętnych publicznych egzekucji w tym mieście (na rogu ul. Botanicznej). Dnia 26 maja 1944 roku ruch oporu zlikwidował starszego przodownika *Schutzpolizei, Schönwalda* oraz dra *Hoffa* z *Ostinstitut* w Krakowie. Nazajutrz hitlerowski „sąd doraźny" przy komendanturze *Sicherheitspolizei* i *Sicherheitsdienst* „dyskryktu" krakowskiego przeznaczył na śmierć grupę więźniów różnych zawodów. Byli wśród nich neuropsychiatra dr Adam *Gradziński* i lekarz weterynarii Alfred *Jerzykiewicz.* Listę rozstrzelanych podał ostatnio Dziennik Polski, 1969, nr 124, s. 3 (przyp. red.).

poprzedniego. Nagle usłyszałem wystrzał. Myśląc, że to obława na przystanku tramwajowym przed szpitalem, nie podniosłem się. Drzwi sali z trzaskiem się otwarły, wpadł młody mężczyzna z „rozpylaczem" i krzyknął: „Napad!", potem do mnie: „Jak się pan nazywa?!" — „Bernard". — „Wstawać, nie denerwować się, wszystko gotowe!"; dwaj inni więźniowie powstali także, dwaj *volksdeutsche* zostali. Na podwórzu około 20 policjantów leżało z nosami w ziemi, a młody człowiek stał z „rozpylaczem" nad nimi. Uciekło nas wtedy 11 mężczyzn i 2 kobiety, przysłane z Oświęcimia na rozwiązanie do szpitala. Nas załadowano na auto, kobiety z dziećmi (jedno miało 3 dni) wyszły niespostrzeżenie.

Przez 10 dni ukrywałem się u Polaków, ludzi zupełnie mi nieznanych, którzy żywili mnie i opiekowali się mną najserdeczniej. Potem wręczono mi najprawdziwszą *kennkartę* z odciskiem mych własnych palców na nazwisko „Jacek Ludwik Głowacki". Ucieczka i *kennkarta* były dziełem księdza prałata *Archutowskiego,* księdza prof. dra *Salamuchy* i księdza doktora Jana *Mazerskiego,* docenta UJ. Dzięki staraniom dra Tadeusza *Pawlasa,* profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a osiadłego od maja 1944 roku w Warszawie, dostałem się do Szpitala Dzieciątka Jezus i tam, dobrze ukryty, spędziłem w spokoju trzy tygodnie.

Dnia 1 sierpnia wybuchło powstanie. Przez 24 godziny byliśmy w ogniu i mieszkaliśmy w piwnicy. Potem wypędzili nas stamtąd Niemcy i zawieźli do Pruszkowa. Z obozu udało mi się uciec po dwóch godzinach. Po nocy spędzonej w szpitalu dla umysłowo chorych w Tworkach dostałem się do szpitala w Milanówku, gdzie pozostałem do 4 października 1944 roku. W tym dniu zabrał mnie do siebie inż. Julian *Rutkowski,* mój były uczeń z UJ i ukrywał mnie aż do dnia wejścia Armii Czerwonej, tj. do 17 stycznia 1945 roku.

Do Krakowa mogłem powrócić dopiero 26 lutego. Nazajutrz po powrocie zgłosiłem się na UJ i Akademię Handlową, by podjąć normalną pracę.

VILIM FRANČIĆ
były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen

Kraków

Organizacja więźniów — profesorów w obozie Sachsenhausen

Losy uczestników tragicznej *Aktion gegen Universitätsprofessoren,* prowadzonej w aktach osławionej *geheime Staatspolizei* pod hasłem *Sonderaktion Krakau,* aresztowanych w dniu 6 listopada 1939 roku w Uniwersytecie Jagiellońskim pracowników naukowych najstarszej uczelni polskiej i 17 profesorów Akademii Górniczej wywiezionych do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburg (40 km na północ od Berlina), a następnie pozostałych młodszych kolegów skierowanych do Dachau, niektórych indywidualnie do Mauthausen i Buchenwaldu, przedstawili w swych wspomnieniach, pamiętnikach i pracach profesorowie E. *Brzezicki,* J. *Gwiazdomorski,* Wł. *Konopczyński,* W. *Krzyżanowski,* J. *Miodoński,* St. *Pigoń,* St. *Skowron,* K. *Stołyhwo,* St. *Urbańczyk.* Szczegółową bibliografię literatury o obozie Sachsenhausen podaje Księga pamiątkowa II krajowego zjazdu byłych więźniów Sachsenhausen [1]. Celem moim jest przedstawienie szczegółów wewnętrznej organizacji grupy profesorskiej, dopóki pozostawała ona w całości, tzn. od czasu jej powstania (tj. 8 listopada 1939 roku) do czasu uwolnienia starszych profesorów (urodzonych przed rokiem 1900, a zatem liczących najmniej lat 40) oraz podanie informacji dotyczących późniejszych starań w Berlinie w sprawie zwolnienia młodszych kolegów, których przewieziono w marcu 1940 roku do obozu koncentracyjnego Dachau w Bawarii.

Niektórzy z wymienionych autorów wspominają pewne fragmenty tej naszej własnej organizacji na tle całokształtu życia i urządzeń obozowych. Niniejszy szkic ma dać obraz naszych stałych usiłowań wyjścia poza ramy surowego, nieludzkiego regulaminu obozowego; środkiem do tego celu była ochrona życia przez celowe oszczędzanie sił fizycznych i utrzymanie spoistości grupy (sekcja organizacyjna), pomoc socjalna, w miarę możności łagodząca klęskę głodu, pomoc finansowa kolegom, wreszcie podtrzymywanie zainteresowań naukowych, zwłaszcza młodszej kadry (sekcja naukowa).

Gdy całą grupę profesorską — z dołączo-

[1] Sachsenhausen. W 25 rocznicę aresztowania profesorów uczelni m. Krakowa 1966, s. 125 i następne. Kilka prac na ten temat ogłosił „Przegląd Lekarski — Oświęcim"; są one wymienione na końcu niniejszego zeszytu w spisie treści poprzednich „oświęcimskich" wydań specjalnych. Zob. też J. *Zaborowski,* S. *Poznański: Sonderaktion Krakau.* W dwudziestą piątą rocznicę 6 listopada 1939. Warszawa 1964, wyd. ZBoWiD. Zob. ponadto: Sześćsetlecie medycyny krakowskiej. Tom II: Historia katedr. AM, Kraków 1964, s. 139. — Ostatnio wznowiono książkę S. *Urbańczyka*: Uniwersytet za kolczastym drutem (Sachsenhausen—Dachau). Wyd. 2 poszerzone, Wydawn. Literackie, Kraków 1969.

nym do niej wiceprezydentem Krakowa, drem St. *Klimeckim*, po raz drugi zaaresztowanym w domu — nazajutrz po nocy spędzonej na Montelupich przewieziono do koszar 20 pułku piechoty (niedawnego obozu jeńców-oficerów polskich), po czym przekazano ją majorowi z *Wehrmachtu*, Austriakowi. Ten oddał nam — więźniom gestapo! — do użytku kilka sal z półkami i siennikami na II piętrze i zezwolił według własnego uznania w spokoju i bez krzyków towarzyszących każdemu wystąpieniu esesmanów rozlokować się, pozostawiając swobodę ruchu w obrębie koszar, a później i dziedzińca. Służbę pełnili żołnierze *Wehrmachtu*, raczej życzliwie do nas usposobieni. Jeńcy-żołnierze polscy spełniali czarną robotę także w tej części koszar, którąśmy zajmowali.

Tegoż popołudnia prof. *Konopczyński*, historyk, na gorąco sporządził dokument (obecnie w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego) tego niebywałego w dziejach faktu, bezprecedensowego nie tylko w uczelni Kazimierzowskiej, ale też żadnej wyższej szkoły w świecie, faktu aresztowania przez okupanta całego uniwersytetu. Nie trzeba zapominać, że przedwojenna *Alma Mater* obejmowała także Wydział Lekarski z Oddziałem Farmaceutycznym, Instytutem Stomatologicznym i Studium Wychowania Fizycznego (obecnie Akademia Medyczna oraz Wyższe Studium Wychowania Fizycznego), jak też Wydział Rolniczo-Leśny (obecnie Wyższa Szkoła Rolnicza). Z Wydziału Lekarskiego uwięziono wówczas 24 profesorów i docentów oraz 4 adiunktów i asystentów.

Na tym dokumencie historycznym prof. *Konopczyńskiego* umieściło swe podpisy 172 pracowników naukowych (w czym 17 Akademii Górniczej, obradujących w innej części gmachu nad sprawami swej uczelni oraz 4 profesorów Wyższego Studium Handlowego, ale równocześnie wykładających jako docenci w UJ). Nadto aresztowano 12 osób przypadkowo znajdujących się w gmachu, bądź przed uczelnią, mianowicie 2 urzędników administracji UJ, 2 studentów UJ, 5 nauczycieli szkół średnich, 1 byłego kuratora, 1 inżyniera i 1 przechodnia. Wśród tych 172 pracowników naukowych było 18 aktualnych lub byłych rektorów, 50 dziekanów lub prodziekanów (aktualnych lub byłych), 75 profesorów honorowych, zwyczajnych i nadzwyczajnych, (łącznie z rektorami i dziekanami), 27 docentów, 26 adiunktów i asystentów i 8 lektorów. Wśród tych osób znajdował się prezes Polskiej Akademii Umiejętności, prof. St. *Kutrzeba* (prawnik) i jego poprzednik, prof. K. *Kostanecki* (dr med. i chirurgii, prof. honorowy anatomii), jej sekretarz generalny, prof. T. *Kowalski* (orientalista) i prawie cały zarząd tej najwyższej instytucji naukowej Polski. Wśród profesorów, nie licząc członków ścisłego prezydium, było członków (rzeczywistych lub korespondentów) Polskiej Akademii Umiejętności 26, Polskiej Akademii Nauk Technicznych 5, Polskiej Akademii Literatury 1, zagranicznych akademii nauk 15, doktorów *honoris causa* uniwersytetów krajowych i zagranicznych (Budapeszt, Aberdeen, Genewa, Padwa, Strasburg) 10, członków międzynarodowych instytucji naukowych 16.

Byli między nimi uhonorowani orderami *Polonia Restituta*, Krzyżami Walecznych, Krzyżami Niepodległości, Złotymi Krzyżami Zasługi, komandoriami, krzyżami oficerskimi, kawalerskimi orderów zagranicznych: francuskiej Legii Honorowej, *Corona d'Italia*, norweskiej Gwiazdy Polarnej, fińskiej Białej Róży, łotewskiej Trzech Gwiazd, węgierskiego Krzyża, Gwiazdy rumuńskiej i rumuńskiego *Meritul Cultural*, Białego Lwa Czechosłowacji, bułgarskim orderem Zasługi Obywatelskiej, jugosłowiańskiej Korony i jugosłowiańskim orderem św. Sawy.

Tego samego dnia wybieramy komendantów sal, a ci z kolei ustalają głównego organizatora, męża zaufania, „starostę" tej niezwykłej grupy. Ten nad wyraz ciężki obowiązek nałożono na mnie, znanego rektorowi prof. T. *Lehr-Spławińskiemu* i byłemu rektorowi prof. St. *Maziarskiemu* z różnego rodzaju inicjatyw na terenie uniwersyteckim.

Miałem za sobą liczne „reprezentacyjne" wycieczki młodzieży szkół średnich z całej Polski (każda przeszło 180 osób), z poparciem Ministerstwa Oświecenia Publicznego, w okresie międzywojennym po Europie (do Włoch, do Francji, do „czterech stolic": Budapesztu, Belgradu, Sofii i Bukaresztu), intelektualistów śląskich do Jugosławii, młodzieży śląskiej do Czechosłowacji, młodzieży akademickiej na kolonie nad Adriatykiem. Przygotowałem w stolicach bałkańskich razem z literatem Adamem *Polewką* oraz sekretarzem UJ, drem Janem *Regułą* występy teatru studentów UJ, wystawiającego L. H. *Morstina* „Kłos panny" (rzecz o *Koperniku*). Jan *Wiktor*, który towarzyszył później temu zespołowi, napisał książkę pt. „Od Dunaju po Jadran" (1938). Organizowałem w sali Kopernika UJ „wieczory słowiańskie", cieszące się frekwencją studentów i osób z miasta.

Ta przeszłość organizacyjna oraz publicystyka słowiańska, którą w okresie międzywojennym uprawiałem i odczyty w Radio krakowskim, przy którego założeniu współdziałałem z prof. geologii J. *Nowakiem* (jego dyrektorem programowym, a w listopadzie 1939 r. współwięźniem) i drem *Regułą*, zadecydowały o mym wyborze. W tym nowym charakterze przedstawiłem się komendantowi naszego obecnego obozu jeńców. Ten już przedtem odnosił się ze współczuciem do grupy naukowców krakowskich, nie aprobując w skrytości ducha postępku gestapo, ale też, jak wynikło z rozmowy, obawiając się jak ognia esesmanów. Uwzględnił on naszą prośbę o zaopatrzenie w odpowiednie naczynia i przybory do jedzenia. Dosłownie po dwóch godzinach otrzymaliśmy nowe menażki oraz sztućce, przypuszczalnie doraźnie „zarekwirowane" w najbliższym żydowskim sklepie żelaznym.

Dla dra M. *Ciećkiewicza*, delegata PCK, należało sporządzić spisy chorych i starszych profesorów w celu wszczęcia przez tę organizację starań o ich zwolnienie, a także zorganizować zbadanie ich przez PCK. Z tej listy zwolniono później jako chorych jedynie prof. St. *Ciechanowskiego* (anatomia patologiczna) i prof. W. *Wilkosza* (matematyka). Trzech Ukraińców: prof. J. *Ziłynskiego* (języki ruskie), I. *Czopiwski-Feszczenkę* (profesora obróbki termicznej i stali specjalnej) i M. *Czyżewskiego* (docenta koksownictwa i technologii ciepła i paliwa) uwolniono dzięki interwencji kół ukraińskich, wśród których „wypłynął" docent UJ, W. *Kubijowicz* (antropogeograf Europy wschodniej) w nowej, a nie znanej dotąd kolegom postaci zagorzałego nacjonalisty ukraińskiego. Przy tej sposobności

zwolniono w godzinie wywożenia nas do więzienia do Wrocławia — potrzebnego Niemcom prof. J. K. *Kostrzewskiego* (choroby zakaźne) i st. asystenta, Z. *Przybyłkiewicza* (bakteriologa, obecnie profesora), nadto profesora germanistyki A. *Kleczkowskiego* oraz nie należącego do grupy więźnia A. *Zechentera*, emerytowanego wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w Katowicach.

Prośbie naszej o zezwolenie rodzinom aresztowanych dostarczenia przedmiotów codziennego użytku, bielizny itp. uczyniono zadość. Doręczanie paczek odbyło się przy asyście esesmanów, którzy przeprowadzali niezbyt ścisłą rewizję. Ale widzenie z żonami następnego dnia nie doszło do skutku, ponieważ esesmani nie zjawili się w koszarach, a komendant obozu zezwolił tylko, by jeńcy polscy (żołnierze) odbierali od stojących przed bramą pań (odpowiednio pouczonych) paczki i doręczali je więźniom, przebywającym w budynku. Później major miał do nas pretensję, że nie przestrzegamy regulaminu, gdyż zdarzały się wypadki usiłowania przemycenia listów przekazywanych przez profesorów tą samą drogą swoim rodzinom. Ponieważ jednak tych paczek nie rewidowali esesmani, którzy zawsze stosowali odpowiedzialność zbiorową, incydent nie pociągnął za sobą przykrych następstw.

W minorowym nastroju wyjeżdżaliśmy 9 listopada z Krakowa „w nieznane", oczyma żegnając swych najbliższych, gromadzących się pod koszarami, gdyż nie pozwolono im podejść nawet do rampy kolejowej. Z podróży tej pozostał mi w pamięci szczególnie jeden epizod, który w najcięższych chwilach w obozie koncentracyjnym był moją dźwignią. W przedziale, którym jechałem, było nas wyjątkowo sześciu, zamiast ośmiu, a rozmowa dotyczyła naszej najbliższej, wciąż nadal ciemnej przyszłości; w pewnej chwili prof. J. *Dąbrowski* (historyk, sekretarz PAU), kiedy dojeżdżaliśmy do Wrocławia, zaczął zastanawiać się głośno, czy przyszły traktat pokojowy, przyjmując rzekę Odrę za granicę polsko-niemiecką, przyzna Polsce cały Wrocław, czy tylko terytorium po prawej stronie rzeki, a więc przepołowi to miasto, jak w roku 1920 przecięto inne miasto, Cieszyn — Český Těšin.

Uderzyło mnie to rozumowanie historyka w chwili, gdy przecież już nie było państwa polskiego; jego ziemie były zajęte przez odwiecznego wroga; my osobiście, pozbawieni wolności, dążymy do kresu, skąd nie ma powrotu, a oto historyk przewiduje, że Polska zwycięsko wyjdzie z tej wojny, odzyska ziemie dawniej do niej należące i przesunie swe granice na Zachodzie! Później w obozie również inni historycy, *Konopczyński, Piwarski, Lepszy*, byli raczej, jak *Dąbrowski*, optymistycznie nastawieni co do przyszłości Polski, mniej co do naszych losów. Nie można było tego powiedzieć o licznej grupie pesymistów. Na tych wątpiących dodatnio oddziaływały codzienne Kazia *Piwarskiego* omówienia niemieckich komunikatów wojennych i interpretacja artykułów dzienników oraz podawanie „paroli", podtrzymujących ducha i nadzieje.

Tymczasem panoszył się faszyzm, ujarzmiający wszystkie postępowe siły narodowe, przy czym na własnych plecach (jakże boleśnie!) odczuliśmy jego niemiecką odmianę: hitleryzm jako formę ustroju III Rzeszy niemieckiej. Poznały także i inne narody europejskie całą brutalność i bezwzględność brunatnego faszyzmu, opierającego się w swych imperialistycznych hasłach i praktyce na teoriach rasistowskich i głoszącego wyższość rasy nordyckiej, uprawniającą ją do panowania nad innymi. *Herrenvolk!* Wszelkie miejsca odosobnienia, jak to powszechnie — ale tylko w Europie! — wiadomo, czy się one nazywały obozami pracy, czy koncentracyjnymi, czy też obozami zagłady, miały jeden cel: drogą nadmiernego wysiłku i przez rozpaczliwe warunki egzystencji doprowadzić ludzi do całkowitego wyczerpania fizycznego, a w następstwie do śmierci.

We Wrocławiu — następnym etapie troską i niepokojem napawającej podróży — nie można było utrzymać łączności, ponieważ osadzono nas w dwóch oddalonych od siebie więzieniach. Natomiast w więzieniu na *Freiburgerstrasse* udało się zachować kontakt między poszczególnymi celami dzięki więźniom-robotnikom i kapelanowi więziennemu. Do osobistych kontaktów dochodziło podczas wspólnych, obowiązkowych przechadzek na dziedzińcu.

Przedsmak przyszłych udręczeń poczuliśmy przy wyjeździe z Wrocławia, a szczególnie w drodze od przystanku kolejowego Sachsenhausen do obozu i w czasie przyjęcia do tego „wzorcowego *lagru*", w którym „naukowo" opracowywano dla obozów w całej Rzeszy, a później i krajów zagrabionych recepty masowego mordu i szkolono przyszłych katów podbitych narodów.

Byłem jednym z pierwszych, którzy się znaleźli — już w obozowym „mundurze" — po „kąpieli" i ostrzyżeniu, jak też wypełnieniu karty osobowej, przed barakiem przyjęć. Tu stał już *Job*, więzień, nasz izbowy, z którym — a właściwie pod którym — mieliśmy przeżywać naszą złą dolę. Z rozmowy z nim wynikło, że tkwił on w tym obozie od roku 1933, zatem aż sześć lat od czasu, gdy *Hitler* doszedł do władzy przez połączenie urzędu prezydenta Rzeszy i szefa rządu i przyjął jako dyktator tytuł *führera* narodu. *Job* jako komunista znalazł się w obozie; żona nie wiedziała, czy w ogóle mąż żyje, gdyż nie wolno mu było utrzymywać łączności ze światem. Nie wydawało mi się rzeczą prawdopodobną, by można przetrwać w obozie 6 lat, przeczyły temu bowiem obserwacje poczynione już w czasie tych pierwszych dwóch godzin pobytu.

Job zapoznał mnie z organizacją samorządu więźniarskiego, a później ze starszym obozu, *Harrym*. *Job*, zwykły robotnik, okazał się dobrym towarzyszem niedoli. Nie pozbawiony ludzkich cech mimo długotrwałego przebywania w obozie, okazywał pomoc całej grupie i był wyrozumiały wobec starszych panów i ich uchybień w przestrzeganiu regulaminu obozowego, co wszyscy autorzy pamiętników zgodnie podkreślają. W stosunku do mnie jako „starosty" grupy był zawsze pełen względów i dzięki jego radom i znajomościom udawało się wyzyskać pewne właściwości systemu obozowego dla zapewnienia bodaj minimalnych ulg, szczególnie profesorom po sześćdziesiątce i chorym. Po zwolnieniu z obozu napisałem do żony *Joba*, podając jej uzgod-

niony z nim sposób nawiązania kontaktu z mężem. Postępując ściśle według wskazówek, uzyskała ona tę łączność, o czym mnie powiadomiła listownie, dziękując za pomoc.

Organizacja więźniarska — starsi obozu, blokowy, izbowi (ci „polityczni") — byli życzliwie do naszej grupy nastawieni. Służba izby — „aspołeczni" (także „szarża" w bloku!) — dawała często powód do skarg. Obaj, *der grosse* i *der kleine Peter*, pozostawali ze mną w dobrych stosunkach ze względu na to, iż świadczenia i usługi (w kantynie) i pośrednictwo w sprawach kolidujących z regulaminem (wiadomo, iż on na nic nie zezwalał więźniowi), ale korzystnych dla życia ludzkiego i przedłużenia wegetacji więźnia, zbliżały nas nawzajem w tym obozowym mechanizmie ze względu na obopólne, naszej grupy i ich korzyści. Dzięki wtajemniczeniu mnie i stałemu wtajemniczaniu przez *Joba* w arkana życia obozowego i procesów systemu hitlerowskiego usuwania przeciwników z drogi zapoznałem się szybko z całym aparatem „samorządowym" i poznałem główne jego sprężyny. Wówczas też uświadomiłem sobie, że tylko solidarność skazanych na powolną śmierć, bratnia dłoń podana w najcięższej chwili i serdeczne słowo przyjaciela mogą ulżyć w cierpieniu w tym, jak to nazwał *Pigoń, pandemonium* i osłodzić bodaj ostatnie chwile.

Starszy obozu (*lagerälteste*), więzień polityczny (a było nadto dwóch, „aspołecznych"), Niemiec, *Harry Naujoks*, zachodził do naszego bloku, interesując się niezwykłym — także dla niego — składem grupy krakowskiej. Był on śmiałym obrońcą wszystkich więźniów przed sadystycznie i brutalnie postępującym głównym zarządem obozu, jak również przed esesowską załogą strażniczą. Stale balansował nad przepaścią i żył pod grozą śmierci. Kilka razy ostrzegał przed zaostrzanym kursem i dawał ostrożne rady, które okazywały się zawsze zbawienne.

Z *Harrym Naujoksem* spotkałem się powtórnie w roku 1964 w Berlinie. Tworzył się mianowicie Międzynarodowy Komitet Byłych Więźniów Politycznych Sachsenhausen. Do stolicy Niemiec zjechały delegacje Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Francji, Holandii, Luksemburga, Jugosławii, Norwegii, NRD, NRF, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Węgierskiej Republiki Ludowej i ZSRR. Delegacji polskiej przewodniczył rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Stanisław *Turski*, były „sachsenhauzeńczyk" i „dachauczyk". Ja reprezentowałem Uniwersytet Jagielloński i Klub Sachsenhausen przy Zarządzie Okręgu ZBoWiD w Krakowie. Delegacja polska pobrała procych pokojowi i wolności odwetowców i militaryktóre przewiozłem do Krakowa w urnie, złożonej następnie w mauzoleum na Cmentarzu Rakowickim.

W delegacji z NRF zobaczyłem po latach *Harrego*. Oczywiście nie mógł mnie on zapamiętać ani z fizjognomii, ani z nazwiska, byłem bowiem jednym spośród 13 tysięcy ludzi, którzy w grudniu 1939 roku przebywali w obozie, a przecież pozostał on jeszcze cztery lata w Sachsenhausen; przez ten okres jego „kadencji" liczba skazańców przekroczyła już 100 000. *Harry* był „prominentem", a przypominał sobie dobrze grupę „krakauerów" i pamiętał, że ktoś kontaktował się z nim w jej imieniu, *„aber kein mit* -ski". Szczerze się ucieszył, gdy oznajmiłem, że ten *kein auf* -ski, to właśnie ja. *Harry* stale mieszka w Hamburgu; jest czynny w ruchu byłych więźniów politycznych, walczących o usunięcie z aparatu państwowego i wojska dawnych esesmanów, zagrażających zamęczonych w obozie profesorów krakowskich, stów [2].

Udało nam się zorganizować sekcję pomocy socjalnej, czynną przez cały czas naszego pobytu w Sachsenhausen, a dzięki dobrym stosunkom z „szarżami", *Jobowi* i służbie izby wyzyskano dostępne nie dla wszystkich możliwości obozowe, np. zakupywano wszystkie atrakcyjniejsze towary w kantynie obozowej i to poza kolejką, a także produkty nie wykupione w terminie przez bloki najczęściej z powodu braku pieniędzy. W kantynie był np. kratkowany papier; zakupiony przez „Wielkiego Piotra", został z entuzjazmem przyjęty przez naszych kolegów, matematyków F. *Leję* i T. *Ważewskiego* oraz astronoma *Banachiewicza*, którzy odtąd wiele czasu spędzali na obliczeniach i na rozwiązywaniu zadań matematycznych.

W grupie profesorów można było wyróżnić starszych (przeszło 60-letnich) i najczęściej chorych, wymagających opieki, o której w warunkach obozowych nie było mowy. Wiek i choroba, niemożność dostosowania się do nader uciążliwych warunków nie życia, lecz wegetacji, powodowały, że niektórzy szybko tracili wytrzymałość także duchową. Ulegali oni apatii wypływającej z beznadziejności położenia i szybko dogasali. Komisja pomocy, do której należeli profesorowie L. *Piotrowicz* i Wł. *Wolter*, miała z tą kategorią kolegów wiele pracy; należało zapewnić im szczególną opiekę w postaci stałych opiekunów, lepsze odżywianie, możliwy spokój. Młodsi koledzy, asystenci i docenci, samorzutnie sami wybierali każdy po jednym chorym, załatwiali tysiące drobiazgów codziennych, oszczędzając wysiłku wyczerpanym, nosili ich często na własnych plecach lub prowadzili na apele i odprowadzali do bloku, wieczorem układali do snu itp. Prof. *Brzezicki* szczególnie poświęcił sie tej grupie kolegów, a dzięki swym kontaktom z „rewirem" był prawdziwym błogosławieństwem dla kolegów nie mających możności ratowania swego zdrowia. Z tej grupy (około 25 ciężko chorych) w pierwszych czterech tygodniach pobytu w obozie w nieludzkich, niejednokrotnie już opisywanych warunkach zmarło 11 profesorów UJ oraz 2 z AG, a 4 bezpośrednio po powrocie do Krakowa. Wskutek zrujnowanego zdrowia, którego mimo najstaranniejszej opieki lekarzy nie dało się skutecznie ocalić, żniwo śmierci w UJ było szczególnie obfite: „w czasie wojny zmarło przeszło 60 członków grona nauczającego i trzech — i to najwybitniejszych — urzędników administracji Uniwersytetu" [3].

Chorzy i starsi przede wszystkim byli

[2] H. *Naujoks*: Das Gestern soll nicht das Heute bestimmen. Dortmund-Barop 1962.

[3] Przemowa rektora T. *Lehra-Spławińskiego* w czasie inauguracji pierwszego po wojnie roku akademickiego z 19.III.1945 r. Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego za okres wojny 1939—1945. Kraków 1946.

uwzględniani przy „nadprogramowych" zakupach i w rozdziale „zorganizowanej" (własnym przemysłem zdobytej) żywności, jak np. bulion z kantyny esesmanów. Papierosów („towar" najbardziej poszukiwany i najdroższy w obozie) po cenie fabrycznej plus 15% „za fatygę" i ryzyko dostarczali nam więźniowie wychodzący do pracy poza obóz i spotykający się z robotnikami z Berlina. Np. na Sylwestra 1939 roku miałem w swoim „szpindzie" (szafce) około 150 (!) pudełek papierosów (własność grupy), co oczywiście było przekroczeniem regulaminu i groziło „bunkrem". Miałem niespokojną noc w obawie przed rewizją, ale nazajutrz po apelu każdy palący otrzymał jedno pudełko. Papierosami tymi obdarował też rektor *Spławiński* kierownictwo licznej (1 200 osób!) grupy studentów czeskich, składając im życzenia noworoczne przed naszym barakiem.

Po połączeniu w jednym baraku całej grupy miałem do dyspozycji 10 kocy dodatkowych. Wieczorem, przed pójściem do sali sypialnej otrzymywali je najciężej chorzy, niekiedy już dogorywający. *Job* — o dobrym sercu — postarał się o te dodatkowe koce.

Wśród nas było kilka osób w ogóle bez pieniędzy. Komisja socjalna nie zostawiła ich bez pomocy, przydzielając im „pożyczki" w określonej wysokości ze wspólnej kasy. Powstała ona z wpłat poszczególnych członków na swoje konto. Komisja dysponowała wydatkami, niejednokrotnie bowiem należało nagle wyłożyć pewną kwotę na niespodziane zakupy, czy płatne przydziały chleba, na prenumeratę gazet (oczywiście tylko nazistowskich i to przez komendanturę obozu), papier listowy i znaczki pocztowe i inne nieoficjalne wydatki, jak np. „podarunki" świąteczne dla „szarż" blokowych. Po każdej wypłacie pieniędzy przysyłanych przez rodzinę wszyscy wpłacali na swe konto 2 marki, a wspólna kasa pokrywała wspólne wydatki. Na każdego „obozowicza" przypadało kilkadziesiąt fenigów, a o drobne pieniądze było trudno, ponieważ wypłacano monetami 5- i 10-markowymi. Ja prowadziłem „księgowość" i wypłacałem gotówkę. Z tej wspólnej kasy komisja przydzielała zapomogi jako „pomoc koleżeńską". Kasa niekiedy wynosiła do 150 marek. Ponieważ każdy posiadający więcej niż 10 marek był podejrzany o ucieczkę, nie mogłem nosić swej kasy na apele. Pragnąc schować pieniądze w „pewne" miejsce, wychodziłem z baraku jako jeden z ostatnich. Raz, wróciwszy z apelu, nie znalazłem „banku" w upatrzonym sienniku. Zmieniałem skrytki, toteż nie mogłem natrafić na ostatnią. Dopiero po kilku godzinach udało mi się ją odnaleźć.

Sekcję odczytową tworzyli profesorowie Wł. *Konopczyński* i A. *Heydel*. Odczyty, a właściwie pogadanki odbywały się prawie codziennie, po dwie równocześnie, przy różnych stołach, przy których gromadzili się słuchacze o coraz to innym składzie osobowym. Nadto pod auspicjami tej komisji odbywały się lekcje języków obcych (tureckiego, węgierskiego, francuskiego i czeskiego) oraz stenografii. Jakiś czas był prowadzony kurs ogólny języka niemieckiego przez nauczyciela gimnazjalnego, T. *Bilińskiego*, aresztowanego 6 listopada w Uniwersytecie, a kurs wyższy przez prof. W. *Woltera*, następnie niedługo przez rodowitego Niemca, również nauczyciela gimnazjalnego, więźnia Sachsenhausen. Do wspomnianej sekcji należała także organizacja akademii ku uczczeniu pamięci zmarłych: *Estreichera* (przemawiali prezes PAU *Kutrzeba*, I. *Chrzanowski* i *Heydel*), *Smoleńskiego* (przemawiali *Banachiewicz, Chrzanowski, Siedlecki, Leszczycki* i *Ormicki*), ku czci *Siedleckiego* i wreszcie *Chrzanowskiego*. Szczególnie pociągały wykłady *Chrzanowskiego* (o *Orzeszkowej, Sienkiewiczu,* Młodej Polsce), *Siedleckiego* (o jego podróży do Egiptu, wspomnienia osobiste o *Asnyku* i *Wyspiańskim*), *Heydla* (o podróży jego do Ameryki), *Konopczyńskiego* (cykl wykładów o konfederacji barskiej). Sekcja odczytowa doborem tematów i zakresem dziedzin naukowych podtrzymywała zainteresowania naukowe, szczególnie u młodych kandydatów, a starsze pokolenie wprowadzała w dziedziny, którymi się ono dotychczas zwyczajnie mało lub wcale nie zajmowało.

Komisja organizacyjna starała się tak unormować życie wewnątrz naszej grupy, aby nie trzeba było korzystać z ingerencji organizacji więźniowskiej. Uwzględniając możliwości starszych panów, rozdzielano pracę porządkową w baraku na okres trzech dni. Przydział pracy trochę bardziej uciążliwej, bo połączonej z wyjściem z baraku i narażającej na zetknięcie się z oprawcami (przyniesienie chleba, dźwiganie kotłów z jedzeniem do 100 kg każdy, przynoszenie czystej bielizny, nocne skrobanie ziemniaków itp.), nie budził entuzjazmu, a nawet wywoływał sprzeciwy, ale ostatecznie, ponieważ grupa najstarszych i chorych była zwolniona od wszelkich prac, polecenie zawsze wykonywano.

Troska o utrzymanie spoistości grupy nakazała komisji wystąpić energicznie przeciw naciskowi — zaraz po przybyciu do obozu — na rektora *Lehra-Spławińskiego*, by zwrócił się z odpowiednim memoriałem do władz niemieckich. Inicjatorzy tego pomysłu nie wiedzieli, że już przed wojną był szczegółowo opracowany program budowy 1000-letniej Rzeszy i militarystyczno-nacjonalistycznego urządzenia „Nowej Europy". *„Generalplan Ost" Hansa Ehrlicha*, przyjęty przez rząd niemiecki jeszcze przed rokiem 1939 do realizacji według „memoriału *Wetzla*", przewidywał w odniesieniu do Polski przesiedlenie 80—85% Polaków (około 20 milionów) i rozmieszczenie wśród większości niemieckiej 3—4 milionów chłopów polskich nadających się do zniemczenia. Polityka wobec Polaków i postępowanie eksterminacyjne były z góry przesądzone.

Dnia 3 grudnia przybył do naszego bloku pisarz śląski Gustaw *Morcinek*, poszukiwany przez gestapo za jego działalność literacką. Podczas przesłuchania *Morcinek* podał do protokołu swe pierwsze imię (August) i z tym

imieniem przywędrował do nas z obozu w Skrochowicach na Śląsku. Niemcy, poszukujący „Gustawa" nawet w obozach (także w Dachau, dokąd został przywieziony 5.III. 1940 roku), nie łączyli imienia Gustawa *Morcinka,* autora „Wyrąbanego chodnika", z więźniem Augustem *Morcinkiem*, dzięki czemu Gustaw przetrwał cztery lata aż do wyzwolenia obozu przez Amerykanów. Z tą samą opawską partią przybył także dobrze znany krakowianom Kazio *Dobija,* były dyrektor administracyjny „Ilustrowanego Kuryera Codziennego". Razem z *Morcinkiem* przyjęliśmy go do naszej grupy „krakauerów".

Wspomniani uprzednio studenci czescy, korzystając z pewnych ulg, odbywali w „godzinach pracy" codziennie po rannym apelu marsze po obozie w zwartej formacji. Powstał projekt, by nasza grupa również mogła korzystać z tego rodzaju przywileju. „Szarże" porozumiały się ze sobą, toteż mogliśmy i my w zwartym oddziale korzystać ze „spaceru". Chorzy i nie mający ochoty na „przechadzkę" zostawali w baraku po rannym i południowym apelu.

Na komendę *„Direktion Gärtnerei, marsch!"* oddział ruszał, omijając starannie regiony, w których by mógł spotkać esesmana. Profesorowie, starając się iść w takt powtarzanych *„einz, zwo, drei, vier!"*, oswajali się z komendą niemiecką (bo tylko taka istniała), z jaką spotykali się na apelach. W ustronnym miejscu odbywały się ćwiczenia: *Stillgestanden!* (baczność!), *rührt euch!* (spocznij!), *Mützen ab!* (czapki zdjąć!), szczególnie ważne przy spotkaniach z gestapowcem, ale najczęściej „odchodziła" pogwarka na wolnym powietrzu. *„Franczyczku,* zakomenderujcie raz «kierunek Kraków!», bo nam się tu już przykrzy" — zwykł był mawiać prof. K. *Dawidowski*, były rektor AG. Nadeszła i taka chwila, gdy opuszczając barak i obóz mogłem spełnić życzenie *Dawidowskiego* i nas wszystkich: „Baczność, kierunek Kraków, marsz!" — rozległa się komenda polska. A przed barakiem patrzało ze łzami w oczach na nas odchodzących na upragnioną wolność 43 młodszych kolegów, którzy poszli na dalszą tułaczkę i kośćmi swymi znaczyli szlak męczeństwa Polaków, i 11 starszych, którzy wkrótce za nami — każdy oddzielnie — mieli podążyć.

Po powrocie do Krakowa rektor UJ i prezes PAU zastanawiali się, jak można by pomóc pozostałym 43 młodszym kolegom, przewiezionym zresztą już w marcu 1940 roku do Dachau (starsi koledzy, zatrzymani w Sachsenhausen, zaczęli indywidualnie wracać do Krakowa). Korzystając z okoliczności, iż posłem wówczas jeszcze neutralnej Jugosławii był *Ivo Andrić,* były student polonistyki krakowskiej (pisarz, którego *„Ex Ponto"*, pamiętniki w lirycznej prozie z czasów jego pobytu w więzieniu w Mariborze podczas pierwszej wojny światowej w polskim przekładzie ogłosiłem już w roku 1922 w krakowskiej „Nowej Reformie" w dwa lata po ich ukazaniu się w Zagrzebiu), postanowiono prosić go także — obok innych przychylnych UJ i Polakom zagranicznych instytucji i osobistości — o interwencję u Niemców. Miałem wyzyskać osobistą znajomość z *Andriciem* i ustnie przedstawić mu całą sprawę. Oczywiście należało działać ostrożnie, gdyż nie ulegało wątpliwości, że korespondencja — szczególnie z GG — z przedstawicielami obcych państw w Berlinie jest poddawana skrupulatnej kontroli.

Napisałem do *Andricia* do Berlina, że „wróciłem po dłuższej nieobecności do Krakowa" (o fakcie naszego i między innymi mego aresztowania doniesiono mu inną drogą), że „teraz mam dużo czasu wolnego, gdyż zajęć swoich nie prowadzę", że „rodzina jest zdrowa" itp., a zakończyłem prośbą, by zechciał pozdrowić znajomych: *Izbavljaj, Jer, Inače Pogiboh.* Był to cytat z jego noweli pt. „Zindan" (Więzienie)[4], w której zakonnik *fra Marko,* uwięziony i męczony przez zastępcę wezyra bośniackiego *Fazlę,* pisze list do swego gwardiana o pomoc, kończąc: „ratuj, gdyż inaczej zginąłem".

Po 10 dniach zajechał do mnie urzędowym autem osobowym ze swastyką gestapowiec, który zakomunikował mi, że mam razem z nim pojechać natychmiast do rządu GG. Nie trzeba dodawać, jaki popłoch na całej ulicy przed moim domem na Dębnikach w Krakowie wywołało zatrzymanie się tego auta. Byłem poważnie zaniepokojony wezwaniem, ale zajechawszy do gmachu rządu GG zostałem tam przyjęty przez „pełnomocnika ministra spraw zagranicznych Rzeszy" (tak głosił napis na drzwiach) iście po wersalsku. „Proszę siadać; zapali pan papierosa, a może cygaro, może kieliszek koniaku?" i pół minuty takiej rozmowy o niczym, wreszcie *„der Beauftragte des Auswärtigen Amtes"*, pan „ambasador" *Wühllisch* przechodzi *in medias res*: „Pan poseł Jugosławii, *Andrić,* zwrócił się do nas z prośbą o umożliwienie panu widzenia się z nim. Kiedy pan może wyjechać, gdyż musimy przygotować dokument podróży do Berlina?" Ponieważ musiałem odbyć konferencję z autorami planu, by otrzymać szczegółowe instrukcje od rektora *Lehra-Spławińskiego,* prosiłem o przygotowanie dokumentu w ciągu ośmiu dni, co też w terminie uskuteczniono. W kancelarii podałem tylko dane osobowe, przedstawiając legitymację „lektora UJ", przedłużoną z początkiem listopada 1939 roku przez rektora.

O pierwszym pobycie u *Andricia* w Berlinie pisałem w artykule pt. *„Ivo Andrić* w Polsce"[5] z okazji otrzymania przez niego nagrody Nobla (za literaturę w roku 1961). Dodam tylko, że w dniu 15 czerwca 1940 roku słuchaliśmy audycji radiowej z posłem i *attaché* prasowym *Kneževiciem* (synem tłumacza na język serbski *Słowackiego* i *Sienkiewicza*). Radio transmitowało właśnie defiladę wojsk niemieckich po upadku stolicy Francji na *Place d'Etoile* w Paryżu oraz nastroje w Berlinie. Słychać było tupot hord germańskich, maszerujących z *Avenue de la Grande Armée* popod Łukiem Triumfalnym na

---

[4] I. *Andrić*: Pripovijetke I. Zagreb 1924.

[5] Sprawozdania z posiedzeń Komisji VII—XII 1961 Polskiej Akademii Nauk, Oddział w Krakowie, 1962, s. 384—388.

Champs Elysées i szał radości w stolicy Rzeszy. Spojrzałem na posła; był szary, jak ziemia. Ja zapewne podobnie wyglądałem, był to bowiem najcięższy mój dzień w czasie drugiej wojny światowej: oto zaczął się rozpadać cywilizowany świat. Francja, jedyna nasza nadzieja, podminowana przez rodzimych *quislingów*, pada na kolana. *Hitler* wjeżdża do Paryża! Nad Jugosławią również zbierały się chmury, Niemcy bowiem usiłowały wciągnąć ją w orbitę „państw osi" i już po dziewięciu miesiącach pod naciskiem Rzeszy rząd *Cvetkovicia-Mačka* przystąpił do paktu berlińskiego, ale rychły zamach stanu w Belgradzie przekreślił tę sytuację „sojuszniczą".

Drugi raz wyjechałem do Berlina w roku 1940 również na zaproszenie *Andricia*. Teraz wręczył mi 300 marek na koszty podróży sekretarz UJ, mój przyjaciel, dr Jan *Reguła*. Pieniądze te otrzymał od rektora tajnego UJ, prof. *Szafera*. Plan akcji został już obmyślony w Berlinie, a *dramatis personae* ustalone, gdyż należało oprócz inicjatorów pozyskać też innych przedstawicieli państw neutralnych (Bułgarii, Grecji, Szwajcarii, Szwecji, Węgier) dla planu interwencji. Termin ustalono na ten właśnie czas, gdyż on odpowiadał generalnemu gubernatorowi, *Hansowi Frankowi*.

Ambasador włoski, zaprzyjaźniony z *Andriciem* z czasów przebywania tegoż na placówce w Rzymie, wydał w ambasadzie włoskiej przyjęcie, na które zaprosił między innymi *Göringa, Franka* i grono wybitnych hitlerowców oraz przedstawicieli państw neutralnych w Berlinie, częściowo także wtajemniczonych w sprawę. *Frank* spóźnił się kilka minut. W grupie dyplomatów zagranicznych z gospodarzem na czele znajdował się także poseł jugosłowiański. Po przywitaniu się *Franka* i wymianie grzeczności ze wszystkimi *Andrić* poruszył sprawę powrotu reszty profesorów krakowskich, dotąd pozostających w obozie koncentracyjnym Dachau. Powrót ten byłby bardzo pożądany ze względu na rozpoczęte, a czasem daleko posunięte prace, dokonywane razem z uczonymi jugosłowiańskimi. Dla dobra nauki byłyby wskazane kontynuacje i dokończenie tych prac. „Czy pan minister (*Frank* był *Reichsminister für Justiz*) pozwoli mu złożyć *aide memoire* w tej sprawie?"

Gdy *Frank* nie kwapił się z odpowiedzią, ambasador *Dino Alfieri*, nawiązując do sprawy profesorów krakowskich, nadmienił, że w podobnej sytuacji znajdują się uczeni włoscy, którzy współpracują i opracowują zagadnienia naukowe wspólnie z profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czy on również może złożyć *aide memoire* co do tej rozmowy? I tym razem *Frank* nie spieszył z udzieleniem odpowiedzi. Wówczas ambasador Turcji zwrócił się z prośbą do *Franka*, by umożliwił prof. *Kowalskiemu*, turkologowi, któremu Uniwersytet w Konstantynopolu ofiarował katedrę, możliwie szybki wyjazd.

Frank i tym razem nie udzielił żadnej odpowiedzi, lecz przeszedłszy do grupy umundurowanych hitlerowców najkrótszą drogą opuścił zebranie, a w chwilę później i ambasadę. Wśród dyplomatów, nie nawykłych do takiej formy „rozmów", jaką zaprezentował kandydat na „króla polskiego", wówczas pan życia i śmierci Polaków, nastąpiła konsternacja i przykra cisza. Spostrzegł to *Göring* i z właściwym sobie tupetem zapytał „O co tu chodzi?". Gospodarz wyjaśnił, że przyczyną zniknięcia *reichsministra Franka* było zainteresowanie kilku panów losami krakowskich profesorów. Wówczas *Göring* poprosił wszystkich zainteresowanych panów, by złożyli *aide memoire* w jego sekretariacie, po czym skierował swe kroki do sali bufetowej. W ten sposób zostało rozładowane napięcie wywołane nietaktem *Franka*.

Cała ta akcja interwencji, nie odosobniona zresztą, była pewnego rodzaju demonstracją państw neutralnych (i to demonstracją na wielką skalę), która osądziła postępek hitlerowców wobec nauki polskiej. Rodziny uwięzionych profesorów korzystały z różnych możliwości interwencji [6]. Mój wyjazd do Berlina nie pozostał tajemnicą dla żon profesorów. Przed wyjazdem zjawiały się u mnie i stroskane pokazywały odpowiedzi, jakie otrzymywały z *Geheime Staatspolizei* (centrali w Berlinie, *Albrechtgasse* 17). Były to wydrukowane na karcie korespondencyjnej stereotypowe odpowiedzi na zapytania w sprawie aresztowanych osób, że dochodzenia co do X. Y. nie zostały ukończone, a o wyroku sądowym petent zostanie powiadomiony we właściwym czasie. Panie prosiły o interwencję — mnie, „obozowicza" i do tego z GG — w formie zapytania w centrali gestapo, kiedy mężowie wrócą. Nie wierzyłem w skuteczność tej wizyty, bo przecież w stosunku do profesorów nie było wszczęte żadne śledztwo, a zatem i wyroku sądowego nie będzie. Mimo to przyrzekłem zasięgnąć języka co do losów naszych kolegów w Dachau.

Radziłem się *Andricia*, co robić. Ponieważ był on już dobrze obeznany z metodami postępowania gestapowców, powstrzymał się od jakiejkolwiek rady, ale też i nie odradzał. Centrala gestapo mieściła się naprzeciw poselstwa jugosłowiańskiego, po drugiej stronie ulicy. „Jeżeli pan nie wróci w ciągu pół godziny — usłyszałem słowa posła — będę wiedział, gdzie pana szukać. Będę stał w oknie i obserwował bramę wyjazdową". Zrobiło mi się gorąco na myśl takiego wyjazdu. Wyszedłem bez nakrycia głowy i wierzchniego odzienia, przeszedłem jezdnię, stanąłem przed otwartą na oścież bramą ogrodową. Ani śladu, że w tej pańskiej, dwupiętrowej willi znajduje się jakikolwiek urząd; żadna straż nie broni dostępu, nie legitymuje wchodzących. Wielki hall; żadnego munduru, tak dobrze mi znanego z niedawnej przeszłości, żadnych interesantów. Zapytuję przechodzącego z aktami cywila, który wydział prowadzi sprawę *Sonderaktion Krakau*. Otrzymuję obojętną odpowiedź: „oddział II b,

[6] O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów). Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 53—57.

pokój nr ..."; w tym wydziale objaśniono mnie, że informacji o pozostających w obozach koncentracyjnych można udzielać tylko za zezwoleniem szefa, którzy urzęduje na drugim piętrze pokój 204. Wchodzę wyżej, przechodzę przez długi korytarz; cicho tu, jak w kościele. Pukam do drzwi oznaczonych numerem 204, po chwili drugi raz i na podniesione *„herein!"* wchodzę do olbrzymich rozmiarów pokoju, oblanego potokami promieni słonecznych; dywany, obrazy, rzeźby, dużo kwiatów. Nim doszedłem do siedzącego za biurkiem „szefa" w cywilnym ubraniu (w każdym razie nie *Himmler* — skonstatowałem z ulgą), błyskawicznie przeszły mi przez myśl wszystkie moje grzechy wobec III *Reichu*.

Przedstawiam mu się i zapytuję o krakowskich profesorów z *Sonderaktion Krakau*. Na te słowa „szef" podrywa się i uderzając ręką w biurko ryczy: „Skąd się pan tu wziął?!" Mój refleks mnie jakoś nie zawiódł: „Z naprzeciwka, z poselstwa jugosłowiańskiego!" — odpowiadam spokojnie. To podziałało. Zapewne pomyślał, że jestem przedstawicielem tego poselstwa, gdyż natychmiast zmienił ton i zachowanie i wskazując na fotel poprosił o zajęcie miejsca. Prosi o przedstawienie sprawy. Powtarzam uprzednie pytanie, kiedy można się spodziewać zwolnienia profesorów krakowskich, gdyż z nimi współpracują ich koledzy, profesorowie belgradzcy i zagrzebscy, a trudno im bez kolegów krakowskich kontynuować lub ukończyć rozpoczęte wspólne prace badawcze. Na to otrzymuję odpowiedź, że tutaj zasadniczo nie udziela się żadnych informacji, ale skoro się pan tu „pofatygował" (brzmiało to jak rajska muzyka dla byłego „koncentraka" i to z ust „szefa", w samej jaskini lwa), to „zrobimy wyjątek". Przycisnął dzwonek i rzucił cywilowi w drzwiach: *„Sonderaktion Krakau!"* Nim przyniesiono akta, „szef" mnie wypytuje, gdzie się tak dobrze nauczyłem języka niemieckiego. Odpowiadam mu, że siódmą klasę gimnazjum klasycznego przerabiałem w Wiedniu, tam też słuchałem wykładów *Jagicia* z dziedziny slawistyki. Dłuższy pobyt w krajach niemieckich pozwolił mi dość dokładnie opanować język *Goethego* i *Schillera*.

Wtem przyniesiono fascykuł wcale pokaźnych rozmiarów z napisem *Sonderaktion Krakau*, który „szef" zaczął wertować. Przerzucił około 10 arkuszy z wierzchu (a zatem najnowsze), studiując ich treść, wreszcie rzekł: „Nie jest pan pierwszym, który interweniuje w tej sprawie. Mogę tylko zapewnić pana, że profesorowie wkrótce wrócą do domu". Postawiłem wszystko na jedną kartę: skoro uważają mnie tu za interwenienta z poselstwa neutralnego państwa, skoro interwencji pisemnych, jak świadczą akta i słowa „szefa", było więcej, a ustnych może równie wiele, choćby wczorajsza u *Göringa* w ambasadzie włoskiej, to pozwoliłem sobie na jeszcze jedną uwagę, że niestety to powtarzają żonom profesorów od kilku miesięcy, a mężowie wciąż nie wracają. Na wyrażenie „to" użyłem słowa *dieses Liedchen* (tę piosenkę), co ma w tym kontekście wyraźnie pejoratywne znaczenie. Na słowo *Liedchen* momentalnie zmieniło się zachowanie „szefa"; z trudem hamował wybuch, oczy jak sztylety wbiły się we mnie; poczułem, że się niewiarygodnie pocę, koszula przylgnęła mi do pleców. Cywil opanował się jednak wreszcie całkowicie i zimno powiedział: „Powtarzam, wkrótce, przed zimą". Wstał, ja oczywiście również, odprowadził mnie do drzwi gabinetu i bez słowa podał rękę na pożegnanie. Schodząc po schodach na dół nie byłem pewien — po takim pożegnaniu — czy wyjdę z tej centrali śmierci. Wyszedłem jednak i bez zbytniego pośpiechu. W oknie poselstwa widziałem za firanką cień posła *Andricia*. I, o dziwo, termin zwolnienia „dachauczyków" został prawie dosłownie dotrzymany. 21 grudnia 1940 roku zwolniono pierwszych sześciu krakowian, po czym do 15 stycznia 1941 roku i reszta powróciła do domów z wyjątkiem doc. J. *Metallmanna* i doc. W. *Ormickiego*, których już wcześniej przewieziono do Mauthausen i Buchenwaldu, gdzie obaj zginęli. Jedynie doc. K. *Piwarski* jeszcze pół roku pokutował w obozie za swoją książkę o Prusach Wschodnich, ale wreszcie i ten ostatni z „akcji krakowskiej" wrócił do rodzinnego grodu podwawelskiego. Widocznie już z początkiem jesieni zapadła ostateczna decyzja, by przed nastaniem zimy zlikwidować *Sonderaktion Krakau*, która na przekór hitlerowcom żywym echem odbiła się w całym świecie kulturalnym i wywołała za granicą wiele niepochlebnych dla Niemców komentarzy.

Z innych spraw mających związek z profesorami UJ, które polecono mej uwadze w Berlinie, była sprawa wyjazdu prof. *Kowalskiego* na katedrę do Konstantynopola (o czym ambasador Turcji wspominał *Frankowi* w ambasadzie włoskiej), wyjazd lektora języka węgierskiego, dra J. *Harajdy*, do Węgier, sprawa doc. W. *Bobka*, niedawno temu aresztowanego i wywiezionego do obozu koncentracyjnego, wreszcie rozmowa z prof. *Vasmerem* z Uniwersytetu Berlińskiego na temat interwencji tej uczelni i Akademii Nauk na rzecz „dachauczyków", co szczególnie kładł mi na serce rektor *Lehr-Spławiński*.

Z ambasadorem Turcji rozważaliśmy, jak umożliwić prof. *Kowalskiemu* najlepiej i najprędzej jego wyjazd do Konstantynopola. Ambasador był zdania, że *Kowalski* winien pojechać do Wiednia, gdzie w generalnym konsulacie Turcji otrzyma środki pieniężne na przejazd oraz paszport turecki. Konsul otrzyma odpowiednie wskazówki i wyprawi uczonego w dalszą podróż pociągiem bezpośrednim (*orient*-ekspresem). Po powrocie do Krakowa powiadomiłem prof. *Kowalskiego* o decyzji ambasadora. Ale gestapo, zawiadomione już o powołaniu *Kowalskiego* na katedrę do Konstantynopola, wyraziło wprawdzie zgodę na jego wyjazd, lecz pod jednym warunkiem: bez prawa powrotu do GG. Prof. *Kowalski* miał swą posiadłość w Bronowicach i cenną bibliotekę specjalistyczną, które musiałby zlikwidować. Nie chcąc zamykać sobie drogi powrotu do Krakowa, postanowił nie skorzystać z nęcącej propozycji spokojnej pracy i bezpieczeństwa życia swojego i rodziny, ale w obcym kraju, toteż powiadomił ambasadora, że z zaproszenia dla powodów, które wyłuszczył, nie skorzysta.

Lektor *Harajda* okazał niezwykłą ofiarność i poświęcenie w Sachsenhausen; opiekował się stale prof. T. *Marchlewskim*, trzy razy dzienie nosił go na ramionach na apele i odnosił do baraku. Był on z pochodzenia Węgrem, ale osiadłszy na stałe w Polsce przyjął obywatelstwo polskie. Jako lektor rozwinął żywą działalność publicystyczno-propagandową; zajmował się zagadnieniami stosunków polsko-węgierskich na przestrzeni wieków i na tym polu mógł się wykazać cennym dorobkiem naukowym. W rozmowie z posłem węgierskim wysunąłem projekt, by poselstwo wydało *Harajdzie* paszport węgierski, który mu umożliwi jak najszybszy wyjazd do ojczyzny, gdyż choroba jego (puchlina wodna) z niemożności leczenia robi postępy. Poseł wysunął przeszkody formalne: *Harajda* nie jest obywatelem węgierskim, przyjął bowiem obywatelstwo polskie, wystawienie paszportu nie-Węgrowi kolidowałoby z obowiązującymi przepisami itp. Ja wskazywałem, że żyjemy w czasach anormalnych, gdy wszelkie przepisy mają względną wartość, boć przecież w samym *Reichu* wysunięto, przyjęto i stosowano tezę, iż prawo karne nie uważa za przestępstwo czynu z tym prawem kolidującego, jeśli przynosi on państwu lub narodowi korzyść czy pożytek. A więc modyfikacja pojęcia czynu karalnego! *Harajda*, mimo że przestał być obywatelem węgierskim, całe swe życie pracował dla swej pierwszej ojczyzny, która tę jego pracę uznawała i ceniła, a nawet się nią chlubiła. Dziś, kiedy życie jego stale jest zagrożone, kiedy choroba utrudnia mu wszelki wysiłek fizyczny, to ojczyzna, zdaniem moim, nie może go opuścić. W obozie złożył dowody wielkiego hartu ducha, był przykładem dla innych w niesieniu pomocy potrzebującym, czynem udowodnił, że godzien jest imienia Węgra. W zapale oratorskim zacząłem wtrącać wyrazy węgierskie (wychowując się u dziadków, porozumiewających się ze sobą po węgiersku, przyswoiłem sobie język o tyle, iż bez większych trudności mogłem się nim porozumiewać), co wprowadziło dygresję na temat znajomości języka węgierskiego. Wreszcie poseł okazał się bardziej ludzki niż rygorystyczny i obiecał w ciągu dwóch tygodni przysłać paszport „Lajoszowi" *Harajdzie*, a na moją prośbę nadto trochę pieniędzy na opłacenie podróży do Budapesztu. Po trzech tygodniach *der Beauftragte des Auswärtigen Amtes* wręczył osobiście obywatelowi węgierskiemu *Harajdzie* jego paszport i życzył mu szczęśliwego powrotu do ojczyzny. Pieniądze nadeszły kilka dni wcześniej, co umożliwiło mu wyjazd jeszcze w ciągu października 1940 roku. Miałem jedyną wiadomość od niego: został zatrudniony jako nauczyciel szkoły powszechnej w jakiejś wiosce słowackiej. Puchlina wodna nie ustępowała. Umarł w dwa lata później na tę chorobę.

W poselstwie Słowacji (powstałej po rozbiorze Czechosłowacji na wiosnę 1939 roku) przyjął mnie *charge d'affaires*. Gdy mu wyłożyłem sprawę docenta UJ, *Bobka*, a od wielu lat równocześnie lektora języka polskiego w Bratysławie, odpowiedział, że jest mu dobrze znana działalność naukowa *Bobka*, że uznaje i ceni jego zasługi dla badań i oświetleń naukowych historii literatury słowackiej, ale poselstwo słowackie nie może i nie zamierza interweniować na rzecz Polaka. Powiedziane to było tak obojętnie i chłodno, iż odczułem nieprzebyty mur, jaki stanął między nami. Ledwie się zgodził, by sekretariat napisał notatkę o *Bobku* według mego dyktanda. Ja nie chciałem pozostawiać swego rękopisu w nieprzychylnym Polakom poselstwie słowackim. Gdy później relacjonowałem o tych bezskutecznych zabiegach rektorowi *Lehrowi-Spławińskiemu*, usłyszałem: „*Bobek* już nie żyje; przed trzema dniami otrzymałem wiadomość, że go zastrzelono w obozie".

Prof. *Max Vasmer* [7], slawista, początkowo był profesorem filologii słowiańskiej w Saratowie, Dorpacie, Lipsku, ostatnio (1939) w Berlinie, a nadto dyrektorem Instytutu Słowiańskiego i wydawcą „*Zeitschrift für slavische Philologie*". Wybitny, światowej sławy uczony pozostawał w zażyłej przyjaźni z prof. *Lehrem-Spławińskim*. Przyjął mnie niezmiernie życzliwie, z uwagą wysłuchał mojej relacji o obozie i sugestii rektora UJ co do wystąpienia Uniwersytetu Berlińskiego i Akademii w obronie naukowców krakowskich, przetrzymywanych w obozie koncentracyjnym Dachau, a następnie przedstawił sytuację w obu tych niemieckich instytucjach naukowych: grona ich są podzielone na trzy ugrupowania, bojowe, nadające ton, przodownicze narodowych socjalistów, dość liczne niezdecydowanych i garstkę przeciwników reżimu. Grupy te nie komunikują się ze sobą. Była u niego p. *Bednarska*, żona lektora UJ (więźnia Sachsenhausen), od której dopiero w styczniu 1940 roku (!) dowiedział się o zaszłościach krakowskich. Moja opowieść — naocznego świadka — była pierwszą autentyczną wiadomością o losach profesorów. Według niego wszelka „urzędowa" akcja ze strony uniwersytetu czy akademii nie jest możliwa do przeprowadzenia wobec stanowiska mianowanego — nie wybieranego, jak dotąd — kierownictwa (rektorów, dziekanów, prezesów). Interweniować można tylko drogą osobistych rozmów w ministerstwie spraw zagranicznych i to tylko z nielicznymi dygnitarzami, np. z byłym ambasadorem niemieckim w Warszawie, von *Moltkem*, byłym konsulem w Odessie, *Rothem* i kilku innymi, co już zrobiono w stosunku do K. *Nitscha*, I. *Chrzanowskiego*, W. *Semkowicza* i W. *Konopczyńskiego*. On niczego nie przyrzeka, ale będzie pamiętał o naukowcach polskich w Dachau.

W roku 1961 po odczycie w Uniwersytecie w Zadarze w Dalmacji (filii uniwersytetu zagrzebskiego) poznałem tamtejszego profesora germanistyki, *Jevtę Milovicia*, który w roku 1940 był asystentem u *Vasmera* w Berlinie. Według jego relacji opowiadał mu szef, że w lecie 1940 roku przyjechał ktoś z Krakowa, *ihr Landsmann*, w sprawie aresztowanych profesorów. Żałował on szczerze i ubolewał, że nie udało mu się nic w tej sprawie zrobić; jego wszystkie wysiłki u *Moltkego* oraz z jego inicjatywy pośrednictwo dwóch laureatów Nobla w ministerstwie spraw zagranicznych dotąd nie dały wyników. Zmobilizowano też slawistów szwedzkich i holenderskich. W ten sposób dowiedziałem się po latach, że *Vasmer* rzeczywiście pamiętał o polskich kolegach, starając się o ich zwolnienie. O tych swoich wysiłkach *Vasmer* nigdy ani *Lehrowi-Spławińskiemu*, ani mnie słówkiem nie wspomniał, choć widzieliśmy się z nim na zjazdach słowiańskich w Moskwie w roku 1958 i w Sofii w roku 1963.

Niewątpliwie interwencja *Andricia* była, jak się wydaje, tą przysłowiową kroplą, która wpłynęła ostatecznie na ustalenie losu „dachauczyków". Były i inne inicjatywy UJ i PAU w tym kierunku, gdyż tak rektor Wszechnicy Krakowskiej, jak i prezes Akademii wyzyskali wszystkie swe możliwości dla zmiany doli swoich niedawnych współtowarzyszy obozowych.

[7] Prof. W. *Konopczyński* (Tygodnik Powszechny, 1947, nr 45) zacytował list otrzymany od prof. *Vasmera* w sprawie *Sonderaktion Krakau*, przedrukowany następnie w Przeglądzie Lekarskim, 1964, nr 1, s. 55.

KAZIMIERZ FRĄCKOWSKI
były więzień Fortu VII w Toruniu oraz obozów koncentracyjnych w Stutthofie i Oranienburgu-Sachsenhausen nr 35997

Słupsk

Żydzi i księża w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen — Oranienburg

Hitlerowska polityka zagłady Żydów została koncepcyjnie opracowana na wiele lat przed wrześniową napaścią na Polskę. Gotowe postulaty dotyczące spraw eksterminacyjnych na zagarniętych polskich ziemiach i w innych okupowanych krajach były już tylko kolejnym ogniwem w stosowaniu programu *NSDAP*.

Kiedy przed sądem zapytano świadka *Ericha von dem Bach-Zelewskiego*, jak się to mogło stać, że *Ohlendorf* dopuścił do zamordowania w ciągu roku 90 tysięcy Żydów, padła odpowiedź: „Jestem zdania, że jeśli przez lata i dziesiątki lat głosi się naukę, że rasa słowiańska jest rasą gorszą, a Żydzi nawet nie są ludźmi, taki musi być wynik". *Hans Frank*, uzupełniając tę wypowiedź i powołując się na swój pamiętnik jako materiał nie tylko źródłowy, ale i obciążający Niemców odwieczną winą, dodał, że „tysiące lat przeminie, nim wina Niemiec w zadośćuczynieniu zostanie wymazana". W celi więzienia norymberskiego miał czas na kontemplację. *Frank* w swej roli więźnia przypomniał sobie, że „już podczas kampanii wrześniowej, w następnych miesiącach i latach wojny oddziały *Wehrmachtu* oraz współdziałające z nimi na tyłach armii *einsatzgrupy SS* dokonywały indywidualnych i masowych egzekucji na ludności żydowskiej" i polskiej.

Fala krwawego terroru rozlała się wówczas w okupowanej Polsce, na Pomorzu Gdańskim, na Śląsku, w Poznańskiem, na terenach późniejszej Generalnej Guberni. Mordowano i rozstrzeliwano bezkarnie, brano zakładników, urządzano upokarzające widowiska, filmowano je, gwałcono kobiety, w czym wyróżniały się oddziały ukraińskie i watahy *Dirlewangera*. Grabiono mienie polskie i żydowskie, bezczeszczono świątynie, palono synagogi, oskarżano Żydów, że sami dokonywali podpalania jako aktów prowokacyjnych. Ten krwawy terror w pierwszych miesiącach okupacji zawierał już prawie wszystkie elementy późniejszej polityki eksterminacyjnej tak na „wolności", jak i w obozie.

Sachsenhausen-Oranienburg jako jeden z pierwszych „wzorcowych" obozów koncentracyjnych Rzeszy przyjmował między innymi Żydów aresztowanych na terenach Niemiec. Po prowokacyjnym zastrzeleniu dyplomaty niemieckiego *von Ratha* w Paryżu od 9 listopada 1938 roku do wybuchu wojny przywieziono ich do obozu w Sachsenhausen około 1 800. Tutaj aż do końca wojny chorzy, z odmrożonymi kończynami, bosi i bez ciepłej odzieży w okresie zimy, Żydzi byli kierowani do najcięższych prac fizycznych poza obozem w tak zwanym *Kanal-Kommando*, gdzie pracowali przy wyławianiu kloców drewna budulcowego, spławianych kanałem rzeki Haweli. Wielu z nich tam właśnie topiono.

W „kommandach" wewnętrznych w obozie przydzielano Żydów do pracy jedynie do tzw. *Schleichkommando*. Tam oddawano ich pod „opiekę" osławionemu z okrucieństwa w obozie więźniowi *Böhmowi*. Wymierali szybko, po kilku do kilkunastu dziennie. Po śmierci trafiali — wówczas już z polecenia komendantury obozu — znów do *Böhma*, nadzorcy w krematorium. Mordował ich równie bestialsko, nim się powiesił, następca *Böhma*, więzień-sutener *Georg Mandel*, zwany „Pieronie", starszy bloku karnego w Sachsenhausen.

Coraz to nowe transporty z Austrii i z Niemiec uzupełniały szeregi Żydów przerzedzone w obozie. Byli wśród nich także obywatele polscy pochodzenia żydowskiego, przebywający czasowo w Niemczech i tam aresztowani. Ginęli oni topieni w dołach kloacznych, wieszani, zagazowywani lub zakopywani żywcem.

Po błyskawicznych sukcesach wojennych okresu od roku 1939 do końca roku 1941 rozpoczął się jak gdyby drugi etap wojny. Pewni zwycięstw na wszystkich frontach, Niemcy przygotowywali plan masowej zagłady nie tylko Żydów, lecz także około 50 milionów Słowian, spośród których miałoby zginąć co najmniej 85% Polaków, których aresztowanie i deportację planowano na przyszłość. Jak wiadomo, pierwsza poniesiona na froncie wschodnim klęska Niemiec złamała mit o niezwyciężonej armii hitlerowskiej i odwróciła bieg historii, ale nie zapobiegła represjom i mordowaniu tych, którzy już wpadli w ręce „opiekunów" spod znaku SS i SD. Świadczy o tym chociażby fakt przygotowania uzgodnionego między Ministerstwem Spraw Zagranicznych Niemiec hitlerowskich a *RSHA* memoriału, którego „twórcą" na polecenie *Heydricha* był podsekretarz stanu, referent do spraw żydowskich w Niemczech, *Luther Rademacher*. Zdaniem areopagu hitlerowskich kół rządzących należało państwa europejskie zmusić za pomocą nacisku, zarówno dyplomatycznego, jak i politycznego, do wprowadzenia u siebie hitlerowskiego ustawodawstwa antyżydowskiego. Spodziewając się oporu, starano się w trybie dyplomatycznym „załatwić" wstępną akceptację tego planu przez państwa należące do satelitów „osi" i koalicji niemieckiej i rządy krajów okupowanych,

które „musiałyby wykonać niemieckie zarządzenia" wedle rozkazu i nadzoru wykonawczego sprawowanego przez mocodawców.

Klęska pod Moskwą w roku 1941 pokrzyżowała niemieckie plany o tyle, że termin generalnej konferencji, dotyczącej kwestii żydowskiej, odłożono do następnego roku. Nie wpłynęło to jednak hamująco na rozpoczęcie akcji ludobójczej przy zapewnieniu sobie przez centralne urzędy Trzeciej Rzeszy harmonijnej współpracy w tym zakresie z *RSHA* i tzw. *Auswertigen-Amt* w sprawie, jak to nazwano, „*Endlösung der Judenfrage*" (ostateczne rozwiązanie sprawy żydowskiej). Marszałek Rzeszy, *Hermann Göring,* udzielił w tej sprawie nieograniczonych pełnomocnictw *Heydrichowi.*

Tabela I

Kraj	Liczba ludności żydowskiej		Odsetek wyniszczonych
	w roku 1939	wyniszczonej podczas wojny	
Polska	3 300 000	2 800 000	85%
ZSRR	2 100 000	1 150 000	71%
Rumunia	850 000	425 000	50%
Węgry	404 000	200 000	49,5%
Czechosłowacja	315 000	260 000	82,5%
Francja	300 000	90 000	30%
Niemcy	210 000	170 000	81%
Litwa	150 000	135 000	90%
Holandia	150 000	90 000	60%
Łotwa	95 000	85 000	89%
Belgia	90 000	40 000	44,5%
Grecja	75 000	60 000	80%
Jugosławia	75 000	55 000	73,3%
Austria	60 000	40 000	66,6%
Włochy	57 000	15 000	26,3%
Bułgaria	50 000	7 000	14%
Dania, Estonia, Luksemburg, Norwegia i Gdańsk (łącznie)	20 000	6 000	30%
Razem	8 301 000	5 978 000	72%

Pod jego przewodnictwem doszło zatem do zwołania tajnej konferencji na dzień 20 stycznia 1942 roku, w której wzięli udział przedstawiciele ministerstw i wszystkich zainteresowanych centralnych instancji Trzeciej Rzeszy. Według planu przygotowanego przez *Heydricha* zamierzono wyniszczyć 11 milionów Żydów. W planie taktycznym przewidywano „przeczesanie" wszystkich krajów Europy, od zachodu na wschód, by wreszcie według koncepcji *Hitlera* osadzić Żydów pozostałych jeszcze przy życiu na Syberii lub na Madagaskarze.

Warto także przypomnieć, że w szczegółowym planowaniu przedsięwzięcia akcji brał już wtedy udział Adolf *Eichmann.* Zaczęły powstawać nowe getta, a szczegółowe instrukcje eksterminacyjne otrzymali od niego na konferencji zwołanej w dniu 6 marca 1942 roku referenci spraw żydowskich z placówek policji bezpieczeństwa i *SD* w krajach okupowanych, przedstawiciele różnych ministerstw, czynników partyjnych i centralnych urzędów *SS.* Po zakończeniu przez *Eichmanna* przygotowań organizacyjnych i technicznych rozpoczęła się na terenach okupowanych i w obozach koncentracyjnych straszliwa, bez precedensu w historii ludzkości akcja ludobójcza, która trwała nieprzerwanie do ostatnich chwil okupacji. Zniszczono około 6 milionów Żydów (zob. tabela I).

Na tym tle wyłoniło się inne zagadnienie, mianowicie „operacja *Reinhard*". Jej organizatorami i pełnomocnikami w grabieży dóbr materialnych na terenie całej Europy na rzecz ówczesnych Niemiec byli *Oswald Pohl* i *Odyllo Globocnik,* a przedstawicielem Główny Urząd Gospodarki Rzeszy z siedzibą w Oranienburgu-Sachsenhausen, skąd wychodziły dyrektywy i rozkazy. Obóz w Sachsenhausen generalnie gromadził zrabowane dobra w magazynach przyległych do obozu. Tzw. bazami ekonomicznymi *SS* były obozy koncentracyjne.

Sędzia *R. H. Jackson* w procesie norymberskim tak ujął i określił przestępczą działalność głównych oskarżonych, stwierdzając, że *Rosenberg* był intelektualnym arcykapłanem „rasy panów", który dostarczył doktryny nienawiści dającej punkt wyjścia do eksterminacji Żydów; on zrealizował bezecne teorie na okupowanych terytoriach na Wschodzie, natomiast *Funk* jako minister gospodarki przyspieszał tempo zbrojeń, a jako prezydent Banku Rzeszy deponował dla *SS* złote szczęki ofiar obozów koncentracyjnych, co było chyba najbardziej makabryczną operacją bankową w historii bankowości. Dlatego więc *Himmler* mógł się „pochwalić" 4 października 1943 roku na naradzie w Poznaniu stwierdzeniem, że „zabraliśmy im wszystko, co posiadali". Próbując osiągnąć swój *End-Ziel,* mordowano i grabiono, grabiono i mordowano. W odwetowej egzekucji po zamachu na *Heydricha* wytruto w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen w komorach gazowych cyklonem w dniu 29 maja 1942 roku 250 Żydów w nowo wybudowanej tzw. „stacji Z". Jej schemat pokazano w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (s. 82).

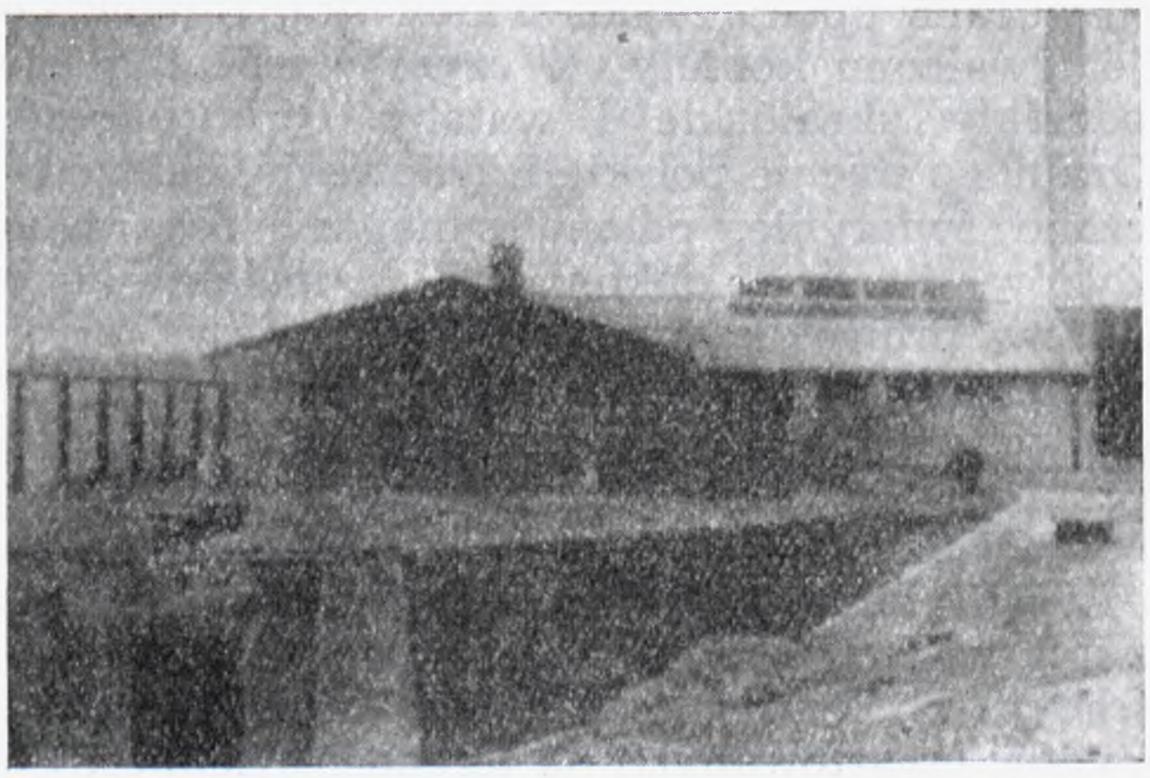

Ryc. 1. Tak wyglądała tzw. Stacja Z (*Z-Station*) w obozie koncentracyjnym Oranienburg-Sachsenhausen, której schemat podano w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" na str. 82. Znajdowały się tam komory gazowe, miejsce rozstrzeliwań i wiele innych pomieszczeń; po prawej widać komin krematorium obozowego

W tym też czasie działanie nowych komór gazowych wypróbowano w obecności wyższych urzędników Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*), przeznaczając znowu na ofiary więźniów z bloków żydowskich. W miesiąc później z pozostałych jeszcze przy życiu Żydów wybrano specjalistów i skierowano pod przymusem do „mennicy obozowej" jako drukarzy falsyfikatów funtów szterlingów w obozie w Sachsenhausen-Oranienburgu.

We wrześniu 1942 roku *Hitler* zdecydował, aby wszystkich Żydów znajdujących się w obozach koncentracyjnych na terenie Rzeszy skierować do obozu masowej zagłady w Oświęcimiu-Brzezince. Komendant obozu w Sachsenhausen przyjął tę wiadomość jako polecenie, a kierownik wydziału zatrudnienia w *WVHA, Maurer* z Oranienburga-Sachsenhausen zawiadomił komendanta Oświęcimia-Brzezinki o terminie deportacji Żydów do tego obozu. Tymczasem w Sachsenhausen w toku przygotowywania transportu więźniów żydowskich, gdy cały obóz zebrany był na placu do apelu wieczornego, w dniu 22 października 1942 roku wybuchł bunt Żydów jako protest przeciwko masowym mordom i zarządzeniom eksterminacyjnym. Komendantura obozu, nie przygotowana na tak jawny opór, została zmuszona do pertraktowania ze skazanymi w obawie przed rozszerzeniem się buntu. Akcje eksterminacyjne trwały jednak nadal. Działając na mocy nadzwyczajnych pełnomocnictw, *Sauckel* wydał 26 listopada 1942 roku tajne rozporządzenie o dalszej deportacji Żydów do obozów koncentracyjnych leżących na terenach Polski. Rozkazem tym objęto Żydów z krajów europejskich będących pod okupacją niemiecką oraz wszystkich dotychczas jeszcze zamieszkałych i pracujących w Berlinie obywateli pochodzenia żydowskiego.

Po licznych łapankach i aresztowaniach mnożyły się codziennie transporty przybywające do obozu w Sachsenhausen po to, by w obozie zestawić transport o łącznej ilości 3 000 więźniów żydowskich i 10 grudnia 1943 roku skierować go z Sachsenhausen do obozu w Majdanku. Spośród grupy więźniów żydowskich wyselekcjonowano jedynie ośmiu chłopców 8—16-letnich i umieszczono ich 21 sierpnia 1943 roku na oddziale wewnętrznym R II w szpitalu obozowym w Sachsenhausen. Grupę tę izolowano od reszty więźniów, a lekarze *SS* i za ich zgodą lekarz *Wehrmachtu* dokonywali na nich badań antropologicznych i doświadczeń eksterminacyjnych. Z grupy tej znane nam są tylko trzy nazwiska, a mianowicie *Hirsza Litmanowicza* (lat 16), *Saula Hornfelda* (lat 11) i *Wolfa Silbergletta* (lat 8). Bliższe szczegóły na ten temat są podane w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (str. 81).

Po aresztowaniu, osadzeniu w Forcie VII w Toruniu, następnie w obozie koncentracyjnym w Stutthofie, a po roku pobytu w nim przewiezieni do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburgu, zostaliśmy tam umieszczeni jako *zugang* w tzw. „obozie kwarantanny". Przez wiele tygodni przebywaliśmy tam, będąc bezpośrednimi sąsiadami bloków żydowskich i księży; albo my, albo oni byli pierwsi, na których wyładowywali swą złość i zbrodnicze popędy grasujący w obozie *blockführerzy SS*. Byliśmy świadkami scen iście dantejskich, które dla więźniów kończyły się zwykle śmiercią. Dla nas i naszych bloków kwarantanna kończyła się kiedyś w czasie, oni zaś skazani byli na wieczną kwarantannę dopóty, dopóki nie wymarli. Zdawali sobie z tego sprawę i to było najtragiczniejsze w ich życiu i w życiu obozowym. Represje pijanych esesmanów zaczynały się zwykle od bloków żydowskich, a obejmowały następnie bloki zajmowane przez księży i duchownych innych wyznań, sąsiadujące ze sobą i wreszcie nas.

Ryc. 2. Chory więzień prowadzony przez sanitariusza z izby przyjęć na oddział szpitalny w obozie Sachsenhausen (reprodukcja zdjęcia z muzeum martyrologii obozu)

Pracując już w szpitalu obozowym, znaliśmy zakaz udzielania pomocy i hospitalizowania nawet w tamtejszych prymitywnych warunkach tych chorych, którzy wymagali koniecznej i natychmiastowej pomocy, jak np. okaleczeni więźniowie z bloków żydowskich. Mogli oni w myśl zarządzenia komendantury obozowej przebywać w szpitalu tylko w kostnicy.

Wśród więźniów w obozie w blokach żydowskich przeważali ludzie starsi wiekiem, mniej wydolni fizycznie, z różnych środowisk społecznych i różnych zawodów. Przeważali kupcy, rzemieślnicy, inteligencja pracująca, artyści, aktorzy, graficy, a między nimi również lekarze i adwokaci. Stosunki w tzw. małym obozie między blokami duchownych i żydowskimi były jak najbardziej poprawne, wręcz życzliwe w ludzkim zrozumieniu. Nad tą gru-

Ryc. 3. Wielokrotnie w literaturze obozowej opisywano drakońską karę „słupka". Po raz pierwszy w naszych zeszytach reprodukujemy dokumentalne zdjęcie, przedstawiające egzekwowanie tej kary; dwóch więźniów jeszcze wisi, trzeci po odcięciu go leży nieprzytomny. Obok stoi *SS-oberscharführer, Ficker*, nadzorca kompanii karnej. W Sachsenhausen-Oranienburgu poddawano więźniów, zwłaszcza żydowskich, tej karze przy każdej okazji

pą ludzi ciążyło przecież „przekleństwo" *Hitlera*, bo według goebbelsowskiej propagandy „*die Juden und Pfaffen tragen die ganze Schuld des Krieges*", a jest i tak, że nieszczęścia ludzi zbliżają.

Grupa sanitariatu obozowego, do której poza piszącym te słowa należeli nieżyjący już ks. Wojciech *Gajdus*, Leonard *Krasnodębski*, dr

Ryc. 4. W okresie tygodnia wielkanocnego, zwłaszcza w Wielki Piątek w obozie Sachsenhausen na słupkach zwisali księża katoliccy. Skazańcy musieli wisieć od pół godziny do dwóch godzin. Karę tę akceptowali lekarze *SS* i osobiście przyglądali się zadawanym torturom

Stanisław *Kelles-Krauz*, doc. dr med. Zygmunt *Zakrzewski*, Edward *Zegarski* i żyjący obecnie Franz *Cyranek*, mgr Bożysław *Kurowski*, dr Mieczysław *Olek* i doc. dr med. Witold *Zegarski* (autor pracy o „rewirze" w Sachsenhausen, zamieszczonej w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim"), odwiedzała bloki żydowskie wbrew zakazowi esesmańskiej komendantury obozu prawie codziennie po apelu wieczornym, udzielając pierwszej pomocy rannym, pobitym, okaleczonym i dokonując drobnych zabiegów operacyjnych w warunkach blokowych na miejscu. Poza doraźną pomocą chirurgiczną dostarczaliśmy leków, środków opatrunkowych, czystej bielizny, mydła (R.I.F.). W zimie dostarczaliśmy „zorganizowanego" obuwia, onuc, cieplejszych koszul. Chroniły nas pikiety więźniów rozstawione przed blokami i u wejścia do tzw. „małego obozu", ostrzegając o zbliżającym się esesmanie zawsze na czas, toteż w czasie trwania całej tej zorganizowanej akcji „dyżurów" nad blokami żydowskimi nie byliśmy nigdy „nakryci". Pikietujący otrzymywali za sprawne działanie zwykle po papierosie lub inny, bardziej cenny „upominek", np. po kawałku chleba.

Staraniem wymienionego polskiego sanitariatu obozowego zobowiązaliśmy się do pełnienia dyżurów w łaźni obozowej w dniach awizowanych transportów nowych więźniów. Liczne były szczególnie transporty Żydów węgierskich, przywożone najczęściej nocą. Esesmani, z początku wykazujący zdziwienie, przechodzili do porządku dziennego nad tą nową formą opieki, nie czyniąc przeszkód w jej

udzielaniu. Jesienią i zimą roku 1944 oraz w roku 1945 przełamano wreszcie zakaz hospitalizowania chorych współwięźniów żydowskich do tego stopnia, że ciężej chorych z transportu nocnego kierowaliśmy na umówione łóżka szpitalne, najczęściej na oddział III (chirurgii ropnej), mniej odwiedzany przez „władze szpitalne" i esesmanów, a będący już pod stałym nadzorem lekarza więźnia, jednego lub kilku.

Na równi z Żydami traktowani byli w obozie kwarantanny duchowni wszystkich wyznań, wśród których przeważali księża katoliccy. Było ich w Sachsenhausen-Oranienburgu łącznie 511 do czasu wywiezienia ich do obozu w Dachau. Ginęli w czasie pracy i w barakach kwarantanny liczni znajomi z tego samego niekiedy transportu, gubieni na zawsze w wędrówkach po różnych obozach koncentracyjnych; ludzie i starzy i młodzi, pełni sił, a tak maltretowani, że nie można by znaleźć na ich ciele zdrowego miejsca. Im też zakazano wstępu do szpitala i korzystania z pomocy lekarskiej. Ponieważ jednak solidarność obowiązywała, przeto i bloki duchownych zostały objęte opieką lekarską (stacjonarną).

Obóz w Sachsenhausen-Oranienburgu był przez długi czas jedynym obozem na terenie Trzeciej Rzeszy, do którego kierowano więźniów po aresztowaniu, nim przygotowano dla całej grupy kleru wydzielone pomieszczenia w obozie w Dachau. W Sachsenhausen liczebnie przeważali duchowni z okupowanych terenów Polski (Pomorze, diecezja chełmińska). Wielu znałem osobiście, zaczynając z nimi wspólną wędrówkę od pierwszych dni aresztowania. Niewielu z nich wróciło z obozów koncentracyjnych.

Ryc. 5. Więzień z tatuażem. Na skórę tatuowaną polowali lekarze *SS* w obozach koncentracyjnych, również w Oranienburgu-Sachsenhausen. Skóra ludzka, której całe płaty zastaliśmy w prosekturze obozu, ważyła kilka kilogramów. Płaty suchej, wygarbowanej skóry, różnej wielkości, były pokryte tatuażami zależnie od pomysłu wykonawcy. Całość, nie uzupełniana od roku 1943, pozostała w schowku zakładu patologii obozowej (reprodukcja zdjęcia z muzeum martyrologii tego obozu)

Liczne wspomnienia i publikacje pamiętnikarskie dotyczące tego okresu, np. ks. Wojciecha *Gajdusa*, Jana *Domagały*, czy kronikarsko-historyczne ojca Henryka Marii *Malaka* i innych, aż nadto świadczą o swoistej gehennie lat okupacji, a w swej treści, gęsto przetykanej nazwiskami, stanowią dokument obejmujący czasy pobytu zarówno w Sachsenhausen, jak i w innych obozach koncentracyjnych. Zamiast więc wielostronicowej relacji, odsyłam czytelnika do wspomnień wymienionych autorów. Obóz w Oświęcimiu w historii swego istnienia zawiera, jak wiemy, nazwisko ojca Maksymiliana *Kolbego*, a wielu podobnych mu umierało wśród nas za te same ideały, za ludzką sprawę.

Warto tylko podać, że w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen przebywał w karcerze obozowym ks. dr Władysław *Góral*, biskup sufragan lubelski, urodzony 1. V. 1898 roku. Zmarł tam przed wyzwoleniem w roku 1945. W tym samym karcerze przebywał ks. dr Marian Leon *Fulman*, urodzony w roku 1886, wielki kanclerz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, aresztowany 17. XI. 1939 roku (zmarł 18. XII. 1945 roku). Przez długie lata więziony był w karcerze obozu jako więzień polityczny znany pastor ewangelicki, *Martin Niemöller* [1].

Wielu lekarzy, byłych więźniów obozów koncentracyjnych, zatrudnionych w tzw. „rewirach" lub pseudoszpitalach, na własne oczy widziało całą machinę nieludzkiej, hitlerowskiej medycyny, wprzągniętej w dzieło planowego niszczenia życia ludzkiego we wszystkich krajach Europy. Dlatego właśnie teraz, kiedy niepokój szczególnie silnie ujarzmia życie naszego stulecia, świat, który przeżył potworny kataklizm wojny, trawiony gdzieniegdzie po dziś dzień gorączką rasowego fanatyzmu i narodowych konfliktów, nękany nietolerancją i masowym okrucieństwem, np. w Wietnamie południowym, wywołuje przerażenie. Dzisiaj w wyzwolonej i odrodzonej Polsce wielotysięczna rzesza lekarzy realizuje założenia społecznej służby zdrowia. Wśród nich są również ci, którzy mieli ulec zagładzie w obozach koncentracyjnych, ale jednak przetrwali i mogą dać świadectwo prawdzie o medycynie hitlerowskiej, o martyrologii więźniów i przypomnieć światu, że nie wolno dopuścić, aby relikty złej przeszłości mogły gdziekolwiek stać się pogrobowcami *Hitlera*.

Lekarze SS w obozie Sachsenhausen-Oranienburg

W ciągu istnienia obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburgu obsada osobowa lekarzy *SS* była w znacznym stopniu płynna. Zaawansowani w „praktykach lekarskich" na więźniach obozu w Sachsenhausen byli następnie delegowani do innych obozów koncentracyjnych, aby tam dalej sprawować funkcje „lekarzy". Ze znanych, zdobywających w Sachsenhausen doświadczenie, przewinęli się następujący lekarze *SS*:

Dr *Emil Christian Schmitz* był odpowiedzialny za doświadczenia eksterminacyjne i doświadczalne wywoływanie ropowic (tzw. flegmon), jak również za doświadczenia na więźniach obozu Sachsenhausen nad wywoływaniem duru wysypkowego i za uśmier-

[1] Bilans strat z jednej tylko diecezji, chełmińskiej, wykazuje, że na stan 690 księży zginęło w obozach koncentracyjnych 218 łącznie z kapitułą katedralną i profesorami seminarium.

canie zastrzykami fenolu więźniów chorych na gruźlicę płuc. — Dr *Alois Gaberle* był lekarzem *SS* w obozie w latach 1943—1945. — Dr *Otto Adam* był w Sachsenhausen w roku 1944. Komendantura obozu powierzyła mu nadzór nad stwierdzaniem zgonów więźniów w czasie wykonywanych wyroków śmierci w obozie (egzekucji). — Dr *Ehrsam*, lekarz obozowy *SS* w latach 1937—1939, był nazywany przez więźniów „dr Grausam" (niesamowity); dotychczas nie został pociągnięty do odpowiedzialności za swe czyny w obozach. — Dr *Handler* (lub *Hatler*) nadzorował akcję eutanazji. — Dr *Sorge*, interesujący się tatuażem (rok 1943), był czynny przy rozstrzeliwaniu 18 tysięcy radzieckich jeńców wojennych w Sachsenhausen. — Dr *Sonntag* sprawował nadzór i prowadził doświadczenia nad działaniem trucizn stosowanych na więźniach obozu. — Dr *Rindfleisch* (junior) bezkarnie prowadził doświadczenia na chorych więźniach w toku przeprowadzanych przez siebie zabiegów operacyjnych w obozie. Jego nazwisko pojawia się również w związku z działalnością eksterminacyjną w innych obozach hitlerowskich. — Dr *Heinz Baumkötter*, lekarz naczelny *SS* w obozie Sachsenhausen-Oranienburg w latach 1942—1945, jest odpowiedzialny za doświadczenia eksterminacyjne na więźniach obozu; on je akceptował. W obozie był do ewakuacji (kwiecień 1945 roku). Zaproponował trucie ludzi cyklonem jako szybszy sposób masowej zagłady więźniów. Komendantura obozu skwapliwie skorzystała z tego projektu. Dr *Baumkötter* jest winien selekcji więźniów skierowanych do innych obozów zagłady. Akta przewodu sądowego procesu lekarzy Sachsenhausen podają liczbę wyniszczonych (zamordowanych) więźniów obozu za zgodą tego esesmana na około 26 tysięcy (zob. *SS im Einsatz*, Berlin 1947, s. 204—209). Ponadto zginęło 8 tysięcy więźniów w czasie ewakuacji, z głodu, wskutek niewydania maszerującym kolumnom więźniów porcji żywnościowych. Dr *Baumkötter* w zeznaniach sam przyznał się do tej liczby. — Dr *F. B. Lukas* z obozu Sachsenhausen jest bardziej znany jako lekarz *SS* skierowany stamtąd do obozu w Oświęcimiu. — Dr *Ernst Frohwein*, chirurg, był pierwszym zastępcą lekarza naczelnego *SS* w obozie (1942—1943), a później adiutantem szefa sanitarnego Rzeszy, dra Leonarda *Contiego* (rok 1944) w randze *SS-hauptsturmführera*. W obozie sygnował kary chłosty i słupka.

Lekarze-więźniowie w obozie Sachsenhausen-Oranienburg

Polacy: Dr Stanisław *Kelles-Krauz*. Zmarł 24. I. 1965 r. Jego biografię ogłosił W. *Sienicki* (Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 227—228). Dr St. *Kelles-Krauz* jest autorem „Wspomnień lekarza z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen" (Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 88—90). — Spośród innych należy wymienić następujących: Dr Wacław *Dwornicki*, aresztowany w Radomiu, pracował w obozie w ambulatorium; zmarł po wojnie. — Dr Stefan *Iwicki* pracował w ambulatorium obozowym; był niezwykle czynny społecznie wśród chorych więźniów; obecnie jest lekarzem wojskowym w Bydgoszczy. — Lek. dent. Florian *Małyszczak* był jednym z dwóch Polaków zatrudnionych w obozowym gabinecie stomatologicznym. — Dr Antoni *Nowak* pracował na oddziale IV (przeciwgruźliczym) razem z doc. dr med. Zygmuntem *Zakrzewskim*. — Dr Mieczysław *Olek* opiekował się w obozie jeńcami radzieckimi wspólnie z drem *Kelles-Krauzem*; po rozstrzelaniu jeńców pracował na oddziale zakaźnym w obozie. — Doc. dr *Pawłowski* był na oddziale III (chirurgii ropnej) w obozie. — Doc. dr Bohdan *Wróblewski*, aresztowany w Radomiu, pracował wespół z drem Emilem *Couderem* jako chirurg w aseptycznej sali operacyjnej w obozie (1944—1945); obecnie jest kierownikiem oddziału ortopedycznego kliniki WAM w Łodzi. — Doc. dr Zygmunt *Zakrzewski*, lekarz-więzień, był w obozie ordynatorem oddziału gruźliczego; po wojnie został kierownikiem Katedry Patologii AM w Gdańsku.

Rosjanie: Dr *Nikita Szeglakow*. — Dr *Wachtan Chatsapuritse* (Gruzin).

Czesi: Dr *Anton Pirek* pracował w sali operacyjnej (septycznej) w obozie, zmarł po wojnie. — Dr *Sotona* pracował początkowo w ambulatorium; skierowany do pracy jako kierownik pracowni analitycznej.

Jugosłowianin doc. dr *Milan Cunder*, anatomopatolog, miał wyrok śmierci, którego w obozie nie wykonano. Był więziony „na *Alexanderplatzu*" (więzienie gestapo); lekarz sztabu *Josipa Broz-Tito*. Od roku 1944 prowadził w obozie zakład anatomo-patologiczny.

Francuzi: Dr Emil *Couder*, chirurg, w obozie przebywał w karcerze, gdy zaszła konieczność wykonania resekcji stawu kolanowego u młodego więźnia-Francuza, został odwołany z karceru obozowego, by wykonać pokazową operację wobec obozowych lekarzy *SS*. Po jej wykonaniu pracował w sali operacyjnej (aseptycznej) z doc. drem *Wróblewskim* (tam też operował lekarz *SS*, dr Ernst *Frohwein*). Mimo że dr *Couder* znał język niemiecki, podczas operacji wykonywanych wspólnie z lekarzem *SS* rozmawiał z nim tylko przez tłumacza (Luksemburczyka). — Dr Maurycy *Galouen* (z Rouen), chirurg, w obozie pracował w sali operacyjnej (septycznej). Zginął w komorze gazowej w Sonnenstein koło Pirmy (wywieziony transportem).

Belg dr Albert *Delanois*.

Holender dr B. *Seltenrath*, okulista, pracował w ambulatorium i konsultował chorych na oddziałach szpitalnych.

Duńczycy: Dr *Ejnar Dahl* i internista dr *Henry Meyer*.

Norwedzy: Dr *Bräkke Bärd*, neurolog, przebywa w Stanach Zjednoczonych AP. — Dr *Doo* pracował w ambulatorium obozowym. — Dr *Peer Grässli*, internista, pracował wspólnie z drem *Oftedahlem*, zmarł w drodze do Skandynawii. — Dr *Sven Oftedahl*, internista, ordynator oddziału R II w obozie. Po wojnie był Ministrem Opieki Społecznej Norwegii. Nie żyje. — Dr *Paul Glörsen*. — Dr *Sitorn Havorsen*.

Austriak dr *Willi Lonsdorf*, aresztowany w Radomiu razem z drem *Wróblewskim*. W obozie był kierującym lekarzem sali operacyjnej (septycznej). Od lekarza naczelnego dra *Baumköttera* doznawał wymówek, że za bardzo opiekuje się w obozie więźniami pochodzenia słowiańskiego.

Niemcy: Dr *Fritz Busse*, neurolog z Hamburga, nie żyje. — Dr *Karl Hartz* („opiekun" kompanii karnej, bez prawa wykonywania zawodu lekarza z wyroku sądu niemieckiego) w obozie nosił trójkąt kryminalisty. — Dr *Herman Pistor* z Kassel, lekarz-praktyk, mianowany pierwszym lekarzem więźniarskim, nosił w obozie trójkąt różowy (poza czerwonym), zmarł po wojnie.

Podany wykaz jest niepełny. Należy dodać, że doc. dr Witold *Zegarski* w swoim opracowaniu pt. „Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940—1945" (Przegl. Lek., 1969, s. 75—86) po części scharakteryzował już wielu spośród wymienionych tutaj lekarzy. Podane uwagi mogą ewentualnie uzupełnić sylwetki wymienionych. Na podkreślenie zasługuje, że między poszczególnymi grupami narodowościowymi lekarzy nie dochodziło w toku pracy w obozie do scysji ani kontrowersji na tle pochodzenia z różnych krajów, nie było też zawiści zawodowych z tytułu ewentualnej „lepszej" pracy itp. Każdy spełniał swe obowiązki sumiennie i rzetelnie.

Pierwszymi lekarzami narodowości polskiej byli profesorowie UJ, aresztowani w Krakowie i skierowani do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Żadnemu z nich jednak nie było wolno pracować w szpitalu obozowym (rok 1940). Wspomnieć tu jeszcze należy o lekarzu Antonim *Tomickim* z Bydgoszczy, który już jako chory więzień ordynował z łóżka szpitalnego, nim zmarł w obozie.

ANTONI MAKOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 131791

Warszawa

Niektóre osiągnięcia organizacyjne szpitala obozowego w Monowicach

Przy budowie fabryki chemicznej „Buna" koncernu *I. G. Farben* hitlerowcy zatrudniali więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu od wiosny 1941 roku. Początkowo dowożono ich do pracy koleją, a od października 1942 roku został utworzony specjalny podobóz Buna-Monowice (Oświęcim III). Do znanych powszechnie wyniszczających warunków bytowania w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (głód, nędzne odzienie, złe warunki mieszkaniowe, swoisty, sadystyczny stosunek przełożonych) dołączała się długotrwała, przeważnie bardzo ciężka praca fizyczna. Wszystkie te czynniki sprawiały, że siły żywotne więźniów bardzo szybko wyczerpywały się, wielu chorowało i umierało. Koncern *I. G. Farben,* czerpiąc korzyści z niewolniczej pracy więźniów, tolerował w obozie tylko zdrowych i zdolnych do wysiłku.

Od początku obozu istniał w nim szpital, pomyślany w pierwszym okresie jako izba chorych dla krótkotrwałego przetrzymywania więźniów niezdolnych do pracy. Ciężej chorzy mieli być przenoszeni do szpitala macierzystego obozu w Oświęcimiu. Stałe przeciążenie tego szpitala i zapewne różne kłopoty organizacyjne doprowadziły jednak do modyfikacji planów zamierzonych w tym zakresie [1]. Szpital rozwijał się stopniowo równocześnie ze zwiększaniem się liczby więźniów. Zatrudnieni tam od początku więźniowie starali się, aby *Häftlingskrankenbau* (*HKB, KB*) w miarę obozowych możliwości był naprawdę szpitalem, ośrodkiem pomocy chorym więźniom i by stwarzał im dobre warunki pobytu i leczenia [2].

Starania te były połączone w większości wypadków z dużym wysiłkiem organizacyjnym i ryzykiem osobistym. Całe to działanie było przecież niezgodne z regulaminem obozowym i właściwie mogło za każdym razem podlegać surowym represjom ze strony władz *SS*. Na to, że się tak nie stało i że obyło się bez tych ujemnych skutków, złożyły się różne przyczyny, czasem przypadkowe, a często zbieg okoliczności.

Już zimą 1942/43 roku z inicjatywy „starszego szpitala" (*lagerälteste KB*) Ludwika *Wörla* urządzono wobec groźby szerzenia się duru wysypkowego komorę dezynfekcyjną dla odkażania odzieży. Baraki, przeznaczone na szpital i ambulatorium, stopniowo zagospodarowywano zgodnie z wyposażeniem przydzielanym przez władze obozowe.

Wiosną 1943 roku dokonano swoistego wyczynu. Grupa pielęgniarzy i innych pracowników szpitala pod kierunkiem *Georga Lay'a,* więźnia politycznego narodowości niemieckiej, w asyście esesmana *Neuberta* sprowadziła na teren obozu i zainstalowała w szpitalu dodatkowy kocioł parowy do zasilania parą komory dezynfekcyjnej i wzmocnienia centralnego ogrzewania. Brzmi to pozornie prosto, ale sprawa ta w warunkach obozowych nie była łatwa. Lokomobilę parową skradziono w brawurowy sposób na terenie budowy fabryki „Buna", przeciągnięto na odległość około półtora kilometra i wprowadzono do obozu przez bramę, której strzegli esesmani; ryzykowano surowymi karami w razie niepowodzenia akcji. Liczono na to, że z chwilą, gdy lokomobila znajdzie się na terenie obozu, władze *SS*, ucieszone z bezpłatnego przyrostu swego majątku, zaakceptują fakt dokonany. Istotnie wszelkie interwencje właścicieli skradzionej lokomobili były potem bezskuteczne; kocioł został w obozie i służył szpitalowi do końca.

Większość przedsiębranych później starań i prac opierała się również na cichej zgodzie władz obozowych, które nie mogły nie spostrzegać zmian w wyraźnie rozbudowujących się i ulepszających barakach szpitalnych. Wszystkie materiały, potrzebne do tego celu, były po prostu podebrane przez więźniów na terenie budowy fabryki i przemycane w przemyślny sposób do obozu. Trzeba tu podkreślić paradoks obozowego życia. Za znalezioną brukiew lub kilka ziemniaków więzień wracający z pracy do obozu podlegał bardzo surowym karom; oczywiście tak samo karany byłby więzień, przy którym w czasie rewizji natknięto by się na wnoszoną do obozu farbę, przedmioty wyposażenia elektrycznego itp. Natomiast nikt nie dochodził, skąd wzięła się np. farba do odnowienia wnętrza bloku mieszkalnego lub szpitalnego, skąd dotarły umywalki porcelanowe i sedesy, instalowane w szpitalu, a przemycane do obozu samochodem, przeważnie w kotłach po przywiezionej dla więźniów zupie obiadowej. Ponieważ rozbudowa szpitala szła na konto władz *SS*, które potem mogły się tym ewentualnie chwalić, a na pewno zaliczać wszystkie te przedmioty jako swoją własność bez ponoszenia kosztów, przeto zapewne przedsięwzięcia te były tolerowane.

Głównym inicjatorem dalszej rozbudowy i ulepszania szpitala był urzędujący od czerwca 1943 roku „starszy szpitala" dr Stefan *Budziaszek*. Potrafił on w dużym stopniu unie-

---

[1] Według listu byłego więźnia Oświęcimia, mgra E. *Niedojadły* z Tarnowa, do dra S. *Kłodzińskiego* (z dnia 3 czerwca 1969 roku).

[2] Autor podjął szczegółowe omówienie działalności *HKB* w obozie Monowice w przygotowywanej, osobnej pracy (przyp. red.).

zależnić się w działaniu od władz *SS*, głównie przez pozyskanie — niewątpliwie nie bez pewnych „podarunków" — podoficera sanitarnego *SS*, *Neuberta*.

Latem 1943 roku w szpitalu zorganizowano kuchnię, w której gotowano kawę; zmniejszyło to wydatnie kłopoty i trudy związane z przywożeniem dwa razy dziennie dużej ilości kawy z odległej, centralnej kuchni obozowej.

W tym czasie została też znacznie usprawniona praca w ambulatorium chirurgicznym. Wieczorem zgłaszało się do zmiany opatrunków kilkudziesięciu więźniów, a zimą nawet po kilkuset. Szybkie i sprawne ich zaopatrzenie było bardzo istotne, aby uniknąć straty wolnego czasu, którego było przecież w życiu więźnia niewiele. Drobne, ale istotne urządzenia, jak stanowiska dla opatrunków, zorganizowanie ruchu chorych w tym pomieszczeniu, mobilizacja dużej liczby lekarzy i pielęgniarzy, przyczyniały się do dobrej pracy ambulatorium.

Pomieszczenia szpitalne były zwykłymi, nie skanalizowanymi barakami mieszkalnymi; umywalnie, łaźnie i latryny mieściły się w obozie w osobnych budynkach. To, co było jeszcze względnie znośne dla więźniów zdrowych, stawało się wprost udręką dla chorych. Duże kubły na mocz i fekalia, stojące w baraku i wynoszone do ogólnych ubikacji, pogarszały już i tak nieświetne warunki pobytu w szpitalu. Podjęte wówczas prace w celu skanalizowania baraków były więc olbrzymim krokiem naprzód na drodze do poprawy działalności szpitala. Umywalnie i ubikacje zostały dobudowane w blokach nr 20 (biegunkowym), 15 (II, później III oddziale chorób wewnętrznych) i 16 (chirurgicznym). Jednocześnie dobudowano na tyłach baraku ambulatoryjnego i połączono z dezynfekcją natryski, umywalnie i ubikacje, z których korzystali chorzy z I oddziału wewnętrznego (blok 19), a przede wszystkim chorzy przyjmowani do szpitala (rodzaj izby przyjęć). Wszystkie te prace były w zasadzie zakończone do jesieni 1943 roku. Wykonywali je częściowo sami pracownicy szpitala, częściowo różni więźniowie z zewnątrz, poświęcający swój wolny czas (w zamian za trochę dodatkowego wyżywienia) po powrocie z pracy w fabryce. Przeważnie byli oni jednak potajemnie włączani na pewien czas w stan chorych.

Jesienią 1943 roku z osobistej inicjatywy *Budziaszka* dobudowano też specjalną salę operacyjną (dotychczas operacje „czyste" były wykonywane w małym pokoju w bloku 18 ambulatoryjnym). Sala ta, jak na warunki obozowe, była szczytem nowoczesności. Miała gładką, betonową podłogę, którą zmywano wodą (podłogę wypolerowano wspólnym wysiłkiem wszystkich po kolei pracowników szpitala), ściany malowane olejno, oddzielną izbę przygotowawczą, bieżącą wodę w umywalniach, specjalnie skonstruowaną lampę bezcieniową. Rozwijająca się w takim wyposażeniu pomoc chirurgiczna „czysta" może pochwalić się dużymi osiągnięciami i stosunkowo bardzo rzadko występującymi powikłaniami. Jednocześnie z rozbudową sali operacyjnej została zorganizowana w bloku 19 specjalna sala dla chorych po „czystych" operacjach chirurgicznych. Sala ta była oczkiem w głowie dra *Budziaszka*, którego ambicje chirurgiczne znajdowały tutaj swe pole do popisu. Wykonane tu były podsufitki, stwarzające izolację od zwykłego, barakowego dachu; łóżka były pojedyncze, zaopatrzone w czystą, często zmienianą bieliznę. Dr *Budziaszek* starał się też o uzupełnienie wyposażenia sali operacyjnej w narzędzia chirurgiczne. Przywoził z obozu centralnego (głównie z „kanady") całe zestawy narzędzi, toteż „operacyjna" była dość dobrze zaopatrzona.

W tym czasie, tj. latem i jesienią 1943 roku, przywieziono pochodzące przeważnie z „kanady" aparaty do gabinetu fizykoterapeutycznego. były to lampy „sollux", aparaty do galwanizacji, lampa kwarcowa, zresztą używana też do odkażania sali operacyjnej, oraz budki z żarówkami.

Późną jesienią tegoż roku rozbudowano laboratorium i wyposażono w podstawowy sprzęt, również z „kanady", częściowo zaś przyniesiony z laboratorium w fabryce. Ze względu na brak lekarstw, korzystając z laboratorium, więźniowie (chemicy i lekarze, głównie student medycyny Herbert *Mohl* i chemik *George Wellers*) rozpoczęli wykonywanie początkowo maści i leków dermatologicznych zewnętrznych, następnie również roztworu glukozy i chlorku wapnia do wstrzykiwań. Stopniowo produkcja tych środków stawała się coraz większa i trzeba przyznać, że w dużej mierze zaspokajała potrzeby szpitala, a jej jakość nie dawała powodów do skarg. Surowce, zarówno do laboratorium, jak i do sporządzania leków były przemycane do obozu z terenu fabryki.

Późną jesienią 1943 roku do otrzymanej z „kanady" lampy rentgenowskiej *Budziaszek* postanowił dorobić całe brakujące urządzenie, aby uruchomić w szpitalu aparat rentgenowski (chorych wymagających badania radiologicznego trzeba było przewozić do centralnego obozu w Oświęcimiu, co było w warunkach obozowych bardzo skomplikowane i dlatego praktycznie badań tych nie wykonywano). W tym celu musiano pokonać duże trudności zarówno techniczne, gdyż znów trzeba było „zorganizować" mnóstwo potrzebnych części elektrotechnicznych, jak również koncepcyjne, brak było bowiem jakichkolwiek schematów i materiałów dokumentacyjnych i należało oprzeć się na doświadczeniu i pamięci ludzkiej. Dokonał tego technik rentgenowski, więzień-Polak (jego nazwiska już nie pamiętam i nie mogłem ustalić), który strawił nad tą żmudną pracą godziny, dni i tygodnie. Aparat, przystosowany tylko do wykonywania zdjęć, był wreszcie gotowy wiosną 1944 roku. Niestety, praktycznie prawie nie korzystano z niego z powodu braku klisz [3].

[3] Relacja E. *Niedojadły* (Przegl. Lek., 1965, nr 1,

Latem 1944 roku z inicjatywy dra *Budziaszka* i chirurga-ortopedy (nazwiska już nie pamiętam) zmontowano cały zestaw do leczenia złamań kończyn. Do tego celu przystosowano wiertarkę elektryczną i sporządzono w warsztacie szpitalnym pręty z chromowanej stali nierdzewnej oraz system bloczków wyciągowych, dostosowanych do łóżek. Tą metodą z powodzeniem leczono kilku więźniów po urazowych złamaniach kości nóg.

Jesienią 1944 roku grono lekarzy francuskich z drem Robertem *Waitzem* na czele prowadziło (przytaczam według *Jaworskiego* [4]) pod pozorem prób doświadczalnych 6-tygodniową akcję podawania wybranej grupie 30 więźniów (wyniszczonych i z obrzękami) specjalnej pasty witaminowej z drożdży i cebuli. Ludzie ci, pozostając w szpitalu, otrzymywali dodatkowy litr zupy z tą pastą. Celem doświadczenia było ustalenie przyczyn powstawania obrzęków, czego zresztą nie osiągnięto, ale to pozwoliło grupie więźniów na przetrwanie we względnie lepszych warunkach kilku dalszych tygodni obozu.

Specjalnym wyczynem w warunkach obozowych było skonstruowanie z inicjatywy dra Zenona *Drohockiego* aparatury do leczenia wstrząsami elektrycznymi. Była to względnie nowa w owym czasie metoda leczenia chorób psychicznych. Wiadomo, że więźniom, którzy objawiali te zaburzenia, groziła śmierć, a ich leczenie w obozie było bardzo trudne lub nawet niemożliwe. Dr *Drohocki,* neurofizjolog z Krakowa, mający już w swym dorobku pionierskie osiągnięcia naukowe z zakresu elektroencefalografii oraz doświadczenie w elektroterapii, przystąpił do budowy aparatu, korzystając z poparcia dra *Budziaszka,* który pomagał mu zdobywać potrzebne wyposażenie elektryczne. Przy współpracy inż. S. *Kaplana,* pracownika zakładów *Phillipsa* w Holandii, dr *Drohocki* poświęcał przez dłuższy czas późne wieczory i niedospane noce pracom w celu wykonania aparatu, który był wreszcie gotów latem 1944 roku. Zaczęto wtedy leczyć chorych psychicznie, głównie schizofreników znajdujących się w szpitalu w Monowicach. Zabiegi wykonywał dr *Drohocki.* Po kilku seansach wstrząsowych zainteresowano tą sprawą *lagerarzta SS, Fischera.* Za jego wiedzą i zgodą leczeniem wstrząsami elektrycznymi objęto również chorych psychicznie z innych obozów, podległych obozowi Oświęcim III, jak też chorych z centralnego obozu oświęcimskiego i z Brzezinki, między innymi również kobiety. Zasięg tych zabiegów tak się rozszerzył, że wreszcie stosowano je seryjnie u całej grupy chorych, których przywożono w tym celu do Monowic z innych obozów i następnie transportowano z powrotem.

Poparcie lekarza *SS* dla tej sprawy było oczywiście konieczne, gdyż taki szeroki zakres leczenia mógł być przeprowadzany tylko za jego wiedzą. Dr *Drohocki* na żądanie *Fischera* nawet napisał referat oparty na dobrze mu znanych materiałach z piśmiennictwa i uwzględniający leczenie w obozie. Odczyt ten *Fischer* wygłosił podczas otwarcia szpitala *SS* w Oświęcimiu, podając podobno nazwisko właściwego autora (opieram się tu na informacji uzyskanej od dra *Drohockiego*).

Niewątpliwym sukcesem było samo techniczne rozwiązanie aparatury, oparte na własnej koncepcji i umiejętności oraz wymagające zmobilizowania środków technicznych i pokonania licznych trudności. Wyczynem też było stworzenie klimatu, który pozwolił na leczenie chorych psychicznie więźniów na tyle skutecznie i długo, że osiągano poprawę w stanie ich zdrowia. Chorzy ci byli poprzednio bezwzględnie likwidowani przez władze obozowe, toteż wprowadzenie tej metody i nadanie jej pewnego elementu „mistycyzmu", ulubionego przez esesmanów, umożliwiło leczenie względnie dużej liczby więźniów i utrzymanie ich przy życiu, przynajmniej doraźnie, bo dalsze ich losy były, jak losy wszystkich więźniów, bardzo niepewne.

Jednym z ubocznych, dodatkowych osiągnięć prowadzonego leczenia więźniów z różnych obozów była możność uzyskania niedozwolonych kontaktów międzyobozowych za pośrednictwem pracowników sanitarnych, towarzyszących transportowanym chorym. Między innymi dotyczyło to kontaktów z obozem kobiecym, z którego za każdym razem przyjeżdżały inne więźniarki, mające do załatwienia jakieś sprawy w obozie monowickim.

Równocześnie ze stosowaniem leczenia wstrząsami elektrycznymi *Drohocki* podjął pracę nad elektronarkozą. Niedostatek środków znieczulających i narkotycznych nierzadko zmuszał do wykonywania zabiegów (np. nacięć ropni lub ropowic) bez znieczulenia. Opierając się na fakcie, że dawki prądu elektrycznego stosowane w czasie wstrząsów wywołują po fazie drgawkowej okres snu, *Drohocki* postanowił skonstruować aparat, który by umożliwiał minimalne dawkowanie prądu, nie doprowadzającego do drgawek, lecz wywołującego sen. Słowem, chciał zastąpić stosowaną dotychczas narkozę farmakologiczną (eterem lub chlorkiem etylu) przez elektronarkozę. Sądził, że tą drogą można by ulżyć chorym przy niedostatku innych środków. Prace nad tym zagadnieniem, kontrola aparatu i jego ulepszanie trwały kilka miesięcy; wreszcie w listopadzie 1944 roku próbnie zastosowano prąd elektryczny w celu wywołania snu. Badany chory zapadł w sen, nie czuł ukłuć skóry, a po obudzeniu się nie pamiętał, co się z nim działo. Napięcie mięśni jednak nie ustąpiło [5].

Prace nad doskonaleniem aparatu do elektronarkozy *Drohocki* prowadził aż do końca trwania obozu w Monowicach, do połowy stycznia 1945 roku. Prób, które nie okazywały ubocznych skutków, dokonywał on na ochot-

---

s. 121) nieściśle informuje o wykorzystywaniu aparatu rentgenowskiego w pracy szpitala.

[4] C. W. *Jaworski*: Wspomnienia z Oświęcimia. W: Apel skazanych. Pax, Warszawa 1962, s. 268.

[5] Według C. W. *Jaworskiego,* o. c., s. 267.

nikach spośród chorych leczonych na jego oddziale, wynagradzając ich dodatkowymi racjami zupy lub chleba. Wyniki osiągane w zakresie narkozy wydawały się zachęcające, ze względu jednak na swoiste zainteresowanie wymienionym wynagrodzeniem nie można było całkiem jednoznacznie opierać się na podawanych przez badanych dobrych wynikach tej metody. Praktycznie więc aparat do elektronarkozy nie wyszedł z fazy prób i nie znalazł zastosowania w leczeniu chorych w obozie w Monowicach. Z powojennych kontaktów z drem *Drohockim* wiem, że nie podjął on już później dalszych prac nad tym zagadnieniem.

Analizując z perspektywy czasu poczynania dra *Drohockiego,* a zwłaszcza jego wielki wkład osobisty w całą tę działalność, doszedłem do wniosku, że pobudką dla niego była chyba zarówno chęć służenia chorym w znanej mu specjalności, jak też cel niejako osobisty: zająć się tak intensywnie absorbującą, a przy tym pożyteczną pracą, aby wyłączyć się psychicznie z otaczającej, potwornej sytuacji obozowej. Nie można też pominąć prawdopodobnego motywu całkiem już prywatnego (zapewne podświadomego): stać się w obozie kimś na tyle potrzebnym i znaczącym, aby go się nie pozbyto. Trzeba chyba przyjąć, że cele te osiągnął.

Ci byli więźniowie z Monowic, szeregowi *häftlindzy,* jak i pracownicy szpitala, którym udało się przeżyć piekło hitlerowskich obozów i z którymi rozmawiałem po wojnie, pozytywnie oceniali działalność monowickiego *KB.* Placówka ta zapisała się w ich pamięci jako miejsce, w którym można było uzyskać rzetelną i na miarę możliwości obozowych skuteczną pomoc lekarską oraz podporę moralną, co wielokrotnie umożliwiło licznym więźniom przetrwanie ciężkich chwil [6].

[6] W czasie drukowania niniejszego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" prasa codzienna doniosła 27. X. 1969 r., że dr Antoni *Makowski* otrzymał za ten artykuł II nagrodę (*ex aequo* z inną pracą) w konkursie na wspomnienia, ogłoszonym przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu; I nagrody nie przyznano (przyp. red.).

MARIANNA ADAM
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr A-17169

Oradea (Rumunia)

Relacja pielęgniarki uwięzionej w Brzezince [1]

Dnia 9 czerwca 1944 roku przybyłam do Oświęcimia-Brzezinki z Rakosliget pod Budapesztem razem z ojcem i matką. Znaleźliśmy się wraz z przywiezionymi więźniami na rampie w Brzezince. Tutaj oddzielono mnie od rodziców i odesłano do „lagru Meksyk" [2]. Tam przebywałam około 1—2 tygodni. Stąd posłano mnie do obozu w Krakowie-Płaszowie, gdzie byłam więziona przez 5—6 tygodni. Liczbę dni obecnie trudno mi jest dokładnie określić. Z obozu w Płaszowie przetransportowano mnie z powrotem do Brzezinki i umieszczono w sektorze, gdzie uprzednio był „obóz czeski" [3]. Wtedy dopiero — 10 sierpnia 1944 roku [4] — wytatuowano mi na lewym przedramieniu numer obozowy A-17169 i przydzielono mnie do pracy w bloku, w którym znajdowały się więźniarki chore na świerzb. Był to prawdopodobnie blok nr 28. Jako zawodowej pielęgniarce udało mi się objąć funkcję sanitariuszki na okres kilku tygodni. Z końcem września 1944 roku, tj. w początkowym okresie ewakuacji Brzezinki, udało mi się włączyć do odchodzącego transportu i w ten sposób ujść z obozu zagłady w Oświęcimiu-Brzezince. Po wielu cierpieniach, licznych marszach śmierci, przeszedłszy przez 6 obozów koncentracyjnych i obozów pracy, zostałam wyzwolona 8 maja 1945 roku w Sudetach przez armię radziecką w małym podobozie opodal Terezina (*Theresienstadt*).

W bloku „świerzbowym" było nas 5 sanitariuszek, spośród których tylko ja byłam siostrą z dyplomem, trzy nie miały wyszkolenia sanitarnego, a jedną wojna zastała jako studentkę medycyny. Blok ten był podobny do innych bloków mieszkalnych w Brzezince. Wyposażony w trzypiętrowe prycze, był ogrzewany wzdłuż przez środek kominem-piecem. Starsza bloku (*Blockälteste*) podawała się za studentkę medycyny. Nie troszczyła się jednak zupełnie ani o chore, ani o warunki sanitarne, ani o pracę sanitariuszek.

Kobiety chore na świerzb trafiały do nas z innych bloków, rzadko dobrowolnie, najczęściej kierowano je tutaj wśród bicia i krzyków. W ten sposób z bloków roboczych usuwano chore ze zmianami świerzbowymi na

[1] Oryginalny tytuł: *Krätzefrage im Frauenlager Birkenau.* Autorka została uwięziona jako Żydówka węgierska. Obecnie przebywa w Rumunii. Autoryzowany przekład S. *Kłodzińskiego* z języka niemieckiego.

[2] Była to część obozu w Brzezince, gdzie więźniarki, najczęściej nagie, czekały na swoją kolejność do komór gazowych. „Meksyk" był pozbawiony baraków, jak również jakichkolwiek urządzeń sanitarnych (przyp. red.).

[3] Tak nazywano odcinek obozu w Brzezince mieszczący okresowo więźniów przywiezionych z żydowskiego obozu *Theresienstadt* w Czechach (przyp. red.).

[4] Datę tę (przywiezienie transportu *RSHA* z Węgier) potwierdziło archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (przyp. red.).

skórze [5]. W bloku „świerzbowym" leżały one oczywiście bez koców, po 8—12 kobiet na jednej potrójnej pryczy, co było zwykłym zjawiskiem w tym obozie. Wyżywienie i traktowanie chorych nie różniło się od warunków panujących w blokach roboczych. Blok „świerzbowy" był stale przepełniony, w tym czasie bowiem przychodziły transporty z Rodos i z Łodzi. Prawie wszystkie nasze chore cierpiały prócz świerzbu na wtórne zakażenia skórne (piodermie). Nawet chore z dużymi ropnymi zmianami na skórze nie były oddzielane od chorych ze zwykłym świerzbem, lecz razem leżały stłoczone, wskutek czego zakażenia łatwiej się szerzyły. Chore na świerzb przez wiele dni nie otrzymywały często żadnego leczenia. Blok „świerzbowy" nie miał lekarza.

Podstawową czynnością blokowej było wypędzanie chorych kobiet o godzinie 4 rano na apel. W bloku nie było pomieszczenia opatrunkowego; dokuczał też brak opatrunków, narzędzi lekarskich i środków dezynfekcyjnych. Po około trzech tygodniach od czasu umieszczenia mnie w bloku „świerzbowym" nadeszła wreszcie długo oczekiwana maść przeciwświerzbowa, którą przełożono do dwóch wielkich miednic. Chore ustawiano po obydwu stronach komina-pieca wzdłuż bloku w dwóch szeregach. Więźniarki te były rozebrane do naga. Wtedy dopiero mogłyśmy rozpocząć nasze właściwe, fachowe zajęcie. Gołymi rękami nacierałyśmy skórę chorych kobiet, jedną po drugiej. Z tej samej miednicy musiałyśmy pobierać maść zarówno dla chorych ze zwykłym świerzbem, jak i dla chorych, których skóra była pokryta zmianami ropnymi. Niektóre kobiety miały głębokie, ropne rany. Nie udawały się próby smarowania chorych z ropowicami z oddzielnej miednicy.

Codzienne smarowanie maścią odbywało się w obecności funkcjonariuszy *SS*, wśród tłoku, bicia kijami, krzyków, przekleństw. Po takim leczeniu, trwającym przez okres 3—4 dni, chore zapędzano do kąpieli, oczywiście pod zimną wodą i bez mydła, po czym otrzymywały one brudne łachmany. Niektóre tak wyleczone chore widziałyśmy później w blokach roboczych. Niektóre z nich opowiadały nam, że w czasie kąpieli selekcjonowano je i znaczna ich część szła do komór gazowych. Zdarzało się też, że po takiej kąpieli po leczeniu przeciwświerzbowym żadna więźniarka z danej grupy nie wracała do bloku roboczego. Tymczasem do bloku „świerzbowego" przychodziły nowe chore i wszystko zaczynało się od początku. Całe to postępowanie przeciwświerzbowe było parodią leczenia, inscenizacją z iście hitlerowską perfidią.

Sytuację w bloku „świerzbowym" pogarszały wielostronnie złe warunki, panujące w Brzezince, a niejednokrotnie już opisywane, insekty, głód, bicie, brak wody, brak odpowiedniej odzieży, zagęszczenie, wspólne koce, sienniki, ręczniki itd. Stare więźniarki często zwracały moją uwagę na fakt, że co pewien czas cała obsada bloku „świerzbowego", tzn. chore łącznie z personelem, bywała ładowana na auta ciężarowe i wysyłana do komór gazowych. Gdy więc z końcem września 1944 roku rozpoczęły się, jak wspomniano, ewakuacyjne transporty z Brzezinki, zdecydowałam się pod wpływem tych ostrzeżeń opuścić blok chorych na świerzb i zgłosiłam się do jednego z odchodzących transportów. W ten sposób udało mi się ujść z życiem z obozu zagłady w Oświęcimiu-Brzezince.

[5] Por. artykuł S. *Kłodzińskiego* pt. Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim-Brzezinka, zamieszczony w dziale naukowym.

ROMAN OLSZYNA
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 7889, Gross-Rosen nr 2608, Flossenbürg nr 85410 i Dachau nr 160125

Warszawa

Wstępny wykaz lekarzy obozu Gross—Rosen

Działalność lekarzy esesowskich i podległej im służby sanitarnej *SS* w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen nie doczekała się dotychczas dostatecznego opracowania. Również stosunkowo skromnie jest przedstawiona w dotychczasowej publicystyce i materiałach działalność więźniów-lekarzy z „rewiru" zarówno obozu głównego, jak i licznych podobozów, którzy w niezwykle trudnych warunkach, najczęściej z narażeniem na represje przeciwdziałali zamierzeniom *SS*. Im to zawdzięcza wielu więźniów Gross-Rosen i podobozów przetrwanie „lagrowego" koszmaru.

Dobrze się stało, że relacje o działalności więźniów-lekarzy podjęli w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" autorytatywni autorzy, bezpośredni świadkowie i uczestnicy obozowych wydarzeń, właśnie więźniowie-lekarze. Opracowania doktorów Kazimierza *Hałgasa*, Bronisława *Rubina*, Romualda *Sztaby*, Józefa *Żeglenia* i innych zostaną pogłębione relacjami dalszych autorów. Ta grupa byłych więźniów może najlepiej ujawnić rolę, jaką w Gross-Rosen i podobozach odegrała esesowska służba lekarska i sanitarna. Od zakończenia wojny mija ćwierćwiecze, a dotychczas ujawniono stosunkowo niewiele zbrodni dokonanych na więźniach przez tę służbę obozową.

*
* *

Obóz w Gross-Rosen (Rogoźnica) został założony w sierpniu 1940 roku. Przez 10 pierw-

szych miesięcy istniał jako podobóz i podlegał obozowi koncentracyjnemu w Sachsenhausen. 1 maja 1941 roku został usamodzielniony jako obóz koncentracyjny drugiej kategorii. Biorąc pod uwagę nasilenie transportów kierowanych do Gross-Rosen oraz rozbudowę obozu, można wyodrębnić trzy okresy: 1) od sierpnia 1940 do 1 maja 1941 roku (przez podobóz przeszło około 600 więźniów); 2) od maja 1941 do połowy 1943 roku (transporty do obozu objęły prawie 10 600 więźniów i 2 500 jeńców radzieckich pozostających formalnie w numeracji *stalagu* 318 w Łambinowicach); 3) od połowy 1943 do połowy lutego 1945 roku (transporty do obozu objęły przeszło 100 000 więźniów, w tym prawie 5 000 tzw. *Erziehenhäftlinge* w odrębnej numeracji obozowej; na ten okres przypada tworzenie licznych podobozów).

Liczbę ofiar śmiertelnych ocenia się na około 40 000, bez strat w transportach ewakuacyjnych. Stałemu wzrostowi liczby więźniów towarzyszył wzrost załogi *SS*. Zwiększała się również liczebność komendantury obozowej. Coraz więcej zbrodni popełniano na więźniach.

W latach 1941—1942 niemal połowa więźniów przebywających w obozie nie była w stanie wykonywać żadnej pracy. Władze obozowe przeznaczyły w celu ich izolacji dwa odrębne baraki, ale nie mogły one pomieścić wszystkich chorych i zniszczonych obozowymi warunkami. Miały one stanowić o fakcie istnienia szpitala obozowego. W całym okresie funkcjonowania obozu Gross-Rosen wielkość pomieszczeń „rewirowych" była daleka od faktycznych potrzeb. W roku 1944 „rewir" zajmował w obozie głównym 6 baraków. W podobozach pomieszczenia „rewirowe" były niezwykle skromne, a sytuacja chorych najtragiczniejsza. Do połowy roku 1942 żaden więzień-lekarz nie został dopuszczony do opieki nad chorymi. Podlegali oni wyłącznie funkcyjnym wyznaczonym spośród niemieckich więźniów kryminalnych. Lekarze więzieni w obozie wykonywali pracę w miejscowym kamieniołomie. Aczkolwiek pod tym względem następowała pewna poprawa w latach następnych i coraz więcej lekarzy-więźniów przydzielano do obsługi chorych w rewirze, to jednak ich działalność została poważnie ograniczona brakiem środków niezbędnych do leczenia. W drugiej połowie roku 1944 powstała również funkcja lekarzy blokowych. Choć działalność w blokach ograniczała się głównie do troski o utrzymanie wśród więźniów higieny osobistej i udzielania pomocy ambulatoryjnej, odegrała ona niemałą rolę w zapobieganiu wybuchowi epidemii, która by groziła likwidacją chorych przez służbę *SS*.

*
* *

Próba ustalenia listy esesmanów pełniących w Gross-Rosen funkcję lekarzy obozowych i służby sanitarnej, jak również listy więzionych w obozie lekarzy różnych narodowości jest niezmiernie trudna. Komendantura obozu, likwidując w początkach roku 1945 liczne podobozy, a w lutym tegoż roku również obóz główny, skrupulatnie zniszczyła dokumenty obozowe. Bardzo nieliczne są dotąd także relacje więźniów w tym zakresie. Szczególnie brak odpowiednich wiadomości odnosi się do licznych podobozów. Być może, niniejszy artykuł przyczyni się do dalszego uzupełnienia przedstawionych spisów.

Wykaz esesowców

Kurt Babor, urodzony 23.VIII.1918 roku, *SS-hauptscharführer*, lekarz obozowy w latach 1941—1942 w Gross-Rosen, zastrzelony w roku 1963 w Etiopii. — *Wilhelm Bahr, SS-unterscharführer, SDG* w latach 1944—1945 w podobozie Bauzen. — *Braun, SS-unterscharführer, SDG* między innymi w latach 1942—1943 w Gross-Rosen. — Dr *Friedrich Entress*, urodzony 8.XII.1914 roku, *SS-hauptsturmführer*, lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1941 i 1944 — 1945, skazany na śmierć 28.V.1947 roku. — *Karl Dehnel, SS-scharführer, SDG* w latach 1943—1945 w obozie Gross-Rosen. — *Friedrich Frank, SS-hauptsturmführer*, nr *SS* 314587, kierownik apteki *SS* w Gross-Rosen w latach 1943—1945. — *Głoszak* lub *Włoszak, SS-unterscharführer, SDG* w podobozie Wiesau w latach 1944—1945. — *Fritz Herzog*, urodzony 24.IV.1895 roku, *SS-unterscharführer, SDG* w podobozach „Riese" w latach 1944—1945. — *Hoser* lub *Hofer, SS-rottenführer, SDG* w podobozie Friedland w latach 1944—1945. *J. Hoffmann, SS-oberscharführer, SDG* w podobozie Gorlitz w latach 1944—1945. — Dr *Willi Jobst, SS-untersturmführer*, lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1942—1943. — *König*, lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1942—1944. — *Koppmann* lub *Koppelbaum, SS-unterscharführer, SDG* w podobozie Langenbielau w latach 1944—1945. — *Fritz Kurzer*, urodzony 16.VIII.1895 roku, *SS-oberscharführer, SDG* w latach 1940—1942 w Gross-Rosen. — Dr *Georg Meyer*, urodzony 5.IX.1917 roku, *SS-obersturmführer*, lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1941—1942. — *Mulk, SS-unterscharführer, SDG* w podobozie Bunzlau w latach 1944—1945. — *Paterek* lub *Peterek, SS-unterscharführer, SDG* w podobozie Dyhenfurth w latach 1944—1945. — *Piedermann, SS-unterscharführer, SDG* w podobozie Harzmansdorf. — Dr *Lichter, SS-obersturmführer*, lekarz obozowy w roku 1944 w Gross-Rosen. — *Dr Heinrich Rindfleisch, SS-obersturmführer*, nr *SS* 289832, lekarz obozowy w latach 1944—1945 w Gross-Rosen i podobozach „Riese". — *Silbertz, SS-scharführer*,

Horst Schumann, osławiony zbrodniarz z oświęcimskiej „służby zdrowia" SS. Do kwietnia 1940 roku był on kierownikiem zakładu i równocześnie lekarzem przeprowadzającym morderczą „eutanazję" w Grafeneck, a następnie — do końca roku 1941 — kierownikiem zakładu Sonnenstein, gdzie uśmiercano więźniów (zob. artykuł S. *Kłodzińskiego*, str. 39 i następne)

SDG w podobozach „Riese" w latach 1944—1945. — *Schefer, SS-rottenführer* w podobozie Warmbrunn w latach 1944—1945. — *Schmidt, SS-hauptscharführer,* lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1941—1942. — *Andi Schulz, SS-unterscharführer, SDG* w podobozie „Breslau II" w latach 1944—1945. — Dr *Heinz Thilo,* urodzony 8.X.1911 roku, *SS-obersturmführer,* nr *SS* 126436, lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1944—1945, zmarł 13.V. 1945 roku. — Dr *Friedrich Weigel,* urodzony w roku 1912, *SS-hauptsturmführer,* nr *SS* 102687, kierownik stacji dentystycznej w Gross-Rosen w latach 1942—1945. — Dr *Hermann Wieland, SS-untersturmführer,* lekarz obozowy Gross-Rosen w latach 1940—1941.

Wykaz uwięzionych lekarzy

Obywatele polscy

Stanisław *Aramowicz,* urodzony 27.VII.1891 roku, nr obozowy 15481. — Henryk *Argand,* 27.IV.1914 roku, 69643. — Kazimierz *Biały,* 11.II.1908, 16255. — Władysław *Bernadzikowski,* 3.V.1895, 8776. — *Bernikiewicz,* 84660. — Aleksander *Biberstein,* 1.VIII.1895, 68913. — Włodzimierz *Bołądź,* 21.XII.1909, 2972. — *Bogucki.* — Konrad *Czerpikowski,* 11.II.1908. — Tadeusz *Dąbrowski,* 29.III.1898, 23157. — Kacper *Dębosz,* 8.XII.1911, 84657. — Konrad *Długoszewski,* 22.I.1911, 81110. — Włodzimierz *Doktor,* 27.X.1906, 27774. — Jerzy *Dudkiewicz,* 23.X.1918. — Józef *Dziuk,* 14.VII. 1895, 58214. — Ludwik *Fischer,* 27.XII.1886, 7851, zmarł w roku 1965. — Kornel *Gibiński,* 7.IX.1915, 7899. — Leon *Gross,* 3.VIII.1910, 69138. — Zygmunt *Gutentag,* 27.VIII.1899. — *Szyja Handler,* 17.XII.1906, 69295. — Kazimierz *Hałgas,* 15.XII.1914, 1487. — Chaim *Hilfstein,* 14.XI.1866, 68895. — Ryszard *Hanusz,* 2.III.1896, 27774, zmarł po wyzwoleniu. — Jan *Heyko,* 93110. — Jan *Jachna,* 3.IX.1910, 12962. — Stanisław *Jagielski,* 27.IX.1912, 74859. — A. *Jankowski,* 25.II.1903, 16356. — *Juda Katz,* 14.VII.1914, 69149. — Edward *Kołakowski,* 2.X.1905, 87999. — Stanisław *Konopka,* 24.V.1896, 27872. — Witold *Kopczyński,* 21.II.1903, 27875. — Tadeusz *Kosibowicz,* 30.XI.1893, 27882. — Włodzimierz *Kostecki,* 22.II.1901. — Mieczysław *Kotarbiński,* 31.X. 1903, 36275. — Zygmunt *Kulig,* 8752. — Stefan *Kwiat,* 12.II.1901. — *Lebiedyński.* — Tadeusz *Lech,* 26.III. 1908, 3612. — Natan *Lilienfeld,* 9.III.1895. — Jan *Łukawski,* 11.III.1909, 5604. — Kazimierz *Majewski,* 1916, 7575. — Stanisław *Mazurek,* 18.I.1900, 65482, zmarł w roku 1965. — Antoni *Mianowski,* 8. IV.1917, 12963. — Mieczysław *Michałowicz,* 29.VIII.1876, 29007, zmarł w roku 1965. — Henryk *Neumann,* 26.VI.1916, 34789. — Jan *Nowak,* 23.IX.1908, 29040. — Stefan *Nowak,* 24.III.1906. — Franciszek *Nowak,* 24.I.1889, 82868. — Stanisław *Olcha,* 12.IV.1913. — Walenty *Popek,* 6.I.1893, 8753. — Antoni *Pieszak,* 30.X.1909, 7803. — Mieczysław *Rieser,* 10.VII.1917, 8754. — Bronisław *Rogowski,* 17.V.1883. — Stanisław *Różycki,* 28.IV.1911, 65299. — Bronisław *Rubin,* 19.VIII. 1889. — Józef *Szulc,* 1.X.1888, 46686. — Wilhelm *Sluzar,* 29.IV. 1901, 12579. — Leonard *Szadurski,* 6.XI.1887, 11757. — Romuald *Sztaba,* 26.V.1913, 29235. — Franciszek *Szummer,* 3.VII.1901, 64895. — Ludwik *Szutkowski,* 15.VIII. 1900, 81181. — Józef *Twardowski,* 1.II.1900, 7910. — Norbert *Wejrowski,* 31.V.1909, 84588. — Ludwik *Wierzbicki.* — Jan *Wójciński,* 23.XII.1908, 9219. — Jan *Woźniak,* 4. IV. 1912. — Jan *Zaczek,* 7.III.1888, 1426, zmarł po wojnie. — Władysław *Zapałowicz,* 1.IV. 1886, 7858. — Konrad *Zembrzuski,* 8. III. 1915, 74868. — Józef *Żegleń,* 4.III.1890, zmarł w roku 1965. — Leonard *Żychski,* 1418.

Obywatele belgijscy

Georges Andre, urodzony 31.I.1889. — *Raymond Casman,* 7.V.1887. — *Marie Dullier,* 23.III.1904. — *Boris Fertman,* 23.XI.1891. — Gustaw *Fossaert,* 24.XII. 1916. — *Joseph Jacquet,* 8.V.1904. — *Fritz Theys* 4.VIII.1905.

Obywatele czechosłowaccy

Robert *Brejner,* urodzony 7.IX.1887. — Aleksander *Kuchel,* 16.IV.1893. — Otto *Loor.*

Obywatele francuscy

Marie Augustine Chaband, 30.X.1909. — *Roger Chazette,* 8.VI.1903. — *Henry Duflot,* 27.XI.1907. — *Edmund Lafon,* 19.X.1881, nr obozowy 14980. — *Joseph Maillard,* 8.II.1908, 65965. — *Daniel Najmann,* 2.IV. 1910. — *Lucien Nivelle,* 21.XII.1913. — *Michel Pouteau,* 11.XI.1911.

Obywatel niemiecki

Georg Kallmann, urodzony 26.IX.1873.

Obywatele radzieccy

Wasilij Antonow, urodzony 20.VIII.1914, nr obozowy 14124. — *Wasilij Borodin,* 14.II.1918. — *Michaił Kiriłłow,* 29.VII.1914. — *Nikołaj Mahaditow,* 1.I.1916, 89897. — *Iwan Mowczan,* 23.VI.1912. — *Griegorij Pietrow,* 20.XI.1900, 20941. — *Maksim Titarenko,* 13.III. 1918. — *Iwan Uwarow,* 14.III.1918.

Obywatel rumuński

Jacobfi Avert, urodzony 16.V.1890.

Obywatele słowaccy

Seigfried Aroly, urodzony 31.I.1917, nr obozowy 73822. — *Juda Buys,* 17.X.1910, 73801. — *Ernst Furst,* 12.VIII.1907, 73953. — *Otto Fischl,* 26.II.1912, 73841. — *Jurai Komeny,* 18.V.1913, 73955. — *Wawro Komeny,* 22.VI.1915. — *Otto Lehr,* 19.IV.1911, 73811. — *Iwan Synlar,* 9.I.1908, 73945. — *Otto Stein,* 5.IV.1912, 73913. — *Franz Veticki,* 2.VII.1908, 73818. — *Vilhelm Weiselewicz,* 22.IV.1913, 73927. — *Karl Zimmer,* 6. IV.1901, 73933.

Obywatele węgierscy

Josef Abramowits, urodzony 12.XII.1896, nr obozowy 27868. — *Mor Biro,* 17.VII.1904, 44576. — *Ignatz Csillag,* 27.IV.1897, 44591. — *Marton Deutsch,* 17.II. 1905, 43484. — *Dezso Feldmann,* 27.XI.1903. — *Sandor Fogel,* 22.IX.1918, 33090. — *Ferdinand Fried,* 29.VI. 1888, 37310. — *Andreas Gergely,* 27.VIII.1912, 43616. — *Gerö Gluckstha,* 6.I.1891, 43626. — *Laszlo Gyorgy,* 24.V.1903, 44454. — *Alexander Grunwald,* 19.XI.1898, *37410.* — *Eduard Klar,* 22.VIII.1899, 37528. — *Armin Keme,* 13.IV.1893. — *Armin Klein,* 17.II.1898, 37548. — *Tiberiusz Kovari,* 20.V.1904, 43775. — *Ericos Levis,* 20.VI.1913, 31412. — *Isaak Mennheim,* 24.IX.1900, 34516. — *Josef Markowits,* 23.I.1902, 44238. — *Beno Moskovits,* 6.XI.1889, 37663. — *Akiwa Perkal,* 21.XI. 1912, 26361. — *Miklos Robert,* 22.XII.1896, 44521. — *Zoltan Schwimmer,* 14.XII.1915, 37803. — *Ferenz Soltesz,* 11.X.1910. — *Alader Steinberger,* 23.II.1899, 37833. — *Laszlo Szinetar,* 30.XI.1900. — *Endre Ungwari,* 7.I.1903, 44525. — *Sandor Vogel,* 22.IX.1916. — *Sandor Waller,* 30.X.1887, 44055. — *Elek Weisz,* 1.VIII. 1900, 43364.

Obywatele włoscy

Mario de Benedetti, urodzony 10.XI.1892. — *Garnero Galeano,* 20.X.1907. — *Antonio Oiffarelli,* 6.XII. 1912.

JÓZEF FALGOWSKI Lublin

Esesowska służba zdrowia w obozie na Majdanku

Szczupłość materiałów archiwalnych dotyczących byłego obozu na Majdanku i jego podobozów w ogóle, a w szczególności esesowskiej służby zdrowia, nie tylko utrudnia, ale nawet uniemożliwia opracowanie tego zagadnienia. Kwerenda w zbiorach archiwalnych, zarówno w archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku, jak i w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie, w zbiorach Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie, czy też w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Warszawie dotychczas nie przyniosła spodziewanych wyników. Literatura wspomnieniowa byłych więźniów Majdanka, jakkolwiek już bardzo liczna, w tym wypadku też nie odpowiedziała na wiele istotnych zagadnień.

Dotychczasowy stan badań w przedmiocie esesowskiej służby zdrowia w obozie na Majdanku przedstawia się bardzo skromnie. Ustalono zaledwie kilkanaście nazwisk tych lekarzy i sanitariuszy *SS*, których funkcje, związane z nimi kompetencje i hierarchiczna zależność są wiadome. W strukturze organizacyjnej byłego obozu na Majdanku kierownikiem tzw. oddziału V był lekarz garnizonu, czyli *standortarzt*. Był on odpowiedzialny przed komendantem obozu za stan zdrowia esesmanów z tzw. ochrony obozu i więźniów. *Standortarztowi* podlegali oficerowie-lekarze *SS* (*lagerarzt*, lekarz obozowy). Do jego obowiązków należało czuwanie nad higieną całego obozu, aby mógł w porę zabezpieczyć więźniów przed epidemiami chorób zakaźnych. Był on odpowiedzialny za stan zdrowia w całym obozie.

Lekarzowi obozowemu do opieki dentystycznej był przydzielony lekarz dentysta, któremu była oddana do dyspozycji stacja dentystyczna (*SS-Zahnstation*). Niezależnie od tego lekarzowi garnizonu podlegali również aptekarze (*SS-Apotheke*). Apteka była bogato zaopatrzona w leki i materiały opatrunkowe. Tak samo lekarzowi garnizonu podlegali przydzieleni do pomocy lekarzowi obozowemu sanitariusze *SS* (*Sanitätsdienstgehilfe, SDG*), którzy zajmowali funkcje blokowych w „rewirowych" blokach więźniarskich. Do *SDG* należał nadzór organizacyjny, porządkowy, administracyjny i personalny.

W pomocniczej służbie sanitarnej wyodrębnia się grupa tzw. dezynfektorów. Ich rola i funkcja były ściśle określone i zwężone. Byli przeszkoleni w obchodzeniu się z cyklonem. W czasie gazowania więźniów wrzucali cyklon B do komór gazowych, tj. do specjalnie w tym celu przygotowanych otworów. Po opróżnieniu komór z trupów po gazowaniu przeprowadzali dezynfekcję, przygotowując je do następnego gazowania.

Podany wykaz zawiera imię i nazwisko lekarza, czy sanitariusza, a jeśli to było możliwe, także datę i miejsce urodzenia, funkcje zajmowane w obozie na Majdanku i w innych obozach oraz informacje o ich losie po zakończeniu wojny.

Maks Blanke, hauptsturmführer SS. Do połowy roku 1942 lekarz w obozie w Natzweiler, gdzie współpracował przy przeprowadzaniu pseudonaukowych doświadczeń na więźniach. Od drugiej połowy 1942 roku *lagerarzt* w obozie na Majdanku. Tu brał udział w selekcjach nowo przybyłych więźniów na tzw. polach w „rewirach" oraz w egzekucjach i w uśmiercaniu w komorach gazowych. W listopadzie 1943 roku przeniesiony do obozu w Płaszowie [1].

Franz von Bodmann, hauptsturmführer SS, lekarz. Urodzony 23 marca 1909 roku w Monachium. Na Majdanek przybył z Oświęcimia w roku 1942. Pełnił funkcję *standortarzta*. Był kierownikiem szpitala *SS*. Zmarł 25 maja 1945 roku w Salzburgu [2].

Anton Enders, oberscharführer SS, dezynfektor. Na Majdanku w latach 1943 i 1944. Przeszkolony w stosowaniu cyklonu, odpowiedzialny za komory gazowe [3].

Karl Josef Fischer, untersturmführer SS. Urodzony 14 marca 1904 roku w Gratz. W roku 1941 lekarz obozowy w Oświęcimiu I. W roku 1942 *lagerarzt* w obozie na Majdanku. Stąd przeniesiony do Sachsenhausen. Mieszka w NRF [4].

Bernard Haberlackt, podoficer *SS, SDG*. Brał udział w gazowaniu więźniów [5].

Havenith, unterscharführer SS, SDG [6].

Günther Konietzny, rottenführer SS, SDG. Urodzony 30 września 1918 r. w Katowicach. Przeprowadzał selekcje więźniów [7].

Hans Perschon, hauptscharführer SS, SDG. Urodzony 24 listopada 1914 roku. Szef komór gazowych [8].

Max Popiersch, lekarz, *sturmbannführer SS*, w obozie w Oświęcimiu *standortarzt*. Przeniesiony do *KL*

---

[1] IV proces norymberski Oswalda *Pohla*, tom IX, s. 149—152 (GKBZHwP); S. *Perzanowska*: Szpital obozu kobiecego w Majdanku (Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 173—174); także Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku, sygn. ĄII-139.

[2] S. *Perzanowska*: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 209. S. *Jagielski: Sclavus saltans*. Wspomnienia lekarza obozowego. Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy. Warszawa 1946, s. 75. Z. *Pawlak*: Przeżyłem nr 8308. Wspomnienia. APMM, sygn. XVII-250, s. 110. Sylwetki niemieckich zbrodniarzy w obozie koncentracyjnym Płaszów (Przegl. Lek., 1945, nr 3/4, s. 71). Protokół przesłuchania *Willego Reinarzta*. Akta procesowe. Archiwum Sądu Powiatowego w Lublinie. Sygn. KSN 113/48. Istotnym tekstem źródłowym są także wspomnienia dra med. Tadeusza *Kosibowicza*, przechowywane w Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku (APMM), sygn. VII-24, s. 4—6 oraz korespondencja stanowiąca własność autora.

[3] Korespondencja firmy Tesch i Stabenow z dnia 29 lipca 1942 roku, dotycząca przesyłek gazu cyklonu do obozu na Majdanku. APMM, sygn. I d, s. 55.

[4] Akta prokuratora w sprawie dra K. J. *Fischera*. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie, sygn. II DS 5/65.

[5] Protokół przesłuchania *Willego Reinarzta*. Akta jak w przypisie 2.

[6] Tamże.

[7] Z. *Pawlak*: o. c., s. 104.

[8] Protokół przesłuchania *Willego Reinarzta*, l. c. Z. *Pawlak*: o. c., s. 110.

Lublin, objął również funkcje *standortarzta*. Zmarł na udar serca 21 kwietnia 1942 roku w Lublinie [9].

Willi Reinarzt, unterscharführer SS, SDG. Urodzony 17 marca 1910 roku w Reussrath (Nadrenia). Współuczestniczył w selekcjach więźniów dokonywanych przez lekarzy *SS*. Był do likwidacji obozu w lipcu 1944 roku [10].

Heinrich Rindfleisch, untersturmführer SS, lekarz. Urodzony 3 marca 1916 roku w Strasburgu. Do obozu na Majdanku przybył w roku 1943. Początkowo był zastępcą *lagerarzta*. Funkcję tę pełnił do czasu likwidacji obozu w lipcu 1944 roku. Następnie przeniesiony do obozu w Gross-Rosen. Mieszka w NRF [11].

Schmidt, obersturmführer SS, lekarz [12].

Karl Philip Theodor Schütz, urodzony 11 marca 1906 roku w Nenntershausen. Lekarz dentysta. W obozie na Majdanku kierownik stacji dentystycznej w szpitalu *SS* [13].

Albert *Trzebiński, obersturmführer SS*, doktor medycyny. Urodzony w roku 1903. Pochodził z Westfalii. Od lipca 1941 roku *lagerarzt* w Oświęcimiu. W czasie organizacji obozu na Majdanku jesienią tegoż roku przeniesiony do *KL* Lublin na stanowisko *lagerarzta*. Po odejściu z Majdanka w drugiej połowie 1942 roku *standortarzt* w obozie Neuengamme. Skazany po wojnie w procesie załogi tegoż obozu przez angielski sąd wojskowy [14].

---

[9] E. *Karabanik*: Wspomnienia. APMM, sygn. VII-245, s. 115. Zob. też T. *Kosibowicz*, l. c.

[10] Protokół przesłuchania Willego *Reinarzta*, l. c.

[11] E. *Karabanik*: Wspomnienia. APMM, sygn. VII-245, s. 115—120. Z. *Pawlak*: o. c., s. 110. *Lagerarztem* od kwietnia lub maja 1943 roku był dr *Blanke*, a zastępcą dr *Rindfleisch*. Nigdy nie przychodzili oglądać lub badać chorych. Ich funkcja ograniczała się w rzeczywistości do spraw administracyjnych i do okresowych selekcji w „rewirze" w czasie wybierania do komór gazowych. Nazwiska *Blankego* i *Rindfleischa* przewijały się między innymi we wspomnieniach z Majdanka opublikowanych w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim"; tych obu esesmanów charakteryzowała między innymi S. *Perzanowska* w swych relacjach (Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 207 i 210—211; 1968, nr 1, s. 173—174).

[12] Akta w sprawie karnej *Mennengo Udo*. GKBZHwP, inw. 386, sygn. 960z.

[13] Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie. „Zespół *Standesamt in Lublin*", sygn. 26, s. 311.

[14] E. *Karabanik*: Wspomnienia, l. c. E. *Gondzik*: Pomniki Neuengamme. Poglądy, 1966, nr 6. Z. *Pawlak*: o. c., s. 104. Zob. też Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 149.

JÓZEF WITKOWSKI Wrocław
były więzień *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei* w Łodzi nr 798

Śladami dzieci z czeskiej wsi Lidice

Szef praskiego gestapo, *obersturmbannführer SS* dr *Gerke*[1] donosił dnia 24 czerwca 1942 roku:

„Na rozkaz *führera* przeprowadzono środki odwetowe przeciw miejscowości Lidice w Czechach, ponieważ zbiegli spadochroniarze czescy po wyskoczeniu z angielskich samolotów nawiązali kontakty w owej miejscowości, gdzie otrzymali pomoc ze strony krewnych osób przebywających także w legionie czeskim w Anglii, a pochodzących z tej miejscowości; pomocy udzieliła również duża część mieszkańców tej wsi. Miejscowość składająca się z 95 domów została całkowicie spalona; na miejscu zastrzelono 199 mieszkańców płci męskiej, przeszło 15-letnich; 184 kobiety skierowano do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, 7 kobiet do więzienia policyjnego w Terezinie, 4 kobiety ciężarne do szpitala w Pradze, 88 dzieci do Łodzi; 7 dzieci poniżej 1 roku życia umieszczono w specjalnym zakładzie w Pradze; 3 dzieci zostanie skierowanych do Starej Rzeszy w celu zniemczenia. Jedna obłożnie chora kobieta znajduje się jeszcze w szpitalu w Kladnie" [2].

W innych dokumentach podawano, że widziano w Lidicach spadochroniarzy pochodzących z tej miejscowości; wymieniano nawet ich nazwiska. Prawdą jest, że *Horak* i *Stříbrny* z Lidic byli żołnierzami legionu czeskiego w Anglii, ale do kraju wrócili dopiero po wojnie i nie mieli nic wspólnego z zamachowcami. Bezpośredni zamachowcy, jak też pozostali spadochroniarze również nie byli w Lidicach, nie mieli tam krewnych ani znajomych i nie korzystali z pomocy mieszkańców Lidic.

Hitlerowcy za wszelką cenę usiłowali ująć sprawców zamachu na *Heydricha*. Byli jednak bezsilni. Obietnica olbrzymiej nagrody pieniężnej za ujęcie sprawców zamachu, a zwłaszcza wielka obława (*Grossfahndung*) na terenie Czech i Moraw, w której brały udział oddziały policyjne w sile 450 tysięcy ludzi, nie przyniosły oczekiwanych rezultatów i to doprowadziło hitlerowców niemal do obłędu. Tymczasem zamachowcy Jan *Kubisz*, Józef *Gabčik*, Józef *Valčik* oraz czterej inni spadochroniarze Jarosław *Švarc*, Józef *Bublik*, Jan *Hruby* i Adolf *Opalka* schronili się w podziemiach kościoła św. Cyryla i Metodego w Pradze przy ul. Ressla. Na ich ślady natrafiono dopiero w nocy dnia 17 na 18 czerwca 1942 roku. Stało się to wskutek zdrady byłego spadochroniarza, Karola *Čurdy*, który z własnej woli złożył donos. W obławie na tych siedmiu dzielnych ludzi wzięło udział 360 gestapowców i esesmanów. Osaczeni spadochroniarze bronili się do ostatniego naboju i wszyscy zginęli. Zdrajca, Karol *Čurda*, został po wojnie ujęty i spotkała go zasłużona kara.

Zrównanie Lidic z ziemią i eksterminacja lidiczan była akcją odwetową, wymierzoną na ślepo w celu zastraszenia i sterroryzowania ludności Czech i Moraw za zamach na namiestnika Rzeszy w tzw. Protektoracie Czech i Moraw, dokonany przez patriotów czeskich w dniu 27 maja 1942 roku. Owym namiestni-

---

[1] Dr *Gerke* w okresie od stycznia 1939 roku do roku 1942 był szefem gestapo we Wrocławiu; potem przeniesiono go do Pragi na analogiczne stanowisko.

[2] R. *Schnabel*: Macht ohne Moral. Eine Dokumentation über die *SS*. Frankfurt nad Menem 1957, dokument 1963. Zob. też J. *Zielina*: Dzieci z Lidic. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 138—140.

kiem, którego śmierć hitlerowcy pomścili tysiącami ofiar, był *obergruppenführer SS, Rainhard Heydrich,* okrutny, zimny i żądny władzy twórca i szef *Sicherheitspolizei* (*Sipo*) i specjalnej służby bezpieczeństwa *SS,* która otrzymała nazwę *Sicherheitsdienst* (*SD*), w latach 1939—1942 równocześnie szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*). Był jednym z najgroźniejszych przywódców reżimu hitlerowskiego. Należał do najbrutalniejszych aktorów „nocy długich noży", kiedy to z 29 na 30 czerwca 1934 roku *Hitler* rozprawił się z opozycją kierownictwa *SA* (*Sturm-Abteilungen*) i przeciwnikami politycznymi. Kierował obozami koncentracyjnymi, inicjował i realizował wiele zbrodniczych poczynań w Trzeciej Rzeszy, między innymi w zakresie prześladowań Żydów. Działalność *Heydricha* wiąże się również ze spreparowaniem prowokacyjnych „dokumentów", które odegrały rolę w likwidacji radzieckich marszałków i oficerów, skazanych w warunkach kultu jednostki na śmierć w latach 1936—1937. *Heydrich* wymyślił i zaplanował atak „polskiego" oddziału na radiostację w Gliwicach, który dał pretekst do napaści na Polskę.

Najstraszliwszy ze wszystkiego jest udział *Heydricha* w akcji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" (*Endlösung der Judenfrage*). Zapoczątkował ją „kryształową nocą" z 9 na 10 maja 1938 roku, kiedy nakazał między innymi aresztowanie takiej liczby Żydów, na jaką „pozwala pojemność więzień". Wymyślił getta i noszenie przez Żydów gwiazdy Dawida. Wykazywał tak bezwzględne okrucieństwo, że napawało ono przerażeniem najbardziej zahartowanych nazistów, kiedy na zimno rozważał możliwości i sposoby eksterminacji całych narodów, a zwłaszcza Żydów. Wielu spośród najwyższych dostojników Trzeciej Rzeszy lękało się *Heydricha. Hitler* nadał mu jako drugiemu po *Fritzu Todcie* najwyższe odznaczenie w Trzeciej Rzeszy. *Heydrich* zmarł 4 czerwca 1942 roku z ran odniesionych w zamachu. Pogrzeb odbył się 9 tegoż miesiąca.

W szóstym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" uwagę moją zwrócił krótki artykuł Jana *Zieliny* o dzieciach czeskich z Lidic. Wkrótce, czytając „Reportaż z pustego pola" Wiesława *Jażdżyńskiego,* znalazłem wzmiankę, że w hitlerowskim obozie dla dzieci i młodzieży polskiej (*Polen-Jugendverwahrlager*) w Łodzi „ginęły także dzieci czeskie ze spalonej wsi Lidice". Ten bardzo istotny element dotyczący zebranych już materiałów o tym obozie wymagał potwierdzenia. Autor nie odpisał na pytanie, skąd zaczerpnął tę wiadomość. W wyniku własnych poszukiwań bibliograficznych w tej sprawie znalazłem kilka informacji prasowych, ale nie podawały one żadnych szczegółów co do miejsca pobytu tych dzieci w Łodzi, ani też nazwisk.

Natomiast natrafiłem na zeznania Julii *Makowskiej,* opublikowane przez Józefa *Wnuka* w książce pt. „Dzieci polskie oskarżają". Stwierdziłem pewne rozbieżności. Jan *Zielina* podaje, że dzieci z Lidic przywieziono w lecie 1942 roku, a *Makowska* zeznała, że stało się to latem 1943 roku. Jeżeli dzieci przywieziono w 1943 roku, istniała możliwość uwięzienia ich również w *Polen-Jugendverwahrlager.* Dalsze poszukiwania w kraju nie przyniosły żadnych rezultatów. Byli więźniowie obozu w Łodzi nie przypominali sobie dzieci czeskich i nie potwierdzali informacji *Jażdżyńskiego.* Wprawdzie niektórzy wspominali, że więziono tam dzieci czeskie, ale nikt osobiście ich nie spotkał.

W relacji Jana *Zieliny* i w zeznaniu Julii *Makowskiej* znalazłem wiadomość, że kilkoro dzieci z Lidic zostało zabranych na zniemczenie. Postanowiłem odnaleźć te dzieci. Dalsze poszukiwania przeniosłem na teren Czechosłowacji. Napisałem dziesiątki listów do różnych instytucji i osób prywatnych, ale niczego nowego nie udało się ustalić. *Rada Mistniho Narodniho Vyboru* w Lidicach w piśmie z dnia 6 listopada 1967 roku podała informacje, które już znałem. Również w roku 1967 odnalazłem w Pradze dra Emila *Vogla,* który jako więzień łódzkiego getta był w latach 1943—1944 lekarzem obozowym w *Polen-Jugendverwahrlager.* Dr *Vogl* również nie spotkał tam swoich rodaków, a przecież ich pobyt w obozie nie mógł ujść jego uwadze. Następne pismo otrzymałem z Ambasady *CSR* w Warszawie. Sekretarz Ambasady Jan *Pavlásek* pisał:

„Dodatkowo do mojego pisma z dnia 15 listopada 1967 roku, nr 4948/67, komunikuję uprzejmie, że pracownicy Komitetu Centralnego Związku Bojowników do Walki z Faszyzmem w Pradze odwiedzili Lidice i rozmawiali z dziećmi, które ocalały po tragedii w Lidicach, odwiezione do obozu koncentracyjnego w Łodzi. Wymienieni pracownicy przedstawili dzieciom z Lidic plan, niestety, niczego nie pamiętają one z tego, co jest zaznaczone na planie, ponieważ najstarsze dziecko miało wówczas 12 lat, a pozostałe były znacznie młodsze. Lidickie dzieci mówiły tylko o głównym budynku więziennym (w kształcie wielkiego sześcianu), za którym było widać kapliczkę, gdzie zamykano więźniów za jakieś przewinienia. Dzieci łatwiej przypomniałyby sobie pewne zdarzenia na miejscu tego obozu. Z wymienionych powodów zwracam Panu plan, dziękujemy za okazane starania w celu wyjaśnienia dalszych szczegółów tragedii i żałujemy bardzo, że nie możemy przekazać pozytywniejszej wiadomości. Z towarzyskim pozdrowieniem".

W tej sytuacji postanowiłem udać się do Lidic i w bezpośredniej rozmowie z ocalałymi dziećmi ustalić, czy istotnie były one więzione w *Polen-Jugendverwahrlager.* Korzystając z zaproszenia dra Emila *Vogla,* udałem się w maju 1968 roku do Czechosłowacji. Po 26 latach spotkałem się z nim w Pradze. Wspomnieniom z lat wspólnie spędzonych za drutem kolczastym nie było końca. Trudności językowe zawiodły mnie do Ambasady Polskiej w Pradze. Dzięki uprzejmości dra Bogusława *Kaczyńskiego,* sekretarza Ambasady, nawiązałem pierwsze kontakty w Komitecie Centralnym Związku Bojowników do Walki z Faszyzmem (*SPB*). Zostałem przyjęty przez *Vladimira Konopkę,* autora książki o Lidicach i uzyskałem wiele interesujących wiadomości. Nazajutrz samochodem *SPB* pojechałem do Lidic, gdzie spotkałem się z ocalałymi dziećmi. W bezpośredniej, bardzo serdecznej rozmowie uzyskałem dalsze informacje; otrzymałem też

wiele pamiątek. W Lidicach, a zwłaszcza w Pradze, żywo interesowano się martyrologią dzieci polskich. Proszono o książki, które wysłałem. Podjęto tam przygotowanie książki o martyrologii dzieci w okupowanej Europie. *Vladimir Konopka* napisał później (po polsku):

„Przede wszystkim dziękuję bardzo za przesyłkę wydawnictw o dzieciach i młodzieży polskiej podczas drugiej wojny światowej i za przyjacielski list. Wszystko przyszło w porządku, tylko ja nie byłem obecny przez jakiś czas i dlatego dopiero teraz odpowiadam. Naprawdę nie wiem, w jaki sposób mógłbym się Panu odwdzięczyć za jego uprzejmość (...). Raz jeszcze dziękuję bardzo i jestem z przyjacielskim pozdrowieniem".

W Pradze widziałem wiele polskich wydawnictw, między innymi „Przegląd Lekarski — Oświęcim".

Lidice stały się symbolem hitlerowskiego terroru w okupowanej Europie. Nazwę tę każdy potrafi wymienić bez wahania. Powszechniej znany jest również los francuskiej wsi Oradour-sur-Glane, zniszczonej przez *SS* 10 czerwca 1944 roku. Natomiast setki wsi polskich, które spotkał podobny los, pozostają nieznane w Europie, a nawet w Polsce wie się o nich mało, choć pod względem rozmiaru popełnionych na nich zbrodni wielokrotnie przewyższają Lidice. Podobnie przedstawia się opieka nad młodocianymi więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W Czechosłowacji wcześnie otoczono byłych więźniów-dzieci serdeczną opieką. Zaraz po wojnie poddano ich szczegółowym badaniom lekarskim, przyznano im zaopatrzenie i wszechstronną pomoc. U nas dopiero po ćwierćwieczu wyszukuje się tych ludzi, a systematyczne badania byłych więźniów *Polen-Jugendverwahrlager* podjęto we Wrocławiu w ostatnich latach. Przyznać jednak trzeba, że znacznie wcześniej zajęto się badaniami „dzieci oświęcimskich".

Ryc. 1. Grupa dzieci z nauczycielem przed budynkiem szkoły w Lidicach. Reprodukcja znajdującego się w Muzeum w Lidicach zdjęcia, które wykonano w roku 1942 na krótko przed tragedią

Dla eksterminacji Lidic ważny był dzień 9 czerwca 1942 roku. Lidiczanie pracowali na polach i w fabrykach. W tym samym czasie w Berlinie dobiegały końca uroczystości żałobne związane z pogrzebem *Heydricha,* a po ich zakończeniu zapadła ostateczna decyzja. Tegoż dnia o godzinie 10.45 sekretarz Stanu Protektoratu Czech i Moraw, *gruppenführer SS Karl Herman Frank* (skazany po wojnie na śmierć) zawiadamia z Berlina:

„Zgodnie z rozmową z *führerem* jeszcze tej nocy mają być przeprowadzone w gminie Lidice następujące operacje: 1. wszystkich dorosłych mężczyzn rozstrzelać, 2. wszystkie kobiety przewieźć do obozu koncentracyjnego, 3. dzieci zgromadzić, po czym te, które się nadają do zniemczenia, oddać rodzinom *SS* w Rzeszy. Reszta zostanie poddana innemu wychowaniu, 4. gminę spalić i zrównać z ziemią. Użyć do tego straży pożarnej".

„Operację" rozpoczęto w nocy z 9 na 10 czerwca 1942 roku. Żandarmi i wojsko otoczyli wieś gęstym szpalerem, żeby nikt nie uciekł. Po północy wpadli do wsi uzbrojeni po zęby Niemcy. Niczego nie przeczuwających mieszkańców zastali w głębokim śnie. Wyłamywali drzwi, kolbami karabinów i kamieniami wybijali okna. Wystraszone kobiety i dzieci, a nawet niemowlęta wyrzucali z mieszkań w bieliźnie, nie zezwalali zabierać żadnych bagaży, ubrań ani żywności dla dzieci. W ciągu trzech minut nakazywali opuszczenie domostw. Wszystkich mieszkańców spędzono w jednym miejscu, gdzie skrupulatnie wszystkich przeliczono według ksiąg meldunkowych. Odnotowano wszystkich, którzy w tym czasie byli nieobecni i później ich wyłapywano nawet w szpitalach. Mężczyzn powyżej 15 lat zgromadzono osobno i później ich rozstrzelano. Kobiety i dzieci załadowano na oczekujące samochody i odtransportowano do powiatowego miasta Kladna. Aresztantów umieszczono w budynku kladneńskiego gimnazjum. Przebywali tam od środy rano do piątku wieczorem.

Te ostatnie dwa dni i trzy noce matki spędziły jeszcze razem z dziećmi. Były to dni i noce podzielone na tysiące minut i sekund niepewności, oczekiwania i trwogi o losy dzieci i pozostałych w Lidicach mężczyzn. Kobiety wówczas jeszcze nie wiedziały, jaki los spotkał ich mężów, ojców i synów. Sprawa wyjaśniła się w piątek po południu. Do pomieszczeń skazańców weszli gestapowcy i z uśmiechem oznajmili, że wszyscy na jakiś czas zostaną przewiezieni do obozu pracy. Kobiety pojadą pociągiem, natomiast dzieci zostaną odwiezione autobusami, żeby zapewnić im wygodną podróż. Kobiety przeczuwały najgorsze; odmówiły wydania dzieci; chciały, żeby odtransportowano ich razem. Wówczas do sal wtargnęło około 50 esesmanów. Matki chwyciły dzieci i osłaniały je własnym ciałem. Szef gestapo w Kladnie, *Wiesmann,* rozkazał wydać dzieci, grożąc zastrzeleniem każdej kobiety stawiającej opór. Esesmani wyrywali z rąk matek płaczące dzieci, bijąc i kopiąc nie tylko kobiety, ale i dzieci. Dla dodania sobie odwagi strzelali w powietrze. Esesmani dość szybko uporali się z ofiarami. Kobiety odtransportowano zaraz do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie w większości zostały wymordowane. Kobiety ciężarne oddzielono, oczywiście tylko do czasu urodzenia dzieci; później podzieliły los pozostałych kobiet.

Siedmioro dzieci, które nie ukończyły jeszcze jednego roku życia, wywieziono do Pragi i umieszczono w przytułku nadzorowanym przez gestapo. Były to: *František Černý, Věra Hanfová, Pavel Hořešovský, Josef Minařik, Jiři Müller, Libuše Müller, Jiři Pitin.* Najmłodszy, *Pavel Hořešovský,* miał wówczas 14 dni. Sześcioro z nich szczęśliwie ocalało i doczekało wolności. Zmarł *František Černý.* Już w Kladnie dokonano pierwszej selekcji rasowej. Dwaj wyżsi funkcjonariusze *SS* wybrali troje dzieci, które uznali za nadające się do zniemczenia. Były to 2-letnia *Hana Špotová,* 3-letni *Václav Zelenka* i 6-letnia *Dogmar Veselá.* Dzieci te w tym dniu odwieziono do Pragi samochodem Niemieckiego Czerwonego Krzyża nr II-136436. Dwoje z nich rzeczywiście usiłowano zniemczyć. Natomiast *Dogmar Veselę* odtransportowano później do Łodzi z adnotacją, że nie nadaje się do zniemczenia.

Pozostałe 88 dzieci załadowano na samochody i odwieziono do Lovosic. Tam załadowano je do pociągu i wywieziono do Łodzi. W Łodzi osadzono je w obozie przejściowym dla wysiedlonych Polaków przy ulicy Łąkowej. Umieszczono je w osobnych celach bez żadnej opieki, pozostawiając samym sobie. Zabroniono kontaktu z tymi dziećmi. Starsze dzieci opiekowały się niemowlętami i dziećmi młodszymi. Dzieci były stale głodne, brudne i zastraszone. Spały na betonowej podłodze. W pierwszych dniach nie można było nawiązać z nimi kontaktu, były wystraszone i nieufne; wszystkich uważały za Niemców. Kiedy ktoś obcy zbliżał się do nich, obejmowały niemowlęta i uciekały do kąta. Widok dzieci i ich warunki w jednej z hal fabrycznych w Łodzi opisał dr Jan *Zielina* w szóstym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" w artykule „Dzieci z Lidic". Według jego relacji kilkanaścioro dzieci było chorych i gorączkowało. Stwierdził on kilka biegunek, nieżyty górnych dróg oddechowych, anginy i zapalenia płuc.

W Łodzi dokonano ponownie selekcji rasowej. Tym razem za nadające się do zniemczenia uznano siedmioro dzieci. Były to (w nawiasach daty urodzenia): 1. *Marie Doležalová* (22.VIII.1932 r.); 2. *Emilie Frejová* (15.II. 1934 r.); 3. *Anna Hanfová* (6. VII. 1931 r.); 4. *Marie Hanfová* (31.VII.1930 r.); 5. *Václav Hanf* (5.VI.1934 r.); 6. *Eva Kubikova* (29.IV. 1937 r.); 7. *Věra Vokatá* (3. VIII. 1935 r.). Dzieci te przewieziono do *Rassenamtu* przy ul. Sporner w Łodzi. Tam przebywały krótko. Po przeprowadzeniu dodatkowych badań i krótkiej obserwacji zakwalifikowano je ostatecznie do zniemczenia. Następnie przewieziono je do Puszczykówka pod Poznaniem, gdzie rozpoczęto właściwe zniemczanie. Zabroniono im rozmawiać po czesku. Nie wolno im było też rozmawiać po polsku z dziećmi polskimi, które tam również germanizowano. Za najmniejsze przewinienia, a zwłaszcza rozmowy w języku czeskim lub polskim, bito, pozbawiano posiłków, zamykano w areszcie.

Posłano je do niemieckiej szkoły, a kiedy opanowały trochę język niemiecki, oddawano je, a właściwie sprzedawano rodzinom niemieckim. Za *Marię Hanfovą* zapłacono 50 *RM.* Kupiła ją *Luisa Richterowa.* Zmieniono jej nazwisko na „Margaret Richter". Chodziła w dalszym ciągu do niemieckiej szkoły. Gdy w roku 1945 odnaleziono ją, umiała już tylko po niemiecku, ale poznała dwie kobiety, które przyszły do niej. Były to kobiety z Lidic, które ocalały. *Marie Doležalová* została latem 1943 roku oddana niemieckiej rodzinie *Schillerów,* mieszkającej wówczas w Poznaniu. Później wywieziono ją w głąb Niemiec. Alfred *Schiller* adoptował ją, zmieniając jej nazwisko na „Inga Schiller". Odnaleziono ją dopiero w roku 1946 i w sierpniu tegoż roku wróciła do ojczyzny. W szpitalu w Pradze spotkała swoją matkę, która po czterech miesiącach zmarła wskutek przeżyć obozowych. *Marie Doležalová* straciła też ojca i 15-letniego brata, którzy zostali rozstrzelani, podobnie przedstawiają się losy pozostałych dzieci, które usiłowano zniemczyć, a które szczęśliwie ocalały i zostały odnalezione. *Marie Doležalová* i *Marie Hanfová* składały zeznania przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze.

Ryc. 2. *Marie Doležalová-Supiková* składa przysięgę przed Trybunałem w Norymberdze. Reprodukcja zdjęcia przechowywanego w Muzeum w Lidicach

Pozostałe 82 dzieci poddano „innemu wychowaniu". Z tą sprawą wiąże się zbrodnicza działalność kierownictwa tzw. Centrali Przesiedleńczej w Łodzi (*Umwandererzentralstelle Litzmannstadt,* czyli *UWZ*), *obersturmbannführera SS, Hermanna Krumey'a,* o którym artykuł napisał ostatnio J. *Leszczyński* (Proces ludobójcy. Kultura, 1969, nr 16, s. 2). W roku 1969 sądzono *Krumey'a* we Frankfurcie nad Menem za udział u boku *Eichmanna* latem 1944 roku w eksterminacji przeszło 300 tysięcy Żydów węgierskich (wysłanych do komór gazowych Oświęcimia) i za skierowanie w czerwcu 1942 roku na śmierć w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem grupy dzieci czeskich z Lidic. Nie wchodząc bliżej w szczegóły, warto podać, że *Krumey* w telegramie nadanym dalekopisem do Berlina w dniu 20 czerwca 1942 roku domagał się od *obersturmbannführera SS Eichmanna* decyzji co do dalszych losów dzieci z Lidic:

„Dnia 13 czerwca 1942 roku przybyło tutaj 88 dzieci czeskich (...). Transport ten został zgłoszony przez dowódcę Policji Bezpieczeństwa i *SD* Praga dalekopisem. Był podpisany przez *obersturmbannführera SS Fischera.* W dalekopisie z dnia 17 czerwca

1942 roku prosiłem dowódcę *Sipo* i *SD* o wyjaśnienia w (wydziale *RSHA*) IV B 4, co ma się stać z dziećmi czeskimi. *RuSHA* (Główny Urząd Rasy i Osadnictwa *SS*) zakwalifikował do tej pory 7 dzieci nadające się do zniemczenia. Ponieważ nie mam wiadomości z IV B 4, od dowódcy *Sipo* i *SD*, a dzieci pozostały tutaj przekazane bez rzeczy, usilnie proszę zadecydować o dalszym przeznaczeniu dzieci".

Po krótkiej wymianie korespondencji i telefonów między dostojnikami *SS* w Łodzi i Berlinie los tych dzieci został określony jednym słowem: *„Sonderbehandlung"*, które oznaczało to samo co *„Endlösung"*. Po krótkim pobycie w Łodzi dzieci przewieziono do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, gdzie zostały zagazowane spalinami samochodowymi. Były to następujące dzieci (w nawiasach rok urodzenia): 1. *Josef Brejcha* (1937); 2. *Josef Bulina* (1930); 3. *Anna Bulinová* (1928); 4. *Jaroslava Bulinová* (1931); 5. *Božena Čermák* (1932); 6. *Jiři Čermák* (1930); 7. *Miroslav Čermák* (1934); 8. *Jiři Frühauf* (1938); 9. *František Hejma* (1928); 10. *Karel Hejma* (1934); 11. *Jaroslava Heřmanová* (1939); 12. *Marie Hocková (1932);* 13. *Věra Honziková* (1929); 14. *Zdeněk Hronik* (1934); 15. *Božena Hroniková* (1929); 16. *Marta Hroniková* (1941); 17. *Zdeňka Hroniková* (1930); 18. *Václav Jedlička* (1937); 19. *Karel Kácl* (1934); 20. *Eva Kavková* (1936); 21. *Anna Kaimlová* (1929); 22. *Jaroslav Kobera* (1932); 23. *Václav Kobera* (1936); 24. *Milada Koberová* (1931); 25. *Zdeňka Koberová* (1934); 26. *Hana Kovařovská* (1937); 27. *Ludmila Kovařovská* (1932); 28. *Antonin Kozel* (1935); 29. *Věnceslava Krásová* (1935); 30. *Rudolf Kubela* (1938); 31. *František Kulhavý* (1935); 32. *Jaroslav Kulhavý* (1929); 33. *Miroslav Liška* (1936); 34. *Milada Miková* (1936); 35. *Jitka Moravcová* (1940); 36. *Václav Moravec* (1931); 37. *Karel Mulák* (1930); 38. *Marie Muláková* (1927); 39. *Zdeněk Müller* (1937); 40. *Antonin Nerad* (1928); 41. *Alena Nová* (1938); 42. *Milada Novotná* (1927); 43. *Antonin Pek* (1934); 44. *Emilie Pelichovská* (1927); 45. *Václav Pelihovský* (1932); 46. *Josef Pešek* (1934); 47. *Anna Pešková* (1936); 48. *Jiřiná Pešková* (1935); 49. *Miloslav Petrák* (1931); 50. *Zdeněk Petrák* (1933); 51. *Jiřina Petráková* (1927); 52. *Zdeněk Petřik* (1941); 53. *Marie Pitinová* (1931); 54. *Štěpán Podzemský* (1938); 55. *Věra Průchowá* (1928); 56. *Josef Přihoda* (1930); 57. *Anna Přihodová* (1926); 58. *Jaroslava Přihodová* (1940); 59. *Věnceslavá Puchmeltrová* (1928); 60. *Miloslav Radosta* (1936); 61. *Vaclav Rameš* (1933); 62. *Jaroslava Ramešová* (1940); 63. *Božena Rohlová* (1934); 64. *Jiřina Růženecká* (1929); 65. *Jiři Sejc* (1936); 66. *Jiřina Součková* (1930); 67. *Marie Součková* (1928); 68. *Miloslav Spal* (1929); 69. *Jarmila Straková* (1939); 70. *Ludmila Straková* (1940); 71. *Josef Suchý* (1941); 72. *Miroslava Syslová* (1928); 73. *Josef Šroubek* (1934); 74. *Marie Šroubková* (1927); 75. *Jaroslava Štorková* (1932); 76. *Antonin Urban* (1930); 77. *Věra Urbanová* (1937); 78. *Josef Vandrdle* (1928); 79. *Dogmar Veselá* (1936); 80. *Karel Vlček* (1935); 81. *Jaromir Zelenka* (1940); 82. *Ivan Žid* (1934).

Nie znamy ostatnich chwil dzieci z Lidic. Wiemy tylko, że kiedy nadjeżdżały owe samochody — komory gazowe, przedstawiciel *sonderkommando* przemawiał do ofiar; mówił, że jadą do pracy na wschód, gdzie będą dobrze traktowani, dostaną wyżywienie, przed wyjazdem zostaną jeszcze wykąpani, a ich odzież zostanie wydezynfekowana. Może powiedział to samo tym dzieciom, a może nic, przecież buntu dzieci oprawcy nie musieli się obawiać. Ich prochy zmieszały się z prochami dzieci żydowskich, dzieci z Zamojszczyzny i Włocławka. Wśród zamordowanych dzieci z Lidic 36 było 1—8-letnich, które więc nawet nie zdawały sobie sprawy z sytuacji.

Kobietom ciężarnym, jak wspomniano, pozwolono urodzić dzieci, które natychmiast im odebrano. Matki wywieziono do obozu koncentracyjnego. Dzieciom zmieniono nazwiska i umieszczono w tajnym przytułku praskiego gestapo. Były to (w nawiasach zmienione nazwiska): 1. *Karel Hanžl* (*Wiktor Marius*); 2. *Věnceslava Kohličková* (*Anna Carol*); 3. *Marie Pešková* (*Erika Graf*); 4. *Anna Straková* (*Martha Egger*); 5. *Jaroslav Korecký*; 6. *Jana Müllerová*. Przeżyło tylko dwoje: *Müllerova* i *Korecký*. Pozostałe czworo zmarło. Okoliczności oraz przyczyny zgonu, jakie podano, nasuwają przypuszczenie, że dzieci te nie zmarły śmiercią naturalną.

Spośród 104 dzieci, w tym 6 urodzonych po tragedii, ocalało zaledwie 17 dzieci. Są to: 1. *Marie Doležalová*; 2. *Emilie Frejová*; 3. *Václav Hanf*; 4. *Anna Hanfová*; 5. *Marie Hanfová*; 6. *Věra Hanfová*; 7. *Pavel Hořešovský*; 8. *Jaroslav Korecký*; 9. *Eva Kubiková*; 10. *Josef Minařik*; 11. *Jana Müller*; 12. *Jiři Müller*; 13. *Libuše Müller*; 14. *Jiři Pitin*; 15. *Hana Špotová*; 16. *Věra Vokatá*; 17. *Václav Zelenka*.

Ocalałe dzieci zapamiętały wiele szczegółów z tamtych tragicznych wydarzeń, ale najbardziej utkwił im w pamięci moment rozdzielenia ich z matkami. O tamtych wydarzeniach wspominają ze łzami w oczach. *Marie Doležalová* w nadesłanych na moją prośbę wspomnieniach napisała między innymi:

„Po strasznym rozłączeniu nas dzieci i naszych matek w gimnazjum w Kladnie przewieziono nas (oprócz dzieci, które nie miały jeszcze roku) stosunkowo długą drogą pociągiem, który nas dowiózł, jak się później dowiedzieliśmy, do Łodzi. Był to obóz zbiorczy, urządzony prawdopodobnie w byłej fabryce. Była tam wielka żelazna brama, na środku podwórka znajdowały się korytka z kranami, gdzie prawdopodobnie myli się robotnicy po pracy. Byliśmy umieszczeni w dwóch salach na piętrze, gdzie były zamalowane okna, gołe ściany i goła betonowa podłoga, na której spaliśmy tylko w ubraniach wziętych z domu rodzinnego. Na parterze byli Polacy i Polki. Schodziliśmy czasem do nich, a oni dawali nam chleb ze swoich skromnych zapasów. Opiekowała się nami Polka. Dbała ona o naszą higienę. Okres pobytu w Łodzi w roku 1942 przeżyliśmy bardzo boleśnie".

Wspomniana pielęgniarka, Julia *Makowska*, zeznała między innymi:

„Przypominam sobie, że latem 1943 roku w obozie na Lesznie (Gneisera) przebywała grupa dzieci czeskich, było ich 88. Dzieci te były w pożałowania godnym stanie, były prawie już bez ubrania po długiej podróży, stale głodne do tego stopnia, że zjadały papier po margarynie. Dzieci te po kilku tygodniach zostały wyweizione z obozu przez gestapo. Wiem, że dzieci czeskie były wybrane na rasę i 6 z nich uznano za rasowe; te dzieci do obozu już nie wróciły".

Odnalazłem też byłą więźniarkę, którą jako dziecko więziono w obozie przy ulicy Łąkowej w Łodzi. Janina *Jakubek*, urodzona w roku 1932, między innymi wspomina:

„Przywieźli tu hitlerowcy grupę dzieci czeskich w różnym wieku. Pamiętam, że trzymały się za rączki, a starsze trzymały na rękach niemowlęta. Były brudne, obdarte, wystraszone i zapłakane. Dzieci te były głodne, jak i my. Prosiły nas o jedzenie. Dopiero później dowiedziałam się, że są to dzieci czeskie z Lidic".

Hitlerowcy zapewniali, że po ujęciu zamachowców stan wyjątkowy zostanie zniesiony, a egzekucje wstrzymane. Mimo zlikwidowania sprawców zamachu stan wyjątkowy nie został zniesiony, a owe egzekucje przeprowadzano w jeszcze większych rozmiarach. Do Lidic doszła nadto miejscowość w powiecie chrudimskim, w pobliżu Pardubic, Leżaki. W dniu 24

Ryc. 3. Awers medalu pamiątkowego, wybitego w 25 rocznicę tragedii lidickiej

Ryc. 4. Rewers medalu lidickiego

czerwca 1942 roku wieś ta została zrównana z ziemią. 34 osoby rozstrzelano. Najmłodsza z ofiar, Helena *Skalicka*, miała 16 lat. Członek pardubickiego gestapo, *Schultze*, zeznał po wojnie między innymi, że od uczestników akcji dowiedział się, iż Leżaki „wspaniale płonęły", był to „wspaniały widok". Każdy z nich „miał na palcach mnóstwo pierścionków, które oddali potem w Pardubicach do przerobienia".

W dniu 7 lipca 1942 roku do Łodzi nadszedł transport dzieci z Leżaków. Były to (w nawiasach daty urodzenia): 1. *Marta Čech* (9. VII. 1927 r.); 2. *Oldřich Dušek* (1. XII. 1933 r.); 3. *Marie Hrdy* (5. I. 1930 r.); 4. *Stanislav Klapka* (21. IV. 1929 r.); 5. *Jaromin Mrkvička* (24. V. 1941 r.); 6. *Bohumila Švanda* (24. VI. 1940 r.); 7. *Emilie Švanda* (26. II. 1939 r.); 8. *Georg Sýkora* (14. III. 1933 r.); 9. *Paul Sýroka* (24. VI. 1941 r.); 10. *Milada Sýroka* (28. VII. 1939 r.); 11. *Břetislav Tomek* (13. VII. 1929 r.). Tym samym transportem przybyła do Łodzi *Dogmar Vesela*, dołączona do wykazu dzieci z Lidic i zamordowana z tamtymi dziećmi. Tych dzieci z Leżaków również nie uznano za nadające się na zniemczenie. Wspomniana już uprzednio Julia *Makowska* zeznała w ich sprawie:

„Po upływie kilku tygodni przybyła do obozu 12-osobowa grupa dzieci ze wsi Leżaki. Dzieci czeskie, przybywające do obozu, miały zawieszone na tasiemce na szyi tabliczki metalowe z nazwiskiem i miejscem pochodzenia. Komendant obozu *Schutz* z rozkazu *Puscha* kazał odebrać dzieciom te tabliczki. Gdy zabierano pierwszą partię dzieci czeskich, to w aucie, które po nie przyjechało, znajdowała się grupa dzieci czeskich z obozu w Konstantynowie".

Pamięć o dzieciach czeskich zamordowanych na naszej ziemi przez hitlerowców powinna być zachowana. Ale relacji o nich nie można zakończyć bez następującej wzmianki. W Niemieckiej Republice Federalnej, na wyspie Fehmarn, w powiatowym miasteczku Burgu, jest pensjonat o dźwięcznej nazwie *Gasteheim Burgtiefe, Lina Heydrich*. Pensjonat ten prowadzi wdowa po *Heydrichu*. Oczywiście *Lina Heydrich* nie utrzymuje się tylko z dochodu, jaki jej daje najdroższy pensjonat na wyspie. Przed laty wystąpiła z wnioskiem o przyznanie jej generalskiej renty wdowiej. Władze bońskie niezwłocznie zatwierdziły wniosek, uzasadniając, że jej mąż „zginął w czasie wojny śmiercią żołnierza".

TADEUSZ SEWERYN Kraków

Okupacji dzień powszedni

W warunkach hitlerowskiej okupacji byliśmy wszyscy wplątani w kłębek spraw codziennych i zgiełk dnia powszedniego. Na ulicy widziało się pobladłe twarze przechodniów, zaaferowane, nacechowane wyczerpaniem nerwowym, przemęczeniem, pośpiechem i niedojadaniem. W życiu codziennym byliśmy wszyscy masą rzeczy podległych straszliwemu mechanizmowi wojny, który mógł nas złamać, zniszczyć, spalić lub wyrzucić na śmietnik. Przerażała pogłębiająca się w nas świadomość, że jesteśmy kompostem pod ziarno mające wzrosnąć dla narodu panów na zagrabionej nam roli. Nie szukajmy więc kamieni na cokoły pomników dla Nieustraszonych, bo — nie ma się czego wstydzić — groza terroru obejmowała nas wszystkich. Zresztą, cóż to jest lęk o życie własne? Wyobrażam sobie, że jest to emanacja elementarnego instynktu biologicznego każdego człowieka.

W zwykłym biegu życia byliśmy nieustannie zagrożeni. Wychodząc z domu, nigdy nie byliśmy pewni, czy do niego wrócimy. Za często obcowaliśmy z okropnościami wczorajszych i dzisiejszych dni, aby świadomość niepewności naszego losu nie wlokła się za nami jak upiorny sen. Któż podczas okupacji uważał za bohaterstwo lub epizod dramatu to, że podczas rewizji osobistej na ulicy musiał stać z podniesionymi rękami przy ścianie, z twa-

rzą do muru i czuł lufę żandarmskiego karabinu przyłożoną do pleców?

W zwykłym, codziennym, potocznym życiu zmieniały się tylko sceny jak w kalejdoskopie, w którym trzy zwierciadła, ustawione względem siebie pod kątem, tworzą z garści kamyków coraz to nowe układanki. Dodatkowe zaś okrucieństwo sytuacji polegało jeszcze na tym, że pewnego dnia lub nocy nagle rozbito wam rodzinę i dom, zmuszono was, nędzarzy, do przestawienia się na nowy, całkiem inny tryb życia.

Bytowaliśmy w rozsypce. A jednak było coś, co nas, ziarnka piasku, łączyło, a tym lepiszczem była bezsprzecznie wspólna, uparta walka o biologiczne przetrwanie, wspólne nienawistne spojrzenia rzucane na plakaty, na których każde słowo warczało groźbą, wspólne zaciskanie pięści, gdy na murach naszego miasta pojawiały się nowe, krwawe listy śmierci.

Zamyślając się nad tym, co „przeminęło z wiatrem", trudno nam samym uwierzyć, że nawet w koszmarnych momentach osłupiającej niemocy mogliśmy się czasami zdobyć na beztroskę i pogodę, niczym dzieci skupione niebacznie w czasie burzy pod drzewem, w które lada moment może uderzyć piorun. Było w tym coś z rycerskiej fantazji i polskiego ryzykanctwa. Może także i dlatego przetrwaliśmy?

I cóż jeszcze? Krzepiło nas poczucie użyteczności społecznej naszego istnienia, krzepiły wypływające stąd obowiązki, wiara w zwycięstwo naszej sprawy i jakaś desperacka świadomość towarzysząca rocie żołnierskiej przysięgi: Odwrotu nie ma.

Nie potrzeba zatem tych „rozpryśnionych mozaik kamieni" wspólnej fizycznej rzeczywistości ubarwiać surrealistyczną wyobraźnią. Zbyteczny tu patos i koturny, bo dzień powszedni — to nie scena. Wystarczy nam ascetycznie skromna prawda wydarzeń i przeżyć, rzucona na płaszczyznę zwykłych ludzkich wymiarów.

*

Jeszcze w połowie 1942 roku byłem nagabywany obcesowymi pytaniami: Kiedy wreszcie rozpoczną się wykłady na tajnym wydziale medycznym w Krakowie? Humanistyka już ruszyła, prawo też, rolnictwo i górnictwo, a o medycynie wciąż cicho. Na te pytania dał mi odpowiedź dialektolog dr Mieczysław *Małecki*, profesor nadzw. filologii słowiańskiej UJ, odważny i bardzo ruchliwy organizator tajnego nauczania na stopniu uniwersyteckim:

— Dajcież odetchnąć ludziom, którzy dopiero wrócili z obozu w Sachsenhausen.

— Przecież i pan — mówię — był w obozie i to nawet w dwóch, a zaraz po powrocie zabrał się do niebezpiecznej pracy!

— No, trzeba! Zresztą, prawdę mówiąc, wykładowcy są już w „bazie wyczekiwania", brak nam jednak jeszcze przynajmniej trzech mikroskopów. Histologia, jako nauka o mikroskopowej budowie tkanek, bez mikroskopu nie idzie do głowy. O kupnie nie można mówić, jeśli w tajnym nauczaniu przyjęliśmy zasadę nieodpłatności. Jeśli pan wystara się o mikroskopy, to z miejsca ruszymy.

Przy pomocy „Fredka" (Alfreda *Zaręby*, dziś profesora UJ), zaprzysiężonego w ZWZ, skontaktowałem się z kilkoma harcerzami, dawnymi moimi uczniami w Gimnazjum im. B. Nowodworskiego, którzy wybierali się na medycynę, i zawiadomiłem ich, że bez zdobycia trzech mikroskopów nie ma mowy o rozpoczęciu tajnych wykładów.

Wszystkie pomoce naukowe — powiadam — zmagazynowali Niemcy w VIII Gimnazjum przy ul. Pierackiego (dziś Świerczewskiego). Waszym zadaniem będzie przemyśleć sposób dostania się do środka gmachu, sposób otwarcia zamka w drzwiach sali, w której pomieszczone są mikroskopy i wreszcie sposób wyniesienia łupu. Od waszego sprytu i odwagi zależy rozpoczęcie wykładów z medycyny, a to dla nas więcej znaczy niż ustrzelenie jednego hitlerowca w ciemnej ulicy lub nawet zwycięska potyczka z niemieckim patrolem.

Chłopcy odnieśli się do powierzonego im zadania z dużym entuzjazmem. Wszak otrzymali wreszcie konkretne zadanie. Natychmiast utworzył się trzyosobowy zespół wykonawczy. Komendantem został Mieczysław *Klee*, a jego zastępcą Zbigniew *Harlender* — obaj nowodworczycy, harcerze „Szarej Siódemki".

Po kilku dniach zawiadomił mnie Fredek, że wyprawa po mikroskopy udała się doskonale. Znajomy Mietka, brat kapucyn, pozwolił im zabrać z ogrodu zakonu drabinę, za pomocą której przedostali się przez mur na podwórze gimnazjum, a potem wszystko poszło zgodnie z planem.

— Niech jak najrychlej — mówię — Mietek ze Zbyszkiem zaniosą tę zdobycz profesorowi *Małeckiemu*. Hasło: „Czy pan jest kierownikiem spółdzielni?". Niech powołają się na mnie i wręczą mu mikroskopy.

Opowiadał mi później profesor *Małecki:*

— Przyszło dwóch sympatycznych, krępych chłopaków, zapytali o kierownika spółdzielni, powołali się na pana i bez słowa postawili trzy mikroskopy na skrzyni zbitej z surowych desek, a wypełnionej książkami. Kiedy zagadnąłem jednego z nich, skąd wziął aż trzy mikroskopy, wyprężył się po wojskowemu i zameldował: To pan *hofrat Watzke*, prezydent *Hauptabteilung Wissenschaft und Unterricht* rozkazał ukraińcowi *Forestynie*, aby „zabezpieczył" pomoce naukowe polskich szkół średnich, a mnie rozkazały władze polskie, abym je „odbezpieczył".

Profesor *Małecki* ze szczerą radością przyjął ten meldunek zuchowatych harcerzy i jeszcze po wojnie cytował go różnym ludziom [1]. Mnie zaś najbardziej się podobała

[1] W Archiwum UJ, w tece 11, zatytułowanej „Materiały Komisji do opracowania historii UJ w czasie wojny 1942—1945", znajduje się 25-stronicowe sprawozdanie z tajnego nauczania na Wydziale Medycznym, napisane przez profesora histologii prawidłowej, dra Stanisława *Maziarskiego*. W rękopisie tym na stronie 14 znajduje się następująca wzmianka odnosząca się do owych mikroskopów: „Udało się, choć tylko dla ograniczonej liczby studentów [...]

krótka, skromna odpowiedź, dana mi przez profesora *Małeckiego* na argument, że ledwie wypuszczono go z obozu koncentracyjnego w Dachau, a już zabrał się do organizowania wykładów na tajnej *Alma Mater:* „No, trzeba!" W tym jednym słowie mieścił się duży ładunek imperatywu moralnego. Dla mnie brzmiał on jak komenda: lewą marsz! Był to głos narodowego sumienia, toteż słuchały go masy.

Dlatego tak łatwo mogłem się porozumieć w pierwszych latach okupacji hitlerowskiej z chirurgiem drem Witoldem *Preisem,* pracującym w szpitalu im. Gabriela Narutowicza w Krakowie. Zgłosiłem się doń jako pacjent i prosiłem o wyłuszczenie kaszaka na głowie.

— To nic poważnego, czy to panu przeszkadza?

— Nie przeszkadza, ale może pomóc.

— W jaki sposób?

Poinformowałem go, że jestem ścigany przez gestapo, ale żyć trzeba, mam żonę i dzieci. Uniwersytet zamknięty, gimnazjum także, przyjąłem więc obowiązki nauczyciela na kursach przygotowawczych do szkół zawodowych *(Staatliche Vorbereitungslehrgänge für Fachschulen).* Po najściu jednak mego mieszkania przez gestapo i mojej ucieczce nie mogę chodzić do szkoły. Wymyśliłem więc taką igraszkę: pan doktor wykona operację i obandażuje mi gęsto głowę, ja zaś osobiście zawiadomię dyrektora szkoły, że uległem wypadkowi samochodowemu, przedstawię świadectwo ze szpitala, który ma popularną nazwę *Deutsches Hospital,* i wszystko będzie w porządku, to znaczy, gestapo będzie mnie poszukiwało tam, gdzie mnie nie ma, Niemcy będą mi płacić jako nauczycielowi, a ja będę nadal robił konspirację.

Dr *Preis* uśmiechnął się, przeprowadził operację, pielęgniarka wedle jego zleceń zmarnowała spory rulon bandaża, aby zrobić ze mnie pałubę, a dyrektor kursów, dr *Vilim Frančić* (późniejszy docent UJ), odważnie, ryzykując, przyjmował do wiadomości moje pisemne ekskuzy z powodu rzekomo niewyleczonej rany na głowie [2]. Trwało to kilka miesięcy. Tego *schulratowi* drowi *Schoenowi* było za wiele. Wezwał mnie do siebie, a kiedy zlekceważyłem to zaproszenie, zwolnił mnie z pracy i jednocześnie zawiadomił, że straciłem prawo pracowania w szkolnictwie na terenie Generalnej Guberni, wobec czego mam się natychmiast zgłosić w *arbeitsamcie.* Oczywiście, z tego też nie skorzystałem.

Nastał dla mnie okres tułaczki, głodu i poniewierki. Ponieważ gestapo poszukiwało mię w mieszkaniach mych przyjaciół i znajomych, musiałem zrezygnować z noclegów u ludzi mi bliskich. Przez dwie noce spałem u młodego artysty malarza Zbyszka *Kowalewskiego* przy ul. Ujejskiego 8, m. 18, potem u malarza Tadeusza *Waśkowskiego* przy ul. Smoleńsk. Trzy noce spędziłem w domu noclegowym policjantów granatowych przy ul. Krupniczej, udając policyjnego wygę i nikogo nie pytając o prawo. Nie próbowałem częściej korzystać z tak ryzykownych noclegów, ale Krakowa nie chciałem opuszczać, bo tu mi wyznaczono służbę. Przez kilka nocy spałem w budzie strażniczej, postawionej w winnicy Węgra, Ludwika *Göltla,* w Mydlnikach, potem przez przeszło tydzień w jego mieszkaniu przy ul. Kazimierza Wielkiego 41. Już wyczerpywały się resztki rezerwuaru mej wytrzymałości fizycznej. Wreszcie dopiero żona, wróciwszy z tułaczki po wsiach, gdzie ukrywała się przed gestapem, wyszukała mi schronienie w Rakowicach Nowych w domu Franciszka i Marii *Walczyków* przy ul. Żwirki 168 (dziś Żwirki i Wigury).

Pierwszy nocleg w tej melinie był dla mnie pamiętny. W izbie, w której miałem spać, nie było łóżek, natomiast było w niej sześć kobiet, które krzątały się koło legowiska, przygotowywanego z mierzwy słomy. Były to kobiety wiejskie z pobliskiej okolicy, które co wieczór schodziły się tutaj, przynosząc mleko w bańkach blaszanych, a nadto czasem chleb żytni i łupkę sera. Dzięki tym handlarkom dzieci polskie w najbliższym sąsiedztwie nie były pozbawione mleka.

Kobiety te dość szybko się zorientowały, że Niemcy przyszli do nas z gotowym schematem odcinania dowozu żywności ze wsi do miast. Obsadzali bowiem wczesnym rankiem rogatki wszystkich wylotowych ulic policją, która konfiskowała artykuły żywnościowe przynoszone ze wsi. W tym niemieckim ładzie kobiety wiejskie odkryły lukę. Konfiskujecie rano? No to my będziemy przynosić mleko wieczorem, gdy „łapacze" siedzą przy piwie.

Gorzej było ze spaniem, bo nie miałem wówczas nawet płaszcza do okrycia się w nocy. Ale jakoś wytrzymałem do rana posłuchawszy życzliwej rady pani *Walczykowej:* Niech się pan wśrubuje między te tam śpiące kobiety, to się pan ogrzeje. Wśrubowałem się. Naza-

---

urządzić ćwiczenia, ale i to z wielkimi trudnościami [...]. Sprawę ułatwiała ta okoliczność, że studenci [przyjęli] do prywatnego przechowania z różnych zakładów mikroskopy, nie przedstawiające, co prawda, zbyt wielkiej wartości optycznej, ale w każdym razie jako tako użyte być mogły do celów histologii normalnej".

Zdawałoby się, że informacja ta odchyla się od opowiadania o wyczynie „Szarej Siódemki". Bynajmniej. Możliwe, że profesor *Małecki* otrzymane mikroskopy dał studentom do „prywatnego przechowania". Możliwe też, że chodzi tu o inne jeszcze mikroskopy, z których korzystał Wydział Medyczny, a mianowicie mikroskopy należące do Akademii Górniczo-Hutniczej, a znajdujące się pod pieczą inż. *Dziedzica.* W latach 1939 i 1940, gdy Niemcy komasowali wszystkie pomoce naukowe szkół średnich, inż. *Dziedzic* zwołał za pośrednictwem swego bratanka Jurka *Dziedzica* (dziś magistra inżyniera) ośmiu jego kolegów, którzy wszystkie przybory naukowe wynosili z laboratorium Akademii i umieszczali w znanych sobie domach w Dębnikach i Ludwinowie. Jednym z pierwszych chłopców zwerbowanych przez inż. *Dziedzica* do tej akcji był Zbigniew *Kuźma* (dziś inżynier), późniejszy główny łącznik Kierownictwa Walki Cywilnej i Oporu Społecznego.

[2] Dr Witold *Preis* wraz z drem Mikołajem *Kwaśniewskim,* zastępcą naczelnego lekarza Ubezpieczalni Społecznej, zostali za działalność patriotyczną aresztowani i wywiezieni do obozu w Oświęcimiu, skąd już nie wrócili.

jutrz pozwolono mi się wprowadzić „na górkę", do izdebki w facjatce domku, własnoręcznie i z nadludzkim wysiłkiem zbudowanego przez moich gospodarzy.

W pierwszych dniach pobytu w tej melinie wezwał mnie gospodarz domu, Franciszek *Walczyk*, do pomocy w rozbieraniu starej szopy. Miałem odbierać deski i krokwie zrzucane z góry. Wydawało mi się, że to takie nic. Diabła tam! Kilka minut pracowało mi się nieźle. Potem jednak, gdy mi obalono w dół krokiew, nie zdołałem jej pochwycić w powietrzu, ciężar jej obciągnął mi ręce ku dołowi i nie wiem, jak to się stało, że zostałem przybity do grubej deski. Jak to przybity? No, tak. Zardzewiały gwóźdź osadzony w krokwi przebił mi na skos dwie kości małego palca lewej ręki na wylot i jeszcze końcem wbił się od spodu w deskę. Miałem więc zgruchotany palec, uwięziony między deską z dołu a drągiem krokwi od góry.

Chcąc uwolnić się z tej straszliwej paści, szarpnąłem prawą ręką drąg ku górze i wyciągnąłem koniec gwoździa tkwiący w desce, ale mój przebity palec tkwił nadal u nasady zardzewiałego gwoździa i krwawił szpetnie. To poruszenie krokwi sprawiło mi wielki ból. Poznałem jak przez mgłę ból ukrzyżowania. Wtedy zacisnąwszy zęby, czym prędzej oparłem drąg o lewe ramię i uderzywszy silnie pięścią w przegub lewego śródręcza, wyrwałem palec z gwoździa. Rozpaczliwy ten zabieg był bardzo bolesny. Krzyknąłem: wody! i usiadłem na ziemi, oparłszy się plecami o płot ogródka. Brocząca z rany ciemna krew zalewała mi koszulę i spodnie.

Walczyk zeskoczył z budy, pobiegł do kuchni po wiadro, spuścił je do studni, wyciągnął i znowu pędem pobiegł po garnuszek. Na podwórze wyszedł mieszkający u sąsiadki, Marii *Ziębińskiej*, tęgi Niemiec w czarnym mundurze *werkschutza*, aby przypatrzyć się mojej krwawej przygodzie. Właśnie *Walczyk* podawał mi wodę w kubku. Powstałem z ziemi, aby opłukać rękę z krwi, gdy nagle Niemiec ów przyskoczył do mnie i palnął mnie w twarz. Mordobicie nie było zbyt silne, ale mnie osłabionemu i nie spodziewającemu się takiej „opieki" wystarczyło, by z powrotem upaść na ziemię.

— *Was machst du denn, Dummkopf* — krzyczał — *Halt!* Nic nie robić, zaczekać!

Pobiegł do swego pokoju i wrócił z flaszką wódki.

— *Wodka, wodka* — zawołał i podał *Walczykowi*. Gdy ten przytknął mi szyjkę flaszki do ust, Niemiec wrzasnął na niego. Pokazywał, że to na ranę. Wtedy dopiero zrozumiałem, że owo uderzenie mnie w twarz było po prostu zabiegiem samarytańskim; miało mnie uchronić przed zakażeniem rany nieczystą wodą zaskórną, a wódką chciał Niemiec ranę odkazić. Ciekawi ludzie! Biją z życzliwości i biją z nienawiści — zawsze biją. Mignął mi w myśli taki rysunek: jeden drugiego bije w papę, a u dołu podpis: Miłuj bliźniego! U nas byłby to lichy żart, a u nich niekoniecznie.

Mój sanitariusz w mundurze *werkschutza* był robotnikiem, zdaje się, ślusarzem lub monterem na lotnisku. Widocznie nie przejął się hitlerowską ideologią nienawiści do zwyciężonych, jeśli użyczył mi wódki do dezynfekowania rany.

Pani *Walczykowa* pierwsza zakwalifikowała go do kategorii ludzi porządnych, jako osoba wrażliwa na ból, nieszczęście, nędzę lub chorobę bliźniego. Wszakże, jeśli mnie przyjęła do swego domu, nawet nie pytając się o nazwisko, to tylko dlatego, że się poniewierałem nie mając dachu nad głową. Wzruszyła się również dolą mieszkającego w sąsiedztwie policjanta polskiego *Sadkiewicza*, który zapadłszy na gruźlicę, błagał, żeby mu kto podarował kota (tak, kota!), bo uważał, że tylko skórka z kota może go wyleczyć. Dobrzy ludzie znosili mu różne koty, ale on wciąż grymasił, że nie o takie koty mu chodzi.

Jako etnograf zainteresowałem się tą sprawą. Od sąsiadek odwiedzających tego chorego dziwaka dowiedziałem się, że istnieją dwa rodzaje kotów: chude z długimi ogonami oraz tłuste z krótkimi. Chude są „zarażone". Szczególnie włosy u końca długiego ogona — to „jedna zaraza". Kto połknie jeden taki włos, to zachoruje na „galopujące suchoty". *Sadkiewicz* przypuszczał, że widocznie gdzieś kiedyś zaraził się włosem z takiego właśnie ogona, bo lekarze nie chcą go leczyć, upierając się, że na galopujące suchoty nie ma rady. Ale się mylą — myślał — lekarstwo dla niego jeszcze jest, byleby dostał odpowiedniego kota. Tak lamentował i błagał o ratunek, że pani *Walczykowa* zaproponowała mu swego kota — tłuścioszka z krótkim ogonem. *Sadkiewicz*, gdy zobaczył przyniesionego mu mruczka, zawołał: O, o takiego mi chodziło! Pani *Walczykowa* odeszła do domu z żalem, ale równocześnie i z radością, że zdobyła się na miłe Panu Bogu miłosierdzie dla nieszczęśliwego człowieka.

Ledwie się drzwi za nią zamknęły, a już dobrzy ludzie pochwycili biednego kotka, wrzucili do worka i dotąd tłukli o ziemię, aż go zakatrupili. Potem uwijając się szybko, obłupili go i zdartą skórką, pokrwawioną i jeszcze ciepłą, obłożyli piersi chorego. Ale to *Sadkiewiczowi* nie pomogło, bo — wiadomo — było za późno.

Wystarczyły dwa lata straszliwej wojny, aby stan sanitarny ludności uciemiężonej przez okupanta cofnął się w dobę zabobonu o 100 do 200 lat. Brak odpowiedniej liczby lekarzy [3], brak wielu leków lub trudności w ich otrzymaniu, ogólne zbiedzenie społeczeństwa, niedojadanie, niski poziom higieny, nawrót do przesądów w lecznictwie — to były przyczyny wzrostu zapadalności na różne choroby, a przede wszystkim na choroby społeczne.

Jeśliby kto się jednak upierał przy twierdzeniu, że leczenie gruźlicy okładaniem piersi skórką kota świadczy bądź co bądź o obskurantyzmie ludności polskiej, należy mu przy-

[3] Podczas ostatniej wojny zginęło spośród 13 000 około 5 tysięcy lekarzy polskich, prócz wielu tysięcy innych pracowników służby zdrowia.

pomnieć, że w Niemczech w XVIII wieku „suchotnikowi dawano na nowiu na czczo pięć wszy w chlebie" [4]. Dlaczego wszy? Bo uważano, że suchoty, to małe robaczki, które zjadają płuca; jeśli się więc wpuści do wewnątrz wszy, to robaczki zostaną pożarte przez te drapieżne paskudy i chory musi wyzdrowieć. Jak widać, wszy w kraju *Goethego* i *Kanta* miały pełnić *sui generis* funkcję fagocytów.

Przyznam się, że w związku z aferą tej kociej medycyny skorzystałem coś niecoś. Uprosiłem bowiem sąsiadkę, aby mi w słoiku przyniosła plwocinę *Sadkiewicza*. Przedłożyłem ją jako swoją w ośrodku przeciwgruźliczym przy ul. Kopernika i dzięki znajomym lekarzom, a głównie doktorowi Henrykowi *Biernackiemu*, otrzymałem zaświadczenie, że jestem niezdolny do pracy.

Po kilku miesiącach znowu ktoś w naszym sąsiedztwie zachorował na gruźlicę, ale już nie próbowano go leczyć kocią skórką. Uznano, że na suchoty nie ma nic lepszego nad sadło borsucze lub niedźwiedzie. Ale skąd wziąć tego leku? Ostatecznie zgodzono się, że psie sadło z mlekiem, pite przez chorego, też leczy suchoty „światowe", bo jeśli kto nabawił się suchot „śmiertelnych", „gardlanych" lub „galopujących", to mu już tyle pomoże, co umarłemu kadzidło. Rada w radę dobrzy ludzie znowu zaapelowali do altruizmu pani *Walczykowej* i nie zawiedli się na jej dobrym sercu i miłosierdziu w konwencjonalnych wymiarach, bo bez dłuższego namysłu oddała im swego poczciwego *Rolfa* na zabicie, aby nie mieć wyrzutów sumienia, że mogąc pomóc nieszczęśliwemu człowiekowi, nie uczyniła tego. Zresztą jej postanowienie należało traktować w perspektywie ambiwalentnej: od strony humanitarnej, aby spełnić życzenie śmiertelnie chorego, i od strony handlowej, bo psie sadło miało podczas wojny walor nie byle jaki. Ostatecznie, nieco tego sadła poszło do naszej domowej apteki, a mięso na nasze wspólne potrzeby, tak, mięso na nasze wspólne potrzeby!

Co prawda, żal mi było tego kundla. Gdy na ulicy Żwirki podczas roztopów wiosennych potworzyły się bajora, uniemożliwiające wyjście na świat, i czułem się w mej melinie jak na wyspie, *Rolf* przywiązany łańcuchem do budy bynajmniej się nie nudził. Umizgał się do kury, która nagdakawszy się na podwórzu, chciała wejść do drewutni na gniazdo, ale *Rolf* dotąd zagradzał jej drogę, niby się z nią przekomarzając, aż powoli, powoli wpędził ją do swej budy. Potem położył się na ziemi koło swojego legowiska i z zadowoleniem merdając ogonem, rzucał od czasu do czasu wzrok na dziurę w budzie, by się przekonać, czy jajo już zniesione. Gdy zaś kura wolnym kroczkiem opuściła gniazdo, trzepnąwszy skrzydłami, *Rolf* jednym susem wpadał do budy, wynosił w pysku jeszcze ciepłe jajo, pobawił się nim trochę, a potem uderzywszy kłem w jego skorupkę, wypijał zawartość. Skorupki zaś zagarniał do budy, aby jak wytrawny złodziej nie pozostawić po sobie żadnego śladu przestępstwa.

Głęboko odczuwałem potrzebę odwdzięczenia się moim gospodarzom za to, że mnie, nieznajomego, przyjęli pod swój dach i to bezinteresownie. Odwdzięczyć się — to arcyludzki obowiązek, ale czym? Wreszcie wymyśliłem; córkę *Walczyków*, Czesławę, zapisałem do tajnego kompletu przerabiającego program I klasy gimnazjalnej. Rodzice Czesi byli mi za to ogromnie wdzięczni.

Potem gdy zauważyłem, że młodszy brat Czesi, Janusz, ma anormalny paznokieć na palcu wskazującym prawej ręki, przedłużający się w szpon, niczym u mitycznych ptaków stymfalijskich, z którymi walczył Herakles, zaproponowałem rodzicom, aby się zgodzili na wykarczowanie tego pazura.

— O rany, czego to ludzie nie wymyślą — westchnął *Walczyk*.

— Nie bójcie się, chłopak wszystko przetrzyma, operacja będzie wykonana w narkozie.

— Dobrze, ale ile to może kosztować?

— Nic.

— E, za nic nikt nie podejmie się takiej roboty.

— Podejmie się, znajdę takiego chirurga, który się podejmie. Ja pomagam panu, pan mnie, wszyscy Polacy powinni sobie pomagać wzajemnie podczas tej straszliwej wojny.

No i nie zawiodłem się. Pierwszym chirurgiem, do którego się zwróciłem, był dr *Kania*. Dokonał on operacji paznokcia w szpitalu oo. misjonarzy przy ul. św. Filipa, ale po dwóch dniach trzeba było zabrać młodocianego pacjenta do domu, bo w lecznicy brakowało miejsca. Wziąłem więc osłabionego chłopaka z obandażowaną ręką na plecy i jak Cyganka dźwigałem ten żywy tobół od Kleparza przez ul. Warszawską, Montelupich itd. Utrudziłem się solidnie, człapałem już powoli, gdy wtem nad Młynówką w odległości jednego metra przed sobą ujrzałem niezwykłe zjawisko.

Przystanąłem, wydawało mi się, że śnię. Na pniu dorodnego jawora, w miejscu odrapanym z kory przez auto ciężarowe siedziało kilkanaście czarnych motyli, zwanych w entomologii rusałkami żałobnikami, oraz kilka rusałek wierzbowców. Nie reagowały wcale na naszą bliską obecność, tylko od czasu do czasu wachlowały się pięknymi skrzydłami. Januszek chwycił jednego żałobnika, a gdy ten zatrzepotał mu w palcach, puścił go. Wtedy, dziw nad dziwy, motyl nie odleciał spłoszony, ale wrócił spokojnie do swojej gromady.

Widokiem tym byłem wprost urzeczony. Kto ujarzmił instynkt samozachowawczy tych motyli? Jak zwoływały się tutaj na wspólną biesiadę? Skąd wyczuwały, że nieubłaganym wyrokiem przyrody wszystkie zostały skazane na bliską śmierć? Może już tej nocy ostry przymrozek położy kres ich życiu. Napawają się więc ciepłem ostatnich promieni jesiennego słońca i piją, piją na umór nektar soków, które z gałęzi, konarów i pnia uciekają w podziemię. Byłem świadom, że przed moimi oczyma

[4] H. *Biegeleisen*: Lecznictwo ludu polskiego. Kraków 1929, s. 189.

ziściła się cząstka tajemniczego misterium mitu o Persefonie.

Od tego czasu, ilekroć przechodziłem obok tego drzewa rosnącego nad Młynówką, płynącą wzdłuż ulicy Długiej w Rakowicach Nowych, przypominało mi się owo głębokie przeżycie tajemniczego i symbolicznego momentu, który mnie krzepił swym pięknem na jawie, a nawet i we śnie. Czyżby żałobniki, posłańcy śmierci, mogły krzepić kogokolwiek? Ależ tak. Ma rację słynny amerykański lekarz H. *Selye,* który w końcowych wnioskach filozoficznych swej książki pt. „Stress życia" w rozdziale „Radowanie się cudami życia" pisze: „Zdolność do kontemplacji połączonej ze zrozumieniem harmonijnej wytworności dzieł przyrody daje największe zadowolenie", a nieraz ta właśnie zdolność odnajdywania drogi do prawdziwej radości koi rozterki psychiczne. Jest to „ten cudowny dar, który ludzie posiadali kiedyś jako dzieci" [5].

To przypadkowo odkryte zjawisko przyrodnicze zachwyciło mnie swym pięknem, potem swą tajemniczością, a wreszcie symbolicznością. Wiadomo, że podczas okupacji wykładnia symboli krzewiła się bujnie na lada jakiej pożywce. Nie wstydzę się przyznać, że początkowo treść symboliczna wyprowadzana z czarnego koloru żałobników była dla mnie złowróżbna, nasuwała najgorsze przeczucia, ale rychło instynkt samozachowawczy kazał mi ją wypchnąć poza barierę mojej świadomości i zastąpić treścią krzepiącą: Niech piją, chwile ich ostatnie, bo wyrok już zapadł i na tych czarnych z *SS* i na brązowych z *NSDAP.*

Chciałem się wyzwolić z psychiki człowieka uciekającego przed tropicielami, przywdziać inny *habitus* psychiczny, ale to nie było łatwe. Zbyt nagle zostałem wyrzucony poza nawias ludzi łudzących się, że posiadają prawo do życia i zbyt przekonywające miałem dowody na to, że ciągnąca za mną obława jeszcze się nie rozeszła. Jeszcze w pół roku po mojej ucieczce przypominały mi się w snach hitlerowskie psy gończe.

Wracałem w słotny, jesienny wieczór do swej meliny w Rakowicach Nowych, gdy na bezludnej wówczas drodze wiodącej do lotniska spotkałem córkę, z którą nie widziałem się od kilku miesięcy.

— Haniu, co tu robisz? — wyszeptałem. Przytuliła się do mnie z radości.

— Tatusiu — mówiła jednym tchem — uciekam przed gestapowcami. Przyszli do internatu, spotkali mnie na korytarzu i pytają, czy jest Anna *Seweryn.* Jest — odpowiadam. Ale zdradzili się, że są Niemcami, bo wymawiali „Zeferin". — Czy moglibyśmy się z nią zobaczyć? — Owszem. Wprowadziłam ich do sali rekreacyjnej, wskazałam na jedną z koleżanek stojącą koło okna i obróciwszy się na pięcie, uciekłam z internatu, biegłam wprost przed siebie, jak najdalej od miasta.

Zadumałem się, bo dla mnie w tym momencie najważniejsza była sprawa wyszukania dla córki noclegu. Ale pani *Walczykowa* rozwiązała ten problem we własnym zakresie. Potem już sam wyszukałem dla Hani stałe mieszkanie w suterenie willi zaprzyjaźnionego ze mną dra Wiktora *Medweckiego,* znajdującej się na Olszy, przy uliczce Olszyny 5.

Tam urządziłem „kancelarię" Cywilnego Sądu Specjalnego i Komisji Sądzących, Hance zaś powierzyłem funkcje mojej łączniczki i kancelistki tych podziemnych sądów. Przyniosłem jej ćwiartkę chleba, pudełko sacharyny, maszynę do pisania, papier, kalki, a nadto konspiracyjny taboret, wynaleziony przez Stanisława *Piwowarczyka,* stolarza, pracującego przed wojną w Polskim Radio. Na tym sprzęcie można było siedzieć, a po podniesieniu wieka odkrywało się schowek na szczotki i inne przybory do czyszczenia butów. Główną tajemnicą konstrukcji tego taboretu było podwójne dno z dykty, które można było podnieść naciskając pewne miejsce palcami w skos [6].

W taborecie przechowywało się tajne akta urzędowe, ale można było tam też umieścić cztery rewolwery, jeśli odległość między dwoma dnami wynosiła 4 cm.

O tej melinie Hanki wiedziało tylko dwóch łączników: Alfred *Zaręba* i Maksymilian *Skowron.* Obaj mieli ciężkie życie. Alfred już na początku okupacji musiał się ukrywać. Ojciec jego został przez gestapo aresztowany i rozstrzelany w Oświęcimiu. Po aresztowaniu ojca ukrywał się długo; potem zamieszkał razem ze mną w Rakowicach, przygarnięty przez brata pani *Walczykowej,* Maksymiliana *Skowrona,* który odstąpił mu pół łóżka. Żyjąc w niezmiernie trudnych warunkach, Alfred studiował na tajnym UJ, a nadto pełnił funkcję łącznika w Kierownictwie Walki Cywilnej.

Nie chcę pisać o tym, jak Fredek, schwytany na Plantach przez Ukraińców, doprowadzony został na ulicę Szlak do komendy *kripo,* którą nazywano „pokojem przechodnim do gestapo", ale został wywiedziony stąd przez naszą wtyczkę w *kripo,* Stefana *Małeckiego;* [7] nie chcę też pisać o tym, jak Fredek do zdawania kolokwiów bywał doprowadzany, jak przestępca, w kajdankach policyjnych; wspomnę jednak o jego drobnej na pozór przygodzie. Spieszył się raz z malowaniem na murach napisów PW, co dla wszystkich Polaków oznaczało: „Polska walczy". Malowanie zaczął za widoku, aby jeszcze przed godziną policyjną odrobić swoją „szychtę". Skręcił właśnie z ulicy Lubicz na Planty i szedł ku ulicy Basztowej, w jednej ręce niosąc wiaderko z wapnem, a pędzel w ceratowym woreczku w drugiej, gdy z tyłu zaczęła iść za nim grupa chłopaków odzianych po tyrolsku.

— Niebezpieczne towarzystwo — pomyślał. W *Hitlerjugend* kształci się wywiadowców. W szkole i na zebraniach wkładają im jak łopatą do głowy: jesteście w kraju wroga, miejcie oczy i uszy na wszystko otwarte. Współdziałajcie wszędzie i zawsze z władzami niemieckimi.

Przyśpieszył więc kroku, ale Niemcy żwawo za nim. Usłyszał za sobą pytanie ich prowodyra:

— *Wer ist das?*

— *Das ist der Maler!* — odpowiedzieli mu chórem koledzy.

— *Was macht er?*

— *Er malt!*

— *Was macht er noch heute abends?*

Chwila ciszy, a potem tenże dowcipniś zawołał:

— *Er macht Propaganda!*

Tego rodzaju zakończenie dialogu, *à la Ollendorf,* nagrodzili koledzy oklaskami i głośnym śmiechem, a Fredek, oprzytomniawszy ze strachu, śmiał się z nich w duchu i pomykał nadal ku ulicy Basztowej.

Czym sobie wytłumaczyć takie zachowanie się tych chłopców? Chyba tym, że mieli już dość szpiclowskiej roli, jaką narzucili im wychowawcy i zapragnęli zabawić się swobodnie. To jest przywilej młodzieży pod każdą długością i szerokością geograficzną. Zazwyczaj jednak bywało inaczej.

---

[5] H. *Seyle:* Stress życia. Warszawa 1960, s. 382, 383.

[6] Jeden egzemplarz tego konspiracyjnego sprzętu podarowałem Muzeum Historycznemu w Krakowie. Tam można się zapoznać ze sposobem otwierania skrytki w tym taborecie jedynie za pomocą manipulowania palcami. Sama zaś tajemnica techniczna tego wynalazku *Piwowarczyka* nie da się łatwo opisać w sposób zrozumiały.

[7] Pisał o tym A. *Zaręba*: Konspiracyjne studia filozoficzne. W: *Alma Mater* w podziemiu. Kraków 1964.

Od ulicy Grodzkiej maszerowała długa kolumna *Hitlerjugend*, „hajlując" *heili — heila* tak samo, jak ponura zgraja esesmanów. Wtem oderwała się z kolumny grupa chłopców, którzy dopadli jakiegoś polskiego harcerza stojącego na trotuarze i zaczęli go bić, nie pięściami po plecach, nie dłońmi po twarzy, lecz kułakami rąbiąc w nos, jak siekierą, z góry na dół. Harcerz momentalnie zalał się krwią, krzyknął: ratunku!, a potem jak skopane zwierzę skowyczał tylko, bo krew i łzy zamuliły mu usta. Działo się to przy kościele Mariackim, koło miejsca, gdzie dziś znajduje się księgarnia wydawnictw medycznych. A przyczyna? Podobno nasz harcerz, coś wesołego opowiadając swym kolegom, palcem wskazał na maszerujących. Ale nie w tym rzecz. Widziałem wówczas, jak niektórzy chłopcy wybiegali z kolumny i krwią harcerza pomazawszy sobie ręce, pośpiesznie wracali do szeregu. Do czego było im to potrzebne? Chyba na to, aby zaimponować swojej *Mütterchen*, że już dorośli i potrafią przelewać krew — cudzą, krew bezbronnych.

Kto uczył ich tej mistyki krwi? Zapewne ci sami barbarzyńcy, którzy *Hitlerjugend* wyprowadzali do lasu lub na rozstaje dróg i tam uczyli ją strzelania z rewolwerów do drewnianych rzeźb wyjętych z przydrożnych kapliczek. Kto by temu nie dowierzał i uważał to za fikcję literacką o posmaku mistyfikowanego baroku, mającego upodobania do makabry, może obejrzeć w Muzeum Etnograficznym w Krakowie figurkę Chrystusa Frasobliwego z Zalasa w powiecie chrzanowskim (nr inw. 25071), podarowaną mi przez Bolesława *Słupeckiego* z Krakowa. Chrystus przeszyty sześcioma kulami spadł z nadrzewnej kapliczki do błotnistego rowu, a młodociani strzelcy w dobrych humorach odjechali dalej autem, śpiewając: *heili — heila* (ryc. 1).

Drugi obok Fredka łącznik, Maksymilian *Skowron*, z zawodu krawiec, nie chciał jechać na roboty do Niemiec, przyjął więc pracę w *Wehrmachtverpflichtete Werkstatt*, austriackiego przedsiębiorstwa krawieckiego w Podgórzu, u Juliana *Madritscha*. Maksek, idąc do pracy, zabierał z sobą pustą walizkę oraz tajną korespondencję, którą po drodze zostawiał u krawca, Józka *Klisia*, przy ulicy Grodzkiej 6, a wracał z walizką napełnioną węglem, systematycznie zabieranym z piwnicy *Madritscha* albo z pralni niemieckiej przy ulicy Dąbrowskiego 11, której pilnował szwagier Makska, *Hanslik*. Jako syn chłopski spod Andrychowa myślał kategoriami gospodarskimi, przeto już w lecie przygotowywał opał na zimę.

Ryc. 1. Figurka Chrystusa Frasobliwego, do której strzelali dla wprawy młodzi Niemcy z *Hitlerjugend*

Chcąc zbadać świadomość etyczną Makska, a w szczególności dowiedzieć się, jakie normy moralne kierowały jego postępowaniem, zapytałem go:

— Jak długo jeszcze będziesz kradł ten węgiel?

— Kradł? — obruszył się. — Przecież to nasz węgiel. Niemcy go od nas nie kupili, ale zagrabili nam, a ja im odbieram naszą własność. Czy to byłoby zgodne ze sprawiedliwością, żeby wujek[8] marzł, a te złodzieje i rabusie mieli ciepło?

Taka była ludowa etyka polskiego sabotażu. Zgodnie z tą zasadą Maksek dzień za dniem dźwigał kupkę węgla aż do Rakowic. Aż litość brała patrzyć na jego zmęczoną i spoconą twarz, gdy rzuciwszy węgiel do paki, padał na łóżko i nie zdejmując obficie zapoconej kurtki, twardo zasypiał. Ten sposób bycia sprowadził nań chorobę. Przeziębił się, a lekarz zakładowy stwierdził zapalenie płuc. Przez trzy dni Maksio leżał w gorączce 40°, oczy gorzały mu i błyszczały chorobliwie, pocił się, trawiło go nieustanne pragnienie, wyglądał jak trupek, ale siódmego dnia zerwał się, mówiąc, że wedle polecenia lekarza zakładowego ma się stawić do pracy. Nogi mu drżały, ledwie stał.

— Co wujek będzie nosił codziennie te papiery? Od czegom ja?

— Z taką białą twarzą nie pójdziesz.

— Wujku, wezmę. I tak muszę odpocząć u Józka *Klisia* na Grodzkiej.

— Upierasz się, to bierz — podałem mu plik papierów, zaznaczając, że dzisiaj poczta jest osobliwie ważna.

Maksek wyprasował świstki dłonią i włożył za skarpetkę. Idziemy noga za nogą do przystanku tramwajowego, już zbliżamy się do muru cmentarza Rakowickiego, a tu jakiś „schupowiec" wchodzi między nas, mnie każe iść dalej, a Makska zabiera z sobą i włącza do gromady mężczyzn stojących na ustroniu pod strażą policji z karabinami gotowymi do strzału. Orientuję się, że to łapanka do robót w *Reichu*. Dlatego mnie, starszego, puścili, a Maksia zabrali.

Idę do niemieckiego wachmistrza kierującego obławą, powiadam, że to mój kolega, pracujemy w *Wehrmachtverpflichtete Werkstatt*, posiada *ausweis*, proszę więc, aby go puścił, bo obaj musimy przyjść punktualnie do pracy. A ten, ważniak, wrzasnął na mnie, że jeśli natychmiast stąd nie odejdę, każe mnie włączyć do tamtych.

Sytuacja beznadziejna. Odchodzę na bok i widzę, że przymaszerował oddział *Schupo* i wszystkich „odkomenderowanych", a wśród nich i Makska, odprowadza na posterunek policji przy ulicy Prażmowskiego. Jadę natychmiast do miasta i telefonuję do firmy *Madritsch*, zawiadamiając, dlaczego Maksymilian *Skowron* nie może przyjść do pracy. Jednocześnie pozwalam sobie na prośbę, aby firma interweniowała w policji o zwolnienie jej pracownika. Na ulicy Grodzkiej spotykam Olgę *Eberhardt*, myślącą tylko o swym narzeczonym, oficerze WP w Anglii.

— Panno Olgo, Makska zagarnęła łapanka, trzeba go ratować. Ma pani kogo znajomego u *Madritscha*?

— Mam, Marysię *Kurdzielównę*, kancelistkę. Umie po niemiecku, zaraz zatelefonuję.

Niewiele na to liczyłem. Byłem zdruzgotany. Po tak ciężkiej chorobie Maksek nie przetrzyma długiej podróży i warunków pracy przymusowej w Niemczech. A jeśli znajdą przy nim tajne papiery, nie chcę nawet myśleć o katastrofie, która go czeka.

Wracałem do domu przybity smutkiem. Była godzina 16 — jeszcze nigdy tak wczas nie wracałem. Dojechałem tramwajem do rogatki mogilskiej i szedłem wolno ulicą Bema w ponurym nastroju, jak bym wracał z pogrzebu drogiej mi osoby. Postanowiłem

[8] Łącznicy zwracali się do mnie *per* wujek.

konspiracyjne papiery i broń natychmiast przenieść do Hanki, a potem opuścić gościnny schron u *Walczyków* i znowu iść na tułaczkę.

Wtem znienacka przerwała się nić moich zamysłów. Widzę, że ktoś idzie opodal przez kartoflisko i nagle przykuca. Wydawało mi się, że to Maksek. Ale cóżby robił w kartoflisku? No co? Przecież przykucnął. Ale spodni nie ściąga! To coś interesującego. Zaczekam. Za chwilę podnosi się ów ktoś, poprawia spodnie, choć ich wcale nie spuszczał, zawraca i szybkimi krokami idzie wprost na mnie.

— Maksek! — biegnę do niego. — Żyjesz? — i łzami radości zwilżyły mi się oczy. — Aleś nam narobił kłopotu! A co z papierami?

— Wszystko w porządku.

Zboczyliśmy polami ku Wieczystej i usiedli za pagórkiem.

— Jak to się stało, że cię puścili?

— Ciężko było. Spędzili nas, może trzystu chłopa, do kilku sal, a potem coraz to nowe kompanie przyprowadzali. Niektórych ładowali w auta i gdzieś wywozili. Ludzie szeptali, że to na gestapo. Rany boskie, co ja z tymi papierami zrobię? Idę do Niemca i mówię: *Ich gehen Klosett* — i dreptałem nogami. Zrozumiał mnie, ale masz gorliwca! Poszedł ze mną i jeszcze drugiego kumotra sprowadził. Nadymam się, ale nic nie daje się zrobić. Obklęli mnie te policaje, ale pies ich trącał. Wróciłem. O, rany boskie, przecie ja z tymi papierami muszę coś wymyślić. Widzę mojego znajomego, dobrze go znam, kolega. Powiadam mu cicho: Mam trefne papiery, stań no tutaj, zasłoń mnie, a ja wyjmę. A ten szubrawiec, tchórz: Idźże pan — powiada — to ja mam za pana odpowiadać? O, jasna cholera, panem mnie poczęstował! No nic. Wpędzili nas do sali, rewizja. Nie pcham się naprzód, powiadam sobie, jak wujek, dobrze żyć i pięć minut dłużej. Widzę z tyłu schody prowadzące na piętro. Wychodzę na te schody, widzę dobrze, jak rewidują. Okładki z książek zrywali, czapki krajali, podszewki odpruwali, portki spuszczać kazali, o mało tam nie zaglądali, ale butom dawali spokój. Taka wasza metoda? No to ja te papiery właśnie do butów schowam. I od razu szpicem buta przytrzymałem obcas, buta zezułem, a potem drugiego. Usiadłem na schodach. Nikt na mnie nie patrzy, a tu na dole biją kogoś po gębie. No, teraz, teraz! Wyjąłem papiery zza skarpetki i siup do buta. Chcę wzuć, o jejku, nie da się. Nagniotki cholernie pieką, sakramencki ból. Odpocząłem, a potem na nowo! No, było, nie było, wszystko mi jedno, pal fuk, cholera, a niech to szlag! Wolę nagniotki niż Montelupich! Wcisnąłem! Wzułem! Ale zasznurować nie dałem już rady.

Zszedłem ze schodów i pcham się na rewizję. Ledwie stoję na nogach, tylko portki trochę popuściłem, żeby nie było widać nie zasznurowanych butów. Drżę cały ze słabości po chorobie, z boleści od tych nagniotków, no i ze strachu. Rewiduje mnie *Heinrich Kunde*, ten oprych z placu Optima i getta, gestapowiec. Znam go dobrze, bo przychodzi często do *Madritscha* na wódkę. Rewiduje najpierw czapkę, potem marynarkę, w końcu spodnie, a na buty nawet nie patrzy. Pokazuję *ausweis*, a on łaps za słuchawkę i telefonuje do *Madritscha*. Słyszę, że odpowiada mu Marysia *Kurdzielówna*. On się jej o coś pyta, ona mu cosik odpowiada po niemiecku, słyszałem tylko „lungenetcydung" czy coś podobnego. No i ten *Kunde* kazał mnie puścić. Myślałem, że zwariuję z radości.

— Ale dlaczego poszedłeś na kartoflisko?

— Wujku, nie dało się wytrzymać. I papiery w bucie, i nagniotki, to za dużo. Buta nie zdejmę na drodze, papierów przy ludziach nie będę wyjmował, bo nie wiadomo, czy jakiś kapuś nie ma mnie na oku. Pobiegłem w kartoflisko i udaję, że sadzę kupę, a ja tymczasem wyjmowałem papiery z buta.

„Łowy na niewolników" do robót w Rzeszy miały czasem inny charakter, a podyktowane były zasadą „strach ma wielkie oczy". Rzecz w tym, że mężczyzn silnych, a nędznie odzianych, przybyłych do miasta w zabłoconych butach, żandarmskie patrole podejrzewały o przynależność do „partyzantów" lub „bandytów", zatrzymywały i rewidowały, poszukując broni, a nie znalazłszy jej, doprowadzały do *kripo*, skąd Bogu ducha winni ludzie byli włączani do transportu robotników do Niemiec, a bardzo często przekazywani do gestapo, które — jak wiadomo — nie cackało się z aresztowanymi, lecz rozsyłało ich bez przyczyny, ot tak, prewencyjnie, do więzień lub obozu koncentracyjnego, bo *sicher ist sicher* (ryc. 2).

*

Wstrząśnijmy rurą kalejdoskopu, a otrzymamy całkiem inny obraz.

Gdzie indziej podałem już nazwiska zasłużonych działaczy na polu ochrony Żydów[9], tutaj więc nie chcę się powtarzać. Natomiast wspomnę o człowieku odważnym, dobrym, niezwykłym szczęściarzu — ryzykancie, któremu wszystko się udawało, cokolwiek zamierzył. Nie zabiegał później o rozgłos, nie chciał, aby pisano o nim, wystarczyła mu świadomość, że czynił dobrze. Nazwałbym go współczesnym św. Franciszkiem z Asyżu, gdyby nie to, że należał do Komunistycznej Partii Polski. Zwał się Stefan *Sobala*, był robotnikiem fabrycznym, farbiarzem.

Gdy Niemcy sporą część okręgu łódzkiego przyłączyli do Rzeszy, *Sobala* został aresztowany i wywieziony z Pabianic do Krakowa, gdzie oczekiwać miał wezwania na roboty w *Reichu*. W Krakowie poznał niejakiego *Feigelbauma*, który mu się zwierzył, że Niemcy wywieźli do getta w Dębicy dwie jego małoletnie córki. Zrozpaczony ojciec prosił *Sobalę*, aby pojechał do Dębicy i wykradł te dzieci. Była to prośba tyleż naiwna, co szalona, Ale *Sobala* zgodził się. Wyjechał do Dębicy, nałożył opaskę żydowską na ramię, wyszukał 12-letnią Lidkę *Feigelbaum*, nocą wyprowadził ją z getta i przywiózł do Krakowa. Wprawdzie w pociągu jakiś kontroler niemiecki upierał się, że *Sobala* wiezie dziecko żydowskie, ale on pokazując metrykę swojej córki, dotąd

Ryc. 2. Rewizja podejrzanych o przynależność do partyzantki

[9] Zob. T. *Seweryn*: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 162—183.

zapalczywie dowodził, że ten dokument chrztu odnosi się do dziewczęcia, które z nim jechało, aż mu uwierzono.

Potem pojechał po jej siostrę Helenę i przywiózł ją szczęśliwie. Ale *Feigelbaum* nie przestał prosić *Sobali* i błagać, żeby jeszcze przywiózł z Dębicy ciotkę tych dziewcząt, Ryfkę *Issler*, ukrywającą się w ruinie rozburzonej kaflarni. *Sobala* dał się ubłagać i przywiózł tę ciotkę, a potem jeszcze jej siostrę, Esterę *Issler*. I tak dalej. Aż dziw bierze, że mu się te wyprawy szczęśliwie udawały.

Ale godną czci jest również pani Stanisława *Sobalowa*, która aż do końca wojny żywiła te sieroty. Piszę, że były to sieroty, bo ojciec *Feigelbaum* zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau, a matka została zapędzona do komory gazowej w Bełżcu. Natomiast dzięki opiece Stanisławy i Stefana *Sobalów* przeżyły ich dzieci [10]. Warto ten fakt przechować w pamięci. W ciasnym pokoju przy ulicy św. Krzyża 1, a więc w śródmieściu Krakowa, mieszkała biedna polska rodzina wysiedlonych i dzieliła się nędzną strawą z sierotami żydowskimi — i to prawie przez trzy lata. Gdyby ten schron wykryli hitlerowcy, łatwo sobie wyobrazić, co by się stało z bohaterską rodziną *Sobalów* i jej podopiecznymi sierotami.

Wyjeżdzając w teren w sprawach organizacyjnych, poruszałem w rozmowach z miejscowymi działaczami zagadnienie opieki nad Żydami. W Majkowicach w powiecie bocheńskim na przykład opowiadał mi Władysław *Ryncarz*, powiatowy komendant BCh, lewicowy działacz ludowy, były więzień Berezy, że pomógł jednej rodzinie żydowskiej. 19-letni Izaak *Fisz* z Borku Szlacheckiego prosił go o ulokowanie we wsi młodej, wykształconej Żydówki z małym dzieckiem. *Ryncarz* umieścił ją w domu wdowy *Warzelowej*. Niedługo potem podopieczna wyprosiła zezwolenie na zamieszkanie z nią jej męża, działacza robotniczego. Później przybyła do nich jeszcze Hela z Dąbrówki. Razem było ich czworo [11].

*

Podczas podróży koleją wszędzie — w którymkolwiek jechało się kierunku — przerażała liczba pasażerów, którzy przez całą drogę drżeli o los zakupionych drogo artykułów żywnościowych. Z masy tej wyróżniała się grupa szmuglerów, którzy jeśli jechali w swojej paczce, w głos obklinali Niemców:

— Psia ich mać! Im wolno handlować popiołem ze spalonych nieboszczyków, a tobie nie wolno wieźć masła, bo ci odbiorą i sami zeżrą! Im wolno sprzedawać *Judenseife*, mydło z tłuszczu wytopionego z pomordowanych Żydów, a mnie nie wolno sprzedać ani koguta, ani jajek? Organizacja [12] mówi, że wolno, gazetki piszą, że wolno, a więc wolno!

Wróciwszy do Krakowa po jednej z podróży, wyszukałem w „Biuletynie Informacyjnym" takie zdanie: „Na każdym stanowisku, we wszystkich instytucjach niemieckich, Polak obowiązany jest wyciągnąć ze swoich możliwości służbowych jak najwięcej korzyści dla sprawy polskiej" [13]. Jak widać, tę ogólnikową instrukcję zrozumiało wielu rodaków bardziej konkretnie, a mianowicie: jeżeli buduje się wielki gmach potęgi Niemiec, cóż to szkodzi, jeśli przy tej okazji postawię sobie domek przynajmniej jednopiętrowy?

Niektórzy istotnie ciułali już pieniądze na ten domek, kombinując i handlując na wszystkie sposoby. Jedni z narażeniem życia ocierali się o więzienie lub ryzykując konfiskatę mienia, jeździli na stopniach wagonów kolejowych, nieustannie czujni, chytrze omijając straże, dźwigali toboły żywności. Kazali sobie za to drogo płacić. Płacił, kto miał. Prawdę mówiąc, dzięki tym odważnym i cwaniackim przekupniom wiele słabszych jednostek przetrwało głodowe czasy tej wojny.

Ale byli i tacy, którzy nieustannie dokonywali tychże cudów bohaterstwa, aby tylko wyżywić siebie i rodzinę. Szmugiel był dla nich ostatnią deską ratunku. Zaryzykuję twierdzenie, że szmugiel pierwszy, w skali ogólnopolskiej, ruszył ofensywę przeciw okupantowi. Toteż w całej Polsce popularny był żart: Jakie są największe potęgi na świecie? Marynarka angielska, piechota rosyjska, gestapo niemieckie, dolar amerykański i szmugiel polski.

Szmuglerzy polscy wędrowali z workami na plecach po błotach i śniegach dziesiątki kilometrów, tropieni przez nienasyconą, żarłoczną policję, a wymykali się zastawionym na nich pułapkom po dworcach i na mostach. Kto był za mało czujny, kto „nie miał oczu z przodu i z tyłu" lub był za słaby do ucieczki — narażał się na zabór mienia, na więzienie, a nawet na śmierć, jeśli szmuglował wieprzowinę.

Co kilka dni, wczesnym rankiem, słychać było odgłosy strzałów dolatujące od glinika, tj. wyrobiska, w południowo-zachodniej stronie wzgórza bł. Bronisławy, a przed kopcem Kościuszki. To właśnie tam, w Przegorzałach, przed tzw. skarpą śmierci, rozstrzeliwano tych, którzy wbrew zarządzeniom okupanta odważyli się wieźć do miasta mięso z tajnego uboju.

Ale w czasie okupacji były jeszcze inne, poważniejsze powody wzrostu stanów psychonerwicowych u ludności polskiej. Na rozkaz *stadthauptmanna* Krakowa, *Krämera*, ekipy *sonderkommanda* napadały śpiących obywateli, kwestionowały autentyczność ich dowodów osobistych i wywoziły masowo „ochotników" do obozu rozdzielczego przy ulicy Wąskiej. *Krämer* terroryzował ludność nakazami, że Kraków ma dostarczyć 5 000 robotników do pracy w Rzeszy, Nowy Targ 2 700, Tarnów 1 500, powiat krakowski 8 100, a powiat miechowski 5 800. Zwoływał zebrania, na których zgrywał się, demonstrując ludzi skutych i po-

---

[10] Dowiedziałem się, że Helena *Feigelbaum* jest dziś lekarzem w USA. Wyszła za mąż, nazywa się Hela *Constantini*, mieszka w Cincinnati. Ryfka *Issler*, dziś Rena *Szwarc*, jest lekarzem w Nowym Jorku. Lidka *Feigelbaum* i Estera *Issler* mieszkają w Tel-Avivie. Na podstawie ich zeznań izraelski instytut pamięci męczenników i bohaterów (*Yad Waszem*) postawił wniosek o przyznanie Stefanowi i Stanisławie *Sobalom* medali z napisem: „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat" oraz zaproszenie do posadzenia drzewka w „alei sprawiedliwych między narodami świata".

[11] Po wyzwoleniu spotkałem *Ryncarza* w Krakowie. Opowiadał, że jego podopieczni przeżyli. Przez dwie ciężkie zimy, aż do wyzwolenia, cała ta czwórka ukrywała się we wsi. Wszyscy wiedzieli o nich, ale nikt nie zdradził. Wiedziano, że nad nimi sprawuje opiekę BCh. Dziś mała Irenka jest już dorosłą osobą i nazywa się *Janicka*.

[12] Wszelką konspirację określano mianem „organizacja".

[13] Biuletyn Informacyjny Małopolski z 21. V. 1942 r.

krwawionych, wydzierając się: Patrzcie, to was czeka w Libanie [14], jeśli nie dacie robotnika!

Jego pomysłem było też obwożenie po fabrykach żołnierzy, rzekomo zbiegłych z dywizji Tadeusza Kościuszki, którzy podejrzaną polszczyzną wygłaszali odczyty o tym, jak to dobrze jest tu, a jak źle tam, tj. w Związku Radzieckim. Spędzeni słuchacze śmiali się w duchu z tej niezręcznej i gruboskórnej propagandy, obmyślonej przez *Krämera*, naiwnego komedianta i satrapę zdeprawowanego i ogłupionego przez władzę. Potem pan *Krämer* wpadł na pomysł, jak mu się wydawało, genialny: wydał rozkaz, wedle którego każde gospodarstwo domowe miało dostarczyć jednego robotnika na wyjazd do Rzeszy. Biedni zbojkotowali jego *Bekanntmachung*, ale bogatsi kupowali sobie niewolników, którzy pobrawszy pieniądze za zastępstwo, uciekali z transportu i znowu, jako wypraktykowani w tym zawodzie, sprzedawali się powtórnie.

Na krämerowską machinę ucisku zareagowałem drukowaną odezwą, którą 1 czerwca 1941 roku rozrzuciliśmy po mieście: „Wytrwajcie w oporze! Pomysł *Krämera* załamuje się na całej linii. Przedsiębiorcy krakowscy nie chcą być niemieckimi pachołkami, a pracownicy nie chcą jechać do Rzeszy [...]. Niech bezład w życiu gospodarczym Niemiec i bałagan tworzony przez tępą administrację okupanta rozlewa się wszerz, jak wody z przerwanych tam w Zagłębiu Ruhry! Szerzenie tego bezładu — to jedno z naszych narzędzi walki".

W tym czasie powstało nowe zjawisko społeczne, które zapowiadało się groźnie. Oto wałęsająca się nieletnia młodzież obsiadała ławki na Plantach wokół kolistych boisk do zabaw dzieci i uprawiała karciarstwo. Przepędzana z jednego boiska, z uporem przenosiła się na inne. Ale Niemcy nigdzie jej nie przeszkadzali, a co więcej, patrzyli życzliwym okiem na tę publiczną zabawę zdemoralizowanych chłopaków, słusznie rozumiejąc, że karciarstwo odciąga ludzi od spiskowania. Trzeba więc było utworzyć oddział specjalny, który systematycznie obchodząc Planty likwidował placówki karciarskie. Ale podczas rozpędzania „kartografów" i ich kibiców w „kółku" u wylotu ulicy Smoleńsk koło egzotycznych platanów grupka początkujących szulerów stanęła oko-niem: Co nam pan plecie ćmaje baje, że nie wolno? Przecież w Warszawie Niemcy otwarli kasyno gry dla Polaków — a więc tam wolno grać, a w Krakowie nie?

Tego chyba nie wiedział ów mądrala, że kasyno gry przy Alei Szucha było haniebnym przedsiębiorstwem niemieckim, które 40% dochodów przeznaczało na uzbrojenie armii niemieckiej. W czasie okupacji ogół społeczeństwa polskiego surowo potępiał bywalców tego kasyna (wołano: tu Oświęcim, a tu kasyno — ohyda!), ale niestety, znalazła się garść nałogowych karciarzy, którzy — jak się okazało — nie byli zdolni zerwać ze swym przyzwyczajeniem. Przeciwko nim wydało podziemie warszawskie specjalną ulotkę, w której znawca tego problemu tak scharakteryzował skarlenie moralne tych ludzi, niegodnych imienia Polaków: „Hazard rozkłada wolę, zaślepia umysł, zajmuje wyłącznie myśli, demoralizuje, budzi obojętność na wszystko, co nie jest grą, hoduje żądzę pieniędzy tak silną, że nawet występek zdaje się do zdobycia ich dogodną drogą. Ileż korzyści dla wroga za jednym pociągnięciem!"

W miasteczkach zaś i wsiach wybiło się na czoło zagadnienie wzmożonego pijaństwa. Przez wieś płynęła rzeka alkoholu, a hitlerowcy nie próbowali zatamować jej groźnie wzbierającego nurtu. W przemówieniach uroczystościowych i w artykułach przybierali pozę herolda głoszącego ideę dobra, ale w praktyce dawali taryfę ulgową kryminalistom wszelkiej maści i przymykali oczy na ich przestępstwa — cóż dopiero mówić o pijaństwie? Wszakże za wódkę najłatwiej było kupić konfidentów.

Poza tym wódka była, jak wiadomo, uważana za panaceum na wszelkie choroby i dolegliwości, a także towarzyszyła wszelkim okazjom. Bimbrem zabezpieczano się przed tyfusem i zapaleniem płuc, bimbrem święcono urodziny, wesela i pogrzeby, bimbrem dodawano sobie ducha przed akcją dywersyjną, bimber piły nawet dzieci. Widziałem w Pobiedrze pod Brzeźnicą 4-letnią dziewczynkę, która bardzo imponowała starszym, że bez skrzywienia ust żłopała „bimberek", częstowana przez rodziców. Nikt nie przerażał się jej otępiałym wyrazem oczu, nerwowym drganiem mięśni jej twarzy oraz brakiem pamięci, co z pewnością świadczyło o uszkodzeniu komórek mózgowych. Przy bimbrze wreszcie bratali się sta-

[14] „Liban", centralny obóz karny dla Służby Budowlanej w GG, został utworzony na rozkaz gubernatora krakowskiego, *brigadenführera SS* dra Ottona *Wächtera*. Obóz mieścił się przy ul. Za Torem 22, na obszarze zajmowanym przez „Wapienniki i Kamieniołomy Liban i Ehrenpreis SA w Krakowie". Ogrodzony był siecią drucianą z przewodami prądu o wysokim napięciu. Więźniowie w Libanie otrzymywali na obiad zupę z nadgniłych jarzyn i jedną kromkę chleba. Sypiali w szopach na pryczach ze zgniłą słomą z pluskwami, wszami i pchłami. Zniszczone spodnie zastępowano fartuchami z worków papierowych. Gdy odzież przeobraziła się w łachman, więźniowie otrzymywali zdarte ubrania po pomordowanych Żydach w getcie. Silniejszych przeznaczano do łamania skał, a słabszych do tłuczenia kamieni, przy czym skuwano zwykle po dwóch więźniów łańcuchami. Więźniom schwytanym podczas ucieczki z tej kaźni dawano łańcuch o wadze 20—30 kilogramów albo obciążano ich kłodami. W obozie panowały biegunki, ropowice ran, choroby płuc, przeziębienia pęcherza. Bito pałkami gumowymi lub kijami. Ludzie pracowali w dzień w gęstych tumanach kurzu wapiennego, a w nocy — leżąc zimą i latem bez przykrycia, zbici w kupisko — budzili się wzajemnie krztuszącym, astmatycznym kaszlem. Taki to obóz, nazwany cynicznie przez generalnego gubernatora *Franka* „obozem wychowawczym", miał przygotowywać karnych robotników, gotowych oddać krew i pot dla dobra *herrenvolku*. Do tej roli zaprawiano młodzież posługując się takimi środkami, jak głód, kajdany, pałka gumowa i dziesiątkowanie. A *Frank* w przemówieniu 7 marca 1944 w Berlinie przedstawił działalność Służby Budowlanej w Polsce jako jeden z kulturalno-wychowawczych przejawów misji III Rzeszy na Wschodzie. W tym samym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" dr J. *Mruk* opisuje obóz „Liban" z punktu widzenia lekarza.

rzy z młokosami, którzy z pełnymi szklankami bimbru w dłoni śpiewali swój hymn pijacki:

My młodzi, my młodzi,
Nam bimber nie zaszkodzi,
Więc pijmy go szklankami
Wy z nami, my z wami.

Taki był wzorzec obyczajowy rozpijaczonej młodzieży w dobie okupacji. Wedle tego hymnu więź międzypokoleniowa miała wyrastać z kieliszków samogonu. Tam zaś, gdzie bawiła się młodzież pamiętająca przedwojenne hulanki i popijawy studenckie, wydzierano się:

Pij, pij, pij, bracie, pij,
Pij, luby, póki jest czas,
Pij, pij i z życia drwij,
Trza życia rozkosz brać raz.
Troski, smutki — to furda, to bluff,
Pij, póki w żyłach wrze krew!

Tak to mamine synki przepijające tatusiowe pieniądze śpiewali przed wojną, a tę alkoholową ewangelię, zaprawioną nihilizmem moralnym, powtarzali, wyjąc nieprzytomnie podczas srożącego się w Polsce terroru: Troski, smutki — to furda, to bluff. Zachowały mi się strzępy raportów z tego odcinka walki z wiejskimi rozpijalniami, przemysłem bimbrowniczym i „zbrataniem pokoleń". W jednej tylko gminie Koszyce rozbito w jednym roku aż 350 bimrowni. Pomijam już, ile tysięcy litrów zacieru wylano przy tej sposobności, ile nałożono grzywien właścicielom tajnych gorzelni, ilu recydywistów wykąpano w beczkach z zacierem, ilu pijaków wychłostano rzemieniem itp. W sierpniu 1943 roku rozbito w Bocheńskiem 17 bimbrowni w Rozdzielu, 11 w Żegocinie, 4 w Bytomsku itd. W powiecie sądeckim oddział partyzancki Sępa (Kazimierza *Wątróbskiego*) zlikwidował w czasie od 1 maja do 3 lipca 1943 roku 19 tajnych gorzelni.

Wytwórcy bimbru chętnie stroili się w piórka patriotów, że niby sabotują monopol okupanta. Gdy zaś oddział dywersyjny przystępował do niszczenia bimbrowni, „patrioci" bronili się innymi argumentami, że robi się im krzywdę, że mają żony i dzieci, które muszą wyżywić. Trzeba było im wyjaśniać, że do wyrobu wódki zużywa się artykuły żywnościowe, których przecież bardzo nam brakowało w kraju wygłodzonym przez okupanta.

Ale te argumenty, w zasadzie słuszne, były dla fabrykantów bimbru drętwą mową, bo dyscyplina myślenia pod dyktandem dobra społecznego nic nie obchodziła tych ludzi. Nie zdarzyło się też, aby ktoś perswazją odciągnął pijaka od alkoholu. Nie trafiały mu do przekonania racje natury medycznej ani surowe potępienie ze strony zdrowej części społeczeństwa. Wszystkie środki, jak groch od ściany odbijały się od głów zalanych samogonem. Wtedy padł rozkaz: zmobilizować wszystkie siły do walki z tajnymi gorzelniami, bo kto pędzi bimber, pomaga wrogowi w niszczeniu narodu pijaństwem, upodleniem, zdradą i wsypą. Nikt nie zaprzeczał prawdzie tych słów. Wszakże nieraz dziwili się chłopi, skąd niemieccy żandarmi wiedzieli, kto zabił niegalnie świnię. Przyjeżdżali, chłopa aresztowali, a mięso kazali sobie odwieźć do miasta. Zdradził chyba ten, kto pił na rachunek niemieckiego żandarma. Donosicielstwo szło w parze z pijaństwem. Alkohol stawał się podczas wojny poważnym czynnikiem kryminologicznym. W związku z tym zaostrzyła się czujność Polaków względem tych, którzy przy kieliszku lub bombie piwa spotykali się z Niemcami. Ale to była okrężna droga zabezpieczenia się przed złem. Warunki wojny wymagały zastosowania radykalnych argumentów w dialogu prowadzonym przez polskie podziemie z producentami i konsumentami samogonu.

Z Brzegów nad Wisłą rozpływały się na okolice strumienie samogonu, aż po Niepołomice, Branice i Mogiłę. Głównym sprawcą tej zarazy był Stefan *Szewczyk*. Próbowano z tym „przemysłowcem" pertraktować po dobremu. Najpierw złożyła mu wizytę trójka polityczna Stronnictwa Ludowego: Stanisław *Sędor* z Wieliczki, Józef *Klima* z Zakrzowa i Jan *Jaworski* z Małej Wsi, ale fabrykant bimbru nic sobie nie robił z ich przestróg. Wtedy postanowiono przemówić mu do rozumu powrozem, bykowcem i gumą. Franciszek *Gaweł* o łagodnym pseudonimie „Kotek", przedwojenny wiciarz, a podczas wojny komendant oddziału specjalnego gminy Pleszów, otrzymał rozkaz zdemolowania bimbrowni w Brzegach, zniszczenia magazynu tej trucizny oraz wymierzenia dotkliwej chłosty właścicielowi rozpijalni i jej bywalcom.

Oddział chłopaków, pochodzących tym razem z Grabia, Łuczanowic i Krzeszowic, miał już wprawę w tego rodzaju akcjach. Pierwszy wpadł do tej meliny „Kotek" i krzyknął:

— Powstań! Ręce do góry!

Sterroryzowani pijacy posłuchali, ale gdy rzucił komendę: „padnij!", nie bardzo się kwapili do posłuszeństwa, a nawet z właściwym pijakom uporem stawali okoniem. Dopiero gdy im zagroził, że powrozy będą w robocie, położyli się grzecznie na klepisku. Wtedy chłopaki skonfiskowali aparaturę do pędzenia samogonu, a potem z wściekłą pasją zaczęli tłuc kijami baterie flaszek z bimbrem. Szkło rozpryskiwało się po całej izbie, a klepisko nasiąkło mętnym płynem o ostrej specyficznej woni. Po zdemolowaniu całej izby „Kotek" wygłosił do pijaków kazanie, w którym naubliżał im za to, że w czasie, gdy cały naród cierpi nędzę i walczy z Niemcami, oni tylko wódę chlają. „Ostrzegaliśmy was — mówił — ale to nic nie pomogło. Teraz przemówimy do rozumu kijem. Dostanie każdy po 10 buków, a jeśli się będzie opierał, to dwa razy tyle." Potem każdy z pijaków zdeterminowany kładł się pokornie na ławę, a chłopaki odmierzali mu jego porcję powoli, z aptekarską dokładnością. Tylko sam fabrykant bimbru dostał więcej. A kiedy już wszyscy „wyfasowali" swój przydział, każdy z pijaków na wezwanie „Kotka" złożył ślubowanie, że bimbru pić nie będzie.

Oczywiście nikogo nie obowiązywało ślubowanie wymuszane przez ludzi trzymających w ręce bykowce i kije. Samo zaś ślubowanie wygłaszane pijackim bełkotem i to w izbie nigdy nie wietrzonej, przesiąkłej odorem samogonu, było niewypałem, bo nie miało w sobie ani komizmu satyry, ośmieszającej pijaków, ani też powagi obrzędu.

Brzydziłem się zawsze metodą naprawiania człowieka kijem, ale przyznać muszę, że podczas okupacji była on skuteczniejsza od zakładania bractw wstrzemięźliwości w drugiej połowie XIX wieku we wsiach oraz towarzystw „Eleusis" na początku XX wieku w miastach.

Ale sięgnijmy do innych spraw.

Dotychczas wybieraliśmy karty oscylujące treścią ku sprawom medycznym w szerokim rozumieniu tego terminu. Uważam jednak za konieczne, aby przekroczyć tę granicę. Wszakże w roku 1943 zaszły fakty, które zaczęły zagrażać mojej dotychczasowej niezachwianej woli przetrwania.

Biły w nas raz po raz hiobowe wieści. W dniu 19.II.1943 roku został aresztowany w Warszawie pełnomocnik rządu na kraj, wicepremier profesor Jan *Piekałkiewicz*, członek Stronnictwa Ludowego i uwięziony na gestapo przy Alei Szucha. Kiedy zaś w czerwcu tego roku gestapo przesłało jego zwłoki do zakładu medycyny sądowej przy ul. Oczki, lekarze stwierdzili, że była to już tylko biała czaszka z wybitymi zębami i szkielet obciągnięty skórą ze śladami uderzeń i świeżych ran. Jeszcze nie zdołaliśmy się otrząsnąć z przygnębienia, gdy spadła na nas wieść, że 30.VI.1943 roku został aresztowany w dobrze zakonspirowanym mieszkaniu prywatnym Jan Stefan *Rowecki*, pseudonim „Grot", dowódca scalonych wojskowych sił konspiracyjnych. Nie koniec tych klęsk. Z umieszczonego w piwnicy aparatu radiowego dowiedziałem się, że generał Władysław *Sikorski* zginął 4.VII.1943 roku w katastrofie samolotowej. Tragiczny łańcuch przygniatających faktów.

Zachodziło niebezpieczeństwo, że wieści o tych bolesnych stratach podziałają demobilizująco na społeczeństwo polskie. Uznałem wtedy za stosowne oddziaływać na prasę podziemną, aby nie poruszała tych przykrych tematów. Żadnego biadania, żadnych jęków pogrzebowych ani też manifestacyjnych kirów. Do prasy konspiracyjnej nie powinien się wkraść ton płaczliwy i nieżołnierski. Jedynie śmierć generała *Sikorskiego* uczczono trzydniową żałobą, polegającą na wstrzymaniu się od hucznych wesel, zabaw i tańców. Wieś karnie przystosowała się do tego nakazu.

W lipcu tegoż roku przygnębiająco podziałała też na społeczeństwo krakowskie wiadomość o przywiezieniu do Krakowa pierwszych ofiar pogromów ukraińskich. Wtedy też rozszerzono w Płaszowie *Zwangsarbeiterlager für Polen*, obóz pracy przymusowej dla Polaków, a potem także i Żydów oraz innych narodów, gdy od 1.I.1944 roku przemieniono go na zwykły obóz koncentracyjny według wzorów administracyjnych z Oranienburga, a technicznych z Oświęcimia.

W lipcu roku 1944 społeczeństwo Krakowa było atakowane wieściami o serii krwawych pacyfikacji w okolicach: 1.VII. w Kaszowie, 4.VII. w Liszkach, 21.VII. w Radwanowicach koło Zabierzowa, 28.VII. na Woli Justowskiej itd. Mordów tych dokonywano na żądanie *kreishauptmanna Krakau Land*, starosty dra *Schaara*, krwiożerczego satrapy, który asystował przy pacyfikacjach w Kaszowie, Liszkach i Radwanowicach, lubując się widokiem krwi. Mówiono, że to odwet za zdemolowanie mleczarni w Rybnej, ale pan doktor praw *Schaar* wyjaśnił rzecz autorytatywnie, twierdząc, że „rozstrzelanie kilkuset bandytów wpłynie bardzo pomyślnie na oddawanie kontyngentów przez ludność powiatu krakowskiego", bandytami zaś nazwał nie tylko partyzantów i członków ruchu oporu, ale i chłopów ociągających się z dostawą kontyngentów.

Krwawa pacyfikacja na Woli Justowskiej nie miała jednak żadnego związku z kontyngentami. Hitlerowcy spodziewali się, że zmiażdżą gniazdo konspiracji wojskowej w Krakowie. Prowadzili szczegółową rewizję także w miejscowościach okolicznych, ale nie znaleźli nigdzie ani składu broni, ani siedziby dowództwa wojskowego, ani też drukarń organów prasowych Armii Krajowej. Wykrycie zaś drukarni Tygodnika Polskiego, wydawanego przez Stronnictwo Demokratyczne, nie należące do tzw. „Grubej Czwórki", to sukces zbyt mały dla gestapo. W konspiracyjnych kręgach spodziewano się więc, że wnet policja niemiecka kordonem wielkiej obławy obejmie znienacka inny teren miasta. Wszystkim komórkom konspiracyjnym udzielił się wówczas niepokój. Ludzie przeprowadzali porządki w swoich mieszkaniach, tajne zapiski i gazetki palili, a broń i teki z dokumentami starali się wynieść z domu i oddać komu innemu.

Niektórzy łącznicy znosili mi wszelaką „cholerę i tyfus" do skrzynki Delegatury w pracowni krawieckiej Józka *Klisia* przy ulicy Grodzkiej 6, skąd Maksek zabierał te „trefne" rzeczy i w paczkach lub walizkach przenosił na drugi koniec miasta do naszego wspólnego mieszkania w Rakowicach Nowych. Cóż miał robić, kiedy Józek też nie chciał dłużej przechowywać tych niebezpiecznych materiałów? Kiedy wspomniałem o tym Delegatowi, ten obruszył się:

— Co robicie? Przecież przypuszczać należy, że następne uderzenie policji i żandarmerii niemieckiej spadnie właśnie na Rakowice jako teren sąsiadujący z lotniskiem i dlatego wymagający oczyszczenia z wrogich żywiołów.

Do tych zastrzeżeń zastosowałem się o tyle, że znoszone mi materiały kierowałem na wieś, do schowków wyszukanych przez nieocenionego Stanisława *Jędę* z Piasków Wielkich, znanego pod pseudonimem „Konrad". Wprawdzie byłem zdania, że w tej sytuacji najbezpieczniejszy w Krakowie jest teren niedawno spacyfikowany, a więc Salwator, Wola Justowska, Chełm, Bielany, Olszanica i Zakamycze, ale mieszkańcy na tym obszarze, przerażeni niedawnym bestialskim terrorem, nie byli skłonni do nawiązywania współpracy z konspiracją.

Wszystko to przeżywałem głęboko. A do tego muszę dodać, że mój łącznik Zbyszek *Harlender*, pseudo „Harry", wysłany z dokumentami do Warszawy, wpadł w ręce gestapo i uwięziony został na Pawiaku 13.X.1943 roku. Po nim wpadł, również w drodze do Warszawy, dzielny instruktor sabotażu kolejowego, Wiktor *Cierniak*, pseudo „Wiktor". Przepadł na zawsze. Więziony w kaźni na Montelupich, został rozstrzelany — nie wiemy nawet, kiedy — na Wzgórzach Krzesławickich.

W tym czasie rozstałem się z głównym łącz-

nikiem, Alfredem *Zarębą,* bo jego poważne poddawanie się studiom w podziemnej *Alma Mater* nie dało się pogodzić z obowiązkami konspiracyjnych agend Oporu Społecznego. Ustąpił ze swego posterunku Bronisław *Staruszkiewicz,* niezrównany manipulator kartkami żywnościowymi, któremu wielu ludzi ukrywających się przed gestapo (a wśród nich i moja rodzina) zawdzięczało chleb. Kiedy hitlerowcy po wielu miesiącach wykryli jego sabotaże na szkodę „ładu" w Generalnym Gubernatorstwie, zbiegł do Warszawy. Także w powiatach ubyło wielu dzielnych ludzi. Wiele kontaktów urwało się z powodu zmiany miejsca zamieszkania lub wyjazdu ludzi z nami współpracujących.

Dzień po dniu słyszało się o faktach, którym towarzyszyły paniczne nastroje wywołujące stan nerwicowy ludzi czynnych w konspiracji. Byłem zmęczony analizowaniem domysłów ludzkich, poniekąd słusznych, ale siejących zamęt. To wszystko pochłaniało sporo energii i zmuszało do nagłego działania, które w istocie było raczej beznadziejnym syzyfowym dźwiganiem głazu w Tartarze. Nienawidziłem i bałem się paniki jako żywiołu destrukcyjnego, a w wyobraźni za najgorszą uważałem śmierć przez zadeptanie butami pędzącego na oślep tłumu.

Musiałem często wyjeżdżać w teren albo nieustannie chodzić po mieście, żeby cierpliwie i pracowicie sprawdzać działalność komórek organizacyjnych. Skasowałem obiady w swoim programie życia okupacyjnego i jadałem, jak fornal na dorobku, tylko dwa razy dziennie, rano i wieczór. Zaciskanie pasa stosowałem już od czasu, gdy byłem zmuszony opuścić swą rodzinę. Paliłem natomiast dużo, zawijając sprawnie chłopski tytoń w bibułki „solali". Nadto czułem się bardzo wycieńczony bezsennością, bo przez cały dzień byłem w ruchu, a w nocy dusiłem się od nachalnego astmatycznego kaszlu. Domownicy moi niepokoili się o mnie, przypuszczając, że mam gruźlicę i obawiali się, że ich zarażę. Za radą profesora *Waltera* [15] poszedłem do alergologa, profesora dra Mieczysława *Obtułowicza,* który wysłuchał moich biadań i dał mi ułożony przez siebie kwestionariusz do wypełnienia. Powróciwszy do domu, zagłębiłem się w pytania tej ankiety, a gdy przestudiowałem je do końca, przysiadł się do mnie *Walczyk*:

— Panie *Kozłowski* [16], co panu doktor powiedział?

— Nic mi nie powiedział, tylko dał mi takie pytania, żebym na nie odpowiedział.

— A o co on się pyta?

— O różne rzeczy: na co mój ojciec chorował, jak daleko od naszego mieszkania jest skład węgla, czy nasz pokój wylepiony jest starymi tapetami i tak dalej. Doktor kazał mi przed spaniem oczyścić kawałek szybki, położyć ją na parapecie przy oknie, a rano gęsim piórkiem zgarnąć pył z tej szybki do pudełka, przynieść mu, a on to zbada.

— I to wszystko?

— Wszystko.

Wtedy moi domownicy nieśmiało i z dużym zażenowaniem zaczęli mi radzić, abym może poszedł do innego doktora, który by mnie leczył, a nie dawał takich zadań do pisania, jak dzieciom w szkole. Przekonywałem ich, że doktor *Obtułowicz* nie jest zwykłym doktorem, ale profesorem medycyny, a jego pytania są mądre. Dzięki nim domyśliłem się, że jestem uczulony na jakieś pyły, które wdycham podczas snu. Zdaje mi się, że szkodzą mi pyły wełniane.

— Skąd by u nas takie pyły się wzięły?

— Skąd? Tu w tej izdebce wieczorami i nocą Maksek i Ignaś naprawiają stare ubrania, nicują albo cerują wymyślnym sposobem, przy czym strzępią nitki wełniane i skręcają, aby je przewlec przez ucho igły.

Pani *Walczykowa,* szybko myśląc, zadecydowała:

— Możliwe, że ten profesor ma rację. Przygotuje się panu nocleg na parterze, a przed spaniem napije się pan gorącego mleka ze smalcem i zobaczymy.

I rzeczywiście, po kilku dniach odczułem ulgę w krtani i tchawicy, nawet bez mleka z psim sadłem. Już płuca przestały mi rzęzić jak przedarte miechy. Niemniej dokuczał mi uporczywy kaszel, czułem nadal w szczytach płuc jakieś gniecenie i duszność, pociłem się nadmiernie, a szczególnie nad ranem i podejrzewałem się o gorączkę. Termometrem przyniesionym mi przez żonę mierzyłem temperaturę, a potem, zabrawszy ranną plwocinę, poszedłem do doktora *Biernackiego* na ulicę Basztową 4. Stanąłem przed rentgenem, a kiedy nazajutrz zgłosiłem się po wynik, usłyszałem wyrok:

— Musicie odsunąć się od konspiracji i wyjechać na wieś. Macie gruźlicę.

Słowa te zabrzmiały jak wycelowana we mnie salwa. A więc jeszcze raz mam przekreślić siebie i zacząć życie od nowa? Czułem się, jak bym ujrzał swoje nazwisko na liście proskrypcyjnej. Widocznie los przeznaczył mnie do odstrzału. Słusznie mnie „pocieszał" jeden z moich przyjaciół:

— Daremnie się trudzisz i tak się nie uchowasz.

A był to czas, gdy zmuszony byłem korzystać z noclegu w domu policjantów granatowych na Krupniczej. Jak ten czas leci! Ów pocieszający mnie kolega już dawno spalony na rusztach Oświęcimia, a ja? Nawarstwiające się przeżycia przytłaczały moją świadomość i spychały w jakąś otchłań, w jakiś grób wiary w życie. Byłem bliski psychicznego załamania, ale przyszedł mi z pomocą zwykły podczas okupacji przypadek. Myśli moje przerwał warkot jadącego za mną samochodu, który minął mnie i nagle piszcząc przeraźliwie zahamował.

Z auta wypada dwóch mężczyzn, porywają z trotuaru jakiegoś przechodnia i gwałtem wtłaczają go do wozu. Stłumiony krzyk i koniec. Zwykły epizod czyjegoś dramatu. Normalny składnik naszej powszedniej rzeczywistości okupacyjnej.

Ten migawkowy obrazek żerowania trupich główek pobudził mój instynkt samoobrony. Za wszelką cenę zdobyć się muszę na jakieś *antidotum,* które by opancerzyło moje nerwy i przywróciło przytomność umysłu. Zbliżałem się do ulicy Żwirki, zaciskałem palce w kułak, wbijając paznokcie w poduszeczki dłoni i postanowiłem: nikomu o tajemnicy moich płuc nie powiem. Daremnie tłumaczyć: jeszcze nie prątkuję. Nie zrozumieją, nie uwierzą. *Vox populi* głosi, że gdy padną na człowieka suchoty, to go przygniotą jak urwana skała w kamieniołomie, jak podcięte drzewo w lesie. Tyle tylko, że suchotnik umiera nie od razu, musi się długo pomęczyć, schnie, schnie, aż uschnie.

Do późnej nocy nie mogłem zasnąć. Z kłębka pamięci rozwijały się przede mną różne sceny z okresu ząbkowania naszej konspiracji, ale najdłużej zatrzymałem się przy romantycznie nastrojowym, kordianowskim momencie: Zapadający zmrok wieczoru. W celi klasztoru kapucynów płoną dwie świece, w środku stoi czarny krzyż. Tutaj odbywa się zaprzysiężenie mnie w Związku Walki Zbrojnej. Ppłk *Turnia-Bystrzański* chwilę milczy, a potem przemawia uroczyście: „Złożyliście przysięgę, odwrotu nie ma, chyba, że zostaniecie zwolnieni przez zwierzchnika". Te słowa, zakotwiczone w mej pamięci, zestawiałem ze zleceniami doktora *Biernackiego.* Mam usunąć się z szeregów? Jeszcze mnie zwierzchnik nie zwolnił. Sam zaś nie będę go o to prosił. Dezerterować? Ech! Więc trwam w dokonanym wyborze. O leczeniu czas myśleć po wojnie.

Nazajutrz poszedłem do delegata na Czerwony Prądnik, aby mu złożyć sprawozdanie z działalności

---

[15] Prof. dr Franciszek *Walter* był upatrzony na szefa sanitarnego w dowództwie okręgu AK na wypadek powstania.

[16] U *Walczyków* byłem zameldowany jako Bronisław *Kozłowski,* pomocnik magazyniera w „Spectrum" przy ulicy Grzegórzeckiej 64.

w ubiegłym tygodniu. Koło Szpitala im. G. Narutowicza widzę, jak do jakiegoś podoficera niemieckiego zbliża się marszowym krokiem dwóch mężczyzn. Wyciągają pistolety i raz po raz strzelają do niego. Mundurowiec przeszyty kulami runął prawie u mych stóp. Zamachowcy sprawnie „prysnęli" w prawo i w lewo. Początkowo i ja poderwałem się do ucieczki; ale nagle zatrzymałem się i cofnąłem. W tej sytuacji lepiej pozostać na miejscu.

Nachylam się nad konającym, rozpinam mu pośpiesznie mundur, niby chcę go ratować. Krew bucha z płuc. Z wartowni wybiegają strażnicy, jeden chwyta mnie za gardło, drugi za rękę.

— *Hände hoch!*

Obmacali mnie, a stwierdziwszy, że nie mam broni, pytają:

— *Bist du Arzt?*

— *Nein.*

No to mnie odepchnęli i kazali iść swoją drogą. Poszedłem do Delegata, obmyłem ręce z krwi i dopiero podczas opowiadania o tym zajściu przypomniałem sobie, że niedawno w Dębnikach przy ulicy Dębowej 8 prokurator wojskowy Sądu Specjalnego informował mnie o wydaniu wyroku śmierci na konfidenta, *volksdeutscha,* zatrudnionego w Szpitalu im. Narutowicza na stanowisku intendenta. Nazajutrz, tj. 29. X. za wykonanie tego wyroku przez żołnierzy AK hitlerowcy rozstrzelali 10 Polaków za mostem, u podnóża nasypu przy ulicy Prądnickiej.

Sumuję nasze uderzenia i niemieckie odwety w najbliższym zasięgu: wyrokiem Sądu Specjalnego został zastrzelony oficer Władysław *Gostyński,* który zwątpiwszy o wyzwoleniu Polski od najeźdźców podpisał *volkslistę,* hitlerowcy zaś w drodze odwetu rozstrzelali na ulicy Wąsowicza (dziś Smoleńsk 46) 12 żołnierzy AK, przywiezionych z więzienia na Montelupich. Za zabicie dwóch funkcjonariuszy niemieckiego urzędu pracy, *Gottdaua* i *Weigla* oraz konfidentki Eugenii *Walasowej* gestapo rozstrzelało 27 października 30 Polaków na Kazimierzu przed synagogą na ulicy Szerokiej 24. Podczas tej egzekucji doszło do rozpaczliwej demonstracji oporu skazańców. Choć mieli ręce związane drutem, rzucili się na esesmanów, kopiąc ich i gryząc, inni próbowali szukać ratunku w ucieczce. Czy ma sens taka walka?

W trzy tygodnie później, tj. 19.XI.1943 roku przyjechał do Krakowa *Himmler,* aby po odwołaniu „sekretarza do spraw bezpieczeństwa w GG", Wilhelma Friedricha *Krügera,* który popadał w nieustanne konflikty z *Frankiem* na tle kompetencyjnym, wprowadził na to stanowisko Wilhelma *Koppego.* Wiadomość o tym błyskawicznie rozeszła się po Krakowie. Współpracujący z nami stolarz zatrudniony na Wawelu, Stanisław *Piwowarczyk,* informował mnie, że codziennie o godzinie 8.30 zajeżdża przed budynek nr 9 auto, a na taras przed jedną z baszt wychodzą stale *Himmler, Frank* i szef gestapo, *Koppe,* rozmawiają chwilkę, po czym *Himmler z Koppem* wyjeżdżają na inspekcję. Dowództwo dywersji postanowiło ostrzelać tych trzech tuzów z karabinu maszynowego, umieszczonego w eliptycznym oknie narożnej wieżyczki domu przy ulicy Bernardyńskiej 11, który był zamieszkały wyłącznie przez Niemców. Przygotowaniem zasadzki miało się zająć Kierownictwo Oporu Społecznego.

Przynaglano mnie do pośpiechu, bo obawiano się, że *Himmler* lada dzień opuści Wawel. W dwa dni przygotowania do zamachu były ukończone. Główny łącznik KOS, Zbigniew *Kuźma,* świetny dywersant Jan *Kowalkowski* i instruktor sabotażu Edward *Czernichowski,* nałożywszy opaski *NSDAP* ze swastyką na ramionach, skontrolowali strych z wieżyczką, a przy tej sposobności odcisnęli w plastelinie klucz od strychu. Z tego zaś odcisku znajomy mój, odlewacz zatrudniony w fabryce Zieleniewskiego, Stanisław *Masłowski,* wykonał duplikat klucza. Zabezpieczono też ucieczkę erkaemisty, który po wykonaniu zamachu miał zbiec na dół i odjechać rowerem. Ta nerwowa, pośpieszna, a jednocześnie na zimno przemyślana współpraca w zamiarze ostrzelania trzech dygnitarzy hitlerowskich okazała się zbyteczna, bo *Himmler* niespodziewanie wyjechał z Krakowa.

Pozostała nam jedynie świadomość bezpłodności naszych wysiłków, odpowiadających syzyfowemu trudowi w Tartarze. Świadomość tę zaatakowała wyobraźnia, przywołująca obrazy potwornego terroru, który niezawodnie by się rozszalał w Krakowie i w ogóle w Polsce po ewentualnym udaniu się zamachu na tych trzech. Pamięć zaś dostarczała przykładów z sytuacji Czech po zgładzeniu *Heydricha.* Rozum stawiał twarde pytanie: dlaczego plan zamachu jednocześnie na *Himmlera, Franka* i *Koppego* nie był omawiany na posiedzeniu sztabu Kierownictwa Walki Podziemnej? Ale nie dociekajmy tego.

Ważne było, że terror okupanta przybierał na sile, a tymczasem życie codzienne wymagało od nas trzeźwości w myśleniu i działaniu. Ale mi do głowy nie przyszło, by zabiegać o środki farmakologiczne, które by mnie uodporniły na czynniki burzące tak bardzo mi potrzebny spokój wewnętrzny albo przynajmniej łagodziły napięcia psychiczne, wchodzące w zakres normalnego rytmu okupacyjnego życia. Zwykle ulgę taką daje człowiekowi sen, ale ten lek nie był dla mnie przeznaczony. Wszakże kładłem się spać zazwyczaj z lękiem, że znów naprzykrzać mi się będą sny, które zamiast spełniać fizjologiczną funkcję wypoczynku są jego wypaczeniem, zamiast krzepić — udręczają.

Amerykański lekarz, endokrynolog, słynny badacz stressu, H. *Seyle,* stworzył teorię mocno podbudowaną naukowymi badaniami laboratoryjnymi, którą — upraszczając — można przedstawić w ten sposób: Gdy nasz stan psychiczny wytrącony jest z równowagi przez czynniki sprawcze stressu, czyli tzw. stressory, stają przed nim dwie ewentualności: albo nasz ustrój somatyczny zmobilizuje wszystkie siły obronne organizmu, jak hormony i bodźce nerwowe, aby „nie dać się", albo stłumi w sobie wszystkie czynniki podżegające do obrony, zignoruje stressora emocjonalnego, przydusi wszystkie myśli o oporze, pozbawi się woli i zdemobilizuje całkowicie [17].

Ten stereotypowy psychosomatyczny schemat reakcji wewnątrzustrojowej na stress jako zasadniczy element wszystkich działań człowieka został oparty na wynikach badań endokrynologicznych. Jednak *Seyle* stwierdza, że stress psychiczny, wywołany stosunkami międzyludzkimi, cechuje takiż sam trójczłonowy mechanizm [18]. A jeżeli tak, wolno mi wyrazić zdziwienie, że *Seyle* nie wychylił głowy poza okno laboratorium endokrynologicznego, nie dostrzegł potężnego, ludobójczego stressora spod znaku swastyki i nie

[17] H. *Seyle:* Stress życia, jw., s. 339.
[18] Tamże, s. 371.

wiedział lub nie chciał wiedzieć[19] o hitlerowskich obozach koncentracyjnych, zwanych fabrykami śmierci, których warunki bytowania wyzuwały wielu więźniów z nadziei przetrwania. A przecież wyhodowany tam typ „muzułmana", a więc człowieka pozbawionego doszczętnie wiary w życie, jak najbardziej nadawałby się do zilustrowania końcowego członu mechanizmu stressowego.

Seyle, zajmując się badaniami endokrynologicznymi, cennymi dla medycyny jako nauki, jedynie marginesowo porusza służebną funkcję medycyny w zakresie niesienia pomocy człowiekowi „wielce strapionemu". Doradza mianowicie metodę dewiacji: „Trzeba znaleźć coś, co dla odegnania przykrych myśli można by wstawić w ich miejsce. Nic bardziej nie uwalnia od nieprzyjemnych myśli, jak świadome skoncentrowanie uwagi na myślach przyjemnych. Psychoanalitycy określają to zjawisko jako sublimację, definiując ją jako akt skierowania energii jakiegoś impulsu ku celowi innemu niż pierwotny, mającemu wartości kulturalne lub etyczne. To jest także dewiacją." Rzecz nienowa, nowa i trafna jest tylko jej nazwa — dewiacja. Poza tym *Seyle* przypomina sobie, co mu jako chłopcu mówiła jego babka: „Jeżeli kiedykolwiek będzie ci smutno, spróbuj wywołać uśmiech na twarzy, a zobaczysz, że wkrótce cały będziesz się uśmiechał"[20]. Jest to lek odwieczny, ona go nie wynalazła.

Lekarskie wskazania, którymi dysponuje *Seyle*, są w zasadzie słuszne, ale tylko w drobnych ułamkach przystawały do naszej okrutnej rzeczywistości okupacyjnej. Naród bronił się, instynktownie czepiając się różnych leków, których źródła opracuje może kiedyś jakiś psycholog w oparciu o bogatszy materiał badawczy. Tu tylko przywołuję z pamięci kilka przykładów.

2 lipca 1940 roku Stanisław *Marusarz*, mistrz narciarski Polski, a wicemistrz świata, dokonał nie byle jakiego wyczynu sportowego. Skazany na śmierć, w dobę przed rozstrzelaniem zagrał w pokera ze śmiercią, postawił wszystko na jedną kartę i wygrał — uciekł z więzienia na Montelupich. Z ust do ust podawano sobie radosną wieść: wyskoczył z okna pierwszego piętra na podwórze, sforsował dwa mury ochronne, poranił się szpetnie na drutach kolczastych, zeskoczył z muru zewnętrznego i wędrując nocą wrócił do Zakopanego, przeszedł na Węgry i „prysnął" w świat.

On pierwszy przez swój odważny czyn stał się w pierwszym roku niewoli bożyszczem dla młodzieży, dumą dla sportowców, a dla całego społeczeństwa krzewicielem wiary w siebie.

W cztery lata później, w nocy 12 czerwca 1944 roku ktoś w Rynku Głównym w Krakowie koło Wieży Ratuszowej obalił słup ze „szczekaczką", a nadto przypiął do niego kartkę z napisem: „Zgrzeszyłam kłamstwem — poszłam do spowiedzi". Była to z jednej strony kpina z czujności straży przed gmachem *NSDAP* na „hitlerplatzu", eksplozja wariackiej fantazji (podobno Antka *Grzybka*, pseudo Misiek, chwackiego chłopaka z Krowodrzy), a z drugiej satyryczny żart docinający pobożnemu klimatowi Krakowa. Kawał ten nie miał już tej wartości wychowawczej, co bohaterski wyczyn Stanisława *Marusarza*, ale niemniej przyjęty został życzliwie. Ludzie zmęczeni wojną łaknęli bojowej radości, a złośliwe żarty wycelowane we wroga działały na masy ożywczo.

W roku 1941 popularne było naiwne w treści powiedzonko: „Słoneczko wyżej, sikoreczka bliżej" — że niby z nastaniem wiosny generał *Sikorski* wkroczy do Polski i wolność spadnie nam z nieba. W roku 1942 wrócił tenże motyw, ale w innym opakowaniu. W odezwie tego czasu, przywiezionej z Warszawy, znalazły się słowa: „Czas już niedługi. Od wyzwolenia dzielą nas nie lata, lecz może miesiące". Niestety przeszły miesiące i nadal w ciszy śpiewano: „Patrz Kościuszko na nas z nieba, jak w krwi wrogów będziem brodzić." Przyszedł rok 1943 i wtedy uderzono w surmy: „Pamiętajcie, że potęga Niemców z dniem każdym zbliża się do ruiny. Może już tej zimy będziemy mieli w kraju do wyżywienia i tych, co z Rzeszy powrócą do swych rodzin i może nasze własne wojsko, które we właściwej chwili przyjdzie nam z pomocą w ostatecznych porachunkach z wrogiem." Te wszystkie wieści wsiąkały w społeczeństwo. A w nich zawierało się przeświadczenie, że ta straszna wojna zakończy się w roku 1943.

Tak zresztą sądzili wówczas zarówno krajowi, jak i zagraniczni politycy i wojskowi, a jedni — jak się później okazało — wiedzieli tyle, co drudzy. Była to wiara powszechna. Rozpalała ona w umysłach płomień nadziei, podnoszącej na duchu całe społeczeństwo. Swoją drogą społeczeństwo nie zdawało sobie sprawy z tragicznej sytuacji, w jakiej znalazła się wówczas Polska pozbawiona przywódców. Może właśnie dzięki temu naród nie rozbroił się psychicznie. Co więcej, pod wpływem optymistycznych wieści ze świata zapanowało jakieś błogie samopoczucie, bliskie euforii. Młodzież masowo szła do lasu. Z grobów ludzi pomordowanych podczas okrutnych pacyfikacji wyrastali mściciele.

Ale twarda rzeczywistość zadawała kłam marzeniom. *Hitler* jak szaleniec słał na wschód pociągi z mięsem armatnim przeciw radzieckim katiuszom. Co prawda, nie widziało się już w wagonach *Wehrmachtu* napisów irytujących przechwałką: *Stalin, jetzt kommen wir*. Ale niemniej szerzył się terror, pęczniały obozy koncentracyjne, a na wieś polską przychodziły dni ponure: rabunek ludzi do pracy w Niemczech, rabunek żywności, krwawe pacyfikacje i pożary w odwet za sprzyjanie partyzantom, za niedostarczanie kontyngentów lub za pomaganie Żydom.

Nikt nie sarkał na tych wróżbiarzy z Albionu, którzy kazali nam patrzeć przez różowe okulary na koniec wojny. Ale przecież coś, coś pozostało w nas z tych obiecanek cacanek, jeśli przez pół roku 1944 odnosiliśmy się życzliwie do tych dowcipnisiów, którzy konspiracyjnie przyciszonym głosem obwieszczali: Sprawa polska stoi dobrze. Niech Polak Polakowi niesie wesołą nowinę: *NSDAP*. Nie rozumiecie? Nasi Są Daleko, Ale Przyjdą.

Dobrej zaś nowiny, pociechy i nadziei łaknęły masy instynktownie. Za radio, za wiadomość z krótkich fal ludzie szli na śmierć, ale po nich niepoprawnie inni dzień w dzień pragnęli tej notowanej i szeptanej strawy duchowej, która utwierdzała nadzieję przetrwania. Nieraz wędrowali wiele kilometrów po błocie lub grudzie, wśród deszczu lub śnieżycy — do takiego, co miał gazetki lub radio.

Niektórzy celowali w wykrywaniu śmiesznostek u wroga, a z śmiechu, żartu i kpiny czynili broń zaczepno-odporną. Ośmieszanie przeciwnika pomniejszało go, a przez to czyniło mniej groźnym. Gdy kpina chłostała, stawała się rynsztunkiem bojowym, bo pokrzepiała na duchu. Czasem kpiarze odstawiali na bok bicz satyry, a przywdziewali maskę dyplomatów, żonglowali słowami, wyrażając zamierzoną treść w zabawnej parabolicznej formie.

Wiadomość o kapitulacji Włoch rozeszła się już wieczorem 8 września 1943 roku. Nazajutrz robotnicy w większych fabrykach o godzinie 11, gdy nadawano przez radio komunikaty polityczne, przerwali pracę i w rozkosznym milczeniu wysłuchiwali potwierdzenia tego, co niektórzy od rana już rozgłaszali. Przestała istnieć oś Berlin—Rzym. Ludzie byli w doskonałym humorze, a politycy „trunkowi" garnęli się do knajp, aby napoić własną radość. Poszedłem do restauracji Del Pontiego przy ulicy Karmelickiej 17 i słyszę taką rozmówkę:

— Daj, pan, jeszcze jednego, bom cholernie smutny.

— Co pan ma za zmartwienie?

— Sakramencka tragedia, oś mi pękła i nie da się jechać.

— A dokąd pan chciał jechać, naprzód?

— Wykluczone, tylko wtył, *zurück*, rozumie pan?

Ktoś inny zanucił symboliczną piosenkę: „Poszedł Marek na jarmarek, kupił sobie oś..."

Przerwał mu kolega trunkowy:

— Pst! cii! Co ci do tego, co sobie kupił, to jego sprawa!

Po czym położył porozumiewawczo palec w poprzek warg i nie wypadłszy z melodii, nucił dalej:

---

[19] Hans *Seyle* studiował medycynę na niemieckim uniwersytecie w Pradze.

[20] H. *Seyle*, jw., s. 348, 349.

„postawił ją wedle płotu, złamał mu ją ktoś..." Panie starszy, może ją da się jeszcze zaklajstrować, a jak nie, to niech ją jasny szlag!

Niekiedy sam układ elementów okupacyjnej rzeczywistości wywoływał uśmiech na naszych twarzach. Tak było z dożynkami, które 24 października 1943 roku wyprawił *Frank* na Wawelu na swoją cześć [21]. Naprzód spędzona ze wsi orkiestra zagrała skocznego krakowiaka „Bartoszu, Bartoszu". Był więc powód do radości, bo przecież chłopi zagrali pobożnemu *Frankowi* pieśń, w której Polacy wyrażają nadzieję, że „Bóg pobłogosławi, ojczyznę im zbawi". Czujne gestapo szukało bomb w bukietach kwiatów i w koszykach z symbolicznymi płodami rolnymi, a nie dostrzegło takiej bomby w programie uroczystości.

Po takiej inauguracji przemówił po niemiecku do gromady „delegatów" w strojach ludowych prezydent Głównego Wydziału Wyżywienia i Rolnictwa w rządzie GG, *Neumann*, który bardzo chwalił spokojnych chłopów polskich za to, że tak pilnie pracują dla Generalnej Guberni. Ta pochwała zupełnie mu nie wyszła. Był to kawał o makabrycznym zakończeniu, bo przecież naówczas srożyły się w Krakowie krwawe pacyfikacje w Kaszowie, Liszkach, Radwanowicach, Sułkowicach, Harburtowicach itd. Ale o nich tępy pan *Neumann* nie wspomniał ani słowem.

Następnie przemówił *Frank*, który podniósłszy pięści odgrażał się Związkowi Radzieckiemu, pienił się z wściekłości, a potem ni stąd, ni zowąd zaczął się modlić za nas: „Niech Bóg błogosławi pracę polskiego rolnika, niech błogosławieństwo Wszechmocnego będzie nad jego dziećmi, nad jego rodziną i jego rolą". Jak się tu nie śmiać z tego Gaurisankaru krzyżackiej obłudy? Kto by nie wierzył, że tak się modlił *Frank*, niechże przeczyta sobie gadzinówkę „Goniec Krakowski" z 24. X. 1943 roku.

Ale chyba najbardziej przypadł do gustu krakowianom lewy „Goniec Krakowski" z dnia 1 grudnia 1943, którego czerwone nagłówki były drukowane nocą u Edwarda *Jantona* w Wieliczce, a tekst w tajnej drukarni w Kosocicach, należącej do KWZW (Konspiracyjnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych). Ostatnią stronę tego „Gońca" wypełniły ogłoszenia, których przewodnią zasadą było: nie bawić się w finezję dowcipu, na której hitlerowcy i tak by się nie poznali, ale rąbać jak siekierą; nie do pogardzenia jest nawet kamień zza płotu rzucony, byleby trafiał celnie.

Posługując się obfitym materiałem wywiadu, wywlekałem pod pręgierz niemieckich złodziei grosza publicznego, demaskowałem prowokatorów, oprawców ofiar w „Libanie" i dygnitarzy *baudienstu*, nazywałem po imieniu profesorów uniwersytetów niemieckich, dyrektorów muzeów — rabusiów polskiego mienia kulturalnego, chłostałem Amona *Goetha*. Kpiłem z *Hitlera*, *Himmlera* i jego czarnej zgrai, zapowiadając wszystkim najeźdźcom: „Koniec wasz bliski, kupujcie walizki" [22].

Ten „Goniec", rozkolportowany w biały dzień na terenie całego Krakowa, rozszedł się migiem. Ludzie wyrywali go sobie z rąk, bo każdy chciał na własne oczy widzieć tę publiczną chłostę złoczyńców spod ciemnej swastyki. Żadna odezwa nie podżegała silniej do oporu przeciw okupantowi, jak ten rejestr zwycięskich władców obrzucanych drwinami przez pokonanych. W związku z taką reakcją społeczeństwa zauważyłem, że ludzie przygnębieni i zgorzkniali ożywiali się na nowo. Zauważyłem też, że śmiech — to resztki naszego instynktu samoobrony, nie stłamszonego jeszcze do cna.

A wreszcie przykład z pogranicza dewiacji, doradzanej przez doktora H. *Seylego*. Doszła mnie hiobowa wieść: *Sonderdienst* zrobił obławę w domu przy ulicy Krakowskiej 39 i zagarnął naszego fachowego instruktora sabotażu, Edwarda *Czernichowskiego*, następnie nieodżałowanego Wiktora *Cierniaka*. Przejąłem się tym ogromnie. Jeśli znaleźli u niego spłonki i trotyl, pójdzie na rozłupkę, niechybnie. Po dwóch dniach poszedłem na Kazimierz, aby od sąsiadów Edwarda dowiedzieć się o okolicznościach towarzyszących jego aresztowaniu. Ku mej wielkiej radości zastałem *Czernichowskiego* w jego mieszkaniu.

— Żyjecie? Jakże się wam udało wysmyknąć z opresji?

Edward był utalentowanym narratorem i umiał dowcipnie opowiadać o swych przygodach. Ceniłem jego szczerość w przedstawianiu rzeczywistości bez pretensjonalnej zgrywy, a nadto krytyczny stosunek do siebie. Uśmiechał się z tego, co sam myślał i czynił. To właśnie czyniło go po szekspirowsku oryginalnym.

— No cóż — mówił poważnie — spędzili wszystkich mężczyzn na podwórze i kazali nam leżeć twarzą do ziemi, z rękami wyciągniętymi wzdłuż bioder. Tymczasem policjanci niemieccy przetrząsali wszystkie pokoje i czegoś nerwowo szukali. Leżałem na bruku lśniącym od mazistego błotka i rozmyślałem: Kolejność faktów będzie taka, jeśli wykryją schowane przeze mnie materiały do kursu sabotażowego: skują mnie, wepchną do auta policyjnego, a potem rozpoczną się tortury. Zakląłem, odepchnąłem te myśli od siebie, a całą siłą woli wmawiałem w siebie: nie wykryją, wszystko dobrze schowałem, więc po cóż się bać? Ale trwożliwe myśli nachalnie wracały. Żeby to można spalić je termitówką lub wysadzić trotylem! Borykałem się z natarczywym atakiem upiornych myśli, osłabiających me siły, które chciałem zarezerwować do walki o życie swe i wolność. Gdy Niemcy wywołają mnie, nie będę czekał jak trusia, rzucę się ku bramie i spróbuję ucieczki. Ciekaw jestem, jak wygląda stojący w bramie Niemiec, z którym mam stoczyć walkę. Podnoszę głowę, wspieram brodę o bruk, a tu ledwie wzrok mój ślizgnął się po wilgotnych kamieniach, zadrżałem z przerażenia. Chciałem krzyknąć, ale głos mi uwiązł w gardle.

— Co się stało? — pytam.

Edward dramatycznie nastrojonym głosem ciągnął dalej:

— Zobaczyłem, zobaczyłem, jak biegł ku mnie po bruku pośpiesznym kłusem duży, czarny, opasły błyszczący — karakon. Nagle się zatrzymał. Poruszył długimi wąsami i przypatrywał mi się uważnie. Dmuchnąłem na niego. Zawrócił. Spozierał na mnie, strzygł wąsami, prostował nogi z jednej strony, potem z drugiej, pogimnastykował się, nagle podniósł wąsy jak diabelskie widły — i ruszył do ataku na mnie. Dmuchnąłem z całej siły, zatrzymał się, ale tylko na chwileczkę. Zmienił taktykę bojową: idzie, idzie, po-ma-lutku, noga za nogą, ku mojej twarzy, tylko mu tłusty, czarny grzbiet pobłyskuje jak słoniną posmarowany. Przeszedł mnie dreszcz od ramion, przez krzyże i łydki, aż do pięt. Rany boskie! Nie wytrzymam, za chwilę dotknie mię wąsami. Drżę na całym ciele. A tu pilnujący nas Niemcy krzyczą, żeby się nie ruszać; kto wstanie bez komendy, będzie zastrzelony. Dobrze się wam mówi: nie ruszać się, a na mnie idzie ten czarny, opasły drań. Dmuchnąłem drugi raz — nic. Dmucham raz po raz, jak bym strzelał z katiuszy, a on myśli, że to wiatr, przyzwyczaił się do mojego dmuchania, idzie i idzie. Już dotknie mojego nosa! To był kres mojej wytrzymałości. Wtedy było nie było, wszystko mi jedno, dalibóg, nie wytrzymam, niech mnie Niemiec zastrzeli! Podniosłem odważnie głowę do góry, ptfy! splunąłem. Karakon się przeląkł i uciekł. Odetchnąłem z ulgą. Wtedy właśnie Niemiec krzyknął: *Auf!* Zerwałem się szybko i przyznam się, że byłem spocony, choć leżałem na zimnych kamieniach.

*

A teraz wstrząśnijmy rurą kalejdoskopu, a zobaczymy całkiem inną układankę elementów naszego okupacyjnego dnia powszedniego. Zbiorowy wysiłek całego narodu był za słaby, aby potrafił przynajmniej przerzedzić czarne chmury wiszące nad naszą rzeczywistością wojenną. Nie było prawie rodziny, którą by ominęły łzy i boleści. A liczba cierpiących rosła.

[21] Zob. T. *Seweryn*: Dożynki u *Franka* na Wawelu. Życie Literackie, 1962, nr 554.

[22] Zob. T. *Seweryn*: Do rodowodu lewego „Gońca Krakowskiego". Życie Literackie, 1961, nr 36.

Z początkiem grudnia 1943 roku przybiegł do nas z Podgórza 16-letni Marian *Hanslik*, syn siostry *Walczykowej*. Mówił zdyszany, że w całym Podgórzu aresztują chłopców, a nikt nie wie, dlaczego.

Pani *Walczykowa* od razu zadecydowała:

Pozostaniesz u nas, do matki nie wrócisz, póki w Podgórzu się nie uspokoi.

I tak się stało. Po tygodniu Maniuś wrócił jednak do rodziców, ale ledwie zgłosił się w zakładzie krawieckim Juliusza *Madritscha* przy Rynku Podgórskim, gdzie pracował jako pomocnik krawiecki, już wpadł w zasadzkę gestapo, które tam na niego czyhało. Za dwa dni na rozlepionych w mieście „listach śmierci" znalazł się, obok innych młodych chłopców, Marian *Hanslik*.

Odtąd nastały dla nas ponure dni. *Hanslikowa* przebywała stale u *Walczyków*, płacząc dniami i nocami. Czasem w napadzie rozpaczy wybuchała głośnym płaczem i biadaniem:

— Wszystkim pomagacie, a mojego Maniusia nikt z was nie próbował ratować od śmierci!

Te gorzkie oskarżenia odnosiły się do mnie i do mego łącznika czeladnika krawieckiego, Makska *Skowrona*. Dla mnie wtedy najważniejsze było rozwiązanie zagadki, jaki cel mają przeprowadzane przez hitlerowców aresztowania i rozstrzeliwania małoletnich chłopców. Zawiadomiłem o tym ówczesnego okręgowego delegata rządu, Jana *Jakubca*, a ten odpowiedział mi pytaniem:

— A może to początek jakiejś zbójeckiej akcji wymordowania całej młodzieży polskiej? Niech pan się postara wyjaśnić tę tajemnicę.

— Wyjaśnić, ale jak? To przerasta możliwości naszego wywiadu.

Tymczasem przyszedł mi z pomocą przypadek. Do pracowni szewskiej *Walczyka* zaczęli się schodzić esesmani z lotniska w Rakowicach, grzali się u pieca, podszczypywali towarzyszącą im zawsze jakąś Anitę, a potem jeden prowadził ją na pięterko do pustego mieszkania dwóch Ślązaków mających służbę na lotnisku. Wydawało się nam, że już doskonale wiemy, kim Anita jest. Tymczasem dowiedziałem się, że ta damula interesowała się także Makskiem i mną, gdzie pracujemy, jaki mamy zawód i kiedy wracamy do domu. Spotkała raz Makska na schodach i uśmiechając się słodko, powiedziała po śląsku:

— Panie Maks, trzeba mi piniondze — nie? I wyciągnęła z torebki rewolwer.

Maksek dawał odpowiedzi błyskawicznie, dał i tym razem i to po śląsku:

— Jo smola tako kiełbasa!

Poszła do *Walczykowej* i namawiała ją do kupna rewolweru. Ale pani *Walczykowa*, której spryt i obrotność języka budziła we mnie szczery podziw, odpowiedziała niby z głupia frant, naiwnie, a zarazem z doskonale udaną życzliwością:

— Panno Anito, niech pani tego przy sobie nie nosi, to rzecz bardzo niebezpieczna, jeszcze może wystrzelić. Niech się pani takimi rzeczami nie bawi.

Teraz już wiedzieliśmy, czym jeszcze zajmuje się ta damula. Dlatego z tym większą skrupulatnością podsłuchiwałem rozmowę, którą prowadziła z esesmanami grzejącymi się u pieca. Klepałem buty na kopycie, a zwieszone w dół bujne wąsiska i zaniedbane ubranie czyniły ze mnie dziadygę, posługacza, który za miskę jadła pomaga majstrowi przy robocie. Czyniłem to, zdaje się, dość poprawnie i zgodnie z nakazami mimetyzmu, aby do niepoznaki wtopić się w swe środowisko.

Posłyszałem, jak Anita przyciszonym głosem informowała esesmanów:

— Jutro będą znowu aresztowania za Wisłą. Był u nas *Madrala* ze swą matką i przynieśli nową listę młodych polskich bandytów.

Chcąc wszystko słyszeć jak najdokładniej, wyciągnąłem z kieszeni blaszane pudełko z krajanym chłopskim tytoniem i skręcałem papierosa. Potem podszedłem do pieca, wyciągnąłem drewienkiem węgielek i przypaliłem papierosa. Usłyszałem pochwały pod adresem *Madrali* i jego matki, a nadto dowiedziałem się, że Anita nosi nazwisko *Dudek*.

Gdy to wredne towarzystwo wyszło, a nas doleciał odgłos trzaśnięcia żelaznej furtki od strony ulicy, zwróciłem się do *Walczyków* i Makska:

— Przesłuchałem tę cholerę. Jutro odbędą się w Podgórzu aresztowania. Trzeba jeszcze przed świtem zawiadomić *Hanslikową*, żeby syna, Tadzia, ukryła albo przysłała do nas. Aresztowania odbędą się wedle listy, którą sporządził jakiś konfident *Madrala*, znany w gestapo pod pseudonimem „Tänzer", tj. tancerz, oraz jego matka. Niech się Bronia dowie, kto to jest ów *Madrala*, jakie imię ma jego matka i gdzie mieszka.

O świcie *Walczykowa* pojechała do Podgórza tramwajem, popędziła na ulicę Dąbrowskiego 11 i razem z *Hanslikową* przywiozła Tadzia do Rakowic. Obie były bardzo wzburzone, perlisty pot pod ich oczyma świadczył o ich wysiłku fizycznym, a bladość twarzy i drżące usta o ich zdenerwowaniu.

— Panie *Kozłowski* — wybuchnęła głośnym płaczem *Hanslikowa* — już wiem, kto na śmierć posłał mojego Maniusia. Nie *Madrala*, tylko *Mądrala*, ten szczeniak, Sławek *Mądrala*, ze swą matką Wandą *Mądraliną* z ulicy Limanowskiego 20 w Podgórzu. O, ty szmato latarniana, ty suko parszywa, czego chcesz od moich dzieci? Żebyś ty, suko, przez tydzień rodziła i zdechła w boleściach. A ciebie, gówniarzu, żeby polska kula nie minęła. Panie *Kozłowski*, znam tego drania, to był kolega szkolny mojego Maniusia. A chłopaki jak chłopaki. Dostawali skądś tajne gazetki i czytali. Wracają do domu, a tu patrolka: *halt!* Zaprowadzili chłopaków na gestapo, rewidują, a tu gazetka. Wszystkich posłali na rozstrzał, tylko Sławka wypuścili. To się chłopakom nie podobało. Dlaczego jego wypuścili? No więc wyprowadzili go na most na Rudawie i tam niby się biją, niby żartują i buch Sławka z wysokiego mostu do wody, potem uciekli. Tymczasem Sławek uratował się i zaczął sypać kolegów, kapuś sakramencki. Z miejsca poszło na Pomorską dwóch, potem na Montelupich dwudziestu chłopaków. Wtedy mojego Maniusia zabrali, 13 grudnia. Panie *Kozłowski*, co się wtedy działo, wszędzie matki płakały, włosy z głowy wyrywały. Teraz chcą mi zabrać drugiego? O, rany boskie, Panie *Kozłowski*, ratujcie mojego Tadzia. Jak mi go zabiorą, nie wytrzymam, nożem się przebiję.

Zeznania Bronisławy *Hanslikowej* były bardzo ważne. Tejże nocy spisałem je, osobno informację Anity *Dudek*, napisałem akty oskarżenia przeciwko Sławomirowi *Mądrali* i jego matce, Wandzie *Mądralinie*. Zwołałem posiedzenie Cywilnego Sądu Specjalnego. Zapadły dwa wyroki śmierci. Delegat podpisał je, a Porozumiewawczy Komitet Polityczny przy delegacie zgodził się na ich wykonanie i to co rychlej, bo każdy dzień działalności tej spółki konfidenckiej groził nowymi ofiarami.

Wyszedłszy na ulicę, spotkałem „Kordiana", dowódcę Żelbetu AK. Informuję go:

— Przed chwilą zostały podpisane dwa wyroki śmierci na groźnego konfidenta, 17-letniego Sławomira *Mądralę* i jego matkę, Wandę, Podgórze, Limanowskiego 20. Wyrok musi być wykonany jeszcze dziś.

„Kordian" oddał tę sprawę do załatwienia Arturowi *Korblowi*, pseudo „Bicz", sławnemu w świecie konspiracyjnym komendantowi dywersji Żelbetu. Odkomenderowani przez „Bicza" partyzanci: Jan *Filipowski*, pseudo „Morawa", Jan *Sikora*, pseudo „Mewa", i Józef *Profics*, pseudo „Duce", wykonali te wyroki tegoż dnia, tj. 31 marca 1944 roku. Od tego czasu ustały aresztowania chłopców w Podgórzu.

I jak tu wyjechać na wieś, żeby się leczyć, kiedy ja właściwie tutaj jestem potrzebny? Ludzie odetchnęli. Społeczeństwo Podgórza czuło się jak chory po ciężkiej, ale udanej operacji. Wykonanie wyroku Sądu Specjalnego było właśnie taką operacją. Coraz więcej ludzi wyzbywało się złudzeń, że hitlerowskie psy zmieniłyby się w baranki, gdyby się je głaskało za włosem, a psią uległością i lokajską usłużnością moglibyśmy powstrzymać drukowanie list śmierci. Przecież celem wroga było biologiczne wyniszczenie narodu, a tę jego

„misję dziejową" będzie spełniać ta bestia, choćby nikt jej nie drażnił zabijaniem konfidentów.

Dzień powszedni stawał się coraz bardziej zawikłany i pełen sprzeczności. Krakowianie musieli się uczyć Krakowa od strony dotychczas im nieznanej — gdzie i jakie są bramy przechodnie. To była ich wiedza związana z potrzebami dnia powszedniego. Historyk musiał zapisywać fakty i przeżycia, ale w pamięci, nie na papierze, bo papier — to zdrajca. Jeden krok fałszywy sprowadzi na twój dom rewizję, zginiesz ty, a z tobą twoje papiery.

Tak radziłem innym, ale sam grzeszyłem przeciw temu przykazaniu. Na każdą rozprawę sądową musiałem przynosić akta i wracać z nimi do domu. Stara robotnica rolna „Jagusia" przynosiła mi okólniki Głównej Delegatury, a młoda, „Józia" (Łucja *Ogarkowa-Badowska*), pisma z Bipu i BCh od Zawojny. Urzędowałem jedynie przy skrawku stołu krawieckiego, bo resztę okupowali mieszkający ze mną krawcy, Maksymilian *Skowron* i Ignacy *Moncznik*. Z tego stołu co rano rozchodziły się rozkazy, artykuły prasowe, odezwy i informacje. Z natury rzeczy z tych świstków tworzyły się rychło zatory, bo melina nasza na poddaszu była dla trzech osób stanowczo za ciasna.

Ponad wszystkimi naszymi dziennymi sprawami unosiła się jak czarna chmura świadomość tragicznej sytuacji Polski po upadku powstania w Warszawie. Wszyscy ze smutkiem godzili się na to, że przypadło nam w udziale jedynie bierne oczekiwanie swojego losu. Dotychczas krzepiliśmy się nadzieją, że „bój to będzie ostatni, krwawy skończy się trud", tymczasem i ta nadzieja poszła w niwecz.

Na domiar złego okupant wzmógł akcję terrorystyczną, aby nas złamać moralnie i odebrać nam siłę oporu. Ludność biczowana wypadkami każdego dnia ulegała psychozie lęku, którą zwalczać było trudno, gdyż każdemu słowu pokrzepiającemu przeczyły fakty.

Gdy na krótkich falach rzucono w świat komunikat gen. *Bora:* „W 63 dniu walki, po wyczerpaniu wszelkich zasobów, 2 października o godzinie 20 umilkły ostatnie strzały", słowa te cierniem wbiły się w mózg. Choć od kilku dni liczyliśmy się z nieuchronną klęską, to jednak słowa „Warszawa padła" powtarzałem w pamięci, a brzmiały mi one jak stukot młotka wbijającego gwoździe do trumny. Mignął mi w pamięci kamień grobowy z napisem *Finis Poloniae*.

Z demobilizującej depresji poderwały mnie siłą i spokojem nacechowane żołnierskie, harde słowa, rzucone w świat przez Polskie Radio: „Niemcy Warszawy nie zdobędą, bo Warszawa nie istnieje. Są tylko kupy gruzów i groby. Walka rozpoczęta w roku 1939 trwa nadal i trwać będzie aż do odzyskania wolności i niepodległości Rzeczypospolitej".

Słowami tymi czułem się pokrzepiony. A więc nie rozchodzimy się do domów. Gromadzimy broń, prowadzimy nadal radiostację i drukowany „Dziennik Powszechny", a nade wszystko rozszerzamy agendy opieki społecznej.

Tu musimy się cofnąć nieco ku faktom z czasów jeszcze przedpowstaniowych.

Jawną instytucją zajmującą się opieką społeczną była Rada Główna Opiekuńcza. Tajną akcję w tym zakresie prowadziła Delegatura Rządu, której Wydział Opieki Społecznej bynajmniej nie dublował zadań RGO. Wedle „Instrukcji dla okręgów w sprawie opieki czynnej" organy delegackie niosły pomoc wszystkim ofiarom terroru hitlerowskiego. Pomocą tą objęto dwie kategorie osób:

„1) ofiary polityczne, tj. ludzi prześladowanych przez okupanta, więźniów politycznych, ludzi ukrywających się przed gestapo, chorych skutkiem wykonywania pracy przymusowej lub pobytu w więzieniu oraz członków ich rodzin, a także rodziny pozostałe po osobach zamordowanych przez okupanta;

2) jednostki wartościowe społecznie, których utrzymanie przy życiu miało istotne znaczenie dla przyszłości narodu ze względu na ich kwalifikacje zawodowe, poziom moralny i postawę obywatelską. Zaliczać tu należało nie tylko jednostki pracujące na polu nauki i kultury oraz inteligencję zawodową o wyższych kwalifikacjach, lecz także wybitniejsze jednostki ze wszystkich grup społecznych i środowisk, zarówno inteligenckich, jak i robotniczych".

O przyznaniu zasiłku poszczególnym osobom decydował komitet, składający się z przedstawicieli stronnictw politycznych, a obradujący pod kierownictwem naczelnika delegackiego Wydziału Opieki Społecznej. W województwie krakowskim naczelnikiem tego wydziału był *Rakowski*, pseudo „Trzywdar", zatrudniony w RGO, a przed wojną pracownik Kuratorium Okręgu Szkolnego w Toruniu. Do Komitetu Opieki Społecznej wchodziłem i ja z ramienia Delegatury. Mogłem więc osobiście stwierdzić, że możliwość efektywnego działania tego komitetu była ograniczona, gdyż dotacje Głównej Delegatury Rządu w stosunku do ogromnych potrzeb były zbyt skromne. Naczelnik martwego delegackiego wydziału finansowego, *Groeger*, rzucił więc pomysł rozpisania pożyczki wojennej. Rozesłany delegatom powiatowym nakaz zaciągania u ludzi majętnych pożyczek na skrypty dłużne, zaopatrzone w dużą pieczęć Okręgowej Delegatury, nie dał jednak spodziewanych wyników.

Lepsze rezultaty dało odwołanie się do oddziałów dywersyjnych, które zdobytymi przez siebie zasobami łatały dziury w powiatowych budżetach opieki społecznej. Zachowały mi się dwa meldunki Jana *Jarosza*, pseudo „Jastrzębiec", kierownika oporu społecznego w powiecie bocheńskim. Jeden brzmi tak: „W czerwcu 1944 wykonaliśmy wypad na mleczarnię w Woli Batorskiej, który dał 10.208 zł oraz 125 kg masła, z czego 2.986 zł poszło na potrzeby oddziału, reszta, tj. 7.222 zł na cele samopomocowe miejscowego komitetu opieki społecznej w Ujściu Solnym." Drugi meldunek

brzmi: „W październiku 1944 oddaliśmy na potrzeby ludności warszawskiej 700 kg żyta, 400 kg pszenicy, 500 kg ziemniaków oraz 1000 zł. Na dzieciniec sióstr felicjanek w Bochni dostarczono 100 kg ziemniaków, 460 kg żyta i pszenicy".

Bardzo obrotny w tym zakresie okazał się również Franciszek *Zając*, pseudo „Lubończyk", kierownik oporu społecznego w powiecie myślenickim. Wespół z partyzantami Żelbetu AK pozorował on napady na chłopów wiozących nałożony im przez Niemców kontyngent, wszczynał przy tym dużo hałasu, dawał w powietrze kilka strzałów, rekwirował zboże lub tucznika, a chłopom wręczał pokwitowanie odbioru, zaopatrzone w dużą pieczęć Delegatury.

Gdy chłopi przekonali się, że Niemcy respektują takie pokwitowania, znaleźli się rychło tacy, którzy przyszedłszy do „Lubończyka", prosili go o zrabowanie kontyngentu. Prawdę mówiąc, zabór kontyngentu przez Delegaturę był dla chłopa dobrym interesem, bo „poborcy" Lubończyka kwitowali zawsze odbiór towaru o większym niż w rzeczywistości ciężarze.

Szukaliśmy jeszcze innych źródeł pieniędzy na potrzeby opieki społecznej. Dowiedziawszy się, że kilkunastu plutokratów uprawia u księcia Stefana *Lubomirskiego* przy ul. św. Marka 8 gry hazardowe, przy czym w puli zbierało się do pół miliona złotych, przygotowałem za wiedzą okręgowego delegata zbiorowy nakaz płatniczy dla wszystkich gości księcia pana biorących udział w hazardowym kartografstwie. Nakaz ten, także z dużą pieczęcią Delegatury, wyszczególniał, ile kto miał wpłacić na opiekę społeczną w RGO. W towarzystwie Wojciecha *Jekiełka*, szefa łączności podokręgu śląskiego w dowództwie BCh, wręczyłem ten akt Stefanowi *Lubomirskiemu*, który zapoznawszy się z jego treścią zapytał:

— Czy wymiar wpłat obliczony został wedle wartości szacunkowej majątku?

— Nie, wedle tego, jak komu karta idzie.

— A, tak! To panowie wiedzą?

— Wiemy.

— A dlaczego przy moim nazwisku brakuje wymiaru nakazanej mi wpłaty?

— Bo książe pan, zgodnie z dobrymi tradycjami staropolskimi, nie bierze udziału w hazardowej grze swoich gości.

Oczekiwałem innych wyników tej naszej wizyty. Okazało się, że tylko dwie czy trzy osoby z naszej listy wpłaciły wyznaczone sumy do RGO, reszta odwołała się do Głównej Delegatury Rządu. Znaleźli drogę. Zrobiła się tak zwana draka. Przyjechał wysłannik z Centrali, który przywiózł mi rozkaz, abym wykrył anonimowe indywidua, które posługują się pieczęcią Okręgowej Delegatury i nakładają na obywateli kontrybucje.

Oczywiście wszystko wyjaśniło się w spokojnym dialogu, ale nim doszło do wzajemnego porozumienia, wysłannik z Warszawy musiał połknąć kilka cierpkich słów. Czy mogliśmy zaniechać kupna lekarstw dla chorych, a chleba dla głodnych ofiar politycznych i jednostek wartościowych społecznie, wiedząc, że Centrala nie ma pieniędzy? Jeśli was razi tak łagodna forma ekspropriacji, jaką my zastosowaliśmy, to Centrala nie nadąża za potrzebami życia. Wreszcie poprosiłem o powiadomienie, kogo należy, że jesteśmy zaniepokojeni taką osobliwą formą konspiracji, która karciarzom daje możność szybkiego trafienia do najwyższych czynników w państwie.

Z utarczki tej wyszedłem zwycięsko, bo niedługo potem otrzymaliśmy z Centrali okólnik, z którego wynikało, że to, co było dotychczas naszym odchyleniem, zostało zaaprobowane, a nawet nakazane.

Po powstaniu warszawskim potrzeby pomocy społecznej były jak ocean. Pociągi przywoziły masy ludzi nieszczęśliwych, głodnych, chorych i obdartych. Byli to zarówno profesorowie uniwersytetu i rząd podziemny i inni nędzarze, którzy uszli z życiem z wielkiego pobojowiska na miejscu dawnej stolicy. Baraki przy ulicy Prądnickiej były za ciasne dla mrowia tej biedoty, potrzebującej ciepłego pożywienia, bielizny, ubrania, butów i lekarstw. Powieliliśmy wówczas odezwę, którą pisałem jak rozkaz:

Obywatele!

Kraków i dziesięć powiatów okręgu krakowskiego wyżywić muszą i odziać 150.000 uchodźców. To jest konieczność nieodparta. Na nic się nie zda stwierdzanie faktów, że miasta głodują, a wieś w łachmanach chodzi. Wieś dostarczy żywności, a miasta odzieży. Polacy wśród Polaków nie mogą umrzeć z głodu i zimna.

Jeśli celem wojny toczącej się od pięciu lat jest biologiczne wyniszczenie naszego narodu — przeto każdy Polak powinien się czuć karnym żołnierzem biorącym udział w naszej walce obronnej [...].

Z przykrością stwierdzam, że wielu obywateli, dla których wojna bywa szczęśliwą sposobnością bogacenia się lub utrzymania swego stanu posiadania, nie podporządkowało się powyższym nakazom. Dowodem tego były dotychczasowe zbiórki ciepłej odzieży przez organa RGO, które nie przyniosły spodziewanych wyników.

Wobec tego odwołuję się do waszego sumienia, które nakazuje wam, czego zrzec się powinniście na rzecz swych nieszczęśliwych rodaków. Prawo posiadania dwóch ubrań, dwóch płaszczy, dwóch par butów, czterech koszul, trzech prześcieradeł na osobę — nie jest ograniczeniem prawa własności, które by kogokolwiek krzywdziło, osobliwie w czasach, gdy niepewność losu brata nas wszystkich i gdy lada dzień wszyscy rzuceni być możemy w odmęt poniewierki i nędzy.

A zatem wzywam wszystkich, którzy posiadają ciepłą odzież, bieliznę i obuwie w ilości przekraczającej normy podane powyżej, a nadto koce i pościel, aby nadmiar ten przekazywali najbliższym placówkom RGO na rzecz uchodźców.

Nie stosujący się do tego zarządzenia będą piętnowani i osądzani przez organy sprawiedliwości podziemnej. Surowość praw wojny, do których przystosować się musimy, jako też mieszkające w nas prawo moralne uzasadniają powyższe zarządzenie.

Okręgowy Delegat Rządu

*

Na koniec kilka myśli ogólnych. Dalecy jesteśmy od bezkrytycznego uwielbiania naszego narodu za cnoty, jakie posiada, ale niemniej wolno nam w oparciu o przykłady z życia dostrzegać przepaścistą różnicę między tym, co charakteryzuje stronę nazywaną Oni, a co wyraża słowo My. Nie chodzi tu o tak zwaną etnopsychikę, która jeszcze niczego nie dowiodła naukowo, ale dostarcza pożywki szowinizmowi, chodzi tylko o propozycję podumania nad garścią faktów, wyłuskanych z rezerwuaru wspomnień z okresu okupacji.

Podczas wojny zetknęły się ze sobą dwie kultury: jedna, wywodząca się z troglodytyzmu moralnego, czerpiąca praktykę życiową ze zwyczajów ludzi dzikich i barbarzyńskich, oraz druga, która dąży do zbudowania lepszego świata w oparciu o idee poszanowania człowieka przez drugiego człowieka.

W gminie Ciepielów, powiat Iłża, 6 grudnia 1942 roku hitlerowcy, mszcząc się na chłopach za przechowywanie Żydów, spalili 33 osoby, łącznie z kobietami i dziećmi. Wydawało się

nam, że to odosobniony przypadek, podyktowany sadystyczną furią jakiegoś *sonderkommanda*. Tymczasem okazało się, że ten sposób uśmiercania ludzi stanowił dopiero początek wchodzącego w życie barbarzyńskiego systemu. Oto 12 lipca 1943 roku hitlerowcy, chcąc wyładować wściekłość na chłopach sprzyjających ruchowi partyzanckiemu, aresztowali w kieleckim Mnichowie 98 mężczyzn, wpędzili ich do kilku stodół, zamknęli i podpalili. Potem już palili ludzi, aby palić.

Dnia 7 grudnia 1944 roku wywiózł *Wehrmacht* 40 więźniów z Montelupich do Żerosławic w powiecie myślenickim i tam niektórych powiesił na drzewach przy drodze, a resztę tego transportu zamknął w stodole oraz w spichrzu dworskim i oba te budynki podpalił. A więc hitlerowcy aranżowali pandemoniczne widowiska, paląc ludzi żywcem. Sadystom znudziła się już rzeźnia ludzka w murach więzień i wśród kolczastych drutów obozów zagłady. Zapragnęli zmiany pejzażu. Do Koszarawy w powiecie żywieckim przywieziono 9 więźniów z Oświęcimia i tam ich powieszono na postrach partyzantom, których tam nie było. W tymże celu powieszono w Żabnicy 12 więźniów oświęcimskich, a w Jeleśni 10. Człowiek był dla tych zbrodniarzy tylko łachmanem, który wieszali na szubienicznym sznurze.

A jeszcze inni, naśladując *Atyllę* i krzyżaków, łowili niewolników, krępowali im ręce powrozem i przytroczywszy do konia, zmuszali, aby biegli za koniem. Kto padł z wycieńczenia, wleczony bywał po ziemi, aż odzież, mięso i kości trupów zostały poszarpane i starte na kamieniach drogi, którą zwycięzcy wracali z wyprawy. Tak za sprzyjanie partyzantom zemścili się hitlerowcy na ludności Opatowca u ujścia Dunajca do Wisły, tylko że tym razem konia zastąpiło wojskowe auto.

W tymże czasie na zachód od Opatowca, w Bejscach nad Nidzicą, Ludowy Związek Kobiet założył tajny szpital, w którym sanitariuszki Zielonego Krzyża pod kierownictwem doktora *Heczki* opiekowały się rannymi. Był to szpital oczywiście tajny. Osobliwością jego było, że na siennikach leżeli tam obok siebie ranni żołnierze niemieccy i polscy partyzanci. Gdyby hitlerowcy wpadli do Bejsc i wykryli tę instytucję charytatywną, nie ulega wątpliwości, cały personel służby zdrowia wraz z lekarzem kierownikiem, jako też ranni Polacy poszliby na rozstrzał, bo hitlerowcy ogarnięci paroksyzmem nienawiści do wszystkiego, co ludzkie, nie uznawali czynnego miłosierdzia samarytańskiego.

Zresztą uprawniałoby ich do tego tajne zarządzenie *Himmlera*, który nawet przymusowo lądujących lotników amerykańskich nakazywał mordować bez przesłuchania, a więc po bandycku, a dawał milczące zezwolenie cywilnej ludności na linczowanie rannych żołnierzy polskich.

Naprzeciw tej sponiewieranej godności człowieka wychodziło miłosierdzie nie tylko na apelach w kacetach, nie tylko w kuchniach dla głodnych dzieci, czuwało ono przy łóżkach majaczących w gorączce, a nawet na czujnych ścieżkach partyzanckich, gdzie panuje zasada: albo ja cię ujrzę wprzód i zabiję, albo ty mnie.

Było to u schyłku wojny, w lecie 1944 roku. Na zapleczu frontu niemieckiego, który naówczas usztywnił się między Jasłem a Krosnem, działały różne partyzantki, a wśród nich międzynarodowy oddział „Zawierucha — BCh" pod dowództwem Zbigniewa *Popowicza*, pseudo „Watra". Oddział ten starał się przesunąć od Bieśnika w powiecie gorlickim na zachód, ku zaporze na jeziorze rożnowskim. Ponieważ teren ten był naszpikowany gęsto placówkami wroga, „Watra" wysłał na zwiad pięciu ludzi: dwóch oficerów radzieckich, Wasyla i Aloszę, a nadto Kazimierza *Koźbiała*, Mieczysława *Dziumowicza* i Tadeusza *Grzesiaka*, pseudo „Grom". Ledwie ta piątka wsiąkła w zagajniki lasu, odezwały się głośne wezwania: Stój! *Pastoj! Hände hoch!*, a potem gęste urywane strzały. „Watra" postawił cały oddział w pogotowiu, aby w razie potrzeby pośpieszyć zwiadowcom z pomocą.

Po długiej ciszy czterej zwiadowcy wrócili i złożyli meldunek o potyczce ze zwiadem niemieckim.

— A gdzie *Grzesiak*? — zapytał „Watra".

— Pozostał, aby zająć się rannym Niemcem.

Wreszcie po długim oczekiwaniu wrócił także *Grzesiak* i zameldował, że przeniósł na plecach rannego w kolano Niemca, władował na wóz, a woźnicy nakazał, aby zawiózł go do najbliższej placówki niemieckiej, stacjonowanej w folwarku obywatela *Śmiałowskiego* w Siedliskach.

— Czy wy jesteście sanitariuszem, czy żołnierzem liniowym?

— Ależ, komendancie, nie mogłem go zostawić w lesie, bez pomocy, przecież to bliźni!

— A czy wam nie przyszło na myśl, że waszymi strzałami zaalarmowaliście placówkę wroga i mogliście się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

— To trudno! Przecież to człowiek! [23]

[23] „Watra", który o tym opowiadał, stwierdził z dumą: „Byłem ze swych żołnierzy bardzo zadowolony. Nie wiem, czy którykolwiek oddział niemiecki zdobyłby się na podobny gest samarytański".

KAZIMIERZ SZCZERBOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim I nr 154

Kraków

Wspomnienia pierwszego pisarza „rewiru" oświęcimskiego

Z bramy dawnego magazynu Monopolu Tytoniowego, którego budynki zajął niedawno założony obóz oświęcimski, wysunęła się szczupła postać w pasiaku i w granatowym berecie na głowie. „Pasiak" dyskretnie podszedł do wrzeszczącego esesmana i zatrzymał się w przyzwoitej odległości, ale dostatecznie blisko, aby być słyszanym. Przepisowym, wprawnym ruchem zdjął beret i z lekkim grymasem na bladej, pociągłej twarzy przedstawił oprawcy cel swego przybycia. Następnie obaj podeszli do zastygłej w bezruchu grupy więźniów w cywilnych ubraniach. Padło pytanie: *Wer hat Schönschrift und kann maschinenschreiben*? Trzech więźniów podniosło rękę. Po chwili zniknęli oni za „pasiakiem" w bramie budynku. Pozostawili za sobą obłędną musztrę, ćwiczenia nękające do ostatniego tchu oraz wrzaski esesmana.

W gmachu było cicho i chłodno. Wspomniani więźniowie szli szeroką klatką schodową za nieskazitelnie czystym „pasiakiem". Na drugim piętrze zostali wprowadzeni do dużego, jasnego pokoju. Naprzeciw wejścia, za długim stołem siedział drugi „pasiak". Był to mężczyzna o pomarszczonej, surowej twarzy i o zimnym, obojętnym spojrzeniu. Przybyli zajęli miejsca siedzące. Bez słowa wstępu przystąpiono do egzaminu. Określenia z dziedziny medycyny padały w tempie raczej szybkim i w mieszaninie niemiecko-łacińskiej. Trudny był ten egzamin o życie. Cała trójka doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji, w której miał przeżyć ten, kto zda. Każdy chciał zyskać tę możliwość. Wygrać stawkę mógł jednak tylko jeden z nich. Nieśmiało próbowali tłumaczyć pewną niesprawność we władaniu piórem wielomiesięcznym pobytem w więzieniu, ale egzaminujący był bezwzględny. Wreszcie zamilkł. Otrzymali polecenie wyjścia na korytarz. Czekać! To oczekiwanie było jeszcze bardziej denerwujące. W skroniach waliły młoty na alarm. Wreszcie uchyliły się drzwi i nienagannie czysty „pasiak" wezwał jednego z nich do środka. Pozostali dwaj musieli odejść. Radość i rozpacz.

Przez ćwierć wieku fakt ten opowiadałem podobnie. Opisuję go jednak po raz pierwszy. Jest to maleńki epizod z dziejów szpitala w obozie oświęcimskim. Na ich temat powstała już dość spora literatura, zwłaszcza z ostatnich lat istnienia tamtejszych „rewirów". Nakreślone zdarzenie sięga najwcześniejszego okresu istnienia Oświęcimia I i opisanej okoliczności zawdzięczam, że pierwszym „szrajberem" (pisarzem) *Häftlingsrevieru* (nazwa *Häftlingskrankenbau, HKB* została nadana dopiero później) stałem się w trzecim dniu pobytu w obozie. „Pasiak", który pełnił wówczas funkcję „kapo rewiru", wprowadził mnie po egzaminie do małego pokoju.

Pokój, w którym się znalazłem, wydał mi się po koszmarze musztry prawie nierealny. Nie wolno mi było podchodzić do okna. Jakiś czas stałem więc w przeciwległym kącie, ciesząc się świadomością, że udało mi się dostać pracę w takich idealnych warunkach. Wreszcie przemogłem lęk i wbrew zakazowi podszedłem do okna. Dyskretnie spojrzałem w dół. Musiałem sprawdzić, czy tamten świat jeszcze istnieje i czy ten, w którym się znalazłem, jest realny. Potem usiadłem na krześle przy pustym stole i kontemplowałem swoją nową sytuację.

Po jakimś czasie „pasiak" zjawił się ponownie i zaprowadził mnie do sali, w której poznałem załogę „rewiru". Byli to pierwsi sanitariusze: dr Stefan *Pizło* (nr obozowy 333), Józef *Hordyński*, Roman *Sediwy*, Henryk *Sieniawski* (191), Czesław *Sowul* (167), Feliks *Walentynowicz* (49).

Ambulatorium była sala na drugim piętrze potężnego budynku, w którym zakwaterowano pierwszy transport więźniów skierowanych do Oświęcimia. Była obszerna i jasna. Wyposażenie ambulatorium, więcej niż skromne, składało się z sepso, ichtiolsalbe, zinksalbe, prontosilu, riwanolu, leukoplastu, hansaplastu oraz bandaży, kilku szpatułek do maści, kieliszka do przemywania oka i jednej pary nożyczek. Równie skromne były też usługi. Na szczęście niewielka w pierwszych dniach liczba chorych, zgłaszających się do ambulatorium, upraszczała pracę sanitariuszy. Przeważnie były to drobne okaleczenia, otarcia lub zwichnięcia, powodowane ćwiczeniami i gęsto padającymi razami.

Wkrótce jednak repertuar chorób wzbogacił się o *Sonnenstich*. Zjawiali się w ambulatorium więźniowie ze zniekształconymi głowami. Ogolone głowy, narażone przez cały dzień na promieniowanie czerwcowego słońca, obrzmiewały w zastraszający sposób. Zgłaszali się również więźniowie bez widocznych obrażeń, ale za to chorzy na serce czy wątrobę, z dolegliwościami datującymi się jeszcze z wolności. Liczyli oni na przyjęcie do szpitala, a tym samym na uniknięcie przeklętej musz-

try i bicia. Niestety, bez powodzenia. „Kapo" odprawiał ich z miejsca, oświadczając, że to nie sanatorium. Rozkaz *Himmlera* z końca kwietnia 1940 roku nie przewidywał bowiem w tym miejscu urządzenia sanatorium; miejsce to zostało przeznaczone na *Schutzhaftlager für Vorbeugungshäftlinge*, ale i ten szyld został wkrótce zmieniony na *Konzentrationslager*.

Był jednak moment, że zanosiło się na warunki prawie sanatoryjne. Funkcje *lagerarzta* i *standortarzta* pełnił w tym czasie *Hauptsturmführer SS, Max Popiersch*. Jego zastępcą był profesor antropologii *obersturmführer SS*, dr *Mayer*. Funkcje *SDG* sprawował *rottenführer SS, Hans Theuer*. *Herr Professor* z miejsca przystąpił do zakrojonej na dużą skalę pracy naukowej, którą zamierzał sprytnie połączyć z obowiązkami lekarza obozowego. Zlecił mianowicie „kapo rewiru" *Hansowi Bockowi* wyszukanie wśród więźniów kilku zdolnych artystów malarzy i rysowników w celu sporządzenia rysunków wybranych przez niego osobników. Ponadto podyktował około dwustu pomiarów, które należało wykonać u każdego więźnia przebywającego w obozie.

Wyobrażałem sobie już cały sztab ludzi zatrudnionych przy tej żmudnej pracy. *Mayer* zapowiedział również swój osobisty udział w przyjmowaniu każdego nowego transportu więźniów. Nie czekaliśmy długo. W dniu 20 czerwca 1940 roku pod bramą „kwarantanny" stanął transport z Wiśnicza. *Herr Professor* obejrzał dokładnie z każdej strony 313 więźniów. Interesował się każdą nieregularnością budowy, każdą blizną, czy znakiem szczególnym. Sporządzałem przy każdym niemal nazwisku odpowiednie notatki. Prawdziwą ucztę sprawił mu Żyd, Dawid *Wongczewski*. Nieludzko skatowany przez strażników więzienia w Wiśniczu i oprawców spod znaku *SS*, zaprezentował chciwemu naukowcowi dodatkowo w całej okazałości wypadnięcie kiszki stolcowej, z zaawansowaną martwicą. Ustawiony na specjalnie przyniesionym do tego celu stole, *Wongczewski* był przedmiotem szczególnych oględzin przez około 20 minut. Profesor polecił chorego przyjąć na „rewir", a następnie skopiować całą postać w kolorze i w ołówku.

Sporządzone w tym dniu notatki stanowiły wstęp do prac, jakie miały dopiero nastąpić. Nie nastąpiły jednak. *Obersturmführera Mayera* nie zobaczyliśmy nigdy więcej. Jego naukowe plany wyzyskania więźniów w badaniach antropologicznych nie znalazły uznania kierownictwa obozu. *Hauptsturmführer Popiersch* jako jego bezpośredni przełożony skwitował fakt usunięcia profesora ze stanowiska *lagerarzta* ironiczną uwagą. W ten sposób rozwiały się nadzieje na warunki prawie sanatoryjne, spodziewane przynajmniej na okres trwania badań zaciekłego antropologa.

Po kilku dniach w czerwcowe popołudnie odszedł w kierunku miasta, oczywiście w asyście esesmana, pierwszy więzień zwolniony z obozu oświęcimskiego, kolega *Śnieżek*. Fakt ten dodał nam wszystkim otuchy. Wierzyliśmy bowiem, że wkrótce zostaniemy i my stąd zwolnieni. Nadzieją tą łudziliśmy się przez jakiś czas. W miarę przedłużania się pobytu w obozie nadzieja ta jednak bladła coraz bardziej.

Pierwszy transport kończył swój okres kwarantanny. Grupami przenoszono więźniów na teren właściwego obozu. Personel „rewiru" wraz z zaledwie kilkoma chorymi przeprowadził się do nowego bloku pod koniec czerwca. W tym czasie zdążyliśmy poznać *lagerführera* Karola *Fritzscha, rapportführera Gerharda Palitzscha* oraz *unterscharführerów Schlagego, Wlokę* i *Plaggego*. Osławili się oni od pierwszego dnia obozu. Od razu dali pokaz „właściwego" stosunku do więźnia i przykład swoim młodszym kolegom, jak należy się z nami obchodzić. Zła sława tych esesowców, należących do największych oprawców Oświęcimia, rosła z każdym dniem. Byli postrachem dla więźniów. Chełpili się tym, stosując coraz bardziej wyszukane metody znęcania się. Spośród zbrodniarzy w pasiakach, rekrutujących się z zawodowych przestępców niemieckich, błysnął wściekłą wprost nienawiścią superbandyta *Leo Witschorek*. Sadysta ten przeszedł wkrótce swych mistrzów.

HKB, czyli przeznaczony na *Häftlingskrankenbau* blok 16, miał kilka sal mniejszych i większych. Ambulatorium umieszczono po przeprowadzce w drugiej sali na prawo. W pierwszym pokoiku przed ambulatorium zainstalował się „kapo rewiru", późniejszy blokowy *HKB, Hans Bock*. Pozostałe sale przeznaczono na pomieszczenia dla personelu i przyszłych chorych. Podówczas obóz dysponował tylko jedną studnią, która służyła do mycia dla przeszło tysiąca więźniów, oraz latryną usytuowaną między blokiem 14 a 15. Tuż po pobudce „kapo" i blokowi przepędzali więźniów pod studnię, a w powrotnej drodze sprawdzali, czy każdy zdążył się umyć. Oczywiście nie było w tym tłoku mowy o normalnym myciu. Więźniowie, ale i to nie wszyscy, zwilżali tylko twarz namoczoną ręką, aby uchronić się przed biciem. Ryzykanci przemykali się między rozstawionymi oprawcami, nie zawsze jednak szczęśliwie. Unikając mycia i bicia, powoli zarastali brudem.

Korzystanie z latryny, o ograniczonej przepustowości, gromadziło dookoła coraz większe grupy potrzebujących. Tymczasem szczęśliwcy w środku załatwiali również mnóstwo innych spraw, łącznie z informacjami o sytuacji politycznej na świecie. Od czasu do czasu wpadał w to zgromadzenie rozjuszony „kapo", grzmocąc na lewo i prawo. Wkrótce jednak wszystko wracało do „normy". Latryna spełniała wówczas również funkcję palarni. W obozie w pierwszych tygodniach obowiązywał zakaz palenia papierosów. Tymczasem z latryny wszystkimi szczelinami wydobywał się dym. Skąd więźniowie „organizowali" tytoń i czy to naprawdę był tytoń, to już inna sprawa. Sam fakt palenia w latrynie nie był jednak ścigany. Po jakimś czasie zezwolono oficjalnie na palenie.

Prymitywne warunki od samego początku doprowadzały do coraz gorszego stanu higieny obozowej. Z dnia na dzień rosła liczba zgłaszających się do ambulatorium. Pojawiły się wszy i świerzb. Zastosowana dezynsekcja tylko w niewielkim stopniu i na krótko zmniejszyła liczbę zawszonych. W dezynsektorach ginęły wprawdzie wszy, ale pozostawały jaja, które w cieple ludzkiego ciała dojrzewały bez przeszkód. Za pierwszą wesz znalezioną po dezynsekcji szczęśliwy znalazca otrzymał w nagrodę bochenek chleba, premię wprost niewymiernej wartości. Następny, meldujący się z żywą wszą zainkasował już 25 uderzeń na gołe pośladki.

Codziennie obok „rewiru" gromadziła się w tym czasie potężna grupa nagich więźniów, nacierających się słynną *krätzesalbe*. Mitigal mogli stosować tylko uprzywilejowani.

Rozpoczęte prace (*Abbruchkommando*) na terenie miasta oraz w obrębie grup budowlanych w obozie coraz częściej powodowały wypadki przy pracy. W ambulatorium zgłaszali się więźniowie ze złamanymi kończynami. Jednym z pierwszych był siwiuteńki Stanisław *Mróz*, redaktor z Krakowa. Poszkodowani zatajali przyczynę. Przedstawiane przez nich okoliczności były naiwne i oczywiście nieprawdziwe. Wkrótce poznaliśmy prawdę. Podczas transportu cegieł na rozbudowę obozu każde uchybienie powodowało bicie drągiem, gdzie popadło. Wejście na blok z cegłą po prowizorycznych schodach było karkołomne. Po złożeniu cegły ewakuacja następowała przez okno. Skok z pierwszego piętra nie dla każdego kończył się szczęśliwie. Ambulatorium nie miało odpowiednich warunków na leczenie złamań, a tylko prowizoryczne zabezpieczenie i wypełnienie ośmiostronicowego *Unfallmeldung*. *Lagerarzt* interweniował i chorzy ze złamanymi kończynami wyjechali karetką sanitarną, konwojowani przez esesmanów, do szpitala w Gross-Strehlitz. Muszę przyznać, że zaskoczyło nas to nielicho. Nikt nie dochodził, dlaczego tym ludziom łamią ręce, ale podejmowano wiele zabiegów i starań w celu ich wyleczenia. Takich paradoksów mieliśmy coraz więcej.

Unfallmeldung w swojej rozbudowanej formie przewidywał kolejne wizyty u lekarza. Jeździli więc nasi „wypadkowicze" do kolejnych przeglądów, prześwietleń czy zdjęć gipsu. Wyjazdy trwały aż do ucieczki „kapo" krawców, *Meiera*, tj. do sierpnia 1940 roku. Sprytny „kapo", obarczony licznymi prywatnymi zleceniami oficerów *SS*, uciekł pilnującemu go *SDG*, *Barze*. Wkrótce *Popiersch* wydał mi polecenie wstrzymania dokumentacji dotyczącej wypadków przy pracy.

Sąsiadujące z sobą bloki 14, 15 i 16 zostały otoczone drutem kolczastym i wydzielone z obozu na kwarantannę dla nowych transportów. Obowiązki „kapo" kwarantanny pełnił *Leo Witschorek*, zbrodniarz z zawodu, sadysta z zamiłowania. Przez kwarantannę przeszło kilka kolejnych transportów. Twardą szkołę *Witschorka* i *unterscharführera Plaggego* zaliczyło kilkuset więźniów. Przed likwidacją kwarantanny *Leo* zdążył powiesić kilku więźniów, pozorując samobójstwo. Jego przełożony, *Plagge*, „spec" od gimnastyki obozowej, wykańczał swoje ofiary inną metodą. Zawsze pogodny, uśmiechnięty, półgłosem wydawał swoje komendy. Nigdy nie bił, tylko ćwiczył. Pierwszą jego ofiarą był więzień z Krakowa, *Fischhab*. Tracących przytomność trzeźwił w korycie pod pompą. W przerwie obiadowej ustawiał do wyschnięcia na słońcu. Wykonywał tę „robotę" z miłym uśmiechem, jak gdyby żartował.

W drugiej połowie sierpnia kwarantanna została zlikwidowana. Resztę więźniów przeniesiono do sąsiednich bloków. Wszystkie trzy bloki dawnej kwarantanny pozostały w gestii „rewiru", zwanego odtąd *Häftlingskrankenbau*. W tym okresie zwiększyła się liczba personelu. W szeregi sanitariuszy przyjęto dra Edwarda *Nowaka*, studenta stomatologii Tadeusza *Wójcika*, Mieczysława i Adama *Dembowskich*, Mariana *Batkowskiego*, Mariana *Dybusa*, Romana *Klimczyka*, Ryszarda *Kwokę*.

W nocy z 6 na 7 lipca 1940 roku w czasie słynnego wielogodzinnego apelu, spowodowanego ucieczką więźnia *Wiejowskiego*, szpital zarejestrował pierwszy wypadek śmierci. W czasie tej ponurej nocy Dawid *Wongczewski* stracił przytomność. Blokowy polecił wynieść chorego do klozetu. Agonia trwała przez kilka godzin. Jęki konającego nasilały grozę tej i tak już okropnej sytuacji. W godzinach przedpołudniowych *hauptsturmführer Popiersch* osobiście podyktował mi pierwszy *Kommandanturbericht* i nieodłączny *Todesbescheinigung*. Powstały wówczas pierwowzory sprawozdań, które w podobnej formie i treści uwielokrotniły się w setkach tysięcy egzemplarzy.

Opracowanie następnych sprawozdań *lagerarzt* zlecił lekarzowi Leonowi *Głogowskiemu*, którego jako fachowca władającego biegle językiem niemieckim zatrudniono w kancelarii szpitala. Od tej chwili zwiększał się zakres pracy administracyjnej. Od dotychczasowego rejestrowania tylko ambulatoryjnie załatwianych przeszliśmy do organizowania typowej kancelarii szpitala obozowego według „najlepszych" wzorów *musterlagru* w Sachsenhausen. Za wprowadzenie odpowiednich wzorów pełnej dokumentacji był odpowiedzialny w „rewirze" *SS oberscharführer Anton Wilhelmi*. On też prawie codziennie wtajemniczał mnie w nowe obowiązki.

Założono aktualną kartotekę wszystkich więźniów na podstawie dostarczonych do szpitala kwestionariuszy osobowych, sporządzanych dla każdego więźnia w bloku natychmiast po przyjściu do obozu. Stolarnia wykonała specjalne szafy i stoły na kartotekę. W celu stałej łączności z „rewirem" *SS* zainstalowano na moim biurku telefon, wówczas jedyny chyba aparat w obozie. Rozwijający się zakres pracy kancelarii szpitala spowodował oczywiście zwiększenie naboru sił fachowych. I tak oprócz Leona *Głogowskiego* obowiązki

pisarzy pełnili Wojciech *Barcz*, Jerzy *Czubak*, Jan *Szary* i w ambulatorium Roman *Gabryszewski*, Zbigniew *Rybka*, Alfred *Stössel* i Adam *Wysocki*. W kancelarii szpitala pracowali przejściowo aż do czasu zwolnienia z obozu koledzy *Grabiński*, adwokat z Warszawy, *Fischinger* z Krakowa oraz przyjęci w okresie późniejszym koledzy Tadeusz *Paris* (9585), Adam *Zacharski* (18239) i Stefan *Frolik* (684).

Poszczególne wypadki śmierci nie stwarzały w pierwszym okresie spiętrzenia prac w kancelarii szpitala. Niewielka również liczba chorych nie komplikowała toku zajęć personelu, który większość swych obowiązków poświęcał utrzymaniu porządku i czystości. Wiele sal w blokach wchodzących w rejon szpitala świeciło pustką. Sytuacja ta zmieniła się w sposób zasadniczy dopiero w jesieni 1940 roku. Tymczasem dotychczasową salę ambulatoryjną, mieszczącą się w bloku 16, przeobrażono w bardzo prymitywnie wyposażoną salę operacyjną. Za stołem operacyjnym stanął nowo przyjęty fachowiec, więzień dr Tadeusz *Gąsiorowski*. Ambulatorium przeniesiono na blok 15, do pomieszczenia pierwszego na lewo. Liczba sanitariuszy powiększyła się o nowe nazwiska. Byli to Teofil *Banasiuk*, Ludwik *Bas*, dr Władysław *Dering*, Marian *Dupont*, Marian *Kieliszek*, Witold *Kosztowny*, Eugeniusz *Obojski*, Mieczysław *Pańszczyk*, dr Stanisław *Suliborski*, Marian *Toliński*, Józef *Walczak*, Nicet *Włodarski* i pierwszy aptekarz, Franciszek *Lechowicz* z Zakopanego.

Pod koniec roku szpital przejął dodatkowo blok 28, w którym pomieszczono ambulatorium oraz oddział wewnętrzny, a w okresie późniejszym uruchomiono laboratorium do badań analitycznych, pokój rentgena i kuchnię dietetyczną. Tymczasem jednak szpital w swej pierwotnej fazie przypominał wojskową izbę chorych ze ściśle ograniczonymi środkami i metodami leczenia, przy maksymalnej dyscyplinie i „drylu".

Za właściwą pracę w *HKB* był odpowiedzialny blokowy *Hans Bock*, więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych już od początku ich istnienia, tj. od roku 1933, *berufsverbrecher*. Ta groźna etykieta w tym wypadku pozostała tylko etykietą, bądź w nomenklaturze obozowej „winklem". *Bock* pracował już w szpitalu w *KL* Sachsenhausen. Uważał się więc za fachowca w tej dziedzinie, a w każdym razie za dobrze zorientowanego. Był zdecydowanie najbardziej ludzki spośród trzydziestu „kapo", przywiezionych do Oświęcimia w celu zaprowadzenia obozowego „drylu". Był, jak zresztą piszą koledzy z okresu lat późniejszych, narkomanem i homoseksualistą: jeśli tak, to bardzo dyskretnym. Osobiście nie stwierdziłem tych „odchyleń" od normy. Może pojawiły się one później. Zresztą w obozie wykoleiło się wielu innych więźniów mimo krótszego stażu obozowego. W normalnej, codziennej pracy *Bock* był jednak normalny, a przede wszystkim czujny i dbały o chorych i personel. Osobiście decydował o każdym przyjęciu do szpitala. Podpisywał tzw. *Aufnahme*. Był odpowiedzialny za szpital na każdym jego odcinku. Interesował się każdym chorym; z czasem pozostawił większą swobodę lekarzom-Polakom. Uznał przewagę wiedzy fachowej. Od tego czasu interweniował tylko w nielicznych wypadkach. Był na pewno gorliwy, chciał awansować. Niebawem też uzyskał wysoki stopień w hierarchii obozowej, *lagerältestera HKB*.

Osobowość *Bocka* miała na pewno wpływ na ukształtowanie się warunków pracy w szpitalu. Spośród wielu placówek obozowych szpital był na pewno wyjątkowy. Przede wszystkim panował tutaj niepodzielnie język polski, natomiast gdzie indziej mówiono tylko po niemiecku. Pozornie przypadkowy dobór personelu zgromadził większość znajomych, nawet więźniów kolegów jeszcze z wolności, czy z ławy szkolnej. Najliczniej reprezentowany był Kraków, Zakopane, Nowy Sącz. Koleżeńskie i naprawdę przyjacielskie stosunki zapanowały już od pierwszego dnia.

W większości byli to ludzie młodzi. Seniorem tej grupy był dr Stefan *Pizło* (333). Z racji swego wieku i pełnionego urzędu traktował on wszystkich po ojcowsku. Był pierwszym lekarzem „rewiru". Później zastąpiono go lekarzami młodszymi. *Pizło* przejął opiekę nad chorymi na gruźlicę. Spał razem ze swoimi podopiecznymi. Całkowicie oddany swej pracy, tylko w koniecznych wypadkach kontaktował się z pozostałymi kolegami. Podobnie szczerze oddany chorym był blisko o połowę młodszy dr Edward *Nowak*. Równie cichy i pracowity, był niemal niewidoczny i dlatego wielu kolegów prawie go nie pamięta. Ze szczególną pieczołowitością leczył dość liczną grupkę wenerycznie chorych i innych, których z podziału pracy mu przydzielono.

Wszyscy zatrudnieni w „rewirze" byli zajęci praktycznie od porannej pobudki do wieczornego apelu z niewielką przerwą w porze obiadowej, toteż niewiele czasu zostawało na koleżeńskie pogawędki, czy rozmowy. Łączyła nas wspólna salka przeznaczona na spoczynek. Młodsi wytrzymywali lepiej trudy dnia codziennego i powoli oswajali się z nowymi warunkami. Szpital, wyłączony z reszty obozu zakazem wstępu *für jedermann*, żył życiem wewnętrznym, toteż panował tam klimat odmienny niż w pozostałych blokach otwartych. Nieporównanie lepsze warunki bytowania, własne łóżko i praca „pod dachem", ten szczyt marzeń każdego więźnia, wyróżniły personel „rewiru" spośród szeregowych więźniów obozu i zakwalifikowały zgodnie ze słownictwem obozowym do grupy „prominentów".

*

Treść tej relacji została skonsultowana z byłymi więźniami, kolegami Mieczysławem *Dembowskim*, Józefem *Hordyńskim*, Tadeuszem *Parisem* i Romanem *Sediwym*.

LEON GŁOGOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 1281

Katowice

Epizod z obozu oświęcimskiego

Już dwa tygodnie pełniłem kilka funkcji równocześnie. Byłem pisarzem w bloku szpitalnym, lekarzem oddziału chorób wewnętrznych, lekarzem ambulatorium chirurgicznego, prowadziłem prace w laboratorium i w „rentgenie". Byłem nawet tragarzem trupów. Codziennie miałem dużo przeżyć. Obecnie, gdy w Niemczech zachodnich niektóre czynniki dążą do wymazywania z pamięci lub do pomniejszania i usprawiedliwienia zbrodni hitlerowskich, a tamtejsza siła militarna rośnie i dąży do uzbrojenia nuklearnego, przypominają mi się słowa szykanowanego przez pruską reakcję poety niemieckiego, Henryka *Heinego: Denk ich an Deutschland in der Nacht, so bin ich um den Schlaf gebracht* (gdy myślę nocą o Niemczech, wybijam się ze snu).

Nic więc dziwnego, że całkowicie przychylam się do stanowiska tych, którzy rozumieją potrzebę poszerzania i pogłębiania dokumentacji dotyczącej faszyzmu hitlerowskiego. Świadkowie wydarzeń z czasów nazistowskich powinni jak najczęściej zabierać głos. Do ogłoszonych już moich relacji w ubiegłych latach w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" pragnę dorzucić jeszcze jedną. W pamięci utkwił mi dzień 19 lipca 1940 roku, kiedy przywieziono do obozu oświęcimskiego autami ciężarowymi transport z więzienia przy ul Montelupich w Krakowie. Było to około 70 więźniów, o których mówiono, że są oficerami polskimi i że jest to „świeży towar".

Zaledwie przekroczyli bramę z napisem *Arbeit macht frei*, popędzono ich krzykiem i biciem na plac pokryty żwirem. Tam zaznajomiono ich z regulaminem i porządkiem obozowym, ostrzyżono i zupełnie nagich zagnano do studni. Dla rozweselenia esesmanów bito przybyłych pałką. Studnia znajdowała się obok mojego bloku, z którego śledziłem wydarzenia. Obok studni stało podłużne koryto drewniane, napełnione wodą. Każdy musiał położyć się do wody, przy czym „kapo" *Leo* kilkakrotnie zanurzył głowę więźnia pod wodę. Na dodatek po „kąpieli" każdy dostał pałką na odchodnym.

Po tej przymusowej kąpieli wszyscy stali obok mego bloku w upale słonecznym. Butów nie dostali, tylko pasiaki. Zaczęło się znęcanie. Kilka godzin musieli uprawiać „sport", który boso był tym bardziej dotkliwy. Bez przerwy ich przeganiano (*hüpfen, kniebeugen, rollen, im Laufschritt, los, los*). Niektórzy się załamali. Gdy któryś zemdlał i nie mógł wstać, oblewano go wiadrem wody. Jednego z nich „kapo" wrzucił do koryta pełnego wody i tak długo trzymał w niej zanurzonego, aż wyzionął ducha. Więźniowie z tego nowego *zugangu* nie dostali obiadu. Jeśli tylko prosili, by dano im coś do picia, dostawali pałką po głowie. Po południu znów zaczął się „sport" w skwarnym powietrzu, a potem zdarzyło się coś, co przeżyłem po raz pierwszy. Mianowicie obok mojego bloku postawiono przedmiot, którego przedtem nie oglądałem. Nazywał się „*Bock*"; był to specjalnie skonstruowany kozioł. Wkrótce zjawiła się cała świta z komendantury obozowej. *Lagerführer* oznajmił, że nawet najmniejsze wykroczenie w obozie będzie karane i ażeby mieli jakieś pojęcie o tym, każdy ma „skosztować" (*Kostprobe*). Pierwszy był więzień nr 1398, położył się niezręcznie na koźle, dwaj esesmani podciągnęli go całkiem do góry, zdjęli mu spodnie i bili z prawej i lewej strony. Używali do tego celu pałek wierzbowych, które poprzednio całą dobę zmiękczali w osolonej wodzie. Każdy otrzymał 25 batów, które równocześnie musiał liczyć. Gdy się pomylił, procedura zaczynała się od nowa. Scena ta przypomniała mi jakiś obraz z dawno czytanej książki o handlu niewolnikami, gdzie w podobny sposób opisywano traktowanie czarnych niewolników za drobne przewinienia.

Niezauważony obserwowałem to wszystko przez okno bloku szpitalnego. Widok był okropny i świadczył o zwyrodnieniu oprawców, którzy pozbawili więźniów godności ludzkiej. Po chłoście każdy musiał zameldować, że otrzymał 25 razów i że za to dziękuje. Ten meldunek kwitowano kopniakiem i ironicznym rozkazem: „*Weg, du Schwein!*" (Precz, ty świnio!).

Już podczas chłosty przewidywałem, że zacznie się dla mnie praca w ambulatorium. Przygotowałem profilaktycznie środki dezynfekujące. Po wymierzeniu każdemu chłosty wszyscy musieli się ustawić wzdłuż ściany bloku szpitalnego, ściągnąć spodnie i przechylić się do przodu. Na wołanie komendanta „*Pfleger vom Revier!*" wybiegłem, zgłosiłem się i otrzymałem rozkaz, żeby pośladki pobitych smarować jodyną. Oprócz jodyny miałem przygotowane specjalne kleszcze z watą (*Kornzange mit Wattebausch*). Pośladki, które widziałem, sprawiały wstrząsające wrażenie; były obrzękłe, grube, jak galareta, sine, popękane, krwawiące. Obliczyłem, że dla tych 70 więźniów nie wystarczy mi jodyny. W dodatku reakcja pierwszego więźnia z powodu bólu była tak gwałtowna, że się przeraziłem. Słysząc przekleństwa, współczułem i zdecydowanie odstąpiłem od smarowania pośladków jodyną. Szybko pobiegłem z powrotem do ambulatorium i wziąłem inny środek dezynfekcyjny pod nazwą „sepso", jeszcze go nieco rozcieńczyłem, aby mieć odpowiednią ilość i już teraz smarowanie dało łagodniejszą reakcję ze strony więźniów.

Piąty lub szósty więzień zareagował na sma-

rowanie przekleństwem w języku niemieckim. Zapytałem, czy jest *reichsdeutscherem.* Nie zrozumiał po polsku, trzeba było z nim rozmawiać po niemiecku. Zainteresował mnie i prosiłem, ażeby się jeszcze ze mną zobaczył.

Zdążyłem wszystkie pośladki pobieżnie posmarować wspomnianym płynem. Pierwszy raz zabieg ten robiłem masowo. Psychicznie przeżyłem to dotkliwie. Następnie więźniowie zostali odkomenderowani z powrotem na plac apelowy, na „sport", gimnastykę i też przymusowy śpiew. Mój *lagerältester* (*Hans Bock*) uprzedził, że czeka mnie robota i że mam się przygotować w ambulatorium chirurgicznym. Rzeczywiście już nazajutrz masowo zjawili się więźniowie, ostrożnie chodzili boso, jęcząc głośno i włócząc nogami. Okazało się, że nie tylko pośladki trzeba było leczyć, ale przede wszystkim stopy. Podeszwy były zupełnie zdarte, czerwone i krwawiące. Kazałem myć nogi, potem nałożyłem opatrunek. Dysponowałem tylko opaskami papierowymi. Opatrunek, właściwie nieodpowiedni, wystarczył tylko na kilka godzin, bo więźniowie nie mieli obuwia i chodzili boso.

Zrobiłem zapotrzebowanie na materiał opatrunkowy do *SS-Revieru.* Zapotrzebowanie obliczyłem według liczby chorych. Ponieważ ilość zamówionego materiału była nie do zrealizowania, przyszedł osobiście *lagerarzt, hauptsturmbannführer* dr *Popiersch,* wówczas najwyższy rangą w obozie. Widocznie i on jeszcze nie widział tak rozszarpanych nóg. Przeklinał marnotrawstwo materiału i zakazał dalszej gimnastyki po żwirze. Przynajmniej tyle ulżył więźniom. Mimo to praca w ambulatorium stale wzrastała; dostałem tam pomocnika, a po kilku dniach ambulatorium przejął kolega, dr Tadeusz *Gąsiorowski.* Pracy miał bardzo dużo.

Szpital obozowy otrzymał dodatkowo blok wypoczynkowy (*Schonungsblock*). Tam ulokowano chorych na biegunkę oraz zakażonych z powodu przedartych stóp. Zakażenie drogą limfatyczną zajęło u niektórych już podudzia; doszło do bardzo rozległej ropowicy. W szpitalu i w *schonungsblocku* u każdego chorego mierzyłem gorączkę, zapisywałem na karcie choroby, robiłem notatki, ile było stolców i jakie lekarstwo zaaplikowano. Przy tej czynności spotkałem się znowu ze wspomnianym więźniem niemieckim. W rozmowie nie bardzo mi chciał wyjaśnić, na czym polegał jego grzech śmiertelny, że się tutaj znalazł jako zwyczajny *häftling* polityczny z czerwonym trójkątem. Wszyscy inni Niemcy byli „kapami" i zajmowali jakieś stanowisko.

Reflektantów do *schonungsblocku* było dużo, a miejsc mało. Gdy tylko ktoś wyzdrowiał, to już inny czekał na to miejsce. Znajomy Niemiec, Emil *de Martini,* leżał już kilka dni i miał stale na karcie chorobowej odnotowaną wysoką gorączkę. Ażeby się upewnić, czy to prawda, zrobiłem kontrolę i włożyłem mu pod każdą pachę jeden termometr. Emil *de Martini* niespokojnie na mnie patrzył, wiedział bowiem, że gorączki już nie ma, a *durchfall* się poprawia i przedarte stopy się goją. Osobiście nie chciałem go zdradzić i szkodzić mu. Oznajmiłem więc tylko, że jutro gorączka powinna być nieco mniejsza. Na tyle uprzejmości ze strony Polaka nie liczył on i wyraźnie przyjaznym spojrzeniem popatrzył na mnie i podziękował. Po tygodniu opuścił *schonungsblock.*

Zyskałem przyjaciela i to Niemca. Uratowałem człowieka, który zaraz po wojnie wydał broszurkę pod tytułem *„Vier Milionen Tote klagen an",* oskarżającą przywódców faszystowskich o ludobójstwo. Opisując gehennę oświęcimską, był jednym z pierwszych autorów w Niemczech w tym zakresie. Jako jedyny Niemiec w tym transporcie Emil *de Martini* nie sprzeciwia się, że wymieniłem jego nazwisko. Pół żartem, dla ścisłości prosi o zmianę, że mianowicie dostał nie 25, ale 30 uderzeń w pośladki. Przed południem podczas „sportu" zdenerwował *scharführera,* bo z przemęczenia zasłabł. Gdy ten go teraz widział przy koźle, powiedział: to jest ten długi dryblas, on mnie zdenerwował przy „sporcie", dostanie za to 5 więcej. I tak się stało. Następnego dnia *de Martini,* zmaltretowany przez *lagerältestera Leona,* znowu zasłabł. Pielęgniarz Czesiek przeniósł go do szpitala. *Lagerarzt* dr *Popiersch* obserwował załamanie się więźnia, *Martini* otrzymał 3 dni odpoczynku i po zwolnieniu z *schonungsblocku* karteczkę od doktora ze skierowaniem do lekkiej pracy. Na „lagrze" z powodu tej karteczki znowu dostał lanie od *lagerältestera Leona,* który nazwał go obijaczem (*Drückeberger*) i leniwym psem. Kolega *Martini* wskutek „sportu" zniszczył zdrowe serce, dostał wielkich obrzęków nóg i potem owrzodzenia podudzi.

Opisany epizod wymownie pokazuje, jak przedstawiał się „ceremoniał powitalny" w obozie w wykonaniu hitlerowskim.

EUGENIUSZ NIEDOJADŁO
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim I i III nr 213

Tarnów

Moje dwie rocznice oświęcimskie

W chwilach wzniosłych i szczególnie nastrojowych wracamy do naszych najgłębszych i najstraszniejszych wspomnień. Obecnie, po upływie ćwierćwiecza od ostatniego okresu istnienia obozu Oświęcim-Brzezinka, niektóre przełomowe rocznice układają się w okrągłych liczbach lat. Nie tylko dla mnie, lecz także dla innych byłych więźniów ważne są tutaj między innymi rocznice odnoszące się do uwięzienia oraz do wyzwolenia. One to zamykają jak gdyby klamrami „epopeję lagrową", na temat której narasta coraz więcej wspomnień. Przed 5 laty przeżywaliśmy taką wzniosłą chwilę w 25 rocznicę wywiezienia pierwszego transportu z więzienia tarnowskiego na oświęcimską rampę. Za naszym, pierwszym transportem poszły inne. W roku 1970 przypadają dla mnie dwie rocznice, mianowicie 3 maja 30 rocznica aresztowania, a 18 stycznia — 25 rocznica odzyskania wolności po blisko 5-letnim przebywaniu w Oświęcimiu.

Gdy myślę o tym obliczeniu, wracają wspomnienia. Jawi się obraz stojących za drutami kolczastymi esesmanów i przebranych w pasiaki niemieckich kryminalistów, ponumerowanych od 1 do 30. Pamiętam ich podwinięte rękawy, wytatuowane bicepsy i drągi ściskane w dłoniach na widok pierwszych ofiar. Jest to już dzisiaj dla większości byłych więźniów prehistoria obozu oświęcimskiego, w którym zresztą jeszcze następnie przez całe lata zwyczajny był widok żądnych krwi oprawców, biegających jak wściekłe psy. Po naszym przybyciu komendant obozu, *Fritsch*, karzeł, który dla dodania sobie ważności stał na podwyższeniu, ujawszy się pod boki oświadczył bez ogródek: „Zdrowi i młodzi mają tu prawo żyć nie dłużej niż trzy miesiące... Wyjście stąd prowadzi tylko przez komin..." Była to uczciwa i szczera informacja.

Niedługo wcześniej wyruszyliśmy z Tarnowa. Wczesnym rankiem 14 czerwca 1940 roku przesuwał się w milczeniu pochód skazańców wyludnionymi ulicami miasta. Zapowiadał się dzień piękny i upalny. Wielu więźniów kroczyło w zimowych ubraniach, zostali bowiem aresztowani przed paroma miesiącami, gdy jeszcze panował chłód. Pochodzili z różnych stron Krakowskiego, Rzeszowskiego, Śląska; mieli za sobą już wiezienie i przesłuchania w gestapo, bicie i głód.

Najgorsze dopiero nas czeka. Jutro zostaniemy pozbawieni swoich nazwisk i otrzymamy numery obozowe. Wśród nas idzie wielu młodych; niektórzy mają gimnazjalne kurty. Hitlerowcy wiedzieli, że chcąc zniszczyć naród, nie należy zapomnieć o młodzieży. Ona właśnie zasiliła stan osobowy pierwszych uwięzionych w Oświęcimiu. Gdy znaleźli się za drutami, liczyli oni przeważnie 17—20 lat życia.

Głucho dudniły podkute buty żandarmów na ulicy Tarnowa. Zarządzono „szperę", zapowiadając, że wyglądający przez okna będą zastrzeleni. Widzieliśmy poruszające się w oknach firanki. Jeszcze dziś stoi mi jak żywy przed oczami obraz matki usiłującej podać mi przez kordon żołdaków spod znaku *SS* paczkę z żywnością. Pamiętam pięści zaciskające się bezsilnie na widok brutalnego odpędzenia kolbą drogiej mi istoty.

Przejeżdżamy przez Kraków, jest chyba południe, słychać hejnał z wieży Mariackiej. Na dworcu wielki transparent, głoszący, że Paryż padł. Czy to możliwe? Wspominam pierwszą, makabryczną noc, spędzoną w katowni oświęcimskiej, w budynku dawnego monopolu tytoniowego. W kilku salach o zadrutowanych i zaciemnionych oknach pomieszczono cały tarnowski transport, 728 Polaków, pierwszych więźniów oświęcimskich. Nie dano nam jeść, ani pić. Na korytarzu prowokacyjnie ustawiono kotły z ziołową herbatą. Pokusa była olbrzymia, ale chociażby jeden łyk równał się karze śmierci. W sali, w której przebywaliśmy, panował niesamowity zaduch. Było bardzo gorąco.

Spędzamy bezsenną noc. Nasze myśli są zwrócone w kierunku kotła z herbatą. Jak zdobyć odrobinę płynu? W końcu większość nie wytrzymuje. Nie licząc się z konsekwencjami, więźniowie rzucają się na kocioł i wyciągają w dłoniach ożywczy płyn. Ruch koło kotła ściąga uwagę załogi *SS*. Słychać krzyki w języku niemieckim i wystrzały. Za chwilę drzwi się otwierają i na salę wpada *SS-scharführer Plage* z rewolwerem w ręku. Krzyczy: *„Hinliegen!"*; ktoś powtarza za nim: „Padnij!" Ci, co stali, padają jak podcięci. W sali cisza; słychać tylko sapanie rozwścieczonego żołdaka i odgłos podkutych butów, kopiących w ciała leżących na podłodze. Ciszę przerywają monotonne, nieartykułowane jęki jednego z naszych kolegów, przy czym z trudem można wyłowić słowa: „To nie ja..." Jeden z tych nieszczęśników nie wytrzymał nerwowo. Depresja psychiczna doprowadziła go w konsekwencji do śmierci.

Na drugi dzień nastąpił ceremoniał: golenie, strzyżenie, rejestracja i nadawanie numerów. W południe raczono nas zupą „avo", wstrętną lurą, składającą się z wody, mąki żytniej, mielonych kości i tzw. cybuchów cebuli. W pierwszym dniu wielu z nas doznało torsji po zjedzeniu tej zupy. Po tygodniu była już ona dla nas wygłodniałych największym przysmakiem.

Pierwsze dni obozowe były wypełnione nauką niemieckich piosenek. Za każde naj-

mniejsze uchybienie urządzano nam sławetny „sport", najrozmaitsze przemyślne i mordercze ćwiczenia, których pierwszą śmiertelną ofiarą padł dr Zdzisław *Simche,* autor znakomitej monografii o Tarnowie. Dotkliwie cierpieliśmy głód. Całodniowe przebywanie na słońcu, połączone z wyczerpującymi ćwiczeniami, dziesiątkowało nasze szeregi. Po tygodniowej „kwarantannie" osadzono nas we właściwym obozie koncentracyjnym, który, jak nam zapowiedział *Fritsch,* miał być już na zawsze ojczyzną Polaków.

Mijają lata. Jak klatki makabrycznego filmu przewijają się wspomnienia, które dopiero dziś, w perspektywie czasu, dają nam wyobrażenie o tej katowni. Już w 1940 roku zdawaliśmy sobie sprawę, że w całości działania obozu był z góry przewidziany cel zasadniczy, mianowicie likwidacja więźniów. Nie znaleźliśmy jednak ani bezwzględności mordowania, ani skali, na jaką to mordowanie planowano i wykonywano. Dziś odtwarzamy historię obozu w oparciu o dokumentację i plany oraz akta sądowych rozpraw przeciwko winnym ludobójstwa. W ten sposób dopełniła się świadomość przeżytych wydarzeń obozowych.

Wiemy, że począwszy od regulaminu, a skończywszy na metodach postępowania, żywienia oraz wyzyskiwania siły fizycznej więźniów, wszystko służyło w sposób zorganizowany wykańczaniu ludzi i doprowadzaniu ich do rychłej śmierci. Pomimo tych strasznych warunków człowiek zwyciężał w sobie przejawy depresji. Znaleźli się w obozie ludzie, którzy zdobywali się na zorganizowanie ruchu oporu przeciw śmierci, beznadziejności, przemocy i okrucieństwu. Walczono nie tylko o przetrwanie, lecz także o zwycięstwo człowieczeństwa. Członkowie międzynarodowej oświęcimskiej organizacji podziemnej pomagali przede wszystkim słabszym kolegom w pasiakach materialnie i moralnie. Przekazywali poza druty prawdę o obozie, plany i aktualny stan liczbowy obozu, informacje mogące się przydać sprzymierzeńcom w akcji wyzwalania obozu. Organizowali ucieczki. Przygotowywali się do czynnej obrony na wypadek likwidacji obozu przez *SS.* Działali w oparciu o przyjaciół spoza drutów. Kto nie umie się wczuć w sytuację i atmosferę obozowego życia, ten nigdy nie doceni i nie oceni ani znaczenia, ani heroizmu podjęcia w obozie konspiracyjnej walki o człowieka i o prawo do życia. Walka ta nie poszła na marne.

Już w lecie 1944 roku wiadomo było, że godzina wyzwolenia jest coraz bliższa. Kontakty z ludnością cywilną, jak również potajemnie zdobywane informacje radiowe sprzymierzeńców przyczyniały się do utrwalenia naszych nadziei. Najlepszym jednak dowodem zbliżającego się końca były regularne naloty bombowców alianckich. Regularnie przelatywały nad obozem eskadry samolotów, spuszczając bomby na zakłady przemysłowe wybudowane wokół obozu i wyzyskujące najtańszą siłę roboczą. Prawdą jest, że w wyniku tych nalotów zginęło wielu kolegów, ale ich krew uratowała innych.

Butni dotychczas przedstawiciele *herrenvolku* doznali największego chyba wstrząsu. Esesmani padali od bomb na równi z więźniami i ludnością cywilną. Przekonali się wtedy, co to jest cierpienie i strach przed śmiercią. Większość z nich usiłowała wejść w nasze położenie. Pamiętam obrazek z pierwszego nalotu na zakłady chemiczne w Dworach i obóz w Monowicach. Do obozu zbliżają się eskadry samolotów alianckich. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza strzela niecelnie, zresztą pułap jest tak wysoki, że pociski nie dochodzą do samolotów. Padają bomby. Z odległości kilku kilometrów wyraźnie widzę tryskającą w górę fontannę ziemi i gruzu. Jestem dziwnie spokojny; przecież obóz nie może być obiektem bombardowania. Tego samego zdania są esesmani. W popłochu opuszczają budki strażnicze i wartownie, chroniąc się na terenie obozu. Najwięksi „bohaterowie" wciskają się pod więźniarskie prycze. Śmieszy nas to, a zarazem cieszy.

Im większy był terror, tym mniejsza czujność i większe możliwości ucieczki więźniów. Rzeczywiście na ten okres przypadało największe nasilenie ucieczek. Co kilka dni dochodziły do nas wiadomości, że któryś z więźniów wyszedł do pracy na teren *Buna-Werke* i nie powrócił. Kierownictwo obozu nie rezygnowało z represji. Represje te jednak z dnia na dzień słabły. Niemcy potrzebowali wielu ludzi do pracy na roli, w fabrykach i przy odgruzowywaniu. Wszystkich zdolnych do walki hitlerowców kierowano na front. Na ich miejsce przychodzili półinwalidzi, rekonwalescenci, starzy i niepełnoletnia młodzież. Z jej wyjątkiem z większością pozostałych można się było porozumieć.

W nastroju oczekiwania na koniec naszych ciemięzców i na naszą wolność kończył się rok 1944. Jeszcze na gwiazdkę tego roku lotnicy radzieccy zapalili nam choinkę z rakiet w czasie jednego z kolejnych nocnych nalotów. Z początkiem roku 1945 słychać już było w oddali coraz wyraźniejszy odgłos dział. Nadchodził koniec. Co tylko będzie z nami? Wiemy przecież, że *SS* łatwo nie wypuści łupu ze swych rąk. Należy się więc spodziewać wszystkiego najgorszego.

Ostatnie 9 miesięcy pracowałem na oddziale zakaźnym szpitala obozowego. Byłem świadkiem okresowych selekcji chorych, wysyłanych do komór gazowych Brzezinki. Wiedziałem, że ówczesny lekarz *SS,* dr *Horst Fischer,* był zdolny do wszystkiego. Nie należał on do tych, z którymi można się było jakoś dogadać. Potwierdziły to zresztą zeznania świadków na procesie w marcu 1966 roku w Berlinie. Jeszcze w listopadzie 1944 roku byłem świadkiem kierowanej przez *Fischera* selekcji więźniów przeznaczonych do komór gazowych.

W drugiej dekadzie stycznia 1945 roku rozpoczął się na terenie szpitala obozowego dziwny ruch. Lekarze *SS* i *SDG* dokonywali przeglądu kartotek chorych oraz interesowali się

żywo chorymi więźniami ze szpitala obozowego. Sporządzano listy zdolnych do transportu. Na terenie obozu palono akta i kartoteki obozowe więźniów. Stało się pewne, że w najbliższych dniach rozpocznie się ewakuacja. W dniu 17 stycznia bezpośrednio po rannym apelu wydano więźniom większe porcje żywności. Baraki mieszkalne opustoszały. W „rewirze" zarządzono zbiórkę personelu szpitala oraz nielicznej grupy chorych zdolnych do marszu. Ogółem grupa szpitalna nie przekraczała 100 więźniów. Wszyscy otrzymali oprócz zwiększonej racji żywnościowej po dwa koce obozowe, a personel szpitala miał za dodatkowe zadanie transportować pozostałe w magazynach szpitala materiały opatrunkowe, środki dezynfekcyjne i lekarstwa.

Nasza grupa szpitalna wyruszyła jako jedna z ostatnich prawie na końcu 10-tysięcznej kolumny ewakuacyjnej. Była godzina 15. Szliśmy w kolumnach po 100 więźniów. Do każdej setki było przydzielonych po dwóch esesmanów, a niezależnie od tego wzdłuż kolumn przejeżdżali na motocyklach podoficerowie i oficerowie *SS*, pilnując porządku. Ewakuacją obozu kierował ówczesny komendant obozu Oświęcim III (Monowice), *SS-hauptsturmführer Schwartz*. Przemarsz więźniów, początkowo dość raźny, począł z czasem słabnąć. Kolumna rozciągała się. Wartownicy *SS* poganiali ewakuowanych, ale bez zwykłego „drylu", bo sami nie mieli dość sił.

Więźniowie posuwali się ostatkiem sił. Co jakiś czas mijaliśmy w rowie przydrożnym leżącego więźnia, a nad nim dwóch lub trzech esesmanów usiłujących krzykiem i kopniakami zachęcić biedaka do dalszego marszu. Następowały wystrzały, po czym do kolumny ewakuacyjnej dołączali już tylko esesmani. Przechodząc przez wsie i osiedla, widzieliśmy w oknach ukryte za firankami postacie. Nikt nie wychodził, aby nie ryzykować. Na drogach nasilał się bałagan. Oprócz więźniów wędrowały na zachód grupy ewakuacyjne ludności niemieckiej, ciągnąc za sobą wózki ręczne lub sanki, a na nich dobytek. Środkiem drogi przejeżdżały zmotoryzowane oddziały hitlerowskie, to w jednym, to w drugim kierunku.

W późnych godzinach wieczornych dotarliśmy do Mikołowa. Tam w opuszczonej starej cegielni, w zimnych pomieszczeniach pozbawionych okien, spędziliśmy na barłogu ze słomy bezsenną noc. Temperatura spadła do około 10 stopni mrozu. Więźniowie tulą się do siebie, by się wzajemnie rozgrzać. Większość z nas ma przemoczone buty. Nie ma o tym mowy, aby je wysuszyć. Ściągamy z nóg przemoczone buty i onuce, owijamy stopy w suche szmaty lub koce. Jest bardzo zimno. Nawet koce zebrane przez kilku więźniów nie wystarczają. Ciągnie od zimnego betonu, nie można spać. Rano próba przeprowadzenia apelu nie udaje się, ponieważ ciasnota pomieszczeń i zmęczenie zarówno konwojowanych, jak też konwojujących uniemożliwia przeliczenie stanu. Dowiadujemy się, że tej nocy zbiegło kilku Polaków, korzystając z pomocy miejscowej ludności.

Zjadamy resztki naszych porcji i wyruszamy w dalszą drogę. Tempo marszu w zastraszający sposób słabnie. Konwojenci są wściekli, niektórzy zaś apatyczni i zobojętniali. Tylko strach przed nadciągającymi oddziałami radzieckimi dodaje im sił. Więźniowie nie są zainteresowani w przyśpieszaniu marszu. Przeciwnie, coraz bardziej osłabieni, obojętnieją. Niektórzy zwalają się w śnieg do rowu i ani krzyki, ani bicie nie mogą ich zmusić do dalszego marszu. Strzały są coraz częstsze. Teraz już na naszych oczach dobija się osłabionych, niezdolnych do marszu.

Zaczynam odczuwać krańcowe zmęczenie. Bolą mnie nogi, jestem głodny i słaby. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze godzina, najwyżej dwie i czeka mnie taki sam los, jak moich nieszczęsnych towarzyszy. Jest popołudnie 18 stycznia. Szybko zapada zmrok. Na drogach coraz większy tłok, coraz większy bałagan. Wchodzimy w lasy w okolicach Żor. Mój umysł zaczyna się ożywiać. To jest przecież ostatnia szansa. Zbliżamy się do Gliwic. Tutaj jeszcze jest niewielka możliwość uzyskania pomocy od nielicznych polskich rodzin. Natomiast dalej zmaleje ona do minimum. Ryzyko ucieczki jest właściwie niewielkie. Uświadamiam sobie, że jeśli teraz nie zdobędę się na ostatni wysiłek, padnę dobity, a jeśli spostrzegą moją ucieczkę, najwyżej mnie zastrzelą. Mogę więc tylko zyskać, nic stracić. Przychodzi jeszcze refleksja. Czy należy się spodziewać represji? Raczej nie. Rodzina jest w Tarnowie, a tam, pod Dębicą, hitlerowcy bronią się rozpaczliwie przed nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej. Represje wobec współwięźniów są prawie niemożliwe. W tym bałaganie nikt się ich nie doliczy. Kto zresztą jest w stanie policzyć zabitych, nie mówiąc o zapisaniu ich numerów.

Potęgujący się mróz powoduje, że ewakuowani okręcają się w koce, przez co w mroku zatracają charakterystyczne sylwetki więźniów-„muzułmanów" i robią się coraz bardziej podobni do cywilów maszerujących drugą stroną. Zgłaszam konwojentowi, że chcę załatwić potrzebę fizjologiczną. Otrzymuję zezwolenie. Przechodzę z lewej strony szosy na prawą. I mogę mówić o wielkim szczęściu. Po kilkunastu sekundach środkiem szosy przejeżdża zmotoryzowana kolumna wojskowa. To mi wystarcza. Z jednego koca zwijam spódnicę, podkasawszy do góry nogawki spodni, z drugiego koca robię chustę na głowę. Podnoszę napotkany po drodze kij i, zgarbiony, udaję starą, pokrzywioną żebraczkę. Zwalniam, by zmieszać się z nadchodzącą grupą ludności cywilnej. Idę coraz wolniej i widzę, że moja kolumna jest już kilkanaście metrów w przodzie. Widzę ścieżkę skręcającą w las. Wolno, utykając, skręcam na tę ścieżkę i spokojnie idę nią tak długo, dopóki widzę szosę. Po chwili droga znika, gwar cichnie. Wtedy wracają we mnie siły. Ściągam koce i zaczynam uciekać.

Nie wiem, jak długo trwał ten wyścig o życie. Nie tylko teraz, po 25 latach, ale już wtedy, w następnym dniu nie potrafiłem odtworzyć w pamięci tego biegu na przełaj. Nie po-

trafię określić, jak długą trasę przebiegłem. Zatrzymałem się dopiero na skraju lasu. Nie wiedziałem w ogóle, gdzie jestem, co mam robić i dokąd się udać. Usiadłem w krzakach pod drzewem, by zebrać myśli, odpocząć i opracować dalszy plan działania. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że to jeszcze nie jest wolność i że najgorsze jeszcze mnie czeka. Tak rozmyślając, usłyszałem trzask łamanych gałęzi. Przycupnąłem za krzakiem. Obserwuję. W moim kierunku zbliża się jakaś męska postać. Ogarnia mnie strach. Tylko się opanować, tylko nie wpadać w panikę. Opanowałem się. Zauważona postać idzie bardzo ostrożnie. Mignął mi skrawek pasiaka. A więc to uciekinier. Rzeczywiście, tym, który mnie tak wystraszył, był znajomy więzień oświęcimski z numerem czterocyfrowym, Józek *Klimczok*, pochodzący z Bielska, zatrudniony w magazynach odzieżowych (*Bekleidungskammer*) w obozie macierzystym, a ostatnio na Bunie.

Teraz, we dwóch, było już raźniej i mogliśmy coś wspólnie poradzić. Dowiaduję się, że on zna tę okolicę, był w niej niegdyś przed wojną. Są to okolice Żor i Knurowa w pobliżu wsi Gierałtowice. Zbliżamy się ostrożnie w stronę wsi, prowadzeni trochę instynktem, trochę dalekimi odgłosami szczekających psów. Już w powietrzu czuć zapach snującego się dymu. Jesteśmy na skraju wsi. Przyczajeni, obserwujemy i nadsłuchujemy, lękając się podjęcia jakiejkolwiek decyzji. Jest już bardzo zimno, ale nie wolno iść na ślepo. Można łatwo wpaść w ręce sfanatyzowanych Niemców lub *volkssturmu*. Tak obserwując otoczenie, słyszymy głos kobiety wołającej po polsku: „Stary, przynieś mi wody". Doznałem wielkiej ulgi. Jeżeli ktoś w tej okolicy nie boi się głośno mówić po polsku, to można mu zaufać.

Wchodzimy do małej schludnej zagrody. Czujemy się, jak intruzi. Gospodarze nie są zachwyceni naszą obecnością. Są wyraźnie wystraszeni. Nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Mówimy, kim jesteśmy. Współczucie bierze górę nad strachem. Ktoś z rodziny był świadkiem przemarszu kolumn ewakuacyjnych. Opowiadamy o okropnościach obozu i ewakuacji. Siedzimy w ciepłej kuchni i grzejemy się. Dowiadujemy się, że naszymi gospodarzami jest rodzina *Kruszyny*, górnika z Kopalni Knurów. Pokrzepiamy się chlebem i rosołem z gotowanych w domu „krupnioków". Jest późna noc. Opowiadamy, ale jesteśmy bardzo zmęczeni. Rozmowa się nie klei. Wyczuwam, że gospodarze mają jakieś opory w zatrzymaniu nas u siebie. Okazuje się, że *Kruszyna* ma zbyt ciasne mieszkanie, a poza tym boi się żandarmów i *volkssturmu*, bo za ukrywanie więźniów grozi kara śmierci. Ciężko nam się ruszyć, nie możemy jednak narażać tych poczciwych ludzi. Odradzają nam chodzić po wsi i szukać u innych schronienia. Wszyscy ludzie są wystraszeni.

Decydujemy się iść w las, może tam znajdziemy jakąś norę albo przyłączymy się do partyzantów. Po kilkugodzinnym odpoczynku żegnamy się z naszymi gospodarzami i udajemy się w stronę lasu. Zmęczenie jednak nie ustępuje. Idąc w stronę lasu, napotykamy w polu, z dala od zagród potężny stóg siana. Decydujemy się wykopać w sianie norę i tam przeczekać przez dzień, dopóki nie odpoczniemy. Mamy trochę żywności, którą obdarzyli nas *Kruszynowie*. Do nocy wytrzymamy, a potem zobaczymy. Wiemy od gospodarzy o ofensywie wojsk radzieckich, wiemy również, że siły hitlerowskie są zbyt słabe, aby mogły zagrozić zbliżającym się wojskom. Trzeba przeczekać. Pookręcani kocami, otoczeni sianem, pomimo chłodu zasypiamy.

Przespaliśmy cały dzień i całą noc. 21 stycznia decydujemy się pozostać w naszym ukryciu do czasu wypędzenia wojsk niemieckich z wioski. Wiemy, że koniec już bliski. W okolicy słychać wyraźnie kanonadę, dowód zbliżania się frontu. Wieczorem lub w nocy wychodzimy na zmianę w poszukiwaniu żywności. Zawiadamiamy naszych znajomych o naszej kryjówce; otrzymujemy od nich garnek ciepłej zupy lub herbaty i kawał chleba. Pozwala nam to przetrwać w naszej kryjówce do wieczora 25 stycznia. Słyszymy wyraźnie i bardzo blisko serie karabinów maszynowych i strzały karabinowe. Potem wszystko cichnie.

Opuszczamy naszą kryjówkę i udajemy się do *Kruszynów*. Dom jest otwarty, mieszkanie jednak puste. Pewnie niedawno opuszczone, bo w piecu kuchennym tli się jeszcze ogień. Po chwili oczekiwania słychać przed oknami kroki w podkutych butach i głosy w języku rosyjskim. Drzwi mieszkania się otwierają i do kuchni wpada trzech żołnierzy uzbrojonych w pepesze. Na rozkaz podnosimy spokojnie ręce do góry i poddajemy się rewizji. Po jej zakończeniu pada stereotypowe pytanie: „Kto wy?" Żaden z nas nie znał wówczas języka rosyjskiego. Jak kto umiał, opowiadał swoje przeżycia związane z ucieczką. Nie trzeba im było wiele tłumaczyć. Ogolone głowy, pasiaki, wytatuowane na przedramieniu numery były najlepszymi dowodami tożsamości. Całość uzupełniał nasz „muzułmański" wygląd.

Żołnierze szukali ukrytych we wsi hitlerowców. Opowiedzieliśmy, że dom, w którym się znajdujemy, jest własnością ludzi, którzy udzielili nam pomocy po ucieczce z transportu. Oszczędziło to żołnierzom rewizji mieszkania i nieprzyjemnych przesłuchań. Zaprowadzono nas do pomieszczenia zajętego przez komendanturę jednostki wojskowej i po krótkim, rzeczowym przesłuchaniu zajęto się nami. Otrzymaliśmy chleb, konserwy, papierosy oraz po kubku samogonu. Ponieważ obaj znaliśmy język niemiecki, zatrudniono nas jako tłumaczy przy przesłuchiwaniu schwytanych hitlerowców. Z satysfakcją obserwowałem wystraszone twarze *übermenschów*, którzy stali na baczność i jąkając się odpowiadali na moje pytania. Upajałem się pożytecznym zajęciem, wolnością, a może działała też niewielka dawka alkoholu.

Na drugi dzień jednak nie zaznaliśmy spokoju. Dom *Kruszynów* mieścił się na skraju wsi oddzielonej od lasu polem ornym. W od-

ległości około 800—1200 metrów był las, w którym kryły się oddziały *Wehrmachtu* uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe, *pancerfausty* i działa przeciwpancerne. Na podwórku *Kruszynów* czołg radziecki skierował lufę działa w stronę lasu. Na sąsiednich podwórkach stały dalsze czołgi. Rozpoczęła się strzelanina. Podziwiałem odwagę i zimną krew radzieckiego czołgisty, który, wynurzony do połowy z włazu czołgu, spokojnie palił papierosa. Siedzieliśmy w kuchni *Kruszynów* razem z gospodarzami. Mężczyźni palili papierosy. Kobiety modliły się i na przemian popłakiwały. Pociski padały coraz gęściej. Jeden z nich trafił w dom. W miejscu, gdzie siedziałem przed kilkoma sekundami, została wyrwana w murze potężna dziura. Drugi raz poszczęściło mi się pół godziny później. Gospodyni napomknęła, że w pokoiku mansardowym jest zamknięte okno i wskutek detonacji mogą wylecieć szyby. Zaofiarowałem się, że pójdę na górę i otworzę okno. W chwili zbliżania się do okna usłyszałem świst. Odruchowo odskoczyłem na bok i w tym momencie odłamek pocisku rozbił ramę okienną, wpadając do pokoju.

Gdy zszedłem na dół, w kuchni na podłodze leżał żołnierz radziecki ranny w udo kulą karabinową w czasie szarży na pozycje nieprzyjacielskie w lesie. Jęczał z bólu i silnie krwawił. Przypomniałem sobie, że mam w chlebaku materiały opatrunkowe zabrane jeszcze z obozu. Rozciąłem spodnie rannego i stwierdziłem, że kość nie jest uszkodzona, a kula przebiła tylko mięśnie. Zasypałem ranę ultraseptylem i przewiązałem bandażem. W czasie tego zabiegu wszedł oficer radziecki. Gdy skończyłem opatrunek, zapytał: „*Ty wracz?*". Nie wiedziałem, co to znaczy, ale dla pewności odpowiedziałem: „*da*". Od tej chwili miałem już zajęcie. Razem z sanitariuszką radziecką ściągałem rannych żołnierzy z pola ostrzału. Teraz, w drugim dniu wolności byłem znowu narażony na śmierć. Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Zabitych i rannych przybywało wielu, a nas do opatrywania było tylko dwoje. W końcu żołnierze radzieccy zdobyli pozycje nieprzyjacielskie, a ja odwiozłem rannego w brzuch oficera radzieckiego do prowizorycznego lazaretu, urządzonego w miejscowej szkole.

Oddziały radzieckie powędrowały dalej na zachód, a ja pozostałem jeszcze przez tydzień w Gierałtowicach. Sława moja jako „wracza" rozeszła się po okolicy. Miałem pełne ręce roboty. Wielu ludzi było rannych, lekarza na miejscu nie było. Pozwoliło mi to w sposób uczciwy zarobić na utrzymanie. Dostałem również ubranie cywilne, rower poniemiecki i w dniu 31 stycznia wybrałem się w drogę do domu. Wracając, odwiedziłem jeszcze obóz w Monowicach, gdzie spotkałem mojego serdecznego przyjaciela, dra Czesława *Jaworskiego*, który ze względu na stan zdrowia nie nadawał się do ewakuacji oraz inż. Alfreda *Ehrlicha* z Pragi, rannego w czasie sierpniowego nalotu w nogę i cudem uratowanego od komory gazowej. Gościny udzielił nam miejscowy proboszcz, ksiądz *Kmiecik*. Kolejną noc spędziłem w Krakowie na kwaterze, skierowany tam przez panie z PCK. W dniu 2 lutego 1945 roku znalazłem się w Tarnowie w gronie matki i pozostałego przy życiu rodzeństwa.

MARIA MANIAKÓWNA
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 18279

Warszawa

W oświęcimskim bloku nr 11

Podczas hitlerowskiej okupacji należałam do SZP (Służba Zwycięstwu Polski), a od chwili rozpoczęcia działalności przez konspiracyjny ruch ludowy brałam udział w pracach Batalionów Chłopskich jako szef łączności i kolportażu w Komendzie Głównej BCh. Aresztowano mnie 2 października 1941 roku. Do Oświęcimia-Brzezinki zostałam wywieziona pierwszym warszawskim kobiecym transportem z Pawiaka w dniu 25 sierpnia 1942 roku. Po czteromiesięcznej poniewierce obozowej i przebyciu duru wezwano mnie 3 stycznia 1943 roku na przesłuchanie do Wydziału Politycznego (*Politische Abteilung*) obozu oświęcimskiego.

W tym miejscu muszę się cofnąć do chwili, kiedy w wigilię 24 grudnia 1942 roku jedna z więźniarek, której nazwiska już nie pamiętam, wywołała mnie na plac przed naszym blokiem nr 7, nie mówiąc, o co chodzi. Wówczas od grupy więźniów pracujących w pobliżu oderwał się jeden z nich i przeszedłszy obok mnie szepnął mi cichutko, że za chwilę będzie ponownie przechodził i upuści obok mnie rękawicę, którą mam nieznacznie podnieść. Na uboczu, aby nikt nie spostrzegł, przeszukałam podniesioną rękawicę i znalazłam w niej karteczkę („gryps") od mojej konspiracyjnej organizacji. Karteczka była podpisana imieniem „Wojtek". Autor „grypsu" przekazał mi pozdrowienia od „Czarnej Marii" i „Marysiątka" (wiedziałam, że są to pseudonimy koleżanek-„wiciarek" z Komendy Głównej BCh, Marii *Szczawińskiej* i Marii *Żelechowskiej-Wyrzykowskiej*) i zapowiadał dalsze kontakty pisemne w celu otrzymywania stałych informacji o warunkach życia w kobiecym obozie, zapewniał o otoczeniu mnie opieką, przy czym prosił też o odpowiedź na piśmie, potwierdzającą otrzymanie wiadomości.

Trudno mi dzisiaj znaleźć słowa stosowne dla opisania wrażenia, jakiego doznałam po przeczytaniu tego „grypsu". Uczucie wielkiej radości i podziwu dla niezwykłej odwagi i ofiarności ludzi utrzymujących łączność z obozem zakłócała jednak obawa, czy nie kryje się za tym jakiś piekielny podstęp. Uspokajała mnie w końcu świadomość, że wymienione w „grypsie", nie znane nikomu z obcych, pseudonimy koleżanek z konspiracji, z najbliższego mi otoczenia w Komendzie Głównej BCh, gwarantują bezpieczeństwo tej drogi kontaktowej.

Za parę dni tą samą drogą przekazałam „Wojtkowi" (Wojciechowi *Jekiełkowi*-„Żmii") gryps do niego i do organizacji. Wyraziłam gotowość podtrzymywania konspiracyjnego kontaktu i załączyłam na paru stroniczkach trochę informacji o obozie kobiecym.

W tym samym czasie, w okresie świąt Bożego Narodzenia 1942 roku otrzymałam paczkę nadaną zapewne w Bielsku przez osobę nie znanego mi nazwiska. W paczce był cukier w kostkach i ciasto. Byłam tym również bardzo poruszona, gdyż wówczas jeszcze nie wiedziałyśmy o zezwoleniu na przysyłanie paczek więźniom. Dopiero później dowiedziałam się, że była to jedna z pierwszych paczek żywnościowych, nadesłanych do obozu oświęcimskiego.

I właśnie w kilka dni po tych wydarzeniach, niezwykłych dla mnie w dotychczasowym bytowaniu obozowym, w nocy 2/3 stycznia 1943 roku przybiegła do naszego bloku *läuferka* (goniec) i zawiadomiła blokową, że numer 18279, to znaczy ja, ma się rano stawić „na *Vorne*" [1]. Blokowa przekazała mi to polecenie. Byłam przekonana, że przyłapano mój „gryps" wysłany do „Wojtka". Koleżanki żegnały się ze mną z wymuszonym spokojem. Prosiłam je, aby, jeśli przeżyją, opowiedziały moim bliskim o moim życiu w obozie. Wiedziałyśmy bowiem już wówczas tyle, że bardzo rzadko zdarzało się, iż więzień wezwany „na *Vorne*", a następnie do *Politische Abteilung*, wracał do obozu.

Po przesłuchaniu odprowadzono mnie do bloku nr 11 w męskim obozie i osadzono w bunkrze. Dopiero wtedy odetchnęłam, ucieszona niezmiernie, że śledztwo nie jest związane ze sprawą mojego kontaktu „grypsowego" z „Wojtkiem". Nie przesłuchiwana więcej, przesiedziałam w bunkrze, dotychczas nie wiem za co, od 3 stycznia do 9 sierpnia 1943 roku, czyli przeszło siedem miesięcy.

Cele bunkra, w którym kolejno przebywałam (nr 4 i nr 26), miały około 3 m² powierzchni. Panował w nich półmrok, ponieważ światło przedostawało się do naszego okienka przez otwór u góry między ścianą bunkra a okalającym bunkier wysokim murem. Sienników nie było; otrzymywało się tylko dwa koce i spało się bez podściółki na podłodze. Czasem na tej przestrzeni tłoczyło się 12, a nawet 16 osób. Wówczas trzeba było siedzieć ze skulonymi nogami i od czasu do czasu na zmianę wstawać, aby móc wyciągnąć i rozprostować nogi, bo trudno było wytrzymać w tak niewygodnej, podkurczonej pozycji.

O codziennym myciu się nie było mowy. Z tych podziemnych cel wyprowadzano nas do umywalni na parterze raz na kilkanaście dni. Była to jednak parodia mycia. Osób spędzonych z różnych cel bunkra gromadziło się znacznie więcej niż było czynnych kranów nad umywalkami, a z powodu krótkiego przebywania tam nigdy nie starczało czasu nawet na zdjęcie odzienia. Bielizny nie zmieniało się miesiącami. Nie wyprowadzano nas do ubikacji. Do załatwiania potrzeb naturalnych służyło wiadro, stojące w kącie celi.

Obozowe zdjęcie Marii *Maniakówny*

Rano 3 stycznia — była to, pamiętam, niedziela — odprowadzono mnie z bloku „na *Vorne*". Tam czekał już na mnie esesman, który znowu odstawił mnie do obozu męskiego w Oświęcimiu, do baraku Oddziału Politycznego, mieszczącego się obok bramy z napisem *Arbeit macht frei*. W baraku pozostawiono mnie na korytarzu i kazano czekać. Podczas dłużących się godzin oczekiwania, osłabiona po niedawno przebytym durze, walczyłam z sennością, aż wreszcie zasnęłam. Zadziałał zapewne także luminal zażyty w nocy. Podczas śledztwa pokazano mi zdjęcie jakiejś dziewczynki w mundurku szkolnym z marynarskim kołnierzem i pytano, czy ją spotykałam w pracy konspiracyjnej. Byłam niemal szczęśliwa, że jej naprawdę nie znałam. Uspokajała mnie myśl, że choćby oprawcy nie wiedzieć co ze mną wyprawiali, to i tak nic ze mnie nie wydobędą, bo jej nie znam i nic o niej nie wiem.

Bunkier był aresztem, w którym więźniowie odsiadywali kary obozowe w okresie od 1 do 4 tygodni. Ta kategoria więźniów otrzymywała codziennie porcję suchego chleba i początkowo co czwarty, a po pewnym czasie co trzeci dzień miskę zupy z brukwi. Natomiast więźniowie, których trzymano w śledztwie, dostawali zwykłe jedzenie obozowe: codziennie zupę z brukwi i raz dziennie chleb. Przez pierwsze tygodnie musiałyśmy się obywać bez łyżek; później je dostarczono.

Pożywienie podawali więźniowie (tzw. kalifaktorzy). W czasie mojego tam pobytu byli nimi *Hannes* (Ślązak) i Jakub, rosły bokser, żydowskiego pochodzenia. Pomagał im czasem

[1] W gwarze więźniów przez określenie *Vorne* lub *nach Vorne* (do przodu) rozumiano konieczność udania się na aktualne miejsce pobytu funkcjonariuszy z kierownictwa obozu (przyp. red.).

lub zastępował ich więzień imieniem Mietek. Całkiem odizolowani, więźniowie w bunkrze nie otrzymywali paczek ani listów.

Przez pierwsze tygodnie siedziałam z samymi Niemkami, przeważnie kryminalistkami. Niektóre z nich były bardzo przykre w codziennym obcowaniu. Później zetknęłam się z różnymi osobami, często bardzo interesującymi. Kobiety, które odsiadywały kary obozowe, zmieniały się często; dłużej przebywały te, które pozostawały w śledztwie. Dowiadywałam się od nich o różnych szczegółach systemu obozowego. Nie byłam zorientowana w wielu *lagrowych* sprawach, mimo że przyszłam do bunkra po czterech miesiącach pobytu w obozie. Na przykład nie wiedziałam o tym, jaką rolę spełniają bloki nr 11 i nr 10. Osoby dłużej przebywające w Oświęcimiu-Brzezince wtajemniczały mnie stopniowo w straszliwe tajemnice osławionej „dziesiątki" i jedenastki".

Najwięcej informacji dostarczyła mi Nora, Austriaczka, której nazwiska już nie pamiętam. Umieszczono ją w bunkrze wiele miesięcy przede mną. Ona właśnie opowiedziała mi o tym, co się dzieje „na jedenastce", w „bloku śmierci" i „na dziesiątce", gdzie dokonywano zbrodniczych operacji na więźniarkach-Żydówkach.

Po trzech miesiącach wegetacji w podziemiach bloku bunkrowego los się do mnie uśmiechnął. Przeniesiono mnie i parę innych więźniarek do dużej sali na parterze; znalazłyśmy się wśród więźniarek tzw. „cywilnych", oczekujących na wyniki śledztwa. Były to przeważnie Polki ze Śląska.

Siedząc w bunkrze, miałam sposobność przekonać się, jak szerokie i liczne kontakty z obozem utrzymywała okoliczna ludność polska. Więziono tam wiele osób, głównie kobiety i dziewczęta, schwytane na porozumiewaniu się z więźniami lub podejrzane o utrzymywanie kontaktu z nimi. W celach bunkra siedzieli również więźniowie, jak się z czasem dowiedziałam, z tych „komand", które wychodziły do pracy poza druty na tereny przyobozowe, oskarżeni o utrzymywanie łączności z ludnością cywilną.

Przez te cele bunkra, w których kolejno przebywałam, przewinęło się również wiele kobiet i dziewcząt, mieszkanek Oświęcimia, Brzeszcz i Przecieszyna. Były one aresztowane i osadzone w bunkrze za niesienie pomocy więźniom. Oto niektóre zapamiętane przeze mnie osoby: Halina *Bańko* (*Hertwigowa*), Bronisława *Dłuciak*, Zofia *Gawronówna*, (obecnie *Prejznerowa*), *Górecka, Kajtochowa, Zdrowakowa.*

W maju 1943 roku przyprowadzono do bunkra niewiastę w średnim wieku razem z kilkunastoletnią dziewczynką. Osoba ta, popatrzywszy na mój numer obozowy, rzuciła mi się na szyję z objawami niezrozumiałej dla mnie wówczas serdeczności. Powiedziała mi szeptem, że wie, jak się nazywam i że to ona właśnie, z polecenia organizacji konspiracyjnej utrzymującej łączność z obozem, kierowanej przez „Opiekuna" (Wojciecha *Jekiełka*), przesyłała dla mnie do obozu pieniądze i paczki oraz pośredniczyła w doręczaniu mu mojego „grypsu", z którym wpadł w ręce Niemców, ale zdążył go zniszczyć, a sam, chociaż postrzelony, zdołał szczęśliwie zbiec.

Była to Helena *Płotnicka* z 13-letnią córeczką Wandą, mieszkanka Przecieszyna, żona górnika z kopalni Brzeszcze pod Oświęcimiem, matka pięciorga dzieci. Spotkanie w tych niezwykłych okolicznościach zbliżyło nas do siebie. Byłyśmy przecież, jak się okazało, członkiniami tej samej chłopskiej, niepodległościowej organizacji. *Płotnicka* w czasie naszego wspólnego, przeszło dwumiesięcznego siedzenia w bunkrze opowiadała mi wiele razy o swoich wyprawach z żywnością i lekami pod obóz. Szła i pomagała, czyniła, co mogła, nie potrafiła bowiem, jak i wiele innych osób z pobliskich miejscowości, biernie patrzeć na wynędzniałych więźniów, pędzonych codziennie do pracy na terenach przyobozowych.

Po pewnym czasie, jak wynikało z jej opowiadań i jak już obecnie znam szerzej z książki *Jekiełka*[2] i z opowiadań jej najbliższej współtowarzyszki, Władysławy *Kożusznikowej*, z którą się poznałam i zaprzyjaźniłam po wojnie, *Płotnicka* została wciągnięta do organizacji konspiracyjnej przez działacza ludowego z pobliskiego Osieka, *Jekiełka* („Wojtka", „Opiekuna", „Żmiję"). Od tego czasu ona i współpracujące z nią osoby otrzymywały od niego pieniądze, kartki na żywność i lekarstwa dla obozu. Do ich zadań należało również przenoszenie tajnej poczty do obozu oraz stąmtąd do podziemia i do rodzin.

Po aresztowaniu Heleny *Płotnickiej* osadzono w bunkrze kilku więźniów z „komanda" mierników, podejrzanych o utrzymywanie łączności „z wolnością" za jej pośrednictwem. Pamiętam, jak *Płotnicka*, dowiedziawszy się o tym, przejęta obawiała się, że to skomplikuje im i jej przebieg śledztwa. Więźniowie ci, a także ich przyjaciele spoza bunkra, na szczęście potrafili jednak im tylko znanymi sposobami nawiązać z nią kontakt i uzgodnić przed przesłuchaniem najważniejsze dla nich sprawy.

Obydwie z córką były wielokrotnie wzywane na przesłuchania. Pamiętam, że z tych badań *Płotnicka* wracała skatowana i nieludzko sponiewierana. W czasie śledztwa poddawano ją torturom na tzw. „huśtawce". Mimo potwornych udręk przeżywanych podczas śledztwa nie żałowała pracy podjętej dla ludzi za drutami. Mówiła do mnie często o tej pracy jakby o jakimś swoim posłannictwie, do którego podjęcia i pełnienia „gnał" ją wewnętrzny nakaz. Podkreślała to wielokrotnie, co robiło wrażenie, jak gdyby sama przed sobą tłumaczyła się z tego, że pozostawiła teraz dom i drobne dzieci bez matczynej opieki. Była szczupła i bardzo wysoka. Miała bujne, ciemne włosy i duże, wyraziste, sugestywne oczy. W obcowaniu odczuwało się jej silną indywidualność. Wywierała wrażenie osoby bardzo „nerwowej" i wrażliwej, a chwilami, podczas szczególnego napięcia w okresie przesłuchań, jakby — piszę to bez przesady — natchnionej.

Po paru tygodniach zwolniono do domu jej córkę. Wandzia *Płotnicka* trzymała się dzielnie w śledztwie, na co dzień i w celi. Zachowywała się spokojnie, jak normalny, stary więzień polityczny. W dniu 9 sierpnia 1943 roku wróciłam z bunkra do obozu w Brzezince, a Helenę *Płotnicką* przeniesiono tam po paru miesiącach, w październiku, toteż miałyśmy możność ponownego zetknięcia się z sobą. *Płotnicka* bardzo źle znosiła pobyt w obozie. Długo leżała w „rewirze" szpitalnym. Prawie całymi tygodniami była nieprzytomna. Gdyśmy ją odwiedzały z Zosią *Gawronówną*, nawet nas nie poznawała. Mimo najstaranniejszej w warunkach obozowych opieki ze strony mężczyzn, którzy dostarczali lekarstw dla *Płotnickiej*, jak też ze strony lekarek-więźniarek, zmarła ona na wiosnę 1944 roku.

Zwłoki jej wyniesiono bez okrycia, jak wszystkich innych zmarłych, pod ścianę baraku „rewirowego". Chcąc złożyć jej hołd za to, co robiła dla nas, więźniów, wraz z Zofią *Gawronówną* i Marią *Babską* okryłyśmy ją białym prześcieradłem, do którego przypięłyśmy gałązkę zieleni. Było to w sytuacji obozowej niezwykłe wyróżnienie.

Niech mi wolno będzie wspomnieć jeszcze o wielkim wzruszeniu, jakie przeżyłam w grudniu 1945 roku, gdy wśród delegatów z województwa krakowskiego, zgromadzonych na pierwszym po wojnie ogólnopolskim zjeździe „wiciarzy" w Warszawie, spotkałam Wojciecha *Jekiełka* i zobaczyłam na jego prawym policzku bliznę widoczną z daleka, ślad po pocisku, który dosięgnął go w czasie uciekania z moim „grypsem", o czym mi w bunkrze szeptem opowiadała Helena *Płotnicka*.

---

[2] W. *Jekiełek* — „Żmija": W pobliżu Oświęcimia. Wyd. 2, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Warszawa 1966.

Pewnego dnia przyprowadzono do mojej celi trzy niewiasty. Powiedziały mi, że należą do ZWZ na terenie Łodzi. Były to Hanna *Chojnacka* („Litwinka") oraz *Awedyk* i *Galas* (imion ich nie zapamiętałam). Wiedziały, że mają wyroki śmierci i że „na jedenastce" będą stracone. Trudno to sobie wyobrazić, ale zachowywały się w sposób opanowany. Więzień obecny przy egzekucji mówił mi, że budziły podziw nadzwyczajnym spokojem i godnością, z jaką szły na śmierć.

W innym czasie przez parę godzin byłam w celi z kobietą o nazwisku *Koszyc*, która się podawała za żonę Emila *Zegadłowicza*[3]. Ta więźniarka również wiedziała, że ją przywieziono do tego bloku w celu wykonania wyroku śmierci. Przez cały czas mówiła dużo, w wielkim podnieceniu, o swoich i *Zegadłowicza* poglądach na życie. Po jej wyprowadzeniu pozostała torebka, w której był portrecik tego pisarza i coś w rodzaju testamentu; w warunkach bunkrowych nie było sposobu na przechowywanie tych pamiątek.

W bunkrze zetknęłam się również z Anną *Żychoń* z Siemianowic. Jeśli dobrze pamiętam, była ona siostrą bratowej Wojciecha *Korfantego*. Po bardzo ciężkich przesłuchaniach, na które wyprowadzano ją w kajdanach, wracała zmaltretowana do tego stopnia, że od czasu do czasu konwojowano ją do lekarza na opatrunki. Na przegubach obu rąk miała nie gojące się rany od zakładanych jej kajdan. Była bardzo młoda i piękna. Posiwiała w ciągu kilkunastu dni. Annę *Żychoń* przeniesiono na krótko do *lagru* w Brzezince, a następnie z powrotem przyprowadzono do bunkra i stracono w bloku 11.

Po dwóch miesiącach pobytu wśród tzw. „cywilnych" więźniarek przeniesiono mnie i inne koleżanki do podziemi, do cel bunkrowych. Nad nami, w pokoju na parterze, odbywały się czasem przesłuchania. Dni te należały do najcięższych; uderzenia pejcza, jęki i krzyki maltretowanych, odgłosy kaźni słychać było wyraźnie w naszej celi. Z różnych dokumentów i relacji wiadomo, ile istnień ludzkich pochłonął blok nr 11 i ile cierpień nagromadziło się w jego murach. Warto wspomnieć, że przebywając w dużej sali parterowej wśród „cywilnych" zauważyłam któregoś dnia na desce pod siennikiem napis, którego treść powtarzam, jak sądzę, prawie dosłownie: „W tej sali w dniu 28 października 1942 roku czekało na wyrok śmierci 229 *häftlingów*. Pochodzili przeważnie z Lubelszczyzny. Wszyscy zachowują się spokojnie. Nadchodzi godzina 12".

Po pół roku mojego przebywania w bunkrze reżim nieco złagodniał. Przydzielono bardziej ludzkich strażników. Zdarzało się, że czasem można było uzyskać zezwolenie na pójście do dentysty w męskim „rewirze" szpitalnym. Oczywiście najczęściej pozorowało się chorobę, żeby tylko zobaczyć świat i usłyszeć coś po drodze od spotkanych ludzi. I ja właśnie też raz byłam zaprowadzona do dentysty, dra Janusza *Krzywickiego*. U niego spotkał się ze mną inny więzień, dr Władysław *Dering*, mąż przyjaznej mi, poznanej na Pawiaku lekarki, Krystyny *Ossowskiej-Deringowej*. W czasie tej wizyty naopowiadano mi wiele optymistycznych wiadomości z frontu i obdarowano kawałkiem mydła i chusteczkami.

Przyznaję szczerze, że w miarę przedłużania się mojego pobytu w bunkrze niewiele żywiłam nadziei na wydostanie się z niego. Sądziłam, że skończę tak, jak prawie wszyscy w tym bloku. Myślałam o tym, żeby się tylko zdobyć na opanowanie w czasie egzekucji. Nawet — jakże trudno o tym pisać — zastanawiałam się, czy w ostatnich słowach przed śmiercią wznieść okrzyk na cześć Polski, czy wolności. Zdecydowałam ostatecznie, że krzyknę: „Niech żyje wolność!", bo to pojęcie zawiera najgłębszą ludzką treść, a znaczy również „Niech żyje moja ojczyzna, Polska".

Przemyśliwałam również całymi miesiącami, jaką by chorobę upozorować, żeby mnie wywieziono do *lagru* w Brzezince, do „rewiru". Nie miałam nadziei na przeżycie, toteż znalezienie się w tym szpitalu choćby na kilka dni i zobaczenie się z bliskimi osobami, z którymi przyjechałam z Pawiaka, stało się jednym z moich najgłębszych pragnień. Marzyłam również o wymyśleniu sposobu na wysłanie ostatniego w życiu listu do rodziny. Zwierzyłam się z tego naszemu opiekunowi, inż. Janowi *Pileckiemu* z Warszawy, który był sekretarzem w tym bloku. Po pewnym czasie *Pilecki* wręczył mi ukradkiem list pisany przez mojego brata, Stanisława, a nadesłany więźniowi, bratu dra *Deringa*. Wtedy po raz pierwszy w bunkrze przestałam panować nad sobą. List musiałam zaraz oddać. Zostawiłam sobie tylko skraweczek, na którym były napisane słowa: matka i imiona moich dzieci.

W ostatnim miesiącu mojego pobytu w bunkrze pełnił służbę esesman w stopniu *unterscharführera*, który okazywał mi pewną życzliwość. Dopytywał się, jaką ja mam sprawę i głośno wyrażał zdziwienie, że mogą mnie tyle miesięcy przetrzymywać w bunkrze. Przydzielał do mojej celi przeważnie Polki i podkreślał, że czyni tak dlatego, żeby mi było raźniej. Pewnego dnia otworzył celę i zapowiedział, abym była gotowa na godzinę 6 po południu, bo wtedy on po mnie przyjdzie. Zapowiedź to była dla mnie niezrozumiała. Przechodziły mi przez głowę najczarniejsze myśli tym bardziej, że przed paroma dniami kalifaktor bunkrowy, Jakub, powiedział mi, że gdy ostatnio w bloku 11 byli gestapowcy z *Politische*, to on słyszał, iż mówiono o mnie. Wydawało mu się, że w czasie tej rozmowy ważył się mój los. „Możliwe, że będzie pani żyć" — powiedział do mnie, zamykając drzwi celi. Przebywałam wówczas w celi z dwiema Polkami, znajomymi z obozu. Niestety, nie pamiętam ich nazwisk. Napisałam kartkę pożegnalną do rodziny i przyjaciół, a także do życzliwego mi dra *Deringa*.

O godzinie 6 przyszedł Niemiec, wyprowadził mnie na korytarz i ukrywszy mnie za uchylonymi drzwiami od otwartej, pustej celi, dał mi do przeczytania list przywieziony przez niego z Krakowa od Bronisławy *Dłuciak*, mieszkanki podoświęcimskich Brzeszcz, która siedziała razem ze mną przez pewien czas w bunkrze i właśnie przed paroma tygodniami została wypuszczona na wolność. Po przeczy-

[3] Była to Maria *Koszyc-Szołayska*. Przed wojną mieszkała w Tarnopolu; była żoną tamtejszego gimnazjalnego nauczyciela historii. W roku 1938 wyjechała stamtąd i przybyła do Wadowic; następnie łączyły ją bliskie związki z *Zegadłowiczem* (przyp. red.).

taniu zabrał kartkę i wręczył mi paczuszkę żywnościową, podaną również przez tę samą osobę. Upomniał mnie, żeby współwięźniarkom w celi nic nie mówić o liście, a o paczce powiedzieć, że ją wyjątkowo dostałam do bunkra z poczty. Uścisnął mi serdecznie rękę na pożegnanie i odprowadził do celi.

Wspomniałam o tym zupełnie wyjątkowym esesmanie, którego postawa odbiegała od zwykłego sposobu zachowywania się obozowych funkcjonariuszy *SS*, zdaję sobie bowiem sprawę z tego, że niełatwo jest znaleźć przykłady świadczące o utrzymaniu godności ludzkiej przez garstkę Niemców, którzy mimo wieloletniego wychowania hitlerowskiego potrafili choćby w tak skromnym zakresie wyłamywać się z nakazów postępowania dyktowanego przez brunatny terror.

Pod koniec lipca 1943 roku zezwolono na dostarczanie więźniom bunkra paczek z poczty. Dostałam przed wyjściem dwie. Nieważne było to, że ocalały z nich tylko okruszyny, po których mogłam jedynie domyślać się ich zawartości. Najważniejsze było to, że paczki te nadeszły od swoich. Jedna z tych paczek, ku memu wielkiemu wzruszeniu, była adresowana ręką „Marysiątka", wspomnianej uprzednio koleżanki z „Wici" i BCh, wspólniczki ze sprawy; szczęśliwie udało się jej wyjść z Pawiaka w sierpniu 1942 roku, na kilka dni przed wyjazdem naszego transportu do Oświęcimia.

Dnia 9 sierpnia 1943 roku zwolniono mnie z bunkra do obozu. Kalifaktor Jakub dał mi na drogę kawałek chleba i wyszukał dla mnie jakieś męskie półbuty, bo moje drewniaki zaginęły podczas któregoś kolejnego odwszawiania bunkra. Nie mogłam uwierzyć w to, że naprawdę opuszczam bunkier. Wyjście z niego i przeniesienie mnie do Brzezinki, do swoich bliskich, z którymi przyjechałam z Pawiaka, było dla mnie przeżyciem silniejszym i radośniejszym niż prawdziwe oswobodzenie i rzeczywista wolność po wywiezieniu z Ravensbrück do Szwecji przez Szwedzki Czerwony Krzyż.

W obozie w Brzezince przywitaniom z powodu mojego „zmartwychwstania" nie było końca. Pierwszej nocy nie mogłam w ogóle zasnąć. Poszłam do najbliższych mi „kompanek" na „rewir" i tam przegadałyśmy wiele godzin, gotując, po kryjomu oczywiście, smaczną zupę w piecyku szpitalnym. Przydzielono mnie do bloku nr 21 na kwarantannę. Spotkałam tam Marię *Babską* z Warszawy, koleżankę z naszej ludowej konspiracji, żonę wybitnego działacza, byłego prezesa Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici", Bolesława *Babskiego*. Od trzech dni była więźniem Oświęcimia. Od niej dowiedziałam się o najbliższych mi ludziach na wolności, o rodzinie i współtowarzyszach z Batalionów Chłopskich.

*

Czas w bunkrze wypełniałam sobie codziennie, tak samo, jak podczas apelów w obozie, „pracą myślenia". Ogarniałam wyobraźnią całe swoje dotychczasowe życie, setki razy błądziłam myślami wśród ważniejszych przeżyć i wydarzeń, jak gdyby na nowo je doświadczałam i poddawałam rewizji swój stosunek do tych spraw, prac i ludzi. Gawędziłam i spierałam się w imaginacyjnych rozmowach z poszczególnymi osobami. Starałam się przywoływać w pamięci różnych bliskich mi ludzi i wyobrażać ich sobie w sytuacjach trudnych, w których trzeba było się znaleźć, będąc więźniem. Układałam w myślach listy do domu, czy do przyjaciół, oczywiście o treści sprzecznej z rygorami obozowej cenzury.

To psychiczne zbliżenie do wolnościowego świata wypełniało mi dnie, tygodnie i miesiące życia bunkrowego. Sny były odbiciem całodziennych rozmyślań, czyli znowu obcowaniem z bliskimi ludźmi i ze sprawami wolności.

Głód w bunkrze odczuwałam tak silnie i dotkliwie, że sama przed sobą czułam się tym upokorzona. Po prostu nieraz po dłuższym okresie głodówki całymi godzinami nie byłam w stanie oderwać się od myślenia o jedzeniu. Śniły mi się bochenki chleba znajdowane w rodzinnym domu na wsi, u matki, pod stołem, pod łóżkiem, bądź na drodze do rodzinnej wsi. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy byłam kiedyś w życiu syta i przekonywałam siebie, że na pewno tak było, bo przecież nie głodowałam na wolności.

„Podtrzymywałam" się ideowym sensem walki, której byłam uczestniczką. Wiedziałam, że innego losu nie mogłam wybrać, a więc wszystkie konsekwencje uczestnictwa w tej walce starałam się świadomie przeżywać i wytrzymywać.

Chcę tu z całym naciskiem podkreślić, że po aresztowaniu na każdym kroku, na Pawiaku i w obozie, patrząc na zawiłe stosunki międzyludzkie, znajdowałam potwierdzenie sensu i trafności ideałów wychowawczych „wiciowego" ruchu społecznego, w którym od młodości uczestniczyłam. Może patetycznie zabrzmi to proste, ale bardzo prawdziwe stwierdzenie, że to właśnie była zasadnicza siła, która pomagała mi się spokojnie trzymać i jednocześnie rwać się do życia z powojenną perspektywą kształtowania go po nowemu, po naszemu.

HELENA WŁODARSKA
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 37625

Bytom

Ze szpitala kobiecego obozu w Brzezince

W okupowanym kraju dużo mówiło się sekretnie o obozie oświęcimskim, lecz nikt nie mógł sobie wyobrazić, co się działo za drutami i jaką gehennę przechodzili ludzie tam uwięzieni. W pamięci pozostaje przede wszystkim ówczesny ciągły strach, masowe aresztowania i sprowadzanie przez rodziny prochów bliskich osób zamordowanych w Oświęcimiu-Brzezince. Pogrzeby były milczącą manifestacją ludzi wzburzonych bestialstwem okupanta hitlerowskiego, a w dużej mierze także włączonych do ruchu oporu. Do jednej z tajnych organizacji w Dąbrowie Górniczej włączył się mój mąż. Ciągle drżałam o jego życie, zwłaszcza wtedy, gdy miał wykonać polecone zadanie.

12 lutego 1943 roku o godzinie 3 nad ranem aresztowało nas w domu gestapo, zabierając męża, mnie i dwoje nieletnich dzieci. Męża i mnie wywieziono do Oświęcimia, a dzieci do „lagrów" w Beneszowie i Katzer (nazwa niemiecka). Grozę obozu dała poznać już tzw. kwarantanna w bloku 2. Jego wnętrze, przeznaczone dla koni, a nie dla ludzi, było wypełnione jak gdyby dużymi klatkami dla królików, zarzuconych mnóstwem brudnych łachmanów z tysiącami wszy i pluskiew. Były to tak zwane w języku obozowym „koje", służące więźniarkom do spania. Powierzchnia koi wynosiła 1,5 m^2 i przypadało na nią 10 kobiet, toteż większość z nas tuliła się z zimna wprost na glinianym klepisku, gdyż podłogi nie było. Na tym nieskanalizowanym terenie brakowało wody i ubikacji; jedna latryna była bardzo odległa. Dwie żelazne taczki przed barakiem, podobne do używanych na budowach, służyły do załatwiania potrzeb osobistych. W rozlewiskach cuchnących nieczystości, zmieszanych z błotem, więźniarki brnęły po kolana, szczególnie podczas wiosennych roztopów.

Podczas miesięcznego pobytu w kwarantannie, dokąd z początkiem marca 1943 roku przeniesiono duży transport kobiet z Oświęcimia I do Brzezinki, nie chodziłyśmy do pracy, lecz wypędzano nas na cały dzień na tzw. „wisę". Był to pusty teren, pokryty grubą warstwą kurzu lub błota zależnie od pogody. Nasi oprawcy urządzali harce, szczując nas psami, które niejednokrotnie pogryzły więźniarki. Obok „wisy", w rowie z cuchnącą wodą gasiłyśmy pragnienie. Woda ta powodowała częste zachorowania, lecz dla nas nie było to istotne, byle tylko zwilżyć spieczone usta. Obserwowałyśmy z dala wracające z pracy kolumny więźniów, niosących swych towarzyszy niedoli, osłabłych lub zmarłych. W początkowym okresie byłyśmy tak zaszokowane, że w naszych umysłach panował chaos i nie umiałyśmy wykrzesać nawet iskierki samoobrony, aby nie upaść na duchu.

Po skończonej kwarantannie przeniesiono mnie do podobozu „Budy", gdzie warunki wcale nie były lepsze niż w Brzezince. Ciężka praca ponad siły przy budowie wału nad rzeką, czyszczenie stawów rybnych, licha odzież, głodowe wyżywienie, deszcz i śnieg padający jeszcze w kwietniu 1943 roku sprawiły, że kobiety zaczęły masowo chorować. Występowały duże obrzęki twarzy, rąk do nadgarstka i nóg do kolan. Prawie wszystkie cierpiały na *durchfall*. Lekarza tam nie było, tylko blokowa Sonia, Niemka z czarnym trójkątem, decydowała, czy ta lub inna więźniarka ma umrzeć na miejscu, czy też należy wysłać ją do Brzezinki, do „szpitala", tzw. „rewiru".

Po krótkim pobycie „na Budach" byłam u kresu sił. Dostałam biegunki, bardzo źle wyglądałam i zaczął się ze mnie robić „muzułman". Pragnęłam wydostać się stąd i iść do szpitala z innymi, czułam bowiem, że tam znajdę opiekę i uniknę śmierci. Tak się pomyślnie złożyło, że wysłano mnie do Brzezinki do bloku nr 23 (szpitalnego), gdzie czułam się bezpieczniej bez szykan i bez wystawania na apelach. Po kilku dniach wystąpiły u mnie wysoka gorączka, dręczący kaszel, wymioty, silna biegunka oraz bóle głowy, kręgosłupa i brzucha. W tym stanie przeniesiono mnie do bloku nr 24 (zakaźnego), gdzie rozpoznano dur brzuszny, zapalenie płuc i biegunkę; wkrótce zachorowałam też na zimnicę. Od chwili przybycia do obozu nie wolno nam było wysyłać żadnej wiadomości do rodziny i nie wiedząc jeszcze wtedy, co się stało z mężem i dziećmi, załamałam się psychicznie; dochodząc do skraju wyczerpania, przeżywałam wtedy jedne z najgorszych swych dni obozowych.

Do bloku 24 przyprowadzono mnie okrytą tylko kocem, który zaraz zabrano z powrotem. Siedząc na podłużnym kominie, czekałam na bieliznę i wyznaczenie miejsca. To, co widziałam, przeżywałam nie jak rzeczywistość, lecz odbierałam tak, jak koszmarny sen, nie panując nad świadomością. Na każdej pryczy leżały dwie lub trzy chore w brudnych koszulach i nakryte strzępami brudnych koców. Kobiety-szkielety z ostrzyżonymi włosami wyglądały jak upiory i wyciągały ręce, prosząc spalonymi gorączką ustami o łyk wody. Zdawało mi się, że tracę zmysły lub majaczę w gorączce.

Umieszczono mnie w trzeciej „sztubie" na dolnej pryczy z drugą więźniarką. Było ciasno, ale przenikliwe zimno mniej dokuczało, gdyśmy się tuliły jedna do drugiej. Pytałam innych chorych, dlaczego nie ma lekarza i nie podają żadnych leków. Odpowiedziano mi, że tu nie ma czym leczyć i tu przychodzi się umierać. Mimo ciężkiego stanu zdrowia, w którym się znajdowałam przeszło trzy miesiące, wszystko dookoła mnie interesowało. Doku-

czały zwłaszcza straszne warunki sanitarne. Brak wody, bielizny, koców, panoszące się mnóstwo wszy i pluskiew, szczury wielkości dużych kotów — to wszystko było udręką i zmorą dla ciężko chorych. W tej sytuacji rozwinęła się w roku 1943 epidemia duru brzusznego, duru wysypkowego, pęcherzycy, świerzbu i innych chorób rzadkich na wolności.

Szpitalny blok 24 najczęściej wizytował lekarz niemiecki, *SS-untersturmführer* dr *Werner Rohde* (skazany na karę śmierci we Francji w roku 1946), któremu towarzyszyła więźniarka-Żydówka, Słowaczka, dr *Ena Stern*. Starała się ona przynajmniej na pewien czas uchronić Żydówki od selekcji i „komina". Spośród hitlerowskich lekarzy bywali tam *SS-untersturmführer Fritz Klein* (skazany na śmierć w roku 1945), dr *Hans Wilhelm König* i osławiony zbrodniarz, dr *Joseph Mengele*. Czynności stałego lekarza w bloku 24 pełniła więźniarka-Polka, dr Irena *Białówna* z Białegostoku. Pamiętam jej szczupłą sylwetkę w pasiaku, dobry, ujmujący uśmiech, wzbudzający zaufanie. Dr *Białówna* nie dysponowała prawie żadnymi lekami, lecz mozolnie wspinała się na górne prycze i cierpliwie słuchała jęków i skarg. Sama jej obecność, troskliwa opieka, słowa pociechy, współczująca postawa kojąco działały na chore więźniarki. Drugą naszą opiekunką była Janina *Komenda*, wdowa po lekarzu powiatowym z Kielc. Ze względu na jej podeszły wiek nazywałyśmy ją „Mateńką". Po przebyciu ciężkiej choroby, jeszcze bardzo słaba i wyczerpana, „Mateńka" pisała więźniarkom listy do rodzin w języku niemieckim, a wróciwszy trochę do sił, gorliwie pomagała dr *Białównie* w opiekowaniu się chorymi. Zachowanie się tych obu dzielnych więźniarek i przejawy ich nieustępliwego zmagania się z trudnościami były dla nas przykładem, jak również źródłem nadziei na przetrwanie piekła obozowego. Niezapomniana „Mateńka" zmarła 1 maja 1967 roku.

Bardzo powoli wracałam do zdrowia i ciągle prześladowała mnie myśl, że lada dzień czeka mnie znów ciężka praca, toteż musi nastąpić kres wędrówki życiowej. Często obserwowałam więźniarki zatrudnione w szpitalu i te, które ukradkiem przychodziły z bloków roboczych. Starałam się nawiązywać z nimi rozmowy; dowiadywałam się, że kobiety te również ciężko chorowały i są prześladowane, ale mimo to nie poddają się załamaniu. Wśród licznych przykładów można wymienić Zofię *Palową* z Zawiercia i Zofię *Szukalską* z Łodzi, więzione od roku 1942. „Organizowały" one bieliznę, odzież, buty, żywność, nawet od czasu do czasu lekarstwa, przynosiły to wszystko do bloku i rozdawały potrzebującym. Widząc ofiarne poczynania tych więźniarek, postanowiłam pójść w ich ślady, a przede wszystkim zbadać, jakimi sposobami działają. Życzliwe słowo i najdrobniejsza pomoc materialna dokonywały cudów u osób skazanych na zagładę. Z chwilą poprawy zdrowia zaczęłam jaśniej patrzeć na świat, dążyć do przetrwania najgorszych opresji i doczekać upragnionej wolności.

Pewnego razu, chcąc wypróbować swoje siły, wybrałam się po apelu na wędrówkę przed blok, aby zobaczyć, jak wygląda przyległy teren. Nogi uginały się pode mną. Słaba i spocona pokonałam przestrzeń kilkunastu metrów. Pamiętając przeżyte doświadczenia obozowe i świadoma terroru i prześladowań, ze zdziwieniem obserwowałam, jak więźniarki nie uginają się wobec wroga i zachowują hart ducha. Między blokami stały grupki kobiet; każda trzymała w ręku cokolwiek, co udało się jej „zorganizować". Po prostu odbywał się handel wymienny, nie powstrzymany obawą więźniarek przed narażeniem własnego życia. W chwili pojawienia się esesmana wszystkie rozpierzchały się w jednej sekundzie, jak gdyby ziemia je pochłonęła.

Od rodziców otrzymałam wiadomość, że dzieci żyją i są w „lagrze" na Morawach, a mąż przesyła mi pozdrowienia. Czułam jednak, że mąż został zamordowany. Spodziewałam się wszakże, iż dzieci wrócą, toteż muszę stworzyć im dom i być z nimi. O zrealizowaniu tych gorących pragnień zadecydowała dr *Białówna*, zatrudniając mnie w szpitalu, dzięki czemu uniknęłam najgorszych warunków w „komandzie" pracy, gdzie parogodzinne stanie na apelach, ciężka praca na deszczu lub w upale, bicie, ciągły strach i głód wykańczały najsilniejsze kobiety.

W sierpniu 1943 roku zatrudniono mnie jako tzw. *Torwache*, coś w rodzaju stróża w bloku nr 24. Musiałam stać przed blokiem, meldując blokowej o zbliżaniu się kogokolwiek z władz obozowych, oraz powiadamiać o wysłaniu więźniarek po posiłek do kuchni. Ta praca nie była ciężka, lecz bardzo denerwująca i fakty, których byłam świadkiem, głęboko zapadły w moją psychikę na całe życie. Do chwili obecnej na samo wspomnienie o tym nie mogę opanować wstrząsu. W bloku 24, jak zresztą podawali uprzednio już inni autorzy, blokowa, więźniarka-Niemka z czarnym trójkątem, położna, którą nazywano *Schwester Klarą*, odbierała porody od kobiet przywiezionych z wolności do obozu; przybyłe w ciąży, tutaj rodziły. Porody odbywały się na oczach wszystkich chorych na kominie-piecu biegnącym wzdłuż całego bloku. Wspomniana „siostra" natychmiast po urodzeniu dziecka odbierała je matce i w przedsionku topiła w wiadrze wody, zanurzając główkę oseska i trzymając go nóżkami do góry, dopóki nie ustały oznaki życia. Były to przeważnie dzieci żydowskie. Nie da się wyrazić słowami, co przeżywałam, patrząc, jak maleńkie, bezbronne istotki trzepotały się w zbrodniczych rękach. Zdawało mi się, że oszaleję i pójdę „na druty".

Z początkiem 1944 roku na moje miejsce dano inną więźniarkę, a mnie przeznaczono do nocnej pracy (tzw. *Nachtwache*), która polegała na pilnowaniu chorych i wynoszeniu kubłów z nieczystościami. Nocne dyżury pełniły dwie kobiety w całym bloku. Byłam pełna nadziei, że noc przyniesie mi ulgę moralną

i że będę mogła pomagać innym w miarę swych możliwości. Niestety, moje nadzieje się nie spełniły. Na przełomie lat 1943 i 1944 szalała epidemia chorób zakaźnych, które pochłaniały tysiące kobiet. Zwłoki wynoszono przed bloki, skąd wywożono je autami do krematorium. Szczury, mając czym się żywić, rozmnożyły się niesamowicie. Ciała zmarłych więźniarek były tak pogryzione, że przeświecały kości. Wydano zarządzenie, aby zwłoki odnosić do specjalnego baraku, tzw. *Leichenhalle,* znacznie odległego. Ten makabryczny transport musiały wykonywać *nachtwache.*

Pamiętam, że przy odnoszeniu z drugą więźniarką po raz pierwszy zwłok do *Leichenhalle* ujrzałam potworny widok i myślałam, że nie wrócę żywa. Barak był pozbawiony jakiegokolwiek urządzenia. Bardzo silny reflektor, umieszczony na zewnątrz, rzucał światło do wnętrza. Na środku baraku była sterta rozrzuczonych w nieładzie, zesztywniałych zwłok-szkieletów ludzkich. W tej plątaninie ze szczególną ekspresją przerażały rozwarte usta i nie zamknięte oczy. Musiałyśmy odbywać te wędrówki kilka razy w ciągu nocy, w przeciwnym razie bowiem nas by tam zaniesiono.

Byłam również świadkiem śmierci dr Marii *Werkenthin,* której prof. dr Janina *Kowalczykowa* poświęciła szkic biograficzny już w pierwszym zeszycie specjalnym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Warto teraz dodać bliższe szczegóły. Dr *Werkenthin* jako chorą z wysoką gorączką umieszczono w izbie *szrajberki* Haliny *Skoniecznej,* w bloku 24. Dr *Białówna* otoczyła dr *Werkenthinównę* troskliwą opieką i poleciła pilnować, aby chora nie wyszła poza teren bloku. W pewnej chwili jednak wybiegła ona jakby z furią z pokoju i popędziła za blok. Niedaleko znajdował się głęboki rów i naelektryzowane druty, za którymi stała wieża strażnicza, a w niej esesman z bronią. Dr *Werkenthin* wpadła do rowu i następnie zaczęła wspinać się po skarpie do góry. Strażnik strzelił i nieszczęsna ofiara zwaliła się z powrotem do fosy. Mimo natychmiastowej pomocy innych lekarek dr *Werkenthin* nie odzyskała przytomności, gdyż strzał w klatkę piersiową prosto w serce był celny.

W pierwszej połowie roku 1944 zostałam wypisana ze szpitala na „lager" do „komanda" pracy przy sortowaniu odzieży w tzw. *Bekleidungskammer.* Tutaj „organizowałam", co się dało i przynosiłam na „rewir" dla potrzebujących. Po paru miesiącach znowu wróciły bóle i zawroty głowy, wymioty, biegunka i złe samopoczucie. Skierowano mnie do ambulatorium, a stamtąd przesłano do szpitala, do tego samego bloku, w którym pracowałam pod opieką nieocenionej dr *Białówny.* Powtórny pobyt w szpitalu zawdzięczam młodej lekarce-Polce, dr Jadwidze *Hewelke,* zatrudnionej w ambulatorium i starającej się chronić kobiety przed ciężką pracą. Pamiętam również Monikę *Galicynę* z Poznania, będącą duchem opiekuńczym chorych kobiet. Starała się ona zdobywać leki, przyrządzała gorące napoje, zioła, kawę, herbatę, a w wypadku ich braku choćby wodę gotowaną. Rano o świcie lub wieczorem po apelu *Galicyna* roznosiła po blokach dzbanki zbawiennego płynu, przywracającego życie chorym więźniarkom. Po dość już obfitej literaturze, dotyczącej „rewirów" Brzezinki i Oświęcimia, nie muszę specjalnie ze swej strony dowodzić, że w innych blokach także pracowały lekarki-Polki, które z całym poświęceniem dążyły do uchronienia jak największej liczby kobiet od zagłady i śmierci. Znałam między innymi dr *Łaniewską,* dr *Węgierską,* dr *Kościuszkową,* wspomnianą już dr *Hewelke,* a dr Irenie *Białównie,* szlachetnej i pełnej ofiarności, zawdzięczam życie i przetrwanie obozu. Na podkreślenie zasługuje, że gdziekolwiek w obozie pracowały Polki, nie brak było wśród nich takich, które dzieliły się wszystkim ze współtowarzyszkami. Silna wola i wzajemna pomoc dawały możliwość przetrwania obozu.

Pod koniec 1944 roku syreny obozowe coraz częściej oznajmiały o nalotach. Do obozu przenikały pomyślne wiadomości, już nie tylko „parole", lecz także prawdziwe relacje o przybliżającym się froncie, które lotem błyskawicy rozchodziły się po blokach. To wszystko napawało nas otuchą i upewniało, że wreszcie nadejdzie upragniona chwila oswobodzenia i wolności.

W nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku trwał długi alarm. Nieprzeniknione ciemności zaległy obóz; nikt nie spał, jak gdyby oczekując czegoś, co musi nastąpić. Podczas alarmu około godziny trzeciej nad ranem wpadły do bloku *aufzejerki,* rozkazując zebrać całą dokumentację chorych i układać na koce. Papiery te wyniesiono do czekających aut ciężarowych, które niebawem odjechały. Padł rozkaz, aby wszystkie więźniarki mogące się poruszać były przygotowane do ewakuacji o godzinie szóstej rano. Nastąpiło zamieszanie wśród ciężko chorych, powstała konsternacja, płacz i lament. Panowało ogólne mniemanie, że obóz jest zaminowany, a w wypadku porażki Niemcy wysadzą wszystko w powietrze. Z braku odzieży chore owijały się kawałkami koców, byle nie zostać i iść z innymi w nieznane. W tym czasie panował siarczysty mróz, a nas wyprowadzono z terenu szpitala obozowego dopiero o godzinie 18 wieczorem dnia 18 stycznia 1945 roku. Ciężko chore pozostały na miejscu.

Kolumny słaniających się kobiet, otoczone Niemcami z wilczurami u nogi, posuwały się jak kondukt żałobny. Podczas marszu słychać było poszczególne strzały; to Niemcy strzelali do kobiet, które nie mogły iść lub poruszały się zbyt powoli. Szłyśmy całą noc i następny cały dzień do wieczora; dotarłyśmy do Poręby pod Pszczyną; tutaj zarządzono nocleg. Strudzone więźniarki rozeszły się do domów i stodół miejscowych gospodarzy. Ludność tej wsi zaopiekowała się nami bardzo troskliwie; podawano nam gorącą zupę, kawę, herbatę i chleb. Wygłodniałe i zmarznięte, jadłyśmy łapczywie wszystko, jak na uczcie z najlepszymi przysmakami.

Nazajutrz transport miał ruszyć w dalszą drogę. W nocy zrodziła się wśród nas myśl, aby gdzieś się ukryć, a po odejściu transportu wracać do domu. W pierwszej chwili pomysł ten wydał się szalony i prawie każda z naszej grupy bała się podjąć ryzykownego kroku. Jedna z moich koleżanek, Pola *Kowacka* z Zawiercia i ja postanowiłyśmy uciekać, nie mając nic do stracenia w dalszej drodze, a mogąc uratować życie. Pożegnałyśmy się z „Mateńką" i resztą współtowarzyszek z grupy. Między godzinami 3 a 4 rano dnia 20 stycznia wyszłyśmy z domu gospodarza i skierowałyśmy się w stronę małego lasku, dochodzącego w pobliże tego gospodarstwa. Ucieczce sprzyjała okoliczność, że byłyśmy w cywilnych ubraniach, gdyż pasiaków było brak i wydawano je tylko do „komand" wychodzących poza obóz.

Gdy wszystko ucichło, wyszłyśmy z lasku na główną drogę, gdzie pytałyśmy przechodniów o kierunek do Katowic. W strachu i niepewności szłyśmy cały dzień. Zanocowałyśmy w Piotrowicach u nieznanych, lecz uczciwych ludzi, nie zdradzając, kim jesteśmy. Trasa do Katowic była nie do przebycia, toczyły się tam zacięte walki, pełno było zasieków z drutu; obrałyśmy kierunek do Siemianowic. Tutaj trochę orientowałam się w terenie, toteż z wielką ostrożnością w późnych godzinach wieczornych dobrnęłyśmy do moich rodziców, mieszkających w Grodźcu pod Będzinem. Był to pamiętny dzień 21 stycznia 1945 roku. Radość powitania z najbliższymi nie kończyła jeszcze wszystkich ciężkich przeżyć. Niemcy nadal rządzili okolicą i musiałam ukrywać się z koleżanką, aby nikt nie wiedział o naszym powrocie. Wolność przynieśli pierwsi żołnierze radzieccy, którzy 27 stycznia 1945 roku przepędzali Niemców z Zagłębia Dąbrowskiego.

ANTONI DUBIEL
były więzień obozu koncentracyjnego Gusen nr 48920

Gliwice

Ze wspomnień chorego więźnia Neu Sustrum i Gusen

Obóz karny Neu Sustrum należy do tych licznych mniejszych miejsc zbrodni hitlerowskich, które nie doczekały się jeszcze ogólnie znanych opracowań, podających bliższe wiadomości o warunkach tam panujących. Wspomniany obóz został założony w roku 1935. Osadzano w nim przeciwników hitleryzmu z Niemiec, a później również z innych krajów. W sąsiednich obozach więziono jeńców belgijskich, francuskich i radzieckich. Obóz Neu Sustrum znajdował się w Westfalii, gdzie więźniowie przygotowywali grunt pod uprawę ziemniaków i innych roślin okopowych na rozległych wrzosowiskach leżących od wieków ugorem. Komuniści niemieccy określali go jako „*Moor*" lub „*Moorland*" (kraj na bagnach).

Do obozów dostałem się stosunkowo wcześnie. Byłem więźniem politycznym skazanym przez Trybunał Ludowy (*Volksgericht*) w Berlinie na 8 lat ciężkiego więzienia. Rozprawa odbyła się 18 marca 1941 roku. W Neu Sustrum zachorowałem po raz pierwszy. Był to dur. Przed chorobą musiałem pracować przy kopaniu ziemniaków i zwożeniu ich do kopców. Przed wojną pracowałem jako księgowy w magistracie w Żorach na Śląsku i wcale nie chorowałem. Do więźniów obozu należało wysadzanie wymienionych płodów rolnych oraz ich zbieranie i przechowywanie przez zimę.

Choroby mogłem uniknąć, gdyby nie wpłynęły na nią warunki stworzone przez władze obozowe. Administracja obozu wydzielała więźniom głodowe pożywienie, w tym dziennie 25 dkg chleba. Co miesiąc ważono wszystkich więźniów, ponieważ wskaźnikiem zdolności do pracy miał być wykazany ciężar ciała. Przy tym skromnym, ale systematycznym żywieniu utrzymywałem od roku ciężar 57 kg, jakkolwiek w dniu aresztowania (11 marca 1940 roku) ważyłem 67 kg. Podczas ważenia we wrześniu 1941 roku wpisujący wagę omyłkowo zapisał mi zamiast 57 tylko 54 kg. To spowodowało przeniesienie mnie do baraku inwalidzkiego nr 2 (było 14 baraków). Z pracy w polu przeniesiono mnie do obierania ziemniaków, brukwi, marchwi i kapusty w kuchni obozowej.

Inwalidom zmniejszono racje chleba, toteż w kuchni więźniowie jedli po kryjomu poszatkowaną kapustę lub brukiew. Takie dożywianie się było zabronione i dwaj dozorujący więźniowie wymierzali ciężkie plagi kosturem, jeśli przyłapali kogoś na jedzeniu, a tym bardziej na wynoszeniu ziemniaków. W krytycznym dniu podjadłem trochę surowej kapusty, natomiast po południu otrzymaliśmy na obiad ugotowane, poszatkowane liście buraczane. Liście te były na wpół surowe. Wszystkie płody rolne były silnie nawożone; nie pamiętam, jaki nawóz stosowano. Kapusta i liście poważnie mi zaszkodziły, również zachorowali inni koledzy. Po spożyciu liściastego obiadu poczułem w nocy nieznośne bóle brzucha, połączone z ostrą biegunką.

Rano 20 października 1941 roku poszedłem na „rewir". W tym obozie, mieszczącym przeszło tysiąc więźniów-Polaków, w którym dozór sprawowała służba więzienna w mundurach zielonych oraz policja w granatowych, spośród

14 baraków ostatni był przeznaczony na szpital i podzielony na izby po 8 łóżek każda. Barakiem szpitalnym opiekował się cywilny lekarz, sanitariusz-funkcyjny oraz trzech więźniów obsługi. Przyjął mnie ów cywil. Po zbadaniu gorączki — termometr wskazywał 39,5° — otrzymałem zastrzyk strofantyny oraz zastrzyk glukozy (*traubenzucker*) o pojemności 20 cm^3. Ponadto przepisano mi herbatę ziołową codziennie.

Pod łóżkami były nocniki i butelki na mocz. Biegunka męczyła mnie dzień i noc, toteż wśród siedmiu współtowarzyszy najczęściej korzystałem z nocnika. Jeden z tych chorych więźniów umarł, gdyż nie panował nad biegunką. Inni chorzy, którzy znaleźli się tutaj wcześniej, czuli się lepiej i spożywali dość posilne jedzenie, jakiego nie mieli pracujący w innych barakach. Czułem wyraźnie, że biegunka mnie wyczerpuje i tracę dużo krwi. Zastrzyki i herbata jakoś nie skutkowały. Umyślnie nie spałem przez osiem nocy, aby nie zabrudzić bielizny pościelowej, wiedziałem bowiem, że takie „zapomnienie" równało się śmierci. Miałem wtedy 21 lat, ale nie starczało mi sił, żeby podnieść koc lub dźwignąć się z pozycji kucznej do stojącej. Pod paznokciami nie miałem śladu krwi. Udo w najgrubszym miejscu obejmowałem palcami wskazującymi. Nie wiem, ile ważył mój szkielet, gdyż w tym czasie chorych nie ważono.

Dziewiątego dnia wieczorem całkowicie opadłem z sił. Nogi powyżej kolan zesztywniały mi i ze strachu oblałem się zimnym potem. Wydawało mi się, że bije moja ostatnia godzina. Przywołany do sali sanitariusz-więzień oświadczył, że urzędowy felczer odszedł do domu i zabrał klucz od szafy z lekarstwami. Ów kolega przyniósł dwa koce i nakrył mnie nimi. Uświadomiłem sobie, że ta noc oznacza żyć albo nie żyć. Wtedy skurczyłem się i zacząłem mocno oddychać, prosząc Boga o przeżycie do rana. Oddychanie sprawiło, że zagrzałem się i zasnąłem. Pamiętam nawet, co mi się śniło. Przesilenie choroby spowodowało zahamowanie biegunki, zmniejszenie dawki zastrzyku do 10 cm^3, a zamiast herbaty przydzielono mi kleiki i inne zupy. Leczenie trwało miesiąc. Następny miesiąc przyniósł poprawę zdrowia do tego stopnia, że mogłem jeść normalne pożywienie tak, jak wszyscy pracujący. Dodatkowo przeleżałem miesiąc styczeń 1942 roku z powodu zapalenia oskrzeli.

W okresie najcięższej choroby interesowało się mną gestapo, gdyż miałem wyjechać do Gdańska, a najprawdopodobniej do nowego obozu koncentracyjnego w Stutthofie (Sztutowo). Dnia 20 marca 1942 roku gestapowiec zabrał mnie samego do ciężkiego więzienia w Brandenburgu. Po pamiętnej uchwale Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*) i Głównego Sztabu *SS* z lipca 1942 roku, kiedy to wszystkich skazanych więźniów uznano za przestępców, których nie warto żywić, uwięzionych kierowano z więzień do obozów koncentracyjnych na zagładę. W ten sposób z więzienia w Rawiczu, gdzie się później znajdowałem, dostałem się 1200-osobowym transportem do obozu koncentracyjnego w Gusen przez centralny obóz w Mauthausen. Wyjazd z Rawicza nastąpił 12 grudnia 1942 roku.

Transport zatrzymano w trzech blokach ogrodzonych drutem na sześciotygodniową kwarantannę w celu zahartowania więźniów w tamtejszym klimacie. Żywienie było podobne, jak w więzieniach. Praca odbywała się jednak na wolnym powietrzu i ustrój potrzebował większej ilości kalorii. Wolno było palić papierosy, których w okresie naszego przybycia było w obozie dość dużo. Za porcję chleba (25 dkg) można było kupić na giełdzie obozowej do 30 papierosów jugosłowiańskich marki „bregawa". Spośród nowicjuszy z Rawicza było niestety niemało takich, którzy chleb zamieniali na papierosy i palili na umór. W więzieniach zaś palenie papierosów było surowo zakazane.

Kwarantanna polegała na trzymaniu wszystkich więźniów na podwórzu przed blokami przez cały dzień i polewaniu większych grupek wodą. Ta bezczynność na mrozie spowodowała „przeziębienie" wszystkich towarzyszy, które z kolei pociągnęło za sobą biegunkę. Nie było takiego, którego by ominęło rozwolnienie. W tej sytuacji nawet najmniejsza pomoc krzepiła na duchu. Niektórzy znaleźli tutaj znajomych, a ci, jeśli mieli ważniejsze stanowisko w obozie, mogli pomagać naszym przez ofiarowanie dodatkowej miski zupy. Takiego kolegę, pochodzącego z Żor, znalazłem i ja. Był nim Wilhelm *Parchański*, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego, przywieziony do Gusen w roku 1940 lub 1941. Chodziłem do niego wieczorem po drugi obiad, a towarzyszył mi kolega Grzegorz *Urban* z Krakowa (zmarł w roku 1964). *Parchański* umarł w roku 1958 na raka jelit. Spośród nas tam więzionych żyje kolega Stanisław *Rydzy*, oficer KW MO w Krakowie.

Nie pomogła mi ta druga porcja. Biegunka męczyła mnie srodze; wyraźnie opadałem z ciała, z czego jeden z kolegów wywróżył mi jeszcze dziesięć dni życia. Tymczasem na łóżkach w barakach konały dziesiątki kolegów dziennie. Bardzo dokuczała ciasnota. Z mojej pryczy wynoszono zwłoki trzy dni z rzędu. W blokach kwarantanny nie było żadnego lekarstwa ani ratunku. Nie było się pewnym ani dnia, ani godziny.

W obozie był szpital składający się z trzech baraków. Jak wiadomo z innych relacji, była tam co prawda fachowa obsługa i były lekarstwa, ale tylko dla niektórych więźniów. Nie umniejszając zasług personelu lekarskiego w Gusen dla ratowania ludzi, należy stwierdzić, że wielu było pozbawionych opieki i umierało przedwcześnie. Można by opisać liczne epizody świadczące o tym, jak często lekarze obozowi byli bezradni i nie wszystkim współwięźniom mogli pomóc. Łatwo się domyślić, że taki stan rzeczy był konsekwentnym wynikiem systemu założonego z góry przez władze esesowskie. W tej sytuacji nawet samorzutna pomoc udzielana przez lekarzy-

-więźniów niektórym ich podopiecznym była przejawem ruchu oporu wobec hitlerowców. Oprócz lekarzy również inni Polacy w obozie pomagali współwięźniom przetrwać ich gehennę, dzieląc się chlebem otrzymanym w paczce, a wiadomo, że bardzo wielu więźniów paczek nie dostawało.

Poradzono mi skorzystać z leczenia szpitalnego. Schorzały i osłabiony, lecz z mocną wiarą udałem się do tej obozowej lecznicy. Był to początek stycznia 1943 roku. Blok szpitalny nr 31 był w połowie przeznaczony dla ciężej chorych, drugą połowę zaś zajmowali chorzy na inne choroby lub rekonwalescenci po przebytej biegunce. Zostałem przyjęty do części bloku zajmowanego przez ciężko chorych, gdzie omal nie upadłem, uderzony odorem kału. Około 100 więźniów leżało na wełnie drzewnej, okrytych tylko kocem. Poszukałem miejsca luźniejszego, zwinąłem bieliznę i odzież pod głowę, a tymczasem służba przyniosła świeżą ściółkę. Pisarz blokowy dokonał formalnego przeniesienia. Leczenie chorych polegało na spokojnym leżeniu (*Bettruhe)* i diecie składającej się z połowy porcji chleba i pół litra zupy.

Ruch w tym „rewirze" był nie mniejszy niż w powiatowym hotelu, przy czym spośród ogólnej liczby przebywających 1/4 przechodziła do następnej sali, natomiast 3/4 wynoszono lub wywożono do spalenia. Dość szeroka kadź ubikacyjna była stale zajęta. Opieka lekarska musiała sprowadzać się na ogół do pytania, jak się chory czuje. Więźniów stąd nie wypędzano, bo nie zagrzewali tutaj długo miejsca. Samo leżenie miało o tyle dobry skutek, że „kapo" tu nikogo nie bił, było ciepło, gdy na dworze panował mróz. Smród jakoś przestał razić. Chlewna atmosfera różniła się od bydlęcej tym, że można było porozmawiać z sąsiadem, a leżeli tutaj także Rosjanie, Włosi, czy Francuzi. Nie brak było inteligentów. Dobre słowo podtrzymywało ludzi na duchu, a przed załamaniem ratowała silna wola i wiara.

W trzecim dniu pobytu w „rewirze" zgłosiłem się jako zdrowszy i przeniesiono mnie — praktycznie, to sam poszedłem — na drugą stronę bloku do sali zwanej „sanatorium". Tutaj na dwupiętrowych łóżkach po dwóch leżeli chorzy na siennikach wypchanych wełną drzewną, pod dwoma kocami. Było tu o wiele lepiej niż w poprzedniej sali na podłodze. Pchły dokuczały tak intensywnie, że niektórzy nie mogli nawet marzyć o spaniu. Były to jak gdyby pomocnice krwiopijców w mundurach *SS* i „kapów" różnych szczebli. Wyżywienie było również głodowe, a różniło się od poprzedniego tym, że kromkę chleba przypiekano na blasze i podawano z kawą. Był to niewątpliwie prymitywny sposób leczenia biegunki przypiekanym chlebem, lecz od takiego jadła nie przybywało sił, tylko ubywało. Śmiertelność była tutaj znacznie mniejsza. Dowiedziałem się, że do tej sali lubi nocami zachodzić „kapo"-oprawca i wybiera sobie ofiary, jak kot wróble spod strzechy. Wybierał najczęściej takich więźniów, którzy tu dłużej przebywali lub upatrywał chorych ze sztucznym uzębieniem złotym. Dobijał ich zastrzykami benzyny lub fenolu. Słyszałem nieraz przedśmiertne krzyki tych nieboraków. Pobyt tutaj był nie zachęcający i niepewny, chociaż nie miałem złotego zęba. Poleżałem tydzień i zgłosiłem pisarzowi, że jestem zdrów. Ten nie miał nic przeciw temu i dał mi skierowanie do bloku nr 20, w którym rządził wówczas jeden z najgorszych katów, mianowicie *Becker,* dawniejszy esesowiec, zdegradowany za jakieś przewinienia kryminalne.

W rzeczywistości nie byłem zdrowy i słaniałem się na nogach. Do pracy nie chodziłem, ponieważ jeszcze obowiązywała mnie kwarantanna. W dzień nie wolno było przebywać na bloku i nie można też było włóczyć się między blokami, bo tu szalał jeden z największych oprawców, *van Loosen.* Zwłaszcza najbardziej wycieńczeni więźniowie, „muzułmanie", cierpieli wskutek prześladowań ze strony wszystkich „kapów", a głównie wewnątrzobozowego, *Loosena.* Nie mieli prawa pokazywać się mu na oczy. Każdy schwytany ginął pod kijem, jeśli na czas nie uciekł. Ryzykując wędrowałem po umywalniach. Obrywałem kijem w ucieczkach, lecz kijem rzuconym, bo z ręki *Loosen* żywych nie puszczał.

W bloku nr 20 otrzymywałem zwykłe jedzenie, jak każdy pracujący. W tydzień po wyjściu z „rewiru" przyniesiono jeden z lepszych obiadów. Była to zwykła kasza, ale dość gęsta. Po jej zjedzeniu pozbyłem się biegunki. Przed upływem końca kwarantanny, tj. 15 lutego 1943 roku, przyszedłem jako tako do normy. Przypomniano mi, że pora iść do pracy w kamieniołomach. Przydzielono mnie do „komanda Kastenhofen" pchać koleby z kamieniami. Stało się zadość prawu władców z Berlina i prawu przyrody, że tylko silniejsze osobniki mogą egzystować w świecie.

Kwarantanna przyniosła tragiczne żniwo. Spośród 1200 towarzyszy wywiezionych z Rawicza przeżyło pod koniec lutego 1943 roku 120 osób. Ten etap obozowy należał do najgorszych. Pracowałem w różnych „komandach", spadały na mnie kije „oberkapów", „kapów", „hilfskapów", a nawet esesmanów. Do Wilhelma chodziłem regularnie „po repetę" do ostatniego dnia, tj. do 5 maja 1945 roku. Trochę pomogły mi do przetrwania paczki z chlebem przypieczonym w margarynie. Takiego jadła esesowcy i pisarze nie jedli i nie zabierali niczego. „Prominenci" obozowi urządzali się tak, że mieli lekką pracę, jedzenie i papierosów dostatecznie dużo i lepsze łóżko w „rewirze". Nie kąsały ich wszy, bynajmniej nie przypominali szkieletów i chodzili dobrze odziani. Niestety, do tej kasty nie należałem. Dlatego mogłem odczuć warunki obozowe z punktu widzenia przeciętnego więźnia i przeciętnego chorego. Natomiast „prominenci" mieli nawet służących do prania bielizny. Zwykli śmiertelnicy nie mieli dostępu ani do biur administracji obozowej, gdzie „prominenci" byli zatrudnieni, ani do bloku nr 2, w którym kwaterowali. Elita obozowa była jednak nieco zróżnicowana, gdyż plaga wszy nie mo-

gła ominąć „prominentów" mieszkających w blokach roboczych i stykających się ze zwykłymi więźniami.

Pobyt w obozie pozbawił mnie zdrowia, którym, jak wspominałem, cieszyłem się przed uwięzieniem przez hitlerowców. Prawie rok na wolności leczyłem „flegmonę" na nogach. Z opisanej choroby więziennej i obozowej pozostał mi chroniczny katar żołądka, jak również nie zbadane bliżej dolegliwości układu trawiennego. Dokucza mi także nadkwasota, która zresztą dawała znać o sobie już od pierwszych lat powojennych. Nie służy mi chleb wypiekany w dużych piekarniach parowych. Ulgę przynosi mi wypoczynek na wsi i pobyt w sanatorium.

Nigdy jeszcze nie opisywałem tematu okupacyjnego, sądząc, że publikacji tego rodzaju jest już bardzo wiele. Powrót myślą do czasów wojny, a zwłaszcza do dni kontaktu z „rewirem", nie jest dla mnie przyjemny. Wspominam jednak postacie szlachetne, jak np. dra Antoniego *Gościńskiego* z Gusen. Wiem bardzo dobrze, z jakim poświęceniem ratował więźniów, nie tylko Polaków i jak np. operował kanadyjskiego majora, ranionego śmiertelnie przez esesowców podczas lądowania na spadochronie pod samym obozem. Pamięć o tak szlachetnych lekarzach-więźniach nie powinna zaginąć. O ruchu oporu w Gusen słyszałem, ale nie zetknąłem się z nim. Zaabsorbowany sytuacją, w której się znajdowałem, nie interesowałem się ani organizacją podziemną komunistów, ani narodowców. Jest niewątpliwe, że działały one w bardzo trudnych warunkach, musiały się dobrze konspirować, a przy tym zasięg ich pomocy dla więźniów musiał być ograniczony, co wcale nie zmniejsza ich już historycznego znaczenia. Nic więc dziwnego, że relacje więźniów przeciętnych, których los uchronił od śmierci w obozach, z pewnością są potrzebne w celu wzbogacenia wiadomości o „lagrach" hitlerowskich, aczkolwiek — z czego wszyscy zdajemy sobie sprawę — pełny opis tego, co się w nich działo, nigdy nie będzie możliwy.

JERZY OSUCHOWSKI Katowice
były więzień obozów koncentracyjnych Buchenwald nr 9787 i Mauthausen-Gusen nr 46464

Zagazowanie jeńców radzieckich w Gusen

Problematyka obozu zagłady Gusen była już kilkakrotnie poruszana w osobnych artykułach w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Dotychczas jednak ogólna bibliografia dotycząca tego obozu znacznie ustępuje zasobowi publikacji dotyczących innych obozów, jak np. Oświęcim, Dachau, Ravensbrück. Nic więc dziwnego, że wydarzenia w Gusen, epizodyczne na tle całej historii tego obozu, uchodzą uwagi autorów, albo też trudno jest obecnie — po upływie przeszło ćwierćwiecza — znaleźć wiarygodnych świadków wydarzeń. Do tych tragicznych epizodów należało np. zagazowanie blisko 400 więźniów [1]. Z tym zagadnieniem wiąże się również los jeńców radzieckich, który bez wątpienia zasługuje na przypomnienie choćby w krótkim szkicu.

Jeńców tych wkrótce po przybyciu do obozu koncentracyjnego Gusen (24 października 1941 roku) umieszczono w barakach 13, 14, 15 i 16, odgrodzonych od innych baraków drutem kolczastym. Jeszcze w tym samym roku wśród jeńców wybuchła epidemia duru wysypkowego. Środki przedsiębrane przez administrację obozu dla zwalczania go zawodziły. Mimo iż zabijano zastrzykami benzyny wszystkich podejrzanych o tę chorobę, nie zdołano jej w ten sposób zlikwidować.

„Szprycowanie" odbywało się codziennie w bloku 16 przeznaczonym na „rewir" dla jeńców radzieckich. Uśmiercali sanitariusze *SS* i „kapo" tego „rewiru", Franz *Zach*, z polecenia lekarza *SS*, *Kiesewettera*. Plonem ich cowieczornego trudu było kilkanaście zwłok, a nieraz i trzydziestu zamordowanych jednego dnia, rzuconych bezwładnie na stertę przed blokiem 16. Dla nikogo nie było tajemnicą, jaką śmiercią zginęli. Obrzękła twarz każdego była prawie czarna, a ciało było pocentkowane czerwonawosinymi plamami. Po lewej stronie klatki piersiowej widoczna była zakrzepła kropelka zrudziałej krwi, ślad ukłucia igłą.

Za powolny wydał się snadź władzom obozowym ten sposób likwidowania duru, który tymczasem przeniósł się z obozu jeńców na obóz główny. Plaga wszy ogarnęła wszystkie bloki. Postanowiono więc przeprowadzić dezynfekcję całego obozu, podobnie jak to uczyniono w lipcu 1941 roku. Wówczas odbyło się odwszawianie. Tym razem jednak nie wypędzono więźniów na plac apelowy, lecz stłoczono cały obóz na noc w kilku blokach, przeznaczając dla jeńców blok 31. Nie przeniesiono tylko chorych jeńców z bloku 16.

Wczesnym popołudniem udała się tam grupa esesmanów. Wśród nich kroczył *lagerführer Chmielewsky*, lekarz *SS Kiesewetter*, znany już z pierwszej dezynfekcji Gusen *Anton Slupecky*, właściciel drogerii czy apteki w Linzu, wówczas *sturmführer SS*. Podjął się on odwszawienia obozu. Szczególne esesowskie zainteresowanie blokiem 16 uderzało nas od razu tym bardziej, że blok ten zabito deskami od

[1] Por. J. *Osuchowski*: Zagazowanie więźniów z bloku 24 w Gusen. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 177—181.

zewnątrz. Doświadczeniem pouczeni, wiedzieliśmy, że w celu dezynfekcji bloków troskliwie oklejano framugi okien, drzwi i wszelkie ewentualne szczeliny, przez które gaz mógłby się przecisnąć na zewnątrz. Było to konieczne, aby gaz, nie rozrzedzany dopływem powietrza, działał szybciej i skuteczniej. Na wylot komina nakładano ponadto worek z piaskiem, ale okien nie zabijano deskami. Pozostawienie chorych w izbie z zaklejonymi oknami prowadziło nas do przerażającego wniosku, że blok ten stanie się ich wspólnym grobem.

I tak się też stało. Późnym wieczorem, gdy od bloku 16 doszło do naszych uszu kilka strzałów rewolwerowych, wiedzieliśmy już, że tam odgrywa się tragedia. Za daleko byliśmy, aby usłyszeć jęki i krzyki konających, duszących się piorunująco działającym gazem.

Z racji mego stanowiska, *szrajbera* obozu jeńców, wszedłem następnego dnia rano do przewietrzonej już izby bloku 16 w celu zidentyfikowania zwłok i wypisania świadectw zgonu. Szyby wszystkich okien były wybite. Zaduszeni, było ich 164, leżeli bezładnie na podłodze. Ich czarne, nabrzmiałe i wykrzywione twarze, pogryzione ręce, pięści wciśnięte w usta świadczyły o straszliwej śmierci, której ofiarą padli. Niektórzy byli spleceni w braterskim, pożegnalnym uścisku. Kilku zastygło z szyjami wyciągniętymi w stronę okna, skąd spodziewali się choćby odrobiny świeżego powietrza. Cała izba wyglądała jak pobojowisko po zaciętej walce. Śladów krwi nie było widać. Na podłodze pozostały gęsto porozrzucane krążki miękkiej tektury, uprzednio nasiąkłe gazem, cyklonem B. Przezornie rozrzucono ich tu znacznie więcej niżby wymagała dezynfekcja bloków mieszkalnych.

Dla upozorowania, że jeńcy ci zmarli „naturalną śmiercią", odpisywano ich ze stanu przez cztery kolejne dni, tj. 3, 4, 5 i 6 marca 1942 roku.

Jedyny z rewirowego bloku 16 uniknął śmierci młody chłopiec, Dymitr *Łukijańczyk*, popularny potem w obozie, lubiany i nazywany powszechnie „malczykiem" z powodu małego wzrostu. Podczas inspekcji bloku 16 przez esesmanów wymknął się on z bloku, a przyszło mu to tym łatwiej, że był normalnie odziany, podczas gdy inni chorzy byli w bieliźnie. Zatrzymany przez esesmanów odparł, kalecząc język niemiecki, że należy do innego bloku i w ten sposób uniknął niechybnej śmierci.

JERZY OSUCHOWSKI Katowice
były więzień obozów koncentracyjnych Buchenwald nr 9787 i Mauthausen-Gusen nr 46464

„Rewir" tzw. małego obozu w Buchenwaldzie

Pierwsze dwa transporty Polaków przybyłych do Buchenwaldu 15 i 16 października 1939 roku umieszczono w prowizorycznym obozie pod namiotami. Był to tzw. mały obóz (*Kleinlager, Zeltenlager*). Po tygodniu oddzielono więźniów urodzonych na Śląsku i Pomorzu i przeniesiono ich do dużego obozu. Pozostawiono urodzonych w Małopolsce i w byłej Kongresówce. Było nas 483.

Niedostateczne odżywianie, głodówki, okradanie z jedzenia, codzienne stanie na zimnie, deszczu lub śniegu zniszczyły nas i sprzyjały wszelkim chorobom. Już w pierwszych dniach pojawiła się u niektórych spośród nas krwawa biegunka, która następnie szybko rozprzestrzeniła się na cały obóz. O leczeniu chorych nikt tu nie myślał. Zarządzono co prawda szczepienia ochronne, ale nie powstrzymały one rozwijającej się epidemii. Któż zresztą wiedział, przeciw czemu szczepiono? Na ten temat krążyły różne pogłoski i przypuszczenia. Mówiono nawet o sterylizacji.

Liczba chorych wzrastała z każdym dniem. Podczas apelu leżało coraz więcej słabych, którzy z wyczerpania nie mogli stać, a straciwszy zupełnie czucie, w błocie i własnym kale leżeli przez cały dzień na placu, daremnie wyczekując jakiejkolwiek pomocy. Jedynym lekarstwem, dostarczonym ze szpitala obozu głównego, był biały proszek, prawdopodobnie *bolus alba*. Tym proszkiem „odżywiano" chorych. Duże dawki, stosowane trzy razy dziennie, miały zatrzymać biegunkę. Nie pomagało. Epidemia obejmowała coraz szersze kręgi. Szerzyła się w zastraszający sposób prawdopodobnie dlatego, że ludzie w początkach choroby nie mogli opanować głodu i odmówić sobie jedzenia, co było podstawowym warunkiem zahamowania dalszego jej rozwoju. Niepodobieństwem było nakłonić chorego, aby wstrzymał się 2—3 dni od przyjmowania wszelkiego pokarmu i w ten sposób ratował się przed nieszczęściem. Pomimo ostrzeżeń prawie wszyscy jedli nadal, co oczywiście wybitnie przyczyniło się do pogorszenia i przyprawiało o rychłą śmierć.

Niektórzy widzieli jeszcze pewien ratunek w szpitaliku, który urządzono w jedynym drewnianym baraku przeznaczonym na pomieszczenie chorych. Pełni złudnych nadziei, starali się o przyjęcie, używając wszystkich możliwych sposobów. Korzystali z nawiązanych znajomości lub przekupywali co wpływowszych porcją chleba na razie, a obietnicą sowitej zapłaty w przyszłości, aby za ich poparciem dostać się do szpitalika i odpocząć tam przez kilka dni, oczywiście jednak nie na tych warunkach, na jakich zwykle przyjmowano innych chorych, z których nikt nie wracał pod namioty.

Dostać się do szpitala nie było łatwo. Barak ten był zarezerwowany właściwie tylko na potrzeby jednej grupy: ludzi bezwzględnych, brutalnych i fizycznie silnych. Schronienie znajdowali tam nie chorzy, ale protegowani, a więc wszyscy niby-krewni rozmaitych obozowych urzędników, jak również ci, którzy chcąc ratować swe życie zobowiązali się wynagrodzić w przyszłości swych zbawców.

Prócz właściwego personelu szpitalnego (sanitariuszy) roiło się tam od różnych pomocników, porządkowych, rozdzielających jedzenie, zbierających miski, wynoszących zwłoki itd. Były to stanowiska, których trzymano się kurczowo, przynosiły bowiem ogromne, jak na obóz, korzyści. Przede wszystkim zwalniały od wychodzenia na apele, a dzięki temu — od całodziennego stania na zimnie, po drugie — zapewniały dodatkową miskę strawy każdego dnia.

Chorych przyjmowano tylko po to, aby ich kosztem mogła się utrzymać cała ta gromada. Normalnie pobierano przypadające im jedzenie, a wydawano w najlepszym wypadku tylko połowę. Przez pierwsze trzy dni chory nie dostawał nic do jedzenia, bo przecież „mogłoby mu zaszkodzić". Chory żołądek i kiszki należało leczyć dietą. Krzyki i protesty domagających się należnego im jedzenia uciszano kijami. Surowy rygor szpitalny i ustawiczna obawa przed śmiercią z rąk sanitariuszy nakazywały znosić w milczeniu swój los. Na krzyki i przekleństwa pod adresem personelu pozwalali sobie tylko ci, którzy przenosząc śmierć nad powolne konanie w takich warunkach, prosili, by ich dobito. Spełniano ich wolę, aby uwolnić się od rzucanych w głos oskarżeń „złodzieja, zabójcy, mordercy". Opinia szpitala nie mogła przecież ucierpieć z powodu „jakiegoś tam wariata, który w gorączce nie wie, co mówi". Zrzucano takiego chorego z pryczy, bito i dogorywającego wleczono w kąt, na wilgotną, cuchnącą moczem ziemię. Chorzy trawieni wysoką gorączką daremnie błagali o coś do picia. Aby ugasić pragnienie, pili własny mocz, przestudzony w miskach do jedzenia.

Zasadniczo warunki mieszkaniowe w baraku drewnianym były stokroć gorsze od życia pod namiotami. Nigdy nie przewietrzana sala, zgniłe powietrze, nasycone smrodem stale otwartych kubłów-klozetów, drażniąca nozdrza woń wapna chlorowanego, kał parujący obrzydliwym odorem, przygnieciony ciałami ludzkimi, czyniły atmosferę niemożliwą do zniesienia. Na gołych deskach, owinięci podartymi kocami lepkimi od brudu i wydzielin własnych i cudzych, żarci przez niezliczoną ilość wszy, gnili chorzy — wyschnięte szkielety — bez jakiejkolwiek pomocy czy opieki. Ran powstałych wskutek odmrożenia z reguły nie leczono. Ten i ów otrzymywał wyjątkowo zezwolenie na tak zwane „zmienne kąpiele" odmrożonych rąk czy nóg. Ale cóż po pozwoleniu, jeśli sanitariusz miał zawsze „zamówioną jeszcze wczoraj kolejkę"? Bez przekupienia go chlebem nie było mowy o dociśnięciu się do kubła z gorącą wodą.

W celu zagrzania wody do kąpieli odmrożeń szpitalik otrzymywał zezwolenie na palenie w piecu. Palono tedy bez przerwy nocą i dniem, ale nie po to, aby grzać wodę dla chorych lub podnieść temperaturę sali. Z ciepła przy piecu korzystali sanitariusze, ich pomocnicy, pupile. Pilnie strzeżony dostęp do pieca nie pozwalał na zbliżenie się niepowołanemu. Krzykiem i kopniakami odpędzali śmiałka, który odważył się podejść, aby rozgrzać skostniałe swe członki.

Inaczej urządzono drugą część baraku, gdzie pomieszczenie znaleźli wszyscy protegowani. Od sali chorych byli oni oddzieleni ścianką z desek. Tam było czyściej, wygodniej. Zrozumiałe, byli to przecież ludzie zdrowi, przetrzymywani na podstawie kontraktów wszelkiego rodzaju bądź to z osobami wpływowymi, bądź też z samym kierownikiem szpitala, niejakim *Haassem*.

Kim był *Haass* w życiu cywilnym, jaką zajmował pozycję społeczną, tego prawdopodobnie nie wiedział nikt. Był wiedeńczykiem. Podobno kiedyś służył jako oficer w c. k. armii. Mógł mieć około 45 lat. Niskiego wzrostu, kulawy, o żółtej, niezdrowej cerze, małych, przymrużonych oczkach, sprawiał wrażenie spokojnego, przeciętnego kupca lub niższego urzędnika bankowego. Nic w jego twarzy nie zdradzało zbrodniczych instynktów, a jednak w małym obozie zasłynął jako morderca. Jemu też powierzono pieczę nad chorymi. Sprawował ją ku zadowoleniu władz *SS*, dostarczając codziennie kilkunastu, a potem kilkudziesięciu zmarłych. W nagrodę otrzymywał co jakiś czas parę bochenków chleba. Miały one być zachętą do dalszego „dobrego sprawowania powierzonych obowiązków".

Haass nie potrzebował pomocy materialnej od esesmanów. Umiał swoimi sposobami zdobyć potrzebną mu ilość chleba. Do tego prowadziły różne drogi. Odmawiał po prostu chleba wszystkim chorym na rozwolnienie (a innych prawie w ogóle nie było), albo zwlekał z zameldowaniem zmarłych, pobierając na nich porcje jak dla żyjących, albo też wyczekiwał z rozdawaniem chleba, dopóki kilku dogorywających nie dokończyło swego żywota.

Nie tylko wydawał rozkazy zabijania, lecz również sam brał udział w „wykańczaniu". Mordując chorych, wyglądał jak wcielenie zniszczenia. Wykrzywiona na jedną stronę twarz przybierała w takich chwilach jakiś diabelski wyraz, a małe wypłowiałe oczka biegały niespokojnie, wypatrując pilnie, rychło ofiara wijąca się pod jego obcasami przymknie oczy na zawsze. Władza jego rozciągała się również na namioty. Codziennie rano robił przegląd i urzędowo stwierdzał zgony. Otoczony kilkoma sanitariuszami, kroczył dumnie od namiotu do namiotu, stwarzając pozory jakiejś komisji lekarskiej.

Umniejszany zgonami stan szpitala uzupełniał codziennie nowymi przyjęciami. Nie mógł przecież dopuścić do tego, aby liczba chorych zmalała. Często powtarzał w gronie swych kompanów, z jakimi trudnościami musi się bo-

rykać, aby tym wybranym zapewnić lepsze warunki, a nawet wyrwać z objęć pewnej śmierci tych, których warto było zachować przy życiu dla przyszłości. Z pełnym zrozumieniem przytakiwali wszyscy jego ubolewaniom nad wspólnym losem, czekając na odpowiednią chwilę, by podsunąć mu jakieś nowe nazwisko protegowanego, któremu „opłaci się" pomóc. Jak na dworze jakiegoś udzielnego księcia, nadskakiwano mu, schlebiano, wychwalano, przepowiadano wielką przyszłość po przetrwaniu obozu. Po takich naradach kładł się *Haass* spać (narady odbywały się zawsze wieczorem) w przekonaniu, że jest dobroczyńcą ludzkości.

„Wielkość" *Haassa* przechodziła w ustach protegowanych w legendę. Nie słyszało się, aby ktoś mówiąc o nim, wyraził się: *Haass*. Mówiło się *Herr Haass* z takim namaszczeniem, jakby chodziło o najdostojniejszą w państwie osobę. I rządził „pan" *Haass* w swym zamku na lodzie ku początkowemu zadowoleniu małego obozu. Z biegiem czasu szacunek przerodził się w nienawiść, zwłaszcza u tych biednych i opuszczonych, którzy nie mieli lub nie chcieli niczego zaofiarować w przyszłości. Nawet pośród pierwszych popadał ten i ów w niełaskę, bo musiał ustąpić hojniejszemu w obietnicach. Szemranie na „niedotrzymywanie umowy" wzmogło się od czasu, kiedy nawet z baraku drewnianego wypędzano chorych na apel. Wyszło co prawda zarządzenie, na mocy którego mogli pozostać w baraku najciężej chorzy. Ale cóż, kiedy właśnie tych bezlitośnie wypędzano na mróz, pozostawiając najzdrowszych, tych najmocniej protegowanych, dobrze odżywionych. Wszyscy inni, często chorzy gorączkujący, byli zmuszeni stawać do apelu porannego na kilkunastostopniowym mrozie. O tym, kto ma pozostać, a kogo należy wypędzić, decydował sam *Haass*. Przy tej selekcji wyszły na jaw kryteria wartości poszczególnych chorych. Najmilsi sercu mogli spokojnie odgrywać rolę „ciężko chorych", natomiast inni, co do których zobowiązań w przyszłości miał *Haass* pewne zastrzeżenia, bezapelacyjnie byli wypędzani wraz z chorymi, wobec których nie było litości.

Daremnie chorzy wyczekiwali powrotu do baraku po apelu. Zgodnie z rozkazem kierownika małego obozu, *SS-hauptscharführera Blanka*, zapędzono wszystkich do małej, oddzielnej klatki, ogrodzonej drutem kolczastym, by tam umierali prędzej, wystawieni na mróz i na zmniejszoną rację żywnościową, która praktycznie równała się mniej więcej ilości otrzymywanej w baraku, po „potrąceniu" na korzyść personelu i uprzywilejowanych. Pomysł wypędzania chorych na mróz okazał się bardzo skuteczny. Gromada szkieletów topniała. Wycieńczeni byli niezdolni nawet do tego, by poruszaniem bronić się przed zamarznięciem. Dzień cały tkwili nieruchomo, skupiwszy się w zwartą gromadkę, jak kurczęta w czasie deszczu skulone pod skrzydłem kwoki. Tylko że skrzydłami były im sine mgły...

I tak stali do zmroku, niekiedy nawet do godziny dziewiątej wieczór, dygocąc z zimna i szczękając zębami. Wszyscy inni już dawno weszli pod namioty, a oni stali jeszcze. Każdy dzień przynosił kilkanaście trupów. Po paru dniach przerzedziły się szeregi „rekonwalescentów, którym potrzeba było świeżego powietrza" — według określenia *Blanka*. Szpital opustoszał. Zaniepokojony *Haass*, któremu to zarządzenie krzyżowało wszystkie plany gospodarcze, dokładał starań, by przywrócić dawny stan rzeczy. Szpital bez chorych, to dla niego i jego protegowanych widmo głodu. Ale nikt, widząc dolę jego chorych, nie kwapił się w podwoje szpitalne. Wtedy *Haass*, otrzymawszy pozwolenie na zatrzymywanie chorych w baraku w czasie apelu, zrobił łapankę na „chorych" i przymusowo zagarnął grupę więźniów do baraku, uzupełniając w ten sposób stan tak potrzebny do wyżywienia wybrańców.

A teraz tym więcej opłacał się wysoki stan chorych, że dziwnym zrządzeniem losu przyznano więźniom małego obozu to samo wyżywienie, jakie otrzymywali więźniowie ogólnego obozu. Wieczorem do chleba wydawano kawałeczek margaryny, łyżkę syropu z ziemniaków, kawałek kiełbasy i łyżkę twarogu. Czasem zamiast twarogu — jabłka lub marmoladę. Pamiętny ów dzień 12 grudnia 1939 roku, kiedy po raz pierwszy rozdano te smakołyki, był dla obozu nie lada świętem. Wydarzenie to komentowano na różne sposoby. Mówiono o jakiejś komisji międzynarodowej, interwencji Czerwonego Krzyża, do którego rzekomo dotarły wiadomości o obchodzeniu się z więźniami w małym obozie, o polepszeniu bytu więźniów w ogóle. Te i inne przypuszczenia, tak zwane popularnie „parole", krążyły po obozie, podtrzymując wielu na duchu. Rokowano sobie wielkie nadzieje na przyszłość. Otucha wstąpiła w serca. Myśl o niechybnej głodowej śmierci ustąpiła nadziei przetrzymania. Fakt, że polepszono wyżywienie, pozwalał przypuszczać, iż zaniechano myśli o całkowitym wyniszczeniu małego obozu, inaczej nie marnowano by żywności dla ludzi, których w najbliższym czasie ma pochłonąć krematorium.

Cóż z tego, jeśli okradanie w szpitaliku przybierało formę wprost bezczelną. Sanitariusze, nie kontrolowani przez nikogo, posuwali się do tego, że na oczach chorych, w chwili rozdawania, zabierali dla siebie to, co im się podobało. Podając na przykład choremu kawałek kiełbasy odłamywali połowę, zjadając ją na miejscu, a często nie dawali w ogóle. „Brakło". Jeśli chory upominał się o należną mu porcję, sprowadzali kilku innych kolegów, aby osądzili bezczelne żądanie „oszusta", który otrzymawszy swą część śmie twierdzić, że nie dostał i w ten sposób chce wyłudzić drugą porcję. „Komisja" oczywiście odpowiednio traktowała takiego śmiałka.

Przeniesienie niedobitków małego obozu do bloków obozu ogólnego pod koniec stycznia 1940 roku położyło kres samowolnej działalności personelu szpitalika [1].

[1] Fragment przygotowanej do druku obszerniejszej relacji wspomnieniowej.

STANISŁAW DZIADUŚ
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 45125, Gross-Rosen nr 8494, Mauthausen nr 104302

Myślenice

Z kompanii karnej w Gross–Rosen

Po pobycie w podobozach Gross-Rosen moja ucieczka trwała niecałe trzy tygodnie [1]. Ujęto mnie, osadzono w więzieniu i w pierwszej połowie czerwca 1944 roku przywieziono z powrotem do obozu w Gross-Rosen. Słońce miało się ku zachodowi, gdy strażnicy-konwojenci przekazali mnie esesmanom obozowym. Ustawiono mnie przed *szrajbsztubą*. Przed drzwiami kancelarii obozowej pojawił się wspomniany już [2], mój serdeczny kolega z „Wici", a jeszcze bliższy przyjaciel z obozu, Marian *Wojciechowski*. Zaskoczony i zdumiony, długo patrzył na mnie, a w jego dużych, niebieskich, łagodnych oczach pojawiły się łzy. Czułem, że i mnie zaczyna robić się markotno. „Marian, schowaj się do bloku, nie patrz tak i nie płacz, bo i ja się rozpłaczę" — szepnąłem. Płacz w takich wypadkach był niewskazany, gdyż jak najgorzej usposabiał oprawców wobec ofiary. Marian zrozumiał i cofnął się do bloku. Jakoś powstrzymałem wzruszenie.

Przyszedł *rapportführer Erschner*, spojrzał na mnie i z drwiącym uśmiechem rzekł: *Ah, bist du schon wieder da!* (Acha, jesteś tu znów!). Następnie, zwracając się do *Vogla*, osławionego blokowego kompanii karnej, polecił, żeby po przyjęciu do niej wypłacić mi „50 kijów na tyłek". „Zresztą tak czy tak będziesz powieszony!" Jak widać, była to wypowiedź nienajgorsza.

Vogel zabrał mnie na blok kompanii karnej, leżący najbliżej krematorium. Blok był ogrodzony wysokim płotem z drutu kolczastego; okna miał gęsto zakratowane. Przydzielono mi „narę", wskazano miejsce przy stole jadalnym, wydano miskę, wskazano należną łyżkę, nóż, widelec. Przybory te wisiały w łyżniku przytwierdzonym do ściany. Był już wieczór. *Vogel*, załatwiwszy wstępne czynności ze mną, wyszedł do kancelarii. Po kilku minutach wrócił, ale, co dziwne, owych 50 kijów mi nie wypłacił. Był to duży zysk; nie wiedziałem, komu go zawdzięczam.

Kompania karna zasługuje na bliższą uwagę. Więzień, który tej ciężkiej szkoły obozowej nie przeszedł, nie może mieć pełnego pojęcia o obozie koncentracyjnym. Dopiero w kompanii karnej więźniowie przechodzili wyższy kurs życia obozowego. Tu było to najgorsze piekło, piekło zdaje się bez wyjścia, chociaż czasem i z wyjściem. Więźniowie skazani na pobyt w kompanii karnej spali w „sztubie" o zakratowanych oknach. Kraty były gęste, umieszczone od strony wewnętrznej. Nikt więc nie tylko nie mógł wydostać się oknem na zewnątrz bloku, ale też nie mógł okna otworzyć. Do okien w ogóle nie wolno było się zbliżać, a cóż dopiero je otwierać. Taki czyn można było przypłacić życiem. Wywietrzniki, jeśli blokowy uznał za stosowne, sam otwierał w sypialni. Sala sypialna, o wymiarach mniej więcej 10 × 10 m, mieściła około 100 łóżek w trzech kondygnacjach. Dlatego w nocy, gdy stan kompanii był pełny — a o jego dopełnienie bardzo dbano — robiło się niesamowicie duszno i smrodliwie. Każdy z nas zlewał się obfitym potem i drzemiąc niecierpliwie oczekiwał pobudki, którą robiono u nas wcześniej niż w innych blokach, bo latem o wpół do piątej rano, a zimą o piątej.

Dla urozmaicenia naszych nocy, nierzadko nawet późnym wieczorem, zjawiał się nagle w sypialni *Vogel* i sprawdzał czystość i porządek; zawsze zauważył coś niewłaściwego i zarządzał karne ćwiczenia. Padała komenda: Wszyscy wstać! Przed łóżkami zbiórka! A miejsca przed łóżkami było tak niewiele, że ledwie mieściliśmy się w zagęszczonych pięciu szeregach. Toteż gdy padały następne komendy: padnij, powstań, padnij, tocz się, obracaj się, to padał jeden na drugiego, obracał się jeden przez drugiego. Ten i ów z braku miejsca spóźniał się nieco z wykonaniem komendy, *Vogel* miał więc usprawiedliwioną okazję, by brodzić po naszych głowach, naszych tułowiach i kończynach i bić opieszałych pejczem, kopać, tratować, skakać po naszych żebrach, walić w nas taboretami. Podczas tych ćwiczeń krew lała się obficie. Czasem ktoś tych tortur nie przeżył; ciężko poszkodowanego odnoszono do szpitala obozowego.

Gdy *Vogel* nasycił się tym krwawym widokiem i zmęczył się biciem, wtedy się uspokajał. Kazał posprzątać, obmyć podłogę i ściany z krwi, poustawiać taborety i kłaść się spać. Sam jeszcze chwilę spacerował zadowolony i uśmiechnięty. Zauważyłem, że podobnym typom bicie, maltretowanie, czasem duszenie więźniów wchodziło w nałóg. Często potrzebowali tych przeżyć tak, jak pijak potrzebuje wódki, grzesznik spowiedzi, a drapieżnik łapania i zjadania innych zwierząt. Wyzwalała się dzikość i krwiożerczość. W owym biciu tacy ludzie, jak *Vogel*, znajdowali pełne zaspokojenie swej całkowitej władzy nad innymi. Zdarzało się, że niejeden kolega obozowy pytał mnie, dlaczego oni to robią i z takim zacietrzewieniem postępują. Zwykle odpowiadałem: a dlaczego pies szczeka i gryzie? Bo jest psem. A dlaczego lis kury dusi? Bo jest lisem. Możesz więc chyba wiedzieć, dlaczego *Vogel* tak nas bije. Wytresowany hitlerowskim wychowaniem, a czasem i bez tresury, a z wrodzonego popędu, jest jakby psem i lisem w ta-

[1] Zob. S. *Dziaduś*: „Hirschberg" i „Treskau", podobozy Gross-Rosen. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 138—145.

[2] Tamże, s. 138—139.

kiej roli. Większość więźniów taki pogląd uważała mimo wszystko za herezję. Sam jednak nie widziałem w tym przesady, ale rzeczywistość, której człowiek musi się przeciwstawiać, bydlę zmieniać w dobrego człowieka i jeśli możliwe, nie dać się za to zniszczyć, samemu nie zbydlęcieć.

Rozważania moralne przesłaniała ciężka rzeczywistość. Jej dotkliwymi składnikami były nawet drobiazgi z pozoru. Jak wspomniano, każdy miał przydzielone do jedzenia łyżkę, nóż, widelec. Wisiały one w otworach długiej, wąskiej deski, przytwierdzonej do ściany; był to swego rodzaju wielki łyżnik. Przybory te wisiały, jak na wystawie, tylko nie było wolno używać ich do jedzenia. Jedliśmy wprost z blaszanych misek. Mnie, wychowanemu w biednych warunkach na wsi, ten sposób jedzenia nie sprawiał kłopotu, ale tym kolegom, którzy od dzieciństwa rośli w dobrobycie, trudno się było nagiąć do chłeptania prosto z miski i wprawy do tego nie mieli. Musieliśmy wciągać strawę językiem, pomagając sobie palcami. Pamiętam, jakie miał z tym trudności książę Krzysztof *Radziwiłł*. Pamiętam, jak więzień J. hrabia *Rostworowski*, dzielny i prawy Polak, dostawszy się do kompanii karnej sięgnął przy jedzeniu po łyżkę. *Vogel* się wściekł na „polskiego *grafa*". Najpierw go skopał, zbił taboretem, a potem kazał mu się położyć na taborecie i liczyć razy bykowca, które mu zadawał. *Rostworowski* spokojnie, cicho, jednostajnym głosem liczył: *eins, zwei, drei, vier...* Wydaje mi się, że tak doliczył do trzydziestu; potem zemdlał. Jak widać, *Vogel* był „demokratą" i arystokracji nie lubił, gdyż bicia hrabiego nie zaniedbywał i katował go przy lada okazji. Jeśli dobrze pamiętam, to hr. *Rostworowski* w stanie bardzo ciężkim został przeniesiony do obozowego szpitala, gdzie wkrótce zmarł. W czasie tych cierpień trzymał się dzielnie, nie płakał, nie jęczał, o nic bandyty nie prosił. Z całym spokojem i determinacją czekał na swój koniec, nie tracąc dumnego spojrzenia, a czasem nawet ganiąc hardym słowem.

Na tym przykładzie, jak i na wielu innych, przekonałem się, że ludzie godni i szlachetni są w każdej warstwie społecznej, jak również na wszystkich stopniach wykształcenia; to samo dotyczy osobników podłych i nikczemnych.

W kompanii karnej wstawaliśmy, jak wspomniałem, bardzo wcześnie rano, a przed wyjściem do pracy wyznaczeni dyżurni wykonywali różne prace porządkowe, a więc myli naczynia, szorowali stoły, taborety, półki i ściany w jadalni (ściany były wyłożone do połowy „boazerią" z desek), myli podłogi. Ustępowi porządkowali i zmywali ustępy, łazienkowi — umywalnię, myli miednice, uzupełniali w beczkach wodę. W umywalni były wprawdzie lastrykowe koryta i krany z bieżącą wodą, ale nie dla nas, tak jak nie dla nas były łyżki, noże i widelce. Myliśmy się w miednicy, a wodę braliśmy z beczek. Inni więźniowie sprzątali salę sypialną. Niemcy, znani ze szczegółowej organizacji pracy, wyznaczali przeróżnych funkcyjnych i drobiazgowo rozdzielali czynności. A przy każdej można było oberwać. Przy tym stosowano odpowiedzialność indywidualną, a nierzadko zbiorową, czyli bicie i maltretowanie określonego funkcyjnego lub całej grupy więźniów.

Dla przykładu można opisać znamienne zdarzenie. Do sprzątania w sali sypialnej *Vogel* wyznaczył mnie. Kiedy wszyscy zasłali swoje łóżka, wychodzili do jadalni. Mnie kawę-lurę na śniadanie wydawano nieco wcześniej, bym w tym czasie, kiedy wszyscy pili kawę i spożywali kawałek chleba, mógł się zająć porządkowaniem sypialni. Sprawdzałem dokładnie łóżka, zamiatałem podłogę, ścierałem kurz ze ścian i okien. O wyznaczonej porze przychodził *Vogel*, brał lampkę elektryczną, osadzoną na końcu długiego, elektrycznego przewodu, którego drugi koniec tkwił w kontakcie ściennym. *Vogel* świecił lampką i sprawdzał czystość ciemnych kątów i czystość podłogi pod łóżkami. Oczywiście biada mi, gdyby gdzieś zauważył kurz i śmieci. A o to nie było trudno, gdyż sienniki były przetarte, a słoma w nich często zmielona na sieczkę i już nawet po zamiataniu przy lada potrąceniu łóżka sypały się paprochy. Dlatego w kompanii karnej wybitną sztuką było przeżycie dnia bez pobicia przez *Vogla*, a w pracy przez „kapów".

Gdy pewnego dnia *Vogel* odbierał ode mnie sypialnię i świecił latarką gdzieś w głębi sali między łóżkami, nagle wbiegł więzień (nazwiska nie pamiętam), inżynier-elektryk; snadź czegoś zapomniał, może czapki, którą zostawił na swoim łóżku. W pośpiechu nie zauważył *Vogla*, zasłoniętego między łóżkami, ani kabla, tkwiącego w gniazdku ściennym i wyrwał ten przewód. *Vogel* nagle stracił światło. Wyszedł spomiędzy łóżek, spojrzał groźnie na intruza i zaraz wpadł w swój właściwy nastrój. Zaczęło się długie bicie, tratowanie więźnia, skakanie z wysokości stołu po jego żebrach. Gwałtowność katowania spowodowała śmiertelne obrażenia narządów wewnętrznych. Śmierć nieszczęśnika nastąpiła w „rewirze" obozowym. Ten inteligentny, zaradny, fizycznie sprawny człowiek, który miał możliwość przeżycia obozu, nie przeszedł jednak kompanii karnej i zmarł wskutek rozległych uszkodzeń wątroby, nerek, płuc.

W kompanii karnej zastałem *Nosyra*; wspominałem o nim w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", opisując śmierć „lagrowego", Emila *Schwarza*[3]. Oczywiście nie było powodu ukrywać, że się dobrze znamy z „komanda Treskau". *Nosyr* do pracy nie chodził. Stale pozostawał w bloku kompanii karnej. W jadalni wydzielono dla niego jeden kąt. Tam po odpowiednim wzmocnieniu ściany przymocowano do niej silny łańcuch półtorametrowej długości. Łańcuch kończył się kajdanami, które zakładano i zamykano na jednej z rąk *Nosyra*. Tak przykuty do ściany, *Nosyr* mógł spacerować na maleńkiej przestrzeni lub usiąść na taborecie, który mu

[3] Tamże, s. 142.

przydzielono, a na noc położyć się na sienniku, który mu podsuwano, nie mógł tylko pozbyć się łańcucha. Aby umożliwić *Nosyrowi* załatwienie czynności fizjologicznych, *Vogel* odpinał łańcuch od ściany i osobiście prowadził więźnia do ustępu i umywalni. Stał wtedy nad nim i oka z niego nie spuszczał. Warto przyznać, że *Nosyrowi*, który zabił *Schwarza*, *Vogel* nie robił żadnych przykrości. Widać było, że odnosi się do więźnia z szacunkiem. Pamiętny czyn *Nosyra* był objawem odwagi i zdecydowania, które Niemcy cenią. Odważne morderstwa zawsze im imponowały. *Nosyr* był nawet lepiej karmiony niż my, by w dobrej kondycji wstępował na szafot.

W tym czasie podobnych więźniów już sam dowódca obozu nie miał prawa skazywać na śmierć, aczkolwiek pod różnymi pretekstami codziennie wykańczano dziesiątki więźniów. W dalekim Berlinie odbywał się sąd i stamtąd przychodził wyrok. Gestapowski oddział polityczny w obozie dokonywał przesłuchań, więzień musiał podpisać protokół i na podstawie przesłanych akt sprawy zapadał wyrok. Mnie też przesłuchało gestapo obozowe, podpisałem protokół i oczekiwałem w kompanii karnej na wyrok za ucieczkę z obozu. Tak samo *Nosyr* czekał na wyrok. Wówczas zachowywał się zrównoważenie, ale był hardy i nieustępliwy. *Voglowi* oraz *rapportführerowi*, który go codziennie doglądał, *Nosyr* nie szczędził wyzwisk, chociaż tylko wtedy, gdy go słownie zaczepiali. W sierpniu 1944 roku przysłano wyrok na *Nosyra*: śmierć przez powieszenie. Na wielkim placu apelowym przed bramą główną ustawiono w dużym czworoboku wszystkich więźniów obozu. Komendant obozu odczytał wyroki dotyczące pięciu skazanych. Na stołek pod szubienicą pierwszy wstąpił *Nosyr*. Kat-esesman założył mu pętlę na szyję, a potem odchylił się, by wyrwać *Nosyrowi* stołek spod nóg. *Nosyr* nie stracił odwagi i przytomności umysłu. Schylającego się po stołek esesmana kopnął mocno w szczękę i stołek sam sobie wytrącił spod nóg. Zawisł, zatrzepotał rękami jak ptak i po krótkim okresie drgawek znieruchomiał.

W miesiącach powstania warszawskiego kurs wobec Polaków zaostrzył się. Wtedy, około początku sierpnia, wybrano z bloków co znaczniejszych Polaków i umieszczono ich w kompanii karnej, tym razem w ogóle bez żadnego przewinienia. Znaleźli się wśród nich wspomniani już hr. *Rostworowski*, ks. Krzysztof *Radziwiłł*, inni polscy inteligenci, a między nimi mój przyjaciel, chemik, Andrzej *Waksmundzki* z Waksmunda pod Nowym Targiem, razem dwudziestu Polaków. Odziano ich specjalnie. Myśmy nosili stare pasiaki, a gdy ich brakowało, szare drelichy z pomalowanymi na plecach czerwoną farbą dużymi krzyżami i z pasami na zewnętrznej stronie nogawek spodni. Uciekinierzy mieli dodatkowo na plecach i piersiach duże, czerwone koła. Owym dwudziestu wybranym dano białe, lniane ubrania, ozdobione poprzecznie biegnącymi, czerwonymi liniami. Wyglądali oni jak cyrkowcy lub zebry. W ten sposób od razu wyróżniło się w kompanii karnej oddzielne „komando", tzw. *Sonderkommando*, specjalna grupa robocza. Do pracy chodzili oddzielnie i wyznaczano im najcięższą pracę w kamieniołomach. *Vogel*, jak było widać np. z tragicznego losu hr. *Rostworowskiego*, specjalnie „opiekował się" tymi więźniami. Nie żałował im „sportu", ćwiczeń karnych, własnego bandyckiego wysiłku. W ogóle w tym czasie życie w kompanii karnej, już i tak bardzo uciążliwe, stało się podwójnie nieznośne.

Vogel-„demokrata" nie zadowolił się uśmierceniem hrabiego, ale zaraz energicznie zabrał się do księcia *Radziwiłła*. Książę był inteligentny, obyty w świecie, ale warunki w kompanii karnej przerastały jego zdolności przystosowawcze. Nie miał tej odporności, co niektórzy inni, zwłaszcza pochodzący ze wsi. Gdy na domiar *Vogel* zaczął go systematycznie bić, *Radziwiłł* doszedł do wniosku, że nie ma możliwości przeżycia i z rozwagą, na zimno postanowił popełnić samobójstwo, aby skrócić czas powolnego dogorywania. Ale to go właśnie uratowało od śmierci. Na Matkę Boską Zielną, w dniu 15 sierpnia, ofiarował się Najświętszej Panience, której oddawał szczególną cześć, poprosił ją o wstawiennictwo u Boga i o przebaczenie tego ostatniego grzechu żywota i rzucił się w dół z wysokiej skały, na której właśnie wypadło mu pracować. „Pech" chciał, że po wczorajszej burzy i obfitym deszczu w nocy w zagłębieniu tym zebrało się sporo wody. Właśnie do tej wody zleciał książę i to go uratowało. Skończyło się na złamaniu kości udowej i na potłuczeniach. Na noszach przyniesiono *Radziwiłła* do kompanii karnej.

Vogel zwymyślał go ostro i ordynarnie za „tchórzostwo", za ucieczkę przed życiem. Dawał mu przy tym przykład z samego siebie, mówiąc, że chociaż już 7 lat jest w obozie, to takich głupstw nie robi, jak ten „polski zasrany książę". Warto dodać, że ta „odwaga" nie przyniosła *Voglowi* żadnych korzyści, ponieważ podczas ewakuacji obozu w roku 1945 *rapportführer Eschner* zastrzelił go, by nie pozwolić przeżyć tak niepożądanemu sprawcy i świadkowi wielu zbrodni, *Radziwiłła* przeniesiono do szpitala, a tam już tak zatroszczyli się o niego koledzy, że przeżył obóz.

Nie wiem, jakie były dalsze losy *sonderkommanda*, bo w połowie września zwolniono mnie z kompanii karnej, a 20 września wysłano do Mauthausen. Jak wiem, wielu spośród więźniów przebywających u *Vogla* przeżyło ten srogi czas. Byli to ludzie doborowi, większy ich odsetek niż w innych grupach zdołał się więc ocalić. Np. Andrzej *Waksmundzki* wrócił na Podhale, a potem do swej chemii i obecnie jest profesorem Uniwersytetu w Lublinie.

Zdawać by się mogło, że w tym okrutnym życiu obozowym, a zwłaszcza w kompanii karnej, nie mogło się zdarzyć nic, co by mogło człowieka ucieszyć, dać choć czasem namiastkę szczerej radości z życia. A właśnie na przekór ponurej rzeczywistości zdarzały się podobne epizody, których nie sposób pominąć. Tu wró-

cę nieco wstecz. Jak już uprzednio wspomniałem, do podobozu w „Treskau" przychodziło dla mnie wiele paczek żywnościowych. Paczkę 5-kilogramową systematycznie przysyłała rodzina raz w tygodniu, niektórzy koledzy czynili to sporadycznie oddzielnie, z ROCH-a, czy z Warszawy też otrzymywałem paczkę raz tygodniowo. Załatwiała to koleżanka z „Wici", Hanka *Laskowska,* która na moje nazwisko przesyłała oprócz tego paczki dla Mariana *Wojciechowskiego,* miał on bowiem na stałe tzw. *Postsperre,* tj. zakaz otrzymywania paczek i listów oraz wysyłania listów. W „Treskau" nie byliśmy razem i nie mogłem mu przekazywać tych paczek, pozostawały więc do mojej dyspozycji. Nie miałem zwyczaju gromadzić dla siebie zapasów żywności. Wyznawałem zasadę, że to, co ma się zjeść dziś, należy dziś zjeść, bo jutro może nam nie pozwolą, a żywność też łatwo się psuje. Poza tym chleb wśród głodnych tylko wtedy naprawdę mi smakował, gdy dzieliłem się z głodnymi. Stale więc spożywali ze mną „wiktuały" z paczek najbliżsi towarzysze. Raz się zdarzyło, że otrzymałem w tym samym dniu sześć paczek po 5 kg każda. Wobec tego za zgodą Emila *Schwarza* zebrałem 70 więźniów, przeważnie narodowości rosyjskiej, którzy paczek nie dostawali. Rozdałem między nich całą zawartość. Wszyscy jako tako pojedli. W pudełkach zostało jeszcze sporo okruchów. Dałem je dodatkowo dwom najgłodniejszym, najbardziej wychudzonym, Iwanowi i Gryszy, właśnie temu Gryszy, co tak pięknie kamień czarny i biały na drodze układał [4]. Iwan, to ten uwięziony jeniec, którego tak mocno, przykładowo dla mnie, opornego na naukę w podobnych czynnościach, pobił *lagerführer Juchelek* [5]. Grysza potwierdził później, że nigdy tak się nie najadł w obozie. Radość najedzonych była duża, a ja cieszyłem się razem z nimi.

Przebywając w kompanii karnej, zapomniałem o Gryszy, o jego głodzie i o zamiłowaniu do kamieni czarnych i białych. W lipcu 1944 roku pracowaliśmy wewnątrz obejścia obozowego, kopiąc rowy pod jakiś mający powstać barak. W odległości około 80 metrów od nas na wschód, w rejonie obozu przeznaczonym na zbiorniki gnilne i śmietniska, liczna grupa więźniów zajmowała się oczyszczaniem obozu i spalaniem śmieci. Wszyscy oni byli słabi, wychudzeni i wygłodniali. Ci „muzułmanie" oczywiście starali się odszukać w śmieciach i odpadkach kawałki chleba, choćby spleśniałego, czy ziemniaki, choćby nadgniłe. Niekiedy może i zdrowy ziemniak się znalazł. Ziemniaki piekli oni na ogniskach, w których spalano śmieci. W pewnej chwili od tej grupy odłączył się jeden więzień i zaczął ostrożnie zbliżać się do naszej kompanii karnej. Obserwowałem go pilnie, bo wydawał mi się znajomy. Wreszcie wychylił się zza pobliskiego bloku. Był to ten sam wychudzony Grysza. Spojrzał na mnie ze szczególnym współczuciem z powodu mojego losu w kompanii karnej, łzy mu kapały z oczu. Usiłował mi wcisnąć „tri kartoszki", mówiąc, żem pewnie głodny. Wzruszyło mnie i ucieszyło to dobre, wielkie, chociaż głodne serce. „Grysza! Ja niegłodny, koledzy pomagają, jak mogą. Za twoje serce dziękuję. Kartoszki zjedz i masz do nich jeszcze kanapkę ze słoniną" — odpowiedziałem prawie szeptem. Gryszę przekonał mój dobry, fizyczny wygląd, toteż przyjął kanapkę. Łzy obficiej potoczyły mu się po policzkach. „Wy haroszyj czełowiek" — wyszeptał i ostrożnie się oddalił. Długo patrzyłem za nim. Pomyślałem, że nawet w obozie są jednak ludzie dobrzy. Te trzy ziemniaki i jedno dobre serce, jak również inne, szlachetne odruchy ludzkie nie pozwoliły mi w obozach hitlerowskich stracić wiary w człowieczeństwo.

O warunkach panujących w kompanii karnej Gross-Rosen można by napisać gruby tom. Spośród spraw zasługujących na uwagę czytelników „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" warto z kolei zająć się wypadkami związanymi z szerzącymi się w Gross-Rosen, zwłaszcza w kompanii karnej, chorobami oczu, głównie jaglicą. W obozie tym klimat był ciężki. Szczególnie dokuczały mocne wiatry, północno-zachodnie. Z pewnością sprzyjały one, podobnie jak pył z kamieniołomów, chorobom oczu. Były zapewne też inne czynniki chorobotwórcze. Ich skutkiem jedna trzecia część więźniów Gross-Rosen chorowała na oczy. Służba sanitarna nie mogła zaradzić jaglicy. Gdy choroba ta przycichła, wkrótce wybuchła na nowo. Więźniów kompanii karnej opanowała ona zapewne mniej więcej w trzeciej dekadzie sierpnia 1944 roku. Czy bezspornie była to właśnie jaglica, trudno udowodnić. Warunki sprzyjały chorobie oczu. Jak wspomniano, *Vogel* nie dopuszczał więźniów kompanii karnej do korzystania z umywalni, gdzie była bieżąca woda, ale w celu jej oszczędzenia sam pilnował, by w jednej wodzie w miednicy myło się kilku więźniów. Zakażenie przenosiło się więc szybko z jednego na drugiego. Mimo mojej ostrożności nie ominęło ono i mnie. Wystąpił obrzęk i zaczerwienienie spojówek, w oczach czuło się pieczenie, jakby ktoś nasypał gorącego piasku pod powieki, a na światło dzienne, zwłaszcza w dzień słoneczny, nie można było patrzeć.

Chorych na oczy nie przyjmowano wtedy do szpitala, gdyż nie było tam dla nich miejsca. Bloków szpitalnych było początkowo dwa, potem trzy i cztery, ale i one nie wystarczały. Chorych na oczy leczono ambulatoryjnie. W ambulatorium zakraplano im oczy, lapisowano spojówki, rolowano, podawano sulfonamidy. Gdy zachorowałem, koledzy z „rewiru" zapytali mnie, co się to dzieje w kompanii karnej, że tak przybywa chorych na oczy. Opisałem tamtejsze warunki sanitarne. Kolega-lekarz, który kierował leczeniem jaglicy w obozie, zwrócił się w tej sprawie niebacznie, w dobrej wierze zresztą, do lekarza niemieckiego, naczelnego lekarza obozowego, ten znów w dobrej wierze zareagował i przyszedł na inspekcję warunków sanitarnych w bloku kompanii

[4] Tamże, s. 143.
[5] Tamże, s. 141.

karnej. Zobaczył ów sposób mycia się więźniów, zwymyślał blokowego i nakazał nam myć się w umywalni, pod bieżącą wodą.

Wszystko to wydaje się naturalne, ale nie było naturalne dla *Vogla*. Dotychczas *Vogel* na ogół mnie nie bił. Czasem strzelił mnie jednorazowo w twarz, gdy się mu pod rękę za coś nawinąłem. Ale na interwencję kolegów z obozu zaniechał wypłacenia mi 50 batów w dniu przyjęcia do kompanii karnej, które zwykle otrzymywał każdy uciekinier. Nie zaczepiał mnie i nie ubliżał mi; wiele uchodziło mi „na sucho". W południe wróciliśmy z pracy na obiad. *Vogel* wygłosił z myślą o mnie krótkie przemówienie mniej więcej tej treści: „Powiedziałem, że to, co się dzieje w *SK*, jest tajemnicą (niby służbową) i nikomu nie wolno opowiadać kolegom o tym. Tymczasem jeden z was do tego się nie zastosował. Jemu się zdaje, że jest on na tyle mocny, iż może mnie porządku uczyć. Tymczasem ja dam radę wykończyć go, a gdy będzie trzeba, to i jego przyjaciół". Następnie zwrócił się bezpośrednio do mnie; w przekładzie z niemieckiego groźba brzmiałaby: „Ty szlachetna polska świnio! Tak, jak się nazywam *Vogel*, tak w osiem dni będziesz w krematorium. Daję ci na to moje słowo honoru!" Można mu było wierzyć, że słowa dotrzyma, bo nie zdarzało się, by w takich wypadkach był niesłowny. Od razu też zabrał się do roboty. Ustawił mnie w przysiadzie na jednym taborecie, do rąk dał mi drugi taboret i kazał go trzymać w rękach wyciągniętych do przodu. A gdy ręce zaczęły mi omdlewać i stołek opadał coraz niżej, *Vogel* zaczął mnie walić trzecim taboretem. Skończyła się przerwa obiadowa. Posiniaczony, ale jeszcze bez większych uszkodzeń poszedłem do pracy.

O szóstej po południu wracaliśmy z pracy do bloku. Wkrótce po apelu *Vogel* zarządził: *Augenkranke antreten!* (Chorzy na oczy, wystąp!). Było nas około piętnastu. Przed blokiem, na kamienistej drodze *Vogel* urządził nam „leczniczy" sport. Poganiały nas komendy: padnij, tocz się, przez głowę się tocz, kozioł-kuj! Powstań, biegiem marsz, padnij! — i tak w kółko. *Vogel* chodził, biegał wśród nas i bił, tratował, a stale mnie miał na uwadze i prawie wszystkie razy na mnie kierował. Podczas śniadania, obiadu i kolacji znowu zadawał mi opisane ćwiczenia z taboretami.

Ta zabawa trwała już piąty dzień. Byłem wyczerpany, posiniaczony, całe ciało miałem obolałe. Twarz miałem szczególnie siną i mocno obrzękłą. Zostały mi jeszcze trzy dni życia. Dziwna rzecz, jakoś się nie załamywałem psychicznie. Postanowiłem wytrwać, przetrzymać to wszystko lub ponieść śmierć bez krzyku, spokojnie, z godnością. Przypominał mi się hrabia *Rostworowski* i książę *Radziwiłł*. Ciągle czułem nadzieję, że jednak nie zginę. Nareszcie nadeszła pomoc. Właśnie piątego dnia otrzymałem podczas pracy kartkę zawiadamiającą mnie, że przysłano mi paczkę żywnościową. Była pierwszą od czasu ucieczki, a zarazem ostatnią, jaką otrzymałem w obozie od rodziny. Po paczki zwoływano więźniów między godziną 15 a 17. Po „komandach" pracy biegał wtedy goniec i krzyczał: „Otrzymujący paczki, zbiórka!" Wywołani schodzili wtedy ze stanowisk pracy i udawali się grupowo do bloku kompanii karnej, gdzie esesmani wydawali im paczki, dokonując przy tym kontroli i podkradając cenniejsze kąski, np. kiełbasę, czy szynkę. Następnie kradli blokowi, „sztubowi" i inni ważni funkcyjni. Do pomocy w wydawaniu paczek brano więźniów pracujących w kancelarii obozowej. Szczęśliwie się złożyło, że w tym ważnym dla mnie dniu przy wydawaniu paczek był zatrudniony Marian *Wojciechowski*. Spojrzał na mój wygląd i zdumiał się. W kilku słowach podałem mu treść honorowej obietnicy *Vogla*. „Spróbujemy cię ratować!" — zapowiedział Marian. Z nadzieją i otuchą wróciłem do pracy.

W tym czasie na moje szczęście jako „kapo" kompanii karnej był zatrudniony Erwin *Günther*, komunista niemiecki. Człowiek ten nie dał się hitlerowcom zdeprawować i wciągnąć do znęcania się nad więźniami. Umiejętnie wobec esesmanów pozorował surowość, a w gruncie rzeczy więźniów szanował i ochraniał ich, zwłaszcza politycznych. Początkowo odnosiłem się do Erwina z rezerwą, gdyż od razu trudno było uwierzyć w jego dobry i świadomy charakter. Ale wkrótce się przekonałem, że to rzetelny, prawy komunista, który nie stracił też orientacji społeczno-politycznej. Pamiętam, że analizując sytuację na froncie, oświadczył, iż wkrótce wojska radzieckie oswobodzą Gross-Rosen. Ponadto był tak uczynny, że koledzy obozowi zaczęli mi przez niego podawać żywność.

Erwin pozwalał mi wypoczywać w pracy, co w okresie karnych ćwiczeń i bicia przez *Vogla* było dla mnie wprost zbawienne. W ten sposób oszczędzałem sił na przetrzymanie wybryków *Vogla*. Wieczorem tego dnia odbył się jeszcze „sport" chorych na oczy. Następnego dnia jednak, gdy przyszliśmy z pracy na obiad, zauważyłem, że *Vogel* ma jakąś inną, zamyśloną, skupioną twarz. Podczas obiadu pozwolił mi usiąść przy stole i zaniechał ćwiczenia z taboretami. Wreszcie z namysłem wygłosił krótkie przemówienie mniej więcej o takiej treści: Za złamanie tajemnicy o życiu w kompanii karnej chorzy na oczy zostali już ukarani i sądzę, że ta nauczka im wystarczy; resztę kary im daruję! Bezpośrednio pod moim adresem zaznaczył, że gdybym jeszcze raz dopuścił się jakiegokolwiek przewinienia, to obietnicy dotrzyma i pośle mnie do krematorium.

Ocalałem dzięki kolegom, którzy skłonili *Vogla* do złamania swojego słowa honoru. Kilku z nich, między innymi Marian *Wojciechowski* i Jan *Wołek*, niezwłocznie tegoż piątego dnia wieczorem udało się do *Vogla* i zagroziło mu, że jeżeli nie zaniecha swojego planu, to sam wcześniej może się znaleźć w krematorium za to, że zbiera złoto w obozie i że przygotowuje się do ucieczki. Szczególnie Janek *Wołek*, pracownik kuchni esesowskiej, ostro zagroził *Voglowi*, że nawet gdyby wyślizgnął się

z afery zbierania złota przez zabijanie więźniów, którzy mieli złote zęby, to on go poszuka na innej drodze, nawet jest gotów go otruć jakimś produktem żywnościowym, do którego doda mocnej trucizny. *Vogel* wreszcie zrozumiał, że moi koledzy nie żartują i ustąpił.

A miał się czego obawiać, bo właśnie jego czterech funkcyjnych kolegów siedziało u niego w kompanii karnej z powodu morderstwa dokonanego na „lagrowym" nr 1, nazwiskiem *Keiser,* przy sprzeczce o podział tak długo i morderczo zbieranego złota. Wymieniony „lagrowy" został jako Niemiec zwolniony z obozu, bo Rzesza potrzebowała coraz więcej żołnierzy. Wtedy często sięgano po wypróbowanych przestępców, od lat przebywających w obozach koncentracyjnych. *Keiser,* który następnego dnia miał wyjść z obozu, wieczorem przyjął swoich czterech kamratów od zbierania złota: „lagrowego" nr 2, „oberkapo" obozowego oraz dwóch blokowych. *Keiser* uważał, że jemu należy się większość uciułanego złota, którą zresztą już zabrał. Kompani żądali równego podziału. Wywiązała się sprzeczka, podczas której *Keiser* został zamordowany. Ciało wrzucono do basenu obozowego. Sprawców wyłapano po dwóch dniach i osadzono w kompanii karnej u *Vogla,* a potem powieszono razem z *Nosyrem* podczas opisanej już egzekucji. *Vogel* zbierał złoto oddzielnie dla siebie, co chyba za wiedzą esesmanów uchodziło bezkarnie, bo i oni też w ten sposób złoto zbierali. Dopiero z powodu wspomnianego morderstwa padł strach na zbieraczy. Nic więc dziwnego, że *Vogel* uląkł się gróźb kolegów i zrezygnował z posłania mnie do krematorium.

Od tego czasu pozostawił mnie w spokoju, ale gdy 15 września miałem opuszczać kompanię karną, znowu zrobił mi karny „sport" i sprał mnie, ile wlazło. Żegnając kompanię karną, można to było znieść nawet z uczuciem zadowolenia. Niebawem, 20 września, również bez żalu opuściłem Gross-Rosen. Później, aczkolwiek nie tak wcześnie, jak przewidywał Erwin, obóz ten został wyzwolony. Na pięć miesięcy przed jego ewakuacją, przyspieszoną przez ofensywę wojsk radzieckich, przewieziono mnie do innego, pięknie położonego obozu, do Mauthausen.

ALEKSANDRA WALTEROWA
były więzień obozu koncentracyjnego Ravensbrück nr 7444
Kraków

Kolumna „Forst Neues Gut" w Ravensbrück

O tej leśnej kolumnie opublikowano już wspomnienie [1], wiążące się ze sprawą ucieczki więźniarki Eugenii *Kocwy* [2], ale nie oddało ono w pełni losu kobiet związanych z tym epizodem historii obozu Ravensbrück. Moja relacja [3] będzie wspomnieniem o udręczonych do ostateczności i do ostateczności sponiewieranych ludzkich stworzeniach, dla których — zdawało się wówczas — nie było końca bólowi i cierpieniom fizycznym i moralnym.

Na czele kolumny roboczej, z którą krytycznego dnia w maju 1944 roku Eugenia *Kocwa* wyruszyła z obozu do pracy, stała bardzo popularna w obozie, nie tylko wśród Polek, ale prawie wszystkich narodowości, kochana i szanowana, zasłużona więźniarka polityczna Maria *Liberakowa,* więziona w Ravensbrück od roku 1940. Skład tej kolumny nie był przypadkowy. Stanowiło ją 20 dobieranych przez Myszkę *Liberakową* przeważnie młodych dziewcząt (w tej liczbie zawsze parę tzw. „królików", doświadczalnie operowanych [4]).

Dobra to była kolumna w porównaniu z innymi, które codziennie wychodziły do pracy poza obóz. Od miejsca swojej pracy nosiła nazwę *Forst Neues Gut* i była przydzielona do pomocy leśnikowi, Niemcowi. Niemiec ten, jak się z biegiem czasu okazało, nie należał do zbyt gorliwych zwolenników reżimu hitlerowskiego i dzięki zaufaniu, jakim darzył Myszkę *Liberakową,* nie wymagał od kolumny zbyt ciężkiej pracy, pozwalał na dłuższe chwile wypoczynku, a nawet często tolerował, gdy słabsze lub chore po prostu spały pod drzewem.

Poza tym kolumna miała możność ugotowania sobie jarzyn i ziemniaków zdobywanych po drodze z obozu do pracy. Nie było to rzeczą błahą. I dlatego właśnie Myszka *Liberakowa* zabierała ze sobą takie dziewczęta, którym to dożywianie było konieczne i które trzeba było, z uwagi na ich często poważny stan zdrowia, chronić przed ciężką pracą fizyczną. W związku z tym skład tej kolumny często się zmieniał, co jakiś czas inne kobiety wychodziły z Myszką poza obóz, aby najeść się do syta, odetchnąć od znojnej pracy i spojrzeć na świat,

---

[1] E. *Kocwa*: Ucieczka. „Tygodnik Powszechny", 1950, nr 19, s. 3, nr 20, s. 3.

[2] Nie żyjąca już autorka książki pt. „Maria wyrusza w świat" i różnych drobniejszych publikacji.

[3] Autorka uwzględniła relację Marii *Liberakowej,* więzionej w Ravensbrück w latach 1940—1945. Opublikowane tutaj wspomnienie potwierdziły inne więźniarki tego obozu, między innymi Jadwiga *Bawolska* z Świętochłowic, Irena *Marszałek* z Zakopanego, Irena *Matusiak* z Krakowa, Alicja *Gawlikowska* z Warszawy.

[4] O „królikach" z Ravensbrück wielokrotnie pisano w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Zob. też książkę pt. *Die Frauen von Ravensbrück.* Kongress-Verlag, Berlin 1959.

od którego odgradzał nas smutny, szary mur, okalający obóz koncentracyjny.

Nie było również przypadkiem, że dozorczynie, stale towarzyszące każdej kolumnie roboczej, patrzyły przez palce na te zmiany — zasadniczo niedopuszczalne — i na rozluźnienie dyscypliny w kolumnie Myszki. Myszka umiała skłonić je do tego, by wielu rzeczy nie widziały i wieloma rzeczami się nie interesowały. Dozorczynie miały głodne niemieckie żołądki, karmione długi czas *ersatzami* i chętnie korzystały z jarzyn i owoców, zdobywanych w rozmaity sposób przez więźniarki. W zamian za to dawały Myszce i kobietom z jej kolumny niemal zupełnie wolną rękę, nie widziały nawet w ich odzieży kieszeni i schowków, pełnych owoców i jarzyn, przeznaczonych dla chorych, które przebywały w szpitalu obozowym; nie widziały wnoszonego do obozu drewna, którym palono w piecu, by móc dla chorych na bloku ugotować strawę.

Nie tylko taką rolę pełniła kolumna *Forst Neues Gut*, dowodzona przez Myszkę *Liberakową*, inicjatorkę i współorganizatorkę samopomocy więźniarskiej na terenie obozu.

Rok 1944 odkrywał już przed nami tajemnice naszej przyszłości. W tym czasie dochodzące do nas różnymi drogami wieści z frontu na nowo napełniły nas nadzieją odzyskania wolności i powrotu do życia. I zdawałyśmy sobie z tego sprawę, że Niemcy będą musieli odpowiedzieć za wszystkie zbrodnie, popełniane na więźniach. Dlatego też w obozie był gromadzony odpowiedni materiał dowodowy, jak spisy rozstrzelanych, spisy operowanych doświadczalnie polskich więźniarek politycznych, spisy zmarłych i wymordowanych, personalia sprawców rozmaitych zbrodni, dane statystyczne dotyczące obozu Ravensbrück, plany obozu i okolicy, dane statystyczne z krematorium obozowego itp. Wszystkie te dokumenty dostarczane Myszce przez polskie więźniarki polityczne, zatrudnione w szpitalu i biurze obozowym, kolumna Myszki wynosiła systematycznie do *Forst Neues Gut* i tam przechowywała w szopie, przeznaczonej na odpoczynek w przerwie obiadowej, aby zabrać je stamtąd w chwili odzyskania wolności.

I jeszcze jedna kompromitująca rzecz była przechowywana w tej szopie. Były to ubrania cywilne i buty potajemnie wynoszone z magazynu obozowego, a gromadzone w oczekiwaniu szczęśliwej chwili opuszczenia obozu na zawsze.

Wszystko to nie było tajemnicą dla całej Polonii ravensbrückiej, w każdym razie wiedziały o tym wszystkie więźniarki polityczne polskie, a zatem i *Kocwa*. I każda z nas, której udało się czasem wydrzeć z murów obozu i z kolumną *Forst Neues Gut* wyruszyć do lasu, przejęta była głęboko tą swoistą rolą kolumny, spełniającej tak wielkie i ważne zadanie. Każda z nas doceniała poświęcenie i odwagę ukochanej przez nas wszystkich Myszki, która, nie bacząc na grożące jej śmiertelne niebezpieczeństwo w razie wykrycia całej akcji przez obozowe *SS*, pełniła swoje obowiązki „kolonki", jak ją nazwała *Kocwa*.

W opisywanej kolumnie osobliwą rolę pełniły psy. Chętnie szły one z kolumną Myszki i chętnie z nią przebywały. Myszka psy kocha i rozumie wszystkie zwierzęta, o czym psy wiedziały i szczerze się jej za to odwdzięczały. Nie było wypadku, aby pies dozorujący kolumnę Myszki podczas pracy warknął na którąś z więźniarek, nie mówiąc już o gryzieniu. Komendant psiarni zorientował się w tym i niechętnie przydzielał psy tej kolumnie, twierdząc że *Forst Neues Gut* demoralizuje i psuje mu zwierzęta. Dlatego też w ostatnich czasach kolumna wychodziła do pracy bez psów, a w miejsce psa została przydzielona do dozorowania druga dozorczyni.

Tak też było krytycznego dnia ucieczki *Kocwy*. Psa w kolumnie nie było, aczkolwiek *Kocwa* wspomniała o dwóch psach prowadzonych przez dwie dozorczynie. Ucieczka ta przypadła na ostatnie dni maja. Znacznie później, gdy odzyskałyśmy już Myszkę i gdy znalazła się ona znowu w naszym gronie, opowiadała nam o tym szczegółowo. Oto jej relacja:

Była przerwa obiadowa. Zgromadziłyśmy się w szopie, aby zjeść obiad i wypocząć. Równocześnie z nami schodziły z pracy nasze kobiety zatrudnione w tartaku *Sassa*, położonym niedaleko od nas. Stanęłam przy kotle i zaczęłam wydawać jedzenie. Wtem zorientowałam się, że nie ma *Kocwy*. Zwróciłam się do którejś z dziewcząt, by wzięła dla niej porcję. *Kocwa* nie nadchodziła. Sądziłam, że zasnęła gdzieś w pobliżu i nie szukałam jej. Pomału ogarniał mnie jednak niepokój. Na krótko przed końcem przerwy obiadowej niepokój mój wzrósł tak dalece, że zdecydowałam się jej szukać. Obawiałam się, czy nie przytrafiło się jej coś złego, czy w zamyśleniu nie oddaliła się za daleko od kolumny i natknęła na jakiegoś esesmana. W pobliżu pracowały więźniarki *bibelforszerki*[5]. Poszłam w ich kierunku i rozglądałam się za *Kocwą* — bezskutecznie. Wróciłam do kolumny coraz bardziej zaniepokojona i stroskana. Niepokój mój udzielił się kolumnie, zaczynałyśmy się domyślać prawdy. Siedziałyśmy cichutko. Wszystkie zdawałyśmy sobie sprawę z tego, co może przyjść, jeśli *Kocwa* naprawdę uciekła.

Dozorczynie dały znak na koniec przerwy obiadowej. Ustawiłyśmy się piątkami, jak zwykle, do przeliczenia. Dłużej zwlekać nie mogłam i zgłosiłam dozorczyniom, że jednej z więźniarek brak. Dozorczynie, niezbyt widać dokładnie obznajomione z odnośnymi przepisami i nie przeczuwając ucieczki, mnie dały polecenie szukania zaginionej. Wyruszyłam na poszukiwanie, będąc teraz już przekonaną, że *Kocwy* nie znajdę. Wywołałam kilkakrotnie jej nazwisko, odpowiedzi oczywiście nie było. Po dłuższej chwili wróciłam do kolumny i zameldowałam dozorczyniom o bezskuteczności poszukiwań.

Teraz dozorczynie były już mocno skonsternowane. Jedna z nich udała się do tartaku *Sassa*, aby z tamtejszą dozorczynią naradzić się co do dalszego postępowania. Stamtąd zatelefonowała do obozu i zgłosiła brak jednej więźniarki w kolumnie. Z obozu przyszedł rozkaz, że mamy czekać. Natychmiast przyjechała główna dozorczyni z obozu i komendant psiarni — bez psów. Zaraz na wstępie zbito mnie po twarzy. Z miejsca uczyniono mnie odpowiedzialną za tę ucieczkę. Nie było to niespodzianką dla mnie, ani dla żadnej z nas. Znałyśmy przecież ulubiony przez Niemców system odpowiedzialności zbiorowej. Wiedziałyśmy dobrze, że ucieczka *Kocwy* nie minie bez strasznych skutków dla całej naszej kolumny. Zaczę-

[5] *Bibelforscher* — badacze Pisma świętego.

ła się rewizja w naszej szopie. Pomału wyciągnięte zostały na światło dzienne wszystkie nagromadzone przez nas skarby. Buty, zakopane w sianie, suknie cywilne, ziemniaki i jarzyny. Również i za te wszystkie rzeczy czyniono mnie odpowiedzialną. Próbowałam się wypierać, że nie należą one do nas, ale niewiele to pomogło. Najbardziej dla nas kompromitujące były cywilne ubrania. Dla władz obozowych nie ulegało żadnej wątpliwości, że wpadły na ślad „bandy" organizującej ucieczki z obozu. Sytuacja nasza z każdą chwilą stawała się bardziej niebezpieczna. Drżałam na myśl, co się stanie, gdy znalezione zostaną dokumenty, które na krótko przed rewizją udało mi się ukryć w workach z nasieniem łubinu. Tak dalece zaprzątała mnie ta myśl, że stępiałam na uderzenia spadające na mnie co chwilę.

Rewizja w szopie trwała parę godzin. Wszystkie znalezione rzeczy, a było ich sporo, załadowano na samochód, który ruszył w stronę obozu, nam zaś kazano odmaszerować również w tym kierunku, pod okiem dozorczyń. Mnie od pierwszej chwili odseparowano od kolumny i kazano iść na końcu.

Po przybyciu do obozu skierowano nas do kancelarii obozowej. W jednym pokoju ulokowano mnie, w drugim kolumnę. Kazano nam rozebrać się do naga i zrewidowano dokładnie. Po rewizji zapisano wszystkie nasze nazwiska i numery. Kolumnę odesłano na blok, a mnie zbitą i skopaną odprowadzono do więzienia obozowego.

Bardzo niechętnie opowiadała nam Myszka swoje losy od chwili przybycia do więzienia (zwanego bunkrem). Nic dziwnego, nie są to miłe wspomnienia. Myszkę umieszczono najpierw w zwykłej celi więziennej. Była to ciemnica na kilka osób. W celi tej przebywała ona około dwie doby. Trzeciego dnia esesman doprowadził Myszkę na przesłuchanie do wydziału politycznego przed oblicze rudego *Ramdohra*, znanego kata obozowego. Już sam dźwięk tego nazwiska budził grozę nie tylko wśród nas, bezbronnych więźniów, lecz także wśród esesmanów i dozorczyń. Niewesoło było znaleźć się w rękach tego zbira. Myszka wyszła od niego po paru godzinach z wybitymi zębami, z uszkodzoną szczęką i ze skórą popękaną na plecach od gumowej nahai. Biciem chciał wymusić na niej zeznania, jak zorganizowała ucieczkę *Kocwy* i poprzednie ucieczki więźniów z obozu. Myszka wspominała o tym wydarzeniu, co następuje:

Może nie wytrzymałabym tego wszystkiego. Może ból doprowadziłby mnie do szału, ale trzymały mnie nerwy. Ani na chwilę nie mogłam o tym zapomnieć, że w workach z nasieniem łubinu schowane są dokumenty, że łubin ma być właśnie w tych dniach wysiany, że w miejsce naszej kolumny pójdzie tam zapewne do pracy kolumna niemiecka, na której milczenie nie możemy liczyć. I strach, potworny strach jeżył mi włosy na głowie na myśl, co się stanie, gdy dokumenty te wpadną w ręce katów. Co się stanie, gdy władze obozowe zaczną dochodzić, w jaki sposób poszczególne dokumenty znalazły się w naszych rękach. Było oczywiste, że łatwo wpadną na ślad naszych towarzyszek obozowych z biura i szpitala. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że cała sprawa musi skończyć się wykonaniem kilku wyroków śmierci. I to teraz, kiedy naprawdę zaczynałyśmy wierzyć, że odzyskamy wolność.

Ten sam strach, który dręczył Myszkę podczas jej koszmarnego pobytu w więzieniu i w czasie przesłuchań, dręczył nas wszystkie. Nie wiedziałyśmy, co się z tymi dokumentami stało, ani gdzie zostały one schowane. Nie wiedziały również o tym kobiety z tragicznej kolumny, bo Myszka, schowawszy dokumenty tuż przed rewizją w szopie, nie zdążyła (a może i nie chciała) nikomu powiedzieć, co z nimi zrobiła.

Po przesłuchaniu u *Ramdohra* odprowadzono Myszkę do ciemnicy-izolatki. Była to maleńka celka 2 m na 1,5 m, o betonowej posadzce, bez pryczy, bez koca. W ciemnicy tej Myszka przesiedziała dwa miesiące. Dwa straszliwie długie miesiące, przebyte w najokropniejszych warunkach. Przez cały pierwszy miesiąc nie otrzymywała dosłownie żadnego pożywienia. Jedynym pokarmem była woda z kranu znajdującego się w celi. Cela była wokoło zamurowana, bez okna, bez żadnego dopływu powietrza, pełna pluskiew, wszy i karakonów. W ciągu tego miesiąca katorgi Myszkę prowadzono pięciokrotnie na przesłuchanie do *Ramdohra*, do wydziału politycznego, skąd wracała za każdym razem skatowana do krwi. Często *Ramdohr* wpadał do celi, oślepiał ją, przyzwyczajoną do ciemności, silnym światłem i katował bez końca.

Zabrał mi raz — żałośnie skarży się Myszka — rolkę papieru toaletowego, wciśniętą mi do ręki przez *bibelforszerkę* obsługującą bunkier, gdy wracałam z przesłuchania. A to była przecież moja poduszka, kładłam ją na betonie pod głowę (...). Pewnego dnia po jednej z wizyt *Ramdohra* odprowadziła mnie dozorczyni bunkra do szpitala na opatrunek złamanej szczęki. W szpitalu wyrwano mi dwa uszkodzone zęby, a potem zamiast wody do płukania ust, dostałam od Wandy (polska lekarka, więźniarka) kubek gorącego mleka. Był to mój pierwszy posiłek od momentu ucieczki *Kocwy*. Korzystając ze sposobności pobytu w szpitalu, szepnęłam Wandzie o dokumentach. Szybko, szybko i gorączkowo powiedziałam jej, gdzie są, może jeszcze czas, może zdąży... Gdy w parę dni później po raz drugi poszłam do szpitala, tym razem już pod opieką esesmana, dowiedziałam się, że jedna z dozorczyń, przekupiona odpowiednio, poszła w nocy do *Forst Neues Gut*, przy pomocy córki leśniczego wyjęła z worka z łubinem wszystkie dokumenty i oddała je polskim więźniarkom w szpitalu. Treści tych dokumentów nie znała ani dozorczyni, ani córka leśniczego. Dzięki temu papiery były uratowane. Odetchnęłam.

Była to, niestety, ostatnia moja bytność w szpitalu. Nie wiem, czy esesman zorientował się, że otrzymuję jakieś wiadomości, czy też uznano mnie za dostatecznie wyleczoną, w każdym razie nie zaprowadzono mnie tam więcej. Lecz największe niebezpieczeństwo zdołałam usunąć. Byłam jednak tak osłabiona tymi wszystkimi przejściami, że w czasie zabiegu zemdlałam. Od tego dnia jeszcze ostrzejszy nadzór roztoczono nade mną. Nikomu nie było wolno wchodzić do mojej celi. Jedynym, kogo widywałam, niestety bardzo często, był *Ramdohr*.

Pod koniec czerwca zjawił się on w mojej celi w towarzystwie lekarza *SS*. Lekarz zbadał mnie w obecności *Ramdohra*. Po skończonym badaniu powiedział do niego szeptem: *Dies ist hier unmöglich* (to niemożliwe w tym wypadku). Powiedziane to było szeptem, ale miałam tak wyostrzony słuch, że słyszałam każde słowo. Nie rozumiałam jeszcze, o co chodzi. Zrozumiałam to dopiero grubo później. Zamierzano zastosować u mnie zastrzyki osłabiające wolę, aby w ten sposób wymusić zeznania. Po wyjściu z bunkra lekarz oddał te zastrzyki zaraz z powrotem w szpitalu, skąd je poprzednio zabrał.

Stan zdrowia Myszki musiał jednak budzić obawy nawet u *Ramdohra*, skoro dzień, w którym lekarz Myszkę badał, był ostatnim dniem jej nieprzerwanej jednomiesięcznej głodówki. Była przecież *Ramdohrowi* nadal potrzeb-

na. Począwszy od następnego dnia otrzymywała co dzień rano kawałek chleba i kubek tzw. „kawy", a co trzeci dzień miskę obozowej, śmierdzącej zupy. W ciągu kwadransa od chwili podania jej do celi pożywienia miska musiała być umyta i zwrócona, toteż nie było mowy o rozłożeniu sobie pożywienia na parę razy.

Czas płynął. Myszka dalej przebywała w więzieniu obozowym, a my drżałyśmy o jej los i życie. Obawiałyśmy się, że siły odmówią jej posłuszeństwa i że katorgi tej nie przetrzyma. Zdawałyśmy sobie również dobrze z tego sprawę, że może być w każdej chwili rozstrzelana lub powieszona. Myszka liczyła się z tym bez przerwy, była na to przygotowana. Z rąk *Ramdohra* rzadko uchodziło się z życiem [6].

I znowu minął miesiąc. Pewnego dnia rozeszła się po obozie wieść, że Myszkę wyprowadzono z bunkra do *sztrafbloku*. Była to najprawdziwsza, najcudowniejsza prawda. Myszka żyła, jej życiu przestało zagrażać bezpośrednie niebezpieczeństwo (wyrok śmierci). Była uratowana. Znajdowała się w opłakanym stanie zdrowia; zupełnie wyczerpana fizycznie, w bunkrze nabawiła się szkorbutu, miała jako pamiątkę z przesłuchań uszkodzony kręgosłup, a w *sztrafbloku* czekała ją ciężka praca fizyczna. Ale tu można było jej chociaż minimalnie pomóc, można było przemycić jej coś do zjedzenia, podać sweter dla ochrony przed zimnem w chłodne deszczowe dni, można było popatrzeć na nią, jak szła do pracy i z pracy. I pomału, pomału wracała Myszka do względnego zdrowia, mimo ciężkiej pracy. Znowu zaczęła się do nas po dawnemu uśmiechać, gdy zbite w gromadę czekałyśmy w pobliżu *sztrafbloku*, by ją choćby z daleka zobaczyć. A gdy po trzech miesiącach pobytu w *sztrafbloku* wróciła do nas na blok, powiedziała nam: „Gdy przyprowadzono mnie do *sztrafbloku* i po raz pierwszy położyłam się na sienniku, było mi tak cudownie miękko, że nie mogłam usnąć".

Liberakowa szczęśliwie obóz przetrwała i wróciła z nami do kraju. Pozostała taka, jaka była zawsze: ofiarna, zawsze gotowa do pomocy. Ale nie jest już tą Myszką o żelaznym organizmie. Razy *Ramdohra* pozostawiły trwały ślad na jej kręgosłupie.

Tragiczny był koniec kolumny *Forst Neues Gut*. Na drugi dzień po ucieczce *Kocwy* wszystkie więźniarki z tej kolumny zostały wezwane do biura obozowego, skąd odprowadzono je do *sztrafbloku*. Tam przebywały przez sześć tygodni. Więźniarki, tak skrupulatnie przez Myszkę chronione, wychodziły codziennie, bez względu na niedziele i święta, bez względu na pogodę, do najcięższej pracy fizycznej. A po 6 tygodniach cała kolumna, składająca się z 19 kobiet, została rozproszona i rozesłana do fabryk amunicji. Tylko kilka z nich dało nam po wojnie znak życia o sobie. Po pozostałych ślad zaginął, nie wiemy, czy żyją, czy zginęły, jak, gdzie i kiedy. W miejscu polskiej kolumny *Forst Neues Gut* została — zgodnie z przewidywaniami — stworzona kolumna niemiecka i tak już zostało do końca wojny, do końca naszego pobytu w Ravensbrück.

[6] O *Ramdohrze* pisze m. in. W. *Kiedrzyńska*: Ravensbrück, kobiecy obóz koncentracyjny. Książka i Wiedza, Warszawa 1961, s. 49 i n.

YVONNE PAGNIEZ
była więźniarka obozu koncentracyjnego w Ravensbrück
Le Tréz Hir (Finistère, Francja)

W Torgau [1]

Małe saksońskie miasteczko Torgau, położone na równinie, zabudowane regularnymi rzędami schludnie wyglądających domów, których okna zdobiło geranium, było jednym z większych skupisk jeńców francuskich w Niemczech. Podobno w okolicy znajdowało się dwadzieścia do trzydziestu tysięcy naszych rodaków. Toteż kilkutygodniowy nasz pobyt z „kommandem" z Mouny w pobliskich miejscowościach był znośniejszy dzięki wyraźnie wyczuwalnej obecności Francji.

W nadzwyczaj ciężkich warunkach bytowania, niewolniczej pracy i głodu, który nie przestawał nas gnębić aż do końca, niektórych aż do wyzwolenia, innych zaś — aż do śmierci z krańcowego wyczerpania, było prawdziwą ulgą i pociechą zobaczyć charakterystyczne nakrycia głowy naszych żołnierzy, wyblakłe na słońcu i deszczu w ciągu pięciu lat, ale zawadiacko włożone na bakier. Przyjemnie było wśród tylu wrogich spojrzeń, które zwykle zwiastowały razy i obelgi, spotkać się z pełnym zrozumienia wzrokiem żołnierzy francuskich.

Dostrzegłyśmy ich pierwszy raz po wyładowaniu naszej grupy w Torgau po dwóch dniach straszliwej podróży w bydlęcych wagonach. Uformowane w piątki rozpoczęłyśmy defiladę ulicami miasta. Przechodnie patrzyli na nas z ciekawością. Byłyśmy skrajnie wyczerpane, niewyspane i zmęczone. Trzeba było nie lada wysiłku, aby opanować stan, w którym ma się wrażenie, że naokoło wiruje świat, maszerować równym krokiem i w do-

[1] Skrócony przekład tekstu pt. *Nos frères les prisonniers* wykonał dr Zenon *Jagoda* (przyp. red.).

datku śpiewać kuplety z *Madelon!* Ale śpiew był dla nas zawsze przejawem i wyrazem odwagi.

I oto na pierwszym zakręcie, niedaleko dworca czekała nas niezwykła niespodzianka. W czteropiętrowym budynku z czerwonej cegły, przypominającym koszary, we wszystkich oknach widać było stłoczone głowy, jedna przy drugiej, we francuskich wojskowych czapkach.

— Witajcie, koleżanki — pozdrawiano nas półgłosem. Nikt nie odważył się krzyczeć; wypowiadane szeptem słowa francuskie działały na nas jak balsam.

— Skąd przybywacie?

— Kim jesteście?

Pytania zadawane równocześnie mieszały się ze sobą, czasem było trudno je zrozumieć.

— Więźniarki — odpowiadałyśmy między dwiema zwrotkami *Madelon.*

Strażnicy nas poszturchiwali:

— *Ruhe! Nicht schwatzen! Weiter, weiter!* [2]

W ogólnym rozgardiaszu nie uchodziły naszej uwagi życzliwe uśmiechy pojawiające się na twarzach żołnierzy, ich wymowne spojrzenia pełne litości, łzy w niektórych oczach.

— Odwagi — mówili — odwagi, to nie potrwa długo, pomożemy wam!

Słowa te biegły za nami, a my, choć nam nogi odmawiały posłuszeństwa i chwiałyśmy się w marszu, jak marynarze na pokładzie statku, zaczęłyśmy śpiewać z jeszcze większym zapałem:

Gdy Madelon do stołu nam podaje...

Nasi żołnierze w zszarzałych mundurach, z trójkątami na plecach lub z dużymi literami *KG* [3] byli także na chodnikach, wśród niemieckich gapiów, między dziećmi z wybałuszonymi oczami. Ci nie ryzykowali, by się do nas odzywać, ale kiedy patrzyli na nas ze ściśniętym gardłem połykając łzy, wiedziałyśmy bez słów, że współczują nam i są z nami. Ta więź, która nas z nimi łączyła — to Francja. Wtedy właśnie zrozumiałyśmy, że porozumienie między ludźmi może przywrócić do życia ich ojczyznę, także w głębi obcej niewoli. Świadomość tego była naszą wielką radością na początku nowego etapu wygnania. A i później niejednokrotnie doznawałyśmy jej, kiedy nasz obóz pracował wspólnie z „kommandem" — dzięki Bogu lżejszym — jeńców wojennych, którzy potrafili nie tylko zrozumieć naszą rozpacz, ale także znaleźć sposoby i fortele, aby pomóc z dobrego serca.

Przypominają mi się te chłodne poranki październikowe, kiedy po apelu wyruszałyśmy, drżąc z zimna w cienkich sukniach, w drogę, która prowadziła przez płaską jak dłoń równinę. Jeszcze nie było całkiem jasno. Ponad niewyraźnymi zarysami domów w Torgau wschodziło we mgle słońce jak wielka czerwona kula. Za nami rysowała się czarna drewniana wieżyczka obozowa, na której uzbrojony esesman pilnował prostokątu obwiedzionego drutem kolczastym. Maszerowałyśmy konwojowane przez nasze strażniczki w mundurach do odległej o trzy kilometry wsi Zinna. Zarysy budynków w tej wsi, wielkich i ciężkich, stawały się wyraźniejsze w miarę jak się zbliżałyśmy i robiło się jasno. Należałam wtedy do grupy robotnic rolnych, bardziej uprzywilejowanych niż większość naszych towarzyszek, które zmuszano do pracy w fabryce zbrojeniowej, gdzie oczyszczały stare łuski pocisków przez zanurzanie ich w chemikaliach, niszczących skórę na rękach.

Każdego ranka, gdy przychodziłyśmy do wsi, ruszały w pole ciężkie wozy ze śmiejącymi się i popychającymi dziećmi, zaprzężone w parę wołów lub dobrze odpasionych koni z szerokimi zadami. Spotykałyśmy też, zwykle w tym samym miejscu, wóz prowadzony przez żołnierza francuskiego, który pędził na nim na stojąco, trzęsąc się i podskakując na wybojach nierównej drogi.

— Dzień dobry, Francuzki! — wołał do nas i jedną ręką trzymając się rozklekotanego pojazdu, drugą rzucał nam swoją porcję jedzenia: dwie kromki chleba z plasterkiem kiełbasy, które dawała mu na śniadanie jego gospodyni. Dzieliłyśmy tę kanapkę na dwanaście części; każdej przypadał malutki kąsek, ale ta odrobina chleba miała prawdziwie pokrzepiającą moc.

Jaśniej brzmiał wtedy na drodze refren intonowany przez dzielną partyzantkę, wziętą w bitwie na płaskowyżu Vercors, Krystynę, której głos przypominał dźwięk srebrnego dzwonka:

To jest młyn mojej młodości,
Tik tak, tik tak, tik tak, tik tak...

Czułyśmy wtedy, że nasze nogi są lżejsze, że mniej bolą krzyże po wyczerpującej pracy poprzedniego dnia. Właśnie kończyło się kopanie ziemniaków, podczas którego przez dziesięć godzin dziennie, zgięte w pół, grzebałyśmy rękami w ziemi.

Widzę jeszcze naszą grupkę, jak trzęsie się rankiem z zimna. Cierpiałam w tym czasie na owrzodzenia z powodu awitaminozy. Ponieważ rany na nogach nie pozwalały mi na noszenie butów, musiałam codziennie boso przemierzać trzy kilometry, mimo że nieraz ziemia była pokryta szronem. Próbowałam rozgrzewać nogi grudkami świeżego, dymiącego jeszcze nawozu końskiego, choć oczywiście zdawałam sobie sprawę i obawiałam się, że mogę dostać tężca. Natomiast wieśniacy niemieccy zajeżdżali na pole swoimi wozami, otuleni w ciepłe odzienie, w dobrych butach; ręce mogli sobie wkładać do kieszeni.

Patrzyli na nas najczęściej bez nienawiści; w ich oczach nieraz pojawiała się litość, a kobiety podawały nam ukradkiem jabłka, które gryzłyśmy chciwie, zasłaniając się wzajemnie, gdyż wszelkie kontakty z miejscową ludnością były nam zabronione. Tylko *bauer*, który przydzielał nam zadania, gromił nas — bez brutalności zresztą, ale dość szorstko i po-

---

[2] Cicho! Milczeć! Dalej, dalej!

[3] *Kriegsgefangene* (jeniec wojenny).

gardliwie — za małą wydajność pracy. Te spośród nas, które znały język niemiecki, tłumaczyły jego uwagi nie bez własnych dodatków, jak można się było domyślać. Od czasu do czasu młodziki z *Hitlerjugend*, paradujący w swoich mundurach z wojskowymi pasami, rzucali nam w twarz obelgi, których zdawałyśmy się nie rozumieć.

Z największym wysiłkiem dźwigałyśmy ciężkie kosze ziemniaków, które wsypywałyśmy do wyprzężonego wozu, stojącego na środku pola. Strażniczki nie pozwalały odetchnąć ani przez chwilę. Popędzały ciągle:

— *Weiter, weiter!... Sie sind doch faul!* [4]

Szczególnie przykre było popołudnie. Musiałyśmy w porze obiadowej drugi raz przebiec trzy kilometry dzielące nas od obozu. Gdy *bauerzy* odpoczywali w swoich gospodarstwach, sycąc się dymiącymi potrawami ze słoniną, przegryzając ciastem, myśmy zaledwie na pół godziny mogły usiąść nad naszymi menażkami z lurą. Nie objedzone powracałyśmy na pole. Gdy nadchodził wieczór, a cienie wydłużały się na ogołoconej ziemi, kiedy zaprzęgano wozy, dopiero wtedy czułyśmy w plecach trud całego dnia. Ostatnie godziny pracowałyśmy niemal na czworakach, prostując się z trudem tylko wtedy, kiedy trzeba było odnieść do wozu napełnione kosze. Jak za największą karę zadzierałyśmy do góry ręce, aby przechylić ciężki kosz. Byłyśmy przy tym tak głodne, że gryzłyśmy surowe ziemniaki.

Trochę inaczej czułyśmy się w tych ciężkich dniach, kiedy powoził któryś z jeńców francuskich. Nie mogłyśmy z nim rozmawiać, ale jedno spojrzenie, jeden gest, jedno słowo rzucone nam przelotnie podnosiło nas na duchu. Wiedział on też, gdzie zatrzymać konia na kilka sekund, aby nam ułatwić pracę, nie zważał na wymówki *bauera*, gdy chodziło o pomoc dla nas.

Jeńcy opiekowali się nami wszędzie, często w sposób niewidoczny, jak anioły stróże. Oddawali nam z ukrycia tysiące przysług, nieraz drobnych, ale dla nas niesłychanie ważnych i istotnych.

„Kommando" czyścicieli latryn, do którego należałam przez jakiś czas w Torgau, cieszyło się cennym przywilejem: możliwością przechodzenia kilka razy dziennie — niestety z cuchnącymi cebrzykami — koło domu, w którym przebywali jeńcy.

To sąsiedztwo było rekompensatą za naszą straszną robotę. Pomyślcie tylko, musiałyśmy przez cały dzień w obrzydliwych ustępach, przed którymi tworzyły się kolejki, wyciągać spod drewnianych siedzeń kubły pełne nieczystości. Biada tym, które nieopatrznie w nocy siadały w tym koszmarnym miejscu lub które ścinał tu z nóg ból brzucha. Biegunka srożyła się stale, podobnie jak w Ravensbrück. To naszym zadaniem było czyszczenie desek oblepionych odchodami, a także mycie ścian upstrzonych przecinkami; nigdy więźniarki nie dostawały papieru. Później przelewałyśmy za pomocą olbrzymiej warząchwi zawartość kubłów kloacznych do drewnianych cebrzyków. Obryzgiwałyśmy się przy tej robocie mimo ostrożności, z jaką ją próbowałyśmy wykonywać. A nie miałyśmy ani odzienia na zmianę, ani mydła do prania zabrudzonych łachów.

Ale cóż to była za radość, gdy po przebyciu na zewnątrz obozu około tysiąca kroków w stronę kloaki miejskiej, gdzie opróżniałyśmy nasze obrzydliwe naczynia, dostrzegałyśmy poczciwe twarze żołnierzy francuskich, którzy uśmiechali się do nas zza krat w oknach. Więźniowie pozbawieni zajęcia przechadzali się naokoło domu. Dzięki woni, którą rozsiewałyśmy, a która oddalała od nas strażniczki, mogłyśmy krótko porozmawiać z nimi, idąc bez odwracania głowy, aby się nie zdradzić.

Udało się nawet udoskonalić sposoby tajnego porozumiewania się, co nam bardzo ułatwiło życie i oddało nieocenione usługi. Jakieś 50 metrów od kwatery jeńców znajdowała się góra piasku. Zatrzymywałyśmy się przy niej niby przypadkowo, stawiając na chwilę na niej ciężki ceber. Podczas gdy jedna z dźwigających tak się ustawiła, by zasłonić swoją towarzyszkę, druga szybko wtykała w piasek np. parę podartych butów, ukrywanych dotychczas pod suknią. Przed odejściem oznaczałyśmy patykiem miejsce ukrycia przedmiotu. Uśmiechałyśmy się do siebie, podnosząc znowu za ucha powalanymi rękami naczynie, w którym bulgotała przy naszych nierównych krokach wstrętna maź. Porozumiewawcze spojrzenia zza krat towarzyszyły naszej „pachnącej" paradzie.

Na drugi lub na trzeci dzień ten sam mały patyczek wysterczał z piasku w innym już miejscu. Wiedziałyśmy, co to znaczy. Zatrzymywałyśmy się na kilka sekund i odnajdowałyśmy w piasku buty z nowymi zelówkami. A czasem do środka był wsunięty kawałek zapisanego papieru, zawierający słowa pociechy lub wiadomości z frontów. Dziękowałyśmy jednym słowem, z daleka.

Ci, którym się udało zbliżyć do nas, pytali, czego nam najbardziej brakuje. Następnego dnia, jakby cudem, znajdowałyśmy w piachu mydło, torebkę z solą, grzebienie, kawałek lusterka. Ma się rozumieć, dary te nie mogły zaspokoić morza naszych potrzeb. Ale gesty naszych rodaków miały znaczenie psychologiczne: pozwalały żywić nadzieję, że pomoc nadejdzie.

Wygląd nasz był tak opłakany i budzący litość, nasze miny tak żałosne, a nasz strój z widoczną z daleka literą X tak złachmaniony, że żołnierze francuscy, którzy nas obserwowali idące do pracy na pola czy do fabryki lub oczekujące godzinami w kolejkach na zimnie po lichą zupkę, postanowili zdobyć się na jakiś większy wysiłek, aby nam wydatniej pomóc. Zawiadomili nas potajemnie, że organizują dużą zbiórkę różnych przedmiotów. Wszyscy biorą w niej udział i mają nadzieję, że uda się uzyskać oficjalne pozwolenie na przekazanie nam darów.

[4] Dalej, dalej! Ale jesteście leniwe!

Od tej chwili żyłyśmy nadzieją na poprawę warunków naszego bytowania w obozie. Zdawało się nam, że spadną na nas bogactwa, jak spada z nieba deszcz. W porównaniu z naszą nędzą zasoby jeńców uznałyśmy za nieprzebrane. Układałyśmy listę życzeń, jak niegdyś w dzieciństwie z okazji świętego Mikołaja, który zstępował z nieba ze swoim cudownym osiołkiem i spełniał prośby.

— Co byście chciały dostać najpierw? — pytano nas na karteczkach zakopanych w piasku.

— Tak, tak, każda dostanie szczoteczkę do zębów, będzie ich pięćset — mruczał żołnierz w wyblakłej kapocie, pełniący obowiązki pomocnika ogrodnika. W bunkrze służącym za składnicę jarzyn pomagał on rudemu diabłowi — *bauerowi*, u którego byłyśmy niewolnicami i który szorstko dyrygował nami, wydając ochrypłe rozkazy:

— *Komm hier, Yvonne, wirf die Rüben auf einen Haufen!* [5]

Wieczorem, wypluwając kawałki brukwi, które pływały w zupie jak drewniane drzazgi, folgowałyśmy wyobraźni.

— Ernest zapewnił mnie, że dostaniemy czekoladę, przynajmniej dwie tabliczki na osobę.

— To prawda — potwierdzała inna. — Karol mówił mi to samo. Będzie jeszcze poza tym ciasto z owocami.

— I pasztet w puszkach!

— I biszkopty!

— I sardynki w oliwie!

Te cudowne potrawy wirowały przed oczyma naszej wyobraźni, a jej wzmożona działalność powodowała coś w rodzaju zawrotu głowy. Ileż to razy zasypiałyśmy na naszych twardych pryczach, marząc o kanapce z konfiturami, którą by nas poczęstował triumfujący, szczęśliwy z powodu naszej radości rodak mówiący językiem francuskim!

Byłyśmy informowane o pertraktacjach, które prowadziła delegacja jeńców z władzami obozowymi. Komendant, oficer *Wehrmachtu*, nie stanowił największej przeszkody. Był to człowiek zimny, ale nie sadysta. Miałyśmy z nim rzadko do czynienia, ale nigdy się nad nami nie znęcał. Natomiast faktycznym panem życia i śmierci w obozie był podoficer *SS*, który prowadził codziennie apele poranne i który włóczył się stale w pobliżu miejsc pracy z trzciną w ręce, używaną do popędzania opieszałych. Jego decyzje były nieodwołalne, ponieważ komendant, wyższy od niego tylko stopniem, nie ośmielał mu się sprzeciwiać.

Nazywałyśmy tego chama „Laseczką" z powodu ozdobnego prętu, z którym się nie rozstawał. Odgrywał ponurą komedię, dziwacznie stawiając nogi, którymi zakreślał półkola, wykrzywiając nieokreślonym grymasem twarz, pooraną bliznami jak u burszów, chociaż z pewnością ten nieoświecony żołdak nigdy nie chodził na uniwersytet. Czasem nagle zrywał się do biegu, podrzucał swoją laseczkę, wykonywał podskoki, jak by chciał nas zabawić. Ale nie można było dać się zwieść temu osobliwemu przypływowi dobrego humoru, po którym zwykle następowały chorobliwe ataki gwałtownej złości bez widocznego powodu. Człowiek ten był na poły obłąkany, niewątpliwie z powodu alkoholizmu. Rano często zataczał się, rykiem wydawał rozkazy i groził. W jego wzroku czaiła się dzikość, a opuchnięta twarz przypominała latarnię.

Jeńcy uprzedzeni przez nas potrafili jednak dojść z nim do porozumienia.

— Powiedział: tak! — informowano nas szeptem. — Suto go wynagradzamy, dostanie swój niemały udział.

W ten sposób nasze marzenia stawały się powoli rzeczywistością. Radosna była dla nas świadomość, że ktoś żywi w stosunku do nas braterskie uczucia, troszczy się o nas, interesuje naszymi cierpieniami. Nie byłyśmy już same, zagubione w pustce przerażenia, nieubłaganego jak śmierć. Opadało w nas powoli to napięcie, które przeżywa osaczone zwierzę, i oto stałyśmy się na nowo kobietami, ufnymi, mającymi nadzieję choćby na cień szczęścia jeszcze, bezradnymi istotami, które szukają oparcia na męskim ramieniu i lubią, jak się je w niedoli pociesza, odczuwają słowa otuchy jak przyłożenie balsamu do rany.

W końcu nastąpił dzień cudu. Wiedziałyśmy, że się zbliżał, ale nie umiałyśmy dokładnie go oznaczyć. Wracałyśmy właśnie z pracy, jak zwykle ledwie żywe. Ale była piękna pogoda i mimo wieczornego chłodu, który przenikał nasze nędzne odzienie, udzielił nam się nastrój, jaki panował w przyrodzie. W promieniach zachodzącego słońca było coś tchnącego nadzieją, młodzieńczego, świeżego. Kryształowo brzmiące „tik, tak" Krystyny przypominało odgłosy dzwonków owieczek w górach.

— Może przyjdą jutro — szeptałyśmy patrząc, jak wyrasta na tle nieba, mającego kolor głębokiej wody, wieżyczka obozowa. — Może, kto wie, przyjdą dziś? Nie jest jeszcze zbyt późno...

Tymczasem, zaledwie minęłyśmy druty kolczaste, „Laseczka" przyskoczył do nas, kręcąc młynka swoim pręcikiem i wykrzykując do strażniczek:

— *Schnell hinein! Zu! Zu!* [6]

Umundurowane strażniczki popychały nas jak trzodę do betonowego budynku, który służył za schron. Nie mieszkałyśmy w tym budynku. Drzwi zostały zamknięte na dwa spusty. Ale zdołałyśmy jeszcze dostrzec podczas tego spędu do stajni ciężarówkę, która zatrzymała się przed bramą. Otwarta platforma była napełniona workami, paczkami, różnymi przedmiotami załadowanymi luzem. Stali na niej dwaj chłopcy, których rozpoznałyśmy natychmiast.

— To są oni! Brawo! Życie jest piękne!

Zdawało się nam, że w naszych głowach wybuchają iskry sztucznych ogni.

— Trzeba się z nimi zobaczyć! Nie, nie będziemy od nich oddzielone murem!

Rozpoczął się więc szturm do okien. Wyję-

[5] Chodź tu, *Yvonne*, wysyp marchew na stertę!

[6] Szybko do środka! Zamykać, zamykać!

łyśmy z framug kwatery okienne. Każda starała się znaleźć miejsce przy oknie, wychylić się jak najbardziej, wspiąć się nad drugą. Powstały jak gdyby cztery, potem pięć pięter głów, które pewnie wyglądały jak stłoczony rój przy wlocie do ula.

— Widzisz ich?

— Tak, tak, to oni! Wchodzą!

Przed budynkiem naszego zaimprowizowanego więzienia „Laseczka" wyje, grozi nam swoją magiczną pałeczką:

— *Fenster zu! Alle hinein!* [7]

Strażniczki wydzierają się na nas, popychają nas pięściami. Ale kiedy jedna głowa się cofnie, na jej miejsce pojawiają się inne. Niepodobna opanować już tej siły, która nas ożywia.

— Uspokójcie się! Żadnej manifestacji! — woła do nas, zeskakując z ciężarówki, podoficer w berecie strzelca alpejskiego.

Nie odwraca on zresztą przy tym głowy w naszą stronę. Widząc nasze poruszenie, obawia się represji. Krok w krok za nim idzie poczciwie zresztą wyglądający *feldfebel*. Za nimi sześciu żołnierzy francuskich niesie na plecach worki, mając pod pachą jeszcze paczki. Każdy z nich wygląda jak święty Mikołaj, który przychodzi, aby obdarować oczekujących go w napięciu i sprawić im niezapomnianą radość.

Pożeramy ich oczami, gdy zdejmują swoje ciężary w przybudówce naprzeciw naszych brzęczących jak ul okien. Miejsce to wskazał im „Laseczka", który kręci się koło nich osobliwym tanecznym krokiem konia cyrkowego.

— Jak sądzisz, co jest w tym worku? Taki ciężki!

— To fasola. Widziałam, jak się sypały ziarnka.

Nie ustają tego rodzaju rozmówki, prowadzone zduszonym głosem wśród piramidy głów, które się wychylają, popychają nawzajem, uderzają o siebie, wytrzeszczają zachwycone oczy.

— Tak, to są pudełka z herbatnikami.

— Widzisz, jest czekolada. Jest jej całe pudło.

— Hurra! Ciepła bielizna! Już nam więcej nie będzie zimno rano, kiedy będziemy wychodziły z obozu.

— Ani w przeciągach w fabryce!

Trzech żołnierzy, objuczonych jak muły, idzie ostrożnie, mało co widząc spoza stosu swetrów, skarpetek, szalików, które trzymają na rękach. Korzystają oni z tej zasłony, aby spojrzeć przelotnie ku nam.

— To nie jest nowe, ale jest ciepłe. A zresztą dają nam to ze szczerego serca.

Tak, kochani są ci żołnierze! Od miesięcy nie dostają paczek, pozbawiają się cennych zapasów na progu zimy. Patrzymy z uczuciem wdzięczności na skarpetki, wielokrotnie cerowane niewprawną ręką, szaliki, których powyciągane włókna tworzą nierówne frendzelki, pulowery o spełzłych kolorach; wszystkie te ubogie rzeczy, jeszcze niedawno używane, zostały zdjęte z ciała, aby można je nam przekazać.

— Nie okradajcie siebie dla nas — szepcemy drżącym głosem. — Będzie w tym roku ostra zima, a wy już niczego nie dostaniecie.

Jedno spojrzenie starcza nam za odpowiedź. Jest w nim tyle miłości i oddania, tyle wielkiego współczucia, że zaczynamy prawie wszystkie płakać.

Teraz już koniec. Ciężarówka jest już pusta. Wyładowujący otaczają kołem „Laseczkę", który zamienia jeszcze kilka słów z *feldfeblem* i dowódcą grupy strzelców alpejskich. Nasz wojskowy zdaje się przekazywać jakieś polecenia. A później już się rozchodzą. Dyskretny ruch ręki w naszą stronę. Mamy wrażenie, że obawiają się naszej nerwowej reakcji. Jesteśmy tak wzruszone, że nie możemy wypowiedzieć ani słowa.

Ale kiedy przed szlabanem wskakują lekko do ciężarówki, której motor już zaczyna działać, kiedy stoją na platformie wysmukli w wyblakłych, ale starannie wypranych i pocerowanych „wyjściowych" mundurach, które wdziali na naszą cześć, kiedy widzimy, że wszyscy razem powiewają nam czapkami, gdy rusza ich skrzypiący wóz, wyrywa nam się z piersi okrzyk:

— Dziękujemy, dziękujemy!

Czujemy, jak unosi nas jakaś fala, wali się rusztowanie ciał, podnosi nas, przystraja flagami wyciągniętych rąk i nagle jakaś siła chwyta za serce, która każe wydrzeć ze siebie krzyk:

— Niech żyje Francja!

„Laseczka" odwrócił się, zaczerwienił z wściekłości. Rzucił się na nas ze szpicrutą podniesioną do góry. Lecz ta niosąca nas fala jest silniejsza od wszystkiego. Biegnie gwałtownie od naszego tłumu aż do ciężarówki, na której umundurowani ludzie również zaczynają krzyczeć na całe gardło, wymachując czapkami jak sztandarami:

— Niech żyje Francja! Niech żyje Francja!

W następnych tygodniach widziałyśmy strażniczki chrupiące czekoladę. „Laseczka" miał kieszenie wypchane herbatnikami; często teraz jadł chleb z pasztetem, kiedy przychodził doglądać naszej pracy. Czekałyśmy długo na obiecany przydział wiktuałów i odzieży. Nasi przyjaciele, żołnierze francuscy, też o to się upominali, o czym dowiadywałyśmy się tajną pocztą.

W końcu po dwóch czy trzech tygodniach po wizycie jeńców nasze władze obozowe urządziły uroczystość podziału. Każda otrzymała kawałek konserwowego tuńczyka lub mięsa wołowego, ćwierć tabliczki czekolady. Cały ten skarb można było zawiązać w chusteczce do nosa. Kilku uprzywilejowanym przypadła w udziale nie lada gratka: jedna skarpetka, którą kładły sobie na piersi lub która służyła jako zarękawek. Pół tuzina swetrów rozlosowano. Trzy dni potem nagły „transport" zawiózł nas do Ravensbrück, gdzie wszystkie te nędzne, ale drogie nam rzeczy zostały brutalnie odebrane.

[7] Zamykać okna! Wszystkie do środka!

EDWIN KUFFEL
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim-Brzezinka nr 2237, Mauthausen nr 116961, Melk, Amstetten i Ebensee

Gdańsk

Ostatnie dni w obozie Ebensee

Dnia 2 maja 1945 roku współwięzień *Franz,* ongiś, przed rokiem 1932 działacz młodzieży komunistycznej, przekazał mi pomyślne wiadomości radiowe. Zyskał je dzięki kontaktom z zarządem obozu, pozostającym podobno w niezłych stosunkach z *Wehrmachtem,* który teraz „patrzył wilkiem" na *SS* z taką samą wzajemnością z drugiej strony. Z tego układu więźniowie korzystali po swojemu. *Franz* doniósł, że *Eisenhower* zapowiedział, iż za każdego więźnia zamordowanego, czy zamęczonego w tych ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy zostanie rozstrzelanych 10 esesmanów. Prócz tej wiadomości *Franz* nakreślił sytuację ogólną: końca należy oczekiwać dosłownie lada dzień; musimy być na ten koniec przygotowani.

Czas też już jest najwyższy, bo przy obecnym znikomym wyżywieniu trudno się będzie długo utrzymać. Osiemnaście dni w tutejszym obozie wystarczyło mi, by się odnowiła puchlina głodowa. W jeszcze gorszym stanie byli koledzy, którzy około tygodnia później niż my, tj. mniej więcej 20 kwietnia przybyli z Melku, podobozu zlikwidowanego jeszcze na kilka dni przed ewakuacją naszego „komanda" w Amstetten. Mimo to więźniowie dłużej wędrowali, częściowo piechotą, częściowo statkiem. Nawet grubas Michał *Preissler* schudł nie do poznania i mocno stracił na fantazji. A Jaś *Olszowski* i *Dziopek* mocno na księżą oborę patrzyli, choć też już na roboty chyba nie wychodzili. Wiadomości oczywiście trzeba zaraz dalej podać. Działają skuteczniej, niż dodatkowa skibka chleba, gdy ją w ogóle można było tutaj dostać. Wiadomości od *Franza,* to dobra pożywka, tuż przed świętem 3 maja. Nazajutrz „komanda" nie wychodziły już do pracy; działo się to chyba po raz pierwszy.

4 maja około godziny 4 rano kolega *Hans,* hamburczyk, budził mnie żywo, a ponieważ nie chciało mi się wstać, ściągnął mnie z pryczy. Był to *häftling* jeszcze sprzed wojny, komunistyczny działacz robotniczy, członek samorządu więźniów w Amstetten; pracując tam w kancelarii obozowej, poznałem się z nim. Teraz przyszedł z innego bloku. Ranek był pogodny. Przyczyna wczesnego budzenia wyjaśniła się szybko. *Hans* w krótkiej rozmowie, prowadzonej szeptem, zorientował mnie, że tego dnia apel odbędzie się na placu apelowym, a nie, jak zwykle, przed blokiem. Tam *lagerführer* ma wezwać nas do udania się do sztolni, gdzie będziemy rzekomo bezpieczni przed spodziewanymi nalotami amerykańskimi. Nieraz zresztą obserwowaliśmy masowe przeloty aliantów nad naszym obozem, doskonale zamaskowanym w lesie w okolicach jeziora Traun w środkowej Austrii. Samoloty znajdowały się jednak zawsze na dużej wysokości. Zrozumiałe było, że *SS* planuje wysadzenie wejścia do sztolni po zagnaniu tam więźniów, co by pozwoliło na zlikwidowanie obozu. Ale nie damy się. Więźniowie nawiązali kontakty z *Wehrmachtem,* o czym już wcześniej mówił też *Franz,* a nawet w ostatecznym razie *Wehrmacht* ma nam dostarczyć broni, gdyż bojąc się zapowiedzianych sankcji nie myśli teraz, dosłownie „na pięć przed dwunastą", ryzykować miana ludobójców.

Oczywiście do sztolni nie pójdziemy. W ostateczności rzucimy się na druty i na budki strażnicze. Ryzyko co prawda duże, zginie jedna czwarta lub połowa więźniów, ale reszta się uwolni. Zdecydowano bunt, bo innego wyjścia nie ma. *Hans* kazał wiadomość tę przekazać dalszym współwięźniom. Rzecz była bezdyskusyjna. Wiemy już z całą pewnością, że w obozie działa jakaś organizacja; jej istnienie wyczuwało się zresztą od pierwszych godzin pobytu w tym „lagrze", przynajmniej z zachowania się *Franza,* który był tu znany i „miał chody". Zlecenie *Hansa* ujawniłem Polakom, których jednak nie było zbyt wielu w tym bloku. Więziono w nim także Belgów, Niemców, Żydów z różnych krajów, a liczni też byli Rosjanie.

Niebawem coraz więcej więźniów ubierało się i nie było prawie przejścia między gęsto ustawionymi pryczami, gdzieby nie szeptały między sobą dwie, trzy lub cztery osoby. Wobec obcych nikt się nie zdradzał z tematem tych rozmów. Ale czuło się, że wszystkie te narady, prowadzone różnojęzycznym szeptem lub półgłosem, dotyczyły tej samej sprawy. Zbliżanie się nieznajomego *häftlinga* powodowało zmianę tematu lub milczenie. Wkrótce chyba większość była już wtajemniczona, a reszta, nie mając bliskich i znajomych kolegów, orientowała się tylko, że sytuacja jest napięta i niewyraźna. Reakcje były różne, przy czym dominowała niewiara i powątpiewanie; więźniowie już wiele razy przeżywali tzw. *scheisshausparole,* które to obozowe „plotki ustępowe" okazywały się nieprawdziwe.

Zbliżał się czas apelu. Przedtem pół kubka czarnej cieczy, zwanej kawą, imitowało śniadanie. Za chwilę nastąpił sygnał do apelu. *Blockführer,* jak zwykle, przyszedł, by „odebrać" stan więźniów. A więc jednak nie pójdziemy na plac apelowy! Czyżby rzeczywiście „plotka"? *Blockführer* poszedł zdać raport. Zwykle nie czekaliśmy długo na jego powrót. Miny zaczynają się rozchmurzać; na pewno zaraz przyjdzie i nakaże „rozejść się!", ale blokowy nie pozwala jeszcze na to. Stanowczo coś zbyt długo to trwa. Jedni zaczynają żartować, kpić sobie z napięcia, innym jednak po-

ważnie nie podoba się, że *blockführer* nie wraca. Sytuacja zaostrza się, gdy przyszedł i polecił więźniom zejść na plac apelowy.

Schodząc tam w dół leśną dróżką zauważyłem, że ten i ów więzień nagle uciekał w bok, zapewne po to, aby ukryć się gdzieś w bloku. Nie miało to jednak sensu, kolumna psów gończych miała bowiem w razie potrzeby dobry „węch na *häftlingów*". Nie pamiątam sąsiadów, z którymi szedłem na plac apelowy. Ale utkwił mi w pamięci nastrój podniecenia, połączonego z lękiem i pewną rezygnacją, ale nie bierną zupełnie. To trudne do opisania przeżycie, właściwe niewątpliwie dla takich chwil, w których mimo nikłych możliwości człowiek decyduje się nawet na największe ryzyko, było wtedy doznaniem zapewne i wielu innych moich kolegów. Zostawało jeszcze kilka minut drogi. Widać było coraz więcej dróżek prowadzących na plac apelowy. Ze wszystkich stron płynęły pasiaste kolumny. Na placu zebrali się już więźniowie z niektórych bloków. Na budkach strażniczych znajdowały się wzmocnione posterunki. Na placu dość gęsto krążyli esesmani, co wyłączało — przynajmniej na razie — możność ostrzelania z karabinów maszynowych, ustawionych na budkach strażniczych.

Zbiórka bloków trwała długo. Stan obozu wynosił 22 tysiące więźniów, z których co prawda mniej więcej jedna piąta dogorywała z wycieńczenia w specjalnych blokach. Nie minęło pół godziny od czasu ustawienia się grupy z naszego bloku prawie w ostatnim rzędzie, naprzeciw wejścia do obozu, gdy wszyscy — prócz tych wycieńczonych — ustawili się na placu. Wszedł *lagerführer*, chwilę rozmawiał o czymś z odbierającym raport i z tłumaczem-więźniem. Ten wszedł na stół i przez tubę przetłumaczył polecenie *lagerführera*. Rzeczywiście: *lagerführer* w dbałości o zdrowie i życie więźniów, wobec grożących nalotów amerykańskich p r o p o n u j e (!) nam wejść do sztolni, gdzie będzie bezpiecznie. Prawie od pierwszych słów zaczął się szum, pomruk, a potem wzmagające się słowa protestu: „Nie idziemy! *Nein!*", stopniowo powtarzane w różnych językach. *Blockführerów* nie było już na placu apelowym. Obok *lagerführera* stał *hauptmann* z *Wehrmachtu*, któremu podlegało poprzednio nasze „komando" w Amstetten. Chwilę porozmawiali z sobą, a następnie wyszli z obozu.

Nagle nastąpiły zdarzenia niezwykłe w obozie. Z lewej strony, obok któregoś baraku wzniosła się na wysoki maszt biała flaga. Na przodzie, przy magazynach żywnościowych coś się zakotłowało, lecz zaraz pojawili się więźniowie z dotąd nie widzianymi jakimiś opaskami. Z prawej — szamotanie się z którymś „kapo". Poza tym dochodziły strzępy jak gdyby zapowiadania czegoś, ale w ogólnym chaosie nie można było niczego zrozumieć. Rozejść się na bloki, zachować spokój? Okazało się, że *lageräl*tester (z samorządu więźniów) nakazywał, aby się rozejść i informował, że racje będą wydawane normalnie, a do pracy nie będzie się wychodzić. Ukosem za nami mignęły jakieś flagi narodowościowe, ale zniknęły; wkrótce ściągnięto też białą flagę. Gdzieniegdzie dostrzegłem próby bójek. Podobno więźniowie usiłowali także dostać się do magazynów żywnościowych. Bardzo sprawnie milicja porządkowa więźniów (z owymi opaskami) przywróciła porządek, który utrzymał się, aczkolwiek nie zastosowano „drylu" ani brutalności.

Powoli rozeszliśmy się, częściowo do bloków, częściowo do znajomych. Omawialiśmy wydarzenia. Esesmani zeszli z budek, zastąpili ich „dziadkowie" z *volkssturmu*. Naraz bocznym wejściem do obozu zbliżyła się grupa około 20 więźniów-Żydów. Sprowadzono ich z *bauzugu*. W rozmowie prowadzonej mieszaniną różnych języków dowiedzieliśmy się, że przynajmniej większość z nich była w Oświęcimiu, a potem zostali oni wysortowani jako specjaliści-grawerzy w celu fałszowania dokumentów lub banknotów. Trudno mi jednak gwarantować obecnie ścisłość tego szczegółu, czy pełne zrozumienie prowadzonej wówczas rozmowy. Ale taki jej sens utkwił mi w pamięci. Może żyje jeszcze któryś z moich kolegów-oświęcimiaków, który znajdował się wtedy w naszej grupie.

W bloku rzeczywiście racje żywnościowe wydawano, jak zwykle. Blokowy jednak się nie pojawił; podobno jeszcze ostatniej nocy uciekł z bloku. Takich wypadków było więcej. Uciekali ci, którzy mieli na sumieniu współtowarzyszy niedoli. Woleli nie być przez nich sądzeni i uciec z całą skórą. Na ogół panował spokój. Niektórzy oddalali się z bloków i całymi grupami nocowali pod gołym niebem. O tej porze roku było tutaj, w górach, już dość ciepło.

Nastał dzień następny, 5 maja. Megafony obozowe nadawały komunikaty, już nie niemieckie, aczkolwiek w języku niemieckim. Dowiedzieliśmy się z nich, że poprzedniego dnia *lagerführer* zdał władzę nad obozem naszemu *hauptmannowi* z Amstetten i jego właśnie grupa z *volkssturmu* obsadziła budki strażnicze. Dziś podobno przedstawiciele samorządu więźniów wyjechali szukać Amerykanów. *SS* gdzieś się wycofało, a *Wehrmacht* tego okręgu poddał się aliantom. Więc już zapewne naprawdę koniec! Ale przechodziliśmy przecież różne chwile uniesień i rozczarowań; nie ma jeszcze żadnych dowodów; nadal czekamy.

6 maja około godziny 4 po południu, gdy chodziłem po placu apelowym razem z oświęcimiakiem J. *Dziopkiem* z Gorlic wraz z licznymi kolegami i znajomymi w poszukiwaniu nowin i wiadomości, nagle przez bramę „lagru" wjechały dwa czołgi amerykańskie; ledwo je było widać spod masy *häftlingów*, która je sobą jakby oblepiła. Na widok wyzwolicieli, ich mundurów i oznak wybuchła wreszcie wrzawa uniesienia. Pojawiły się ni stąd, ni z owąd flagi wszystkich chyba narodowości reprezentowanych w tym obozie, więźniowie rzucali się sobie w objęcia, ryczeliśmy, ile sił w płucach i na ile nam wzruszenie i łzy pozwalały: „Jeszcze Polska...!", na wyścigi

z równocześnie śpiewanymi hymnami innych narodów. Nie ma słów na opisanie tego wrażenia i dojmującego wzruszenia. Nie byłem obserwatorem, tylko jednym z tej przejętej masy, która, zaabsorbowana samą chwilą, nie była w stanie równocześnie przeżywać wszystkiego i obserwować. Pamiętam jak urywek z filmu, że ściskaliśmy się z *Dziopkiem* i płakaliśmy z radości, nie my jedni zresztą. Kilkanaście osób postradało zmysły, uległszy szokowi radości i wzruszenia. Objeżdżając w półtora miesiąca po wyzwoleniu okoliczne szpitale z ramienia samorządu byłych więźniów-Polaków, dowiedziałem się, że ci więźniowie byli leczeni w grupie najpoważniej chorych i większość wróciła do normy, ale czterech jeszcze nie wyleczono z zaburzeń psychicznych. Sam przeżyłem ten wielki wstrząs, poprzedzony dłużącymi się godzinami i dniami niepewności i napięcia; nie dziwię się więc, że nawet ci, którzy trzymali się w obozach i więzieniach mniej lub bardziej twardo, ale nie tracąc chęci przeżycia, właśnie pod wpływem wyzwolenia stanęli wobec zupełnie nowej jakości doznań i nie utrzymali się w ryzach zwykłego zachowania się i opanowania.

Na wezwanie samorządu obozowego pozostaliśmy jeszcze tej nocy w naszych blokach. Nazajutrz już władze amerykańskie zajęły się obozem. Kolejno opróżniono wszystkie bloki. Więźniowie podług grup narodowościowych wychodzili z obozu do baraków, do koszar itp. w Ebensee, ale poza granicami „lagru". Nowe pomieszczenia wskazywały nam władze amerykańskie. W obozie zostali tylko więźniowie chorzy i najbardziej wycieńczeni. Oszczędzono im jednak dalszego zamieszkiwania obmierzłych bloków. Zostali przeniesieni do namiotów wojskowych, śpiesznie ustawionych wśród lasu. Doczekali się też upragnionej, prawdziwej pomocy lekarskiej i pielęgniarskiej, która się zjawiła po latach katorgi jak gdyby nie z tego świata.

TADEUSZ FEDOROWICZ („RAN") Kraków
były więzień Pawiaka, Montelupich i obozów koncentracyjnych Sachsenhausen, Fünfteichen, Gross-Rosen nr 8527 i Mauthausen nr 127847

Ze wspomnień o postawie lekarzy w obozach

Z dość już obfitego piśmiennictwa wiadomo, w jak szerokiej skali i jak brutalnie lekarze hitlerowscy deptali zasady etyki. Ludziom, którzy się bezpośrednio nie zetknęli z ich zbrodniczymi czynami, trudno w to uwierzyć, ale niestety jest to tragiczna, niezaprzeczalna prawda. Dodając swój głos do tej niesamowitej i zawiłej problematyki, pragnę podkreślić, że na podstawie moich osobistych obserwacji można mówić w sposób nawet uogólniający o stoczeniu się lekarzy hitlerowskich na dno sadyzmu i zbrodni. Natomiast, również z punktu widzenia moich przeżyć więziennych i obozowych, mogę stwierdzić, że wszyscy inni lekarze różnych narodowości zachowali pion moralny i z całą sumiennością wykonywali swoje obowiązki w myśl zasad etyki lekarskiej, w miarę swych często bardzo ograniczonych możliwości, a nawet wbrew trudnościom i na przekór sytuacji stworzonej przez okupanta. Niedociągnięcia i zaniedbania były rzadkie, spowodowane przez nielicznych spośród lekarzy, toteż nie umniejszają dobrej woli i poświęcenia olbrzymiej większości pracowników służby zdrowia, z wyjątkiem właśnie lekarzy hitlerowskich.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę kilka wydarzeń z okresu minionej wojny, których byłem bezpośrednim świadkiem. Naświetlą one postępowanie lekarzy polskich, lekarzy innych narodowości i skrajnie odmienne, ujemne zachowanie się lekarzy hitlerowskich.

Około 5 września 1939 roku w rejonie powiatu gostynińskiego w czasie odwrotu rozbitych jednostek polskich zobaczyłem w taborze na jednym wozie sanitarnym kilku rannych żołnierzy polskich i wśród nich rannego Niemca w stopniu podoficera. Jadący na tym wozie młody lekarz-podporucznik z jednakową troską opiekował się zarówno rannymi rodakami, jak i rannym Niemcem.

Około 10 września 1939 roku znalazłem się z moim oddziałem w podwarszawskim „kotle", gdzie teren był już penetrowany przez niemieckie jednostki pancerne, skąd przebicie się do Warszawy nie należało do łatwego zadania. Rozbite oddziały polskie staczały w momencie zetknięcia się z nieprzyjacielem zażartą walkę, czasem odnosząc lokalne zwycięstwo, lecz częściej ponosiły klęskę. W pewnym miejscu natknąłem się na polski samochód sanitarny, jadący polną drogą ku Warszawie. W samochodzie znajdowali się ciężko ranni żołnierze, dwóch Polaków i trzech Niemców. I w tym wypadku opiekował się rannymi młody lekarz-rezerwista. Zwróciłem jego uwagę, że miejsca w samochodzie należy rezerwować wyłącznie dla rannych Polaków, na których w drodze może się natkną. Lekarz odpowiedział, że z racji swego zawodu widzi jedynie rannego człowieka potrzebującego pomocy lekarskiej, której nie wolno odmówić nawet wrogowi.

W odległości kilku kilometrów od tego miejsca zauważyłem dwa czołgi niemieckie stojące na drodze prowadzącej do przedmieścia Warszawy. Właśnie tą drogą nadjechał inny polski samochód sanitarny. Kierowca-żołnierz

wiózł kilku rannych żołnierzy polskich, nieprzytomnych, pod opieką plutonowego-sanitariusza. Pokazałem im stojące na tej samej drodze dwa czołgi niemieckie, które przez lornetkę można było dokładnie obserwować. Ostrzegłem plutonowego przed niebezpieczeństwem, gdyż było wiadomo, że Niemcy bombardowali nawet szpitale. Sanitariusz oświadczył, że jego obowiązkiem jest ratowanie ciężko rannych, a taki ratunek może znaleźć tylko w Warszawie. Pojechali prosto na stojące czołgi. Był to piękny, bohaterski czyn sanitariusza i szofera, ale czy dojechali do szpitala w Warszawie, trudno jest na to odpowiedzieć.

Nazajutrz udało mi się z moim oddziałem dotrzeć do miejsca, w którym nie było jeszcze niemieckich czołgów. Ruszyliśmy prosto do Warszawy. Miasto płonęło, budynki rozsypywały się w gruzy od pękających bomb, ziemia dygotała w posadach, ale załoga Warszawy broniła się dzielnie, odpierając ataki zmasowanych niemieckich kolumn pancernych. W całym mieście padali zabici i ranni. Pod murami kamienic, zasypywanych gradem kul, chyłkiem przemykała służba zdrowia z noszami, kobiety i mężczyźni. W najniebezpieczniejszych miejscach, gdzie żołnierze mogli przykucnąć za murem, pracownicy służby zdrowia wybiegali na ulice, na place, na najbardziej zagrożone miejsca, by nieść pomoc rannym.

Widziałem lekarza w wojskowym mundurze w stopniu kapitana, jak na ulicy pod gradem kul tamował upływ krwi ciężko rannego żołnierza, po czym sam jeden zaniósł nieprzytomnego w bezpieczniejsze miejsce. Takie bohaterskie czyny polskiej służby zdrowia obserwowałem w wielu miejscach. W czasie marszu z oddziałem do Lublina w jednym małym lasku zarządziłem odpoczynek, gdzie również zamaskowany był nieduży polski tabor. O świcie rozległa się w lasku strzelanina. Od jednej wioski toczyły się prosto na lasek dwa niemieckie czołgi. W wyniku walki i rzutów ręcznymi granatami jeden czołg został uszkodzony. Dwóch Niemców wyskoczyło z czołgu i jeden z nich padł ranny. Okazało się, że lekko uszkodzony czołg zdołał ruszyć i obydwa szybko zerwały się do odwrotu, zostawiając rannego Niemca, gdyż były ciągle zasypywane gradem kul. Polscy żołnierze zanieśli rannego Niemca do taboru i sanitariusz-podoficer ułożył go na wozie, po czym z całą troskliwością starannie opatrzył jego ranę.

Na trasie marszu za Bug niemieckie lotnictwo zaatakowało jednostki wojskowe pomieszane z ludnością cywilną. W pobliżu znajdował się tabor konny ze znakiem Czerwonego Krzyża. Wszyscy rzucili się do rowów, wielu zbiegło w pole. Byli jednak ranni. Lekarz i sanitariusz wyszli z ukrycia i, nie bacząc na ostrzeliwanie z nurkujących samolotów, pośpieszyli ratować rannych.

W rejonie Rawy Ruskiej 23 września 1939 roku nasz batalion został zaatakowany silnym ogniem z ciężkich karabinów maszynowych. Natarciem na bagnety odrzuciliśmy nieprzyjaciela. Wśród naszych rannych znaleźli się zabici i ranni Niemcy. Polski sanitariusz mimo braku opatrunków w naszym batalionie z należytą troskliwością opatrzył również kilku Niemców.

W dniu 24 września przewieziono mnie ciężko rannego z pola walki do Powiatowego Szpitala w Tomaszowie Lubelskim. Ponieważ cały szpital był przeładowany rannymi, przeto dalszych rannych przywożonych z pola układano na korytarzach i na podwórzu. Obserwowałem ofiarną i ciężką pracę polskich lekarzy oraz pomocniczej służby zdrowia. Na ich twarzach znać było zmęczenie, ani na chwilę jednak nie zaniechali obowiązku niesienia pomocy chorym. Widać było, że ci ludzie w „bieli" swoje zadanie wykonywali zgodnie z etyką lekarską. Ale, niestety, znalazł się w tym szpitalu lekarz, a co gorsze, sam dyrektor szpitala, który dał się poznać rannym ze złej strony. Sanitariusze opowiadali, że w chwili wkraczania Niemców do miasta dyrektor ten witał ich, jak braci swoich i w tym samym dniu zamanifestował swoje niemieckie pochodzenie. Na każdym kroku dawał odczuć swoją nieograniczoną władzę. Jego brutalne postępowanie odnosiło się nie tylko do rannych żołnierzy, ale też do lekarzy Polaków.

Nakłaniał on rannych żołnierzy, by podpisywali *volkslistę,* obiecując, że tych, którzy podpiszą, weźmie pod specjalną opiekę lekarską. Ponieważ namówiłem kilku Ślązaków, by odmówili podpisania *volkslisty,* kazał mnie za to odseparować w izolatce i zabronił lekarce dokonać koniecznej operacji mojej rannej nogi. Na tym tle wynikł między nimi ostry spór, w czasie którego pani doktor, pochodząca ze Lwowa, nazwała dyrektora szpitala zbrodniarzem. Na tym się jednak nie skończyła zemsta dyrektora. Poinformował on niemieckiego komendanta szpitala, że jestem buntownikiem. Nie wiem, jakie zarządzenie w stosunku do mnie wydał Niemiec. W każdym razie dyrektor polecił przenieść mnie do izolatki, by ograniczyć opiekę lekarską. Po kilku dniach, z połamaną nogą, zabezpieczoną jedynie słabą, drucianą „szyną", załadowano mnie do ciężarowego samochodu jadącego w kierunku Zamościa.

Umieszczono mnie z noszami na podłodze samochodu, ubranego tylko w koszulę i przykrytego jednym kocem. Samochód podskakiwał po grudach, ja zaś, aby nie wypaść, trzymałem się rękami kurczowo za ramy. Podskakując na noszach, druciana szyna pogięła się i powykręcała, wskutek czego pogruchotane kości powychodziły przez rany na wierzch. Koc spadł ze mnie, a mroźny wiatr hulający po samochodzie mroził ciało. Do Zamościa przywieziono mnie nieprzytomnego. Dyrektor szpitala w Tomaszowie Lubelskim był pewny, że w tak ciężkim stanie nie wytrzymam podróży na zwykłym samochodzie ciężarowym, ale stało się inaczej.

W Zamościu znalazłem się w prowizorycznym, wojskowym szpitalu, urządzonym w bu-

dynku byłego Sądu Grodzkiego. Kierownikiem szpitala był chirurg, dr Stanisław *Kostarczyk*. Spontanicznie wyraził oburzenie na dyrektora szpitala w Tomaszowie Lubelskim, ponieważ wysyłając mnie w taką drogę, godził się on z moją śmiercią. Dzięki doktorowi *Kostarczykowi* i troskliwej opiece innych lekarzy zostałem uratowany. Trzeba przyznać, że w tym szpitalu mimo prymitywnych warunków i braku odpowiednich lekarstw wielki trud polskich lekarzy uratował życie wielu nawet beznadziejnie chorym żołnierzom.

W grudniu 1939 roku na rozkaz władz niemieckich szpital w Zamościu został zlikwidowany. Wszystkich rannych wraz z lekarzami przetransportowano do Krakowa. Dostałem się do szpitala PCK przy ul. Skarbowej. Szpital ten był przeznaczony wyłącznie dla rannych wojskowych, toteż znajdowała się na parterze niemiecka warta, ale służba zdrowia składała się z Polek i Polaków; mieli oni pełne ręce roboty. Wszyscy lekarze, wojskowi i cywilni, nie żałowali wysiłku, by ratować życie nawet najciężej chorych. W sali operacyjnej widziałem wiszące strzępy ludzkiego ciała, połamane nogi, ręce, rannych bez nóg i bez rąk. Ranni nie mogli narzekać na służbę zdrowia, która otaczała ich troskliwą opieką nie tylko fachową, ale też podtrzymywała na duchu. Spośród pielęgniarek wyróżniała się przełożona Maria *Gnojek*, która przemycała z zewnątrz do szpitala podziemną prasę i dzięki temu ranni orientowali się o dalszej walce z okupantem. Należała ona do tajnej organizacji wojskowej (pseudonim „Karolina") i z całym poświęceniem pracowała aż do wyzwolenia. Takich dzielnych pielęgniarek było wiele.

Nie zapomniałem też dzielnego dra *Treli* z Krakowa. Po wyjściu ze szpitala zwerbowałem go do służby w organizacji podziemnej. Bezinteresownie leczył on działaczy organizacji, którzy będąc zdekonspirowani, nie mogli korzystać z jawnego leczenia.

Z końcem 1943 roku w rejonie Brzeska, na drodze Radłów-Borzęcin, w czasie walki partyzantów z niemieckimi żandarmami został ciężko ranny partyzant Zbigniew *Baszak* (pseudonim „Bogdan"). Zawieziono go do Woli Przemykowskiej i tam do rannego sprowadzono lekarza, Kazimierza *Kosińskiego*, mieszkańca wsi Szczurowa. Ten dzielny lekarz, nie bacząc na niebezpieczeństwo możliwej „wsypy", otoczył partyzanta troskliwą opieką, dzięki której został on szybko wyleczony i ponownie znalazł się w grupie partyzanckiej.

Polscy lekarze, jak wiadomo, nie tylko z obowiązku swego zawodu kroczyli niebezpieczną drogą bojowników o wolność, ale czynili to również z głębokiego patriotyzmu, mimo że groziło to często aresztowaniem, ponieważ samo leczenie działacza ruchu oporu w mieście lub na wsi narażało na więzienie, tortury, obóz, a nawet na śmierć. Warto też dodać, że obecność lekarza w szeregach podziemnych odgrywała znaczną rolę. Wpływała dodatnio na bojową postawę żołnierzy ruchu oporu. Gdy wiedzieli, że po otrzymaniu postrzału zaraz zostanie umożliwiona opieka lekarska, wtedy raźniej szli do walki.

Przebywając w obozach koncentracyjnych miałem możność przekonać się, że i tam lekarze różnej narodowości (prócz hitlerowców) z całym poświęceniem nieśli pomoc współwięźniom pobitym i poranionym. Warto zaznaczyć, że udzielana pomoc lekarska wychodziła poza regulamin więzienny lub obozowy i nie była łatwa, a przy tym narażała na presję. Lekarze nie cofali się jednak przed takim niebezpieczeństwem, gdyż ratowanie człowieka uważali za swój święty obowiązek. Wspomnę tylko o więziennej służbie zdrowia na Pawiaku. W roku 1943 przebywałem tam kilka dni w *Dunkelzellen* (w celi śmierci) na oddziale VIII, potem w przejściowej celi na oddziale VII. Nawet tam docierała pomoc ze strony służby zdrowia, chociażby w formie pocieszającej wiadomości i rady, aby się nie załamywać, bo najgorsze już minęło.

Wydawałoby się, że wyszeptanych albo przekazanych takich kilka słów niewiele znaczyło dla więźnia. Odwrotnie, słowa pocieszenia podnosiły na duchu i koncentrowały fizyczną odporność, bo uświadamiały, że więzień nie jest osamotniony i że jest ktoś, kto się nim interesuje. Na Pawiaku powtarzano często nazwiska dra *Lotha*, dra *Śliwickiego* i innych, których postacie często przewijają się w różnych wspomnieniach. Oni właśnie z tytułu swych czynności lekarskich mogli się swobodniej poruszać, dzięki czemu mieli możność przekazywania więźniom wiadomości otrzymywanych z miasta od bliskich lub znajomych, czy też przekazywania „grypsów" do miasta. Była to robota bardzo niebezpieczna, ale jej skutki często przynosiły zbawcze rezultaty.

W obozach koncentracyjnych miałem również okazję obserwować dobrą robotę lekarzy-więźniów, którzy pracowali na „rewirach" (szpitale obozowe). Mimo wielkich trudności i grożącego niebezpieczeństwa ze strony władz obozowych czynili oni wszystko, by ratować zdrowie i życie współwięźniów. Trzeba przyznać, że mimo okropnych warunków sanitarnych w „rewirach", mimo braku odpowiednich lekarstw i często przeprowadzanych „selekcji" chorych na spalenie w krematorium, uczynność i zapobiegliwość lekarzy uratowały życie wielu więźniów.

W obozie Fünfteichen, pobity przez esesmana, znalazłem się na „rewirze" w bloku chirurgicznym. Niemcy tolerowali tylko takich chorych, którzy wymagali krótkiego leczenia i wracali do ciężkich robót, natomiast wymagających dłuższego leczenia selekcjonowano i wykańczano na miejscu lub wysyłano do Gross-Rosen na spalenie w krematorium. W czasie jednej selekcji blokowy Polak wskazał Niemcom mnie. Tu muszę podkreślić zdecydowaną odwagę lekarza Węgra, który był również więźniem. Stanął on w mojej obronie, lecz niestety, jego stanowcza interwencja i zapewnienie, że zostanę szybko wyleczony, nie

odniosły skutku. Zostaliśmy odtransportowani do Gross-Rosen na uśmiercenie. Dostałem się na „rewir" do baraku nr 6. Doszedłem do porozumienia z izbowym, byłym oficerem WP, który z kolei wtajemniczył lekarza-Francuza. Narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, ukryli mnie oni w innym baraku, w którym odbywała się selekcja i w ten sposób zostałem uratowany. Czego nie udało się dokonać lekarzowi Węgrowi w Fünfteichen, uczynił to lekarz Francuz w Gross-Rosen.

Przebywał w tym „rewirze" dr Walenty *Popek*, który jako laryngolog mógł swobodnie wchodzić do każdego baraku. Chętnie udzielał on pomocy lekarskiej chorym mimo wielkich trudności. Lekarze-więźniowie byli kontrolowani przez lekarza-Niemca, którego główne zadanie polegało nie na leczeniu chorych, lecz na selekcjonowaniu i wysyłaniu do krematorium. Ponadto lekarze nasi musieli swoją skuteczniejszą działalność maskować przed blokowymi, którzy wysługiwali się esesmanom. Gdyby nie dobra wola i pełna poświęcenia pomoc lekarzy zatrudnionych w „rewirach", ofiar śmiertelnych wśród chorych więźniów byłoby znacznie więcej. Być może, że w czasie drugiej wojny światowej mogły się znaleźć jednostki, które w pewnych okolicznościach zboczyły z etycznej drogi lekarskiej, lecz tego rodzaju wyjątki nie mogą obniżyć dobrej opinii ogółu lekarzy internowanych w więzieniach i obozach.

Ze środowiska dobrych lekarzy wyłączam lekarzy niemieckich służących reżimowi hitlerowskiemu. Oni stali się zbrodniarzami i taka haniebna nazwa najlepiej do nich pasuje. Wielu z nich z sadystyczną rozkoszą masowo uśmiercało chorych więźniów. Kierowali więźniów do pieców krematoryjnych, zabijali zastrzykami fenolu, uśmiercali gazowaniem i mordowali zabiegami doświadczalnymi. Typowym przykładem integracji *SS* i lekarzy hitlerowskich byli lekarze *SS*, stojący na czele służby zdrowia w „rewirach" różnych obozów. Wiele np. napisano już o takim reprezentatywnym zbrodniarzu, drze J. *Mengelem*. Można by w tym zakresie cytować obfitą literaturę. Sprawa jest zatem bezsporna, że niemieccy lekarze w porozumieniu z władzami *SS* w obozach wspólnie planowali wyniszczanie ludzi podbitych krajów i często bezpośrednio uczestniczyli w masowym mordowaniu więźniów. Trudno nie wspomnieć i o tym, że w przeprowadzaniu selekcji na śmierć byli konsekwentni i bezwzględni. Niektórzy z nich w procesach powojennych perfidnie „usprawiedliwiali się", że jakoby dzięki selekcjom ratowali tych, których skinieniem ręki przeznaczali na stronę żyjących jeszcze przez pewien czas. Tej obłudy nie trzeba komentować.

W obozach koncentracyjnych cechy zła rozrastały się do niebywałych rozmiarów. W podobnie wielkim wymiarze przyjaźń wśród politycznych, ufających sobie nawzajem, olbrzymiała w tym środowisku więźniarskim do potęgi, aż do unicestwienia siebie samego, aby ratować serdecznego przyjaciela. Z jednej strony władze obozowe przy pomocy swoich lekarzy usprawiedliwiali masową zbrodnię, z drugiej zaś wielkie poświęcenie lekarzy-więźniów w ratowaniu chorych znacznie hamowało śmiertelność. Ale wobec pochodu hitlerowców drogą zła, bezprawia i straszliwych okrucieństw nikt nie jest w stanie sfałszować prawdy, że hitlerowscy lekarze w tym czasie tworzyli dla siebie haniebną kartę historii.

Ciągle więc nurtuje nas pytanie, dlaczego w tych zawiłych problemach reżimu hitlerowskiego niemieccy lekarze upadli aż tak nisko. Wszak oni też składali przysięgę, że swoją wiedzę lekarską będą stosować jedynie dla ratowania zdrowia i życia każdego człowieka bez względu na jego rasę i narodowość. A jednak właśnie niemieccy lekarze podeptali w więzieniach i obozach wzniosłą tradycję zaszczytnego, lekarskiego zawodu i pogwałcili zasady etyczne związane z tym zawodem. Możliwe jest dalsze trwanie w NRF skłonności do usprawiedliwiania postępowania lekarzy niemieckich, jakoby oczywiście winę ponosił reżim hitlerowski. Twierdzenie, że wszystko czynili oni pod naciskiem „wyższej siły", jest zwykłą blagą i maskowaniem tego ważnego aspektu dziejów hitlerowskiego ludobójstwa.

Obowiązkiem wydawców jest szersze udostępnienie czytelnikom literatury świadczącej o tym, że polscy lekarze w okresie barbarzyńskiego panowania reżimu hitlerowskiego stali na wysokości swego zadania, a w służbie ratowania zdrowia i życia wszystkich ludzi, bez względu na ich rasę i narodowość, zdali egzamin doskonałej postawy zarówno moralnej, jak i patriotycznej. Nie mogą zmienić tego obrazu wyjątki, które w czasie drugiej wojny światowej zbyt wysoko ceniły własne zdrowie i życie. Zdarza się też, że i w pokojowym okresie można natknąć się na lekarza, który bezdusznie traktuje chorych, albo do byłych więźniów obozów koncentracyjnych odnosi się z rezerwą, z pewną niewiarą, z góry przesądzając, że np. symulują oni chorobę. Czasem złe nastawienie płynie z nieznajomości sytuacji obozowej, gdy np. lekarz dowiedziawszy się, że były więzień był w kompanii karnej, kojarzy ją sobie z miejscem zwykłej kary za rzeczywiście złe zachowanie się.

Po powrocie z obozu koncentracyjnego we wrześniu 1945 roku zostałem jako inwalida wojenny z kampanii wrześniowej powołany na inwalidzką komisję rewizyjno-lekarską. Badało mnie dwóch lekarzy, cywilny i wojskowy. Wyjaśniłem, że w obozach doznałem dodatkowych uszkodzeń ciała, które powstały wskutek bicia i kopania. Lekarz cywilny spojrzał na mnie niedowierzająco i z ironią, a nawet ze złośliwością zadał mi pytanie: „To jakim pan był człowiekiem, że pana w obozie bito?". W tym momencie przypomniałem sobie słowa gestapowców, którzy w czasie badania powtarzali, że biją mnie za to, iż jestem bandytą, szkodnikiem dla III Rzeszy. Być może, że ów lekarz przetrwał całą okupację gdzieś w zacisznym schronieniu. Inny lekarz, któremu poddałem się badaniu, na moje oświadczenie, że

przebywałem w obozach koncentracyjnych, prawie krzyknął: „No to co, że pan był w obozach!". Albo pewna pani w okienku rejestracyjnym z oburzeniem oznajmiła: „Co to mnie obchodzi, że pan siedział w obozach i że jest pan inwalidą!" Są to oczywiście rzadkie wydarzenia, niemniej jednak one również wymagają śmiałego przedstawienia. Dość podkreślić, że przykłady takie są całkiem wyjątkowe. Często nawet przepracowani, poirytowani, zmęczeni lekarze wręcz protekcyjnie traktują byłych więźniów, gdy natkną się na nich w masie swych chorych. Można odczuć niekłamaną życzliwość, a czynności podejmowane przez lekarzy wobec byłego więźnia świadczą o ich postawie etycznej, zgodnej z prastarą przysięgą *Hipokratesa*. Zjawiskiem ogólnym jest życzliwość dla inwalidów wojennych i byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Wszak ci ludzie w obronie wolności stracili zdrowie, a więc to, co jest najcenniejsze dla człowieka.

Na tle tych wybranych osobistych wspomnień widać wyraźnie, jak skrajne i nieludzkie było hitlerowskie sprzeniewierzenie się tej przysiędze i jak sfanatyzowana ideologia hitlerowska potrafiła przepoić psychikę i osobowość tysięcy lekarzy uprawiających swój zawód w Trzeciej Rzeszy i poszerzających swe „kwalifikacje" o doświadczenia szkoły *SS*.

PIOTR WESEŁUCHA Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen nr 43368

Obóz jako eksperyment psychiatryczny

Spostrzeżenia poczynione podczas pobytu w obozach hitlerowskich, przeżycia tam doznane, wspomnienia utrwalone w pamięci, narastające piśmiennictwo obozowe i potrzeba wypowiedzenia się na temat różnych zagadnień, nieraz drażliwych, których źródłem są lata minionej wojny, skłaniają byłych więźniów do snucia różnych refleksji. Przykładem śmiało poruszonej, dyskusyjnej problematyki, ujętej w zasadzie na podstawie własnych wspomnień obozowych, jest interesująca dyskusja o więźniach funkcyjnych, której bynajmniej nie zamknęło sprawozdanie wydrukowane przed dwoma laty w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" [1]. Niewątpliwie trudno jest dzisiaj oceniać postępowanie i postawy ludzi znajdujących się w obozach hitlerowskich bez określenia ówczesnego środowiska psychospołecznego. Sytuacja była bowiem wówczas nieporównywalnie swoista i dlatego wymaga choćby pobieżnego omówienia.

Niełatwo jest znaleźć odpowiednią strukturę porównawczą. Można by w celu lepszego zrozumienia istoty obozów koncentracyjnych porównać ich sieć na ziemiach opanowanych przez hitleryzm z sytuacją panującą na terytoriach kolonialnych, będących własnością metropolii i stanowiących teren skrajnej ekspansji i eksploatacji, gdzie system rządzenia jest sprzeczny z interesami ludności tubylczej. Takie tereny są jakby prywatną własnością kolonizatorów; podobnie własnością *SS* były obozy. Właściciele narzucili dogodny dla siebie system polityczny, gospodarczy i administracyjny. Kolonizatorzy zezwalają nawet niekiedy na istnienie pewnych organizacji politycznych lub społecznych, które mogą się utrzymywać dzięki bezwzględnemu uznawaniu dominacji metropolii i posłusznej postawie wobec prześladowcy.

Tylko taki układ umożliwia bardziej ambitnym i bezwzględnym mężom stanu zajmowanie stanowisk administracyjnych w kolonialnym pseudo-państwie. Rządy są tam sprawowane przy dyskryminowaniu lub wyróżnianiu pewnych grup społecznych lub narodowościowych. Powstają nowe klasy społeczne. Oportunistycznie nastawieni tubylcy zadowalają się namiastką władzy, czerpiąc z niej korzyści materialne i pogłębiając nędzę ogromnej masy mieszkańców. Ale największe korzyści czerpie wcześniej czy później właśnie kolonizator. Ten bowiem przez przedstawicieli swych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych (np. Kompania Wschodnioindyjska) zawiera jednostronnie korzystne dla siebie transakcje, narzuca budowę i rozwój wybranych rodzajów przemysłu, a jeśli nawet kiedyś kolonii przyzna się niepodległość, to nie będzie ona mogła istnieć gospodarczo bez kolonizatora.

Mimo to istnieją państwa, między innymi w Afryce, które po uzyskaniu niepodległości osiągnęły w znacznym stopniu niezależność ekonomiczną i polityczną. Stało się tak dzięki temu, że udało się wychować i wykształcić konspiracyjnie lub w inny sposób kadrę najwartościowszych obywateli, a niektórzy spośród nich brali nawet jakiś, *sit venia verbo* wallenrodowski, udział w administrowaniu kolonią. Zdołali w ten sposób posiąść umiejętność w sprawowaniu rządów i zapobiegli późniejszemu chaosowi politycznemu.

Obozy koncentracyjne były takim karykaturalnie zdeformowanym państwem kolonialnym „w probówce". Spośród nasuwających się analogii można wskazać na gospodarczy wyzysk pracy więźniów np. przez koncerny *I. G.-Farben* i *Siemensa*. Osławione są między innymi specjalne obozy przy wielkich zakładach produkcyjnych (tzw. *Firmenlager*). Wia-

[1] E. *Brzezicki*, A. *Gawalewicz*, T. *Hołuj*, A. *Kępiński*, S. *Kłodziński*, W. *Wolter*: Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (dyskusja). Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 253—261.

domo, że np. w filii Oświęcimia w Monowicach na ogólną liczbę 35 tysięcy więźniów pracujących w zakładach *I. G.-Farben* zginęło 25 273 więźniów [2]. Dochodziło nawet do gospodarczej eksploatacji zwłok ludzkich (np. mydło *Spannera* w Gdańsku, złote zęby pomordowanych, pożywki laboratoryjne z mięsa ludzkiego; sprawy znane czytelnikom „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim").

Oddziały *SS* pełniły funkcje wartownicze; sprawowały władzę przez nadzór bardzo ścisły i nieustanne ingerowanie w życie wewnątrzobozowe. Ale byłoby to wszystko znacznie trudniejsze do zrealizowania i wymagałoby wielokrotnie większej liczby „nadludzi" z *SS*, gdyby nie utworzono specjalnego systemu, którego tryby wciągałyby do rządzenia samych więźniów, głównie kryminalistów i asocjalnych (*berufsverbrecherów*). Takim rządem, władzą administracyjną złożoną z tubylców w jakiejś kolonii, byli w obozie więźniowie: najstarszy obozu (jak gdyby premier), najstarsi bloków (wojewodowie), najstarsi izb (starostowie). Mieli oni swoją asystę „intelektualną", która ułatwiała im sprawowanie rządów (pisarz obozowy z pomocnikami, pisarze blokowi). Gdyby nie ich działalność, system sprawowania władzy i niszczenia więźniów byłby znacznie mniej sprawny, aczkolwiek nie przestałaby funkcjonować machina masowej zagłady (Chełmno nad Nerem, Sobibór, Bełżec i inne obozy).

Funkcjonariusze administracji wewnątrzobozowej, np. „kapowie"-oprawcy, jak też ich obrońcy, nie przestają głosić, że byli „zupełnie niewinni"; oni „tylko" wykonywali rozkazy. Znamy ten „argument" z procesów zbrodniarzy wojennych. Nie słyszałem, by ktokolwiek z „rządowych" więźniów odmówił wykonania rozkazu niezgodnego z etyką i z zasadami moralności ogólnoludzkiej. Natomiast znamy równocześnie tak świetlaną postać, jak ojciec Maksymilian *Kolbe* i wiemy o sprzeciwianiu się złu w obozach przez licznych zwykłych więźniów i przez wielu więźniów-funkcyjnych. Są to sprawy znane, a mimo to wymagają stałego podkreślania. Odtwarzając ówczesną sytuację, pragnę między innymi przyjść w sukurs nie żyjącemu już Stanisławowi *Grzesiukowi*, którego książka [3] spotyka się „w kuluarach" z niesłuszną krytyką z powodu realistycznego przedstawienia rzeczywistości obozowej.

Powiedziałem o jednych, że wykonywali tylko rozkazy. Byli bowiem liczni, którzy wielokrotnie przekraczali w swej gorliwości polecenia „kolonizatorów". Zależało to jednak już od pewnych cech ich osobowości. Następna grupa, to „kapowie", będący jak gdyby kierownikami budowy lub oddziałów produkcyjnych. Jeżeli *arbeitskommando* obejmowało grupę więźniów liczącą kilkaset lub więcej osób, to „kapo" był nazywany „oberkapo" i miał podległych sobie „kapo", nadzorujących mniejsze grupy ludzi. Podstawową kwalifikacją „kapo" było bezwzględne, nieludzkie traktowanie współtowarzyszy i zabijanie ich „na rozkaz" lub dla rozrywki, a także dla wprawy. Nie mam tu na myśli takich „kapo", którzy zostali zmuszeni do sprawowania tego rodzaju funkcji, a nadzorowali grupkę 5—10 więźniów, najczęściej swych osobistych przyjaciół, przy pracach geodezyjnych, krawieckich, fryzjerskich lub innych podobnych.

Wszyscy należący do opisanej hierarchii więźniowie byli wolni od kar za dodatkowe, „ponad normę", nieludzkie traktowanie innych więźniów. Prawa ustalali sami, sami też modyfikowali je w sposób dla siebie dogodny. Nakładali dodatkowe podatki z przydziału żywnościowego, wynoszącego kalorycznie połowę energetycznego zapotrzebowania więźnia. Zarządzali organizowanie koncertów, przedstawień teatralnych, turniejów piłki nożnej itp.

Próba psychologicznego wyjaśnienia tego rodzaju postaw jest niezmiernie trudna. Można myśleć o zaspokojeniu popędu odżywiania, który przejawia się jako głód, pragnienie i asymilacja energii biologicznej. Może współdziałać również popęd samoobrony lub popęd władzy. U bardzo wielu osób łatwo doszukać się takich motywów społecznych, jak agresja, dominacja, popisywanie się. U niektórych znów działa motyw osiągnięć, niejako przeciwstawny motywowi wspólnoty. Wydaje się jednak, że wyjaśnienie jest możliwe tylko przy zastosowaniu zarówno psychopatologii, jak i socjopatologii, bo chyba takie sformułowanie jest najwłaściwsze dla omawianej sytuacji.

Za czynnik podstawowy w obozie należy uznać głód. U zwierząt, które w warunkach laboratoryjnych są głodzone przez stosunkowo krótki czas, gdy umieścimy pokarm za niezbyt szeroką przegrodą z siatki drucianej, dostrzegamy, że szybko znajdują do niego drogę, okrążając siatkę. Natomiast gdy zwierzę jest głodzone przez kilka dni, wówczas zachowuje się patologicznie na widok pokarmu, rzuca się na siatkę i tkwi przy niej bez przerwy. Nie potrafi odnaleźć mało skomplikowanej drogi do jego osiągnięcia. Ze zdumieniem wnioskujemy, iż ośrodki filogenetycznie starsze, do których między innymi należy podwzgórze, szybko przejmują supremację nad pozornie tylko silną korą mózgową.

U człowieka znajdujemy jeszcze młodsze filogenetycznie ośrodki korowe, które są słabsze w porównaniu z *archicortex*. Trzeba bardzo wybitnych jednostek, u których są ogromnie rozwinięte popędy wyższe, postawa socjocentryczna, by można było oczekiwać reakcji opartych na dojrzałości emocjonalnej. Nie należy więc oskarżać nas, byłych więźniów, o to, że głód potrafił zdominować wszystkie nasze czynności. Udowodniono wówczas doświadczalnie, że 1000 kalorii dziennie przy równoczesnym wykonywaniu pracy fizycznej powinno doprowadzić człowieka w ciągu trzech miesięcy do

---

[2] Te i inne informacje liczbowe zawiera hasło „Obozy hitlerowskie" (wkładka do tomu VIII Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN). Projekt (powielony). PWN, Warszawa 1968, s. 6.

[3] S. *Grzesiuk*: Pięć lat kacetu. Wyd. 4. Książka i Wiedza, Warszawa 1967.

śmierci głodowej. Dlatego jest bezpodstawne doszukiwanie się w takiej sytuacji jakichś patriotycznych lub innych, wyższych motywów postępowania ludzkiego. Człowiek zachowuje się wówczas jak głodne zwierzę tkwiące przed siatką, za którą znajduje się pokarm. Jeżeli nawet pokarm jest niewidoczny, to wkracza wyobraźnia, która może wyczarować wszystko. Gdy dzisiaj spotykamy się niekiedy w naszym gronie, to właśnie bardzo często mówimy o tamtych wspaniałych ucztach, pochłanianych w wyobraźni i w rozmowach obozowych. Moją najwspanialszą, wymarzoną potrawą, o której wtedy śniłem, był ziemniak, nie jakieś bardzo wykwintne dania, czy nawet chleb. *Apostoł-Staniszewska* marzyła w „rewirze" Brzezinki i halucynowała zwykłą brukiew i szklankę czystej wody [4]. Prof. *Brzezicki* opisał, jak w Sachsenhausen „główna nasza myśl obracała się wśród większości około jedzenia" [5]. Podobnie jak ów ziemniak, czy brukiew, tak dla Chińczyka „superpotrawą" jest tylko ryż.

Głód był więc zasadniczym czynnikiem, na tle którego rozwijała się cała umotywowana aktywność większości więźniów. Jeżeli na dodatek w swym dotychczasowym życiu dążyli prawie wyłącznie do zaspokajania potrzeb będących pod kontrolą *archicortex*, to ich działanie przerażało ludzi, którzy zdołali zachować swoje „trzecie piętro". Przystosowanie do takiego obłędnego środowiska mogło mocno potwierdzić opóźnienie humanistycznego rozwoju ludzkości.

Wśród zasadniczych czynników wpływających na zachowanie się więźniów był oprócz głodu lęk. Łączył się on ze stałym zagrożeniem życia. Był to lęk przed znalezieniem się w grupie podlegającej zagazowaniu, przed skazaniem na rozstrzelanie, przed skierowaniem do niebezpiecznego *arbeitskommanda*, przed wyznaczeniem do odbywających ćwiczenia karne, przed tzw. „podpadnięciem" itp. Obóz, nasycony nieustanną atmosferą lęku, ciążył na nas swym przedłużającym się stressem psychologicznym. Obawa wywołana osobistym zagrożeniem działała również jako silny motyw.

Ludzie uczą się rozmaitych reakcji, aby uniknąć lęku; reakcje te nazywamy mechanizmami obrony. Mogło to być znalezienie lepszej pracy, zapewniającej nieco bezpieczeństwa; mogła być próba przejścia na stronę silniejszą, prześladującą, sprawującą władzę. Dlatego liczni więźniowie zdecydowali się na sprawowanie funkcji starszego bloku, pisarza, „kapo", uwalniając się od głodu i przynajmniej częściowo od lęku.

Stress psychologiczny, wywołany długotrwałym lękiem, powodował u niektórych więźniów stan jakby zahamowania. Stawali się oni zupełnie obojętni na wszelkie bodźce, a strach pozornie przestawał dla nich istnieć. Poruszali się powoli; zadawanych im razów nawet nie unikali. Widok tych więźniów przywodził na myśl opisy kaźni pierwszych chrześcijan, którzy — oczywiście w odmiennej sytuacji i z innych pobudek — dali się prowadzić na pożarcie przez dzikie zwierzęta na oczach zgromadzonego tłumu ludzi, żądnych oglądania strachu skazańców i rozczarowanych ich biernością. Dobrze rozumiem zobojętnienie pewnej grupy więźniów jako mechanizm obronny. Pozwalało ono na nieodbieranie żadnych bodźców i na wewnętrzną regenerację psychiczną. Takie zachowanie się prowadziło do tragicznego końca, ale znam też wypadki korzystnego wyniku tej reakcji na stress.

Więźniowie łatwiej znosili ten sam stress, gdy nie działał na nich równocześnie głód. Stosowali przeważnie taki mechanizm obronny, jak tłumienie. Pozwalał on przetrwać najkrytyczniejszy okres. W porównaniu jednak z blokowymi, pisarzami, czy innymi władcami, więźniowie nie cierpiący już głodu, a narażeni stale na czynnik strachu, mimo mechanizmu obronnego jeszcze dzisiaj „boją się snów", jak to określiła *Półtawska* w swych wspomnieniach z Ravensbrück.

Liczni więźniowie nie potrafili znieść długotrwałego lęku i reagowali na niego ucieczką w śmierć. Szli na druty, by znaleźć wreszcie upragniony spokój. Gdy pewne wydarzenia stają się przyczyną stressu u określonego człowieka, to stopień niekorzystnego nacisku, naporu i napięcia zależy od psychologicznego rezonansu i znaczenia przypisywanego im przez tę osobę. Z fizjologicznego punktu widzenia istotne jest poczucie zagrażającego niebezpieczeństwa. Skutkiem jest załamanie się homeostazy ustroju, człowiek stanowi bowiem złożony układ dynamiczny o raczej chwiejnej równowadze. Nic dziwnego, że częstym zjawiskiem były samobójstwa i to zawsze samobójstwa udane, gdy zawodziły wszystkie mechanizmy adaptacyjne więźnia.

Wiadomo, że organizacja obozu koncentracyjnego, celowo przemyślana przez *SS*, opierała się na dokładnym, precyzyjnym wyniszczaniu najwartościowszego materiału ludzkiego. Zajmowali się tym głównie „nadludzie" z *SS*, a dla ułatwienia sobie zadania dali więźniom samorząd jak gdyby kolonialnego typu, namiastkę „niepodległości" więźniów decydujących się na współpracę z nimi. Byli to, jak wspomniano, najczęściej aspołeczni psychopaci, oznaczeni trójkątami zielonymi lub czarnymi.

Zieloni, tj. niepoprawni przestępcy, których wielokrotne kary więzienia nie zdołały wychować, znajdowali szczególną przyjemność w znęcaniu się nad podporządkowanymi sobie współtowarzyszami. *Karl Donecker* z *KL* Gusen doznawał orgazmu podczas bicia więźniów, a został przeniesiony karnie z Mauthausen do Gusen za to, że jako „kapo" w świniarni utrzymywał stosunki seksualne z podległymi sobie Cyganami i również ze świniami. Człowiek ten dostał się do obozu, gdyż był recydywistą. Odbywał wielokrotne kary więzienia za przerywania ciąży żonom kolejarzy austriackich, kończące się dla „pacjentek" przeważnie tragicznie. „Przypadek" ten zasługuje więc na odnotowanie w specjalistycznej literaturze psychiatrycznej.

[4] Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 133—134.
[5] Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 82.

Zieloni z zasady byli leniwi, kłamliwi, nie mieli żadnych przyjaciół. Prawie wszystkich cechował brak hamulców moralnych i etycznych; wszyscy byli intelektualnie mało wartościowi. Byli wśród nich psychopaci histeryczni, chociaż trudno mówić tu o jakiejś czystej postaci psychopatii, której różne cechy można było odnaleźć u tych ludzi, zwłaszcza właściwości znamienne dla grupy psychopatów bezwzględnych (*gemütlose Psychopathen* według określenia K. *Schneidera* [6]). Zieloni chcieli imponować otoczeniu, tatuowali się w sposób nieprawdopodobnie wyszukany, wielokrotnie byli karani za oszustwa, za podawanie się jako jakieś ważne osobistości, czy za sutenerstwo.

Oprócz wspomnianych psychopatów aspołecznych i histerycznych niepoślednia rola przypadła psychopatom impulsywnym, którzy mordowali w napadzie wściekłości, natomiast poprzedni po uprzednim „głębokim rozważeniu". Zgraja ta kierowała się prawem dżungli, rządziła zgodnie z zasadami najpodlejszego, kryminalnego podziemia i uzyskiwała za to aprobatę i pochwały podczas porannego apelu z ust samego *lagerführera*. W Gusen słyszałem osobiście, jak wyrażał on swoje niezadowolenie z powodu zbyt małej liczby zmarłych, co wybitnie pogorszyło humory jego „zielonych" więźniów. Lubił ich jednak bardzo i dla nich gotów był nawet na pewne ustępstwa ze swej strony, a oni cierpieli, mimo że mogli w pełni zaspokoić głód i częściowo poczucie bezpieczeństwa. Byli prawie wolni od strachu i mimo to było im źle.

Do najstarszej filogenetycznej części kory mózgowej (*archicortex*) należy bowiem jeszcze popęd seksualny, którego w sposób normalny nie mogli zaspokoić w warunkach obozowych. Stosowali różne środki zastępcze. Podstawowym sposobem był homoseksualizm, o tyle nawet ułatwiony, że pewna grupa więźniów z powodu tego zboczenia znalazła się w obozie, który okazał się pod tym względem wątpliwą karą, gdyż właśnie tam było na nich wzmożone zapotrzebowanie. Cenili też siebie niezwykle i zmusili w ten sposób naszych okolicznościowych homoseksualistów do wyszukiwania innych, atrakcyjniejszych, histerycznie kobiecych chłopców do „czynów nierządnych". Ci znów, początkowo dla chleba, później niekiedy dla władzy, a być może czasem dla własnej zboczonej przyjemności — zresztą mniejsza o motywy — godzili się na umożliwianie zaspokajania seksualnych potrzeb „sfer rządzących".

W okresie złagodzenia sytuacji wewnątrzobozowej urządzano w bloku 20 (bądź którymś sąsiednim) tzw. *buzerantenbale*. Zbierali się tam homoseksualiści z całego obozu, zapraszali orkiestrę, którą opłacali żywnością i papierosami, przyciemniali światło i w najczulszych pozach tańczyli podniecające tanga. To, że na łóżkach obok umierali ludzie z głodu, dodawało jeszcze pikanterii całej niesamowitej scenie. Bardzo aktualnie więc brzmiały słowa pieśni śpiewanej niekiedy przez więźniów: „...siedlisko zła, gdzie nie ma Boga..."; nie mógł zatem *lagerführer* znieść, że jego wierni tak bardzo cierpią, zadziałał, gdzie trzeba i w obozie założono *puff*, czyli dom publiczny. Sprowadzono do niego więźniarki (zapewne prostytutki zawodowe) z Ravensbrück i nareszcie „sferom rządowym" spadł kamień z ich pramózgowia. W nim tkwiące *superego* przestało się buntować.

Zagadnienia związane ze sprawą popędu seksualnego w obozach hitlerowskich mogłyby być przedmiotem osobnego artykułu naukowego. Tutaj, w tej poobozowej refleksji, warto jeszcze wspomnieć o fakcie może najważniejszym, mianowicie o tym, że ogromna większość więźniów przez cały czas przebywania w obozie była zupełnie niezdolna nie tylko do czynności związanych z odbywaniem stosunku, lecz także nawet nie potrafiła myśleć o nim. Działały tu z jednej strony głód i skrajne wyczerpanie fizyczne, a z drugiej wspomniany już, długotrwały stress psychologiczny.

Jeśli wolno wrócić do pomocniczej analogii, to należy podkreślić, iż w koloniach element najzdrowszy moralnie i etycznie, działając w podziemiu, uniemożliwia prawidłowe funkcjonowanie machiny ucisku. Podobnie w niektórych obozach, jak np. w Oświęcimiu-Brzezince, niemieccy komuniści, sprowadzeni z innych *lagrów*, spowodowali, że wiele zbrodniczych posunięć *SS* zostało storpedowanych. Władysław *Fejkiel* i inni byli więźniowie oświęcimscy piszą, że ich głównym celem było ochronienie jak największej liczby więźniów podczas selekcji do gazu. Gdy od jesieni 1942 roku, jak wiadomo (między innymi ze wspomnień *Fejkla* i innych autorów-„oświęcimiaków"), doszło do złagodzenia reżimu nie tylko zresztą w obozie oświęcimskim, w jego „rewirze" szpitalnym z inicjatywy austriackich i niemieckich komunistów powstała międzynarodowa, podziemna organizacja więźniów, tam znajdowało się jej kierownictwo i tam zbiegały się nici kontaktów ze światem zewnętrznym [7]. Podobne podziemne organizacje powstały w wielu innych obozach i chyba wszędzie miały one zadania podobne do oświęcimskich.

Na przykład w Gusen chodziło między innymi o uratowanie chociaż części więźniów przed przygotowywaną zagładą. Podziemna organizacja okazała się bardzo sprawna w chwili wyzwolenia obozu. W kilka, może kilkanaście minut po otwarciu bram zostały one ponownie obsadzone przez uzbrojonych więźniów, członków organizacji. Podobnie obsadzono wieże wartownicze i wszystkie ważniejsze funkcje obozowe. Dzięki temu uniemożliwiono ewentualny powrót esesmanów oraz zapobieżono ucieczce więźniów-zbrodniarzy i uniknięciu przez nich kary.

Szkicując uwagi o sytuacji panującej w typowych koloniach, wspomniałem, że są one

[6] M. *Cieślak*, K. *Spett*, W. *Wolter*: Psychiatria w procesie karnym. Wydawn. Prawnicze, Warszawa 1968, s. 177.

[7] T. *Hołuj*: Nieznana rocznica. Polityka, 1968, nr 21, s. 1 i 11.

pod względem ekonomicznym maksymalnie wyzyskiwane przez kolonizatora. W obozie wszystko opierało się na pracy niewolniczej. Przyczepę samochodową ciągnęli słaniający się z głodu i osłabieni więźniowie. Głazy przenoszono na plecach całymi kilometrami. Ten system pracy przypomina opisaną przez słynnego lotnika *Urbanowicza* budowę lotniska przez Chińczyków podczas ostatniej wojny. Kilkanaście tysięcy ludzi nosiło na plecach koszyki z piaskiem i żwirem na teren przeznaczony na budowę lotniska. Nie było żadnych urządzeń mechanicznych, posłużono się więc prymitywną pracą fizyczną i lotnisko wybudowano.

W Gusen więźniowie uruchomili kamieniołom, ociosywali setki i tysiące pięknych, kamiennych brył, przeznaczonych pod różne budowle. Zostali zmuszeni do pracy przy produkcji samolotów *Messerschmitta* oraz pistoletów maszynowych i karabinów w fabryce *Steyr-Daimler-Puch A. G.* Nikt nie pytał żadnego więźnia, czy chce w takich zakładach pracować i jakie ma kwalifikacje. Wyższy poziom intelektualny z zasady dyskwalifikował więźnia w oczach jego prześladowców. Dotychczasowa hierarchia społeczna została paradoksalnie odwrócona. Esesowcom dogadzało, że najwyższe stanowiska obozowe zajmowali zbrodniarze i przestępcy, wyzuci z uczuć humanitarnych, przesyceni złem i nieczuli na niedolę innych. Z psychiatrycznego punktu widzenia było to zbiorowisko różnego rodzaju psychopatów, przy czym termin ten nie usprawiedliwia ich postępowania. Natomiast ludzie wybitni, naukowcy, administratorzy, działacze polityczni i społeczni, więźniowie o dodatnich cechach osobowości i charakteru byli skazani na opróżnianie dołów kloacznych, upadanie pod ciężarem głazów, ohydne poniżenie w stanie głodu itp.

Przedstawione spostrzeżenia, własne przeżycia, obserwacje przekazane w wielu innych artykułach i relacjach, refleksje snute zarówno w obozie, jak też po upływie lat, niewątpliwie uzasadniają twierdzenie, że hitlerowski *lager* był w całości eksperymentem, którego jakość można podciągnąć pod kategorię doświadczenia pseudolekarskiego. Byłoby może naiwne porównanie tego doświadczenia do eksperymentu przypominającego okrucieństwa popełniane przez małe dzieci, które znęcają się nad pochwyconymi owadami, łapią i duszą ptaki złapane w sidłach, dręczą koty i rzucają kamieniami w psy bawiące się na ulicy, aby zobaczyć, jak te stworzenia będą powoli ginąć i jak przed śmiercią zamanifestują swój ból i cierpienie. W rzeczywistości obozowej eksperyment został przemyślany z premedytacją, z zastosowaniem zasad organizacyjnych i na swój sposób naukowych, z pełną świadomością dalekosiężnych celów eksterminacyjnych. W tych warunkach, jeśli więzień nawet uniknął konkretnego doświadczenia pseudolekarskiego, to przeżywszy obóz może traktować okres swojego przebywania tam jako wegetację w sytuacji permanentnego eksperymentu.

W obozie jednym z głównych elementów tak pojętego doświadczenia był z góry zaplanowany głód, prowadzący na ogół do śmierci wśród ogromnych dewiacji somatycznych i psychicznych. Dlatego z reguły typowi, przeciętni więźniowie nie przeżyli obozów hitlerowskich. Oprócz głodu działał, jak wspomniano, stały lęk, ponadto w zespole czynników składających się na opisywany eksperyment działało maksymalne poniżenie godności ludzkiej, ciężka, wyniszczająca praca, brak opieki lekarskiej, zbrodnicze, celowe i powszechne zadawanie cierpień i uśmiercanie, odzież nie chroniąca przed zimnem i deszczem, mrozem i śniegiem, bezterminowe pozbawienie wolności i odizolowanie od rodzin, nie ustające, nękające życie w tłumie, a wśród tego wszystkiego w wypadku pewnego odsetka więźniów także eksperymenty pseudonaukowe, dokonywane przez lekarzy *SS* w sposób indywidualny i zbiorowy.

ZOFIA ORLICKA
były więzień Pawiaka i obozu koncentracyjnego na Majdanku

Sopot

Z okupacyjnych przeżyć pielęgniarki w Warszawie

Wybierając zawód pielęgniarki, pragnęłam, aby móc żyć zawodem nawet wtedy, gdybym w życiu osobistym straciła wszystko. Zwłaszcza podczas okupacji przekonałam się, że w najcięższych okresach praca zawodowa nie tylko była mi dostępna, lecz także, stykając się z cierpieniami innych ludzi, musiałam umieć znosić swoje. Przekonałam się ponadto, że w najtrudniejszych sytuacjach istotną rolę — oprócz czynów i realnej opieki — odgrywały choćby dobre i życzliwe słowa, uściski rąk lub tylko spojrzenia dodające otuchy.

Przed wybuchem wojny zgłosiłam się do PCK w Warszawie i zostałam ujęta w planie mobilizacyjnym stolicy. Miałam być przełożoną w jednym ze szpitali zaplanowanych dodatkowo na wypadek wojny w gmachach szkolnych i w innych budynkach państwowych lub miejskich. W chwili mobilizacji pielęgniarka naczelna PCK, Jadwiga *Suffczyńska,* zawiadomiła mnie telefonicznie, że na razie rezygnuje z mojej pracy, biorąc pod uwagę mój stan rodzinny, mianowicie dwoje małych dzieci, w tym niemowlę, do którego nie będę mogła dochodzić z placówki. Z tej samej przyczyny odrzucano moje zgłoszenia na tragiczne we-

zwania radiowe i alarmy szpitali, że nie ma kto opatrywać i karmić rannych. Taka była postawa oblężonej Warszawy.

Po kapitulacji miasta zaczęłam szukać pracy zarobkowej i kontaktów z podziemiem. Mój mąż, lekarz, został uprzednio powołany do wojska, brał udział w kampanii wrześniowej i wieści o nim nie było. Początkowo kategorycznie odmówiono mi pracy w Ubezpieczalni Społecznej, której lekarzem był mój mąż, a także w Izbie Lekarskiej i w Stowarzyszeniu Lekarzy, gdzie też prosiłam o poparcie jako żona zmobilizowanego lekarza, zamierzając wyrobić sobie choćby praktykę prywatną. Wkrótce jednak sytuacja ułożyła się pomyślnie. W Wydziale Zdrowia Zarządu Miejskiego miasta stołecznego Warszawy naczelna pielęgniarka, *Antonowiczowa,* która co prawda ostatnią wolną posadę przed chwilą ofiarowała pielęgniarce Ninie *Dewiczównie,* obiecała zatrudnić mnie przy najbliższej sposobności. *Dewiczówna,* dyplomowana pielęgniarka, absolwentka Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa, niedawno wróciła z frontu, była bezdomna i bez środków do życia, ale słysząc naszą rozmowę odmówiła przyjęcia pracy i ustąpiła mi pierwszeństwa ze względu na moje dzieci. Dzięki tej szlachetnej postawie nieznanej mi osobiście koleżanki dostałam się do szpitala przy ul. Chocimskiej.

Praca była bardzo ciężka. Oddział durowy był przepełniony, stan chorych na ogół krytyczny, a śmiertelność duża. Pracowałam tam do czasu, gdy szpital ten przestawiono z durowego na gruźliczy. Nie mogłam opiekować się chorymi na gruźlicę w obawie o dzieci, tym bardziej, że sama byłam niedożywiona.

W okupowanej Warszawie w tym okresie wynagrodzenie za pracę pod względem liczbowym nie przekraczało wysokości przedwojennej, natomiast drożyzna rosła z każdym dniem i trzeba się było uczyć nowego życia. Wyprzedawaliśmy wszystko, na co znaleźli się amatorzy, a praca, aczkolwiek mizernie płatna, była konieczna z wielu powodów. Dawała oficjalne „prawo do życia", umożliwiała kartki żywnościowe, chroniła przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy itp. Udawało mi się załatwiać sprawy osobiste w dużej mierze dzięki własnej inicjatywie, jak też dzięki pomocy ludzi dobrej woli. Pewna koleżanka, z pochodzenia pół-Niemka, ale z uczuć Polka, poparła mnie u naczelnej pielęgniarki Ubezpieczalni Społecznej, już wtedy Niemki, *Hoffmanowej* i ta przysłała po mnie woźnego. Dała mi zatrudnienie półetatowe, przydzielając mnie na razie do pomocy rejonowemu lekarzowi, drowi *Wiśniewskiemu,* choremu na zaawansowane zmiany wzrokowe na podłożu artretyzmu. Czytałam za niego i pisałam recepty. Wkrótce dano mi cały etat i pozostawiono w rejonie.

Znalazłam się w obwodzie II przy ul. Polnej, do którego należał rejon. Serdeczną opiekunkę znalazłam tam u przełożonej obwodu, pielęgniarki dyplomowanej Małgorzaty *Wilkońskiej.* Jej podejście do spraw codziennych i do ludzi wskazywało na miarę nieprzeciętnego człowieka. *Wilkońska* powierzyła mi stanowisko siostry gospodarczej i zastępczyni przełożonej. Specjalne warunki życia zbliżyły nas do siebie bardzo prędko. Patrząc na to, jak swoje czynności wykonuje i jak postępuje ta doświadczona koleżanka, poznałam sposoby i możliwości działania. Było ich kilka. Pracownicy Ubezpieczalni Społecznej mieli prawo odpłatnie do jednej porcji zupy dziennie; wykupywało się zupę za wszystkie pielęgniarki i osobom najbardziej potrzebującym przydzielało się te porcje, z których nie korzystały np. pielęgniarki z odległego terenu. Pielęgniarki miały prawo do jednotygodniowego urlopu, ale nielegalnie otrzymywały dwa tygodnie, zawsze bowiem jedna pielęgniarka była wolna i przeznaczona na zastępstwa dzięki fikcyjnemu podziałowi rejonów. Raz w tygodniu wszystkie sprzątaczki kolejno otrzymywały jeden dzień wolny, w którym „szmuglowały" żywność. Pielęgniarce Hannie *Sumińskiej,* studentce medycyny w tajnym nauczaniu, przydzielano pracę z możliwością zmian godzin. Zużyte sterylizatory, strzykawki, termofory itp. wymieniano oczywiście bezpłatnie pielęgniarkom i lekarzom, co dla nich było istotną pomocą, a jednocześnie zmniejszało nadwyżki dochodowe, które szły na rzecz Niemców. Co miesiąc wypisywano cały zestaw apteczek podręcznych na wszystkie rejony, ale pielęgniarkom wydawano tylko tyle, ile potrzebowały; pozostałość, zresztą bardzo dużą, pobierały organizacje podziemne.

W tej pracy zachowywałyśmy ostrożność, trudno było bowiem mieć zaufanie do wszystkich, otaczających nas ludzi. Systematycznie też otrzymywałam pomoc osobistą. Mianowicie *Wilkońska* przekazywała mi swoich prywatnych chorych, a podsuwała mi ich tak zręcznie, że nie od razu zorientowałam się w jej intencjach. Zapytana, dlaczego tak robi i rezygnuje z zarobku, odpowiedziała wprost, że mam przecież dwoje dzieci i pomoc domową. Ona sama pomagała bratowej, której mąż zginął na froncie, zostawiając dwie córeczki. Każda pomoc miała wielkie znaczenie w tym codziennym borykaniu się, ale również ważny był sposób postępowania. Nawet Niemka, *Hoffmanowa,* w wielu sprawach umiała zachować postawę pielęgniarki i świadomość odpowiedzialności tego zawodu; nikt nie miał prawa robić uwag i karać pielęgniarki, tylko przełożona lub w pewnych wypadkach naczelny lekarz placówki, ale jedynie w obecności przełożonej.

Symbioza między pielęgniarkami polskimi i niemieckimi nie mogła jednak trwać długo. Bardzo prędko zaczęły to odczuwać przełożone pielęgniarki obwodu. Pierwszą ofiarą była przełożona rejonu Woli, pielęgniarka dyplomowana Anna *Martin,* którą zwolniono z pracy w ciągu 24 godzin. Drugą była przełożona Szpitala Ubezpieczalni Społecznej, pielęgniarka dyplomowana Zofia *Bitenek,* do której *Hoffmanowa* miała pretensje o inwentarz, bieliznę szpitalną i gospodarkę według niej rujnującą budżet Ubezpieczalni. Wezwała ją ze Szpitala do siebie do biura, a po rozmowie

zatelefonowała do gestapo i z jej gabinetu *Bitenek* została zabrana na Pawiak, z którego po paru miesiącach wysłano ją do Oświęcimia, gdzie zginęła. A była to pielęgniarka bardzo ofiarna i zasłużona.

Kolej przyszła na Małgorzatę *Wilkońską,* którą nawet do pewnego stopnia *Hoffmanowa* wyróżniała, ponieważ w latach dziecinnych w Lesznie, znajdującym się wtedy w zaborze pruskim, razem chodziły do szkoły. *Hoffmanowa* zaproponowała *Wilkońskiej* zastępstwo podczas swego wyjazdu na urlop. Koleżanka *Wilkońska* poirytowała się tym, ponieważ uważała, że takie wyróżnienie jest dla niej jako Polki uwłaczające i wobec tego zdecydowała, że za darmo nie wyrazi zgody. Poszła do *Hoffmanowej* ostatecznie i bojowo omówić sprawę. Domagała się podniesienia płac dla pielęgniarek najmniej zarabiających. Rozmowa doszła do spięcia dramatycznego; w pewnej chwili *Hoffmanowa* zarzuciła, że „wy jesteście narodem złodziei", na co *Wilkońska* zareplikowała, że zna naród, który ma wszystkiego pod dostatkiem, nie głoduje i nie ma głodnych dzieci, a też kradnie. *Hoffmanowa* doniosła o tym naczelnemu lekarzowi, a następnie skierowała do niego *Wilkońską.* Dr *Fivek* po paru zdaniach wyjaśnienia zapytał ją, czy zdaje sobie sprawę z tego, jakie mogą być konsekwencje. „Takie, jakie pan zdecyduje". *Wilkońska* zwierzyła mi się o tym wszystkim i po naradzie postanowiłyśmy, że musi przyjść do pracy, bo trudno się od razu ukryć, niewskazane bowiem było znikać natychmiast po wytworzeniu się tego rodzaju sytuacji. Po trzech dniach jednak *Wilkońska* otrzymała zwolnienie z pracy od neurologa, następnie zwolnienie komisyjne i złożyła rezygnację z zajmowanego stanowiska. Wyprowadziła się ze swego mieszkania, zamieszkała w innej dzielnicy i rozpoczęła okres ukrywania się wraz z koleżanką *Martin* u mojej matki.

Na drugi dzień po krytycznej rozmowie *Hoffmanowa* wezwała mnie i oświadczyła mi przez tłumaczkę, że obejmę funkcję *Wilkońskiej,* której mogę powiedzieć, że może więcej nie przychodzić do pracy. Tłumaczka nie zdążyła przetłumaczyć do końca, a ja zaoponować, mówiąc, że nie mogę swojej przełożonej zakazywać przychodzenia do pracy. *Hoffmanowa* zrezygnowała z tłumaczenia do końca tego, co chciała powiedzieć. To dało mi dużo do myślenia. Naradzając się z *Wilkońską,* już uprzednio przewidziałyśmy podobną propozycję. Doszłyśmy do wniosku, że nie można dopuścić do tego, by praca i ludzie ucierpieli, gdyby tę funkcję objął ktoś nieodpowiedni. Ta sytuacja zadecydowała o konieczności zniknięcia *Wilkońskiej* z terenu Ubezpieczalni Społecznej. Stało się to, czegośmy się obawiały; trzy razy granatowa policja przychodziła po *Wilkońską* i chciała nas zaskoczyć, ale mając się na baczności zdołałyśmy uprzedzić policjantów.

Na wiosnę roku 1942 zostałam znów wezwana do *Hoffmanowej*; usłyszałam, że nie nadaję się na przełożoną, ponieważ pielęgniarki nie skarżą się na mnie, a więc na pewno za mało od nich wymagam; przełknęłam też zarzut, że pielęgniarki za dużo chorują, z czego widać, że się mnie nie boją. Odpowiedziałam, że także chore pielęgniarki są dla mnie przede wszystkim chorymi, a nie pracownicami. Ponadto *Hoffmanowa* wyraziła pretensję, że moje zdanie różni się od decyzji lekarzy, np. co do potrzeby ustalenia w Szpitalu pełnego etatu pielęgniarskiego dla obsługi inwalidów wojennych. Współpracujący z Niemcami jeden z polskich lekarzy Ubezpieczalni Społecznej twierdził, że wystarczy pół etatu. Dalszym zarzutem było, że pewnemu lekarzowi-Polakowi, pracującemu w Szpitalu Ujazdowskim, zwróciłam uwagę, iż bezpośrednio podlega on naczelnemu lekarzowi obwodu, drowi *Łukaszewiczowi,* a nie Niemcom i do tego lekarza należy się zwracać z pretensjami, a nie szkodzić bez wyjaśnienia sprawy. Oświadczyłam wtedy *Hoffmanowej,* że składam prośbę o zwolnienie. *Hoffmanowa* była zaskoczona i oburzona, gdyż chciała mi dać placówkę na Poczcie Głównej. Moje miejsce w drugim obwodzie objęła moja zastępczyni (siostra gospodarcza), pielęgniarka dyplomowana, Zofia *Kurkowa.* Po powstaniu była ona przełożoną szkoły pielęgniarek w Krakowie, obecnie jest emerytką. Pracowała ona do końca wojny, w czasie powstania działała w swoim obwodzie, dysponując zaangażowanymi pielęgniarkami drugiego obwodu.

*

W październiku 1939 roku, szukając kontaktu z podziemiem, przekonałam swoją siostrę, lekarkę Aleksandrę *Kryszkiewicz,* aby wciągnęła mnie do „Grunwaldu". Nie poszło to bez oporów, ponieważ i tutaj ze względu na dzieci chciano mnie izolować. „Grunwaldów" było podobno kilka, dowiedziałam się o tym dopiero po wojnie z literatury. W znanym mi „Grunwaldzie" znalazło się wiele pielęgniarek i lekarzy, wprowadzonych choćby przez nas obie. Pamiętam niektóre osoby, jak lekarzy Annę *Dworakowską,* Irenę *Kononowicz* (nie żyje), Aleksandrę *Kryszkiewicz,* Mirosława *Leśkiewicza* (nie żyje), Zofię *Maliszewską* (nie żyje), Alojzego *Maciejewskiego,* Halinę *Oleńską* (obecnie *Kowalską*), Mariana *Pertkiewicza* i Andrzeja *Trojanowskiego,* studentów medycyny *Brauna,* Tadeusza *Orłowskiego, Rudnickiego,* oraz pielęgniarki dyplomowane Irenę *Choińską,* Janinę *Dewicz,* Halinę *Hackiewicz,* Zofię *Kurkową,* Jadwigę *Maderową,* Krystynę *Morzkowską.* Komendantem „Grunwaldu" był inż. *Siwek,* jego twórca.

Wiosną 1940 roku zostali zaaresztowani *Siwek* („profesor") i paru innych, a wydał ich inżynier-pirotechnik. Słyszałam całą jego przejrzystą rozmowę na ten temat z Lucjanem *Buchwaldem,* ukryta wraz ze swym szwagrem Hilarym *Kryszkiewiczem* (zginął na Majdanku) w drugim pokoju. Zeznania zdrajcy widziała i częściowo przeczytała siostra mego szwagra, Maryna *Buchwaldowa* (obecnie przebywa w Londynie), wzywana do siedziby ge-

stapo na Szucha na przesłuchanie i konfrontację. Inżynier, którego nazwisko pomijam, zeznawał będąc na wolności. Po wydobyciu z niego wszystkich wiadomości został on zaaresztowany i wywieziony do Oświęcimia, gdzie zginął. Natomiast *Siwek,* zbity w nieludzki sposób, nikogo nie wydał, ludzie ze znanych im adresów nie zostali aresztowani.

Po zaaresztowaniu inż. *Siwka* „Grunwaldem" kierował dr Mirek *Leśkiewicz.* Poza pracą organizacyjną, rekrutacją, wiązaniem kontaktów, zadaniami zleconymi byłam z Ireną *Kononowicz* wyznaczona do kontaktów z rodzinami naszych aresztowanych, ułatwiania im porozumienia, polepszania im warunków bytowych i w miarę organizacyjnych możliwości do udzielania im pomocy, włącznie z wysyłaniem paczek. W tym celu trzeba było kołatać do ludzi, członkowie „Grunwaldu" bowiem sami ledwie egzystowali. Z tych, którzy się opodatkowali stałą darowizną, zapamiętałam *Pomianowską,* właścicielkę cukierni na rogu Marszałkowskiej i Piusa.

Dr Aleksandra *Kryszkiewicz* przez cały czas oblężenia Warszawy w roku 1939 nie wychodziła ze Szpitala Dzieciątka Jezus z kliniki chirurgicznej, gdzie bardzo dawał się odczuć brak lekarzy. Warszawa została ogołocona z lekarzy, przede wszystkim chirurgów, którzy zmobilizowani opuścili miasto. Z chwilą kapitulacji i powiadomienia przez Niemców, że ranni wojskowi stają się jeńcami, starała się ona jak najwięcej rannych wypisać ze wsteczną datą i wyprowadzić ze szpitala. Donosiło się im cywilne ubrania. Dobrze pamiętam, jak ciężko rannego podchorążego kaprala, sapera Longina *Mogaja* wywiozło się wozem do siostry na Bielany, gdzie jeszcze leżał około trzech tygodni. Wóz jechał załadowany i sporo osób na nim siedziało. Robiło to wrażenie przeprowadzki. Wyprowadzono por. *Luciaka* z Radomia, kpt. lekarza Jana *Sojkę* (zmarł w Szczecinie jako lekarz PKP przed kilku laty), jak też wielu innych, których nazwisk już z siostrą dziś nie pamiętamy.

Wymienieni studenci oddzielili się wkrótce i współpracowali w ZWZ z dr Izą *Łopuską.* Przez jakiś czas pracowali w obu organizacjach. Pamiętam wizytę młodego człowieka, który przywiózł mi list z Paryża od znajomego pułkownika z pieniędzmi polskimi dla jego rodziny i z zapytaniem o nią. Odpowiedź oddawcy listu wręczyłam. W jakiś czas potem moja siostra, usuwając broń ze szpitala, kazała studentom zanieść ją do mnie, a gdy podała adres, Tadeusz *Orłowski* oświadczył, że wie, gdzie to jest, bo był już u mnie. Tak dowiedziałam się, że on był oddawcą listu przeniesionego przez granicę przez dr Izę *Łopuską* (rozstrzelaną później w roku 1944 na Pawiaku).

We wrześniu 1940 roku siostra z mężem opuścili Warszawę, bo było zbyt „gorąco" w ich otoczeniu, ale utrzymywali z pracą podziemną stały kontakt. W chwili aresztowania najmłodszej siostry, Anny *Grzelińskiej,* w dniu 10 października 1940 r. zawiadomieni przez posłaną do nich Jadwigę *Delgiado* (obecnie *Pecyna*), pracującą u mnie jako pomoc domowa, zlikwidowali swe mieszkanie pod Warszawą i ukrywali się w Piotrkowskiem. Matka przeniosła się do mnie.

Anna *Grzelińska* była nieludzko katowana. Więziono ją na Pawiaku męskim w piwnicy, a potem na „Serbii" w izolacji (Biuletyn Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, tom IV, str. 43, akta dochodzenia K 68, 69, 70). W dniu 3. IV. 1942 roku została zwolniona. Dr Aleksandra *Kryszkiewicz,* jak tylko mogła, włączała się do pracy podziemnej i w każdej potrzebie i okazji niosła pomoc lekarską ludziom podziemia. Z powodu aresztowania siostry, chcąc kontaktować się z nią na Pawiaku, nawiązywałyśmy z matką wiele kontaktów z pracownicami z więzienia, co później przydało się też w pracy ZWZ-AK. Za zgodą macierzystej organizacji przeszłam do pracy w KW (kontrwywiadzie) Okręgu Warszawskiego ZWZ. Ideologicznie nadal byłam związana z „Grunwaldem", który przechodził wiele przemian.

Tworzyły się wtedy dziesiątki organizacji podziemnych, jedne drugie wchłaniały, reorganizowały się i łączyły ideologicznie, wyznaczając sobie drogę wspólnego działania. „Grunwald" przedzierzgnął się w „Unię". „Unia" weszła później w skład powstałego Stronnictwa Pracy. Członkowie tych organizacji, włączeni do zorganizowanego wojska, zostali przekazani do ZWZ. Określona praca ideologiczna i uzgodnione działy międzyorganizacyjne funkcjonowały nadal. Dr Mirek *Leśkiewicz* szczególnie nadawał się na wodza. Siła ducha, świadomość celu, stanowcza decyzja w działaniu, odwaga i umiejętność przewodzenia były walorami tego nieprzeciętnego człowieka. Warunki egzystencji jednak tak się ułożyły, że musiał on opuścić Warszawę i osiadł w Charsznicy pod Miechowem, gdzie do końca wojny pracował jako lekarz, nie zrywając więzi i kontaktów z „Unią". Ciężka nieuleczalna choroba Bürgera odebrała mu zdrowie, okaleczała go stopniowo coraz bardziej i doprowadziła po utracie kończyn do przedwczesnej śmierci.

Jak wspomniano, już wcześnie podczas okupacji trwała działalność podziemna. Warto wspomnieć, że pojawiła się pilna potrzeba wysłania lekarza w Góry Świętokrzyskie do słynnego partyzanta, majora „Hubala". Kandydatem na wyjazd był dr *Jezierski.* Zdobywaliśmy dla niego pieniądze na podróż i ekwipunek. Zestaw narzędzi otrzymałam od pielęgniarki dyplomowanej St. *Orzechowskiej,* do której zwróciłam się w tej sprawie, wiedząc, że miała zestawy wojskowe zabezpieczone z okresu obrony Warszawy. Nim lekarz dojechał, oddział majora „Hubala" przestał istnieć. Jak wiadomo, stało się to ostatecznie w czerwcu 1940 roku; sam „Hubal" zginął w kwietniu tegoż roku w lasku pod Anielinem.

Niektóre epizody z pracy podziemnej zapadały głęboko w serce. Kilkakrotnie otrzymywałam rozkaz pójścia pod wskazany adres i zaprzysiężenia grupy.

Zakonspirowana, przychodziłam i wiązałam ludzi przysięgą. Przysięgali na krzyżyk, który ze sobą nosiłam, a był to krzyżyk historyczny, który do dzisiaj posiadam. Krzyżyk był zrobiony z drzewa z Olszynki Grochowskiej i był symbolem żałoby narodowej w okresie popowstaniowym po 1864 roku.

Tegoż, co i siostra października 1940 roku została aresztowana Irena *Kononowicz* i osadzona na Pawiaku, gdzie przebywała do lipca 1944 roku. Wywieziona potem do Ravensbrück, ocalała. Po powrocie została specjalistą rentgenologiem. Parkinsonizm doprowadził ją do skrajnego kalectwa. Jest ona obecnie na rencie inwalidzkiej. Dała się również poznać jako człowiek wielkiej miary, o szczególnym poświęceniu, pogodzie ducha i samozaparciu. Więziona na Pawiaku i w obozie, zachowała te swoje cechy. Zmarła w roku 1969.

Zwolnienie z Pawiaka moja siostra, Anna *Grzebińska*, zawdzięcza indywidualnym staraniom Marii *Płodowskiej*. *Płodowska*, pochodząca z zamożnej rodziny ziemiańskiej, miała przeszkolenie sióstr pogotowia PCK na wypadek wojny; bardzo wzięła to sobie do serca i pomoc rannym uważała za obowiązującą, toteż powróciła śpiesznie z zagranicy i stawiła się do pracy. Przydział dostała w szpitalu wojskowym na prowincji. Tam do szpitala, w którym leżeli ranni żołnierze niemieccy, wpadł polski oficer z rewolwerem w ręku. Podniecony do ostatecznych granic bestialskim bombardowaniem przez Niemców szpitali, wiosek i ludności cywilnej, chciał zastrzelić tych rannych. *Płodowska* zasłoniła ich sobą i kategorycznie sprzeciwiła się oświadczając, że to może się stać tylko po jej trupie. Oficer się opamiętał, ranni ocaleli.

Po wkroczeniu Niemców, gdy do szpitala na salę chorych wszedł oficer niemiecki, ranni Niemcy opowiedzieli mu o incydencie, podkreślając, że siostra *Płodowska* uratowała im życie. Oficer zwrócił się do Marii *Płodowskiej* z podziękowaniem i obietnicą wysokiego odznaczenia, na co usłyszał, że ona niemieckiego orderu nie przyjmie. Nie zdziwiło to oficera, który obiecał, że da jej pismo, na mocy którego będzie miała prawo wstępu do urzędów niemieckich i korzystania z pomocy i opieki władz. Rzeczywiście otrzymała obiecany dokument, który umożliwiał jej różne interwencje. Korzystała z tego, jak tylko mogła i umiała. Znała znakomicie cztery języki, między innymi niemiecki, co też nie było bez znaczenia. Kiedyś, jadąc pociągiem *„nur für Deutsche"*, poznała gestapowca, Austriaka, który zaofiarował się jej pomagać w staraniach o zwalnianie więźniów z obozów.

Dowiedziawszy się o tym, zdobyłam adres *Płodowskiej* i zgłosiłam się do niej w 1940 roku z prośbą o pomoc. Ani chwili nie zawahała się, chociaż nic o mnie nie wiedziała. Miałam przy sobie listę aresztowanych. Niestety, nie wszystkich udało się uratować. Niektórzy z nich już nie żyli, niektórych nie chciano zwolnić jako bardzo obciążonych. Starania o zwolnienie z obozów *Płodowska* prowadziła przez tegoż gestapowca Austriaka *Wernera*. Dzięki tym staraniom powrócili Adam *Dewicz* z Oświęcimia, brat pielęgniarki dyplomowanej, Janiny *Dewicz;* Wacław *Kisielewski* z Oświęcimia, brat pielęgniarki dyplomowanej Zofii *Kisielewskiej*, która była w armii polskiej na Zachodzie; dwóch braci *Mikoszów* i dalszych dwóch mężczyzn, których nazwisk sobie nie przypominam. Obozy podlegały Berlinowi, a *Werner* nie miał stosunków w warszawskim gestapo, ale pouczył Marię *Płodowską*, w jaki sposób ma rozpocząć starania o moją siostrę. Oczywiście w tej sytuacji nie było mowy o „masówce". Maria *Płodowska* chodziła wielokrotnie na Szucha; odmawiano, mówiąc, że Anna *Grzelińska* musi siedzieć, proponowano nawet zwolnienie innej osoby zamiast niej. Korzystając z tego Maria *Płodowska* poprosiła o Irenę *Moyseowicz*, która nie miała tak ciężkiej sprawy, toteż, jak jej obiecano, wróciła do domu po czterech dniach.

Płodowska ponowiła swoje starania o Annę *Grzelińską* ku zdziwieniu gestapo. Wyjaśniła, że tylko skorzystała z ich propozycji, ale na chwilę nie zrezygnowała ze starań o *Grzelińską*. Nie zna jej, nie wie, za co siedzi i wiedzieć nie chce, ale przyjaźniąc się z jej siostrą i gorąco współczując matce, postanowiła im pomóc i nie przestała kołatać. Kazano jej złożyć zobowiązanie, że moja siostra po jej zwolnieniu nie będzie pracować przeciwko państwu niemieckiemu i duchowi Niemiec. Na zapytanie, co to jest duch Niemiec, odpowiedziano, że hitleryzm. Niezmiernie zaskoczyła gestapowców zgoda *Płodowskiej* na podpisanie żądanego zobowiązania. Nie mogli pojąć, jak może to zrobić, nie znając nawet uwięzionej i zapowiedzieli, że jeśli się stanie inaczej, to ona i ja odpowiemy za to więzieniem.

Pismo napisała i zaczęłyśmy czekać. Traciłyśmy nadzieję, zbliżała się Wielkanoc 1942 roku. Siostra wtedy siedziała już półtora roku. *Płodowska* pocieszała mnie, że ma przeczucie, iż siostra moja wróci; nie przywiązywałam do tego wagi i nic matce nie powtarzałam. Stało się. W dniu 3 kwietnia 1942 roku, w Wielki Piątek przyszła moja siostra, a oprócz niej zwolniono i Zofię *Perzanowską*, która razem z nią była aresztowana. Okazało się, że *Płodowska* była powiadomiona telefonem z Szucha o decyzji zwolnienia, ale nie będąc tego pewna, wolała mówić o przeczuciu. *Werner* dał *Płodowskiej* nazwisko gestapowca z Szucha, przez którego można będzie za małym ekwiwalentem wydobyć niejedną osobę. Dostarczyłam *Płodowskiej* listę, na której były cztery strażniczki z Pawiaka, *Pawlakówna, Maciejko, Karlson* i *Krzeczkowska*, poza tym Irena *Kononowicz*, Helena *Dąbrowska*, Anna *Derecka*, Halszka *Danielewicz*. Trzy ostatnie rozstrzelano w roku 1942. Wydawało się, że sprawa jest na dobrej drodze. Niestety, gestapowca rozszyfrowano; śmiertelnie przerażony zawiadomił, że jest w niebezpieczeństwie i faktycznie został wkrótce rozstrzelany. Pięć osób z podanej przeze mnie listy ocalało; trzy rozstrzelano w Magdalence. Maria *Płodowska* wielokrotnie ciężko chorowała, miała wiele trudnych osobistych przeżyć i kilka lat temu zmarła w Szczecinie, gdzie mieszkała po wojnie z rodziną.

Języki obce dobrze znała również pielęgniarka dyplomowana, Halina *Hackiewiczówna*. Została ona przydzielona do zespołu osób odbierających nasłuchy radiowe nadawane przez radio zagraniczne. Na ich podstawie redagowano komunikaty, pisano na maszynach i rozprowadzano teksty między ludźmi. Nasłuchy odbierano w ruinach gmachu na Kopernika, gdzie w podziemiach miał lokal teatr Reduta. Z czasem komunikaty zaczęto drukować i wprowadzono szerszy kolportaż. Najmłodszy brat Haliny, Władek *Hackiewicz* należał do ZWZ, pracował w „Wachlarzu". Został stracony przez Niemców w kwietniu 1943 roku. Halina pisała komunikaty, a poza tym przez pewien czas przechowywała część archiwum „Grunwaldu". Ze względu na poważne zaangażowanie się brata w pracy konspiracyjnej była zobowiązana do niegromadzenia kompromitującego materiału w swoim mieszkaniu.

Moja praca w KW (kontrwywiadzie) polegała przede wszystkim na kontaktach z więzieniami warszawskimi przez osoby jak najbardziej zaufane, pracujące w więzieniach, a więc Polską Straż Więzienną przede wszystkim. Można było uzyskać łączność przez służbę dochodzącą z wolności lub pośrednie wiadomości donoszone przez łącznika od więźniów. Korzystało się z wszelkich dróg. Niezbędne nam były opinie o Polakach pracujących w więzieniu, o pracujących tam Niemcach, o postawie więźniów. Trzeba było przekazywać do nich „grypsy", utrzymywać kontakty organizacyjne i osobiste, odbierać meldunki o aresztowaniach, transportach, egzekucjach, uprzedzać „sypanych", nadawać materiał do władz organizacyjnych itp. Oprócz tego nieraz trzeba było wykonywać rozkazy w sprawach nie tylko związanych z więzieniami, jeśli zachodziła potrzeba, a jednocześnie miało się lepsze dotarcie do zagadnienia lub osób niż

inni. Były to np. wywiady na terenie szpitali, szukanie w nich nie dostrzelonych rannych zdrajców, zwracanie się o pomoc dla „zorganizowanych" lub ich rodzin, wiązanie kontaktów z ludźmi tego potrzebującymi, choćby nie dotyczyły one wydzielonego zagadnienia.

Zadania często same wchodziły w ręce, jak np. wyrobienie dokumentów dla oficerów polskich zrzucanych na teren Polski przez Armię Radziecką w celu specjalnej pracy na zapleczu wroga, z radiostacją nadawczą (grupa *Arciszewskiego*). W tej sprawie zwróciła się do mnie koleżanka pielęgniarka dyplomowana Zofia *Döllinger*, do niej bowiem zwrócił się *Arciszewski*, skierowany przez jej męża, z którym przebywał na terenie Związku Radzieckiego. Dokumenty wykonywał artysta rzeźbiarz Albin *Boniecki*, kolega z kontrwywiadu. Przez moje ręce dochodziły one do koleżanki *Döllingerowej*, a ona wręczała je zainteresowanym. Jakiekolwiek były sprawy, o czymkolwiek by się dowiedziano, miało się obowiązek meldować i niczego nie lekceważyć.

W pracy wielokrotnie stykałam się z dr Heleną *Piotrowską*, z którą w tym samym dniu wstąpiłyśmy do organizacji. Pracowała ona na chirurgii w klinice Dzieciątka Jezus. Chodziłam do niej w sprawach związanych z moją pracą. Otrzymywałam od niej pliki zaświadczeń o szczepieniu przeciwdurowym, podpisane *in blanco*, które wykorzystywałam do szczepień ludzi z podziemia lub wystawiałam „martwe dusze" w celu ich zameldowania. Dokument o szczepieniu był niezbędny; jego brak budził podejrzenie i uniemożliwiał otrzymanie kartki żywnościowej.

Lekarz-dentysta, Lusia *Śliwerska*, koleżanka mojej siostry Hanki, była obciążona pracą zawodową, utrzymywała liczną rodzinę, rodziców i rodzeństwo, ale zobowiązała się leczyć za darmo każdego specjalnie do niej skierowanego. Nasi ludzie mogli dzięki temu leczyć zęby nieodpłatnie.

Wspomniana już pielęgniarka Nina *Dewiczówna* poza pracą organizacyjną nawiązała kontakt z patronatem więziennym i miała prawo przez jakiś czas przebywać w kuchni więziennej, do której Patronat dodawał w pewnych okresach żywność, by ratować więźniów przed głodem i nawet urozmaicać ich wyżywienie. Mogła dostawać się do gmachu i wchodzić do cel wtedy, gdy patronat coś dostarczał i rozdawał. Mogła także wtedy dużo zaobserwować, usłyszeć, szepnąć jakieś słowo, uśmiechnąć się życzliwie i znacząco.

W moim mieszkaniu stale mieszkali Niemcy. Z początku pokój lub dwa wynajmowałam (lokatora dała mi dawna bona mojej córeczki, Niemka) dobrowolnie za zgodą Mirka *Leśkiewicza*, który uważał to nawet za pewne zabezpieczenie. W późniejszych latach mieszkanie zarekwirowano, jak zresztą cały dom, zostawiając tylko w wydzielonych pokojach trzy kobiety (mające dzieci), których mężowie byli od początku wojny nieobecni. Po aresztowaniu siostry poznałam się z osobami, które umożliwiły mi „grypsowe" dotarcie do niej oraz udzielały informacji o jej sytuacji i stanie. Jedną z nich była komisarka straży więziennej na oddziale kobiecym, czyli „Serbii", znajoma z lat dawnych pielęgniarki dyplomowanej Krystyny *Morzkowskiej*, którą szczególnie starannie konspirowała, lecz sama ofiarowała swe pośrednictwo, pamiętając przeżywane wraz z nami aresztowanie i katowanie Hani. Chciała nam oszczędzić wstrząsów i rozpaczy, ale sama bardzo ciężko zareagowała szokiem, wybuchem i spazmami. Po porozumieniu się z Danusią, czyli komisarką „Serbii", Wandą *Gawryłów* (obecnie Jankowska), poznała nas ze sobą. Na razie była to znajomość prywatna, która potem przerodziła się w bardzo ścisłą i karkołomną współpracę, jak to bywa w sprawach zawikłanych i niebezpiecznych. Nieprzeciętna odwaga, zdeterminowanie, przytomność umysłu i wielkie poczucie odpowiedzialności Danusi, które nakazywało jej nie schodzić z posterunku, chociaż wiadomo jej było, że wszystko o niej się wie, związało mnie z nią, jak to się mówi, na śmierć i życie.

Istniał wówczas człowiek, który udawał wobec ludzi zorganizowanych kogoś nadrzędnego, zależnego bezpośrednio od gen. *Sikorskiego*, rzekomo upoważnionego do obserwacji i kontroli całego podziemia. Na tej kanwie snuł pajęczą siatkę wikłającą ludzi, rozrabiał ich i co jakiś czas tylko nielicznych, by nie przestawać być niezbędnym, wydawał gestapowcom, dla których pracował. Należało rozpoznać sytuację, dojść do tego, kto z grupy z nim pracującej jest świadomy jego roli, a także otworzyć ludziom oczy, „rozpracować" przez uświadomionych tę prowokatorską klikę i unieszkodliwić przez egzekutywę ZWZ. Człowiek ten podawał się za pułkownika *Baczewskiego*, a faktycznie był to z pochodzenia Żyd, obywatel polski nazwiskiem *Hamer*, kryminalista przedwojenny, agent gestapo, który umiał wytworzyć wokół siebie aureolę władzy i miał sugestywny wpływ na swoje otoczenie. Znany był z tego, jak się okazało, również przed wojną, czego dowodzą informacje zawarte w książce Ireny *Krzywickiej* z reportażami sądowymi, wydanej przed wojną. *Baczewski*, czyli *Hamer* został zastrzelony przez żołnierzy AK z wyroku sądu podziemnego. Wykonawcami wyroku byli „Zbyszek" i mój szwagier Hilary *Kryszkiewicz*. Bardzo trudno było dopaść *Baczewskiego*, stale chronionego w obsadzie. W lipcu 1942 roku spotkała go śmierć na ul. Tamce przed domem, w którym miał jedną z wielu kwater, w mieszkaniu *Rzepkiewicza*, swego współpracownika.

Poważna większość straży więziennej ze względu na swą odwagę i ofiarność zasługuje na wysokie uznanie i na wdzięczność za wszystko, co ludzie ci robili. Wspomniana Danusia jest przykładem ich postawy. Byli oni w podziemiu wśród licznych tysięcy konspiratorów. Wszyscy dawali pracę, entuzjazm, wiarę, miłość, mękę i życie. Wśród nich na przypomnienie zasługują polscy strażnicy na Pawiaku, ludzie w zielonych mundurach, do których często żywiono więcej uprzedzenia niż

sympatii; wojna zaskoczyła ich na stanowiskach więziennych. Nie wycofali się, pozostali, ale też przeobrazili się. Z pilnujących stali się rzeczywiście pomagającymi. Mogli odejść, a trwali i dzień w dzień wchodzili i wychodzili z murów więzienia, obciążeni konspiracyjnym materiałem, znękani przeżyciami i nie pozbawieni ustawicznego strachu.

*

Mówiłam sobie niekiedy, że gdybym miała pewność, że pobyt mój na Pawiaku nie potrwałby długo, chciałabym znaleźć się tam, by osobiście zapoznać się ze wszystkim, co i jak się tam działo. Widocznie niedobrze jest wymawiać słowa o tak ciężkiej wadze, bo to się rzeczywiście stało. W dniu 7 października 1942 roku o godzinie 7.30 rano wkroczyło do mego mieszkania pięciu gestapowców. Nie słyszałam ani dzwonka, ani ich wejścia. W jednej chwili zostałam przez nich otoczona wraz z córeczką. Widząc mężczyzn cywilnych, zapytałam, co to ma znaczyć. „Policja" — usłyszałam. Błyskawicznie uświadomiłam sobie, że najgorsze już się stało; trzeba się opanować, uważać i jak najlepiej, po polsku odegrać swą rolę. Okupowali mieszkanie długo, bo nawet, gdy mnie po dwunastu godzinach wyprowadzono, pozostali oni nadal. Otwierali sami drzwi, przyjmowali telefony. Wiele się „nagimnastykowałam", by przez telefon co innego mówić, a co innego powiedzieć. Wiele osób dzwoniło, kazali mi wszystkich zapraszać, ale udało mi się wykręcić i nikt z telefonujących nie przyszedł. Przyszło jednak sporo innych osób.

Nie od razu mogłam się zorientować, po kogo, czy do kogo przyszło gestapo. Po pytaniach i moich odpowiedziach okazało się, że do mojej sublokatorki, która wraz z mężem pracowała w innej organizacji. Mąż sublokatorki już w tym czasie ukrywał się. Gestapowcy przyszli rano, sądząc, że go zastaną (chociaż nie był meldowany); jak się potem dowiedziałam, sprawdzali uprzednio meldunki. Zdecydowali zabrać żonę. Po namyśle postanowili zrobić rewizję i wtedy dopiero wpadłyśmy. Tak się złożyło, że w pokoju sublokatorki było sporo materiału obciążającego i to nie z jednego źródła. Przechowywano tam z Delegatury sztabówki z adnotacjami i z ZWZ walizki z dokumentami *in blanco,* ale z pieczątkami, ponadto prasę do przeczytania zresztą, nie do kolportażu. Zaaresztowano wszystkich obecnych, a mianowicie sublokatorkę Irenę *Iłłakowicz,* mojego szwagra, Hilarego *Kryszkiewicza,* artystę-rzeźbiarza, członka kontrwywiadu ZWZ, Albina *Bonieckiego,* sędziego dla nieletnich Mieczysława *Skolimowskiego,* mego zwierzchnika w KW ZWZ, Jadwigę *Delgiado* (obecnie *Pecyna*), pomocnicę domową, też „zorganizowaną" i mnie; pozostało dwoje dzieci, ośmioletnia córeczka Hania i trzyletni synek Danek oraz młoda dziewczyna miernej wartości i uczciwości, jak się potem okazało. Hania awanturowała się, gdy jej powiedzieli, by nie płakała, bo mamusia zaraz wróci. Krzyknęła, że „pan kłamie, bo powiedział pan, że Jadzia zaraz wróci, a Jadzi nie ma". Obawiając się, by nie powstał jakiś niepożądany konflikt z dzieckiem, zwróciłam się do Hani z prośbą, by wzięła braciszka za rączkę i poszła do drugiego pokoju pomodlić się o powrót mamusi. Dzieci posłusznie wyszły, a ja wtedy opuściłam dom nawet bez pożegnania się z nimi. Została jeszcze staruszka zatrzymana od rana, matka mojej koleżanki *Morzkowskiej* i siostra dozorczyni, która przyszła po klucz od strychu.

Limuzyną, stojącą w odległości paru domów, przewieziono mnie na aleję Szucha i umieszczono w tzw. „tramwaju", trzecim z kolei. W pierwszym siedział Mieczysław *Skolimowski,* który dawał mi jakieś znaki porozumiewawcze, ale ich wtedy zrozumieć nie mogłam.

Walczyłam ze sobą, by nie spać, bo lękałam się, że wyrwana ze snu mogę okazać się mniej przygotowana do przemyślanych i logicznych odpowiedzi. Nurtował mnie niepokój o dzieci, o ludzi, z którymi wiązały mnie konspiracyjne sprawy, o siebie. Podtrzymywała mnie wiara w pomoc i opiekę z zewnątrz. Na Pawiaku więziono mnie do 17 stycznia 1943 roku.

Tak zaczął się mój okres uwięzienia, ale jest to już osobna karta.

MARIA WILKOŃSKA
były więzień obozów koncentracyjnych Ravensbrück nr 38378
i Buchenwald-Magdeburg nr 32083

Warszawa

Pół roku pracy w Szpitalu Więziennym podczas okupacji

Różne koleje losu przechodził okupacyjny Szpital Więzienny w Warszawie. Najpierw mieścił się w Szpitalu Położniczym św. Zofii przy ul. Żelaznej 90 na terenie utworzonej dzielnicy żydowskiej. Gdy w getcie rozgorzało powstanie, Niemcy przenieśli więźniów i pracowników do Szpitala Zakaźnego przy ul. Chocimskiej 5 i umieścili ich na trzecim piętrze. Wcześniej jeszcze, nim to nastąpiło, w separatce oddziału IV (III piętro) leżeli już więźniowie chorzy na dur wysypkowy. Posterunek policji granatowej mieścił się na schodach między drugim a trzecim piętrem. Chorzy wstający mieli nie kontrolowany wstęp do wygódki.

Pracowałam wtedy jako pielęgniarka oddziałowa na parterze. Z konspiracją nie byłam związana, ale gdy zwrócono się do mnie o pomoc w uwolnieniu Janeczka *Żurocha*, zmobilizowałam się od razu. Jak się Janeczek nazywał naprawdę i w jakiej akcji „wpadł", nie wiedziałam. Powiedziano mi tylko, że siedział dość długo na Pawiaku, przeżył ciężkie śledztwa i już zaczynał się załamywać. Dostarczono mu wtedy zakażone wszy. W wyniku duru wysypkowego dostał się na Chocimską. Był już rekonwalescentem i gestapo upominało się o niego, koniecznie więc trzeba go uwolnić. Ponieważ nie należałam do pracowników oddziału IV, przeto musiałam skorzystać z pomocy tamtejszych koleżanek.

Rozpoczęły się przygotowania. Więzień otrzymał karteczkę z odpowiednimi wiadomościami, a 8 stycznia 1942 roku paczkę z różnymi drobiazgami, lusterko, maszynkę do golenia i butelkę z czystą herbatą. Planowano, że przebierze się za salową idącą po mleko dla chorych, a obok posterunku ma ze spuszczoną głową liczyć pieniądze w portmonetce. Paczkę z wymienionymi przyborami, całkiem niewinnymi, którę mogłyby nawet przejść przez ręce policjantów, łączniczka Jadzia *O.* wręczyła portierowi wraz z napiwkiem i poprosiła o doręczenie choremu. Weszłam też na górę i przez szybę w drzwiach stwierdziłam, że więzień rozpakowuje paczkę bez mundurowych świadków.

Zgodnie z poleceniem Janeczek w sobotę 10 stycznia o godzinie 16 miał się znajdować w nie zamkniętej ostatniej przegródce ubikacji i pogwizdywać jakąś swojską melodię. W umówionym czasie jedna z pielęgniarek weszła tam, aby sprawdzić porządek. Z ostatniej przegródki rzeczywiście dochodził gwizd, ale pierwsza była zajęta, należało więc zaczekać na dogodną chwilę. Rozmowa z jakimś obcym chorym potrwała krótko i szczęśliwie „przeszkoda" opuściła klozet. Weszłam szybko i wrzuciłam pończochy do czwartej przegródki; ściągnęłam zapasową spódniczkę. Wtem drzwi otworzyły się z trzaskiem i weszli nowi potrzebujący. Udałam, że sprawdzam czystość kątów, ale niestety jeden z „bamboszy" wysunął mi się spod sukienki. Stojąc blisko policjanta, nachylona poprawiałam „podwiązkę". Wreszcie wysunęłam się stamtąd, spocona, jak mysz, dotarłam do brudownika mojego oddziału, tutaj bezpiecznie i gruntownie poprawiłam garderobę i poszłam na górę. Zobojętniałam na wszystko, myśląc tylko o tym, aby dokończyć sprawę. W końcu sama założyłam Jankowi loczki, zawiązałam chustkę, a także wręczyłam mu potrzebne rzeczy i wierzchni fartuch dla „salowej".

Wróciłam z ulgą, ale na dole okazało się, że mój pęk kluczy oddziałowych został w kieszeni oddanego fartucha. Zmuszona odzyskać klucze, po raz czwarty odwiedziłam Janeczka. Byliśmy sami; odebrałam klucze i określiłam pozycje i zajęcie policjantów (grali w karty). Gdy po godzinie szłam do domu, w holu nie było już osłony (pana, który miał tu przyłączyć się do Janka), ani rikszy przed szpitalem. Wlokłam się do domu, jakbym miała nogi z waty.

Wieczorem w szpitalu jedna z sióstr *(Dyszczyk)* szepnęła mi na ucho: „Siostra wie, co się stało?" Rozumie się, że nie wiem. „Uciekł z góry jeden więzień polityczny! W ubikacji znaleziono jego szlafrok! Nazywał się Żurek, czy inna zupa!" Dziwię się ogromnie i wypytuję o szczegóły, a na sercu robi się lekko i radośnie. Udało się! Na drugi dzień w jadalni grupa koleżanek wykrzykuje do mnie: O! Jest sprawczyni ucieczki *Żurocha!* Serce przestaje mi bić na chwilę. Udaję śmiech z dobrego żartu, ale pojęcia nie mam, co to ma znaczyć. Okazuje się, że jedna z przesłuchiwanych salowych zeznała, iż w krytycznej godzinie kręciła się po oddziale IV jakaś obca siostra w „mlecznych" sandałach. Na szczęście nie zwrócono na to uwagi. Koleżanki takie posądzenie mnie również uważały za humoreskę. W nocy, w domu, przefarbowałyśmy moje „mleczne" pantofle na czarne.

Taki był wstęp do mojej pracy w Szpitalu Więziennym. Nominalnie zostałam tam przeniesiona jako pełniąca obowiązki przełożonej w maju lub w czerwcu 1943 roku, a faktycznie zaczęłam pracować od połowy sierpnia i to na razie przy przygotowaniu nowego pomieszczenia dla Szpitala Więziennego. Z kolei Szpital Jana Bożego oddawał na ten cel jeden pawilon przy ul. Bonifraterskiej 3. Po drugiej stronie ulicy mur odgradzał tereny byłego getta. Dopiero 4 października 1943 roku przywieziono więźniów pod opieką personelu i eskortą policji.

Zespół pracowników naszego Szpitala był wyłącznie polski. Ordynatorem był nadal dr Józef *Kenig,* chirurg; pracowała tam także dr *Zawadzińska,* internistka, dr Cecylia *Korczak,* ginekolog (mieliśmy wśród więźniów także kobiety), dr Jerzy *Pawłowski* i inni. Pielęgniarkami lub położnymi były *Baranowska, Bernasiuk, Brzozowska, Frankiewicz, Horodko, Jakubowicz, Jasińska, Morawska, Rewekant, Trzaska* i ja. Położne z byłego Szpitala Położniczego były przeszkolone w pielęgnacji duru wysypkowego. Pracownicy fizyczni pochodzili z rekrutacji po różnych szpitalach, które za-

zwyczaj przy takiej okazji starają się pozbyć najbardziej trudnego i niekarnego elementu.

Spośród pracowników tylko ja mieszkałam w szpitalu. Miałam pokój w bocznej oficynie, tak dogodnie położony, że przez małe wewnętrzne podwórko, gdzie chodził wartownik, prowadziło przejście do szpitala więziennego, a z drugiej strony dysponowałam nie kontrolowanym wyjściem na ulicę przez teren szpitala psychiatrycznego. Tę sytuację wykorzystała od razu moja przyjaciółka, Maria *Sokołowska*, a konspiratorzy z Tajnej Organizacji „Wawer" chwalili tę melinę, gdzie bezpiecznie pod „opiekuńczym" okiem gestapo odbywały się zebrania. Po mojej późniejszej wsypie bardzo żałowano „spalonego" lokalu.

Nasi chorzy więźniowie, to element różnorodny, od czynnych, najwartościowszych ludzi przez przypadkowe ofiary strzałów ulicznych do różnych typów przestępczych. Wszystkich utrzymać w karbach umiał tylko dr *Kenig*. Przed „Małym Doktorem" odczuwano szczególny respekt. Lekarze starali się przetrzymywać chorych możliwie długo, ale niesforni więźniowie bywali karnie zwalniani ze szpitala na Pawiak. Mimo to zdarzały się na oddziale pijaństwa i w ich następstwie burdy, alkohol bowiem co pewien czas niewiadomą drogą przypływał do szpitala. Już w pierwszych dniach funkcjonowania szpitala na nowym miejscu „zwiało", wyłamawszy kraty w oknach, sześciu więźniów. Nie byli to polityczni, obyło się więc bez groźnych dochodzeń. Może pomogli im sami policjanci, znikając w odpowiedniej chwili z posterunku pod oknami. Widocznym skutkiem tej grupowej ucieczki było wstawienie nowych, mocnych krat w oknach.

Praca w szpitalu więziennym „u Jana Bożego", to jeden koszmarny kalejdoskop. Z przeróżnych „akcji" ulicznych ciągle przywożono nam rannych. Gdy wracali trochę do zdrowia, zabierano ich na Pawiak lub na śledztwo „na Szucha". Najpierw walczyło się o ich życie, licząc na to, że może uda im się jakoś uniknąć gestapowskich szponów, ale gdy już musiano wydać ozdrowieńca w mordercze ręce, a sprawa wobec okupanta była poważna i wiadoma, nieznacznie wtykano w rękę nieszczęśnika małą fiolkę i przypominano szeptem: „Pamiętaj! Tylko w ostateczności!"

Na początku grudnia 1943 roku uciekło ze szpitala trzech chorych (*Balcerzak, Lewicki* i *Dąbrowski*). Wydostali się przez salę operacyjną, od której wtedy ja miałam klucze. Byłam przesłuchiwana, ale niegroźnie; faktycznie nie byłam w tę sprawę wmieszana. „Władzy" nie zależało na uciekinierach, bo sprawa szybko ucichła, ale na korytarzu oddziałowym, przy wejściu do sali operacyjnej pojawił się dodatkowo granatowy policjant. Sala ta, podobnie jak mój pokój, miała drugie wejście na teren Szpitala Jana Bożego.

14 grudnia 1943 roku był jednym z najgorszych dni, które przeżyłam. Przeceniłam swoje nerwy i pod wpływem otoczenia zdecydowałam się patrzeć na mord dziesiątków ludzi. Nasi pracownicy twierdzili, że obowiązkiem Polaka jest widzieć to, co dzieje się z narodem i przekazać te obrazy następnym pokoleniom tak silnie i wyraźnie, jak się je samemu odczuło. Dozorczynię sąsiedniego domu, która patrzyła na egzekucję, dostarczono następnego dnia jako chorą do Szpitala Jana Bożego.

Krytycznego dnia o godzinie 12 w południe przed samym Szpitalem zatrzymała się ciężarówka z 20—30 żandarmami. Zrobił się ruch w Szpitalu. Z okien kancelarii widać było żandarmów, którzy obstawili gęsto tę część ulic Bonifraterskiej i Sapieżyńskiej. Rano tego dnia stracono wiele osób na Placu Teatralnym, toteż wszyscy byli przygnębieni i pełni złych przeczuć. Tramwaje jeździły nie zatrzymywane, były zresztą puste. Widocznie ostrzeżenie tramwajarzy o niewyraźnej sytuacji w tej części miasta przedostało się już do mieszkańców.

Wtem rozległa się bliska salwa i zza murów byłego getta wzniósł się jakiś dym. Pobiegliśmy na górne piętro, skąd było widać część terenu za murami; skazani, ubrani w jakieś jasne bluzy, przypuszczalnie papierowe, mieli ręce związane z tyłu i prawdopodobnie zawiązane oczy i usta, gdyż z tyłu głowy zwisały im strzępy szmat. Musieli stać grupą pod samym murem, bo widać ich było dopiero wtedy, gdy prowadzono ich spod muru pod zburzoną kamienicę. Po dwóch lub trzech szli kilka kroków, po czym żandarmi z plutonu egzekucyjnego wracali biegiem do szeregu, podnosili karabiny do oczu i równocześnie z zamieraniem naszych serc rozlegała się salwa. Znów wyskakiwało paru z szeregu, wyprowadzali ofiary, pędem wracali na miejsce i znów salwa...

Egzekucja powtarzała się po wielekroć. Patrzyliśmy zza firanek. Parę kobiet spazmując wybiegło z pokoju, ktoś liczył ofiary, wszyscy byli szarozieloni. Wreszcie egzekucję przerwano, „żołnierze" odeszli na bok, rozmawiając grupkami i paląc papierosy. Samego miejsca kaźni nie było widać. Jacyś ludzie cywilni krzątali się po miejscu egzekucji. Czekaliśmy, aż zabiorą zwłoki i odjadą. Niestety, nadjechała nowa buda, pluton znów zajął swoje miejsca i egzekucja rozpoczęła się od nowa. Naliczyliśmy 72 ofiary, w tym 2 kobiety. Na stracenie szli przeważnie szybko i zdecydowanie, niektórzy stawiali opór, tych ciągnięto i popychano, ale było ich tylko kilku.

Nie mogłam patrzeć, ale i nie mogłam nie patrzeć. Odchodziłam do chorych i znów musiałam wracać. Ciągle powtarzająca się salwa uniemożliwiała przebywanie gdziekolwiek. Stanęła myśl, zdrętwiało serce. Silny duchowo, jak zawsze dr *Kenig* spełniał wtedy także moje obowiązki. Obszedł sale chorych, kazał opróżnić je od strony ulicy. Z chorymi nie orientującymi się w sytuacji zagajał spokojnie obojętną rozmowę. Następnego dnia pojechałam po zabawki i ozdoby choinkowe dla chorych.

15 grudnia po południu przywieziono nam młodziutkiego Bogusława *Sommera*, schwytanego podczas „łapanek" na Żoliborzu. Leżał w sali opatrunkowej, z żołądkiem na zewnątrz, przytomny i spokojny. Uciekał przed obławą, gdyż jak podobno zawsze powtarzał, nie chciał, by go wzięto żywcem. Sprowadziliśmy księdza. Przyjechał dr *Kenig* i rozpoczęła się operacja. Żołądek *Sommera* był bardzo uszkodzony; potrzaskane żebra wraz z treścią pokarmową chirurg wyjmował garściami. Chłopiec musiał bezpośrednio po obiedzie wpaść na tę łapankę, bo treść żołądka dała się dokładnie zróżnicować na fasolę i kapustę. Operacja była bardzo długa i ciężka. Doktor nie wróżył dobrego końca.

Mnie ten wypadek po wczorajszej egzekucji specjalnie przejął. Nawet jeśli chłopak umrze, lepsza taka śmierć wśród współczujących swoich, niż gdy musi się ją przyjąć z zakneblowanymi ustami za wrażym kordonem zbirów. Sugerowałam rannego, aby żył, co mi nieborak, na pół obudzony z narkozy, obiecywał. Nie dotrzymał słowa, gdyż umarł o godzinie 7 następnego ranka. W podobny sposób zginął tej jesieni jego starszy brat. Przyszła zawiadomiona matka, a jej tragiczny krzyk podnosił włosy na głowie. Co można powiedzieć na pocieszenie tak cierpiącej matce? Można tylko z nią płakać, co bezwiednie robię. Przeżycia ostatnich dni wychodzą poza granicę wytrzymałości. Raz pozwoliwszy sobie na łzy szlochałam parę godzin i to ku własnej wściek-

łości w obecności moich sióstr. Dopiero większa ilość wódki wypita u Zochny postawiła mnie na nogi.

Wigilię spędziłam z chorymi. Była wspólna choinka, wspólne łamanie się opłatkiem i śpiewanie kolend. W pewnym momencie otwierają się drzwi i salowe wtaczają wózek i nosze przykryte prześcieradłem. Nowa ofiara? Szczęśliwie nie. Na wózku jadą „patronatki" (świąteczne paczki dla chorych), wywołując ogólny wybuch śmiechu. Miało to wyglądać trochę inaczej, bo przykrycie prześcieradłem, to już pomysł którejś salowej.

W dzień wigilijny przywieziono ze Szpitala Maltańskiego Tamarę *Lajbcygier*. 28 grudnia wywiadowca z *Kripo* doręczył jej płaszcz, śniegowce, torebkę i przy mnie kazał jej podpisać zredagowane już pokwitowanie, które brzmiało mniej więcej tak: „Ja, *Lajbcygier* Tamara, z domu *Zając*, wyznania mojżeszowego, urodzona w 1907 roku z rodziców (imion nie pamiętam), pochodzenia żydowskiego, potwierdzam odbiór...". Byłam przekonana, że pokwitowanie to oznaczało wyrok i siła ciężkości leżała w słowach „pochodzenia żydowskiego" i „wyznania mojżeszowego", a nie w czym innym. *Lajbcygier* podpisała papier, chyba go wcale nie czytając, zwłaszcza że znalezionymi rzeczami ucieszyła się bardzo. Śniegowce i torebkę miała zaraz sprzedać. Może też na truciznę? Zabrano ją po paru dniach.

6 stycznia 1944 roku w piękną, słoneczną, zimową niedzielę na stole salki opatrunkowej leżał bardzo starannie ubrany mężczyzna; rozpoznanie: „otrucie cyjankiem potasu w celu samobójstwa". Nieszczęśliwego, jak podała policja, schwytano w tramwaju, gdy przewoził w teczce i w kieszeniach amunicję. Nazywał się jakoby *Swinarski*. Było już za późno, aby go ratować. Wystąpiły drgawki, po czym ciało znieruchomiało. Pan *Swinarski* opuścił nas. Był tak elegancko ubrany, może miał być dzisiaj gdzieś na proszonym niedzielnym obiedzie, będą go tam oczekiwali, a on już jest tak daleko...

Od połowy stycznia, w miarę narastania terroru w Warszawie wydarzenia w Szpitalu Więziennym następują jedne po drugich, niemal jednym ciągiem. 12 stycznia przyjechano po chorego *Sulimę*. Przerażony zaczął błagać siostry o jeden, dwa dni zwłoki, bo jeszcze chory, słaby... Cóż jednak można zrobić z przemocą? Już żandarmi z „rozpylaczami" niecierpliwią się i złoszczą za opieszałe wydawanie więźnia. *Sulima* otruł się w drodze ze szpitala na śledztwo. Doniósł nam o tym głos z ulicy, mający chyba na celu uspokojenie więźniów związanych akcją z *Sulimą*: „Nie bójcie się! *Sulima* nie żyje!" — donośnie krzyknął pod oknami oddziału przechodzeń niewiadomy i niewidoczny w ciemnościach wieczoru.

Pogłoski o zmianie policji granatowej przy więźniach na Ukraińców wywołały narastające zdenerwowanie wśród młodych chorych, oczekujących „rozwałki". Dla podniesienia ducha zawołałam do magazynu jednego chorego, do którego miałam zaufanie. Zamknęłam drzwi na klucz i wręczyłam mu egzemplarz naszej prasy podziemnej z odbitką przedstawiającą przysięgę wojskową naszych żołnierzy za granicą. Patrzę na jego reakcję i cieszę się, chory, dopiero co uśmiechnięty, poważnieje, klęka i z wielkim skupieniem i wzruszeniem całuje zdjęcie.

18 stycznia zabrano nam dwóch młodych, dzielnych więźniów, *Trembickiego* i *Dankowskiego*. Do baru „Pod Bażantem", gdzie się znajdowali, wszedł patrol i zaczął rewidować gości przy stolikach. Obaj chłopcy mieli broń przy sobie. *Trembicki* próbował wyskoczyć na ulicę; nie udało się. *Dankowski* liczył, że przebije się na podwórze. Niestety. Przejścia nie było, czy zmylił drogę i trafił do piwnicy, gdzie bronił się 9 godzin! Oficer patrolu dał mu słowo, „słowo niemieckiego oficera", że w uznaniu jego męstwa będzie traktowany nie jako więzień, ale jako jeniec wojenny. To zadecydowało, że chłopak zrezygnował z ostatniego naboju, który przeznaczył dla siebie i poddał się. Ci dwaj ranni byli u nas tylko kilkanaście godzin. Zabrali ich inni, niż ci, którzy ich przywieźli. Nie chcieli słuchać o żadnych umowach między niemieckim oficerem a „bandytą".

Wieczorem nie udała się też przygotowana precyzyjnie ucieczka dwóch od dawna leżących chorych, *Borysiewicza* i *Jabłońskiego*. Mieli uciekać przez strych i dach na teren Szpitala Jana Bożego. Odzież do przebrania ich miałam w swoim pokoju. Poprzedniego dnia *Jabłońskiego* wyprosiłam od wartownika, miał mi niby pomagać w uporządkowaniu strychu. Była więc okazja do ocenienia warunków ucieczki i sprawdzenia długości sznura do spuszczenia się z dachu itp. Zamiast pukania do mego okna usłyszałam strzały na podwórzu. To posterunek na ulicy strzelał do moich uciekinierów siedzących na dachu. Mieli już być o tej porze na wolności, a znaleźli się przymocowani kajdankami do łóżek. Następnego dnia zabrano ich na Pawiak.

Udany, słynny zamach na *Kutscherę* wywołał wzmożenie fali terroru i dalsze utrudnienie życia. 4 lutego dwa pobliskie komisariaty policji dostały nakaz, aby opróżnić z ludzi wszystkie mieszkania w godzinach 10—17, a klucze od mieszkań miały być u dozorców. Powstała panika, ludzie zabierali z mieszkań, co się dało i uciekali do znajomych. Trzy osoby z mojego personelu, mieszkające na zagrożonym terenie, rzuciły pracę, aby ratować swoje mienie. Ostatecznie okazało się, że w tym rejonie przechodził kondukt ze zwłokami *Kutschery*, a ważne osoby (*Himmler* i *Frank*) znajdowały się w kondukcie. Potem pozwolono ludziom wrócić do mieszkań.

Tego samego dnia wieczorem przywieziono nam okropnie podziurawionego Tadeusza *Ratyńskiego*. Był jakiś wybuch przy ładowaniu petard (Ochota, domek prywatny). Niemcy przywieźli rannego do Szpitala, a na miejsce wypadku pojechali pirotechnicy niemieccy. Nowy wybuch kilku z nich poranił. Po dwóch godzinach do naszego rannego przyjechali żandarmi, ale ponieważ operacja była już w toku, nie mogli go zabrać. Ledwie ci odjechali, przyjechali następni go przesłuchiwać. Chcieli go również zabrać. Dość oryginalną rozmowę przeprowadzili z lekarzem: „Panie doktorze, gdy ja jutro zatelefonuję w południe, pan da mi odpowiedź, że chory nie żyje. W przeciwnym razie Warszawa da dalsze 1500 ofiar. Mówię to panu jako człowiek, niech pan nie bierze pod uwagę mojego munduru, my też mamy dosyć tego, co się dzieje". Lekarz próbował tłumaczyć swemu rozmówcy, że składał przysięgę i ma obowiązek ratować chorego do ostatnich możliwości, bez brania pod uwagę innych pobudek. Wreszcie odjechali, oczywiście bez rannego.

Chory mimo wszystkich starań umarł. Nazajutrz „ważni Niemcy" dowiedziawszy się telefonicznie o zgonie *Ratyńskiego* wyrazili swe zadowolenie. Upewniliśmy się, że byli to ludzie z podziemia, którzy udawali żandarmów. A ja siliłam się na nieudolną niemczyznę, rozmawiając ze swoimi. Śmierć *Ratyńskiego* uniemożliwiła dochodzenia i doszukanie się jego wspólników. Teraz ta „wpadka" nie pociągnie za sobą dalszych ofiar.

8 lutego przywieziono nam 19-letniego Ludwika *Potockiego*, ciężko rannego w brzuch. Był on jeszcze w bojowym nastroju po niedawnych strzałach do sierżanta policji kryminalnej na ulicy Waliców. Chwilę po jego przywiezieniu Niemcy przybyli, aby go przesłuchiwać. Wchodzę do sali opatrunkowej i mówię, co go czeka. Ranny od razu zareagował,

„Dobrze, dobrze, jeszcze jednego uduszę, gdy się nade mną nachyli" i z dzikim wyrazem twarzy uniósł się na noszach. Przerażona na myśl, co zobaczę, najpierw nierówną walkę, a potem katowanie rannego, proszę go, by się opamiętał i przyrzekam, że nie wydam go w ręce gestapo bez zabezpieczenia. Uspakaja go to i wywiadowców przyjmuje spokojnie, zresztą bóle po postrzałach stają się coraz silniejsze.

Operacja była ciężka, wykonano znaczne wycięcie jelita cienkiego. Na stole operacyjnym nastąpiła zapaść, którą udało się opanować. Na drugi dzień około godziny 15 przyjechali po niego. Przerażony chory wielkim głosem wzywa przełożoną i nie da się tknąć, póki ja nie przyjdę. Z ciężkim sercem wetknęłam fiolkę z cyjankiem w garść chorego. Schował ją w ustach, aby w odpowiedniej chwili rozgryźć. Wtem porwały go wymioty (rozpoczynało się zapalenie otrzewnej), rurka wypadła mu z ust, chwycił ją konwulsyjnie w locie. Niestety widziało to parę osób niepowołanych. Rannego zabrano. Przez parę dni czekałam w napięciu, kiedy mnie zabiorą. Na szczęście obeszło się bez tego. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że chory jest na Pawiaku, przyznał się do pochodzenia żydowskiego (*Altenberg*). Po drodze zażył cyjanek, który go nie zabił, może dzięki zapaleniu otrzewnej.

11 lutego przywieziono nam znów 19-letniego (najgorszy wtedy wiek) Jerzego *Felisiaka*, zwolnionego z Treblinki po odsiedzeniu trzymiesięcznej kary. Zmarł po kilku godzinach z wygłodzenia. Był w tym stanie, że już nic nie mógł przyjmować. Wyglądał jak szkielet.

Przeglądając dalej moje ówczesne zapiski, czytam, że 16 lutego na ulicy Senatorskiej przy Miodowej odbyła się znów egzekucja (trzydziesta któraś z kolei), mająca dodatkowy epilog, dotyczący naszego Szpitala. Na miejscach straceń niemal zaraz pojawiały się kwiaty, zieleń, próbowano nawet zapalić świeczki. Najczęściej, gdy więcej osób gromadziło się w tragicznym miejscu, Niemcy robili „łapankę" i zabierali nowych zakładników do następnej egzekucji.

Tym razem uwagę przechodniów przyciągała dodatkowo mała karteczka, naklejona na murze w miejscu stracenia. Ludzie cisnęli się tłumnie, chcąc odczytać drobno napisaną kartkę. Nagle z przejeżdżającego samochodu jakiś niemiecki „dowcipniś" uruchomił karabin maszynowy. Widocznie miał to być tylko tłusto-czwartkowy „żarcik", bo strzelano nie w brzuchy, ale po nogach. Dostaliśmy kilka osób z postrzałami nóg. Na owej karteczce było napisane, że administracja domu prosi, aby nie urządzać żadnych manifestacji, ponieważ to grozi represjami wobec mieszkańców domu.

W niedzielę 19 lutego już po godzinie policyjnej do mieszkania jednej z naszych sióstr (*Frankiewicz*) ktoś się uporczywie dobija. Okazuje się, że to dobrze podchmielony żołnierz *Wehrmachtu*. Twardą polszczyzną nakazuje jej zaopiekowanie się dzieckiem, któremu umarła matka. Siostra stanowczo odmawia, po godzinie policyjnej nie wyjdzie z domu. Żołnierz nie ustępuje: musi iść! Ostatecznie idą. W domku dozorcy na Polu Sportowym płacze autentyczne dziecko. Zwłok matki nigdzie nie widać (umarła przed czterema miesiącami). Dozorca z żołnierzem popijali sobie, a płaczące dziecko przeszkadzało im. Wpadli więc na pomysł pozbycia się go. Po uspokojeniu dziecka siostra Maria została uczciwie, pod eskortą odprowadzona do domu.

Od 7 grudnia leżał u nas Roman *Jagziński* (Józef *Bloch*). Przywieziono nam wtedy dwóch popalonych ludzi. Na Wroniej 33 był jakiś wybuch i stąd te ofiary, niewiarygodnie spieczone. Jeden, prawie zwęglony, zmarł w pół godziny po przywiezieniu, drugi żył, ale wyglądał przerażająco, jak upiorna maska. Całe ciało z wyjątkiem małej przestrzeni na pośladku było pokryte czarną skorupą. Zgodnie ze sposobem stosowanym przez dra *Keniga* poparzonego trzymaliśmy nagiego, a wilgotniejące miejsca stale zasypywaliśmy odpowiednią mieszanką. Aby chory nie marzł, ogrzewało się go żarówkami. Tak iluminowany, przypominał wielkopiątkowy grób, toteż nazywano go „Chrystusikiem". Twarda w nim była dusza, bo jednak nie opuściła tak zniszczonego ciała. Wbrew wszelkim przewidywaniom lekarzy i pielęgniarek, ba, nawet gestapowców, którzy przez trzy miesiące wcale się nim nie interesowali, Romcio wracał do zdrowia. Tu i ówdzie odpadały strupy i ukazywała się czerwona, ale zdrowa skóra.

Po tej ciężkiej chorobie był psychicznie słabszy, w nocy nie sypiał i już zawczasu przeżywał spodziewane na śledztwie tortury. Dowiedziałam się od niego, że to kolejny, czternasty tysiąc ładowanych granatów spowodował całe nieszczęście. Gdy późnym wieczorem obchodziłam sale, a naokoło inni chorzy spali już spokojnie, Romcio zwierzał mi się cichutko: „Siostro, czemu ja o tym dawniej nie myślałem, a teraz się boję tego łamania kości, aż mi pot na czoło występuje..." Instynktownie wyczuł, że za głową łóżka właśnie stanął cicho jak duch komendant warty i uważnie przysłuchuje się opowiadaniu. Romcio tym samym monotonnym szeptem dalej „zwierza się", że ma już obiecaną pracę u chłopa, a „praca w polu zdrowsza i bezpieczniejsza, niż pędzenie bimbru..." Wartownik odszedł, podjęliśmy przerwany temat.

Twardo postanowiłam nie oddać Niemcom Romcia, cudem odratowanego popalenca muszę uratować. Zawiodły jednak planowania i narady, próby przekupienia policji przez podstawione osoby i inne pomysły. Gestapo przyjechało po Romka. Dyżurnej dr *Zawadzińskiej* udało się go zatrzymać w szpitalu tylko dlatego, że nie było go w co ubrać (wszystkie rzeczy, zwęglone, rozsypały się). Po targach gestapowcy odjechali, obiecując wrócić wkrótce po ofiarę i przynieść odzież.

Mogą przyjechać jutro, dziś działać trzeba natychmiast. Siostry *Jakubowicz* i *Horotko* jak najchętniej zgadzają się dać swą pomoc. Wieczorem chory kręci się na swoich słabych nogach po korytarzu. Muszę go poprosić o otworzenie mi drzwi do sali operacyjnej (mam tak zajęte ręce, że sama nie mogę tego zrobić). Romek daje sobie jakoś radę, otwiera drzwi i odchodzi do swojej sali, obserwowany przez wartownika. Dnia 11 marca 1944 roku o godzinie 8 rano z pokoju opatrunkowego oddziału więziennego wychodzi bardzo mizerna (mimo uróżowienia) pielęgniarka. Ciemne loczki koło czepka jeszcze bardziej podkreślają nędzny wygląd. Siostra ma w ustach kilka cukierków (na wypadek, gdyby musiała się odezwać), a w ręku trzyma małą puszkę z materiałem opatrunkowym. Dyżurny policjant nawet oczu nie podnosi na białą sylwetkę „siostry", która, idąc niezupełnie pewnym krokiem (mimo zastrzyku kofeiny ze strychniną, zrobionego przed kwadransem) niemal ociera się o niego. „Siostra" długo, niebezpiecznie długo otwierała sobie drzwi do sali operacyjnej. Wreszcie drzwi się poddały. Głośne trzaśnięcie przy zamykaniu ich świadczy, że Romcio już jest poza najgroźniejszym kordonem. Przekazywany wzajemnie przez „zorganizowane" osoby, wydostaje się z sali poza Szpital, do miasta i wreszcie po pewnym czasie za miasto...

W Szpitalu praca idzie normalnie; prócz trzech sióstr nikt o niczym nie wie. Zmiana warty o godzinie 11 jest niedokładna. Wartę odbierają podpici policjanci i brak jednego więźnia nie zostaje ujawniony. Po godzinie salowe wnoszą przez salę operacyjną chorą ze szpitala psychiatrycznego, co znakomicie zaciera ślady. Po rozdaniu obiadu lojalnie zgłaszam w wartowni, że gdzieś się zawieruszył jeden chory. Trudno przecież, aby pielęgniarki nie wiedziały, co się dzieje z ich chorymi i nie reagowały na ich nieobecność. Wartownicy rozbiegają się po od-

działach, zaglądają do wszystkich pomieszczeń, szperają po szafach i szafkach, odkrywają wiadra operacyjne i sedesy. Istny popłoch. Ucieczka „politycznego", to rzecz groźna. Mimo urzędowego zgłoszenia przez komendanta warty o zniknięciu więźnia nie ma ze strony gestapo żadnej reakcji. Również dzień następny mimo ogólnego podekscytowania upływa normalnie.

Dopiero 13 marca około godziny 17 zostałam wywołana z mieszkania wezwaniem do Szpitala; przyjechali z gestapo, chcą widzieć przełożoną. Trudno. Idę. Jest ich czterech, robią wizję sali operacyjnej, zadają mi pytania na temat kluczy, pod czyją opieką pielęgniarską był *Jagziński*, skąd mógł mieć odzież, kto mógł mu pomóc itp. W sali, w której leżał Romcio, przesłuchują (już beze mnie) pozostałych chorych. Potem odjeżdżają. Wieść o wizycie i niefortunnym zeznaniu jednego chorego, że to ja bardzo opiekowałam się Romciem, obiegła już wszystkie salki chorych. Muszę bronić biednego *Lewandowskiego*, bo spontanicznie oburzeni chcą go bić, a on, mieszkaniec wsi, nie rozumiejący się na warszawskiej konspiracji, nie wie, o co chodzi.

Z separatki wzywa mnie chory dr *Miecznik* i namawia mnie, żebym zaraz uciekała. Z tym samym przychodzą do mnie kolejno chłopcy z parteru. Dają mi na kartkach adresy, gdzie się mogę schronić i gdzie będzie mi bezpiecznie do końca wojny. Wytwarza się gorąca, serdeczna atmosfera. Tak bardzo czuję się wśród swoich, tak wspólnie i jednakowo odczuwamy. Ale uciekać nie mogę. Wobec stosowania przez Niemców odpowiedzialności zbiorowej muszę się spokojnie poddać losowi. Zresztą moje „alibi" wydaje mi się dostateczne, ale ponieważ wszyscy jednogłośnie twierdzą, że dziś, lub jutro gestapowcy wezwą mnie, trzeba szybko polikwidować obciążające sprawy, dać znać, komu należy, o „spaleniu" mieszkania, poniszczyć, co zbędne. Przez telefon zawiadamiam Zochnę, swoją siostrę, by przyszła do mnie. Na drugi dzień rano oddaję jej posiadany zapas fiolek z cyjankiem, zapiski o dotychczasowych wydarzeniach i obarczam poleceniami. Zaraz po jej odejściu mamy „gości" z Szucha. W gabinecie dr *Keniga* zaszło nieporozumienie; doktor chciał mnie osłaniać i widocznie zeznawał, że klucze były w jego gabinecie. Nasze zeznania nie pokrywają się. Słyszę kilka razy: „Właśnie dr *Kenig* zeznawał w tej chwili inaczej". Wreszcie każą mi się ubrać w celu „spokojnego przesłuchania u siebie". Chcę wyjść do mego mieszkania po palto. Przy drzwiach wyjściowych pełni wartę policjant dobrze mi znany, bywał „organistą" na szpitalnych nabożeństwach. Zasłania mi sobą drzwi: „Nie wolno mi nigdzie siostrzyczki wypuścić." Opuszczam więc Szpital już w „towarzystwie" gestapowców i kończę moją półroczną pracę w Szpitalu Więziennym.

Generał zakonu jezuitów O. *Pedro Arrupe* z Włoch w czasie zwiedzania obozu w Brzezince
(zdjęcie nadesłane przez Państwowe Muzeum w Oświęcimiu)

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Kraków

Dr Stefan Pizło, więzień Oświęcimia nr 333

Dr Stefan *Pizło* był pierwszym polskim więźniem-lekarzem obozu oświęcimskiego, pełniącym tam od początku swego pobytu funkcję lekarską w szpitalu obozowym *(HKB, Häftlingskrankenbau)*. Starszy wiekiem od innych więźniów, którzy wraz z nim przybyli do Oświęcimia pierwszym transportem (14 czerwca 1940 roku), stał się dla nich autorytetem i przykładem postępowania. Całą swoją wiedzę i serce lekarza oddał chorym współtowarzyszom niedoli. Zginął na posterunku w dniu 7 lipca 1942 roku z powodu duru wysypkowego w czasie największego nasilenia epidemii tej choroby w obozie.

Ryc. 1. Dr Stefan *Pizło*

Stefan *Pizło* urodził się 6 marca 1887 roku w Sanoku jako syn Józefa (krakowskiego profesora gimnazjalnego, między innymi w II Szkole Realnej) i matki, Anny *Weibl*. Lata gimnazjalne, rozpoczęte w Wadowicach, dokończył w Krakowie, uzyskując świadectwo dojrzałości w roku 1905 w III Gimnazjum im. Króla Jana III Sobieskiego. W latach 1905—1910 studiował medycynę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dyplom doktora medycyny uzyskał po złożeniu przepisanych egzaminów w roku 1912. Ze względu na zły stan zdrowia już po dwóch miesiącach zwolnił się z czynnej służby wojskowej w armii austriackiej.

Przez krótki okres, do 1 lutego 1913 roku pracował jako wolontariusz w Klinice Ginekologiczno-Położniczej UJ prof. dra A. *Rosnera*. W latach 1913—1919 był lekarzem miejskim Jordanowa w powiecie myślenickim. W roku 1916 z powodu szerzenia się epidemii ospy, duru brzusznego i czerwonki Wydział Krajowy mianował go lekarzem epidemicznym z zaleceniem zwalczania tych chorób w okręgu rabczańskim, jordanowskim i makowskim ówczesnego powiatu myślenickiego. W roku 1919 został powołany do czynnej służby w wojsku polskim i pełnił czynności lekarza w stopniu kapitana w 3 pułku piechoty legionowej w Jabłonnej, Zegrzu, a następnie w szpitalu polowym nr 13 (w 2 dywizji legionów) jako ordynator na froncie białorusko-litewskim. W wyniku starań ludności gminy Jordanowa w Ministerstwie Spraw Wojskowych dr *Pizło* został zwolniony z wojska i wrócił na swoje dawne stanowisko w tej miejscowości. W roku 1920 otrzymał nominację na lekarza epidemicznego w Nisku z prawami lekarza powiatowego. Był tam kierownikiem Szpitala Epidemicznego NNK. Jako lekarzowi powiatowemu przypadło mu zadanie odbudowy służby zdrowia biednego i zniszczonego wojną powiatu niżańskiego. Ostatnim etapem tej pracy było wybudowanie i oddanie w surowym stanie Ośrodka Zdrowia w Rudniku nad Sanem w roku 1939, na owe czasy więc niemałe osiągnięcie. W tym budynku po jego ostatecznym wykończeniu w pierwszych latach wojny zorganizowano szpital przeciwgruźliczy, w którym wielu chorych i rannych w akcjach po obu stronach Sanu znalazło pomoc i opiekę.

Druga wojna światowa zastała dra Stefana *Pizłę* w Nisku. 1 listopada 1939 roku został on uwięziony przez *landrata* Niska, *Ehausa*, gdyż odmówił wspólnego z nim urzędowania. Nie skusiły go proponowany tytuł i stanowisko *oberkreisarzta* i obietnica przydzielenia samochodu na rozjazdy. Przez dwa tygodnie dr *Pizło* przebywał w więzieniu w Rzeszowie. Warto dodać, że *Ehaus* wkrótce został przeniesiony na stanowisko *kreishauptmanna* do Rzeszowa, gdzie był jednym z twórców i likwidatorów tamtejszego getta.

1 stycznia 1940 roku po raz drugi aresztowano dra *Pizłę* w Nisku. Tym razem również udało mu się wyjść z więzienia. Trzeci raz aresztowano go dnia 18 maja 1940 roku. Odesłano go do więzienia w Tarnowie, skąd po kilku tygodniach pierwszym, „założycielskim" transportem trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie otrzymał numer więźnia politycznego 333.

Wiadomości, które otrzymywała jego rodzina z obozu były lakoniczne i skąpe. Pochodziły one od nielicznych zwolnionych z Oświęcimia. Na przykład więzień Stanisław *Bełżyński* (zwolniony stamtąd w listopadzie 1941 roku, a w roku 1944 zastrzelony na stacji kolejowej w Rozwadowie jako szef dywersji AK) doniósł rodzinie o stosunkowo spokojnej pracy i nienajgorszym zdrowiu dra *Pizły* w „rewirze" obozowym Oświęcimia. Podobne wiadomości

dostarczył rodzinie więzień z pierwszego transportu oświęcimskiego, Antoni *Ostrowski*, po zwolnieniu z obozu. Nadesłana z Oświęcimia w roku 1940 paczka z ubraniem dra *Pizły* wywołała zrozumiały niepokój w jego domu. Warto dodać, że w tym czasie odesłanie z obozu depozytu (odzieży i przedmiotów osobistych) więźnia następowało zazwyczaj po jego śmierci.

Dr Stefan *Pizło* znał dobrze język niemiecki. Stanowiło to niewątpliwą pomoc w czasie pobytu w obozie. Jako doświadczony lekarz — a liczył już wówczas 53 lata — był potrzebny obozowi. Już w czasie pobytu na tzw. „kwarantannie" powierzono mu funkcję lekarza-więźnia. Jego postawa zmuszała otoczenie do tego, że nie tylko, jak wspomniano, znacznie młodsi od niego współwięźniowie-Polacy otaczali go szacunkiem, lecz nawet liczyli się z nim „kapowie" niemieccy, a wśród nich „*ober*-kapo" *Hans Bock*, więzień nr 5, nadzorujący ówczesny „rewir" obozowy. Oddziaływaniu i wpływowi dra *Pizły* na otoczenie zawdzięczano pożądane w oświęcimskim piekle przejawy humanizmu promieniującego od niego w tamtejszym środowisku, gnębionym przez zbrodnicze wyczyny zbirów-założycieli obozu z załogi *SS* i niemieckich więźniów-kryminalistów.

Wyczerpujący opis działalności i losów dra Stefana *Pizły* w obozie oświęcimskim trudny jest obecnie, po upływie wielu lat, do zrekonstruowania. Z biegiem czasu zatarły się w pamięci nielicznych więźniów pozostałych z tego okresu szczegóły dotyczące więźnia *Pizły*, będące epizodami w powodzi obozowych wydarzeń. Utrwaliła się jednak sylwetka dobrego, uczynnego kolegi i przyjaciela, często niosącego słowa pociechy, nie szczędzącego przejawów życzliwości i świadczącego setki nie określonych i nigdzie nie notowanych drobnych, ale ważnych obozowych usług. Dr *Pizło*, w zgodnej opinii więźniów skromny, poważny, zamyślony, zawsze był pochłonięty rytmem wykonywanej pracy. Usuwał się w cień i unikał obozowej kariery.

Dr Jan *Pakowski*, więzień Oświęcimia nr 8633, tak zapamiętał sylwetkę dra *Pizły:*

„Pamiętam jego szczupłą, wysoką, nieco pochyloną sylwetę. Był spokojny i opanowany. Prowadził na pierwszym piętrze bloku nr 28 izbę chorych na gruźlicę, którzy przez cały czas swego tam pobytu mieli zakaz opuszczania sali. Na polecenie *Hansa Bocka* przez kilka lub kilkanaście dni zastępowałem dra *Pizłę*, chorego wtedy na grypę. Jedni spośród jego chorych cierpieli i umierali z powodu zaawansowanego procesu gruźlicy płuc, inni zaś byli zdrowsi, a dostali się do tej izby po zdobyciu zakażonej prątkami plwociny, którą oddali do badania laboratoryjnego jako swoją. W sali przepełnionej chorymi na gruźlicę przy różnorodności środowiska trudno było utrzymać porządek i wprowadzić możliwie znośne warunki bytowania. A jednak dr Stefan *Pizło* umiał wyrobić sobie tam autorytet i zaufanie. Podczas mojego zastępstwa chorzy wypytywali się troskliwie o stan zdrowia dra *Pizły*, o termin jego powrotu i o to, czy jestem przydzielony do nich na stałe. Trochę nawet było mi przykro, że traktowano mnie jako zło konieczne. Pamiętam, że w tej salce odbywały się całe ceremonie przy podziale żywności. Okresowo wybierana wśród chorych «komisja» odważała dla każdego więźnia równe co do grama porcje żywności na wagach skonstruowanych ze sznurków, patyczków i tektury. Pracę «komisji» obserwowali wszyscy, nawet ciężko chorzy, nie ruszający się ze swych łóżek. Dr *Pizło* wprowadził tę formę podziału żywności (trzy razy dziennie) jako namiastkę «terapii zajęciowej». Wpływało to uspokajająco na chorych, zabezpieczało przed podejrzeniami o kradzież i niesprawiedliwość, podsuwało temat do wielu dyskusji".

Dr *Pizło* przeżył ciężko dzień 28 lipca 1941 roku, gdy musiał jako lekarz salowy towarzyszyć komisji lekarzy *SS*, którzy wybrali mu prawie wszystkich chorych na gruźlicę i wysłali ich osławionym później transportem do tzw. sanatorium pod Dreznem. Było to pierwsze skierowanie więźniów Oświęcimia do komór gazowych. Dr *Pizło* nie wiedział wtedy o prawdziwych zamiarach owej komisji esesowskiej, ale znając metody *SS* podejrzewał niebezpieczeństwo i starał się wybronić przed wyjazdem jak największą grupę chorych.

Wobec skąpego materiału biograficznego dotyczącego dra *Pizły* w obozie warto jeszcze zacytować relację dra Kazimierza *Hałgasa*, więźnia Oświęcimia nr 5670:

„Dra *Pizłę* poznałem wcześnie, zapewne w październiku 1940 roku. Po przybyciu do Oświęcimia, przy wysiadaniu z wagonów, dostałem uderzenie kolbą w goleń prawej nogi i zrobiło mi się w tym miejscu owrzodzenie wielkości dziesięciozłotówki. Kilka razy próbowałem dostać się wieczorem na opatrunek, ale zawsze odrzucał mnie blokowy Alojz z 17a. Gdy udało mi się raz zakwalifikować do ambulatorium, wtedy dostałem pałą od *Walentynowicza*. Zobaczył to dr *Pizło*, przyszedł do mnie i zapytał, czego potrzebuję. Po wyjaśnieniu kazał mi czekać za blokiem nr 15; przyniósł mi maść i opatrunki, tłumacząc, jak mam sobie je założyć. Gdy się dowiedział, że jestem nie ukończonym lekarzem, bardzo się mną zainteresował. Kazał mi przychodzić 2—3 razy w tygodniu wieczorem pod blok w celu zmiany opatrunku. W ten sposób podleczyłem swoją ranę. Raz przyłapał mnie dr *Pizło*, gdy sprzedawałem swoją wieczorną porcję chleba za papierosa. Tego dnia nic nie powiedział. Ale następnym razem dał mi sześć papierosów *juno*, które sam widocznie otrzymał od esesmana za zrobienie opatrunku. Kazał mi się nimi napalić i rzucić palenie. Zagroził mi też, że jeśli jeszcze raz przyłapie mnie na sprzedawaniu chleba za papierosy, przestanie mnie znać. Zeświniłem się na tyle, że papierosy przyjąłem, napaliłem się ich po kryjomu i rzeczywiście przestałem palić. Warto nadmienić, że sam dr *Pizło* był nałogowym palaczem i śmierć w chorobie zastała go z papierosem w ustach. Później spotykaliśmy się tylko sporadycznie ze względu na pracę w różnych blokach. We wrześniu 1941 roku wynosiliśmy razem zwłoki zagazowanych w bunkrach bloku 13".

Zachowała się znaczna część listów (chyba wszystkie) pisane z obozu przez dra Stefana *Pizłę* do swojej ukochanej żony, Cecylii. Skreślone są dobrym językiem niemieckim. Pierwsze przychodziły na kartkach papieru zeszytowego, nie zawsze opatrzone pieczątką cenzury obozowej. Treść tych listów — oprócz typowych, nakazanych określeń, że jestem zdrowy, że niczego mi nie trzeba — obraca się przeważnie wokół spraw rodzinnych. Wynika z tych listów, że dr Stefan *Pizło* mimo izolacji w obozie nie chciał zatracić swojej dominującej pozycji w rodzinie. W listach wydawał polecenia decydujące o postępowaniu swych najbliższych, nakazywał sprzedaży pianina. Często

prosił o szczegółowe wiadomości na temat swoich bliskich.

Zbiór listów obozowych dra *Pizły*, datowanych od 28 lipca 1940, jest unikalny (przechowuje je rodzina). Mniej więcej 6 tygodni po przybyciu do Oświęcimia podał w liście datę przyjazdu pierwszego polskiego transportu, swój numer obozowy, jak też miejsce pracy (*HKB*). W listach pisanych w pierwszych miesiącach podkreślał swoją tęsknotę za wolnością i rodziną, prosił o modlitwę, pisał, że nadzieja ratuje go przed apatią i depresją, że dokucza mu przykra bezsenność. Z listów dowiadujemy się, że we wrześniu 1940 roku przechodził obozowy *durchfall*, bo tak chyba należy rozumieć wzmiankę o kilkutygodniowym „zepsuciu żołądka". W liście z 2 lutego 1941 roku wspomniał o otrzymaniu paczki odzieżowej i o czterech nadeszłych paczkach żywnościowych, z których pierwsza pochodziła z Patronatu z Krakowa. Nadmienił, że w styczniu 1941 roku przeszedł grypę z powikłaniami nerkowymi. W marcowym, częściowo przez cenzurę powycinanym liście zachował się fragment: „Mnie się powodzi całkiem dobrze, ale wszystko może się stać; umierają przecież także o wiele młodsi ludzie. Zachowaj więc ten list — to jest jakby moja ostatnia wola. Mój zegarek *omega* jest przeznaczony dla..." Następna paczka z ciepłymi rzeczami przyszła do niego w grudniu 1941 roku. W styczniu 1942 roku dokuczały mu bóle reumatyczne. Wiadomość, którą w formie pośredniej otrzymał o chorobie, a następnie o śmierci najmłodszego syna, Jerzego, załamała go poważnie. Wiadomość ta dotarła do dra *Pizły* na około 3 miesiące przed jego zachorowaniem na dur wysypkowy, wskutek którego zmarł.

Śmierć zabrała tego dobrego człowieka i lekarza, jak wspomniano, 7 lipca 1942 roku, wywołując powszechny żal wśród chorych i bardzo licznych przyjaciół. Rodzina otrzymała z Urzędu Stanu Cywilnego w Oświęcimiu oficjalne zawiadomienie o zgonie, tzw. *Sterbeurkunde*.

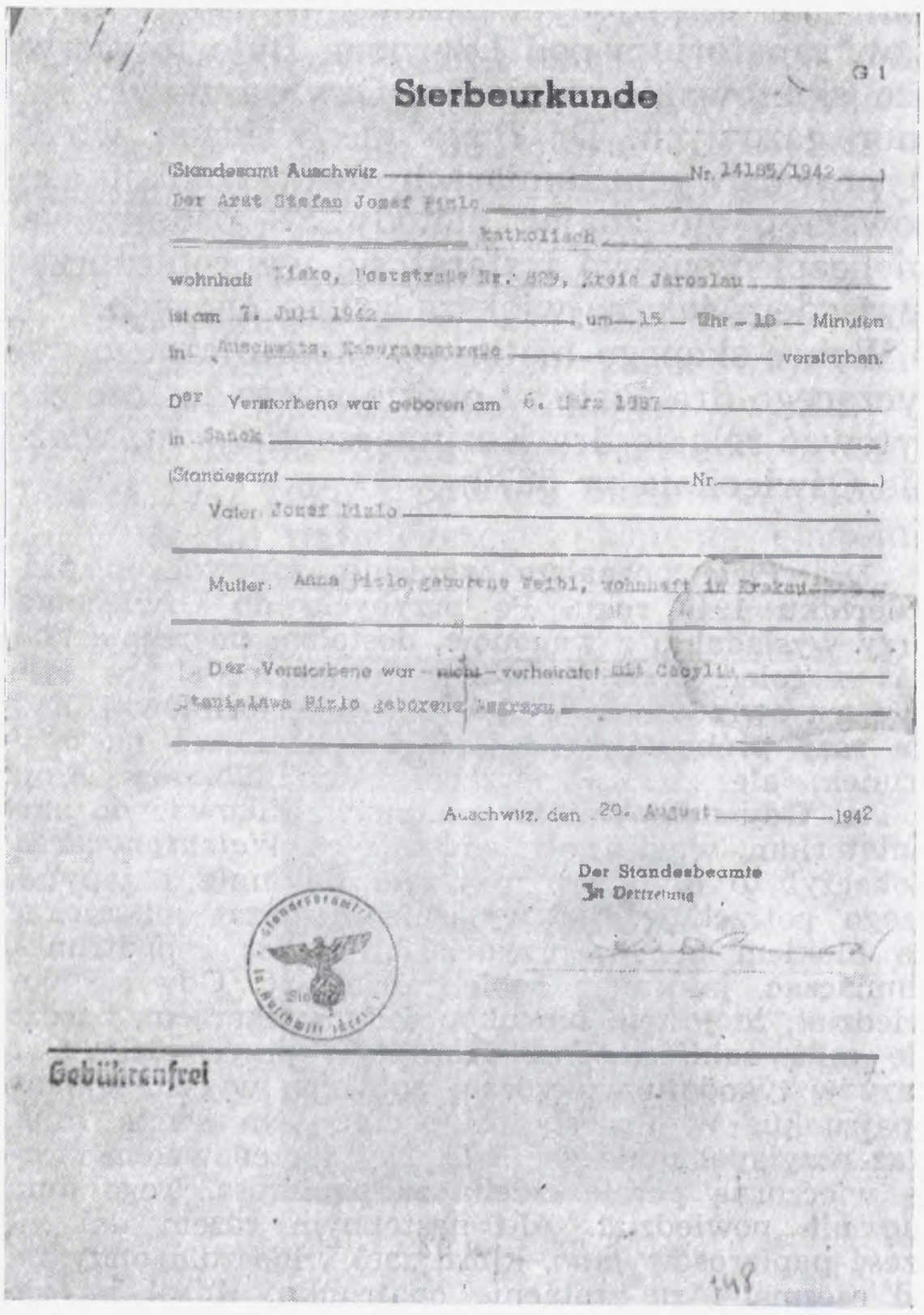
Sterbeurkunde

(Standesamt Auschwitz — Nr. 14185/1942)

Der Arzt Stefan Josef Pizlo

— katholisch

wohnhaft Lisko, Poststraße Nr. 329, Kreis Jaroslau

ist am 7. Juli 1942 um — 15 — Uhr — 10 — Minuten

in Auschwitz, Krankenstraße — verstorben.

Der Verstorbene war geboren am 6. [illegible] 1897

in Sanok

(Standesamt — Nr.)

Vater Josef Pizlo

Mutter Anna Pizlo geborene Feibl, wohnhaft in Krakau

Der Verstorbene war nicht verheiratet mit Cecylia [illegible]

Stanisława Pizlo geborene [illegible]

Auschwitz, den 20. August 1942

Der Standesbeamte
In Vertretung

Gebührenfrei

Ryc. 2. Zawiadomienie o śmierci (*Sterbeurkunde*) dra Stefana *Pizły*, które otrzymała rodzina

*
* *

Opracowano na podstawie 1) własnych wspomnień obozowych autora, 2) relacji podanych autorowi przez kolegów-współwięźniów, tj. prof. dra Władysława *Fejkla*, doktorów Kazimierza *Hałgasa* i Witolda *Kosztownego*, mgra Eugeniusza *Niedojadłę*, doktorów Tadeusza *Paczułę* i Jana *Pakowskiego*, 3) zachowanych listów obozowych dra Stefana *Pizły*, 4) jego życiorysu, 5) wiadomości od syna, dra Stefana *Pizły* i 6) dokumentacji znajdującej się w archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Kraków

Dr Wilhelm Türschmid

W pierwszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" były więzień Oświęcimia nr 17221, dr Jerzy *Mostowski* w krótkiej notatce naszkicował sylwetkę dra Wilhelma *Türschmida* [1]. Po latach udało się uzyskać bardziej szczegółowe informacje biograficzne dotyczące tego zasłużonego lekarza i ukochanego współwięźnia w obozie oświęcimskim. Nie powtarzając treści przedstawionej przed 10 laty przez dra *Mostowskiego*, należy uprzystępnić czytelnikom nowe, interesujące źródła.

Ryc. 1. Zdjęcie obozowe dra Wilhelma *Türschmida*

Syn tego zasłużonego więźnia Oświęcimia, również lekarz, Zbigniew *Türschmid* z Wadowic, podał, że dr Wilhelm *Türschmid* urodził się 3 września 1887 r. w Rodatyczach pod Lwowem. Był synem urzędnika kolejowego, byłego powstańca z roku 1863. Uczęszczał do Gimnazjum św. Anny w Krakowie, gdzie zdał maturę w roku 1905. Początkowo, zgodnie z życzeniem rodziców, zapisał się na prawo, lecz będąc przypadkowo na wykładzie prof. dra Kazimierza Telesfora *Kostaneckiego*, zmienił kierunek studiów i przerzucił się na Wydział Lekarski UJ. Doktorem wszech nauk lekarskich został w roku 1911. Pracę lekarza podjął w Krakowie w Szpitalu św. Łazarza, gdzie specjalizował się w chirurgii pod kierunkiem prof. dra Maksymiliana *Rutkowskiego*. W latach 1915—1931 kierował oddziałem chirurgii w Szpitalu w Nowym Targu, gdzie był równocześnie dyrektorem; następnie przeniósł się do Tarnowa; był tam na tym samym stanowisku do września 1939 roku. W czasie okupacji już na to stanowisko nie powrócił [2].

Po raz pierwszy aresztowano dra Wilhelma *Türschmida* 1 maja 1940 roku. Po miesięcznym pobycie w więzieniu tarnowskim wypuszczono go na wolność. Po raz drugi aresztowało go tarnowskie gestapo w październiku 1940 roku i zatrzymało go w tym samym więzieniu do marca 1941 roku [3]. Następnie został wywieziony do Oświęcimia, gdzie otrzymał numer więźnia politycznego *P* (*Pole*) 11461 [4]. Po przybyciu do obozu oświęcimskiego otrzymał dzięki pomocy kolegów, a szczególnie dzięki protekcji ustosunkowanych więźniów-inżynierów z Mościc, zatrudnienie w *autoschlosserei* [5]. Dopiero później uzyskał zgodę *lagerarzta* i dostał się do obozowego „rewiru" na oddział tzw. „brudnej" chirurgii. Był to okres, kiedy w szpitalu obozowym więcej mordowano więźniów, niż ich leczono [6]. Nieliczna też była obsada lekarska „rewiru", a pewna część sanitariuszy nie miała żadnego fachowego przeszkolenia. Wówczas rozpoczęto w „rewirze" mordowanie więźniów „szprycowaniem", tj. wstrzykiwaniem wody utlenionej, fenolu itp. dożylnie i dosercowo. W tym czasie odbyły się pierwsze selekcje chorych do gazu (tzw. wyjazd do „sanatorium Dresden") oraz pierwsze zagazowanie chorych na gruźlicę w bunkrach bloku nr 11 (początek września 1941 roku).

Dra *Türschmida* więźniowie nazywali „Dziadziusiem", należał bowiem do więźniów starszych wiekiem; trafił do obozu, mając niespełna 54 lata życia. Pracował z wielkim zapałem wśród pełnego poważania i szacunku ze strony kolegów-współwięźniów, lekarzy, sanitariuszy i chorych. Był łagodny, wyrozumiały, pracowity, cierpliwy i niezwykle delikatny, co wyróżniało go w brutalnej atmosferze bytowania obozowego. Zatapiał się w pracy i starał się nie żyć rzeczywistością. Przyjaźnił się zwłaszcza z lekarzami-więźniami, drem *Witkowskim* i drem *Gałką* z Radomia [7].

Krótkie wspomnienie obozowe o drze *Türschmidzie* nadesłał były więzień Oświęcimia nr 7725, Tadeusz *Paczuła*, obecnie lekarz, który razem z drem *Türschmidem* przez wiele miesięcy przebywał w bloku nr 21 (blok chirurgiczny Oświęcimia I). Oto fragmenty tej relacji:

„Z drem *Türschmidem* stykałem się bardzo blisko. Widywałem go w pracy codziennie i znałem jego serdeczny stosunek do więźnia, zwłaszcza do więźnia chorego (...). Dr *Türschmid* jako chirurg nie był wykorzystany w obozie. Salą aseptyczną w bloku 21 (w starej numeracji blok nr 16) na parterze zarządzał dr Władysław *Dering* (nr 1725), który w zasadzie nie korzystał z usług i umiejętności dra *Türschmida*. Dr *Türschmid* pracował na piętrze bloku 21 i «grzebał w ropie». Opracowywał rany pourazowe, ropowice, nacieki zapalne, leczył odmrożenia, owrzodzenia, nastawiał złamane kończyny. Odczuwało się wyraźnie, że «Dziadkowi» brakowało pracy chirurgicznej w «czystej» sali.

«Dziadkiem» nazywaliśmy dra *Türschmida* przez

---

[1] J. *Mostowski*: Dr Wilhelm *Türschmiedt*. Przegl. Lek., 1961, nr 1a, s. 81—82. W tytule mylnie została podana pisownia nazwiska.

[2] Według listu do autora z 1. III. 1969 roku.

[3] Tamże.

[4] Informacja T. *Iwaszki* z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

[5] „Komando" napraw samochodowych.

[6] Z listu byłego więźnia obozu w Oświęcimiu nr 5670, K. *Hałgasa* z Paczkowa, do autora (z. 18.I.1969 r.).

[7] Tamże.

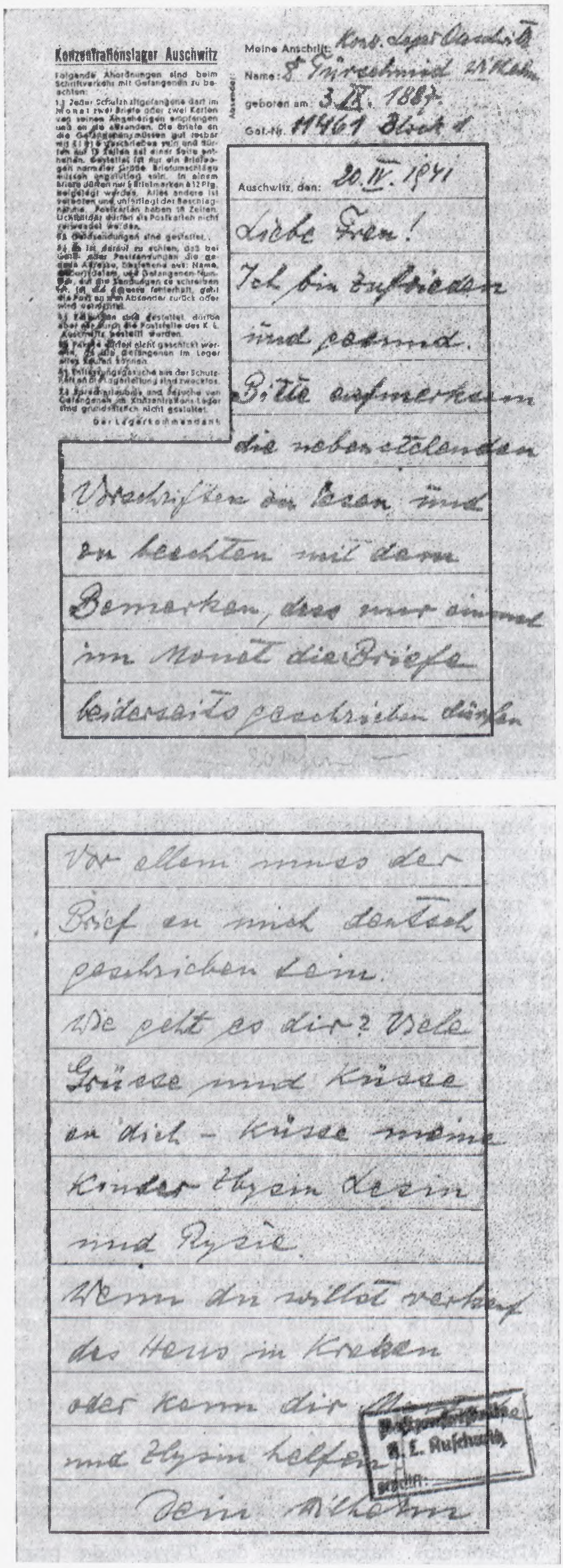
Konzentrationslager Auschwitz

Folgende Anordnungen sind beim Schriftverkehr mit Gefangenen zu beachten:

1) Jeder Schutzhaftgefangene darf im Monat zwei Briefe oder zwei Karten von seinen Angehörigen empfangen und an sie absenden. Die Briefe an die Gefangenen müssen gut lesbar mit Tinte geschrieben sein und dürfen nur 1 Seite auf einer Seite enthalten. Gestattet ist nur ein Briefbogen normaler Größe. Briefumschläge müssen angeklebt sein. In einem Briefe dürfen nur 5 Briefmarken à 12 Pfg. beigelegt werden. Alles andere ist verboten und unterliegt der Beschlagnahme. Postkarten haben 18 Zeilen. Ausländer dürfen als Postkarten nicht verwendet werden.

2) Geldsendungen sind gestattet.

3) Es ist darauf zu achten, daß bei Brief- oder Postanweisungen die genaue Adresse, bestehend aus: Name, Vorname, Geburtsdatum, und Gefangenen-Nummer, auf die Sendungen zu schreiben ist. Ist die Adresse fehlerhaft, geht die Post an den Absender zurück oder wird vernichtet.

4) Paketsendungen sind gestattet, dürfen aber nur durch die Paketstelle des K. L. Auschwitz bestellt werden.

5) Pakete dürfen nicht geschickt werden, da alle Gefangenen im Lager alles kaufen können.

6) Beschwerdegesuche aus der Schutzhaft an die Lagerleitung sind zwecklos.

7) Besuchserlaubnis und Besuche von Gefangenen im Konzentrationslager sind grundsätzlich nicht gestattet.

Der Lagerkommandant

Absender:

Meine Anschrift: Kons. Lazarett Block 21
Name: Dr. Türschmid
geboren am: 3.IX.1887
Gef.-Nr. 11461 Block 21

Auschwitz, den: 20.IV.1941

Liebe Frau!

Ich bin zufrieden

und gesund.

Bitte aufzuverwahren

die neben stehenden

Vorschriften, die Dir

zu beachten mit dem

Bemerken, dass nur einmal

im Monat die Briefe

befördert werden dürfen.

Vor allem muss der

Brief an mich deutsch

geschrieben sein.

Wie geht es dir? Wie

Grüsse und Küsse

an Dich - Küsse meine

Kinder. Bleib mir

und Ryszia

Wenn du willst verkaufe

das Haus in Krakau

oder kann dir

ma Zbyszio helfen

Dein Wilhelm

Ryc. 2. Reprodukcja pierwszej strony listu obozowego dra Wilhelma *Türschmida* do żony z dnia 20 kwietnia 1941 roku. Po lewej u góry na takich jedynie dozwolonych blankietach obozowych listów jest wydrukowane zarządzenie komendanta obozu w Oświęcimiu na temat korespondencji z więźniem i innych kontaktów z nim

uszanowanie jego wieku i umiejętności. Wprawdzie nie miał on wieku prawdziwego dziadka, ale był wśród nas najstarszy, był opiekunem i nauczycielem innych, otaczających go młodych więźniów, którzy nie śmieli tak, jak do innych, mówić do niego «ty». Przydomek «Dziadek», «Dziadziuś» był wyrazem tego szacunku. *Türschmid* był oddany swoim «flegmoniarzom» i z niezwykłą sumiennością pracował na powierzonym mu odcinku. Niechby się jednak zdarzyło, że dr *Dering* z jakichkolwiek powodów nie mógł operować w sali aseptycznej, wtedy wołano *Türschmida* do sali operacyjnej na parterze, do prawdziwych operacji. «Dziadkowi» wtedy śmiały się oczy, ożywiał się, był radosny jak dziecko i biegiem zeskakiwał po schodach na parter, na oddział chirurgii, która mu tak bardzo odpowiadała i którą ukochał. W operacyjnej sali aseptycznej dr *Türschmid* operował przepukliny, żylaki, wyrostki robaczkowe. Czasami dr *Dering* zezwalał mu łaskawie na asystę. Stałe miejsce «Dziadka» było jednak wśród cuchnących, nekrotycznych ran i przypadków septycznych. Poza tym dr *Türschmid* był dobrym diagnostą w chorobach wewnętrznych i zakaźnych; wcześnie rozpoznawał dur wysypkowy i zręcznie kierował losami tych chorych.

Obecność dra *Türschmida* zmniejszała katastrofalne rozmiary selekcji eksterminacyjnych, dokonywanych wśród chorych przez lekarzy *SS*. Czystą niemczyzną, z typowym, austriackim akcentem umiał bronić swych podopiecznych, odpowiednio referując przebieg choroby. W ten sposób udało mu się często uratować od zagłady nieraz nawet ciężko chorych więźniów. «Dziadziuś» ciężko przeżył wielką deportację chorych do nowo założonego obozu w Brzezince. Klął, płakał, chwytał się za głowę i rozpaczał, będąc zupełnie bezsilnym, gdy ciężko chorych więźniów wywożono samochodem na niechybną śmierć do Brzezinki.

Türschmid nie tylko operował i leczył, nie tylko walczył o życie chorych. Jako nestor lekarzy w bloku 21 również uczył. Mogą na ten temat powiedzieć dr Zbigniew *Sobieszczański*, dr Nicet *Włodarski* i dr Bolesław *Zbozień*. Świadkami byli też nie żyjący już doktorzy Julian *Kozieł* i Stefan *Żabicki*, rozstrzelani pod ścianą śmierci bloku nr 11. Dla nich *Türschmid* był ojcem i mentorem, dobrotliwym i pobłażliwym, choć wymagającym, a przecież nad wszystko kochanym (...).

W maju 1942 roku nadeszło do bloku 21 zawiadomienie, że dr *Türschmid* i dr *Kozieł* zostają wcieleni do karnej kompanii, która wtedy stacjonowała już w Brzezince i z której dochodziły do nas straszne wieści. Wiedział o tym zarządzeniu pisarz bloku nr 21, Władysław *Koszyk*, więzień nr 502, były inspektor szkolny. Wiedział o tym także więzień, adwokat zakopiański, Feliks *Kowalewski* (nr obozowy 348), jego pomocnik. Zrobiono krótką naradę bez wiedzy «Dziadka». W efekcie «Dziadek» pozostał w bloku, a do karnej kompanii poszedł tylko dr *Kozieł*. Do *rapportführera* posłano zawiadomienie, że numer 11461 jest w stanie chorych szpitala obozowego i że jest *transportunfähig* (niezdolny do transportu). Natomiast «Dziadkowi» oświadczono, że zostały zlikwidowane etaty pielęgniarskie i po prostu redukcją etatów objęto także jego osobę. «Dziadek» oburzał się, klął, prychał, ale *volens nolens* musiał ściągać portki i pasiastą kurtkę i przemierzać już sale szpitalne w koszuli i kalesonach. Zły był na cały świat. Umieszczony w stanie chorych, nie różnił się od nich swym strojem. Jak tu więc brać nóż do ręki, czy wykonać repozycje złamań? Co chorzy na to powiedzą, zwłaszcza ci, którzy go znają?

«Dziadek» nie domyślał się, że to koledzy, sami ogromnie ryzykując, ratowali go przed pewną śmiercią w karnej kompanii, gdzie nie wytrzymałby ciężkiej pracy i katowania. Ale przysługa nie pomogła na długo. Pewnego ranka, 16 czerwca 1942 roku [8], nadeszło ponowne zawiadomienie od *rapportführera:* numer 11461 na blok 11. Oznaczało to śmierć pod czarną ścianą. *Koszyk* i *Kowalewski* byli wstrząśnię-

[8] Data potwierdzona przez Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

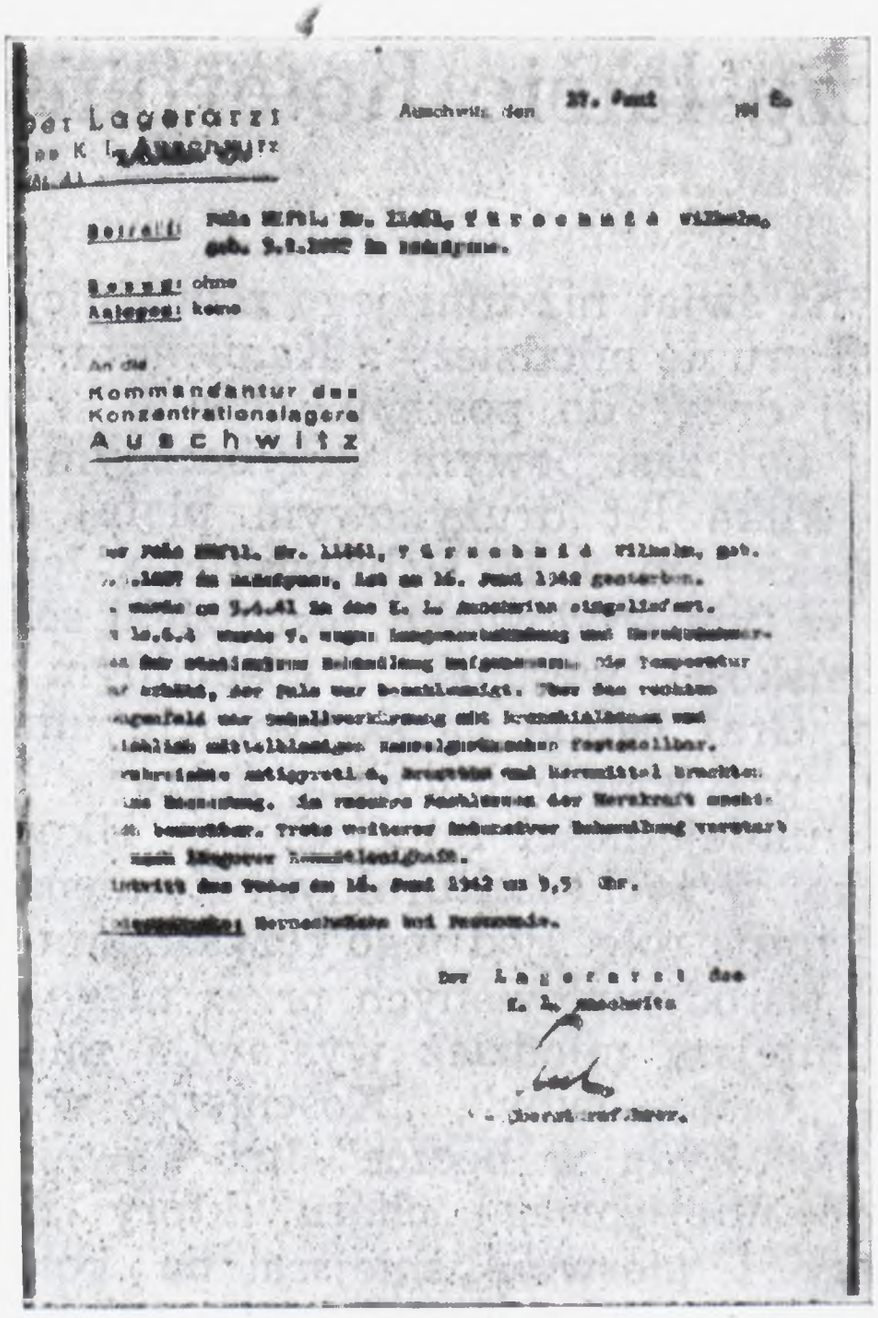

Der Lagerarzt Auschwitz, den 17. Juni 19[illegible]

der K.L. Auschwitz

Betrifft: Polit. Nr. 11461, T ü r s c h m i d t Wilhelm, geb. 3.8.1892 in Königsee.

Bezug: ohne
Anlagen: keine

An die
Kommandantur des
Konzentrationslagers
A u s c h w i t z

[illegible] Nr. 11461, T ü r s c h m i d t Wilhelm, geb. [illegible] in Königsee, hat am 16. Juni 1942 gestorben.
[illegible] wurde am 3.6.41 in das K. L. Auschwitz eingeliefert.
Am 10.6.4[illegible] wurde T. wegen Lungenentzündung und Herzschwäche[illegible]
in der stationären Behandlung aufgenommen. Die Temperatur [illegible] erhöht, der Puls war beschleunigt. Über den rechten [illegible] Lungenfeld war Schallverkürzung mit bronchialem und [illegible] mittelblasigen Rasselgeräuschen festzustellen.
[illegible] Antipyretika, Kreislauf- und Herzmittel brachten [illegible] Besserung. In rascher Aufeinanderfolge der Herzkraft spricht [illegible] bemerkbar. Trotz weiterer intensiver Behandlung verstarb [illegible] Lungener Krankheitsgeschichte.
Urlaubt dem Toten am 16. Juni 1942 um 9,5 Uhr.
[illegible] Verschlossen bei Personalia.

Der Lagerarzt des
K. L. Auschwitz

[illegible]
Obersturmführer.

Ryc. 3. Reprodukcja jednego z dokumentów znajdujących się w aktach krakowskiego procesu załogi oświęcimskiej (tom 37, karta 48). Jest to pismo lekarza obozowego *SS* Oświęcimia I z dnia 17 czerwca 1942 roku do komendantury obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu w sprawie więźnia nr 11461, Wilhelma *Türschmida*. W piśmie tym jest podane, że *Türschmid* w dniu 10 czerwca 1942 roku z powodu zapalenia płuc i dolegliwości sercowych został przyjęty w stan chorych szpitala obozowego. Lekarz obozowy zawiadamia, że u *Türschmida* wystąpiły gorączka, przyspieszenie tętna, przykrócenie wypuku nad prawym płucem, a osłuchowo stwierdzało się szmer oskrzelowy i liczne, średniobańkowe rzężenia. Zastosowane leki przeciwgorączkowe, zioła piersiowe, środki nasercowe nie dały pożądanego wyniku. Doszło do osłabienia mięśnia sercowego i śmierć nastąpiła w dniu 16 czerwca 1942 roku o godz. 9.55 po dłuższej utracie przytomności. Przyczyną zgonu było osłabienie mięśnia sercowego przy zapaleniu płuc. To oczywiste kłamstwo było typową metodą ukrywania morderstw dokonywanych w obozie oświęcimskim

ci. Obaj prosili mnie, bym zawiadomił *Türschmida*, że ma się zgłosić u *rapportführera*. Nie potrafiłem tego zrobić. Za bardzo go wszyscy kochali i doskonale znali przywiązanie «Dziadka» do życia, toteż nikt nie chciał się podjąć tej smutnej misji. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że *Türschmid* będzie rozstrzelany; nie wiedział o tym tylko sam skazaniec. Ta atmosfera była straszna. Czas naglił i trzeba było coś wymyśleć. Ktoś wreszcie wykoncypował wyjście, oczywiście niczego nie ratujące, ale rozładowujące atmosferę rozstania z «Dziadkiem». *Türschmidowi* dano mocne buty, nowe odzienie więźniarskie, jedzenie na drogę i powiedziano mu, że odchodzi do karnej kompanii i że miał odejść tam już wcześniej; wyjaśniono mu farsę z przeniesieniem w stan chorych, której już teraz nie można było dłużej kontynuować.

«Dziadek» przeraził się. «Trzymajcie mnie dalej w stanie chorych, po co mnie wydajecie do karniaka!»; nie wiedział biedak, co go czeka; koledzy mieli łzy w oczach; nikt nie potrafił opanować wzruszenia. «Dziadek», któremu nasze zachowanie wydawało się dziwne, jeszcze nie wiedział o najgorszym. Za godzinę poprowadzono go w orszaku skazańców na blok 11, przed oknami bloku 21. Straszny pochód zatrzymał się przed blokiem śmierci. Była *blocksperre*; nikomu nie wolno było wychodzić z bloków w takiej chwili. Staliśmy przy framugach okien i patrzyliśmy ostatni raz na kolegów czekających na swoją śmierć. Dr *Türschmid* odwrócił swą twarz w naszą stronę. Był upiornie blady. Skinął kilkakrotnie głową; chciał jeszcze jakiś gest zrobić ręką, ale miał chyba ręce zdrętwiałe z wrażenia. Koledzy i chorzy obserwujący tę scenę mieli mimo oświęcimskiego zahartowania oczy pełne łez. «Żegnaj, Dziadku!» Pochód ruszył i zniknął w korytarzu bloku 11. Za chwilę zaczęła się egzekucja"[9].

W czerwcu 1942 roku rodzina dra *Türschmida* otrzymała oficjalne zawiadomienie, że zmarł na zapalenie płuc dnia 12 czerwca 1942 roku[10]. Dane dotyczące zgonu dra *Türschmida* są odnotowane w *stärkebuchu*, czyli w księdze stanu obozu, a w aktach procesu załogi *KL-Auschwitz* (sądzonej w Krakowie) znajduje się dokument wystawiony przez *lagerarzta*, a stwierdzający zgon więźnia nr 11461 (tom 37, karta 48).

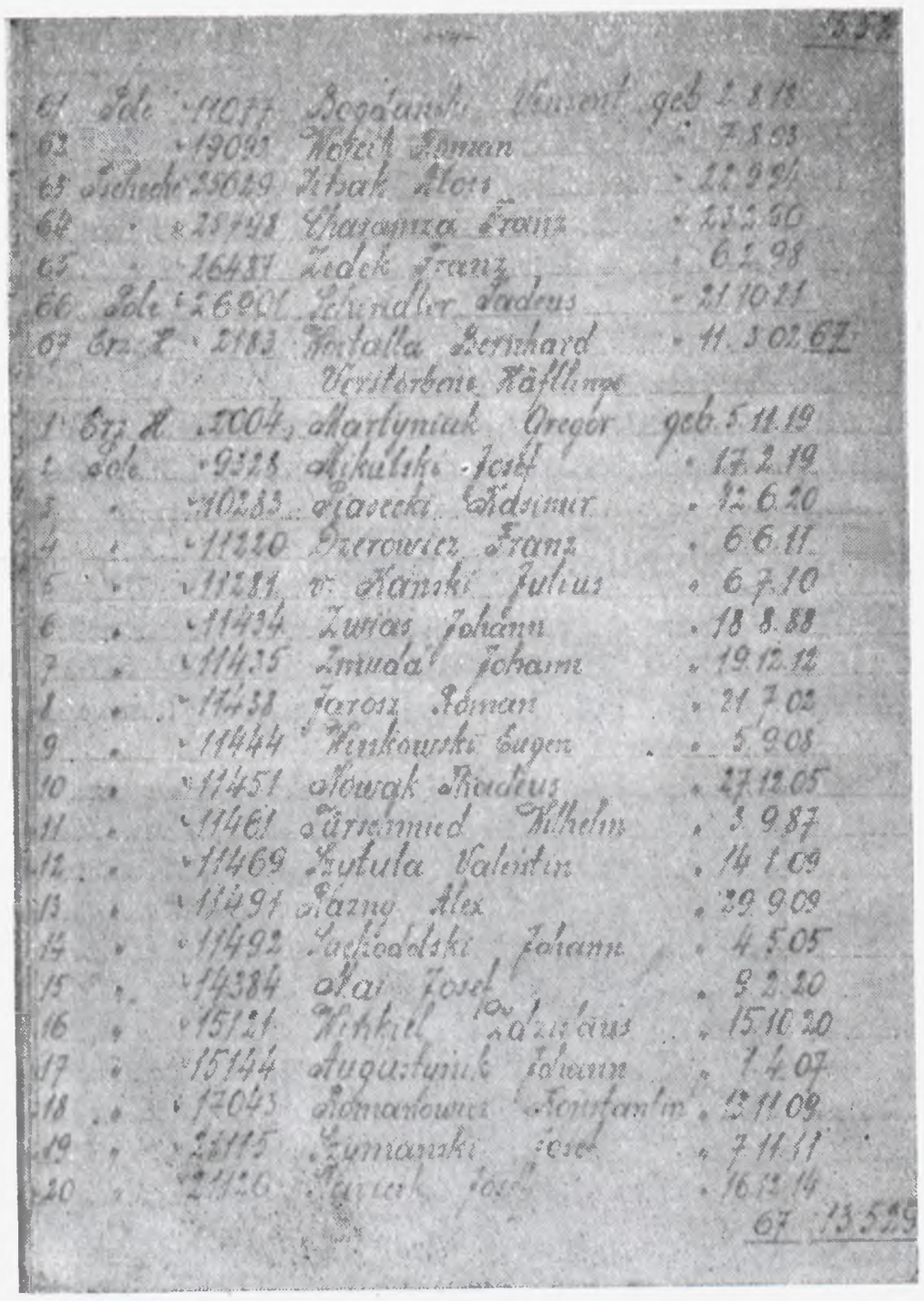

Ryc. 4. Reprodukcja strony 554 księgi stanów obozowych (*Stärkebuch*) z nazwiskiem W. *Türschmida* pod liczbą porządkową 11 (fotokopię nadesłało Państwowe Muzeum w Oświęcimiu)

Wkrótce, jeszcze w czerwcu 1942 roku do Oświęcimia przyjechał transport więźniów z Pawiaka, a wśród nich znajdował się dr Janusz *Okła*, który otrzymał numer obozowy 41698. Po kilku dniach pracy na *bauhofie* wytworzyła mu się na lewej stopie flegmona, z powodu której dostał się do bloku 21. Tuż przed jego przyjęciem w stan chorych rozstrzelano dra *Türschmida*. Tak się złożyło, że dr *Okła* jeszcze jako chory musiał objąć prowadzenie septycznego oddziału chirurgicznego bloku 21[11].

[9] Relacja nadesłana autorowi.

[10] Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (informacja od T. *Iwaszki*).

[11] Według listu J. *Okły* do autora z 2. VII. 1969 roku.

Dwie relacje o doktorze Mieczysławie Kotarbińskim

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego
Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Z życiorysu dra Kotarbińskiego

Liczne odznaczenia, których przyznanie mógłby ktoś uważać za mierniki postępowania, były w życiu dra Mieczysława *Kotarbińskiego* zjawiskiem ubocznym i przypadkowym. Natomiast istotna dla pamięci o nim jest pomoc, której nie szczędził innym nawet w najtrudniejszych warunkach obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Dr *Kotarbiński* zorganizował akcję zwalczania epidemii jaglicy, ratując tam wzrok nie dziesiątkom i setkom, lecz tysiącom współwięźniów. Już pewne wiadomości o tej epidemii w Gross-Rosen znają czytelnicy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" między innymi z biografii dra Józefa *Żeglenia* zamieszczonej w zeszycie ósmym. W zwykłych więźniarskich, obozowych warunkach czas liczył się od apelu do apelu, od miski zupy do pajdki chleba, od gongu na wstawanie do gongu nocnego. Czas więźnia Mieczysława *Kotarbińskiego* wymierzała praca lekarska, liczba wygniecionych jagieł, zalapisowanych oczu, a dzięki temu niewymierna uratowana zdolność widzenia bardzo wielu więźniów.

Dr Mieczysław Kotarbiński

Życie dra *Kotarbińskiego*, stale wypełnione walką z chorobą, było niewątpliwie nieprzeciętne. Urodził się on 31 października 1903 roku (jako syn robotnika fabryki „Wojciechów") w Kamieńsku, starej osadzie w powiecie piotrkowskim, liczącej wówczas około 2000 mieszkańców. W Radomsku w czerwcu 1923 r. ukończył gimnazjum, do którego przez osiem lat przemierzał drogę z rodzinnego miasteczka. Już wtedy cieszył się nie tylko dobrym zdrowiem i siłą fizyczną, lecz także dojrzalszym spojrzeniem na świat niż inni jego rówieśnicy. Przywodził grupie młodzieży z Kamieńska, wskazując jej drogę do postępu. Działał w harcerstwie; był zastępowym, przybocznym i przez kilka kilka lat drużynowym piątej drużyny harcerskiej im. J. H. Dąbrowskiego. Jego autorytet w tym środowisku rósł dzięki solidności, koleżeńskości, wesołości i specjalnym zdolnościom. Grał ładnie na skrzypcach, umiał malować, przyjemnie i dobrze śpiewał. Pogłębił swoje umiejętności fotograficzne. Ukochał turystykę. W życiu kulturalnym Kamieńska odegrał istotną rolę. Pod jego reżyserskim kierunkiem, wśród malowanych przez niego dekoracji tamtejsza młodzież wystawiła między innymi „Grube ryby", „Kościuszkę w Petersburgu", „Żyda w beczce" itp. Również działalność miejscowego chóru, który zdobywał sukcesy i pierwsze miejsca na konkursach w Piotrkowie Trybunalskim, wiązała się z aktywnością *Kotarbińskiego*. Nic więc dziwnego, że ten młody człowiek stał się ceniony i przez wszystkich szanowany w miasteczku i w powiecie.

Świadomy potrzeby wykonywania jeszcze owocniejszej pracy dla ludzi swego środowiska, wybrał zawód lekarza. W roku 1923 rozpoczął studia w Uniwersytecie Warszawskim. Dyplom lekarza otrzymał 9 stycznia 1930 roku, po czym powrócił do Kamieńska i objął tam posadę lekarza Okręgowego Wydziału Powiatowego w Piotrkowie. Od roku 1933 dr Mieczysław *Kotarbiński* kontynuował opiekę nad rejonem Kamieńska z ramienia Ubezpieczalni Społecznej w Piotrkowie Trybunalskim. Jednocześnie rozwinął szeroką działalność społeczną; pracował w Polskim Czerwonym Krzyżu i w Związku Harcerstwa Polskiego. Był propagatorem higieny i oświaty sanitarnej, urządzał wystawy sanitarne i wygłaszał liczne odczyty na temat ochrony zdrowia. Przemierzał dziesiątki kilometrów furmankami lub rowerem, spiesząc do obłożnie chorych. Zasłużył się w zwalczaniu chorób wenerycznych i jaglicy, likwidując całkowicie jej endemiczne ogniska. Specjalną troską otaczał dzieci.

We wrześniu 1939 roku w czasie bombardowania Kamieńska przez Niemców udzielał pomocy rannym. W ostatniej chwili przed wkroczeniem wojsk niemieckich odjechał rowerem do odległej o 80 km Łodzi, by tam zgłosić się do swojego pułku. Przydzielono go do IV Szpitala Okręgowego w Łodzi. Razem ze Szpitalem odbył drogę ewakuacyjną, aż dotarł do Rumunii, gdzie przebywał do roku 1940 wśród innych internowanych wojskowych jako lekarz-porucznik. Prowadził ambulatorium dla uchodźców i wojskowych i współpracował z PCK. Z Rumunii udało mu się wrócić do kraju i dotrzeć do ukochanego Kamieńska 25 grudnia 1941 roku. Podjął pracę lekarza okręgowego.

Tam wszedł od razu, lecz bardzo ostrożnie, w aktywną pracę konspiracyjną, był bowiem wszystkim doskonale znany. Miejscowi *volksdeutsche* bacznie go obserwowali. Pełnił funkcję lekarza ZWZ-AK, a obeznany z warunkami miejscowymi, stał się właściwym, rzeczowym doradcą w organizowaniu społecznej podziemnej pracy. Praca konspiracyjna była tym bardziej trudna dla dra *Kotarbińskiego*, że miejscowi koloniści niemieccy, żandarmeria i administracja hitlerowska kontrolowały każdy krok i kontakt doktora. Popierało go polskie społeczeństwo, w którym prowadzono tajne nauczanie, odciągano młodzież od gry w karty i picia wódki, organizowano grupy „zawiszaków", grupy dywersyjne, kursy podharcmistrzowskie itp. Nawiązano stałą łączność z podziemiem warszawskim. Dr *Kotarbiński* był bieżąco informowany o wszelkich akcjach konspiracyjnych.

Jako lekarz AK gromadził on sprzęt lekarski, by w razie potrzeby odpowiednio zaopatrzyć pluton kamieński. Udzielał pomocy chorym i rannym partyzantom. W terenie sytuacja była napięta. Rosła liczba sabotaży. W czasie akcji na posterunek kolejowy w Gorzędowie w dniu 31 sierpnia 1943 roku jeden z członków drużyny dywersyjnej, *Rewera*, został ciężko postrzelony w głowę. Pierwszej pomocy udzielił mu jeszcze w nocy dr *Kotarbiński*. Gdy ranny znalazł się po kilku dniach w melinie w Kamieńsku, *Kotarbiński* doglądał go codziennie. Niestety postrzał był ciężki i ranny zmarł. Śmierć *Rewery* i różne później krążące wersje zwróciły większą uwagę Niemców na działalność dra *Kotarbińskiego*.

Akcje podziemia trwały jednak dalej i ujawniały się w różnych formach. Jedną z nich była akcja „Oktober". Koloniści niemieccy, urzędnicy administracji hitlerowskiej i żandarmeria otrzymywali częste listy o brzmieniu: „Uważaj, *Oktober!*" „Uciekaj do *Reichu*, zbliża się *Oktober!*" Podobne napisy pojawiały się na płotach, murach i ścianach domów. Polacy współpracujący z Niemcami otrzymywali ostrzeżenia. Pewnego dnia wpadli do Kamieńska hitlerowscy żandarmi z Niechcic, wyrwali z domów aptekarza, kierownika szkoły i dra *Kotarbińskiego* i zmusili ich do wycierania tych napisów. Sterroryzowani wykonywali to spokojnie, powoli i z godnością. W kilka dni później — 17 października 1943 roku — nastąpiła pacyfikacja Kamieńska.

11 marca 1944 roku aresztowano dra Mieczysława *Kotarbińskiego* i osadzono go w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim. 21 maja tegoż roku wywieziono go do Gross-Rosen, gdzie jako więzień oznaczony numerem 36275 przebywał do 10 lutego 1945 roku. Jak wiadomo, był to szczególnie ciężki obóz, w którym nawet lekarze-więźniowie mieli bardzo utrudnioną działalność i nie zawsze mogli pracować w obozowym „rewirze". Po przybyciu do Gross-Rosen dr *Kotarbiński* dostał się do pracy w kamieniołomach. Zwolnienie go z tej pracy, a tym samym uratowanie życia zawdzięczał on interwencji i pomocy więźniów — profesora Mieczysława *Michałowicza* i lek. Jana *Nowaka*. Jako specjalista w zwalczaniu jaglicy dr *Kotarbiński* dostał przydział pracy w bloku gruźliczym, w którym przebywali również więźniowie chorzy na jaglicę.

W swoim zeznaniu, złożonym Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu, dr *Kotarbiński* przedstawił warunki „rewiru" na tle ogólnej sytuacji w obozie Gross-Rosen. Wspomina on, że „pomoc lekarska dla chorych więźniów była niedostateczna; sale chorych w «rewirze» były przepełnione". Na jednoosobowych łóżkach-pryczach leżało przeważnie 2—4 chorych. Prycze były jednopiętrowe i dwupiętrowe, a przeładowane chorymi załamywały się, kalecząc niżej leżących. „Niezdolnych zupełnie do pracy i chorych przewlekle, jak np. chorych na gruźlicę, nadających się jeszcze do transportu, wywożono do innych obozów, rzekomo na «kurację» i «lepsze odżywianie»; okazało się jednak, że wywożono ich do obozu w Bergen-Belsen i tam likwidowano. Na oddziale gruźliczym «rewiru» w Gross-Rosen (barak 5) polecano lekarzom likwidowanie ciężko chorych przez podawanie im trucizny w pastylkach (luminal w dużych dawkach). Truciznę wydawała kancelaria «rewiru», lecz lekarze jej nie stosowali".

Dr *Kotarbiński* zeznaje także na temat ewakuacji Gross-Rosen. Podaje, że „najpierw do obozu zegnano wszystkich więźniów z «komand» i umieszczono ich w nowo budowanych barakach bez okien, bez drzwi, bez podłogi, w błocie i glinie, bez łóżek, na kilkustopniowym mrozie lub deszczu; prawie bez jedzenia czekali na dalszą ewakuację. Wtedy zginęło najwięcej więźniów". Główna ewakuacja obozu nastąpiła w dniach 8—10 lutego 1945 roku. Wtedy „grupami po kilka tysięcy pędzono więźniów do stacji Gross-Rosen, odległej od obozu o około 3—4 km". Więźniów, którzy w czasie drogi wychylali się z szeregu lub upadali ze zmęczenia, zabijali eskortujący esesmani. Na stacji w Gross-Rosen stały odkryte węglarki, do których ładowano po 100 i więcej więźniów z czterema esesmanami jako eskortą. Transporty trwały 4—10 dni, które musieli przetrzymać więźniowie bez jedzenia i picia, wśród deszczu i śniegu, często bez płaszczy, w samych pasiakach, nierzadko bez bielizny. Więźniów zmarłych w drodze układano pod ścianami wagonów, a z powodu ciasnoty zwłoki służyły często jako ławki do siedzenia dla wycieńczonych. Czasami „bardzo słabych więźniów esesmani wywlekali z wagonów i rozstrzeliwali na dworcach kolejowych, a najwięcej na dworcu w Plauen". Dr *Kotarbiński* ocenił straty więźniów spowodowane ewakuacją na około 30—40%. „Więźniowie chorzy, niezdolni do transportu, pozostawieni byli w «rewirze» w Gross-Rosen bez jedzenia, a los ich nie był znany autorowi tego zeznania. W takich warunkach dr *Kotarbiński* wyjechał transportem do Litomierzyc, gdzie wolność zastała go dopiero 9 maja 1945 roku.

Do kraju powrócił w maju 1945 roku, przeżywszy piekło obozowe, by znowu niestrudze-

nie pracować w umiłowanym Kamieńsku. Działał również społecznie, zajmował się zagadnieniami higieny, zwłaszcza szkolnej, opieką nad matką i dzieckiem; był członkiem ZBoWiD, Sekcji Lekarskiej, Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Towarzystwa Pediatrycznego; został odznaczony między innymi Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką Wzorowego Pracownika Służby Zdrowia, Honorową Odznaką PCK.

Przedwczesna śmierć przerwała pasmo trudnych, lecz owocnych 65 lat życia dra *Kotarbińskiego*. Zmarł on 14 sierpnia 1968 roku i został pochowany na Cmentarzu w Kamieńsku. Przyczyną śmierci były powikłania wywołane cukrzycą, które w ostatnim okresie życia spowodowały połowiczne porażenie, a także odebrały mu wzrok.

*

Szkic biograficzny opracowano na podstawie 1) listów pisanych do autora przez żonę zmarłego, Alinę *Kotarbińską*, 2) relacji a) prof. Teodora *Gajewskiego* z Warszawy, b) Feliksa *Kaszy* z Wolborza, c) Edwarda *Węgorzewskiego* z Piotrkowa Trybunalskiego, więźnia Gross-Rosen nr 337, d) Kazimierza *Pięty* z Sianowa w powiecie kartuskim i 3) pośmiertnych notatek prasowych (między innymi dr Haliny *Kępińskiej-Bazylewicz* w Służbie Zdrowia z dnia 24. XI. 1968 roku).

ROMAN NIEWIAROWICZ Warszawa
były więzień obozów koncentracyjnych
Gross-Rosen i Litomierzyce nr 18650

Wspomnienie pośmiertne o lekarzu-więźniu Kotarbińskim

Znaną wypowiedź premiera *Churchilla*, że jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym, złożoną po bitwie o Wielką Brytanię w Izbie Gmin jako wyraz hołdu lotnictwu brytyjskiemu i sprzymierzonym z nim skrzydłom polskim, można by odnieść również do innej, nie mniej chlubnej karty z lat drugiej wojny światowej, mianowicie do działalności lekarzy-więźniów w hitlerowskim okresie zbrodniczego wynaturzenia. Ilekroć wracam myślą do roli polskich lekarzy w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych, zawsze nasuwa mi się ta lapidarna wypowiedź brytyjskiego męża stanu. Tylko w wyrazach wysokiego uznania można dać świadectwo prawdzie i przekazać naszą najgłębszą wdzięczność i trwałą pamięć o pomocy i ratunku ofiarnie niesionych przez naszych współwięźniów-lekarzy w chwilach, gdy ostatnim etapem mógł być już tylko komin krematoryjny, „szpila" z fenolem albo „normalne", codzienne wdeptanie w błoto „lagrowe". W najtragiczniejszych momentach załamań fizycznych, czy psychicznych potrafili nas ratować, pomagać nam przetrwać i przywracali życiu dogasające, bezwolne, zamęczone widma. Jakże często postępowali tak z narażeniem własnego zdrowia, a nawet życia!

Zawód lekarza nie chronił przed okropnościami obozowymi. Przeciwnie, lekarze byli ujawnionymi resztkami znienawidzonej inteligencji narodu skazanego na ostateczne wyniszczenie. Podlegali kaźni celowo planowanej zagłady. Dla awansu, uzyskania urlopu, kilku marek nagrody, uniknięcia skierowania na front, wreszcie z wpojonej tresury nienawiści esesmani, starannie dobierani bandyci, więźniowie-funkcyjni („kapowie", blokowi i ich pomocnicy) prześladowali i mordowali więźniów, chcąc utrzymać się przy władzy, nie tylko z wrodzonej zbrodniczości, czy nabytego bezkarnego sadyzmu, lecz choćby dla zdobycia zapasu chleba po dobitym więźniu, celem przehandlowania na wiecznym obozowym targowisku głodnej nędzy. Tam wreszcie zabijano dla samego zabijania. Za papierosa, a nawet za jego połówkę można było zmienić losy więźnia. Taki był cel i założenie obozów koncentracyjnych. Świat zna to wszystko z dokładnych relacji i opisów świadków. I w tym koszmarze zbrodni nasi lekarze potrafili zdobyć się na całe lata trwającą walkę o każdy choćby cień możliwości ratowania człowieka, setek ludzi, tysięcy skazanych od pierwszego przekroczenia bramy dantejskiej beznadziei „lagru". Wierzyli wbrew wierze i nam kazali wierzyć. Tacy sami lekarze byli w innych obozach i tacy byli w Gross-Rosen.

Zmarły w 23 lata po oswobodzeniu dr Mieczysław *Kotarbiński* był jednym z nich. Stojąc nad jego grobem, żegnam nie tylko bliskiego przyjaciela, ale uświadamiam sobie, że znowu odszedł jeden z naszych polskich lekarzy, z dobrych duchów obozu w Gross-Rosen, a po ewakuacji obozu w Litomierzycach, którym z wielu innymi zawdzięczam przeżycie „lagrów" i powrót. Losy i życie „doktora Mietka" widziałem przez cały czas jego pobytu w obozie. Resztę jego dziejów poznałem dopiero później, w latach powojennych. Po powrocie po studiach do rodzinnego Kamieńska dr *Kotarbiński* stał się z biegiem lat przyjacielem-opiekunem miasteczka i szerokiego kręgu okolicy. Wielki talent lekarski, przysłowiowa dobroć i niestrudzona gotowość niesienia pomocy sprawiały, że w każdej potrzebie ludzie zwracali się do niego, jak do kogoś najbardziej zaufanego i bliskiego. Jego drzwi stały otworem dosłownie dzień i noc. Tabliczka z wyznaczonymi godzinami ordynacyjnymi była tylko adresem i wskazówką, gdzie wystarczy zapukać, żeby zawsze znaleźć serdeczną opiekę i otwarte serce. Uczulony specjalnie na wszelkie przejawy niesprawiedliwości i krzywdy drugiego człowieka, rozwijał też szeroką działalność społeczną. A jeżeli dodamy do tego istotnie głęboką znajomość i wyczucie psychiki chorego oraz wrodzoną, sugestywną pogodę usposobienia, to w sumie otrzymamy najpiękniejszy obraz lekarza z powołania.

Ponadto mimo ogromnego nawału pracy i obowiązków zawsze potrafił znaleźć czas na pogłębianie własnej wiedzy lekarskiej. W rozkwicie działalności lekarskiej i społecznej zaskoczył go tragiczny wrzesień 1939 roku. Mimo obstrzału śledzących go oczu gestapo, złączony tajnymi związkami z ruchem oporu, nie

byłby Polakiem i gorącym patriotą, gdyby zaniechał tej działalności nawet w tak małym ośrodku, jakim był Kamieńsk. W rezultacie zaaresztowany, po śledztwie, wprost z więzienia trafił do Gross-Rosen. W obozie otrzymał przydział pracy do kamieniołomów. Dzielił codzienny los i trud tych nieszczęśliwców, z których wielu ostateczny ratunek i drogę wybawienia od zabijającej pracy i męki widziało w skoku w kilkudziesięciometrową kamienną przepaść. W stanie skrajnego wyczerpania i fizycznego wynędznienia został dodatkowo jeszcze skopany przez swego „kapo"-Niemca, zawodowego mordercę. Brutalne i „fachowe" kopnięcia w brzuch spowodowały trwały i nieodwracalny uraz jamy brzusznej, a ofiarę skatowania doprowadziły do zupełnego już „muzułmaństwa" i stawiły o krok przed nieuchronnym widmem „lagrowej" śmierci.

Właśnie wtedy doszły do głosu los, przeznaczenie, szczęście, a może żarliwa prośba i troska płynąca z daleka — nie wiem i nie umiem określić. Pozornie przesądzona sprawa uległa nagle niespodzianej odmianie. Żeby to wyjaśnić i powiązać nici przyczyn i skutków, należy naświetlić pewne fakty wewnątrz obozu, a przede wszystkim błogosławione, cicho działające czynniki, sprawiające czasem takie — cudom podobne — zwroty w życiu więźniów.

W swoich „Wspomnieniach lekarza obozu w Gross-Rosen" doc. dr Romuald *Sztaba* opisuje przybycie z Majdanka do Gross-Rosen całej grupy polskich lekarzy z profesorem Mieczysławem *Michałowiczem* na czele, wymieniając kolejno lekarzy przybyłych z nim i tych, których już zastał w Gross-Rosen i kilku następnych kolegów, później dowiezionych w innych transportach. Kreśli poszczególne sylwetki tej znikomej grupki lekarzy wobec dziesiątków tysięcy, całego mrowia ofiar, potrzebujących i ginących. Wymieniając pomiędzy innymi i dra *Kotarbińskiego*, doc. *Sztaba* pisze: „Nie potrafię powiedzieć, komu lekarze Polacy zawdzięczają pracę w «rewirze». Na pewno istniał wśród Polaków jeden człowiek lub mała grupa ludzi, którzy wpływem na esesmanów i «kapo rewiru» spowodowali zatrudnienie lekarzy w szpitalu i dali im w ten sposób możność przetrwania ostatnich miesięcy wojny. Być może, że uczynił to Antek *Mianowski* (starszy lekarz obozu), zawsze energiczny i pełen inicjatywy, może Janek *Nowak*, który szybko zdobywał zaufanie przełożonych". Następnie doc. *Sztaba* stwierdza, że nie wie, czy istniał w obozie Gross-Rosen ruch podziemny i w jakim zakresie, ponieważ pracując w bloku zakaźnym miał tylko luźne kontakty z więźniami. I tu docieramy do sedna sprawy. Otóż taki ruch podziemno-organizacyjny w naszym obozie nie tylko istniał, ale i działał ogromnie sprawnie, obejmując prawie wszystkich lekarzy, a więc i samego doc. *Sztabę*. Oczywiście w warunkach stałego i tak niebezpiecznego zagrożenia nigdy nie nazywano rzeczy po imieniu, a wtajemniczona grupka kierownicza działała najściślej anonimowo.

Nie miejsce w tym szkicu na bliższe szczegóły, ale należy podkreślić, że podstawowym celem było ratowanie możliwie największej liczby zagrożonych, obciążonych poważnymi sprawami politycznymi i oczekujących w obozie na wykonanie wyroku, albo też takich, którym już po przybyciu do obozu *Politische Abteilung* przypisywała jakąś gardłową sprawę. Sposobów ratowania było kilka, ale największe możliwości pozostawały w rękach lekarzy. Oni to z narażeniem własnego życia byli najczęściej zaangażowani w przeprowadzaniu tych tajnych działań. Pamiętam doskonale ten okres w życiu obozu, kiedy to prof. *Michałowicz* i dr Jan *Nowak* zdobywali powoli coraz większy wpływ na elementy wrogie Polakom, a więc na „kapów" pracy i „rewiru", a nawet na esesmanów pełniących służbę w obozie. Janek *Nowak*, to postać lekarza zasługującego na specjalne opracowanie. Iluż więźniów dzięki niemu przetrwało najgorsze okresy śmiertelnej zmory obozu! Wspólnie z drem Antkiem *Mianowskim* nauczyli „kapów", blokowych, ich pomocników, a nawet — rzecz zdałoby się nieosiągalna — esesmanów, czyli wszystkich naszych oprawców, zasięgać porady i zwracać się o diagnozy i pomoc do polskich lekarzy. Umieli wyzyskać obawę tych katów o własne zdrowie i wpoić w nich wiarę w skuteczność i wyższość wiedzy polskich lekarzy-„podludzi".

Na marginesie trzeba tu zaznaczyć, że regulamin służby *SS* przewidywał surowe kary np. za zarażenie się chorobami wenerycznymi i tym samym umniejszenie zdolności wykonawczej siły zbrojnej Trzeciej Rzeszy. A były to wypadki najczęściej powtarzające się. Każda choroba „prominenta" obozowego zmuszała do udania się do lekarza i wytwarzała stosunek pewnej zależności między leczącym się a tym, od którego wymagało się ratowania zdrowia. Szczęśliwym trafem było, że przedstawiciele wszelkiej władzy nad więźniami byli wyjątkowo uczuleni na stan własnego zdrowia i lęk o własną skórę wszechwładnie panował nad nimi. Tym sposobem można było uzyskać niejedno ustępstwo, spojrzenie „przez palce", a w wypadkach poważniejszych nawet wymuszoną uległość. Do takiego stanu rzeczy przyczyniały się w wielkiej mierze nigdy nie kończące się, groźne epidemie chorób zakaźnych, dziesiątkujące więźniów, ale też stale zagrażające wszystkim mającym jakikolwiek kontakt z nami. To była główna, atutowa karta w rękach naszych lekarzy, a stawkę w grze stanowiło życie więźniów.

Rzecz dziwna, jak polscy lekarze, w początkach swego pobytu w obozie poniewierani (np. prof. *Michałowicz*), rośli w znaczeniu i stawali się autorytetami. Jak wspomina doc. *Sztaba*, najłatwiej było ułagodzić „bestię" wódką i złotem, ale tymi środkami nikt w Gross-Rosen nie dysponował. Pojęcie „kanady" było u nas nieznane. Codziennym, ogólnie przyjętym środkiem płatniczym był chleb (tzw. „pajdka"' czyli dzienna porcja) i papieros albo jego ułamek („ciuk"). Dodatkowo zdobyta, czy własna, przydziałowa miska zupy

obozowej przedstawiała już znacznie mniejszą wartość sprzedażną. Dla zagłodzonego więźnia była wprawdzie upragnionym i wysokim walorem, ale „rynkowo" nie stanowiła pozycji atrakcyjnej dla celów wymiennych. Tak więc, pozbawieni wszelkich po temu środków, lekarze nasi krok za krokiem, korzystając z każdej sposobności, oswajali obozowe bestie — w mundurach i bez. Gadziny traciły swój jad i często udawało się kierować ich postępowaniem; stawały się mniej groźne dla ogółu więźniów. Przynosiło to w efekcie bezcenne osiągnięcia, jak możność przyjęcia „na rewir" bez obowiązujących 39 stopni gorączki, zmiana pracy w zabójczym „komandzie" na lżejszą, czasem nawet ukrycie zagrożonego w baraku dla zakaźnie chorych, a wreszcie niekiedy najwyższej wartości zdobycz, dostęp do apteki *SS* i „organizacja" leków dla kolegów w obozie. Impreza zawsze ogromnie śliska i niebezpieczna, pod ciągłą groźbą rewizji, bo wtedy... wiadomo. Ileż tych zbawiennych i koniecznych leków nasi lekarze „organizowali" przy takich sposobnościach, przemycali na teren obozu i obdzielali chorych. A przecież nigdy nie było pewności, czy wściekły, leczony przez Polaka esesmański pies nie ugryzie nagle ręki, która mu pomoc świadczyła. I tak bywało. Zawsze bardzo ryzykowne igranie z ogniem.

Naszkicowana sytuacja zmierzała do tego, aby, jak w przysłowiowej „czapce-niewidce", najogólniej czytelnika tych słów wtajemniczyć w ukryty tok życia obozu i wprowadzić w podskórny nurt działania obsady lekarskiej, a z kolei powrócić do osoby dra *Kotarbińskiego* i jego przeżyć oraz jego wartości jako kolegi-więźnia. Jak wspomniano, dr *Kotarbiński*, u kresu wytrzymałości ludzkiej, ostatecznie wyniszczony fizycznie, a na domiar skopany i skatowany przez swego „kapo" w kamieniołomach, niemal w ostatniej chwili został uratowany przez prof. *Michałowicza* i dra *Nowaka*. Otrzymał przydział już jako lekarz do „rewiru" szpitalnego i został skierowany do zwalczania szalejącej epidemii jaglicy, jednej z plag obozu. Szumnie tutaj brzmi wyraz „zwalczanie", ale czym i jak? Rąbek koszuli służył więźniowi do otarcia twarzy, skropionej czasem wodą pojawiającą się w *waschraumie*, do wyciśnięcia czyraków, do chwilowego osuszenia jagliczo ropiejących oczu i ropy z wszelkiego rodzaju „flegmon", słowem — do wszystkich zabiegów higieniczno-osobistych. A skąpo i rzadko kapiąca woda była dla wszystkich więźniów ta sama, zbierana z musu oszczędnie pod kranikami we wspólnych korytkach. Wspólne były koce na tych samych kojach dla zmiany „szychty" dziennej i nocnej, wspólne gruźlica, jaglica i świerzb, te same wszy i dosłownie miliardy pcheł.

W takich warunkach „pozwalano" lekarzom leczyć i oni byli odpowiedzialni za ogólny stan zdrowotny obozu. W drodze wyjątku i dzięki specjalnym „faworom" blokowego sypiano na kojach we dwójkę „na waleta", bo normalnie po trzech. A zabieg oczyszczenia oczu przy jaglicy zaawansowanej odbywał się bardzo prosto. Dwóch kolegów trzymało „pacjenta" za ręce i nogi, dwóch za głowę, a lekarz odwijał powiekę i wyskrobywał „jagły" spod niej. Chory wył z bólu, a po policzkach ściekała krew. Wielokrotnie byłem świadkiem takich operacji. Znieczulenie, neokaina itp., to były pojęcia spoza drutów. Tu był obóz i ewentualnie do uratowania „siła robocza", potrzebna dla sztandarowego hasła *Deutschland siegt an allen Fronten*. Ale nawet dla takiego prymitywnego zabiegu lekarskiego były konieczne bodaj dwa narzędzia chirurgiczne, tak zwane „odwracadło" powieki i łyżeczka do wydrapywania jagliczych gruzełków. Dezynfekcję instrumentów można było przeprowadzić nawet w ogniu piecyków blokowych, ale skąd wziąć instrumenty? I to można było uzyskać, ale trzeba było narysować i zamówić u „kapo" w warsztatach ślusarskich. W obozie, wiadomo, nic za darmo, toteż dr *Kotarbiński* płacił. Żeby ratować kolegów od ślepoty, od śmierci, płacił chlebem, własnymi porcjami swoich dziennych, głodowych przydziałów, trzydniowymi życiowymi racjami chleba, trzema „pajdkami". Pozostawała mu zgniła ciecz-zupa jako jedyne pożywienie. Ale za to mógł ratować kolegów-więźniów. Zdobył konieczne do zabiegów chirurgicznych instrumenty, jedyne dostępne w obozie. I wtedy chodził głodny ponad ogólną normę głodu w obozie. A przecież właśnie w tym okresie większość z nas albo „muzułmaniała", albo puchła wskutek awitaminozy powodowanej głodem. Drobne ranki i zadrapania jątrzyły się i rozlewały w głęboko drążące „flegmony". Pod naciskiem palca powstawały w ciele nie cofające się wgłębienia, jak w miękkiej glinie. To wszystko był głód i z głodu. I te trzy „pajdki" chleba niemal samobójczo ofiarowane przez dra Mietka za możliwość ratowania zdrowia i życia kolegów. Taki był nasz Mietek i takim zostanie w naszej pamięci.

„Pajdka" chleba w obozie! Kto obecnie zwróci uwagę na kawałek tego najprostszego pokarmu, porzucony np. w koszach na śmieci! A w obozie mógł on oznaczać życie albo śmierć. Brak tego kęska, to zawsze trawiący, do bólu czczy, ssący kiszki głód, przyczyna osłabienia fizycznego i ostatecznej utraty siły moralnej więźnia, otępienia i źródło drapieżnej, złej myśli, której w zwykłym, codziennym życiu nie znamy, a której mimo wstydu przed samym sobą nie potrafiliśmy opanować. Dr Mietek przeżył to dobrowolnie, dla innych. Może łatwiej znieść obawę śmierci, ale trwającego uczucia głodu niepodobna wytrzymać. To coś wbrew naturze, coś przeciwnego instynktowi przetrwania. I jakby na ironię losu podczas obchodu zajagliczonych bloków spotkał na swej drodze *rapportführera Eschnera*, którego widok polskiego lekarza, idącego w biały dzień między blokami, doprowadził do wybuchu szału i zwierzęcego amoku. Nie słuchając tłumaczeń ani wyjaśnień dra Mietka, obalił go na ziemię i ponownie skopał leżącego po brzuchu. Urazy kiszek, trzustki i wątroby pomimo intensywnego leczenia już na wolności

były trwałym skutkiem poniesionych szkód i powodem długotrwałej choroby, pobytów w szpitalach, konsultacji u specjalistów, aż wreszcie wywołały najgorsze powikłania, łącznie z zupełną ślepotą wskutek uszkodzeń i urazów nerwów.

Dr Mieczysław *Kotarbiński* po bardzo długiej chorobie zakończył życie w rodzinnym Kamieńsku, dokąd zdołał jeszcze powrócić i gdzie resztkami sił głównie przyczynił się do powstania wzorcowego Ośrodka Zdrowia, marzenia i celu swego życia lekarza. To był jego dar dla rodzinnego miasteczka i okolicy. Tam go oślepłego i z bólami przygłuszonymi działaniem narkotyków prowadzono niemal do ostatnich chwil życia.

Trudno opisać w jednym szkicu wszystkie epizody świadczące o wyjątkowym charakterze dra *Kotarbińskiego* jako lekarza i więźnia. Nawet w najgorszych chwilach skrajnego głodu, jak się okaże na końcu tej relacji, zachowywał on swą niezwykłą postawę wobec współwięźniów. Po ewakuacji obozu z Gross-Rosen w Sudety, z cichnącymi niestety w oddali odgłosami dział radzieckich pod Wrocławiem, w lutym, po trzech dniach spędzonych w odkrytych węglarkach, kiedy to mijaliśmy żyjące jeszcze przez ostatnie godziny Drezno, dowieziono nas do Litomierzyc. Zmarli i dostrzeleni pozostali w wagonach-węglarkach, a nas „żywych" popędzono za druty obozu w Leitmeritz (Litomierzyce). Tam po kilku dniach poznaliśmy skrajnie różniący się od Gross-Rosen nowy typ obozu. O ile w Gross-Rosen, zdaniem doświadczonych więźniów, mających już za sobą pobyt w kilku obozach, o wyjściu na wolność nawet nie można było marzyć z powodu panującego tam zbyt wielkiego i rygorystycznego porządku (te niezapomniane, wspaniale kwitnące rabaty kwietne i pokazowo urodzajne szeregi grządek z warzywami na ziemi użyźnianej prochami więźniów spalonych w krematorium!), o tyle Litomierzyce, gdzie spędzono tysiące więźniów ewakuowanych z przeróżnych obozów, tonące w nigdy nie wysychającym błocie, tworzyły obraz nieprawdopodobnego chaosu i bałaganu. Były to, co prawda, już ostatnie miesiące hitlerowskiego systemu i koniec wojny zbliżał się widocznie z każdym tygodniem. Setki alianckich bombowców ku naszej nieopanowanej radości przelatywały codziennie nad obozem do celów bombardowań, przy czym nie widzieliśmy ani jednego myśliwca niemieckiej obrony, ale żelazny rygor śmierci panował do ostatniej chwili istnienia obozu. Za kilka ziemniaków ukradzionych z kopców w polu, a znalezionych u więźnia podczas rewizji przy wchodzeniu przez bramę „komand" pracujących za drutami, wieszano codziennie po kilku nieszczęśników na widoku publicznym. W ogólnie jednak szerzącym się rozprężeniu mogła już prześwitywać nam nadzieja ocalenia.

Głównym terenem pracy w Litomierzycach były sztolnie wykute we wzgórzach otaczających obóz. Produkowano tam gąsienice i części składowe czołgów. Praca trwała na dwie „szychty" w dzień i w nocy. Jeszcze nas mordowano i dobijano z powodu rzekomego przewinienia braku maksymalnego wysiłku w pracy. Ale znany rozkaz *Himmlera* z 17 marca, żeby wszystkich więźniów wpędzić do sztolni, zamurować i wysadzić w powietrze, nie zostawiając żywego świadka wydarzeń i losów obozu, nie został wykonany. Po prostu esesmańskiej obsadzie obozowej zabrakło odwagi wobec zbliżającej się armii marszałka *Koniewa* i sojuszniczej armii gen. *Pattona*. Armie te kilka razy dziennie nadawały przez radio ostrzeżenia, że czynią osobiście odpowiedzialnymi esesmanów zatrudnionych w obozie — wraz z rodzinami — za stan więźniów, jaki stwierdzą po zajęciu obozu. Równocześnie dochodzące wieści o dogorywaniu niemieckich armii na odcinku berlińskim w sumie sparaliżowały nawet słynną esesowską subordynację. Na wykonanie tego rozkazu już się nie zdobyli.

W gnijącym i zapadającym się w bagnie podobozie Flossenbürga, jakim były Litomierzyce, już w pierwszych dniach pobytu równocześnie z drem Mietkiem *Kotarbińskim* zachorowaliśmy na dur wysypkowy. W osobnym, ściśle izolowanym baraku konaliśmy wraz z setkami innych, tym razem już bezapelacyjnie skazani na śmierć na słomie zawszonego barłogu. A jednak znowu, jeszcze raz, beznadziejne, złe przeznaczenie musiało ustąpić przed zbawczą ręką i pomocą niesioną nam przez polskiego lekarza. Kradzionymi w aptece *SS* środkami nasercowymi dr Janek *Nowak* pomagał nam przetrwać zapaści w kryzysie durowym i w największej tajemnicy przed konfidentami wkradał się co noc, przynosząc leki i skórki chleba gromadzie konających, żeby podtrzymać zamierające serca i zagłuszyć obłąkańczy, pierwszy głód podurowy. O tym rodzaju specjalnego głodu można napisać cały traktat, o tych tygodniach, w których człowiek uporczywie myśli i śni tylko o żuciu, jedzeniu, połykaniu. Stan taki nie ma nic wspólnego z trzeźwą świadomością, z jakąkolwiek samokontrolą lub możnością opanowania się. Zanika bez reszty każdy ludzki nabyty sposób myślenia i reakcji. Pozostaje i panuje wyłącznie jedno, jedyne, samozachowawcze pragnienie: jeść cokolwiek, byle jeść. Nie lekarstwa, ale ten chleb i okrawki z niego, przynoszone nam przez Janka *Nowaka*, były naszym największym upragnieniem i źródłem podniety ustroju zobojętniałego na wszystko, czego nie można było zjeść. Bardzo wielu udało się uratować, ale niestety i całe stosy zmarłych codziennie wynoszono i rzucano na ciężarowe „lory". Bezładne, stłoczone góry szkieletów ludzkich, przed godziną jeszcze żyjących, wywożono poza obóz i tam spalano w dołach wykopanych w tym celu. Z nielicznych, którym udało się przetrwać dur w tych warunkach i przeniknąć przez oka tej sieci śmierci, formomano specjalny transport... donikąd. Co kilka dni zabierano chwiejące się i pełzające, półprzytomne z bezsiły kukły, grzebiące w odpadkach śmietnisk za mirażem jakiegoś pożywie-

nia i wyprowadzano z obozu rzekomo w kierunku macierzystego obozu Flossenbürg, gdzie im obiecywano odbycie „rekonwalescencji". Tych ludzi nigdy już nikt nie zobaczył.

Jedną z grup uratowanych przez dra *Nowaka* tworzyła nasza trójka: dr *Kotarbiński*, inż. Michał *Szachowski* i ja. W najściślejszej tajemnicy przed władzami obozowymi umieszczono nas w jednej z sal baraku-„rewiru" jako ozdrowieńców po rozmaitych chorobach, ale rokujących nadzieję, że staniemy się wkrótce pełnowartościowymi siłami roboczymi. Tam lekarze nasi uczyli nas siadać, spuszczać nogi z kojek i wreszcie — szczyt wysiłku fizycznego — robić po kilka kroków, opierając się o ścianę, a przede wszystkim dokarmiali nas, czym tylko mogli. W obozie panował wtedy głód, jaki w obozach znano, a w życiu normalnym tylko fantazja literacka może podać do wierzenia. Oto przykład oparty ściśle na prawdzie i osiągalnych dla nas wtedy „przepisach". Koledzy pracujący za drutami przemycali nam do „rewiru" ziemniaki ukradzione w polu, po 5 do 8 sztuk. Wieczorem, po apelu, kiedy już można było liczyć na jaki taki spokój, wrzucaliśmy je do 5-litrowej blaszanej bańki po niemieckich konserwach. Bańkę tę stawialiśmy z wodą na blokowo-„rewirowym" piecyku i gotowaliśmy, gotowaliśmy te ziemniaki aż do zupełnego rozgotowania, żeby potem podział nie sprawiał żadnych trudności. Do tego wrzucaliśmy całą, spaloną na czarno cebulę (jedną, dla smaku!) i szczyptę soli bydlęcej, czerwonej, też podrzuconą nam przez kolegów z „komand". Po kilkakrotnym zagotowaniu „zupa" była gotowa i dzielona na 10 kolegów. Wypadało po pół litra na głowę. Lata całe potem nie jadłem tak smacznej zupy. Żyją jeszcze koledzy i wspólnicy tych „uczt".

I nagle, któregoś dnia tego obłędu głodowego, Janek *Nowak*, wówczas pierwszy lekarz obozowy, wniósł i swymi tajnymi sposobami zdobył dla ciężej chorych „rewiru" kaszę i cukier — jako dodatek, dietę! Pomagał mu w tej „organizacji", czy egzekwowaniu jako lekarskiego honorarium za badanie i leczenie, z kuchni *SS*, nasz najbliższy i drogi naszym sercom *„kumpel"* — wyjątkowo nie lekarz, ale leśnik — Kazik *Pięta*, prowadzący zaopatrzenie „rewirów". Taką czerwoną, łupkową miskę obozową z prawdziwą kaszą i prawdziwym cukrem otrzymaliśmy i my, *Kotarbiński*, *Szachowski* i ja. Zaszyliśmy się w jakiś zakamarek strychu i tam kolejno, jeden po drugim, jedliśmy. Łyżkę — Mietek, następną — Michał i trzecią — ja. Nie sądzę, abyśmy musieli wstydzić się naszych drżących rąk, niosących wtedy łyżkę do ust. Syciliśmy się nie tylko własnym doznaniem jedzenia, ale i widokiem jedzącego towarzysza. A w bezgranicznie szczerej otwartości, panującej między nami, otwarcie przyznawaliśmy się, że każdy z nas czeka na „coś", co by pozwoliło zjeść poza kolejką jeszcze jedną łyżkę. Tego „czegoś" nigdy nie umieliśmy nazwać. I zdarzało się, że dr Mietek *Kotarbiński* przerywał jedzenie i odchodząc mówił: „Zjedzcie resztę za mnie, ja mam jeszcze dodatkowy chleb od wczoraj". I szybko wychodził. Jak on cudownie kłamał! A my z Michałem połykaliśmy pozostałą resztę kaszy z cukrem, we dwóch. Taki był dr *Kotarbiński*. Tacy byli nasi przyjaciele-lekarze. Przeprowadzali nas przez najgorsze dni nędzy więźnia aż do rozpadnięcia się obozu, a potem wlekli nas bezwolnych i chorych do życia i powrotu. „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym".

HALINA KĘPIŃSKA-BAZYLEWICZ („KORA")

Piotrków Trybunalski

Dr Bolesław Kwapiński

„Wieczorami porozumiewaliśmy się ze sobą przez drzwi cel w piwnicy gestapo, a potem i to było niemożliwe, gdyż dr *Kwapiński* był tak storturowany, że nie miał siły nawet rozmawiać; gestapowcy znęcali się nad nim, wieszali go za ręce i barbarzyńsko bili". Są to słowa z relacji świadka, który w tym samym czasie przebywał w piotrkowskim gestapo jako więzień, Bolesława *Rudzińskiego*, przedwojennego PPS-owca. Tak hitlerowcy katowali dra Bolesława *Kwapińskiego*, lekarza i społecznika, wiceburmistrza Sulejowa w powiecie piotrkowskim, zasłużonego działacza PPS, konspiratora, człowieka ogólnie lubianego i bardzo szanowanego.

Dr Bolesław Sylwester *Kwapiński* związał swe życie z Sulejowem, aczkolwiek urodził się i wychował na Górnym Śląsku, gdzie przyszedł na świat w roku 1892 w Będzinie. Uczuciowo związał się z zielonym krajobrazem pól nadpilickich i tu pozostawił po sobie dobre i serdeczne wspomnienie. Pochodził z rodziny górniczej i wcześnie poznał gorzki smak życia. Osierocony przez matkę, a następnie przez ojca, nie zaznał szczęścia lat dziecinnych. Sam musiał przełamywać trudności życiowe. Uzdolniony i ambitny, uczył się zarabiając korepetycjami; w ten sposób doszedł do ukończenia studiów lekarskich w Uniwersytecie Warszawskim. Dyplom lekarza otrzymał 20 kwietnia 1917 roku. Już na studiach związał się z lewicowym ruchem studenckim.

W czasie wojny 1919/20 roku dr *Kwapiński* służył w Wojsku Polskim w stopniu porucznika jako komendant pociągu sanitarnego. Po zdemobilizowaniu w roku 1920 przyjechał do

Sulejowa i tu pozostał aż do tragicznego aresztowania przez gestapo w roku 1943. Do PPS-Lewicy wstąpił w roku 1923. Był przewodniczącym jej Komitetu w Sulejowie, a od roku 1927 — członkiem Komitetu Okręgowego w Piotrkowie, obejmującego swą działalnością teren tego miasta, Tomaszowa Mazowieckiego i Brzezin. W roku 1924 był jednym z założycieli Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych i jednocześnie organizatorem Koła Młodzieży TUR w Sulejowie. Powstał tam wówczas teatr amatorski i chór.

Dr Bolesław Kwapiński

Duchowym kierownikiem organizacji PPS w Sulejowie był dr *Kwapiński* i gdy w latach 1929—1932 wybuchały strajki w tartakach i wapiennikach, działał on w komitecie strajkowym wespół z takimi działaczami PPS i KPP, jak Jan *Leski*, Józef *Kabziński*, Władysław *Gajda*. Strajki zmierzały do zapobieżenia obniżce zarobków i przeciwstawiały się zwalnianiu robotników.

Dr *Kwapiński* — mimo rozległych obowiązków zawodowych, związanych z pracą w Ubezpieczalni Społecznej w Sulejowie i z praktyką prywatną — dużo czasu poświęcał działalności polityczno-oświatowej, rozwijanej przez kluby OM TUR. Wyjeżdżał w teren i na wieś z prelekcjami uświadamiającymi do Rączna, Koła, Dąbrowy. Z inicjatywy dra *Kwapińskiego* wybrano Sulejów jako miejscowość, w której miał być wybudowany Dom imienia Teofila *Jaszkowskiego*, założyciela Czerwonego Harcerstwa w Piotrkowie, dla młodzieży TUR. Miała ona tam przechodzić trzytygodniowe przeszkolenie i instruktaż ideologiczny. Budową tego domu dr *Kwapiński* zajmował się osobiście. Rozprowadzano cegiełki na ten cel, a teatr amatorski, który dr *Kwapiński* zorganizował przy klubie OM TUR, występował w Sulejowie i w okolicy; dochody przeznaczono na budowę Domu. Rząd jednak nakazał w latach 1936—1937 konfiskatę tego Domu.

W Sulejowie był wówczas bardzo aktywny zespół działaczy PPS (wspomniani już *Leski* i *Kabziński*, Franciszek *Sosnowski*, Jan *Kiełkiewicz*). Licznym poczynaniom patronował dr *Kwapiński*, znany ze swej niespożytej energii i zaangażowania w sprawy społeczne. Ruchliwy, zawsze komuś potrzebny, bardzo lubiany, towarzyski, życzliwy dla ludzi, zorganizował w Sulejowie także spółdzielczość robotniczą. Był założycielem sklepu spółdzielczego i jadłodajni spółdzielczej. Utworzył kasę zapomogową dla robotników. Biednym udzielał pomocy lekarskiej bezinteresownie, często dając pieniądze na kupno leków i żywności. Zajmował się medycyną ogólną; miał specjalizację ginekologiczną.

W roku 1937 wszedł do Rady Miejskiej i został wiceburmistrzem Sulejowa. Łączyły go więzie serdecznej przyjaźni ze Stanisławem *Dubois*, drem Adamem *Próchnikiem*, Hermanem *Liebermanem*. Ich częste wizyty w Sulejowie świadczą o wadze i dynamice lewicowych organizacji sulejowskich.

W okresie okupacji hitlerowskiej działalność tamtejszej PPS nie ustała. W domu dra *Kwapińskiego* był stały punkt kontaktowy. Otrzymywane tutaj stale czasopisma konspiracyjne (redagowana przez Stanisława *Dubois* „Barykada Wolności" i „Wolność, Równość, Niepodległość") dr *Kwapiński* rozprowadzał wśród towarzyszy. Nadal opiekował się najbiedniejszymi. Udzielał pomocy lekarskiej i materialnej rannym partyzantom i dywersantom; przekazywał środki opatrunkowe i leki do oddziałów leśnych.

Masowe aresztowania członków PPS w Piotrkowie i w Sulejowie nie ominęły dra *Kwapińskiego*. W czerwcu 1943 roku uwięziono go wraz z żoną, Heleną. Maltretowany i torturowany, siedział przez parę tygodni w piwnicy piortkowskiego gestapo, a następnie został wywieziony z żoną transportem więźniów do obozu w Oświęcimiu. Tam na rampie kolejowej ujrzał go wspomniany uprzednio Bolesław *Rudziński*, którego relacja odtwarza ówczesne przejścia: „Doktor *Kwapiński* słaniał się na nogach, nie był w stanie iść. Na rampie odbywała się już pierwsza selekcja; docisnąłem się jakoś do niego i z innym więźniem, podtrzymując go z obu stron, przekroczyliśmy bramę obozu. Następnego dnia, gdy spędzono nas do *waschraumu*, ujrzałem dra *Kwapińskiego* posiniaczonego, spuchniętego, ze śladami silnego pobicia na ciele, z poprzetrącanymi rękami i nogami". Skatowanym, który po razach gestapowskich miał również ciężkie zaburzenia równowagi, zaopiekowali się polscy lekarze, więźniowie oświęcimscy. Dr *Kwapiński* przebywał w „rewirze" jako chory, a następnie pracował tam jako lekarz. Miał numer obozowy 132014.

Jego żona, Helena, po paru miesiącach, jesienią 1943 roku, zmarła na dur wysypkowy w Brzezince. Był to dla niego ciężki cios. Z tą śmiercią nigdy nie mógł się pogodzić. Przebywanie w obozie oświęcimskim, to dalszy ciąg jego życia poświęconego innym. Wyzyskując swe możliwości lekarza w oświęcimskim „rewirze" zakaźnym, nawet w warunkach obozowych niezwykle uczynny i ludzki, pomagał swym współtowarzyszom, ratował współwięźniów przed selekcjami, dokarmiał ich i otaczał opieką. Spotkał tam Sabinę *Leską* z Sulejowa, córkę Jana, z którym współpracował przez wie-

le lat poprzedzających aresztowanie. Uratował ją przed śmiertelnym zastrzykiem fenolu.

Na przełomie lat 1944 i 1945 dr *Kwapiński* wraz z innymi więźniami został przewieziony do obozu w Oranienburgu; miał tam numer 114656. Zima 1945 roku była ostra i mroźna. Do obozu napływały ciągle transporty więźniów. Z wagonów towarowych wyładowywano stosy zmarzniętych ludzi i przewożono do krematorium obozowego. Dr *Kwapiński* szukał u nich na próżno choćby znikomych śladów życia. W tym obozie pomagał on drowi Antoniemu *Ostaszewskiemu* w zorganizowaniu trzech baraków dla chorych na gruźlicę. Wkrótce *Ostaszewskiego* zabrano do innej komendy i kierownikiem baraków został *Kwapiński.*

W marcu 1945 roku władze obozowe nakazały zbadać radiologicznie wszystkich więźniów. Chodziło o likwidowanie chorych na gruźlicę. Badania odbywały się pod nadzorem niemieckim. Niemcy często kwalifikowali więźniów tylko na podstawie pobieżnych oględzin zewnętrznych lub wyłączali tych, którzy mieli kaszel z powodu przeziębienia. Dr *Kwapiński* uratował wielu. Z szeregu idących po śmiertelne zastrzyki fenolu wyciągnął Bolesława *Alwasa* (nr obozowy 28108), nie żyjącego już Józefa *Winciorka* i innych. Nie mógł jednak uratować wszystkich.

Gdy Niemcy nakazali mu zrobić listę chorych na gruźlicę, powiedział wówczas swojemu przyjacielowi, którego spotkał w obozie, Władysławowi *Millerowi* (nr obozowy 28048): „Jestem przede wszystkim lekarzem i nigdy tego nie uczynię, nie przyłożę ręki do wydawania wyroku śmierci, będę walczył o każde życie ludzkie. To, co dziś wydaje się beznadziejne, jutro może mieć szansę. To jest nakazem mojego sumienia". Był wieczór. Przyjaciele rozstali się. Następnego dnia rano Władysław *Miller* poszedł do baraków, by zobaczyć się z drem *Kwapińskim.* Sanitariusz oznajmił, że zastał go wczesnym rankiem leżącego bez życia i że ciało zabrano do krematorium. W ojczyźnie nie ma swego grobu, ale żyje pamięć o nim wśród tych, którzy z nim pracowali i przeżywali dni obozowe. Nie pozwólmy pamięci tej zaginąć.

*

Opracowano na podstawie ustnych relacji 1) Bolesława *Alwasa,* działacza PPS, byłego więźnia obozu Sachsenhausen-Oranienburg nr 28108; 2) ppłka dra med. Zbigniewa *Kwapińskiego* (syna); 3) Jana *Leskiego,* działacza KPP i PZPR; 4) Władysława *Millera,* działacza PPS, byłego więźnia Sachsenhausen-Oranienburg nr 28048; 5) Bolesława *Rudzińskiego,* działacza PPS, byłego więźnia gestapo piotrkowskiego i Oświęcimia-Brzezinki nr 132028; 6) dra med. Zygmunta *Tencnbauma.*

JÓZEF FALGOWSKI Lublin

Dr Jan Řihà

W roku ubiegłym minęła kolejna, 26 smutna rocznica, obchodzona w ścisłym gronie rodzinnym, 7 czerwca 1943 roku bowiem zmarł w obozie na Majdanku dr med. Jan *Řihá* jako jedna z ofiar spośród lekarzy-więźniów. Urodził się on 29 kwietnia 1894 roku w miejscowości Protiwin (powiat Pisek) w późniejszej Czechosłowacji. Był synem lekarza. Pochodził z jednego z najstarszych tamtejszych rodów lekarskich. Dyplom (*medicinae universitae doctor*) uzyskał w roku 1920 na Uniwersytecie im. Karola w Pradze. Praktykę lekarską zdobył w różnych specjalnościach na oddziałach szpitalnych w Pradze i w innych miastach.

Ostatnio przed aresztowaniem przez gestapo pracował w Morawskiej Ostrawie. Był tam lekarzem ośrodka miejskiego i lekarzem kolejowym, szkolnym, więziennym oraz kierownikiem poradni dla dzieci. Ponadto był bardzo czynny także w życiu kulturalnym.

Całe swe krótkie życie poświęcał dla ludzi i ich zdrowia. Nie sposób w kilku zdaniach wyczerpać biografii dra *Řihy.* Swój czas wolny od zajęć lekarskich poświęcał dzieciom i dorastającej młodzieży. Dążył do wczesnego wykrycia niedomagań i chorób. Jako kierownik poradni dla dzieci w Ostrawie organizował podczas wakacji ośrodki wypoczynkowe. Współpracował z nauczycielami; organizował teatry amatorskie, w których aktorami były dzieci. W tematyce przedstawień pokazywano przyczyny powstawania chorób i ich skutki. Dr *Řihá* również pisał popularne artykuły do gazet i wygłaszał pogadanki w radio.

W szkołach systematycznie kontrolował stan zdrowia dzieci. Dla każdego dziecka założył specjalną kartę zdrowia, w której regularnie co miesiąc wpisywano ciężar dziecka, uwagi o jego zdrowiu, warunkach fizycznych i warunkach rodzinnych. Stwierdziwszy konieczność skierowania dziecka do leczenia szpitalnego, dr *Řihá* sam się tą sprawą zajmował i kierował nią do końca. Po kilku latach praktyki z młodzieżą szkolną opracował specjalny schemat wskazówek leczniczych dla poszczególnych uczniów, który jako wzór przesłał do Ministerstwa Szkół. Dzięki temu wprowadzono podobne karty zdrowia w innych szkołach. Wzór ten został także zatwierdzony jako obowiązujący w szkołach Czechosłowacji. Dr *Řihá* był autorem wielu książek i kalendarzy zdrowia.

Gestapo aresztowało go 5 października 1938 roku z przyczyn politycznych i za pomoc udzielaną więźniom osadzonym w miejscowym wię-

zieniu w Morawskiej Ostrawie. Był sądzony i deportowany do obozów koncentracyjnych, najpierw w Sachsenhausen-Oranienburgu, później pod numerem obozowym 17759 w Dachau [1].

8 grudnia 1941 roku przybył na Majdanek w grupie pięciu lekarzy, wśród których był jego rodak, lekarz *Zdenko Wiesner*. W tym czasie obóz na Majdanku był w okresie organizacji. O „rewirze", czyli szpitalu dla więźniów nie było jeszcze mowy. Praca lekarzy ograniczała się tylko do przeglądu sanitarnego wśród pierwszych więźniów Majdanka, którymi byli jeńcy radzieccy. Wykazywali oni maksymalne wyniszczenie głodowe i choroby zakaźne, które zbierały obfite żniwo śmierci. Szerzył się też zastraszająco szybko dur wysypkowy. Codziennie rano lekarze wywlekali dziesiątki zwłok, które musieli zakopywać w masowych grobach.

Wiosną 1942 roku nastąpił ogromny napływ więźniów do obozu, a wraz z nim epidemie chorób zakaźnych. Władze obozowe, obawiając się panicznie duru wysypkowego, wydały zezwolenie na utworzenie szpitala dla więźniów. Różnorodność chorób wpłynęła na konieczność podziału szpitala na kilka oddziałów. W wyniku tego podziału dr *Řihá* jako internista objął poradnię chorób wewnętrznych, mając przydzielonego do pomocy swojego rodaka, lek. *Wiesnera*. Dr *Řihá* prowadził tę poradnię w obozie do czasu, kiedy sam zachorował na dur wysypkowy, którego wycieńczony już ustrój nie przetrzymał. Śmierć nastąpiła 7 czerwca 1943 roku.

[1] Następnie 8. XII. 1941 r. wraz z drem Janem *Řihą* przybyli do Majdanka lekarze dr Aleksander *Burse*, dr Otto *Hett*, dr Roman *Pawłowski* i dr *Zdenko Wiesner*.

Dr med. Tadeusz *Kosibowicz* w swoich wspomnieniach tak charakteryzuje dra *Řihę*: „Był bardzo spokojnym człowiekiem i dobrym kolegą. Często po pracy grywał na ustnej harmonijce smętne piosenki czeskie. Śpiewem umilał sobie czas w obozie. W piosenkach przenosił się do swych rodzinnych stron, do żony i swojego jedynego, ukochanego synka" [2]. Jak dla wielu więźniów, tak i dla dra *Řihy* piosenki te były pokrzepieniem serca i ducha w najcięższych, obozowych chwilach. Słowa piosenek przybliżały mu ojczyznę. W chwilach wolnych od pracy najczęściej grał i śpiewał z drem *Wiesnerem* arie z opery „Jakobin" Antoniego *Dworzaka*, narodowego kompozytora czeskiego. Niestety jednak choroba okazała się silniejsza. Dr *Řihá* nie wrócił do rodzinnych stron, do których tęsknił i o których śpiewał. Jego prochy spoczęły w bratniej, międzynarodowej mogile ofiar Majdanka na polskiej ziemi.

O śmierci dra *Řihy* władze obozowe na Majdanku powiadomiły jego żonę, Antoninę *Řihową* [3], pismem z dnia 15 czerwca 1943 roku, że jej mąż, dr Jan *Řihá*, zmarł w obozie 7 czerwca 1943 roku o godzinie 8.30, a kremacja jego zwłok nastąpiła w dniu 10 tegoż miesiąca [4].

Pozostał wierny tym, których leczył, bronił, ratował przed śmiercią, aż sam w 49 roku życia padł jej ofiarą.

[2] T. *Kosibowicz:* Wspomnienia. Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku. Sygn. VII-24, s. 8.

[3] W opracowaniu artykułu skorzystano między innymi z wiadomości zawartych w korespondencji z wdową.

[4] Księga zgonów, nr 1009 (rok 1943), kancelaria parafialna Piotra i Pawła w Lublinie.

Ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w Polsce, *Walter J. Staessel (Jr)*, z córkami, w czasie zwiedzania byłego obozu oświęcimskiego 24 czerwca 1969 roku (zdjęcie z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

JÓZEF BOGUSZ

Kraków

O wspomnieniach „muzułmana"

Wydanie książkowe [1] udostępniło czytelnikom wspomnienia Adolfa *Gawalewicza*, byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, w zwartej całości, powstałej z połączenia pięciu artykułów, po dokonaniu przez autora koniecznych zmian i uzupełnień. Pierwodruk poszczególnych fragmentów relacji ukazywał się w latach 1963—1967 w corocznie wydawanych od roku 1961 zeszytach specjalnych niniejszego miesięcznika naukowego, „Przeglądu Lekarskiego", poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji (zeszyty 3—7 „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim").

Oryginalny styl autora, umiejętność zachowania ścisłości faktów i wnikliwego ujęcia psychologicznego, przy jednoczesnym zastosowaniu formy zabarwionej szczególnym humorem, zwróciły uwagę odbiorców „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" i wzbudziły mnóstwo głosów, dopominających się o osobne wydanie tego refleksyjnego pamiętnika. Zauważono od razu, że na tle setek dotychczas wydanych wspomnień obozowych stanowi on nowość nie tylko pamiętnikarską, lecz także literacką.

Warto dodać, że liczne prace ogłoszone w naszych zeszytach, między innymi wspomnieniowe, są fragmentami lub skrótami obszerniejszych maszynopisów. Niektóre teksty, po wydrukowaniu urywków w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" [2], ukazały się później w wydaniach książkowych [3]. Autorzy wielu innych tekstów podjęli pracę dopiero po odpowiedniej inspiracji ze strony redakcji, wiadomo bowiem, że zwłaszcza byli więźniowie, jeśli nie widzą możliwości doprowadzenia swych tekstów do druku, nie podejmują trudu pisania i nie decydują się na uciążliwy powrót pamięcią do okresu swych ciężkich przeżyć. Praca *Gawalewicza* jest przykładem wyniku takiej zachęty.

Adolf *Gawalewicz*, doktor praw, pracownik Zarządu Miejskiego w Krakowie, został aresztowany przez hitlerowców 16 września 1940 roku. Paszportem do Oświęcimia stał się dla niego kolportaż nielegalnej prasy podziemnej. Podczas rewizji znaleziono fotografie pomnika Mickiewicza na Rynku krakowskim, wykonane skrycie podczas ściągania figury z cokołu. Gestapo umieściło *Gawalewicza* w więzieniu przy ulicy Montelupich. Od stycznia 1941 roku, tj. po 4 miesiącach, przebywał on w obozie oświęcimskim przez 3 lata i 5 miesięcy. W dniu 23 czerwca 1944 roku przewieziono go do obozu w Buchenwaldzie, następnie do Dory, a w połowie lipca 1944 roku do Ellrich.

Z obozu w Ellrich *Gawalewicz* rozpoczął 1 kwietnia 1945 roku pamiętną podróż ewakuacyjną do Bergen-Belsen, która trwała 8 dni, tj. do 8 kwietnia 1945 roku. Wyzwolenie obozu przez wojska angielskie nastąpiło 15 kwietnia 1945 roku. Taka jest sucha kronika dziejów okupacyjnych autora.

Los wyznaczył mu już po kilku miesiącach pobytu w Oświęcimiu miejsce w kategorii więźniów zaliczanych do rzędu tzw. „muzułmanów", nazywanych po niemiecku *Musellmann*. Co ten termin oznaczał, najkrócej określa prof. dr Władysław *Kuraszkiewicz* w rozprawie pt. „Język polski w obozach koncentracyjnych" (Lublin 1947): „najniższa nędza obozowa". W atmosferze beznadziejności, prawie zupełnie otępiali, skrajnie wycieńczeni fizycznie i psychicznie „muzułmanie" wegetowali w obozach hitlerowskich, najczęściej oczekując na zbawczą śmierć. Niewielu z nich przeżyło hitlerowską katorgę. Do garstki ocalałych należy *Gawalewicz*. Pisze on:

> „U kolegów cieszyłem się (jeżeli tak można się wyrazić) opinią odwiecznego, a mimo to ciągle jeszcze żyjącego «muzułmana». Wygląd mój przez całe lata idealnie odpowiadał definicji prof. *Olbrychta* dla «postaci suchej» choroby głodowej. W rozprawie [4] o zagadnieniach zdrowotnych w obozie koncentracyjnym autor określa chorobę głodową i pojęcie «muzułmana» (...). W karierze «muzułmana» przeszedłem chyba wszystkie szczeble (z wyjątkiem oczywiście śmierci). Dlatego ogromna większość moich obozowych przyjaciół i kolegów należała do kasty «muzułmańskiej». Oni nie napiszą już żadnych wspomnień" [5].

Niejako także w imieniu tych, których przemogły „flegmony", *durchfall*, fenol, głód i gaz, *Gawalewicz* utrwalił, jak pisze, również „jakieś strzępy doznań wspólnych dla tych wszystkich współtowarzyszy" [6]. Mimo ścisłości jego relacji i mimo sugestywności tekstu zdajemy sobie sprawę, że pełniejsza relacja o przeżyciach więźniów obozów hitlerowskich, odtwarzająca i przekazująca komunikatywnie ich doznania tym, którym los pozwolił uniknąć tragedii obozowej, nie jest możliwa. Ale podając fakty i wydarzenia, w których osobiście brał

---

[1] A. *Gawalewicz*: Refleksje z poczekalni do gazu. Ze wspomnień muzułmana. Red. J. *Pociecha*. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, ss. 165, nlb. 3.

[2] Np. E. *Ciesielski*: Ucieczka z Oświęcimia. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 218—224 (skrócony rozdział rękopisu).

[3] E. *Ciesielski*: Wspomnienia oświęcimskie. Słowo wstępne M. *Kiety*. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, ss. 180.

[4] Przegl. Lek., 1962, nr 1a, s. 40.

[5] A. *Gawalewicz*: o. c., s. 26—27.

[6] Tamże, s. 27.

udział, *Gawalewicz* w niemałym stopniu oddaje również to, przez co przeszli jego współtowarzysze. Dzięki temu też jego wspomnienia nabrały nieprzeciętnej wartości dokumentarnej. Należał on do „muzułmanów aktywnych", jak sam to określa. Takie jest założenie wspomnień autora.

Kompozycja omawianej książki polega na odpowiednim połączeniu i uzupełnieniu serii artykułów autora, uprzednio ogłoszonych, jak wspomniano, w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Wnikliwe opisy są uzupełnione zdjęciami dokumentarnymi; niektóre z nich, wykonane przez Niemców w latach 1942—1943, pochodzą z tzw. „zbioru Lawina" i zostały udostępnione przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

czytelnik zapoznaje się z pierwszym okresem losów wojennych autora, tj. z pobytem w więzieniu i z początkowym okresem przebywania w Oświęcimiu. Zawarty w trzecim rozdziale („Poczekalnia do gazu") opis przeżyć autora w bloku, skąd więźniów zabierano do zagazowania, a zatem w przedsionku śmierci, który był rzeczywiście „poczekalnią do gazu", jest cennym przyczynkiem do psychologicznych rozważań dotyczących znoszenia terroru i cierpień.

Dwa następne rozdziały („Finał «epopei lagrowej»" i „Prolog ludzkiego życia"), których treść trafnie oddaje wspólny tytuł „Numer wraca do nazwiska", użyty w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", dalej wciągają czytelnika w świat dramatycznych przeżyć więźnia.

Ryc. 1. Reprodukcja zdjęcia obozowego dra Adolfa *Gawalewicza*

Drobny, szczupły, chorowity, mający bardzo słaby wzrok, dr *Gawalewicz* musiał w Oświęcimiu rychło stać się „muzułmanem". Ważył w obozie 36 kg. Ale zachował mimo to zdumiewającą bystrość spostrzegania i zdolności zapamiętywania. Pozwoliło mu to odtworzyć po latach trudne do wyobrażenia dla niewtajemniczonych przeżycia z owego okresu nieludzkiego, bez patosu i koturnów, bez wdrapywania się na szczeble bohaterstwa. Warto dodać, że relacje *Gawalewicza* należały do najcenniejszych materiałów będących przedmiotem analizy patopsychologicznej, dokonanej przez zespół lekarzy z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie, badających zagadnienia psychiatryczne obozów koncentracyjnych.

W rozdziale pierwszym („Rozważania z dystansu czasu") autor podjął retrospektywną próbę rozważenia niektórych zagadnień moralnych, jakie wyłaniają się dziś coraz mocniej w piśmiennictwie i wymagają dalszego naświetlenia. Są to sprawy trudne, dyskusyjne, niekiedy drażliwe, ale tym ważniejsze, ponieważ propaganda zachodnioniemiecka usiłuje przez fałszywe naświetlenie przerzucić winę za różne zbrodnie i przeciwludzkie warunki panujące w obozach na samych więźniów, a odciążyć system hitlerowski i załogi esesowskie.

W rozdziale drugim („Wakacje nad Sołą")

„Finał «epopei lagrowej»", to losy *Gawalewicza* w końcowym okresie pobytu w Oświęcimiu, podczas przejściowych etapów w Buchenwaldzie i Dorze, na koniec w Ellrich w Turyngii. Tu musiał przetrwać jeszcze morderczą pracę w podziemnej fabryce w górach Harzu, produkującej tajemniczą bron V2. Wreszcie autor podejmuje, jak pisze [7], próbę według niego z góry skazaną na niepowodzenie: odtworzenie klimatu podróży pociągiem ewakuacyjnym z Ellrich do *KL* Bergen-Belsen. Opis podróży trwającej osiem dni bez jedzenia i wody stanowi jedyne w swoim rodzaju psychologiczne arcydziełko o odczłowieczeniu człowieka. Ze 100 więźniów wtłoczonych do wagonu pozostało po tej podróży przy życiu zaledwie 36. W Bergen-Belsen więźniowie przez następny tydzień przebywali nadal zupełnie bez pożywienia aż do dnia wyzwolenia 15 kwietnia 1945 roku [8]. Śmierć tysiącami zabierała tam wtedy wycieńczonych i wygłodzonych więźniów, bytujących w obozie pozbawionym żywności, wody i odpowiednich pomieszczeń.

Jeśli chociaż czegokolwiek można by się dowiedzieć bliżej o doznaniach tych ofiar, to

---

[7] Tamże, s. 115.

[8] Zob. też M. *Beardwell-Wieleżyńska*: Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu. Przegl. Lek., 1967, s. 112—121 (tamże zdjęcia dokumentarne).

najlepiej właśnie z relacji *Gawalewicza*. Przez te siedem dni w Bergen-Belsen, jak pisze, wegetował „przeważnie na placu przed blokiem w charakterze pełzającego lub leżącego ludzkiego czworonoga" i dalej:

„Coraz bardziej malało moje pole widzenia, skala zainteresowań i możliwość odbierania wrażeń. Ale mimo wszystko ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że są to ostatnie godziny *lagru*. Motorem przetrwania był jakiś przedziwny upór w dążeniu do doczekania się końca wojny, ogromna ciekawość, co będzie potem. Byle dożyć wyzwolenia, sprawdzić, jaki będzie ten świat okupiony tak bezmiernie wielką ceną masowego, podłego umierania. To nieprawda, że stosy półżywych istot zalegających *lagrowe* tereny Belsen myślały wyłącznie o zupie z brukwi, wodzie i suchym cieple" [9].

Kontrastem jest opis prawdziwego raju, którym na tym tle było leczenie w angielskim szpitalu, wśród upragnionej ciszy, w warunkach spokojnego snu na białej pościeli. Jakże wymowny jest krótki epizod, wyrazistą pointą rysujący tę zmianę sytuacji. Z głębokiego snu zbudziło udręczonego więźnia pytanie, które, jak pisze, sprawiało wrażenie niemożliwe do wyobrażenia, aby było skierowane do niego, „sponiewieranego, nędznego ochłapa. Łagodny, melodyjny, kobiecy głos dźwięczy polską mową: «Może p a n napije się herbaty?» Długo nie otwieram oczu, bo i po co? Na pewno umarłem i mimo wszystko dostałem się do nieba" [10].

Ryc. 2. Dr Adolf *Gawalewicz* po poobozowym pobycie w Szwecji

Rozdział piąty („Prolog ludzkiego życia") maluje dzieje autora po oswobodzeniu obozu i w czasie pobytu w Szwecji, dokąd go przewieziono z powodu czynnej gruźlicy płuc. Tu znowu czytelnik przeczyta jednym tchem rozważania na temat kontrastów, na temat żartów i śmiechu w czasie pogrzebu serdecznego kolegi, o drodze do umierania, o przygotowaniach do operacji i o wrażeniach po niej, uwagi o listach do matki, kapitalną rozmowę ze Szwedką, panią *Gudrun*, która swą naiwną oceną warunków obozowych rozbraja i przeraża zarazem, gdy się weźmie pod uwagę, jak mało ludzi na świecie zna i chce znać prawdę o hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Tego rodzaju epizody w prozie *Gawalewicza* reprezentują najlepiej jego lekki, często gorzkim w swej istocie dowcipem zabarwiony, a zarazem dogłębny i wzruszający styl.

Rozdziały II—V na przykładzie osobistych przeżyć i spostrzeżeń autora rozwijają i obrazują retrospektywny, refleksyjny pogląd na sprawy minionych, najstraszniejszych lat, przedstawiony w rozdziale pierwszym. Autor znakomicie wykonał to szczególnie trudne zadanie, do tego stopnia, że jego relacja mówi więcej niż liczne prace naukowe poświęcone psychopatologii obozów hitlerowskich, odchodzące od swoistych przeżyć poszczególnych więźniów do zestawień liczbowych i prób uogólniających wniosków.

Problematyka wojenna zajmuje duży obszar zarówno prozy literackiej, jak też tekstów wspomnieniowych, dokumentarno-historycznych i naukowych, zwłaszcza polskich. Światowa literatura obozowa stanowi dość spory wycinek piśmiennictwa. Nie istniejąca jeszcze, pełna bibliografia obozowa sięgałaby dziesiątków tysięcy pozycji. Świadczą o tym bibliografie dotyczące poszczególnych obozów, jak np. Oświęcimia-Brzezinki [11]. Wśród mnóstwa prac literatura piękna usiłowała syntetycznie przedstawić rzeczywistość obozową i sprawę zbrodni hitlerowskich.

Warto przypomnieć, że spośród wybitnych autorów polskich, którzy uniknęli obozu, klasycznym już przykładem jest Zofia *Nałkowska*. Jej „Medaliony", to sucha relacja o faktach, wstrząsających swą protokolarną nagością, a zarazem mocna dzięki znalezieniu najdoskonalszej formy stylistycznej. Jeszcze po upływie ćwierćwiecza przekonujemy się, że tematyka wojenna i okupacyjna nie znosi sztucznych upiększeń i „literackiego" fabularyzowania. Ponurą grozę i drapieżność odczłowieczonej istoty ludzkiej oddał Tadeusz *Borowski*, były więzień, w „Pożegnaniu z Marią", czy też w „Kamiennym świecie". Stosując oszczędnie środki literackie i trafnie je dobierając, autor ten dał trudny do naśladowania wzór literatury obozowej. „Dymy nad Birkenau" lub zbeletryzowana synteza „Krzyk wiatru" Sewerymy *Szmaglewskiej* ogarniają szeroki zakres obozowych zbrodni i wnikają w mechanizm tortur psycho-fizycznych i śmierci, które nie zdołały zabić wiary w niekonformistyczne życie do końca i nadziei na wolność. Tadeusz *Hołuj* w „Końcu naszego świata" eksponuje między innymi ruch oporu więźniów, realizowany w najniebezpieczniejszych warunkach. Można by wyliczyć wiele cennych i znanych utworów obozowych, w których dokumentarna wartość wspomnień splata się z wysokimi zaletami literackimi.

Ale wspomnienia Adolfa *Gawalewicza* nawet w konfrontacji z tymi najwybitniejszymi dziełami wnoszą nowy sposób ujęcia problema-

[9] A. *Gawalewicz*: o. c., s. 122.
[10] Tamże, s. 128.
[11] J. *Lukowski:* Bibliografia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Cz. I—III. Wyd. Międzynarodowy Komitet Oświęcimski, Warszawa 1968. Jest to wykaz 6 453 pozycji.

tyki, która wciąż wymyka się spod syntetycznej, wszechstronnej, najwierniejszej rekonstrukcji i oceny. Większość utworów obozowych w ogólnie znanej literaturze eksponuje grozę i patos, bohaterstwo i męczeństwo, ekspresyjną wymowę zagadnień z pogranicza życia i śmierci; pesymizm często góruje w tych tekstach nad optymizmem. *Gawalewicz* przezwycięża te próby ujęć i chyba też samego siebie, gdy przywołuje tutaj lekki, trafny *esprit*, „humor krematoryjny". Być może, przeżył aż tak tragiczne sytuacje, że nie mógłby ich opisać w sposób jak gdyby protokolarny, posługując się tylko zwykłymi, realistycznymi środkami wyrazu. Sięga więc do formy z pozoru nieprzydatnej w odtwarzaniu rzeczywistości obozów, ale wywiązuje się z zadania bez zarzutu. Otrzymujemy potoczystą, zwiewną tkaninę stylistyczną, która unosi najcięższe problemy i potrafi poruszyć czytelnika tak, jak żadna realistyczna, przyciężka, poważna proza. Nie pisarz to, ale prawnik, mimo to jednak jego jednostkowa relacja nie jest tylko dokumentem spraw oby na zawsze należących do przeszłości; książka tego autora, to również prezentacja spraw zawsze aktualnych, dotyczących przeżyć i postawy człowieka znajdującego się w skrajnie złej sytuacji życiowej.

Piszący te słowa nie jest krytykiem literackim i osąd swój wypowiada na prawach osobistej impresii. Należy jednak sądzić z całą pewnością, że kompetentni fachowcy, zajmujący się prozą pamiętnikarską i literaturą współczesną, zgodzą się z wyczuwalnym dla każdego myślącego czytelnika faktem, że wspomnienia *Gawalewicza* są po prostu niezwykłą niespodzianką [12].

Wydawnictwu Literackiemu w Krakowie należy się wdzięczność za podjęcie edycji omawianej książki. My zaś, zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", pragniemy dać wyraz radości, że wysoko ocenione przez nas przed kilkoma laty artykuły *Gawalewicza* ukazały się w wydaniu książkowym, że spotkały się z przychylnymi recenzjami oraz uzyskały nagrodę „Polityki" [13]. Można oczekiwać, że w ślad za tym przyjdą dalsze wyróżnienia.

---

[12] Pierwsze recenzje zaczęły się pojawiać już po napisaniu niniejszej oceny, np. doskonała analiza pióra J. *Roszki*: Oświęcim z dystansu (Dziennik Polski z 6. III. 1969 r.), czy też artykuł C. *Madajczyka:* O wspomnieniach Adolfa *Gawalewicza* i Danuty *Brzosko-Mędryk* (Polityka z 12.VII.1969 r.). Zob. nadto: J. M. *Gisges*: „Pomińcie nas milczeniem..." (Nowe Książki, 1969, nr 17, s. 1154—1155).

[13] Należy dodać, że nagrodę tę otrzymała też między innymi Barbara *Matus-Kwiatkowska* w dziedzinie pamiętników i przekazów dokumentarnych za książkę pt. Na partyzancki poszły bój... (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1968), autorka artykułu o Zielonym Krzyżu (Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 117—125).

JAN MASŁOWSKI Kraków

Uwagi o pielęgniarskiej tematyce okupacyjnej

Dotychczas w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" nie podejmowaliśmy próby oceny pielęgniarskiej tematyki okupacyjnej w polskich publikacjach, mimo że teksty w tym zakresie łączą sie z lekarską problematyka minionej wojny. Wydaje się jednak, że wstępne spostrzeżenia, które nasuwają sie już podczas lektury kilkudziesięciu przypadkowo dobranych wspomnień pielęgniarek, nie tylko mogą mieć pewne znaczenie informacyjne, zwłaszcza dla pedagogów szkolących młodzież pielęgniarska, lecz także mogłyby stanowić punkt wyjścia ewentualnego naukowego, pogłębionego studium.

Nie ulega wątpliwości, że osobowość i charakter, poświęcenie i patriotyzm pielęgniarki zależą od wielu czynników, zwłaszcza wrodzonych, a również od sposobu realizacji programów szkół pielegniarskich, stylu pracy pedagogów, wpływów środowiskowych i warunków w pracy. Istotne znaczenie mogą mieć także stosowne zmiany w doborze lektury polecanej uczennicom i wysiłki w celu zainteresowania ich właściwa literaturą.

W lekturze, o której mowa, przyszłe pielęgniarki mogą znajdować różną treść; treść ta przeważnie umknie z pamięci uczennic. Część informacji może jednak szczególnie zaabsorbować umysł tej lub innej uczennicy i kiełkować w postaci osobistych przemyśleń i nastawień. Dlatego wydaje się wskazane, aby dla potrzeb wychowawczych więcej czasu poświęcać tradycjom zawodu pielęgniarskiego tak, jak na przykład wychowując żołnierzy sięga się do bohaterskich tradycji bojowych, a w harcerstwie nawiązuje się do heroizmu harcerzy, np. walczących w kampanii wrześniowej (Katowice, Gdynia itp.) i w Szarych Szeregach.

Ważnym wycinkiem cennych tradycji pielęgniarskich jest właśnie tematyka okupacyjna. Wyszukiwanie odpowiednich publikacji w celach pedagogicznych nie powinno nastręczać większych trudności. Zagadnienia lekarskie okresu minionej wojny zostały dość szeroko opracowane, a w piśmiennictwie światowym Polska zajmuje pod tym względem jedno z pierwszych miejsc. Dużym ułatwieniem byłoby jednak sporządzenie i opublikowanie bibliografii specjalnej, poświęconej wyłącznie zagadnieniom pielęgniarstwa oraz działalności polskiej pomocniczej służby sanitarnej

w okresie drugiej wojny światowej. Mimo braku takiego poradnika sporo już wiemy o bohaterstwie polskich pracowników służby zdrowia w latach wojny, a zatem także o czynach, ofiarności i postawie pielęgniarek i sanitariuszek w więzieniach i w obozach hitlerowskich, w podziemiu, w szpitalach, w armii i w codziennym życiu okupacyjnym. Odpowiednie publikacje są rozproszone w różnych czasopismach (zwłaszcza niekiedy w „Pielęgniarce i Położnej", w „Służbie Zdrowia" i w „Za Wolność i Lud"), a także zawarte we fragmentach niektórych książek.

W porównaniu z liczbą relacji lekarzy na temat drugiej wojny światowej nieporównanie mniej autorów jest wśród pielęgniarek, sanitariuszy i położnych. Ich zapiski i wspomnienia często nie znajdują drogi do wydawnictw. Niektóre teksty publikowano w sposób przeważnie przypadkowy, nieplanowy [1]. Brak jest poważnych opracowań historyczno-dokumentarnych, które wymagają współpracy specjalistów z zewnątrz, spoza szkół pielęgniarskich i Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego, zwłaszcza pomocy historyków. Nie trzeba uzasadniać, jak potrzebne byłoby np. źródłowe i wyczerpujące opracowanie książkowe dziejów pielęgnowania oraz rozwoju myśli i działalności samarytańskiej w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem okresu niewoli pod zaborami i czasów okupacji hitlerowskiej. Przydatne w tym celu materiały archiwalne rosną, poszczególne biografie są spisywane, żyją świadkowie okupacyjnych wydarzeń, ale nie ma ustalonej metody, toteż ostatnie ćwierćwiecze nie przyniosło tak ujętej, syntetycznej i planowej pracy.

W związku z zamierzonym rozwojem wyższego szkolnictwa pielęgniarskiego w Polsce [2] przedstawione zagadnienie staje się szczególnie pilne. Efektywność inicjatywy i pomocy specjalistów-niepielęgniarzy sprawdziła się już zresztą w praktyce, co prawda w innej dziedzinie, między innymi w ośrodku metodycznym w Zabrzu. W oparciu o tamtejsze Liceum Medyczne Pielęgniarstwa opracowano w nowoczesny sposób takie zagadnienia, jak aspekty psychologiczne i metody nauczania pielęgniarstwa, a część tych prac opublikowano (głównie w „Szkole Medycznej"). Kierownik zabrzańskich badań i autor publikacji, mgr Bogusław *Mazurkiewicz*, pedagog i dydaktyk, zajmując się tymi sprawami, wyszedł poza zwykłe uwagi o teorii pielęgnowania i poza zasady i metody nauczania tego zawodu, dotychczas ujmowane tylko według literatury ogólnopedagogicznej; wydał też osobny skrypt [3]. Podobna pomoc historyków-metodologów i innych specjalistów mogłaby przyspieszyć odrobienie zaniedbań w zakresie opracowywania dziejów okupacyjnych w resorcie pielęgniarstwa.

*

Na podstawie różnych, rozproszonych relacji warto bliżej przyjrzeć się niektórym tradycjom służby zdrowia z okresu drugiej wojny światowej. Przykłady wybrane w tym artykule wymownie dowodzą, że reprezentanci wspaniale wychowanego pokolenia polskich pielęgniarzy potrafili wychodzić zwycięsko z największych opresji fizycznych i moralno-etycznych. Okres wojny był dla tych bohaterów skrajnie trudną próbą charakteru. Znaleźli się oni w jeszcze trudniejszych sytuacjach, niż ich poprzednicy z powstania styczniowego, walk rewolucyjnych i walk o wyzwolenie Polski.

Zorganizowana praca lekarzy i pielęgniarek rozwijała się w latach 1939—1945 mimo wybitnie nie sprzyjających warunków. Do pomocy nielicznym siłom fachowym [4] włączyło się polskie harcerstwo kobiece i przejęło trud pracy społecznej i pielęgniarskiej w okupowanej Polsce, począwszy od szpitali polowych z roku 1939 i punktów sanitarnych, przez oddziały partyzanckie, szpitale więzienne, placówki Rady Głównej Opiekuńczej i innych organizacji, aż do powstania warszawskiego i szeregów regularnej armii WP. Nawet w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, wbrew esesowskiemu terrorowi i systemowi eksterminacji, rozwijała się praca pielęgniarska.

Jednym z przykładów, bezsprzecznie zasługującym na przypomnienie, może być szpital obozu kobiecego w Majdanku, o którym pisała dr Stefania *Perzanowska* [5]. Parę lekarek uwięzionych w Majdanku zdołało wśród wielu przeszkód skupić wokół siebie liczną grupę więźniarek, które przyswajały sobie zasady pracy pielęgniarskiej w „rewirze" obozowym. Była to, jak pisze autorka, trudna i owocna szkoła. To, o czym relacjonuje dr *Perzanowska*, powinna wiedzieć każda uczennica szkół pielęgniarskich.

Wiemy, że również w „rewirach" wielu innych obozów hitlerowskich podejmowano konspiracyjną działalność służby zdrowia i w miarę możności niesiono ulgę chorym i umierającym, ryzykując często własne życie. Wiele prac na ten temat zamieszczono w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". W licznych obozach, w Oświęcimiu-Brzezince-Monowicach, w Gross-Rosen, w Sachsenhausen-Oranienburgu, na Majdanku i w wielu innych katowniach, np. na Pawiaku, ruch oporu ogniskował się głów-

---

[1] Do wyjątków należy obszerny tom pt. Wspomnienia pielęgniarek. Praca zbiorowa pod redakcją I. *Brzozowskiej*, H. *Stefańskiej* i S. *Rybickiego*. PZWL, Warszawa 1962, ss. 744. Spośród zamieszczonych tam 28 tekstów połowę książki, tj. 13 wspomnień, zajmują relacje z lat 1939—1945. Te unikatowy zbiór wybranych prac powstał jako plon konkursu zorganizowanego w roku 1961 przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich i redakcję miesięcznika „Pielęgniarka i Położna".

[2] Istnieje zalążek takiej uczelni w Lublinie.

[3] B. *Mazurkiewicz*: Nauczanie pielęgniarstwa. Katowice 1969, ss. 189, bibliografia.

[4] W roku 1938 było w Polsce tylko 6 674 pielęgniarek, tzn. zaledwie około dwie na 10 000 mieszkańców (Rocznik Statystyczny 1947. GUS, Warszawa 1947, s. 138).

[5] Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 169—180. — S. *Perzanowska*: Szpital kobiecy w obozie na Majdanku. Podziemna służba zdrowia. Wrocławski Tygodnik Katolicki, 1968, nr 48, s. 6 i 7.

nie w „rewirach" szpitalnych, które często były parodią zwykłych szpitali. Niewiele jednak wiemy o ówczesnym udziale pielęgniarek w niesieniu pomocy chorym i cierpiącym, jak też konspiratorom.

W okupowanym kraju starano się dla nich o leki i środki sanitarne, o żywność i odzież. Trafiały one do więzień i obozów. Niektóre rejony takich akcji, np. podoświęcimski [6], są już szerzej znane z publikacji, które w odpowiednim stopniu uwzględniają także udział kobiet w ryzykownej działalności podziemnej. Dopiero niedawno opisano wyczerpująco konspiracyjne prace Zielonego Krzyża, który powstał z inspiracji Batalionów Chłopskich jako służba sanitarna Ludowych Zespołów Kobiecych [7]. Siostry z Zielonego Krzyża dysponowały apteczkami, lekami, narzędziami chirurgicznymi. Konspiracyjnie zostały przeszkolone w zawodzie pielęgniarskim. Oddały one wielkie usługi ruchowi oporu. Z szeregów wiejskich amatorek wyszły tysiące pielęgniarek [8] wyszkolonych, zaprzysiężonych, politycznie uświadomionych. Niezłomność cechowała te liczne „Wiosny", „Jaskółki", „Kwietne", „Pszeniczne", których pseudonimy kontrastowały z rzeczywistością okupacyjną. W Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici" „dziewczyna wiejska dojrzewała do swych zadań. Wiciarze (...) wprowadzili kobietę do ruchu ludowego (...). Ludowy Związek Kobiet jest tworem wiciarek (...). Zielony Krzyż, kierowany przez LZK, obejmował 8 tysięcy sanitariuszek" [9].

W rozmowach z byłymi więźniami Oświęcimia można się dowiedzieć, jak mało mimo wszelkich starań otrzymywali oni lekarstw i środków sanitarnych. Ta przysłowiowa kropla w morzu, leki przemycane do więzień i obozów hitlerowskich z największym ryzykiem, różnymi „kanałami" konspiracyjnymi, stały się jednak istotnym symbolem pomocy, dowodem pamięci społeczeństwa i pobudzały do przetrwania. W trudno dostępnym obecnie dla niespecjalistów pierwszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" pielęgniarka Maria *Nowakowska* po raz pierwszy przedstawiła wyczerpująco i wnikliwie przerażającą sytuację w szpitalu kobiecym Brzezinki [10]. Mniej więcej do jesieni 1942 roku panowały tam tylko „pielęgniarki" i „sprzątaczki", rekrutujące się spośród więźniarek asocjalnych i kryminalnych. Dopiero wtedy, gdy Niemcy przerazili się epidemii duru wysypkowego, pozwolono dochodzić ze *stammlagru* polskim lekarzom i pielęgniarkom. Nawet ich dobre słowo i bezpośrednia obecność były wielkim wsparciem i pokrzepieniem dla wycieńczonych chorych mimo znikomej ilości przydzielanych przez blokowe opasek papierowych jako bandaży, gazy ciętej, ligniny, maści *bolus alba* i kryształków nadmanganianu potasu.

Pielęgniarki w obozie rozumiały, że każda chora więźniarka miała w pamięci obraz szpitala z wolności i pragnęła choćby jego namiastki. Ale leczenie polegało głównie na oderwaniu od codziennej pracy i apeli i na przebywaniu w „rewirze". Przez długi czas lekarkom-Polkom nie wolno było pełnić funkcji lekarskiej, toteż pracowały tam jako tzw. „pucerki" i sprzątaczki, a chorych doglądały ukradkiem. Chore tygodniami nie były myte; wodę do picia przemycano z kuchni. Pielęgniarki wykonywały okłady prymitywnym sposobem, za pomocą chustki na głowę i własnego moczu. Niełatwo przedstawić dzisiejszej młodzieży pielęgniarskiej, że w Brzezince do zasadniczych czynności pielęgniarek należało przynoszenie kotłów z posiłkiem, a więc zgniłego, rozgotowanego zielska ze szczurzym kałem, wynoszenie *scheisskibli* do dołu kloacznego oraz wrzucanie zwłok do auta pod blokiem. Uwięzione pielęgniarki ocaliły wiele osób, pomagając mnóstwem sposobów w ukrywaniu chorych, którym groziła np. selekcja do gazu, jak też w przerzucaniu ich z bloku do bloku, aby przedłużyć możność pobytu w „rewirze" i chronić chore przed morderczą pracą w obozie. Ci, którzy ocaleli z tego *pandemonium*, mówią dotychczas, iż wtedy dopiero uświadomili sobie skalę porównania pracy lekarzy i personelu pomocniczego w obozie i na wolności. W wielu obozach było jeszcze gorzej; np. „rewir" w Sandbostel przypominał w pewnym okresie składnicę zwłok.

Jest charakterystyczne, że praca lekarzy i pielęgniarek, niedawnych więźniów, nie ustała po przerwaniu drutów obozowych przez wyzwolicieli [11]. Pierwsze dni wolności były dalszym ciągiem walki o życie współtowarzyszy. Inne pielęgniarki, które z armiami wyzwoleńczymi i z wolnego świata dotarły do oswobodzonych obozów, dzielnie włączyły się w pracę samarytańską, aczkolwiek widok, jaki tam zastały, wywoływał szok i budził przerażenie i mdłości. Np. jedna z nich, *Myrtle Beardwell-Wieleżyńska*, opisała niesamowite wrażenie,

---

[6] W. *Jekiełek-„Żmija"*: W pobliżu Oświecimia. Wyd. 2, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1966, ss. 368, nlb. 4. Zob. też Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 120—131.

[7] Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 117—125. Zob. też B. *Matusowa-„Kwiatkowska"*: Na partyzancki poszły bój... 1939—1945. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1968, ss. 446 (autorka otrzymała za tę książkę w roku 1969 nagrodę „Polityki" w dziedzinie pamiętników i przekazów dokumentarnych).

[8] Często życiem własnym i najbliższych opłacały one i ich koleżanki pomoc żołnierzom z różnych formacji zbrojnych, więźniom, ukrywającym się Żydom, tysiącom chorych i rannych poszukiwanych przez gestapo. Straty osobowe polskich pielęgniarek poniesione w latach 1939—1945 powinny zostać dokładnie opracowane. Były one bardzo wysokie, gdyż mimo przeszkolenia tysięcy nowych sił stan pielęgniarek w Polsce wynosił w roku 1946 ogółem tylko 5 840 osób (Rocznik Statystyczny 1966. GUS, Warszawa 1966, s. 465; por. przypis 4).

[9] J. *Borkowski*: Bohaterki niedawnej przeszłości. Nowe Książki, 1969, nr 8, s. 507. Zob. też M. *Jędrzejec*: Twierdzą nam będzie każdy próg. Kobiety ruchu ludowego w walce z hitlerowskim okupantem. Sylwetki wspomnienia, artykuły. Wstęp: J. *Chałasiński*. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1968, ss. 574.

[10] Przegl. Lek., 1961, nr 1a, s. 61—64.

[11] Np. dr J. *Bellert* opisał trudną pracę lekarzy, pielęgniarek i sióstr zakonnych, ochotniczo przybyłych do Oświęcimia po wyzwoleniu obozu (Przegl. Lek., 1963, nr 1, s. 66—69).

wywołane obserwacją skrajnego wycieńczenia i masowego umierania w obozie Bergen-Belsen, oswobodzonym przez aliantów, z którymi przybyła tam w zespole pracowników służby zdrowia [12].

Również w licznych miejscowościach okupowanej Polski pielęgniarki zapisały swą piękną kartę; wiele tych ofiarnych kobiet żyje i pracuje nadal, ale tylko nieliczne, jak np. Zyta *Pawlik*, działaczka krakowskiego klubu Ravensbrück, dają się nakłonić do opisywania tamtych dni. Zyta *Pawlik* jako młoda szarytka pracowała w szpitalu rzeszowskim, z którego w roku 1940 uciekł chory więzień gestapo, członek ZWZ, Bronisław *Tomasik*. W odwecie gestapo zatrzymało lekarzy, pielęgniarki, salowe i inne osoby zatrudnione w tym szpitalu. Siostra *Pawlik* wzięła winę na siebie i w ten sposób uratowała pozostałych pracowników. Ten czyn przypłaciła pobytem w Ravensbrück [13].

Inna młoda pielęgniarka podjęła w okupowanym Lwowie pracę w *Städtisches Krankenhaus* przy ul. Potockiego. Warto zacytować fragmenty jej relacji, odnoszące się do przeżyć z roku 1943, ponieważ zbliżają one czytelnika do klimatu owych czasów:

„Jestem jedną z nielicznych polskich pielęgniarek po niedawno ukończonym kursie. Jeszcze ciągle boję się każdego zabiegu, lękam każdej śmierci i nie umiem dać sobie rady z ciężko chorymi (...). Pracuję jako pielęgniarka nocna (...). Nie widziałam jeszcze śmierci z bliska (...). Lekarstw mamy bardzo mało. Jakieś roztwory, prawie zawsze z bromem (...), z zastrzyków kofeina i atropina (...). Pensja moja jest tak niska, że starczy zaledwie na wykupienie kartkowego chleba i marmelady, o obiadach nie ma mowy, ciągle jestem głodna (...). W nocy otwieram bramę, bo portier wieczorem odchodzi i daje mi klucze; przyjmuję chorych, często bez nazwiska, nawet przywiezionych przez Niemców z jakichś więzień, nieprzytomnych już i konających. Dużo bardzo jest samobójców. Jest to okres masowych rozstrzeliwań. Całymi dniami czuję w powietrzu mdlący zapach palonych ciał. Więźniowie, oszaleli z przerażenia, usiłują więc sami odebrać sobie życie. Wszystkim samobójcom, którzy trafiają do mnie, płuczę żołądek gumową rurką z ogromnym lejkiem (...). Przy tych zabiegach palce mam nieraz aż do krwi pogryzione, ale efekty nawet dobre. Raz przywieziono Rosjankę-lekarkę, ale ta umiała się truć, więc nie udało się jej uratować (...). Wczoraj podrzucili mi Niemcy chłopca 20-letniego, ma wydłubane oczy (...). Zgonów jest coraz więcej (...). Posiwiały kasztany pod białym śniegiem, a na Wschodzie broni się Stalingrad" [14].

Wspólny w wielu wspomnieniach pielęgniarek jest motyw borykania się z patologicznymi warunkami i utrudnionymi czynnościami. Ponadto praca w sytuacji okupacyjnej związana z ruchem oporu, jak wiadomo, stale zagrażała życiu. Nie ustające niebezpieczeństwo, połączone z nienormalnymi okolicznościami wykonywania zawodu, stawiało pielęgniarki wobec wyjątkowo ciężkiej próby, trwającej nieraz przez całe lata. Podobnie trudne sytuacje przeżywały te pielęgniarki, które niosły pomoc rannym i chorym w szeregach zbrojnych [15] i w partyzantce [16], ale z reguły znajdowały się one wtedy pod ochroną oddziałów wojskowych i pracowały wspomagane krzepiącym poczuciem psychicznym, jakie dawała możliwość przeciwstawiania się hitlerowcom w sposób zorganizowany, z bronią w ręku.

Podziemna działalność ówczesnych pracowników służby zdrowia sięgała poza dawne granice Polski międzywojennej już w pierwszych latach wojny. Jednym z interesujących przykładów mogą być przeżycia obecnego dyrektora Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk", Stanisława *Hadyny*, który przed swą ucieczką do Generalnej Guberni pracował jako pielęgniarz na oddziale polskim szpitala w Berlinie-Neukölln i propagował tam akcję biernego oporu pod hasłem *non cooperamus* (nie współpracujemy dla wojny) [17]. Ryzyko jest motywem powszechnym w omawianych relacjach, także tam, gdzie praca pielęgniarek była półlegalna, a nie w pełni konspiracyjna. Warto tutaj przypomnieć jeszcze wspomnienia Heleny *Rawskiej* [18] z Ursusa pod Warszawą, gdzie w roku 1944 zaimprowizowano szpital chirurgiczny dla rannych i chorych, którzy wydostali się z Warszawy objętej powstaniem [19].

Referując młodzieży pielęgniarskiej omawianą problematykę, należałoby podkreślić, że z imponującą postawą polskich lekarzy i pielęgniarek kontrastuje okupacyjna praktyka

---

[12] Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 105—112.

[13] Według relacji J. *Kostusiewicz:* Siostra Zyta. Za Wolność i Lud, 1969, nr 11, s. 12.

[14] D. *Sobolewska*: Nie zapomnimy. Pielęgniarka i Położna, 1968, nr 5, s. 24—25.

[15] Reprezentatywne pod tym względem są wspomnienia H. *Szczudłowskiej:* Wraz z Armią Czerwoną na Berlin (Wspomnienia pielęgniarek, o. c., s. 357—371), K. *Maroń:* Przez Persję i Indie do Polski (tamże, s. 407—446) i K. *Budzyńskiej:* Kurczątko (tamże, s. 373—378).

[16] Np. relacja J. *Siudy:* W partyzantce i w szpitalu (tamże, s. 379 i następne).

[17] W. *Lenczewski*: Historia srebrnej buławy (1938—1969). Kulisy, 1969, nr 26, s. 4. Dzięki zorganizowanemu przez uczestników polskiego ruchu oporu włamaniu w nocy z 21 na 22 czerwca 1942 roku do berlińskiego *Zeughausu* odebrano wtedy stamtąd hitlerowskie trofeum wojenne, mianowicie buławę marszałkowską Edwarda *Rydza-Śmigłego*. Autor przywiózł ją do Polski w czerwcu 1945 roku.

[18] Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 142—145. Zob. też: Pielęgniarki z Ursusa. Pielęgniarka i Położna, 1967, nr 7, s. 28—29.

[19] Tematyka warszawska jest dość licznie reprezentowana. Np. o kampanii wrześniowej piszą między innymi M. *Głażewska-Ładko*: Z dawnych dni (Wspomnienia pielęgniarek, o. c., s. 67 i następne) i Z. *Paciorkowska*: Historia niebohaterska (tamże, s. 307—322). O szczególnie trudnej pracy przy ciężko rannych znakomicie relacjonuje B. M. *Ochman:* Szpital powstańczy (tamże, s. 115—201); ta sama pielęgniarka wspomina o pobycie po powstaniu warszawskim w obozie jeńców w Zeithein (tamże s. 203—305); zob. też I. *Zdzitowiecka:* Patrząc na płonącą stolicę (tamże, s. 351—356) i M. *Fitkał*: Milanówek 44 (tamże, s. 401—406). O innym szpitalu jenieckim pisze między innymi W. *Uziębło:* Wspomnienia siostry z kresów (tamże, s. 323—336). Problematyka pracy i walki pielęgniarek i sanitariuszy pojawia się ponadto we fragmentach wielu innych wspomnień okupacyjnych i w książkach, których tytuły oczywiście nie informują o tych urywkowo poruszanych zagadnieniach. Z nowszych pozycji zob.: Z. *Muszka*: W okupacyjnej Warszawie. Pielęgniarka i Położna, 1969, nr 7, s. 6—7; B. *Farfienowicz*: Pamiętnik sanitariuszki. Tamże, s. 7—8. — W niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" są wydrukowane wspomnienia pielęgniarek M. *Adam*, Z. *Orlickiej* i M. *Wilkońskiej.*

niemieckich przedstawicieli tych zawodów. Esesowska „służba zdrowia" miała zadanie chronić Niemców przed chorobami, a ponadto, jak to formułował okólnik podpisywany przez załogę obozu oświęcimskiego, milczeć na temat akcji niszczenia ludzi i współpracować w niej wszelkimi siłami i środkami. Ci esesowcy unikali nawet biernego wyłączania się z akcji eksterminacyjnej. Dziesiątki dokumentów i publikacji trzeba uważnie przejrzeć i u wielu kombatantów zasięgać informacji, aby odnaleźć fakty odmiennego postępowania jakiegoś dobrego, wyjątkowego lekarza-Niemca lub pielęgniarki-Niemki w latach wojny. Świadczy to o wielkiej sile ideologii i fanatyzmu w wychowywaniu tych ludzi. Ideologia hitlerowska ukształtowała bowiem zbrodniarzy, określonych nazwą ludobójców, a wychowanie w myśl zasad *Hipokratesa* dało ludzkości tych, którzy zyskali sobie powszechne uznanie i szacunek. Jako przykład nasuwa się postać *oberschwester SS-Revieru* w Oświęcimiu, Marii *Stromberger*, która mimo zakazów swych władz dostarczała chorym więźniom różnych lekarstw i odżywek, ostrzegała przed zbrodniczymi akcjami *SS*, przekazywała „grypsy", broń i materiał wybuchowy, a nawet została łączniczką Oświęcimskiej Międzynarodowej Grupy Ruchu Oporu [20]. Ta odważna Austriaczka udowodniła, że Niemcy, gdyby chcieli, nawet w obozach, w szeregach *SS* mogli sprzeciwiać się złu. Ale typowe były takie „siostry", jak *Frieda Schiedermann*, esesówka, która zabijała więźniarki, czy też wspomniane przez więźniarkę Stanisławę *Leszczyńską schwester Klara* i *schwester Pfani*, które utopiły w obozie przeszło 1500 niemowląt [21].

Liczne są przykłady starań więźniów o zmniejszenie efektywności zbrodniczych poczynań esesowskiej służby zdrowia. Gdy np. w obozie oświęcimskim hitlerowcy przeprowadzali zbrodnicze doświadczenia radiologiczne i okulistyczne na dzieciach, pielęgniarka-więźniarka *Piekut-Warszawska*, ryzykując życie, postarała się o mleko i przykładała je dzieciom na obolałe oczy; obrzęki nie ustępowały, ale przynajmniej cofało się pieczenie [22]. Nie zawsze jednak udawało się pomagać i bezsilna obecność pogłębiała wtedy grozę przeżyć pielęgniarek. Np. Klara *Żywicka*, która w roku 1936 rozpoczęła pracę jako 22-letnia sanitariuszka w Zakładzie dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kocborowie, była tam po niespełna czterech latach świadkiem mordowania chorych i dzieci przez esesowskich lekarzy i pielęgniarki. Dwa razy dziennie przełożona pielęgniarek, *Ilse Bernardt*, wstrzykiwała dzieciom truciznę, po czym traciły one przytomność, zmieniały swój wygląd i umierały po trzech dniach. *Żywicka*, wstrząśnięta tym widokiem, była bezradna [23].

Podobne przykłady mogłyby się złożyć na obszerny zbiór dokumentów i relacji, opracowany w przystępnej wersji dla młodzieży pielęgniarskiej. Oczywiście niniejszy szkic nie przesądza ani doboru szczegółowej tematyki, ani układu takiej książki. Natomiast niewątpliwie byłaby ona obfitym zestawieniem wzorów wychowawczych, których szukają pedagodzy. Składałyby się na tę antologię biografie postaci pełnych patriotyzmu i obywatelskiej postawy, opisy czynów ludzi zahartowanych podczas wojny, którzy następnie w odrodzonej Polsce budowali powszechną służbę zdrowia. Warto na koniec zauważyć, że najwięcej pisze się o zbrodniach hitlerowskich. Tymczasem korzystne byłoby również szersze ukazywanie młodemu pokoleniu bohaterstwa prześladowanych i przejawów przeciwdziałania złu i zbrodni.

Nawet pobieżna ocena dotychczasowych publikacji polskich w zakresie okupacyjnej problematyki pielęgniarskiej dowodzi, że liczba ogłoszonych prac na ten temat jest stosunkowo bardzo szczupła i odległa jeszcze od należytego odzwierciedlenia patriotycznego wkładu pielęgniarek do oporu przeciw okupantowi. Nic więc dziwnego, że ten zakres pozostaje obecnie wciąż na odległym marginesie współczesnych zainteresowań większości młodzieży pielęgniarskiej.

[20] Przegl. Lek., 1962, nr 1a, s. 102—107. Zob. też między innymi: W. *Góra*, S. *Okęcki*: Niemcy antyfaszyści w polskim ruchu oporu. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1966, ss. 194, nlb. 4. — M. *Lach*: Niemieccy antyfaszyści. Gazeta Krakowska, 1969, nr 158, s. 4.

[21] Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 104—106.

[22] Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 204—205.

[23] Życiorys. Pielęgniarka i Położna, 1967, nr 8, s. 6. Zob. też: K. *Szwentnerowa*: Zbrodnia na *Via Mercatorum*. Gdynia 1968, ss. 179, nlb. 1.

JAN MASŁOWSKI Kraków

Okupacyjna tematyka medyczna w Polsce

poza „Przeglądem Lekarskim"

Założenia oceny

Zarówno ćwierćwiecze oswobodzenia obozu oświęcimskiego, jak też okrągła liczba dziesięciu wydanych zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" skłaniają do podjęcia przynajmniej powierzchownej próby naszkicowania ogólnej charakterystyki dotychczasowych publikacji poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu drugiej wojny światowej. Kilkaset prac wydrukowanych poza „Przeglądem Lekarskim" wymieniono w poprzednich, corocznych ocenach [1]. Natomiast prace ogłoszone w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" omówił prof. dr Józef *Bogusz* w „Słowie wstępnym" do każdego zeszytu specjalnego, a w niniejszym, przed działem naukowym, umieścił syntezę dotychczasowego dorobku w zakresie naszego dziesięciozeszytowego cyklu.

W sytuacji, w której nawet zwykła bibliografia przedmiotu wymagałaby osobnej książki, trudno pokusić się w jednym artykule o wyczerpujący przegląd tego wszystkiego, co w zakresie lekarskiej tematyki okupacyjnej wydano w Polsce w ostatnim ćwierćwieczu. Można tylko wyodrębnić główne grupy tematyczne, a posługując się wybranymi pozycjami warto przypomnieć także prace dawne, często już zapomniane. W ten sposób na podstawie częściowo zebranego materiału do bibliografii specjalnej krystalizuje się obraz dotychczasowego dorobku uwzględnionego przez różnych wydawców, a próba jego oceny wyłania odpowiednie wnioski na przyszłość.

Krótka rekapitulacja

Zagadnienia lekarskie wiążące się z okupacją hitlerowską niewątpliwie zostaną w przyszłości ujęte w specjalnej bibliografii retrospektywnej. Istnieje pilna potrzeba opracowania takiej edycji tym bardziej, że dorobek polski jest z powodu bariery językowej praktycznie nieznany za granicą. Brak takiej jednolitej, możliwie wyczerpującej bibliografii sprawia ponadto duże trudności autorom i czytelnikom. Są oni więc zmuszeni do długo trwających, samodzielnych i w dużym stopniu przypadkowych poszukiwań bibliograficznych.

Powielona bibliografia międzynarodowa [2] zawiera tylko niektóre pozycje naukowe, przeważnie francuskie i niemieckie. Została ona opracowana głównie pod kątem ujęcia zainteresowań kongresów lekarskich FIR. Podstawowym polskim źródłem bibliograficznym są prace wydrukowane lub cytowane w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" [3]. Liczne pozycje można też znaleźć w bibliografiach dotyczących poszczególnych obozów, przy czym niewątpliwie najstaranniejsze jest opracowanie dotyczące Oświęcimia-Brzezinki [4]. Ewentualne fachowe przygotowanie solidnej, pełnej bibliografii specjalnej musiałoby prawdopodobnie pochłonąć kilka lat pracy zespołu bibliografów z różnych krajów. Mimo jakichkolwiek przeszkód trud ten należałoby podjąć jak najszybciej.

Do chwili bieżącej bibliografowie mogliby zakwalifikować do proponowanej, możliwie kompletnej bibliografii światowej przeszło tysiąc publikacji polskich. Liczba ta obejmuje zarówno książki, jak też fragmenty prac w innych wydaniach książkowych, dotyczące medycyny okresu minionej wojny, artykuły w czasopismach i dziennikach, teksty powielone oraz najważniejsze recenzje. Autorami są przeważnie pracownicy służby zdrowia.

Stosunkowo najmniej jest w tym zasobie — jednak aż około 25% — prac naukowych. Zaczęły się one pojawiać już bezpośrednio po wyzwoleniu. Były rozproszone przeważnie w różnych czasopismach przed rokiem 1961, tzn. do czasu podjęcia cyklu tzw. oświęcimskich zeszytów specjalnych „Przeglądu Lekarskiego", ukazujących się corocznie w styczniu. Jak wspomniano, ocena zawartości „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" wykracza poza zakres niniejszej charakterystyki.

Już podczas okupacji lekarze w Polsce rozumieli, jak duże znaczenie w przyszłości będą miały wyniki zorganizowanych badań osób, które poniosły szkody na zdrowiu wskutek wojny, prześladowań i ciężkich warunków bytowania. Wcześnie podjęto zespołowe badania, np. najwcześniej zajęto się chorobą głodo-

---

[1] A. *Kępiński*, J. *Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 241—247. — J. *Masłowski*: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 244—259. — J. *Masłowski*: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 272—281. — J. *Masłowski*: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1968. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 210—220.

[2] Bibliographie des ouvrages traitant des dommages physiques dont souffrent les persécutés du nazisme, les anciens résistants, les anciens combattants et les prisonniers de guerre; ainsi que des travaux traitant de l'activité criminelle des médicins *SS*. II edition complété élaborée et rédigée par Dr *Cilli Ausländer*; éditée à l'occasion du Ve Congres Medical International de la F. I. R. Wiedeń 1968, ss. 168.

[3] Próbą wstępnego, szerszego wyboru jest rodzaj makiety bibliograficznej: J. *Masłowski*: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 175—189.

[4] J. *Lukowski*: Bibliografia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 1945—1965. Przedmowa: J. *Wieczorek*. Wyd. Sekretariat Generalny Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, Warszawa 1968. Cz. I—III, ss. 155 + 387 + 201 (powielone).

wą. Swe obserwacje na ten temat, poczynione już w roku 1942 w getcie warszawskim, ogłosił zespół autorów w roku 1946 pod kierunkiem Józefa *Apfelbauma-Kowalskiego*. Wyniszczenie głodowe było także przedmiotem między innymi prac Włodzimierza *Brühla* (1947) [5], Hanny *Hirszfeldowej* (1946), Jana *Jodłowskiego* (1947), Janiny *Kowalczykowej* (1946), Wiktora *Tomaszewskiego* (1945). Na temat chorób w obozach pisali przed około 25 laty Romuald *Sztaba* (1946), Jarosław *Ślusar* (1945), Bolesław *Urbański* (1948) i inni. Obserwacje nad durem szerzącym się podczas okupacji w Katowicach podał Walter Ignacy *Broda* (1947), nad durem w Krakowie — Jan Karol *Kostrzewski* (1946), w Warszawie — Jakub *Penson* (1946). Spostrzeżenia o gruźlicy ogłosili między innymi Stefan *Bagiński* (1947), Janina *Misiewicz* (1947), Stanisław *Kłodziński*.

Wielostronnie starano się opracować zagadnienie wpływów wojny na stan somatyczny i psychiczny. O następstwach okupacji w psychice ludzi pisali jako pierwsi między innymi Stefan *Baley* (1947), Kamila *Jedlewska* (1947), Maria *Kaczyńska* (1946) i Zygmunt *Putkiewicz* (1949). Zaburzeniami psychicznymi jeńców zajął się Władysław *Stein* (1948). Temat wpływu wojny na przestępczość podjęli Stanisław *Batawia* (1948) i Maria *Żebrowska* (1947). Skutki okupacji w postaci kalectwa zanalizował Władysław *Barcikowski* (1952), krzywicy — Tadeusz *Chrapowicki* i Wanda *Krupkowska* (1950), zaburzeń okresu dojrzewania — Zofia *Czyżewska* (1948) i Zbigniew *Jabłoński* (1950).

Politykę sanitarną okupanta na przykładzie Pomorza omówił Tadeusz *Bilikiewicz* (1948). Genezę zbrodni hitlerowskich analizowali Stanisław *Batawia* (1949) oraz Maria i Wiktor *Grzywo-Dąbrowscy* (1946). O zbrodniczych doświadczeniach i o etyce lekarzy niemieckich pisali Władysław *Fejkiel* (1947), Zofia *Mączka* (1946), Jerzy *Sawicki* (1948), Jan *Sehn*. Monograficznie opracowano liczne fakty zbrodni hitlerowskich w szpitalach psychiatrycznych (1949). Przed 12 laty z inspiracji dra Stanisława *Kłodzińskiego* doc. Antoni *Kępiński* i doktorzy Roman *Leśniak*, Jan *Mitarski*, Maria *Orwid*, Wanda *Półtawska*, Adam *Szymusik* i Aleksander *Teutsch* zainicjowali w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie zorganizowane, zespołowe, długoterminowe badania psychiatryczno-socjo-psychologiczne losowo dobieranej grupy byłych więźniów katowni hitlerowskich. Również kilka innych ośrodków w ubiegłych latach ogłosiło wyniki badania osób więzionych w czasie okupacji. Prace te znalazły między innymi swój wyraz na pierwszym, a zwłaszcza na drugim zjeździe lekarzy ZBoWiD [6]. „Przegląd Lekarski — Oświęcim" w dziesięciu zeszytach z lat 1961—1970 wydrukował około 330 prac z zakresu zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej na tematy dotyczące różnych specjalności medycyny, nie wszystkich jednak do tej pory.

Nie sposób wyliczyć tutaj ponadto dziesiątków dokumentów i relacji historycznych, np. o wojennych losach szpitali i klinik, o tajnym nauczaniu medycyny, o eksterminacji inteligencji medycznej, o eksperymentach pseudolekarskich, o stanie sanitarnym, głównie w obozach i gettach, o jeńcach, emigrantach itp.

Poza „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim" ukazują się prace, omawiane w nim, jak wiadomo, corocznie w dziale „Oceny". Te omówienia pozwalają stwierdzić, że liczni autorzy najobszerniej zrelacjonowali zagadnienia lekarskie Oświęcimia-Brzezinki, Majdanka, Ravensbrück, Sachsenhausen, Pawiaka, obrony Warszawy i powstania warszawskiego. Do tej grupy należą znane prace Stanisława *Bayera*, Stanisława *Bukowskiego*, Władysława *Fejkla*, Jana *Gwiazdomorskiego*, Józefa *Hornowskiego*, Wandy *Kiedrzyńskiej*, Felicjana *Lotha*, Czesława *Ostańkowicza*, Małgorzaty *Serini-Bulskiej*, Hanny *Szukiewicz*, Jarosława *Ślusara*, Zbigniewa *Woźniewskiego* i wielu innych.

Zagadnienia lekarskie związane z drugą wojną światową czasem są tematem rozpraw doktorskich, jak na przykład wydana w osobnej broszurze „Służba zdrowia w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku" Tadeusza *Brzezińskiego* (1967) lub wspomniane badania psychiatrów krakowskich (Romana *Leśniaka*, Marii *Orwid*, Adama *Szymusika* i Aleksandra *Teutscha*). Niewiele jest prac o tematyce farmaceutycznej, jak np. „Męczeńskie drogi farmaceutów wielkopolskich w latach okupacji hitlerowskiej" W. W. *Głowackiego* (1967) lub „Eksperymenty farmakologiczne w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka" J. *Mikulskiego* (1967).

Najliczniejszą grupę stanowią pamiętniki i wspomnienia, bardzo istotny dział piśmiennictwa. W ostatnich latach rozpoczął się okres opierania niektórych prac naukowych właśnie na relacjach osobistych. Przykładem jest rozprawa doc. dr Alicji *Glińskiej* z Uniwersytetu Śląskiego o moralności więźniów Oświęcimia. Spośród wspomnień lekarzy najbardziej są znane wydania książkowe, np. praca zbiorowa pt. „Pamiętniki lekarzy" (1964, 1968), „Kartki z dziennika doktora «Twardego»" Juliana *Aleksandrowicza* (1962, 1967), „Cztery lata ostrego dyżuru" Anny *Czuperskiej-Śliwickiej* (1965, 1968), „Leśne ognie" Grzegorza *Fedorowskiego* (1965), „Brzezinka — wspomnienia z obozu" Alfreda *Fiderkiewicza* (1956, 1962), „Obóz śmierci" Antoniego *Gładysza* (1945, 1964), „*Sclavus saltans* — wspomnienia lekarza obozowego" Stanisława *Jagielskiego* (1946), „Wojna, ludzie, medycyna" Adama *Majewskiego* (1960, 1968), „Byłem jeńcem *Wehrmachtu*" Józefa *Sohna-Soneckiego* (1965), „W szeregach służby zdrowia 2 AWP" Kazimierza *Płońskiego* (1969), „I boję się snów..." Wandy *Półtawskiej* (1962, 1964, 1967, 1968). Na wznowienie oczekuje pamiętnik farmaceuty, „Apteka w getcie krakowskim" Tadeusza *Pankiewicza* (1947). Rok 1968 przyniósł pozycję niezwykle wartościową, a mianowicie „Ponad ludzką miarę — wspomnienia operowanych z Ravensbrück".

Wystarczy przyjrzeć się datom wydań zestawionych w tym szkicu, wyróżnionym petitem, aby spostrzec, że pierwsza fala interesujących nas publikacji wzniosła się po wyzwoleniu, ale wkrótce opadła. W latach 1949—1955 sytuacja nie sprzyjała rozwojowi tego niezmiernie cennego działu naszego piśmiennictwa, co spowodowało szkody trudne do naprawienia i przyczyniło się do bezpowrotnego zmarnowania możliwości inspiracji wielu prac. W minionym dziesięcioleciu jednak narosło znów piśmiennictwo lekarskie dotyczące okresu okupacji hitlerowskiej i jej następstw. Trzonem jest „Przegląd Lekarski — Oświęcim", na którego karcie tytułowej wyraz „Oświęcim" symbolizuje wszystkie obozy hitlerowskie, więzienia, katorgę wywiezionych na roboty przymusowe itd. Na końcu niniejszego zeszytu są wyliczone wszystkie wydrukowane w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", a tutaj pominięte prace naukowe i inne artykuły na temat medycyny drugiej wojny światowej.

W ostatnich latach publikacje, o których mowa, stają się coraz bardziej przemyślane, dojrzałe i pogłębione refleksyjnie. Ich autorzy snują wnioski uogólniające. Dominują rozważania deontologiczne, które przekazuje niekiedy także proza literacka. Do tego nurtu należy zaliczyć twórczość dra Józefa *Stompora* [7], chirurga, byłego partyzanta. Jego „Człowiek z lancetem" (1964) lub zbiór opowiadań zatytułowany „Szpital pod jodłami" (1966) są analizą trudności i prób etycznych, które musiał rozwiązywać lekarz postawiony w niebezpiecznych sytuacjach podczas wojny, np. wobec ko-

---

[5] Opisy bibliograficzne publikacji, których daty wydania podano w nawiasach, zostały już uwzględnione w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (zob. przypisy 1 i 3).

[6] Zob. A. *Kępiński*, J. *Masłowski*: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 161—163. — Z. *Jagoda*, J. *Masłowski*: Drugi zjazd lekarzy ZBoWiD. Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 184—188. (Zob. przypis 15).

[7] Jedna z jego książek doczekała się 3. wydania (J. *Stompor*: Partyzant od starego. Powieść. Wydawn. Literackie, Kraków 1968, 16°, ss. 279, nlb. 1).

nieczności wyboru między własnym sumieniem a naciskiem otoczenia.

Objętość i charakter „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" nie pozwalają na umieszczanie w nim prac dłuższych, które mogą być udostępnione w postaci książek lub broszur. Różne inne czasopisma lekarskie, wśród nich „Archiwum Historii Medycyny", tylko sporadycznie mogą drukować krótsze teksty w zakresie zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej. Na dalsze, wnikliwsze opracowanie czekają między innymi zagadnienia lekarskie partyzantki, licznych mało znanych i nie znanych czytelnikom obozów i podobozów, różnych więzień, zwłaszcza mniejszych, wielu szpitali w okupowanej Polsce, miast, miasteczek i wsi. Brak jest dotychczas wyczerpujących opisów bohaterskich czynów, przeciwstawiania się zbrodni i strat wśród ludzi polskiej służby zdrowia. Można odszukać gotowe rękopisy lub inspirować jeszcze bardzo wiele podobnych dokumentów, odpowiednio podchodząc do autorów i otaczając ich subtelną opieką redakcyjną.

Niezwykle mało mamy tekstów przeznaczonych dla zagranicznego czytelnika, który nie wie, jak daleko zaawansowano polskie badania zagadnień lekarskich okresu drugiej wojny światowej. Do unikatów należy np. wydana w przekładzie angielskim antologia prac [8] ogłoszonych w „Zeszytach Oświęcimskich" Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, mylonych jeszcze często z „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim". Niektóre zawarte w nim prace przełożono na język niemiecki [9] i wydano w osobnej antologii [10]. Od czasu do czasu jakieś czasopismo korzysta z prac wydrukowanych w naszych zeszytach, dzięki czemu przynajmniej pewne fragmenty trafiają do szerszego kręgu czytelników [11].

Specjalny numer „Zeszytów Oświęcimskich" [12] został opracowany przez Zakład Historii Partii przy KC PZPR przy współpracy Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. Kazimierz *Smoleń* napisał przedmowę na temat działalności ruchu oporu w zakresie dokumentacji zbrodni popełnionych w obozie oświęcimskim. Tego rodzaju osobne wydania dokumentów źródłowych są w zakresie omawianej problematyki stosunkowo nieliczne. O istnieniu niektórych periodyków czytelnicy nieczęsto się dowiadują [13].

Czasopisma są z biegiem czasu trudniej dostępne niż książki, a także nieporównanie rzadziej recenzowane. Dlatego odpowiednie antologie, będące wyborem materiałów zawartych w czasopismach, ułatwiają ich udostępnianie czytelnikom. Przykładem może być przedruk wspomnień z „Zeszytów Oświęcimskich" [14].

Niewątpliwie tego rodzaju zazwyczaj poczytne i nieraz fascynujące prace zasługują na większą uwagę wydawców, zwłaszcza tych, którzy decydują o edycjach książkowych. Poszerzenia wymaga przestrzeń wydawnicza, którą udaje się wygospodarować dla poruszonej tutaj tematyki. Zajmuje ona skromne miejsce nie tylko w ogólnej produkcji wydawniczej, lecz także jest szczupła w porównaniu z proporcją działu historii i jej lekarskiego poddziału.

Niektóre nowsze publikacje

Wśród prac wydrukowanych poza „Przeglądem Lekarskim — Oświęcim" wyróżnia się między innymi rozprawa doktorska dra Czesława *Kempistego* [15] z Wrocławia. Autor, opiekując się od dawna zdrowiem swoich dawnych towarzyszy niedoli, zebrał w ciągu 7 lat obfitą dokumentację lekarską, dotyczącą badania byłych więźniów obozów w Oświęcimiu,

---

[8] From the history of *KL-Auschwitz*. Vol. 1. Przekład z języka polskiego: K. *Michalik*. Wyd. Państwowe Muzeum, Oświęcim 1967, 16°, ss. nlb. 4, 225, tabl. 20.

[9] Tylko pierwszy zeszyt „Przeglądu Lekarskiego — Oświecim" uzyskał w roku 1962 mutacje w językach angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim.

[10] Unmenschliche Medizin. Anthologie. Przedmowa: J. *Bogusz*. Zestawił J. *Rawicz*. Wyd. Międzynarodowy Komitet Oświęcimski. Tom I, cz. I i II. Warszawa 1969, ss. XII, 184, nlb. 2 + ss. 295, nlb. 1.

[11] Np. J. *Rawicz* w artykule pt. Generalplan-Ost (Dookoła świata, 1969, nr 27, s. 12—13) posłużył się pracą S. *Kłodzińskiego* pt. „Konferencja krynicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. (Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 115—123). — W dziennikach, które bibliografowie na ogół pomijają (z wyjątkiem np. J. *Lukowskiego*, zob. przypis 4), czasem trafiają się takie artykuły, jak np. J. *Ścisły*: Eksperymenty pseudomedyczne. Zbrodnie lekarzy hitlerowskich. Gazeta Krakowska, 1969, nr 173, s. 3. — Skrót biografii dr Haliny *Jankowskiej*, pióra M. *Dominik* (Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 229—236) ukazał się pt. Zginęła razem z chorymi (Służba Zdrowia, 1969, nr 33, s. 8).

[12] Obóz koncentracyjny Oświęcim w świetle akt Delegatury Rządu RP na Kraj. Wybór i opracowanie: K. *Marczewska*, W. *Ważniewski*. Przypisy: J. *Bezwińska* i inni. Wyd. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, Kraków 1968, ss. XXXIII, nlb. 1, 193, nlb. 1, ilustracje, tabele, streszczenia w językach obcych.

[13] Np. „Oskarżamy". Redaktor naczelny: J. *Osuchowski*. Nr 3, Katowice 1968, ss. 127, bibliografia niektórych tekstów nie wydrukowanych, uwzględniająca ich treść. Wyd. Zarząd Okręgu ZBoWiD w Katowicach przy współpracy Klubu Mauthausen-Gusen w Katowicach. Z prac zbiorowych, nie będących wydawnictwami ciągłymi, warto wymienić: Czas wielkiej próby. Wspomnienia bojowników o ojczyznę ludową 1939—1945. Przygotowali do druku H. *Bortnowska* i inni. Książka i Wiedza, Warszawa 1969, ss. 642, nlb. 2, tabl. 24, ilustracje.

[14] Wspomnienia więźniów obozu oświęcimskiego. Red. K. *Smoleń*, J. *Bezwińska*, J. *Brandhuber*, D. *Czech*, T. *Iwaszko*. Wyd. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu. Kraków [1968], ss. 192. Są tam zamieszczone prace W. *Fejkla* (Głód w Oświęcimiu), G. *Fijałkowskiego* (Odwszenie w Birkenau — BIId), A. *Fiderkiewicza* (Tyfus plamisty i odwszenie w obozie męskim w Brzezince), a także S. *Szmaglewskiej*, Z. *Posmysz*, M. E. *Jezierskiej*, C. *Ostańkowicza* i J. M. *Gisgesa*.

[15] C. *Kempisty*: Wpływ przebywania w hitlerowskich obozach koncentracyjnych na wzmożenie chorobowości i przyspieszenie miażdżycy. (Wyniki 7-letniej obserwacji 500 byłych więźniów mieszkających na Dolnym Śląsku). Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Tom XIX. Wydawn. Prawnicze, Warszawa 1968, s. 246—275 i 286. Wiele innych, wartościowych prac zawiera Pamiętnik II krajowego zjazdu lekarzy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Warszawa, dnia 28—29 maja 1968 r. PZWL, Warszawa, 1969, ss. 591, tabele, ilustracje. Książka ta ukazała się już po oddaniu niniejszego zeszytu do druku.

w Ravensbrück, w Gross-Rosen, w Sachsenhausen i w Buchenwaldzie.

W kartotece dra *Kempistego* znajdują się tysiące historii chorób byłych więźniów mieszkających we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku. Autor wydzielił w swej analizie [16] najmłodszą 500-osobową grupę. Porównał ją ze stanem zdrowia rówieśników-„nieobozowiczów", żyjących w zbliżonych warunkach. Badaniami objął ludzi 35—60-letnich, liczących w czasie uwięzienia 12—35 lat życia. Na podstawie badań i wywiadów ustalił, że 92% 500-osobowej grupy doznało w obozie różnych ciężkich obrażeń ciała. Wszyscy żyli w skrajnie złych warunkach (częste selekcje do gazu, pobyt w bunkrze, kary cielesne, obecność na egzekucjach itp.). Przejścia te pozostawiły trwałe skutki w stanie zdrowia byłych więźniów. Badani „kacetowcy" w porównaniu z „nieobozowiczami" cierpią 25-krotnie częściej na psychonerwice, 14-krotnie częściej na choroby układu krążenia, 4-krotnie częściej na choroby układu oddechowego, 3-krotnie częściej na choroby przewodu pokarmowego i 2-krotnie częściej na choroby kości i narządu ruchu.

Nowością w tej pracy jest wnikliwa analiza szybko i wcześnie postępującej miażdżycy. Okazało się, że prawie co dziesiąty badany spośród tej grupy byłych więźniów już przeszedł jeden zawał serca. U 280 dalszych stwierdzono na podstawie badania elektrokardiograficznego zagrożenie zawałem. Niewydolność naczyń wieńcowych jest u nich mniej lub bardziej zaawansowana. Prawidłowe wyniki elektrokardiogramu otrzymano tylko u 81 byłych „obozowiczów", a u 433 osób z grupy porównawczej. Autor zajął się także miażdżycą tętnic mózgowych i obwodowych.

Analizę dopełniają spostrzeżenia socjologiczne, dotyczące zachowania się badanych byłych więźniów w społeczeństwie, ich trudności w środowiskach, w pracy itp. Dr *Kempisty* stwierdził takie swoiste cechy osobowości, jak poczucie osamotnienia, wielka pryncypialność doprowadzająca do konfliktów z otoczeniem, brak zrównoważenia itp. Co czwarta osoba nie może wykonywać swego zawodu z powodu inwalidztwa. Wielu innych ma ograniczoną zdolność do pracy.

Autor zakończył swą pracę następującym wnioskiem: „Badania nasze i ich wyniki są jeszcze jednym punktem aktu oskarżenia przeciw faszyzmowi i wojnie, której ofiary pogłębiają bilans strat biologicznych poniesionych przez nasze społeczeństwo, a które obserwujemy w 24 lata po zakończeniu wojny". Warto dodać ponadto, że wiele spostrzeżeń dra *Kempistego* potwierdza wyniki różnych poprzednich badań, przedstawionych przez innych autorów.

Na drugim ogólnopolskim zjeździe lekarzy ZBoWiD został również przedstawiony referat prof. dra Stanisława *Konopki* [17]. Autor słusznie napisał, że „wiele odcinków dziejów okupacyjnych świeci jeszcze białymi plamami, które trzeba zapełnić treścią, aby można było w najbliższej przyszłości odtworzyć możliwie wierny i prawdziwy obraz dziejów Polski w czasie ostatniej wojny" [18]. Brak jest nadal dokładnego rozeznania strat wśród lekarzy, których w Polsce ubyło z winy okupanta w latach minionej wojny przeszło 5 tysięcy. W odpowiednich księgach pamiątkowych — dzięki zgłoszeniu współpracy Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny i Głównej Biblioteki Lekarskiej — niewątpliwie bez zbędnej zwłoki zostanie uczczona pamięć zamordowanych, zaginionych i zmarłych lekarzy, a także stomatologów, farmaceutów i pielęgniarek.

Spośród prac zagranicznych przełożono [19] na język polski studium psychiatry, dra *Andrea Devoto*, pt. *Aspetti sociopsicologici e sociopsichiatrici del RZ* [20]. Autor porusza tematykę dobrze znaną czytelnikom prac psychiatrów polskich, kreśli uwagi metodologiczne, zajmuje się bodźcami działającymi na deportowanych i rolą *SS*.

Była więźniarka Ravensbrück, autorka wspomnień obozowych pt. „I boję się snów...", dr Wanda *Półtawska*, połączyła w swej nowej książce [21] reminiscencje okupacyjne z powojennymi obserwacjami sytuacji życiowej różnych ludzi. W tym zbiorze opowiadań, reportaży i obrazów autorka z punktu widzenia psychiatry nie tylko dokonała nieraz przejmującej analizy literacko-psychologicznej następstw rzeczywistości okupacyjnej lub obozowej, lecz także przedstawiła swe spostrzeżenia współczesne; łatwo dostrzec tutaj wpływ socjo-lekarskich doświadczeń autorki, która wiele lat poświęciła pracy z młodzieżą nie dostosowaną do rygorów życia. Książka dr *Półtawskiej* jest w dużej części przykładem konieczności poruszania sprawy związków między życiem bieżącym a okresem minionej wojny. Podobne książki dowodzą, że tematyka okupacyjna zachowuje swą aktualność i pouczającą wartość; trafnie przy innej okazji ujął to zagadnienie red. Jacek *Susuł*:

„Rozumiem społeczne zapotrzebowanie na tego rodzaju literaturę: historyczną, pamiętnikarską, beletrystyczną. Rozumiem wreszcie wartość i przydatność tej literatury i jako dokumentu historycznego, i jako prawdy o bohaterstwie narodu, prawdy, której pod korcem chować się nie godzi. Nie jest mi też obca myśl o aktualnej i zarazem «wyższej» użyteczności tych książek. W jakimś zakresie uczą one najnowszej historii kraju i kształtują postawę patriotyczną młodszych pokoleń, powiedzmy ściślej: ich emocje patriotyczne, rzecz nie mającą ceny w dobie powszechnego zracjonalizowania oraz równie powszechnego, małego, kieszonkowego, a tym samym obrzydliwego pragmatyzmu. Trzeba tu jeszcze dodać, że stały przepływ tej literatury przez świadomość zbiorową polską ma wcale niebagatelne znaczenie w szerokim kontekście politycznym" [22].

Wśród najnowszych prac na temat losu dzieci podczas wojny warto odnotować wydanie książkowe [23] i artykuły [24], które zawierają za-

---

[16] Ukazała się ona we fragmentach w *Kölner Stadt-Anzeiger* (z 20. III. 1969 r., s. 4). Praca ta została omówiona między innymi przez J. *Bartosza* (Nowy punkt oskarżenia. Gazeta Robotnicza. Magazyn Tygodniowy, 1969, nr 3, s. 4) i w Biuletynie Informacyjnym Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego (1969, nr 100, s. 4).

[17] S. *Konopka:* Dzieje lekarzy w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej nie ulegną zapomnieniu. Arch. Hist. Med., 1968, z. 3/4, s. 421—424.

[18] Tamże, s. 422.

[19] Tłumaczyła A. *Krahl.*

[20] A. *Devoto*: Aspekty socjopsychologiczne i socjopsychiatryczne obozów koncentracyjnych. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Tom XVIII. Wydawn. Prawnicze, Warszawa 1968, s. 111—125.

[21] W. *Półtawska*: Stare rachunki. Czytelnik, Warszawa 1969, ss. 332.

[22] Tygodnik Powszechny, 1969, nr 27, s. 6.

[23] Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939—1945. Opracowanie merytoryczne Zofii *Tokarz.* Wydawn. Prawnicze, Warszawa 1969, ss. XXXI, nlb. 1, 168, ilustracje, tabele, bibliografia.

[24] R. *Hrabar:* Osadzanie małoletnich z tzw. Prowincji Górnośląskiej w obozach (na tle wybranych dokumentów). Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Tom XIX. Wydawn.

sób istotnych, udokumentowanych wiadomości. Piśmiennictwo pamiętnikarskie wzbogaciło się o nowe pozycje. W zapiskach pozostałych po prof. drze Stanisławie *Sokole* znajdowały się wspomnienia okupacyjne, które zebrał i przygotował do druku dr Eugeniusz *Sieńkowski*. Dzięki opublikowaniu tego dokumentu [25] utrwalono uwagi o pracy lekarzy podczas okupacji w małym szpitaliku Ubezpieczalni Społecznej w osadzie Ostrowy pod Strzemieszycami.

Czwarta część wspomnień nie żyjącego prof. dra Witolda *Orłowskiego* [26], udostępnianych w „Archiwum Historii Medycyny", dotyczy zagadnień lekarskich okupowanej stolicy. Autor omawia działalność Wydziału Lekarskiego w okresie przed powstaniem warszawskim (od 1 września 1939 roku do 31 lipca 1944 roku) oraz okupacyjne losy kliniki szczegółowej patologii i terapii chorób wewnętrznych (od początku wojny do sierpnia 1944 roku).

Fragment pamiętnika dra Tadeusza *Michalskiego* [27] odnosi się do Częstochowy podczas okupacji. To miasto, jak wiele innych, nieczęsto jest przedmiotem prac zawierających istotne wiadomości o działalności służby zdrowia.

Wśród wspomnień obozowych ukazała się książka Jana *Michalaka* [28]. Znaną relację więźnia Mauthausen-Gusen, Stanisława *Grzesiuka,* wznowiono z matryc [29]. Powtórnie wydano wspomnienia obozowe Czesława *Ostańkowicza* [30]. Do szczególnie interesujących pozycji należy także okupacyjna relacja jednego z pracowników wywiadu AK, Mariana *Karczewskiego* [31], który wspomina między innymi pobyt w obozach Gross-Rosen i Bergen-Belsen oraz w więzieniu na Pawiaku. O tej warszawskiej katowni pisano już niejednokrotnie, przy czym najbardziej autorytatywnie i wyczerpująco wypowiadali się więzieni lub pracujący tam lekarze [32]. O swym udziale w partyzantce i w powstaniu warszawskim pisze Emil *Kumor* [33].

Po upływie 25 lat od czasu sporządzenia rękopisu ogłoszono źródłową pracę prof. dra Edwarda *Lotha* [34], który połączył osobiste obserwacje z bezpośrednim wglądem w odpowiednie materiały i dokumenty. Stosownym wprowadzeniem do tej cennej relacji jest przedmowa redakcyjna. Autor poruszył zagadnienie opieki szpitalnej w pierwszych latach wojny w Warszawie, omówił leczenie na oddziałach chirurgii plastycznej i neurochirurgii, nakreślił krytykę ówczesnych wyników amputacyjnych i leczniczych, zajął się zagadnieniem doleczania kikuta i protezowaniem, uwzględniając statystykę opisał akcje dożywiania i opieki PCK, scharakteryzował działalność schronisk i domów noclegowych PCK, opisał działalność komisji inwalidzkich i przeszkalanie inwalidów, podjął próbę syntetycznej oceny tych różnych zakresów aktywności warszawskiej służby zdrowia podczas okupacji hitlerowskiej. Jest to jedna z ogłoszonych ostatnio najpoważniejszych prac archiwalnych o tematyce historyczno-lekarskiej.

Zagadnieniom związanym z obozem oświęcimskim przeznaczono między innymi broszurę o masowym nakładzie 210 tysięcy egzemplarzy [35]. Jest ona opracowana bardzo przejrzyście i w rzeczowy sposób może wprowadzić nawet nie zorientowanego czytelnika w problematykę zorganizowanej pomocy z zewnątrz dla więźniów Oświęcimia-Brzezinki, jak również w tajniki działalności wewnątrzobozowej, wymierzonej przeciw esesowskim ciemiężycielom. Treść wielu fragmentów tej broszury została już uprzednio poruszona w podobnym brzmieniu przez innych autorów. Na przykład podobozowa działalność Wojciecha *Jekiełka* i grupy z nim współpracującej została opisana w jego znanych wspomnieniach [36], a przebieg uwolnienia inż. Tadeusza *Orzelskiego* z rąk gestapo ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie przedstawił wyczerpująco Stefan *Rzeźnik* w „Przegląprzez

---

Prawnicze, Warszawa 1968, s. 51—79. — S. *Datner:* Pierwsze dzieci i pierwsi starcy, ofiary zbrodni hitlerowskich w czasie drugiej wojny światowej (w okresie 55 dni). Tamże, tom XVIII, Warszawa 1968, s. 94—110.

[25] S. *Sokół*: Ze wspomnień chirurga. Arch. Hist. Med., 1968, z. 3/4, s. 467—470.

[26] W. *Orłowski*: Wspomnienia. Część IV. Arch. Hist. Med., 1968, z. 3/4, s. 425—449.

[27] T. *Michalski*: Ubezpieczalnia Społeczna w Częstochowie w latach 1940—1945. Arch. Hist. Med., 1968, z. 3/4, s. 451—466. O służbie zdrowia w Wilnie w latach 1939—1941 i o swych dalszych wojennych losach w ZSRR pisze I. *Sztachelska*: Minęło 25 lat... Pielęgniarka i Położna, 1969, nr 7, s. 5—6.

[28] J. *Michalak:* Nr 3273 miał szesnaście lat. Iskry, Warszawa 1969, ss. 536, nlb. 2. — Zob. też: J. *Filipowicz:* Miałem wtedy 14 lat. Pax, Warszawa 1969, 16°, ss. 194, nlb. 2, tabl. 6. Majdanka dotyczy książka Z. *Pawlaka*: Przeżyłem... Pax, Warszawa 1969, 16°, ss. 255, nlb. 1, ilustracje. Zob. ponadto: Jesteśmy świadkami, Wspomnienia byłych więźniów Majdanka. Wybór i wstęp: C. *Rajca*, E. *Rosiak*, A. *Wiśniewska*. Wydawn. Lubelskie, Lublin 1969, 16°, ss. 457, nlb. 3. — A. *Stanisławski* [były więzień Pawiaka i Majdanka]: Pole śmierci. Wydawn. Lubelskie, Lublin 1969, 16°, ss. 276, ilustracje. — J. *Ścisło*: Świat musi osądzić. Wspomnienia więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Opracowanie literackie: K. *Goldbergowa*. Iskry, Warszawa 1969, 16°, ss. 164, nlb. 4, tabl. 18, ilustracje. — F. *Kubiak*: Pokonałem śmierć. [Wspomnienia z Dachau]. Opracowanie literackie: W. *Cynkier*. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1969, 16°, ss. 172, nlb. 4, tablice, ilustracje, mapa. — S. *Rapalski*: Byłem w piekle. Wspomnienia z Radogoszcza. Wyd. 3 poprawione i uzupełnione. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1969, 16°, ss. 167, nlb. 1.

[29] S. *Grzesiuk*: Pięć lat kacetu. Wyd. 5. Książka i Wiedza, Warszawa 1968, 16°, ss. 438, nlb. 2.

[30] C. *Ostańkowicz:* Ziemia parująca cyklonem. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1969, 16°, ss. 287, nlb. 1.

[31] M. *Karczewski*: Czy można zapomnieć? Pax, Warszawa 1969, 16°, ss. 259, nlb. 1.

[32] Np. A. *Czuperska-Śliwicka*: Cztery lata ostrego dyżuru. Wspomnienia z Pawiaka 1940—1944. Wyd. 2, Czytelnik, Warszawa 1968, ss. 419, nlb. 4. Zob. też Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 244.

[33] E. *Kumor*: Wycinek z historii jednego życia. Wyd. 2, Pax, Łódź 1969, ss. 323, nlb. 1, tablice, ilustracje, mapy. — Zob. też wspomnienia partyzanta: T. *Nowak*: Nie wysłany list. Pax, Warszawa 1969, 16°, ss. 109, nlb. 3.

[34] E. *Loth:* Opieka nad inwalidami polskimi w latach 1939—1943. Arch. Hist. Med., 1968, z. 3/4, s. 297—361.

[35] Z. *Hardt*, S. *Czerpak*: W cieniu krematorium. Wydawn. MON, Warszawa 1969, 16°, ss. 110, nlb. 1.

[36] W. *Jekiełek-„Żmija":* W pobliżu Oświęcimia. Wyd. 2, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Waszawa 1966, ss. 368, nlb. 4, tabl. 1, mapa 1.

dzie Lekarskim — Oświęcim" [37]. Sprawą ucieczek z obozu oświęcimskiego zajmował się Tomasz *Sobański* [38]. Warto dodać, że autorzy zacytowali w tekście kilka „grypsów" przemyconych z obozu; zasługują one na osobne wydanie nie tylko w wyborze, lecz nawet w całości.

Obozu w Mauthausen dotyczy praca Tadeusza *Żeromskiego* [39]. Corocznie podobne wydania zwiększają liczbę opracowań dotyczących poszczególnych obozów. Prawie każde zawiera przynajmniej luźne uwagi lub większe urywki, które wiążą się z zagadnieniami lekarskimi.

Do tematów wymagających większej uwagi autorów i szerszych badań historycznych należą zagadnienia lekarskie odrodzonego, ludowego Wojska Polskiego. W tym zakresie także pojawiają się nowe prace [40].

Publikacje, w których okupacyjna tematyka lekarska znajduje swój wyraz w tytule tekstu, są ułamkiem całego dorobku powojennego dotyczącego tego kręgu piśmiennictwa. Bardzo często można znaleźć ponadto fragmenty większych prac, niekiedy zbiorowych, czasem drobne artykuły w czasopismach i dziennikach, cytaty w różnych opracowaniach itp. Specjalne wydania książkowe, w których autorzy-lekarze zajmują się wyłącznie problematyką wojenną, ukazują się z niewielką częstotliwością. Na przykład w pierwszym półroczu 1969 roku naszą produkcję wydawniczą reprezentowała tylko jedna taka typowa książka, która w tym czasie ukazała się w księgarniach w pierwszym wydaniu, mianowicie wymienione już wspomnienia frontowego lekarza z drugiej armi Wojska Polskiego [41]. Powołano go do służby w początkach października 1944 roku na wyzwolonej Lubelszczyźnie. Do zrealizowania tej edycji przyczynił się Wojskowy Instytut Historyczny. Nie ulega wątpliwości, że wielu lekarzy albo dysponuje już napisanymi i nie wydrukowanymi wspomnieniami wojennymi, albo mogłoby jeszcze podjąć trud ich opracowania z myślą o wydaniu książkowym. Również nielekarzom z wieloletnim nieraz opóźnieniem udaje się doprowadzić do druku wcześniej spisywane relacje [42].

Komentarz ogólny

Nietrudno stwierdzić z perspektywy ćwierćwiecza, że obszerne piśmiennictwo polskie dotyczące drugiej wojny światowej i jej następstw odnosi się w dużej mierze do niezwykłych sytuacji i przeżyć nieprzeciętnych ludzi, jak np. bohaterowie szlaków wojennych, sławni partyzanci, męczennicy więzień i obozów hitlerowskich, kombatanci ruchu oporu. Natomiast znacznie rzadziej ogłaszano teksty poświęcone życiu okupacyjnemu przeciętnych ludzi. Przykładem tego rodzaju prac jest esej dra Tadeusza *Seweryna* o powszednim dniu okupacji. Praca ta była od dawna gotowa w rękopisie, gdy znany pisarz, Mirosław *Żuławski*, upomniał się o podjęcie tego tematu i uzasadnił celowość jego opracowania, wskazując na potrzebę opisywania nie tylko dramatycznych sytuacji okupacyjnych, lecz także zwykłych dni w tym okresie, „w którym przeżywało się zwykłe, codzienne sprawy" [43].

Tematyka tych stosunkowo nielicznych publikacji odnosi się do sytuacji i nastrojów milionów mieszkańców okupowanego kraju, powszechnych warunków sanitarnych, zdrowotnych i gospodarczych, psychicznej reakcji społeczeństwa na politykę i represje hitlerowskie. Można by wyliczyć serię wydań różnego rodzaju, od opracowań naukowych do utworów literackich. Jedną z pierwszych poważnych prac w tym zakresie jest „Kronika wojny i okupacji" Ludwika *Landaua* (tomy 1—3, Warszawa 1962), a także szkice psycho-socjologiczne prof. dra Kazimierza *Wyki* [44], pisane już w czasie okupacji w Krzeszowicach pod Krakowem i w pierwszym okresie powojennym, a wydane znacznie później. Jak słusznie spostrzegł recenzent, spotykamy w nich „charakterystyczną umiejętność przechodzenia od cząstkowych obserwacji do szerokich wniosków" [45], np. w szkicu oddającym rozmyślania autora nad „Faustem" w roku 1946. Znajdujemy też tutaj trafne spostrzeżenia o wpływie „osadu" okupacyjnego na tworzenie się nowych kompleksów narodowych i o pogłębieniu „schematu myślenia podobnego do tego, który obowiązywał w czasach porozbiorowych" [46]. W szkicu pt. „Gospodarka wyłączona" prof. *Wyka* wskazał na takie istotne skutki gospodarki niemieckiej w Generalnej Guberni, jak demoralizacja społeczeństwa wynikająca z systemu demoralizującego, deprawacja części inteligencji zmuszonej do handlu, który w istocie swej był spekulacją, lepsza koniunktura wsi istniejąca kosztem miast, szkodliwość „głębokiego naruszenia podstaw moralnych i ekonomicznych życia społecznego" [47].

Niejako równolegle do podobnych spostrzeżeń psycho-socjologicznych lekarze, zwłaszcza w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", ukazali swe obserwacje w zakresie ujemnych wpływów wojny na stan zdro-

---

[37] Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 132—138.

[38] T. *Sobański:* Ucieczki oświęcimskie. Wyd. 2 (poprawione i uzupełnione). Wstęp: J. *Zaborowski.* Wydawn. MON, Warszawa 1969, 16°, ss. 252, nlb. 2, tabela, mapy.

[39] T. *Żeromski:* Międzynarodówka straceńców. Wyd. 2, Iskry, Warszawa 1969, 16°, ss. 90, nlb. 2, tablice, ilustracje. — Ukazują się prace dokumentalne o różnych obozach, np. Zeszyty Majdanka (red. T. *Mencel*), tom 3, Wydawn. Lubelskie, Lublin 1969, ss. 291, nlb. 1. Wciąż zbyt mało pojawia się wydań obcojęzycznych, np. M. *Dunin-Wąsowicz,* T. *Matusiak*: Stutthof. Guide informateur. Wyd. Muzeum w Sztutowie, Gdańsk 1969, ss. 77, nlb. 1, ilustracje, bibliografia.

[40] Np. R. *Zabłotniak,* Z. *Kosztyła*: Zabezpieczenie medyczne oddziałów WP w walce o Berlin w r. 1945. Lekarz Wojskowy, 1968, nr 2, s. 144—147. — R. *Zabłotniak,* Z. *Kosztyła*: Zabezpieczenie medyczne walk 1 Armii WP o przełamanie Wału Pomorskiego w roku 1945. Tamże, nr 9, s. 800—806.

[41] K. *Płoński*: W szeregach służby zdrowia 2 AWP. Ze wspomnień lekarza. Wydawn. MON, Warszawa 1969, ss. 216.

[42] Np. W. *Wiśniewski*: Otwierają się bramy obozów. Książka i Wiedza, Warszawa 1969, 16°, ss. 286, nlb. 2. — Przykładem zbioru tekstów wydrukowanych dawniej, ale rozproszonych, jest książka B. *Maszlanki*: Druga wojna światowa. Fakty, mity, legendy. Opracował i przygotował do druku K. *Bugajak.* Wydawn. MON, Warszawa 1969, ss. 638, nlb. 2.

[43] M. *Żuławski*: Dzień powszedni. Kulisy, 1969, nr 24, s. 4.

[44] K. *Wyka*: Życie na niby. Szkice z lat 1939—1945. Książka i Wiedza, Warszawa 1957, ss. 214.

[45] A. *Klimowicz*: Korzenie dni dzisiejszych. Nowe Książki, 1957, nr 13, s. 807.

[46] Tamże, s. 808.

[47] Tamże.

wia. Ale tematyka medyczna jest bardzo wąska, specjalistyczna. Dotychczas jeszcze nie zinterpretowano dostatecznie przebiegu życia szerokich rzesz ludności w okupowanym kraju, zależnych w znacznym stopniu od sytuacji zdrowotnej, którą opisał prof. dr Jan Stanisław *Olbrycht* [48].

Trudno wyliczać np. próby literackie, do których w ostatnich latach dołączyła się Irena *Dowgielewicz* w swym zbiorze opowiadań [49]. Przedmiotem opisu tej autorki „jest ta sama jałowa, chaotyczna, doraźna rzeczywistość codzienna okupacji, która dla Kazimierza *Wyki* jest przedmiotem socjologicznej analizy. Książki *Wyki* i *Dowgielewicz* są oczywiście nieporównywalne, lecz wspólna jest im pewna intencja naczelna (...), pragnienie utrwalenia prawdziwego obrazu powszedniego dnia okupacji (...). Ma to być obraz prawdziwy, więc odarty z romantyzmu i legendy. «Most» jest relacją o życiu codziennym (...) tych (...), którzy przeżyli wojnę w całej jej nędzy i grozie, ale dla których wojna nie była związana z żadnym wyborem moralnym" [50]. „Zwrot ku realiom codzienności" w prozie *Dowgielewicz* [51] i „niedopowiedzenie problematyki moralnej" [52] budzą jednak uczucie niedosytu i pewność, że temat zasługuje na dalszą analizę, przy czym też wymaga on wzbogacenia interpretacji z psycho-lekarskiego punktu widzenia.

Piśmiennictwo omawiane od kilku lat w tym dziale „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" składa się w sumie na podstawowy wniosek o konieczności zapewnienia niepowtarzalności zbrodni hitlerowskich. Truizm ten, którego jednak nie chcą uznać niektóre wpływowe koła w NRF, ma swoje odbicie także w wielkiej literaturze światowej. Przykładem może być pisana podczas ostatniej wojny „Dżuma" Alberta *Camusa*. Oczywiście tytuł i treść utworu jest rozległą metaforą. „Ruch oporu" nielicznej garstki bohaterów przywodzi na myśl zorganizowaną akcję przeciw faszyzmowi hitlerowskiemu. Autor buduje etykę tych ludzi „na tradycyjnych zasadach klasycznego humanizmu: im bardziej nieludzki świat, tym głębiej należy wierzyć w dobro i piękno człowieka, w jego siłę, gdyż ta nieludzkość nie jest w stanie zanegować wewnętrznych ludzkich wartości" [53]. Doktor Rieux, który podjął decyzję przeciwstawiania się dżumie, zdaje sobie sprawę, że „bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przetrwać przez dziesiątki lat uśpiony", wobec tego „człowiek musi żyć w ciągłej gotowości, aby to najgorsze (...) i nieludzkie nie zaskoczyło go, nie odebrało mu człowieczeństwa" [54]. Wobec perspektywy wyboru nawet próba nieingerencji prowadzi do zagłady; możliwy jest tylko bunt przeciw klęsce i krzywdzie, realizowany niezależnie od stopnia prawdopodobieństwa szybkich i korzystnych efektów, ale zawsze z pełnym poczuciem człowieczeństwa i sensowności walki.

Jest to podstawowa nauka, którą uzasadnia bogate piśmiennictwo, wydobywające najistotniejszą treść z doświadczeń zmagania się przeciw hitleryzmowi. Aktualne, polityczne tło tych spraw jest znane [55].

[48] Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 103—115.

[49] I. *Dowgielewicz*: Most. Czytelnik, Warszawa 1968, 16°, ss. 236.

[50] Z. *Jarosiński*: Zwykły dzień okupacji. Kultura, 1969, nr 9, s. 9.

[51] Zob. też W. *Nawrocki*: Ludzkie sprawy zwykłe. Nowe Książki, 1968, nr 8, s. 542—543.

[52] Z. *Jarosiński*, l. c.

[53] B. *Sosień*: Etyka walki samotnej. Życie Literackie, 1969, nr 900, s. 5.

[54] Tamże.

[55] W. *Gomułka*: O problemie niemieckim. Książka i Wiedza, Warszawa 1968, ss. 511. — J. *Kokot*: Kwestia niemiecka w ćwierć wieku po kapitulacji III Rzeszy. Ossolineum, Wrocław 1968, ss. 179, nlb. 1. — Zob. też. J. *Krasuski:* Historia Rzeszy niemieckiej 1871—1945. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1969, ss. 480, nlb. 2, mapy. — R. *Buchała:* „Recht auf die Heimat". Studium z problematyki stosunków między NRF a wschodnimi sąsiadami Niemiec. PWN, Katowice 1969, ss. 140. — J. *Szłapczyński*, T. *Walichnowski*: Nauka w służbie ekspansji i rewizjonizmu (*Ostforschung*). Interpress, Warszawa 1969, ss. 218.

Uwagi o pisaniu wspomnień

Znaczenie wspomnień i pamiętników w pełni rozumiano od dawna. W okresie drugiej niepodległości, w czasach działalności Instytutu Gospodarstwa Społecznego pod kierunkiem Ludwika *Krzywickiego* i w latach inspirowania pisarstwa pamiętnikarskiego przez Floriana *Znanieckiego*, przeprowadzono około 20 konkursów na pamiętniki, natomiast w ostatnich 20 latach ogłoszono w Polsce przeszło 400 takich konkursów. Plonem były prace ćwierci miliona autorów, reprezentujących różne zawody. Dzięki temu uzyskano pamiętniki chłopów, kolejarzy, górników, nauczycieli, inżynierów, włókniarzy, oficerów, marynarzy itp. Wśród tego obfitego dorobku pamiętniki lekarzy stanowią tylko niewielki odsetek, a wspomnienia farmaceutów, stomatologów i pielęgniarek — drobną cząstkę. W tym zakresie istnieją możliwości uzyskania jeszcze bardzo wielkiej liczby pamiętników, wspomnień i relacji. Warto uświadomić sobie związane z tym trudności.

Wielu autorów, którzy napisali swe wspomnienia okupacyjne i nie mogą znaleźć wydawcy, zazwyczaj popełnia kilka znamiennych błędów, jak zły wybór tematów i wątków, rozwlekłość, trawestowanie treści przedstawionej przez innych autorów, wysuwanie na pierwszy plan własnej osoby i roli, zbyt wąska i jednostronna charakterystyka osób uczestniczących w opisywanych sytuacjach itp.

Nie jest możliwe stworzenie recepty na napisanie dobrych i wartościowych wspomnień, ale warto mimo to podać przynajmniej pewne wskazówki. Przede wszystkim należy odtwarzać te epizody, w których opisie nie powtarzają się wiadomości znane ze wspomnień już opublikowanych lub z obfitej literatury dotyczącej lat wojny. Trzeba unikać niepotrzebnego wyjaśniania, co to była np. kampania wrześniowa, na czym polegała okupacja hitlerowska, jakie oczywiste wydarzenia polityczne i militarne były tłem własnych przeżyć. Konieczny jest także odpowiedni wybór tematu i ograniczenie objętości maszynopisu [56], rzeczowość, zwięzłość, ostrożność wobec własnej pamięci i świadomość jej niedokładności i zawodności. Jej niedostatki można uzupełnić korespondencją ze współtowarzyszami niedoli. Wskazany jest umiar w wyrażaniu sądów zabarwionych emocjonalnie, które nieraz prowadzą do rozwlekłego, uczuciowego komentowania opisywanych zdarzeń. Fakty są często tak wymowne, że ich zbędne interpretowanie osłabia pożądane efekty. Zazwyczaj złe wrażenie wywierają próby beletryzowania, nadużywanie dialogów, których przecież po latach przeważnie nie można pamiętać w dosłownym brzmieniu, jeśli szczególnie nie wryły się w pamięć; razić może zbyt dokładne opisywanie drobiazgów, co można zastąpić krótkimi informacjami np. o zmianie czasu lub miejsca wydarzeń.

Technika pisania też odgrywa istotną rolę. Zamiast pisać chronologicznie, od początku do końca, lepiej jest kreślić różne epizody. Pamięć nie zawsze jest usłużna, przeto warto pisać w chwilach jej korzystnego pobudzenia i podczas przypływu sprzyjającego nastroju. Takie fragmenty można notować osobno, z odstępami, które potem ułatwiają nanoszenie poprawek i uzupełnień. Z czasem gromadzi się większa liczba urywków. Wtedy powinno się czytać je na nowo, mając na uwadze ewentualnego czytelnika, uczuciowo nie związanego z tematem. Autorom nasuwają się wówczas kryteria selekcji. Niektóre epizo-

[56] Zob. wydrukowane petitem wskazówki w Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 15 i 1969, nr 1, s. 11.

dy zostają odrzucane; pozostałe nasuwają potrzebę uporządkowania ich według jakiejś narzucającej się koncepcji. Kolejność chronologiczna byłaby wyborem najłatwiejszym, ale sposobów uporządkowania tekstu może być wiele, powinny one jednak być związane integralnie z treścią tak powstałego materiału, np. można ułożyć całość według nasilenia przeżyć, charakteru obserwacji psychologicznych, wątków dramatycznych, rodzaju spostrzeżeń lekarskich itp. Tok relacji winien postępować od epizodów słabszych do najlepszych i najefektowniejszych. Ostatnią fazą jest stylistyczne oczyszczenie tekstu, skreślenie wyrazów zbędnych, skrócenie zbyt długich zdań, usunięcie powtórzeń, wzbogacenie słownictwa, dodanie ewentualnych przypisów bibliograficznych i wyszukanie stosownych zdjęć i dokumentów do sporządzenia fotokopii. Dopiero wtedy można ubiegać się o wydawcę z pewnym prawdopodobieństwem sukcesu.

Odpowiedniemu, umiarkowanemu retuszowi powinny podlegać teksty już gotowe, zwłaszcza archiwalne, pozostałe po zmarłych autorach. Niemożliwa jest wtedy konsultacja osobista, toteż szczególnej uwagi adiustatora wymaga wówczas właściwe rozpoznanie subtelnej granicy między pospolitymi błędami językowymi i nieporadnościami składniowymi, które należy poprawić w tekście przed jego drukiem, a swoistym słownictwem (np. obozowym) i indywidualnymi właściwościami stylu, które trzeba zachować, aby nie osłabić autentyzmu dokumentu i jego swoistej barwy. O poprawkach i dopiskach adiustatora w rękopisach pośmiertnych czytelnik tak spreparowanego tekstu dowiaduje się z przypisów i na podstawie nawiasów klamrowych.

Poszczególny autor może relacjonować tylko o ograniczonym wycinku rzeczywistości, np. o tym, z czym się stykał w „sztubie" obozowej. Żyją jednak nieliczni więźniowie, którzy przeżyli kilka więzień i obozów, przerzucani z jednego miejsca kaźni do drugiego. Np. w wypadku Dory ksiądz Juliusz *Chyżewski* jest nielicznym spośród tych, którzy jeszcze dzisiaj [57] mogą na podstawie osobistych przeżyć i spostrzeżeń pisać o wszystkich trzech zakładach tego obozu, tzn. o *Werku* pierwszym, w którym produkowano prawdopodobnie V1, o „komandzie *Zawatzkiego*", czyli *Mittelbau-Dora*, w którym wytwarzano V2 i o *Werku* „cywilistów", szczególnie strzeżonym nawet przed esesmanami z zewnatrz. Ponadto autor ten zna tamtejszy „rewir" szpitalny. Możność porównania różnych obozów i podobozów wzbogaca wspomnienia zwłaszcza wtedy, gdy do prostego opisu dołącza się wartościująca refleksja. Oczywiście bogatszą faktografię znajdujemy zazwyczaj we wspomnieniach pisanych wkrótce po wyzwoleniu, natomiast z reguły mniej subiektywne, chłodniejsze emocjonalnie są relacje odtwarzane z pamięci i z zapisków po upływie wielu lat.

Przedstawione niektóre właściwości wspomnień obozowych muszą być brane pod uwagę przez krytyków, gdyż w przeciwnym razie powstają oceny wypaczone i nieraz krzywdzące autorów. Ci, którzy decydują w wydawnictwach o doborze publikacji okupacyjnych, powinni rozumieć opisaną swoistość i w ich wypadku zrezygnować z mechanicznego stosowania tych kryteriów, które obowiązują wobec wspomnień odnoszących się do innych okresów historii najnowszej.

Wspomnienia łatwo są poddawane krytyce ze względu na ich subiektywizm. To samo zdarzenie może być odmiennie opisane przez różnych autorów, którzy w nim uczestniczyli; w sumie dopiero powstaje pełniejszy opis [58]. Były więzień, jak każdy inny pamiętnikarz, kieruje się osobistymi względami i własną oceną przeżyć, dokonuje dowolnego wyboru faktów, interpretuje je pod wpływem nieraz nawet urazów psychicznych lub ulega emocjom i nastrojowości. Np. inaczej patrzy na „rewir" szpitalny w obozie lekarz — były więzień, który tylko nielicznym mógł pomóc i z nimi miał bliższy i dłuższy kontakt, a inaczej chory więzień, dla którego ze względu na brak leków i innych środków pomocy „rewir" pozostał w pamięci jako miejsce cierpienia i piekło.

Relacje zależą więc od punktu widzenia autora, od jego sytuacji obozowej, od czasu, do którego odnosi się wspomnienie i od wielu podobnych czynników. Treść wspomnienia może być zubożona wskutek zahamowań podczas pisania, wywołanych wewnętrznymi oporami autora, jak również ulega swoistemu poszerzaniu wskutek przyswojenia sobie informacji lub sposobów sformułowań, zaczerpniętych podczas lektury innych wspomnień obozowych.

Rzeczywistość obozowa była niezwykle złożona, nie jest możliwa do odtworzenia w pełni i dlatego bez przesady można powiedzieć, że prawd obozowych jest tyle, ilu żyje byłych więźniów. Wspomnienia więc mimo swego immanentnego subiektywizmu są dokumentem, gdyż stanowią niepowtarzalny przekaz wydarzeń, dokonany przez bezpośrednich świadków.

Perspektywy badań

Duże znaczenie przypisujemy również pracom naukowym i materiałom historyczno-dokumentarnym. Wspomnienia wyczerpują sposób widzenia świadka konkretnych wydarzeń, ale nie mają wartości uogólnienia naukowego, które osiąga się w drodze np. badania lekarskiego większej liczby byłych więźniów. Oczywiście wyniki analizy lekarskiej mogą być wsparte spostrzeżeniami zawartymi w takich dokumentach osobistych, jakimi są właśnie wspomnienia osób badanych lub innych autorów, którzy poruszyli pokrewne tematy.

W pracach historyczno-dokumentarnych można z powodzeniem stosować wiele zasad uznanych w metodyce historii. Ale tego rodzaju artykułom grozi zawsze ewentualny niedostatek w postaci niedoboru źródeł archiwalnych. W praktyce trudno jest osobiście dotrzeć do wszystkich archiwów i przejrzeć rękopisy. „Prof. *Płoski*, nie żyjący szef zakładu PAN zajmującego się historią Polski w drugiej wojnie światowej, obliczył, że nasze zasoby dokumentarne z tego okresu są rozproszone w 80 placówkach archiwalnych" [59]. W tej sytuacji autorzy doprowadzają zbieranie materiałów tylko do dowolnej, realnej granicy, gdyż w przeciwnym razie, dążąc do doskonałości opracowań, przesunięto by wiele publikacji w nieskończoność. Dodatkowym utrudnieniem jest brak centralnego katalogu zawartości archiwów. Aczkolwiek bardzo potrzebny, nie byłby on chyba wystarczający, gdyż w teczce materiałów zasygnalizowanych i bibliograficznie zatytułowanych mogą się znajdować urywki tekstów potrzebnych do opracowania zupełnie innego tematu. Wiedzą o tym między innymi autorzy zajmujący się zagadnieniami lekarskimi minionej wojny.

W znacznym stopniu odmienna technika badań i ostatecznego kształtowania tekstów do druku obowiązuje autorów lekarskich prac naukowych, wśród nich analizy stanu zdrowia kombatantów. Jest to żmudna czynność, do której etapów należą między innymi poszukiwania osób przedtem z reguły nie badanych, zwykłe czynności lekarskie podczas kontaktów z byłymi więźniami zgłaszającymi się do lekarza, sporządzanie odpowiednio przemyślanej, systematycznej dokumentacji, możliwie wszechstronna analiza uzyskanych materiałów i ich opisowe ujęcie. Dalszy etap, to opracowanie redakcyjne.

---

[57] J. *Chyżewski*: Dora. Tygodnik Powszechny, 1969, nr 18, s. 6; Koniec Nordhausen. Tamże, nr 30, s. 6.

[58] Typowym przykładem są wzajemnie się uzupełniające relacje byłych więźniów oświęcimskich o „generalnym odwszeniu" (29. XIII. 1942 r.), zestawione w artykule S. *Kłodzińskiego*: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I (Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 53—64).

[59] A. *Horodyski*: 13 prac magisterskich. Nowe Książki, 1969, nr 8, s. 518.

Nieraz ujemny wpływ na całość takich prac wywiera fakt, że studia lekarskie w zasadzie nie uwzględniają dłuższych, odpowiednio prowadzonych seminariów w zakresie logiki, technicznych sposobów naukowego badania zjawisk i w przedmiocie przedstawiania osiągniętych wyników, aczkolwiek istnieje na ten temat piśmiennictwo pomocnicze [60]. Praktykujący lekarz nigdzie nie zapoznaje się z odpowiednią metodyką, czyli z teoretycznie uogólnionymi wskazówkami wyjaśniającymi, jak wykonywać pracę naukową ekonomicznie i prawidłowo. Istniejące piśmiennictwo co najmniej marginesowo ujmuje wskazówki stylistyczno-językowe. Opublikowane zasady techniczno-redakcyjne są uniwersalne i dotyczą różnych dziedzin nauki [61]. Sprawa wymagałaby zaspokojenia metodologiczno-redakcyjnych potrzeb lekarzy piszących, przy czym warto by pomyśleć o wydaniu stosownego poradnika, który by łączył wybrane zagadnienia metodologiczne z poradnictwem językowym [62]. Bez współpracy doświadczonych lekarzy z językoznawcami trudno wyobrazić sobie powstanie podobnej książki [63], bardzo potrzebnej między innymi właśnie wielu lekarzom ZBoWiD.

Ponieważ jednak nie dysponujemy jeszcze takim zbiorem przynajmniej podstawowych wskazówek, przeto tym większej uwagi wymaga indywidualna, staranna praca nad dalszymi, nowymi artykułami naukowymi, które powstaną między innymi w związku z planowanym trzecim ogólnopolskim zjazdem lekarzy ZBoWiD. Tekst naukowy nie jest utworem literackim, choć całkiem słusznie redakcje czasopism lekarskich egzekwują w swych regulaminach poprawność stylu i formy. Niewątpliwie najważniejsze jest zachowanie zasady, aby opracowując podjęty temat liczyć się z tym, co już inni wcześniej napisali w tym samym lub podobnym zakresie. Np. podając wyniki lekarskich badań byłych więźniów nie można uchylić się od porównania własnej analizy z hipotezami i ustaleniami w dotychczasowym piśmiennictwie. Niestety nie zawsze tak się dzieje. Przykładem może być wspomniana już praca [64], którą ogłoszono tak, jak gdyby była pierwszym referatem dla czytelników polskich o socjo-psycho-psychiatrycznych aspektach obozów koncentracyjnych. Wystarczyłoby ten tekst opatrzyć przypisem, że podaje się czytelnikom interesujące i cenne spostrzeżenia autora włoskiego, ale już znacznie wcześniej powstał poważny zbiór prac polskich autorów na ten sam temat.

Wydaje się, że zamiast zbyt szeroko referować zagadnienia już znane, warto by w podobnych pracach lekarskich eksponować i wyczerpująco objaśniać te spostrzeżenia, które na tle dotychczasowego dorobku są nowe lub w określonym stopniu przyczyniają się do modyfikacji i uściślenia poprzednich obserwacji. Społeczna potrzeba poszerzenia tych badań i ich kontynuowania przesądza o tym, że mimo trudności formalnych, nie zrażając się nimi, obowiązuje lekarzy spisywanie swych obserwacji, jeśli tylko w swej praktyce stykają się z następstwami minionej wojny.

Wskazówką, jakie zagadnienia do opracowania wysuwają się na plan pierwszy, jest następujący projekt założeń programowych [65] trzeciego ogólnopolskiego zjazdu lekarzy ZBoWiD, planowanego na rok 1971.

Temat I: Zbrodnie hitlerowskie w Polsce. 1) Wybrane zagadnienia z zakresu oceny masowych zbrodni hitlerowskich na terenie Polski w okresie drugiej wojny światowej ze szczególnym uwzględnieniem zbrodni medycznych. 2) Wybrane zagadnienia z zakresu oceny strat biologicznych narodu polskiego w okresie drugiej wojny światowej ze szczególnym uwzględnieniem strat w służbie zdrowia. 3) Człowiek w warunkach ekstremalnych; ocena systemu esterminacji bezpośredniej i pośredniej okupanta (zabici i zamordowani, ofiary więzień i obozów koncentracyjnych, skutki głodu, chorób, zniszczeń, wysiedlenia, eksterminacji, deportacji). 4) Wojenne, okupacyjne i obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarzy; zbrodnicze aspekty organizacji i działalności hitlerowskiej służby zdrowia na terenie Polski oraz deontologia lekarzy hitlerowskich. 5) Etyczno-prawne granice eksperymentu lekarskiego (zagadnienie eutanazji, poprawy rasy, depopulacji itd.). 6) Służba zdrowia *SS*, instytutu medycyny doświadczalnej *SS* oraz zbrodnicze, pseudonaukowe eksperymenty lekarzy *SS* w obozach zagłady. 7) Ocena systemu eksterminacji przez nadmierną eksploatację w obozach koncentracyjnych oraz gospodarcza eksploatacja zwłok ludzkich. 8) Wyniki niektórych prac Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w zakresie oceny masowych zbrodni okupanta. 9) Wyniki badań Głównego Urzędu Statystycznego i PCK w zakresie oceny strat wojennych (bezpośrednich, pośrednich i odległych).

Temat II: Ocena stanu zdrowia różnych środowisk kombatanckich: 1) Porównawcza ocena odległych następstw odczynowości na stress wojenny różnych środowisk kombatanckich. 2) Ocena aktualnego stanu zdrowia środowiska a) byłych żołnierzy walk frontowych, b) byłych uczestników walk partyzanckich, c) byłych członków konspiracyjnego ruchu oporu, d) byłych więźniów obozów jenieckich, e) byłych więźniów obozów pracy przymusowej, f) byłych więźniów hitlerowskich więzień, g) byłych więźniów gett i innych miejsc karnego odosobnienia. 3) Ocena aktualnego stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych (dalsze wyniki badań specjalistycznych). 4) Wybrane zagadnienia specjalistyczne z zakresu patologii obozowej (między innymi zespołowe występowanie chorób u byłych więźniów obozów koncentracyjnych, zależność aktualnego stanu zdrowia od warunków obozowych, czasu pobytu w obozie, liczby obozów, wieku deportowanych, ocena stopnia utraty zdrowia byłych więź-

---

[60] Spośród prac dostępnych w języku polskim najważniejsze są: E. B. *Wilson*: Wstęp do badań naukowych. PWN, Warszawa 1964, ss. 561. — Zagadnienia metodologiczne medycyny współczesnej. Pod redakcją G. I. *Caregorodcewa*. PZWL, Warszawa 1968, ss. 300, nlb. 1. — J. *Pieter*: Ogólna metodologia pracy naukowej. Ossolineum, Wrocław 1967, ss. 472. — Kodeks dobrych zwyczajów w zakresie publikacji naukowych. *UNESCO*. Wydawn. Czasopism Technicznych NOT, Warszawa 1965, ss. 21, nlb. 3.

[61] Np. Zasady typowego opracowania edytorskiego. Opracował zespół redaktorów PWN pod kierunkiem L. *Marszałka*. Wyd. 2, PWN, Warszawa 1962, ss. 92. — Zasady typowego opracowania edytorskiego naukowych wydawnictw ciągłych. Red. T. *Prekerowa*. PWN, Warszawa 1964, ss. 134, nlb. 1.

[62] Dość obszerne jest piśmiennictwo w zakresie ogólnych zagadnień poprawności językowej, np. H. *Gaertner*, A. *Passendorfer*, W. *Kochański*: Poradnik gramatyczny. Zbiór wskazówek praktycznych dotyczących poprawności językowej. Wyd. 3 przerobione i uzupełnione. PZWS, Warszawa 1961, 16°, ss. 347, nlb. 1, bibliografia. — A. *Wierzbicka*, P. *Wierzbicki*: Praktyczna stylistyka. Wyd. 2, Wiedza Powszechna Warszawa 1969, ss. 243, nlb. 1. — M. *Nalepińska*: Jak mówić i pisać poprawnie. Zbiorek porad językowych. Wyd. 8, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969. 16°, ss. 91, nlb. 1, bibliografia. Wiele ważnych spostrzeżeń zawiera też praca zbiorowa pt. Język polski. Poprawność, piękno, ochrona. Red. S. *Urbańczyk*. Wyd. Bydgoskie Towarzystwo Naukowe, Bydgoszcz 1969, ss. 216.

[63] Niektóre publikacje poprawnościowe, aczkolwiek pomijają metodologię prac naukowych, są dostosowane do potrzeb określonego kręgu odbiorców, np. M. *Kniagininowa*, W. *Pisarek*: Poradnik językowy. Podręcznik dla pracowników prasy, radia i telewizji. Wydawn. Literackie, Kraków 1965, ss. 370, bibliografia. Brak jednak podobnego poradnika dla lekarzy.

[64] A. *Devoto*: o. c. (zob. przypis 20).

[65] Opracowany przez zespół naukowy przy Prezydium Głównej Komisji Socjalnej i Zdrowia Zarządu Głównego ZBoWiD.

niów, stan zdrowia potomstwa byłych więźniów i inne). 5) Podsumowanie wyników dalszych badań komisji lekarskich szczebla okręgowego ZBoWiD w zakresie oceny stanu zdrowia różnych środowisk kombatanckich.

Temat III: Specjalistyczne leczenie chorób wojennych i obozowych. 1) Symptomatologia i klinika chorób wojennych, okupacyjnych i obozowych. 2) Wskazówki dotyczące specjalistycznego zapobiegania i leczenia swoistych chorób wojennych i obozowych. 3) Metody readaptacji i rehabilitacji fizycznej, psychicznej i socjalnej różnych środowisk kombatanckich oraz inwalidów wojennych. 4) Specjalistyczne metody zapobiegania i leczenia astenii przewlekłej postępującej oraz przedwczesnego starzenia się. 5) Zagadnienia gerontologiczne i geriatryczne w odniesieniu do byłych kombatantów i deportowanych (etiopatogeneza fizjologicznego i patologicznego starzenia się, swoistość gerontologii wojennej i obozowej, symptomatologia i klinika, profilaktyka i terapia).

Temat IV: Organizacja pomocy w życiu i chorobie dla członków ZBoWiD: 1) Podsumowanie działalności organizacyjnej, lekarskiej i socjalnej komisji socjalnych i zdrowia na szczeblu centralnym i okręgowym ZBoWiD. 2) Podsumowanie działalności punktów konsultacyjnych, pomocy doraźnej i interwencyjnej oraz okręgowych poradni specjalistycznych dla członków ZBoWiD. 3) Ocena przydatności domów rencistów i domów dziennej opieki nad członkami ZBoWiD; zadania poradni gerontologicznych w leczeniu członków ZBoWiD; ocena wyników leczenia sanatoryjnego członków ZBoWiD. 4) Wyniki pracy opiekunów społecznych w niesieniu pomocy chorym i zniedołężniałym członkom ZBoWiD. 5) Podsumowanie doświadczeń społecznej i wojskowej służby zdrowia w niesieniu pomocy lekarskiej członkom ZBoWiD. 6) Podsumowanie pracy wydziałów zdrowia, akademii medycznych i instytutów naukowych w niesieniu pomocy oraz w specjalistycznych badaniach naukowych członków ZBoWiD. 7) Wyniki działalności działu orzecznictwa inwalidzkiego ZUS i PCK w zakresie oceny stopnia utraty zdrowia różnych środowisk kombatanckich, byłych więźniów obozów koncentracyjnych oraz ofiar eksperymentów pseudomedycznych. 8) Projekt utworzenia centralnego, specjalistycznego ośrodka klinicznego dla leczenia chorób wojennych, okupacyjnych i obozowych.

TREŚĆ POPRZEDNICH ZESZYTÓW „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO", POŚWIĘCONYCH ZAGADNIENIOM LEKARSKIM OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

Opracował: Jan *Masłowski*

Wszystkie pozycje w tym spisie są uszeregowane tematycznie, również w obrębie poszczególnych działów. Liczby rzymskie (I—IX) oznaczają kolejne zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim": I = = Przegl. Lek., 1961, nr 1a; II = Przegl. Lek., 1962, nr 1a; III = Przegl. Lek., 1963, nr 1a; IV = Przegl. Lek., 1964, nr 1; V = Przegl. Lek., 1965, nr 1; VI = = Przegl. Lek., 1966, nr 1; VII = Przegl. Lek., 1967, nr 1; VIII = Przegl. Lek., 1968, nr 1; IX = Przegl. Lek., 1969, nr 1. Następujące bezpośrednio po liczbach rzymskich liczby arabskie odnoszą się do numeracji stron w poszczególnych zeszytach. Na końcu spisu znajduje się alfabetyczny wykaz autorów prac.

*
* *

1. Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą (II 34, III 34, IV 2, V okł., VI okł., VII okł., VIII okł., IX okł.). — 2. J. Bogusz. Słowo wstępne (I 34—35, II 35—37, III 35—41, IV 3—7, V 3—12, VI 3—13, VII 3—12, VIII 3—16, IX 3—12). — 3. J. Bogusz: Słowo końcowe (I 83—84).

DZIAŁ NAUKOWY

4. J. S. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20. VI. 1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko dr Józefowi *Bühlerowi*, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG (III 103—115). — 5. J. S. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. (Orzeczenie wygłoszone na rozprawie sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 10 grudnia 1947), (II 37—49). 6. J. Sehn: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych (I 35—44). — 7. J. Sehn: Sprawa oświęcimskiego lekarza *SS*, J. P. *Kremera* (II 49—61). — 8. T. Bilikiewicz: Z rozważań nad psychologią ludobójstwa (VI 14—20). — 9. A. Kępiński: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej (II 81—83). — 10. A. Kępiński: Oświęcimskie refleksje psychiatry (IV 7—9). — 11. A. Kępiński: Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy (VII 52—60). — 12. A. Kępiński: Refleksje oświęcimskie: rampa; psychopatologia decyzji (VIII 26—35). — 13. A. Kępiński, M. Orwid: Z psychopatologii „nadludzi". Uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa *Hössa* (II 83—89). — 14. A. Kępiński: „Anus mundi" (V 150—152). — 15. A. Kępiński: Koszmar (VI 54—58). — 16. E. Chróścielewski: Eutanazja. Niektóre zagadnienia lekarskie i prawne (IX 37—42). — 17. E. Chróścielewski, W. Celiński: Pseudoeutanazja w „Kraju Warty" podczas okupacji hitlerowskiej (IX 42—47). — 18. S. Kasperek: Sterylizacje ze wskazań eugenicznych w latach 1934—1944 na Śląsku opolskim (VIII 40—47). — 19. M. Łyskanowski: Los psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej (VII 64—67). — 20. R. Kiełkowski: Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie (VII 68—78). — 21. S. Dąbrowski: Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji (VIII 36—40). — 22. J. Panasewicz: Niektóre aktualne zagadnienia patologii wojennej (IX 13—18). — 23. A. Makowski: Niedożywienie więźniów politycznych (według pracy Howarda H. *Inglinga*), (VIII 47—53). — 24. H. Münch: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim (VII 79—88). — 25. J. Kowalczykowa: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 58—60). — 26. J. Kościuszkowa: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 60—61). — 27. W. Półtawska: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". (Uwagi ogólne), (V 21—24). — 28. W. Półtawska: Stany hipermnezji napadowej. (Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich"), (VII 89—93). — 29. W. Półtawska, A. Jakubik, J. Sarnecki, J. Gątarski: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 21—36). — 30. J. Gątarski: Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 37—38). — 31. J. Sarnecki: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 39—46). — 32. E. A. Cohen:

Reakcja początkowa na osadzenie w obozie koncentracyjnym (V 28—31). — 33. V. E. Frankl: Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia z zakresu psychoterapii w obozie koncentracyjnym (V 24—28). — 34. R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań (II doniesienie wstępne), (I 64—73). — 35. M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 9—11). — 36. A. Teutsch: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Doniesienie wstępne (II 90—94). — 37. A. Teutsch: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 12—17). — 38. M. Orwid: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 94—97). — 39. M. Orwid: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 17—23). — 40. A. Szymusik: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 98—102). — 41. A. Szymusik: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 23—29). — 42. R. Leśniak: Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. (Doniesienie wstępne), (IV 29—30). — 43. R. Leśniak: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (V 13—20). — 44. J. Gątarski, M. Orwid, M. Dominik: Wyniki badania psychiatrycznego i elektroencefalograficznego 130 byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki (IX 25—28). — 45. S. Dąbrowski, H. Schrammowa, T. Żakowska-Dąbrowska: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych i eksperymentów pseudolekarskich (V 31—34). — 46. S. Kowalski: Wstępne wyniki badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska warszawskiego), (VIII 54—55). — 47. S. Kłodziński, J. Kutyba: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie), (VI 47—48). — 48. W. Wojtasik: Zmiany chorobowe u byłych więźniów obozów koncentracyjnych ze środowiska kieleckiego (IX 18—24). — 49. C. Kempisty: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego (VII 96—98). — 50. J. Schwann-Pawłowska: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego), (VII 98—101). — 51. T. Zdawski: Wstępne wyniki badań ftyzjatrycznych byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego), (VIII 64—65). — 52. B. Waluk: Ocena stanu zdrowia osadników wojskowych powiatu szczecińskiego (IX 35—36). — 53. J. Zielina: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych (VI 49—52). — 54. W. Witusik, R. Witusik: Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych (u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego), (VIII 56—64). — 55. H. Wieliczański: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich (IV 43—45). — 56. M. Dominik: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety (VII 102—104). — 57. S. Kłodziński: Zbrodnicze doświadczenia farmakologiczne na więźniach obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (preparat 3582, rutenol, Be 1034, periston), (V 40—46). — 58. S. Kłodziński: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą" w okresie okupacji hitlerowskiej 1939—1945 r. (II 70—77). — 59. S. Kłodziński: Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. (Doniesienie wstępne), (II 77—81). — 60. S. Kłodziński: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. (Doniesienie wstępne), (I 74—75). — 61. K. Capińska, T. Z. Capiński: Wyniki ambulatoryjnego badania dermatologicznego 150 byłych więźniów Oświęcimia (IX 31—35). — 62. A. Kaczyński: Gościec u więźniów obozów koncentracyjnych w obrazie ówczesnym i aktualnym (IX 28—30). — 63. J. Krzywicki: Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim (VII 94—96). — 64. J. Krzywicki: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich (V 36—37). — 65. J. Budny: Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie byłych więźniów (VIII 65—70). — 66. R. Waitz: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych (III 41—50). — 67. F. Blaha: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym Dachau), (IV 45—50). — 68. W. Fejkiel: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny *SS* w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 101—105). — 69. W. Półtawska: Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück (III 90—97). — 70. S. Kłodziński: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I (V 46—67). — 71. S. Kłodziński: Fenol w *KL-Auschwitz-Birkenau* (III 62—65). — 72. S. Kłodziński: Z zagadnień ludobójstwa. „Sterylizacja" i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr Horst *Schumann* (IV 105—111). — 73. T. Szymański: Przypadki *noma* (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka (II 68—78). — 74. R. Waitz, M. Ciepielowski: Doświadczalny dur wysypkowy w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie (V 68—69). — 75. S. Kłodziński: Z zagadnień „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich (IV 91—96). — 76. S. Kłodziński: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu. (Z działalności prof. dr Augusta *Hirta*), (IV 96—101). — 77. T. Sznajder: Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji (VII 61—62). — 78. R. Zabłotniak: Białostocka służba zdrowia w czasie okupacji hitlerowskiej (VII 63). — 79. R. Zabłotniak: Studia medyczne w czasie okupacji hitlerowskiej (VIII 71—72). — 80. S. Kłodziński: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (III 101—103). — 81. R. W. Gutt: Próba rozważań na temat etyki lekarzy nazistowskich (VIII 23—26). — 82. S. Dzięcielska-Machnikowska: Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników (VII 48—51). — 83. A. Schweitzer: Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej (VI 58—64). — 84. J. Milčinski: Kryzys etyki lekarskiej (VII 30—37). — 85. A. Glińska: Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia (VII 37—45). — 86. A. Glińska: Kierunek przekształceń moralnych wśród więźniów Oświęcimia (IX 53—57). — 87. A. Glińska: Istota i mechanizm przemian w moralności więźniów Oświęcimia (IX 57—60). — 88. S. Sterkowicz: Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich (IX 47—52). — 89. A. Gawalewicz: Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej (VII 45—48). — 90. K. Saller: Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie (VII 13—30). — 91. S. Kłodziński: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (V 34—36). — 92. S. Kłodziński: Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem „Oświęcimia" (VI 52—54).

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

93. J. Cyrankiewicz: Przemówienie na uroczystości odsłonięcia pomnika w Oświęcimiu-Brzezince (VIII 16—22). — 94. J. S. Olbrycht: Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych (VIII 82—91). — 95. B. Popielski: Zakład Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji hitlerowskiej (VIII 92—98). — 96. S. Urbańczyk: W Sachsenhausen i Dachau. (W 25 rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich), (V 76—

86). — 97. E. Brzezicki: Socjopsychopatia a „Kazet-Lager" Sachsenhausen (III 77—83). — 98. W. Zegarski: Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940—1945 (IX 75—86). — 99. J. Miodoński: Kilka wspomnień o *Sonderaktion Krakau* 1939 (III 69—77). — 100. O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów), (IV 53—57). — 101. F. K. Walter: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ (IV 50—53). — 102. K. M. Pospieszalski: Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny (VII 128—131). — 103. Z. Albert: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. (IV 58—77). — 104. S. Mahrburg: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie (V 86—90). — 105. M. Beardwell-Wieleżyńska: Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu (VII 105—112). — 106. Z. Wlazłowski: Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen (VII 112—121). — 107. Z. Wlazłowski: Lekarze polscy w obozowym ruchu oporu w Gusen (IX 92—95). — 108. Z. Wlazłowski: Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen (VIII 98—101). — 109. S. Jagielski: Psychiczne „galwanizowanie muzułmana" (VII 106—109). — 110. E. Hanke: Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, Wincentego *Spaltensteina* (VIII 110—115). — 111. M. E. Jezierska: Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 r. (VII 126). — 112. M. E. Jezierska: Zagadnienie małych obozów (VII 127—128). — 113. J. Witkowski: Hitlerowski obóz śledczy w Mysłowicach (IX 95—97). — 114. W. Fejkiel: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym Oświęcim I (obóz główny), (I 44—51). — 115. S. Kłodziński: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim (I 51—57). — 116. T. Paczuła: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia (III 50—53). — 117. T. Paczuła: Organizacja i administracja szpitala obozowego *KL Auschwitz* I (II 61—68). — 118. L. Głogowski: Królik doświadczalny (V 108—109). — 119. L. Głogowski: „Szpital" w Brzezince (V 109—114). — 120. R. Szuszkiewicz: Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 77—80). — 121. J. Zielina: Blok 8 szpitala obozu Oświęcim I (IV 82—84). — 122. M. Nowakowska: „Szpital kobiecy" w obozie w Oświęcimiu-Brzezince (I 61—64). — 123. J. Kiwała: Kuchnia dietetyczna (*Diet-küche*) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 80—82). — 124. J. Kiwała: „Szpital" w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—1943 (V 114—118). — 125. J. Wolny: O organizowaniu pomocy lekarsko-sanitarnej w obozie kobiecym w Brzezince (V 118—120). — 126. E. Lingens: Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince (VI 111—113). — 127. D. Lorska: Blok X w Oświęcimiu (V 99—104). — 128. D. Lorska: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr Hans *Münch* (VI 105—107). — 129. T. Szymański, D. Szymańska, T. Śnieszko: O „szpitalu" w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu-Brzezince (V 90—99). — 130. S. Leszczyńska: Raport położnej z Oświęcimia (V 104—106). — 131. E. Niedojadło: „Szpital" obozowy w Bunie (V 120—122). — 132. A. Makowski: I oddział wewnętrzny szpitala obozu koncentracyjnego Buna-Monowice (IX 71—75). — 133. O. Wolken: Gdy myślę o dzieciach... (V 106—107). — 134. O. Wolken: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie-„kwarantannie" w Brzezince za okres od 20. IX. 1943 do 1. XI. 1944 (IV 84—87). — 135. O. Wolken: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność), (IV 88—90). — 136. J. Kret: Przyczynek do historii zagłady inteligentów polskich w obozie oświęcimskim (IX 61—66). — 137. S. Kłodziński: Laboratorium Instytutu Higieny SS w Oświęcimiu. Bulion z mięsa ludzkiego (IX 67—71). — 138. S. Sterkowicz: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza (III 97—101). — 139. O. Wolken: Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 113—119). — 140. S. Kłodziński: Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia (VII 122—125). — 141. J. Bellert: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w Szpitalu Obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu (III 66—69). — 142. W. Jekiełek („Żmija"): Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 120—131). — 143. S. Rzeźnik: Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu Tadeusza *Orzelskiego* ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie (11. VI. 1941 r.), (VI 132—138). — 144. S. Kłodziński: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii *Rzącowej* i Marii *Osińskiej* (VI 87—89). — 145. R. Zabłotniak: Pomoc lekarzy dla ruchu oporu we wschodniej Białostocczyźnie (VIII 116—117). — 146. B. Matus: Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich (VIII 117—125). — 147. Z. Łakociński: Folke *Bernadotte* i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża (VIII 145—152). — 148. J. Witkowski: Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi (VIII 73—81). — 149. J. Witkowski: Dalsze informacje o „Polen-Jugendverwahrlager" w Łodzi. „Witaszkowcy" (IV 97—108). — 150. H. Tycner: Grupa doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu (VII 131—147). — 151. E. Chróścielewski: Uwagi w związku z akcją doktora *Witaszka*. Helena *Siekierska* („Lusia"), (IX 110—112). — 152. A. Witaszek-Napierała: Z lat germanizacji dzieci polskich (IX 109—110). — 153. J. Zielina: Dzieci z Lidic (VI 138—140). — 154. J. Misiewicz: Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim (VII 147—156). — 155. J. Włoczewski: Ursus a powstanie warszawskie. Wspomnienia lekarza (VI 140—142). — 156. H. Rawska: Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa (VI 142—145). — 157. R. Kiełkowski: Rządy Hansa *Franka* w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej (VIII 126—145). — 158. S. Kłodziński: „Konferencja krynicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. (III 115—123). — 159. M. Ciećkiewicz: Ubezpieczalnia Społeczna w dobie okupacji w tzw. Generalnej Guberni (III 124—129). — 160. M. Ciećkiewicz: Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji (VI 65—86). — 161. J. Mostowski: Zakłady profesora Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z ruchem oporu i obozami koncentracyjnymi (III 135—137). — 162. T. Pankiewicz: Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim (VI 89—101). — 163. T. Seweryn: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej. (VII 162—183). — 164. A. Biberstein: Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską (VII 156—162). — 165. M. Skulimowski: Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942 (VI 101—105). — 166. S. Kłodziński: Zbrodnicze doświadczenia z zakresu gruźlicy w Neuengamme. Działalność Kurta *Heissmeyera* (IX 86—91). — 167. S. Kłodziński: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny (VI 146—149). — 168. S. Kłodziński: Proces lekarza *SS*, Horsta *Fischera* (VIII 102—106). — 169. Wyrok frankfurcki (VI 150—155).

WSPOMNIENIA

170. A. Gawalewicz: Reszta będzie milczeniem (VI 174—182). — 171. A. Gawalewicz: Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana (III 54—62). — 172. A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei" lagrowej (IV 30—43). — 173. A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia (V 123—134). — 174. F. Danimann: W obozie oświęcimskim (VIII 187—191). — 175. L. Głogowski: Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim (VIII 191—194). — 176. J. Kret: Lekarze znaleźli wyjście (VI 184—190). — 177. J. Kret: Ze wspomnień oświęcimskich (VIII 209—212). — 178. A. Woycicki: Dwa oblicza „Służby Rozpoznawczej" (VI 182—184). — 179. M. E. Jezierska: Chorować nie wolno. Wspomnienia z Oświęcimia (VI 194—198). — 180. A. Piątkowska: Z przeżyć oświęcimskich (VIII 201—203). — 181. A. Tytoniak: Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince (VIII 195—

200). — 182. J. Apostoł-Staniszewska: Wspomnienia z Brzezinki. Urywki (IX 130—137). — 183. E. Piekut-Warszawska: Dzieci w obozie oświęcimskim. (Wspomnienia pielęgniarki), (VII 204—205). — 184. D. Lorska: Z pobytu w Oświęcimiu (VII 206—208). — 185. Z. Kordylewska: Z okupacyjnych przeżyć lekarki (IX 165—167). — 186. Z. Mączka-Patkaniowska: Zeznania z bunkra (V 135—138). — 187. J. Lach-Kamińska: W więzieniu i w obozach hitlerowskich (1943—1945), (IX 167—172). — 188. S. Dziaduś: Urywki wspomnień z Oświęcimia-Brzezinki (VIII 204—209). — 189. Z. Kączkowski: Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego (VII 208—211). — 190. E. Ciesielski: Ucieczka z Oświęcimia (VIII 218—224). — 191. A. Kopyciński: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym (IV 112—116). — 192. A. Kopyciński: Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu (VI 217—219). — 193. J. S. Olbrycht: Z przeżyć obozowych (V 139). — 194. J. Grenda: Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu (VII 223). — 195. M. R. Mazurkiewicz-Pieńkowska: Transport uratowany przed Oświęcimiem. Wspomnienia lekarki (IV 157—160). — 196. J. Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen (VI 198—202). — 197. J. Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen. Część II (VIII 213—217). — 198. J. Markiewicz: Wspomnienia lekarza z Mauthausen-Gusen (V 144—148). — 199. J. Osuchowski: Zagazowanie więźniów z bloku 24 w Gusen (IV 177—181). — 200. P. Wesełucha: Obłęd czy metoda. Refleksje poobozowe (IX 181—183). — 201. P. Wesełucha: Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen (VII 192—196). — 202. S. Pigoń: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940), (VI 156—171). — 203. S. Kelles-Krauz: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen (III 88—90). — 204. S. Głowa: Ewakuacja obozu w Sachsenhausen (VI 171—174). — 205. R. Sztaba: O niektórych więźniach Majdanka (IX 173—176). — 206. S. Perzanowska: Gdy wracam myślami do Majdanka. Wspomnienia lekarki (VI 202—209). — 207. S. Perzanowska: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku (VI 209—211). — 208. S. Perzanowska: Szpital obozu kobiecego w Majdanku (VIII 169—180). — 209. Z. Pawłowska: W rewirze na Majdanku (VIII 181—182). — 210. S. Perzanowska: Pomoc lubelskich organizacji społecznych więźniom Majdanka (V 140—144). — 211. Y. Pagniez: Niedziela w obozie (IX 154—156). 212. T. Fedorowicz („Ran"): Uwagi o „rewirach" i funkcyjnych obozowych (IX 148—153). — 213. J. Żegleń: Z „rewiru" w Gross-Rosen (IX 149—148). — 214. R. Sztaba: Ze wspomnień lekarza obozu w Gross-Rosen (VIII 153—157). — 215. K. Hałgas: Z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. (Wspomnienia lekarza), (VII 197—203). — 216. S. Dziaduś: „Hirschberg" i „Treskau", podobozy Gross-Rosen. Urywki wspomnień (IX 138—145). — 217. J. Jabłoński: Z Radogoszcza do Oświęcimia, Gross-Rosen i Mauthausen. Wspomnienia lekarza (IX 161—165). 218. B. Rubin: Wspomnienia lekarza z Falkenbergu i Ebensee (VIII 182—187). — 219. A. Makowski: Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie (VII 212—222). — 220. J. Nowicki: Od Stutthofu do Sandbostel (VIII 158—169). — 221. R. Kotucha: Na robotach w Rzeszy. Wspomnienia lekarza (IX 113—116). — 222. Z. Garnuszewski: Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki (VII 184—191). — 223. W. Salwa („Mazur"): Wspomnienia rannego partyzanta (VIII 225—227). — 224. T. Müller: Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego (VII 225—228). — 225. B. Woytowicz: W okupowanej Warszawie (IX 117—125). — 226. M. Kiciarski („Jur"): Olkusz pod okupacją hitlerowską. Wspomnienia lekarza (VIII 228—235). — 227. J. Sowiakowski: Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego (VIII 236—243). — 228. M. Grajkowska-Bryjowa: Wspomnienia z ludowej konspiracji (IX 125—129). — 229. T. Seweryn: Do psychologii „übermenschów". Kartki z pamiętnika (VIII 243—252). — 230. W. Lorenczuk: Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu (VII 224—225).

ZAGADNIENIA ODSZKODOWAŃ I ORZECZNICTWA

231. I. Domańska: Akcja Polskiego Czerwonego Krzyża na rzecz byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ofiar zbrodniczych eksperymentów pseudolekarskich (V 70—71). — 232. L. Brzozowski: Uwagi dotyczące uprawnień do świadczeń rentowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 71—73). — 233. S. Kłodziński: Uwagi dotyczące stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych w związku z orzecznictwem rentalnym (V 73—74). — 234. A. Szymusik: Dotychczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 74—75).

RÓŻNE

235. T. Seweryn: „Wisła" na falach eteru (V 152—159). — 236. T. Seweryn: Polskie sądownictwo podziemne (VI 212—217). — 237. K. Żywulska: List do Matki (V 149). — 238. Zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie badań lekarskich stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, członków ZBoWiD (V 165).

SPRAWOZDANIA

239. J. Nowak: Sprawozdanie z IV kongresu lekarskiego *FIR* w Budapeszcie (22—27. VI. 1964), (V 160—161). — 240. A. Kępiński, J. Masłowski: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy (V 161—163). — 241. Z. Jagoda, J. Masłowski: Drugi zjazd lekarzy ZBoWiD. Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej (IX 184—188). — 242. S. Kłodziński: III Krajowy Kongres Delegatów ZBoWiD. Warszawa 24—26. IX. 1964 r. Z zagadnień socjalno-medycznych Kongresu (V 164—165). — 243. Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 220—226). — 244. E. Brzezicki, A. Gawalewicz, T. Hołuj, A. Kępiński, S. Kłodziński, W. Wolter: Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Dyskusja), (VIII 253—261). — 245. P. Wesełucha: Uwagi o swoistości psychicznej byłych więźniów (VIII 262—265). — 246. A. Pituch: Studenci o zbrodniach hitlerowskich. Seminarium ogólnopolskie (IX 189—190).

SZKICE BIOGRAFICZNE

247. D. Pytlik: Mgr farmacji Maria *Bobrzecka* (I 75—76). — 248. W. Kiedrzyńska: Dr Celina *Choynacka* (V 167—168). — 249. S. Kłodziński: Dr Ludwik *Fischer*, były więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851 (VI 229—234). — 250. J. Kowalczykowa: Prof. dr Marian *Gieszczykiewicz* (I 76—77). — 251. T. Szymański: Dr Franciszek *Gralla* (I 77). — 252. E. Lingens: Dr Adelajda *Hautval* (IV 119—121). — 253. M. Dominik: Dr Halina *Jankowska* (VII 229—236). — 254. S. Kłodziński: Dr Władysława *Jasińska* (IX 199—201). — 255. W. Sienicki: Dr Stanisław *Kelles-Krauz* (VI 227—228). — 256. W. Zegarski: Dr Witold *Kopczyński* (IV 201—204). — 257. J. Kościuszkowa: Dr Stefania *Kościuszkowa* (I 78). — 258. W. Denikiewicz: Doc. dr Jan *Kowalczyk* (I 78—79). — 259. E. Opoczyński: Dr Henryk *Krause* (I 79). — 260. W. Kiedryńska: Dr Maria *Kujawska* (V 166—167). — 261. E. Opoczyński: Dr Witold *Kulesza* (I 79). — 262. S. Kłodziński: Dr Dorota *Lorska* (VII 236—241. — 263. E. Opoczyński: Dr Jan *Malinowski* (I 79—80). — 264. Z. Mączka-Patkaniowska: Mgr farmacji Czesław *Mączka* (IX 206—209). — 265. J. Kościuszkowa: Dr Ernestyna *Michalikowa* (I 80). — 266. J. Nowak, S. Perzanowska: Dwugłos o profesorze Mieczysławie *Michałowiczu* (Profe-

sor w obozach kaźni hitlerowskiej. — Wspomnienia z Majdanka), (VIII 266—269). — 267. E. Brzezicki: Prof. dr Jan *Miodoński* w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne (IV 125—126). — 268. H. Kępińska-Bazylewicz („Kora"): Dr Antoni *Ostaszewski* (IX 204—206). — 269. J. Bogusz: Dr Mieczysław *Owca-Orwicz* (V 171—172). — 270. J. Kowalczykowa: Dr Witold *Preiss* (I 80—81). — 271. M. Dominik: Prof. dr Franciszek *Raszeja* (IX 195—198). — 272. S. Kłodziński: Rola trucizn jako „ultimum refugium" w obozie w Oświęcimiu. Dr Jan Zygmunt *Robel* (IV 122—124). — 273. M. Kieta: Prof. dr Jan *Sehn* (VI 239—240). — 274. S. Kłodziński: Dr Aleksander *Smerek* (V 172—174). — 275. W. Jasińska: Kilka wspomnień o dr Wandzie *Starkowskiej* (VI 237—238). — 276. S. Kłodziński: Maria *Stromberger* (II 102—107). — 277. E. Opoczyński: Dr Zbigniew *Szawłowski* (I 81). — 278. W. Kiedrzyńska, H. Kępińska-Bazylewicz („Kora"): Dwa szkice o prof. dr Jadwidze *Szustrowej* (Koleje życia prof. *Szustrowej*. — Dr *Szustrowa* więźniarką gestapo), (IX 191—195). — 279. T. Hołuj: Marian *Toliński* (IV 121—122). — 280. J. Mostowski: Dr Wilhelm *Türschmid* (I 81—82). — 281. J. Kowalczykowa: Dr Maria *Werkenthin* (I 82—83). — 282. A. Przerwa-Tetmajer: Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie": Helena *Wolf* („Anka") i Janina *Zachariasz-Krajewska* (VI 234—236). — 283. S. Kłodziński: Dr Józef *Żegleń* (VIII 270—271). — 284. J. Aleksandrowicz: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie (III 129—134). — 285. S. Szmaglewska: Sylwetki lekarzy-więźniów Oświęcimia (IV 116—119). — Pozycje ujęte pod numerami 247, 250, 251, 257, 258, 259, 261, 263, 265, 270, 277, 280, 281 zostały opublikowane pod wspólnym tytułem: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia (I 75—83).

OCENY

286. E. Lingens: Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskich (VII 242—243). — 287. A. Kępiński, J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965 (VI 241—247). — 288. J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966 (VII 244—259). — 289. J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1967 (VIII 272—281). — 290. J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1968 (IX 210—220).

BIBLIOGRAFIA

291. J. Masłowski: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964 (V 175—189).

WYKAZ AUTORÓW PRAC ZAMIESZCZONYCH W „PRZEGLĄDZIE LEKARSKIM — OŚWIĘCIM"

Liczby w nawiasach odnoszą się do kolejnej numeracji poszczególnych pozycji w spisie treści zeszytów specjalnych I—IX (tj. bez zeszytu bieżącego).

Julian *Aleksandrowicz* (284). — Zygmunt *Albert* (103). — Jadwiga *Apostoł-Staniszewska* (182). — Myrtle *Beardwell-Wieleżyńska* (105). — Józef *Bellert* (141). — Aleksander *Biberstein* (164). — Tadeusz *Bilikiewicz* (8). — František *Blaha* (67). — Józef *Bogusz* (2, 3, 269). — Eugeniusz *Brzezicki* (97, 244, 267). — Lesław *Brzozowski* (232). — Jerzy *Budny* (65). — Krystyna *Capińska* (61). — Tadeusz Zbigniew *Capiński* (61). — Wiesław *Celiński* (17). — Edmund *Chróścielewski* 16, 17, 151). — Marian *Ciećkiewicz* (159, 160). — Marian *Ciepielowski* (74). — Edward *Ciesielski* (190). — Elie A. *Cohen* (32). — Józef *Cyrankiewicz* (93). — Franz *Danimann* (174). — Stanisław *Dąbrowski* (21, 45). — Władysław *Denikiewicz* (258). — Irena *Domańska* (231). — Małgorzata *Dominik* (44, 56, 253, 271). — Stanisław *Dziaduś* (188, 216). — Stefania *Dzięcielska-Machnikowska* (82). — Tadeusz *Fedorowicz* (212). — Władysław *Fejkiel* (68, 114). — Viktor E. *Frankl* (33). — Zbigniew *Garnuszewski* (222). — Adolf *Gawalewicz* (89, 170, 171, 172, 173, 244). — Julian *Gątarski* (29, 30, 44). — Alicja *Glińska* (85, 86, 87). — Leon *Głogowski* (118, 119, 175). — Stanisław *Głowa* (204). — Maria *Grajkowska-Bryjowa* (228). — Romuald Wiesław *Gutt* (81). — Kazimierz *Hałgas* (215). — Edward *Hanke* (110). — Tadeusz *Hołuj* (244, 279). — Józef *Jabłoński* (217). — Zenon *Jagoda* (241). — Andrzej *Jakubik* (29). — Władysława *Jasińska* (275). — Wojciech *Jekiełek* (142). — Maria Elżbieta *Jezierska* (111, 112, 179). — Antoni *Kaczyński* (62). — Stefan *Kasperek* (18). — Zbigniew *Kączkowski* (189). — Stanisław *Kelles-Krauz* (203). — Czesław *Kempisty* (49). — Halina *Kępińska-Bazylewicz* (268, 278). — Antoni *Kępiński* (9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 240, 244, 287). — Marian *Kiciarski* (226). — Wanda *Kiedrzyńska* (248, 260, 278). — Roman *Kiełkowski* (20, 157). — Mieczysław *Kieta* (273). — Julian *Kiwała* (123, 124). — Stanisław *Kłodziński* (47, 57, 58, 59, 60, 70, 71, 72, 75, 76, 80, 91, 92, 115, 137, 140, 144, 158, 166, 167, 168, 233, 242, 244, 249, 254, 262, 272, 274, 276, 283). — Adam *Kopyciński* (191, 192). — Zofia *Kordylewska* (185). — Janina *Kościuszkowa* (26, 257, 265). — Rajnold *Kotucha* (221). — Janina *Kowalczykowa* (25, 250, 270, 281). — Stanisław *Kowalski* (54). — Józef *Kret* (136, 176, 177). — Janusz *Krzywicki* (63, 64). — Janusz *Kutyba* (47). — Janina *Lach-Kamińska* (187). — Stanisława *Leszczyńska* (130). — Roman *Leśniak* (34, 42, 43). — Ella *Lingens* (126, 252, 286). — Wanda *Lorenczuk* (230). — Dorota *Lorska* (127, 128, 184). — Zygmunt *Łakociński* (147). — Marcin *Łyskanowski* (19). — Stanisław *Mahrburg* (104). — Antoni *Makowski* (23, 132, 219). — Józef *Markiewicz* (198). — Jan *Masłowski* (240, 241, 287, 288, 289, 290, 291). — Barbara *Matus* (146). — Zofia *Mączka-Patkaniowska* (186, 264). — Janez *Milčinski* (84). — Jan *Miodoński* (99). — Janina *Misiewicz* (154). — Jan *Mitarski* (34). — Jerzy *Mostowski* (161, 280). — Tadeusz *Müller* (224). — Hans *Münch* (24). — Eugeniusz *Niedojadło* (131). — Jan *Nowak* (239, 266). — Maria *Nowakowska* (122). — Jerzy *Nowicki* (220). — Jan Stanisław *Olbrycht* (4, 5, 94, 193). — Edwin *Opoczyński* (259, 261, 263, 277). — Maria *Orwid* (13, 34, 35, 38, 39, 44). — Jerzy *Osuchowski* (199). — Tadeusz *Paczuła* (116, 117). — Yvonne *Pagniez* (211). — Józef *Panasewicz* (22). — Tadeusz *Pankiewicz* (162). — Zofia *Pawłowska* (209). — Stefania *Perzanowska* (206, 207, 208, 210, 266). — Antonina *Piątkowska* (180). — Elżbieta *Piekut-Warszawska* (183). — Stanisław *Pigoń* (202). — Anna *Pituch* (246). — Bolesław *Popielski* (95). — Karol Marian *Pospieszalski* (102). — Wanda *Półtawska* (27, 28, 29, 69). — Alina *Przerwa-Tetmajer* (282). — Danuta *Pytlik* (247). — Helena *Rawska* (156). — Bronisław *Rubin* (218). — Stefan *Rzeźnik* (143). — Karl *Saller* (90). — Władysław *Salwa* (223). — Józef *Sarnecki* (29, 31). — Halina *Schrammowa* (45). — Jadwiga *Schwann-Pawłowska* (50). — Albert *Schweitzer* (83). — Jan *Sehn* (6, 7, 169). — Tadeusz *Seweryn* (163, 229, 235, 236). — Witold *Sienicki* (255). — Mieczysław *Skulimowski* (165). — Jeremiasz *Sowiakowski* (227). — Stanisław *Sterkowicz* (88, 138). — Seweryna *Szmaglewska* (285). — Tadeusz *Sznajder* (77). — Romuald *Sztaba* (205, 214). — Roman *Szuszkiewicz* (120). — Danuta *Szymańska* (129). — Tadeusz *Szymański* (73, 129, 251). — Adam *Szymusik* (34, 35, 40, 41, 234). — Tadeusz *Śnieszko* (129). — Aleksander *Teutsch* (34, 35, 36, 37). — Henryk *Tycner* (150). — Anna *Tytoniak* (181). — Stanisław *Urbańczyk* (96). — Robert *Waitz* (66, 74). — Franciszek Ksawery *Walter* (101). — Bronisław *Waluk* (52). — Piotr *Wesełucha* (200, 201, 245). — Henryk *Wieliczański* (55). — Alodia *Witaszek-Napierała* (152). — Józef *Witkowski* (113, 148, 149). — Romualda *Witusik* (54). — Władysław *Witusik* (54). — Zbigniew *Wlazłowski* (106, 107, 108). — Jerzy *Włoczewski* (155). — Władysław *Wojtasik* (48). — Otto *Wolken* (133, 134, 135, 139). — Jan *Wolny* (125, 196, 197). — Władysław *Wolter* (244). — Alfred *Woycicki* (178). — Bolesław *Woytowicz* (225). — Ryszard *Zabłotniak* (78, 79, 145). — Tadeusz *Zdawski* (51). — Witold *Zegarski* (98, 256). — Jan *Zielina* (53, 121, 153). — Teresa *Żakowska-Dąbrowska* (45). — Józef *Żegleń* (214). — Krystyna *Żywulska* (237).

CONTENTS OF PRECEDING ISSUES OF „PRZEGLĄD LEKARSKI" (MEDICAL REVIEW) DEVOTED TO MEDICAL PROBLEMS OF THE PERIOD OF NAZI-OCCUPATION

Compiled by Jan *Masłowski*
(Translated by Edwin R. *Paryski*)

The position in this list are arranged thematically. Roman numerals (I—IX) denote numbers of issues of „Przegląd Lekarski — Oświęcim" (Medical Review — Auschwitz). I = Przegl. Lek., 1961, No. 1a; II = Przegl. Lek., 1962, No. 1a; III = Przegl. Lek., 1963, No. 1a; IV = Przegl. Lek., 1964, No. 1; V = = Przegl. Lek., 1965, No. 1; VI = Przegl. Lek., 1966, No. 1; VII = Przegl. Lek., 1967, No. 1; VIII = Przegl. Lek., 1968, No. 1; IX = Przegl. Lek., 1969, No. 1. Arabic figures denote numbers of pages in the issues. Alphabetic index of authors is to be found at the end of the Polish version of contents.

* * *

1. To medical societies in Poland and abroad (II 34, III 34, IV 2, V front page, VI front page, VII front page, VIII front page, IX front page). — 2. J. Bogusz: Introduction (I 34—35, II 35—37, III 35—41, IV 3—7, V 3—12, VI 3—13, VII 3—12, VIII 3—16, IX 3—12). — 3. J. Bogusz: Closing word (I 83—84).

SCIENTIFIC PAPERS

4. J. S. Olbrycht: Health matters in the so-called Generalgouvernement. Expert opinion read on June 20, 1948, before the Supreme National Court in Cracow in the case against Dr. Joseph *Bühler*, former chief in the so-called GG administration (III 103—115). — 5. J. S. Olbrycht: Health matters in the Auschwitz concentration camp. (Expert opinion read at court proceedings before the Supreme National Court on Dec. 10, 1947), (II 37—49). — 6. J. Sehn: Some juridical aspects of the „experiments" carried out by the hitlerite SS doctors in concentration camps (I 35—44). — 7. J. Sehn: The Auschwitz trial of the SS physician J. P. *Kremer* (II 49—61). — 8. T. Bilikiewicz: Considerations on the psychology of mass murder (VI 14—20). — 9. A. Kępiński: Some psychosociologic problems of Nazi mass crimes in world war II (II 81—83). — 10. A. Kępiński: Reflections of a psychiatrist about Auschwitz (IV 7—9). — 11. A. Kępiński: Auschwitz reflections: the psychopathology of power (VII 52—60). — 12. A. Kępiński: Auschwitz reflections: the „ramp"; the psychopathology of decision (VIII 26—35). — 13. A. Kępiński, M. Orwid: The psychopathology of „supermen" (*Übermensch*). Remarks on the autobiography of Rudolf *Höss* (II 83—89). — 14. A. Kępiński: „Anus mundi" (V 150—152). — 15. A. Kępiński: Nightmare (VI 54—58). — 16. E. Chróścielewski: Euthanasia. Some medical and legal problems (IX 37—42). — 17. E. Chróścielewski, W. Celiński: Pseudoeuthanasia in „Warta-Land" („Warthegau") during the Nazi occupation (IX 42—47). — 18. S. Kasperek: Sterilization from eugenic indications in the years 1934—1944 in Opole Silesia (VIII 40—47). — 19. M. Łyskanowski: The fate of mental patients under the reign of Nazi ideology (VII 64—67). — 20. R. Kiełkowski: The mass murder of the patients of the mental hospital in Kobierzyn (VII 68—78). — 21. S. Dąbrowski: Liquidation of the patients of the mental hospital in Obrzyce and the problem of euthanasia (VIII 36—40). — 22. J. Panasewicz: Some timely pathologic problems of wartime (IX 13—18). — 23. A. Makowski: The starvation of political prisoners (according to Howard H. *Ingling*), (VIII 47—53). — 24. H. Münch: Starvation and survival time in the Auschwitz camp (VII 79—88). — 25. J. Kowalczykowa: Hunger disease in the concentration camp Auschwitz (I 60—61). — 27. W. Kościuszkowa: The fate of children in the concentration camp Auschwitz (I 60—61). — 27. W. Półtawska: Studies on the „Auschwitz-children". (General remarks), (V 21—24). — 28. W. Półtawska: States of paroxysmal hypermnesia. (With reference to studies on the so-called „Auschwitz children"), (VII 89—93). — W. Półtawska, A. Jakubik, J. Sarnecki, J. Gątarski: Results of psychiatric examination of persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps (VI 21—36). — 30. J. Gątarski: Electroencephalographic studies in persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps (VI 37—38). — 31. J. Sarnecki: Emotional conflicts of persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps (VI 39—46). — 32. E. A. Cohen: The initial reaction to imprisonment in the concentration camp (V 28—31). — 33. V. E. Frankl: Mental hygiene in compulsory situations. Psychotherapeutic experiments in the concentration camp (V 24—28). — 34. R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Some psychiatric problems of Auschwitz concentration camp. (Second interim report), (I 64—73). — 35. M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: The purpose and methods of psychiatric examination of former prisoners of the Auschwitz concentration camp (IV 9—11). — 36. A. Teutsch: An analysis of the process of adaptation to camp conditions in persons imprisoned during world war II in Nazi concentration camps. Preliminary report (II 90—94). — 37. A. Teutsch: Mental reactions to psychophysical stress in 100 former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp (IV 12—17). — 38. M. Orwid: Remarks on adaptation to post-camp life in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. Preliminary report (II 94—47). — 39. M. Orwid: Sociopsychiatric sequels of imprisonment in the Auschwitz-Birkenau concentration camp (IV 17—23). — 40. A. Szymusik: Mental disorders after liberation in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. Preliminary report (II 98—102). — 41. A. Szymusik: Progressive asthenia in former prisoners of the Auschwitz concentration camp (IV 23—29). — 42. R. Leśniak: Personality changes in former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp. (Preliminary report), (IV 29—30). — 43. R. Leśniak: Changes of personality in former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp (V 13—20). — 44. J. Gątarski, M. Orwid, M. Dominik: Results of psychiatric and electroencephalographic examination of 130 former prisoners of Auschwitz-Birkenau (IX 25—28). — 45. S. Dąbrowski, H. Schrammowa, T. Zakowska-Dąbrowska: Permanent mental disorders after imprisonment in concentration camps and pseudomedical experiments (V 31—34). — 46. S. Kowalski: Preliminary results of medical investigation of former prisoners of Nazi concentration camps (in Warsaw), (VIII 54—55). — 47. S. Kłodziński, J. Kutyba: Preliminary results of examinations of the state of health of 100 former prisoners of Nazi concentration camps (in the Old Town quarter of Cracow), (VI 47—48). — 48. W. Wojtasik: Pathologic changes in former prisoners of concentration camps resident in Kielce (IX 18—24). — 49. C. Kempisty: State of health of former prisoners in Wrocław (VII 96—98). — 50. J. Schwann-Pawłowska: Preliminary results of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps (in Szczecin), (VII 98—101). — 51. T. Zdawski: Preliminary results of phthisiatric examination of former prisoners of Nazi concentration camps (in Szczecin), (VIII 64—64). — 52. B. Waluk: The state of health of military settlers in the Szczecin county (IX 35—36). — 53. J. Zielina: Results of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps (VI 49—52). — 54. W. Witusik, R. Witusik: Pathologic traces of imprisonment in concentration camp (in former Auschwitz prisoners), (VIII 56—64). — 55. H. Wieli-

czański: Observations on the present state of health of former prisoners of the Nazis (IV 43—45).— 56. M. Dominik: The health and living conditions of former Auschwitz prisoners in the light of questionnaires (VII 102—104). — 57. S. Kłodziński: Criminal pharmacological experiments on prisoners of the Auschwitz concentration camp (preparation 3582, rutenol, Be 1034, periston), (V 40—46). — 58. S. Kłodziński: Trials of biologic extermination of the Polish nation under the pretense of „battle against tuberculosis" during the period of the Nazi occupation, 1939—1945 (II 70—77). — 59. S. Kłodziński: Criminal experiments on tuberculosis in Nazi concentration camps during world war II. Preliminary communication (II 77—81). — 60. S. Kłodziński: Results of examinations of former Auschwitz prisoners for pulmonary tuberculosis, 15 years after liberation. (Preliminary communication), (I 74—75). — 61. K. Capińska, T. Z. Capiński: Results of ambulatory dermatologic treatment of 150 former Auschwitz prisoners (IX 31—35). — 62. A. Kaczyński: Chronic rheumatoid arthritis in prisoners of concentration camps and their present status (IX 28—30). — 63. J. Krzywicki: Jaw trauma in the Auschwitz camp (VII 94—96). — 64. J. Krzywicki: The state of teeth of former prisoners of Nazi camps (V 36—37). — 65. J. Budny: The influence of imprisonment in concentration camps on the dentition of former prisoners (VIII 65—70). — 66. R. Waitz: Pathologic conditions in former women prisoners of concentration camps (III 41—50). — 67. F. Blaha: On the pathogenesis of arteriosclerosis (on the basis of personal observations at the Dachau concentration camp), (IV 45—50). — 68. W. Fejkiel: Experiments carried out by the SS sanitary personnel in the main camp in Auschwitz (IV 101—105). — 69. W. Półtawska: Experimental operations at the Ravensbrück concentration camp (III 90—97). — 70. S. Kłodziński: Typhus fever at the Auschwitz I concentration camp (V 46—67). — 71. S. Kłodziński: Phenol in KL-Auschwitz-Birkenau (III 62—65). — 72. S. Kłodziński: Problems of mass murder. „Sterilization" and castration with Roentgen rays at the Auschwitz concentration camp. Dr Horst *Schumann* (IV 105—111). — 73. T. Szymański: Cases of noma (gangrenous stomatitis) in the gypsy camp at Auschwitz-Birkenau (II 68—78). — 74. R. Waitz, M. Ciepielowski: Experimental typhus at the Buchenwald concentration camp (V 68—69). — 75. S. Kłodziński: Problems of „economical" exploitation of human bodies in Nazi Germany (IV 91—96). — 76. S. Kłodziński: The collection of Jewish skeletons for the University of the IIIrd Reich in Strasburg. (The activities of Prof. Dr. August *Hirt*), (IV 96—101). — 77. T. Sznajder: The former Infectious Diseases Department of the St. Lazarus State Hospital in Cracow during the occupation (VII 61—62). — 78. R. Zabłotniak: The health service in Białystok during the Nazi occupation (VII 63). — 79. R. Zabłotniak: Medical studies during the Nazi occupation (VIII 71—72). — 80. S. Kłodziński: Some problems of medical deontology in Nazi concentration camps (III 101—103). — 81. R. W. Gutt: Some reflections on the ethics of Nazi doctors (VIII 23—26). — 82. S. Dzięcielska-Machnikowska: Problems of the medical profesion during the Nazi occupation in the light of literature and memoires (VII 48—51). — 83. A. Schweitzer: Problems of ethics in the evolution of human thought (VI 58—64). — 84. J. Milčinski: The crisis of medical ethics (VII 30—37). — 85. A. Glińska: Studies on the morals of Auschwitz prisoners (VII 37—45). — 86. A. Glińska: Trends of moral transformation in Auschwitz prisoners (IX 53—57). — 87. A. Glińska: The nature and mechanism of moral transformation in Auschwitz-prisoners (IV 57—60). — 88. S. Sterkowicz: Problems of morality among the prisoners of Nazi concentration camps (IX 47—52). — 89. A. Gawalewicz: Reflection on moral problems in Auschwitz (VII 45—48). — 90. K. Saller: Murder on racial grounds and illusions of heroism in national socialism (VII 13—30). — 91. S. Kłodziński: The aims and methods of medical examinations of former prisoners of Nazi concentrations camps (V 34—36). — 92. S. Kłodziński: The necessity of continuing scientific studies on the problem of „Auschwitz" (VI 52—54).

HISTORICAL AND DOCUMENTARY PAPERS

93. J. Cyrankiewicz: Speach on the occasion of the unveiling of the monument in Auschwitz-Birkenau (VIII 16—22). — 93. J. S. Olbrycht: Experiences of a forensic physician during the Nazi occupation and after liberation in matters connected with the occupation (VIII 82—91). B. Popielski: The Department of Forensic Medicine of the Jagellonian University during the Nazi occupation (VIII 92—93). — 96. S. Urbańczyk: In Sachsenhausen and Dachau. (On the 25th anniversary of the imprisonment of the professors of Cracow academic schools), (V 76—86). — 97. E. Brzezicki: Social psychopathy and the Sachsenhausen „Kazet-Lager" (III 77—83). — 98. W. Zegarski: The hospital in Sachsenhausen and camp conditions in the years 1940—1945 (IV 75—86). — 99. J. Miodoński: Some reminiscences of the Sonderaktion Krakau 1939 (III 69—77). — 100. On the trials of freeing the professors of the Jagellonian University (as related by members of the families of the professors), (IV 53—57). — 101. F. K. Walter: Professors and associate professors of the Medical Faculty of the Jagellonian University deceased during the war (IV 50—53). — 102. K. M. Pospieszalski: A list of workers of the Poznań Uniwersity deceased during the war (VII 128—131). — 103. Z. Albert: The murder of 25 professors of academic schools in Lwów by the Nazis in July 1941 (VI 58—77). — 104. S. Mahrburg: Reminiscences from the period of Nazi terror in Vilno (V 86—90). — 105. M. Beardwell-Wieleżyńska: The concentration camp in Bergen-Belsen immediately after the liberation (VII 105—112). — 106. Z. Wlazłowski: The hospital in the Gusen concentration camp (VII 112—121). — 107. Z. Wlazłowski: Polish physicians in the underground resistance movement in Gusen (IX 92—95). — 108. Z. Wlazłowski: Pulmonary tuberculosis and the treatment of tuberculosis patients at the Gusen concentration camp (VIII 98—101). — 109. S. Jagielski: Mental „galvanization of muslims" (VIII 106—109). — 110. E. Hanke: Reflections of Wincenty *Spaltenstein*, prisoner of the Dachau concentration camp (VIII 110—115). — 111. M. E. Jezierska: Block 46 in the Buchenwald camp in March 1945 (VII 126). — 112. M. E. Jezierska: The problem of small camps (VII 127—128). — 113. J. Witkowski: The Nazi investigation camp in Mysłowice (IX 95—97). — W. Fejkiel: On the health service in the Auschwitz I concentration camp (main camp), (I 44—51). — 115. S. Kłodziński: The Polish health service's part in saving prisoners' lives in Auschwitz (I 51—57). — 116. T. Paczuła: The Auschwitz camp and camp hospital in the early period of their existence (III 50—53). — 117. T. Paczuła: Organization and administration of the camp hospital in KL Auschwitz I (II 61—68). — 118. L. Głogowski: An experimental rabbit (V 108—109). — 119. L. Głogowski: The „hospital" in Birkenau (V 109—114). — 120. R. Szuszkiewicz: Dentistry in the Auschwitz concentration camp (IV 77—80). — 121. J. Zielina: Block 9 of the camp hospital in Auschwitz I (IV 82—84). — 122. M. Nowakowska: The „women's hospital" in the Auschwitz-Birkenau camp (I 61—64). — 123. J. Kiwała: The dietetic kitchen (*Dietküche*) of the hospital in the Auschwitz concentration camp (IV 80—82). — 124. J. Kiwała: The „hospital" in the women's camp in 1942—1943 (V 114—118). — 125. J. Wolny On the organization of medical and sanitary aid in the women's camp in Birkenau (V 118—120). — 126. E. Lingens: Nationality problems in the women's hospital in Birkenau (VI 111—113). — 127. D. Lorska: Block X in Auschwitz (V 99—104). — 128. D. Lorska: Reminiscences from Block No. 10. Dr. Hans *Münch* (VI 105—107). — 129. T. Szymański, D. Szymańska, T. Śnieszko: On the „hospital" in the family camp for gypsies in Auschwitz-Birke-

nau (V 90—99). — 130. S. Leszczyńska: Report of a midwife in Auschwitz (V 104—106). — 131. E. Niedojadło: The camp „hospital" in Buna (V 120—122). — 132. A. Makowski: The First Ward of General Medicine in the Buna-Monowice concentration camp hospital (IX 71—75). — 133. O. Wolken: When I think of the children... (V 106—107). — 134. O. Wolken: Comments on the statistics of patients and deaths in the „quarantine" camp in Birkenau, Sept. 20, 1943 to Nov. 1, 1944 (IV 84—87). — 135. O. Wolken: The fate of Jews in Auschwitz (mortality), (IV 88—90). — 136. J. Kret: A contribution to the history of the extermination of the Polish inteligentsia in the Auschwitz camp (IX 61—66). — 137. S. Kłodziński: The Laboratory of the SS Institute of Hygiene in Auschwitz. Broth from human flesh (IX 67—71). — 138. S. Sterkowicz: Problems of life and death in the camp, the reminiscences of a physician (III 97—101). — 139. O. Wolken: Liberation of the Auschwitz-Birkenau concentration camp (VI 113—119). — 140. S. Kłodziński: International Red Cross packages for Auschwitz prisoners (VII 122—125). — 141. J. Bellert: The work of Polish doctors and nurces in the Red Cross Camp Hospital after the liberation of the camp (III 66—69). — 142. W. Jekiełek („The Snake"): Help for the prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp by the Peasants' Battalions (VI 120—131). — 143. S. Rzeźnik: Escape of the Auschwitz prisoner Tadeusz *Orzelski* from the St. Lazarus Hospital in Cracow (June 11, 1941), (VI 132—138). — 144. S. Kłodziński: Help to personer displaced by the Nazis in the light of reminiscences of the Polish Red Cross sisters Stefania *Rzącowa* and Maria *Osińska* (VI 87—89). — 145. R. Zabłotniak: Help by doctors for the resistance movement in the eastern Białystok region (VIII 116—117). — 146. B. Matus: The Green Cross, the sanitary service of the Peasants' Battalions (VIII 117—125). — 147. Z. Łakociński: Folke *Bernadotte* and the action of the Swedish Red Cross (VIII 145—152). — 148. J. Witkowski: The Nazi camp for children in Łódź (VIII 73—81). — 149. J. Witkowski: Further information on the „Polen-Jugendverwahrlager" in Łódź. The „Witaszkowcy" group (IX 97—108). — 150. H. Tycner: The group of Dr. Franciszek *Witaszek* in the Great Poland resistance movement (VII 131—147). — 151. E. Chróścielewski: Remarks on the activities of Doctor *Witaszek*. Helena *Siekierska* („Lusia"), (IX 110—112). — 152. A. Witaszek-Napierała: Germanization of Polish children (IX 109—110). — 153. J. Zielina: The children of Lidice (VI 138—140). — 154. J. Misiewicz: Diary from the days of the Warsaw Insurrection from the Wolski Hospital (VII 147—156). — 155. J. Włoczewski: Ursus and the Warsaw Insurrection. Reminiscences of a doctor (VI 140—142). — 156. H. Rawska: Reminiscences of a nurse from the occupation in Ursus (VI 142—145). — 157. R. Kiełkowski: The rule of Hans *Frank* in the light of documentation of the Central Care Council (VIII 126—145). — 158. S. Kłodziński: The „Krynica Conference" of Nazi doctors in October 1941 (III 115—123). — 150. M. Ciećkiewicz: The Health Insurance during the occupation in the so-called General Gouvernement (III 124—129). — 160. M. Ciećkiewicz: The insurance health service in Poland during the occupation (VI 65—86). — 161. J. Mostowski: Professor Bujwid's Laboratory for production of sera and vaccines in Cracow and its collaboration with the resistance movement and concentration camps (III 135—137). — 162. T. Pankiewicz: The „Eagle" Drugstore in the Cracow ghetto (VI 89—101). — 163. T. Seweryn: Help for Jews during the Nazi occupation (VII 162—183). — 164. A. Biberstein: The Jewish health service in Cracow during the Nazi occupation (VII 156—162). — 165. M. Skulimowski: Liquidation of the Jewish hospital in Wieliczka in 1942 (VI 101—105). — 166. S. Kłodziński: Criminal experiments in tuberculosis in Neuengamme. The activities of Kurt *Heissmeyer* (IX 86—91). — 167. S. Kłodziński: SS-men in the Auschwitz „health service". Preliminary list (IV 146—149). — 168. S. Kłodziński: The trial of the SS doctor, Horst *Fischer* (VIII 102—106). — 169. The Frankfurt verdict (VI 150—155).

REMINISCENCES

170. A. Gawalewicz: The rest is silence (VI 174 to 182). — 171. A. Gawalewicz: Waiting room to the gas chamber. Fragments of reminiscences of a muslin (III 54—62). — 172. A. Gawalewicz: The number regains its name. I. Finish of the camp „epic" (IV 30—43). — 173. A. Gawalewicz: The number regains its name. II. Prologue of a human life (V 123—134). — 174. F. Danimann: In the Auschwitz camp (VIII 187—191). — 175. L. Głogowski: My first days in the Auschwitz camp (VIII 191—194). — 176. J. Kret: The doctors found a way (VI 184—190). — 177. J. Kret: Auschwitz reminiscences (VIII 209—212). — 178. A. Woycicki: Two aspects of the „Reconaissance Service" (VI 182—184). — 179. M. E. Jezierska: Sickness forbidden. Auschwitz reminiscences (VI 194—198). — 180. A. Piątkowska: Auschwitz reminiscences (VIII 201—203). — 181. A. Tytoniak: Autumn 1942 in the women's hospital in Birkenau (VIII 195—200). — 182. J. Apostoł-Staniszewska: Reminiscences from Birkenau. Fragments (IX 130—137). — 183. E. Piekut-Warszawska: Children in the Auschwitz camp (Reminiscences of a nurse), (VII 204 to 205). — 184. D. Lorska: My stay in Auschwitz (VII 206—208). — 185. Z. Kordylewska: Reminiscences of a woman physician from the occupation (IX 165—167). — 186. Z. Mączka-Patkaniowska: Confessions from a bunker (V 135—138). — 187. J. Lach-Kamińska: In Nazi prisons and concentration camps (1943—1945). — 188. S. Dziaduś: Some reminiscences of Auschwitz-Birkenau (VIII 204 to 209). — 189. Z. Kączkowski: An attempted escape from Auschwitz (VII 208—211). — 190. E. Ciesielski: Escape from Auschwitz (VIII 218—224). — 191. A. Kopyciński: The orchestra in the Auschwitz concentration camp (IV 112—116). — 192. A. Kopyciński: List of members of the camp orchestra in Auschwitz (VI 217—219). — 193. J. S. Olbrycht: Some camp experiences (V 139). — 194. J. Grenda: Reminiscences of work in the Polish Red Cross Hospital in Auschwitz after the liberation of the camp (VII 223). — 195. M. R. Mazurkiewicz-Pieńkowska: A transport saved from Auschwitz. Reminiscences of a physician (IX 157—160). — 196. J. Wolny: Reminiscences of a male nurse in the Dachau, Auschwitz and Mauthausen camps (VI 198—202). — 197. J. Wolny: Reminiscences of a male nurse in the Dachau, Auschwitz and Mauthausen camps. Part II (VII 213—217). — 198. J. Markiewicz: Reminiscences of a doctor from Mauthausen-Gusen (V 144—148). — 199. J. Osuchowski: Gassing of prisoners from Block No. 24. in Gusen (IX 177—181). — 200. P. Wesełucha: Madness or method? Reflections after camp (IX 181—183). — 201. P. Wesełucha: The Germans. Reminiscences from Działdowo, Dachau and Mauthausen-Gusen (VII 192—196). — 202. S. Pigoń: Reminiscences from the Sachsenhausen camp (1939—1940), (VI 156—171). — 203. S. Kelles-Krauz: Reminiscences of a doctor in the Sachsenhausen concentration camp (III 88—90). — 204. S. Głowa: The evacuation of the Sachsenhausen camp (VI 171—174). — 205. R. Sztaba: About some prisoners of the Majdanek camp (IX 173—176). — 206. S. Perzanowska: When I think of Majdanek. Reminiscences of a doctor (VI 202—209). — 207. S. Perzanowska: Some Nazi doctors in Majdanek (VI 209—211). — 208. S. Perzanowska: The hospital in the women's camp in Majdanek (VIII 169—180). — 209. Z. Pawłowska: In the sick ward in Majdanek (VIII 181—182). — 210. S. Perzanowska: Aid by Lublin social organizations for prisoners in Majdanek (V 140—144). — 211. Y. Pagniez: Sunday in the camp (IX 154—156). — 212. T. Fedorowicz („Ran"): Remarks on camp „hospitals" and functionnaires (IX 148—153). — 213. J. Żegleń: From the „hospital" in Gross-Rosen (IX 145—148). — 214. R. Sztaba: Reminiscences of a doctor from the Gross-Rosen

camp (VIII 153—157). — 215. K. Hałgas: From the concentration camp in Gross-Rosen. (Reminiscences of a doctor), (VII 197—203). — 216. S. Dziaduś: „Hirschberg" and „Treskau", branches of the Gross-Rosen concentration camp. Fragments of reminiscences (IX 138—145). — 217. J. Jabłoński: From Radogoszcz to Auschwitz, Gross-Rosen and Mauthausen. Reminiscences of a physician (IX 161—165). — 218. B. Rubin: Reminiscences of a doctor from Falkenberg and Ebensee (VIII 182—187). — 219. A. Makowski: Reminiscences of a doctor from the concentration camps in Monowice, Buchenwald and Zwieberge-Langenstein (VII 212—222). — 220. J. Nowicki: From Stutthof to Sandbostel (VIII 158 to 169). — 221. R. Kotucha: Slave laborer in the Reich. Reminiscences of a physician (IX 113—116). — 222. — Z. Garnuszewski: Reminiscences of a doctor in the conspiration and partisan movement (VII 184—191). — 223. W. Salwa („Mazur"): Reminiscences of a wounded partisan (VIII 225 to 227). — 224. T. Müller: Reminiscences of an interned prisoner and prisoner of war (VII 225—228). — 225. B. Woytowicz: In occupied Warsaw (IX 117—125). — 226. M. Kiciarski („Jur"): Olkusz under the Nazi occupation. Reminiscences of a doctor (VIII 228—235). — 227. J. Sowiakowski: Reminiscences from the occupation in Janów Lubelski (VIII 236—243). — 228. M. Grajkowska-Bryjowa: Reminiscences of the popular conspiration (IX 125—129). — 229. T. Seweryn: Psychology of the *Übermensche*. Pages from a diary (VIII 243—252). — 230. W. Lorenczuk: Reminiscences from the exhumations in Pomerania after the liberation (VII 224—225).

PROBLEMS OF INDEMNIFICATION AND CERTIFICATION

231. I. Domańska: Action of the Polish Red Cross on behalf of former prisoners of Nazi concentration camps, victims of criminal pseudomedical experiments (V 70—71). — 232. L. Brzozowski: Remarks on the right to pensioning of former prisoners of concentration camps (V 71—73). — 233. S. Kłodziński: Remarks on the state of health of former prisoners of concentration camps and certification for pensioning (V 73—74). — 234. A. Szymusik: The present state of certification of psychiatric invalidism of former prisoners of concentration camps (V 74—75).

VARIA

235. T. Seweryn: „Wisła" on the ether waves (V 152—159). — 236. T. Seweryn: Polish underground courts (VI 212—217). — 237. K. Żywulska: Letters to a Mother (V 149). — 238. Instructions of the Minister of Health and Social Welfare concerning medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps, members of the Association of Fighters for Freedom and Democracy (V 165).

REPORTS

239. J. Nowak: Report from the IVth FIR Medical Congress in Bucarest (June 22—27, 1964). — 240. A. Kępiński, J. Masłowski: The First Convention of Doctors of the Association of Fighters for Freedom and Democracy (ZBoWiD). Achievements and prospects (V 161—163). — 241. Z. Jagoda, J. Masłowski: The Second Convention of the Association of Fighters for Freedom and Democracy (ZBoWiD). Polish medicine and problems of the occupation (IX 184—188). — 242. S. Kłodziński: The IIIrd National Congress of Delegates of the Association of Fighters for Freedom and Democracy (ZBoWiD), Warsaw, Sept. 24—26, 1964. Sociomedical problems at the Congress (V 164—165). — 243. The Cracow branch of the Polish Medical Society celebrates the twentieth anniversary of the liberation of the Auschwitz-Birkenau camp (VI 220—226). — 244. E. Brzezicki, A. Gawalewicz, T. Hołuj, A. Kępiński, S. Kłodziński, W. Wolter: Prisoner officials in Nazi concentration camps. (A discussion), (VIII 253—261). — 245. P. Wesełucha: Remarks on mental peculiarities of former prisoners (VIII 262—265). — 246. A. Pituch: Report from the Polish Student National Seminar about Nazi crimes (IX 189—190).

BIOGRAPHIC SKETCHES

247. D. Pytlik: Mgr. pharm. Maria *Bobrzecka* (I 75—76). — 248. W. Kiedrzyńska: Dr. Celina *Choynacka* (V 167—168). — 249. S. Kłodziński: Dr. Ludwik *Fischer*, prisoner No. 7851 in the Gross-Rosen camp (VI 229—234). — 250. J. Kowalczykowa: Prof. Dr. Marian *Gieszczykiewicz* (I 76—77).—

Te muzułmanki malowała skrycie w obozie Janina *Tollik*, więźniarka Oświęcimia-Brzezinki

251. T. Szymański: Dr. Franciszek *Gralla* (I 77).— 252. E. Lingens: Dr. Adelaide *Hautval* (IV 119 to 121). — 253. M. Dominik: Dr. Halina *Jankowska* (VII 229—236). — 254. S. Kłodziński: Dr. Władysława *Jasińska* (IX 199—201). — 255. W. Sienicki: Dr. Stanisław *Kelles-Krauz* (VI 227—228). — 256. W. Zegarski: Dr. Witold *Kopczyński* (IX 201—204). — 257. J. Kościuszkowa: Dr. Stefania *Kościuszkowa* (I 78). — 258. W. Denikiewicz: Assoc. Prof. Dr. Jan *Kowalczyk* (I 78—79). — 259. E. Opoczyński: Dr. Henryk *Krause* (I 79). — 260. W. Kiedrzyńska: Dr. Maria *Kujawska* (V 166—167). — 261. E. Opoczyński: Dr. Witold *Kulesza* (I 79).— 262. S. Kłodziński: Dr. Dorota *Lorska* (VII 236—241). — 263. E. Opoczyński: Dr. Jan *Malinowski* (I 79—80). — 264. Z. Mączka-Patkaniowska: Master of Pharmacy Czesław *Mączka* (IX 206—209).— 265. J. Kościuszkowa: Dr. Ernestyna *Michalikowa* (I 80). — 266. J. Nowak, S. Perzanowska: A dialogue about Professor Mieczysław *Michałowicz* (Professor in Nazi concentration camps. — Reminiscences from Majdanek concentration camp), (VIII 266—269). — 267. E. Brzezicki: Prof. Dr. Jan *Miodoński* in the Sachsenhausen concentration camp. Obituary (IV 125—126). — 268. H. Kępińska-Bazylewicz („Kora"): Dr. Antoni *Ostaszewski* (IX 204—206). — 269. J. Bogusz: Dr. Mieczysław *Owca-Orwicz* (V 171—172). — 270. J. Kowalczykowa: Dr. Witold *Preiss* (I 80—81). — 271. M. Dominik: Prof. Dr. Franciszek *Raszeja* (IX 195—198). — 272. S. Kłodziński: The role of poisons as „ultimum refugium" in the Auschwitz camp. Dr. Jan Zygmunt *Robel* (IV 122—124). — 273. M. Kieta: Prof. Dr. Jan *Sehn* (VI 239—240). — 274. S. Kłodziński: Dr. Aleksander *Smerek* (V 172—174). — 275. W. Jasińska: Reminiscences of Dr. Wanda *Starkowska* (VI 237—238). — 276. S. Kłodziński: Maria *Stromberger* (II 102—107). — 277. E. Opoczyński: Dr. Zbigniew *Szawłowski* (I 81). — 278. W. Kiedrzyńska, H. Kępińska-Bazylewicz („Kora"): Two reminiscences of Prof. Dr. Jadwiga *Szuster* (The road of life of the Professor *Szuster*. — Dr. *Szuster* — a prisonesess of Gestapo), (IX 191—195). — 279. T. Hołuj: Marian *Toliński* (IV 121—122). — 280. J. Mostowski: Dr. Wilhelm *Türschmid* (I 81—82). — 281. J. Kowalczykowa: Dr. Maria *Werkenthin* (I 82—93). — 282. A. Przerwa-Tetmajer: Women doctors in the youth organization „Life": Helena *Wolf* („Anka") and Janina *Zachariasz-Krajewska* (VI 234—236). — 283. S. Kłodziński: Dr. Józef *Żegleń* (VIII 270—271). — 284. J. Aleksandrowicz: People of the health service in occupied and underground Cracow (III 129—134). — 285. S. Szmaglewska: Silhouettes of doctors-prisoners in Auschwitz (IV 116—119). — Positions with numbers 247, 250, 251, 257, 258, 259, 261, 263, 265, 270, 277, 280, 281 have been published under one title: Silhouettes of some deceased Polish doctors and workers of the health service deserved for carrying help to the Auschwitz prisoners.

REVIEWS

286. E. Lingens: A new method of assessing Nazi crimes (VII 242—243). — 287. A. Kępiński, J. Masłowski: Medical problems of the occupation in Polish publications from the years 1964—1965 (VI 241—247). — 288. J. Masłowski: Medical problems of the occupation in Polish publications from the year 1966 (VII 244—259). — 289. J. Masłowski: Medical problems of the occupation in Polish publications from the year 1967 (VIII 272—281). — 290. J. Masłowski: Medical problems of the occupation in Polish publications from the year 1968 (IX 210—220).

BIBLIOGRAPHY

291. J. Masłowski: Medical problems from the period of the Nazi occupation. Polish bibliography 1944—1964 (V 175—189).

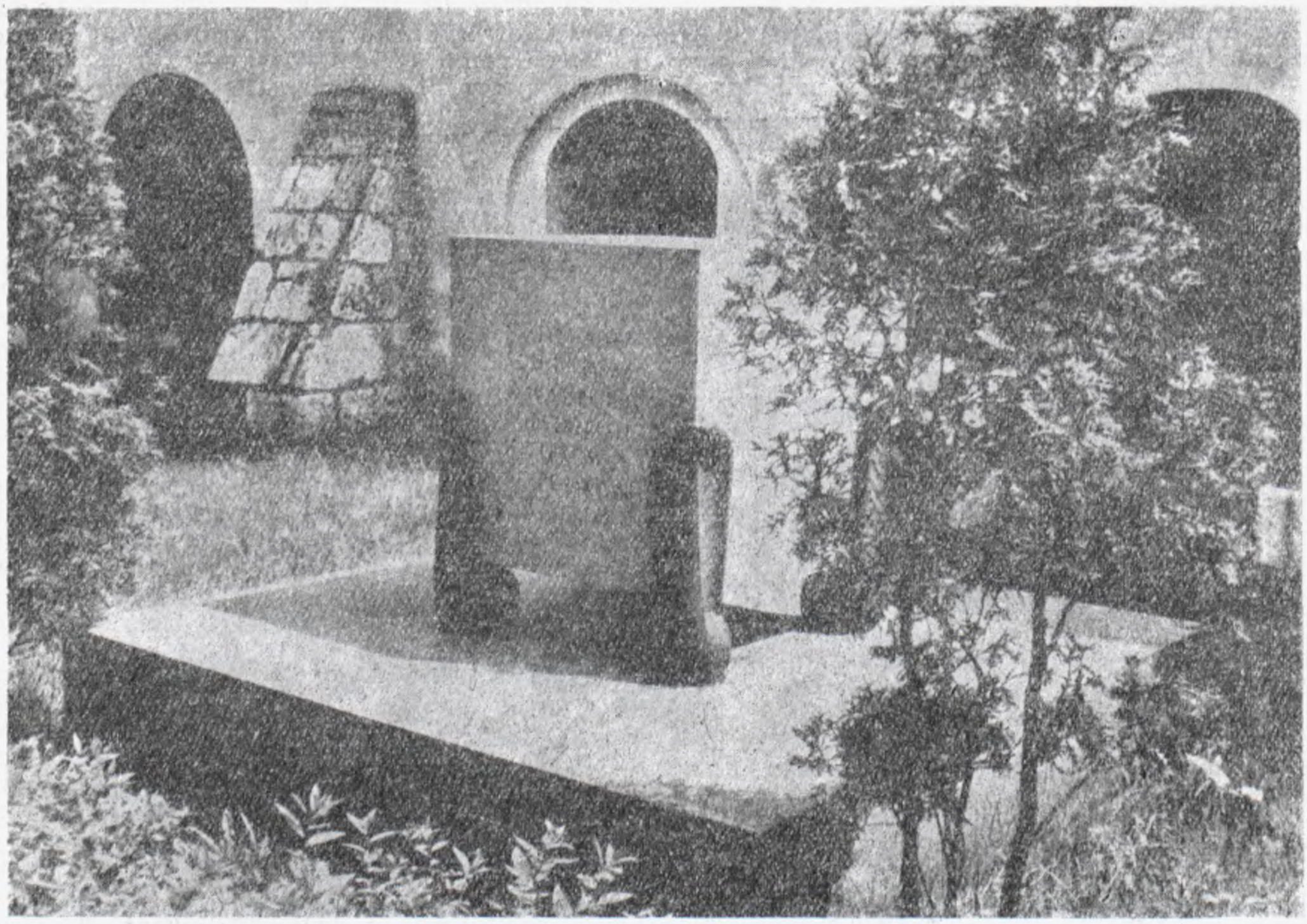

Pomnik ku czci rozstrzelanych w r. 1943 przed Starą Bożnicą w Krakowie (fot. K. *Jabłoński*)